

KEN FOLLETT

UPADEK GIGANTÓW

PROLOG

Inicjacja

ROZDZIAŁ 1

22 czerwca 1911 roku

Tego samego dnia, w którym król Jerzy V został koronowany w opactwie westminsterskim, Billy Williams zjechał na przodek w Aberowen w Południowej Walii.

Dwudziestego drugiego czerwca 1911 roku chłopak skończył trzynaście lat. Obudził go ojciec. Jego metoda budzenia była bardziej skuteczna niż miła. Rytmicznie klepał Billy'ego po policzku, mocno i natarczywie. Pograżony w głębokim śnie Billy próbował to ignorować, lecz poklepywanie nie ustało. Przez moment poczuł gniew, ale zaraz przypomniał sobie, że musi – a nawet chce – wstać, więc otworzył oczy i gwałtownie usiadł.

– Czwartą – rzucił ojciec i opuścił pokój, z tupotem schodząc po drewnianych schodach.

Tego dnia Billy miał rozpocząć pracę jako praktykant w kopalni. Większość mężczyzn w miasteczku zaczynała ją, będąc w jego wieku. Chciałby czuć się bardziej jak górnik, ale postanowił, że nie zrobi z siebie głupka. David Crampton płakał swojego pierwszego dnia na dole i wciąż nazywali go Dai Beksa, chociaż miał teraz dwadzieścia pięć lat i był gwiazdą drużyny rugby.

Było tuż po letnim przesileniu i przez okienko wpadało jasne światło. Billy spojrział na leżącego obok dziadka. Gramper miał otwarte oczy. Ilekroć Billy się budził, on już nie spał. Mówił, że starzy ludzie nie potrzebują dużo snu.

Billy wstał. Miał na sobie tylko gatki. W zimne dni sypiał w koszuli, lecz Anglia właśnie cieszyła się upalnym latem i noce były ciepłe. Wyjął spod łóżka nocnik i zdjął pokrywkę.

Jego penis, którego nazywał wackiem, nie zmienił rozmiarów. Nadal był dziecięcym fiutkiem. Billy miał nadzieję, że zacznie rosnąć w nocy przed urodzinami albo że przynajmniej zobaczy wyrastający w pobliżu penisa czarny włos, ale niestety. Jego najlepszy przyjaciel, Tommy Griffiths, który urodził się tego samego dnia, był inny: miał chrapliwy głos, ciemny meszek nad górną wargą i wacka jak mężczyzna. To było upokarzające.

Sikając, Billy spojrział przez okno. Zobaczył tylko wielką hałdę, ołowianoszarą górę odpadów z kopalni węgla, głównie łupku i piaskowca. Tak wyglądał świat drugiego dnia jego stworzenia, zanim Bóg powiedział: „Niechaj ziemia porośnie trawą”, pomyślał Billy. Łagodny wietrzyk zwiewał pył węglowy na rzędy domów.

W pokoju tym bardziej nie było na co patrzeć. Znajdował się na tyłach domu i był tak mały, że mieściły się w nim tylko wąskie łóżko, komoda i stary kufer Grampera. Wyszywana makatka na ścianie głośiła:

WIERZ W PANA JEZUSA CHRYSYTA

A BĘDZIES ZBAWIONY

Lustra nie było.

Jedne drzwi prowadziły na schody, a drugie do głównej, większej sypialni, do której można było wejść tylko tędy i w której stały dwa łóżka. Spali tam tata i mama, a także, przed laty, siostry Billy'ego. Najstarsza, Ethel, już opuściła dom, a trzy inne umarły, jedna na różyczkę, druga na koklusz, a trzecia na dyfteryt. Był

także starszy brat, który dzielił łóżko z Billym, zanim zjawił się Gramper. Miał na imię Wesley i został zabity pod ziemią przez wózek, który odczepił się od składu, jedną z tych wanien na kołach służąca do przewożenia węgla.

Billy włożył koszulę. Tę samą, w której wczoraj był w szkole. Dziś czwartek, a on zmieniał koszule tylko w niedzielę. Jednak miał nowe spodnie, pierwsze z długimi nogawkami, z grubej wodoodpornej bawełny zwanej moleskinem. Były symbolem wejścia do świata mężczyzn i wciągnął je z dumą, ciesząc się męską szorstkością materiału. Założył gruby skórzany pas i buty odziedziczone po Wesleyu, po czym zszedł na dół.

Większość parteru zajmował niewielki salonik ze stołem na środku, kominkiem oraz samodzielnym kilimem na podłodze. Tata siedział przy stole i czytał stary numer „Daily Mail”. Na jego długim ostrym nosie tkwiły okulary. Mama parzyła herbatę. Odstawiła parujący czajnik i pocałowała Billy'ego w czoło.

– Jak się ma mój mały mężczyzna w dniu urodzin? – zapytała.

Billy nie odpowiedział. Słowo „mały” dotknęło go – ponieważ istotnie był mały – „mężczyzna” także, ponieważ nim nie był. Wszedł do kuchni na tyłach. Zanurzył blaszaną miskę w beczce z wodą, umył twarz i ręce, po czym wylał wodę do płytkiego kuchennego zlewu. W kuchni był kocioł z paleniskiem, ale używano go tylko w dniu cotygodniowej kąpieli, czyli w sobotę.

Obiecano im, że wkrótce będzie bieżąca woda, i w domach niektórych górników już była. Do tych szczęśliwców należała rodzina Tommy'ego Griffithsa. Kiedy Billy odwiedził Tommy'ego, wydało mu się istnym cudem to, że wystarczy przekręcić kurek, by napełnić kubek zimną wodą, i nie trzeba iść z wiadrem do pompy na ulicy. Jednak na Wellington Row, gdzie mieszkali Williamsowie, bieżącej wody jeszcze nie doprowadzono.

Wrócił do saloniku i usiadł przy stole. Mama postawiła przed nim duży kubek herbaty z mlekiem, już posłodzonej. Ukroiła dwie grube kromki domowego chleba i ze spiżarki pod schodami przyniosła osełkę tłuszczu z pieczeni. Billy złożył dłonie, zamknął oczy i powiedział: „Dzięki Ci, Panie, za to jadło, amen”. Potem wypił łyk herbaty i posmarował kromki tłuszczem.

Ojciec oderwał niebieskie oczy od gazety.

– Posól chleb – powiedział. – Będziesz się pocił pod ziemią. Ojciec Billy'ego był rzecznikiem górników, zatrudnionym przez Stowarzyszenie Górników Południowej Walii, będące najsilniejszym związkiem zawodowym w Wielkiej Brytanii, co powtarzał, ilekroć miał okazję. Zvano go Dai Związek. Wielu mężczyzn nazywano Dai, wymawiane jak „die”, co było skrótem od imienia David lub walijskiego Dafydd. Billy dowiedział się w szkole, że imię David jest bardzo popularne w Walii, ponieważ tak miał na imię święty uważany za patrona kraju, jak święty Patryk w Irlandii. Poszczególnych Daiów rozróżniano nie po nazwisku – w miasteczku prawie każdy nazywał się Jones, Williams, Evans lub Morgan – lecz dzięki przydomkom. Prawdziwych nazwisk używano rzadko, mając do dyspozycji ich zabawne odpowiedniki. Billy nazywał się William Williams, więc nazwali go Billy Podwójny. Kobietom nadawano czasem przydomek męża, tak więc mama była panią Dai Związek.

Gramper zszedł na dół, kiedy Billy jadł drugą kromkę. Pomimo ładnej pogody włożył marynarkę i płaszcz. Umył ręce i usiadł naprzeciwko Billy'ego.

– Nie denerwuj się – powiedział. – Zjechałem na dół, kiedy miałem dziesięć lat. A mój ojciec został tam zanieiony na plecach przez swojego ojca, gdy miał pięć, i pracował od szóstej rano do dziewiętnastej. Od października do marca nie widział słońca.

– Nie denerwuję się – zapewnił Billy. Skłamał. Był przerażony.

Jednak Gramper był miły i nie naciskał. Billy lubił starego. Mama traktowała go jak dziecko, a ojciec surowo i z sarkazmem, lecz Gramper był tolerancyjny i rozmawiał z nim jak z dorosłym.

– Posłuchajcie tego – powiedział Dai. Nigdy nie kupiłby „Daily Mail”, tej prawicowej szmaty, ale czasem przynosił do domu czyjś egzemplarz, żeby czytać go głośno i z pogardą, drwiąc z głupoty i nieuczciwości klasy rządzącej. – Lady Diana Manners została skrytykowana za noszenie tego samego stroju na dwóch balach. Młodsza córka księcia Rutlanda wygrała konkurs na najlepszy kostium damski na balu w Savoyu: miała na sobie suknię bez ramiączek z rozkloszowanym dołem. Dostała dwieście pięćdziesiąt gwinei. – Opuścił gazetę i dodał: – To co najmniej twoje pięcioletnie zarobki, Billy. – Podjął lekturę: – Jednak wywołała krytyczne uwagi znawców, wkładając tę samą suknię na przyjęcie u lorda Wintertona i F.E. Smitha w hotelu Claridge. Co za dużo, to niezdrowo, jak powiadają. – Oderwał wzrok od gazety. – Lepiej zmień tę kieckę, mamuska – rzucił. – Chyba nie chcesz wywołać krytycznych uwag znawców.

Mamy to nie rozbawiło. Miała na sobie starą sukienkę z brzozywej wełny, połataną na łokciach i poplamioną pod pachami.

– Gdybym miała dwieście pięćdziesiąt gwinei, wyglądałabym lepiej niż lady Diana Muck – powiedziała nie bez gorzocy.

– To prawda – przyznał Gramper. – Cara zawsze była ładna, tak jak jej matka.

Mama miała na imię Cara. Gramper odwrócił się do Billy'ego.

– Twoja babka była Włoszką. Nazywała się Maria Ferrone. – Billy wiedział o tym, ale Gramper lubił opowiadać rodzinne historie. – To po niej twoja matka ma lśniąco czarne włosy i śliczne czarne oczy. I twoja siostra też. Twoja babcia była najpiękniejszą dziewczyną w Cardiff i dostała się mnie! – Nagle posmutniał. – To były czasy – dodał cicho.

Ojciec z dezaprobatą ściągnął brwi, gdyż takie rozmowy sugerowały cielesne żądze, ale mamę ucieszyły komplementy jej ojca i uśmiechała się, stawiając przed nim śniadanie.

– Och tak – westchnęła. – Mnie i moje siostry uważano za piękności. Pokazałybyśmy tym książętom, jak wygląda ładna dziewczyna, gdybyśmy miały pieniądze na jedwab i koronki. Billy był zdziwiony. Nigdy nie myślał o swojej matce jako pięknej lub nie, choć gdy ubierała się na zebranie kościelne w sobotnie wieczory, wyglądała wspaniale, szczególnie w kapeluszu. Podejrzewał, że kiedyś mogła być śliczną dziewczyną, ale trudno mu było to sobie wyobrazić.

– Wiedz, że rodzina twojej babci była również mądra – ciągnął Gramper. – Mój szwagier był górnikiem, ale odszedł z kopalni i otworzył kawiarenkę w Tenby. Tam to jest życie: wietrzyk od morza i przez cały dzień nic nie robisz, tylko parzysz kawę i liczysz pieniądze.

Ojciec odczytał następujący fragment:

– W ramach przygotowań do koronacji pałac Buckingham wydał książkę z instrukcjami liczącą dwieście dwanaście stron. – Spojrzał na Billy'ego znad gazety. – Wspomnij o tym dziś na dole, synu. Ludzie poczują ulgę na wieść, że niczego nie pozostawiono przypadkowi.

Billy'ego niespecjalnie interesowała rodzina królewska. Lubiał często publikowane w „Mailu” opowiadania przygodowe o twardej zawodnikach rugby z elitarnych szkół, łapiących przebiegłych niemieckich szpiegów. Według tej gazety tacy szpiegowie przeniknęli do każdego miasteczka w Anglii, choć, niestety, w Aberowen chyba żadnego nie było.

Chłopak wstał.

– Przejdę się po ulicy – oznajmił.

Wyszedł z domu frontowymi drzwiami. „Przejdę się po ulicy” było rodzinnym eufemizmem oznaczającym wyprawę do ubikacji,

które znajdowały się w połowie Wellington Row. Niski barak z cegieł nakryty dachem z blachy falistej zbudowano nad głęboką dziurą w ziemi. Był podzielony na dwie części, dla mężczyzn i dla kobiet. W obu były po dwa miejsca, więc ludzie wchodzili tam dwójkami. Nikt nie wiedział, dlaczego budowniczości wybrali takie rozwiązanie, ale wszyscy korzystali z tego najlepiej, jak mogli. Mężczyźni patrzyli przed siebie i nic nie mówili, lecz kobiety – co Billy często słyszał – prowadziły towarzyskie pogawędki. Smród dusił nawet tych, którzy przywykli do niego od dziecka. Będąc w środku, Billy zawsze starał się jak najmniej oddychać i wychodził, spazmatycznie łapiąc powietrze. Latrynę czyścił człowiek nazywany Dai Brudny.

Wróciwszy do domu, Billy ucieszył się, widząc swoją siostrę Ethel siedzącą przy stole.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Billy! – wykrzyknęła. – Przyszłam dać ci całusa, zanim zjedziesz pod ziemię.

Ethel miała osiemnaście lat i Billy bez trudu mógł uważać ją za piękną. Jej mahoniowe włosy kręciły się, a w ciemnych oczach migotał łobuzerski błysk. Może mama kiedyś tak wyglądała. Ethel nosiła prostą czarną sukienkę i biały czepek pokojówki – strój, w którym było jej do twarzy.

Billy ją uwielbiał. Była nie tylko śliczna, ale także zabawna, mądra i odważna, czasem potrafiła nawet stawić czoło ojcu. Rozmawiała z Billym o sprawach, których nikt inny nie chciał mu wyjaśnić, takich jak miesięczna przypadłość nazywana przez kobiety klątwą albo zbrodnia obrazy moralności publicznej, w wyniku której anglikański duchowny musiał w pośpiechu opuścić miasteczko. W szkole zawsze była najlepszą uczennicą, a jej wypracowanie na temat Moje miasteczko lub wioska zdobyło pierwszą nagrodę w konkursie ogłoszonym przez „South Wales Echo”. Dostała egzemplarz Atlasu świata Cassella.

Pocałowała Billy'ego w policzek.

– Powiedziałam gospodyni, pani Jevons, że kończy nam się pasta do butów, więc lepiej będzie, jeśli pójdę ją kupić. – Ethel mieszkała i pracowała w Ty Gwyn, ogromnym domu hrabiego Fitzherberta, milę od hałdy. Wręczyła Billy'emu coś zawiniętego w czystą szmatkę. – Ukradłam dla ciebie kawałek ciasta.

– Och, dzięki, Eth!

Uwielbiał ciasto.

– Mam ci je włożyć do pudełka? – spytała mama.

– Tak, proszę.

Mama wyjęła z kredensu blaszane pudełko i włożyła do niego ciasto. Ukroiła dwie kolejne kromki chleba, posmarowała je tłuszczem, posypała solą i również umieściła w pudełku. Wszyscy górnicy takie mieli. Gdyby zabrali na dół jedzenie owinięte w szmatkę, myszy zjadłyby je przed przerwą śniadaniową.

– Kiedy przyniesiesz wypłatę, będziesz miał w puszcze kawałek gotowanego boczk.

Zarobki Billy'ego z początku nie będą wysokie, lecz mimo to odczuwalnie poprawią sytuację finansową rodziny. Zastanawiał się, ile mama zostawi mu kieszonkowego i czy kiedyś uda mu się uzbierać na rower, którego pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Ethel usiadła przy stole.

– Jak tam sprawy w wielkim domu? – zapytał ją ojciec.

– Dobrze i spokojnie. Hrabia i księżniczka są w Londynie na koronacji. – Spojrzała na zegar stojący na półce nad kominem. – Wkrótce będą musieli wstać, bo muszą być wcześniej w katedrze. Jej się to nie spodoba, nie przywykła do wczesnego wstawania, ale nie może spóźnić się do króla.

Żona hrabiego, Bea, była rosyjską księżniczką i wielką panią.

– Zechcą zająć miejsca z przodu, żeby dobrze widzieć – powiedział tata.

– Och nie, nie można siadać, gdzie się chce – wyjaśniła Ethel. – Zrobiono sześć tysięcy specjalnych mahoniowych krzeseł z nazwiskami gości wytłoczonymi na oparciach złotymi literami.

– Cóż za marnotrawstwo! – wykrzyknął Gramper. – Co potem z nimi zrobią?

– Nie wiem. Może wszyscy zabiorą je do domów na pamiątkę.

– Powiedz im, żeby przysłali nam jakieś zbędne – rzekł sucho ojciec. – Jest nas tylko pięcioro, a twoja mama musi stać. Kiedy ojciec żartował, mógł skrywać w ten sposób gniew. Ethel zerwała się na równe nogi.

– Och, przepraszam, mamó. Nie pomyślałam.

– Nie wstawaj, jestem zbyt zajęta, żeby siadać – uspokoiła ją mama.

Zegar wybił piątą.

– Lepiej bądź tam wcześniej, Billy. Pokaż, że ci zależy. Billy podniósł się niechętnie i wziął pudełko z jedzeniem. Ethel znów go pocałowała, Gramper uścisnął mu dłoń, a ojciec dał dwa sześciocalowe gwoździe, zardzewiałe i lekko zgięte.

– Włóż je do kieszeni spodni.

– Po co? – spytał Billy.

– Zobaczysz – odrzekł ojciec z uśmiechem.

Matka wręczyła Billy'emu zakręcaną litrową butelkę ze słodzoną zimną herbata z mlekiem.

– I pamiętaj, Billy, że Jezus zawsze jest z tobą, nawet na dole – powiedziała.

– Tak, mamó.

Widział łzy w jej oczach i szybko się odwrócił, ponieważ na ten widok i jemu zbierało się na płacz. Zdjął czapkę z kołka.

– No to pa – mruknął, jakby szedł do szkoły, i wyszedł frontowymi drzwiami.

Dotychczas lato było upalne i słoneczne, lecz tego dnia wydawało się, że będzie padać. Tommy opierał się o ścianę domu i czekał na Billy'ego.

– Cześć, Billy – rzucił.

– Cześć, Tommy.

Ramię w ramię poszli ulicą.

Billy dowiedział się w szkole, że Aberowen kiedyś było miasteczkiem targowym, do którego zjeżdżali farmerzy z okolicznych wzgórz. Z górnego końca Wellington Row można było zobaczyć stare centrum targowe, z otwartymi zagrodami dla bydła, budynkiem skupu wełny i anglikańskim kościołem – wszystko to po jednej stronie rzeki Owen, niewiele szerszej od strumyka. Teraz tory kolejowe przecinały miasteczko niczym rana, kończąc się przy szybie kopalnianym. Zbocza doliny obsiadły domki górników – setki budynków z szarego kamienia o dachach krytych ciemniejszym walijskim łupkiem. Stały w długich krętych rzędach, przylepione do zboczy. Przecinały je krótsze przecznice opadające na dno doliny.

– Jak myślisz, z kim będziesz pracował? – zapytał Tommy.

Billy wzruszył ramionami. Nowi chłopcy byli przydzielani do któregoś z zastępców dyrektora.

– Tego nikt nie wie.

– Mam nadzieję, że przydzielą mnie do stajni. – Tommy lubił konie. W kopalni było około pięćdziesięciu kucyków. Ciągnęły po szynach wagoniki z urobkiem. – A jaką pracę ty chciałbyś wykonywać?

Billy miał nadzieję, że nie dadzą mu roboty ponad jego dziecięce siły, ale nie chciał się do tego przyznać.

– Smarowanie wagoników – rzekł.

– Dlaczego?

– Bo wydaje się, że to łatwe.

Minęli szkołę, której jeszcze wczoraj byli uczniami. Ten wiktoriański budynek miał łukowe okna jak kościół. Został zbud-

wany przez rodzinę Fitzherbertów, o czym dyrektor niestrudzenie uczniom przypominał. Hrabia nadal zatrudniał nauczycieli i decydował o programie nauczania. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające heroiczne zwycięskie bitwy, a głównym tematem lekcji była wielkość Anglii. Na lekcjach religii, od których zaczynały się codzienne zajęcia, nauczano doktryny anglikańskiej, chociaż niemal wszystkie dzieci pochodziły z rodzin innych wyznań. Rada szkoły, której członkiem był ojciec Billy'ego, stanowiła jedynie ciało doradcze. Ojciec mówił, że hrabia traktuje szkołę jak swoją prywatną własność.

W ostatniej klasie Billy i Tommy uczyli się podstaw górnictwa, a dziewczęta szycia i gotowania. Billy ze zdziwieniem odkrył, że ziemia pod nim składa się z różnych warstw, niczym kanapka. Jedną z tych warstw jest złożę węgla – określenie, które często słyszał, nie rozumiejąc, co oznacza. Powiedziano mu, że ten węgiel powstał z zeschniętych liści i innej materii organicznej, nagromadzonej przez tysiące lat i sprasowanej przez ciężar leżącej na niej ziemi. Tommy, którego ojciec był ateistą, twierdził, iż to dowodzi, iż Biblia nie mówi prawdy, lecz ojciec Billy'ego tłumaczył, że to tylko jedna z możliwych interpretacji.

O tej porze w szkole nie było nikogo i podwórko świeciło pustkami. Billy był dumny, że już nie chodzi do szkoły, chociaż w głębi duszy wolałby iść teraz na lekcje niż do kopalni. Gdy zbliżali się do szybu, na ulicach zaczęli pojawiać się górnicy, każdy z pudełkiem śniadaniowym i butelką herbaty. Wszyscy nosili stare ubrania, które mieli zdjąć na stanowiskach pracy. Niektóre kopalnie były zimne, lecz w tej w Aberowen panował upał i ludzie pracowali w butach i bieliźnie lub w szorstach z szorstkiego lnu, które nazywali gaciami. Wszyscy nosili grube czapki, ponieważ w niskich tunelach łatwo uderzyć się w głowę.

Nad domami Billy widział windę – wieżę z dwoma wielkimi kołami obracającymi się w przeciwnych kierunkach, ciągnącymi liny podnoszące i opuszczające klatkę. Podobne wieże wyciągowe wznosiły się nad większością miasteczek w dolinach Południowej Walii, tak jak wieże kościołów górują nad wioskami. Wokół szybu rozrzucone były inne budynki, jakby upuszczone tam przypadkowo: lampiarnia, biuro, kuźnia, magazyny. Między zabudowaniami wiły się jak węże tory. Na śmietniku leżały zepsute wagoniki, stare drewno budulcowe, worki po prowiancie oraz sterty zardzewiałej maszyneryi, a wszystko pokryte warstwą pyłu węglowego. Ojciec mawiał, że byłoby mniej wypadków, gdyby górnicy utrzymywali porządek.

Billy i Tommy weszli do biura kopalni. W pokoju od frontu siedział Arthur „Pryszczaty” Llewellyn, urzędnik niewiele starszy od nich. Jego biała koszula miała brudny kołnierzyk i mankiety. Czekano na nich – ich ojcowie uzgodnili wcześniej, że chłopcy dziś zaczną pracę. Pryszczaty zapisał ich nazwiska w księdze, a potem zaprowadził ich do biura zarządcy kopalni. – Młody Tommy Griffiths i młody Billy Williams, panie Morgan – oznajmił.

Maldwyn Morgan był wysokim mężczyzną i nosił czarny garnitur. Mankiety jego koszuli nie były ubrudzone węglem. Miał gładkie różowe policzki, co oznaczało, że codziennie się goli. Jego dyplom inżyniera wisiał na ścianie oprawiony w ramki, a melonik – kolejna oznaka wysokiej pozycji – dumnie tkwił na wieszaku przy drzwiach.

Ku zdziwieniu Billa nadzorca nie był sam. Obok niego stała jeszcze znamienitsza postać: Perceval Jones. Prezes Celtic Minerals, firmy dzierżawiającej i eksploatującej kopalnię węgla w Aberowen oraz kilka innych, był małym agresywnym mężczyzną, nazywanym przez górników Napoleonem. Miał na sobie surdut, długi czarny płaszcz, szare spodnie w prążki, a na głowie cylinder. Spojrzał z niesmakiem na chłopców.

- Griffiths - prychnął. - Twój ojciec jest rewolucyjnym socjalistą.

- Tak, panie Jones - powiedział Tommy.

- I ateistą.

- Tak, panie Jones.

- Nie lubię socjalistów. Ateiści są skazani na wieczne potępienie. A związkowcy są najgorsi ze wszystkich. Przeszył ich gniewnym spojrzeniem, ale o nic więcej nie pytał, więc Billy nic nie powiedział.

- Nie chcę tu wicherzycieli - ciągnął Jones. - W dolinie Rhondda strajkowali przez czterdzieści trzy tygodnie, ponieważ podburzyli ich tacy ludzie jak wasi ojcowie. Billy wiedział, że strajku w Rhondda nie wywołali wicherzyciele, lecz właściciele Ely Pit w Penygraig, którzy nie dopuścili górników do pracy. Jednak trzymał język za zębami.

- Jesteście wicherzycielami? - Jones wycelował kościsty palec w Billy'ego, a ten zadrżał. - Czy ojciec kazał ci domagać się swoich praw, kiedy dla mnie pracujesz? Billy próbował zebrać myśli, co było trudne, gdyż Jones wyglądał bardzo groźnie. Ojciec niewiele mówił tego ranka, ale poprzedniego wieczoru dał mu radę.

- Proszę pana, powiedział mi tak: „Nie pyskuj szefom, to moja robota”.

Za jego plecami Pryszczaty Llewellyn zachichotał. Percevala Jonesa to jednak nie rozbawiło.

- Bezczelny dzikus - mruknął. - Jednak jeśli cię odprawię, będę tu miał strajk całej doliny. Billy'emu nie przyszło to do głowy. Czy jest aż tak ważny? Nie, ale górnicy mogliby zastrajkować w imię zasady nakazującej bronić dzieci ich przedstawicieli. Nie przepracował jeszcze pięciu minut, a związek już go broni.

- Zabieraj ich stąd - polecił Jones.

Morgan skinął głową.

- Wyprowadź ich na zewnątrz, Llewellyn. Niech Rhys Price się nimi zajmie.

Billy jęknął w duchu. Rhys Price był jednym z najmniej lubianych nadzorców. Przed rokiem zalecał się do Ethel, a ona go spławiła. Tak samo jak połowę kawalerów w Aberowen, ale Price źle to przyjął.

Pryszczaty ruchem głowy pokazał im drzwi.

- Wyjdźcie - powiedział i poszedł za nimi. - Zaczekajcie na zewnątrz na pana Price'a.

Billy i Tommy wyszli z budynku i oparli się o ścianę przy drzwiach.

- Walnąłbym Napoleona w ten jego tłusty kałdun - prychnął Tommy. - Typowy kapitalistyczny drań.

- Taak - mruknął Billy, chociaż wcale tak nie myślał.

Rhys Price pojawił się po minucie. Jak wszyscy nadzorcy nosił kapelusz z niską zaokrągloną główką, droższy od czapki górnika, ale tańszy niż melonik. Z kieszeni kamizelki wystawał notatnik i ołówek, a w rękę trzymał miarkę. Price miał ciemny zarost i szparę między przednimi zębami. Billy wiedział, że jest sprytny i podstępny.

- Dzień dobry, panie Price - powiedział.

Price spojrział na niego podejrzliwie.

- Jaki masz w tym interes, żeby mówić mi „dzień dobry”, Billy Podwójny?

- Pan Morgan kazał nam zjechać z panem na dół.

- Ach tak? - Price zawsze rozglądał się na boki, a czasem rzucał okiem za siebie, jakby spodziewał się kłopotów z nieoczekiwanej strony. - Zobaczmy. - Popatrzył na koło windy, jakby tam szukał odpowiedzi. - Nie mam czasu zajmować się chłopcami.

Wszedł do biura.

- Mam nadzieję, że znajdzie kogoś innego, żeby zabrał nas

na dół – szepnął Billy. – Nienawidzi mojej rodziny, bo moja siostra nie chciała z nim chodzić.

– Twoja siostra myśli, że jest za dobra dla mężczyzn z Aberowen – stwierdził Tommy, najwyraźniej powtarzając coś, co usłyszał.

– Bo jest za dobra – stanowczo rzekł Billy.

Pojawił się Price.

– W porządku, tędy – powiedział i ruszył żwawym krokiem.

Chłopcy poszli za nim do lampiarni. Lampowy wręczył Billy'emu błyszcząca mosiężną lampę i chłopiec przyczepił ją sobie do paska, tak jak robili to dorośli.

Dowiedział się o lampach górniczych w szkole. Jednym z niebezpieczeństw związanych z wydobywaniem węgla był metan, palny gaz, który sączy się przez szczeliny złoża. Górnicy nazywali jego wyciek „puchaczem”; stanowił przyczynę wszystkich podziemnych wybuchów. Walijskie kopalnie były znane z dużej zawartości metanu. Lampę skonstruowano tak zmyślnie, że jej płomień nie zapala metanu, lecz zmienia kształt, wydłużając się, i w ten sposób działa ostrzegawczo – ponieważ metan jest bezwonny.

Jeśli lampa zgasła, górnik nie mógł zapalić jej sam. Zwożenie zapalek pod ziemię było zabronione, a lampa miała zamkniętą obudowę, zniechęcającą do prób łamania tego zakazu. Zgaszoną lampę należało zanieść do punktu zapalania, znajdującego się zazwyczaj w pobliżu szybu windy. Mogło się to wiązać z koniecznością przejścia paru mil, ale warto było się pomęczyć, żeby uniknąć podziemnego wybuchu.

W szkole powiedziano chłopcom, że taka bezpieczna lampa to jeden z przejawów troski właścicieli kopalni o pracowników.

– Jakby w interesie szefów nie leżało zapobieganie eksplozjom, przerwom w pracy i uszkodzeniom tuneli – szydził ojciec.

Wziawszy lampy, górnicy ustawili się w kolejce do windy.

W pobliżu umieszczono sprytnie tablicę ogłoszeniową. Odręcznie napisane lub prymitywnie wydrukowane ogłoszenia informowały o treningach krykieta, zawodach w rzucaniu strzałkami, zgubionym scyzoryku, recitalu chóru męskiego z Aberowen oraz wykładzie w bibliotece na temat teorii materializmu historycznego Karola Marksa. Nadzorcy nie musieli czekać i Price precyzyjnie nacisnął się na początek kolejki, a chłopcy za nim.

Jak w większości kopalni, w Aberowen były dwa szyby z wentylatorami umieszczonymi tak, żeby tłoczyły powietrze w dół jednym, a wypychały drugim. Właściciele często nadawali szybom wymyślne nazwy. Tutaj nazwali je „Pyram” i „Tyzbe”. Ten, przed którym stali, „Pyram”, odprowadzał powietrze i Billy czuł płynący z niego ciepły podmuch.

W zeszłym roku Billy i Tommy postanowili zajrzeć do szybu.

W lany poniedziałek, gdy górnicy nie pracowali, chłopcy ominęli stróża i przemknęli się przez śmietnisko do szybu, po czym przeszli przez płot. Wylot szybu nie był całkowicie obudowany, więc położyli się na brzuchach i spojrzeli za krawędź. Z fascynacją spoglądali w głąb tej strasznej dziury i Billy poczuł, że przewraca mu się w żołądku. Ciemność wydawała się bezkresna. Cieszył się, że nie musi tam zjeżdżać, a jednocześnie był przerażony na myśl o tym, że kiedyś będzie do tego zmuszony. Wrzucił do szybu kamień i obaj słuchali, jak odbija się od drewnianej prowadnicy klatki windy oraz ceglanych ścian. Wydawało się, że minął potwornie długi czas, zanim daleko w dole usłyszeli cichy plusk – to kamień wpadł do wody.

Teraz, rok później, Billy miał pójść w ślady tego kamienia.

Nakazał sobie nie stchórzyć. Powinien zachowywać się jak mężczyzna, nawet jeśli się nim nie czuje. Najgorzej byłoby, gdyby zrobił z siebie pośmiewisko. Tego bał się bardziej niż śmierci. Widział przesuwaną kratę zamykającą szyb. Za nią ziała pustka, gdyż winda jechała do góry. Po drugiej stronie szybu ujrzał

maszynerię obracającą wielkie koła wysoko w górze. Z maszyny wydobywały się strumienie pary. Liny trzeszczały w prowadnicach. Wokół unosił się zapach rozgrzanego oleju.

Ze szczękiem żelastwa pusta klatka windy pojawiła się za kratą, a windziarz odsunął ją. Rhys Price wszedł do pustej kabiny, a chłopcy poszli w jego ślady. Za nimi weszło trzynastu górników, gdyż winda mogła pomieścić szesnaście osób. Windziarz zatrzasnął drzwi.

Przez moment nic się nie działo. Billy czuł się niepewnie. Podłoga pod jego nogami była solidna, lecz bez trudu mógłby się przecisnąć między szeroko rozstawionymi prętami boków. Klatka wisiała na stalowej linie, a mimo to nie była zupełnie bezpieczna: wszyscy wiedzieli, że w Tirpentwys taka lina pękła pewnego dnia w 1902 roku i kabina spadła na dno szybu, zabijając ośmiu mężczyzn.

Skinął głową stojącemu obok górnikowi. Był nim Harry „Łój” Hewitt, chłopak o nalanej twarzy, zaledwie trzy lata starszy, ale o stopę wyższy od niego. Billy pamiętał go ze szkoły: utknął w trzeciej klasie z dziesięciolatkami, oblewając każdy egzamin, aż osiągnął wiek, w którym mógł iść do pracy.

Zadzwoił dzwonek sygnalizujący, że operator na dnie szybu zamknął kratę. Windziarz pociągnął dźwignię i zadzwonił inny dzwonek. Maszyna parowa zasyczała i dał się słyszeć kolejny trzask.

Kabina runęła w pustkę.

Billy wiedział, że opada swobodnie, a potem zaczyna hamować, lecz żadna wiedza teoretyczna nie mogła przygotować go na wrażenie niepowstrzymanego spadania w trzewia ziemi. Jego stopy oderwały się od podłogi. Wrzasnął ze strachu. Nie mógł się powstrzymać.

Wszyscy mężczyźni się roześmiali. Wiedzieli, że to jego pierwszy raz, i teraz uświadomił sobie, że czekali na jego reakcję. Za późno zauważył, że wszyscy trzymają się prętów klatki, żeby nie unieść się w powietrze. Jednak ta świadomość nie zmniejszyła jego przerażenia. Zaciskając zęby, zdołał powstrzymać krzyk.

W końcu zadziałał hamulec. Kabina zaczęła spadać wolniej i stopy Billy'ego znów dotknęły podłogi. Złapał pręt i starał się opanować drżenie. Po chwili strach zastąpiła złość, że był bliski łez. Spojrzał na roześmianą twarz Hewitta i wrzasnął, przekrzykując hałas:

— Zamknij dziób, Hewitt, ty gównomózgi dupku!

Łój natychmiast przestał się szczerzyć i wyglądał na wściekłego, ale pozostali mężczyźni zaczęli się śmiać jeszcze głośniej. Billy będzie musiał przeprosić Jezusa za przeklinanie, ale czuł się przynajmniej trochę mniej głupio.

Spojrzał na Tommy'ego, który był blady jak ściana. Czy też krzyczał? Billy bał się zapytać, żeby nie usłyszeć zaprzeczenia. Winda zatrzymała się, odsunięto kratę i Billy z Tommym weszli roztrzęsieni do kopalni.

Górnnicze lampki dawały mniej światła niż parafinowe kaganki w domu i w kopalni było ciemno jak w bezksiężycową noc. Może nie muszą dobrze widzieć, żeby wyrąbywać węgiel, pomyślał Billy. Z pluskiem wszedł w kałużę i spojrzawszy pod nogi, zobaczył wszędzie wodę i błoto oraz odbijające się w nich blade płomyki lamp. W ustach czuł jakiś dziwny posmak: powietrze było gęste od pyłu węglowego. Czy to możliwe, że ci ludzie oddychają nim przez cały dzień? Pewnie dlatego górnicy wciąż kaszlą i spluwają. Przy windzie czekali czterej mężczyźni, żeby wyjechać na powierzchnię. Każdy z nich trzymał w ręku skórzaną torbę i Billy uświadomił sobie, że to strażacy. Każdego ranka, zanim górnicy zaczną pracę, strażacy sprawdzają stężenie metanu. Jeśli jest zbyt wysokie, nakazują ludziom wstrzymać pracę i czekać, aż wentylatory oczyszczą powietrze.

Niedaleko Billy dostrzegł rząd boksów dla kucyków oraz

otwarte drzwi wiodące do jasno oświetlonego pokoju z biurkiem, zapewne biura nadzorców. Mężczyźni zniknęli w czterech tunelach rozchodzących się promieniście od szybu. Nazywano je wylotami i prowadziły do odcinków, na których urabiano węgiel. Price zaprowadził ich do magazynu narzędzi i otworzył kłódkę. Wybrał dwie łopaty, dał je chłopcom i znów zamknął drzwi na kłódkę.

Poszli do stajni. Mężczyzna w samych szortach i butach wyrzucał z boksu brudną ściółkę, ładując ją na kopalniany wózek. Po jego muskularnych plecach spływał pot.

– Chcesz chłopaka do pomocy? – zapytał Price.

Mężczyzna odwrócił się i Billy rozpoznał Daia Kucyka, starszego z kaplicy Bethesda. Dai nie okazał, że poznaje Billy'ego.

– Nie chcę tego małego – mruknął.

– Dobra – rzekł Price. – Ten drugi to Tommy Griffiths.

Jest twój.

Tommy wyglądał na zadowolonego. Spełniło się jego życzenie. Chociaż miał tylko sprzątać stajnie, będzie pracował przy koniach.

– Chodź, Billy Podwójny – powiedział Price i wszedł do jednego z tuneli.

Billy zarzucił łopatę na ramię i poszedł za nim. Teraz, kiedy nie było przy nim Tommy'ego, czuł jeszcze większy niepokój. Żałował, że nie kazano mu czyścić stajni tak jak przyjacielowi.

– Co będzie robił, panie Price? – zapytał.

– Chyba możesz zgadnąć, no nie? Jak myślisz, po co dałem ci tę pierdoloną łopatę?

Billy był zaszokowany tak niefrasobliwym użyciem zakazanego słowa. Nie domyślał się, co będzie robił, ale nie zadawał więcej pytań.

Tunel miał owalny przekrój i strop wzmocniony wygiętymi stalowymi wspornikami. Górą biegła rura o dwucalowej średnicy, zapewne wodociągowa. Tunele co noc spryskiwano wodą, próbując zmniejszyć ilość pyłu. Nie tylko był groźny dla ludzkich płuc – gdyby tak było, Celtic Minerals prawdopodobnie by się tym nie przejmowała – ale groził także wybuchem pożaru. Jednak system spryskiwaczy był niewystarczający. Ojciec twierdził, że potrzebna jest sześciocalowa rura, lecz Perceval Jones nie chciał wydać na nią pieniędzy.

Po około ćwierć mili skręcili w boczny tunel biegnący w górę.

Był starszy i mniejszy, z drewnianymi stemplami zamiast stalowych kręgów. Price musiał się schylać, żeby nie uderzyć głową o niski strop. Mniej więcej co trzydzieści jardów mijali wejścia na stanowiska, na których górnicy już rąbali węgiel.

Billy usłyszał turkot.

– Do kanału – polecił Price.

– Co?

Billy spojrzał pod nogi. Kanał biegnie w mieście pod chodnikami, a tu nie widział niczego oprócz torów, po których jeżdżą wózki. Spojrzał przed siebie i zobaczył truchtającego ku niemu kuca, szybko zbiegającego tunelem i ciągnącego sznur wózków.

– Do kanału! – krzyknął Price.

Billy nadal nie rozumiał, czego od niego chce, ale widział, że tunel jest niewiele szerszy od wózków, które zaraz go zmiażdżą.

Nagle Price jakby wszedł w ścianę i znikł.

Billy rzucił łopatę, odwrócił się i popędził tam, skąd przyszedł. Starał się uciec przed kucem, lecz ten biegł zadziwiająco szybko.

Nagle Billy zauważył niszę wykutą w ścianie na całej wysokości tunelu i uświadomił sobie, że widział takie nisze – nie rejestrując ich w pamięci – mniej więcej co trzydzieści jardów. Zapewne taką niszę miał na myśli Price, mówiąc o kanale. Billy wskoczył do jednej z nich i skład z turkotem przemknął obok.

Kiedy znikł w oddali, Billy wyszedł z kanału, ciężko dysząc.

Price udawał rozgniewanego, ale się uśmiechał.

– Musisz być czujniejszy – powiedział. – Inaczej zginiesz jak twój brat.

Billy odkrył, że większość mężczyzn bawi się wytykaniem i wyszydzaniem niewiedzy chłopców. Postanowił, że on będzie inny, kiedy dorośnie.

Podniósł łopatę. Nie była uszkodzona.

– Masz szczęście – skomentował Price. – Gdyby wózek ja uszkodził, musiałbyś zapłacić za nową.

Poszli dalej i wkrótce weszli na odcinek, gdzie wszystkie stanowiska były opuszczone. Tu pod nogami było mniej wody, a spąg pokrywała gruba warstwa pyłu węglowego. Kilkakrotnie skręcali i Billy stracił orientację.

Dotarli do miejsca, gdzie tunel był zablokowany przez brudny stary wózek.

– To miejsce trzeba oczyścić – powiedział Price. Po raz pierwszy zechciał cokolwiek mu wyjaśnić i Billy miał wrażenie, że kłamie. – Twoje zadanie to załadować ten gnój do wózka.

Billy się rozejrzał. Jak daleko sięgało światło jego lampy, i pewnie o wiele dalej, leżała gruba warstwa pyłu. Mógł szufłować go przez tydzień i nie byłoby widać żadnej różnicy. I po co? To opuszczone wyrobisko. Jednak nie zadawał pytań. Może to jakaś próba.

– Wróć za jakiś czas i zobaczę, jak ci idzie – oznajmił Price i odszedł, zostawiając Billy'ego samego.

Tego Billy się nie spodziewał. Zakładał, że będzie pracował ze starszymi mężczyznami i uczył się od nich. Jednak mógł robić tylko to, co mu kazano. Odczepił lampę od paska i rozejrzał się, gdzie ją postawić. Nie było niczego, co mogłoby posłużyć za półkę. Umieścił lampę na ziemi, lecz tam była właściwie bezużyteczna. Wtedy przypomniał sobie o gwoździach, które dał mu ojciec. A więc do tego mają służyć. Wyjął jeden z kieszeni. Łopata wbił go w drewniany stempel, po czym zawiesił na nim lampę. Teraz było lepiej.

Dorośłemu mężczyźnie wózek sięgał do piersi, ale Billy'emu do ramienia, więc kiedy zaczął pracę, odkrył, że połowa pyłu zsuwa się z łopaty, zanim przerzuci go przez krawędź. Zaczął okręcać łopatę tak, żeby temu zapobiec. Po kilku minutach spływał potem i zrozumiał, do czego służy drugi gwóźdź. Wbił go w inny stempel i powiesił na nim koszulę i spodnie.

Po pewnym czasie poczuł, że ktoś go obserwuje. Kątem oka dostrzegł niewyraźną postać stojącą nieruchomo jak posąg.

– O Boże! – krzyknął i się odwrócił.

To był Price.

– Zapomniałem sprawdzić twoją lampę – powiedział. Zdjął lampę Billy'ego z gwoździa i coś z nią zrobił. – Nie najlepsza – stwierdził. – Zostawię ci moją.

Powiesił ją na gwoździu i znikł.

Paskudny typ, ale przynajmniej troszczy się o bezpieczeństwo Billy'ego.

Chłopak znów zabrał się do pracy. Wkrótce rozbolały go ramiona i nogi. Powiedział sobie, że przecież jest przyzwyczajony do machania łopatą. Ojciec na ugorze za domem trzymał świnie i do Billy'ego należało wyrzucanie gnoju z chlewa raz na tydzień. Jednak to zajmowało mu zaledwie kwadrans. Czy zdoła zrobić to przez cały dzień?

Pod warstwą pyłu była skała i glina. Po jakimś czasie oczyścił kwadrat o boku czterech stóp – taką szerokość miał tunel. Pył ledwie zakrył dno wagonika, a on już był wyczerpany.

Próbował popchnąć wagonik dalej, żeby nie chodzić tak daleko z pełną łopatą, ale koła najwyraźniej zapiekły się od długiego stania. Nie miał zegarka i trudno mu było ocenić, ile czasu upłynęło.

Zaczął pracować wolniej, oszczędzając siły.

Nagle zrobiło się ciemno.

Płomień najpierw zamigotał i Billy z niepokojem spojrzął na

wiszącą na gwoździu lampę, ale wiedział, że płomyk wydłużyłby się, gdyby w powietrzu był metan. Niczego takiego nie dostrzegł, co podniosło go na duchu. Wtedy płomień zgasł. Jeszcze nigdy nie znalazł się w tak nieprzeniknionych ciemnościach. Nie widział niczego, ani pasm szarości, ani nawet różnych odcieni czerni. Podniósł łopatę na wysokość twarzy i przysunął ją sobie pod nos, ale nadal jej nie widział. Zapewne tak to jest być niewidomym.

Stał nieruchomo. Co robić? Powinien zanieść lampę na stanowisko zapalania, ale nie odnalazłby drogi powrotnej, nawet gdyby coś widział. W tych ciemnościach może błąkać się godzinami. Nie miał pojęcia, przez ile mil ciągną się te stare wyrobiska, i nie chciał, by trzeba było wysyłać ludzi, żeby go szukali. Będzie musiał po prostu poczekać na Price'a. Nadzorca powiedział, że wróci „za jakiś czas”. To mogło oznaczać kilka minut albo godzinę lub więcej. Billy podejrzewał, że raczej więcej. Price niewątpliwie zrobił to specjalnie. Lampa była zabezpieczona przed podmuchami, a ponadto tutaj prawie nie było przeciągu. Price zabrał lampę Billy'ego i dał mu taką z małą ilością paliwa. Chłopak rozczulił się nad swoim losem i w oczach stanęły mu łzy. Co zrobił, że zasłużył sobie na coś takiego? Wziął się jednak w garść. To następna próba, taka jak z windą. Pokaże im, że jest twardy.

Doszedł do wniosku, że powinien nadal pracować, nawet po ciemku. Poruszywszy się po raz pierwszy, od kiedy zgasło światło, położył łopatę na ziemi i przesunął ją do przodu, próbując nabrać na nią pył. Gdy ją podniósł, po ciężarce domyślił się, że na szufli jest ładunek. Odwrócił się, zrobił dwa kroki i uniósł ją, próbując wrzucić pył do wózka, ale źle ocenił wysokość. Łopata ze szczękiem uderzyła o bok wagonika i nagle zrobiła się lżejsza, gdyż ładunek wysypał się na ziemię.

Trzeba wziąć poprawkę. Spróbował jeszcze raz, unosząc łopatę wyżej. Gdy ładunek się z niej zsunął, Billy pozwolił jej opaść i poczuł, jak drewniane stylisko uderzyło o krawędź wózka. Teraz lepiej.

Ponieważ pracując, oddalał się od wagonika, czasem nie trafiał, więc zaczął głośno liczyć kroki. Złapał rytm i chociaż bolały go mięśnie, pracował dalej.

Gdy zaczął poruszać się machinalnie, mógł oddać się rozmyślaniom, co nie było dobre. Zastanawiał się, jak daleko ciągnie się ten tunel i od jak dawna nie jest używany. Myślał o półmilowej warstwie ziemi nad głową i o ciężarce, jaki podtrzymują drewniane stemple. Przypomniawszy sobie swojego brata Wesleya oraz innych mężczyzn, którzy zginęli w tej kopalni. Jednak ich duchy, oczywiście, tutaj nie zostały. Wesley jest z Jezusem. Inni pewnie też. Jeśli nie, to w każdym razie są gdzie indziej.

Poczuł lęk i doszedł do wniosku, że rozmyślania o duchach to błąd. Uświadomił sobie, że jest głodny. Czy już czas na drugie śniadanie? Nie miał pojęcia, ale pomyślał, że właściwie może coś zjeść. Wrócił do miejsca, gdzie wisiało jego ubranie, pomacał pod nim i znalazł butelkę oraz pudełko.

Usiadł, oparty plecami o ścianę, popijając zimną słodką herbatę. Kiedy jadł chleb, usłyszał cichy dźwięk. Miał nadzieję, że to poskrzypywanie butów Rhysa Price'a, ale to były tylko pobożne życzenia. Wiedział, że to piszcza szczury.

Nie bał się. W rowach biegnących wzdłuż każdej ulicy w Aberrowen było mnóstwo szczurów. Jednak te w ciemności wydawały się śmielsze i po chwili jeden z nich przebiegł po jego bosych nogach. Przełożywszy jedzenie do lewej ręki, Billy złapał łopatę i machnął nią. To jednak nie przestraszyło szczurów i znów poczuł na gołym ciele ich pazurki. Tym razem jeden z nich próbował wspiać się po jego ręce. Najwyraźniej zwierzęta poczuły zapach jedzenia. Popiskiwanie było coraz głośniejsze i zastanawiał się, ile ich jest.

Wstał i wepchnął resztę chleba do ust, popił herbata, a potem zjadł ciasto. Było bardzo smaczne, z mnóstwem suszonych owoców i migdałów, ale jakiś szczur już wbiegał mu po nodze i Billy musiał wepchnąć do ust całe ciasto.

Szczury widocznie zrozumiały, że jedzenia już nie ma, gdyż ich popiskiwanie stopniowo cichło, aż całkiem umilkło.

Posiłek dodał mu sił i Billy wrócił do pracy, ale krzyż bolał go coraz bardziej. Poruszał się wolniej, częściej odpoczywając. Pocięszał się myślą, że może jest później, niż sądzi. Może już południe? Ktoś przyjdzie po niego pod koniec zmiany. Lampowy sprawdza liczbę lamp, więc zawsze wie, czy ktoś został na dole. Jednak Price zabrał lampę Billy'ego i zamienił ją na inną. Czyżby zamierzał przetrzymać go tutaj przez całą noc?

To by mu się nie udało. Ojciec podniósłby raban. Szefowie bali się ojca – Perceval Jones właściwie to przyznał. Prędzej czy później ktoś na pewno zacznie go szukać.

Jednak kiedy znów zgłodniał, był pewny, że musiało minąć wiele godzin. Znowu poczuł strach i tym razem nie mógł się go pozbyć. Ciemność rozstrajała mu nerwy. Mógłby znieść to czekanie, gdyby coś widział. W nieprzeniknionych ciemnościach czuł, że wariuje. Stracił orientację i za każdym razem, gdy wracał od wózka, zastanawiał się, czy wpadnie na ścianę tunelu. Wcześniej bał się, że zacznie płakać jak dziecko, teraz z trudem powstrzymał krzyk.

Potem przypomniał sobie, co powiedziała mu matka: „Jezus zawsze jest z tobą, nawet na dole”. Wtedy myślał, że mówiła mu, żeby dobrze się zachowywał. Teraz zrozumiał, że była mądrzejsza, niż sądził. Oczywiście, że Jezus jest z nim. Jezus jest wszędzie. Ciemność nie ma znaczenia, tak samo jak upływ czasu. Billy ma kogoś, kto się o niego troszczy.

Aby sobie o tym przypomnieć, odśpiewał psalm. Nie lubił swojego głosu, nadal dziecinny, ale nie było nikogo, kto by go usłyszał, więc śpiewał najgłośniejszym, jak mógł. Gdy odśpiewał wszystkie zwrotki i strach zaczął powracać, wyobraził sobie Jezusa stojącego z drugiej strony wagonika i obserwującego go ze współczuciem malującym się na brodatej twarzy.

Billy zaśpiewał następny psalm. Ładował i chodził w rytm pieśni. Większość była dość dziarska. Od czasu do czasu ogarniał go lęk, że o nim zapomnieli, że szychta się skończyła i zostawili go samego – wtedy po prostu przypominał sobie o stojącej w ciemności postaci w długiej szacie.

Znał mnóstwo pieśni. Od kiedy był dostatecznie duży, by usiedzieć spokojnie, w każdą niedzielę chodził do kaplicy Bethesda. Psalterze sporo kosztowały i nie wszyscy wierni umieli czytać, więc uczyli się słów na pamięć.

Kiedy odśpiewał dwanaście psalmów, uznał, że minęła godzina. Z pewnością to już koniec szychty. Jednak odśpiewał jeszcze dwanaście. Potem zaczął tracić rachubę. Swoje ulubione wykonał po dwa razy. Pracował coraz wolniej.

Śpiewał, ile tchu w płucach, Powstanie z grobu, gdy zobaczył światło. Zdążył już tak wejść w rytm, że na ten widok nie przerwał pracy, lecz nabrał następną łopatę pyłu i zaniósł ładunek do wagonika, wciąż śpiewając. Światło się zbliżało. Skończył psalm i oparł się na łopacie. Rhys Price stał, obserwując go, z lampą przypiętą do paska i z dziwną miną.

Billy stłumił ogarniającą go ulgę. Nie zamierzał zdradzać Price'owi, co czuje. Włożył koszulę i spodnie, a potem zdjął z gwoździa niezapaloną lampę i zawiesił sobie na pasku.

– Co się stało z twoją lampą? – spytał Price.

– Wiesz, co się stało – odparł Billy i jego głos zabrzmiał dziwnie dorośle.

Price odwrócił się i ruszył tunelem.

Billy się zawahał. Spojrzał w przeciwnym kierunku. Tuż za wagonikiem dostrzegł brodatą twarz i jasną szatę, lecz postać

znikła tak szybko jak myśl.

– Dziękuję – rzucił Billy w pustkę.

Gdy szedł za Price'em, nogi bolały go tak bardzo, że myślał, iż upadnie, ale w ogóle się tym nie przejmował. Znów widzi i szychta się skończyła. Wkrótce wróci do domu i będzie mógł się położyć.

Dotarli na główny poziom i wsiedli do windy z tłumem górników o twarzach czarnych od węgla. Nie było wśród nich Tommy'ego Griffithsa, ale był Łój Hewitt. Gdy czekali na sygnał z góry, Billy zauważył, że spoglądają na niego, chytrze się uśmiechając.

– No i jak ci minął twój pierwszy dzień, Billy Podwójny? – zagadnął Hewitt.

– Dziękuję, dobrze – odparł Billy.

Hewitt miał złośliwą minę – niewątpliwie pamiętał, że Billy nazwał go gównomózgim dupkiem.

– Żadnych problemów? – dopytywał się.

Billy się zastanowił. Najwyraźniej tamci coś wiedzą. Chciał dać im do zrozumienia, że nie poddał się lękowi.

– Zgasła mi lampa – powiedział i nawet głos mu przy tym nie zadrżał. Spojrzał na Price'a, ale zdecydował, że postąpi bardziej po męsku, nie oskarżając go. – Trochę trudno było po ciemku machać przez cały dzień łopata – dokończył.

To również było niedopowiedzenie – mogli pomyśleć, że to dla niego pestka – ale lepiej tak, niż przyznać, że się bał.

– Cały dzień? – zdziwił się starszy mężczyzna.

To był John „Sklep” Jones, nazywany tak dlatego, że jego żona prowadziła sklepik spożywczy, na który przeznaczyci salonik swojego mieszkania.

– Tak – potwierdził Billy.

John Jones spojrział na Price'a.

– Ty draniu, to miała być tylko godzina.

Podejrzenia Billy'ego się potwierdziły. Oni wszyscy wiedzieli, co się dzieje, i wyglądało na to, że robią takie kawały każdemu nowicjuszowi. Tylko Price sprawił, że ten był paskudniejszy niż zwykle.

Łój Hewitt uśmiechał się szeroko.

– Nie bałeś się, Billy, będąc sam w ciemnościach?

Billy zastanowił się nad odpowiedzią. Wszyscy patrzyli na niego, czekając, co powie. Już się nie uśmiechali i wyglądali na lekko zawstydzonych. Postanowił powiedzieć prawdę.

– Bałem się, owszem, ale nie byłem tam sam.

– Nie byłeś sam? – Hewitt nie krył zdumienia.

– Oczywiście, że nie. Był ze mną Jezus.

Hewitt się roześmiał, ale tylko on. Jego śmiech odbił się echem w głuchoj ciszy i gwałtownie ucichł.

Ta cisza trwała kilka sekund. Potem rozległ się szcęk metalu, kabina zadrżała i zaczęła się unosić. Harry odwrócił się do niego plecami.

Od tego zdarzenia nazywali go Billy z Jezusem.

CZEŚĆ PIERWSZA

Ciemniejące niebo

ROZDZIAŁ 2

Styczeń 1914 roku

I.

Hrabia Fitzherbert, lat dwadzieścia osiem, znany swojej rodzinie i przyjaciołom jako Fitz, był dziewiąty na liście najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii.

Nie zrobił nic, aby zapracować na taką fortunę. Po prostu odziedziczył tysiące akrów ziemi w Walii i Yorkshire. Farmy nie przynosiły zysków, ale pod nimi był węgiel i sprzedając licencje na jego wydobycie, dziadek Fitz'a niesamowicie się wzbogacił. Najwyraźniej Bóg chciał, żeby Fitzherbertowie rządili i żyli na odpowiednio wysokiej stopie, ale Fitz czuł, że niewiele zrobił, aby dowieść, iż Bóg się nie mylił, pokładając w nim zaufanie. Jego ojciec, poprzedni hrabia, był inny. Oficer marynarki wojennej, został admirałem po ostrzale Aleksandrii w 1882 roku, brytyjskim ambasadorem w Sankt Petersburgu i wreszcie ministrem w rządzie lorda Salisbury. Konserwatyści przegrali wybory w 1906 roku, a ojciec Fitz'a zmarł kilka tygodni później. Fitz był przekonany, że jego odejście przyspieszył widok nieodpowiedzialnych liberałów, takich jak David Lloyd George i Winston Churchill, zasiadających w rządzie Jego Królewskiej Mości. Fitz zajął jego miejsce w Izbie Lordów, wyższej izbie brytyjskiego parlamentu, jako konserwatysta. Dobrze mówił po francusku, radził sobie z rosyjskim; pewnego dnia chętnie zostałby sekretarzem spraw zagranicznych swego kraju. Niestety, liberałowie wciąż wygrywali wybory, tak więc jeszcze nie miał szansy zostać ministrem.

Jego kariera wojskowa była równie nieciekawa. Przeszedł szkolenie oficerskie w akademii wojskowej w Sandhurst i odsłużył trzy lata w brygadzie Fizylierów Walijskich, kończąc służbę w stopniu kapitana. Po ślubie zrezygnował z kariery wojskowej, ale został honorowym pułkownikiem terytorium Południowej Walii. Niestety, honorowy pułkownik nigdy nie dostaje odznaczeń. Zrobił jednak coś, z czego mógł być dumny, myślał sobie, gdy pociąg, sapiąc, jechał przez doliny Południowej Walii. Za dwa tygodnie do wiejskiego domu Fitz'a ma przyjechać z wizytą król. Król Jerzy V i ojciec Fitz'a pływali za młodu na tym samym okręcie. Monarcha wyraził niedawno chęć poznania opinii młodych ludzi i Fitz zorganizował dyskretne przyjęcie w swoim domu, żeby Jego Wysokość mógł spotkać kilku z nich. Teraz Fitz i jego żona, Bea, zmierzali do swego domu, żeby wszystko przygotować. Fitz cenił tradycję. Ludzkość nie zna niczego lepszego od wygodnego podziału na monarchów, arystokrację, kupców i wieśniaków. Teraz jednak, patrząc przez okno, widział zagrożenie dla brytyjskiego stylu życia, większe niż wisiało nad jakimkolwiek krajem w ciągu ostatnich stu lat. Na niegdyś zielonych zboczach wzgórz wyrosły domki górników, niczym nalot zarazy pokrywający liście rododendronów. W tych nędznych norach szerzył się republikanizm, ateizm i bunt. Minał zaledwie wiek z okładem, od kiedy francuską szlachtę powieszono na wozach na gilotynę, i to samo zdarzyłoby się tutaj, gdyby ci muskularni i umorusani górnicy dopięli swego.

Fitz mówił sobie, że chętnie zrezygnowałby z dochodów z węgla, gdyby Wielka Brytania mogła powrócić do minionej epoki. Rodzina królewska była silnym bastionem broniącym jej przed rebelią. Jednak Fitz był równie zdenerwowany tą wizytą, jak z niej dumny. Tyle rzeczy może pójść źle. W kontaktach z monarchami niedopatrzenie często zostaje uznane za niedbalstwo, a więc brak szacunku. Każdy szczegół tego weekendu zostanie przekazany przez służbę gości innym służącym, a przez nich ich pracodawcom, tak więc wszystkie panie z londyńskiego towarzystwa szybko się dowiedzą, jeśli królowi zostanie podana twarda poduszka, zepsuty ziemniak lub szampan kiepskiej marki.

Rolls-royce silver ghost, należący do Fitz'a, czekał na stacji kolejowej Aberowen. Z Beą u boku Fitz został zawieszony do

leżącego milę dalej Ty Gwyn, jego wiejskiej posiadłości. Padał słaby, lecz uporczywy deszcz, tak częsty w Walii. „Ty Gwyn” po walijsku oznacza Biały Dom, lecz ta nazwa stała się kpina. Jak wszystko w tej okolicy, budynek był pokryty warstwą pyłu węglowego, a jego niegdyś białe mury miały ciemnoszary kolor i brudziły suknie dam, które nieopatrznie się o nie otarły.

Pomimo to budowla była wspaniała i Fitz rozpierała dumą, gdy samochód, cicho mruczając, jechał podjazdem. Największa prywatna posiadłość w Walii, Ty Gwyn, miała dwieście pokoi. Kiedyś, gdy był mały, razem z siostrą policzyli okna i naliczyli ich pięćset dwadzieścia trzy. Dom został zbudowany przez dziadka Fitz'a i stanowił przyjemny widok dla oczu. Okna na parterze były wysokie i wpuszczały mnóstwo światła do wielkich sal. Na piętrze znajdowało się kilkadziesiąt pokoi gościnnych, a na poddaszu niezliczone pokoiki dla służby, których obecność zdradzały długie rzędy mansardowych okien w stromym dachu.

Pięćdziesiąt akrów ogrodów było źródłem przyjemności Fitz'a. Osobiście nadzorował pracę ogrodników, decydując o sadzeniu, przycinaniu i rozsadzaniu.

– Dom godny królewskiej wizyty – rzekł, gdy samochód stanął przed wspaniałym portykiem. Bea nie odpowiedziała. Podróżę wprawiała ją w zły humor.

Wysiadłszy z samochodu, Fitz został powitany przez Gelerta, owczarka pirenejskiego, stworzenie wielkości niedźwiedzia, który polizał mu rękę, po czym zaczął radośnie biegać wkoło.

W przebieralni Fitz zdjął strój podróżny i włożył garnitur z miękkiego brązowego tweedu. Potem bocznymi drzwiami wszedł do pokoju Bei.

Rosyjska pokojówka, Nina, odpinała wymyślny kapelusz, który Bea nosiła w czasie podróży. Fitz ujrzał twarz żony w lustrze toaletki i jego serce zaczęło bić szybciej. Nagle cofnął się o cztery lata, do sali balowej w Sankt Petersburgu, gdzie po raz pierwszy ujrzał tę niewiarygodnie piękną twarz okoloną blond lokami, które nie dawały się ujarzmić. Wtedy też miała ponurą minę, którą uznał za tak pociągającą. W mgnieniu oka zdecydował, że ze wszystkich kobiet na świecie właśnie tę chce poślubić.

Nina była w średnim wieku i lekko trzęsły jej się ręce – Bea często wprawiała służbę w zdenerwowanie. Gdy Fitz stał i patrzył, Nina przypadkiem ukłuła panią spinką i Bea krzyknęła. Służąca pobladła.

– Ogromnie mi przykro, Wasza Wysokość – powiedziała po rosyjsku.

Bea chwyciła leżącą na toalecie szpilkę.

– Zobacz, czy ci się to spodoba! – krzyknęła i dźgnęła pokojówkę w rękę.

Nina zalała się łzami i wybiegła z pokoju.

– Pozwól, że ci pomogę – uspokajającym tonem powiedział Fitz do żony.

Nie dała się ułagodzić.

– Sama to zrobię.

Fitz podszedł do okna. Około tuzina ogrodników pracowało przy strzyżeniu żywopłotów, wyrównywaniu obrzeży trawników i grabieniu żwiru. Kilka krzewów zakwitło: różowa kalina, żółty zimowy jaśmin, oczar wirginijski i pachnący wiciokrzew. Za ogrodem wznosił się miękkim zielonym łukiem stok wzgórza. Musi być cierpliwy wobec Bei i pamiętać, że jest cudzoziemką, samotną w obcym kraju, z dala od rodziny i wszystkiego, co znajome. To było łatwe w pierwszych miesiącach ich małżeństwa, gdy wciąż upajały go jej uroda, zapach i dotyk jej miękkiej skóry. Teraz przychodziło mu to z trudem.

– Dlaczego nie odpoczniesz? – odezwał się. – Ja porozmawiam z Peelem i panią Jevons i dowiem się, jak postępują przygotowania.

Peel był lokajem, a pani Jevons gospodynią. Nadzór nad służbą należał do obowiązków Bei, lecz Fitz był tak zdenerwowany wizytą króla, że ochoczo skorzystał z pretekstu, by się wtrącić.

– Przekażę ci wszystko później, kiedy się odświeżysz.

Wyjął z kieszeni pudełko cygar.

– Nie pal tutaj – poprosiła.

Uznał to za zgodę i poszedł do drzwi. Przystanął w progu.

– Posłuchaj, nie będziesz się tak zachowywała przy królu i królowej, dobrze? Mówię o biciu służby.

– Nie uderzyłam jej. Ukłułam ją szpilką, żeby dać jej nauczkę.

Rosjanie tak właśnie robią. Kiedy ojciec Fitz'a skarżył się na lenistwo służących w ambasadzie brytyjskiej w Sankt Petersburgu, jego rosyjscy przyjaciele powiedzieli mu, że za rzadko ich bije.

– Monarcha byłby zakłopotany, widząc coś takiego – tłumaczył Fitz. – Jak ci już mówiłem, w Anglii się tego nie robi.

– Kiedy byłam dziewczyną, kazano mi patrzeć, jak wieszają trzech wieśniaków – odrzekła Bea. – Mojej matce się to nie podobało, ale dziadek się uparł. Powiedział: „To cię nauczy karać służbę. Jeśli nie będziesz ich policzkowała lub chłostała za drobne przewinienia, takie jak niedbalstwo czy lenistwo, w końcu zaczną popełniać cięższe grzechy i skończą na szafocie”. Nauczył mnie, że pobłażanie niższej klasie na dłuższą metę jest okrucieństwem. Fitz zaczynał tracić cierpliwość. Bea wspominała swoje dzieciństwo, czasy bezgranicznego bogactwa i samowoli w otoczeniu armii posłusznych sług i tysięcy szczęśliwych wieśniaków. Gdyby jej bezwzględny, przebiegły dziadek wciąż żył, może nadal mogłaby wieść takie życie, lecz rodzinną fortunę roztrwonił jej ojciec, pijanica, oraz brat Andriej, człowiek o słabym charakterze, który sprzedawał drewno, nie fatygując się sadzeniem lasów.

– Czasy się zmieniły – przekonywał Fitz. – Proszę cię...

Nakazuję ci nie zawstydząć mnie przed moim królem. Mam nadzieję, że nie pozostawiłem w twoim umyśle miejsca na żadne wątpliwości.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Szedł szerokim korytarzem zirytowany i trochę zasmucony.

Zaraz po ślubie takie sprzeczki budziły jego zdumienie i żal, teraz zaczynał obojętnieć. Czy tak jest w każdym małżeństwie? Nie wiedział.

Wysoki lokaj czyszczący kłamkę na widok przechodzącego pana wyprostował się i stanął plecami do ściany, ze spuszczonej oczami, tak jak nauczono służbę Ty Gwyn. W niektórych rezydencjach służba musiała stawać twarzą do ściany, ale Fitz uważał, że to zbyt feudalne. Rozpoznał służącego, którego widział, jak grał w krykieta podczas meczu personelu Ty Gwyn z górnikami z Aberowen. Był dobrym leworęcznym pałkarzem.

– Morrisonie – odezwał się Fitz, przypomniawszy sobie jego nazwisko – powiedz Peelowi i pani Jevons, żeby przyszli do biblioteki.

– Dobrze, jaśnie panie.

Fitz zszedł po szerokich schodach. Poślubił Beę, ponieważ był nią oczarowany, ale miał także racjonalny powód: marzył o stworzeniu wielkiej angielsko-rosyjskiej dynastii, która władałaby na wielkich obszarach, tak jak dynastia Habsburgów przez wieki rządziła znaczną częścią Europy.

Do tego jednak potrzebował dziedzica. Zły humor Bei oznaczał, że tej nocy nie będzie mile widziany w jej łóżu. Mógł się uprzeć, ale to nigdy nie było satysfakcjonujące. Od ostatniego razu minęły dwa tygodnie. Nie chciał żony, która byłaby wulgarnie chętna do takich rzeczy, ale z drugiej strony dwa tygodnie to długo.

Jego siostra Maud, mająca dwadzieścia trzy lata, wciąż była panną. Ponadto każde jej dziecko zapewne zostałoby wściekłym socjalistą, który roztrwoniłby rodzinny majątek na drukowanie rewolucyjnych traktatów.

Był żonaty od trzech lat i zaczynał się niepokoić. Bea raz

zaszła w ciążę, w zeszłym roku, ale po trzech miesiącach poroniła. Zdarzyło się to tuż po kłótni: Fitz odwołał zaplanowaną podróż do Sankt Petersburga i Bea strasznie się rozłościła. Krzyczała, że chce do domu. Fitz musiał okazać stanowczość – w końcu mężczyzna nie może pozwolić, żeby żona dyktowała mu, co ma robić – ale potem, gdy poroniła, miał poczucie winy. Gdyby tylko znów zaszła w ciążę, z całą pewnością postarałby się, żeby nic jej nie zdenerwowało, dopóki nie urodzi dziecka.

Starając się zapomnieć o tym zmartwieniu, poszedł do biblioteki i usiadł przy biurku o obitym skórą blacie, żeby sporządzić listę.

Po paru minutach przyszedł Peel z pokojówką. Lokaj był młodszym synem farmera i jego piegowata twarz oraz ciemnoblond włosy sugerowały, że dużo czasu spędza na świeżym powietrzu, ale od dziecka pracował w Ty Gwyn.

– Pani Jevons źle się ma – powiedział. Fitz już dawno przestał poprawiać błędy językowe walijskiej służby. – Brzuch – dodał ponuro Peel.

– Oszczędź mi szczegółów. – Fitz spojrział na pokojówkę, ładną dziewczynę w wieku około dwudziestu lat. Jej twarz wydała mu się znajoma. – Kto to?

Dziewczyna przedstawiła się sama:

– Ethel Williams, panie hrabio. Jestem pomocnicą pani Jevons.

Miała śpiewny akcent mieszkanki południowo walijskich dolin.

– Cóż, Williams, wydaje się, że jesteś za młoda, żeby być gospodynią.

– Jeśli jaśnie pan pozwoli, pani Jevons powiedziała, że zapewne zostanie sprowadzona gospodyni z Mayfair, ale ma nadzieję, że do tego czasu będę zadowolającą zastępczynią. Czyżby dostrzegł błysk w jej oku, kiedy mówiła o zadowolającym zastępowaniu? Chociaż odzywała się z należyty szacunkiem, minę miała zuchwałą.

– Bardzo dobrze – mruknął.

Williams w jednej ręce trzymała gruby notatnik, a w drugiej dwa ołówki.

– Odwiedziłam panią Jevons w jej pokoju i czuła się na tyle dobrze, aby wszystko ze mną omówić.

– Po co ci dwa ołówki?

– Na wypadek gdyby jeden się złamał – odpowiedziała i uśmiechnęła się.

Pokojówki nie powinny się uśmiechać do hrabiego, ale Fitz mimo woli odpowiedział uśmiechem.

– W porządku. Powiedz mi, co zapisałaś w swoim zeszycie.

– Trzy tematy: goście, personel i dostawy.

– Bardzo dobrze.

– Z listu jaśnie pana zrozumieliśmy, że gości będzie dwadzieścioro. Większość przyjedzie z własną służbą, powiedzmy, przeciętnie z dwiema osobami, tak więc trzeba przewidzieć zakwaterowanie dla dodatkowych czterdziestu osób. Wszyscy przybędą w sobotę i wyjadą w poniedziałek.

– Zgadza się.

Fitz odczuwał zadowolenie zmieszane z niepokojem, tak jak przed swoim pierwszym wystąpieniem w Izbie Lordów: cieszył się na myśl o tym, a jednocześnie martwił, czy robi to dobrze.

Williams mówiła dalej:

– Najwyraźniej Jego i Jej Wysokość zamieszkają w Apartamencie Egipskim.

Fitz skinął głową. To największe pokoje. Tapeta na ścianach ma ozdobne motywy skopiowane z egipskich świątyń.

– Pani Jevons zaproponowała, które z pozostałych pokoi należy przygotować, a ja zapisałam je tutaj.

Wyrażenie „tutej” było regionalizmem typowym dla Walijs-

czyków.

– Pokaż – powiedział Fitz.

Służąca weszła za biurko i położyła przed nim otwarty notatnik. Służba miała obowiązek kapać się raz na tydzień, więc nie zalatywało od niej jak od większości przedstawicieli klasy pracującej. W istocie pachniała przyjemnie. Może podkrada kwiatowe mydło Bei? Przeczytał listę.

– Dobrze. Księżniczka może przydzielić gościom pokoje.

Zapewne będzie miała w tej kwestii własne zdanie.

Williams przewróciła kartkę.

– To jest lista dodatkowej służby, jaka będzie potrzebna: sześć podkuchennych do obierania jarzyn i zmywania, dwóch mężczyzn z czystymi rękami do podawania do stołu, trzy dodatkowe pokojówki oraz trzech chłopców do butów i świec.

– Wiesz, gdzie możemy ich znaleźć?

– Och tak, mam spis osób z okolicy, które już tutaj pracowały, a jeśli to nie wystarczy, poprosimy, żeby zarekomendowały nam innych.

– Tylko nie socjalistów – niespokojnie zastrzegł Fitz. –

Mogliby próbować rozmawiać z królem o grzechach kapitalizmu.

Z Walijszczykami nigdy nie wiadomo.

– Oczywiście, panie hrabio.

– Co z dostawami?

Przewróciła następną kartkę.

– Oto, czego potrzebujemy, opierając się na poprzednich przyjęciach.

Fitz spojrział na listę: sto bochenków chleba, dwadzieścia tuzinów jaj, czterdzieści litrów śmietany, pięćdziesiąt kilogramów bekonu, dwieście kilogramów ziemniaków... Zaczęło go to nudzić.

– Czy nie powinniśmy z tym poczekać, aż księżniczka ułoży menu?

– Wszystko to musi zostać sprowadzone z Cardiff– odparła Williams. – Sklepy w Aberowen nie poradzą sobie z tak dużymi zamówieniami. Nawet dostawcy z Cardiff muszą być wcześniej powiadomieni, żeby na pewno dysponowali takimi ilościami w danym dniu.

Ma rację. Był zadowolony, że ona się tym zajmie. Potrafi planować – a przekonał się, że to rzadka zaleta.

– Przydałby mi się ktoś taki jak ty w moim regimencie – westchnął.

– Nie mogę nosić khaki, nie pasuje do mojej cery – odpaliła. Lokaj zrobił zgorszona minę.

– No, no, Williams, nie bądź zuchwała.

– Bardzo przepraszam, panie Peel.

Fitz uświadomił sobie, że to jego wina, gdyż pozwolił sobie na żartobliwą uwagę. Jednak nie miał jej za złe tego zuchwalstwa. Właściwie nawet mu się podobało.

– Kucharz ma kilka propozycji co do menu, panie hrabio – odezwał się Peel. Wręczył Fitzowi nieco zatłuszczoną kartkę pokrytą starannym, dzieciennym pismem kucharza. – Niestety, jest za wcześnie na wiosenne jagnię, ale z Cardiff mogą nam przysłać mnóstwo świeżych ryb w lodzie.

– To wygląda bardzo podobnie do tego, co mieliśmy na przyjęciu myśliwskim w listopadzie – zauważył Fitz. – Z drugiej strony nie chcemy teraz próbować niczego nowego. Lepiej trzymać się wypróbowanych i sprawdzonych dań.

– Właśnie, jaśnie panie.

– A teraz wina. – Wstał. – Zejdźmy do piwnicy.

Peel wyglądał na zdziwionego. Hrabia nieczęsto tam schodził.

W podświadomości Fitz'a kiełkowała myśl, której nie chciał przyjąć do wiadomości.

– Williams, ty też chodź, będziesz robiła notatki – powiedział po chwili wahania.

Lokaj przytrzymał drzwi, a Fitz opuścił bibliotekę i zszedł

tylnymi schodami. Kuchnia i jadalnia służby znajdowały się w przyziemiu. Tutaj obowiązywała inna etykieta: podkuchenne dygały, a chłopcy na posyłki kłaniali się, gdy przechodził. Piwnica z winami była jeszcze niżej. Peel otworzył drzwi.

— Za pańskim pozwoleniem, ja poprowadzę — powiedział.

Fitz skinął głową. Peel zapalił zapałką lampkę na świeczkę, po czym zaczął schodzić. Na dole schodów zapalił drugą lampkę.

Fitz miał skromną piwniczkę, około dwunastu tysięcy butelek, w większości umieszczonych tu przez jego ojca lub dziadka. Dominowały szampan, porto i białe reńskie, nieco mniej było czerwonego bordeaux i białego burgunda. Fitz nie był miłośnikiem wina, ale uwielbiał tę piwniczkę, ponieważ przypominała mu ojca.

„Piwnica z winem wymaga porządku, przezorności i dobrego smaku — zwykł mawiać stary. — To zalety, które uczyniły Anglię wielką”.

Oczywiście Fitz poda królowi najlepsze trunki, ale to wymaga namysłu. Szampan to, rzecz jasna, Perrier-Jouet, najdroższy, ale z którego rocznika? Dojrzały szampan, dwudziesto- lub trzydziestoletni, jest mniej pienisty i ma lepszy smak, ale młodsze roczniki mają w sobie coś radosnego. Na chybił trafił zdjął ze stojaka butelkę. Była brudna od kurzu i pajęczyn. Z kieszonki marynarki wyjął białą lnianą chustkę i otarł etykietę. W słabym świetle świec nie zdołał niczego odczytać. Pokazał butelkę Peelowi, który założył okulary.

— Tysiąc osiemset pięćdziesiąty siódmy — powiedział lokaj.

— Wielkie nieba, pamiętam je. Pierwsze wino, jakiego kosztowałem, i zapewne najlepsze.

Był świadomy obecności pokojówki, stojącej blisko niego i zerkającej na butelkę, która była o wiele starsza od niej. Ku swej konsternacji stwierdził, że bliskość tej dziewczyny pozbawia go tchu.

— Obawiam się, że rocznik tysiąc osiemset pięćdziesiąty siódmy może być za stary — powiedział Peel. — Mogę zaproponować tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi?

Fitz popatrzył na drugą butelkę, zawahał się, po czym podjął decyzję.

— Nic nie widzę przy tym świetle. Przynies mi szkło powiększające, Peel, dobrze?

Peel ruszył po schodach na górę.

Fitz spojrzał na Williams. Zamierzał zrobić coś głupiego, ale nie mógł się powstrzymać.

— Ależ z ciebie ładna dziewczyna — powiedział.

— Dziękuję, panie hrabio.

Jej ciemne loki wymykały się spod czepka. Dotknął ich.

Wiedział, że będzie tego żałował.

— Słyszałaś kiedyś o droit de seigneur?

Usłyszał gardłowy ton swego głosu.

— Jestem Walijką, nie Francuzką — powiedziała, zuchwale unosząc brodę w sposób, który już uznał za jej typowy gest.

Przesunął dłoń z jej włosów na kark i spojrzał jej w oczy.

Odwzajemniła się spojrzeniem chłodnym i pewnym siebie. Tylko czy to oznacza, że chce, by posunął się dalej, czy jest gotowa urządzić upokarzającą scenę?

Usłyszał na schodach ciężkie kroki. Wracał Peel. Fitz odsunął się od pokojówki.

— Ma pan minę winowajcy! — Zachichotała. — Jak uczeń.

Fitz starał się normalnie oddychać. Wziął od lokaja lupę i znów zaczął oglądać butelki. Unikał spojrzenia Williams.

Mój Boże, myślał, co za nadzwyczajna dziewczyna.

II.

Ethel Williams rozpierała energia. Niczym się nie martwiła,

mogła rozwiązać każdy problem, pokonać każdą przeszkodę. Patrząc w lustro, widziała swoje zaróżowione policzki i roziskrzone oczy. W niedzielę po powrocie z kaplicy ojciec skomentował to ze zwykłym sarkastycznym humorem:

— Jesteś rozradowana. Wzbogaciłaś się?

Dosłownie biegała, a nie chodziła, bezkresnymi korytarzami Ty Gwyn. Codziennie zapełniała kolejne kartki notatnika listami zakupów, planami dyżurów personelu, harmonogramami sprzątania ze stołów i podawania do nich, a także obliczeniami: ile powłoczek, wazonów, serwetek, świec, łyżek...

To jej wielka szansa. Pomimo młodego wieku zastępuje gospodynię w czasie przygotowań do wizyty króla. Nie wyglądało na to, żeby pani Jevons miała wstać z łóżka, tak więc na Ethel spoczywała pełna odpowiedzialność za przygotowanie Ty Gwyn na przyjazd króla i królowej. Zawsze uważała, że mogłaby doskonale się spisać, gdyby tylko dano jej szansę, ale sztywna hierarchia służbowa nie stwarzała wielu okazji do wykazania, że jest się lepszym od innych. Nagle pojawiła się taka możliwość i Ethel była zdecydowana ją wykorzystać. Może potem schorowana pani Jevons dostanie lżejszą pracę, a Ethel zostanie gospodynią z pensją dwukrotnie wyższą od obecnej, własną sypialnią i salonikiem w kwaterach dla służby.

Jednak jeszcze tego nie osiągnęła. Hrabia najwyraźniej był zadowolony z jej pracy i postanowił nie sprowadzać gospodyni z Londynu, co Ethel uznała za komplement, lecz z niepokojem myślała, że wystarczy drobna pomyłka, paskudny błąd, by wszystko zepsuć: brudny talerz, zapchany ściek, martwa mysz w wannie. Wtedy hrabia się rozgniewa.

Tego sobotniego ranka, gdy miała przyjechać para królewska, Ethel sprawdziła każdy pokój gościnny, upewniając się, że rozpalono w kominkach i wytrzepano poduszki. W każdym pokoju stał przynajmniej jeden wazon z kwiatami przyniesionymi rano ze szklarni. Na każdym biurku leżała papeteria z nagłówkiem Ty Gwyn. W pokojach były ręczniki, mydło i woda do mycia. Stary hrabia nie lubił nowoczesnych urządzeń, a Fitz jeszcze nie zdecydował się na zainstalowanie bieżącej wody we wszystkich pokojach. W stupokojowym domu były tylko trzy ubikacje, tak więc do większości pokoi trzeba było wstawić nocniki. Woreczki z suszem kwiatowym, sporządzone według przepisu pani Jevons, miały zapobiegać przykrym zapachom.

Królewski orszak spodziewany był w porze podwieczorku.

Hrabia miał ich spotkać na stacji kolejowej Aberowen. Niewątpliwie zbierze się tam tłum ludzi mających nadzieję, że zobaczą członków rodziny królewskiej, lecz król i królowa nie zamierzali spotykać się tam z poddanymi. Fitz przywiezie parę królewską swoim rolls-royce'em, dużym i wygodnym. Królewski koniuszy, sir Alan Tite, oraz reszta towarzyszącego im w podróży personelu pojedzie za nimi z bagażem kawalkadą bryczek. Batalion Fizyliarów Walijskich już ustawiał się po obu stronach podjazdu, aby oddać honory.

Para królewska pokaże się swoim poddanym w poniedziałek rano. Zaplanowano objazd okolicznych wiosek w otwartym powozie i wizytę w ratuszu Aberowen, gdzie król i królowa spotkają się z burmistrzem i rajcami, zanim pojedą na stację.

Inni goście zaczęli przybywać już w południe. Peel stał w holu i wyznaczał pokojówki mające prowadzić ich do pokoi, oraz służących do noszenia bagaży. Pierwsi przybyli wuj i ciotka Fitz'a — książe i księżna Sussex. Książe był kuzynem króla i został zaproszony, aby król lepiej się czuł. Księżna — ciotka Fitz'a — jak większość rodziny bardzo interesowała się polityką. W salonie jej londyńskiego domu często bywali członkowie gabinetu.

Księżna poinformowała Ethel, że król Jerzy V ma lekką obsesję na tle zegarów i nie lubi, jeśli zegary w domu wskazują różny czas. Ethel zaklęła w duchu: w Ty Gwyn jest ponad sto zegarów.

Pożyczyła od pani Jevons kieszonkowy zegarek i zaczęła obchodzić dom, ustawiając wszystkie po kolei.

W małej jadalni spotkała hrabiego. Stał przy oknie i wyglądał na wzburzonego. Ethel przyglądała mu się przez moment. Był najprzy-
stojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Jego blada
twarz, oświetlona zimowym słońcem, wyglądała jak wyrzeźbiona
z marmuru. Miał kwadratową szczękę, wydatne kości policzkowe
i prosty nos. Włosy ciemne, ale oczy zielone, co było niezwykłym
połączeniem. Nie nosił brody, wąsów ani nawet bokobrodów. Jeśli
ma się taką twarz, pomyślała Ethel, po co zakrywać ją zarostem?
Podchwycił jej spojrzenie.

– Właśnie powiedziano mi, że król lubi mieć w pokoju patereę
z pomarańczami! – oznajmił. – A w tym przeklętym domu nie
ma ani jednej pomarańczy.

Ethel ściągnęła brwi. W żadnym sklepie spożywczym w Abe-
rowen nie będą mieli pomarańczy – ich klienteli nie stać na takie
luksusy. To samo dotyczy wszystkich innych miasteczek w dolinach
Południowej Walii.

– Gdybym mogła skorzystać z telefonu, porozmawiałabym
z kilkoma sklepikarzami w Cardiff – powiedziała. – O tej porze
roku mogą mieć pomarańcze.

– Tylko jak je tu sprowadzimy?

– Poproszę, żeby przesłali koszyk pociągiem. – Spojrzała
na zegar, który właśnie ustawiła. – Jeśli dopisze nam szczęście,
pomarańcze dotrą tutaj razem z królem.

– To jest myśl. Tak zrobimy. – Popatrzył na nią uważnie. –
Jesteś zdumiewająca. Nie wiem, czy kiedykolwiek spotkałem taką
dziewczynę jak ty.

Odpowiedziała mu równie uważnym spojrzeniem. W ciągu
ostatnich dwóch tygodni kilkakrotnie mówił coś takiego, zbyt
poufale i stanowczo, co budziło w Ethel dziwne uczucia – niepokój
i uniesienie, jakby miało się wydarzyć coś niebezpiecznie eks-
cytującego. Jak ten moment w baśni, gdy księżę wchodzi do
zaczarowanego zamku.

Magię chwili zakłócił turkot kół na podjeździe i znajomy głos:

– Peel! Jak miło cię widzieć.

Fitz spojrział przez okno. Miał zabawną minę.

– O nie – mruknął. – To moja siostra.

– Witaj w domu, lady Maud – powiedział Peel. – Aczkol-
wiek nie oczekiwaliśmy cię tutaj.

– Hrabia zapomniał mnie zaprosić, ale i tak przyjechałam.

Ethel ukryła uśmiech. Fitz kochał swoją porywczą siostrę, ale
nie umiał sobie z nią poradzić. Miała zatrwajająco liberalne
poglądy polityczne: była sufrażystką, energiczną bojowniczką
o prawa wyborcze kobiet. Ethel uważała, że Maud jest cudowna –
niezależnie myśląca kobieta, jaką sama chciałaby być.

Fitz wymaszerował z pokoju, a Ethel wyszła za nim do holu,
okazałej sali urządzonej w gotyckim stylu uwielbianym przez
takich konserwatystów jak ojciec Fitz: ciemne boazerie, tapety
o gęstym wzorze i rzeźbione krzesła przypominające średnio-
wieczne trony. Maud już pojawiła się w drzwiach.

– Fitz, mój drogi, jak się masz?

Była wysoka jak jej brat i do niego podobna, lecz posągowe
rysy nadające hrabiemu boski wygląd nie pasowały do kobiety
i Maud wydawała się raczej intrygująca niż piękna. Wbrew
powszechnemu wyobrażeniu feministki nie była zaniedbana, lecz
modnie ubrana w wąską spódnicę, buciki z guziczkami, granatowy
płaszcz z szerokim paskiem i mankietami oraz kapelusz z długim
piórkiem przypiętym z przodu niczym proporzycyk regimentu.

Towarzyszyła jej ciotka Herm. Lady Hermia była drugą ciotką
Fitz. W przeciwieństwie do siostry, która poślubiła bogatego
księcia, Herm wyszła za ubogiego barona, który zmarł młodo i bez
grosza. Przed dziesięcioma laty, gdy rodzice Fitz i Maud umarli
w odstępnie kilku miesięcy, ciotka Herm zaczęła matkować trzynas-

toletniej Maud. Nadal odgrywała rolę nieco nieudolnej przyzwoitki.

– Co ty tu robisz? – zapytał Fitz.

– Mówiłam ci, że to mu się nie spodoba – mruknęła ciotka Herm.

– Nie mogłabym być nieobecna, kiedy król przybywa z wizytą – rzekła Maud. – Okazałabym brak szacunku.

– Nie chcę, żebyś rozmawiała z królem o prawach wyborczych kobiet – powiedział czule, lecz z nutą goryczy.

Ethel nie sądziła, by musiał się niepokoić. Pomimo radykalnych poglądów politycznych Maud umiała rozmawiać z wpływowymi ludźmi i im pochlebiać, i nawet konserwatywni przyjaciele Fitz'a ją lubili.

– Proszę, weź mój płaszcz, Morrisonie – powiedziała Maud. Rozpięła guziki i odwróciła się, pozwalając, by służący zdjął z niej okrycie. – Cześć, Williams, jak się masz? – rzuciła do Ethel.

– Witaj w domu, pani – powiedziała Ethel. – Zechcesz zająć apartament Gardenia?

– Dziękuję, uwielbiam widok z okien tego apartamentu.

– Maja podać lunch, kiedy będę przygotowywała pokój?

– Tak, proszę, umieram z głodu.

– Dziś podajemy w klubowym stylu, ponieważ goście przybywają o różnych porach.

Klubowy styl oznaczał, że goście będą obsługiwani, gdy przyjdą do jadalni, jak w klubie dla dżentelmenów lub restauracji, a nie wszyscy o jednej porze. Tego dnia lunch był skromny: gorąca ostra zupa z curry, zimne mięsa i wędzone ryby, nadziewany pstrąg, kotlety jagnięce oraz desery i sery.

Ethel przytrzymała drzwi, po czym poszła za Maud i Hermią do dużej jadalni. Już jedli tam lunch kuzyni von Ulrich. Walter von Ulrich, młodszy z nich, był przystojny i czarujący i wydawało się, że jest uradowany, iż przybył do Ty Gwyn. Robert był marudny: poprawił krzywo wiszący na ścianie jego pokoju obraz zamku Cardiff, poprosił o więcej poduszek i odkrył, że w kałamarzu na biurku nie ma atramentu – przeoczenie, które sprawiło, że Ethel z niepokojem zastanawiała się, o czym jeszcze zapomniała. Wstali na widok wchodzących dam. Maud podeszła prosto do Waltera.

– W ogóle się nie zmieniłeś, od kiedy miałeś osiemnaście lat! Pamiętasz mnie?

Rozpromienił się.

– Pamiętam, chociaż ty się zmieniłaś, od kiedy miałaś trzynaście.

Uścisnęli sobie ręce i Maud ucałowała go w oba policzki, jakby należał do rodziny.

– W tym wieku byłam zadurzona w tobie po uszy uczennicą – wyznała zaskakująco szczerze.

– Ja też się w tobie durzyłem. – Walter się uśmiechnął.

– Tylko że zawsze traktowałeś mnie jak okropne małe utrapienie!

– Musiałem ukrywać moje uczucia przez Fitzem, który pilnował cię jak pies pasterski.

Ciotka Herm kaszlnęła, okazując dezaprobatę dla takiej zażyłości.

– Ciociu, to jest pan Walter von Ulrich, stary szkolny przyjaciel Fitz'a, który kiedyś spędzał tu wakacje – wyjaśniła Maud. – Teraz jest dyplomata w ambasadzie niemieckiej w Londynie.

– Czy mogę przedstawić mojego kuzyna, hrabiego Roberta von Ulricha? – zapytał Walter. – Jest attache wojskowym przy ambasadzie austriackiej.

Peel z powagą wyjaśnił Ethel, że ci dwaj są w istocie kuzynami w drugiej linii: ich dziadkowie byli braćmi i młodszy z nich poślubił niemiecką dziedziczkę, po czym wyjechał z Wiednia do

Berlina, w wyniku czego Walter jest Niemcem, a Robert Austria-
kiem. Peel lubił wiedzieć takie rzeczy.

Wszyscy usiedli. Ethel odsunęła krzesło lady Hermii.

— Czy chce pani trochę zupy, lady Hermio? — zapytała.

— Tak, proszę, Williams.

Ethel skinęła na służącego, a ten podszedł do bocznego stolika,
na którym stała waza z zupą. Dopilnowawszy, żeby nowo przybyli
zostali obsłużeni, Ethel odeszła, by przygotować ich pokoje.

Zamykając za sobą drzwi, usłyszała głos Waltera von Ulricha:

— Pamiętam, jak bardzo lubiłaś muzykę, lady Maud. Właś-
nie rozmawialiśmy o Baletach Rosyjskich. Co sądzisz o Diagi-
lewie?

Niewielu mężczyzn pyta kobietę o zdanie. Maud się to spodoba.
Zbiegając po schodach, by znaleźć kilka pokojówek do przygoto-
wania pokoi, Ethel pomyślała: Ten Niemiec to prawdziwy
czaruś.

III.

Sala Rzeźb w Ty Gwyn była przedsionkiem jadalni. Goście
zebrali się tu przed obiadem. Fitz niezbyt interesował się sztuką —
wszystkie dzieła zostały zgromadzone przez jego dziadka — ale
rzeźby dostarczały tematu do rozmowy podczas oczekiwania na
posiłek.

Gawędząc ze swoją ciotką księżną, Fitz niespokojnie spoglądał
na mężczyzn we frakach oraz kobiety w wydekoltowanych suk-
niach i tiarach. Etykieta wymaga, aby wszyscy goście znaleźli się
w tym pomieszczeniu przed wejściem króla i królowej. Gdzie jest
Maud? Chyba nie wywoła skandalu? Nie, stoi tam, w ciemno-
fioletowej jedwabnej sukni i diamentach po matce, i z ożywieniem
rozmawia z Walterem von Ulrichem.

Fitz i Maud zawsze byli sobie bliscy. Ich ojciec był po-
dziwianym z daleka bohaterem, matka jego nieszczęśliwą akolitką,
więc dwójka ich dzieci czerpała potrzebne im uczucie od siebie
nawzajem. Po śmierci rodziców trzymali się razem, dzieląc ból.
Fitz miał wtedy osiemnaście lat i próbował bronić siostrę przed
okrutnym światem, a ona go uwielbiała. Potem dorosła i stała się
niezależnie myślącą kobietą, podczas gdy on wciąż uważał, że
jako głowa rodu ma nad nią władzę. Jednak ich wzajemne przy-
wiązanie okazało się dostatecznie silne, by trwać mimo dzielących
ich różnic — przynajmniej do tej pory.

Teraz zwróciła uwagę Waltera na kupidyna z brązu. W przeci-
wieństwie do Fitz'a Walter znał się na takich rzeczach. Fitz modlił
się, żeby przez cały wieczór rozmawiała o sztuce, a nie o prawach
kobiet. Jerzy V nienawidzi liberałów — wszyscy o tym wiedzą.
Monarchowie zazwyczaj są konserwatywni, a ostatnie wydarzenia
jeszcze pogłębiły tę niechęć. Objął tron podczas kryzysu poli-
tycznego. Został zmuszony przez liberalnego premiera H.H. As-
Quitha — bardzo popieranego przez opinię publiczną — do
ograniczenia władzy Izby Lordów. To upokorzenie wciąż bolało.
Jego Wysokość wiedział, że Fitz, jako konserwatywny członek
Izby Lordów, walczył do ostatniego tchu przeciwko tak zwanej
reformie. Mimo to, jeśli tego wieczoru będzie nękanym przez Maud,
nigdy tego Fitzowi nie wybaczy.

Walter był dyplomata niskiej rangi, lecz jego ojciec należał
do najstarszych przyjaciół cesarza. Robert również miał dobre
koneksje: był blisko arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, dziedzica
tronu Austro-Węgier. Innym gościem, który obracał się w wyższych
sferach, był postawy młody Amerykanin, rozmawiający teraz
z księżną. Nazywał się Gus Dewar i jego ojciec, senator, był bliskim
doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych, Woodrowa Wilsona.
Fitz dobrze się spisał, gromadząc tę grupę młodych ludzi, przyszłą
elitę rządzących. Miał nadzieję, że król będzie zadowolony.

Gus Dewar był przyjacielski, ale niezdarny. Garbił się, jakby chciał być niższy i nie rzucać się w oczy. Wydawało się, że brak mu pewności siebie, ale był miły i uprzejmy dla wszystkich.

– Amerykanie bardziej przejmują się swoimi wewnętrznymi sprawami niż polityką zagraniczną – mówił do księżnej. – Jednak prezydent Woodrow jest liberałem i jako taki musi bardziej sympatyzować z demokracjami, takimi jak francuska i brytyjska, niż autorytarnymi monarchiami, takimi jak austriacka i niemiecka.

W tym momencie otworzyły się podwójne drzwi, w sali zapadła cisza i weszli król i królowa. Księżniczka Bea dygnęła, Fitz się skłonił, a inni poszli za ich przykładem. Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, gdyż nikomu nie wolno było się odezwać do momentu, aż zrobi to królewska para.

– Byłem w tym domu dwadzieścia lat temu – powiedział wreszcie król do Bei i wszyscy odetchnęli.

Kiedy gawędzili w czwórkę, Fitz pomyślał, że król jest schludnym człowiekiem. Jego broda i wąsy były starannie przystrzyżone. Włosy miał przerzedzone, ale zostało ich jeszcze wystarczająco dużo, by rozdzielić je przedziałkiem równym jak od linijki. Dopasowany wieczorowy strój podkreślał jego szczupłą sylwetkę. W przeciwieństwie do swojego ojca, Edwarda VII, nie był smakoszem. Wolał rozrywki wymagające dokładności: kolekcjonował znaczki pocztowe, starannie wklejając je do albumów, które to zajęcie było przedmiotem drwin zuchwałych londyńskich intelektualistów.

Królowa budziła większy respekt, z siwiejącymi lokami i zaciśniętymi wargami. Miała wspaniały biust, znakomicie wyeksponowany śmiałym dekoltem sukni, będącym obecnie de rigueur. Córka niemieckiego księcia, początkowo była zaręczona ze starszym bratem Jerzego, Albertem, lecz ten umarł przed ślubem na zapalenie płuc. Kiedy Jerzy został następcą tronu, odziedziczył także narzeczoną swego brata, co niektórzy uważali za układ nieco średnio-wieczny.

Bea była w swoim żywiole. Włożyła kuszące różowe jedwabie, jej jasne włosy perfekcyjnie uczesano w sposób imitujący lekki nieład, jakby nagle przerwano skradziony pocałunek. Z ożywieniem rozmawiała z królem. Wyczuwszy, że bezsensowna gadanina nie będzie bawiła Jerzego V, opowiadała mu, jak Piotr Wielki stworzył rosyjską flotę, a król z zainteresowaniem kiwał głową.

W drzwiach jadalni pojawił się Peel z wyrazem oczekiwania na piegowatej twarzy. Podchwycił spojrzenie Fitz'a i skinął głową. – Czy Wasza Wysokość zechce zjeść obiad? – zapytał Fitz królową.

Podążyła mu ramię. Za nimi król wziął pod rękę Beę, a pozostali goście za ich przykładem potworzyli pary. Gdy wszyscy byli gotowi, dwójkami wmaszerowali do jadalni.

– Jak ładnie – pochwaliła królowa dekorację stołu.

– Dziękuję – rzekł Fitz i odetchnął z ulgą.

Bea wykonała doskonałą robotę. Nad długim stołem zawieszono nisko trzy żyrandole, a ich światło odbijało się w kryształowych kieliszkach. Wszystkie sztucce były ze złota, tak samo jak solniczki, pieprzniczki, a nawet pudełeczka z zapałkami dla palących. Na białym obrusie leżały szklarniowe róże, a jako finałowy dramatyczny akcent Bea umieściła na żyrandolach delikatne liście paproci, które opadały ku piramidom winogron na złotych półmiskach.

Wszyscy usiedli, biskup odmówił modlitwę i Fitz się odprężył. Dobrze rozpoczęte przyjęcie niemal zawsze kończy się sukcesem. Po winie i jedzeniu ludzie nie mają już takiej ochoty doszukiwać się słabych punktów.

Posiłek zaczął się od hors d'oeuvres Russes, co było ukłonem w stronę ojczyzny Bei: bliny z kawiozem i śmietaną, tosty z wędzonym łososiem i krakersy z marynowanym śledziem, a wszystko to popijane szampanem Perrier-Jouet rocznik 1892, który był tak łagodny i delikatny, jak obiecał Peel. Fitz miał na oku Peela, a ten

obserwował króla. Gdy tylko Jego Wysokość odkładał sztucce, Peel zabierał jego talerz, co było sygnałem dla innych służących, aby zabrali talerze pozostałych gości. Ci, którzy nie zdążyli zjeść, też musieli je oddać z szacunku dla monarchy.

Potem podano zupę, pot-au-feu, a do niej wytrawne sherry oloroso z Sanlucar de Barrameda. Rybą była sola, której towarzyszyło dojrzałe Meursault Charmes przypominające płynne złoto. Do medalionów z walijskiej jagnięciny Fitz wybrał Chateau Lafite 1875, gdyż rocznik 1870 jeszcze nie nadawał się do picia. Czerwone wino podawano nadal do musu z gęsich wątróbek i ostatniego dania, którym były przepiórki z winogronami zapiekane w cieście.

Nikt nie jadł tego wszystkiego. Mężczyźni wybierali to, co lubili, i ignorowali resztę. Kobiety próbowały jednej lub dwóch potraw. Wiele porcji wróciło do kuchni nietkniętych.

Była sałatka, deser, przekąski, owoce i petit fours. W końcu księżniczka Bea dyskretnie uniosła brew, patrząc na królową, która odpowiedziała niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. Obie wstały, wszyscy inni również, po czym damy opuściły salę. Mężczyźni znów usiedli, służący przynieśli pudełka cygar, a Peel postawił przed królem karafkę porto Ferreira 1847. Fitz z ulgą zaciągnął się cygarem. Wszystko szło dobrze. Król słyszał z nietowarzyskiego usposobienia i dobrze czuł się tylko w towarzystwie dawnych kompanów, z którymi pływał na okrętach wojennych. Jednak tego wieczoru był czarujący i nie doszło do żadnych przykrych niespodzianek. Nawet pomarańcze dotarły. Fitz rozmawiał wcześniej z sir Alanem Tite'em, królewskim koniuszym, emerytowanym wojskowym ze staromodnymi bokobrodami. Uzgodnili, że nazajutrz król spędzi około godziny z każdym z obecnych tu mężczyzn, tak doskonale orientujących się w polityce swojego rządu. Tego wieczoru Fitz miał przełamać lody rozmową na tematy ogólne. Odkaszlnął i zwrócił się do Waltera von Ulricha:

– Walterze, przyjaźnimy się od piętnastu lat, razem byliśmy w Eton. – Odwrócił się do Roberta. – A twojego kuzyna znam, od kiedy jako studenci we trzech dzieliliśmy apartament w Wiedniu. Robert uśmiechnął się i skinął głową. Fitz lubił ich obu. Robert był tradycjonalistą, jak on, a Waltera, chociaż nie tak konserwatywnego, cechowała mądrość.

– Teraz okazuje się, że świat mówi o wojnie między naszymi krajami – ciągnął Fitz. – Czy naprawdę grozi nam taka tragedia?

– Jeśli rozmowy o wojnie mogą ją wywołać, to owszem, będziemy walczyli, ponieważ wszyscy się do tego szykują. Tylko czy istnieje realny powód? Ja go nie widzę.

Gus Dewar ostrożnie podniósł rękę. Fitz lubił Dewara pomimo jego liberalnych poglądów. Amerykanów uważano za nieokrzesanych, lecz ten był dobrze wychowany i trochę nieśmiały. Jak również zaskakująco dobrze poinformowany.

– Wielka Brytania i Niemcy mają wiele powodów do waśni – zauważył.

– Zechciałby pan podać jakiś przykład? – zwrócił się do niego Walter.

Gus wydmuchnął kłęb dymu z cygara.

– Rywalizacja flot.

Walter skinął głową.

– Mój cesarz nie uważa, by Bóg chciał, aby niemiecka flota zawsze była mniejsza od brytyjskiej.

Fitz nerwowo zerknął na króla, który kochał Marynarkę Królewską i mógł się poczuć urażony. Z drugiej strony cesarz Wilhelm jest jego kuzynem. Ojciec Jerzego i matka Wilhelma są rodzeństwem, dziećmi królowej Wiktorii. Fitz z ulgą spostrzegł, że Jego Wysokość uśmiecha się pobłaźliwie.

Walter mówił dalej:

– W przeszłości wywoływało to pewne tarcia, ale już od

dwóch lat mamy nieoficjalną umowę w kwestii względnej wielkości naszych flot.

– A co z rywalizacją ekonomiczną? – chciał wiedzieć Dewar.

– To prawda, że Niemcy rozwijają się z każdym dniem i pod względem wielkości produkcji wkrótce mogą dogonić Anglię oraz Stany Zjednoczone. Tylko dlaczego miałyby to stanowić jakiś problem? Niemcy są jednym z największych rynków zbytu dla Wielkiej Brytanii. Im więcej możemy wydać, tym więcej kupimy. Nasza siła ekonomiczna jest dobra dla brytyjskich fabrykantów! Dewar spróbował jeszcze raz:

– Mówi się, że Niemcy chcą mieć więcej kolonii.

Fitz znowu zerknął na króla, zastanawiając się, czy ten nie ma nic przeciwko temu, by ci dwaj zdominowali dyskusję, lecz Jego Wysokość wyglądał na zafascynowanego.

– Były już wojny o kolonie – odparł Walter – szczególnie w pańskiej ojczyźnie, panie Dewar. Obecnie jednak najwidoczniej potrafimy łagodzić takie spory bez strzelania z dział. Trzy lata temu Niemcy, Wielka Brytania i Francja kłóciły się o Maroko, lecz ten spór został rozstrzygnięty bez wojny. A ostatnio Anglia i Niemcy doszły do porozumienia w spornej kwestii kolei bagdadzkiej. Jeśli tylko nadal będziemy tak robili, nie dojdzie do wojny.

– Wybacz mi pan, jeśli użyję sformułowania „niemiecki militarizm”? – zapytał Dewar.

To było nieco agresywne i Fitz się skrzywił. Walter poczerwieniał, ale kontynuował gładko:

– Doceniam pańską szczerłość. Imperium Niemiec jest zdominowane przez Prusaków, którzy odgrywają nieco podobną rolę jak Anglicy w Zjednoczonym Królestwie Jego Wysokości. Trochę zbyt śmiało porównał Wielką Brytanię do Niemiec i Anglię do Prus. Walter balansuje na skraju tego, co dopuszczalne w uprzejmej rozmowie, pomyślał z niepokojem Fitz.

– Prusacy mają silne tradycje wojskowe, ale nie ruszą na wojnę bez powodu – zaznaczył Walter.

– Zatem Niemcy nie są agresywnie nastawione? – Dewar nie krył sceptycyzmu.

– Wprost przeciwnie – odrzekł Walter. – Powiedziałbym, że Niemcy są jedyną liczącą się siłą na kontynencie europejskim, która nie jest nastawiona agresywnie.

Przy stole rozległ się pomruk zdziwienia i Fitz zobaczył, że król uniósł brwi. Dewar usiadł wygodniej, wyraźnie zaskoczony.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – zapytał.

Doskonałe manieri i przyjazny ton Waltera osłabiły wymowę jego prowokacyjnych słów.

– Po pierwsze, rozważmy Austrię – ciągnął Walter. – Mój kuzyn z Wiednia, Robert, nie zaprzeczy, że cesarstwo austro-węgierskie chciałoby rozszerzyć swoje granice na południowym wschodzie.

– Nie bez powodu – zaprotestował Robert. – Ta część świata, którą Brytyjczycy nazywają Bałkanami, przez setki lat była częścią Imperium Osmańskiego, lecz rządy sułtanów się skończyły i teraz Bałkany są niestabilne. Cesarz uważa, iż jego świętym obowiązkiem jest zaprowadzić tam porządek i religię chrześcijańską.

– To zrozumiałe – powiedział Walter. – Jednak Rosja także chce mieć część terytorium Bałkanów.

Fitz uważał, że jego obowiązkiem jest bronić rosyjskiego rządu, choćby z powodu Bei.

– Oni również mają dobre powody – zauważył. – Połowa ich handlu zagranicznego zależy od szlaku biegnącego przez Morze Czarne i cieśninę Bosfor na Morze Śródziemne. Rosja nie może pozwolić, by inne mocarstwo opanowało cieśninę, zdobywając terytorium na wschodzie Bałkanów. Byłaby to pętla na szyi rosyjskiej gospodarki.

– Właśnie – rzekł Walter. – Wróćmy na zachodni skraj

Europy: Francja chce odebrać Niemcom Alzację i Lotaryngię. W tym momencie zjeżył się ich francuski gość, Jean-Pierre Charlois.

– Odebrane Francji czterdzieści trzy lata temu!

– Nie będę się spierał – gładko odparł Walter. – Powiedzmy, że Alzacja-Lotaryngia została przyłączona do Niemiec w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku, po klęsce Francji w wojnie francusko-pruskiej. Skradzione czy nie, przyznasz, monsieur le comte, że Francja chce te ziemie odzyskać.

– Naturalnie.

Francuz usiadł i upił łyk porto.

– Nawet Włochy chciałyby odebrać Austrii Trydent... – przypomniał Walter.

– Gdzie większość mieszkańców mówi po włosku! – wykrzyknął signor Falli.

– ...oraz sporą część Dalmacji...

– Pełnej weneckich lwów, katolickich kościołów i rzymskich kolumn!

– I Tyrol, prowincję od dawien dawna niezawisłą, gdzie większość mieszkańców mówi po niemiecku.

– To strategiczna konieczność.

– Oczywiście.

Fitz uświadomił sobie, jak sprytny jest Walter. Nie będąc niegrzeczny, lecz dyskretnie prowokując, zmusił przedstawicieli wszystkich nacji do potwierdzenia, w bardziej lub mniej wojowniczy sposób, ich terytorialnych roszczeń.

– A jakich nowych terytoriów domagają się Niemcy? – zapytał Walter. Spojrzał na zebranych, ale nikt się nie odezwał. – Żadnych – oznajmił triumfalnie. – I jedynym europejskim mocarstwem, które może powiedzieć to samo, jest Anglia! Gus Dewar przekazał dalej karafkę z porto.

– Sądzę, że to prawda – powiedział z silnym amerykańskim akcentem.

– Zatem dlaczego, Fitz, mój drogi przyjacielu, mielibyśmy kiedykolwiek zacząć wojnę?

IV.

W niedzielę rano przed śniadaniem lady Maud wezwała Ethel. Służąca powstrzymała zniecierpliwione westchnienie. Ma tyle zajęć. Było wcześniej, ale personel już pracował pełną parą. Zanim goście wstaną, trzeba wybrać popiół z kominków, rozpalić w nich ogień i napełnić wiaderka węglem. Główne pomieszczenia – jadalnię, pokój poranny, bibliotekę, palarnię i pomniejsze salony – trzeba posprzątać. Kiedy ją wezwano, Ethel sprawdzała kwiaty w sali bilardowej, wymieniając zwiędłe na świeże. Chociaż bardzo lubiła mającą radykalne poglądy siostrę Fitzę, żywiła nadzieję, że Maud nie ma dla niej jakiegoś czasochłonnego zadania.

Kiedy Ethel w wieku trzynastu lat rozpoczęła pracę w Ty Gwyn, rodzina Fitzherbertów i ich goście wydawali jej się nie-rzeczywiści, byli jak postacie z powieści albo członkowie jakiegoś obcego plemienia, na przykład Hetytów, i bardzo się ich bała. Obawiała się, że zrobi coś nie tak i straci pracę, a jednocześnie była ciekawa, jak wyglądają te dziwne istoty z bliska.

Pewnego dnia podkuchenna kazała jej iść na górę do sali bilardowej i przynieść tantala. Ethel była zbyt zdenerwowana, żeby zapytać, co to takiego. Poszła do sali i rozglądała się w nadziei, że będzie to coś tak oczywistego, jak taca z brudnymi naczyniami, ale nie widziała niczego, co powinno znaleźć się na dole. Gdy weszła Maud, dziewczynka tonęła we łzach.

Maud była wtedy chuderlawą piętnastolatką, kobietą w dziewczęcym ubraniu, nieszczęśliwą i buntowniczą. Dopiero później odkryła sens życia, zamieniając niezadowolenie w kruczatę. Jednak

już w wieku piętnastu lat była obdarzona współczuciem, które czyniło ją wrażliwą na niesprawiedliwość i ucisk. Zapytała Ethel, co się stało. Tantal okazał się srebrnym pojemnikiem z karafkami z winiakiem i whisky. Nazwano go tak, ponieważ ma zamknięcie uniemożliwiające służbie podpijanie, wyjaśniła Maud. Ethel gorąco jej podziękowała. Była to pierwsza z licznych uprzejmości i z biegiem lat Ethel zaczęła niemal wielbić tę starszą od siebie dziewczynę.

Zapukała do drzwi i weszła. W apartamencie Gardenia ściany oklejono kolorową tapetą w kwiaty, która wyszła z mody na przełomie wieków. Jednak przez wykuszowe okno widać było najładniejszą część ogrodu Fitz'a, którą była zachodnia alejka, długa i prosta, biegnąca między rabatami do letniego domku. Ethel z niepokojem zobaczyła, że Maud wkłada buty.

– Idę na spacer, a ty będziesz moją przyzwoitką – oznajmiła. – Pomóż mi z kapeluszem i opowiadaj plotki.

Ethel nie miała na to czasu, ale była zaintrygowana i poruszona. Z kim zamierza spacerować Maud, gdzie podziela się jej przyzwoitka, ciotka Herm, i dlaczego zakłada taki piękny kapelusz na przechadzkę po ogrodzie? Czyżby pojawił się jakiś mężczyzna?

– Dziś rano pod schodami wybuchł skandal – zaczęła Ethel, umieszczając kapelusz na ciemnych włosach Maud, która kolekcjonowała plotki tak jak król znaczki pocztowe. – Morrison do czwartej rano nie wrócił do łóżka. To jeden ze służących, ten wysoki z jasnymi włosami.

– Znam Morrisona. I wiem, gdzie spędził noc.

Maud się zawahała.

Ethel odczekała chwilę, zanim zapytała:

– Zamierza mi pani o tym opowiedzieć?

– Będziesz zaszokowana.

Ethel się uśmiechnęła.

– Tym lepiej.

– Spędził tę noc z Robertem von Ulrichem. – Maud zerknęła na odbicie Ethel w lustrze toaletki. – Jesteś wstrząśnięta?

Ethel była zafascynowana.

– A niech to! Wiedziałam, że Morrison nie interesuje się kobietami, ale nie sądziłam, że jest jednym z „tych”, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

– Cóż, Robert z pewnością jest jednym z „tych”, gdyż widziałam, jak podczas obiadu kilkakrotnie spoglądał Mormonowi w oczy.

– I to przy królu! Skąd pani wie o Robercie?

– Walter mi powiedział.

– Dżentelmen mówi o czymś takim kobiecie! No ale ludzie gadają o wszystkim. O czym plotkują w Londynie? – chciała wiedzieć Ethel.

– Wszyscy mówią o panu Lloydzie George'u.

David Lloyd George był kanclerzem skarbu zarządzającym finansami państwa, Walijszczykiem i płomiennym lewicowym mówcą. Ojciec Ethel twierdził, że Lloyd George powinien należeć do Partii Pracy. Podczas strajku węglowego w 1912 mówił nawet o upaństwowieniu kopalń.

– Co o nim opowiadają? – zapytała Ethel.

– Ma kochankę.

– Nie! – Teraz Ethel była naprawdę zaszokowana. – Przecież jest baptystą!

Maud się roześmiała.

– Czy byłoby to mniej oburzające, gdyby był anglikaninem?

– Tak! – Ethel powstrzymała się i nie dodała: „oczywiście”. – Kim ona jest?

– Nazywa się Frances Stevenson. Zaczynała jako guwernantka jego córki, ale jest mądra, ma dyplom uczelni, więc zatrudnił ją jako sekretarkę.

– To okropne.

– Nazywa ją Cipka.

Ethel o mało się nie zarumieniła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Maud wstała, a Ethel pomogła jej włożyć płaszcz.

– A co z jego żoną Margaret? – zapytała.

– Przebywa w Walii z czwórką ich dzieci.

– Była ich piątka, ale jedno zmarło. Biedna kobieta – westchnęła Ethel.

Maud była gotowa. Zeszły na dół po wielkich schodach. Walter von Ulrich czekał w holu, ubrany w długi czarny płaszcz. Miał wąsiki i błyszczące niebieskie oczy. Wyglądał olśniewająco w płaszczu zapiętym pod szyję, jak typowy schludny Niemiec, taki, który zaraz skłoni się, strzeli obcasami, a potem puści oko, pomyślała Ethel. A więc to dlatego Maud nie chciała, by lady Hermia była jej przyzwoitką.

– Williams pracuje tutaj, od kiedy byłem dzieckiem, i zawsze się przyjaźniłyśmy.

Ethel lubiła Maud, ale stwierdzenie, że się przyjaźnią, to za dużo powiedziane. Maud była uprzejma, a Ethel ją podziwiała, lecz nadal była służącą, a tamta panią. Maud chciała po prostu powiedzieć, że Ethel można ufać.

Walter zwrócił się do Ethel z wyszukaną uprzejmością, na jaką tego rodzaju ludzie zdobywają się, rozmawiając z przedstawicielami niższej klasy.

– Miło mi cię poznać, Williams. Jak się masz?

– Dziękuję panu. Pójdę po płaszcz.

Zbiegła po schodach. Nie miała ochoty iść na spacer, kiedy był tu król – wolałaby być w pobliżu i nadzorować pracę służby – ale nie mogła odmówić.

W kuchni służąca księżniczki Bei, Nina, parzyła dla pani herbatę po rosyjsku.

– Pan Walter wstał – powiedziała do pokojówki Ethel. – Możesz iść do Szarego Pokoju.

Gdy tylko goście wychodzili z pokoi, pokojówki musiały posprzątać sypialnie, posłać łóżka, opróżnić nocniki i zanieść wodę do mycia. Zobaczyła Peela liczącego talerze.

– Coś się dzieje na górze? – zapytała go.

– Dziewiętnaście, dwadzieścia... – mamrotał. – Pan Dewar zadzwonił po ciepłą wodę do golenia, a signor Falli poprosił o kawę.

– Lady Maud chce, żebym poszła z nią na spacer.

– To nieodpowiednia chwila – zauważył Peel, nie kryjąc niezadowolenia. – Jesteś potrzebna w domu.

Ethel doskonale o tym wiedziała.

– A co mam robić, panie Peel? Powiedzieć jej, że ma się wypchać? – prychnęła.

– Daruj sobie te złośliwości. Wróć najszybciej, jak będziesz mogła.

Kiedy wróciła na górę, pies hrabiego, Gelert, stał przy frontowych drzwiach, radośnie dysząc, przeczuwając, że czeka go spacer.

Wszyscy czworo wyszli i ruszyli przez wschodni trawnik do lasu.

– Zapewne lady Maud nauczyła cię, jak być sufrażystką – zagadnął Ethel Walter.

– Wprost przeciwnie – odpowiedziała Maud. – Williams była pierwszą osobą, która przedstawiła mi liberalne idee.

– Zapoznał mnie z nimi mój ojciec – dodała Ethel.

Wiedziała, że w rzeczywistości wcale nie chcą z nią rozmawiać. Etykieta nie pozwalała im być samym, ale chcieli nagiać ją, jak się da. Zawołała Gelerta i pobiegła przodem, bawiąc się z psem, dając im odrobinę prywatności, o jakiej zapewne marzyli. Zerknawszy przez ramię, zobaczyła, że trzymają się za ręce.

Maud jest szybka, pomyślała Ethel. Z tego, co powiedziała wczoraj, wynikało, że nie widziała Waltera od dziesięciu lat. I wcześniej też nie łączył ich romans, a tylko niedeklarowana sympatia. Minionej nocy coś musiało się stać. Może siedzieli

i rozmawiali do późna? Maud flirtuje ze wszystkimi – tak wyciąga od nich informacje – lecz to najwyraźniej coś poważniejszego. Po chwili Ethel usłyszała, jak Walter zanucił urywek jakiejś piosenki. Maud przyłączyła się do niego, po czym oboje zamilkli i się roześmiali. Maud kochała muzykę i całkiem nieźle grała na pianinie, w przeciwieństwie do Fitz'a, który nie miał za grosz słuchu. Wyglądało na to, że Walter również jest muzykalny. Miał przyjemny baryton, który bardzo podobałby się w kaplicy Bethesda, pomyślała Ethel.

Wróciła myślami do pracy. Przed drzwiami żadnej sypialni nie widziała wyczyszczonych butów. Powinna znaleźć pucybutów i ich pogonić. Z niepokojem zastanawiała się, która jest godzina. Jeśli to potrwa dłużej, będzie musiała nalegać na powrót do domu. Obejrzała się, lecz tym razem nie zobaczyła Waltera ani Maud. Przystanęli czy poszli w inną stronę? Przez minutę czy dwie stała tam, ale nie mogła czekać cały ranek, więc zawróciła i poszła z powrotem przez las.

Po chwili ich zobaczyła. Całowali się namiętnie. Walter trzymał dłonie na pośladkach Maud i przyciskał ją do siebie. Mieli otwarte usta i Ethel usłyszała jęk Maud.

Gapiała się na nich. Zastanawiała się, czy kiedyś jakiś mężczyzna tak ją pocałuje. Pryszczaty Llewellyn pocałował ją na plaży podczas kościelnej wycieczki, ale nie mieli otwartych ust i nie przytulali się, i Ethel z całą pewnością przy tym nie jęczała. Mały Dai Ryjek, syn rzeźnika, włożył rękę pod jej spódnicę w kinie Pałace w Cardiff, ale odepchnęła ją po kilku sekundach. Naprawdę lubiła Llewellyna Daviesa, syna nauczyciela, który rozmawiał z nią o rządzie liberałów i powiedział, że jej piersi są jak ciepłe pisklęta w gnieździe, ale wyjechał do college'u i nie pisał do niej. Tamto z nim to była ciekawość i żądza nowych doznań, ale nie namiętność. Zazdrościła Maud.

Nagle Maud otworzyła oczy, zauważyła Ethel i wysunęła się z objęć Waltera.

Gelert zaskomlił i zaczął kręcić się w kółko z podwiniętym ogonem. Co mu się stało?

Chwilę później Ethel poczuła, że ziemia zadrżała, jakby obok przejeżdżał pociąg ekspresowy, chociaż tory kolejowe znajdowały się milę dalej.

Maud ściągnęła brwi i otworzyła usta, by coś powiedzieć, a wtedy rozległ się donośny huk, jakby uderzył piorun.

– Co to było, do licha?

Ethel wiedziała.

Krzyknęła i zaczęła biec.

V.

Billy Williams i Tommy Griffiths właśnie mieli przerwę.

Pracowali na pokładzie zwanym „Cztery Stopy Węgla”, zaledwie sześćset jardów pod ziemią, nie tak głęboko jak główny poziom. Korytarz podzielono na pięć wyrobisk, noszących nazwy angielskich torów wyścigowych, a oni znajdowali się w „Ascot”, najbliższej szybu. Obaj byli ładowaczami starszych mężczyzn. Górnik węglowy za pomocą oskarda odrąbał węgiel ze ściany, a ładowacz łopatą wrzucał urobek do wagonika. Zaczęli pracę o szóstej rano, jak zwykle, a teraz po paru godzinach odpoczywali, siedząc na wilgotnej ziemi oparci plecami o ścianę tunelu, pozwalając, by łagodny podmuch wentylacji chłodził im skórę, i długimi łykami popijali z butelek letnią słodką herbatę.

Urodzili się tego samego dnia 1898 roku i od szesnastych urodzin dzieliło ich sześć miesięcy. Różnice w ich fizycznym rozwoju, tak kłopotliwe dla Billy'ego, kiedy miał trzynaście lat, już znikły. Teraz obaj byli młodymi mężczyznami, barczystymi i krzepkimi, i golili się raz na tydzień, chociaż tak naprawdę wcale

nie musieli. Mieli na sobie tylko szorty i buty, a ich ciała były czarne od potu zmieszanego z pyłem węglowym. W słabym świetle lamp błyszczeli jak hebanowe posągi pogańskich bożków. Tylko ich kaski psuły efekt.

Praca była ciężka, ale przywykli do niej. Nie narzekali na ból pleców i zeszywniałe stawy, jak to często robili starsi. Rozpierała ich energia i w wolne dni szukali równie męczących zajęć, grając w rugby, przekopując rabatki albo nawet walcząc na gołe pięści w stodole za pubem Dwie Korony

Billy nie zapomniał swojej inicjacji sprzed trzech lat – na myśl o tym wciąż płonął oburzeniem. Poprzysiągł sobie wtedy, że sam nigdy nie będzie źle traktował nowych chłopców. Jeszcze dziś ostrzegł małego Berta Morgana:

– Nie zdziw się, jeśli ludzie będą ci robili kawały. Mogą zostawić cię w ciemności na godzinę albo zrobić coś równie głupiego. Takie rzeczy sprawiają przyjemność tym ptasim mózdzkom.

Starsi mężczyźni w windzie spojrzeli na niego gniewnie, lecz on popatrzył im w oczy: wiedział, że ma rację, i oni też to wiedzieli. Matka była jeszcze bardziej rozgniewana niż Billy.

– Powiedz mi – zwróciła się do ojca, stając na środku kuchni z rękami na biodrach, zdjęta słusznym oburzeniem – w jaki sposób dręczenie chłopców ma służyć Bogu?

– Nie zrozumiałabyś tego, jesteś kobietą – odparł ojciec z nietypowym dla niego brakiem pewności siebie.

Billy uważał, że cały świat – a szczególnie kopalnia Aberowen – byłby lepszym miejscem, gdyby wszyscy ludzie wiedli bogobojny żywot. Tommy, którego ojciec był ateistą i zwolnikiem Karola Marksa, wierzył, że kapitalizm wkrótce sam się zniszczy, z niewielką pomocą rewolucyjnej klasy robotniczej. Chłopcy zażarcie się o to spierali, ale pozostali przyjaciółmi.

– To niepodobne do ciebie, żeby pracować w niedzielę – zauważył Tommy.

Miał rację. Kopalnia pracowała na dodatkowe zmiany, żeby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na węgiel, lecz szanując nakazy religii, Celtic Minerals uznała niedzielne szychty za dobrowolne. Billy pracował, chociaż był wierzący.

– Sądzę, że Pan chce, żebym miał rower – powiedział.

Tommy się roześmiał, ale Billy wcale nie żartował. Kaplica Bethesda otwierała siostrzany przybytek w wiosce odległej o dziesięć mil i Billy był jednym z tych ochotników, którzy mieli co niedziela przechodzić za górę i zachęcać tamtejszych wiernych do odwiedzania nowej kaplicy. Gdyby miał rower, mógłby jeździć tam także wieczorami i pomagać w nauce Biblii lub spotkaniach modlitewnych. Omówił ten plan ze starszymi, a ci zgodzili się, że Pan pobłogosławiłby niedzielną pracę Billy'ego przez kilka tygodni.

Billy właśnie miał to wyjaśnić przyjacielowi, gdy ziemia pod ich nogami zadrżała, rozległ się donośny huk i potwornie silny podmuch wyrwał butelkę z jego ręki.

Serce zamarło mu w piersi. Nagle przypomniał sobie, że jest pół mili pod ziemią, a nad głową ma miliony ton ziemi i skały, podtrzymywane tylko przez kilka drewnianych stempli.

– Co to było, do jasnej cholery? – spytał przestraszony Tommy.

Billy zerwał się na równe nogi, drżąc ze strachu. Podniósł lampę i spojrzął na oba końce tunelu. Nie zobaczył płomieni ani osypiska, ani więcej pyłu niż zwykle. Echo trzasku ucichło i zapadła cisza.

– To był wybuch – powiedział niepewnie.

Właśnie tego obawiali się wszyscy górnicy. Nagły wybuch metanu mógł zostać wywołany przez spadający głaz albo górnika, który przebił ścianę kieszeni zawierającej gaz. Jeśli nikt nie zauważył sygnałów ostrzegawczych – lub jeśli stężenie wzrosło

zbyt szybko – łatwopalny gaz mogła zapalić iskra skrzesana przez podkowę kucyka, elektryczny dzwonek windy albo fajka, którą jakiś głupi górnik zapalił wbrew zakazowi.

– Tylko gdzie? – zastanawiał się Tommy.

– Najwidoczniej na głównym poziomie. Dlatego uszliśmy z życiem.

– Jezu Chryste, pomóż.

– Pomoże – rzekł Billy i zaczął się uspokajać. – Szczególnie jeśli sami sobie pomożemy.

Nigdzie nie było widać dwóch starszych górników, którym pomagali – poszli spędzić przerwę na wyrobisku „Goodwood”. Billy i Tommy musieli sami podjąć decyzję.

– Lepiej chodźmy do szybu.

Ubrali się, zawiesili lampy na paskach i pobiegli do szybu zwanego „Pyram”. Operatorem podszybia kierującym windą był Dai Ryjek.

– Kabina nie przyjeżdża! – krzyknął spanikowany. – Dzwoniłem wiele razy!

Jego strach był zaraźliwy i Billy znów musiał się uspokoić.

– A co z telefonem? – zapytał po chwili.

Operator porozumiewał się ze współpracownikiem na powierzchni sygnałami elektrycznego dzwonka, ale ostatecznie na obu poziomach zainstalowano telefony połączone z biurem zarządcy kopalni, Maldwyna Morgana.

– Nikt nie odpowiada – oznajmił Dai.

– Spróbuj jeszcze raz. – Telefon był przymocowany do ściany obok windy. Billy podniósł słuchawkę i pokręcił korbką. – No już, szybko!

Odpowiedział mu drżący głos:

– Tak?

To był Arthur Llewellyn, urzędnik kopalni.

– Pryszczaty, tu Billy Williams! – krzyknął do słuchawki Billy. – Gdzie Morgan?

– Nie ma go tu. Co to był za huk?

– Podziemny wybuch, ciołku! Gdzie szef?

– Pojechał do Merthyr – odparł Pryszczaty.

– Dlaczego pojechał do... nieważne, zapomnij o tym. Oto, co musisz zrobić. Słuchasz mnie?

– Tak. – Głos Llewellyna zabrzmiał nieco pewniej.

– Przede wszystkim pošlij kogoś do kaplicy metodystów, niech każe, by Dai Beksa zebrał zespół ratunkowy.

– Dobrze.

– Potem zadzwoń do szpitala i powiedz, żeby przysłali do kopalni ambulans.

– Czy ktoś jest ranny?

– Po takim wybuchu na pewno! Po trzecie, niech wszyscy mężczyźni w magazynie węgla rozwiną węże przeciwpożarowe.

– Pożar?

– Pył węglowy się zapali. Po czwarte, zadzwoń na policję i powiedz Geraintowi, że doszło do wybuchu. On zadzwoni do Cardiff. – Nic więcej nie przychodziło Billy'emu do głowy. – W porządku?

– W porządku, Billy.

Billy odwiesił słuchawkę. Nie był pewny, jak przydatne okazały się jego polecenia, ale rozmowa z Pryszczatym pomogła mu się skupić.

– Na głównym poziomie będą ranni – powiedział do Daia Ryjka i Tommy'ego. – Musimy się tam dostać.

– Nie możemy, skoro nie ma windy – zauważył Dai.

– W szybie jest drabina, no nie?

– To dwieście jardów w dół!

– Cóż, gdybym był mięczakiem, nie byłbym górnikiem, no nie? Wprawdzie mówił śmiało, ale jednak się bał. Drabina w szybie była rzadko używana i pewnie jest w złym stanie. Jedno pošliż-

nięcie, jeden złamany szczebelek mogą kosztować go życie. Dai ze szczękiem otworzył bramę. Szyb był obmurowany cegłami, wilgotnymi i zmurszałymi. Wokół prowadnic kabiny biegła wąska półka. Żelazna drabinka była umocowana klamrami wmurowanymi w cegły. Jej cienkie boki i wąskie szczebelki nie wyglądały zbyt solidnie. Billy zawahał się, żałując swej impulsywnej brawury. Jednak teraz już nie może się wycofać—byłoby to zbyt upokarzające. Nabrał powietrza i pomodlił się w duchu, po czym wyszedł na półkę. Przeszedł po niej ostrożnie, aż dotarł do drabiny. Wytarł dłonie o spodnie, złapał się bocznych prętów i postawił stopy na szczebelkach.

Zaczął schodzić. Żelazo było szorstkie w dotyku i brudziło mu dłonie rdzą. W niektórych miejscach klamry się poluzowały i drabinka denerwująco drżała pod jego ciężarem. Przyczepiona do pasa lampa świeciła dostatecznie jasno, by oświetlić stopnie tuż pod jego stopami, ale nie aż do dna szybu. Nie wiedział, czy tak jest lepiej, czy gorzej.

Niestety, schodząc, miał czas na rozmyślenia. Przypomniał sobie wszystkie rodzaje śmierci, jaka może spotkać górników. Śmierć w wyniku eksplozji jest litościwie szybka i czeka jedynie szczęśliwców. Płonący metan wytwarza duszący dwutlenek węgla, będący składnikiem tego, co górnicy nazywają gazami powybuchowymi. Wielu zapewne uwięziły osuwające się skały i ci mogli się wykrwawić, zanim nadeszła pomoc. Niektórzy umierali z przagnienia, podczas gdy ich towarzysze rozpaczliwie próbowali przekopać się do nich przez osuwisko.

Nagle zapragnął zawrócić i wspiać się na górę, w bezpieczne miejsce, zamiast schodzić w dół, w chaos i zniszczenie — ale nie mógł, bo tuż za nim schodził Tommy.

— Jesteś ze mną, Tommy?! — zawołał Billy.

Tuż nad głową usłyszał głos kolegi:

— Tak!

To dodało Billy'emu otuchy. Zaczął schodzić szybciej, z wracającą pewnością siebie. Niebawem ujrzał światło, a chwilę później do jego uszu dobiegły głosy. Gdy zbliżał się do głównego poziomu, poczuł dym.

Usłyszał dziwne dźwięki, wrzaski i łoskot, który próbował zidentyfikować. Te odgłosy odbierały mu odwagę. Wziął się w garść: musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie. Po chwili zrozumiał, że słyszy kwiczenie przerażonych kucyków, a łomot to uderzenie ich kopyt o drewniane ściany boksów, z których rozpaczliwie usiłują się wydostać. Zrozumienie tego faktu bynajmniej nie uczyniło hałasu mniej niepokojącym.

Dotarł na główny poziom, prześliznął się po ceglanej półce, otworzył bramę od środka i z ulgą wyszedł na błotnistą ziemię. Słabe oświetlenie jeszcze bardziej przyćmiły smugi dymu, ale widział główne tunele.

Operatorem na podszybiu był Patrick O'Connor, mężczyzna w średnim wieku, który stracił dłoń w wyniku zawalenia się dachu. Był katolikiem, więc oczywiście nazywano go Pat Papież. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

— Billy z Jezusem! — wykrzyknął. — Skąd się tu wzięłeś, do diabła?

— Z pokładu „Cztery Stopy Węgla”. Usłyszeliśmy wybuch.

Tommy wyszedł za Billym z szybu.

— Co się stało, Pat? — zapytał.

— O ile wiem, wybuch musiał nastąpić na drugim końcu tego tunelu, w pobliżu „Tyzbe” — powiedział Pat. — Nadzorca i wszyscy pozostali poszli zobaczyć.

Mówił spokojnie, lecz w oczach miał strach.

Billy podszedł do telefonu i zakręcił korbką. Po chwili usłyszał głos ojca:

— Tu Williams, kto mówi?

Billy nie zastanawiał się, dlaczego działacz związkowy odbiera

telefon w biurze zarządcy kopalni – w takich sytuacjach wszystko mogło się zdarzyć.

– Tato, to ja, Billy.

– Bogu miłosiernemu dzięki, nic ci nie jest – powiedział ojciec lekko łamiącym się głosem, ale zaraz wziął się w garść. – Powiedz mi, co wiesz, chłopcze.

– Tommy i ja byliśmy na pokładzie „Cztery Stopy Węgla”. Zeszliśmy „Pyramem” na główny poziom. Sądzymy, że wybuch był w pobliżu „Tyzbe”. Jest trochę dymu, niedużo. Jednak winda nie działa.

– Podmuch eksplozji uszkodził mechanizm wyciągu – spokojnie wyjaśnił ojciec. – Jednak pracujemy nad tym i naprawimy go za kilka minut. Ściągnij jak najwięcej ludzi na podszybie, żebyśmy mogli zacząć ich wyciągać, gdy tylko winda ruszy.

– Powiem ludziom.

– Szyb „Tyzbe” jest całkowicie zablokowany, więc dopilnuj, żeby nikt nie próbował tamtędy uciekać, bo mógłby zostać odcięty przez ogień.

– Dobrze.

– Przed biurem nadzorców są aparaty tlenowe.

Billy o tym wiedział. Tę innowację wprowadzono niedawno na żądanie związku, zgodnie z wymogami ustawy o kopalniach węgla z 1911 roku.

– Na razie powietrze jeszcze nie jest takie złe – powiedział.

– Może tam, gdzie jesteś, ale głębiej może być gorzej.

– Racja.

Billy odwiesił słuchawkę.

Powtórzył Tommy'emu i Patowi, co powiedział ojciec, i Pat wskazał rząd nowych szafek.

– Klucz powinien być w biurze.

Billy pobiegł do biura nadzorców, ale nie mógł znaleźć kluczy. Domyślił się, że wiszą przy którymś pasie. Znów spojrzał na rząd szafek z nalepkami „aparat tlenowy”. Były blaszane.

– Masz łom, Pat? – zapytał.

Operator windy miał zestaw narzędzi do drobnych napraw i podał Billy'emu solidny śrubokręt. Chłopak szybko wyłamał drzwi pierwszej szafki.

Pusta.

Billy z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

– Oszukali nas! – stwierdził Pat.

– Kapitalistyczne dranie – syknął Tommy.

Billy otworzył drugą szafkę. Też była pusta. Z wściekłością rozbijał kolejne, chcąc obnażyć nieuczciwość Celtic Minerals i Percevala Jonesa.

– Poradzimy sobie bez nich – powiedział Tommy.

Niecierpliwiał się, chcąc ruszyć na pomoc kolegom, ale Billy starał się myśleć trzeźwo. Jego spojrzenie padło na zbiornik z wodą. Zarząd kopalni postawił tu tę żalostną imitację strażackiej sikawki: wózek wypełniony wodą z przymocowaną do niego ręczną pompą.

Jednak to urządzenie nie było tak całkiem bezużyteczne. Billy widział, jak wykorzystywano je po tym, co górnicy nazywają „błyskiem” – po krótkim ognistym podmuchu wywołanym zapłonem niewielkiej ilości metanu pod stropem tunelu, kiedy to wszyscy rzucali się na ziemię. Błysk czasem zapalał pył węglowy na ścianach tunelu i trzeba je było polać wodą.

– Weźmiemy zbiornik! – krzyknął do Tommy'ego.

Wózek z wodą już stał na szynach i we dwóch mogli go popychać. Billy przez moment myślał o zaprzęczeniu do wózka kuca, ale doszedł do wniosku, że trwałoby to za długo, szczególnie że wszystkie zwierzęta były przerażone.

– Mój Micky pracuje na wyrobisku „Marigold” – powiedział Pat Papież – ale nie mogę iść tam i go szukać, muszę zostać tutaj. Był zrozpaczony, jednak w nagłych wypadkach operator windy na podszybiu musi przy niej zostać – taka jest żelazna reguła.

– Rozejrzę się za nim – obiecał Billy.

– Dziękuję, chłopcze.

Obaj młodzieńcy zaczęli pchać wózek po torach. Wagoniki nie miały hamulców, wózkowi zatrzymywali je, wpychając w szprychy solidny kij. Wagoniki, które wymknęły się spod kontroli, były przyczyną wielu zgonów i niezliczonej ilości nieszczęśliwych wypadków.

– Nie za szybko – ostrzegł Billy.

Gdy przeszli ćwierć mili tunelem, temperatura wzrosła i dym zgęstniał. Niebawem usłyszeli głosy. Podążając za nimi, skręcili w boczny korytarz. Znaleźli się na czynnym wyrobisku. Billy po obu stronach widział rozmieszczone w regularnych odstępach wejścia na stanowiska, przeważnie zwane furtami, ale czasem po prostu dziurami. Gdy hałasy stały się głośniejsze, przestali popychać wózek i spojrzeli przed siebie.

Tunel był w ogniu. Płomienie lizały ściany i podłogę. Garstka mężczyzn stała przed ścianą ognia, a ich sylwetki wyglądały na jej tle jak potępione dusze. Jeden z górników bezskutecznie tłukł koczem stertę płonącego drewna. Inni krzyczeli, ale nikt nie słuchał. W oddali, ledwo widoczny, stał sznur wagoników. Dym miał dziwną woń pieczonego mięsa i Billy z odrazą pojął, że to zapewne odór palącego się kuca, który ciągnął skład.

Zaczepił jednego z mężczyzn:

– Co się dzieje?

– Na stanowiskach są uwięzieni ludzie, ale nie możemy do nich dotrzeć.

Billy rozpoznał w mówiącym Rhysa Price'a. Nic dziwnego, że niczego nie zrobiono.

– Przyciągnęliśmy wózek przeciwpożarowy – powiedział.

Inny mężczyzna odwrócił się do niego i Billy z ulgą zobaczył Johna Sklep Jonesa, który był rozsądniejszy.

– Dobra robota! – pochwalił Jones. – Podciągnijmy wąż do tego cholerstwa.

Billy rozwinął wąż, a Tommy podłączył pompę. Billy wycelował wylot węża w sklepienie tunelu, tak żeby woda spływała po ścianach. Szybko się zorientował, że system wentylacyjny, tłoczący powietrze w dół szybem „Tyzbe” i wypychający je „Pyramem”, pcha na niego płomienie i dym. Jeśli tylko będzie miał okazję, powie ludziom na powierzchni, żeby odwrócili prąd powietrza. Wentylatory w kopalniach musiały obecnie dawać taką możliwość – następny wymóg ustawy z 1911 roku.

Pomimo trudności pożar zaczął przygasać i Billy powoli posuwał się naprzód. Po kilku minutach minął najbliższą furtę. Natychmiast wybiegli z niej dwaj górnicy, spazmatycznie łapiąc ustami stosunkowo czyste powietrze tunelu. Billy rozpoznał braci Ponti, Giuseppe i Giovanniego, znanych jako Joey i Johnny. Na stanowisko wbiegło kilku innych mężczyzn. John Jones wyniósł bezwładnego Daia Kucyka, stajennego. Billy nie wiedział, czy jest martwy, czy tylko nieprzytomny.

– Zabierzcie go do „Pyrama”, nie do „Tyzbe” – polecił.

– Kim ty jesteś, żeby rozkazywać, Billy z Jezusem?

Billy nie zamierzał tracić czasu na kłótnie z Price'em. Zwrócił się do Jonesa:

– Rozmawiałem przez telefon z powierzchnią. „Tyzbe” jest poważnie uszkodzony, ale winda w „Pyramie” powinna wkrótce jeździć. Kazano mi powiedzieć wszystkim, żeby kierowali się do „Pyrama”.

– Dobrze, przekażę to ludziom – rzekł Jones i odszedł.

Billy i Tommy nadal walczyli z ogniem, udroźniając następne furty i uwalniając kolejnych uwięzionych ludzi. Niektórzy krwawili, wielu miało oparzenia, a kilku poraniły spadające głazy. Ci, którzy mogli chodzić, ruszyli ponurym szeregiem, niosąc zabitych i ciężko rannych.

Woda się skończyła – zbyt szybko.

– Wrócimy i napełnimy wózek wodą ze stawu na dnie szybu – zaproponował Billy.

Razem pospieszyli z powrotem. Winda nadal nie działała i teraz czekało przy niej kilkunastu ocalonych górników, a na ziemi leżało paru innych, jęczących z bólu lub złowieszczo nieruchomych. Podczas gdy Tommy napełniał wózek błotnistą wodą, Billy chwycił słuchawkę. Znowu odezwał się jego ojciec.

– Winda będzie działała za pięć minut – powiedział. – Jak sytuacja na dole?

– Mamy kilku zabitych i rannych wyciągniętych ze stanowisk. Przyślijcie na dół wózki z wodą najszybciej, jak się da.

– A co z tobą?

– Nic mi nie jest. Posłuchaj, tato, powinniście odwrócić wentylację. Tłoczcie do „Pyrama” i w górę „Tyzbe”. To odepchnie dym i płomienie od ratowników.

– Nie da się.

– Przecież prawo... wentylatory muszą działać w obie strony!

– Perceval Jones opowiedział inspektorom łzawą historijkę i dali mu jeszcze rok na modyfikację wentylacji. Gdyby rozmówcą był ktoś inny, nie ojciec, Billy zacząłby kłać.

– A włączenie spryskiwaczy? Możecie to zrobić?

– Taak, możemy. Dlaczego o tym nie pomyślałem? Powiedział coś do kogoś stojącego obok.

Billy odwiesił słuchawkę. Pomógł Tommy'emu napełnić wózek, zmieniając go przy pompie. Zajęło im to tyle samo czasu, co jego opróżnienie. Strumień ludzi uciekających z objętej pożarem ściany ustał, gdy nikt nie walczył z ogniem. W końcu wózek był pełny i ruszyli z powrotem.

Spryskiwacze włączono, lecz kiedy Billy i Tommy dotarli do pożaru, zobaczyli, że strumień wody z cienkiej rury pod sklepieniem jest za słaby, by ugasić płomienie. Jednak Sklep Jones już zorganizował ludzi. Zatrzymał przy sobie nieposzkodowanych ocalonych jako ratowników, a chodzących o własnych siłach rannych odesłał pod szyb. Gdy tylko Billy i Tommy podłączyli wąż, złapał go i kazał innemu mężczyźnie pompować.

– Wy dwaj wracajcie i ściągnijcie drugi wózek z wodą! – powiedział. – W ten sposób będziemy mogli polewać bez przerw.

– Dobrze – rzekł Billy, lecz zanim się odwrócił, coś przykuło jego wzrok.

Ze ściany ognia wypadła jakaś postać w płonącej odzieży.

– Dobry Boże! – krzyknął przerażony Billy.

Biegnący potknął się i upadł.

– Lejcie na mnie! – krzyknął Billy do Jonesa.

Nie czekając na potwierdzenie, wbiegł do tunelu. Poczul na plecach strumień wody. Żar był straszliwy. Piekła go twarz, a ubranie dymiło. Chwycił leżącego pod pachy i zaczął ciągnąć, biegnąc tyłem. Nie widział jego twarzy, ale był to chłopak w jego wieku.

Jones polewał Billy'ego wodą która spływała mu po włosach, plecach i nogach, ale z przodu pozostał suchy i poczuł smród swojej spalonej skóry. Wrzasnął z bólu, ale nie puścił nieprzytomnego. W następnej chwili wydostał się z zasięgu ognia. Odwrócił się i pozwolił, by Jones oblał go z przodu. Spływająca po twarzy chłodna woda przyniosła natychmiastową ulgę – chociaż nadal bolało, ból był znośniejszy.

Jones oblał wodą leżącego. Billy odwrócił go i zobaczył, że to Michael O'Connor, znany jako Micky Papież, syn Pata. Pat prosił Billy'ego, żeby go poszukał.

– Dobry Jezu, miej litość nad Patem – szepnął Billy. Pochylił się i podniósł Micky'ego, który był bezwładny i nieprzytomny. – Zniosę go pod szyb.

– Tak – mruknął Jones. Gapił się na Billy'ego z dziwnym wyrazem twarzy. – Zrób to, Billy, chłopcze.

Tommy poszedł z nim. Billy'emu trochę kręciło się w głowie,

ale mógł nieść Micky'ego. W głównym tunelu napotkali zespół ratowników i kuca ciągnącego krótki skład wagoników z wodą. Ratownicy przybyli z powierzchni, co oznaczało, że winda działa i akcja ratunkowa będzie teraz prowadzona prawidłowo, ze zmęczeniem pomyślał Billy.

Miał rację. Kiedy dotarł do szybu, kabina właśnie zjechała ponownie i wypluła kolejnych ratowników w ubraniach ochronnych oraz następne wózki z wodą. Nowo przybyli wysiedli i ruszyli gasić pożar, a ranni zaczęli wsiadać do kabiny, wnosząc zabitych i nieprzytomnych.

Kiedy Pat Papież posłał kabinę na górę, Billy podszedł do niego, niosąc na rękach Micky'ego.

Pat z przerażeniem spojrział na Billy'ego, kręcąc głową jakby zaprzeczając strasznej prawdzie.

– Przykro mi, Pat – wykrztusił Billy.

Pat nie patrzył na ciało.

– Nie – jęknął. – Nie mój Micky.

– Wyciągnąłem go z ognia, Pat – tłumaczył Billy. – Jednak się spóźniłem, cholera, i tyle.

I zaczął płakać.

VI.

Obiad był pod każdym względem wielkim sukcesem. Bea miała doskonały humor, mogłaby co tydzień podejmować królewską parę. Fitz przyszedł do jej łóżka, a ona go przyjęła, tak jak się spodziewał. Został do rana i wymknął się tuż przed tym, zanim Nina przyniosła herbatę.

Obawiał się, że dyskusja między gośćmi może być zbyt kontrowersyjna dla króla, jednak niepotrzebnie. Król podziękował mu przy śniadaniu, mówiąc: „Fascynująca dyskusja, bardzo pouczająca, właśnie takiej chciałem”. Fitz pokraśniał z dumy.

Rozmyślając o tym po śniadaniu i przy cygarze, uświadomił sobie, że perspektywa wojny go nie przeraża. Co prawda, mówił o niej jak o tragedii, ale nie byłaby aż tak bardzo zła. Wojna zjednoczyłaby naród w obliczu wspólnego wroga i ugasiła zarzewia niepokojów. Nie byłoby kolejnych strajków, a republikanizm postrzegano by jako niepatriotyczny. Może nawet kobiety przestałyby domagać się prawa do głosowania. Wojna wydawała mu się dziwnie pociągająca. Miałyby szansę być użyteczny, służyć ojczyźnie, zrobić coś w zamian za bogactwo i przywileje, z których korzystał przez całe życie.

Wieści z kopalni, które przysłyły późnym rankiem, zepsuły radosny nastrój. Tylko jeden z gości pojechał do Aberowen – Gus Dewar, Amerykanin. Pomimo to wszyscy mieli wrażenie – niezwykłe dla nich – że są niedaleko od centrum wydarzeń. Podczas lunchu panowała melancholijna atmosfera i odwołano popołudniowe rozrywki. Chociaż nie miał nic wspólnego z kopalnią, Fitz obawiał się, że król będzie z niego niezadowolony. Nie jest dyrektorem ani udziałowcem Celtic Minerals, on tylko sprzedał tej firmie licencję na wydobycie i otrzymuje procent od każdej tony.

Był pewny, że nikt rozsądny nie może winić go za to, co się stało. Mimo to szlachetnie urodzeni nie powinni ostentacyjnie oddawać się przyjemnościom w chwili, gdy pod ziemią są uwięzieni ludzie, szczególnie podczas wizyty króla i królowej. To oznaczało, że jedynymi dopuszczalnymi rozrywkami jest lektura i palenie. Królewska para z pewnością będzie znudzona.

Fitz był zły. Ludzie umierają przez cały czas: żołnierze giną w bitwach, marynarze toną ze swymi okrętami, hotele pełne śpiących gości trawi pożar. Dlaczego do katastrofy w kopalni musiało dojść akurat teraz, kiedy on podejmuje króla?

Tuż przed obiadem Perceval Jones, burmistrz Aberowen i prezes Celtic Minerals, przybył do posiadłości, by zdać relację hrabiemu, i Fitz zapytał sir Alana Tite'a, czy może król chce jej wysłuchać.

Jego Wysokość chętnie posłucha, padła odpowiedź, którą Fitz przyjął z ulgą. Król przynajmniej będzie miał jakieś zajęcie. Jonesa wprowadzono do saloniku, kameralnego pomieszczenia z fotelami, palmami w donicach i pianinem. Miał na sobie czarny frak, który niewątpliwie włożył rano do kościoła. Niski i korpu-lentny, wyglądał jak napuszone ptaszysko.

Król był w wieczorowym stroju.

– Dobrze, że pan przyszedł – rzekł energicznie.

– Miałem zaszczyt uścisnąć dłoń Waszej Wysokości w tysiąc dziewięćset jedenastym, kiedy Wasza Wysokość przybył do Cardiff na nominację księcia Walii.

– Cieszę się z odnowienia tej znajomości, chociaż ubolewam nad tym, że stało się to w tak przykrych okolicznościach – odparł król. – Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło, prostymi słowami, jakby wyjaśniał pan to jednemu ze swoich dyrektorów przy drinku w waszym klubie.

Zręcznie, pomyślał Fitz, król nadał odpowiedni ton tej rozmowie – chociaż nikt nie zaproponował Jonesowi drinka, a monarcha nie pozwolił mu usiąść.

– To bardzo uprzejmie ze strony Waszej Wysokości – powiedział Jones z silnym akcentem mieszkańca Cardiff, chrapliwszym od śpiewnej gwary dolin. – W chwili gdy nastąpił wybuch, na dole było dwustu dwudziestu ludzi, mniej niż zwykle, ponieważ to była specjalna niedzielna zmiana.

– Zna pan dokładną liczbę? – zapytał król.

– Och tak, Wasza Wysokość, notujemy nazwisko każdego zjeżdżającego na dół.

– Pan wybaczy, że przerwałem. Proszę mówić dalej.

– Oba szyby zostały zniszczone, ale zespoły strażaków oparowały pożar za pomocą systemu zraszaczy i ewakuowały ludzi. – Spojrzał na zegarek. – Według stanu sprzed dwóch godzin wyprowadzono dwustu piętnastu.

– Wydaje się, że bardzo sprawnie pan się z tym uporał, Jones.

– Bardzo dziękuję, Wasza Wysokość.

– Wszyscy z tych dwustu piętnastu żyją?

– Nie, Wasza Wysokość. Ośmiu zginęło. Pięćdziesięciu odniosło obrażenia wymagające pomocy lekarskiej.

– Co za pech – rzekł król. – To smutne.

Gdy Jones wyjaśniał, jakie kroki poczyniono w celu zlokalizowania i uratowania pięciu pozostałych górników, Peel wśliznął się do pokoju i podszedł do Fitz'a. Lokaj był w wieczorowym stroju, gotowy podawać kolację.

– Gdyby to jaśnie pana interesowało – powiedział cicho.

– Tak? – szepnął Fitz.

– Służąca Williams właśnie wróciła z kopalni. Najwidoczniej jej brat jest bohaterem. Może król chciałby usłyszeć opowieść z jej ust?

Fitz zastanawiał się przez chwilę. Williams będzie wzburzona i może powiedzieć coś niewłaściwego. Z drugiej strony król zapewne zechce porozmawiać z kimś bezpośrednio zainteresowanym. Postanowił zaryzykować.

– Wasza Wysokość, jedna z moich służących właśnie wróciła z kopalni i może mieć nowsze informacje. Jej brat był pod ziemią, kiedy eksplodował gaz. Zechciałby ją pan wypytać?

– Tak, w rzeczy samej. Proszę ją tu przysłać.

Po chwili weszła Ethel Williams. Mundurek miała ubrudzony pyłem węglowym, ale zdażyła umyć twarz. Dygnęła.

– Jakie są więc najnowsze wieści? – zapytał ją król.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości, pięciu górników zostało uwiecznionych przez obryw skały na wyrobisku „Carnation”. Zespół ratowników przekopuje się przez zwalisko, ale tam jeszcze się pali.

Fitz zauważył, że w obecności Ethel zachowanie króla uległo subtelnej zmianie. Nie patrzył na Percevala Jonesa i nie postukiwał

niecierpliwie palcem w poręcz fotela, ale uważnie przyglądał się dziewczynie, która najwyraźniej bardziej go zainteresowała.

– Co mówi pani brat? – zapytał nieco łagodniej.

– Wybuch gazu zapalił pył węglowy i stąd wziął się pożar.

Ogień uwięził wielu ludzi na stanowiskach pracy i kilku się udusiło. Mój brat i inni nie mogli ich uratować, ponieważ nie mieli aparatów tlenowych.

– To nie jest zgodne z prawdą – wtrącił się Jones.

– Myślę, że jest – odezwał się Gus Dewar. Jak zwykle był nieco nieśmiały, ale starał się mówić stanowczo. – Rozmawiałem z kilkoma ludźmi, którzy wyjechali na górę. Powiedzieli, że szafki, w których powinny być aparaty tlenowe, okazały się puste. Wydawało się, że powstrzymuje gniew.

– I nie mogli ugasić płomieni, ponieważ pod ziemią nie było odpowiednio dużego zapasu wody – dodała Ethel.

Jej oczy rzucały gniewne błyski, które Fitz uznał za pociągające, i serce zaczęło mu bić mocniej.

– Tam jest sikawka strażacka! – zaprotestował Jones.

Gus Dewar znów zabrał głos:

– Wózek na węgiel wypełniony wodą i ręczna pompa.

– Powinni byli odwrócić obieg powietrza – ciągnęła Ethel Williams – ale pan Jones nie zmodyfikował wentylacji, tak jak nakazuje prawo.

Jones zrobił urażoną minę.

– To nie było możliwe...

– W porządku, Jones – przerwał mu Fitz – to nie jest publiczne przesłuchanie. Jego Wysokość chce tylko wiedzieć, co myślą ludzie.

– Właśnie tak – potwierdził król. – Jest jednak pewna sprawa, w której mógłby pan mi doradzić, Jones.

– Byłbym zaszczycony...

– Zamierzałem jutro rano odwiedzić Aberowen i kilka okolicznych wiosek, a nawet pańską zacną osobę w ratuszu. Jednak w tych okolicznościach taka parada wydaje się niewłaściwa. Sir Alan, siedzący tuż za królem i nieco na lewo, pokręcił głową.

– Wręcz niemożliwa – mruknął.

– Z drugiej strony – mówił król – wydaje się, że nie powinniśmy wyjeżdżać, jakby nic się nie stało. Ludzie mogliby uznać nas za nieczułych.

Fitz domyślił się, że doszło do tarć między królem a jego świtą. Dworzanie zapewne chcieli odwołać wizytę, sądząc, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie, natomiast król odczuwał potrzebę wykonania jakiegoś gestu.

Zapadła cisza. Perceval zastanawiał się nad odpowiedzią.

– To trudna decyzja – powiedział wreszcie.

– Czy mogę coś zaproponować? – spytała Ethel Williams.

Peel był w szoku.

– Williams! – syknął. – Nie odzywaj się niepytana!

Fitz był zaskoczony jej impertynencją.

– Może później, Williams – powiedział, starając się zachować spokój.

Jednak król się uśmiechnął. Fitz z ulgą stwierdził, że monarcha jest zachwycony Ethel.

– Może posłuchamy, co ta młoda osoba chce nam zaproponować – rzekł.

Ethel tylko tego było trzeba.

– Wasza Wysokość powinien odwiedzić z królową pogrążone w żałobie rodziny – powiedziała bez ceregieli. – Bez pompy, wystarczy jeden powóz zaprzężony w karę konie. To by dużo dla nich znaczyło. I wszyscy uważaliby, że jesteście cudowni. Przygryzła wargę i zamilkła.

Ta ostatnia uwaga też była naruszeniem etykiety, pomyślał zdenerwowany Fitz. Król nie musi się starać, żeby ludzie uważali, iż jest cudowny.

Sir Alan był przerażony.

– Tego jeszcze nigdy nie robiono – wyjąkał z obawą.

Król jednak był zaintrygowany tym pomysłem.

– Odwiedzić pogrążone w żałobie rodziny... – powtórzył w zamyśleniu. Odwrócił się do swojego koniuszego. – Na Jowisza, uważam, że to doskonały pomysł, Alanie. Łączyć się z moim ludem w cierpieniu. Bez kawalkady, tylko jeden powóz. – Odwrócił się do pokojówki. – Bardzo dobrze, Williams – powiedział. – Dziękuję ci.

Fitz odetchnął z ulgą.

VII.

Oczywiście nie był to tylko jeden powóz. Król i królowa pojechali w pierwszym z sir Alanem i damą dworu, Fitz i Bea w drugim z biskupem, a kawalkadę zamykała bryczka wioząca służbę. Perceval Jones chciał wziąć udział w tej wyprawie, ale Fitz stanowczo odmówił. Jak zauważyła Ethel, pogrążone w żałobie rodziny mogłyby próbować go udusić.

Dzień był wietrzny i zimny, deszcz smagał konie truchtające po długim podjeździe Ty Gwyn. Ethel jechała w trzecim powozie. Była jedyną osobą w Ty Gwyn znającą nazwiska wszystkich młodych i rannych. Dała wskazówki woźnicom i jej zadaniem było mówić koniuszemu, kto jest kim. Ścisnęła kciuki. To był jej pomysł i jeśli coś źle pójdzie, wina spadnie na nią.

Gdy przejechali przez wielką bramę z kutego żelaza, jak zawsze uderzyła ją nagła zmiana. Na terenie posiadłości wszystko było uporządkowane, czarujące i piękne, natomiast poza nim królowała brzydota realnego świata. Przy drodze stał rząd domków robotników rolnych, maleńkich i dwuizbowych, z walającymi się przed nimi rupieciami i złomem oraz brudnymi dzieciakami bawiącymi się w rowie. Wkrótce potem zaczęły się tarasy z domami górników, porządniejszymi od chat rolników, ale też brzydkimi i monotonnymi dla oczu rozpieszczonych doskonałymi proporcjami okien, drzwi i dachów Ty Gwyn. Ich mieszkańcy nosili tanie ubrania, które szybko stawały się workowate i wytarte, farbowane blaknącymi barwnikami, tak że wszyscy mężczyźni mieli szarawe garnitury, a kobiety brązowe suknie. Ethel zazdrośczonej jej stroju służącej: ciepłej wełnianej spódnicy i wykrochmalonej bawełnianej bluzki, chociaż niektóre dziewczyny lubiły mówić, że one nigdy nie zniżyłyby się do tego, żeby komuś służyć. Jednak największą różnicą była widoczna w samych ludziach. Ci tutaj mieli niezdrówą cerę, brudne włosy i paznokcie. Mężczyźni kasłali, kobiety kichały, a dzieci pociągały nosami. Biedacy wlekli się i kuśtykali ulicami, po których bogaci maszerowali pewnym krokiem.

Powozy wjechały na zbocze góry, na Mafeking Terrace. Większość mieszkańców ustawiła się wzdłuż krawężników, ale nie mieli chorągiewek i nie wiwatowali, tylko kłaniali się lub dygali, gdy kawalkada zatrzymała się przed numerem dziewiętnastym. Ethel zeskoczyła z wozu.

– Sian Evans, pięcioro dzieci, straciła męża Davida Evansa, poganiacza koni w kopalni – cicho powiedziała do sir Alana. Davida Evansa, nazywanego Dai Kucyk, Ethel знаła jako starszego z kaplicy Bethesda.

Sir Alan kiwnął głową i Ethel cofnęła się szybko, a on szepnął coś do ucha królowi. Ethel podchwyciła spojrzenie Fitz'a pełne aprobaty. Rozpromieniła się. Asystuje królowi, a hrabia jest z niej zadowolony.

Król z królową podeszli do frontowych drzwi. Farba na nich łuszczyła się, ale próg był wypastowany. Nie spodziewałam się, że zobaczę coś takiego, pomyślała Ethel. Król puka do drzwi górnika. Miał na sobie czarny frak i czarny cylinder. Ethel ostrzegła sir Alana, że mieszkańcy Aberowen nie chcieliby zobaczyć swego

monarchy w takim tweedzie, jaki sami mogliby nosić. Drzwi otworzyła wdowa w niedzielnym ubraniu i kapeluszu. Fitz sugerował, że wizyta króla mogłaby być niespodziewana, lecz Ethel była innego zdania i sir Alan się z nią zgodził. Podczas niespodziewanej wizyty królewska para mogłaby zobaczyć pijanych mężczyzn, półnagie kobiety i tłukące się dzieci. Lepiej wszystkich uprzędzić.

– Dzień dobry, jestem królem – powiedział król, unosząc kapelusz. – Pani Davidowa Evans?

Kobieta przez moment patrzyła na niego pustym wzrokiem. Była przyzwyczajona, że nazywają ją panią Dai Kucyk.

– Przyjechałem powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu pani męża Davida – ciągnął król.

Pani Dai Kucyk była zbyt zdenerwowana, by okazać jakieś uczucia.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała sztywno.

Ethel widziała, że to spotkanie jest zbyt formalne. Król czuł się równie niezręcznie jak wdowa. Oboje nie potrafili wyrazić, co naprawdę czują.

Wtedy królowa dotknęła ramienia pani Dai Kucyk.

– Musi ci być bardzo ciężko, moja droga – powiedziała.

– Tak, proszę pani, jest – szeptem odparła wdowa i zalała się łzami.

Król był zmieszany, ale trzeba przyznać, że zachował się dzielnie.

– To bardzo smutne, bardzo – wymamrotał.

Pani Evans szlochała niepowstrzymanie, ale nie ruszała się z miejsca i nie odwróciła głowy. W smutku nie ma niczego ładnego, pomyślała Ethel. Pani Dai miała czerwone plamy na twarzy, w jej otwartych ustach brakowało połowy zębów, a szloch był chrapliwy z rozpaczą.

– No już, już – powiedziała królowa i wetknęła w dłoń pani Dai chusteczkę. – Weź.

Pani Dai nie miała jeszcze trzydziestki, lecz jej szerokie dłonie były powykręcane artretyzmem jak u staruszki. Opanowała szloch.

– Był dobrym człowiekiem, proszę pani – powiedziała. – Nigdy nie podniósł na mnie ręki.

Królowa nie wiedziała, co powiedzieć o człowieku, którego główną zaletą było to, że nie bił żony.

– A dla swoich kuców był jeszcze miłszy – dodała pani Dai.

– Jestem pewna, że tak – powiedziała królowa, znów znalazłszy się na znajomym terenie.

Z głębi domu wyłonił się chłopczyk i przywarł do matczynej spódnicy. Król znowu spróbował:

– Zdaje się, że ma pani pięcioro dzieci – powiedział.

– Och, panie, co one poczną bez ojca?

– To bardzo smutne – powtórzył król.

Sir Alan dyskretnie zakaszłał.

– Zamierzamy odwiedzić innych ludzi, będących w równie smutnej sytuacji jak pani – powiedział król.

– Och, panie, to bardzo uprzejme, że pan przyszedł. Nie potrafię powiedzieć, ile to dla mnie znaczy. Dziękuję, dziękuję. Król się odwrócił.

– Pomodłę się za panią dziś wieczorem, pani Evans – zapewniła królowa i ruszyła za mężem.

Kiedy wsiadali do powozu, Fitz dał pani Dai kopertę. Ethel wiedziała, że w środku jest pięć złotych suwerenów i liścik na niebieskim papierze z nagłówkiem Ty Gwyn: Hrabia Fitzherbert życzy sobie, by przyjęła to pani w dowód jego głębokiego współczucia.

To również był pomysł Ethel.

VIII.

Tydzień po wybuchu Billy poszedł do kaplicy z ojcem, matką i Gramperem.

Kaplica Bethesda była kwadratowym bielonym pomieszczeniem bez obrazów na ścianach. Krzesła ustawiono w równych rzędach z czterech stron zwykłego stołu. Na stole leżał bochen białego chleba na porcelanowym talerzu od Woolwortha oraz dzban taniej sherry – symbole chleba i wina. Obrządku nie nazywano nabożeństwem ani mszą, lecz po prostu łamaniem chleba.

Do jedenastej około setki wiernych siedziało na swoich miejscach, mężczyźni w najlepszych ubraniach, kobiety w kapeluszach, wyszorowane i wierzące się dzieci w tylnych rzędach. Nie było ustalonego porządku, mężczyźni mieli robić to, co podszeptnie im Duch Święty: odmawiać modlitwy, śpiewać psalmy, czytać fragmenty Biblii lub wygłaszać krótkie kazania. Kobiety, oczywiście, powinny milczeć.

W praktyce stosowano pewien schemat: pierwszą modlitwę zawsze odmawiał jeden ze starszych, który następnie łamał chleb i podawał talerz najbliższej siedzącej osobie. Każdy członek kongregacji, wyłączając dzieci, brał kawałeczek i go zjadał. Następnie podawano wino i wszyscy pili je z dzbana, kobiety małymi łydkami, niektórzy mężczyźni pociągając tęgie łyki. Potem wszyscy siedzieli w milczeniu, aż ktoś poczuł potrzebę powiedzenia czegoś.

Kiedy Billy zapytał ojca, w jakim wieku powinien zacząć aktywnie uczestniczyć w nabożeństwie, ojciec powiedział: „Nie ma reguły. Robimy to, co podpowiada nam Duch Święty”. Billy wziął go za słowo. Jeśli w trakcie tej godziny przyszły mu na myśl pierwsze wersy jakiegoś psalmu, uznawał to za znak od Ducha Świętego, wstawał i intonował pieśń. Wiedział, że w jego wieku to zuchwalstwo, ale kongregacja to akceptowała. Opowieść o tym, jak Jezus pokazał mu się podczas jego inicjacji pod ziemią, powtarzano w połowie kaplic Południowej Walii i uważano Billy'ego za kogoś specjalnego.

Tego ranka we wszystkich modlitwach proszono o pociechę dla dotkniętych nieszczęściem, szczególnie pani Dai Kucyk, siedzącej z twarzą zasłoniętą woalką obok swojego najstarszego syna, który wyglądał na wystraszonego. Ojciec Billy'ego prosił Boga, by wielkodusznie wybaczył niegodziwość właścicielom kopalni, łamiącym przepisy dotyczące aparatów tlenowych i wentylacji. Billy czuł, że czegoś tu brakuje. Prosić tylko o ukojenie to za mało. Chciał, by ktoś pomógł mu zrozumieć, w jaki sposób ten wybuch jest częścią boskiego planu.

Jeszcze nigdy nie wygłosił improwizowanej modlitwy. Wielu ludzi modliło się, używając ładnie brzmiących wersów i cytatów z Pisma Świętego, co sprawiało wrażenie, jakby wygłaszali kazanie. Billy podejrzewał, że na Bogu nie tak łatwo zrobić wrażenie. Zawsze najbardziej poruszały go zwykłe modlitwy, które płynęły prosto z serca.

Pod koniec nabożeństwa w jego umyśle zaczęły formować się słowa i zdania i poczuł nieodpartą chęć, by wypowiedzieć je na głos. Uznał to za przewodnictwo Ducha Świętego i wstał.

Stojąc z zamkniętymi oczyma, powiedział:

– Boże, prosiliśmy Cię dziś rano, abys pocieszył tych, którzy stracili mężów i synów, a szczególnie naszą siostrę w Bogu, panią Evans, i modlimy się, aby osamotnieni otworzyli swe serca na przyjęcie Twej dobroci.

To mówili już inni. Billy odczekał chwilę, po czym podjął:

– A teraz, Panie, prosimy o jeszcze jeden dar: błogosławieństwo zrozumienia. Musimy wiedzieć, dlaczego w kopalni doszło do wybuchu. Wszystkie sprawy zależą od Ciebie, zatem dlaczego dopuściłeś, by gaz wypełnił główny poziom, i pozwoliłeś, by się zapalił? Jak to możliwe, Panie, że ustanowiłeś nad nami takich ludzi, jak zarządcy Celtic Minerals, którzy z żądzy zysku mają za

nic życie Twego ludu? Jak śmierć dobrych ludzi i okaleczenia ciał, które stworzyłeś, mogą służyć Twym świętym celom?

Znowu zamilkł. Wiedział, że nie powinien stawiać Bogu żądań, jakby negocjował z zarządem, więc dodał:

– Wiemy, że cierpienie mieszkańców Aberowen musi być częścią Twego wieczystego planu. – Pomyślał, że chyba na tym powinien zakończyć, ale nie mógł się powstrzymać i dodał: – Jednak, Panie, nie wiemy, w jaki sposób, więc proszę, oświeć nas. W imię Pana Naszego, Jezusa Chrystusa – zakończył.

– Amen – powiedzieli wierni.

IX.

Tego popołudnia mieszkańcy Aberowen zostali zaproszeni do oglądania ogrodów Ty Gwyn. Dla Ethel oznaczało to bardzo dużo pracy

Wiadomość rozeszła się w pubach w sobotę wieczorem, a w niedzielny ranek odczytano ją w kościołach i kaplicach. Ogrody zostały szczególnie starannie przygotowane na przyjazd króla, pomimo zimowego sezonu, i teraz hrabia Fitzherbert chciał podzielić się ich pięknem z sąsiadami, głosiło zaproszenie. Hrabia będzie nosił czarny krawat i chętnie zobaczy swych gości w podobny sposób oddających hołd zmarłym. Chociaż przyjęcie w takich okolicznościach byłoby niestosowne, zostaną podane napoje. Ethel kazała rozstawić na wschodnim trawniku trzy namioty.

W jednym stało pół tuzina beczek ale przywiezionego pociągiem z Królewskiego Browaru w Pontyclun. Dla dzieci, których w Aberowen było dużo, w następnym namiocie umieszczono stoły z olbrzymimi kotłami z herbatą oraz setkami filiżanek i spodków. W trzecim, mniejszym, podawano sherry nielicznym przedstawicielom miejscowej klasy średniej, w tym pastorowi Kościoła anglikańskiego, obu lekarzom i zarządcy kopalni, Maldwynowi Morganowi, którego już zaczęto nazywać Morganem, Który Wybył do Merthyr.

Na szczęście był słoneczny dzień, chłodny, lecz suchy, z kilkoma nieszkodliwie wyglądającymi białymi chmurami na błękitnym niebie. Przyszło cztery tysiące osób – niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka – i prawie każdy miał czarny krawat, wstążkę lub opaskę. Spacerowali między krzewami, zaglądali przez okna do domu i deptali trawniki.

Księżniczka Bea pozostała w swoim pokoju, bo takie towarzyskie spotkania nie były w jej stylu. Ethel wiedziała z doświadczenia, że wszyscy przedstawiciele wyższych sfer są samolubni, lecz Bea uczyniła z tego prawdziwą sztukę. Całą energię skupiała na szukaniu przyjemności i stawianiu na swoim. Nawet kiedy wydała przyjęcie – co umiała robić – kierowała się głównie chęcią pokazania swojej urody i uroku.

Fitz podejmował gości w wiktoriańsko-gotyckim splendorze wielkiej sali, ze swym wielkim psem leżącym niczym futrzak na podłodze u jego nóg. Miał na sobie garnitur z brązowego tweedu, w którym wyglądał bardziej przystępnie, aczkolwiek ze sztywnym kołnierzykiem i czarnym krawatem. Jest przystojniejszy niż kiedykolwiek, pomyślała Ethel. W trzy- i czteroosobowych grupkach przyprowadzała do niego krewnych zabitych i rannych, żeby mógł złożyć kondolencje wszystkim poszkodowanym obywatelom Aberowen. Rozmawiał z nimi, roztaczając swój zwykły czar, a oni odchodzili i czuli się wyróżnieni.

Ethel była teraz gospodynią. Po wizycie króla księżniczka Bea nalegała, by pani Jevons przeszła na emeryturę, gdyż nie miała czasu dla zmęczonych starych służących. W Ethel widziała osobę, która będzie ciężko pracowała, żeby spełniać jej zachcianki, toteż awansowała ją, pomimo jej młodego wieku. Tak więc Ethel zrealizowała swoje ambicje. Zajęła pokój gospodyni poza kwatery-

mi służby i powiesiła w nim fotografię swoich rodziców w niedzielnych ubraniach, zrobioną przed kaplicą Bethesda w dniu jej otwarcia. Kiedy Fitz porozmawiał z ostatnimi osobami z listy, Ethel poprosiła o pozwolenie na spędzenie kilku minut z rodziną.

– Oczywiście. Zostań z nimi tyle czasu, ile chcesz. Byłaś cudowna. Nie wiem, jak bym sobie poradził bez ciebie. Król też był ci wdzięczny za pomoc. Jak udaje ci się zapamiętać te wszystkie nazwiska?

Uśmiechnęła się. Nie wiedziała, dlaczego jego pochwały sprawiają jej taką przyjemność.

– Większość tych ludzi była kiedyś w naszym domu, żeby porozmawiać z moim ojcem o odszkodowaniu za wypadek przy pracy czy o sporze z nadzorcą albo zgłosić jakieś uwagi na temat bezpieczeństwa w kopalni.

– Cóż, uważam, że jesteś nadzwyczajna. – Obdarzył ją tym czarującym uśmiechem, który czasem pojawiał się na jego twarzy i sprawiał, że wyglądał niemal jak chłopiec z sąsiedztwa. – Przekaż ojcu moje uszanowanie.

Odwróciła się i pobiegła przez trawnik, czując uniesienie. Znalazła ojca, matkę, Billy'ego i Grampera w namiocie z herbata. Ojciec wyglądał dystygownie w czarnym niedzielnym garniturze i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Billy miał na policzku paskudne oparzenie.

– Jak się czujesz, Billy?

– Nieźle. To wygląda okropnie, ale lekarz mówi, że lepiej nie zakładać opatrunku.

– Wszyscy opowiadają, jaki byłeś odważny.

– To jednak nie wystarczyło, żeby uratować Micky'ego Papieża.

Ethel nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc współczująco dotknęła ramienia brata.

– Billy dziś rano poprowadził modlitwę w Bethesda – oznajmiła z dumą matka.

– Dobra robota, Billy! Żałuję, że przy tym nie byłam. –

Ethel nie poszła do kaplicy, bo miała za dużo pracy w posiadłości. – O co się modliłeś?

– Prosiłem Pana, żeby pomógł nam zrozumieć, dlaczego pozwolił na wybuch w kopalni.

Billy nerwowo zerknął na ojca, który się nie uśmiechał.

– Billy zrobiłby lepiej, prosząc Boga, by wzmocnił jego wiarę, żeby mógł wierzyć, nie rozumiejąc – gniewnie powiedział ojciec.

Najwyraźniej się o to pokłócili. Ethel nie miała cierpliwości do takich teologicznych dysput, które koniec końców niczego nie zmieniały. Spróbowała rozładować napięcie:

– Hrabia Fitzherbert prosił mnie, żebym przekazała ci jego uszanowanie, tato. Czy to nie miłe z jego strony?

To jednak nie ułagodziło ojca.

– Przykro mi było patrzeć, jak bierzesz udział w tej poniedziałkowej farsie – rzekł surowo.

– Poniedziałkowej? – zapytała zdziwiona. – Kiedy król odwiedzał rodziny?

– Widziałem, jak szeptałaś nazwiska jego sługusowi.

– To był sir Alan Tite.

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywa. Potrafię rozpoznać lizusa.

Ethel była zaszokowana. Jak ojciec może tak pogardliwie mówić o jej wielkim sukcesie? Chciało jej się płakać.

– Myślałam, iż będziesz dumny, że pomagałam królowi!

– Jak król śmie oferować nam swoje współczucie? Co on wie o trudach i niebezpieczeństwie?

Ethel powstrzymywała łzy.

– Ależ, tato, to tyle znaczyło dla ludzi, że chciał się z nimi spotkać!

– To odwróciło uwagę od niebezpiecznych i bezprawnych działań Celtic Minerals.

– Ludzie potrzebowali pociechy. Dlaczego on tego nie rozumie?

– Król ich udobruchał. Zeszłej niedzieli miasto było na pograniczu buntu. W poniedziałek wieczorem mówiono tylko o tym, jak królowa dała swoją chusteczkę pani Dai Kucyk. Przygnębienie Ethel szybko zmieniło się w gniew.

– Przykro mi, że tak to odczuwasz – powiedziała zimno.

– Nie masz powodu, żeby... – zaczął ojciec.

– Przykro mi, ponieważ się mylisz – przerwała mu. Ojciec był zaskoczony. Rzadko ktoś mu mówił, że się myli, a już na pewno nie dziewczyny.

– No, Ethel... – wtrąciła się matka.

– Ludzie mają uczucia, tato – ciągnęła Ethel zuchwale. – Zawsze o tym zapominasz. Ojcu odjęło mowę.

– Dość tego! – syknęła matka.

Ethel spojrzała na Billy'ego. Zamglonymi przez łzy oczami zobaczyła na jego twarzy podziw. To dodało jej odwagi. Pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

– Ty i twój związek, tato, twoje przepisy bezpieczeństwa i ustawy... Wiem, że są ważne, ale nie można uciec od ludzkich uczuć. Mam nadzieję, że pewnego dnia socjalizm uczyni ten świat lepszym miejscem dla ludzi pracy, ale do tego czasu potrzebują oni pocieszenia.

Ojciec wreszcie odzyskał głos.

– Myślę, że dość już od ciebie usłyszeliśmy. Towarzystwo króla uderzyło ci do głowy. Jesteś jeszcze młoda i nie powinnaś pouczać starszych od siebie.

Ethel była zbyt załamana, żeby nadal się spierać.

– Przepraszam, tato – powiedziała, a po chwili niezręcznej ciszy dodała: – Lepiej wróć do pracy.

Hrabia pozwolił jej spędzić z rodziną tyle czasu, ile zechce, ale pragnęła być sama. Odwróciła się tyłem do gniewnie spoglądającego ojca i ruszyła do wielkiego domu. Patrzyła pod nogi, mając nadzieję, że nikt nie zauważy jej łez.

Nie chcąc nikogo spotkać, wśliznęła się do apartamentu Gardenia. Lady Maud wróciła do Londynu, więc pokój był pusty, a łóżko nieposłane. Ethel rzuciła się na materac i wybuchnęła płaczem.

Była z siebie taka dumna. Jak tata może krytykować wszystko, co robi? Czy chce, żeby źle pracowała? Przecież pracuje dla szlachetnie urodzonych, tak jak robi to każdy górnik w Aberowen. Chociaż zatrudnia ich Celtic Minerals, wydobywają węgiel hrabiego, który dostaje procent od każdej tony tak samo jak górnik – fakt, o którym jej ojciec niestrudzenie przypomina. Jeśli jest chwalebne być dobrym górnikiem, pracowitym i produktywnym, to co złego w tym, że ona jest dobrą gospodynią?

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Zerwała się na równe nogi. To był hrabia.

– Cóż to się stało? – zapytał uprzejmie. – Usłyszałem cię przez drzwi.

– Bardzo przepraszam, panie hrabio. Nie powinnam tu wchodzić.

– Wszystko w porządku. – Na jego niewiarygodnie urodzwej twarzy malowała się szczerą troską. – Dlaczego płaczesz?

– Byłam taka dumna z tego, że pomogłam królowi – wychlipała. – A mój ojciec mówi, że to była farsa, mająca na celu tylko uspokojenie ludzi oburzonych na Celtic Minerals. Znów zalała się łzami.

– Co za nonsens. Wszyscy widzieli, że król był szczerze zatroskany. Królowa również.

Z kieszonki na piersi wyjął białą lnianą chusteczkę. Spodziewała

się, że poda ją jej, lecz zamiast tego delikatnie otarł łzy z jej policzków.

– Byłem z ciebie dumny w poniedziałek, nawet jeśli twój ojciec nie był.

– Jest pan taki uprzejmy.

– Już dobrze, dobrze – mruknął, po czym pochylił się i pocałował ją w usta.

Była oszołomiona. Nie spodziewała się czegoś takiego. Kiedy się wyprostował, popatrzyła na niego, niczego nie pojmując. Spojrzał jej w oczy.

– Jesteś czarująca – powiedział cicho i znów ją pocałował. Tym razem go odepchnęła.

– Hrabio, co pan robi? – szepnęła zaszokowana.

– Nie wiem.

– Co pan sobie myśli?

– W ogóle nie myślę.

Popatrzyła na piękne rysy jego twarzy. Zielone oczy przyglądały jej się uważnie, jakby próbowały czytać w jej myślach. Uświadomiła sobie, że go uwielbia. Nagle poczuła przypływ podniecenia i pożądania.

– Nie mogę się powstrzymać – wyznał.

Westchnęła, uszczęśliwiona.

– Więc proszę mnie pocałować jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 3

Luty 1914 roku

i.

O wpół do jedenastej lustro w holu rezydencji Mayfair hrabiego Fitzherberta ukazało wysokiego mężczyznę w dziennym stroju Anglika z wyższych sfer. Nosił kołnierz ze stójką, bo nie lubił miękkich kołnierzyków, a srebrzysty krawat miał przypięty spinka z perłową główką. Niektórzy z jego znajomych uważali taką dbałość o strój za nieprzyzwoitą. „Mówię ci, Fitz, wyglądasz jak jakiś przeklęty krawiec otwierający rano swój zakład” – powiedział mu kiedyś markiz Lowther. Jednak Lowthie był niechlujem z okruciami na kamizelce i popiołem z cygara na mankietach koszuli, więc chciał, żeby wszyscy wyglądali równie nieporządnie. Fitz nienawidził niechlujstwa – lubił schludnie wyglądać. Włożył szary cylinder. Z laseczką w prawej ręce i nowymi zamszowymi rękawiczkami w lewej, wyszedł z domu i skręcił na południe. Na Berkeley Square jasnowłosa dziewczyna w wieku około czternastu lat mrugnęła do niego i spytała: „Possać ci za szylinga?”.

Przeszedł przez Piccadilly i wszedł do parku Green. Pod drzewami rosło mnóstwo przebiśniegów. Minał pałac Buckingham i wkroczył do niezbyt atrakcyjnej dzielnicy wokół Victoria Station. Musiał zapytać policjanta o drogę do Ashley Gardens. Okazało się, że to ulica za katedrą rzymskokatolicką. Naprawdę, pomyślał Fitz, jeśli zaprasza się szlachetnie urodzonych na spotkanie, to powinno się mieć biuro w lepszej dzielnicy.

Wezwał go stary przyjaciel jego ojca, niejaki Mansfield Smith-Cumming. Ten emerytowany oficer marynarki zajmował się teraz jakimiś niejasnymi sprawami w Ministerstwie Wojny. Przysłał Fitzowi dość krótki liścik:

Byłbym wdzięczny za rozmowę o sprawach wagi państwowej. Możesz wpaść do mnie jutro rano, powiedzmy o jedenastej. Liścik był napisany na maszynie i podpisany inicjałem „C”, nakreślonym zielonym atramentem.

Prawdę mówiąc, Fitz był zadowolony, że ktoś z rządu chce z nim porozmawiać. Obawiał się, iż traktują go jak ozdobę, bogatego arystokratę nadającego się tylko do uświetniania spotkań

towarzyskich. Miał nadzieję, że chcą zasięgnąć jego rady, może w kwestii jego dawnego regimentu Fizyliarów Walijskich. A może chodzi o jakieś zadanie na terytorium Południowej Walii, którego był honorowym pułkownikiem. Tak czy inaczej, samo wezwanie do Ministerstwa Wojny sprawiło, że nie czuł się tak całkiem zbyteczny.

Jeśli to naprawdę było Ministerstwo Wojny. Pod podanym adresem znalazł nowoczesny budynek mieszkalny. Portier wskazał mu drogę do windy. Apartament Smitha-Cumminga wyglądał jak skrzyżowanie mieszkania z biurem, lecz energiczny młodzieniec o manierach wojskowego oznajmił Fitzowi, że C zaraz go przyjmie. C nie wyglądał na wojskowego. Pulchny i łysawy, miał bulwiasty nos i nosił monokl. Jego gabinet był zagracony takimi przedmiotami, jak model samolotu, teleskop, kompas i obraz przedstawiający wieśniaków stojących przed plutonem egzekucyjnym. Ojciec Fitz'a zawsze mówił o nim jako o „kapitanie cierpiącym na chorobę morską”, który nie zrobił olśniewającej kariery w marynarce. Co więc robi tutaj?

– A właściwie co to za departament? – zapytał Fitz, kiedy usiadł.

– To Wydział Zagraniczny Biura Tajnej Służby – odparł C.

– Nie wiedziałem, że mamy jakąś tajną służbę.

– Gdyby ludzie o niej wiedzieli, nie byłaby tajna.

– Rozumiem.

Fitz poczuł przypływ podniecenia. Mile połechnęło jego próżność to, że powierzono mu poufną informację.

– Może byłbyś tak miły i nie wspominał o tym nikomu.

Fitz zrozumiał, że wydano mu rozkaz, aczkolwiek uprzejmie sformułowany.

– Oczywiście.

Przyjemnie było poczuć się członkiem wąskiego kręgu wtajemniczonych. Czy to oznacza, że C zamierza poprosić go, żeby pracował dla Ministerstwa Wojny?

– Gratuluję sukcesu, jakim było przyjęcie dla pary królewskiej. Zdaje się, że zorganizowałeś Jego Wysokości spotkanie z interesującą grupą młodych ludzi o dobrych powiązaniach.

– Dziękuję. To było dyskretne i ściśle towarzyskie spotkanie, ale obawiam się, że już się o nim mówi.

– A teraz zabierasz żonę do Rosji.

– Księżniczka jest Rosjanką. Chce odwiedzić brata. To długo odkładana podróż.

– I Gus Dewar jedzie z wami?

Wydawało się, że C wie wszystko.

– Podróżuje po świecie. Nasze plany się zbiegły.

C wygodniej rozsiadł się w fotelu.

– Czy wiesz, dlaczego admirał Aleksiejew został głównodowodzącym rosyjskiej armii podczas wojny z Japonią, chociaż nic nie wiedział o walce na lądzie? – zapytał tonem towarzyskiej pogawędki.

Spędziwszy jako chłopiec sporo czasu w Rosji, Fitz śledził przebieg wojny rosyjsko-japońskiej w latach 1904–1905, ale nie znał tej historii.

– Ty mi to powiedz.

– No cóż, wygląda na to, że arcyksiążę Aleksy był zamieszany w bijatykę w marsylskim burdelu i został aresztowany przez francuską policję. Aleksiejew przyszedł mu z pomocą i powiedział żandarmom, że to on, a nie arcyksiążę niewłaściwie się zachował. Podobieństwo nazwisk uwiarygodniło tę bajeczkę i arcyksięcia wypuszczono z aresztu. Nagrodą dla Aleksiejewa było stanowisko głównodowodzącego.

– Nic dziwnego, że przegrali wojnę.

– Pomimo to Rosjanie mogą wystawić największą armię na świecie, według niektórych obliczeń sześciomilionową, zakładając, że zmobilizują rezerwistów. Obojętne, jak niekompetentni będą

ich dowódcy, to duża siła. Tylko jak skuteczna byłaby, powiedzmy, podczas wojny w Europie?

– Nie byłem tam od ślubu. Nie jestem pewny.

– My też nie. I teraz wkraczasz ty. Chciałbym, żebyś to sprawdził, gdy tam będziesz.

Fitz nie krył zdziwienia.

– Przecież z pewnością może to zrobić nasza ambasada.

– Oczywiście. – C wzruszył ramionami. – Tylko że dyplomaci zawsze są bardziej zainteresowani polityką niż sprawami wojskowymi.

– Mimo to mają attache wojskowego.

– Człowiek z zewnątrz, taki jak ty, może spojrzeć na to z innej perspektywy, w taki sam sposób, w jaki wasza grupka w Ty Gwyn dała królowi coś, czego nie mógł uzyskać od Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeśli jednak uważasz, że nie podołasz...

– Nie odmawiam – pospieszenie zapewnił Fitz. Wprost przeciwnie, był rad, że proszono go, by zrobił coś dla ojczyzny. – Tylko dziwię się, że robi się to w taki sposób.

– Jesteśmy nowo stworzonym departamentem o skromnych środkach. Moimi najlepszymi informatorami są inteligentni podróźnicy, mający należyte wojskowe przygotowanie i rozumiejący to, co widzą.

– Bardzo dobrze.

– Chętnie dowiedziałbym się, czy twoim zdaniem rosyjska kadra oficerska poczyniła jakieś postępy od tysiąc dziewięćset piątego roku. Czy zmodernizowali armię, czy też wciąż są przywiązani do starych poglądów. Spotkasz się ze wszystkimi ważnymi osobistościami w Sankt Petersburgu. Twoja żona jest spokrewniona z połową z nich.

Fitz myślał o ostatniej wojnie, w której wzięła udział Rosja.

– Głównym powodem ich klęski w wojnie z Japonią były niedostatecznie rozbudowane linie kolejowe, niezapewniające wystarczającego zaopatrzenia dla armii.

– Jednak od tamtego czasu starali się rozbudować sieć kolejową dzięki pieniądzom pożyczonym od Francji, ich sojusznika.

– Ciekawe, czy poczynili jakieś postępy?

– To kluczowe pytanie. Będziesz podróżował koleją. Czy pociągi jeżdżą punktualnie? Miej oczy otwarte. Linie są przeważnie jednotorowe czy dwutorowe? Niemieckie dowództwo ma plan obrony oparty na szybkości ewentualnej mobilizacji rosyjskiej armii. W razie wojny dużo będzie zależało od dokładności tych wyliczeń.

Fitz był podniecony jak uczeń, ale starał się tego nie okazywać.

– Dowiem się, czego będę mógł.

– Dziękuję.

C spojrział na zegarek.

Fitz wstał i uścisnęli sobie dłonie.

– Kiedy dokładnie jedziecie? – zapytał C.

– Wyjeżdżamy jutro – odparł Fitz. – Do widzenia.

II.

Grigorij Peszków patrzył, jak jego młodszy brat Lew bierze pieniądze od wysokiego Amerykanina. Na urodziwej twarzy Lwa malowało się chłopięce uniesienie, jakby jego głównym celem było popisanie się zręcznością. Grigorij poczuł nagły przypływ niepokoju. Obawiał się, że pewnego dnia urok może nie wystarczyć, żeby wyciągnąć Lwa z kłopotów.

– To próba pamięci – powiedział po angielsku Lew. Nauczył się tych słów na pamięć. – Weź dowolną kartę.

Musiał podnieść głos, żeby było go słychać przez szcęk fabrycznych urządzeń, syk pary oraz ludzi wykrzykujących polecenia i pytania.

Gość nazywał się Gus Dewar. Miał na sobie marynarkę, kamizelkę i spodnie z dobrej szarej wełny. Grigorij zainteresował się nim, ponieważ pochodził z Buffalo.

Dewar był przyjacielskim młodzieńcem. Wzruszając ramionami, wziął kartę z talii Lwa i popatrzył na nią.

— Połóż ją na stole kolorem na dół — polecił Lew.

Dewar położył kartę na drewnianym stole warsztatowym.

Lew wyjął z kieszeni banknot jednorublowy i umieścił na karcie.

— Teraz ty połóż na niej dolara.

Tak można było robić tylko z bogatymi gośćmi.

Grigorij wiedział, że Lew już zamienił kartę. W ręku miał inną, ukrytą pod banknotem jednorublowym. Ta sztuczka — którą Lew ćwiczył godzinami — polegała na zabraniu pierwszej karty i ukryciu jej w dłoni natychmiast po położeniu banknotu i nowej karty.

— Jest pan pewny, że stać pana na utratę dolara, panie Dewar? — spytał Lew.

Dewar uśmiechnął się, jak każdy jelen w tym momencie.

— Tak sędzę — powiedział.

— Pamięta pan swoją kartę?

Lew nie znał angielskiego, ale te zdania potrafił wypowiedzieć również po niemiecku, francusku i włosku.

— Piątka pik — powiedział Dewar.

— Nie.

— Jestem tego pewny.

— Niech pan ją odwróci.

Dewar odwrócił kartę. Była nią dama trefl.

Lew wziął banknot dolarowy i swojego rubla.

Grigorij wstrzymał oddech. To był niebezpieczny moment.

Czy Amerykanin uzna, że został okradziony, i oskarży Lwa?

Dewar uśmiechnął się smutno.

— Załatwił mnie pan — westchnął.

Dość tego, Lew zamierzał nadużyć swojego szczęścia. Chociaż miał już dwadzieścia lat, Grigorij wciąż musiał się nim opiekować.

— Niech pan nie gra z moim bratem — powiedział Grigorij do

Dewara po rosyjsku. — On zawsze wygrywa.

Dewar uśmiechnął się i odrzekł powoli w tym samym języku:

— To dobra rada.

Dewar był pierwszym z małej grupki gości odwiedzających Zakłady Putiłowskie. Była to największa fabryka w Sankt Petersburgu, zatrudniająca trzydzieści tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Grigorij miał pokazać gościom swój mały, lecz ważny dział.

Fabryka produkowała lokomotywy i inne duże wyroby ze stali.

Grigorij był brygadzystą warsztatu, który wytwarzał koła do lokomotyw i wagonów.

Korciło go, żeby porozmawiać z Dewarem o Buffalo. Zanim jednak zdążył zadać pytanie, pojawił się nadzorca odlewni, Kanin. Był wykwalifikowanym inżynierem, wysokim i łysiejącym.

Towarzyszył mu drugi odwiedzający. Był ubrany jak rosyjski arystokrata, we frak i cylinder. Może taki strój nosi klasa rządząca na całym świecie? Grigorij domyślił się, że to angielski lord.

Powiedziano mu, że ten lord to hrabia Fitzherbert. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Grigorij kiedykolwiek widział, o czarnych włosach i skupionych zielonych oczach. Kobiety w warsztacie wpatrywały się w niego jak w obraz.

Kanin odezwał się do Fitzherberta po rosyjsku:

— Produkuje teraz dwie nowe lokomotywy na tydzień.

— Zdumiewające — mruknął Anglik.

Grigorij rozumiał, dlaczego ci cudzoziemcy tak się tym interesują. Czytał gazety i chodził na wykłady oraz dyskusje organizowane przez Petersburski Komitet Bolszewików. Lokomotywy są podstawą zdolności obronnej Rosji. Ci zwiedzający mogą udawać zwykłą ciekawość, ale tak naprawdę zbierają dane wywiadowcze.

Kanin przedstawił Grigorija:

– Peszków jest mistrzem szachowym fabryki.

Kanin pracował w administracji, ale był w porządku.

Fitzherbert był czarujący. Przemówił do Warii, około pięćdziesięcioletniej kobiety w chustce na siwych włosach.

– To bardzo miło, że pokazaliście nam wasze miejsce pracy – powiedział po rosyjsku z uroczym angielskim akcentem.

Waria, muskularna i piersiasta, zachichotała jak uczennica.

Pokaz był przygotowany. Grigorij umieścił bloki żelaza w kubie denno-spustowym i rozpałił ogień w piecu, więc metal już się stopił. Czekali jednak na jeszcze jedną osobę: żonę hrabiego, która podobno jest Rosjanką – stąd jego znajomość rosyjskiego, tak rzadka u cudzoziemców.

Grigorij chciał zapytać Dewara o Buffalo, ale zanim zdążył, do warsztatu weszła żona hrabiego. Jej sięgająca ziemi suknia niczym szczotka zmiatała z podłogi kurz i śmieci. Na suknię włożyła krótki płaszczyk, a za nią podążał lokaj niosący futro, służąca z torbą i jeden z dyrektorów fabryki, hrabia Maklakow, młody człowiek ubrany tak jak Fitzherbert. Maklakow najwyraźniej był pod urokiem pięknego gościa, gdyż uśmiechał się, mówił coś cicho i niepotrzebnie trzymał ją pod rękę. Kobieta była bardzo ładna, miała blond loki i kokieteryjnie pochylała głowę.

Grigorij natychmiast ją poznał. To księżniczka Bea.

Serce zamarło mu w piersi i zrobiło mu się niedobrze. Gwałtownie powstrzymał napływ wspomnień z odległej przeszłości.

Potem, jak zawsze w trudnych chwilach, sprawdził co z bratem.

Czy Lew pamięta? Miał wtedy zaledwie sześć lat. Lew z zaciekawieniem spoglądał na księżniczkę, jakby próbował umiejscowić ją w konkretnej rzeczywistości. Nagle Grigorij zobaczył, że wyraz jego twarzy się zmienił, gdy Lew rozpoznał tę kobietę. Zbladł i skrzywił się, po czym nagle poczerwieniał z gniewu.

Grigorij już był przy nim.

– Zachowaj spokój – szepnął. – Nic nie mów. Pamiętaj, wybieramy się do Ameryki i nic nie może nam w tym przeszkodzić! Lew prychnął z obrzydzeniem.

– Wracaj do stajni – polecił Grigorij.

Lew był stajennym opiekującym się kucykami, które wykorzystywano w fabryce.

Lew jeszcze przez moment przeszywał gniewnym wzrokiem nieświadomą niczego księżniczkę. Wreszcie odwrócił się i odszedł. Niebezpieczeństwo minęło.

Grigorij rozpoczął demonstrację. Skinął na Izaaka, mężczyznę w jego wieku, który był kapitanem fabrycznej drużyny piłkarskiej. Izaak otworzył formę. Potem razem z Warią podnieśli szlifowany drewniany wzornik koła z wieńcem. Sam w sobie był arcydziełem, ze szprychami o eliptycznym przekroju, zwężającymi się o jedną dwudziestą od środka do obrzeża. Koło było przeznaczone dla dużej lokomotywy i szablon był niemal tak wysoki, jak podnoszący go ludzie.

Wcisnęli go w głęboką tacę wypełnioną wilgotną mieszanką formierską. Izaak umieścił na niej pokrywę, aby uformować koło i szprychy, a także zamknąć kokilę.

Otworzyli formę i Grigorij sprawdził wgłębienie pozostawione przez wzornik. Nie dostrzegł żadnych nieregularności. Spryskał formę czarnym oleistym płynem, po czym znów zamknęli kokilę.

– Teraz proszę się cofnąć – powiedział do gości.

Izaak umieścił wylew kubła nad lejkiem na szczycie formy.

Wtedy Grigorij powoli pociągnął za dźwignię przechylając kubeł. Stopiona stal wlała się do formy. Para z mokrego piasku, sycząc, uchodziła przez otwory wentylacyjne. Grigorij wiedział z doświadczenia, kiedy poruszyć dźwignią, zatrzymując strumień.

– Następnym krokiem jest ostateczne uformowanie koła – wyjaśnił. – Ponieważ stopiony metal długo stygnie, mam tu koło

odlane wcześniej.

Było już osadzone na tokarce i Grigorij skinął na Konstantina, tokarza, syna Warii. Chudy i niezgrabny, ciemnowłosy intelektualista Konstantin był przewodniczącym bolszewickiej grupy dyskusyjnej i najlepszym przyjacielem Grigorija. Włączył silnik elektryczny, który szybko obracał kołem, po czym zaczął obrabiać je pilnikiem.

– Proszę trzymać się z daleka od tokarki – ostrzegł gości Grigorij, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wycie maszyny. – Jeśli ktoś jej dotknie, może stracić palec. – Podniósł lewą rękę. – Tak jak ja, kiedy miałem dwanaście lat.

Ze środkowego palca jego dłoni pozostał brzydki kikut. Dostrzegł zirytowaną minę hrabiego Maklakowa, który nie lubił, gdy przypomniano mu o ludzkich kosztach jego zysków. W spojrzeniu księżniczki Bei odraza mieszała się z fascynacją i Grigorij zaczął się zastanawiać, czy nie jest to upiorne zaciekawienie nieszczęściem i cierpieniem. To niezwykle, żeby dama zwiedzała fabrykę.

Dał znak Konstantinowi, a ten zatrzymał tokarkę.

– Następnie wymiary koła są sprawdzane miernikiem szczękowym. – Pokazał narzędzie. – Koła lokomotywy muszą mieć określone wymiary. Jeśli średnica jest większa lub mniejsza o jedną szesnastą cala, czyli tyle, ile ma grafit w ołówku, koło trzeba przetopić i odlać jeszcze raz.

– Ile kół dziennie możecie zrobić? – zapytał łamanym rosyjskim Fitzherbert.

– Przeciętnie sześć lub siedem, uwzględniając odrzuty.

– Jakie są godziny pracy? – zainteresował się Amerykanin Dewar.

– Od szóstej rano do dziewiętnastej, od poniedziałku do soboty. W niedzielę możemy iść do cerkwi.

Do warsztatu wpadł mniej więcej ośmioletni chłopiec ścigany przez krzyczącą kobietę – zapewne jego matkę. Grigorij próbował go złapać, żeby nie podbiegł do pieca. Chłopczyk ominął go i wpadł na księżniczkę Beę, krótko ostrzyżoną głową z łoskotem uderzając ją w żebra. Jęknęła z bólu. Chłopczyk stanął jak wryty. Wściekła księżniczka zamachnęła się i tak mocno uderzyła go w twarz, że się zachwiał, i Grigorij pomyślał, że malec upadnie. Amerykanin powiedział coś po angielsku, zdziwiony i oburzony. W następnej chwili matka porwała dziecko w ramiona i odeszła. Nadzorca Kanin był przestraszony, wiedząc, że mogą go obwinić.

– Czy Wasza Wysokość jest ranna? – zapytał.

Księżniczka Bea była wściekła, ale nabrała powietrza i powiedziała, że nic się nie stało.

Jej mąż i hrabia Maklakow podeszli do niej z zatroskanymi minami. Tylko Dewar nie ruszył się z miejsca, patrząc z dezaprobatą i odrazą. Widocznie zaszokowało go to, że uderzyła dziecko, pomyślał Grigorij. Ciekawe, czy wszyscy Amerykanie mają takie miękkie serca. Policzek to nic. Grigorij i jego brat jako dzieci byli w tej fabryce bici kijem.

Goście ruszyli do wyjścia. Grigorij przestraszył się, że straci okazję wypytania gościa z Buffalo. Zuchwale dotknął ramienia Dewara. Rosyjski szlachcic poczułby się obrażony i odepchnąłby go lub uderzył, lecz Amerykanin tylko odwrócił się do niego z uprzejmym uśmiechem.

– Jest pan z Buffalo w Ameryce? – zapytał Grigorij.

– Zgadza się.

– Mój brat i ja oszczędzamy na wyjazd do Ameryki. Będziemy mieszkali w Buffalo.

– Dlaczego akurat w tym mieście?

– Tutaj, w Sankt Petersburgu, jest rodzina, która wystawia odpowiednie papiery, za opłatą oczywiście, i obiecuje nam pracę u swoich krewnych w Buffalo.

– Co to za ludzie?

– To rodzina Wiałowów. – Wiałowowie byli kryminalistami, ale prowadzili także legalne interesy. Nie budzili zaufania, więc Grigorij chciał sprawdzić, czy mówią w tej sprawie prawdę. – Panie, czy rodzina Vyalovów w Buffalo naprawdę jest wpływowa i bogata?

– Tak – odparł Dewar. – Josef Vyalov zatrudnia kilkaset osób w swoich hotelach i barach.

– Dziękuję – rzekł Grigorij i odetchnął z ulgą. – Dobrze wiedzieć.

III.

Gdy do Bułowniru przyjechał car, Grigorij miał sześć lat i doskonale pamiętał tamten dzień.

Ludzie w wiosce przez wiele dni nie rozmawiali o niczym innym. Wszyscy wstali o świcie, chociaż było oczywiste, że car przed wyjazdem zje śniadanie, tak więc nie może przyjechać wcześniej niż przed południem. Ojciec Grigorija wyniósł z ich jednoizbowej chaty stół i ustawił go przy drodze. Umieścił na nim bochen chleba, wiązankę kwiatów i solniczkę, wyjaśniając swemu starszemu synowi, że to tradycyjne symbole rosyjskiej gościnności. Większość wieśniaków zrobiła to samo. Babka Grigorija zawiązała na głowie nową żółtą chustkę.

Był pogodny jesienny dzień, przed nadejściem zimowych chłodów. Wieśniacy czekali, siedząc w kucki. Starszyna wioski przechadzała się w swoich najlepszych ubraniach, z ważnymi minami, ale czekała tak jak wszyscy inni. Grigorij szybko się znudził i zaczął bawić się w piasku obok chaty. Jego brat Lew miał dopiero roczek i matka jeszcze nosiła go na rękach.

Minęło południe, ale nikt nie wchodził do domu, by ugotować obiad, bojąc się przegapić przejazd cara. Grigorij próbował ugryźć kawałek leżącego na stole chleba i oberwał po uszach, ale matka przyniosła mu miskę zimnej owsianki.

Grigorij nie wiedział, kim ten car jest. Często mówiono o nim w cerkwi jako o kochającym wszystkich wieśniaków i czuwającym nad ich snem, tak więc najwyraźniej był kimś w rodzaju świętego Piotra, Jezusa i archanioła Gabriela. Grigorij zastanawiał się, czy ma skrzydła albo koronę cierniową, czy tylko haftowaną szatę, jak starszyna wioski. W każdym razie było oczywiste, że sam jego widok jest błogosławieństwem dla ludzi, tak jak dla tłumów podążających za Jezusem.

Było późne popołudnie, gdy w oddali pojawiła się chmura kurzu. Grigorij poczuł, jak zadrżała ziemia pod jego walonkami, i niebawem usłyszał tętent podkutych kopyt. Wieśniacy uklękli. Grigorij ukląkł obok babki. Starsi legli na drodze twarzami do ziemi, tak jak robili to, kiedy przyjeżdżali księżniczka Bea i książę Andriej.

Pojawili się pierwsi jeźdźcy, a za nimi zamknięty powóz zaprzężony w cztery konie. Były to największe konie, jakie Grigorij kiedykolwiek widział, i pędziły galopem z bokami lśniącymi od potu, tocząc pianę z pysków. Starsi zrozumieli, że powóz się nie zatrzyma, i pierzchli z drogi, unikając stratowania. Grigorij krzyczał ze strachu, lecz nikt go nie słyszał. Kiedy powóz przejeżdżał obok, jego ojciec zawołał: „Niech żyje car, ojciec ludu!”.

Zanim skończył, powóz minął wioskę. Grigorij nie zdołał dojrzeć pasażerów przez tuman kurzu. Zrozumiał, że nie zobaczy cara, a więc nie otrzyma błogosławieństwa, i wybuchnął płaczem. Matka wzięła ze stołu chleb, odłamała kawałek i dała mu do zjedzenia. Od razu poczuł się lepiej.

IV.

Kiedy o dziewiętnastej kończyła się zmiana w Zakładach Putiłowskich, Lew zwykle szedł grać w karty z kolegami albo napić się z łatwymi dziewczynami. Grigorij często udawał się na jakieś zebranie: wykład o ateizmie, spotkanie socjalistycznej grupy dyskusyjnej, pokaz przezroczy z jakiegoś obcego kraju, czytanie poezji. Jednak tego wieczoru nie miał nic do roboty. Pójdzie do domu, ugotuje sobie polewkę na kolację, zostawi trochę w garnku dla Lwa i wcześniej położy się spać.

Fabryka znajdowała się na południowym krańcu Sankt Petersburga, lasem kominów i hal pokrywając ogromny kawał wybrzeża Bałtyku. Wielu robotników mieszkało w fabryce, jedni w barakach, inni śpiąc przy maszynach. Dlatego było tu tyle biegających wszędzie dzieci.

Grigorij należał do tych, którzy mieszkali poza fabryką. Wiedział, że w socjalistycznym społeczeństwie domy dla robotników będą budowane równocześnie z fabrykami, lecz drapieżny rosyjski kapitalizm pozostawił tysiące ludzi bez dachu nad głową. Grigorij dobrze zarabiał, ale mieszkał w jednopokojowym mieszkanku pół godziny marszu od fabryki. Wiedział, że w Buffalo pracujący w fabrykach mają w domach elektryczność i bieżącą wodę. Mówiono mu, że niektórym założono też telefony, ale to wydawało się równie śmieszne, jak twierdzenie, że ulice są wybrukowane złotem.

Widok Bei przywołał wspomnienia z dzieciństwa. Idąc lodowato zimnymi ulicami, starał się odpędzić nieprzyjemne myśli. Mimo to znów widział drewnianą chatę, w której mieszkali, i święty kąpiel, gdzie wisiały ikony, oraz kąpiel do spania, w którym leżał w nocy, zazwyczaj obok kozy lub cielaka. To, co pamiętał najlepiej, to coś, czego wówczas niemal nie zauważał: zapach. Woń pieca, zwierząt, czarnego dymu lampki naftowej i domowej roboty machorki, którą ojciec palił zawiniętą w skrawki gazet. Okna były pozamykane, a szpary wokół framug uszczelnione szmatami, więc powietrze w chacie było ciężkie. Wyobrażnia przywoływała teraz tę woń, powodując, że zatęsknił za czasami sprzed kosmaru, ostatnimi dniami w jego życiu, kiedy czuł się bezpieczny.

Niedaleko fabryki zobaczył coś, co sprawiło, że przystanął. W kręgu światła rzucanego przez latarnię dwaj policjanci w czarnych mundurach z zielonymi obszyciami przesłuchiwali młodą kobietę. Samodziałowy płaszcz i sposób, w jaki zawiązała chustkę, zdradzały wieśniaczkę właśnie przybyłą do miasta. Na pierwszy rzut oka ocenił jej wiek na szesnaście lat. W tym wieku on i Lew zostali sierotami.

Krępy policjant powiedział coś i poklepał dziewczynę po policzku. Cofnęła się, a drugi policjant się roześmiał. Grigorij pamiętał, jak źle go traktowano, gdy był szesnastoletnim sierotą, i współczuł tej bezbronnej dziewczynie. Wbrew rozsądkowi podszedł do tej trójki.

– Jeśli szukasz Zakładów Putiłowskich, mogę pokazać ci drogę – rzekł, po prostu żeby coś powiedzieć.

Krępy policjant się zaśmiał.

– Pozbądź się go, Ilja.

Jego pomocnik miał małą główkę i złośliwą gębę.

– Zjeżdżaj, śmieciu – warknął.

Grigorij się nie bał. Był wysoki i silny, a mięśnie miał zahartowane od ciężkiej pracy. Od dziecka brał udział w ulicznych bijatykach i od wielu lat żadnej nie przegrał. Lew również. Mimo to lepiej nie zadzierać z policją.

– Jestem brygadzystą w fabryce – powiedział do dziewczyny. – Jeśli szukasz pracy, mogę ci pomóc.

Dziewczyna spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Brygadzysta jest nikim – rzucił krępy policjant.

Mówiąc to, odwrócił się do Grigorija. W żółtym świetle latarni Peszków rozpoznał tę owalną twarz i malującą się na niej tępa

agresję. To Michaił Piński, komendant miejscowego posterunku policji. Grigorij podupadł na duchu. Wdawanie się w kłótnię z komendantem posterunku to szaleństwo, ale za daleko zabrnął, żeby się wycofać.

Dziewczyna odezwała się i z brzmienia jej głosu Grigorij wynioskował, że nie ma więcej niż szesnaście lat.

– Dziękuję, pójdę z panem.

Zobaczył, że jest ładna, o delikatnych rysach twarzy i szerokich zmysłowych ustach.

Grigorij się rozejrzał. Niestety, w pobliżu nie było nikogo – wyszedł z fabryki kilka minut po zakończeniu zmiany. Wiedział, że powinien się wycofać, ale nie mógł zostawić dziewczyny.

– Zaprowadzę cię do biura – powiedział, chociaż było już zamknięte.

– Ona idzie ze mną, prawda, Katerino? – Piński złapał ją, miętosząc jej piersi przez cienki płaszcz i wpychając rękę między jej nogi.

Odskoczyła gwałtownie.

– Trzymaj swoje brudne łapy przy sobie! – krzyknęła.

Z zaskakującą szybkością i precyzją Piński uderzył ją pięścią w usta.

Dziewczyna znów krzyknęła i z jej warg trysnęła krew.

Grigorij się wściekł. Zapominając o ostrożności, zrobił krok do przodu, złapał Pińskiego za ramię i mocno pchnął. Policjant zatoczył się i upadł na kolano. Grigorij odwrócił się do płaczącej Kateriny.

– Uciekaj!

Nagle poczuł silny ból potylicy.

Drugi policjant, Ilja, użył pałki szybciej, niż Grigorij się spodziewał. Ból był potworny i Peszków osunął się na kolana, ale nie stracił przytomności.

Katerina zaczęła uciekać, ale nie odbiegła daleko. Piński złapał ją za nogę i upadła na ziemię.

Grigorij zobaczył opadającą pałkę. Uchylił się i wstał. Ilja zamachnął się jeszcze raz i znów chybił. Grigorij z całej siły uderzył go w skroń. Policjant runął na ziemię.

Peszków odwrócił się i zobaczył Pińskiego stojącego nad Kateriną i kopiącego ją ciężkimi buciorami.

Od strony fabryki nadjechał samochód. Już ich mijał, gdy kierowca gwałtownie zahamował i z piskiem opon zatrzymał wóz pod latarnią.

W dwóch susach Grigorij znalazł się za Pińskim. Zamknął go w niedźwiedzim uścisku, unosząc w powietrze. Piński na próżno wierzgał nogami i machał rękami.

Drzwi samochodu otworzyły się i ku zdziwieniu Grigorija wysiadł z niego Amerykanin z Buffalo.

– Co tu się dzieje? – spytał. Na jego młodej twarzy, oświetlonej blaskiem ulicznej latarni, malowało się oburzenie, gdy zwrócił się do szamoczącego się Pińskiego: – Dlaczego kopiesz bezbronna kobietę?

Mamy szczęście, pomyślał Peszków. Tylko cudzoziemiec może skarcić policjanta kopiącego wieśniaczkę.

Z samochodu za Dewarem wyłoniła się wysoka i chuda postać Kanina, nadzorcy.

– Puść policjanta, Peszków – powiedział do Grigorija.

Grigorij postawił Pińskiego na ziemi. Policjant odwrócił się i Grigorij szykował się do uniku, ale Piński się powstrzymał.

– Zapamiętam cię, Peszków – wycedził głosem ociekającym jadem.

Grigorij jęknął w duchu – podlec zna teraz jego nazwisko.

Katerina z jękiem podniosła się na klęczki. Dewar rycersko pomógł jej wstać.

– Jesteś ranna, panienko?

Kanin był zmieszany. Żaden Rosjanin nie zwróciłby się tak

dwornie do wieśniaczki.

Z wnętrza samochodu dał się słyszeć gniewny i zniecierpliwiony głos księżniczki Bei, mówiącej coś po angielsku.

Grigorij zwrócił się do Dewara:

– Za pozwoleniem wielmożnego pana, zabiorę tę kobietę do lekarza.

Dewar spojrział na Katerinę.

– Takie jest pani życzenie?

– Tak, panie – odparła zakrwawionymi ustami.

– Dobrze.

Grigorij wziął ją za rękę i odciągnął, zanim ktoś wpadł na inny pomysł.

Skręcając za róg, obejrzał się. Dwaj policjanci spierali się pod latarnią z Dewarem i Kaninem.

Wciąż trzymając Katerinę za rękę, przyspieszył kroku, chociaż utykała. Powinni szybko oddalić się od Pińskiego.

– Nie mam pieniędzy na lekarza – jęknęła, gdy tylko minęli róg budynku.

– Mogę ci pożyczyć – powiedział i natychmiast ukłuło go poczucie winy: ma pieniądze na wyjazd do Ameryki, a nie na leczenie sińców ładnych dziewcząt.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

– Naprawdę nie potrzebuję lekarza. Potrzebuję pracy. Możesz zaprowadzić mnie do biura?

Jest dzielna, pomyślał z podziwem. Dopiero co została pobita przez policjanta, a myśli tylko o znalezieniu pracy.

– Biuro jest zamknięte. Powiedziałem tak tylko, żeby zbić z tropu policjantów. Jednak mogę zaprowadzić cię tam rano.

– Nie mam gdzie spać.

Popatrzyła na niego z lękiem. Czy to propozycja? Wiele dziewcząt przybywających ze wsi do miasta kończyło na ulicy. Jej mina świadczyła jednak o tym, że potrzebuje łóżka, ale nie zamierza płacić za nie usługami seksualnymi.

– W domu, w którym mieszkam, jeden pokój dzieli kilka kobiet – rzekł. – Śpią po trzy lub cztery w jednym łóżku, ale znajdują miejsce dla jeszcze jednej.

– Czy to daleko?

Wskazał ulicę biegnącą równolegle do torów kolejowych.

– To tam.

Skinęła głową i po chwili wchodzili do domu. Grigorij zajmował pokój na parterze, na tyłach. Pod ścianą stało wąskie łóżko, które dzielił z Lwem. W pokoju był kominek z gzymsem do podgrzewania jedzenia, a pod wychodzącym na tory oknem stał stół i dwa krzesła. Postawiony na boku kufer służył za nocny stolik z dzbanem i miską do mycia.

Katerina obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem, notując każdy szczegół.

– Masz to wszystko tylko dla siebie? – zapytała.

– Nie, nie jestem aż tak bogaty! Dzielę pokój z bratem.

Przyjdzie później.

Zamyśliła się. Może obawia się, że on oczekuje, iż będzie uprawiała seks z nimi dwoma?

– Mam cię przedstawić kobietom, które mieszkają w tym domu? – zapytał, żeby dodać jej otuchy.

– Będzie na to mnóstwo czasu. – Usiadła na jednym z dwóch krzesel. – Pozwól mi chwilę odpocząć.

– Oczywiście.

Drewno leżało na palenisku gotowe do rozpalenia: zawsze przygotowywał je rano przed pójściem do pracy. Przyłożył zapałkę do szczapek.

Nagle rozległ się potworny huk i Katerina aż podskoczyła.

– To tylko pociąg – uspokoił ją Grigorij. – Dom stoi tuż przy torach.

Nalał do miski wody z dzbanka, po czym postawił na kominku,

żeby ją podgrzać. Usiadł naprzeciwko Kateriny i przyjrzał się jej. Miała proste jasne włosy i bladą cerę. Z początku uznał ją za ładną, ale teraz zobaczył, że jest naprawdę piękna, o orientalnych rysach twarzy sugerujących syberyjskich przodków. Ta twarz zdradzała siłę charakteru, szerokie usta były zmysłowe, lecz zdecydowane, w szarozielonych oczach widział żelazną wolę.

Wargi miała opuchnięte po ciosie Pińskiego.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Przesunęła dłońmi po ramionach, żebrach, biodrach i udach.

– Jestem cała posiniaczona. Jednak odciągnąłeś ode mnie tego zwierzaka, zanim zdążył zrobić mi krzywdę.

Nie zamierzała uzalać się nad sobą. Podobało mu się to.

– Kiedy woda się zagrzeje, zmyję krew – powiedział.

Jedzenie trzymał w blaszanym pudełku. Wyjął okrawek szynki, wrzucił go do rondelka i zalał wodą. Umył rzepę i zaczął kroić na plasterki, wrzucając do garnka. Zauważył spojrzenie Kateriny i jej zdziwioną minę.

– Czy twój ojciec gotował?

– Nie – odparł Grigorij i w mgnieniu oka cofnął się w czasie do chwili, gdy miał jedenaście lat. Nie zdołał dłużej powstrzymać koszmarnych wspomnień o księżniczce Bei. Z łoskotem odstawił rondel na stół, po czym usiadł na skraju łóżka i ukrył twarz w dłoniach, przytłoczony smutkiem. – Nie – powtórzył – mój ojciec nie gotował.

V.

Przybyli do wioski o świcie: dowódca miejscowego regimentu i sześciu kawalerzystów. Gdy tylko matka usłyszała stukot podków, wzięła Lwa na rękę. Miał sześć lat i był ciężki, ale matka była barczysta i silna. Złapała Grigorija za rękę i wybiegła z domu. Jeźdźców prowadziła starszyzna wioski, która widocznie spotkała się z nimi na drodze. Ponieważ chata miała tylko jedno drzwi, rodzina Grigorija nie miała gdzie się ukryć i na ich widok kawalerzyści popędzili konie.

Matka pognała za róg, płosząc kury i kozę, która zerwała sznurek i też zaczęła uciekać. Biegli przez ugór za domem w kierunku drzew. Może zdołaliby uciec, ale Grigorij nagle uświadomił sobie, że nie ma z nimi babki. Zatrzymał się i wyrwał rękę.

– Zapomnieliśmy o babce! – pisnął.

– Ona nie może biec! – krzyknęła matka.

Grigorij o tym wiedział. Babcia ledwo chodziła. Mimo to czuł, że nie powinni jej zostawiać.

– Griszka, chodź! – Matka biegła dalej, wciąż niosąc Lwa, który teraz wrzeszczał ze strachu. Grigorij podążył za nimi, lecz ta krótka zwłoka okazała się fatalna. Jeźdźcy dogonili ich, podjeżdżając z dwóch stron. Odcięli im drogę do lasu. Zdesperowana matka wbiegła do stawu, lecz jej nogi ugrzęzły w mule i zwolniła, a w końcu upadła w wodę.

Żołnierze ryknęli śmiechem.

Związali matce ręce i poprowadzili z powrotem.

– Dopilnujcie, żeby chłopcy też poszli – powiedział ich dowódca. – To rozkaz księcia.

Ojca Grigorija zabrano tydzień wcześniej razem z dwoma innymi. Poprzedniego dnia cieśle księcia Andrieja zbudowali szubienicę na północnej łące. Teraz, gdy Grigorij siedł tam za matką, zobaczył trzech mężczyzn stojących na podeście, ze związanymi rękami i nogami i powrozami na szyjach. Obok szubienicy stał pop.

– Nie! – krzyknęła matka.

Zaczęła szarpać sznur, którym miała związane ręce. Kawalerzysta wyjął karabin z olstra przy siodle, obrócił go i uderzył ją kolbą w twarz. Przestała się szarpać i zaczęła płakać.

Grigorij wiedział, co to oznacza: ojciec ma tu umrzeć. Widział, jak starszyna wioski wieszala złodziei koni, chociaż wtedy było inaczej, gdyż ofiarami byli ludzie, których nie znał. Przerazenie ścisnęło mu gardło, poczuł się odrętwiąły i słaby.

Może coś się stanie i zapobiegnie egzekucji. Car mógłby interweniować, jeśli naprawdę strzeże swego ludu. A może anioł. Grigorij poczuł, że ma mokrą twarz, i uświadomił sobie, że płacze. Razem z matką musieli stanąć przed szubienicą. Inni wieśniacy zgromadzili się wokół. Tak jak matkę, przywleczono tu żony dwóch pozostałych mężczyzn, wrzeszczące i płaczące, ze związanymi rękami, z dziećmi trzymającymi się ich spódnic i wyjącymi z przerażenia.

Na polnej drodze obok pola stał zamknięty powóz zaprzężony w dwa konie kasztanowatej maści, które skubały przydrożną trawę. Z powozu wyłoniła się czarnobroda postać w długim ciemnym płaszczu: ksiązę Andriej. Odwrócił się i podał rękę swojej młodszej siostrze, księżniczce Bei. Na ramiona narzuciła futro chroniące ją przed porannym chłodem. Grigorij mimo woli zauważył, że księżniczka jest piękna. Z jasnymi włosami i białą skórą wyglądała jak anioł, choć najwyraźniej była diabłem.

Ksiązę przemówił do wieśniaków:

– Ta łąka należy do księżniczki Bei. Nikt nie może tu wypasać bydła bez jej pozwolenia. Kto to robi, kradnie trawę księżniczki. W tłumie rozległ się pomruk niechęci. Nie uznawali takiej własności, pomimo tego, co mówiono im każdej niedzieli w cerkwi. Trzymali się starej wieśniaczej moralności, a zgodnie z nią ziemia należy do tych, którzy ją uprawiają.

Ksiązę wskazał trzech mężczyzn na podeście.

– Ci głupcy złamali prawo, i to nie raz, ale wiele razy. – Mówił głosem piskliwym z oburzenia, jak dziecko, któremu zabrano zabawkę. – Co gorsza, powiedzieli innym, że księżniczka nie ma prawa ich powstrzymywać i że ziemia nieuprawiana przez właściciela powinna być udostępniana ubogim wieśniakom. – Grigorij często słyszał, jak ojciec mówił takie rzeczy. – W rezultacie ludzie z innych wiosk zaczęli wypasać bydło na ziemi, która należy do szlachetnie urodzonych. Zamiast żałować za grzechy, ci trzej także z innych uczynili grzeszników! Dlatego zostali skazani na śmierć. Skinął na popa.

Ten wszedł po prowizorycznych schodkach na podest i powiedział coś cicho do każdego z trzech skazanych. Pierwszy beznamiętnie skinął głową. Drugi płakał i zaczął się głośno modlić. Trzeci, ojciec Grigorija, napluł popowi w twarz. Nikt nie był tym zaszokowany, bo wieśniacy mieli bardzo złe zdanie o duchownych i Grigorij słyszał, jak ojciec mówił, że ci powtarzają policji wszystko, co usłyszą w konfesjonale.

Pop zszedł po schodach, a ksiązę Andriej dał znak jednemu ze swoich służących, który stał obok z młotem. Dopiero wtedy Grigorij zauważył, że trzej mężczyźni stoją na umocowanej na zawiasach klapie podtrzymywanej od dołu podpórką, i przerażony pojął, że mężczyzna z młotem zamierza wybić podpórę.

Teraz, pomyślał, powinien pojawić się anioł.

Wieśniacy jęknęli. Żony skazanych zaczęły krzyczeć i tym razem żołnierze ich nie uciszali. Mały Lew wpadł w histerię. Zapewne nie rozumie, co się dzieje, pomyślał Grigorij, ale wystraszyły go krzyki matki.

Ojciec nie okazywał żadnych uczuć. Miał twarz jak z kamienia. Patrzył w dal i czekał na śmierć. Grigorij pragnął być tak silny. Starał wziąć się w garść, chociaż chciało mu się wyć. Nie zdołał powstrzymać łez, ale przygryzł wargi i milczał, tak jak ojciec. Sługa zważył w ręce młot, dotknął nim podpórki, przymierzając się do uderzenia, zamachnął się i uderzył. Podpórka poleciała w powietrze, a kłapa z łoskotem opadła na zawiasach. Trzej mężczyźni wpadli w otwór i zawiśli, zatrzymani przez pętle na szyjach.

Grigorij nie mógł oderwać od tego oczu. Patrzył na ojca. Nie

umarł od razu. Otworzył usta, próbując złapać oddech lub krzyknąć, ale nie zdołał. Poczerwieniał i zaczął szarpać więzy. Wydawało się, że trwa to bardzo długo. Jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona.

Potem zsiniał i poruszał się coraz słabiej. W końcu znieruchomiał. Matka przestała krzyczeć i zaczęła szlochać.

Pop modlił się głośno, ale wieśniacy zignorowali go i jeden po drugim odwrócili się plecami do niego i trzech wisielców.

Księżę i księżniczka wsiedli do powozu, po chwili woźnica strzelił batem i odjechali.

VI.

Grigorij uspokoił się, zanim skończył opowieść. Otarł łzy rękawem i znów skupił uwagę na Katerinie. Słuchała go we współczującym milczeniu, ale nie była zaszokowana. Sama zapewne też widziała podobne rzeczy: wieszanie, chłosta i okaleczanie były częstymi karami wymierzonymi chłopom.

Peszków postawił na stole miskę z ciepłą wodą i znalazł czysty ręcznik. Katerina odchyliła głowę do tyłu, a Grigorij powiesił lampę naftową na wbitym w ścianę haku, żeby lepiej widzieć.

Miała skaleczenie na czole i siniec na policzku oraz opuchnięte wargi. Mimo to Grigorijowi zaparło dech, gdy popatrzył na nią z bliska. Odpowiedziała mu otwartym, nieustraszonym spojrzeniem, które uznał za urzekające.

Zamoczył róg ręcznika w ciepłej wodzie.

– Delikatnie – poprosiła.

– Oczywiście.

Zaczął od obmycia jej czoła. Kiedy starł z niego krew, zobaczył, że to tylko zadrapanie.

– Już mi lepiej – wyszeptała.

Obserwowała jego twarz, kiedy to robił. Umył jej policzki i szyję.

– Poranione miejsca zostawiłem na koniec.

– Będzie dobrze. Robisz to tak delikatnie.

Mimo to skrzywiła się, gdy dotknął ręcznikiem jej opuchniętych warg.

– Przepraszam – mruknął.

– Nie przestawaj.

Obmywając rany, zobaczył, że już zaczynają się goić. Miała równe białe zęby młodej dziewczyny. Otarł kąciaki jej szerokich ust. Kiedy się pochylił, jego twarz owionął jej ciepły oddech. Skończył i poczuł lekkie rozczarowanie, jakby czekał na coś, co się nie wydarzyło.

Usiadł i wypłukał ręcznik w wodzie, która była teraz ciemna od krwi.

– Dziękuję – powiedziała. – Masz bardzo delikatne ręce.

Uświadomił sobie, że serce zabiło mu mocniej. Już nieraz obmywał rany, ale nigdy nie był przy tym tak oszołomiony. Czuł, że zaraz zrobi coś niemądrego.

Otworzył okno i wylał wodę, pozostawiając różowy rozbryzg na zasypnym śniegiem podwórzu.

Przyszła mu do głowy szalona myśl, że Katerina może być snem. Odwrócił się prawie pewny, że zobaczy puste krzesło.

Jednak siedziała tam, patrząc na niego niebieskozielonymi oczyma i uświadomił sobie, że chciałby, aby nigdy stąd nie odeszła.

Zrozumiał, że chyba się zakochał.

Nigdy wcześniej o tym nie myślał. Zazwyczaj był zbyt zajęty opieką nad Lwem, żeby uganiać się za dziewczynami. Nie był prawiczkim, uprawiał już seks z trzema kobietami. Za każdym razem było to przygńbiające doświadczenie, być może dlatego, że na żadnej z nich mu nie zależało.

Teraz jednak, pomyślał wstrząśnięty, bardziej niż czegokolwiek

na świecie pragnął położyć się z Kateriną na wąskim łóżku pod ścianą, całować jej poranioną twarz i mówić...

Mówić, że ją kocha.

Nie bądź głupi, powiedział sobie. Poznałeś ją godzinę temu.

Ona nie potrzebuje od ciebie miłości, ale pożyczki, pracy i miejsca do spania.

Z trzaskiem zamknął okno.

– A więc gotujesz dla brata i masz delikatne ręce, a jednak jednym ciosem potrafisz zwalić z nóg policjanta – zauważyła.

Nie wiedział, co odrzec.

– Opowiedziałeś mi, jak zginął twój ojciec – ciągnęła. –

Jednak twoja matka też umarła, kiedy byłeś mały, prawda?

– Skąd wiesz?

Katerina wzruszyła ramionami.

– Ponieważ musiałeś matkować bratu.

VII.

Umarła dziewiątego stycznia 1905 roku według starego rosyjskiego kalendarza. Była niedziela, którą później zaczęto nazywać Krwawą Niedzielą.

Grigorij miał szesnaście lat, a Lew jedenaście. Tak jak matka, obaj chłopcy pracowali w Zakładach Putiłowskich. Grigorij był terminatorem w odlewni, a Lew zamiataczem. Tamtego styczniowego ranka wszyscy troje strajkowali razem z ponad stu tysiącami robotników innych fabryk w Sankt Petersburgu, żądając ośmiogodzinnego dnia pracy i prawa do zakładania związków zawodowych. Rankiem dziewiątego stycznia włożyli najlepsze ubrania i poszli, trzymając się za ręce i deptając świeży śnieg, do cerkwi w pobliżu zakładów. Po mszy dołączyli do tysięcy robotników maszerujących ze wszystkich dzielnic miasta ku Pałacowi Zimowemu.

– Dlaczego musimy maszerować? – jęczał mały Lew, który wolałby grać w piłkę w zaułku.

– Ze względu na waszego ojca – odpowiedziała matka. –

Ponieważ książęta i księżniczki to banda morderców. Ponieważ musimy obalić cara i jemu podobnych. Ponieważ nie spocznię, póki Rosja nie stanie się republiką.

Był piękny petersburski dzień, zimny, lecz suchy, i słońce ogrzewało Grigorijowi twarz, a serce rozpalala myśl o braterstwie w słusznej sprawie.

Ich przywódca, ojciec Gapon, był niczym prorok ze Starego Testamentu – z długą brodą, mówiący biblijnym językiem i z błyskiem chwały w oczach. Nie był rewolucjonistą. Jego kluby samopomocy, aprobowane przez rząd, rozpoczynały wszystkie posiedzenia od modlitwy do Pana i kończyły się hymnem państwowym.

– Teraz rozumiem, kim car chciał uczynić Gapona – rzekł Grigorij do Kateriny dziewięć lat później, w pokoju z widokiem na tory. – Zaworem bezpieczeństwa, mającym zmniejszyć parcie do reform poprzez nieszkodliwe popijanie herbatki i wiejskie potańcówki. Nie udało się.

W długiej białej szacie i z krucyfiksem w ręku, Gapon poprowadził pochód ku Bramie Narwskiej. Grigorij, Lew i ich matka szli obok niego. Zachęcał, by rodziny kroczyły na przedzie, mówiąc, że żołnierze nigdy nie strzelą do dzieci. Za nimi dwaj mężczyźni nieśli duży portret cara. Gapon mówił im, że car jest ojcem swego ludu. Wysłucha jego płaczu, wyda rozkaz bezdusznym urzędnikom i przystanie na rozsądne żądania robotników.

– Pan Jezus rzekł: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”, i car mówi to samo! – krzyknął Gapon i Grigorij mu uwierzył.

Zbliżyli się do Bramy Narwskiej, ogromnego łuku triumfalnego, i Peszków pamiętał, że spoglądał na rydwan zaprzężony w szóstkę olbrzymich koni, gdy szwadron kawalerii zaatakował maszerujących. Miał wrażenie, że mosiężne posągowe konie nagle ożyły.

Jedni demonstranci uciekli, inni padli, stratowani kopytami. Grigorij zastygł przerażony, tak samo jak matka i Lew.

Żołnierze nie dobyli broni i wydawało się, że chcą tylko rozproszyć tłum, ale robotników było zbyt wielu, więc po kilku minutach kawalerzyści zawrócili i odjechali.

Pochód ruszył dalej, lecz już w innym nastroju. Grigorij wyczuł, że ten dzień może nie zakończyć się pokojowo. Myślał o wszystkich wrogich im siłach: szlachcie, urzędnikach i wojskowych. Jak daleko się posuną, żeby nie pozwolić ludowi porozmawiać z carem?

Niemal natychmiast otrzymał odpowiedź. Patrząc ponad głowami idących przed nim, zobaczył szeregi piechoty i z dreszczem zgrozy uświadomił sobie, że żołnierze są gotowi do otwarcia ognia. Ludzie zwolnili, gdy pojęli, co się dzieje. Ojciec Gapon, stojący na wyciągnięcie ręki od Grigorija, odwrócił się i krzyknął do wiernych:

– Car nigdy nie pozwoli, by żołnierze strzelali do jego ukochanego ludu!

Rozległ się ogłuszający huk, jakby grad bębnił o blaszany dach, gdy żołnierze oddali salwę. Grigorij poczuł kwaśny odór prochu strzelniczego i lęk żelazną dłonią ścisnął mu serce.

– Nie bójcie się, oni strzelają w powietrze! – znów krzyknął pop.

Padły następne strzały, lecz kule znów nikogo nie trafiły, jednak Grigorija skręcało ze strachu.

Potem była trzecia salwa i tym razem kule nie poszły w niebo. Grigorij usłyszał krzyki i zobaczył upadających ludzi. Przez moment rozglądał się zaszokowany, a potem matka mocno go popchnęła, krzycząc: „Padnij!”. Przypadł do ziemi. Matka przewróciła Lwa i nakryła go własnym ciałem.

Umrzemy tutaj, pomyślał Grigorij, z sercem bijącym głośniejsz od wystrzałów.

Strzelanina nie cichła. Ludzie rzucili się do panicznej ucieczki, deptając Grigorija ciężkimi buciorami, ale matka osłoniła głowy jego i Lwa. Leżeli, drżąc, a wokół nich słychać było strzały i krzyki.

Potem strzelanina ustała. Matka się poruszyła i Grigorij podniósł głowę, żeby się rozejrzeć. Ludzie uciekali na wszystkie strony, krzycząc, ale już nie tak głośno.

– Wstańcie, idziemy – powiedziała matka, więc podnieśli się z ziemi i uciekli, przeskakując przez nieruchome ciała i omijając krwawiących rannych. Dotarli do bocznej uliczki i zwolnili.

– Posikałem się! – szepnął Lew do Grigorija. – Nie mów mamie!

W matce zagotowała się krew.

– Jednak porozmawiamy z carem! – krzyknęła i ludzie przystawali, patrząc na jej szeroką twarz wieśniaczki i pałające spojrzenie. Miała donośny głos, który niósł się echem po ulicy. – Nie powstrzymają nas! Musimy iść do Pałacu Zimowego!

Kilka osób odpowiedziało gromkimi okrzykami, a inni tylko kiwali głowami. Lew zaczął płakać.

– Dlaczego to zrobiła? – spytała słuchająca tej opowieści dziewięć lat później Katerina. – Powinna zaprowadzić dzieci do domu!

– Zwykła mówić, że nie chce, by jej synowie żyli tak jak ona – odparł Grigorij. – Myślę, że uważała, iż lepiej umrzeć niż porzucić nadzieję na lepsze życie.

– To odważne słowa – powiedziała w zadumie Katerina.

– To więcej niż odwaga – stanowczo rzekł Grigorij. – To

bohaterstwo.

– Co zdarzyło się potem?

Wkroczyli do centrum miasta wraz z tysiącami innych. Gdy słońce weszło wysoko nad zasypanymi śniegiem ulicami, Grigorij rozpiął płaszcz i rozwiązał szalik. To był długi spacer dla małego Lwa, ale chłopiec był zbyt wstrząśnięty i przestraszony, żeby protestować.

W końcu dotarli na Newski Prospekt, szeroki bulwar biegnący przez centrum miasta. Już zebrało się tam mnóstwo ludzi. Tramwaje i omnibusy jeździły tam i z powrotem, a dorożki niebezpiecznie lawirowały w tłumie – Peszków pamiętał, że wtedy nie było jeszcze samochodów.

Spotkali Konstantina, tokarza z Zakładów Putiłowskich. Oznajmił złowieszczo, że w innych częściach miasta też zabito robotników. Jednak matka nie zwołniała kroku, a idący za nią wyglądali na równie zdeterminowanych. Mijali sklepy z niemieckimi pianinami, robionymi w Paryżu kapeluszeniami i specjalnymi srebrnymi misami na szklarniowe róże. Mówiono Grigorijowi, że w tutejszych sklepach jubilerskich szlachetnie urodzony może wydać więcej na błyskotki dla kochanki, niż robotnik w fabryce zarabia przez cały rok. Minęli kino *Soleil*, do którego Grigorij bardzo chciał kiedyś pójść. Straganiarze robili doskonałe interesy, sprzedając herbatę z samowarów i kolorowe baloniki dla dzieci.

Na końcu ulicy dotarli do trzech symboli wielkości Petersburga, stojących obok siebie na brzegu skutej lodem Newy: konnego pomnika Piotra Wielkiego, nazywanego Jeźdźcem z Brazu, wysokiego gmachu Admiralicji i Pałacu Zimowego. Kiedy mając dwanaście lat, po raz pierwszy zobaczył ten pałac, nie mógł uwierzyć, że w takim dużym budynku naprawdę mieszkają ludzie. Wydawało się to niepojęte, jak coś wziętego z bajki, magiczny miecz lub czapka niewidka.

Plac przed pałacem był zasypany śniegiem. Na jego drugim końcu, przed ciemnoczerwonym budynkiem, stali w szyku kawalerzyści, strzelcy w długich płaszczach oraz działo. Ludzie zgromadzili się na skraju placu, zachowując bezpieczną odległość, bojąc się żołnierzy, ale z sąsiednich ulic wciąż napływali nowi, niczym mniejsze rzeki wpadające do Newy, i Grigorij nieustannie był popychany do przodu. Ze zdziwieniem zauważył, że nie wszyscy obecni to robotnicy: było tam wielu odzianych w ciepłe płaszcze przedstawicieli klasy średniej wracających do domu z cerkwi, niektórzy wyglądali na studentów, a kilku miało na sobie szkolne mundurki.

Matka roztropnie poprowadziła ich dalej od uzbrojonych żołnierzy, do parku Aleksandrowskiego, przed długim żółto-białym budynkiem Admiralicji. Inni ludzie też wpadli na ten pomysł i zgromadził się w tamtym miejscu wzburzony tłum. Stojący tam zwykle mężczyzna, który woził dzieci przedstawicieli klasy średniej sankami zaprzężonymi w renifery, poszedł do domu. Wszyscy mówili o masakrze: w różnych częściach miasta demonstranci zostali ostrzelani lub byli atakowani szablami przez Kozaków. Grigorij rozmawiał z chłopcem w swoim wieku i powiedział mu, co się stało przy Bramie Narwskiej. Wieść o tym, co przydarzyło się innym, jeszcze bardziej wzburzyła demonstrantów.

Grigorij spojrział na długą fasadę Pałacu Zimowego z setkami okien. Gdzie jest car?

– Jak dowiedzieliśmy się później, nie było go tego ranka w Pałacu Zimowym – powiedział Katerinie i w swoim głosie usłyszał gorzkie rozczarowanie. – Nawet nie było go w mieście. Ojciec narodu wyjechał do swojego pałacu w Carskim Siole, by spędzić weekend na przechadzkach po okolicy i grze w domino. Jednak my o tym nie wiedzieliśmy i wzywaliśmy go, prosząc, by się pokazał swoim wiernym poddanym.

Tłum rósł i coraz bardziej stanowczo domagał się widzenia z carem, a niektórzy z demonstrantów zaczęli drwić z żołnierzy.

Wszyscy byli spięci i rozgniewani. Nagle do ogrodu wpadł oddział gwardii, każąc wszystkim wyjść. Grigorij ze strachem i niedowierzaniem patrzył, jak na oślep wymierzają razy batami lub płazują szablami. Spojrzał na matkę, szukając pomocy.

– Nie możemy teraz zrezygnować! – powiedziała.

Grigorij nie wiedział, czego właściwie oni wszyscy spodziewają się po carze. Po prostu był pewny, tak jak każdy z obecnych, że monarcha jakoś ukołi ich żale, jeśli tylko o nich wie.

Inni demonstranci byli równie zdecydowani jak matka i chociaż ci atakowani przez gwardzistów rozpierzchli się, nikt nie opuścił parku.

Wtedy żołnierze zajęli pozycje strzeleckie.

Kilka osób w pierwszych szeregach padło na kolana, zdjęło czapki i przeżegnało się.

– Klęknijcie! – poleciła matka i wszyscy troje uklękli, a wokół nich inni ludzie robili to samo, aż w końcu klęczeli wszyscy.

Zapadła cisza, która przeraziła Grigorija. Patrzył na wycelowane w nich karabiny, a strzelcy spoglądali na nich beznamiętnie jak posągi.

Nagle usłyszał dźwięk trąbki.

To był sygnał. Żołnierze otworzyli ogień. Wokół Grigorija ludzie krzyczeli i padali. Chłopiec, który wspiał się na posąg, żeby lepiej widzieć, z krzykiem runął na ziemię. Jakiś dzieciak spadł z drzewa jak zestrzelony ptak.

Grigorij zobaczył, że matka pada twarzą na bruk. Sądząc, że w ten sposób stara się uniknąć kuli, zrobił to samo. Potem, patrząc na nią, gdy oboje leżeli na ziemi, zobaczył jasnoczerwoną krew rozlewającą się na śniegu wokół jej głowy.

– Nie! – krzyknął. – Nie!

Lew wrzasnął.

Grigorij złapał matkę za ramiona i podniósł. Była bezwładna. Spojrzał na jej twarz. W pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Co to takiego? W miejscu czoła i oczu była bezkształtna miazga.

Lew pierwszy zrozumiał, co się stało.

– Ona nie żyje! – wrzeszczał. – Mama nie żyje, moja mama nie żyje!

Strzały ucichły. Wszędzie wokół ludzie uciekali, kuśtykając lub pełznąąc. Grigorij próbował zebrać myśli. Co powinien zrobić?

Zdecydował, że musi zabrać stąd matkę. Wsunął ręce pod jej pachy i podniósł. Nie była lekka, ale on był silny.

Odwrócił się, szukając drogi do domu. Widział wszystko jak przez mgłę i uświadomił sobie, że płacze.

– Chodź – powiedział do Lwa. – Przestań wrzeszczeć.

Musimy iść.

Na skraju placu zatrzymał ich jakiś starzec o pomarszczonej twarzy i wyblakłych oczach. Miał na sobie niebieskie ubranie robotnika.

– Jesteś młody – powiedział do Grigorija, a w jego głosie była udręka i gniew – nigdy o tym nie zapomnij. Nigdy nie zapomnij o morderstwach, jakie dziś popełnił car.

Chłopak skinął głową.

– Nie zapomnę, panie – obiecał.

– Obyś żył długo. Dostatecznie długo, żeby zemścić się na krwawym carze za wyrządzone dziś zło.

VIII.

– Niosłem ją mniej więcej milę, a potem się zmęczyłem, więc wsiadłem do tramwaju, nadal trzymając ją na rękach – opowiadał Grigorij.

Katerina spojrzała na niego zdumiona. Jej piękna posiniaczona

twarz pobladła ze zgrozy.

– Zawiozłeś ciało matki do domu tramwajem?

Wzruszył ramionami.

– Wtedy nie miałem pojęcia, że zachowuję się dziwnie.

A raczej wszystko to, co wydarzyło się tamtego dnia, było tak dziwne, że w moim postępowaniu nie widziałem niczego niezwykłego.

– A co z ludźmi jadącymi w wagonie?

– Konduktor nic nie powiedział. Pewnie był zbyt zaszokowany, żeby mnie wyrzucić, i oczywiście nie zażądał opłaty za przejazd, której, rzecz jasna, nie mógłbym uiścić.

– Tak więc po prostu usiadłeś?

– Siedziałem, trzymając jej ciało w ramionach, a Lew siedział obok mnie i płakał. Pasażerowie tylko na nas patrzyli. Nie obchodziło mnie, co myślą. Skupiłem się na tym, co muszę zrobić: zawieźć ją do domu.

– Iw ten sposób zostałeś głową rodziny w wieku szesnastu lat?

Peszków przytaknął. Chociaż były to bolesne wspomnienia, skupiona uwaga dziewczyny sprawiała mu ogromną przyjemność. Wpatrywała się w niego i słuchała z otwartymi ustami, a na jej ślicznej twarzy fascynacja mieszała się ze zgrozą.

– Najlepiej pamiętam z tamtych czasów to, że nikt nam nie pomógł – podjął i powróciło to przerażające wrażenie, że jest sam na całym wrogim świecie. To wspomnienie zawsze budziło w nim gniew. To już minęło, powtarzał sobie, mam dom i pracę, a mój brat wyrósł na silnego i przystojnego młodzieńca. Złe czasy to przeszłość. Pomimo to miał ochotę złapać kogoś za gardło, jakiegoś żołnierza, policjanta, ministra lub samego cara, i wycisnąć z niego życie. Zamknął oczy, drżąc, aż atak gniewu minął. – Zaraz po pogrzebie gospodarz nas wyrzucił, mówiąc, że nie będziemy mogli płacić, i zabrał nasze meble, za zaległy czynsz, jak powiedział, chociaż matka nigdy nie zalegała z opłatami. Poszedłem do cerkwi i powiedziałem popowi, że nie mamy gdzie spać.

Katerina zaśmiała się gorzko.

– Domyślam się, co powiedział.

– Tak? – zdziwił się Grigorij.

– Pop zaproponował ci łóżko. Swoje. Tak było ze mną.

– Coś w tym rodzaju. Dał mi kilka kopiejek i posłał mnie po gotowane ziemniaki. Straganu nie było tam, gdzie powiedział, lecz zamiast szukać innego, szybko wróciłem do cerkwi, ponieważ nie podobała mi się jego mina. I rzeczywiście, kiedy wszedłem do zakrystii, ściągał mojemu bratu spodnie.

Katerina pokiwała głową.

– Popi robili mi to, odkąd skończyłam dwanaście lat.

Grigorij był zaszokowany. Zakładał, że ten kapłan to wyjątkowy łajdak. Natomiast Katerina najwidoczniej uważała, że taka deprawacja jest normą.

– Czy oni wszyscy są tacy? – prychnął gniewnie.

– Z moich doświadczeń wynika, że większość z nich.

Z obrzydzeniem pokręcił głową.

– I wiesz, co najbardziej mnie zdziwiło? Kiedy go przyłapałem, nawet się nie zawstydził! Tylko rozzłościł, jakbym przerwał mu medytację nad Biblią!

– Co zrobiłeś?

– Kazałem bratu podciągnąć spodnie i wyszliśmy. Pop chciał, żebym zwrócił mu kopiejki, ale powiedziałem, że to datek na biednych. Wieczorem zapłaciłem nimi za łóżko w noclegowni.

– A potem?

– W końcu dostałem niezłą pracę, skłamawszy, ile mam lat, znalazłem pokój i dzień po dniu nauczyłem się żyć samodzielnie.

– I teraz jesteś szczęśliwy?

– Na pewno nie. Matka chciała dla nas lepszego życia i zamierzam dopilnować, żebyśmy je mieli. Wyjedziemy z Rosji. Zaoszczędziłem już prawie wystarczającą sumę pieniędzy. Pojadę do Ameryki, a kiedy tam dotrę, przyślę pieniądze na bilet dla Lwa. W Ameryce nie mają cara, cesarza ani żadnego króla. Wojsku nie wolno strzelać do każdego. Państwem rządzi naród! Mina dziewczyny zdradzała sceptycyzm.

– Naprawdę w to wierzysz?

– To prawda!

Usłyszeli stukanie w szybę. Katerina była zaskoczona, bo znajdowali się na pierwszym piętrze, ale Grigorij wiedział, że to Lew. Późno w nocy, gdy brama domu była zamknięta, przechodził przez tory na podwórze za domem, wspinał się na dach pralni i wchodził przez okno.

Grigorij otworzył je i brat wgramolił się do środka. Był elegancko ubrany, w marynarce z guzikami z macicy perłowej i kapeluszu z aksamitnym otokiem. Z kieszonki kamizelki wystawał mosiężny łańcuszek zegarka. Włosy miał ostrzyżone w modnym „polskim” stylu, z przedziałką na boku, a nie na środku, jak chesali się wieśniacy. Katerina wyglądała na zaskoczoną i Grigorij odgadł, że nie spodziewała się, iż jego brat jest taki przystojny.

Zwykle Grigorij był zadowolony z przyjscia Lwa, z ulgą widząc go trzeźwego i całego. Teraz jednak żałował, że nie może dłużej pobycć sam na sam z Kateriną.

Przedstawił ich sobie i w oczach ściskającego jej dłoń Lwa dostrzegł błysk zainteresowania. Dziewczyna otarła łzy z policzków.

– Grigorij opowiadał mi o śmierci waszej matki – wyjaśniła.

– Przez dziewięć lat był mi matką i ojcem. – Lew przechylił głowę i pociągnął nosem. – I gotuje dobrą zupę.

Grigorij wyjął miski i łyżki i położył na stole bochen razowego chleba. Katerina opowiedziała Lwu o bójce z policjantem Pińskim. Mówiła o tym tak, że Grigorij wyszedł na odważniejszego, niż się czuł, ale było mu miło, że uważa go za bohatera.

Lew był oczarowany Kateriną. Słuchając, pochylił się, jakby nigdy nie słyszał niczego równie fascynującego, uśmiechał się i kiwał głową, w odpowiednich momentach robiąc zdziwioną lub zniesmaczoną minę.

Grigorij napełnił miski i przystawił do stołu skrzynkę jako trzecie krzesło. Zupa była dobra: dodał do niej cebuli, a kość z szynki nadała rzezie mięsny aromat. Humory się poprawiły, gdy Lew zaczął opowiadać o zabawnych wydarzeniach w fabryce i powtarzał śmieszne powiedzonka ludzi. Rozśmieszył Katerinę. Kiedy skończyli jeść, Lew zapytał ją, jak znalazła się w mieście.

– Mój ojciec umarł, a matka ponownie wyszła za mąż.

Niestety, mój ojczym chyba bardziej lubił mnie niż ją. – Pokręciła głową i Grigorij nie potrafił powiedzieć, czy z zawstydzeniem, czy z dumą. – A przynajmniej tak uważała moja matka i wyrzuciła mnie z domu.

– Połowa ludności Petersburga przybyła tu ze wsi – stwierdził Grigorij. – Wkrótce nie będzie komu uprawiać ziemi.

– Jak tu dojechałaś? – chciał wiedzieć Lew.

Opowiedziała znaną im historię o biletach trzeciej klasy i wyproszonych przejazdach furmankami. Grigorija zauroczył wyraz jej twarzy, kiedy o tym mówiła.

Lew znowu słuchał jej w skupieniu, robiąc zabawne uwagi i zadając pytania.

Grigorij zauważył, że Katerina obróciła się na krzesło i mówi tylko do Lwa.

Jakby mnie tu nie było, pomyślał.

Marzec 1914 roku

i.

– A zatem wszystkie księgi Biblii oryginalnie były napisane w różnych językach, a potem przetłumaczono je na angielski? – zapytał Billy ojca.

– Tak. A Kościół rzymskokatolicki próbował zakazać przekładów. Nie chcieli, żeby tacy ludzie jak my sami czytali Biblię i spierali się z kapłanami.

Kiedy ojciec mówił o katolikach, stawał się niechrześcijański. Wydawało się, że nienawidzi katolicyzmu bardziej niż ateizmu. Jednak uwielbiał dyskusje.

– Gdzie więc są oryginały? – drażył Billy.

– Jakie oryginały?

– Oryginalne księgi Biblii, napisane po hebrajsku i grecku.

Gdzie są przechowywane?

Siedzieli po przeciwnych stronach prostokątnego stołu w kuchni domu przy Wellington Row. Było dobrze po południu. Billy wrócił z kopalni i umył twarz oraz ręce, ale wciąż miał na sobie robocze ubranie. Ojciec powiesił marynarkę i siedział w kamizelce i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, w krawacie, ponieważ po obiedzie wychodził na spotkanie związkowców. Matka odgrzewała gulasz. Gramper siedział z nimi, z lekkim uśmiechem przysłuchując się rozmowie, jakby już to wszystko słyszał.

– Cóż, nie mamy oryginałów – przyznał ojciec. – Uległy zniszczeniu przed wiekami. Mamy kopie.

– Zatem gdzie są te kopie?

– W różnych miejscach... w klasztorach, muzeach...

– Powinny być przechowywane w jednym miejscu.

– Jest więcej niż jedna kopia każdej księgi i niektóre są lepsze od innych.

– Jak jedna kopia może być lepsza od drugiej? Przecież niczym się nie różnią.

– Różnią się. Z biegiem lat znalazły się w nich błędy kopistów. Billy był zaskoczony.

– No to skąd wiemy, która jest właściwa?

– Tak zwani bibliści prowadzą badania, porównując różne wersje i tworząc zunifikowany tekst.

Teraz Billy był wstrząśnięty.

– Czy to oznacza, że nie ma księgi zawierającej prawdziwe Słowo Boże? Ludzie dyskutują i tworzą jej wersję?

– Tak.

– No to skąd wiemy, że mają rację?

Ojciec uśmiechnął się tajemniczo, jak zawsze, kiedy ktoś przypierał go do muru.

– Wierzymy, że jeśli pracują, modlą się, i są pokorni, Bóg ich poprowadzi.

– A jeśli nie?

Matka postawiła na stole cztery miski.

– Nie kłóć się z ojcem – rzuciła.

Ukroiła cztery grube kromki chleba.

– Daj mu spokój, dziewczyno – odezwał się Gramper. –

Pozwól chłopcu zadawać pytania.

– Wierzymy w boską moc – ciągnął ojciec – która sprawi, że Jego słowo dotrze do nas wedle Jego woli.

– To nielogiczne!

Matka znów się wtrąciła:

– Nie mów tak do ojca! Jesteś jeszcze chłopcem i nic nie wiesz.

Billy nie zwracał na nią uwagi.

– Dlaczego Bóg nie pokierował pracą kopistów, nie pozwalając im popełniać błędów, jeśli naprawdę chciał, abyśmy

poznali Jego Słowo?

– Są sprawy, których nie dane nam zrozumieć – odparł ojciec.

Ta odpowiedź była najmniej przekonująca i Billy ją zignorował.

– Jeśli kopiści mogli popełniać błędy, to z pewnością bibliści również.

– Musimy wierzyć, Billy.

– Wierzyć w Słowo Boże, tak, ale nie zgrai profesorów od greki!

Matka usiadła przy stole i odgarnęła z czoła siwiejące włosy.

– Zatem, jak zwykle, ty masz rację, a wszyscy inni się mylą, tak? – spytała.

Ten często używany docinek zawsze Billy'ego bolał, ponieważ był uzasadniony. To niemożliwe, że jest mądrzejszy od wszystkich.

– Nie ja – zaprotestował. – Logika!

– Och, ty i ta twoja logika – prychnęła matka. – Jedz obiad.

Drzwi się otworzyły i weszła pani Dai Kucyk. Przy Wellington Row było to normalne, tylko obcy pukali. Pani Dai miała na sobie fartuch, a na nogach męskie buciorzy. Cokolwiek chciała powiedzieć, było to tak ważne, że wyszła z domu bez kapelusza. Wyraźnie poruszona, wymachiwała jakąś kartką.

– Wyrzucają mnie! – oznajmiła. – Co mam robić?

Ojciec wstał i podsunął jej krzesło.

– Niech pani usiądzie i złapie oddech, pani Dai – rzekł spokojnie. – A teraz proszę dać mi ten list, chcę go przeczytać.

Wyjął go z czerwonej sękatej dłoni kobiety i rozłożył na stole. Billy zauważył, że list napisano na firmowym papierze Celtic Minerals.

– Szanowna Pani Evans – przeczytał ojciec. – Dom pod powyższym adresem jest obecnie potrzebny dla pracującego górnika. – Celtic Minerals zbudowała większość domów w Aberowen. Z biegiem lat niektóre zostały sprzedane lokatorom, jak ten, w którym mieszkała rodzina Williamsów, ale większość nadal wynajmowano górnikom. – Zgodnie z warunkami umowy, niniejszym... – Ojciec zamilkł i Billy widział, że jest wstrząśnięty. – ...niniejszym wypowiadam ją pani w terminie dwutygodniowym! – dokończył.

– Dwutygodniowe wypowiedzenie – powtórzyła matka. – Chociaż nie minęło jeszcze sześć tygodni, od kiedy pochowano jej męża!

– Dokąd mam iść z pięciorgiem dzieci?! – jęknęła pani Dai. Billy też był wstrząśnięty. Jak mogą robić coś takiego kobiecie, której mąż zginął w ich kopalni?

– List jest podpisany „Perceval Jones, prezes zarządu” – dokończył ojciec.

– Jaka umowa? – spytał Billy. – Nie wiedziałem, że górnicy mają jakieś umowy.

– Nie na piśmie – wyjaśnił ojciec. – Ale prawo uważa to za domniemaną umowę. Walczyliśmy już z tym i przegraliśmy. – Zwrócił się do pani Dai: – Zamieszkanie wiąże się z pracą, ale wdowom zwykle pozwala się zostać. Czasem mimo to wyprowadzają się, może żeby zamieszkać u rodziców. Często ponownie wychodzą za mąż, za innego górnika, który przejmuje umowę. Zazwyczaj mają co najmniej jednego chłopca, który zostaje górnikiem, gdy osiąga odpowiedni wiek. Wyrzucanie wdów nie leży w interesie firmy.

– Więc dlaczego chcą się pozbyć mnie i moich dzieci?

– Percevalowi Jonesowi się spieszy – wtrącił się Gramper. – Pewnie sądzi, że cena węgla wzrośnie. To dlatego wprowadzili niedzielną szychtę.

Ojciec pokiwał głową.

– Z jakichś powodów chcą zwiększyć wydobywanie, to pewne.

Jednak nie osiągną tego, eksmitując wdowy. – Wstał. – Nie, jeśli

mogę temu zapobiec.

II.

Eksmitowano osiem kobiet, same wdowy po górnikach, którzy zginęli w eksplozji. Otrzymały identyczne listy od Percevala Jonesa, jak ustalił ojciec, odwiedzwszy tego popołudnia każdą z nich. Zabrał z sobą Billy'ego. Reagowały różnie, od hysterii pani Hywel Jones, która nie mogła przestać płakać, po ponury fatalizm pani Roley Hughes, która powiedziała, że ten kraj potrzebuje gilotyny, jakiej używano w Paryżu, na takich ludzi jak Perceval Jones. Billy gotował się z wściekłości. Czy nie wystarczy, że te kobiety straciły swoich mężów w kopalni? Są wdowami i w dodatku zostaną bez dachu nad głową?

– Czy spółka może tak robić, tato? – zapytał, gdy razem z ojcem schodzili szarymi tarasami ku kopalni.

– Tylko jeśli im na to pozwolimy, chłopcze. Klasa pracująca jest liczniejsza od klasy rządzącej i silniejsza. Są od nas uzależnieni pod każdym względem. Dostarczamy im żywność, budujemy domy i produkujemy ubrania, więc bez nas by wyginęli. Nie mogą nic zrobić, jeśli im na to nie pozwolimy. Zawsze o tym pamiętaj.

Weszli do biura dyrektora, wepchnawszy czapki do kieszeni.

– Dzień dobry, panie Williams – powiedział nerwowo Pryszczaty Llewellyn. – Jeśli zaczeka pan minutkę, zapytam, czy pan Morgan może się z panem spotkać.

– Nie bądź niemądry, chłopcze, oczywiście, że może. – Ojciec, nie czekając na odpowiedź, wszedł do gabinetu.

Billy poszedł za nim.

Maldwyn Morgan przeglądał książkę rachunkową, ale Billy wyczuł, że tylko udaje. Podniósł głowę. Rumiane policzki miał gładko ogolone, jak zawsze.

– Wejdz, Williams – powiedział niepotrzebnie.

W przeciwieństwie do wielu ludzi nie bał się ojca Billy'ego.

Morgan urodził się w Aberowen, był synem dyrektora szkoły i studiował inżynierię. Billy uświadomił sobie, że Morgan i ojciec są do siebie podobni: inteligentni, przekonani o swojej racji i uparci.

– Wie pan, z czym przychodzę, panie Morgan – zaczął ojciec.

– Domyślam się, ale mimo to mi powiedz.

– Chcę, żebyście wycofali nakazy eksmisji.

– Spółka potrzebuje domów dla górników.

– Będą kłopoty.

– Grozisz mi?

– Nie wsiadaj na wysokiego konia – spokojnie ostrzegł ojciec. – Te kobiety straciły mężów w waszej kopalni. Nie czujecie się za to odpowiedzialni?

Morgan się nadał.

– Dochodzenie wykazało, że do wybuchu doszło nie z powodu zaniedbań spółki.

Billy miał ochotę zapytać go, jak inteligentny człowiek może powiedzieć coś takiego i się nie wstydzić.

– Dochodzenie wykazało szereg zaniedbań tak długi, jak pociąg do Paddington: brak osłon urządzeń elektrycznych, brak aparatów tlenowych, brak odpowiednich urządzeń przeciwpożarowych...

– Jednak te zaniedbania nie spowodowały eksplozji ani śmierci górników.

– Nie można było dowieść, że te zaniedbania były powodem wybuchu i śmierci górników.

Morgan wiercił się niespokojnie na krześle.

– Chyba nie przyszedłeś spierać się o wyniki dochodzenia.

– Przyszedłem przemówić ci do rozsądku. Kiedy my roz-

mawiamy, wieść o tych listach rozchodzi się po mieście. – Ojciec wskazał okno i Billy zobaczył, że zimowe słońce zachodzi za górę. – Ludzie mają próby chórów, piją w pubach, spotykają się w kółkach różańcowych, grają w szachy i wszyscy mówią o eksmisji wdów. I możesz się założyć o swoje buty, że są rozgniewani.

– Muszę zapytać cię jeszcze raz: próbujesz zastraszyć spółkę? Billy miał ochotę go udusić, ale ojciec tylko westchnął.

– Posłuchaj, Maldwynie, znamy się jeszcze ze szkolnych czasów. Bądź rozsądny. Wiesz, że w związku są ludzie, którzy będą bardziej agresywni ode mnie.

Mówił o ojcu Tommy'ego Griffithsa. Len Griffiths wierzył w rewolucję i zawsze miał nadzieję, że następny konflikt stanie się iskrą, która wznieci pożar. Ponadto chciał zająć miejsce ojca.

Z pewnością będzie proponował podjęcie drastycznych kroków.

– Mówisz mi, że ogłosiscie strajk? – spytał Morgan.

– Mówię ci, że ludzie będą rozgniewani. Nie mogę przewidzieć, co zrobią. Jednak nie chcę kłopotów i ty też ich nie chcesz. Mówimy o ośmiu domach z ilu? Ośmiuset? Przyszedłem zapytać cię, czy to jest tego warte?

– Spółka już podjęła decyzję – uciał Morgan i Billy wyczuł, że się z tym nie zgadza.

– Poproś zarząd, żeby jeszcze raz ją rozważył. Co to szkodzi?

Billy był zniecierpliwiony ugodową postawą ojca. Przecież może podnieść głos, pogrozić palcem i oskarżyć Morgana o bezduszne okrucieństwo, jakim bezsprzecznie wykazała się spółka. Tak postąpiłby Len Griffiths.

Morgan był niewzruszony.

– Jestem tu, by wykonywać polecenia zarządu, a nie je kwestionować.

– Zatem te eksmisje już zostały zaaprobowane przez zarząd?

Morgan wyglądał na zmieszanego.

– Tego nie powiedziałem.

Jednak tak wynika z twoich słów, pomyślał Billy. Ojciec sprytnie pociągnął go za język. Może jednak spokój to nie taki zły pomysł.

Ojciec zmienił taktykę.

– A jeśli znajdę ci osiem domów, których mieszkańcy są gotowi przyjąć nowych górników jako lokatorów?

– Ci ludzie mają rodziny.

– Możemy wypracować kompromis, jeśli tylko zechcecie – odrzekł powoli ojciec.

– Spółka musi mieć możliwość kierowania swoimi sprawami.

– Nie zważając na konsekwencje?

– To nasza kopalnia. Spółka przeprowadziła badania, negocjowała z hrabią, wydrążyła szyb, kupiła urządzenia oraz zbudowała domy, w których zamieszkali górnicy. Zapłaciliśmy za to wszystko, to nasza własność i nikt nie będzie nam mówił, co mamy robić.

Ojciec włożył czapkę.

– Jednak nie umieściliście tego węgla w ziemi, prawda, Maldwynie? Bóg to zrobił.

III.

Ojciec próbował zarezerwować salę zgromadzeń w ratuszu na zebranie o dziewiętnastej trzydzieści następnego dnia, ale była już zamówiona przez Amatorski Klub Teatralny Aberowen, który miał próbę pierwszej części Henryka IV, więc ojciec zdecydował, że górnicy spotkają się w kaplicy Bethesda. Billy i jego ojciec, z Lenem i Tommym Griffithsem oraz kilkoma innymi aktywnymi związkowcami, obeszlą miasteczko, przekazując ustnie wiadomość o zebraniu oraz rozwieszając odręcznie pisane zawiadomienia w pubach i kaplicach.

O dziewiętnastej piętnaście kaplica była pełna. Wdowy siedziały w pierwszym rzędzie, a wszyscy inni stali. Billy stanął z przodu i nieco z boku, skąd widział twarze zebranych. Tommy Griffiths stał przy nim.

Billy był dumny z odwagi i sprytu ojca, a także z tego, że włożył czapkę, zanim wyszedł z biura Morgana. Jednocześnie pragnął, żeby ojciec był bardziej agresywny. Powinien mówić do Morgana tak, jak przemawia do wiernych w Bethesda, grożąc ogniem piekielnym i siarką tym, którzy nie chcą dostrzec prawdy. Punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści ojciec poprosił o ciszę. Stanowczym głosem kaznodziei odczytał list Percevala Jonesa do pani Dai Kucyk.

– Identyczne listy zostały wysłane do każdej z ośmiu wdów po górnikach, którzy zginęli w wybuchu w kopalni sześć tygodni temu.

– Hańba! – wykrzyknęło kilka osób.

– Mamy taką zasadę, że ludzie mówią tylko wtedy, kiedy przewodniczący zebrania udzieli im głosu, by każdy mógł zostać wysłuchany, zatem będę wdzięczny za przestrzeganie tej zasady nawet w takiej sytuacji jak ta, gdy emocje biorą górę.

– To cholerna podłość! – odezwał się ktoś.

– No, no, Griffie Pritchardzie, proszę bez przekleństw. To jest kaplica, a poza tym są tu panie.

Kilku mężczyzn przyznało mu rację.

– Przepraszam, panie Williams – powiedział Griff Pritchard, który siedział w pubie Dwie Korony, od kiedy po południu skończył szycie.

– Wczoraj spotkałem się z kierownikiem kopalni i oficjalnie poprosiłem go o wycofanie wypowiedzeń, ale odmówił. Dał mi do zrozumienia, że taką decyzję podjęła rada nadzorcza i on nie może jej zmienić ani nawet kwestionować. Nalegałem, żebyśmy przedyskutowali inne możliwości, lecz powiedział, że spółka ma prawo do podejmowania samodzielnych decyzji i nikt nie może jej w tym przeszkadzać. Oto wszystkie informacje, jakie dla was mam. Trochę zbyt powściągliwie, pomyślał Billy. Wolałby, żeby ojciec wezwał zebranych do rewolucji. On jednak tylko wskazał mężczyznę, który podniósł rękę.

– John Sklep Jones.

– Przez całe życie mieszkałem przy Gordon Terrace dwadzieścia trzy – zaczął Jones. – Urodziłem się tam i wciąż tam mieszkam. Jednak mój ojciec zmarł, kiedy miałem jedenaście lat. Matce było bardzo ciężko, ale pozwolono jej tam zostać. Kiedy skończyłem trzynaście lat, poszedłem do pracy w kopalni i teraz płacę czynsz. Zawsze tak było. Nikt nic nam nie mówił o wyrzucaniu.

– Dziękuję, Johnie Jonesie. Masz jakąś propozycję?

– Nie, to wszystko, co mam do powiedzenia.

– Ja mam propozycję – odezwał się jakiś mężczyzna. – Strajk!

Rozległy się chóralne potakiwania.

– Dai Beksa – powiedział ojciec Billy'ego.

– Oto, jak ja to widzę – zaczął kapitan miejskiej drużyny rugby. – Nie powinniśmy spółce na to pozwolić. Jeśli będą mogli wyrzucać z domów wdowy, nikt z nas nie będzie miał pewności, że nasze rodziny są bezpieczne. Człowiek przepracuje całe życie dla Celtic Minerals i zginie w kopalni, a dwa tygodnie później jego rodzina zostanie wyrzucona na ulicę. Dai Związek był w biurze i próbował przemówić do rozumu Morganowi, który Wybył do Merthyr, ale to nic nie dało, tak więc nie mamy innego wyjścia, jak strajkować.

– Dziękuję ci, Dai – powiedział ojciec. – Czy mam to uznać za formalny wniosek o podjęcie akcji strajkowej?

– Tak.

Billy był zaskoczony, że ojciec tak szybko to zaakceptował.

Sądził, że chce uniknąć strajku.

– Głosujmy! – zaproponował ktoś.

– Zanim poddam ten wniosek pod głosowanie – rzekł ojciec – musimy zdecydować, kiedy powinien odbyć się strajk.

Aha, pomyślał Billy, jednak nie akceptuje tej decyzji.

– Możemy rozważyć rozpoczęcie strajku w poniedziałek – ciągnął ojciec. – Do tego czasu moglibyśmy pracować i groźba strajku może skłonić dyrekcję do zmiany stanowiska, tak więc dopięlibyśmy swego, nie tracąc zarobków.

Billy zrozumiał, że ojciec próbuje choćby odwlec strajk.

Jednak Len Griffiths doszedł do tego samego wniosku.

– Mogę zabrać głos, panie przewodniczący? – zapytał.

Ojciec Tommy'ego miał sporą łysinę z wianuszkami czarnych włosów i czarne wąsy. Stał obok ojca, twarzą do zebranych, tak że wydawało się, iż są sobie równi. Ludzie umilkli. Len, tak jak ojciec i Dai Beksa, należał do garstki osób, których zawsze słuchano w pełnym szacunku milczeniu.

– Pytam, czy to rozsądne dawać spółce cztery dni? A jeśli nie zmienia zdania, co wydaje się bardzo możliwe, zważywszy na to, jaki upór wykazywali dotychczas? Wszystko odwlecze się do poniedziałku, niczego nie osiągniemy, a wdowom zostanie o wiele mniej czasu. – Dla większego efektu podniósł nieco głos. – Powiadam, towarzysze: nie ustępujemy ani na cal!

Jego słowa przyjęto owacją, do której przyłączył się Billy.

– Dziękuję, Len – powiedział ojciec. – Zatem mamy dwa wnioski: strajk jutro lub od poniedziałku. Kto jeszcze chce zabrać głos?

Billy patrzył, jak ojciec prowadzi zebranie. Następnym mówcą był Giuseppe „Joey” Ponti, solista męskiego chóru Aberowen, starszy brat Johnny'ego, który chodził z Billym do szkoły. Mimo że miał włoskie nazwisko, urodził się w Aberowen i mówił z takim samym akcentem jak wszyscy obecni w sali. On także opowiedział się za natychmiastowym strajkiem.

– Dla równowagi, czy ktoś opowie się za strajkiem w poniedziałek? – spytał ojciec.

Billy zastanawiał się, dlaczego nie rzucił na szalę swojego autorytetu. Gdyby opowiedział się za poniedziałkiem, mógłby zmienić ich decyzję. Z drugiej strony, gdyby nie zdołał, znalazłby się w niezręcznej sytuacji, kierując strajkiem, któremu jest przeciwny. Billy uświadomił sobie, że ojciec nie może powiedzieć, co o tym myśli.

Trwała ożywiona dyskusja. Cena węgla była wysoka, więc zarząd mógł wytrzymać strajk, ale popyt również był spory i chcieli sprzedać jak najwięcej, dopóki mogą. Nadchodziła wiosna, więc rodziny górników wkrótce będą mogły obyć się bez darmowych przydziałów węgla. Żądania górników miały solidne oparcie w długotrwałej praktyce, ale prawo było po stronie dyrekcji. Ojciec pozwolił na długą dyskusję i niektóre przemowy były nużące. Billy zastanawiał się, co nim kieruje, i odgadł, że ojciec ma nadzieję, iż zebrani otrzeźwieją. W końcu jednak musiał zarządzić głosowanie.

– Najpierw wszyscy ci, którzy nie chcą strajku.

Kilka osób podniosło ręce.

– Teraz opowiadający się za rozpoczęciem strajku w poniedziałek.

Sporo osób głosowało za tym wnioskiem, ale Billy nie był pewny, czy wystarczająco dużo. Wszystko zależało od tego, ile osób wstrzyma się od głosu.

– I wreszcie ci, którzy chcą, by strajk rozpoczął się jutro. Odpowiedział mu chórny okrzyk i las rąk. Wynik nie pozostawiał cienia wątpliwości.

– Przeszedł wniosek rozpoczęcia strajku jutro – ogłosił ojciec.

Nikt nie zaproponował, by policzyć głosy.

Zebranie się skończyło.

– No to jutro wolny dzień – radośnie powiedział Tommy, kiedy wyszli.

– Tak – mruknął Billy. – I bez zarobku.

IV.

Gdy Fitz po raz pierwszy poszedł do prostytutki, próbował ją pocałować – nie dlatego, że chciał, ale zakładał, że powinien to zrobić.

– Nie całuję się – rzuciła gwałtownie z akcentem nizin społecznych i potem nigdy więcej tego nie próbował. Bing Westhampton twierdził, że wiele prostytutek nie chce się całować, co jest dziwne, zważywszy, na jakie rzeczy pozwalają. Może ta trywialna zasada sprawia, że zachowują resztki godności?

Dziewczyny z klasy społecznej Fitz'a nie powinny całować nikogo przed ślubem. Oczywiście robiły to, ale tylko w rzadkich chwilach intymności, w nagle opustoszałej sali balowej lub za rododendronem w wiejskim ogrodzie. Takie momenty były zbyt krótkie, by rozpaść namiętność.

Jedyną kobietą, z którą Fitz się całował, była jego żona Bea.

Oddawała mu swoje ciało jak cukiernik podający tort, wonny, słodki i pięknie udekorowany, by sprawić radość jego oczom.

Pozwalała mu na wszystko, a sama niczego się nie domagała.

Nadstawiała usta do pocałunków i rozchyłała wargi dla jego języka, ale nigdy nie czuł, że pragnie jego dotyku.

Ethel całowała, jakby pozostała jej tylko minuta życia.

Stali w apartamencie Gardenia przy łożu nakrytym kapą, obejmując się. Ssała jego język, przygryzała jego wargi i lizwała szyję, a jednocześnie gładziła włosy, pieściła kark i wsuwała ręce pod kamizelkę, dotykając jego piersi. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie zdyszani, ujęła jego twarz w dłonie i przytrzymała, patrząc mu w oczy.

– Jesteś taki piękny – szepnęła.

Usiadł na skraju łóżka, trzymając ją za ręce, a ona stała przed nim. Wiedział, że niektórzy mężczyźni regularnie uwodzą swoje służące, ale on tego nie robił. Kiedy miał piętnaście lat, zakochał się w pokojówce z ich londyńskiego domu, ale matka domyśliła się tego po kilku dniach i natychmiast wyrzuciła dziewczynę. Jego ojciec tylko się uśmiechnął i stwierdził: „No, ma dobry gust”. Od tamtej pory nie dotknął żadnej służącej. Jednak Ethel nie mógł się oprzeć.

– Dlaczego wróciłeś? – zapytała. – Miałeś przez cały maj zostać w Londynie.

– Chciałem cię zobaczyć. – Widział, że trudno jej w to uwierzyć. – Myślałem o tobie przez cały czas, codziennie, i po prostu musiałem tu wrócić.

Pochyliła się i znów go pocałowała. Nie przerywając pocałunku, powoli położył się na łóżku, pociągając ją za sobą, aż leżała na nim. Była tak szczupła, że ważyła nie więcej niż dziecko. Jej włosy wymknęły się ze spinek i zatopił palce w lśniących puklach. Po chwili zsunęła się z niego i leżała obok, oddychając szybko. Oparł się na łokciu i spojrzał na nią. Powiedziała, że jest piękny, ale ona była najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widział. Policzki miała zarumienione, włosy potargane, a czerwone wargi wilgotne i rozchylone. Ciemne oczy patrzyły na niego z uwielbieniem. Położył dłoń na jej biodrze, a potem pogładził udo. Nakryła jego rękę swoją, przytrzymując ją, jakby w obawie, że posunie się za daleko.

– Dlaczego nazywają cię Fitz? Przecież masz na imię Edward, prawda?

Był pewny, że powiedziała to, starając się ostudzić nieco ich namiętność.

– To zaczęło się w szkole. Wszyscy chłopcy mieli przydomki. Pewnego razu Walter von Ulrich przyjechał do naszego domu na wakacje i Maud przejęła to od niego.

– A przedtem jak nazywali cię rodzice?

– Teddy.

– Teddy – powtórzyła, sprawdzając, jak to brzmi. – Podoba mi się bardziej niż Fitz.

Znowu zaczął gładzić jej udo i tym razem mu pozwoliła.

Całując ją, powoli podciągnął jej długą suknię gospodyni. Nosiła podkolanówki i dotknął jej gołych kolan. Wyżej zaczynały się długie bawełniane majtki. Pogładził jej nogi przez materiał, a potem przeniósł dłoń na spojenie ud. Jęknęła.

– Zdejmij je – szepnęła.

– Nie!

Znalazł tasiemkę w talii i rozwiązał ją jednym pociągnięciem.

Znów złapała go za rękę.

– Przestań.

– Ja tylko chciałem cię tam dotknąć.

– Chcę tego bardziej niż ty – zapewniła. – Jednak nie.

Uklęknął na łóżku.

– Nie zrobimy niczego, czego byś nie chciała. Obiecuję.

Obiema rękami chwycił jej majtki i szarpnięciem rozerwał materiał. Ethel jęknęła, zaskoczona, ale nie zaprotestowała. Znów zamknęła oczy i przesunął rękę. Natychmiast rozchyliła nogi. Miała jeszcze jej tego nie robił. Słabym głosem powiedziała mu, że nie powinien wykorzystywać jej niewinności, ale był zbyt podniecony, żeby słuchać.

Rozpiął spodnie i położył się na niej.

– Nie – jęknęła.

– Proszę.

– A jeśli zajdę w ciążę?

– Wycofam się przed końcem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Wszedł w nią.

Poczuł opór. Jest dziewicą. Znów odezwało się jego sumienie, i tym razem mocniejszym głosem. Przerwał. Jednak teraz to ona była zbyt podniecona. Złapała go za biodra i wciągnęła w siebie, lekko się przy tym unosząc. Poczuł, jak coś pęka, usłyszał jej przenikliwy krzyk i przeszkoda znikła. Gdy się poruszał, Ethel ochoczo weszła w jego rytm. Wreszcie otworzyła oczy i spojrzała mu w twarz.

– Och, Teddy, Teddy – wyszeptała i uświadomił sobie, że ona go kocha.

Ta myśl wzruszyła go do łez, a jednocześnie niewiarygodnie podnieciła, i skończył niespodziewanie szybko. Wycofał się w rozpaczliwym pośpiechu, tryskając nasieniem na jej udo z jękiem namiętności zmieszanej z rozczarowaniem. Położyła rękę na jego głowie i przyciągnęła do siebie, całując żarliwie, po czym zamknęła oczy i wydała cichy okrzyk zdziwienia i rozkoszy – a potem było po wszystkim.

Mam nadzieję, że wyszedłem z niej w porę, pomyślał Fitz.

V.

Ethel wykonywała swoje obowiązki jak zwykle, lecz przez cały czas czuła się tak, jakby miała schowany w kieszeni diament, którego może dotykać od czasu do czasu, gładząc jego śliską powierzchnię i ostre krawędzie, kiedy nikt nie patrzy. W chwilach otrzeźwienia niepokoiła się, co oznacza ta miłość i do czego zmierza, raz po raz przerażona na myśl o tym, co pomyślałby sobie jej bogobojny ojciec socjalista, gdyby się dowie-

dział. Jednak przeważnie czuła się, jakby spadała w próżnię, nie mając czego się złapać. Uwielbiała sposób, w jaki Fitz chodził, pachniał, jego ubrania, dobre maniery, władczy sposób bycia. Uwielbiała również, gdy czasem spoglądał na nią z niedowierzaniem. A kiedy wychodził z sypialni żony ze zbolaną miną, zbierało jej się na płacz. Była zakochana i nie panowała nad sobą. Udawało jej się porozmawiać z nim przynajmniej raz dziennie i skraść kilka chwil na długi, przepełniony tęsknotą pocałunek. Od samego całowania robiła się mokra i czasem w środku dnia musiała pracować majtki. Pozwalał sobie i na inne swawole, ilekroć miał okazję, dotykając jej wszędzie, co jeszcze bardziej ją podniecało. Dwa razy zdołali spotkać się w apartamencie Gardenia i pójść do łóżka. Jedno bardzo zaskoczyło Ethel: kiedy się kochali, Fitz gryzł ją mocno w wewnętrzną stronę uda i w piersi. Ból sprawił, że krzyknęła, zaciskając zęby. Jej krzyk jeszcze bardziej go rozpalił. I chociaż bolesne, podnieciło ją to ugryzienie, a może myśl, że jego pożądanie jest tak silne, iż zmusiło go do takiego postępowania. Nie miała pojęcia, czy to normalne, a nikogo nie mogła o to zapytać.

Jednak najbardziej niepokoiło ją to, że pewnego dnia Fitz może nie wycofać się w porę. To napięcie było tak nieznośne, że niemal poczuła ulgę, gdy on i księżniczka Bea musieli wrócić do Londynu. Zanim wyjechał, namówiła go, żeby nakarmił dzieci strajkujących górników.

– Nie rodziców, ponieważ nie możesz opowiadać się po żadnej ze stron – tłumaczyła – tylko małe dzieci. Strajk trwa już dwa tygodnie i dostają głodowe racje. To nie będzie cię dużo kosztowało. Myślę, że jest ich około pięciuset. Pokochają cię za to, Teddy.

– Moglibyśmy rozstawić namiot na trawniku – powiedział, leżąc na łóżku w apartamencie Gardenia z rozpiętymi spodniami i głową na jej brzuchu.

– I przygotować jedzenie w kuchni – z entuzjazmem dodała Ethel. – Zupę z mięsem i ziemniakami oraz tyle chleba, ile zdołają zjeść.

– A do tego pudding z porzeczkami, tak?

Zastanawiała się, czy ją kocha. W tym momencie czuła, że zrobi wszystko, o co go poprosi: obsypie klejnotami, zabierze do Paryża, kupi jej rodzicom ładny dom. Nie chciała niczego takiego. Ale czego właściwie chciała? Nie wiedziała i nie pozwalała, by jej szczęście maciły pytania o przyszłość, na które nie ma odpowiedzi.

Kilka dni później, w sobotnie popołudnie, stała na wschodnim trawniku, patrząc, jak dzieci z Aberowen jedzą pierwszy darmowy obiad. Fitz nie miał pojęcia, że to jedzenie jest lepsze niż to, jakie dostają, gdy ich ojcowie pracują. Pudding z porzeczkami, w istocie! Rodziców nie wpuszczono, ale większość matek stała za bramą, obserwując swoje szczęśliwe pociechy. Zerknąwszy w tamtym kierunku, Ethel dostrzegła, że ktoś do niej macha, i podeszła podjazdem.

W grupie przed bramą były głównie kobiety. Mężczyźni nie zajmowali się dziećmi nawet podczas strajku. Otoczyły Ethel, wyglądały na poruszone.

– Co się stało? – zapytała.

Odpowiedziała jej pani Dai Kucyk:

– Wszyscy zostali eksmitowani!

– Wszyscy? – powtórzyła Ethel, nie rozumiejąc. – Kto?

– Wszyscy górnicy, którzy wynajmowali domy od Celtic Minerals.

– Wielkie nieba! – Ethel była przerażona. – Niech Bóg ma nas w opiece. – Zaraz jednak szok zastąpiło zdumienie. – Ale dlaczego? W czym to pomoże spółce? Nie będą mieli górników.

– Ci mężczyźni – prychnęła pani Dai – jak zaczną walczyć, myślą tylko o tym, żeby wygrać. Nie ustąpią za żadną cenę.

Wszyscy są tacy sami. Nie żebym nie chciała odzyskać mojego Daia, gdybym mogła.

– To okropne.

Ethel zastanawiała się, skąd kompania weźmie tylu łamistrajków, żeby utrzymać wydobywanie? Jeśli zamkną kopalnię, miasto umrze. Sklepy nie będą miały klientów, szkoły uczniów, a lekarze pacjentów... Jej ojciec też straci pracę. Nikt się nie spodziewał, że Perceval Jones będzie taki uparty.

– Zastanawiam się, co powiedziała by król, gdyby o tym wiedział – rzekła pani Dai.

Ethel też się zastanawiała. Wydawało się, że król naprawdę mi współczuje. Zapewne jednak nie wie, że wdowy wyrzuca się z domów. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Może powinniście mu powiedzieć – podsunęła.

Pani Dai się roześmiała.

– Na pewno to zrobię, kiedy znów się spotkamy.

– Mogłybyście napisać do niego list.

– Nie mów głupstw, Ethel.

– Naprawdę. Powinniście to zrobić. – Popatrzyła na kobiety. – List podpisany przez wdowy, które król odwiedził. Opiszecie w nim, jak wyrzucają was z domów, a całe miasto strajkuje. Zapewne to zwróci jego uwagę.

Pani Dai miała przestraszoną minę.

– Nie chcę napytać sobie biedy.

– Nie masz męża, domu ani dokąd pójść, czy można być w większej biedzie? – powiedziała do niej pani Minnie Ponti, chuda i energiczna blondynka.

– To prawda. Jednak nie wiedziałabym, co napisać. Zacząć od „Szanowny Królu”, „Drogi Jerzy Piąty” czy jak?

– Zaczynasz od: „Miłościwy Panie”. Znam się na tych głupotach z racji mojej pracy. Zróbmy to teraz. Chodźmy do pokoju dla służby.

– A możemy?

– Jestem teraz gospodynią w tym domu, pani Dai. To ja mówię, co kto może robić.

Kobiety poszły za nią podjazdem i na tyły domu, do kuchni. Usiadły przy stole, a kucharz zaparzył im herbatę. Ethel miała zapas zwykłego papieru do pisania, którego używała do korespondencji z dostawcami.

– „Miłościwy Panie”. – Napisała to. – Co dalej?

– Prosimy o wybaczenie zuchwałości, jaką okazujemy, pisząc do Waszej Wysokości – podsunęła pani Dai Kucyk.

– Nie – zdecydowanie odparła Ethel – nie przepraszajcie.

On jest naszym królem i mamy prawo składać petycje. Napiszmy tak: „Jesteśmy wdowami, które Wasza Wysokość odwiedził w Aberrowen po wybuchu w kopalni”.

– Bardzo dobrze – pochwaliła pani Ponti.

– „Byłyśmy zaszczycone tą wizytą, a kondolencje Waszej Wysokości oraz łaskawe współczucie Jej Królewskiej Mości były dla nas pociechą”.

– Masz do tego talent, tak jak twój ojciec – stwierdziła pani Dai.

– Może jednak już dość tych uprzejmości? – zasugerowała pani Ponti.

– W porządku. Teraz do rzeczy. „Prosimy Waszą Wysokość o pomoc, jako naszego króla. Ponieważ nasi mężowie nie żyją, mamy zostać eksmitowane z naszych domów”.

– Przez Celtic Minerals – dodała pani Ponti.

– „Przez Celtic Minerals. Wszyscy górnicy zastrajkowali w naszej obronie, ale teraz i oni są eksmitowani”.

– Nie pisz za dużo – poradziła pani Dai. – Może być zbyt zajęty, żeby to przeczytać.

– No dobrze. Zakończmy tak: „Czy na coś takiego powinno się pozwalać w królestwie Waszej Wysokości?”.

– To trochę zbyt łagodnie – orzekła pani Ponti.

- Nie, tak jest dobrze – uznała pani Dai. – Odwołujemy się do jego poczucia dobra i zła.
- „Mamy zaszczyt być pokornymi i posłusznymi sługami Waszej Wysokości” – zakończyła Ethel.
- Musimy to pisać? –jęknęła pani Ponti. – Ja nie jestem sługą. Bez urazy, Ethel.
- Tak się zwykle pisze. Hrabia kończy tak listy do „Timesa”.
- No to niech będzie.

Ethel wręczyła list siedzącym przy stole kobietom.

- Teraz umieśćcie na dole swoje podpisy i adresy.
- Mam okropny charakter pisma – powiedziała pani Ponti. – Podpisz się za mnie.

Ethel już miała zaprotestować, lecz nagle uświadomiła sobie, że pani Ponti może być niepiśmienna, więc nie spierała się i napisała: „Pani Minnie Ponti, 19 Wellington Row”.

Zaadresowała kopertę.

Jego Wysokość Król

pałac Buckingham

Londyn

Zakleiła kopertę i przykleiła znaczek.

– No, gotowe – oznajmiła.

Kobiety przyjęły to gorącym aplauzem.

Jeszcze tego samego dnia wysłała list.

Odpowiedź nigdy nie nadeszła.

VI.

Ostatnia sobota marca była w Południowej Walii pochmurnym dniem. Nisko wiszące chmury zasłoniły szczyty gór, a w Aberowen uporczywie siąpił deszcz. Korzystając z tego, że hrabia i księżniczka wyjechali do Londynu, Ethel i większość służby opuściła Ty Gwyn i poszła do miasteczka.

Z Londynu przysłano policjantów mających dopilnować eksmisji i stali teraz na każdej ulicy w ociekających wodą grubych pelerynach. „Wdowi Strajk” stał się ogólnokrajową sensacją i reporterzy z Cardiff i Londynu przyjechali pierwszym porannym pociągiem, pałac papierosy i robiąc notatki. Była nawet wielka kamera na statywie.

Ethel stała ze swoją rodziną przed domem i patrzyła. Jej ojca zatrudniał związek zawodowy, a nie Celtic Minerals, a ponadto był właścicielem swojego domu, lecz większość ich sąsiadów wyrzucano na bruk. Przez cały ranek wynosili na ulice swój dobytek: łóżka, stoły i krzesła, garnki i nocniki, obraz, zegar, skrzynki z zastawą i sztuccami, trochę ubrań zawiniętych w gazetę i przewiązanych sznurkiem. Taka kupka niemal bezwartościowych rzeczy leżała przed każdymi drzwiami, niczym ofiary złożone przed ołtarzem jakiegoś bóstwa.

Twarz ojca zdradzała tłumioną wściekłość. Billy miał taką minę, jakby chciał się z kimś bić. Gramper kręcił głową i powtarzał: „Nigdy nie widziałem czegoś takiego, jak żyję siedemdziesiąt lat”.

Matka tylko patrzyła ponuro.

Ethel płakała i nie mogła przestać.

Niektórzy górnicy znaleźli inne zajęcia, ale nie było to łatwe, bo górnik nie potrafi szybko przekwalifikować się na ekspedienta czy konduktora autobusu, a pracodawcy wiedzieli o tym i zbywali ich, jeśli zauważyli pył węglowy pod ich paznokciami. Kilku zaciągnęło się w charakterze palaczy na statki handlowe i pobrało zaliczki, które zostawili żonom przed wypłynięciem. Kilku wyjeżdżało do Cardiff lub Swansea w nadziei znalezienia pracy w stalowniach. Wielu przeprowadzało się do krewnych w sąsiednich miasteczkach. Pozostali po prostu tłoczyli się w domach znajomych niebędących górnikami, chcąc doczekać zakończenia strajku.

– Król nie odpowiedział na list wdów – powiedziała Ethel

do ojca.

– Źle to rozegrałaś – stwierdził bez ogródek. – Spójrz na tę waszą panią Pankhurst. Nie jestem za przyznaniem kobietom prawa do głosowania, ale ona wie, jak zwrócić na siebie uwagę.

– Co powinnam była zrobić? Dać się aresztować?

– Nie trzeba posuwać się tak daleko. Gdybym wiedział, co zamierzacie, poradziłbym wam wysłać kopię listu do „Western Mail”.

– Nie przyszło mi to do głowy.

Ethel jeszcze bardziej przygnębiła myśl, że mogła zrobić coś, co zapobiegłoby eksmisjom, ale na to nie wpadła.

– Redakcja zapytałaby pałac, czy otrzymali list, i królowi trudno byłoby go zignorować.

– A niech to szlag, szkoda, że nie zapytałam cię o radę.

– Nie przeklinaj – upomniała ją matka.

– Przepraszam, mamó.

Londyńscy policjanci patrzyli zdumieni, nie pojmując głupiej dumy i uporów, które do tego doprowadziły. Perceval Jones się nie pokazywał. Reporter „Daily Mail” poprosił ojca o wywiad, ale ta gazeta była wrogo nastawiona do robotników, więc odmówił.

W miasteczku nie było wystarczającej liczby wózków, więc ludzie korzystali z nich po kolei, wywożąc swój dobytek. Trwało to godzinami, lecz po południu ostatnia sterta rzeczy znikła i w zamkach frontowych drzwi pozostały klucze. Policjanci wrócili do Londynu.

Ethel jeszcze przez chwilę stała na ulicy. Okna pustych domów spoglądały na nią niemo, a rynsztokiem monotonnie płynęła deszczówka. Patrzyła na mokre szare dachówki domów, na budynki kopalni rozrzucone na dnie doliny. Dostrzegła kota idącego wzdłuż torów, ale żadnego innego śladu życia. Z maszynowni nie unosił się dym, a wielkie bliźniacze koła windy trwały nieruchome i bezsilne na szczycie wieży, w nieustannie siąpiącym deszczu.

ROZDZIAŁ 5

Kwiecień 1914 roku

i.

Ambasada Niemiec mieściła się w okazałej rezydencji przy Carlton House Terrace, jednej z najelegantszych londyńskich ulic. Z jej okien widać było pełen drzew ogród i wsparty na kolumnach portyk Athenaeum, klubu dla dżentelmenów intelektualistów. Stajnie na tyłach wychodziły na Mail, szeroką aleję biegnącą z Trafalgar Square do pałacu Buckingham.

Walter von Ulrich nie mieszkał tam. Jeszcze. Tylko sam ambasador, książę Lichnowsky, miał ten przywilej. Walter, będący zaledwie attache wojskowym, zajmował kawalerkę przy oddalonym o dziesięć minut Piccadilly. Miał jednak nadzieję, że pewnego dnia zamieszka we wspaniałym apartamencie ambasadora na terenie ambasady. Walter nie był księciem, ale jego ojciec przyjaźnił się z cesarzem Wilhelmem II. Walter mówił po angielsku jak absolwent Eton, którym w istocie był. Przed podjęciem pracy w dyplomacji spędził dwa lata w czynnej służbie wojskowej i ukończył trzyletnią Akademię Wojenną. Miał dwadzieścia osiem lat i robił karierę. Nie pociągał go wyłącznie prestiż i chwała stanowiska ambasadora. Był głęboko przekonany, że nie ma większego zaszczytu, niż służyć ojczyźnie. Jego ojciec podzielał to przekonanie.

Wie wszystkich innych sprawach mieli odmienne zdanie.

Stali w holu ambasady i patrzyli na siebie. Byli tego samego wzrostu, ale Otto był tęższy i łysawy, a jego wąsik staromodnie cienki, natomiast modny wąs Waltera przypominał szczotecznię do

zębów. Dziś mieli na sobie identyczne atlasowe żakiety, pantalone do kolan, jedwabne pończochy i buty z klamrami. Obaj nosili szpady i kapelusze z piórami. Zadziwiająca, ale był to obowiązujący strój podczas prezentacji na angielskim dworze królewskim.

– Wyglądamy, jakbyśmy mieli występować na scenie – narzekał Walter. – Co za idiotyczny kostium.

– Wcale nie. To wspaniała tradycja.

Otto von Ulrich większość życia spędził w szeregach niemieckiej armii. Jako młody oficer podczas wojny francusko-pruskiej poprowadził swoją kompanię przez most pontonowy do bitwy pod Sedanem. Później był jednym z przyjaciół, do których zwrócił się młody cesarz po usunięciu z urzędu Bismarcka, Żelaznego Kancelarza. Teraz Otto dużo podróżował, odwiedzając europejskie stolice jak pszczoła kwiaty, zbierając nektar informacji wywiadowczych i znosząc je do ula. Wierzył w monarchię i pruskie tradycje wojskowe.

Walter również był patriotą, ale uważał, że Niemcy muszą stać się państwem nowoczesnym i egalitarnym. Tak jak ojciec, czuł dumę z naukowych i technologicznych osiągnięć swego kraju oraz ciężko i efektywnie pracujących rodaków, ale sądził, że muszą się sporo nauczyć – demokracji od liberalnych Amerykanów, dyplomacji od przebiegłych Brytyjczyków oraz elegancji od wyrafinowanych Francuzów.

Ojciec i syn opuścili ambasadę, schodząc po szerokich schodach na Mail. Walter miał być przedstawiony królowi Jerzemu V – ceremonia uważana za zaszczyt, chociaż nieprzynosząca żadnych konkretnych korzyści. Młodszy dyplomaci, tacy jak on, zwykle tego zaszczytu nie dostępowali, lecz ojciec Waltera nie miał żadnych oporów przed pociąganiem za odpowiednie sznurki, aby przyspieszyć karierę syna.

– Karabiny maszynowe sprawiają, że broń ręczna pójdzie do lamusa – przekonywał Walter, kontynuując spór, który rozpoczęli wcześniej.

Uzbrojenie było jego specjalnością i żywił przekonanie, że niemiecka armia powinna mieć najnowocześniejszą broń.

Otto był innego zdania.

– Zaczynają się, przegrzewają i są niecelne. Człowiek z karabinem celuje dokładnie. Daj mu karabin maszynowy, a będzie go używał jak węża ogrodowego.

– Kiedy pali ci się dom, nie polewasz go wodą z kubka, choćby nie wiem jak dokładnie. Potrzebujesz węża.

Otto pogroził mu palcem.

– Nigdy nie brałeś udziału w bitwie, więc nie masz pojęcia, jak to jest. Posłuchaj mnie, bo ja to wiem.

Ich spory często kończyły się w ten sposób.

Walter uważał, że pokolenie ojca jest aroganckie. Rozumiał, dlaczego tak się stało. Wygrali wojnę, stworzyli imperium z Prus i kilku mniejszych niezależnych księstw, a potem uczynili Niemcy jednym z najdynamiczniej rozwijających się krajów. To oczywiste, że uważają się za wspaniałych. Jednak przez to stali się nieostrożni.

Po przejściu kilkuset jardów po Mail Walter i Otto skręcili do pałacu St James. Ten szesnastowieczny ceglany budynek był starszy i mniej okazały od sąsiedniego pałacu Buckingham. Podali swoje nazwiska portierowi, ubranemu w taki sam strój jak oni.

Walter był lekko zaniepokojony. Tak łatwo uchybić dworskiej etykiety, a w kontaktach z rodziną królewską nie ma nieistotnych błędów.

Otto zwrócił się po angielsku do portiera:

– Czy jest tu señor Diaz?

– Tak, proszę pana, przybył przed chwilą.

Walter ściągnął brwi. Juan Carlos Diego Diaz był przedstawicielem rządu meksykańskiego.

– Dlaczego interesujesz się Diazem? – spytał po niemiecku, gdy szli przez szereg pomieszczeń o ścianach obwieszonych

mieczami i muszkietami.

– Brytyjska marynarka wojenna przerabia swoje statki z opalanych węglem na opalane ropą.

Walter skinął głową. Większość państw rozwiniętych to robi. Ropa jest tańszym, czystszy i wygodniejszym paliwem – wystarczy ją tłoczyć, zamiast zatrudniać armie umorusanych palaczy.

– A Brytyjczycy mają ropę z Meksyku.

– Kupili meksykańskie szyby naftowe, aby zabezpieczyć dostawy dla swojej floty.

– Jeśli jednak zaczniemy im przeszkadzać w Meksyku, co pomyślą Amerykanie? – zastanawiał się Walter.

Otto postukał się palcem w nos.

– Słuchaj i ucz się. I cokolwiek pomyślisz, milcz.

Oczekujący na przedstawienie królowi zebrali się w przedpokoju. Większość miała na sobie takie same stroje, choć kilku nosiło komiczne operetkowe kostiumy dziewiętnastowiecznych generałów, a jeden – zapewne Szkot – mundurową bluzę i kilt. Walter i Otto przechadzali się, kłaniając się znajomym dyplomatom, aż podeszli do Diaza, przysadzistego mężczyzny z podwiniętymi wąsikami.

– Musicie być zadowoleni z tego, że prezydent Wilson zniósł zakaz sprzedaży broni do Meksyku – powiedział Otto po wymianie wycieczajowych uprzejmości.

– Sprzedaży broni rebeliantom – rzekł Diaz, jakby go poprawiał.

Amerykański prezydent, zawsze mający moralizatorskie zapędy, nie uznał generała Huerty, który doszedł do władzy po zabójstwie swojego poprzednika. Nazywając Huertę mordercą, Wilson popierał rebeliantów, konstytucjonalistów.

– Jeśli broń może być sprzedawana rebeliantom, to z pewnością również rządowi? – zauważył Otto.

Diaz sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Chce pan powiedzieć, że Niemcy są gotowe to zrobić?

– Czego potrzebujecie?

– Z pewnością wiecie, że rozpaczliwie potrzebujemy karabinów i amunicji.

– Moglibyśmy o tym porozmawiać.

Walter był równie zaskoczony jak Diaz. To spowoduje kłopoty.

– Ojciec – zaczął – przecież Stany Zjednoczone...

– Chwileczkę! – Otto podniósł rękę, uciszając go.

– Jak najbardziej powinniśmy o tym porozmawiać – odrzekł Diaz. – Niech mi pan powie jednak, jakie inne tematy mogą się przy tym pojawić?

Domyślił się, że Niemcy chcą czegoś w zamian.

Drzwi sali tronowej otworzyły się i wszedł lokaj z listą. Zaraz miała się zacząć prezentacja, jednak Otto się nie spieszył.

– Podczas wojny niepodległy kraj ma prawo wstrzymać dostawy strategicznych surowców.

– Mówi pan o ropie? – spytał Diaz.

Ropa była jedynym surowcem strategicznym, jaki miał Meksyk.

Otto skinął głową.

– Zatem dalibyście nam broń... – zaczął Diaz.

– Sprzedalibyśmy, nie dali – sprostował Otto.

– Sprzedalibyście nam teraz broń w zamian za obietnicę, że wstrzymamy dostawy ropy dla Anglików, jeśli wybuchnie wojna?

Diaz najwyraźniej nie był przyzwyczajony do zawołanych aluzji tak typowych dla dyplomatycznej konwersacji.

– Może warto by o tym porozmawiać.

W dyplomatycznym języku oznaczało to „tak”.

– Monsieur Honore de Picard de la Fontaine! – oznajmił lokaj i zaczęła się prezentacja.

Otto spojrział ostro na Diaza.

– Chciałbym się od pana dowiedzieć, jak taka propozycja mogłaby zostać przyjęta w Mexico City.

– Uważam, że prezydent Huerta byłby zainteresowany.

– Zatem gdyby niemiecki minister do spraw współpracy z Meksykiem, admirał Paul von Hintze, wystąpił z oficjalną propozycją do waszego prezydenta, nie spotkałby się z odmową? Walter widział, że ojciec pragnie uzyskać jednoznaczną odpowiedź. Nie chciał, by niemiecki rząd narażał się na upokarzające odrzucenie tej propozycji.

Z punktu widzenia zaniepokojonego Waltera w tej dyplomatycznej intrydze upokorzenie nie było największym niebezpieczeństwem dla Niemiec. Stanowiło je ryzyko popsucia stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Jednak trudno mu było przypominać o tym w obecności Diaza.

– Nie spotkałby się z odmową – zapewnił Diaz, odpowiadając na pytanie.

– Jest pan pewny? – naciskał Otto.

– Gwarantuję.

– Ojczy, czy mogę powiedzieć słowo... – zaczął Walter, lecz w tym momencie lokaj zapowiedział:

– Pan Walter von Ulrich!

Walter się zawahał.

– Twoja kolej – szepnął ojciec. – Idź!

Walter odwrócił się i wszedł do sali tronowej.

Brytyjczycy lubili wzbudzać podziw swych gości. Wysoki kolebkowy sufit ozdobiony był rombowymi kasetonami, na obitych czerwonym aksamitem ścianach wisiały ogromne portrety, a tron na końcu długiej sali miał wysoki baldachim z ciemnymi aksamitnymi draperiami. Przed tronem stał król w marynarskim mundurze. Walter z zadowoleniem zobaczył u jego boku znajomą twarz sir Alana Tite'a – niewątpliwie szepczącego do ucha władcy nazwiska przedstawianych.

Walter podszedł i uklonił się.

– Miło znów pana widzieć, von Ulrich – odezwał się król.

Walter miał przygotowaną odpowiedź:

– Mam nadzieję, że Wasza Wysokość znalazł dyskusję w Ty Gwyn interesującą.

– Bardzo! Aczkolwiek przyjęcie przyćmił cię tamtego okropnego zdarzenia.

– Katastrofa w kopalni. Istotnie, to straszne.

– Niecierpliwie oczekuję naszego następnego spotkania.

Walter zrozumiał, że został odprawiony. Szedł tyłem, kłaniając się, jak nakazuje etykieta, aż dotarł do drzwi. Ojciec czekał na niego w sąsiednim pokoju.

– To była krótka rozmowa! – powiedział Walter.

– Wprost przeciwnie, dłuższa niż zwykle – rzekł Otto. – Zazwyczaj król mówi: „Rad jestem, widząc pana w Londynie”, i na tym koniec.

Razem wyszli z pałacu.

– Ci Brytyjczycy pod wieloma względami są godni podziwu, ale słabi – stwierdził Otto, gdy szli do Piccadilly. – Król musi słuchać ministrów, ministrowie podlegają parlamentowi, a członkowie parlamentu są wybierani przez zwyczajnych ludzi. Co to za sposób rządzenia krajem?

Walter nie dał się sprowokować. Uważał, że ustrój polityczny Niemiec jest przestarzały, że słabym parlamentem, niemogącym przeciwstawić się cesarzowi ani generałom, ale już wielokrotnie spierał się o to z ojcem, a ponadto wciąż był zaniepokojony rozmową z meksykańskim dyplomata.

– To, co powiedziałaś Diazowi, było ryzykowne. Prezydentowi Wilsonowi nie spodoba się, że sprzedajemy karabiny Huercie.

– Jakie to ma znaczenie, co pomyśli Wilson?

– Ryzykujemy to, że zyskamy przyjaciela w słabym kraju,

jakim jest Meksyk, a zrobimy sobie wroga z tak silnego państwa, jakim są Stany Zjednoczone – tłumaczył Walter.

– W Ameryce nie będzie wojny.

Walter podejrzewał, że to prawda, mimo to był zaniepokojony.

Nie podobał mu się pomysł robienia sobie wroga z Ameryki.

Wróciwszy do jego mieszkania, zdjęli staroświeckie kostiumy i zamienili je na tweedowe garnitury, białe koszule i kapelusze z brązowego filcu. Znow wyszli na Piccadilly i wsiedli do motorowego omnibusu jadącego na wschód.

Otto był pod wrażeniem tego, że Walter otrzymał zaproszenie na spotkanie z królem w Ty Gwyn w styczniu.

– Hrabia Fitzherbert to dobra znajomość – mówił. – Jeśli partia konserwatystów dojdzie do władzy, pewnego dnia może zostać ministrem, a nawet sekretarzem spraw zagranicznych.

Musisz podtrzymywać tę przyjaźń.

Walter miał przyływ natchnienia.

– Powinienem odwiedzić finansowaną przez niego przychodnię i złożyć drobny datek.

– Doskonały pomysł.

– Może pójdziesz ze mną?

Ojciec połknął przynętę.

– Jeszcze lepiej.

Walter miał w tym pewien cel, lecz ojciec niczego nie podejrzewał.

Omnibus wiózł ich obok teatrów Strandu, redakcji gazet przy Fleet Street i banków dzielnicy biznesowej. Potem uliczki stały się węższe i brudniejsze. Cylindry i meloniki znikły, zastąpione przez czapki. Na ulicach dominowały pojazdy konne, a samochodów było niewiele. To był East End.

Wysiedli przy Aldgate. Otto rozejrzał się z niesmakiem.

– Nie wiedziałem, że zabierasz mnie do slumsów – mruknął.

– Idziemy do przychodni dla ubogich – przypomniał Walter. – Gdzie spodziewałeś się ją znaleźć?

– Czy hrabia Fitzherbert też tutaj bywa?

– Podejrzewam, że tylko daje pieniądze. – Walter doskonale wiedział, że Fitz nigdy w życiu tutaj nie był. – Jednak z pewnością dowie się o naszej wizycie.

Lawirując bocznymi uliczkami, dotarli do kaplicy nonkonformistów. Ręcznie malowany drewniany szyld głosił: „Kalwaryjny dom modlitwy”. Do tablicy przyczepiono pineskami kartkę z napisem:

Klinika Dziecięca, bezpłatna dziś i w każdą środę

Walter otworzył drzwi i weszli.

Otto prychnął z obrzydzeniem, po czym wyjął chustkę i przycisnął ją do nosa. Walter już tutaj był, więc spodziewał się odoru, ten jednak okazał się zaskakująco nieprzyjemny. Na korytarzu czekał tłum obdartych kobiet i półnagich dzieciaków, wszystkie koszmarnie brudne. Kobiety siedziały na ławkach, a dzieci bawiły się na podłodze. Na końcu korytarza znajdowało się dwoje drzwi z tabliczkami: na jednej napisano „Lekarz”, a na drugiej „Dyrektor”.

Przy drzwiach siedziała ciotka Fitzza, Herm, notując nazwiska w książce przyjęć. Walter przedstawił swojego ojca.

– Mój ojciec, Otto von Ulrich, lady Hermia Fitzherbert.

Drzwi z napisem „Lekarz” otworzyły się i wyszła kobieta z niemowlęciem na ręku i buteleczką lekarstwa. Pielęgniarka wyjrzała z gabinetu.

– Następna, proszę – powiedziała.

Lady Hermia sprawdziła listę.

– Pani Blatsky i Rosie! – zawołała.

Do gabinetu weszła kobieta w podeszłym wieku z dziewczynką.

– Proszę, zaczekaj tu chwilę, ojczy, a ja sprowadzę szefa – powiedział Walter.

Pospieszył na koniec korytarza, omijając raczkujące dzieciaki.

Zastukał do drzwi z napisem „Dyrektor” i wszedł. Pokój był niewiele większy od szafy, w kącie stało wiadro i mop. Lady Maud Fitzherbert siedziała przy stolyczku, zapisując coś w księdze rachunkowej. Miała na sobie prostą suknię w gołęzim kolorze i kapelusz z szerokim rondem. Podniosła głowę i uśmiech, który rozjaśnił jej twarz na widok Waltera, był tak promienny, że łyż stanęły mu w oczach. Zerwała się z krzesła i zarzuciła mu rękę na szyję.

Czekał na to przez cały dzień. Pocałował ją w usta, które natychmiast się rozchyliły. Całował się z kilkoma kobietami, ale tylko ona przyciskała się do niego całym ciałem w taki sposób. Zmieszany, próbował się odsunąć w obawie, że wyczuje jego podniecenie, lecz ona przywarła do niego jeszcze mocniej, jakby tego właśnie chciała, więc poddał się rozkoszy.

Maud z równym zaangażowaniem traktowała problem ubóstwa, prawa kobiet, muzykę... i Waltera. Czuł się zaszczycony tym, że się w nim zakochała.

Wreszcie oderwała usta od jego ust, oddychała szybko.

– Ciotka Herm zacznie coś podejrzewać – powiedziała.

Walter skinął głową.

– Za drzwiami jest mój ojciec.

Maud przyglądała włosy i poprawiała sukienkę.

– W porządku.

Walter otworzył drzwi i wyszli na korytarz. Otto przyjaźnie rozmawiał z Hermią. Lubił szacowne starsze panie.

– Lady Maud Fitzherbert, pozwolę sobie przedstawić mojego ojca, Ottona von Ulricha.

Otto ukłonił się, ściskając jej dłoń. Nauczył się nie strzelać obcasami, Anglicy uważali to za komiczne.

Walter patrzył, jak mierzą się wzrokiem. Maud uśmiechnęła się jakby z rozbawieniem i Walter odgadł, że zastanawia się, czy on też będzie tak wyglądał w przyszłości. Otto z aprobatą patrzył na drogą kaszmirową suknię i modny kapelusz Maud. Na razie dobrze.

Otto nie wie, że się kochają.

Walter chciał, żeby ojciec najpierw poznał Maud. Otto popierał charytatywną działalność bogatych kobiet i nalegał, by matka i siostra Waltera odwiedzały ubogie rodziny w Zumwaldzie, ich wiejskiej posiadłości w Prusach Wschodnich. Przekonał się, jaką cudowną i wyjątkową kobietą jest Maud, a wtedy nie będzie stawał przeszkodą, gdy się dowie, że Walter chce ją poślubić.

Walter wiedział, że to trochę głupio tak się denerwować.

Skończył dwadzieścia osiem lat i ma prawo ożenić się z kobietą, którą kocha. Jednak przed ośmioma laty zakochał się w innej kobiecie. Tilda była namiętna i inteligentna jak Maud, ale miała siedemnaście lat i była katoliczką, a von Ulrichowie to protestanci. Rodzice obojga wrogo odnosili się do ich romansu i Tilda nie potrafiła sprzeciwić się ojcu. Teraz Walter po raz drugi zakochał się w nieodpowiedniej kobiecie. Jego ojcu trudno będzie zaakceptować feministkę i cudzoziemkę. Jednak Walter jest teraz starszy i sprytniejszy, a Maud silniejsza i bardziej niezależna od Tildy.

Mimo wszystko był przerażony. Nigdy nie czuł czegoś takiego do kobiety, nawet do Tildy. Chciał ożenić się z Maud i spędzić z nią życie. W rzeczy samej, nie wyobrażał sobie życia bez niej. I nie chciał, żeby ojciec stawał mu na drodze.

Maud zaprezentowała nienaganne maniery.

– To bardzo uprzejmie, że nas pan odwiedził, panie von

Ulrich – powiedziała. – Z pewnością jest pan bardzo zajęty.

Wyobrażam sobie, że zaufany powiernik monarchy, jakim pan jest, ma mnóstwo pracy.

Komplement pochlebił ojcu Waltera, zgodnie z jej zamierzeniami.

– Obawiam się, że to prawda – rzekł Otto. – Jednak pani

brat, hrabia, od tak dawna jest przyjacielem Waltera, że bardzo chętnie tu przybyłem.

– Panowie pozwolą, że przedstawię naszego lekarza.

Maud przeszła przez korytarz i zapukała do drzwi gabinetu.

Walter był zaciekawiony, dotychczas go nie poznał.

– Możemy wejść?! – zawołała.

Weszli do pokoju, który na co dzień był biurem pastora, z biurkiem oraz regałem z książkami rachunkowymi i modlitewnikami. Lekarz, przystojny młody człowiek o kruczoczarnych brwiach i zmysłowych ustach, oglądał rękę Rosie Blatsky. Walter poczuł ukłucie zazdrości: Maud spędza całe dni z tym atrakcyjnym mężczyzną.

– Doktorze Greenward – powiedziała Maud – mamy nadzwyczaj szacownego gościa. Czy mogę przedstawić pana von Ulricha?

– Jak się pan ma? – sztywno powiedział Otto.

– Pan doktor pracuje tu za darmo – wyjaśniła Maud. –

Jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

Greenward skinął głową. Walter zastanawiał się, co jest powodem widocznego napięcia między jego ojcem a tym lekarzem.

Doktor znów skupił uwagę na pacjentce. Dziewczynka miała paskudnie rozciętą dłoń oraz spuchniętą całą rękę. Spojrzał na jej matkę.

– Jak sobie to zrobiła? – zapytał.

Odpowiedziała mu dziewczynka:

– Moja mama nie mówi po angielsku. Rozciąłem sobie rękę w pracy.

– A twój ojciec?

– Mój ojciec nie żyje.

– To przychodzi dla samotnych matek – cicho powiedziała Maud – chociaż tak naprawdę nikogo nie odprawiamy z kwitkiem.

– Ile masz lat? – zapytał Greenward Rosie.

– Jedenaście.

– Myślałem, że dzieciom poniżej trzynastu lat nie wolno pracować – mruknął Walter.

– Są luki prawne – wyjaśniła Maud.

– Jaką wykonujesz pracę? – chciał wiedzieć Greenward.

– Sprzątam w fabryce odzieży Manniego Litova. W śmieciach była żyłotka.

– Zawsze kiedy się zatniesz, musisz przemyć ranę i założyć czysty bandaż. Potem trzeba zmieniać go codziennie, żeby nie był brudny.

Greenward mówił stanowczo, ale uprzejmie.

Matka rzuciła córce jakieś pytanie po rosyjsku. Walter nie zrozumiał, ale domyślił się sensu odpowiedzi dziewczynki, która przetłumaczyła słowa lekarza.

Ten zwrócił się do pielęgniarki:

– Proszę oczyścić dłoń i zabandażować. – A do Rosie

rzekł: – Dam ci maść. Jeśli ręka bardziej spuchnie, musisz tu wrócić w przyszły poniedziałek. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

– Jeśli dopuścisz do rozszerzenia się zakażenia, możesz stracić rękę.

Rosie miała łzy w oczach.

– Przepraszam, że cię wystraszyłem – uspokoił ją Greenward – ale chcę, żebyś zrozumiała, jak ważne jest, żeby dłoń była czysta.

Pielęgniarka przygotowała miskę z jakimś płynem, zapewne antyseptycznym.

– Pan pozwoli, że wyrażę mój podziw i szacunek dla pańskiej pracy, doktorze – rzekł Walter.

– Dziękuję. Chętnie poświęcam mój czas, ale potrzebujemy lekarstw. Będziemy ogromnie wdzięczni za wszelką pomoc.

– Musimy teraz opuścić doktora – wtrąciła się Maud. –

W kolejce czeka co najmniej dwudziestu pacjentów. Goście wyszli z gabinetu. Walter pękał z dumy. Maud nie ogranicza się do współczucia. Mówiąc o ciężko pracujących małych dzieciach, wiele dam z arystokracji ociera łzy haftowanymi chusteczkami, ale Maud ma dość determinacji i odwagi, by naprawdę pomagać potrzebującym.

A do tego, pomyślał, kocha mnie!

– Czy mogę zaproponować panu coś do picia, panie von Ulrich? Mój gabinet jest ciasny, ale mam tu butelkę najlepszej sherry mojego brata – powiedziała Maud.

– To bardzo miłe, ale musimy już iść.

Trochę szybko, pomyślał Walter. Urok Maud najwidoczniej przestał działać na jego ojca. Walter miał paskudne przeczucie, że coś poszło źle.

Otto wyjął pugilares, a z niego banknot.

– Proszę przyjąć skromny datek na pani wspianiałą pracę tutaj, lady Maud.

– Jaki pan hojny!

Walter dał jej drugi banknot.

– Może mnie również wolno będzie coś ofiarować.

– Będę wdzięczna za wszystko, co panowie zechcą dać – zapewniła Maud.

Walter miał nadzieję, że tylko on zauważył filuterną minę, z jaką to powiedziała.

– Proszę przekazać moje wyrazy szacunku hrabiemu Fitzherbertowi.

Opuścili przychodnię. Waltera niepokoiła reakcja ojca.

– Czy lady Maud nie jest cudowna? – spytał wesoło, gdy szli do Aldgate. – Oczywiście to Fitz za wszystko płaci, ale cała pracę wykonuje Maud.

– Haniebne – prychnął Otto. – Absolutnie haniebne.

Walter widział, że ojciec ma zły humor, ale ta wypowiedź go zaskoczyła.

– Co, u licha, przez to rozumiesz? Przecież pochwalasz pomoc, jakiej dobrze urodzone damy udzielają biednym!

– Odwiedzanie chorych wieśniaków z koszykiem produktów spożywczych to jedno, jednak czuję niesmak na widok siostry hrabiego w takim miejscu z żydowskim lekarzem!

– O Boże – jęknął Walter.

Oczywiście, doktor Greenward jest Żydem. Jego rodzice zapewne byli Niemcami o nazwisku Grunwald. Walter nie spotkał go wcześniej, a nawet gdyby, to nie odgadłby jego pochodzenia ani nie przywiązywał do tego wagi. Jednak Otto, jak większość przedstawicieli jego pokolenia, uważał takie rzeczy za istotne.

– Ojczcie, ten człowiek pracuje za darmo, a lady Maud nie może odrzucić pomocy dobrego lekarza tylko dlatego, że ten jest Żydem.

Otto go nie słuchał.

– Samotne matki! Skąd ona wzięła to określenie? – prychnął z niesmakiem. – Chciała powiedzieć: „zgraja prostytutek”.

Walter był załamany. Jego plan zakończył się katastrofą.

– Nie widzisz, jaka jest dzielna?

– Nie widzę. Gdyby była moją siostrą, dostałaby porządne lanie.

II.

W Białym Domu trwał kryzys. Wczesnym rankiem, dwudziestego pierwszego kwietnia, Gus Dewar przebywał w Zachodnim Skrzydle. Ta nowa część budynku zapewniła tak potrzebne pomieszczenia biurowe, dzięki czemu oryginalny Biały Dom mógł być wykorzystywany jako rezydencja. Gus siedział w gabinecie w pobliżu Gabinetu Ovalnego. Pokój był

mały, obskurny i słabo oświetlony. Na biurku stała sfatygowana przenośna maszyna do pisania marki Underwood, na której Woodrow Wilson pisał przemówienia i oświadczenia dla prasy. Gusa bardziej interesował telefon. Gdyby zadzwonił, Gus musiałby zdecydować, czy obudzić prezydenta. Telefonistka nie mogła podjąć takiej decyzji. Natomiast starsi doradcy prezydenta potrzebowali snu. Gus był najmłodszym z nich, albo najważniejszym z urzędników kancelarii – zależnie od punktu widzenia. Tak czy inaczej, to jemu przypadł obowiązek przesiadywania przez całą noc przy telefonie i decydowania, czy przerwać prezydentowi drzemkę lub wypoczynek Pierwszej Damy, która cierpi na jakąś tajemniczą dolegliwość. Gus obawiał się, że może coś źle powiedzieć lub zrobić. Nagle całe jego kosztowne wykształcenie wydało się powierzchowne: nawet na Harvardzie nie uczono, kiedy budzić prezydenta. Miał nadzieję, że telefon nigdy nie zadzwoni.

Gus znalazł się tutaj z powodu listu, który napisał. Opisał swojemu ojcu przyjęcie dla królewskiej pary w Ty Gwyn oraz poobiednią dyskusję o groźbie wybuchu wojny w Europie. Senator Dewar uznał ten list za tak interesujący i zabawny, że pokazał go swojemu przyjacielowi Woodrowowi Wilsonowi, który powiedział: „Chciałbym mieć tego chłopca w mojej kancelarii”. Gus właśnie miał roczną przerwę między Harvardem, gdzie studiował prawo międzynarodowe, a podjęciem pracy w waszyngtońskiej firmie prawniczej. Właśnie był w połowie podróży dookoła świata, ale chętnie ją przerwał i pospieszył do ojczyzny, aby służyć prezydentowi.

Nic tak nie fascynowało Gusa jak stosunki międzynarodowe – przyjaźnie i nienawiści, sojusze i wojny. Jako nastolatek przysłuchiwał się posiedzeniom senackiej komisji do spraw stosunków z zagranicą, której jego ojciec był członkiem, uważając je za ciekawsze od przedstawień teatralnych.

– W ten sposób kraje tworzą albo pokój i dobrobyt, albo wojnę, zniszczenie i głód – powiedział mu ojciec. – Jeśli chcesz zmienić świat, stosunki międzynarodowe są dziedziną, w której możesz uczynić najwięcej dobrego. Lub złego.

A teraz Gus znalazł się w samym środku swego pierwszego międzynarodowego kryzysu.

Nadgorliwy meksykański urzędnik aresztował ośmiu amerykańskich marynarzy w porcie Tampico. Zostali uwolnieni, a urzędnik przeprosił, i na tym ten banalny incydent mógł się zakończyć. Jednak dowódca eskadry, admirał Mayo, zażądał salutu z dwudziestu jeden dział. Prezydent Huerta odmówił. Naciskając na niego, Wilson zagroził okupacją Veracruz, największego portu Meksyku.

I tak Ameryka znalazła się na krawędzi wojny. Gus podziwiał zasadniczego Woodrowa Wilsona. Prezydent nie podzielał cynicznego poglądu, że jeden meksykański bandyta jest podobny do drugiego. Huerta był reakcjonistą, który zamordował swojego poprzednika, i Wilson szukał pretekstu, żeby wysadzić go z siodła. Gus był urzeczony faktem, że przywódca świata stwierdził, iż ludziom nie wolno zaakceptować władzy zdobytej drogą morderstwa. Czy nadejdzie dzień, gdy ta zasada zostanie przyjęta przez wszystkie państwa?

Niemcy jeszcze bardziej nakręcili sprężynę kryzysu. Niemiecki statek o nazwie „Ypiranga” zbliżał się do Veracruz z ładunkiem karabinów i amunicji dla rządu Huerty.

Przez cały dzień w kancelarii panowała napięta atmosfera, lecz teraz Gus z trudem powstrzymywał senność. Na biurku przed nim, oświetlony przez lampę z zielonym abażurem, leżał maszynopis raportu wywiadu wojskowego dotyczący sił rebeliantów w Meksyku. Złożony z dwóch oficerów i dwóch urzędników wywiad należał do najmniejszych wydziałów armii, więc raport był pobieżny. Gus przypomniał sobie Caroline Wigmore.

Po przybyciu do Waszyngtonu wpadł z wizytą do profesora Wigmore'a, jednego ze swoich wykładowców z Harvardu, który przeniósł się na Uniwersytet Georgetown. Wigmore'a nie było w domu, ale zastał jego młodą drugą żonę. Gus kilkakrotnie spotkał ją na różnych imprezach w miasteczku akademickim i bardzo pociągało go jej spokojne i powściągliwe zachowanie oraz żywa inteligencja.

– Stwierdził, że musi zamówić sobie kilka nowych koszul – powiedziała, ale Gus dostrzegł napięcie na jej twarzy i nagle dodała: – Jednak wiem, że poszedł do kochanki.

Gus otarł jej łzy chusteczką, a ona pocałowała go w usta i wyznała:

– Żałuję, że nie wyszłam za kogoś, komu można ufać.

Caroline okazała się zdumiewająco namiętna. Chociaż się nie kochali, robili wszystko inne. Wystarczyło, że ją popieścił, a przeżywała wstrząsający orgazm.

Romans trwał zaledwie miesiąc, ale Gus już wiedział, że pragnie, by rozwiodła się z Wigmore'em i wyszła za niego. Ona jednak nie chciała o tym słyszeć, chociaż nie miała z mężem dzieci. Powiedziała, że to zniszczyłoby karierę Gusa, i zapewne miała rację. Nie zdołaliby tego zrobić dyskretnie, gdyż skandal byłby zbyt soczystym kąskiem – atrakcyjna żona porzucą znanego profesora i natychmiast wychodzi za bogatego młodzieńca. Gus doskonale wiedział, co powiedziałaaby jego matka o takim małżeństwie: „To zrozumiałe, jeśli profesor był niewierny, lecz oczywiście nie sposób utrzymywać towarzyskich kontaktów z taką kobietą”. Prezydent też byłby zakłopotany, tak samo jak ludzie, których prawnik chciałby mieć za klientów. Z pewnością przekreśliłoby to wszelkie szanse, jakie Gus mógłby mieć na zasiadanie wzorem ojca w Senacie.

Gus mówił sobie, że o to nie dba. Kochał Caroline i zamierzał wybawić ją ze szponów wiarołomnego męża. Miał mnóstwo pieniędzy, a po śmierci ojca będzie milionerem. Znajdzie sobie jakieś inne zajęcie. Może zostanie dziennikarzem piszącym z różnych stolic za granicą.

Mimo wszystko poczuł ukłucie żalu. Właśnie dostał pracę w Białym Domu, o której marzą wszyscy młodzi ludzie. Bardzo trudno byłoby zrezygnować z niej oraz z potencjalnej kariery. Zadzwoił telefon i Gusa zaskoczył ten nagły dzwonek w nocnej ciszy Zachodniego Skrzydła.

– O mój Boże – wykrztusił. – O mój Boże, stało się.

Po kilkusekundowym namyśle w końcu podniósł słuchawkę.

Usłyszał charakterystyczny głos sekretarza stanu Williama Jennin-gsa Bryana.

– Mam tu przy telefonie Josepha Danielsa, Gus. – Daniels był sekretarzem marynarki wojennej. – A sekretarz prezydenta przysłuchuje się tej rozmowie.

– Tak jest, panie sekretarzu – powiedział Gus.

Miał spokojny głos, lecz serce waliło mu jak szalone.

– Proszę obudzić prezydenta – polecił sekretarz Bryan.

– Tak, proszę pana.

Gus przeszedł przez Gabinet Owalny i owionęło go chłodne nocne powietrze ogrodu różanego. Przemknął do starego budynku, wbiegł po głównych schodach i ruszył korytarzem do drzwi sypialni. Odetchnął głęboko i zapukał tak mocno, że zabolęła go ręka.

Po chwili usłyszał głos Wilsona:

– Kto tam?

– Gus Dewar, panie prezydencie. Sekretarze Bryan i Daniels są przy telefonie.

– Chwileczkę.

Prezydent Wilson wyszedł z sypialni, zakładając okulary bez oprawek. Wyglądał zabawnie w piżamie i szlafroku. Był wysoki, chociaż nie tak wysoki jak Gus. W wieku pięćdziesięciu siedmiu

lat miał ciemnosiwę włosy. Uważał się za brzydkiego i się nie mylił. Miał haczykowany nos i odstające uszy, lecz kwadratowa szczęka nadawała jego twarzy wyraz determinacji, odzwierciedlający siłę charakteru, którą Gus tak podziwiał. Gdy prezydent mówił, widać było jego żółtawe zęby.

– Dzień dobry, Gus – rzekł przyjaźnie. – Co się dzieje?

– Nie powiedzieli mi.

– Cóż, lepiej słuchaj przez drugi telefon w sąsiednim pokoju.

Gus pospieszył do pokoju obok i podniósł słuchawkę.

Usłyszał dźwięczny głos Bryana:

– „Ypiranga” ma zawinąć do portu dziś o dziesiątej rano.

Gus poczuł ukłucie niepokoju. Czyba meksykański prezydent teraz ustąpi? Inaczej dojdzie do rozlewu krwi.

Bryan odczytał radiogram od amerykańskiego konsula w Veracruz:

– „Parowiec »Ypiranga«, należący do linii kursującej między Hamburgiem a Ameryką, przypłylnie jutro z Niemiec z dwustoma karabinami maszynowymi oraz piętnastoma milionami naboju. Przybije do nabrzeża numer cztery i o dziesiątej trzydzieści rozpocznie się rozładunek”.

– Czy pan rozumie, co to oznacza, Bryan? – spytał Wilson i Gus pomyślał, że jego głos zabrzmiał zrzędlawie. – Daniels, jest pan tam? Co pan o tym sądzi?

– Ta amunicja nie powinna dotrzeć do Huerty. – Gus był zaskoczony tak zdecydowaną odpowiedzią pokojowo nastawionego sekretarza marynarki wojennej. – Mogę zadeponować do admirała Fletchera, żeby temu zapobiegł i zarekwirował towar.

Zapadła długa cisza. Gus uświadomił sobie, iż ścisła słuchawkę tak mocno, że boli go ręka. W końcu przemówił prezydent:

– Daniels, wyślij ten rozkaz admirałowi Fletcherowi. Natychmiast zajmijcie Veracruz.

– Tak, panie prezydencie – powiedział sekretarz.

I Ameryka rozpoczęła wojnę.

III.

Gus nie spał ani tej, ani następnej nocy.

Krótko po ósmej trzydzieści sekretarz Daniels przyniósł wiadomość, że amerykański okręt wojenny przeciął kurs „Ypirangi”. Niemiecki statek, nieuzbrojony frachtowiec, dał całą wstecz i opuścił scenę. Daniels zapowiedział, że amerykańska piechota morska jeszcze przed południem zejdzie na ląd w Veracruz.

Gus był przerażony tak szybkim rozwojem wydarzeń, a jednocześnie podniecony tym, że znalazł się w ich centrum.

Woodrow Wilson nie bał się wojny. Jego ulubioną sztuką był Król Henryk V Szekspira, z której lubił cytować następujący fragment: Jeśli grzechem jest żądza zasłużonej sławy, jestem największym grzesznikiem wśród żywych.

Przychodziły radiogramy i telegramy z wieściami, a zadaniem Gusa było przekazywanie ich prezydentowi. W południe piechota morska przejęła kontrolę nad komorą celną Veracruz.

Wkrótce po tym powiedziano mu, że ktoś chce się z nim widzieć. Pani Wigmore.

Zaniepokojony Gus ściągnął brwi. To niedyskretne. Coś musiało się stać.

Pospieszył do holu. Caroline wyglądała na wzburzoną. Choć miała na sobie elegancki tweedowy płaszcz i skromny kapelusz, jej włosy były potargane, a oczy zaczerwienione od płaczu. Gus był wstrząśnięty i przygnębiony, widząc ją w takim stanie.

– Moja ukochana! – powiedział cicho. – Wielkie nieba, co się stało?

– To koniec. Już nigdy nie będę mogła się z tobą spotkać. Tak mi przykro.

Zaczęła płakać.

Gus chciał ją przytulić, ale tutaj nie mógł tego zrobić. Nie miał swojego gabinetu. Rozejrzył się. Strażnik przy drzwiach gapił się na nich. Nie było tu miejsca, gdzie mogliby być sami. To go zirytowało.

– Wyjdźmy na dwór – powiedział, biorąc ją pod rękę. – Przejdziemy się.

Pokręciła głową.

– Nie. Nic mi nie będzie. Zostańmy tutaj.

Nie patrzyła mu w oczy, lecz wbijała wzrok w posadzkę.

– Muszę być wierna mężowi. To mój obowiązek.

– Pozwól mi być twoim mężem.

Podniosła głowę i jej przepełnione tęsknotą spojrzenie łamało mu serce.

– Och, jak bardzo bym chciała.

– Przecież możesz!

– Już mam męża.

– On nie jest ci wierny, dlaczego ty miałabyś być wierna jemu?

Zignorowała to.

– Przyjął posadę w Berkeley. Przenosimy się do Kalifornii.

– Nie jedź.

– Już zdecydowałam.

– Najwyraźniej – beznamyślnie rzekł Gus. Czuł się tak, jakby ktoś go pobił. Bolała go pierś i z trudem łapał oddech. – Kalifornia – powtórzył. – Do diabła.

Caroline zobaczyła, że zaakceptował nieuniknione, i zaczęła się uspokajać.

– To nasze ostatnie spotkanie – powiedziała.

– Nie!

– Proszę, posłuchaj mnie. Jest coś, co chcę ci powiedzieć, i to jedyna okazja.

– Dobrze.

– Miesiąc temu byłam gotowa się zabić. Nie patrz tak na mnie, to prawda. Uważałam się za tak bezwartościową, że nikt by się nie przejął, gdybym umarła. Potem na moim progu stanąłeś ty. Byłeś taki czuły, taki uprzejmy, taki uważny, że dzięki tobie uznałam, iż warto żyć. Ceniłeś mnie. – Łzy płynęły jej po policzkach, ale mówiła dalej: – I byłeś taki szczęśliwy, kiedy cię całowałam. Zrozumiałam, że jeśli potrafię dać komuś tyle radości, to nie mogę być tak całkiem bezużyteczna. Ta myśl dodała mi sił. Uratowałeś mi życie, Gus. Niech cię Bóg błogosławi.

– A co mi pozostaje? – westchnął. Był zły.

– Wspomnienia. Mam nadzieję, że będziesz je cenił tak jak ja moje.

Gus poszedł za nią do drzwi, ale się nie odwróciła. Wyszła, a on pozwolił jej odejść.

Kiedy znikła mu z oczu, machinalnie ruszył do Gabinetu Ovalnego, po czym zmienił kierunek marszu: ma zbyt wielki zamęt w głowie, żeby pokazywać się prezydentowi. Poszedł do męskiej toalety, szukając chwili samotności. Na szczęście nikogo tam nie było. Umył twarz, po czym spojrzął w lustro. Zobaczył chudego mężczyznę o dużej głowie. Wyglądał jak lizak na patyku. Miał ciemnoblonde włosy i pewne oczy i nie był zbyt przystojny, ale przeważnie podobał się kobietom, a Caroline go kochała.

Przynajmniej przez chwilę.

Nie powinien był pozwolić jej odejść. Jak mógł tak stać i patrzeć, jak znika? Powinien przekonać ją, żeby odłożyła decyzję na później, wszystko przemyślała, porozmawiała z nim

o tym. Może coś by wymyślili. Jednak w głębi serca wiedział, że nie było nic do wymyślenia. Uznał, że ona podjęła decyzję, zanim do niego przyszła. Zapewne w ciągu wielu bezsennych nocy, leżąc obok śpiącego męża, raz po raz zastanawiała się nad sytuacją.

Powinien wrócić na swój posterunek. Ameryka prowadzi wojnę. Tylko jak ma zapomnieć o tym, co się stało? Kiedy nie mógł się z nią zobaczyć, przez cały dzień niecierpliwie czekał na następne spotkanie. Teraz nie potrafił przestać myśleć o życiu bez niej. Już wydawało mu się to nieznośne. Co powinien zrobić?

Do toalety wszedł jakiś urzędnik, więc Gus wytarł ręce i wrócił na swój posterunek w pokoju sąsiadującym z Gabinetem Owalnym.

Po chwili goniec przyniósł telegram od amerykańskiego konsula w Veracruz.

– O nie! – jęknął Gus, gdy rzucił okiem na treść.

Telegram brzmiał: czterech naszych zabitych stop dwudziestu rannych stop strzelanina wokół konsulatu stop.

Czterech zabitych, pomyślał ze zgrozą Gus, czterech dobrych Amerykanów mających matki i ojców, żony lub dziewczyny. Ta wiadomość pozwoliła mu spojrzeć na swój ból z innej perspektywy. Przynajmniej Caroline i ja jesteśmy żywi, pomyślał.

Zapukał do drzwi Gabinetu Owalnego i wręczył telegram Wilsonowi. Prezydent przeczytał go i zbladł.

Gus przyglądał mu się uważnie. Jak czuje się Wilson, wiedząc, że ci czterej zginęli na skutek decyzji, którą podjął w środku nocy?

To nie powinno się zdarzyć. Meksykanie chcą wyzwolenia spod tyranii, prawda? Powinni przywitać Amerykanów jak wyzwolicieli. Co poszło nie tak?

Bryan i Daniels pojawili się kilka minut później, a za nimi wszedł sekretarz do spraw wojny, Lindley Garrison, człowiek zazwyczaj bardziej wojowniczy od Wilsona, oraz Robert Lansing, doradca z Departamentu Stanu. Zebrali się w Gabinetecie Owalnym, żeby czekać na kolejne wiadomości.

Prezydent miał nerwy napięte jak struny. Blady i zdenerwowany, chodził tam i z powrotem po pokoju. Szkoda, pomyślał Gus, że Wilson nie pali, to pomogłoby mu się uspokoić.

Wszyscy wiedzieliśmy, że może dojść do aktów przemocy, ale rzeczywistość jest bardziej szokująca, niż przewidywaliśmy, stwierdził w duchu.

Przychodziły kolejne wieści i Gus przekazywał telegramy Wilsonowi. Same złe wiadomości. Meksykańskie oddziały stawiały opór, otwierając do piechoty morskiej ogień z fortu. Wojsko wsparli cywile, strzelając do Amerykanów z okien budynków. W odpowiedzi USS „Prairie”, stojący na redzie, ostrzelał miasto z siedemdziesięciopięciomilimetrowych dział.

Liczba ofiar rosła: sześciu Amerykanów zabitych, ośmiu, dwunastu... i wielu rannych. Jednak walka była zdecydowanie nierówna i zginęło ponad stu Meksykanów.

Prezydent był zakłopotany.

– Nie chcemy walczyć z Meksykanami – tłumaczył. –

Chcemy im służyć, jeśli tylko zdołamy. Chcemy służyć ludzkości.

Po raz drugi tego dnia Gus przeżył głęboki wstrząs. Prezydent i jego doradcy mieli jak najlepsze intencje. Jak to możliwe, że sprawy przybrały tak fatalny obrót? Czy naprawdę tak trudno zrobić coś dobrego w sprawach międzynarodowych?

Nadeszła wiadomość z Departamentu Stanu. Ambasador Niemiec, książę Johann von Bernstorff, na polecenie cesarza miał spotkać się z sekretarzem stanu i chciał wiedzieć, czy dziewięta rano nazajutrz będzie odpowiednią porą. Nieoficjalnie jego personel napomknął, że ambasador złoży oficjalny protest przeciwko zatrzymaniu „Ypirangi”.

– Protest? – zdziwił się Wilson. – O czym oni mówią, do

licha?

Gus natychmiast zrozumiał, że prawo międzynarodowe jest po stronie Niemców.

– Panie prezydencie, nie wypowiedzieliśmy wojny i nie ogłosiliśmy blokady, zatem, krótko mówiąc, Niemcy mają rację.

– Co takiego? – Wilson zwrócił się do Lansinga. – Czy to prawda?

– Oczywiście jeszcze to sprawdzimy – zapewnił radca z Departamentu Stanu. – Jednak jestem pewny, że Gus ma rację. To, co zrobiliśmy, było sprzeczne z prawem międzynarodowym.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że będziemy musieli przeprosić.

– Nigdy! – gniewnie rzucił Wilson.

Jednak przeprosili.

IV.

Maud Fitzherbert była zaskoczona, że zakochała się w Walterze von Ulrichu. Z drugiej strony byłaby równie zaskoczona, gdyby zakochała się w jakimkolwiek innym mężczyźnie. Rzadko spotykała takich, którzy choćby jej się podobali. Dla wielu była pociągająca, przynajmniej jako debiutantka, lecz większość z nich szybko zniechęcał jej feminizm. Inni zamierzali wziąć ją w ryzy – tak jak ten niechlujny markiz Lowther, który powiedział Fitzowi, że ona zrozumie swoje błędy, kiedy spotka naprawdę władczego mężczyznę. Biedny Lowther, przekonał się, że to on był w błędzie.

Walter uważał, że Maud jest cudowna taka, jaka jest. Podziwiał wszystko, co robiła. Jeśli wygłaszała skrajne poglądy, był pod wrażeniem jej argumentów, gdy szokowała towarzystwo, pomagając niezamężnym matkom i ich dzieciom, podziwiał jej odwagę – i uwielbiał, kiedy wkładała śmiałe stroje.

Maud była znudzona bogatymi Anglikami z wyższych sfer, którzy uważali obecne podziały społeczne za najzupełniej satysfakcjonujące. Walter był inny. Zważywszy na fakt, że pochodzi z konserwatywnej niemieckiej rodziny, miał zadziwiająco radykalne poglądy. Ze swojego miejsca w tylnym rzędzie operowej łoży brata widziała Waltera na parterze, siedzącego w grupce pracowników niemieckiej ambasady. Nie wyglądał na buntownika, ze starannie uczesanymi włosami, przystrzyżonymi wąsami i w doskonale dopasowanym wieczorowym stroju. Nawet siedząc, sprawiał wrażenie wyprężonego jak struna. W skupieniu patrzył na scenę, gdzie don Giovanni, oskarżony o próbę zgwałcenia prostej wieśniaczki, beczelnie udawał, że przyłapał na tym swego sługę Leporella.

W istocie, rozmyślała, buntownik to nieodpowiednie słowo na określenie Waltera. Chociaż ma niezwykle otwarty umysł, czasem przestrzega konwenansów. Jest dumny z wielkich muzycznych tradycji kręgu niemieckojęzycznego i denerwuje go zblazowana londyńska publiczność, spóźniająca się, rozmawiająca podczas spektaklu i zbyt wcześnie opuszczająca salę. Teraz zapewne irytuje go Fitz, wymieniający komentarze o figurze solistki ze swoim kolegą Bingiem Westhamptonem, a także Bea rozmawiająca z księżną Sussex o sklepie madame Lucille przy Hanover Square, gdzie kupiły suknie. Wiedziała nawet, co powiedziałyby o tym Walter: „Słuchają muzyki dopiero wtedy, kiedy skończą plotkować!”.

Maud miała takie same odczucia, lecz oni dwoje należeli do mniejszości. Dla dużej części członków londyńskiego towarzystwa opera była tylko jeszcze jedną okazją do zaprezentowania swoich strojów i biżuterii. Jednak wszyscy zamilkli pod koniec pierwszego aktu, gdy don Giovanni zagroził, że zabije Leporella, i orkiestra odegrała burzę na bębnach i kontrabasach. Potem,

z typową dla siebie beztroską, don Giovanni uwolnił służącego i odszedł, wzywając wszystkich, by go zatrzymali, i kurtyna opadła.

Walter natychmiast wstał, patrząc w kierunku łoża, i pomachał, a Fitz mu odmachnął.

– To von Ulrich – powiedział do Binga. – Ci wszyscy Niemcy są tacy zadowoleni z siebie, ponieważ upokorzyli Amerykanów w Meksyku.

Bing był drobnym kędzierzawym bawidamkiem i dalekim krewnym Fitzherbertów. Niewiele wiedział o polityce, zainteresowany głównie hazardem i pijaństwami w różnych stolicach Europy. Ściągnął brwi i spytał zdziwiony:

– A co Niemców obchodzi Meksyk?

– Dobrze pytanie – odparł Fitz. – Jeśli myślą, że zdołają zdobyć kolonie w Ameryce Południowej, to sami się oszukują, bo Stany Zjednoczone nigdy na to nie pozwolą.

Maud opuściła łożę i zeszła po szerokich schodach, kłaniając się i uśmiechając do znajomych. Znała prawie połowę tu obecnych: londyńskie towarzystwo było zaskakująco wąskim kręgiem. Na wyłożonym czerwonym dywanem parterze napotkała grupkę otaczającą szczupłego i eleganckiego Davida Lloyd George'a, kanclerza skarbu.

– Dobry wieczór, lady Maud – powitał ją z błyskiem, który pojawiał się zawsze w jego jasnoniebieskich oczach, gdy rozmawiał z atrakcyjną kobietą. – Słyszę, że wasze przyjęcie dla pary królewskiej było udane. – Miał nosowy północnowalijski akcent, mniej melodyjny od południowo walijskiego. – Jednak cóż to za okropna tragedia w kopalni Aberrowen.

– Kondolencje króla były ogromną pociechą dla pogrążonych w żałobie rodzin – rzekła Maud. W grupie była atrakcyjna kobieta po dwudziestce. Maud powiedziała: – Dobry wieczór, panno Stevenson, jak miło znów panią widzieć.

Sekretarka i kochanka Lloyd George'a była buntowniczką i Maud ją lubiła. Ponadto mężczyzna zawsze jest wdzięczny ludziom, którzy są uprzejmi dla jego kochanki.

Lloyd George przemówił do swojej grupki:

– W końcu niemieckie statki dostarczyły broń do Meksyku.

Po prostu popłynęli do innego portu i po cichu ją wyładowali. Tak więc tych dziewiętnastu amerykańskich żołnierzy zginęło zupełnie niepotrzebnie. To okropne upokorzenie dla Woodrowa Wilsona.

Maud uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki.

– Zechciały pan coś mi wyjaśnić, kanclerzu?

– Jeśli tylko zdołam, moja droga – rzekł uprzejmie.

Maud odkryła, że większość mężczyzn lubi, kiedy ktoś prosi ich o wyjaśnienie czegoś, szczególnie jeśli robi to młoda i ładna dziewczyna.

– Dlaczego wszyscy tak przejmują się tym, co zaszło w Meksyku?

– Ropa, droga pani. Ropa.

Ktoś inny powiedział coś do niego i kanclerz się odwrócił.

Maud zauważyła Waltera. Spotkali się u stóp schodów. Skłonił się nad jej dłoń w rękawicze, a ona musiała opanować chęć dotknięcia jego włosów. Miłość do Waltera obudziła w niej śpiącego lwa pożądania, zwierzę pobudzone i dręczone przez kradzione pocałunki i pospieszne uściski.

– Jak się pani podoba opera, lady Maud? – zapytał oficjalnym tonem, lecz jego orzechowe oczy mówiły: „Chciałbym, żebyśmy byli tu sami”.

– Bardzo. Don Giovanni ma wspaniały głos.

– Jak dla mnie dyrygent nadaje nieco za szybkie tempo.

Był jedyną znaną jej osobą, która traktowała muzykę równie poważnie jak ona.

– Nie zgadzam się. To komedia, więc melodie powinny być

żwawe.

– Jednak to nie jest tylko komedia.

– To prawda.

– Może zwolni, kiedy sprawy przybiorą kiepski obrót w drugim akcie?

– Zdaje się, że odnieśliście jakiś dyplomatyczny sukces w Meksyku – zmieniła temat.

– Mój ojciec jest... – Zabrakło mu słów, co u niego było czymś niezwykłym. – Uradowany – dokończył po chwili.

– A ty nie?

Ściągnął brwi.

– Obawiam się, że amerykański prezydent pewnego dnia może się zrewanżować.

W tym momencie podszedł do nich Fitz.

– Witaj, von Ulrich, dołącz do nas w naszej łoży, mamy wolne miejsce – zaproponował.

– Z przyjemnością! – odrzekł Walter.

Maud się ucieszyła. Fitz po prostu jest gościnny, nie wie, że jego siostra kocha Waltera. Niebawem mu o tym powie. Nie była pewna, jak przyjmie tę wiadomość. Ich kraje są zwaśnione i chociaż Fitz uważa von Ulricha za przyjaciela, to daleko jeszcze do zaakceptowania go jako szwagra.

Weszła z Walterem po schodach i ruszyła korytarzem. W tylnym rzędzie łoży Fitz'a były tylko dwa fotele z kiepskim widokiem na scenę. Maud i Walter bez słowa zajęli te miejsca.

Po kilku minutach zgasły światła. W półmroku Maud prawie mogła sobie wyobrazić, że jest z Walterem sama. Drugi akt zaczął się od duetu don Giovanniego i Leporella. Maud lubiła sposób, w jaki Mozart każe panom i sługom śpiewać razem, ukazując złożone i bliskie stosunki między wyższymi i niższymi sferami społecznymi. Wiele sztuk opisywało tylko perypetie przedstawicieli klas uprzywilejowanych, traktując służbę jak część umeblowania – co arystokratom odpowiadało.

Bea i księżna wróciły do łoży w trakcie utworu Ah! Taci, ingiusto core. Najwyraźniej wszystkim skończyły się tematy, gdyż mniej rozmawiali, a więcej słuchali. Nikt się nie odzywał do Maud i Waltera ani nawet nie odwracał, aby na nich spojrzeć, więc podniecona Maud zaczęła się zastanawiać, jak wykorzystać tę sytuację. W przypływie odwagi wyciągnęła rękę i ukradkiem ujęła dłoń Waltera. Uśmiechnął się i pogładził opuszką kciuka jej palce. Pragnęła go pocałować, lecz to byłoby lekkomyślne.

Gdy Zerlina zaśpiewała arię Verdrai, carino w sentymentalnym tempie na trzy ósme, Maud poczuła nieodpartą pokusę i kiedy Zerlina przycisnęła do serca dłoń Masetta, Maud położyła rękę Waltera na swojej piersi. Westchnął, zaskoczony, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ Masetto wydawał podobne odgłosy, okładany przez don Giovanniego.

Obróciła jego rękę tak, żeby dłonią mógł wyczuć jej sutek.

Uwielbiał jej piersi i dotykał ich, ilekroć miał okazję, co zdarzało się rzadko. Żałowała, że nie częściej, gdyż bardzo to lubiła. To było kolejne odkrycie. Dotykali ich inni ludzie – lekarz, anglikański pastor, starsza koleżanka na lekcjach tańca, mężczyzna w tłumie – co było niepokojące, choć jednocześnie pochlebne, ponieważ budziła czyjeś pożądanie, jednak do tej pory nie sprawiało jej to przyjemności. Zerknęła na Waltera i zobaczyła, że patrzy na scenę, ale dostrzegła krople potu na jego czole. Zastanawiała się, czy dobrze robi, podniecając go w ten sposób, chociaż nie może go zaspokoić, lecz on nie próbował cofnąć ręki, doszła więc do wniosku, że mu się to podoba. Tak samo jak jej. Jednak – jak zawsze – chciała więcej.

Co ją tak odmieniło? Nigdy taka nie była. To przez niego, oczywiście. To, co ich łączy, daje jej poczucie, że może mówić, co chce, robić, co chce, niczego nie tłumić. Co czyni go tak

odmiennym od wszystkich innych mężczyzn, którym się podobiała? Mężczyzna taki jak Lowthie, a nawet Bing, oczekuje, że kobieta będzie się zachowywała jak dobrze wychowane dziecko: z szacunkiem słuchała jego przemów, śmiała się z jego żartów, wykonywała jego rozkazy i całowała, ilekroć poprosi. Walter traktuje ją jak osobę dorosłą. Nie flirtuje, nie jest protekcyjny, nie popisuje się i słucha przynajmniej tyle czasu, ile mówi.

Przy dźwiękach ponurej muzyki posąg ożył i wejściu Komandora do jadalni don Giovanniego towarzyszył dysonans, w którym Maud rozpoznała zmniejszoną septymę. To był najbardziej dramatyczny moment opery i Maud była prawie pewna, że nikt nie będzie się rozglądał po sali. Pomyślała, że może jednak mogłaby zaspokoić Waltera, i ta myśl zaparła jej dech w piersi.

Gdy puźony zawtórowały głębokiemu basowi Komandora, położyła dłoń na udzie Waltera. Przez cienką wełnę spodni poczuła ciepło jego skóry. Nadal na nią nie patrzył, ale wyczuła, że ma otwarte usta i oddycha ciężko. Przesunęła rękę w górę i gdy don Giovanni dzielnie podał dłoń Komandorowi, odnalazła sztywny członek Waltera i ścisnęła go.

Była podniecona, a jednocześnie zaciekawiona. Nigdy tego nie robiła. Badała go przez materiał spodni. Był większy i twardszy, niż sądziła, bardziej jak kawałek drewna niż część ciała. Jakie to dziwne, pomyślała, że taka nadzwyczajna zmiana fizyczna zachodzi pod wpływem dotknięcia kobiecej ręki. Kiedy ona jest podniecona, zmiany są nieznaczne: niemal niewyczuwalne obrzmienie i zwilgotnienie. U mężczyzn przypomina to wciągnięcie flagi na maszt.

Wiedziała, co robią chłopcy, gdyż raz podglądała Fitza, kiedy miał piętnaście lat, i teraz naśladowała czynności, które wtedy wykonywał, poruszając dłonią w górę i w dół, podczas gdy Komandor domagał się skruchy od grzesznika, a ten uparcie odmawiał. Walter zaczął sapać, ale nikt tego nie słyszał, gdyż orkiestra grała bardzo głośno. Maud była uradowana tym, że może dać mu tyle rozkoszy. Obserwowała głowy pozostałych siedzących w loży, obawiając się, że ktoś może się odwrócić, ale była zbyt zaabsorbowana tym, co robi, żeby przestać. Walter nakrył jej dłoń swoją dłonią, ucząc ją, jak to robić, zaciskając przy ruchu w dół i rozluźniając przy unoszeniu, a ona go naśladowała. Kiedy don Giovanni został wciągnięty w płomień, Walter zadrżał. Poczuła, jak jego penis spazmatycznie się kurczy – raz, drugi i trzeci – a potem, gdy bohater umarł ze strachu, Walter jakby zwiotczał, wyczerpany.

Maud nagle zdała sobie sprawę, że właśnie popełniła szaleństwo. Szybko zabrała rękę i zaczerwieniła się ze wstydu. Uświadomiła sobie, że dyszy, i spróbowała oddychać normalnie.

Wszyscy aktorzy zaczęli wychodzić na scenę, a Maud się odprężyła. Nie wiedziała, co ją napadło, ale uszło jej to płazem. Napięcie opadło i miała ochotę parsknąć śmiechem, jednak się powstrzymała.

Podchwyciła spojrzenie Waltera. Patrzył na nią z uwielbieniem. Poczuła przyjemne zadowolenie. Nachylił się i przysunął usta do jej ucha.

– Dziękuję – szepnął.

Westchnęła i powiedziała:

– Bardzo proszę.

ROZDZIAŁ 6
Czerwiec 1914 roku

Na początku czerwca Grigorij Peszków wreszcie zebrał pieniądze na podróż do Nowego Jorku. Rodzina Wialowów z Sankt Petersburga sprzedała mu bilet i papiery potrzebne do wyemigracji do Stanów Zjednoczonych, łącznie z listem do pana Josefa Vyalova w Buffalo, który miał dać Grigorijowi pracę. Grigorij ucałował bilet. Nie mógł się doczekać wyjazdu. To było jak sen i obawiał się, że może się zbudzić, zanim statek wypłynie z portu. Teraz, gdy termin wyjazdu był tak bliski, coraz częściej marzył o chwili, gdy stanie na pokładzie i spojrzy za siebie, obserwując, jak Rosja znika za horyzontem i na zawsze z jego życia.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym wyjazd, jego przyjaciele zorganizowali przyjęcie.

Odkonduło się u Miszki, w szynku niedaleko Zakładów Putiłowskich. Przyszło kilkunastu kolegów z pracy, przeważnie członków bolszewickiej socjalistyczno-ateistycznej grupy dyskusyjnej, oraz dziewczyny z domu, w którym mieszkali Grigorij i Lew. Wszyscy strajkowali, gdyż strajk trwał w połowie fabryk Sankt Petersburga, więc nikt nie miał za dużo pieniędzy, ale złożyli się na beczkę piwa i trochę śledzi. Był ciepły letni wieczór i siedzieli na ławkach na skrawku ugoru obok szynku.

Grigorij nie przepadał za przyjęciami. Wolałby spędzić ten wieczór, grając w szachy. Alkohol ogłupia ludzi, a flirtowanie z dziewczynami innych wydawało mu się po prostu bezsensowne. Jego rozczochochranę przyjaciel Konstantin, przewodniczący grupy dyskusyjnej, pokłócił się o strajk z agresywnym piłkarzem Izaakiem i skończyło się głośną awanturą. Wielka Waria, matka Konstantina, wypila większość zawartości butelki wódki, uderzyła męża i straciła przytomność. Lew przyprowadził tłum znajomych – mężczyzn, których Grigorij nie znał, i dziewczyny, których poznać nie miał ochoty – a ci wypili całe piwo, za nic nie płacąc.

Grigorij przez cały wieczór ze smutkiem spoglądał na Katerinę. Była w dobrym humorze, lubiła przyjęcia. Jej długa spódnica wirowała, a niebieskie oczy błyszczały, gdy kręciła się w tłumie, uwodząc mężczyzn i oczarowując kobiety, z nieodłącznym uśmiechem na szerokich, pełnych ustach. Jej ubranie było stare i połatane, ale miała cudowne ciało, ten rodzaj figury, który Rosjanie uwielbiają – wydatny biust i szerokie biodra. Grigorij zakochał się w niej w dniu, kiedy ją poznał, i cztery miesiące później nadal ją kochał. Jednak ona wolała jego brata.

Dlaczego? To nie miało nic wspólnego z wyglądem. Bracia byli tak do siebie podobni, że ludzie czasem ich mylili. Byli tego samego wzrostu i wagi, tak że mogli pożyczyc sobie ubrania. Tylko że Lew miał mnóstwo uroku. Był niesłowny i samolubny i żył na granicy prawa, ale kobiety za nim przepadały. Grigorij był uczciwy i solidny, ciężko pracujący i poważnie myślący, a jednak samotny.

W Stanach Zjednoczonych będzie inaczej. Tam wszystko będzie inne. Amerykańskim ziemianom nie wolno wieszać wieśniaków. Amerykańska policja musi postawić człowieka przed sądem, zanim go ukarze. Rząd nie może więzić nawet socjalistów. Tam nie ma szlachetnie urodzonych: wszyscy są równi. Żydzi także.

Czy to możliwe? Czasem Ameryka wydawała mu się zbyt fantastyczna, jak te opowieści o wyspach na morzach południowych, na których piękne dziewczyny oddają się każdemu, kto poprosi. A jednak istnieje: tysiące emigrantów piszą listy do ojczyzny. W fabryce grupa rewolucjonistów zorganizowała szereg wykładów o amerykańskiej demokracji, ale zamknęła ich policja. Miał poczucie winy, iż opuści brata, ale uznał, że tak będzie najlepiej.

– Uważaj na siebie – powiedział do Lwa pod koniec wieczoru. – Nie będzie mnie tutaj, żeby wyciągać cię z tarapatów.
– Nic mi nie będzie – beztrąsko zapewnił Lew. – To ty na siebie uważaj.

– Przyślę ci pieniądze na bilet. Przy amerykańskich zarobkach to nie potrwa długo.

– Będę czekał.

– Nie przeprowadzaj się, moglibyśmy stracić z sobą kontakt.

– Nigdzie się nie ruszę, bracie.

Nie rozmawiali o tym, czy Katerina także przyjedzie kiedyś do Ameryki. Grigorij czekał, aż Lew poruszy ten temat, ale brat tego nie zrobił. Grigorij sam nie wiedział, czy ma nadzieję, czy obawia się tego, że Lew zechce ją tam sprowadzić.

– Musimy już iść – powiedział Lew, biorąc Katerinę za rękę.

– Dokąd się wybieracie o tak późnej porze? – zdziwił się Grigorij.

– Mam się spotkać z Trofimem.

Trofim był podrzędnym członkiem rodziny Wiałowów.

– Dlaczego chcesz się z nim widzieć w nocy?

Lew puścił do Grigorija oko.

– Nieważne. Wróćmy nad ranem, dostatecznie wcześnie, żeby odprowadzić cię na Wyspę Gutujewską.

Stamtąd odpływały parowe statki transatlantyckie.

– W porządku – rzekł Grigorij. – Nie rób niczego ryzykownego – dodał, wiedząc, że to nic nie da.

Lew pomachał mu wesoło i znikł.

Dochodziła północ. Grigorij się pożegnał. Kilku jego przyjaciół płakało, ale nie wiedział, czy z żalu, czy z przepicia. Wrócił do domu z kilkoma dziewczynami, które wycalaowały go w holu.

Potem wszedł do swojego pokoju.

Jego kartonowa, kupiona z drugiej ręki walizka stała na stole. Chociaż mała, była prawie pusta. Zabierał koszule, bieliznę i szachy. Miał tylko jedną parę butów. Nie kupił dużo w ciągu tych dziewięciu lat, które upłynęły od śmierci matki.

Zanim się położył, zajrzał do szafki – Lew trzymał w niej rewolwer, belgijski Nagant M1895. Z przygnębieniem odkrył, że broni nie ma.

Odsunął zasuwkę okna, żeby nie wstawać z łóżka, kiedy

Lew wróci.

Leżąc z otwartymi oczami i słuchając znajomego turkotu przejeżdżających pociągów, zastanawiał się, jak to będzie cztery tysiące mil stąd. Przez całe życie mieszkał z Lwem, któremu zastępował matkę i ojca. Od jutra nie będzie wiedział, gdzie brat podziewa się przez całą noc, w dodatku uzbrojony. Czy poczuje ulgę, czy będzie się martwił jeszcze bardziej?

Obudził się jak zawsze o piątej. Jego statek odpływa o ósmej, a do portu może dojść w godzinę. Ma mnóstwo czasu.

Lew nie wrócił do domu.

Grigorij umył ręce i twarz. Przeglądając się w kawałku lustra, kuchennymi nożyczkami przystrzygł wasy i brodę. Potem włożył swoje najlepsze ubranie. Drugie zostawi bratu.

Podgrzewał sobie owsiankę, gdy usłyszał łomotanie do drzwi.

To z pewnością jakaś zła wiadomość. Przyjaciele stają pod oknem i wołają – tylko przedstawiciele władzy dobijają się do drzwi. Grigorij włożył czapkę, po czym wyszedł na korytarz i spojrzał w dół. Gospodyni wpuszczała dwóch mężczyzn w czarno-zielonych policyjnych mundurach. Przyjrząwszy się uważniej, Grigorij rozpoznał nalaną twarz Michaiła Pińskiego i szcurzy pysk jego pomagiera, Ilji Kozłowa.

Najwidoczniej ktoś w domu jest podejrzany o popełnienie jakiegoś przestępstwa, myślał gorączkowo. A najbardziej prawdopodobny sprawca to Lew. Czy chodzi o niego, czy o innego lokatora, wszyscy w tym budynku zostaną przesłuchani. Ci dwaj policjanci przypomniał sobie incydent z lutego, kiedy to Grigorij uratował przed nimi Katerinę, i skorzystają z okazji, by go aresztować.

I Grigorij nie zdąży na statek.

Ta straszna myśl go sparaliżowała. Nie zdąży na statek! Po tyłu

latach oszczędzania i czekania na ten dzień. Nie, pomyślał, nie, nie pozwolę na to. Gdy policjanci zaczęli wchodzić po schodach, wskoczył do swojego pokoju. Prośby nic tu nie dadzą, wprost przeciwnie: jeśli Piński odkryje, że Grigorij właśnie zamierza wyemigrować, z tym większą przyjemnością wsadzi go do aresztu. Grigorij nie będzie mógł nawet anulować biletu i odzyskać pieniędzy. Przepadną oszczędności wielu lat.

Musi uciekać.

Spanikowany rozejrzał się po pokoiku – były w nim tylko jedne drzwi i okno. Będzie musiał skorzystać z drogi, którą Lew wraca do domu w nocy. Wyjrzał: podwórko na tyłach było puste. Petersburska policja bywa brutalna, ale nikt nigdy nie posadzał ich o spryt, więc Piński i Kozłów nie pomyśleli o tym, żeby obstawić tyły domu. Może wiedzą, że z podwórka nie ma innego wyjścia, jak tylko przez tory – lecz nasyp kolejowy nie jest żadną przeszkodą dla zdesperowanego człowieka.

Grigorij usłyszał wrzaski dobiegające z sąsiedniego pokoju: policjanci najpierw weszli do dziewczyn.

Poklepał marynarkę na piersi. W kieszeni miał bilet, dokumenty i pieniądze. Resztę dobytku spakował do kartonowej walizki. Podniósł ją i wychylił się przez okno. Zamachnął się i rzucił. Wylądowała na płask i nie rozleciała się. Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie.

Grigorij przełożył nogi na zewnątrz, przez ułamek sekundy siedział na parapecie, po czym zeskoczył na dach pralni. Pośliznął się na dachówkach i klapnął na siedzenie. Zaczął się zsuwać po stromym dachu ku rynnie. Usłyszał krzyki za plecami, ale nie oglądał się za siebie. Zeskoczył na ziemię i wylądował cały. Podniósł walizkę i pobiegł.

Usłyszał huk wystrzału, który przeraził go i zmusił do szybszego biegu. Większość policjantów nie trafiłaby z odległości jarda w Pałac Zimowy, ale wypadki się zdarzają. Zaczął się gramolić po nasypie, mając świadomość, że wchodząc wyżej, stanowi łatwiejszy cel dla strzelających z okna. Usłyszał charakterystyczne dudnienie lokomotywy i spojrzawszy w prawo, ujrzał szybko zbliżający się pociąg. Padł następny strzał i Grigorij poczuł szarpnięcie, ale nic go nie zabolalo, więc odgadł, że kula trafiła w walizkę. Dotarł do szyn, wiedząc, że teraz jego sylwetka wyraźnie rysuje się na tle jasnego porannego nieba. Pociąg był zaledwie kilka jardów od niego. Maszynista ostrzegł go głośnym i długim dźwiękiem gwizdka. Padł trzeci strzał. Grigorij szczipakiem rzucił się przez tory tuż przed nadjeżdżającym pociągiem.

Lokomotywa przejechała z łoskotem, dudniąc stalowymi kołami po stalowych szynach, ciągnąc za sobą warkocz pary i cichnący gwizd. Grigorij podniósł się z ziemi. Szereg otwartych wagonów wylądowanych węglem osłaniał go przed kulami. Przebiegł przez drugi tor. Gdy przejechały ostatnie wagony z węglem, on już zbiegł po nasypie z drugiej strony i przeszedł przez dziedziniec jakiejś fabryczki na ulicę.

Spojrzał na walizkę. W jednym rogu ział otwór po kuli.

Niewiele brakowało.

Szedł rażnym krokiem, łapiąc oddech i zastanawiając się, co robić. Teraz, kiedy był bezpieczny – przynajmniej przez chwilę – zaczął się martwić o brata. Musi się dowiedzieć, czy Lew ma kłopoty, a jeśli tak, to jakie.

Postanowił zacząć od ostatniego miejsca, w którym widział brata, czyli od szynku Miszki.

Bał się, że ktoś go zauważy. Wprawdzie byłby to wyjątkowy pech, ale musiał się z tym liczyć: Piński może krążyć po ulicach. Grigorij naciągnął czapkę na czoło, chociaż nie wierzył, że w ten sposób uniknie rozpoznania. Napotkał grupkę robotników idących do doków i przyłączył się do nich, ale z walizką w ręku nie wyglądał na jednego z nich.

Jednak bez przeszkód dotarł do szynku. Stały w nim drewniane

ławy i stoły własnej roboty. Po minionej nocy wszędzie unosił się odór piwa i dymu. Rano Miszka sprzedawał chleb i herbatę ludziom, którzy nie mieli gdzie zrobić sobie śniadania, lecz z powodu strajku interes słabo się kręcił i szynk był prawie pusty. Grigorij zamierzał zapytać Miskę, czy wie, dokąd poszedł Lew po wyjściu z przyjęcia, ale zanim zdążył to zrobić, zobaczył Katerinę. Wyglądała tak, jakby przez całą noc była na nogach. Miała przekrwione oczy, potargane włosy, spódnicę wygniecioną i poplamioną. Była przybita, trzęsły jej się ręce, a po brudnych policzkach spływały łzy. To jednak czyniło ją jeszcze piękniejszą w oczach Grigorija, który pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Ponieważ nie mógł, zrobił to, co mógł, czyli przyszedł jej z pomocą.

– Co się stało? – zapytał. – O co chodzi?

– Dzięki Bogu, że tu jesteś. Policja szuka Lwa.

Grigorij jęknął. A więc jego brat naprawdę ma kłopoty. I to akurat dziś.

– Co zrobił?

Grigorij nawet nie brał pod uwagę możliwości, że Lew jest niewinny.

– W nocy była awantura. Mieliśmy wyładować papierosy z barki. – Grigorij domyślił się, że to kradziony towar. – Lew zapłacił za nie, ale wtedy przewoźnik powiedział, że to za mało, i zaczęli się kłócić. Ktoś wystrzelił, Lew odpowiedział ogniem, no i uciekliśmy.

– Dzięki Bogu, że nic wam się nie stało!

– Teraz nie mamy ani papierosów, ani pieniędzy.

– Co za bałagan. – Grigorij spojrział na zegar nad barem.

Szósta piętnaście. Nadal ma dużo czasu. – Usiądźmy. Napijiesz się herbaty?

Skinął na Miskę i poprosił o dwie szklanki herbaty.

– Dziękuję – powiedziała Katerina. – Lew uważa, że jeden z rannych musiał coś powiedzieć policji. Teraz go szukają.

– A ciebie?

– Nic mi nie grozi. Nikt nie wie, jak się nazywam.

Grigorij pokiwał głową.

– A więc teraz musimy ukryć Lwa przed policją. Powinien siedzieć cicho przez kilka tygodni, a potem wymknąć się z Sankt Petersburga.

– On nie ma pieniędzy.

– Oczywiście. – Lew nigdy nie miał pieniędzy na podstawowe rzeczy, chociaż nigdy nie brakowało mu ich na alkohol, obstawianie zakładów i zabawianie dziewczyn. – Mogę mu trochę dać. – Grigorij będzie musiał uszczuplić sumę zaoszczędzoną na podróż. – Gdzie on jest?

– Powiedział, że spotka się z tobą w porcie.

Miszka przyniósł herbatę. Grigorij poczuł, że jest głodny – owsianka została, niezjedzona, na ogniu – więc poprosił o zupę.

– Ile możesz mu dać? – spytała Katerina.

Patrzyła na niego poważnie i jej spojrzenie jak zawsze sprawiało, że był gotów zrobić wszystko, o co poprosi. Odwrócił wzrok.

– Ile będzie potrzebował.

– Jesteś taki dobry.

Grigorij wzruszył ramionami.

– To mój brat.

– Dziękuję.

Jej wdzięczność cieszyła go, ale także wprawiała w zakłopotanie. Podano zupę i zaczął jeść, zadowolony, że nie musi nic mówić. Poczuł przypływ optymizmu. Lew wciąż ma jakieś kłopoty.

Wykaraska się z nich tak, jak robił to już wielokrotnie. Grigorij nie spóźni się na statek.

Katerina obserwowała go, popijając herbatę. Uspokoiła się.

Mój brat naraził cię na niebezpieczeństwo, pomyślał Grigorij, a ja przyszedłem ci z pomocą, a jednak wolisz jego.

Lew zapewne jest teraz w dokach, kryjąc się w cieniu dźwigu, czekając i nerwowo wypatrując policjantów. Grigorij powinien go odszukać. Jednak może już nigdy nie zobaczyć Kateriny i nie mógł znieść myśli, że rozstaje się z nią na zawsze. Skończył zupę i spojrzął na zegar. Dochodziła siódma. Trochę się zasiedziało.

– Muszę iść – powiedział niechętnie.

Katerina odprowadziła go do drzwi.

– Nie bądź zbyt surowy dla Lwa – poprosiła.

– A czy kiedyś byłem?

Położyła dłonie na jego ramionach, stanęła na palcach i cmoknęła go w usta.

– Powodzenia – powiedziała.

Grigorij wyszedł.

Szybko przemknął ulicami południowo-zachodniej części Sankt Petersburga, przemysłowej dzielnicy pełnej magazynów, fabryk, składów i zatłoczonych baraków. Cisnące się do oczu łyż na szczęście po chwili obeschły. Szedł po zacienionej stronie ulicy, w czapce nasuniętej na czoło i ze spuszczoną głową, unikając otwartych przestrzeni. Jeśli Piński rozesłał rysopis Lwa, jakiś policjant może omyłkowo aresztować Grigorija.

Dotarł jednak do portu przez nikogo niezatrzymywany. Jego statek, „Anioł Gabriel”, był małym i zardzewiałym frachtowcem przewożącym ładunki i pasażerów. Teraz załadowano nań starannie pozbijane gwoździami drewniane skrzynie oznakowane nazwiskiem największego handlarza futer w mieście. Grigorij zobaczył, jak ostatnia z tych skrzyń zostaje opuszczona do ładowni i załoga mocuje pokrywę luku.

Przy wejściu na trap żydowska rodzina pokazywała bilety.

Z tego, co Grigorij wiedział, wszyscy Żydzi chcieli wyjechać do Ameryki. Mieli nawet więcej powodów po temu niż on. W Rosji prawo nie pozwalało im posiadać ziemi, zajmować stanowisk urzędniczych, być oficerami w wojsku i nakładało szereg innych ograniczeń. Nie mieli swobody wyboru miejsca zamieszkania i przepisy ograniczały liczbę Żydów mogących studiować na uczelniach. To cud, że jakoś zarabiają na życie. A jeśli, pomimo tego wszystkiego, któremuś z nich dobrze się powiodło, wkrótce zostawał zaatakowany przez tłum – zazwyczaj podjudzony przez takich policjantów jak Piński – i pobity, jego rodzina zastraszona, okna powybijane, a dom podpalony. Dziwne, że w ogóle jacyś Żydzi zostali w Rosji.

Syrena okrętowa dała sygnał „wszyscy na pokład”.

Nigdzie nie widział brata. Co się stało? Czyżby Lew znowu zmienił plany? A może już został aresztowany?

Nagle jakiś mały chłopiec pociągnął Grigorija za rękaw.

– Jeden człowiek chce z tobą rozmawiać – powiedział.

– Kto?

– Wygląda tak jak ty.

Dzięki Bogu, pomyślał Grigorij.

– Gdzie on jest?

– Za tymi deskami.

Na nabrzeżu leżała sterta drewna. Grigorij pospieszył tam i znalazł ukrytego za nią Lwa, nerwowo palącego papierosa. Był zdenerwowany i blady – rzadki widok, gdyż zwykle miał dobry humor, nawet gdy wpadał w tarapaty.

– Mam kłopoty – powiedział.

– Znowu.

– Ci przewoźnicy to kłamcy!

– I zapewne złodzieje.

– Oszczędź sobie sarkazmu. Nie ma na to czasu.

– Racja, nie ma. Trzeba wywieźć cię z miasta. Musisz poczekać, aż skończy się to zamieszanie.

Lew pokręcił głową, wydychając dym.

– Jeden z przewoźników umarł. Oskarżają mnie o morder-

stwo.

– Do diabła. – Grigorij usiadł na deskach i ukrył twarz w dłoniach. – Morderstwo – powtórzył.

– Trofim został ciężko ranny i policja zmusiła go do mówienia. Wydał mnie.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Pół godziny temu widziałem się z Fiodorem.

Fiodor był przekupnym policjantem i znajomym Lwa.

– To zła wiadomość.

– Jest gorzej. Piński poprzysiągł, że mnie znajdzie, żeby zemścić się na tobie.

Grigorij pokiwał głową.

– Tego się obawiałem.

– Co mam robić?

– Musisz wyjechać do Moskwy. W Sankt Petersburgu długo nie będziesz bezpieczny, może nigdy.

– Nie wiem, czy Moskwa to dostatecznie daleko teraz, kiedy policja ma telegrafy.

Grigorij zrozumiał, że brat ma rację.

Znowu zawyła syrena okrętowa. Zaraz podniosą trapy.

– Została nam tylko minuta – ponaglił brata Grigorij. – Co zamierzasz zrobić?

– Mógłbym wyjechać do Ameryki...

Grigorij spojrzał na niego zdumiony.

– Mógłbyś dać mi swój bilet – dodał Lew.

Peszków nawet nie chciał o tym myśleć.

Lew jednak ciągnął bezlitośnie logiczny wywód:

– Wykorzystam twój paszport i papiery, żeby dostać się do Stanów Zjednoczonych. Nikt nie zauważy różnicy.

Grigorij zobaczył, jak jego marzenie blaknie niczym obraz na ekranie kina Soleil na Newskim Prospekcie, gdy zapalają się światła, ukazując ponure barwy i brudne podłogi realnego świata.

– Mam ci dać mój bilet – powtórzył, rozpaczliwie od-wlekając podjęcie decyzji.

– Uratujesz mi życie.

Grigorij wiedział, że musi to zrobić, i świadomość tego była jak pchnięcie nożem w serce.

Wyjął dokumenty z kieszeni swojego najlepszego ubrania i dał je bratu. Oddał mu też wszystkie pieniądze, które zaoszczędził na podróż. Potem wręczył kartonową walizkę z dziurą od kuli.

– Przyślę ci pieniądze na bilet – pospiesznie zapewnił Lew.

Grigorij nic nie powiedział, ale widocznie na jego twarzy malował się sceptycyzm, bo Lew dodał: –Naprawdę to zrobię, przysięgam. Będę oszczędzał.

– W porządku – mruknął Grigorij.

Uściskali się.

– Zawsze się mną opiekowałeś – powiedział Lew.

– Tak, zawsze.

Lew odwrócił się i pobiegł.

Marynarze odwiązywali cumy. Już mieli podnieść trap, lecz

Lew zawołał do nich i zaczękali na niego kilka sekund.

Wbiegł po trapie na pokład.

Odwrócił się, przechylił przez reling i pomachał bratu.

Grigorij nie zdołał się zmusić, by wykonać jakiś gest. Odwrócił się i odszedł.

Jego prawa ręka była dziwnie lekka bez walizki. Szedł nabrzeżem, spoglądając na głęboką ciemną wodę. Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl, że może się do niej rzucić. Otrząsał się jednak. Takie głupie pomysły to nie w jego stylu. Mimo to był przygnębiony i rozgoryczony. Życie nigdy nie dało mu szansy.

Wciąż w ponurym nastroju, wrócił przez przemysłową dzielnicę tą samą drogą, którą przyszedł. Szedł ze spuszczoną głową, nawet nie patrząc, czy nadchodzi policja. Gdyby go teraz aresztowali, nie

miałoby to większego znaczenia.

Co teraz zrobi? Nie był w stanie wykrzesać z siebie energii. Kiedy strajk się skończy, odzyska pracę w stalowni. Jest dobrym pracownikiem i oni o tym wiedzą. Zapewne powinien pójść tam teraz i dowiedzieć się, czy są jakieś postępy w rozwiązaniu sporu – ale nie miał na to ochoty.

Po godzinie znalazł się w pobliżu szynku Miszki. Zamierzał minąć go, lecz zerknąwszy do środka, zobaczył Katerinę siedzącą tam, gdzie zostawił ją przed dwiema godzinami, nad szklanką zimnej herbaty. Uświadomił sobie, że musi powiedzieć jej, co się stało.

Wszedł do środka. W szynku nie było nikogo poza Miszką, który zamiatał podłogę.

Katerina wstała z przestraszoną miną.

– Dlaczego tu jesteś? Spóźniłeś się na statek?

– Niezupełnie.

Nie wiedział, jak przekazać jej tę wiadomość.

– No to dlaczego? – dopytywała się. – Czy Lew nie żyje?

– Nie, nic mu nie jest. Jednak jest poszukiwany za morderstwo.

Wytrzeszczyła oczy.

– Gdzie on jest?

– Musiał wyjechać.

– Dokąd?

Tej wiadomości nie da się przekazać w delikatny sposób.

– Poprosił mnie, żebym oddał mu swój bilet.

– Twój bilet?

– I paszport. Wyjechał do Ameryki.

– Nie! – krzyknęła.

Grigorij tylko pokiwał głową.

– Nie! – krzyknęła znowu. – Nie zostawiłby mnie! Nigdy

tak nie mów, nigdy!

– Uspokój się.

Spoliczkowała go, ale była tylko dziewczyną i prawie nic nie poczuł.

– Ty świnió! – piszczała. – Odesłałeś go!

– Zrobiłem to, żeby uratować mu życie.

– Ty draniu! Psie! Nienawidzę cię! Nienawidzę twojej głupiej gęby!

– Możesz mówić, co chcesz, i tak nie poczuję się już gorzej – rzekł Grigorij, ale ona go nie słuchała.

Ignorując jej wyzwiska, odwrócił się i odszedł. Jej głos ucichł, gdy Grigorij znalazł się na ulicy.

Nagle przestała wrzeszczeć i za plecami usłyszał tupot jej nóg.

– Stój! – krzyknęła. – Stój, proszę, Grigoriju, nie zostawiaj mnie, przepraszam.

Odwrócił się.

– Teraz, kiedy Lwa nie ma, musisz się mną zaopiekować.

Pokręcił głową.

– Nie jestem ci potrzebny. Wszyscy mężczyźni w tym mieście ustawiają się w kolejce, żeby otoczyć cię opieką.

– Nie, wcale nie. Jest coś, czego nie wiesz.

Co znowu? – jęknął w duchu Grigorij.

– Lew nie chciał, żebym ci o tym powiedziała.

– Mów.

– Będę miała dziecko – wyznała i zaczęła płakać.

Grigorij stał bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

Dziecko Lwa, oczywiście. I Lew o tym wiedział. A mimo to wyjechał do Ameryki.

– Dziecko – powtórzył Grigorij.

Kiwnęła głową, płacząc.

Dziecko jego brata. Jego bratanek lub bratanica. Jego rodzina.

Przyciągnął ją do siebie. Wstrząsał nią szloch. Wtuliła twarz w jego marynarkę, a on gładził jej włosy.

– W porządku – powiedział. – Nie martw się. Nic ci nie będzie. I twojemu dziecku. – Westchnął. – Zaopiekuję się wami.

II.

Podróż na pokładzie „Anioła Gabriela” okazała się ciężka nawet dla chłopaka ze slumsów Sankt Petersburga. Była tylko jedna klasa, najtańsza, i stłoczonych w niej pasażerów traktowano jak ładunek. Statek był brudny i cuchnący, szczególnie przy dużej fali, kiedy ludziom dokuczyla choroba morska. Narzekanie nie miało sensu, gdyż nikt z załogi nie mówił po rosyjsku. Lew nie wiedział, jakiej narodowości jest załoga, ale nie dogadał się z nikim swoją nędzną angielszczyzną ani jeszcze gorszą niemiecką. Ktoś powiedział, że to Holendrzy. Lew nigdy nie słyszał o takiej nacji.

Pomimo to wśród pasażerów panował nastrój radosnego optymizmu. Lew czuł się tak, jakby rozbił mur carskiego więzienia i uciekł. Jest wolny. Płynie do Ameryki, gdzie nie ma szlachetnie urodzonych. Kiedy morze było spokojne, pasażerowie siadali na pokładzie i opowiadali sobie historie, które słyszeli o Ameryce: o gorącej wodzie płynącej z kranów, dobrych skórzanych butach noszonych przez robotników, a przede wszystkim o wolności wyznania, zrzeszania się i publicznego wypowiedzania swojego zdania bez lęku przed policją.

Wieczorem dziesiątego dnia Lew grał w karty. Był rozdającym, ale przegrywał. Przegrywali wszyscy oprócz Spirii, niewinnie wyglądającego chłopca, który podróżował sam.

– Spiria wygrywa co wieczór – stwierdził inny gracz, Jaków. W rzeczywistości Spiria wygrywał zawsze, gdy rozdawał Lew. Płynęli powoli we mgle. Morze było spokojne i słychać było tylko basowy pomruk silników. Lew nie zdołał się dowiedzieć, kiedy dopłyną do celu. Na to pytanie ludzie udzielali mu różnych odpowiedzi. Najlepiej poinformowani tłumaczyli, że to zależy od pogody. Załoga jak zwykle nic nie mówiła.

Gdy zapadła noc, Lew rzucił karty na stół.

– Jestem splukany – oznajmił. W rzeczywistości miał za pazuchą sporą sumkę, ale widział, że innym kończą się pieniądze. Wszystkim poza Spirią. – Na dziś koniec. Kiedy dopłyniemy do Ameryki, zamierzam wpaść w oko jakiejś bogatej kobiecie i mieszkać jako maskotka w jej marmurowym pałacu. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Tylko dlatego ktoś chciałby mieć ciebie za maskotkę? – zapytał Jaków.

– Starszym paniom jest zimno w nocy. Przyda im się moje urządzenie grzewcze.

Gracze rozeszli się w dobrych humorach.

Spiria poszedł na rufę i oparł się o reling, patrząc, jak pozostawiony przez statek ślad na wodzie znika we mgle. Lew dołączył do niego.

– Moja połowa to równe siedem rubli – powiedział.

Spiria wyjął z kieszeni banknoty i dał mu je, uważając, by nikt nie zauważył, jak pieniądze przechodzą z ręki do ręki.

Lew schował banknoty do kieszeni i nabił fajkę.

– Powiedz mi coś, Grigoriju – odezwał się Spiria. Lew posługiwał się dokumentami brata, więc musiał przedstawiać się jako Grigorij. – Co byś zrobił, gdybym nie chciał dać ci twojej doli? Takie gadanie było niebezpieczne. Lew powoli schował tytoń i niezapaloną fajkę do kieszeni marynarki, po czym złapał Spirię za kłapy i przycisnął do relingu, tak że chłopak górną połową ciała zawisł nad wodą. Spiria był wyższy od niego, ale o wiele słabszy.

– Skręciłbym ci kark – wycedził Lew. – Potem zabrałbym wszystkie pieniądze, które wygrałeś dzięki mnie. – Przechylił Spirię jeszcze bardziej. – A potem wrzuciłbym cię do tego

przeklętego morza.

Chłopak był przerażony.

– W porządku! Puść mnie!

Lew go puścił.

– Jezu! – jęknął Spiria. – Ja tylko zadałem ci pytanie.

Lew zapalił fajkę.

– A ja na nie odpowiedziałem. Nie zapominaj o tym.

Spiria odszedł.

Kiedy mgła się podniosła, zobaczyli ład. Była noc, lecz Lew dostrzegł światła miasta. Gdzie są? Jedni mówili, że w Kanadzie, inni, że w Irlandii, ale nikt nie wiedział na pewno.

Światła się przybliżyły i statek zwolnił. Przybijali do brzegu. Lew usłyszał, jak ktoś mówi, że już są w Ameryce! Wydawało mu się, że dziesięć dni to trochę za szybko. Ale co on tam wie? Stał przy relingu, trzymając kartonową walizkę brata. Serce zabiło mu mocniej.

Ta walizka przypomniała mu, że to Grigorij powinien znaleźć się w Ameryce. Lew nie zapomniał o obietnicy, którą złożył bratu, że przyśle mu pieniądze na bilet. Zamierzał jej dotrzymać. Grigorij zapewne uratował mu życie – znowu. Mam szczęście, pomyślał Lew, że jest moim bratem.

Na statku zarabiał pieniądze, ale nie dość szybko. Siedem rubli to niewiele. Potrzebuje dużej sumy. Jednak Ameryka to ziemia nieograniczonych możliwości. Zbije tu majątek.

Lew był zaintrygowany, znalazłszy w walizce dziurę po kuli i samą kulę tkwiącą w pudełku szachów. Sprzedał te szachy jednemu Żydowi za pięć kopiejek. Zastanawiał się, w jakich okolicznościach strzelano tamtego dnia do Grigorija.

Brakowało mu Kateriny. Uwielbiał pokazywać się z taką dziewczyną jak ona, wiedząc, że wszyscy mężczyźni mu zazdroszczą. Jednak tu, w Ameryce, będzie mnóstwo dziewczyn.

Zastanawiał się, czy Grigorij wie już o ciąży Kateriny. Poczuł ukłucie żalu: czy kiedykolwiek zobaczy swojego syna lub córkę? Nie zamierzał przejmować się tym, że Katerina będzie sama wychowywała dziecko. Znajdzie sobie kogoś innego, kto się nią zajmie. Jest silna.

Minęła północ, gdy statek w końcu przybił do brzegu. Przystań była słabo oświetlona i wokół żywej duszy. Pasażerowie wysiedli z tobołkami, skrzyniami i kuframi. Oficer z „Anioła Gabriela” zaprowadził ich do baraku, w którym stało kilka ławek.

– Musicie tu poczekać do rana, aż przyjdą urzędnicy imigracyjny – powiedział, ujawniając, że jednak mówi trochę po rosyjsku. Takie zakończenie było nieoczekiwane dla ludzi, którzy przez długie lata oszczędzali, żeby się tu dostać. Kobiety usiadły na ławkach, a dzieci zasnęły, podczas gdy mężczyźni palili i czekali ranka. Po pewnym czasie usłyszeli pomruk silników. Lew wyszedł na dwór i zobaczył, że statek powoli odpływa. Zapewne skrzynie z futrami mają być wyładowane gdzie indziej.

Próbował przypomnieć sobie, co Grigorij mówił mu o pierwszych krokach w tym nowym kraju. Imigranci muszą przejść badania medyczne – chwila pełna napięcia, gdyż chorzy są odsyłani, tracąc pieniądze i nadzieję na przyszłość. Czasem urzędnicy imigracyjni zmieniają ludziom nazwiska, aby były łatwiejsze do wymówienia. W porcie będzie czekał na nich przedstawiciel rodziny Vyalovów, żeby pociągiem zawieźć ich do Buffalo. Tam dostaną pracę w hotelach i fabrykach Josefa Vyalova. Lew zastanawiał się, jak daleko jest do Buffalo z Nowego Jorku. Czy podróż potrwa godzinę, czy tydzień? Żałował, że nie słuchał uważniej Grigorija.

Słońce weszło nad wieloma milami zapchanego statkami nabrzeża i Lew znów poczuł podniecenie. Maszty i olinowanie starych żaglowców towarzyszyły tu kominom parowców. Okazałe budynki portowe stały obok walących się szop, wysokich dźwigów i przysadzistych kranów, wszędzie pełno było drabin, zwojów

grubych lin i wózków transportowych. Od strony lądu Lew zobaczył długie rzędy wagonów kolejowych pełnych węgla, całe setki – nie, tysiące – ginące w oddali. Był rozczarowany, że nie widzi słynnej Statuy Wolności z płonąca pochodnią. Domyślił się, że zapewne zasłania ją przyładek.

Pojawili się dokerzy, najpierw małymi grupkami, potem tłumnie. Jedne statki odpływały, inne przybijały. Kilka kobiet zaczęło wyładowywać worki z ziemniakami ze stateczku, który przybił do brzegu przed barakiem. Lew zastanawiał się, kiedy przyjdą urzędnicy imigracyjni.

Podszedł do niego Spiria. Najwyraźniej wybaczył mu tamte groźby.

– Zapomnieli o nas – stwierdził.

– Na to wygląda – mruknął zdziwiony Lew.

– Może przejdziemy się i spróbujemy znaleźć kogoś, kto mówi po rosyjsku?

– Dobry pomysł.

– Pójdziemy i spróbujemy się dowiedzieć, co się tu dzieje – powiedział Spiria do jednego ze starszych mężczyzn.

Ten się przestraszył.

– Może lepiej zostańmy tutaj, tak jak nam kazano.

Zignorowali go i podeszli do kobiet wyładowujących ziemniaki.

Lew posłał im swój najszerzy uśmiech i zapytał, czy któraś z nich mówi po rosyjsku. Jedna z młodszych też się do niego uśmiechnęła, ale żadna nie odpowiedziała na pytanie. Lew był zniechęcony: jego urok nie działa, gdy ma do czynienia z ludźmi, którzy nie rozumieją, co do nich mówi.

Razem ze Spirią poszli tam, skąd nadchodzili robotnicy. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Dotarli do szerokiej bramy, przeszli przez nią i znaleźli się na ruchliwej ulicy pełnej biur i sklepów. Pełno na niej było samochodów, tramwajów, koni i powozów. Lew co kilka kroków zagadywał kogoś po rosyjsku, ale nikt go nie rozumiał.

Był zdumiony. Co to za kraj, w którym każdy może sobie zejść ze statku i bez zezwolenia chodzić po mieście?

Nagle zauważył budynek, który go zaintrygował. Przypominał trochę hotel, tyle że na schodach siedzieli dwaj biednie odziani mężczyźni w marynarskich czapkach i palili.

– Spójrz na ten budynek – powiedział do Spirii.

– A co z nim?

– Myślę, że to Dom Marynarza, taki jak ten w Sankt Petersburgu.

– Nie jesteście marynarzami.

– Owszem, ale tam mogą być ludzie, którzy znają obce języki.

Weszli. Zaczepiła ich siwowłosa kobieta za kontuarem.

– Nie mówimy po amerykańsku – powiedział Lew po rosyjsku.

Odpowiedziała jednym słowem w tym samym języku:

– Rosjanie?

Lew skinął głową.

Skinęła na nich palcem i w sercu Lwa ożyła nadzieja.

Poszli za nią długim korytarzem do niewielkiego biura z widokiem na wodę. Za biurkiem siedział człowiek, który – zdaniem Lwa – wyglądał na rosyjskiego Żyda, chociaż Lew nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak pomyślał.

– Mówisz po rosyjsku? – zapytał go Lew.

– Jestem Rosjaninem – odparł mężczyzna. – W czym mogę pomóc?

Lew miał ochotę go uściskać. Zamiast tego spojrzał mu w oczy i posłał ciepły uśmiech.

– Ktoś miał spotkać się z nami po zejściu na ląd i zabrać do Buffalo, ale się nie pojawił – wyjaśnił zatroskany. – Jest nas około trzystu... – I żeby wzbudzić współczucie, dodał: – W tym kobiety i dzieci. Sądziś, że mógłbyś pomóc nam odnaleźć naszego

łącznika?

– Buffalo? – dziwił się mężczyzna. – Wydaje wam się, że gdzie jesteście?

– W Nowym Jorku, oczywiście.

– To jest Cardiff.

Lew nigdy nie słyszał o Cardiff, ale teraz przynajmniej zrozumiał, co się stało.

– Ten głupi kapitan wysadził nas w złym porcie. Jak dostaniemy się stąd do Buffalo?

Mężczyzna wskazał za okno, na bezkresne morze, i zrozpaczony Lew zrozumiał, co zaraz usłyszą.

– To w tamtym kierunku – powiedział mężczyzna. – Około trzech tysięcy mil stąd.

III.

Lew zapytał o cenę biletu z Cardiff do Nowego Jorku. Po przeliczeniu na ruble wyszła mu suma dziesięciokrotnie większa od tej, jaką miał za koszulą.

Powstrzymał gniew. Wszyscy zostali oszukani przez rodzinę Wiałowów lub kapitana statku, albo i tych, i tych, co najbardziej prawdopodobne, gdyż razem łatwiej zrobić przekręt. Te kłamliwe świnię ukradły wszystkie pieniądze zaoszczędzone przez Grigorija. Gdyby mógł teraz złapać kapitana „Anioła Gabriela” za gardło, udusiłby go i z uśmiechem patrzyłby, jak umiera.

Jednak marzenia o zemście nie mają sensu. Chodzi o to, żeby się nie poddawać. Znajdzie jakąś pracę, nauczy się angielskiego i zacznie grać o wysokie stawki. To zajmie trochę czasu, ale musi być cierpliwy. Powinien nauczyć się być trochę taki jak Grigorij. Pierwszej nocy wszyscy spali na posadzce w synagodze. Lew przyłączył się do pozostałych. Żydzi z Cardiff nie wiedzieli albo nie przejmowali się tym, że niektórzy z pasażerów są chrześcijanami. Po raz pierwszy w życiu dostrzegł zaletę bycia Żydem. W Rosji Żydzi byli tak prześladowani, że Lew zawsze się zastanawiał, dlaczego nie wyrzekną się swej religii, nie zmieniają strojów i nie wmieszają się w tłum. W ten sposób wielu uniknęłoby śmierci. Teraz jednak zrozumiał, że jako Żyd można udać się w dowolne miejsce na świecie i wszędzie znajdzie się kogoś, kto potraktuje przybysza jak członka rodziny.

Okazało się, że nie są pierwszą grupą rosyjskich imigrantów, którzy kupili bilety do Nowego Jorku, a wylądowali gdzie indziej. Zdarzało się to już wcześniej w Cardiff i innych brytyjskich portach, a ponieważ wśród rosyjskich uchodźców było wielu Żydów, starszyzna synagogi wypracowała rutynowy plan. Następnego dnia porzuceni pasażerowie dostawali gorące śniadanie, wymieniano im pieniądze na angielskie funty, szylingi i pensy, po czym zabierano do pensjonatów, w których mogli tanio wynająć pokoje.

Jak w każdym mieście na świecie, w Cardiff było wiele stajni. Lew znał wystarczająco dużo słów, by powiedzieć, że ma doświadczenie w pracy z końmi, więc zaczął chodzić po mieście, szukając zatrudnienia. Ludzie szybko dostrzegali, że dobrze sobie radzi ze zwierzętami, ale nawet najlepiej usposobieni pracodawcy chcieli zadać mu kilka pytań, których nie rozumiał i nie mógł na nie odpowiedzieć.

Zdesperowany, zaczął uczyć się intensywniej i po kilku dniach znał już angielskie ceny i potrafił kupić chleb czy piwo. Jednak pracodawcy zadawali skomplikowane pytania, zapewne gdzie pracował wcześniej i czy miał jakieś kłopoty z prawem.

Wrócił do Domu Marynarza i wyjaśnił swój problem Rosjaninowi w małym biurze. Dostał adres w Butetown, dzielnicy sąsiadującej z dokami. Miał zapytać o Filipa Kowala, znanego jako Kowal Polak. Kowal okazał się brygadzystą werbującym

obcokrajowców jako tanią siłę roboczą i znającym trochę europejskich języków. Kazał Lwu stawić się z walizką przed dworcem o dziesiątej rano w następnym poniedziałek.

Lew tak się ucieszył, że nawet nie zapytał, co to za praca. Przyszedł tam razem z kilkuset innymi mężczyznami, głównie Rosjanami, ale także Niemcami, Polakami, Słowakami i jednym ciemnoskórym Afrykaninem. Z zadowoleniem zobaczył w tłumie Spirię i Jakowa.

Wsadzono ich do pociągu z biletami kupionymi przez Kowala, po czym pojechali na północ przez ładne górskie okolice. W dolinach między zielonymi wzgórzami przemysłowe miasteczka rozpościerały się niczym ciemne kałuże. Charakterystyczną cechą każdego z nich była przynajmniej jedna wieża z parą olbrzymich kół i Lew dowiedział się, że główną gałęzią przemysłu w tym regionie jest wydobywanie węgla. Wśród jadących było kilku górników, paru reprezentantów innych zawodów oraz wielu niewykwalifikowanych robotników.

Po godzinnej jeździe wysiedli z pociągu. Kiedy wyszli ze stacji, Lew zrozumiał, że to nie jest zwyczajna praca. Kilkusetosobowy tłum, złożony głównie z mężczyzn w czapkach i roboczych ubraniach, stał, czekając na nich na placu. Z początku zgromadzeni tylko milczeli złowrogo, lecz potem jeden z nich coś krzyknął i pozostali natychmiast się do niego przyłączyli. Lew nie miał pojęcia, co mówią, ale niewątpliwie byli wrogo nastawieni. Na placu było też dwudziestu lub trzydziestu policjantów, stojących szeregiem przed tłumem i utrzymujących go w bezpiecznej odległości.

– Co to za ludzie? – spytał przestraszony Spiria.

– Niscy muskularni mężczyźni o surowych twarzach i czystych rękach – odparł Lew. – Powiedziałbym, że to strajkujący górnicy.

– Patrzą tak, jakby chcieli nas pozabijać. Co tu się dzieje, do diabła?

– Jesteśmy łamistrajkami – wyjaśnił ponuro Lew.

– Boże, miej nas w opiece.

Kowal Polak zawołał: „Za mną!” w kilku językach i pomaszrowali główną ulicą. Tłum wciąż krzyczał i wygrażał pięściami, ale nikt nie wyłamał się z szeregu. Lew nigdy wcześniej nie był tak zadowolony z obecności policjantów.

– To okropne – mruknął.

– Teraz wiesz, jak to jest być Żydem – odrzekł Jaków.

Zostawili krzyżujących górników za sobą i poszli ulicami w górę, do szeregowych domów. Lew zauważył, że wiele z nich wygląda na puste. Tu też ludzie się na nich gapili, ale nie wyzywali. Kowal zaczął przydzielać mieszkania. Lew i Spiria ze zdumieniem dowiedzieli się, że będą mieli cały domek dla siebie. Zanim odszedł, Kowal wskazał szyb – wieżę z dwoma kołami – i polecił im być tam nazajutrz o szóstej rano. Górnicy mieli wydobywać węgiel, pozostali konserwować tunele i sprzęt, a Lew zajmować się kucami. Rozejrzał się po swoim nowym domu. Nie był to pałac, ale było czysto i sucho. Jeden duży pokój na dole i dwa na piętrze – oddzielna sypialnia dla każdego! Lew jeszcze nigdy nie miał swojego pokoju. Wprawdzie w domu nie było mebli, ale oni byli przyzwyczajeni do sypiania na podłodze, a w czerwcu nawet nie potrzebowali koców.

Lew nie miał ochoty wychodzić, ale w końcu zgłodnieli.

W domu nie znaleźli nic do jedzenia, więc niechętnie wyszli za czymś się rozejrzeć. Z obawą weszli do pierwszego napotkanego pubu, gdzie kilkunastu gości obrzuciło ich gniewnymi spojrzeniami, a kiedy Lew zamówił po angielsku dwie kwarty jasnego, barman go zignorował.

Zeszli na dół, do centrum miasteczka, i znaleźli kafejkę. Tu przynajmniej klientela nie wyglądała na rwącą się do bójki. Jednak siedzieli przy stoliku pół godziny i patrzyli, jak kelnerka obsługuje

każdego, kto przyszedł po nich. Wreszcie wyszli. Lew zrozumiał, że trudno będzie żyć w tym miejscu. Jednak nie zostanie tu długo. Gdy tylko uzbiera dość pieniędzy, wyjedzie do Ameryki. Mimo wszystko, dopóki jest tutaj, będzie musiał coś jeść.

Weszli do piekarni. Tym razem Lew zdecydował, że dostanie to, czego chce. Wskazał rząd bochenków.

– Proszę jeden chleb – powiedział po angielsku.

Piekarz udał, że nie rozumie.

Lew sięgnął za ladę i złapał bochen chleba. Teraz, pomyślał, niech spróbuje mi go odebrać.

– Hej! – krzyknął piekarz, ale pozostał po swojej stronie lady.

Lew uśmiechnął się i zapytał:

– Ile się należy?

– Pens i ćwierć – warknął piekarz.

Lew położył monety na ladzie.

– Bardzo dziękuję – powiedział.

Przełamał chleb i dał połowę Spirii, po czym, jedząc, ruszyli ulicą. Doszli do dworca kolejowego, ale tłum już się rozszedł.

Przed dworcem gazeciarski głośno nawoływał klientów. Gazety szybko się sprzedawały i Lew zadał sobie pytanie, czy wydarzyło się coś ważnego.

Ulicą szybko nadjechał duży samochód i musieli uskoczyć mu z drogi. Patrząc na pasażerkę jadącą z tyłu, Lew ze zdumieniem rozpoznał księżniczkę Beę.

– Dobry Boże! – jęknął.

W mgnieniu oka przeniósł się do Bułowniru i zobaczył koszmarny widok ojca umierającego na szubienicy i przyglądającej się temu kobiety. Nigdy nie był tak przerażony jak wtedy. I nic nigdy tak bardzo go już nie przerazi, ani uliczne bójki czy policyjne pałki, ani wycelowane w niego lufy.

Samochód podjechał do głównego wejścia. Na widok wysiadającej księżniczki Bei Lew poczuł wzbierającą falę nienawiści i odrazy. Było mu niedobrze. Chleb w jego ustach nagle miał smak żwiru i Lew go wypluł.

– O co chodzi? – spytał Spiria.

Lew wziął się w garść.

– Ta kobieta to rosyjska księżniczka – wyjaśnił. – Czternaście lat temu kazała powiesić mojego ojca.

– Suka. Co, u licha, ona tu robi?

– Poślubiła angielskiego lorda. Pewnie mieszkają w pobliżu. Może to jego kopalnia.

Szofer i służąca zajęli się bagażami. Lew usłyszał, jak Bea mówi po rosyjsku do służącej, która odpowiedziała jej w tym samym języku. Wszyscy troje weszli na stację, po czym służąca wróciła i kupiła gazetę.

Lew podszedł do niej. Zdjął czapkę, nisko się pokłonił i powiedział po rosyjsku:

– Pani musi być księżniczką Beą.

Uśmiechnęła się wesoło.

– Nie bądź głupi. Jestem Nina, jej służąca. A kim wy jesteście?

Lew przedstawił siebie i Spirię, po czym wyjaśnił, jak się tu znaleźli i dlaczego nie mogą kupić nic do jedzenia.

– Wrócę wieczorem – powiedziała Nina. – Jedziemy tylko do Cardiff. Podejdźcie do kuchennych drzwi Ty Gwyn, to dam wam trochę zimnego mięsa. Po prostu wyjdźcie z miasta drogą wiodącą na północ, aż dotrzecie do pałacu.

– Dziękujemy, piękna pani.

– Jestem tak stara, że mogłabym być twoją matką – odrzekła, ale rozpromieniła się. – Lepiej zaniosę księżniczce jej gazetę.

– Co to za nadzwyczajne wydarzenie?

– Och, wiadomość z zagranicy – odparła lekceważąco. –

Był zamach. Księżniczka jest bardzo wzburzona. Austriacki arcy-

książę Ferdynand został zabity w miejscowości, którą nazywają Sarajewo.

- To na pewno przerażające dla księżniczki.
- Tak – potwierdziła Nina. – Jednak nie sądzę, żeby robiło jakąś różnicę takim jak wy i ja.
- Pewnie. Ja też tak uważam.

ROZDZIAŁ 7

Początek lipca 1914 roku

i.

Kościół Świętego Jana na Piccadilly miał najlepiej ubranych wiernych na świecie. Był ulubioną świątynią londyńskiej elity. Teoretycznie przesadną elegancję uznawano za naganną, ale kobieta musi przecież nosić kapelusz, a w tych czasach niemal nie da się kupić takiego, który nie byłby ozdobiony strusimi piórami, wstążkami, kokardkami i kwiatami z jedwabiu. Z tyłu nawy Walter von Ulrich spoglądał na dżunglę ekstrawaganckich kształtów i kolorów. Mężczyźni wprost przeciwnie, wszyscy wyglądali tak samo, w czarnych płaszczach z białymi stójkowymi kołnierzami i z cylindrami trzymanymi na kolanach.

Większość tych ludzi nie zrozumie, co wydarzyło się przed siedmioma dniami w Sarajewie, pomyślał kwaśno, a niektórzy z nich nie wiedzą nawet, gdzie leży Bośnia. Są wstrząśnięci śmiercią arcyksięcia, ale nie potrafią pojąć, co to oznacza dla reszty świata. Są po prostu zaskoczeni.

Walter nie. Dobrze wiedział, co ten zamach zapowiada. Powstało poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Niemiec i ludzie tacy jak on muszą bronić swojej ojczyzny.

Dziś jego głównym zadaniem było dowiedzenie się, co myśli car Rosji. Wszyscy byli tego ciekawi: ambasador Niemiec, ojciec Waltera, minister spraw zagranicznych w Berlinie i sam cesarz. A Walter, jako dobry oficer wywiadu, miał swoje źródło informacji.

Przyjrzał się wiernym, próbując od tyłu rozpoznać swojego człowieka. Obawiał się, że może go tu nie być. Anton był urzędnikiem rosyjskiej ambasady. Spotykali się w anglikańskich kościołach, ponieważ Anton miał pewność, że nie natknie się w nich na żadnego z pracowników ambasady: większość Rosjan należała do Kościoła prawosławnego, a innych nigdy nie zatrudniano w dyplomacji.

Anton kierował sekcją łączności rosyjskiej ambasady, tak więc widział każdy przychodzący i wychodzący telegram. Jego informacje były bezcenne. Jednak trudno go było prowadzić i przysparzał Walterowi zmartwień. Szpiegowanie przerażało Antona, a kiedy był przestraszony, nie pokazywał się – często w chwilach międzynarodowych kryzysów, takich jak ten, kiedy Walter najbardziej go potrzebował.

Uwagę Waltera rozproszył widok Maud. Rozpoznał jej długą smukłą szyję, wystającą z modnego męskiego kołnierzyka o załamanych rogach, i serce zabiło mu mocniej. Całował tę szyję, ilekroć miał okazję.

Gdy dumał o groźbie wybuchu wojny, jego myśli najpierw biegły do Maud, a potem do ojczyzny. Wstydział się swojego egoizmu, ale nie mógł nic na to poradzić. Najbardziej obawiał się tego, że ją straci. Zagrożenie Vaterlandu było na drugim miejscu. Gotów był umrzeć za Niemcy, ale nie umiałby żyć bez kobiety, którą kocha.

Jedna z głów w trzecim rzędzie odwróciła się i Walter napotkał spojrzenie Antona. Mężczyzna miał przerzedzone ciemnoblonde włosy i siwą brodę. Walter z ulgą poszedł do południowej nawy,

jakby szukając miejsca, i po chwili wahania usiadł. Anton zwykle pojawiał się, ponieważ jego serce przepełniała gorycz. Pięć lat temu jego ukochany siostrzeniec został oskarżony przez carską tajną policję o działalność rewolucyjną i uwięziony w Twierdzy Pietropawłowskiej, naprzeciwko znajdującego się po drugiej stronie rzeki Pałacu Zimowego w samym sercu Sankt Petersburga. Chłopiec studiował teologię i nie był winny, ale zanim go wypuszczono, dostał zapalenia płuc i umarł. Od tamtej pory Anton prowadził cichą, zawziętą krucjatę przeciwko carskim rządóm.

Szkoda, że kościół jest tak dobrze oświetlony. Architektowi, Christopherowi Wrenowi, zawdzięcza długie rzędy olbrzymich łukowatych okien. W tego rodzaju wnętrzu lepszy byłby ponury gotycki półmrok. Pomimo to Anton dobrze wybrał miejsce na końcu rzędu, obok jakiegoś dziecka i pod masywną kolumną.

– Dobre miejsce – pochwalił Walter.

– Nadal jesteśmy widoczni z galerii – trwożył się Anton.

Walter pokręcił głową.

– Wszyscy będą patrzyli na ołtarz.

Anton był kawalerem w średnim wieku. Niskiego wzrostu, schludny w sposób graniczący z pedanterią: ciasno zawiązany krawat, marynarka zapięta na wszystkie guziki, lśniące buty. Znoszony garnitur błyszczał od wieloletniego szczerowania i prasowania. Walter pomyślał, że zapewne w ten sposób odreagowuje brudne zajęcia, jakim jest szpiegowanie. W końcu przyszedł tutaj, żeby zdradzić swój kraj, a ja mam go do tego zachęcić, ponuro pomyślał Walter.

W ciszy, jaka zapadła przed rozpoczęciem mszy, nie powiedział do Rosjanina nic więcej, lecz gdy tylko zaintonowano pierwszy psalm, szepnął:

– Jaki nastrój panuje w Sankt Petersburgu?

– Rosja nie chce wojny.

– To dobrze.

– Car obawia się, że wojna doprowadzi do rewolucji. –

Wspominając cara, Anton miał taką minę, jakby chciał splunąć. – Połowa Sankt Petersburga już strajkuje. Oczywiście nie przyjdzie mu do głowy, że to przez jego głupie okrucieństwo ludzie chcą rewolucji.

– Istotnie. – Walter zawsze musiał uwzględniać fakt, że opinie Antona są wykoślawione przez nienawiść, lecz w tym przypadku szpieg się nie mylił. Walter nie nienawidził cara, ale obawiał się go. Władca Rosji ma największą armię na świecie.

W każdej dyskusji o bezpieczeństwie Niemiec należy wziąć tę armię pod uwagę. Niemcy znalazły się w sytuacji człowieka, którego sąsiad trzyma w ogrodzie przed domem niedźwiedzia na łańcuchu. – Co robi car?

– To zależy od Austrii.

Walter powstrzymał gniewną replikę. Wszyscy czekali na to, co zrobi cesarz Austro-Węgier. A musi coś zrobić, ponieważ zamordowany arcyksiążę był następcą tronu. Walter miał nadzieję jeszcze tego samego dnia poznać zamiary Austriaków podczas spotkania ze swoim kuzynem Robertem. Ta gałąź ich rodziny to katolicy, jak cała austriacka elita, tak więc Robert jest teraz zapewne na mszy w katedrze westminsterskiej, ale Walter miał zjeść z nim lunch. Na razie chciał dowiedzieć się więcej o zamiarach Rosjan. Musiał jednak poczekać na następny psalm. Starał się być cierpliwy. Spojrzał w górę, podziwiając wspaniałe złocenia beczkowych sklepień Wrena.

Wierni zaczęli śpiewać Rock of Ages.

– Założmy, że wybuchną walki na Bałkanach – mruknął

Walter do Antona. – Czy Rosjanie pozostaną bierni?

– Nie. Car nie mógłby stać z boku, gdyby zaatakowano Serbię.

Waltera przeszedł dreszcz. Właśnie takiej eskalacji działań się obawiał.

– Wojna o to byłaby szaleństwem!
– To prawda. Jednak Rosjanie nie mogą pozwolić, by Austria kontrolowała Bałkany. Muszą chronić szlak przez Morze Czarne. Z tym nie można było się spierać. Większość rosyjskiego eksportu – ziarno z pszenicznych pól na południu i ropa z szybów wokół Baku – wysyłano w świat drogą morską z portów Morza Czarnego.

Anton mówił dalej:

– Z drugiej strony car nakłania wszystkich do zachowania rozwagi.

– Krótko mówiąc, jeszcze się namyśla.

– Jeśli można to nazwać myśleniem.

Walter pokiwał głową. Car nie jest inteligentnym człowiekiem. Marzy, by przywrócić w Rosji złoty okres siedemnastego wieku, i jest na tyle głupi, by sądzić, że to możliwe. Tak jakby król Jerzy V próbował wskrzesić wesołą Anglię z czasów Robin Hooda. Ponieważ car nie myśli racjonalnie, denerwująco trudno jest przewidzieć, co zrobi.

Podczas ostatniego psalmu spojrzenie Waltera przeniosło się na Maud siedzącą dwa rzędy przed nim po drugiej stronie nawy. Z czułością obserwował jej profil, gdy z zapalem śpiewała. Budzący sprzeczne uczucia raport Antona zirytował go. Walter był bardziej zaniepokojony niż przed godziną.

– Teraz będę musiał spotykać się z tobą codziennie – uprzedził.

Anton był przerażony.

– To niemożliwe! Zbyt ryzykowne.

– Sytuacja zmienia się z godziny na godzinę.

– W następną niedzielę rano na Smith Square – szepnął

Anton.

Na tym polega problem ze szpiegami idealistami, pomyślał sfrustrowany Walter: nie ma ich jak nacisnąć. Z drugiej strony ludziom szpiegującym za pieniądze nie można ufać. Powiedzą ci to, co chcesz usłyszeć, aby dostać zapłatę. Jeśli Anton powiedział, że car się waha, Walter może być pewny, że monarcha jeszcze nie podjął decyzji.

– Spotkajmy się w środku tygodnia – poprosił Walter, gdy kończył się psalm.

Anton nie odpowiedział. Zamiast usiąść, wyszedł z ławki i opuścił kościół.

– Do diabła – zaklął cicho Walter i dziecko obok spojrzało na niego z dezaprobatą.

Po mszy stał na brukowanym dziedzińcu, kłaniając się znajomym, aż Maud wyszła z Fitzem i Beą. Wyglądała nadzwyczaj zgrabnie w dopasowanej sukni z szarego aksamitu i ciemnoszarym żakiecie z krepki. Może nie był to zbyt kobiecy kolor, ale podkreślał jej delikatne rysy i nieskazitelną cerę. Walter ścisnął dłonie znajomych, rozpaczliwie marząc, by na kilka minut zostać z nią sam na sam. Wymienił grzeczności z Beą tonącą w różowych jak lukier koronkach, i przyznał rację poważnemu Fitzowi, że zamach to „paskudna sprawa”. Potem Fitzherbertowie odeszli i Walter już zaczął się obawiać, że stracił okazję, lecz Maud w ostatniej chwili szepnęła, że będzie u księżnej na podwieczorku.

Walter uśmiechnął się do jej eleganckich pleców. Widział Maud wczoraj i ma zobaczyć ją nazajutrz, ale bał się, że może nie spotkać się z nią dzisiaj. Czy naprawdę nie potrafi przeżyć bez niej dwudziestu czterech godzin? Nie uważał się za człowieka słabego, ale Maud rzuciła na niego urok. On jednak nie miał ochoty się od niego uwolnić.

To jej niezależny duch tak go pociąga. Większość kobiet z jego pokolenia wydawała się zadowolona, odgrywając rolę wyznaczoną im przez społeczeństwo, strojąc się, organizując przyjęcia i słuchając swoich mężów. Typ kury domowej nudził Waltera. Maud jest

podobna do kobiet, które poznał w Stanach Zjednoczonych podczas przydziału do ambasady Niemiec w Waszyngtonie. Były eleganckie i czarujące, ale nie uległe. Być kochanym przez taką kobietę to niewiarygodnie ekscytujące.

Rażnym krokiem szedł przez Piccadilly, aż przystanął przy stoisku z gazetami. Brytyjskie gazety nie stanowiły przyjemnej lektury. Większość była zdecydowanie antyniemiecka, a szczególnie zajadła „Daily Mail”. Przekonywały Anglików, że są otoczeni przez niemieckich szpiegów. Jakże Walter pragnął, aby tak było! Miał około tuzina agentów w miastach portowych, którzy liczyli statki wpływające i wypływające, tak samo jak robili brytyjscy szpiegowie w niemieckich portach, a nie tysiące, jak twierdzili rozhisteryzowani dziennikarze.

Kupił egzemplarz „People”. W tej gazecie kłopoty na Bałkanach nie były główną wiadomością, Brytyjczycy bardziej niepokoiли się Irlandią. Tam protestancka mniejszość rządziła niepodzielnie przez setki lat, nie przejmując się katolicką mniejszością. Gdyby Irlandia uzyskała niepodległość, sytuacja zmieniałaby się diametralnie. Obie strony są dobrze uzbrojone i nad krajem wisi groźba wybuchu wojny domowej.

Krótką notatką na dole pierwszej strony mówiła o „kryzysie austro-serbskim”. Dziennikarze jak zwykle nie mieli pojęcia, co się naprawdę dzieje.

Gdy Walter wszedł do hotelu Ritz, z taksówki wyskoczył Robert. Miał na sobie czarny płaszcz i czarny krawat, na znak żałoby po arcyksięciu. Robert był jednym z popleczników arcyksięcia Ferdynanda, co według standardów wiedeńskiego dworu czyniło go postępowym, chociaż był konserwatystą pod każdym względem. Walter wiedział, że Robert lubił i szanował zamordowanego arcyksięcia oraz jego rodzinę.

Zostawili cylindry w szatni i razem weszli do restauracji. Walter zawsze starał się chronić Roberta. Od dzieciństwa wiedział, że jego kuzyn jest inny. Ludzie nazywali takich zniewieściałymi, ale to było zbyt okrutne. Robert nie był kobietą w męskim ciele, miał jednak wiele kobiecych cech, więc Walter traktował go z zawołaną troską.

Robert był podobny do Waltera – miał tak samo regularne rysy twarzy i niebieskie oczy, ale nosił dłuższe włosy, a wasy wypomadowane i podkrecone.

– Jak sprawy z lady Maud? – zapytał, gdy usiedli.

Walter zwierzył mu się i Robert wiedział wszystko o ich zakazanej miłości.

– Jest cudowna, ale mój ojciec nie może pogodzić się z tym, że pracuje w przychodni dla ubogich z żydowskim lekarzem.

– O rany, to okropne – westchnął Robert. – Jego zastrzeżenia byłyby zrozumiałe, gdyby to ona była Żydówką.

– Miałem nadzieję, że powoli się do niej przekona, spotykając ją czasem na gruncie towarzyskim i widząc, że jest zaprzyjaźniona z większością ważnych osobistości w tym kraju, ale nie.

– Niestety. A ten kryzys na Bałkanach tylko zwiększył napięcie w... stosunkach międzynarodowych. – Robert się uśmiechnął. –

Wybacz dobór słów.

Walter też się uśmiechnął, choć z przymusem.

– Coś wymyślimy, cokolwiek się stanie.

Robert nic nie odpowiedział, ale nie wyglądał na przekonanego.

Przy baraninie po walijsku i ziemniakach w sosie pietruszkowym Walter przekazał Robertowi informacje uzyskane od Antona.

Robert też miał dla niego nowiny.

– Ustaliliśmy, że zamachowcy dostali broń i bomby od Serbów.

– A niech to diabli – zaklął Walter.

Robert nie krył gniewu.

– Broń dostarczył szef serbskiego wywiadu wojskowego.

Mordercy ćwiczyli strzelanie w belgradzkim parku.

– Oficerowie wywiadu czasem pracują dla kilku stron – przypomniał Walter.

– Nawet często. A ze względu na tajny charakter ich pracy może im to ująć na sucho.

– Tak więc to nie dowodzi, że to serbski rząd zorganizował ten zamach. I jeśli pomyślisz logicznie, mały naród, taki jak Serbia, rozpaczliwie pragnący zachować niepodległość, byłby szalony, prowokując potężnego sąsiada.

– Bardzo możliwe, że serbski wywiad działał wbrew życzeniom swego rządu – przyznał Robert. Zaraz jednak dodał stanowczo: – Co nie robi różnicy. Austria musi podjąć działania przeciwko Serbii.

Tego właśnie obawiał się Walter. Sprawa nie może być dłużej uważana za pospolitą zbrodnię, którą zajmą się policjanci i sądy. Nastąpiła eskalacja działań i teraz imperium musi ukarać maleńki naród. Cesarz Austrii, Franciszek Józef, w swoim czasie był wielkim człowiekiem, konserwatywnym i głęboko wierzącym, ale silnym przywódcą. Teraz jednak ma osiemdziesiąt cztery lata i podeszły wiek nie uczynił go ani odrobinę mniej apodyktycznym i ograniczonym. Tacy ludzie uważają, iż wiedzą wszystko tylko dlatego, że są starzy. Ojciec Waltera jest taki sam. Mój los spoczywa w rękach dwóch monarchów, pomyślał Walter, cara i cesarza. Jeden jest głupi, a drugi stetryczały – a jednak decydują o losie Maud i moim oraz milionów innych Europejczyków. Cóż za doskonały argument przeciwko monarchii!

Przy deserze intensywnie rozmyślał.

– Zakładam – odezwał się, kiedy podano kawę – że waszym celem będzie danie nauczki Serbii, bez mieszania w to innego państwa.

Robert natychmiast zgasił jego nadzieje:

– Wprost przeciwnie. Mój cesarz już napisał list do waszego. Walter był zaskoczony. Nic o tym nie słyszał.

– Kiedy?

– Doręczono go wczoraj.

Jak wszyscy dyplomaci, Walter nie znosił, gdy monarchowie rozmawiali bezpośrednio z sobą, a nie przez ministrów. Nie wiadomo, do czego to może doprowadzić.

– Co zawierał?

– Deklarację, że Serbię należy wyeliminować ze sceny politycznej.

– Nie! – Jest gorzej, niż Walter przypuszczał. Zapytał wstrząśnięty: – Naprawdę tak uważa?

– Wszystko zależy od odpowiedzi Kaisera.

Walter ściągnął brwi. Cesarz Franciszek Józef prosi cesarza Wilhelma o poparcie – taki jest sens tego listu. Oba państwa są sojusznikami, więc Kaiser jest do tego zobligowany, jednak jego odpowiedź może być entuzjastyczna lub niechętna, zachęcająca lub ostrożna.

– Wierzę, że Niemcy poprą Austrię, cokolwiek mój cesarz postanowi zrobić – wypalił Robert.

– Chyba nie chcecie, żeby Niemcy zaatakowały Serbię!

Robert był urażony.

– Chcemy gwarancji, że Niemcy wypełnią swoje sojusznicze zobowiązania.

Walter opanował zniecierpliwienie.

– Problem z tego rodzaju rozumowaniem polega na tym, że to podnosi stawkę. Prowokuje agresję, tak jak Rosja wyrażająca swoje poparcie dla Serbii. Powinniśmy starać się wszystkich uspokoić.

– Nie wiem, czy mogę się z tobą zgodzić – odparł sztywno Robert. – Austrii zadano straszliwy cios. Cesarz nie może tego zlekceważyć. Ten, kto rzuca wyzwanie olbrzymom, musi zostać

zmiądzony.

– Spróbujmy dostrzec właściwe proporcje tej sprawy.

Robert podniósł głos:

– Następca tronu został zamordowany! – Goście przy sąsiednim stoliku unieśli brwi, słysząc gniewne słowa wypowiedziane po niemiecku. Robert zniżył głos, ale się nie uspokoił. – Nie mów mi o proporcjach.

Walter starał się opanować wzburzenie. Mieszanie się w ten konflikt byłoby dla Niemiec głupie i niebezpieczne, lecz mówienie o tym Robertowi nic nie da. Zadanie Waltera polega na zdobywaniu informacji, a nie na spieraniu się.

– Doskonale rozumiem. Czy wszyscy w Wiedniu podzielają twój punkt widzenia? – spytał.

– W Wiedniu tak. Tisza jest przeciwny – odrzekł Robert. Istvan Tisza był premierem Węgier, podległym cesarzowi Austrii.

– Jego alternatywną propozycją jest polityczna izolacja Serbii.

– To może mniej dramatyczne, ale także mniej ryzykowne – ostrożnie zauważył Walter.

– Za słabe.

Walter poprosił o rachunek. Był bardzo zaniepokojony tym, co usłyszał, jednak nie chciał żadnych nieporozumień z Robertem. Ufali sobie i pomagali, i nie zamierzał tego zmieniać. Na chodniku przed hotelem serdecznie uścisnął jego dłoń.

– Cokolwiek się wydarzy, musimy trzymać się razem, kuzynie – powiedział. – Jesteśmy i zawsze będziemy sojusznikami.

Robertowi pozostawił decyzję, czy mówi o nich dwóch, czy o ich krajach. Rozstali się jak przyjaciele.

Szybko przeszedł przez park Green. Londyńczycy cieszyli się słońcem, lecz myśli Waltera zasnuła ciemna chmura. Miał nadzieję, że Niemcy i Rosja będą się trzymały z daleka od kryzysu bałkańskiego, lecz to, czego dowiedział się dzisiaj, złowrogo świadczyło o czymś wprost przeciwnym. Doszedłszy do pałacu Buckingham, skręcił w lewo i przeszedł po Mail do tylnego wejścia ambasady Niemiec.

Jego ojciec miał tam biuro, w którym spędzał jeden tydzień na trzy. Na ścianie wisiał portret cesarza Wilhelma, a na biurku stało oprawione w ramki zdjęcie Waltera w mundurze porucznika.

Otto trzymał właśnie w ręku jedną ze swoich zdobyczy. Zbierał angielską porcelanę i uwielbiał polować na jej rzadkie okazy. Przyjrząwszy się uważniej, Walter zobaczył, że to ozdoba patera na owoce o ażurowych bokach imitujących koszyk. Znajac upodobania ojca, odgadł, że to wyrób z osiemnastego wieku.

W gabinecie był także Gottfried von Kessel, attache kulturalny, którego Walter nie lubił. Gottfried miał gęste ciemne włosy z przedziałkiem na boku i nosił okulary z grubymi szklami. Był w tym samym wieku co Walter i również miał ojca w służbie dyplomatycznej, lecz choć tyle ich łączyło, nie byli przyjaciółmi. Walter uważał Gottfrieda za lizusa.

Kiwnął mu głową i usiadł.

– Cesarz Austrii napisał list do naszego Kaisera – oznajmił.

– Wiemy o tym – natychmiast odrzekł Gottfried.

Walter go zignorował. Gottfried zawsze próbował go sprowokować.

– Odpowiedź Kaisera niewątpliwie będzie przyjazna – powiedział do ojca. – Jednak wiele może zależeć od niuansów.

– Jego Wysokość jeszcze mi się nie zwierzył.

– Ale zrobi to.

Otto skinął głową.

– To jedna z tych spraw, w których czasem zasięga mojej rady.

– I jeśli zaleci rozagę, może przekona Austriaków, aby byli mniej wojowniczy.

– A dlaczego miałyby to zrobić? – zapytał Gottfried.

– Aby uniknąć wciągnięcia Niemiec w wojnę o takie bezwar-

tościowe terytorium jak Bośnia!

– Czego się boisz? – pogardliwie rzucił Gottfried. – Serbskiej armii?

– Boję się rosyjskiej armii i ty też powinienes. Jest największa w historii...

– Wiem o tym – przerwał mu Gottfried.

Walter nie zwrócił uwagi na te słowa.

– Teoretycznie car może wystawić sześć milionów żołnierzy w ciągu kilku tygodni... – dodał Gottfried.

– Wiem...

– ...a to więcej niż cała ludność Serbii.

– Wiem.

Walter westchnął.

– Wydaje się, że wiesz wszystko, von Kessel. To może mi powiesz, skąd zamachowcy wzięli broń i bomby?

– Zapewne od słowiańskich nacjonalistów.

– Myślisz o jakichś konkretnych słowiańskich nacjonalistach?

– Któż to wie?

– Najwyraźniej Austriacy wiedzą. Uważają, że broń dostarczył szef serbskiego wywiadu.

Otto nie krył zdziwienia.

– To istotnie obudzi w Austriakach żądze zemsty – stwierdził.

– Austrią nadal rządzi cesarz – przypomniał Gottfried. – Ostateczną decyzję o wypowiedzeniu wojny może podjąć tylko on.

Walter skinął głową.

– Raczej nie można powiedzieć, że habsburski cesarz potrzebuje specjalnego pretekstu, by uciec się do bezwzględnych rozwiązań siłowych.

– A czy jest inny sposób na władanie imperium?

Walter nie dał się złapać na ten haczyk.

– Poza premierem Węgier, który właściwie się nie liczy, chyba nikt nie zaleca rozważań. Ta rola powinna przyspaść nam. – Walter wstał. Przekazał informacje i nie miał ochoty pozostawać dłużej w jednym pokoju z irytującym Gottfriedem. – Za pozwoleniem, ojczu, pójdę na podwieczorek do domu księżnej Sussex i dowiem się, co jeszcze mówi się w mieście.

– Anglicy nie odwiedzają się w niedziele – zauważył Gottfried.

– Jestem zaproszony – uciał Walter i wyszedł, zanim stracił nad sobą panowanie.

Przeszedł przez Mayfair na Park Lane, gdzie stał pałac księcia Sussex. Książę nie zajmował żadnego stanowiska w brytyjskim rządzie, ale jego żona prowadziła salon polityczny. Kiedy Walter przybył w grudniu do Londynu, Fitz przedstawił go jej, a ona dopilnowała, żeby wszędzie go zapraszano.

Wszedł do salonu, skłonił się, uścisnął jej pulchną dłoń i powiedział:

– Wszyscy w Londynie chcą wiedzieć, co wydarzy się w Serbii, tak więc chociaż to niedziela, przyszedłem zapytać o to waszą łaskawość.

– Nie będzie wojny – powiedziała, najwyraźniej nieświadoma tego, że Walter żartuje. – Usiądź i napij się herbaty. Oczywiście to tragedia z tym biednym arcyksięciem i jego małżonką i niewątpliwie sprawcy zostaną ukarani, lecz głupota jest myśleć, że takie mocarstwa jak Niemcy i Wielka Brytania rozpoczną wojnę o Serbię.

Walter chciałby mieć taką pewność. Usiadł obok Maud, która uśmiechnęła się radośnie, oraz lady Hermii, która skinęła mu głową. W pokoju było kilkanaście osób, w tym Pierwszy Lord Admiralicji, Winston Churchill. Salon miał przepyszny staroświecki wystrój: zbyt dużo bogato rzeźbionych mebli, tapet o różnych wzorach i stojących na każdym skrawku wolnej przestrzeni bibe-

lotów, oprawionych w ramki fotografii i wazonów z suszonymi kwiatami. Lokaj wręczył Walterowi filiżankę herbaty oraz zaproponował mleko i cukier.

Walter był uszczęśliwiony, siedząc obok Maud, ale jak zawsze chciał czegoś więcej i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy uda się znaleźć jakiś sposób, żeby mogli zostać sami choćby na kilka minut.

– Problemem, oczywiście, jest słabość Turcji – powiedziała księżna.

Ta pompatyczna stara wiedźma ma rację, pomyślał Walter. Imperium Osmańskie chyli się ku upadkowi, a konserwatywne muzułmańskie duchowieństwo nie dopuszcza do reform. Turecki sułtan przez wiele wieków utrzymywał porządek na Półwyspie Bałkańskim, od śródziemnomorskiego wybrzeża Grecji aż po Węgry, ale teraz od dziesięcioleci powoli traci wpływy. Najbliżej leżące mocarstwa, czyli Austria i Rosja, próbowały wypełnić pustkę. Pomiędzy Austrią a Morzem Czarnym leżały kolejno Bośnia, Serbia i Bułgaria. Pięć lat temu Austria przejęła kontrolę nad Bosnią, a teraz zwaśniona jest z Serbią znajdującą się w środku. Rosjanie spojrzeli na mapę i zobaczyli, że Bułgaria jest następną kostką domina i Austriacy mogą w końcu opanować zachodnie wybrzeże Morza Czarnego, zagrażając rosyjskiemu handlowi zagranicznemu.

Jednocześnie narody wchodzące w skład cesarstwa austro-węgierskiego zaczęły uważać, że mogą się rządzić same – i dlatego bośniacki nacjonalista Gawriło Princip zastrzelił w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda.

– To tragedia dla Serbii – powiedział Walter. – Zapewne ich premier jest gotowy rzucić się do Dunaju.

– Chyba myślisz o Wołdze – odezwała się Maud.

Walter spojrział na nią, zadowolony z pretekstu pozwalającego mu sycić oczy jej widokiem. Przebrała się i teraz miała na sobie ciemnoniebieską wieczorową suknię, żakiecik z bladuróżowej koronki i różowy filcowy kapelusik z niebieskim pomponem.

– Z całą pewnością nie, lady Maud.

– Wołga przepływa przez Belgrad, który jest stolicą Serbii – wyjaśniła.

Walter już miał zaprotestować, ale się zawahał. Maud doskonale wie, że Wołga płynie tysiąc mil od Belgradu. O co jej chodzi?

– Niechętnie spieram się z kimś tak dobrze poinformowanym jak pani, lady Maud, mimo to...

– Sprawdźmy to – zaproponowała. – Mój wuj ksiązę ma jedną z największych bibliotek w Londynie. – Wstała. – Pan pozwoli ze mną, a dowiodę, że jest pan w błędzie.

Było to nieco zbyt śmiałe zachowanie, jak na dobrze ułożoną pannę, i księżna wydeła usta.

Walter z bezradnym wzruszeniem ramion ruszył za Maud do drzwi.

Przez moment wydawało się, że lady Hermia też pójdzie, ale ponieważ wygodnie zapadła w miękką aksamitną kanapę ze spodeczkiem i filiżanką w ręce i talerzykiem na podółku, nie chciało jej się wstawać.

– Wracaj szybko – powiedziała cicho i ugryzła kolejny kęs ciastka.

Wyszli z pokoju.

Maud przeszła przed Walterem przez hol, gdzie dwaj lokaje stali jak na warcie. Zatrzymała się przed drzwiami i zaczekała, aż Walter je otworzy. Weszli do środka.

W wielkim pokoju panowała cisza. Byli sami. Maud rzuciła się w ramiona Waltera, a on objął ją, mocno.

– Kocham cię – powiedziała i pocałowała go namiętnie.

Po minucie odsunęła się zdyszana. Walter patrzył na nią z uwielbieniem.

– Jesteś niemożliwa. Powiedzieć, że Wołga przepływa przez

Belgrad!

– Zadziałało, prawda?

Z podziwem pokręcił głową.

– Nigdy bym tego nie wymyślił. Jesteś przebiegła.

– Potrzebny nam atlas. Na wypadek gdyby ktoś tu wszedł.

Walter poszukał na półkach. Biblioteka była raczej księgozbiorem kolekcjonera niż zagorzałego czytelnika. Wszystkie książki miały piękne oprawy i większość z nich wyglądała na nigdy nieotwierane. W kącie stało kilka wydawnictw encyklopedycznych. Wyjął atlas i znalazł mapę Bałkanów.

– Ten kryzys... – zaczęła z niepokojem Maud – na dłuższą metę... nie rozdzieli nas, prawda?

– Nie, jeśli tylko będę mógł temu zapobiec – odparł Walter.

Pociągnął ją za regał, by ktoś wchodzący do biblioteki nie zobaczył ich od razu, po czym znów ją pocałował. Była dziś cudownie spragniona i całując go, przesuwiała dłonie po jego ramionach i plecach. Przerwała pocałunek, aby szepnąć:

– Podnieś mi spódnicę.

Przełknął ślinę. Marzył o tym. Chwycił materiał i podciągnął.

– I halki. Tylko nie pognieć. – Próbował unieść spódnicę i halkę, nie mnąc jedwabiu, ale materiał wyslizgiwał mu się z palców. Niecierpliwie pochyliła się, złapała skraj spódnicy i halek, po czym uniosła je na wysokość pasa. – Dotknij mnie – poprosiła, patrząc mu w oczy.

Bał się, że ktoś wejdzie, lecz był zbyt owładnięty miłością i pożądaniem, żeby się powstrzymać. Przycisnął dłoń do spojenia jej ud i jęknął zaskoczony: nie miała na sobie bielizny. Świadomość tego, że musiała to zaplanować, rozpałała go jeszcze bardziej. Pieścił ją łagodnie, lecz ona wypchnęła ku niemu biodra, więc mocniej przycisnął dłoń.

– Tak dobrze – szepnęła. Zamknął oczy, lecz ona poprosiła: – Patrz na mnie, najdroższy, proszę, patrz, kiedy to robisz. – Otworzył oczy. Była zarumieniona i oddychała ciężko, rozchylając usta. Ścisnęła jego dłoń i poprowadziła go, jak on poprowadził ją w loży operowej. – Włóż tam palec. – Oparła się o jego ramię. Przez ubranie czuł ciepło jej oddechu. Raz po raz przywierała do niego. Nagle wydała cichy gardłowy okrzyk, jakby we śnie, i osunęła się na niego bezwładnie.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi, a potem głos lady Hermii:

– Pozwól tu, Maud, moja droga, musimy już iść.

Walter zabrał rękę, a Maud pospiesznie wygładziła suknię.

– Obawiam się, że się pomyliłam, ciociu Herm, i pan von Ulrich miał rację – powiedziała drżącym głosem. – To Dunaj, a nie Wołga przepływa przez Belgrad. Właśnie sprawdziliśmy to w atlasie.

Gdy lady Hermia weszła za regał, pochylali się nad książką.

– Nigdy w to nie wątpiłam. Mężczyźni z reguły mają rację w takich sprawach, a pan von Ulrich jest dyplomata i musi znać bardzo wiele faktów, którymi kobiety nie muszą zaprzęcać sobie głowy. Nie powinnaś się z nim spierać, Maud.

– Podejrzewam, że masz rację. – Maud westchnęła znużona.

Wszyscy troje opuścili bibliotekę i przeszli przez hol. Walter otworzył drzwi do salonu. Lady Hermia weszła pierwsza. Podążając za nią, Maud spojrzała mu w oczy. Podniósł prawą rękę i włożył czubek palca do ust.

II.

Tak dalej nie może być, myślał Walter, wracając do ambasady. Zachowuję się jak uczeń. Maud ma dwadzieścia trzy lata, a on dwadzieścia osiem, a jednak muszą uciekać się do takich absurdalnych podstępów, żeby spędzić kilka minut sam na sam. Czas, żeby się pobrali.

Będzie musiał poprosić Fitza o zgodę. Ojciec Maud nie żyje, więc głową rodziny jest jej brat. Fitz niewątpliwie wolałby, żeby wyszła za Anglika, jednak prawdopodobnie się z tym pogodzi. Zapewne już się martwi, że nigdy nie wyda za mąż swej przebojowej siostry.

Nie, głównym problemem jest Otto. On pragnie, żeby Walter poślubił grzeczną pruską pannę, która przez resztę życia z oddaniem będzie rodziła dziedziców. A kiedy Otto czegoś chce, robi wszystko, żeby to osiągnąć, bezlitośnie miażdżąc przeciwników – co właśnie czyni go tak dobrym oficerem. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jego syn ma prawo sam wybrać sobie oblubienicę, bez wtrącania się i nacisków. Walter wolałby mieć zachętę i poparcie ojca, z pewnością nie cieszyła go nieuchronna konfrontacja. Jednak jego miłość do Maud jest silniejsza od miłości synowskiej.

Był niedzielny wieczór, lecz w Londynie panował spokój.

Chociaż parlament nie obradował i mandaryni z Whitehall udali się do swoich podmiejskich domów, dyskusje polityczne trwały w pałacach Mayfair, klubach dżentelmenów w dzielnicy St James oraz w ambasadach. Na ulicach Walter rozpoznał kilku członków parlamentu, paru wiceministrów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i kilku europejskich dyplomatów. Zastanawiał się, czy sekretarz MSZ, sir Edward Grey, znany angielski obserwator ptaków, został na ten weekend w mieście, zamiast udać się do swego ukochanego wiejskiego domu w Hampshire.

Walter zastał ojca za biurkiem, czytającego odszyfrowane depecze.

– Może nie jest to najlepsza chwila na taką wiadomość... – zaczął Walter.

Otto mruknął coś pod nosem, nie przerywając lektury.

– Kocham lady Maud – wypalił Walter.

Otto podniósł głowę.

– Siostrę Fitzherberta? Tak podejrzewałem. Głębokie wyrazy współczucia.

– Proszę, bądź poważny, ojciec.

– Nie, to ty bądź poważny. – Otto rzucił na biurko depecze. – Maud Fitzherbert jest feministką, sufrażystką i osobą kontrowersyjną. Nie jest odpowiednią partią dla nikogo, a na pewno nie dla niemieckiego dyplomaty z dobrej rodziny. Nie chcę więcej o tym słyszeć.

Walterowi cisnęły się na usta gniewne słowa, ale zachował spokój.

– To cudowna kobieta i kocham ją, więc lepiej wyrażaj się o niej dobrze, jakiegokolwiek jest twoje zdanie.

– Będę mówił, co myślę – niedbale rzucił Otto. – Jest okropna.

Znów spojrzął na telegramy.

Walter popatrzył na porcelanową paterę, którą kupił ojciec.

– Nie – powiedział. Podniósł paterę. – Nie będziesz mówił tego, co myślisz.

– Ostrożnie...

Walter miał teraz niepodzielną uwagę ojca.

– Mam wobec lady Maud równie opiekuńcze uczucia, jak ty wobec tego bibelotu.

– Bibelotu? Pozwól, że powiem ci, ile jest wart...

– Tylko że miłość jest silniejsza od namiętności kolekcjonera. – Walter podrzucił delikatny przedmiot i złapał go jedną ręką. Ojciec wydał zduszony okrzyk protestu. Walter mówił dalej, nie zważając na zdenerwowanie ojca: – Tak więc kiedy mówisz o niej w obraźliwy sposób, czuję to samo co ty, gdy myślałeś, że to upuszczę... tylko mocniej.

– Bezczelny szcze...

Walter podniósł głos, zagłuszając ojca:

– A jeśli będziesz deptał moje uczucia, rozgniotę butem ten głupi kawałek zastawy.

– No dobrze, dowiodłeś swego, odstaw to, na miłość boską.
Walter uznał to za zgodę i postawił paterę na stoliku.

– Jednak jest jeszcze coś, co musisz wziąć pod uwagę – dodał Otto. – Jeśli mogę wspomnieć o tym, nie raniąc twoich „uczuć”.

– Mów.

– Ona jest Angielką.

– Na miłość boską! – wykrzyknął Walter. – Dobrze urodzeni Niemcy od lat żenili się z angielskimi arystokratkami. Książę Saksonii-Koburgu-Gothy, Albert, poślubił królową Wiktorię i jego wnuk jest teraz królem Anglii. A królowa Anglii była księżniczką Wirtembergii!

– Wszystko się zmieniło! Anglicy chcą, abyśmy pozostali drugorzędym państwem. Przyjaźnią się z naszymi przeciwnikami, Rosją i Francją. Poślubiłbyś wroga twojego Vaterlandu. Walter wiedział, że tak sądzi stara gwardia, ale to irracjonalne.

– Nie powinniśmy być wrogami – tłumaczył rozgoryczony. – Nie ma po temu powodu.

– Nigdy nie pozwolą nam rywalizować na równych prawach.

– To po prostu nie jest prawdą! – Walter zdał sobie sprawę, że krzyczy, i starał się uspokoić. – Anglicy wierzą w wolny handel i pozwolą nam sprzedawać nasze wyroby w całym Imperium Brytyjskim.

– Więc przeczytaj to. – Otto rzucił mu telegram. – Jego Wysokość cesarz poprosił mnie o uwagi.

Walter wziął kartkę. Był to szkic odpowiedzi na osobisty list cesarza Austrii. Walter czytał go z rosnącym niepokojem. List kończył się słowami: Cesarz Franciszek Józef może jednak być pewny, że Jego Wysokość będzie wiernie stał przy Austro-Węgry, zgodnie z wymogami sojusznicznych zobowiązań i odwiecznej przyjaźni.

Walter był przerażony.

– Przecież to daje Austrii carte blanche! Mogą robić, co chcą, a my ich poprzemy!

– Z pewnymi zastrzeżeniami.

– Niewielkimi. Czy ten list został wysłany?

– Nie, ale treść zatwierdzono. Zostanie wysłany jutro.

– Możemy temu zapobiec?

– Nie i wcale tego nie chcę.

– Jednak to zobowiązuje nas do poparcia Austrii w wojnie z Serbią.

– I dobrze.

– Nie chcemy wojny! Potrzebujemy rozwoju nauki, przemysłu i handlu. Niemcy muszą się unowocześnić, zliberalizować i wzmocnić. Chcemy pokoju i dobrobytu.

A w duchu dodał: chcemy świata, w którym mężczyzna może poślubić ukochaną kobietę, nie narażając się na zarzut zdrady.

– Posłuchaj – powiedział Otto – mamy potężnych wrogów: Francję na zachodzie i Rosję na wschodzie, a oba te państwa zgodnie współdziałają. Nie możemy walczyć na dwóch frontach. Walter wiedział o tym doskonale.

– Właśnie dlatego mamy plan Schlieffena – przypomniał. – Jeśli zostaniemy zmuszeni do wojny, najpierw przeważającymi siłami zaatakujemy Francję, pokonamy ją w kilka tygodni i mając zabezpieczoną zachodnią granicę, ruszymy na wschód stawić czoło Rosji.

– To nasza jedyna nadzieja. Jednak kiedy ten plan został przyjęty przez niemiecką armię przed dziewięcioma laty, nasz wywiad twierdził, że rosyjska armia potrzebuje czterdziestu dni na mobilizację. To dawało nam prawie sześć tygodni na podbój Francji. Od tamtego czasu Rosjanie modernizowali koleje, za pieniądze pożyczone od Francji! – Otto rąbnął pięścią w biurko, jakby chciał zmiażdżyć Francję. – Ponieważ Rosjanie skrócili czas mobilizacji, plan Schlieffena stał się bardziej ryzykowny. Co oznacza... – dramatycznie wycelował palec w Waltera – że im

prędzej wybuchnie ta wojna, tym lepiej dla Niemiec!

– Nie! – Dlaczego ten stary człowiek nie rozumie, jak niebezpieczny jest taki sposób myślenia? – To oznacza, że powinniśmy szukać rozwiązań pokojowych.

– Rozwiązań pokojowych? – Otto z pobłażaniem pokręcił głową. – Jesteś młodym idealistą. Myślisz, że na każde pytanie jest odpowiedź.

– Wy naprawdę chcecie wojny – stwierdził z niedowierzaniem Walter. – Naprawdę jej chcecie.

– Nikt nie chce wojny. Jednak czasem to najlepsze, co można zrobić.

III.

Maud dostała w spadku po ojcu niewielką kwotę – trzysta funtów rocznie – co ledwo wystarczało na suknie. Fitz dostał tytuł, ziemie, domy i prawie wszystkie pieniądze. Tak nakazywało angielskie prawo. Jednak nie to denerwowało Maud. Pieniądze niewiele dla niej znaczyły. Naprawdę nie potrzebowała tych trzystu funtów. Fitz płacił za wszystko, nie zadając żadnych pytań. Uważał, że przykładanie wagi do pieniędzy jest niegodne dżentelmena. Miała żal o to, że nie otrzymała żadnego wykształcenia. Kiedy skończyła siedemnaście lat, oznajmiła, że idzie na studia, i wszyscy ją wyśmiali. Okazało się, że trzeba chodzić do dobrej szkoły i zdać egzaminy. Maud nigdy nie chodziła do szkoły i chociaż mogła dyskutować o polityce z ważnymi osobistościami swego kraju, kolejni nauczyciele i guwernantki nie zdołali przygotować jej do zdania jakiegokolwiek egzaminu. Płakała i wściekała się przez wiele dni i nawet teraz myśl o tym wprawiała ją w kiepski nastrój. Dlatego została sufrażystką: wiedziała, że dziewczęta nigdy nie będą miały szansy na dobre wykształcenie, dopóki kobiety nie uzyskają prawa do głosowania.

Często zastanawiała się, dlaczego kobiety wychodzą za mąż i skazują się na dożywotnie niewolnictwo. Zadawała sobie pytanie, co otrzymują w zamian? Teraz jednak знаła odpowiedź. Nigdy nie czuła czegoś tak głębokiego, jak jej miłość do Waltera. A to, co robili, aby wyrazić tę miłość, sprawiało jej niesamowitą przyjemność. Móc dotykać się w taki sposób w każdej chwili byłoby wprost niebiańskie. Była gotowa zaprzedać się w niewolę po trzykroć, jeśli taka jest tego cena.

Jednak niewolnictwo nie było ceną, przynajmniej nie z Walterem. Zapytała go, czy sądzi, że żona powinna we wszystkim słuchać się męża, a on odpowiedział: „Na pewno nie. Nie uważam, by jedno z małżonków musiało być posłuszne drugiemu. Dwoje dorosłych i kochających się ludzi powinno umieć wspólnie podejmować decyzje”.

Dużo rozmyślała o ich wspólnym życiu. Przez kilka lat Walter będzie zapewne przenoszony z jednej ambasady do drugiej, więc będą podróżowali po świecie: Paryż, Rzym, Budapeszt, może nawet dalej położone stolice, takie jak Addis Abeba, Tokio, Buenos Aires. Myślała o słowach biblijnej Rut: Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę. Ich synowie zostaną nauczeni traktować kobiety jak równe sobie, a ich córki będą niezależne i wytrwałe. Może w końcu osiedlą w Berlinie, by ich dzieci chodziły do niemieckich szkół. Kiedyś, w przyszłości, Walter niewątpliwie odziedziczy Zumwald, wiejską posiadłość ojca w Prusach Wschodnich. Kiedy się zestarzeją, a ich dzieci dorosną, będą więcej czasu spędzali na wsi, trzymając się za ręce i spacerując po posiadłości, czytając razem wieczorami i mówiąc o tym, jak zmienił się świat od czasu, gdy byli młodzi.

Maud z trudem skupiała myśli na czymś innym. Siedziała w swoim biurze w domu modlitwy, patrząc na cennik medykamentów i wspominając, jak Walter włożył czubek palca do ust

w drzwiach salonu księżnej. Ludzie zaczęli dostrzegać jej roztargnienie: doktor Greenward zapytał, czy dobrze się czuje, a ciotka Herm kazała jej oprzytomnieć.

Znów spróbowała skupić się na formularzu zamówienia, lecz tym razem przerwało jej pukanie do drzwi. Do pokoiku zajrzała ciotka Herm.

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć – powiedziała. Wyglądała na przejętą i wręczyła Maud wizytówkę.

Generał Otto von Ulrich

attache

Ambasada Cesarstwa Niemieckiego

Carlton House Terrace, Londyn

– Ojciec Waltera! – wykrzyknęła Maud. – Czego, na miłość...

– Co mam mu powiedzieć? – szepnęła ciotka Herm.

– Zapytaj go, czy napije się herbaty, czy sherry, i wprowadź go tu.

Von Ulrich był w oficjalnym czarnym fraku z satynowymi kłapami, białej pikowanej kamizelce i spodniach w prążki. Rumiana twarz miał spoconą od letniego skwaru. Był grubszy od Waltera i nie tak przystojny, ale obaj mieli sztywną wojskową postawę. Maud przywołała typową dla siebie beztróskę.

– Drogi panie von Ulrich, czy to oficjalna wizyta?

– Chcę porozmawiać z panią o moim synu.

Jego angielszczyzna była niemal równie dobra jak Waltera, chociaż mówił z akcentem, którego Walter nie miał.

– To miło z pańskiej strony, że tak szybko przechodzi pan do rzeczy – odparła Maud z lekkim sarkazmem, którego nie wyczuł. – Proszę usiąść. Lady Hermia każe przynieść coś do picia.

– Walter pochodzi ze starego arystokratycznego rodu – zaczął Otto.

– Tak jak ja – powiedziała Maud.

– Jesteśmy przywiązani do tradycji, konserwatywni, głęboko wierzący... może trochę staroświeccy.

– Tak jak moja rodzina.

Rozmowa nie przebiegała tak, jak Otto zaplanował.

– Jesteśmy Prusakami – rzekł z odrobiną zniecierpliwienia.

– Ach, podczas gdy my, oczywiście, jesteśmy Anglosasami –

Maud mówiła tak, jakby przebijała jego kartę atutem.

Odcinała mu się, lecz pod maską spokoju była zdenerwowana.

Po co tu przyszedł? Jakie ma zamiary? Wyczuła, że złe. Jest do niej wrogo nastawiony. Z przygnębieniem uświadomiła sobie, że zamierza stanąć między nią i Walterem.

Nie dał się zbić z tropu jej żartobliwym tonem.

– Niemcy i Wielka Brytania są w złych stosunkach. Anglia przyjaźni się z naszymi wrogami, Rosją i Francją. To czyni ją naszym przeciwnikiem.

– Przykro mi to słyszeć. Wiele osób tak nie uważa.

– O tym, co jest prawdą, nie decyduje większość.

Znów usłyszała w jego głosie nutę zniecierpliwienia. Przywykł, że ludzie bezkrytycznie słuchają jego teorii, szczególnie kobiety.

Pielęgniarka doktora Greenwarda przyniosła filiżanki i napełniła je herbatą. Otto milczał, dopóki nie wyszła. Potem rzekł:

– W ciągu kilku tygodni możemy rozpocząć wojnę. Jeżeli nie podejmiemy walki o Serbię, to będzie jakiś inny casus belli.

Prędzej czy później Wielka Brytania i Niemcy muszą stoczyć walkę o panowanie w Europie.

– Przykro mi, że jest pan takim pesymistą.

– Wielu myśli tak samo.

– Jednak o tym, co jest prawdą, nie decyduje większość.

Otto wyglądał na zirytowanego. Najwidoczniej spodziewał się, że Maud będzie w milczeniu słuchała jego pompatycznej przemowy. Nie lubił być wykpiwany.

– Powinna pani uważnie mnie wysłuchać – rzekł gniewnie. – Mówię o czymś, co dotyczy pani. Większość Niemców uważa Wielką Brytanię za wroga. Gdyby Walter poślubił Angielkę... proszę pomyśleć o konsekwencjach.

– Oczywiście, że pomyślałam. Walter i ja dużo o tym rozmawialiśmy.

– Po pierwsze, spotkałby się z moją dezaprobatą. Nie mógłbym przyjąć angielskiej synowej do mojej rodziny.

– Walter uważa, że pańska miłość do niego pomogłaby w końcu przewyciężyć odrazę do mnie. Naprawdę nie ma na to nadziei?

– Po drugie – ciągnął, ignorując jej pytanie – zostałoby to uznane za nielojalność wobec cesarza. Ludzie z jego klasy przestaliby się z nim przyjaźnić. On i jego żona nie byłiby przyjmowani w najlepszych domach.

Maud wpadła w gniew.

– Trudno mi w to uwierzyć. Chyba nie wszyscy Niemcy są tak ograniczeni?

Udał, że nie usłyszał tej niegrzecznej uwagi.

– Po trzecie i ostatnie, Walter pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Czekają go kariery. Posyłałem go do szkół i uniwersytetów w różnych krajach. Mówi doskonale po angielsku i znośnie po rosyjsku. Pomimo niedojrzałych idealistycznych poglądów jest dobrze oceniany przez przełożonych, a cesarz kilkakrotnie uprzejmie z nim rozmawiał. Pewnego dnia może zostać ministrem spraw zagranicznych.

– Jest błyskotliwy – potwierdziła Maud.

– Jeśli jednak ożeni się z panią, jego kariera będzie skończona.

– To śmieszne – prychnęła.

– Moja droga młoda damo, czy to nie oczywiste? Człowiekowi, który ożenił się z przedstawicielką wrogiej nacji, nie można ufać.

– Rozmawialiśmy o tym. Naturalnie pozostanie wierny swej niemieckiej ojczyźnie. Kocham go wystarczająco mocno, żeby to zaakceptować.

– Może zbytnio troszczyć się o rodzinę żony, więc nie będzie całkowicie lojalny wobec swojej ojczyzny. Nawet gdyby bezlitośnie ignorował to powiązanie, ludzie nadal zadawaliby pytania.

– Przesadza pan – powiedziała Maud, ale zaczęła tracić pewność siebie.

– Z pewnością nie mogłoby zajmować się jakąkolwiek dziedziną wymagającą dochowania tajemnicy. Ludzie w jego obecności nie mogliby rozmawiać o poufnych sprawach. Byłby skończony.

– Nie musi pracować w wywiadzie wojskowym. Może przenieść się do innego działu dyplomacji.

– Wszelka dyplomacja wymaga dochowania tajemnicy. Ponadto chodzi także o moje stanowisko.

To zaskoczyło Maud. W rozmowach z Walterem nie brali pod uwagę kariery Ottona.

– Jestem powiernikiem cesarza. Czy nadal miałyby do mnie całkowite zaufanie, gdyby mój syn poślubił przedstawicielkę wrogiego narodu?

– Powinien mieć.

– Może miałyby, gdybym poczynił zdecydowane kroki i wydziedziczył mojego syna.

– Nie zrobiłby pan tego! – wykrzyknęła Maud.

Otto podniósł głos:

– Byłbym zmuszony!

Pokręciła głową.

– Miałyby pan inną możliwość – rzuciła rozpaczliwie. – Zawsze jest jakieś wyjście.

– Nie poświęcę wszystkiego, co zdobyłem: mojej pozycji, kariery, szacunku moich rodaków, dla dziewczyny – rzekł z pogardą. Maud poczuła się jak spoliczkowana. – Jednak Walter to robi, oczywiście – dodał.

– Co pan mówi?
– Jeśli Walter panią poślubi, straci rodzinę, ojczyznę i karierę. Jednak robi to. Zadeklarował swoją miłość, nie przemyślawszy wszystkich konsekwencji, i prędzej czy później zrozumie, jaką katastrofalną pomyłkę popełnił. Jednak niewątpliwie uważa się za nieoficjalnie zaręczonego z panią i nie wycofa się z tego. Jest przecieź dżentelmenem. „Bardzo proszę, wydziejcz mnie”, powie mi. Inaczej uważałby się za tchórza.
– To prawda – przyznała Maud.
Była wstrząśnięta. Ten okropny stary człowiek lepiej niż ona ocenił sytuację.
– Dlatego to pani musi zerwać zaręczyny. Jakby pchnął ją sztyletem.
– Nie!
– To jedyny sposób, żeby go uratować. Musi pani z niego zrezygnować.
Maud otworzyła usta, żeby znów wyrazić swój sprzeciw, ale zrozumiała, że Otto ma rację, i nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.
Otto nachylił się do niej i zapytał z naciskiem:
– Zerwie z nim pani?
Po twarzy Maud płynęły łzy. Wie, co musi zrobić. Nie może zrujnować Walterowi życia, nawet z miłości.
– Tak – załkała, zapominając o godności, bo ból był zbyt dotkliwy. – Tak, zerwę z nim.
– Obiecuje pani?
– Tak, obiecuję.
Otto wstał.
– Dziękuję za uprzejme wysłuchanie mnie. – Ukłonił się. – Życzę miłego popołudnia.
Wyszedł.
Maud ukryła twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 8

Połowa lipca 1914 roku

i.

W nowym pokoju Ethel w Ty Gwyn wisiało duże lustro. Było stare, miało popękana ramę i zmatowiałe szkło, ale mogła przejrzeć się w nim cała. Uważała to za luksus.
Przyjrzała się sobie w bieliźnie. Od kiedy się zakochała, jej kształty stały się obfitsze. Przybyło jej ciała w talii i biodrach, a piersi wydawały się pełniejsze, może dlatego, że Fitz tak często je pieścił. Kiedy o nim myślała, bolały ją sutki.
Fitz przybył tego ranka z księżniczką Beą oraz lady Maud i szepnął, że spotkają się w apartamencie Gardenia po lunchu. Ethel umieściła Maud w Różowym Pokoju, jako powód podając naprawę podłogi w apartamencie, który siostra hrabiego zwykle zajmowała.
Teraz Ethel przyszła do swojego pokoju, żeby się umyć i włożyć czystą bieliznę. Uwielbiała przygotowywać się w taki sposób, wyobrażając sobie, jak będzie jej dotykał, całował jej usta, już słysząc jego jęki pożądania i rozkoszy, myśląc o zapachu jego skóry i przyjemnym dotyku jego ubrania.
Otworzyła szufladę, by wyjąć czyste pończochy, i jej spojrzenie padło na stosik bawełnianych pasków, których używała podczas miesiączkowania. Uświadomiła sobie, że nie prała ich, od kiedy wprowadziła się do tego pokoju. Nagle w jej umyśle zakiełkowało ziarenko strasznego podejrzenia. Usiadła ciężko na wąskim łóżku. Jest połowa lipca. Pani Jevons odeszła na początku maja – dziesięć tygodni temu. Przez ten czas Ethel powinna była użyć bawełnianych

pasków nie raz, lecz dwa razy.

– Och nie! –jęknęła. – Och, proszę, nie!

Z trudem się uspokoiła i jeszcze raz dokonała obliczeń. Wizyta króla miała miejsce w styczniu. Ethel została gospodynią zaraz po tym, ale pani Jevons była zbyt chora, żeby się wyprowadzić. Fitz pojechał w lutym do Rosji i wrócił w marcu, i wtedy po raz pierwszy odbyli prawdziwy stosunek. W kwietniu pani Jevons wydobrzała i pełnomocnik Fitz, Albert Solman, przyjechał z Londynu, żeby omówić z nią jej przejście na emeryturę. Odeszła na początku maja i właśnie wtedy Ethel wprowadziła się do tego pokoju i włożyła do szuflady stosik przerażająco białych bawełnianych pasków. To było przed dziesięcioma tygodniami. Jakkolwiek by liczyła, wynik zawsze był taki sam.

Ile razy spotkali się w apartamencie Gardenia? Przynajmniej osiem. Za każdym razem Fitz wycofywał się przed końcem, ale czasem robił to trochę za późno i czuła jego pierwsze skurcze, kiedy jeszcze w niej był. Kochając się z nim, była szalenie szczęśliwa i w upojeniu nie chciała dostrzegać ryzyka. Teraz wpadła w pułapkę.

– Boże, przebacz.

Jej przyjaciółka, Dilys Pugh, też zaszła w ciążę. Była w tym samym wieku co Ethel. Pracowała jako służąca żony Percevala Jonesa i chodziła z Johnnym Bevanem. Ethel pamiętała, jak piersi Dilys powiększyły się mniej więcej wtedy, gdy uświadomiła sobie, że jednak można zajść w ciążę, robiąc to na stojąco. Teraz są małżeństwem.

Co się stanie z Ethel? Nie może wyjść za ojca dziecka.

Pomijając wszystko inne, jest żonaty.

Czas iść i spotkać się z nim. Dzisiaj nie będzie baraszkowania w łóżku. Będą rozmawiali o przyszłości. Włożyła czarną jedwabną suknię gospodyni.

Co on na to powie? Nie ma dzieci. Czy będzie zadowolony, czy przerażony? Czy będzie uradowany owocem swej miłości, czy tylko zmieszany? Czy pokocha Ethel jeszcze bardziej, czy ją znienawidzi?

Opuściła swój pokój na poddaszu, przeszła wąskim korytarzem i tylnymi schodami do zachodniego skrzydła. Znajoma tapeta w gardenie budziła w niej pożądanie, tak jak widok jej majtek podniecał Fitz.

Już tam był. Stał przy oknie i spoglądał na zalany słońcem ogród, paląc cygaro. Kiedy go zobaczyła, znów olśniła ją jego uroda. Zrzuciła mu ręce na szyję. Odkryła, że jego brązowy garnitur jest taki miękki w dotyku, ponieważ został uszyty z kaszmiru.

– Och, Teddy, mój piękny, jestem taka szczęśliwa, że cię widzę.

Podobało jej się to, że jest jedyną osobą nazywającą go Teddy.

– A ja ciebie – powiedział, ale nie zaczął pieścić jej piersi.

Pocałowała go w ucho.

– Mam ci coś do powiedzenia – powiedziała poważnie.

– A ja tobie! Mogę zacząć pierwszy?

Już miała powiedzieć „nie”, lecz on uwolnił się z jej objęć i cofnął o krok. Nagle jej serce przepełniły złe przeczucia.

– Co? – spytała. – Co takiego?

– Bea spodziewa się dziecka.

Wciągnął dym cygara i wydmuchnął go jak westchnienie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała sensu tych słów.

– Co? – powiedziała z niedowierzaniem.

– Księżniczka Bea, moja żona, jest w ciąży. Będzie miała dziecko.

– Chcesz powiedzieć, że sypiałeś z nią i ze mną?!

Wyglądał na zaskoczonego. Widocznie nie spodziewał się, że będzie miała coś przeciwko temu.

– Musiałem! Potrzebuję dziedzica.

– Przecież mówiłeś, że mnie kochasz!
– Kocham i w pewien sposób zawsze będę.
– Nie, Teddy! – krzyknęła. – Nie mów tak, proszę!
– Mów ciszej!
– Mam mówić ciszej!? Przecież mnie rzucasz! Co mnie obchodzi, że ludzie się dowiedzą?
– Mnie to bardzo obchodzi.
Ethel była załamana.
– Teddy, proszę, ja cię kocham.
– To już koniec. Muszę być dobrym mężem i ojcem mojego dziecka. Powinnaś to zrozumieć.
– Zrozumieć, do diabła? – wściekła się. – Jak możesz tak lekko to traktować? Widziałam, jak więcej uczucia okazywałeś psu, którego trzeba było zastrzelić!
– To nieprawda. – Jego głos lekko się załamał.
– Oddałam ci się w tym pokoju, na tym łóżku.
– A ja nigdy... – Urwał. Na jego twarzy, do tej pory zastygłej w maskę chłodnego opanowania, pojawił się grymas niepokoju. Odwrócił się, unikając jej spojrzenia. – Nigdy tego nie zapomnę – szepnęła.
Podeszła do niego, zobaczyła łzy na jego policzkach i jej gniew nagle wyparował.
– Och, Teddy, tak mi przykro.
Próbował wziąć się w garść.
– Bardzo mi na tobie zależy, ale muszę spełnić mój obowiązek – tłumaczył.
Te słowa były zimne, lecz jego głos zdradzał udrękę.
– O Boże. – Starła się powstrzymać łzy. Jeszcze mu nie powiedziała. Otarła oczy rękawem, pociągnęła nosem i przełknęła ślinę. – Obowiązek? – powtórzyła. – Nie wiesz najważniejszego.
– O czym ty mówisz?
– Ja też jestem w ciąży.
– O mój dobry Boże. – Odruchowo włożył cygaro do ust, lecz po chwili wyjął je, nie wciągnawszy dymu. – Przecież zawsze się wycofywałem!
– Widocznie nie dość szybko.
– Od jak dawna o tym wiesz?
– Zdałam sobie z tego sprawę przed chwilą. Zajrzałam do szuflady i zobaczyłam czyste podpaski. – Skrzywił się. Widocznie nie lubi rozmawiać o menstruacji. No cóż, będzie musiał jakoś to znieść. – Wyliczyłam, że nie miałam okresu, od kiedy przeniosłam się do dawnego pokoju pani Jevons dziesięć tygodni temu.
– Dwa cykle. Zatem to pewne. Tak powiedziała Bea. Och, do diabła.
Dotknął cygarem warg, uświadomił sobie, że zgasło, i z pomrukiem irytacji rzucił je na podłogę.
Przyszła jej do głowy przykra myśl.
– Możesz mieć dwóch dziedziców.
– Nie bądź śmieszna – rzucił ostro. – Bękart nie dziedziczy.
– Och... – Wcale nie zamierzała domagać się takiego prawa dla swojego dziecka. Z drugiej strony dotychczas nie myślała o nim jako o bękarcie. – Biedne maleństwo. Moje dziecko, bękart.
To obudziło w nim poczucie winy.
– Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Wybacz.
Widziała, że jego lepsza strona walczy z egoizmem. Dotknęła jego ramienia.
– Biedny Fitz.
– Boże broń, żeby Bea się o tym dowiedziała.
Ethel była głęboko zraniona. Dlaczego przejmuję się tamtą? Bei nic nie będzie: jest bogata i zamężna, nosi ukochane i oczekiwane dziecko klanu Fitzherbertów.
– Wstrząs mógłby jej zaszkodzić – dodał Fitz.

Ethel przypomniała sobie plotkę, że Bea w zeszłym roku poroniła. Wszystkie służące o tym mówiły. Według Niny, rosyjskiej pokojówki, księżniczka winiła za poronienie Fitza, który zdenerwował ją, odwołując zaplanowaną podróż do Rosji.

Ethel poczuła się bezlitośnie odrzucona.

– Zatem twoim największym smutkiem jest to, że wiadomość o naszym dziecku mogłaby zdenerwować twoją żonę. Spojrzał na nią zdumiony.

– Nie chcę, żeby poroniła. To dla mnie ważne!

Nie miał pojęcia, jaki jest gruboskórny.

– Niech cię szlag – syknęła.

– A czego się spodziewałaś? Miałem nadzieję i modliłem się o dziecko, które nosi Bea. Twojego nie chciałaś ty, ja ani nikt inny.

– Nie tak to widzę – powiedziała cicho i zaczęła płakać.

– Muszę to przemyśleć. W samotności. – Chwytał ją za ramiona. – Porozmawiamy jutro. Tymczasem nikomu nie mów.

Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Obiecuj mi.

– Obiecuję.

– Dobra dziewczyna – pochwalił ją i opuścił pokój.

Ethel schyliła się i podniosła zgasłe cygaro.

II.

Nie powiedziała nikomu, ale nie potrafiła udawać, że wszystko jest w porządku, więc skłamała, że źle się czuje, i położyła się do łóżka. Gdy leżała tak sama godzina za godziną, żal powoli ustąpił miejsca obawom. Jak będzie żyła ze swoim dzieckiem?

Stracił posadę w Ty Gwyn – to nieuniknione, nawet gdyby nie było to dziecko hrabiego. Już samo to boli. Była taka dumna z siebie, kiedy została gospodynią. Gramper mawiał, że duma poprzedza upadek. Miał rację.

Nie wiedziała, czy będzie mogła wrócić do domu rodziców:

niesława zabije ojca. To martwiło ją tak samo jak jej własna hańba.

W pewien sposób zrani go to bardziej niż ją. Ma takie sztywne zasady w tych sprawach.

Poza tym nie chciała mieszkać w Aberowen jako samotna

matka. Są już dwie takie: Maisie Owen i Gladys Pritchard. Smutne postacie, niemające swojego miejsca w społecznej hierarchii miasteczka. Są samotne, ale nie interesuje się nimi żaden mężczyzna, są matkami, ale mieszkają u rodziców, jakby wciąż były dziećmi, nie są mile widziane w żadnym kościele, pubie, sklepie czy klubie. Jak ona, Ethel Williams, która zawsze uważała się za odrobinę lepszą od innych, mogłaby stoczyć się tak nisko?

Tak więc musi opuścić Aberowen. Nie żałowała tego. Chętnie zostawi za sobą te szeregi brudnych domków, skromne kaplice i niekończące się spory górników z zarządem kopalni. Tylko dokąd się uda? I czy będzie mogła widywać Fitza?

Gdy zapadła ciemność, leżała bezsennie, patrząc na gwiazdy

za oknem, aż w końcu ułożyła plan. Rozpocznie nowe życie

w innym miejscu. Będzie nosiła obrączkę i opowiadała o zmarłym mężu. Znajdzie kogoś do opieki nad dzieckiem, będzie pracowała i zarabiała pieniądze. Pośle dziecko do szkoły. Przeczynała, że urodzi się dziewczynka, bardzo mądra, która zostanie pisarką lub lekarką, a może działaczką, jak pani Pankhurst, walcząca o prawa kobiet i aresztowaną przed bramą pałacu Buckingham.

Myślała, że nie zaśnie, ale wyczerpały ją emocje i koło północy zapadła w głęboki sen bez snów.

Obudziło ją wschodzące słońce. Usiadła na łóżku, jak zawsze niecierpliwie czekając na rozpoczęcie nowego dnia. Po chwili przypomniała sobie, że jej dotychczasowe życie legło w gruzach,

a przyszłość wygląda tragicznie. O mało znów nie pogrążyła się w rozpacz, ale zwalczyła ją. Nie może sobie pozwolić na luksus łez. Musi zacząć nowe życie. Ubrała się i zeszła do pokoju służby, gdzie oznajmiła, że doszła do siebie po wczorajszej niedyspozycji i może wypełniać swoje obowiązki.

Lady Maud wezwała ją przed śniadaniem. Ethel wzięła tacę z kawą i zanosła do Różowego Pokoju. Maud siedziała przy toaletce w fioletowym jedwabnym peniuarze. Płakała. Ethel miała swoje kłopoty, lecz mimo to ten widok natychmiast wzbudził jej współczucie.

– Co się stało, moja pani?

– Och, Williams, musiałam z nim zerwać.

Ethel założyła, że chodzi o Waltera von Ulricha.

– Ale dlaczego?

– Przyszedł do mnie jego ojciec. Nie wzięłam pod uwagę tego, że Wielka Brytania i Niemcy są wrogami i małżeństwo ze mną zrujnuje karierę Waltera. I zapewne także jego ojca.

– Przecież wszyscy mówią, że wojny nie będzie, bo Serbia nie jest dostatecznie ważna.

– Jeśli nie teraz, to później, a jeśli nawet wojny nigdy nie będzie, to wystarczy sama groźba jej wybuchu. – Toaletka była nakryta serwetą z różowej koronki i Maud skubała ją nerwowo, rozdzierając drogi materiał. Naprawienie tego zajmie wiele godzin, pomyślała Ethel. Maud mówiła dalej: – Nikt w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie powierzy Walterowi żadnych tajemnic, jeśli będzie miał za żonę Angielkę.

Ethel napełniła filiżankę kawą i podała Maud.

– Pan von Ulrich zrezygnuje z pracy, jeśli naprawdę pania kocha.

– Ale ja nie chcę, żeby zrezygnował! – Maud przestała szarpać koronkę i upiła łyk kawy. – Nie mogę być osobą, która złamała mu karierę. Cóż to byłoby za fundament małżeństwa? Mógłby robić karierę w innym zawodzie, stwierdziła w duchu Ethel, i zrobiłby to, gdyby naprawdę cię kochał. Potem pomyślała o mężczyźnie, którego ona kocha, i o tym, jak szybko jego namiętność znikła, gdy stała się niewygodna. Zachowam swoje zdanie dla siebie, postanowiła, bo guzik wiem.

– Co powiedział Walter? – zapytała.

– Nie widziałam go. Napisałam do niego list. Przestałam bywać w miejscach, w których zwykle go spotykałam. Wtedy zaczął wydzwaniać do domu i mówienie służbie, że mnie nie ma, stało się kłopotliwe, tak więc przyjechałam tu z Fitzem.

– Dlaczego pani z nim nie porozmawia?

– Ponieważ wiem, co się stanie. Weźmie mnie w ramiona i pocałuje, a ja ulegnę.

Znam to uczucie, pomyślała Ethel.

– Jesteś milcząca tego ranka, Williams – zauważyła Maud. – Zapewne masz swoje zmartwienia. Czy strajk bardzo daje się we znaki?

– Tak. Wszyscy w mieście przymierają głodem.

– Nadal karmicie dzieci górników?

– Codziennie.

– To dobrze. Mój brat jest bardzo hojny.

– Tak, pani.

Kiedy mu to odpowiada, pomyślała.

– No cóż, lepiej zajmij się swoją robotą. Dziękuję za kawę. Zapewne zanudziłam cię moimi problemami.

Ethel impulsywnie uścisnęła dłoń Maud.

– Proszę tak nie mówić. Zawsze była pani dla mnie dobra.

Przykro mi z powodu Waltera i mam nadzieję, że zawsze będzie mi pani mówiła o swoich kłopotach.

– To miło z twojej strony. – Maud znów miała łzy w oczach. – Bardzo ci dziękuję, Williams.

Uścisnęła dłoń Ethel.

Ethel wzięła tacę i wyszła. Kiedy dotarła do kuchni, Peel zapytał:

– Zrobiłaś coś złego?

Żebyś wiedział.

– Dlaczego pytasz?

– Jego hrabiowska mość chce cię widzieć w bibliotece o wpół do jedenastej.

A zatem to ma być oficjalna rozmowa, pomyślała Ethel. Może tak będzie lepiej. Będą oddzieleni biurkiem i nie odczuje pokusy, żeby rzucić mu się w ramiona. To pomoże jej powstrzymać łzy. Powinna być chłodna i opanowana. Od tej rozmowy zależy całe jej życie.

Zajęła się swoimi obowiązkami. Będzie jej brakowało Ty Gwyn. Podczas wielu lat pracy pokochała te piękne stare meble, nauczyła się ich nazw i umiała rozpoznać ozdobną lampę stojącą, bufet, bieliźniarkę lub pulpit z przegródkami na nuty. Odkurzając i pole-
rując, oglądała intarsje, frezowania i aplikacje, nogi w kształcie lwich łap ściskających kule. Czasem ktoś taki jak Peel mówił: „Ten jest francuski – Ludwik Piętnasty”, i uświadomiła sobie, że każdy pokój jest urządzone i umeblowane w innym stylu, barokowym, neoklasycystycznym lub gotyckim. Już nigdy nie będzie mieszkała w domu z takimi meblami.

Po godzinie poszła do biblioteki. Księgozbiór zgromadzili przodkowie Fitz. Obecnie to pomieszczenie było rzadko używane: Bea czytywała tylko francuskie powieści, a Fitz nie czytał niczego. Goście przychodzili tu czasem, szukając spokoju i ciszy albo chcąc skorzystać ze stojących na środkowym stole szachów z kości słoniowej. Tego ranka zasłony były opuszczone do połowy, zgodnie z poleceniem Ethel, aby ocienić pokój przed lipcowym słońcem i zapewnić chłód. W rezultacie było tu ciemnawo.

Fitz siedział na fotelu obitym zieloną skórą. Ku zdziwieniu Ethel towarzyszył mu Albert Solman, w czarnym garniturze i koszuli ze stójką. Jako wykwalifikowany prawnik Solman był tym, kogo dżentelmeni z epoki edwardiańskiej nazywali plenipotentem. Zarządzał pieniędzmi Fitz, sprawdzając przychody z tantiem węglowych i dzierżaw, płacił rachunki i dostarczał gotówkę na wypłaty dla personelu. Ponadto załatwiał umowy dzierżawy i inne kontrakty, a czasem pisał pozwy przeciwko ludziom, którzy próbowali Fitz oszukać. Ethel spotkała go już wcześniej i nie lubiła. Uważała, że jest przemądrzały. Może wszyscy prawnicy są tacy, ale tego nie wiedziała, bo był jedynym, jakiego znała.

Fitz wstał. Widać było, że jest zmieszany.

– Zapoznałem pana Solmana z sytuacją – zaczął.

– Dlaczego?

Ona musiała obiecać, że nikomu nie powie. To, że Fitz zwierzył się swojemu prawnikowi, uznała za zdradę.

Fitz wyglądał na zawstydzonego – rzadki widok.

– Solman przedstawi ci moją propozycję – powiedział.

– Dlaczego? – znów zapytała Ethel.

Fitz posłał jej błagalne spojrzenie, jakby prosił, żeby nie pogarszała sytuacji. Ona jednak nie zamierzała mu współczuć. Ta sytuacja nie jest dla niej łatwa, dlaczego miałyby ułatwiać coś jemu?

– O czym boisz mi się powiedzieć osobiście? – rzuciła wyzywająco.

Stracił całą arogancką pewność siebie.

– Wyjaśnienia pozostawię jemu – odparł i ku jej zdumieniu opuścił pokój.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, spojrzała zdziwiona na Solmana, zastanawiając się, jak ma rozmawiać o przyszłości swojego dziecka z tym obcym człowiekiem?

Solman się uśmiechnął.

– A więc byłaś niegrzeczna, tak?

To ją rozdrażniło.

– Powiedziałeś to hrabiemu?

– Oczywiście, że nie!

– Ponieważ on też to robił, wiesz? Żeby zrobić dziecko, potrzeba dwojga ludzi.

– W porządku, nie ma potrzeby się w to zagłębiać.

– Po prostu nie mów o tym tak, jakbym zrobiła to sama.

– Oczywiście.

Ethel usiadła, a potem znów na niego spojrzała.

– Możesz usiąść, jeśli chcesz – powiedziała, jakby była panią domu okazującą łaskawość lokajowi.

Poczerwieniał. Nie wiedział, czy usiąść, co wyglądałoby, jakby czekał na jej pozwolenie, czy nadal stać jak sługa. W końcu zaczął się przechadzać po pokoju.

– Pan hrabia polecił mi złożyć ci propozycję – zaczął.

Chodzenie po pokoju mu nie szło, więc zatrzymał się i stanął przed nią. – To hojna oferta i radzę ci ją przyjąć.

Ethel milczała. Gruboskórność Fitz'a odniosła pewien pozytywny skutek: uświadomiła jej, że prowadzi negocjacje. To dobrze znany grunt. Jej ojciec zawsze negocjował, spierając się i ugadując z zarządem kopalni, wiecznie próbując wywalczyć wyższe stawki, krótszy czas pracy, lepsze zabezpieczenia. Jedną z jego maksym było: „Nie odzywaj się, dopóki nie musisz”. Tak więc milczała.

Solman patrzył na nią wyczekująco. Kiedy pojął, że Ethel nie zamierza nic powiedzieć, zmieszał się.

– Pan hrabia zamierza wyznaczyć ci pensję wysokości dwudziestu czterech funtów rocznie, płatne co miesiąc z góry. Myślę, że to bardzo wspaniałomyślnie z jego strony, nieprawdaż?

Parszywy nędzny sknera, pomyślała Ethel. Jak może być taki skąpy? Dwadzieścia cztery funty to pensja pokojówki. Połowa tego, co Ethel zarabia jako gospodyni, a ponadto traci dach nad głową i wyżywienie.

Dlaczego mężczyźni uważają, że coś takiego ujdzie im na sucho? Zapewne dlatego, że zwykle uchodzi. Kobieta nie ma żadnych praw. Potrzeba dwojga ludzi, żeby zrobić dziecko, ale tylko jedno z nich ma obowiązek się nim zająć. Jak kobiety pozwoliły ustawić się w tak kiepskiej pozycji? Rozgniewało ją to. Mimo to nadal nic nie mówiła.

Solman przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– No, musisz dostrzec jaśniejszą stronę tej sytuacji. Będziesz miała dziesięć szylingów tygodniowo...

– Niecałe – sprecyzowała.

– Cóż, powiedzmy, że zrobimy z tego dwadzieścia sześć funtów rocznie, to będzie dziesięć szylingów tygodniowo. Co ty na to?

Ethel nie odpowiedziała.

– Za dwa lub trzy szylingi możesz znaleźć ładny pokój w Cardiff, a resztę wydawać na siebie. – Poklepał ją po kolanie. – I kto wie, może znajdziesz innego hojnego mężczyznę, który ułatwi ci życie... co? Wiesz, jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną. Udała, że nie rozumie, o co mu chodzi. Na myśl o tym, że mogłaby zostać kochanką takiego nędznego prawnika jak Solman, poczuła obrzydzenie. Czy on naprawdę myśli, że mógłby zająć miejsce Fitz'a? Nie odpowiedziała na jego zawołaną propozycję.

– Są jakieś warunki? – spytała zimno.

– Warunki?

– Związane z propozycją hrabiego.

Solman zakasłał.

– Oczywiście, jak zwykle.

– Jak zwykle? Zatem robiłeś to już wcześniej.

– Nie dla hrabiego Fitzherberta – wyjaśnił pospiesznie.

– Dla kogoś innego?

– Trzymajmy się tematu, proszę.

- Mów dalej.
- Nie możesz umieścić nazwiska hrabiego w metryce dziecka ani w żaden inny sposób ujawnić, że on jest ojcem.
- Iz pańskiego doświadczenia, panie Solman, wynika, że kobiety zwykle akceptują pańskie warunki?
- Tak.

Oczywiście, że tak, pomyślała z goryczą. A co innego mogą zrobić? Nie mają prawa do niczego, więc biorą co im się daje. To oczywiste, że akceptują te warunki.

- I co jeszcze?
- Po opuszczeniu Ty Gwyn w żaden sposób nie możesz próbować kontaktować się z panem hrabią. A zatem on nie chce widzieć ani mnie, ani mojego dziecka. Rozczarowanie wezbrało w niej jak fala. Zrobiło jej się tak słabo, że gdyby nie siedziała, chyba by upadła. Zaciśnęła zęby, żeby powstrzymać łzy. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, zapytała:

- Jeszcze coś?
- Sądzę, że to wszystko.

Ethel wstała.

- Musisz skontaktować się ze mną i zawiadomić mnie, gdzie mam przekazywać pieniądze.

Wydobył z kieszeni srebrne puzderko i wyjął z niego wizytówkę.

- Nie - powiedziała, gdy ją jej podał.
- Przecież musisz się ze mną skontaktować...
- Nie zamierzam.
- Jak to?
- Ta oferta jest nie do przyjęcia.
- No, nie bądź niemądra, Williams...
- Powtórzę to, Solman, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości. Ta oferta jest nie do przyjęcia. Moja odpowiedź brzmi „nie”. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Do widzenia.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Wróciła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Jak Fitz może być tak okrutny? Czy naprawdę nie chce jej już nigdy widzieć? Ani swojego dziecka? Czy myśli, że wszystko, co zdarzyło się między nimi, można wymazać dwudziestoma czterema funtami rocznie?

Czy naprawdę już jej nie kocha? A czy w ogóle kiedyś ją kochał? Może sama się oszukiwała?

Myślała, że Fitz ją kocha. Była pewna, że to coś oznacza. Może przez cały czas udawał i ją oszukiwał, ale nie sądziła, by tak było. Kobieta potrafi poznać, kiedy mężczyzna udaje.

Cóż więc teraz wyprawia? Zapewne tłumi swoje uczucia. Zapewne jest człowiekiem słabo rozwiniętym emocjonalnie. Być może szczerze ją kocha, lecz miłością, o której łatwo zapomnieć, gdy staje się niewygodna. Taka słabość charakteru mogła ujść jej uwagi w gorączce namiętności.

Przynajmniej jego nieczułość ułatwia jej negocjacje. Ethel nie musi myśleć o jego uczuciach. Może skupić się na wynegocjowaniu najlepszych warunków dla siebie i dziecka. Powinna cały czas myśleć o tym, jak robi to ojciec. Kobieta nie jest tak całkiem bezsilna, chociaż nie broni jej prawo.

Domyślała się, że Fitz się teraz niepokoi. Pewnie spodziewał się, że przyjmie ofertę, a w najgorszym razie zażąda więcej. Wtedy będzie uważał, że jego tajemnica jest bezpieczna. Teraz jest pewnie zbity z tropu i zaniepokojony.

Nie dała Solmanowi okazji do zapytania, czego ona chce.

Niech przez chwilę błądzą po omacku. Fitz zacznie się bać, że Ethel zamierza się zemścić, mówiąc księżniczce Bei o dziecku. Spojrzała przez okno na zegar na dachu stajni. Dochodziła dwunasta. Na trawniku przed domem służba zaczęła się szykować

do podania obiadu dzieciom górników. Księżniczka Bea zazwyczaj koło dwunastej wzywa do siebie gospodynię. Często narzeka: a to nie podobały jej się kwiaty w holu, a to lokaje mają wygniecione liberie albo łuszczy się farba na podeście. Natomiast gospodyni pyta o rozlokowywanie gości w pokojach, zakup brakujących naczyń i sztućców, zatrudnianie i zwalnianie pokojówek oraz podkuchennych. Fitz zwykle przychodzi do salonu około wpół do pierwszej na kieliszek sherry przed lunchem. Wtedy Ethel dokręci mu śrubę.

III.

Fitz obserwował dzieci górników stojące w kolejce po lunch – albo „obiad”, jak nazywały ten posiłek. Miały brudne buzie, potargane włosy i podarte ubrania, ale wyglądały na szczęśliwe. Te dzieci są zdumiewające. Należą do najbiedniejszych na tej ziemi, a ich ojcowie toczą zażarty spór, lecz po nich w ogóle tego nie widać, pomyślał.

Od kiedy przed pięcioma laty ożenił się z Beą, marzył o dziecku. Raz poroniła i obawiał się, że może się to powtórzyć. Wtedy dostała ataku hysterii tylko dlatego, że odwołał podróż do Rosji. Jeśli się dowie, że za jego sprawą gospodyni zaszła w ciążę, wpadnie w szal.

A ten straszliwy sekret pozostaje w rękach służącej. Dręczył go niepokój. To straszna kara za grzech. W innych okolicznościach może nawet cieszyłby się z tego, że ma dziecko z Ethel. Mógłby umieścić ją i dziecko w domku w Chelsea i odwiedzać raz w tygodniu. Znowu poczuł ukłucie żalu i tęsknoty na myśl o takiej możliwości. Nie chciał źle potraktować Ethel. Jej miłość do niego była taka słodka: żarliwe pocałunki, chętne ciało, młodzieńczy żar namiętności. Nawet przekazując jej złe wieści, chciał przesunąć dłońmi po jej gibkim ciele i poczuć, jak całuje go w szyję w ten pożądlivy sposób, który tak go podniecał. Musi jednak opancerzyć swe serce.

Była nie tylko najbardziej ekscytującą kobietą, jaką całował, ale także inteligentną, o dużej wiedzy, zabawną. Mówiła mu, że jej ojciec zawsze opowiada jej o aktualnych wydarzeniach. A jako gospodyni Ty Gwyn miała prawo czytać gazety hrabiego, kiedy przeczytał je kamerdyner – jedna z zasad obowiązujących wśród służby, o których wcześniej nie wiedział. Ethel zadawała mu niespodziewane pytania, na które nie zawsze umiał odpowiedzieć, takie jak: „Kto panował na Węgrzech przed Austriakami?”. Będzie mi tego brakowało, pomyślał ze smutkiem.

Jednak nie zachowuje się tak, jak powinna zachowywać się porzucona kochanka. Solman był wstrząśnięty po rozmowie z Ethel. „Czego ona chce?” – zapytał go Fitz, ale prawnik nie wiedział. Fitz miał okropne przeczucie, że Ethel powie o wszystkim Bei, po prostu pod wpływem jakiegoś pokręconego wewnętrznego przymusu wyjawienia prawdy. Boże, pomóż mi utrzymać ją z dala od mojej żony, modlił się w duchu.

Ze zdziwieniem ujrzał niską i baryłko wata sylwetkę Percevala Jonesa, dumnie maszerującego przez trawnik w zielonych pumpach i turystycznych butach.

– Dzień dobry, panie hrabio – powiedział burmistrz, unosząc brązowy filcowy kapelusz.

– Dzień dobry, Jones.

Jako prezes Celtic Minerals, Jones przysparzał Fitzowi znacznych zysków, lecz mimo to hrabia go nie lubił.

– Mam złe wieści – oznajmił Jones.

– Te z Wiednia? Rozumiem, że cesarz Austrii wciąż namyśla się nad swoim ultimatum dla Serbii.

– Nie, mówię o Irlandii. Mieszkańcy Ulsteru nie zaakceptują irlandzkiej autonomii. Byliby mniejszością pod rzymskokatolickimi

rzadami. Wojsko już się buntuje.

Fitz ściągnął brwi. Nie lubił słuchać o buntach w brytyjskiej armii.

– Obojętne, co podają gazety – rzekł z niechęcią. – Nie wierzę, by brytyjscy oficerowie nie wykonali rozkazów swojego suwerennego rządu.

– To już się stało! – powiedział Jones. – A co z buntem w Curragh?

– Nikt nie odmówił wykonania rozkazów.

– Pięćdziesięciu siedmiu oficerów podało się do dymisji, nie chcąc maszerować na Ulster. Może pan nie nazywa tego buntem, hrabio, ale wszyscy tak to nazywają.

Fitz mruknął coś pod nosem. Niestety, Jones miał rację. Angielscy oficerowie nie zaatakowali swoich współobywateli w obronie tłumu irlandzkich katolików.

– Irlandii nigdy nie należało obiecywać niepodległości – powiedział.

– Zgadzam się z panem. Jednak przyszedłem porozmawiać o tym. – Wskazał dzieci siedzące na ławach przy ustawionych na kozłach stołach i jedzące gotowane dorsze z kapustą. – Chciałbym, żeby położył pan temu kres.

Fitz nie lubił, gdy niżej urodzeni mówili mu, co ma robić.

– Nie zamierzam pozwolić, by dzieci z Aberowen głodowały, nawet z winy swoich ojców.

– W ten sposób przedłuża pan strajk.

Fakt, że otrzymuje procentowy udział od każdej tony wydobytego węgla, zdaniem Fitz'a wcale nie oznaczał, że ma obowiązek stanąć po stronie właścicieli kopalni w ich sporze z górnikami.

– Strajk to wasz kłopot, nie mój – powiedział urażony.

– Jednak pieniądze pan bierze.

To rozwścieczyło Fitz'a.

– Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Odwrócił się.

Jones natychmiast spokorniał.

– Błagam, panie hrabio, proszę wybaczyć mi tę pochopną i nieprzemyślaną uwagę, lecz ta sytuacja jest bardzo męcząca. Fitzowi trudno było nie przyjąć przeprosin. Jones wcale go nie ułagodził, lecz mimo to odwrócił się i powiedział uprzejmie:

– W porządku, ale nadal będę wydawał dzieciom obiady.

– Widzi pan, panie hrabio, górnik może być uparty i dużo znieść, kierując się głupią dumą, ale to, co ostatecznie go złamie, to widok jego głodujących dzieci.

– I tak nie zamknęliście kopalni.

– Dzięki trzeciorzędnej cudzoziemskiej sile roboczej. Większość z nich to nie górnicy i urobek jest mały. Głównie wykorzystujemy ich do konserwacji tuneli i żywienia koni. Nie wydobywamy dużo węgla.

– Choćby miano mnie zabić, nie zrozumieję, dlaczego wyrzuciliście z domów te nieszczęsne wdowy. Było ich tylko osiem i w końcu straciły swoich mężów w tej przeklętej kopalni.

– Byłby to niebezpieczny precedens. Dom przysługuje górnikowi. Gdybyśmy odstępili od tej zasady, w końcu zostalibyśmy właścicielami slumsów.

To może nie powinniście ich budować, pomyślał Fitz, ale ugryzł się w język. Nie chciał przedłużać rozmowy z tym pompacyjnym małym kacykiem. Spojrzał na zegarek. Dwunasta trzydzieści: czas na kieliszek sherry.

– Nic z tego, Jones – powiedział. – Nie będę toczył za was waszych wojenek. Do widzenia.

I żwawym krokiem poszedł do domu.

Jones jest najmniejszym z jego zmartwień. Co robić z Ethel?

Musi zyskać pewność, że nie rozdrażni Bei. To zagrażałoby nie tylko nienarodzonemu dziecku, ale także nowemu początkowi ich

małżeństwa, jaki jego zdaniem może przynieść ta ciąża. Dziecko ich zbliży, powrócą ciepłe i intymne stosunki, jakie łączyły ich na początku. Jednak te nadzieje się rozwieją, jeśli Bea dowie się, że baraszkował z gospodynią. Wpadnie w szal.

Z ulgą szedł chłodnym korytarzem wyłożonym kamiennymi płytami, z pięknie belkowanym sklepieniem. To jego ojciec wybrał ten feudalny wystrój. Jedyną książką, jaką ojciec przeczytał w życiu poza Biblią, był Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego Gibbona. Uważał, że większe od tamtego imperium brytyjskie spotka taki sam los, jeśli szlachetnie urodzeni nie będą walczyli o zachowanie najważniejszych instytucji państwa, szczególnie marynarki wojennej, Kościoła anglikańskiego oraz Partii Konserwatywnej. Fitz nie wątpił, że ojciec miał rację.

Kieliszek sherry przed lunchem – oto, czego mu trzeba.

Pobudza i zaostrza apetyt. W nastroju przyjemnego oczekiwania wszedł do salonu. Tam z przerażeniem ujrzał Ethel rozmawiającą z Beą. Zatrzymał się w drzwiach i wytrzeszczył oczy, skonsternowany. Co ona jej mówi? Czyżby przyszedł za późno?

– Co się tu dzieje? – spytał ostro.

Bea spojrzała na niego zdziwiona.

– Rozmawiam o powłóczkach z moją gospodynią – odparła zimno. – Spodziewałeś się czegoś dramatyczniejszego?

Jej rosyjski akcent wydłużył „r” w ostatnim słowie.

Przez moment nie wiedział, co powiedzieć. Uświadomił sobie, że gapi się na swoją żonę i kochankę. Myśl o tym, jak intymne stosunki łączą go z obiema tymi kobietami, była niepokojąca.

– Ależ skądże – wymamrotał i usiadł przy sekretarzyku, plecami do nich.

Kobiety podjęły przerwana rozmowę. Istotnie dotyczyła powłóczek: jak długo wytrzymują, czy podarte da się polatać i dać służbie oraz czy lepiej kupować haftowane, czy zwykłe i kazać je haftować pokojówkom. Mimo to Fitz był wstrząśnięty. Cała ta scena, z kochanką i żoną pogrążonymi w cichej rozmowie, przypomniała mu, jak łatwo Ethel może wyznać Bei prawdę. To nie powinno dłużej trwać. Musi coś zrobić.

Wyjął z szuflady arkusz niebieskiego papieru listowego ze swoim herbem, zanurzył pióro w kałamarzu i napisał: Spotkajmy się po lunchu. Osuszył liścik i włożył go do koperty w identycznym niebieskim kolorze.

Po kilku minutach Bea odprawiła Ethel. Gdy ta wychodziła, Fitz powiedział, nie odwracając głowy:

– Williams, podejdź tu, proszę.

Podeszła do niego. Poczul słabą woń pachnącego mydła – przyznała się do podkradania go Bei. Choć rozgniewany, był niepokojąco świadomy bliskości jej szczupłych, silnych ud pod czarnym jedwabiem sukni. Nie patrząc na nią, podał jej kopertę.

– Poślij kogoś do miasta do przychodni dla zwierząt po pigułki dla psów. Takie na zapalenie oskrzeli.

– Dobrze, panie hrabio.

Wyszła.

Za kilka godzin odzyska kontrolę nad sytuacją.

Nalał sobie kieliszek sherry. Zaproponował drugi Bei, ale odmówiła. Alkohol rozgrzał mu żołądek i złagodził napięcie.

Hrabia usiadł obok żony, a ona obdarzyła go przyjaznym uśmiechem.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Ranki są okropne. Jednak to mija. Teraz czuję się dobrze.

Wkrótce wrócił myślami do Ethel. Przyparła go do muru. Nic nie mówi, ale niemo grozi, że powie wszystko Bei. To było z jej strony zaskakująco zręczne. A on wije się bezsilnie. Wolałby nie czekać do popołudnia z rozwiązaniem tego problemu.

Jedli lunch w małej jadalni, siedząc przy prostokątnym dębowym stole, który mógł pochodzić ze średniowiecznego klasztoru.

Bea powiedziała mu, że odkryła, iż w Aberowen jest wielu Rosjan.

– Nina mówi, że ponad setka.
Fitz z trudem oderwał myśli od Ethel.

– Zapewne należą do łamistrajków wynajętych przez Percivala Jonesa.

– Najwidoczniej spotykają się tu z ostracyzmem. Nie chcą ich obsługiwać z sklepach i kawiarniach.

– Muszę skłonić wielbego Jenkinsa, żeby wygłosił kazanie o miłowaniu bliźniego, nawet łamistrajka.

– Nie możesz po prostu kazać sklepikarzom, żeby ich obsługiwali?

Fitz się uśmiechnął.

– Nie, moja droga, nie w tym kraju.

– No cóż, żal mi ich i chciałabym coś dla nich zrobić. Był przyjemnie zaskoczony.

– To miło z twojej strony. Co masz na myśli?

– Zdaje się, że w Cardiff jest cerkiew. Namówię popa, żeby w którąś niedzielę odprawił dla nich mszę.

Fitz ściągnął brwi. Kiedy się pobierali, Bea wstąpiła do Kościoła anglikańskiego, ale wiedział, że tęskni do wiary swojego dzieciństwa, i widział w tym oznakę tego, że jest nieszczęśliwa w przybranej ojczyźnie. Mimo to nie chciał jej denerwować.

– Bardzo dobrze – pochwalił.

– A potem moglibyśmy wydać dla nich obiad w sali dla służby.

– To ładnie z twojej strony, moja droga, ale taki tłum może być nieprzyjemny.

– Nakarmimy tylko tych, którzy przyjdą na mszę. W ten sposób wykluczmy Żydów i najgorszych awanturników.

– Sprytnie. Oczywiście mieszkańcom miasteczka może się to nie spodobać.

– Nic nas to nie obchodzi.

Pokiwał głową.

– Bardzo dobrze. Jones narzekał, że podtrzymuję strajk, karmiąc dzieci górników. Jeśli podejmiesz tu łamistrajków, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że opowiadamy się po którejś stronie.

– Dziękuję – powiedziała.

Ciąża już poprawiła nasze stosunki, pomyślał Fitz.

Do lunchu wypił dwa kieliszki białego reńskiego, lecz kiedy opuścił jadalnię i dotarł do apartamentu Gardenia, niepokój powrócił. Ethel trzyma jego los w swoich rękach. Ma łagodny, kobiecy charakter, a mimo to nie pozwala sobą dyrygować. Nie mógł jej rozkazywać i to go przerażało.

Nie było jej w apartamencie. Spojrzał na zegarek. Czternasta piętnaście. Napisał „po lunchu”. Ethel z pewnością wiedziała, kiedy podano kawę, i powinna tu na niego czekać. Wprawdzie nie wskazał miejsca spotkania, ale z pewnością mogła się domyślić, gdzie będzie czekał.

Zaczął się niepokoić. Po pięciu minutach miał ochotę odejść. Nikt nie każe mu na siebie czekać. Jednak nie chciał pozostawiać tej sprawy niezakończoną przez kolejny dzień ani nawet przez godzinę, więc został.

Przyszła o czternastej trzydzieści.

– Co ty próbujesz mi zrobić? – zapytał gniewnie.

Zignorowała to pytanie.

– A co ty sobie myślałeś, do diabła, każąc mi rozmawiać z prawnikiem z Londynu?

– Pomyślałem, że to będzie mniej emocjonalne.

– Nie bądź niemądry. – Fitz był zaszokowany. Nikt tak do niego nie mówił, od kiedy był uczniakiem. Ethel ciągnęła: – Noszę twoje dziecko, jak to może nie być emocjonalne?

Miała rację, był głupi i jej słowa go ubodły, a jednocześnie mimo woli cieszył go jej melodyjny akcent – każda z pięciu sylab słowa „emocjonalne” miała inny ton, tak że zabrzmiały jak muzyka.

– Przepraszam. Zapłacę ci dwa razy...

– Nie pogarszaj tego, Teddy – powiedziała nieco łagodniej. – Nie targuj się ze mną, jakby to było tylko kwestią ceny. Oskarżycielskim gestem wycelował w nią palec.

– Masz nie rozmawiać z moją żoną, słyszysz? Nie pozwolę na to!

– Nie rozkazuj mi, Teddy. Nie mam powodu cię słuchać.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?

– Zamknij się i słuchaj, to ci powiem.

Rozwścieczył go jej ton, ale przypomniał sobie, że nie może jej rozzłościć.

– Zatem mów.

– Potraktowałeś mnie w bardzo brzydki sposób.

Wiedział, że to prawda, i poczuł wyrzuty sumienia. Było mu przykro, że ją rani. Mimo to starał się tego nie okazywać.

– Nadal za bardzo cię kocham, żeby niszczyć twoje szczęście. Poczul się jeszcze gorzej.

– Nie chcę cię zranić – zapewniła. Przełknęła ślinę, odwróciła głowę i dostrzegł łyzy w jej oczach. Zaczął coś mówić, ale uciszyła go, unosząc rękę. – Chcesz, żebym porzuciła pracę i dom, więc musisz mi pomóc zacząć nowe życie.

– Oczywiście, jeśli tego chcesz.

Rozmowa o praktycznych aspektach sytuacji pomoże im obojgu zapanować nad uczuciami.

– Wyjeżdżam do Londynu.

– Dobry pomysł.

Był zadowolony: nikt w Aberowen nie dowie się, że ma dziecko ani z kim.

– Kupisz mi domek. Nic specjalnego, robotnicza dzielnica będzie dla mnie najzupełniej odpowiednia. Chcę jednak mieć sześć pokoi, żebym mogła mieszkać na parterze i wziąć lokatora. Jego czynsz pokryje koszty napraw i utrzymania. Będę musiała pracować.

– Dobrze to przemyślałaś.

– Zapewne zastanawiasz się, ile to będzie kosztowało, ale nie chcesz mnie spytać, ponieważ dżentelmen nie rozmawia o pieniądzach.

Miała rację.

– Przejrzałam gazetę. Taki domek kosztuje około trzystu funtów. To zapewne taniej niż płacić mi co miesiąc dwa funty do końca mojego życia.

Trzysta funtów to dla Fitz'a tyle co nic. Bea potrafi wydać tyle na stroje w jedno popołudnie w paryskim Maison Paquin.

– A ty obiecasz, że dochowasz tajemnicy? – zapytał.

– I obiecuję kochać twoje dziecko, opiekować się nim i wychować je tak, by było szczęśliwe, zdrowe i dobrze wykształcone, mimo że ciebie najwidoczniej wcale to nie interesuje. Poczul się urażony, ale pojął, że Ethel ma rację. W ogóle nie myślał o dziecku.

– Przepraszam. Bardzo niepokoję się o Beę.

– Wiem – powiedziała nieco łagodniej, jak zawsze, gdy pozwolił sobie na okazanie niepokoju.

– Kiedy wyjedziesz?

– Jutro rano. Spiesz mi się tak samo jak tobie. Pojadę pociągiem do Londynu i natychmiast zacznę szukać domu. Kiedy znajdę odpowiedni, napiszę do Solmana.

– Będziesz musiała zatrzymać się w jakimś pensjonacie, kiedy będziesz szukała domu.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął portfel i wręczył Ethel dwa banknoty pięciofuntowe.

Uśmiechnęła się.

– Nie masz pojęcia, ile co kosztuje, prawda, Teddy? – Oddała mu jeden banknot. – Pięć funtów to mnóstwo pieniędzy. Zrobił urażoną minę.

– Nie chcę, żebyś uważała, że czegoś ci skąpię.
Jej twarz zmieniła wyraz i dostrzegł skrywany pod maską spokoju gniew.
– Och, ale tak jest, Teddy – rzuciła kwaśno. – Chociaż nie chodzi o pieniądze.
– Robiliśmy to oboje – przypomniał, zerkając na łóżko.
– Jednak tylko jedno z nas będzie miało dziecko.
– Cóż, nie kłóćmy się. Powiem Solmanowi, żeby zrobił to, co zaproponowałeś.
Wyciągnęła rękę.
– Do widzenia, Teddy. Wiem, że dotrzymasz słowa.
Jej głos brzmiał teraz normalnie, ale wiedział, że z trudem zachowuje spokój.
Uścisnęli sobie dłonie, chociaż wydawało się to dziwne w przypadku dwojga ludzi, którzy tak namiętnie się kochali.
– Dotrzymam – zapewnił.
– A teraz odejdz, proszę, szybko – powiedziała i odwróciła się.
Wahał się przez chwilę, po czym opuścił pokój.
Był zaskoczony i zawstydzony niemęskimi łzami cisnącymi mu się do oczu.
– Żegnaj, Ethel – szepnął do pustego korytarza. – Niech cię Bóg błogosławi i ma cię w opiece.

IV.

Poszła do magazynu na bagaże mieszczącego się na strychu i ukradła walizczkę, starą i podniszczoną. Nikt nie zauważył jej braku. Należała do ojca Fitz'a i miała wytłoczony w skórze jego herb: złocenie już dawno się wytarło, ale wciąż można było dostrzec wzór. Zapakowała do niej pończochy, bieliznę i kilka kawałków pachnącego mydła księżniczki.
Leżąc tej nocy w łóżku, zdała sobie sprawę, że wcale nie chce wyjeżdżać do Londynu. Jest zbyt przestraszona, żeby przechodzić przez to sama. Chciała być ze swoją rodziną. Musi zadać matce wiele pytań dotyczących ciąży. Kiedy dziecko przyjdzie na świat, powinna być w dobrze znanym sobie miejscu. Będzie potrzebowała dziadków i wujka Billy'ego.
Rano włożyła swoje ubranie, zostawiła suknię gospodyni na wieszaku i niepostrzeżenie opuściła Ty Gwyn. Na końcu podjazdu odwróciła się i spojrzała na dom, na jego poczerwiałe od pyłu węglowego kamienie, na długie rzędy okien odbijających wschodzące słońce, i pomyślała, ile się nauczyła, od kiedy rozpoczęła tu pracę jako trzynastolatka zaraz po szkole. Teraz wie, jak żyje elita. Jedzą dziwne potrawy, przygotowywane na różne skomplikowane sposoby, i wyrzucają więcej, niż zjadają. Wszyscy mówią z takim samym gardłowym akcentem, nawet niektórzy cudzoziemcy. Dotykała pięknej bielizny należącej do bogatych kobiet, z cienkiej bawełny i śliskiego jedwabiu, ręcznie szytej, haftowanej i obszytej koronką, ułożonej w stosiki po dwanaście sztuk w ich komodach. Potrafiła spojrzeć na stolik i natychmiast powiedzieć, w którym wieku został zrobiony. A przede wszystkim, pomyślała z goryczą, nauczyłam się, że nie można wierzyć miłości.
Zeszła w dół z boczka do Aberowen i dotarła na Wellington Row. Drzwi do domu rodziców nie były zamknięte, jak zawsze. Weszła. Kuchnia, będąca głównym pomieszczeniem, była mniejsza od pokoju kwiatowego w Ty Gwyn, używanego jedynie do ustawiania wazonów z kwiatami.
Matka wyrabiała ciasto na chleb, lecz na widok walizki przestała.
– Co się stało? – zapytała.
– Wróciłam do domu – oznajmiła Ethel.
Postawiła walizkę i usiadła przy kuchennym stole. Była zbyt

zawstydzona, żeby wyznać prawdę.

Matka się jednak domyśliła.

– Wyrzucili cię!

Ethel nie mogła spojrzeć jej w oczy.

– Tak. Przykro mi, mamó.

Matka wytarła ręce w ścierkę.

– Co takiego zrobiłaś? – zapytała gniewnie. – Wyduś to z siebie, ale już!

Ethel westchnęła. Po co to odwlekać?

– Zaszłam w ciążę.

– Och nie! Ty niegodziwa dziewczyno!

Ethel walczyła ze łzami. Oczekiwała współczucia, nie potępienia.

– Jestem niegodziwą dziewczyną – przyznała.

Zdjęła kapelusz, próbując zachować spokój.

– To wszystko uderzyło ci do głowy, praca w tym wielkim domu, spotkanie z królem i królową. Przez to zapomniałaś, jak cię wychowano.

– Pewnie masz rację.

– To zabije twojego ojca.

– On nie musi urodzić – zauważyła Ethel z sarkazmem. –

Myślę, że nic mu nie będzie.

– Nie żartuj sobie. To złamie mu serce.

– Gdzie on jest?

– Poszedł na kolejne zebranie strajkowe. Pomyśl o jego pozycji: starszy w kaplicy, rzecznik górników, sekretarz Niezależnej Partii Pracy... jak ma chodzić na spotkania z podniesioną głową, skoro wszyscy będą uważali jego córkę za zdzirę?

Ethel się załamała.

– Bardzo mi przykro, że przyniosłam mu wstyd. – Zaczęła płakać.

Matka złagodniała.

– Och, dobrze. To historia stara jak świat.

Obeszła stół i przytuliła głowę Ethel do swojej piersi.

– To nic, nic – powtarzała jak wtedy, kiedy Ethel była mała i zdarła sobie skórę z kolan.

Po chwili Ethel przestała szlochać.

Matka ją puściła.

– Lepiej napijmy się herbaty – powiedziała. Na kominku zawsze stał czajniczek. Wsypała do niego liście i zalała wrzątkiem, po czym zamieszała napar drewnianą łyżką. – Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

– W lutym.

– Wielkie nieba. – Matka odwróciła się i popatrzyła na Ethel. – Będę babcią!

Obie się roześmiały. Matka rozstawiła filiżanki i naląła do nich herbatę. Ethel wypila łyk i od razu poczuła się lepiej.

– Twoje porody były lekkie czy trudne? – zapytała.

– Nie ma lekkich porodów, ale moja matka mówiła, że mój był lżejszy, niż to zwykle bywa. Jednak po Billym mam słaby krzyż.

Billy właśnie zszedł po schodach, pytając:

– Kto tu o mnie mówi?

Ethel uświadomiła sobie, że może spać dłużej, ponieważ strajkuje. Przy każdym kolejnym spotkaniu wydawał jej się wyższy i szerszy w ramionach.

– Cześć, Eth – rzucił i pocałował ją, drapiąc zjeżonymi wąsami. – Po co ci ta walizka?

Usiadł, a matka naląła mu herbatę.

– Zrobiłam coś głupiego, Billy – wyznała Ethel. – Będę miała dziecko.

Wytrzeszczył oczy, zbyt wstrząśnięty, by coś powiedzieć.

Potem zaczerwienił się, niewątpliwie na myśl o tym, co musiała robić, żeby zajść w ciążę. Spuścił wzrok, zmieszany, wypił łyk

herbaty.

– Kto jest ojcem? – zapytał w końcu.

– Nikt, kogo znasz. – Myślała o tym i przygotowała odpowiednią historyjkę. – To kamerdyner, który przyjechał do Ty Gwyn z jednym z gości, ale teraz jest w wojsku.

– Ale cię nie opuści?

– Nawet nie wiem, gdzie teraz stacjonuje.

– Znajdę łobuza.

Ethel położyła rękę na jego ramieniu.

– Nie złość się, mój drogi. Jeśli będę potrzebowała twojej pomocy, poproszę o nią.

Billy najwyraźniej nie wiedział, jak zareagować. Groźenie zemstą nie ma sensu, ale inaczej nie potrafił. Był po prostu zaskoczony. Miał dopiero szesnaście lat.

Ethel pamiętała, jak był niemowlęciem. Miała zaledwie pięć lat, gdy przyszedł na świat, ale była nim zafascynowana, jego doskonałością i kruchością. Wkrótce ja będę matką pięknego, bezbronного dziecka, pomyślała i nie wiedziała, czy jest szczęśliwa, czy przerażona.

– Pewnie tata będzie miał na ten temat coś do powiedzenia – rzekł Billy.

– Właśnie to mnie niepokoi – odparła Ethel. – Gdybym tylko mogła coś zrobić, żeby się z tym pogodził.

Gramper zszedł na dół.

– Wylali cię, co? – powiedział na widok walizki. – Pewnie za bezczelność?

– Nie bądź okrutny, tato – upomniała go matka. – Spodziewa się dziecka.

– A niech to... Któryś z ważniaków z tego wielkiego domu, tak? Nie zdziwiłbym się, gdyby to był sam hrabia.

– Nie mów głupstw, dziadku – prychnęła Ethel, wstrząśnięta tym, że tak szybko odgadł prawdę.

– To był kamerdyner jednego z gości – wyjaśnił Billy. – Teraz jest w wojsku. Ona nie chce, żebyśmy go szukali.

– Ach tak? – mruknął Gramper. Ethel wiedziała, że to go nie przekonało, ale nie naciskał. Zamiast tego stwierdził: – To ta twoja włoska krew, dziewczyno. Twoja babka też miała temperament. Wpadłaby w tarapaty, gdybym się z nią nie ożenił. I też nie chciała czekać do ślubu. W rzeczy samej...

– Tato! – przerwała mu matka. – Nie przy dzieciach.

– A co niby je po tym zaszokuje? Jestem za stary na słuchanie bajeczek. Młode kobiety chcą kłaskać się z młodymi mężczyznami i pragną tego tak bardzo, że robią to, po ślubie czy przed. Każdy, kto udaje, że jest inaczej, to głupiec, a dotyczy to także twojego męża, Caro, moja mała.

– Uważaj, co mówisz – skarciła go matka.

– Dobrze, dobrze... – Gramper zamilkł i zaczął pić herbatę. Po krótkiej chwili przyszedł ojciec. Matka spojrzała na niego zdziwiona.

– Wcześniej wróciłeś! – zauważyła.

W jej głosie usłyszał strapienie.

– To zabrzmiało tak, jakbym nie był mile widziany.

Wstała od stołu, ustępując mu miejsca.

– Zaparzę świeżą herbatę.

Ojciec nie usiadł.

– Zebranie zostało odwołane. – Zobaczył walizkę. – Co to? Wszyscy spojrzeli na Ethel. Zauważyła obawę na twarzy matki, wyzywającą minę Billy'ego i zrezygnowaną Grampera. Pojęła, że to ona powinna odpowiedzieć na to pytanie.

– Muszę ci coś powiedzieć, tato – zaczęła. – Będiesz na mnie zły, a ja mogę tylko zapewnić, że mi przykro.

Spochmurniał.

– Co zrobiłaś?

– Zrezygnowałam z pracy w Ty Gwyn.

– To nie masz za co przeproszać. Nigdy nie podobało mi się, że kłaniasz się i usługujesz tym pasożytom.

– Miałam powód, by odejść.

Podszedł i stanął nad nią.

– Dobry czy zły?

– Mam kłopoty.

– Mam nadzieję, że to nie oznacza tego, co dziewczęta mają na myśli, kiedy tak mówią.

Wbiła wzrok w stół i skinęła głową.

– Czy ty... – Urwał, szukając odpowiednich słów. – Czy nosisz owoc swojego grzechu?

– Tak.

– Ty niegodziwa dziewczyno!

Matka też tak powiedziała. Ethel skuliła się, chociaż nie z obawy, że ją uderzy.

– Patrz na mnie!

Spojrzała na niego oczami zamglonymi od łez.

– A więc mówisz mi, że popełniłaś grzech nierządu?

– Przepraszam, tato.

– Z kim?

– Z pewnym kamerdynerem.

– Jak się nazywa?

– Teddy – wyrwało jej się.

– Teddy jak?

– Nieważne.

– Nieważne? Co, do licha, masz na myśli?

– Przyjechał z wizytą ze swoim panem. Zanim odkryłam, że jestem w ciąży, poszedł do wojska. Straciłam z nim kontakt.

– Z wizytą? Straciłaś kontakt?! – Ojciec zaczął krzyczeć. – Chcesz powiedzieć, że nawet nie jesteś zaręczona?! Popełniłaś grzech... – Zająknął się, nie mogąc wymówić tych obrzydliwych słów. – Popełniłaś ten grzech przypadkiem?

– Nie złość się – prosiła matka.

– Mam się nie złościć?! To kiedy człowiek powinien się złościć?!

Gramper też próbował go uspokoić:

– Spokojnie, chłopcze. Krzyk na nic się tu nie zda.

– Przepraszam, ale muszę ci przypomnieć, Gramper, że to mój dom i ja ocenię, co się na co zda.

– Tak, w porządku – mruknął Gramper. – Rób, jak uważasz.

Matka nie zamierzała się poddać.

– Nie mów niczego, czego będziesz żałował.

Te próby uspokojenia ojca tylko jeszcze bardziej go roz-
złościły.

– Nie będą mną rządzić kobiety i starcy! – krzyknął. Wyce-
lował palec w Ethel. – I nie będę trzymał w moim domu
nierządnicy! Wynoś się!

Matka zaczęła płakać.

– Nie, proszę, nie mów tak!

– Wynoś się! – wrzeszczał. – I nigdy nie wracaj!

– Przecież to twój wnuk! – tłumaczyła matka.

– Czy nie kierujesz się Słowem Bożym, tato? – odezwał się
Billy. – Jezus rzekł: Nie przyszedłem powołać do nawrócenia się
sprawiedliwych, lecz grzeszników.

Ojciec zaatakował go:

– Pozwól, że coś ci powiem, chłopcze. Moi dziadkowie nie
mieli ślubu. Nikt nawet nie wie, kim był mój dziadek. Moja babka
upadła najniżej, jak może upaść kobieta.

Matka jęknęła. Ethel była wstrząśnięta i widziała, że Bil-
ly'emu odebrało mowę. Gramper miał taką minę, jakby o tym
wiedział.

– Och tak – ciągnął ojciec, zniżając głos – mój ojciec
wychował się w domu o złej sławie, jeśli wiecie, co to takiego.
W domu odwiedzanym przez marynarzy z doków Cardiff. Aż

pewnego dnia, kiedy jego matka leżała pogrążona w pijackim śnie, Bóg poprowadził jego dziecięce nóżki do przykościelnej szkółki niedzielnej, gdzie spotkał Jezusa. Tam nauczył się czytać i pisać, a później wychowywać swoje dzieci we właściwy sposób.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Davidzie – powiedziała cicho matka. Rzadko zwracała się do niego po imieniu.

– Miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał nawet o tym myśleć. – Twarz ojca wykrzywił grymas wstydu i wściekłości. Pochylił się nad stołem i spojrzał Ethel w oczy, zniżając głos do szeptu. – Kiedy zalecałem się do twojej matki, trzymaliśmy się za ręce i co wieczór całowałem ją w policzek, aż do ślubu. – Rąbnął pięścią w stół, aż podskoczyły filiżanki. – Z łaski naszego Pana Jezusa Chrystusa moja rodzina wydostała się z cuchnącego rynsztoka. – Znów podniósł głos do krzyku. – I nie wrócimy tam! Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Zapadła długa cisza.

Ojciec spojrzał na matkę.

– Zabierz Ethel z moich oczu – syknął.

Ethel wstała.

– Jestem spakowana i mam trochę pieniędzy. Pojadę pociągiem do Londynu. – Popatrzyła na ojca przenikliwie. – Nie wciągnę rodziny do rynsztoka.

Billy wziął jej walizkę.

– Dokąd się wybierasz, chłopcze? – zapytał ojciec.

– Odprowadzę ją na stację – odpowiedział lekko przestraszony Billy.

– Niech sama niesie swoją walizkę.

Billy pochylił się, żeby odstawić walizeczkę, ale zmienił zdanie.

Na jego twarzy pojawił się upór.

– Odprowadzę ją na stację – powtórzył.

– Zrobisz, co ci się każe! – wrzasnął ojciec.

Billy wciąż był lekko wystraszony, ale teraz się zawział.

– Co chcesz zrobić, tato? Też wyrzucisz mnie z domu?

– Przełożę cię przez kolano i stłukę. Nie jesteś jeszcze na to za stary.

Billy pobladł, ale spojrzał ojcu w oczy.

– Owszem, jestem. Jestem na to za stary.

Przełożył walizkę do lewej ręki i zacisnął pięść.

Ojciec zrobił krok w jego stronę.

– Już ja cię nauczę zaciskać na mnie pięść, chłopcze.

– Nie! – krzyknęła matka. Stanęła między nimi i odepchnęła męża. – Dość tego! Nie będzie bójeł w mojej kuchni. –

Wycelowała w niego palec. – Davidzie Williamsie, trzymaj ręce przy sobie. Pamiętaj, że jesteś starszym w kaplicy Bethesda. Co ludzie pomyślą?

To go uspokoiło.

Matka odwróciła się do Ethel.

– Lepiej już idź. Billy pójdzie z tobą. No już, szybko.

Ojciec usiadł przy stole.

Ethel ucałowała matkę.

– Żegnaj, mamó.

– Napisz do mnie list – poprosiła matka.

– Nie waż się pisać do nikogo w tym domu! – warknął ojciec. – Listy zostaną spalone bez czytania!

Matka odwróciła się z płaczem. Ethel wyszła, Billy za nią.

Zeszli stromymi uliczkami do centrum miasta. Ethel szła ze spuszczoną głową, nie chcąc rozmawiać ze znajomymi i odpowiadać na pytania, dokąd się wybiera.

Na stacji kupiła bilet do stacji Paddington.

– Cóż – rzekł Billy, kiedy stali na peronie – dwa wstrząsy jednego dnia. Najpierw ty, potem ojciec.

– Tłumił to w sobie przez tyle lat. – Ethel westchnęła. –

Nic dziwnego, że jest taki surowy. Niemal wybaczyłam mu to, że

wyrzucił mnie z domu.

– A ja nie. Nasza wiara to odkupienie i miłosierdzie, a nie tłumienie czegoś w sobie i karanie ludzi.

Przyjechał pociąg z Cardiff i Ethel zobaczyła wysiadającego Waltera von Ulricha. Uchylił przed nią kapelusza, co było miłe z jego strony, bo dobrze urodzeni zwykle nie kłaniają się służącym. Lady Maud mówiła, że go rzuciła. Może przyjechał, żeby ją odzyskać? W duchu życzyła mu szczęścia.

– Chcesz, żebym kupił ci gazetę? – spytał Billy.

– Nie, dziękuję ci, mój śliczny. Nie sądzę, żebym zdołała ją przeczytać.

– Czy pamiętasz nasz szyfr? – zapytała, gdy czekali na jej pociąg.

Jako dzieci wymyślili prosty sposób szyfrowania liścików tak, żeby rodzice nie mogli nic z nich zrozumieć.

Billy przez moment miał zdumioną minę, ale zaraz się rozpogodził.

– Och tak!

– Napiszę do ciebie szyfrem, żeby tata nie domyślił się, o co chodzi.

– Dobrze. I przyślij list przez Tommy'ego Griffithsa.

Pociąg z łoskotem, w chmurze pary wjechał na stację. Billy uściskał Ethel. Widziała, że stara się powstrzymać łzy.

– Uważaj na siebie – poprosiła. – I opiekuj się mamą.

– Tak. – Otarł oczy rękawem. – Wszystko będzie dobrze.

A ty uważaj na siebie w Londynie.

– Będę.

Ethel wsiadła do pociągu i zajęła miejsce przy oknie. Po chwili pociąg ruszył. Gdy nabierał prędkości, patrzyła, jak wieża wyciągowa kopalni znika w oddali, i zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczy Aberowen.

V.

Maud zjadła późne śniadanie z księżniczką Beą w małej jadalni Ty Gwyn. Księżniczka była w doskonałym humorze. Zazwyczaj narzekała na życie w Wielkiej Brytanii, aczkolwiek jako dziecko będąc w brytyjskiej ambasadzie, Maud pamiętała, że życie w Rosji jest znacznie mniej przyjemne: domy zimne, ludzie ponurzy, usługi fatalne, a rząd nieudolny. Dziś jednak Bea nie narzekała. Była szczęśliwa, że wreszcie zaszła w ciążę.

Powiedziała nawet dobre słowo o Fitzu:

– Uratował moją rodzinę, wiesz? Spłacił hipotekę naszej posiadłości. Jednak do tej pory nie było komu jej odziedziczyć, bo mój brat nie ma dzieci. Byłoby tragedią, gdyby wszystkie ziemie Andrieja i Fitz'a przypadły jakiemuś dalekiemu kuzynowi.

Maud nie widziała w tym żadnej tragedii. Ten daleki kuzyn równie dobrze mógłby być jej synem. Nigdy jednak nie spodziewała się odziedziczyć majątku i rzadko rozmyślała o tych sprawach.

Pijąc kawę i rozgrzebując ciastko na talerzu, uświadomiła sobie, że tego ranka nie jest miłą towarzyszką. W rzeczy samej, była przybita. Chociaż widywała ją od dziecka, przytłaczała ją tapeta z wiktoriańskim motywem liści, pokrywająca sufit i ściany.

Nie poinformowała rodziny o swoim romansie z Walterem, tak więc nie mogła powiedzieć im, że z nim zerwała, a to oznaczało, że nie miała nikogo, kto by jej współczuł. Tylko ta bystra mała gospodyni, Williams, znała tę historię, ale ona znikła.

Maud przeczytała w „Timesie” sprawozdanie z wystąpienia Lloyda George'a ubiegłego wieczoru podczas obiadu w Mansion House. Był optymistą w kwestii kryzysu bałkańskiego i twierdził, że można rozwiązać go pokojowo. Miała nadzieję, że się nie myli. Chociaż zrezygnowała z Waltera, wciąż przerażała ją myśl, że

może włożyć mundur i zostać zabity lub ranny na wojnie. Przeczytała w „Timesie” krótkie doniesienie z Wiednia zatytułowane Serbskie zagrożenie. Zapytała Beę, czy Rosja będzie bronić Serbii przed Austriakami.

– Mam nadzieję, że nie – przestraszyła się Bea. – Nie chcę, by mój brat szedł na wojnę.

Siedziały w małej jadalni. Maud wspominała, jak jadała tu śniadania z Fitzem i Walterem w szkolnych czasach, kiedy skończyła dwanaście lat, a oni po siedemnaście. Pamiętała, że mieli wilczy apetyt, każdego ranka zajadali jajka, parówki i sterty grzanek z masłem, zanim poszli jeździć konno lub pływać w jeziorze. Walter był niezwykłą postacią, przystojnym cudzoziemcem. Traktował ją tak uprzejmie, jakby była w jego wieku, co pochlebiało dwunastoletniej dziewczynce – a ponadto, co teraz rozumiała, było subtelną formą flirtu.

Kiedy siedziała pogrążona we wspomnieniach, lokaj Peel wszedł i zaszokował ją, oznajmiając Bei:

– Jest tu pan von Ulrich, jaśnie pani.

To niemożliwe, pomyślała Maud. Może to Robert? Równie nieprawdopodobne.

Chwilę później do salonu wszedł Walter.

Maud była zbyt oszołomiona, by coś powiedzieć.

– Co za miła niespodzianka, panie von Ulrich – powitała go Bea.

Walter miał na sobie lekki letni garnitur z niebieskoszarego tweedu. Niebieski satynowy krawat był tego samego koloru co jego oczy. Maud żałowała, że nie włożyła czegoś innego zamiast zwyczajnej kremowej sukienki o prostym kroju, która wydawała się jak najbardziej odpowiednia na śniadanie z bratową.

– Proszę wybaczyć najście, księżniczko – zwrócił się Walter do Bei. – Musiałem odwiedzić nasz konsul w Cardiff w przykrew sprawie niemieckich marynarzy, którzy mieli kłopoty z miejscową policją.

Co za bzdura. Walter jest attache wojskowym i nie zajmuje się wyciąganiem marynarzy z aresztów.

– Dzień dobry, lady Maud – powiedział, ściskając jej dłoń. – Cóż to za cudowna niespodzianka znaleźć panią tutaj.

Kolejna bzdura, pomyślała. Przyjechał, bo chciał ją zobaczyć. Opuściła Londyn, żeby jej nie nękał, ale w głębi serca była zadowolona z uporu, jakim się wykazał, przyjeżdżając za nią aż tutaj. Zmieszana, zdołała tylko wykrztusić:

– Witam, jak się pan ma?

– Proszę się napić herbaty, panie von Ulrich – powiedziała Bea. – Hrabia jeździ konno, ale wkrótce wróci.

Naturalnie zakładała, że Walter przyjechał zobaczyć się z Fitzem.

– To bardzo uprzejmie z pani strony. – Walter usiadł.

– Zostanie pan na lunch?

– Z ogromną przyjemnością. Potem muszę złapać pociąg i wrócić do Londynu.

Bea wstała.

– Porozmawiam z kucharzem.

Walter zerwał się i odsunął jej krzesło.

– Proszę porozmawiać z lady Maud – zachęciła go Bea, wychodząc z pokoju. – I trochę ją rozweselić. Jest bardzo zaniepokojona sytuacją na świecie.

Walter uniósł brwi, słysząc lekką drwinę w jej głosie.

– Wszyscy rozsądni ludzie niepokoją się sytuacją na świecie – rzekł.

Maud czuła się niezręcznie. Rozpaczliwie szukając jakiegoś tematu, wskazała „Timesa”.

– Sądzi pan, iż to prawda, że Serbia zmobilizowała siedemdziesiąt tysięcy rezerwistów?

– Wątpię, czy oni mają siedemdziesiąt tysięcy rezerwistów – odparł Walter z powagą. – Jednak próbują podnieść stawkę. Maja

nadzieję, że groźba rozszerzenia się wojny skłoni Austrię do ostrożności.

– Dlaczego Austriacy tak długo zwlekają z przekazaniem swoich żądań serbskiemu rządowi?

– Oficjalnie chcą zakończyć żniwa, zanim zrobią coś, co może spowodować pojawienie się konieczności powołania mężczyzn do wojska. Nieoficjalnie wiedzą, że prezydent Francji i jego minister spraw zagranicznych są przypadkiem w Rosji, przez co niebezpiecznie łatwo byłoby tym sojusznikom uzgodnić wspólną reakcję. Austriacy nie wysuną żadnych żądań, dopóki prezydent Poincare jest w Sankt Petersburgu.

On tak trzeźwo rozumuje, pomyślała Maud. Uwielbiała go za to. Walter nie był już w stanie dłużej udawać. Maskę sztywnej uprzejmości opadła, odsłaniając udrękę.

– Proszę, wróć do mnie.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wzruszenie ścisnęło jej gardło i nie zdołała wykrztusić ani słowa.

– Wiem, że zerwałaś ze mną dla mojego dobra – mówił przygnębiony – ale to na nic. Za bardzo cię Kocham.

Maud odzyskała wreszcie głos.

– Jednak twój ojciec...

– Musi się zająć swoim przeznaczeniem. Nie chcę go posłuchać, nie w tej kwestii. – Zniżył głos do szeptu. – Nie potrafię znieść myśli, że mógłbym cię stracić.

– On może mieć rację: niemiecki dyplomata nie powinien mieć żony Angielki, przynajmniej nie teraz.

– Zatem wybiorę inną karierę. Jednak nigdy nie znajdę kobiety takiej jak ty.

Jej opór stopniał i zalała się łzami.

Walter wyciągnął rękę nad stołem i ujął jej dłoń.

– Mogę porozmawiać z twoim bratem?

Zmięła białą lnianą serwetkę i otarła nią łzy.

– Jeszcze nic nie mów Fitzowi – poprosiła. – Zaczekaj kilka dni, aż minie ten serbski kryzys.

– To może potrwać dłużej niż kilka dni.

– W takim razie będziemy mieli czas do namysłu.

– Oczywiście, zrobię, jak sobie życzysz.

– Kocham cię, Walterze. Cokolwiek się zdarzy, chcę być twoją żoną.

Ucałował jej dłoń.

– Dziękuję. Uczyniłaś mnie bardzo szczęśliwym.

VI.

W domu przy Wellington Row panowała męcząca cisza. Matka ugotowała obiad i ojciec, Billy oraz Gramper zjedli go, ale prawie nie rozmawiali. Billy'ego zżerał gniew, któremu nie mógł dać ujścia. Po południu wspinał się na szczyt wzgórza i samotnie przewędrował kilka mil.

Następnego ranka odkrył, że jego myśli wciąż krążą wokół przypowieści o Jezusie i kobiecie oskarżonej o cudzołóstwo. Siedząc w kuchni w niedzielnym ubraniu i czekając na wyjście z rodzicami oraz dziadkiem do kaplicy Bethesda, by podzielić się chlebem, otworzył Biblię na Ewangelii według świętego Jana i znalazł rozdział ósmy. Kilkakrotnie przeczytał tę przypowieść. Wydawało się, że dokładnie opisuje kryzys, jaki dotknął jego rodzinę. Wciąż myślał o tym w kaplicy. Rozejrzał się, patrząc na swoich znajomych i sąsiadów: panią Dai Kucyk, Johna Sklep Jonesa, panią Ponti i jej dwóch rosłych synów, Łoza Hewitta... Oni wszyscy wiedzą, że Ethel wczoraj opuściła Ty Gwyn i pojechała pociągiem do Paddington, i chociaż nie mieli pojęcia dlaczego, mogą się domyślać. W myślach już ją osądzili. Jezus tego nie robił. Podczas śpiewania psalmów i improwizowanych modlitw

doszedł do wniosku, że Duch Święty nakazuje mu odczytać te wersy. Pod koniec spotkania wstał i otworzył Biblię. Rozległ się cichy pomruk zdziwienia. Był trochę za młody, żeby kierować zgromadzeniem, jednak nie było określonej granicy wieku: Duch Święty może wstąpić w każdego.

– Kilka wersów z Ewangelii świętego Jana – zapowiedział.

Jego głos lekko drżał i Billy starał się nad nim zapanować.

– Powiedzieli do Niego: Nauczycielu, tę kobietę dopiero pochwycono na cudzołóstwie.

W kaplicy nagle zrobiło się cicho: nikt się nie wiercił, nie szeptał i nie kaszłał.

Billy czytał dalej.

– W Prawie Mojżesz nakazał nam takie kamienować. A Ty co mówisz? Mówili to, wystawiając Go na próbę, aby mieli o co Go oskarżyć. Lecz Jezus, nachyliwszy się, pisał palcem po ziemi. A kiedy w dalszym ciągu Go pytali, podniósł się i rzekł do nich... W tym miejscu Billy przerwał i podniósł głowę.

– Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień – powiedział z naciskiem.

Wszyscy na niego patrzyli. Nikt się nie poruszył.

Billy czytał dalej:

– powtórnie nachyliwszy się, pisał na ziemi. Kiedy to usłyszeli, wszyscy jeden po drugim zaczęli odchodzić, poczynając od starszych, aż do ostatnich. Pozostał tylko Jezus i kobieta, stojąca na środku. Wówczas Jezus, podniósłszy się, rzekł do niej: „Kobieto, gdzież oni są? Nikt cię nie potępił?”. A ona odrzekła: „Nikt, Panie”.

Billy podniósł głowę znad Biblii. Nie musiał czytać ostatniego wersu: znał go na pamięć. Spojrzał na kamienną twarz ojca i zacytował powoli i z naciskiem:

– Rzekł do niej Jezus: „I Ja ciebie nie potępiam. Idź, a od tej chwili już nie grzesz”.

Po długiej chwili zamknął Biblię z trzaskiem, który w ciszy huknął jak grom.

– Oto Słowo Boże – zakończył.

Nie usiadł, ruszył do wyjścia. Zgromadzeni patrzyli na niego w skupieniu. Otworzył wielkie drewniane drzwi i wyszedł.

I nigdy nie wrócił.

ROZDZIAŁ 9

Koniec lipca 1914 roku

i.

Walter von Ulrich nie umiał grać ragtime'ów.

Potrafił grać tylko proste melodie, wyraziste akordy, które często występowały w interwale zmniejszonej septymy. I chociaż umiał grać na cztery ręce, nie brzmiało to jak ragtime. Umykał mu rytm. Rezultatem jego wysiłków było coś, co można usłyszeć w wykonaniu podwórkowej orkiestry w berlińskim parku. Dla Waltera, który bez trudu grał sonaty Beethovena, było to frustrujące. Maud próbowała go uczyć w tamten sobotni poranek w Ty Gwyn, na pianinie marki Bechstein, stojącym między palmami w donicach w salonie, do którego letnie słońce zaglądało przez wysokie okna. Siedzieli obok siebie na stołku, grając razem, i Maud śmiała się z jego wysiłków. Była to chwila niczym nieskażonego szczęścia.

Trochę sposepniał, gdy wyjaśniła mu, w jaki sposób jego ojciec skłonił ją do zerwania. Gdyby spotkał ojca wieczorem po powrocie do Londynu, z pewnością by wybuchnął. Otto jednak wyjechał do Wiednia i Walter musiał przełknąć gniew. Od tamtej pory nie widział ojca.

Przystał na propozycję Maud, by utrzymać zaręczyny w tajemnicy, aż zakończy się kryzys bałkański, wciąż trwający, chociaż sytuacja nieco się wyklarowała. Od zamachu w Sarajewie minęły prawie cztery tygodnie, a cesarz Austrii jeszcze nie wysłał Serbom noty, nad którą tak długo rozmyślał. Ta zwłoka obudziła w Walterze nadzieję, że nastroje w Wiedniu uspokoiły się i przewagę zdobyli zwolennicy umiarkowanych kroków.

Siedząc przy fortepianie salonowym w niedużym pokoju swojego kawalerskiego mieszkania przy Piccadilly, rozmyślał o tym, jak dużo Austriacy mogą zrobić, aby nie wywołując wojny, ukarać Serbię i uleczyć zranioną dumę. Na przykład mogą zmusić serbski rząd do zamknięcia antyaustriackich gazet oraz oczyścić serbską armię i rząd z serbskich nacjonalistów. Serbowie mogliby na to przystać. Byłoby to upokarzające, ale lepsze niż wojna, której nie mogą wygrać.

Wtedy przywódcy największych państw europejskich mogliby się odprężyć i skupić na problemach wewnętrznych. Rosjanie rozbiliby u siebie strajk generalny, Anglicy uspokoiли buntowniczych irlandzkich protestantów, a Francuzi mogliby spokojnie śledzić proces o morderstwo madame Caillaux, która zastrzeliła redaktora dziennika „Le Figaro” za opublikowanie miłosnych listów jej męża.

A Walter mógłby poślubić Maud.

To teraz jego główny cel. Im więcej myślał o trudnościach, tym bardziej był zdecydowany je przewyciężyć. Dowiedziawszy się, w ciągu kilku dni, czym jest życie bez niej, był jeszcze bardziej pewny tego, że chce się z nią ożenić, niezależnie od ceny, jaką oboje będą zmuszeni zapłacić. Z żywym zainteresowaniem śledząc dyplomatyczną grę toczącą się na szachownicy Europy, analizował każdy ruch, przede wszystkim oceniając, jak wpłynie na losy jego i Maud, a dopiero potem pod kątem znaczenia dla Niemiec i świata.

Dziś mają zobaczyć wieczorem, na obiedzie i na balu u księżnej Sussex. Już włożył frak i białą muszkę. Czas iść. Kiedy jednak opuścił klawisz fortepianu, ktoś zadzwonił do drzwi i służący zapowiedział hrabiego Roberta von Ulricha.

Robert miał typową dla niego kwaśną minę. Był niespokojnym i nieszczęśliwym młodzieńcem, kiedy studiowali razem w Wiedniu. Uczucia nieuchronnie prowadziły go ku grupie, którą jego wychowanie nakazywało uważać za dekadencją. I tak, kiedy wracał do domu po wieczorze spędzonym z mężczyznami takimi jak on, miał taką właśnie minę – wyzywającą, lecz zdradzającą poczucie winy, i kwaśną. Z czasem odkrył, że homoseksualizm, tak jak cudzołóstwo, oficjalnie jest potępiany, ale – przynajmniej w pewnych wyrafinowanych kręgach – po cichu tolerowany, i pogodził się z tym, kim jest. Dziś miał jednak kwaśną minę z zupełnie innego powodu.

– Właśnie widziałem tekst cesarskiej noty – oznajmił bez ogródek.

Serce Waltera przepełniła nadzieja. To może być to pokojowe rozwiązanie, na które tak czeka.

– I co w niej jest?

Robert wręczył mu kartkę.

– Przepisałem najważniejszą część.

– Czy została już doręczona serbskiemu rządowi?

– Tak, o osiemnastej czasu belgradzkiego.

Nota zawierała dziesięć żądań. Pierwsze trzy pokrywały się z przewidywaniami Waltera, co stwierdził z ulgą: Serbia ma zamknąć liberalne gazety, rozbić tajne bractwo Czarnej Ręki oraz zaprzestać nacjonalistycznej propagandy. Może umiarkowani w Wiedniu jednak zwyciężyli w tym sporze, pomyślał z ulgą. Punkt czwarty w pierwszej chwili wydawał się rozsądny – Austriacy zażądali oczyszczenia serbskich urzędów z nacjonalistów – lecz był w nim haczyk. Austriacy mieli dostarczyć listę

nazwisk.

– To wydaje się trochę za mocne – uznał Walter. – Serbski rząd nie może po prostu wyrzucić wszystkich, którzy nie podobają się Austriakom.

Robert wzruszył ramionami.

– Będą musieli.

– Zapewne.

Walter miał nadzieję, że to zrobią, aby utrzymać pokój.

Jednak najgorsze było dalej.

W punkcie piątym Austria zażądała współpracy serbskiego rządu w niszczeniu wywrotowych organizacji, a w punkcie szóstym, który Walter przeczytał z rosnącym niepokojem, domagała się, by jej przedstawiciele nadzorowali śledztwo w sprawie zamachu.

– Przecież Serbia nie może się na to zgodzić! – zaprotestował

Walter. – To byłoby równoznaczne z utratą suwerenności.

Robert spochmurniał jeszcze bardziej.

– Skądże – rzucił opryskliwie.

– Żaden kraj na świecie nie mógłby się na to zgodzić.

– Serbia się zgodzi. Musi, inaczej zostanie zniszczona.

– Przez wojnę?

– Jeśli będzie trzeba.

– Ta wojna może ogarnąć całą Europę!

Robert pokiwał palcem.

– Nie, jeśli inne rządy będą rozsądne.

W przeciwieństwie do waszego, pomyślał Walter, ale zachował to dla siebie i czytał dalej. Pozostałe punkty były sformułowane arogancko, ale Serbowie zapewne mogliby je przełknąć: aresztowanie spiskowców, uniemożliwienie przemytu broni na terytorium Austrii oraz powstrzymanie antyaustriackich wystąpień serbskich oficjeli.

Jednak wyznaczono czterdziestoośmiogodzinny termin odpowiedzi.

– Mój Boże, to surowe warunki – westchnął Walter.

– Ludzie rzucający wyzwanie cesarzowi Austrii muszą spodziewać się surowej kary.

– Wiem, wiem, ale nawet nie pozostawił im możliwości zachowania twarzy.

– A dlaczego miałyby to robić?

– Na litość boską, czy on chce wojny? – prychnął zirytowany Walter.

– Rodzina cesarza, dynastia Habsburgów, przez setki lat władała ogromnymi obszarami Europy. Cesarz Franciszek Józef wie, że z woli Boga ma rządzić pośledniejszymi słowiańskimi narodami. To jego przeznaczenie.

– Boże, chroń nas przed ludźmi wierzącymi w swoje przeznaczenie – mruknął Walter. – Czy w mojej ambasadzie widzieli tę notę?

– Zobacz ją lada chwila.

Walter zastanawiał się, jak zareagują inni. Czy zaakceptują notę tak jak Robert, czy będą oburzeni tak jak on? Czy podniesie się międzynarodowy krzyk protestu, czy cała sprawa zostanie skwitowana bezradnym dyplomatycznym wzruszeniem ramion?

Wieczorem się tego dowie. Spojrzał na zegar stojący na gzymsie kominka.

– Spóźnię się na obiad. Idziesz wieczorem na bal do księżnej Sussex?

– Tak. Zobaczymy się tam.

Opuścili budynek i rozstali się na Piccadilly. Walter ruszył do domu Fitz'a, gdzie miał zjeść obiad. Brakowało mu tchu, jakby ktoś go pobił. Wojna, której tak się obawia, jest niebezpiecznie blisko. Przybył na miejsce na porę, by ukłonić się księżniczce Bei, ubranej w lawendową suknię z jedwabnymi kokardkami, oraz uścisnąć dłoń Fitz'a, niemożliwie przystojnego w smokingu i białej muszce, po czym zaraz oznajmiono, że podano do stołu. Ucieszył

się, gdy przypadł mu obowiązek asystowania Maud. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię z jakiegoś materiału przywierającego do jej ciała w sposób, który bardzo się Walterowi podobał.

– Bardzo atrakcyjna suknia – mruknał, przysuwając jej krzesło.

– Paula Poireta – podała nazwisko projektanta tak sławnego, że nawet Walter o nim słyszał. – Pomyślałam, że ci się spodoba – dodała cicho.

Ta uwaga była tylko odrobinę intymna, a mimo to sprawiła mu przyjemność, zaraz zmaconajednak dreszczem lęku na myśl o tym, że mógłby stracić tę czarującą kobietę.

Dom Fitz'a właściwie nie był pałacem. Okna długiej jadalni, mieszczącej się w narożniku budynku, wychodziły na dwie główne arterie miasta. Paliły się elektryczne żyrandole – choć na zewnątrz był jasny letni wieczór – rzucając refleksy światła odbijające się w kryształowych kieliszkach i srebrnych sztucach. Spojrzawszy na inne damy siedzące przy stole, Walter znów podziwiał śmiałość, z jaką Angielki z wyższych sfer ukazują przy obiedzie znaczną część swoich biustów.

Co za sztubackie rozważania. Czas się ożenić.

Gdy tylko usiadł, Maud zsunęła bucik i włożyła obleczonego w pończochę duży palec nogi pod nogawkę jego spodni. Uśmiechnęła się do niej, lecz ona natychmiast zauważyła jego roztargnienie.

– O co chodzi? – zapytała.

– Rozpocznij rozmowę o austriackim ultimatum – mruknał. – Powiedz, że zostało doręczone.

Maud zwróciła się do siedzącego u szczytu stołu Fitz'a:

– Zdaje się, że nota cesarza Austrii została w końcu przekazana do Belgradu. Słyszałeś coś o tym, Fitz?

Hrabia odłożył łyżkę.

– To samo co ty. Jednak nikt nie wie, co w niej jest.

– Sądzę, że jest bardzo ostra – włączył się Walter. – Austriacy chcą nadzorować serbskie śledztwo.

– Nadzorować!?! – powtórzył Fitz. – Przecież gdyby premier Serbii się na to zgodził, musiałby podać się do dymisji. Walter pokiwał głową. Fitz przewidział konsekwencje tak samo jak on.

– To prawie tak, jakby Austriacy chcieli wojny.

Był niebezpiecznie bliski nielojalnego komentarza na temat jednego z sojuszników Niemiec, lecz czuł taki niepokój, że się tym nie przejmował. Podchwycił spojrzenie Maud. Była blada i milcząca. Ona także dostrzegła niebezpieczeństwo.

– Oczywiście należy współczuć Franciszkowi Józefowi – przyznał Fitz. – Nacjonalistyczni wywrotowcy mogą zdestabilizować państwo, jeśli stanowczo się z nimi nie rozprawi. – Walter domyślił się, że hrabia myśli o irlandzkich dążeniach do niepodległości i południowoafrykańskich Burach, zagrażających brytyjskiemu imperium. – Jednak nie potrzeba kufara, żeby rozbić orzech – zakończył.

Lokaje zabrali talerze z zupą i napełnili kieliszki innym winem. Walter nie pił. Zapowiada się długi wieczór i powinien trzeźwo myśleć.

– Przypadkiem spotkałam dziś premiera Asquitha – rzekła cicho Maud. – Powiedział, że to może być prawdziwy Armagedon. – Była przestraszona. – Z początku mu nie uwierzyłam, ale teraz widzę, że mógł mieć rację.

– Tego wszyscy się obawiamy – rzekł Fitz i westchnął.

Walter jak zawsze był pod wrażeniem kontaktów Maud. Rozmawiała swobodnie z najbardziej wpływowymi ludźmi w Londynie. Pamiętał, że jako jedenasto- lub dwunastoletnia dziewczynka, kiedy jej ojciec był ministrem w rządzie konserwatystów, poważnie wypytывała jego kolegów z gabinetu, gdy odwiedzali Ty Gwyn, i nawet wtedy ci ludzie uważnie jej słuchali i cierpliwie odpowiadali na pytania.

– Jasną stroną sytuacji jest to – ciągnęła – że jeśli dojdzie do wojny, zdaniem Asquitha Wielka Brytania nie musi brać w niej udziału.

To podniosło Waltera na duchu. Jeśli Wielka Brytania pozostanie na uboczu, wojna nie rozdzieli go z ukochaną. Fitz jednak najwyraźniej nie podzielał tego poglądu.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – Nawet jeśli... – Spojrzał na Waltera. – Wybacz mi, von Ulrich, nawet jeśli Francja zostanie zajęta przez Niemcy?

– Asquith mówi, że będziemy widzami – odparła Maud.

– Tak jak od dawna się obawiałem – pompatycznie oznajmił Fitz – ten rząd nie rozumie, na czym polega równowaga sił w Europie.

Jako konserwatysta nie ufał rządowi liberałów i nienawidził Asquitha, który osłabił władzę Izby Lordów. Jednak – co najistotniejsze – nie przerażała go perspektywa wybuchu wojny. Walter obawiał się, że w pewien sposób hrabiego może ona cieszyć, tak samo jak Ottona. Z pewnością uważał, że wojna jest lepsza od jakiegokolwiek osłabienia brytyjskiej potęgi.

– Czy jesteś pewny, mój drogi Fitz, że niemieckie zwycięstwo nad Francją naruszyłyby równowagę sił? – spytał.

Ta dyskusja była nieco zbyt poważna, jak na towarzyskie spotkanie, ale poruszano temat zbyt istotny, by zamieść go pod drogi dywan Fitz'a.

– Z całym szacunkiem dla waszego szacownego kraju – odparł Fitz – oraz Jego Wysokości Kaisera Wilhelma, obawiam się, że Wielka Brytania nie może pozwolić, by Niemcy zajęły Francję.

Na tym polega problem, pomyślał Walter, usilnie starając się nie okazać gniewu i zniechęcenia wywołanego przez te nonszalne słowa. Niemiecki atak na będącą sojusznikiem Rosji Francję miałby w istocie obronny charakter, lecz Anglicy mówili o tym tak, jakby Niemcy chcieli dominować w Europie.

– Pokonaliśmy Francję czterdzieści trzy lata temu – powiedział, zmuszając się do miłego uśmiechu – w konflikcie nazywanym przez was wojną francusko-pruską. Wielka Brytania pozostała wtedy widzem. I nie ucierpiała w wyniku naszego zwycięstwa.

– Tak też mówił Asquith – wtrąciła Maud.

– Jest pewna różnica – odparł Fitz. – W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku Francja została pokonana przez Prusy i grupkę małych niemieckich księstw. Po wojnie z tej koalicji powstało jedno państwo, współczesne Niemcy, i jestem pewny, że się ze mną zgodzisz, von Ulrich, stary przyjacielu, iż dzisiejsze Niemcy są o wiele groźniejszym państwem niż dawne Prusy.

Tacy ludzie jak Fitz są niebezpieczni, pomyślał Walter. Z nie-nagannymi manierami poprowadzą świat ku zagładzie. Postarał się, by jego odpowiedź zabrzmiała beztrąsko.

– Oczywiście masz rację, ale może „groźne” to nie to samo co „wrogie”.

– Oto jest pytanie, prawda?

Na drugim końcu stołu Bea zakaszła znacząco. Niewątpliwie uważała ten temat za zbyt kontrowersyjny, by poruszać go przy stole.

– Czy czeka pan z niecierpliwością na bal u księżnej, panie von Ulrich? – zapytała ożywiona.

Walter poczuł się skarcony.

– Jestem pewny, że bal będzie wspaniałą – zapewnił pośpiesznie i został nagrodzony przez Beę wdzięcznym skinieniem głowy.

– Jest pan takim dobrym tancerzem! – wtrąciła ciotka Herm.

Walter uśmiechnął się ciepło do starszej pani.

– Może zaszczyci mnie pani pierwszym tańcem, lady Hermio? Pochlebił jej.

– O mój Boże, jestem za stara na tańce. Ponadto wy, młodzi,

znacie kroki, które nie istniały, kiedy byłam debiutantką.
– Ostatnie szaleństwo to czardasz. To węgierski taniec ludowy. Może powinienem nauczyć panią kroków?

– Nie sądzisz, że mogłoby to zostać uznane za między-
narodowy incydent? – wtrącił się Fitz.

Żart nie był szczególnie śmieszny, ale wszyscy się roześmiali i rozmowa zeszała na inne, trywialne, lecz bezpieczne tematy. Po obiedzie towarzystwo wsiadło do powozów, żeby pojechać do odległego o czterysta jardów Sussex House – pałacu księcia przy Park Lane.

Zapadła noc i we wszystkich oknach paliły się światła: księżna w końcu uległa i zainstalowała elektryczność. Walter wszedł po szerokich schodach i znalazł się w pierwszej z trzech wielki sal. Orkiestra grała najpopularniejszą melodię ostatnich lat, Alexander's Ragtime Band. Mimo woli poruszył palcami lewej ręki: kluczowym elementem jest synkopowanie.

Dotrzymał obietnicy i zatańczył z ciotką Herm. Miał nadzieję, że będzie miała mnóstwo partnerów. Chciał, by się zmęczyła i zdrzemnęła w bocznym pokoju, zostawiając Maud niestrzeżoną. Wciąż pamiętał to, co przed kilkoma tygodniami on i Maud robili w bibliotece tego domu. Swędziały go ręce, żeby dotknąć jej przez tę obcisłą suknię.

Najpierw jednak musiał coś zrobić. Skłonił się ciotce Herm, wziął od lokaja kieliszek szampana i zaczął krążyć. Przeszedł przez małą salę balową, salon i dużą salę balową, rozmawiając z politykami i dyplomataami. Zostali zaproszeni wszyscy londyńscy ambasadorowie i wielu z nich przyszło, w tym przełożony Waltera, książe Lichnowsky. Przybyło także wielu członków parlamentu. Większość z nich była konserwatystami, tak jak księżna, ale dostrzegł również kilku liberałów, w tym paru ministrów. Robert prowadził ożywioną rozmowę z lordem Remarkiem, wiceministrem Ministerstwa Wojny. Walter nie dostrzegł żadnych posłów laburzystowskich. Wprawdzie księżna uważała się za kobietę o szerokich horyzontach, ale są pewne granice.

Walter dowiedział się, że Austriacy wysłali kopie swego ultimatum do wszystkich ważniejszych ambasad w Wiedniu.

Z pewnością jedna z nich zostanie przesłana do Londynu i przetłumaczona w nocy, więc rano wszyscy będą wiedzieli, co zawiera. Większość ludzi była zaszokowana żądaniami Austrii, ale nikt nie wiedział, co z tym zrobić.

Do pierwszej w nocy dowiedział się wszystkiego, czego mógł się dowiedzieć, i poszedł szukać Maud. Zszedł po schodach do ogrodu, gdzie pod pasiastą markizą ustawiono stoły z jedzeniem. W angielskim towarzystwie podaje się tak dużo jedzenia! Znalazł Maud skubiącą winogrona. Na szczęście nigdzie nie było widać ciotki Herm.

Walter zapomniał na chwilę o swoich zmartwieniach.

– Jak wy, Anglicy, możecie tyle jeść? – żartobliwie zapytał Maud. – Większość tych ludzi zjadła obfite śniadanie, lunch z pięciu lub sześciu dań, kanapki i ciastka na podwieczorek oraz co najmniej ośmiodaniowy obiad. Czy naprawdę potrzebna im jeszcze zupa, nadziewane przepiórki, homar, brzoskwinie i lody?

Maud się roześmiała.

– Uważasz, że jesteśmy wulgarni, prawda?

Wcale tak nie uważał, ale drażnił się z nią, udając, że tak myśli.

– No cóż, jakąż to kulturę mają Anglicy?

Wziął ją pod rękę i spacerując pozornie bez celu, wyprowadził spod namiotu do ogrodu. Drzewa były obwieszane lampionami rzucającymi nieco światła. Po krętych alejkach między krzewami przechadzały się inne pary, rozmawiając lub dyskretnie trzymając się w półmroku za ręce. Walter znów zauważył Roberta z lordem Remarkiem i zadał sobie pytanie, czy oni też mają romans.

– Angielscy kompozytorzy? – spytał, nadal drażniąc się z Maud. – Gilbert i Sullivan. Malarze? Podczas gdy francuscy

impresjoniści zmieniali sposób postrzegania świata, Anglicy malowali rumiane dzieci bawiące się ze szczeniętami. Opera? Tylko włoska, jeśli nie niemiecka. Balet? Rosyjski.

– A mimo to władamy połową świata – zauważyła Maud z drwiącym uśmiechem.

Wziął ją w ramiona.

– A ty umiesz grać ragtime'y.

– To łatwe, jeśli złapiesz rytm.

– Właśnie z tym mam trudności.

– Potrzebujesz lekcji.

Przysunął usta do jej ucha i szepnął:

– Naucz mnie, proszę.

Szept przeszedł w jęk, gdy go pocałowała. Potem przez jakiś czas nic nie mówili.

II.

To było nad ranem, w piątek dwudziestego czwartego lipca.

Następnego wieczoru, gdy Walter gościł na innym obiedzie i kolejnym balu, wszyscy powtarzali pogłoskę o tym, że Serbowie zgodzą się na wszystkie żądania Austriaków, domagając się jedynie sprecyzowania punktów piątego i szóstego. Austriacy z pewnością nie odrzucą takiej pokornej prośby, myślał uradowany Walter. Chyba że, nie zważając na nic, postanowili wypowiedzieć wojnę.

Wracając w sobotę o świcie do domu, wpadł do ambasady, żeby sporządzić notatkę o tym, czego dowiedział się na przyjęciu. Siedział przy biurku, kiedy pojawił się sam ambasador, książę Lichnowsky, w nienagannym porannym stroju i z szarym cylindrem w ręku. Zaskoczony Walter zerwał się na równe nogi i uklonił.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedział.

– Jesteś tu bardzo wcześnie, von Ulrich – stwierdził ambasador. A potem, zauważywszy wieczorowy strój Waltera, dodał: – Lub raczej bardzo późno.

Był przystojny, choć miał nieregularne rysy twarzy i wydatny haczykowany nos.

– Właśnie sporządzałem dla pana notatkę o pogłoskach z ostatniej nocy. Czy mogę coś zrobić dla Waszej Wysokości?

– Zostałem wezwany przez sir Edwarda Greya. Może pan pójść ze mną i notować, jeśli ma pan inny płaszcz.

Walter się ożywił. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Walter spotykał go, oczywiście, w małym światku londyńskiej dyplomacji, ale nigdy nie zamienił z nim więcej niż kilka słów. Teraz, otrzymawszy typowe dla Lichnowsky'ego niespodziewane zaproszenie, Walter miał być obecny na nieoficjalnym spotkaniu dwóch ludzi decydujących o losach Europy. Gottfried von Kessel rozchorowałby się z zazdrości, pomyślał.

Skarcił się za małostkowość. To spotkanie będzie miało kluczowe znaczenie. W przeciwieństwie do austriackiego cesarza Grey może nie chcieć wojny. Czy będą rozmawiali o tym, jak jej zapobiec? Trudno przewidzieć, co robi Grey. Do czego się przychyli? Gdyby był przeciwny wojnie, Walter wykorzystałby każdą możliwość, żeby mu pomóc.

Na wieszaku za drzwiami miał surdut na wypadek takich nagłych spotkań jak to. Zdjął wieczorowy smoking i włożył surdut na białą kamizelkę. Wziął notatnik i razem z ambasadorem opuścili budynek.

W chłodzie wczesnego poranka przeszli przez park St James.

Walter przekazał szefowi pogłoskę o odpowiedzi Serbów. Ambasador też miał dla niego plotkę.

– Albert Ballin był wieczorem na kolacji z Winstonem Churchillem – powiedział. Ballin, zamożny niemiecki armator,

był bliskim znajomym Kaisera, pomimo żydowskiego pochodzenia. – Bardzo chciałbym wiedzieć, o czym mówili – westchnął. Najwyraźniej obawiał się, że cesarz, pomijając go, przekazuje przez Ballina wiadomości Brytyjczykom.

– Spróbuję się dowiedzieć – rzekł Walter, zadowolony, że ma możliwość wykazania się.

Weszli do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, neoklasycystycznego budynku, który przypominał Walterowi tort weselny. Zaprowadzono ich do urządzonego z przepychem gabinetu z widokiem na park. Wydawało się, że budynek mówi: My, Brytyjczycy jesteśmy najbogatszymi ludźmi na Ziemi, i możemy robić z resztą jej mieszkańców, co chcemy.

Sir Edward Grey był chudym mężczyzną o trupio bladej twarzy. Nie lubił cudzoziemców i prawie nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Zdaniem Brytyjczyków to czyniło go idealnym sekretarzem spraw zagranicznych.

– Bardzo dziękuję za przybycie – powiedział uprzejmie.

Był sam, nie licząc stenografa z notesem. Gdy tylko usiedli, przeszedł do rzeczy: – Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby uspokoić sytuację na Bałkanach.

Nadzieje Waltera wzrosły. To zabrzmiało pokojowo. Grey nie chce wojny.

Lichnowsky skinął głową. Księżę należał do pokojowej frakcji niemieckiego rządu. Wysłał do Berlina telegram nakłaniający do powstrzymania Austrii. Nie zgadzał się z ojcem Waltera i innymi osobami uważającymi, że rozpoczęcie wojny teraz będzie dla Niemiec lepsze niż później, kiedy Rosja i Francja staną się silniejsze.

– Cokolwiek robią Austriacy – ciągnął Grey – nie może być aż takim zagrożeniem dla Rosji, żeby sprowokować zbrojną odpowiedź cara.

Właśnie, pomyślał podekscytowany Walter.

Lichnowsky najwyraźniej podzielał jego punkt widzenia.

– Jeśli wolno mi tak powiedzieć, panie sekretarzu, trafił pan w sedno.

Grey nie zwrócił uwagi na komplement.

– Sugeruję, żebyśmy razem, czyli Niemcy i Wielka Brytania, poprosili Austriaków o przedłużenie terminu ultimatum. – Od-ruchowo spojrzął na wiszący na ścianie zegar. Było kilka minut po szóstej. – Zażądali odpowiedzi do osiemnastej czasu belgradzkiego. Przecież nie odmówią i dadzą Serbom jeszcze jeden dzień.

Walter był rozczarowany. Miał nadzieję, że Grey ma plan uratowania świata. Taka zwłoka niewiele da. Niczego nie zmieni. A zdaniem Waltera Austriacy są tak wojowniczy, że z łatwością mogą odrzucić tę prośbę, chociaż jest skromna. Nikt jednak nie pytał go o zdanie, a w obecności tak niebotycznie wysoko postawionych ludzi nie zamierzał odzywać się niepytany.

– Wspaniały pomysł – pochwalił Lichnowsky. – Przekażę go Berlinowi wraz z moim poparciem.

– Dziękuję – powiedział Grey. – Gdyby jednak ta próba zawiodła, mam inną propozycję.

A zatem, pomyślał Walter, Grey wcale nie jest przekonany, że Austriacy dadzą Serbii więcej czasu.

– Proponuję – ciągnął Grey – żeby Wielka Brytania, Niemcy, Włochy i Francja wspólnie podjęły mediację, spotykając się na czterostronnej konferencji, aby wypracować rozwiązanie, które zadowolą Austrię, nie zagrażając Rosji.

To już lepsze, uznał podekscytowany Walter.

– Oczywiście Austria nie zadeklarowałaby z góry, że będzie zobligowana do zastosowania się do decyzji podjętej na tej konferencji – tłumaczył Grey. – To jednak nie jest konieczne.

Przynajmniej poprosilibyśmy cesarza Austrii, żeby nie podejmował dalszych działań, dopóki nie wysłucha, co mają do powiedzenia jej

uczestnicy.

Walter się ucieszył. Trudno byłoby Austrii odrzucić plan opracowany zarówno przez sojuszników, jak i rywali.

Lichnowsky też wyglądał na zadowolonego.

– Stanowczo zarekomenduję to Berlinowi.

– To miło, że zechcieli panowie zobaczyć się ze mną tak wcześnie rano – powiedział Grey.

Lichnowsky uznał to za zakończenie rozmowy i wstał.

– Nie ma o czym mówić. Będzie pan dzisiaj w Hampshire?

Konikiem Greya było wędkarstwo muchowe oraz obserwowanie ptaków i najszcześniejszy był w swoim wiejskim domku nad rzeką Itchen w Hampshire.

– Mam nadzieję, że wieczorem. To wspaniała pogoda na ryby.

– Życzę panu spokojnej niedzieli – powiedział Lichnowsky i wyszli.

– Ci Anglicy są zdumiewający – westchnął Lichnowsky, gdy szli przez park. – Europie grozi wojna, a sekretarz spraw zagranicznych jedzie na ryby.

Walter był w doskonałym nastroju. Grey może nie wykazywał skłonności do pośpiechu, ale był pierwszą osobą, która zaproponowała jakieś rozsądne rozwiązanie. Walter był mu za to wdzięczny. Zaproszę go na nasz ślub, pomyślał, i podziękuję mu w mojej przemowie.

Kiedy wrócili do ambasady, ze zdziwieniem zobaczył swojego ojca.

Otto zaprosił Waltera do swojego gabinetu. Był tam Gottfried von Kessel. Walter natychmiast starłby się z ojcem o Maud, ale nie zamierzał rozmawiać o prywatnych sprawach w obecności von Kessela, tak więc spytał tylko:

– Kiedy tu dotarłeś?

– Kilka minut temu. Przyjechałem nocnym pociągiem i pro-mem z Paryża. Co robiłeś z ambasadorem?

– Zostaliśmy wezwani na spotkanie z sir Edwardem Greyem.

Walter z zadowoleniem zobaczył zazdrość na twarzy von Kessela.

– I co miał do powiedzenia? – chciał wiedzieć Otto.

– Zaproponował czterostronną konferencję mediacyjną w sporze Austrii z Serbią.

– Strata czasu – prychnął von Kessel.

Walter zignorował go i zwrócił się do ojca:

– Co o tym sądzisz?

Otto zmrużył oczy.

– Interesujące. Grey jest zręczny.

Walter nie potrafił ukryć entuzjazmu.

– Myślisz, że cesarz Austrii może się na to zgodzić?

– Absolutnie nie.

Walter był zdruzgotany.

– Ale dlaczego?

– Załóżmy, że taka konferencja proponuje jakieś rozwiązanie i Austria je odrzuci?

– Grey wspomniał o tym. Powiedział, że Austria nie byłaby zobligowana do akceptacji zaleceń konferencji.

Otto pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Ale co wtedy? Gdyby Niemcy wzięły udział w konferencji zalecającej pokojowe rozwiązanie, a Austria by je odrzuciła, to jak będziemy mogli poprzeć Austriaków, jeśli rozpoczną wojnę?

– Nie będziemy mogli.

– Zatem składając tę propozycję, Grey chciał wbić klin między Austrię i Niemcy.

– Och... – Walter poczuł się głupio. Nie dostrzegł tego. Jego optymizm wyparował. – Zatem nie poprzemy pokojowego planu Greya? – spytał zniechęcony.

– Na pewno nie – odparł jego ojciec.

III.

Propozycja sir Edwarda Greya nie została przyjęta i Walter i Maud obserwowali, jak z każdą godziną świat zbliża się do katastrofy.

Nazajutrz była niedziela i Walter spotkał się z Antonem. I znów wszyscy bardzo chcieli wiedzieć, co zrobią Rosjanie. Serbowie przystali na prawie wszystkie żądania Austriaków, prosząc tylko o więcej czasu na przedyskutowanie dwóch najdalej idących punktów, ale Austriacy oznajmili, że to nie do zaakceptowania, i Serbia rozpoczęła mobilizację swojej maleńkiej armii. Wojna wybuchnie, lecz czy Rosja weźmie w niej udział?

Walter poszedł do kościoła Świętego Marcina z Pól, który nie stał na polach, lecz przy Trafalgar Square, najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu w Londynie. Kościół był osiemnastowieczną budowlą w stylu palladiańskim i Walter pomyślał, że spotkania z Antonem nie tylko dostarczą mu informacji o zamiarach Rosjan, ale także uczą historii angielskiej architektury.

Wszedł po schodach i między wielkimi kolumnami do głównej nawy. Rozejrzał się niespokojnie: zawsze zachodziła obawa, że Anton się nie pojawi, a ta chwila była na to najgorszą z możliwych. Wnętrze było jasno oświetlone dzięki wielkiemu weneckiemu oknu we wschodnim końcu kościoła, więc natychmiast zauważył Antona. Z ulgą usiadł obok mściwego szpiega kilka sekund przed rozpoczęciem mszy.

Czekali z rozmową, aż wierni zaczną śpiewać.

– Rada Ministrów spotkała się w piątek – oznajmił Anton.

Walter o tym wiedział.

– Co postanowili?

– Nic. Oni tylko zalecają. To car podejmuje decyzje.

O tym Walter też wiedział. Opanował zniecierpliwienie.

– Wybacz. Co zalecili?

– Ogłosić przygotowania do mobilizacji w czterech okręgach wojskowych.

– Nie! – wykrzyknął Walter i najbliżej siedzący wierni odwrócili się i spojrzeli na nich. To wstęp do wojny. Z trudem wzięwszy się w garść, Walter zapytał: – Czy car się na to zgodził?

– Wczoraj zatwierdził tę decyzję.

– Które okręgi? – spytał Walter zrozpaczony.

– Moskiewski, kazański, odeski i kijowski.

Podczas modlitwy Walter przywołał w pamięci mapę Rosji.

Moskwa i Kazań leżą w środku tego ogromnego kraju, tysiąc i więcej mil od granic Europy, ale Odessa i Kijów na południowym wschodzie, blisko Bałkanów.

– Mobilizują wojska przeciwko Austrii – stwierdził podczas następnego psalmu.

– To nie mobilizacja, ale przygotowania do mobilizacji.

– Rozumiem, jednak wczoraj mówiliśmy o ataku Austrii na Serbię, czyli niewielkim konflikcie zbrojnym. Dzisiaj mówimy o Austrii i Rosji, czyli o wojnie w Europie.

Psalm się skończył i Walter niecierpliwie czekał na następny.

Jego matka była głęboko wierzącą protestantką i zawsze miał wyrzuty sumienia, że wykorzystuje nabożeństwa jako przykrywkę swojej tajnej działalności. Odmówił krótką modlitwę o przebaczenie.

Kiedy wierni znów zaczęli śpiewać, zapytał:

– Dlaczego tak się spieszą z tymi przygotowaniami do wojny?

Anton wzruszył ramionami.

– Generałowie mówią carowi: „Každy dzień zwłoki daje nieprzyjacielowi przewagę”. Zawsze to samo.

– Czy oni nie rozumieją, że te przygotowania zwiększają groźbę wybuchu wojny?

– Żołnierze chcą wygrywać wojny, a nie ich unikać.
Psalm się skończył, a i msza dobiegła końca. Gdy Anton wstał, Walter złapał go za rękę.
– Muszę widywać cię częściej – powiedział.
Anton wpadł w panikę.
– Już o tym rozmawialiśmy...
– Nieważne. Europa jest na krawędzi wojny. Mówisz, że Rosjanie przygotowują mobilizację w kilku okręgach. A jeśli każą się przygotować także innym okręgom? Jakie jeszcze kroki mogą poczynić? Kiedy przygotowania zmieniają się w prawdziwą mobilizację? Muszę dostawać codzienne raporty. Jeszcze lepsze byłyby co godzinę.
– Nie mogę ryzykować.
Anton próbował wyswobodzić rękę.
Walter zacisnął palce.
– Spotykajmy się w opactwie westminsterskim codziennie rano, zanim pójdziesz do ambasady. W Zakątku Poetów, w południowym transepcie. Katedra jest tak duża, że nikt nas nie zauważy.
– Nie ma mowy.
Walter westchnął. Będzie musiał użyć gróźb, czego nie lubił robić, także dlatego, że obawiał się całkowitego wycofania się szpiega. Jednak musi zaryzykować.
– Jeśli cię tam jutro nie będzie, przyjdę do twojej ambasady i zapytam o ciebie.
Anton zbladł.
– Nie zrobisz tego! Oni mnie zabiją!
– Muszę mieć te informacje! Próbuję zapobiec wojnie.
– Ja mam nadzieję, że będzie wojna – wypalił urzędnik. – Mam nadzieję, że mój kraj zostanie pokonany i zniszczony przez niemieckie wojska. – Walter spoglądał na niego ze zdumieniem. – Mam nadzieję, że car zostanie zabity, brutalnie zamordowany z całą swoją rodziną. I mam nadzieję, że wszyscy oni pójdą do piekła, na co zasługują.
Odwrócił się na pięcie i pospiesznie wyszedł z kościoła na ruchliwy Trafalgar Square.

IV.

We wtorkowe popołudnia księżniczka Bea „była w domu”. To wtedy przychodziły do niej przyjaciółki, by rozmawiać o przyjęciach, w których brały udział, i prezentować modne stroje. Maud musiała brać w tym udział, tak samo jak ciotka Herm, ponieważ obie były ubogimi krewnymi korzystającymi z hojności Fitz’a. Dzisiaj, kiedy chciała rozmawiać tylko o tym, czy będzie wojna, te rozmowy wydawały jej się szczególnie ogłupiające. Poranny pokój w rezydencji Mayfair miał nowoczesny wystrój. Bea śledziła trendy w tej dziedzinie. Dobrane kolorem bambusowe fotele i sofy ustawiono w kilku grupkach, pozostawiając między nimi dużo miejsca do chodzenia. Obicia miały spokojny blado fioletowy wzór, a dywan był jasnobrązowy. Ścian nie wytapetowano, lecz pomalowano na łagodny beż. Nie było tu wiktoriańskiej obfitości oprawionych w ramki fotografii, bibelotów, poduszek i wazonów. Nadażający za modą ludzie twierdzili, że nie ma potrzeby popisywać się zamożnością, zagracając mieszkanie. Maud się z nimi zgadzała. Bea rozmawiała z księżną Sussex, plotkując o kochance premiera, Venetii Stanley. Bea powinna się niepokoić, pomyślała Maud. Jeśli Rosja przyłączy się do wojny, jej brat, książę Andriej, będzie musiał walczyć. Jednak Bea sprawiała wrażenie bez troskiej. Prawdę mówiąc, dziś wyglądała na szczególnie radosną. Może ma kochankę? Nie było to rzadkością w wyższych sferach, gdzie wiele małżeństw aranżowano. Niektórzy ludzie potępiali cudzołożników – księżna na zawsze skreśliłaby taką kobietę ze swojej

listy gości – ale inni udawali, że o niczym nie wiedzą. Jednak Maud nie sądziła, żeby Bea była jedną z takich kobiet. • Fitz przyszedł na podwieczorek, wymknąwszy się na godzinę z Izby Lordów, a Walter zaraz po nim. Obaj wyglądali elegancko w szarych garniturach i dwurzędowych płaszczach. Mimo woli Maud oczyma duszy zobaczyła ich w mundurach. Jeśli wojna się rozszerzy, obaj będą musieli walczyć – niemal na pewno po przeciwnych stronach. Zostaną oficerami, lecz nie załatwią sobie chytrze bezpiecznego przydziału w sztabie. Zechcą poprowadzić swoich ludzi do walki. Ci dwaj mężczyźni, których kocha, być może będą musieli do siebie strzelać. Wzdrygnęła się. Nie mogła znieść tej myśli.

Maud unikała spojrzenia Waltera. Wyczuwała, że co bystrzejsze kobiety z otoczenia Bei już zauważyły, jak dużo czasu spędza na rozmowach z nim. Nie przejmowała się ich podejrzeniami – wkrótce i tak dowiedzą się prawdy – ale nie chciała, by plotki doszły do uszu Fitz'a, zanim oficjalnie go zawiadomi. Byłby urażony. Dlatego starała się nie okazywać swoich uczuć.

Fitz usiadł przy niej. Szukając tematu do rozmowy, który nie dotyczyłby Waltera, pomyślała o Ty Gwyn.

– Co się stało z tą twoją walijską gospodynią, Ethel Williams? – zagadnęła. – Znikła, a kiedy pytałam o nią innych służących, udzielali niejasnych odpowiedzi.

– Musiałem się jej pozbyć.

– Och! – Maud nie kryła zdziwienia. – Odniosłam wrażenie, że ją lubisz.

– Niespecjalnie.

Fitz wyglądał na zakłopotanego.

– Czym zasłużyła sobie na twoje niezadowolenie?

– Poniosła konsekwencje grzechu.

– Fitz, nie bądź pompatyczny! – Maud się roześmiała. –

Chcesz powiedzieć, że zaszła w ciążę?

– Mów ciszej, proszę. Wiesz, jaka jest księżna.

– Biedna Williams. Kto jest ojcem?

– Moja droga, czy sądzisz, że o to pytałem?

– Nie, oczywiście, że nie. Mam nadzieję, że będzie „trwał przy niej”, jak to mówią.

– Nie mam pojęcia. Na litość boską, to służąca.

– Zwykle nie jesteś taki nieczuły wobec służby.

– Nie należy nagradzać niemoralnego zachowania.

– Lubiłam ją. Była inteligentniejsza i bardziej interesująca niż większość kobiet z towarzystwa.

– Nie mów głupstw.

Maud zamilkła. Z jakiegoś powodu Fitz udaje, że nie dba o Williams. Jednak nigdy nie lubił się tłumaczyć i nie ma sensu go naciskać.

Podszedł do nich Walter, balansując trzymanymi w jednej ręce spodkiem, filiżanką i talerzykiem z ciastem. Uśmiechnął się do Maud, ale zagadnął Fitz'a:

– Znasz Churchilla, prawda?

– Małego Winstona? Oczywiście. Początkowo należał do mojej partii, ale przeszedł do liberałów. Sądzę, że w głębi serca nadal jest konserwatystą.

– W ostatni piątek jadł obiad z Albertem Ballinem. Bardzo chciałbym wiedzieć, co Ballin miał do powiedzenia.

– Mogę cię oświecić. Winston mówił o tym wszystkim. Ballin powiedział, że jeśli dojdzie do wojny i Wielka Brytania nie weźmie w niej udziału, Niemcy obiecują zostawić Francję nietkniętą, nie zabierając żadnych jej terytoriów, nie tak jak ostatnim razem, kiedy zagarnęli Alzację i Lotaryngię.

– Dziękuję. Próbowałem się tego dowiedzieć od kilku dni. – Walter był wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Twoja ambasada o tym nie wie?

– Najwyraźniej ta wiadomość miała ominąć normalne dyp-

lomatyczne kanały.

Maud była zaintrygowana. To wydawało się rozwiązaniem dającym nadzieję, że Wielka Brytania nie uwikła się w żadną wojnę w Europie. Może jednak Fitz i Walter nie będą musieli do siebie strzelać.

– Jak zareagował Winston? – zapytała.

– Wymijająco – odparł Fitz. – Powtórzył całą rozmowę członkom gabinetu, ale nie dyskutowano nad tą propozycją.

Maud już miała z oburzeniem spytać dlaczego, gdy wszedł Robert von Ulrich, bardzo przejęty, jakby właśnie dowiedział się o śmierci ukochanej osoby.

– Wielkie nieba, co się dzieje z Robertem? – zapytała Maud, gdy ukłonił się Bei.

Odwrócił się, by oznajmić nowinę wszystkim obecnym w salonie:

– Austria wypowiedziała wojnę Serbii.

Przez moment Maud miała wrażenie, że czas się zatrzymał.

Nikt się nie poruszał, nikt nic nie mówił. Patrzyła na usta Roberta pod podkreconymi wargami, pragnąc, by te słowa nigdy nie padły.

Zegar na kominku wybił równą godzinę i w pokoju rozległ się szmer konsternacji.

Miała łzy w oczach. Walter podał jej starannie złożoną białą lnianą chusteczkę.

– Będziesz musiał walczyć – powiedziała Maud do Roberta.

– Z całą pewnością – odparł.

Powiedział to, jakby stwierdzał oczywisty fakt, ale wyglądał na wystraszonego.

Fitz wstał.

– Lepiej wróć do Izby Lordów i dowiem się, co się dzieje.

Kilka innych osób również opuściło salon. W ogólnym zamieszaniu Walter odezwał się cicho do Maud:

– Propozycja Alberta Ballina nagle stała się dziesięć razy ważniejsza.

Maud też była tego zdania.

– Czy możemy coś zrobić?

– Muszę wiedzieć, co naprawdę myśli o niej brytyjski rząd.

– Spróbuję się dowiedzieć.

Była zadowolona, że ma okazję coś zrobić.

– Muszę wracać do ambasady.

Maud patrzyła, jak Walter odchodzi. Żałowała, że nie może pocałować go na pożegnanie. Większość gości wyszła i Maud wymknęła się na górę do swojego pokoju. Zdjęła suknię i położyła się. Na myśl o tym, że Walter pójdzie na wojnę, wybuchła bezradnym łkaniem. Płakała, aż w końcu zasnęła.

Kiedy się obudziła, był już czas, żeby wyjść. Została zaproszona na wieczorek muzyczny do lady Glenconner. Miała ochotę zostać w domu, ale przyszło jej do głowy, że w domu Glenconnerów spotka pewnie paru ministrów lub innych członków rządu. Może dowie się czegoś użytecznego dla Waltera. Wstała i ubrała się.

Razem z ciotką Herm pojechały powozem Fitz'a przez Hyde Park do Queen Anne's Gate, gdzie mieszkali Glenconnerowie.

Wśród gości był znajomy Maud, Johnny Remarc, wiceminister w Ministerstwie Wojny, lecz – co ważniejsze – także sam sir Edward Grey. Postanowiła porozmawiać z nim o Albercie Ballinie.

Zanim Maud zdążyła to zrobić, zaczęła grać muzyka, więc usiadła, by posłuchać. Campbell Macinnes śpiewał wybrane utwory Haendla – niemieckiego kompozytora, który przez większość życia mieszkał w Londynie, kwaśno pomyślała Maud.

W czasie recitalu ukradkiem obserwowała sir Edwarda. Nie specjalnie go lubiła. Należał do politycznej grupy zwanej liberalnymi imperialistami, zrzeszającej bardziej tradycjonalistycznych i konserwatywnych niż większość członków partii. Mimo to trochę mu współczuła. Nigdy nie był wesoły, lecz tego wieczoru jego trupio blada twarz miała popielatoszary odcień, jakby dźwigał na

ramionach ciężar całego świata. Bo tak było.

Macinnes śpiewał ładnie i Maud pomyślała z żalem, że Walter słuchałby go z przyjemnością, gdyby nie był zajęty i mógł przyjść. Gdy tylko muzyka ucichła, Maud dopadła sekretarza spraw zagranicznych.

– Pan Churchill mówił mi, że przekazał panu interesującą wiadomość od Alberta Ballina – zagała. Zobaczyła, że Grey zeszytniał, ale brnęła dalej: – Jeśli nie weźmiemy udziału w wojnie w Europie, Niemcy obiecują nie zagarnąć żadnego francuskiego terytorium.

– Coś w tym rodzaju – rzekł Grey chłodno.

Widocznie poruszyła nieprzyjemny temat. Etykieta wymagała, żeby natychmiast go porzucić, jednak to nie były tylko dyplomatyczne manewry: chodziło o to, czy Fitz i Walter będą musieli iść na wojnę. Maud nie rezygnowała.

– Rozumiem, że naszą największą troską jest to, by równowaga w Europie nie została zachwiana, i wyobrażałam sobie, że propozycja pana Ballina mogłaby nas usatysfakcjonować. Czy się mylę?

– Z całą pewnością tak. To niechlubna propozycja.

Powiedział to niemal z odrazą.

Maud była załamana. Jak mógł odrzucić taką ofertę? Przecież dawała odrobinę nadziei!

– Zechciałby pan wyjaśnić kobiecie, która nie ogarnia takich spraw tak szybko jak pan, dlaczego mówi pan to tak zdecydowanie?

– Gdybyśmy posłuchali sugestii Ballina, otworzylibyśmy Niemcom drogę do inwazji na Francję. Stalibyśmy się współwinni. Byłaby to zwyczajna zdrada.

– Ach, rozumiem. To tak, jakby ktoś powiedział: „Zamierzam włamać się do twojego sąsiada, ale jeśli będziesz stał z boku i nie przeszkadzał, obiecuję nie spalić także twojego domu”. Czy tak? Grey nieco złagodniał.

– Dobra analogia – rzekł z cieniem uśmiechu na ustach. – Wykorzystam ją.

– Dziękuję. – Maud była bardzo rozczarowana i wiedziała, że to widać, ale nic nie mogła na to poradzić. – Niestety, to stawia nas niebezpiecznie blisko wojny – dodała ponuro.

– Obawiam się, że tak.

V.

Jak większość parlamentów na świecie, brytyjski składał się z dwóch izb. Fitz był członkiem Izby Lordów, do której należeli arystokraci, biskupi i starsi sędziowie. W skład Izby Gmin wchodziłi wybierani reprezentanci, znani jako członkowie parlamentu, czyli MP. Obie izby spotykały się w pałacu westminsterskim, funkcjonalnym wiktoriańskim budynku z wieżą zegarową. Zegar nazywano Big Ben, aczkolwiek Fitz lubił przypominać, że tak naprawdę to nazwa samego wielkiego dzwonu.

Gdy Big Ben wybił dwunastą w południe w środę dwudziestego dziewiątego lipca, Fitz i Walter zamówili po kieliszku sherry przed lunchem, siedząc na tarasie nad śmierdzącą Tamizą. Fitz jak zawsze z satysfakcją spoglądał na pałac: był okazały i solidny, jak imperium rządzone z jego korytarzy i komnat. Ten budynek sprawiał wrażenie, że może stać tak tysiąc lat – tylko czy imperium tak długo przetrwa? Fitz drżał na myśl o wszystkich zagrożeniach: podżegających tłumy unionistach, strajkujących górnikach, niemieckim cesarzu, Partii Pracy, Irlandczykach i wojujących feministkach, do których należy nawet jego siostra.

Nie wypowiadał jednak na głos tych ponurych myśli, szczególnie że jego gość był cudzoziemcem.

– To miejsce jest jak klub – powiedział beztrąsko. – Są

tam bary, jadalnie oraz bardzo dobra biblioteka, i wpuszczają tylko odpowiednich ludzi. – Właśnie w tym momencie przeszedł obok nich laburzystowski poseł z kolegą z Partii Liberalnej, a Fitz dodał: – Chociaż czasem hołocie uda się ominąć portiera.

Walter chciał jak najprędzej podzielić się najnowszymi wiadomościami.

– Słyszałeś? Kaiser wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Fitz o niczym nie słyszał.

– Jakiego rodzaju?

– Mówi, że serbska odpowiedź nie daje dalszych powodów do wojny i Austriacy muszą zatrzymać się w Belgradzie.

Fitz podejrzliwie podchodził do planów pokojowych. Przede wszystkim zależało mu na tym, aby Wielka Brytania zachowała pozycję najpotężniejszego mocarstwa na świecie. Obawiał się, że rząd liberałów może ją utracić z powodu głupiego przekonania, iż wszystkie narody są jednakowo suwerenne. Sir Edward Grey był dość rozsądny, ale mógł zostać usunięty przez lewe skrzydło swojej partii – najprawdopodobniej kierowane przez Lloyda George'a – a wtedy wszystko może się zdarzyć.

– Zatrzymać się w Belgradzie – powtórzył w zadumie.

Stolica Serbii leży blisko granicy, aby ją zająć, austriacka armia musiałaby wejść tylko na milę w głąb serbskiego terytorium. Może udałoby się przekonać Rosjan, aby uznali to za policyjną akcję, która im nie zagraża. – Ciekawe...

Fitz nie chciał wojny, ale jakaś część jego podświadomości cieszyła taka możliwość. Miałby okazję dowieść swojej odwagi. Jego ojciec odznaczył się w akcjach na morzu, lecz Fitz nigdy nie widział bitwy. Są rzeczy, które człowiek musi robić, zanim będzie mógł nazywać się prawdziwym mężczyzną, a wojowanie za króla i ojczyznę jest jedną z nich.

Podszedł do nich posłaniec w dworskim stroju: krótkich spodniach z aksamitu i białych jedwabnych pończochach.

– Dzień dobry, panie hrabio – powiedziała. – Pańscy goście przybyli i poszli prosto do jadalni.

– Dlaczego każecie im się tak ubierać? – zapytał Walter, kiedy posłaniec odszedł.

– Tradycja – uciał Fitz.

Opróżnili kieliszki i weszli do budynku. Podłoga w korytarzu wyłożona była grubym czerwonym dywanem, a ściany boazerią z płóciennymi wstawkami. Gdy znaleźli się w Jadalni Parów, Maud i ciotka Herm już siedziały przy stoliku.

Ten lunch był pomysłem Maud. Powiedziała, że Walter jeszcze nigdy nie był w tym pałacu. Gdy się uklonił, a Maud ciepło się do niego uśmiechnęła, Fitzowi przemknęła przez głowę dziwna myśl: czy między nimi coś jest? Nie, to śmieszne. Oczywiście Maud jest zdolna do wszystkiego, ale Walter zbyt rozsądny, aby brać pod uwagę angielsko-niemieckie małżeństwo w tak niespokojnych czasach. Są przecież jak brat i siostra.

– Byłam dziś rano w twojej przychodni dla dzieci, Fitz – powiedziała Maud, kiedy usiedli.

Uniósł brwi.

– To moja przychodnia?

– Ty za nią płacisz.

– O ile pamiętam, to ty powiedziałaś mi, że na East Endzie powinna być przychodnia dla samotnych matek i ich dzieci, a ja odpowiedziałem, że istotnie, i zanim się zorientowałem, już zacząłem otrzymywać rachunki.

– Jesteś taki hojny.

Fitz nie miał nic przeciwko temu. Człowiek z jego pozycją powinienłożyć na działalność charytatywną i dobrze jest mieć Maud, która wszystkim się zajmuje. Nie rozgłaszał faktu, że większość tych matek nie ma i nigdy nie miała mężów. Nie chciał rozgniewać swojej ciotki, księżnej.

– Nigdy nie zgadniesz, kto tam przyszedł dziś rano – ciągnęła Maud. – Williams, gospodyni z Ty Gwyn. – Fitz zdrętwiał. Maud dodała wesoło: – A zeszłego wieczoru o niej rozmawialiśmy!

Fitz próbował zachować kamienny wyraz twarzy. Maud, jak większość kobiet, doskonale potrafiła czytać w jego myślach. Nie chciał, by zaczęła podejrzewać, jak głęboko zaangażowany był w związek z Ethel. To zbyt zawstydzające.

Wiedział, że Ethel jest w Londynie. Znalazła dom w Aldgate i Fitz polecił Solmanowi kupić go w jej imieniu. Fitz bał się kłopotliwego spotkania z Ethel na ulicy, tymczasem to Maud się na nią natknęła.

Po co przyszła do przychodni? Miał nadzieję, że wszystko u niej w porządku.

– Chyba nie jest chora? – Starał się, by nie zabrzmiało to jak coś więcej niż uprzejme zapytanie.

– Nic poważnego – powiedziała Maud.

Fitz wiedział, że ciężarne kobiety cierpią na różne dolegliwości. Bea trochę krwawiła i była zaniepokojona, ale doktor Wallace powiedział, że często się tak zdarza w pierwszym trymestrze i zwykle nie oznacza niczego złego, jednak nie powinna się przemęczać – co w przypadku Bei było raczej mało prawdopodobne.

– Pamiętam Williams – odezwał się Walter. – Kręczone włosy i zuchwały uśmiech. Kto jest jej mężem?

– Lokaj, który kilka miesięcy temu odwiedził Ty Gwyn ze swoim panem – odrzekła Maud. – Nazywa się Teddy Williams.

Fitz lekko poczerwieniał. A więc nazwała swojego fikcyjnego męża Teddy! Żałował, że Maud ją spotkała. Chciał zapomnieć o Ethel. Ona jednak, jak widać, nie zamierza zniknąć. Chcąc ukryć zmieszanie, udał, że rozgląda się za kelnerem.

Powiedział sobie, że nie powinien być taki przewrażliwiony.

Ethel jest służącą, a on hrabią. Mężczyźni na stanowiskach zawsze korzystają z okazji. Podobne rzeczy dzieją się od setek lat, może nawet tysiący. Taki sentymentalizm to głupota.

Zmienił temat, powtarzając paniom przyniesioną przez Waltera wiadomość o reakcji cesarza Niemiec.

– Ja też to słyszałam – powiedziała Maud. – Wielkie nieba, mam nadzieję, że Austriacy posłuchają – dodała żarliwie.

Fitz uniósł brew.

– Dlaczego tak cię to ekscytuje?

– Nie chcę, żeby do ciebie strzelali! I nie chcę, żeby Walter był naszym wrogiem.

Przy ostatnich słowach jej głos lekko się załamał. Kobiety są takie uczuciowe.

– Może przypadkiem wiesz, jak propozycja Kaisera została przyjęta przez Asquitha i Greya? – zapytał Walter.

Maud się opanowała.

– Grey mówi, że w połączeniu z jego propozycją konferencji czterech mocarstw może zapobiec wojnie.

– Wspaniale! – wykrzyknął Walter. – Taką miałem nadzieję.

Był chłopięco rozradowany i wyraz jego twarzy przypomniał Fitzowi ich szkolne czasy. Walter wyglądał tak, kiedy zdobył pierwszą nagrodę w szkolnym konkursie muzycznym.

– Wiecie, że ta okropna madame Caillaux została uniewinniona? – ciotka Herm zmieniła temat.

– Uniewinniona? – zdziwił się Fitz. – Przecież zabiła człowieka! Poszła do sklepu, kupiła broń, załadowała ją, pojechała do redakcji „Le Figaro”, poprosiła o spotkanie z redaktorem i go zastrzeliła. Jak może być niewinna?

– Powiedziała: „Broń czasem sama strzela” – zacytowała ciotka Herm. – Naprawdę!

Maud się roześmiała.

- Widocznie spodobała się sądowi - uznał Fitz. Był zły na Maud za ten śmiech. Kapryśni sędziowie są zagrożeniem dla społeczeństwa. Nie powinno się tak lekko traktować morderstwa. - Jakie to francuskie - dodał z niesmakiem.
- Ja podziwiam madame Caillaux - oznajmiła Maud.
- Jak możesz tak mówić o morderczynie? - prychnął Fitz z dezaprobatą.
- Myślę, że ludzie powinni częściej strzelać do redaktorów gazet. To mogłoby podnieść poziom prasy.

VI.

Następnego dnia, w czwartek, kiedy Walter poszedł na spotkanie z Robertem, był pełen nadziei.

Kaiser wahał się, pomimo nacisków takich ludzi jak Otto. Minister do spraw wojny, Erich von Falkenhayn, zażądał ogłoszenia Zustand drohender Kriegsgefahr, przygotowań, które w istocie rozpoczęłyby wojnę. Cesarz jednak odmówił, wierząc, że można uniknąć światowego konfliktu, jeśli Austriacy zatrzymają się w Belgradzie. A kiedy car Rosji zarządził mobilizację swych wojsk, Wilhelm wysłał do niego prywatny telegram, prosząc o ponowne rozważenie tej decyzji.

Ci dwaj monarchowie byli kuzynami. Matka cesarza i teściowa cara były siostrami, córkami królowej Wiktorii. Cesarz i car porozumiewali się po angielsku i mówili do siebie per „Nicky” i „Willy”. Car Mikołaj przejął się telegramem Willy'ego i cofnął rozkaz mobilizacji.

Gdyby tylko obaj stanowczo trwali przy swoim, przyszłość mogłaby wyglądać jaśniej dla Waltera i Maud oraz milionów innych ludzi, chcących żyć w pokoju.

Ambasada Austrii była jednym z najbardziej imponujących budynków przy prestiżowym Belgrave Square. Waltera zaprowadzono do gabinetu Roberta. Zawsze wymieniali się nowinami. Nie mieli powodu, żeby tego nie robić: ich kraje były sojusznikami.

- Cesarz chyba postanowił wprowadzić w życie swój plan zatrzymania Austrii w Belgradzie - zaczął Walter, usiadłszy. - Wtedy można będzie rozwiązać wszystkie pozostałe kwestie. Robert nie podzielał jego optymizmu.

- To się nie uda.

- Dlaczego miałoby się nie udać?

- Nie chcemy zatrzymywać się w Belgradzie.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Walter. - Jesteś pewny?

- Ministrowie w Wiedniu będą o tym dyskutowali jutro rano, ale obawiam się, że rezultat jest łatwy do przewidzenia. Nie możemy zatrzymać się w Belgradzie bez rosyjskich gwarancji.

- Gwarancji? - z oburzeniem powtórzył Walter. - Musicie wstrzymać działania wojenne i zacząć rozmawiać o problemach. Nie możecie najpierw domagać się gwarancji!

- Obawiam się, że my tak tego nie widzimy - nadał się Robert.

- Przecież jesteśmy waszymi sojusznikami. Jak możecie odrzucać nasz plan pokojowy?

- To proste. Zastanów się. Co możecie zrobić? Jeśli Rosja ogłosi mobilizację, zagrożą to wam, więc też będziecie musieli rozpocząć mobilizację.

Walter już miał zaprotestować, ale zrozumiał, że Robert ma rację. Zmobilizowana rosyjska armia jest zbyt dużym zagrożeniem. Robert w bezlitośnie logiczny sposób kontynuował swój wywód:

- Musicie walczyć po naszej stronie, czy tego chcecie, czy nie. - Zrobił przepraszającą minę. - Wybacz mi, jeśli to zabrzmiało arogancko. Ja tylko stwierdzam fakty.

– Do diabła – jęknął Walter. Chciało mu się płakać. Kurczowo trzymał się nadziei, lecz ponure słowa Roberta ją rozwiały. – To wszystko idzie w złym kierunku, prawda? Ci, którzy chcą pokoju, przegrają.

Robert nagle posmutniał i dodał zupełnie innym tonem:

– Wiedziałem o tym od początku. Austria musi zaatakować.

Do tej pory Robert mówił o tej kwestii z entuzjazmem. Skąd ta zmiana?

– Może będziesz musiał opuścić Londyn – ostrożnie sondował Walter.

– Ty też.

Walter pokiwał głową. Jeśli Wielka Brytania weźmie udział w wojnie, cały personel ambasad Austrii i Niemiec będzie musiał szybko wrócić do domu.

– Czy jest ktoś... za kim szczególnie będziesz tęsknił? – spytał cicho.

Robert pokiwał głową. Miał łzy w oczach.

Walter zaryzykował:

– Lord Remarc?

– Czy to takie oczywiste? – Robert zaśmiał się ponuro.

– Tylko dla kogoś, kto cię zna.

– Johnny i ja sądziliśmy, że jesteśmy dyskretni. – Z przygnębieniem pokręcił głową. – Ty przynajmniej możesz poślubić Maud.

– Chciałbym móc.

– Dlaczego nie?

– Małżeństwo Niemca z Angielką, kiedy nasze kraje toczą wojnę? Odwróciliby się od niej wszyscy znajomi. Ode mnie też. Nie dbam o siebie, ale nie mógłbym skazać jej na taki los.

– Zróbcie to w tajemnicy.

– W Londynie?

– Pobierzcie się w Chelsea. Tam nikt was nie zna.

– Czy nie trzeba mieć stałego pobytu?

– Musisz tylko pokazać kopertę ze swoim nazwiskiem i adresem. Ja mieszkam w Chelsea, mogę dać ci list zaadresowany do pana von Ulricha. – Poszperał w szufladzie biurka. – O, masz. Rachunek od mojego krawca zaadresowany do Von Ulricha, Esquire. Oni myślą, że Von to moje imię.

– Boję się, że mam mało czasu.

– Możesz dostać specjalne pozwolenie.

– O mój Boże. – Walter był oszołomiony. – Oczywiście, masz rację. Mogę.

– Musisz tylko pójść do ratusza.

– Tak.

– Mam cię tam zaprowadzić?

Walter zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, proszę.

VII.

– Generałowie wygrali – powiedział Anton, stojąc przed grobowcem Edwarda Wyznawcy w opactwie westminsterskim w piątek trzydziestego pierwszego lipca. – Wczoraj po południu car zmienił zdanie. Rosjanie zbierają armię.

To było jak wyrok śmierci. Serce Waltera zmroził chłód.

– To początek końca – ciągnął Anton i Walter zobaczył w jego oczach mściwy błysk. – Rosjanie myślą, że są silni, ponieważ ich armia jest największa na świecie. Jednak mają nieudolnych dowódców. To będzie Armagedon.

Już po raz drugi w tym tygodniu Walter słyszał to słowo. Tym razem wiedział jednak, że jest trafne. Za kilka tygodni rosyjska sześciomilionowa – sześciomilionowa! – armia stanie na granicach Niemiec i Węgier. Żaden europejski przywódca nie może zignorować takiego zagrożenia. Niemcy będą musiały ogłosić

mobilizację – Kaiser nie ma teraz innego wyjścia.

Walter już nic więcej nie może zrobić. W Berlinie naczelne dowództwo nalegało, by rozpocząć mobilizację, a kanclerz Theobald von Bethmann-Hollweg obiecał podjąć decyzję do południa dzisiejszego dnia. Wiadomość Antona oznacza, że decyzja może być tylko jedna.

Walter musi natychmiast powiadomić Berlin. Zostawił Antona i wyszedł z katedry. Najszybciej jak mógł, przeszedł przez Storey's Gate, truchtem przemknął przez wschodni kraniec parku St James's, wbiegł po schodach pomnika księcia Yorku i do ambasady Niemiec. Drzwi gabinetu ambasadora były otwarte. Książę Lichnowsky siedział za biurkiem, a Otto stał obok niego. Gottfried von Kessel rozmawiał przez telefon. W pokoju było kilkanaście innych osób, a urzędnicy co chwila wbiegali i wybiegali.

Zasapany Walter zwrócił się do ojca:

– Co się dzieje?

– Berlin właśnie otrzymał kablogram z naszej ambasady w Sankt Petersburgu, z krótką wiadomością: Pierwszy dzień mobilizacji trzydziestego pierwszego lipca. Berlin próbuje potwierdzić ten raport.

– Co robi von Kessel?

– Utrzymuje łączność z Berlinem, żebyśmy mogli natychmiast się dowiedzieć.

Walter odetchnął głęboko i podszedł do biurka.

– Wasza Wysokość – odezwał się do księcia Lichnowsky'ego.

– Tak?

– Mogę potwierdzić mobilizację Rosjan. Mój informator powiedział mi o niej niecałą godzinę temu.

– Dobrze.

Lichnowsky sięgnął po słuchawkę telefonu.

Walter spojrzął na zegarek. Za dziesięć jedenasta – w Berlinie dochodzi dwunasta, godzina, o której kanclerz ma podjąć decyzję.

– Rosyjska mobilizacja została potwierdzona przez tutejsze wiarygodne źródło – powiedział Lichnowsky do telefonu.

Słuchał przez chwilę. W gabinecie zapadła cisza. Nikt się nawet nie ruszał.

– Tak. Rozumiem. Bardzo dobrze.

Lichnowsky odłożył słuchawkę z trzaskiem, który zabrzmiał jak huk gromu.

– Kanclerz podjął decyzję. – Powtórzył słowa, których tak obawiał się Walter: – Zustand drohender Kriegsgefahr. Rozpocząć przygotowania do wojny.

ROZDZIAŁ 10

1 - 3 sierpnia 1914 roku

i.

Maud szalała z niepokoju. W sobotnie popołudnie siedziała w śniadaniowej sali rezydencji May fair, lecz nic nie jadła. Przez wysokie okna wpadało letnie słońce. Pokój miał stonowany wystrój – perskie dywany, ściany pomalowane na blady, zielonożółty kolor, bladoniebieskie zasłony – lecz nic nie mogło jej uspokoić. Nadciąga wojna i najwyraźniej nikt nie może tego powstrzymać: ani Kaiser, ani car, ani sir Edward Grey.

Weszła Bea w cienkiej letniej sukni i koronkowym szalu.

Kamerdyner Grout, w białych rękawiczkach, nalał jej kawę, a ona wzięła z patery brzoskwinie.

Maud trzymała w ręku gazetę, ale nie była w stanie przeczytać nic poza nagłówkami, zbyt wzburzona, by się skupić. Rzuciła

gazetę na podłogę. Grout podniósł ją i równo złożył.

– Proszę się nie martwić, jasnie pani – powiedział. –

Spuścimy Niemcom lanie, jeśli będzie trzeba.

Przeszyła go gniewnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała.

Spieranie się ze służącymi to głupota – w końcu zawsze ulegle przyznają ci rację.

Ciotka Herm taktownie pozbyła się kamerdynera.

– Jestem pewna, że masz rację, Grout – powiedziała. –

Przynieś jeszcze kilka ciepłych bułeczek, dobrze?

Wszedł Fitz. Zapytał Beę, jak się czuje, a ona wzruszyła ramionami. Maud wyczuła, że w ich relacjach coś się zmieniło, ale była zbyt rozkojarzona, żeby się nad tym zastanawiać.

– Co się stało wczoraj wieczorem? – natychmiast zapytała Fitz.

Wiedziała, że był na spotkaniu z czołowymi przedstawicielami Partii Konserwatystów w wiejskiej rezydencji zwanej Wargrave.

– F.E. przybył z wiadomością od Winstona. – F.E. Smith,

poseł konserwatystów, był przyjacielem liberalnego Winstona Churchilla. – Zaproponował koalicyjny rząd liberalno-konserwatywny.

Maud była zaszokowana. Zwykle wiedziała, co się dzieje

w kręgach liberałów, ale premier Asquith trzymał to w tajemnicy.

– Oburzające! – wykrzyknęła. – To zwiększa prawdopodobieństwo wojny.

Z irytującym spokojem Fitz wziął kilka kiełbasek z podgrzewacza stojącego na bocznym stoliku.

– Lewe skrzydło Partii Liberalnej jest niewiele lepsze od pacyfistów. Sądzę, że Asquith obawia się, iż spróbują związać mu ręce. Jednak nie ma dostatecznego poparcia w swojej partii, żeby ich przegłosować. Do kogo może zwrócić się o pomoc? Tylko do konserwatystów. Stąd propozycja koalicji.

Tego Maud się obawiała.

– Co na tę propozycję powiedział Bonar Law?

Andrew Bonar Law był przywódcą konserwatystów.

– Odrzucił ją.

– Dzięki Bogu.

– A ja go poparłem.

– Dlaczego? Nie chcesz, by Bonar Law zasiadał w rządzie?

– Liczę na coś więcej. Jeżeli Asquith chce wojny, a Lloyd George poprowadzi lewicowych buntowników, liberałowie będą zbyt podzieleni, żeby rządzić. Co się wtedy stanie? My, konserwatyści, będziemy musieli przejąć władzę. I Bonar Law zostanie premierem.

– Widzisz, jak wszystko zmierza do wojny? – gniewnie rzuciła Maud. – Asquith pragnie koalicji z konserwatystami, ponieważ są bardziej agresywni. Jeśli Lloyd George pokieruje buntem przeciwko Asquithowi, konserwatyści i tak przejmą władzę. Wszyscy walczą o stołki zamiast o pokój!

– A co u ciebie? – zainteresował się Fitz. – Byłaś wczoraj wieczorem w Halkyn House?

Dom hrabiego Beauchampa był główną kwaterą zwolenników pokoju.

Maud się rozpromieniła. Jest jeszcze promyk nadziei.

– Asquith zwołał posiedzenie gabinetu na dziś rano. –

W sobotę było to czymś niezwykłym. – Morley i Burns chcą deklaracji, że Wielka Brytania w żadnym wypadku nie będzie walczyła z Niemcami.

Fitz pokręcił głową.

– Nie mogą w ten sposób przesądzać sprawy. Grey podałby się do dymisji.

– Grey wiesznie grozi, że poda się do dymisji, ale tego nie robi.

– Mimo to nie można ryzykować rozpadu gabinetu, kiedy moje ugrupowanie tylko na to czeka, rwąc się do władzy.

Maud wiedziała, że Fitz ma rację. Chciało jej się krzyknąć ze złości.

Bea upuściła nóż i jęknęła dziwnie.

– Wszystko w porządku, moja droga? – zaniepokoił się Fitz.

Wstała, trzymając się za brzuch. Była blada.

– Przepraszam – wykrztusiła i wybiegła z pokoju.

Maud wstała zatroskana.

– Lepiej do niej pójde.

– Ja pójde – powiedział Fitz, co ją zaskoczyło. – Ty dokończ śniadanie.

Ciekawość nie pozwoliła Maud na tym poprzestać.

– Czy Bea ma poranne mdłości? – zapytała, gdy Fitz szedł do drzwi.

Przystanął w progu.

– Nie mów nikomu – poprosił.

– Gratulacje. Bardzo się cieszę.

– Dziękuję.

– Jednak to dziecko... – Głos uwiązł jej w gardle.

– Och! – wykrzyknęła ciotka Herm, zrozumiawszy, o co chodzi. – Cudownie!

– Jednak to dziecko urodzi się w świecie ogarniętym wojną – dokończyła z wysiłkiem Maud.

– O rety – sapnęła ciotka Herm. – O tym nie pomyślałam.

Fitz wzruszył ramionami.

– Noworodkowi nie robi to różnicy.

Maud była bliska łez.

– Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

– W styczniu. Dlaczego tak się denerwujesz?

– Fitz... – Maud się rozplakała. – Fitz, czy będziesz jeszcze wtedy żył?

II.

W sobotni rano w ambasadzie Niemiec trwały gorączkowe przygotowania. Walter był w gabinecie ambasadora, odbierając telefony, przynosząc telegramy i robiąc notatki. Byłyby to najbardziej ekscytujące chwile w jego życiu, gdyby tak bardzo nie niepokoił się o swoją przyszłość z Maud. Nie mógł cieszyć się z tego, że bierze udział w międzynarodowej grze sił, ponieważ dręczyła go obawa, iż wojna uczyni wrogów z niego i kobiety, którą kocha.

Skończyły się przyjacielskie depesze między Willym a Nickym. Poprzedniego dnia po południu niemiecki rząd wysłał Rosjanom zimne ultimatum, dając im dwanaście godzin na wstrzymanie mobilizacji ogromnej armii.

Ten termin minął bez odpowiedzi z Sankt Petersburga.

Mimo to Walter nadal wierzył, że wojna obejmie tylko wschodnią Europę, a Niemcy i Wielka Brytania pozostaną przyjaciółmi.

Ambasador Lichnowsky podzielał jego optymizm. Nawet Asquith powiedział, że Francja i Wielka Brytania mogą pozostać widzami.

W końcu oba te kraje niewiele obchodzi przyszłość Serbii i Bałkanów.

Kluczem jest Francja. Poprzedniego dnia po południu Berlin wysłał drugie ultimatum, tym razem do Paryża, prosząc Francuzów o ogłoszenie neutralności. Nadzieja na to była niewielka, lecz Walter rozpaczliwie się jej trzymał. Termin ultimatum upływał w południe. Tymczasem szef sztabu, Joseph Joffre, zażądał natychmiastowej mobilizacji francuskiej armii i tego ranka zbierał się gabinet, żeby podjąć decyzję w tej sprawie. Jak w każdym kraju, ponuro rozmyślał Walter, oficerowie domagają się od swoich politycznych przywódców, żeby poczynili kroki zmierzające do rozpoczęcia wojny.

Niestety, trudno odgadnąć, jaka będzie decyzja Francuzów.

Za piętnaście jedenasta, siedemdziesiąt pięć minut przed upływem terminu ultimatum dla Francji, Lichnowsky'emu złożył nieoczekiwaną wizytę sir William Tyrell. Ten wpływowi urzędnik z długoletnim doświadczeniem w polityce zagranicznej był osobistym sekretarzem sir Edwarda Greya. Walter natychmiast zaprowadził go do gabinetu ambasadora. Lichnowsky gestem ręki dał znak Walterowi, żeby został.

Tyrell mówił po niemiecku.

– Sekretarz spraw zagranicznych poprosił mnie o przekazanie wiadomości, że w rezultacie właśnie odbywającej się narady ministrów może będzie mógł wydać pewne oświadczenie.

Tyrell najwyraźniej wygłaszał wcześniej przygotowaną przemowę i jego niemczyzna była doskonała, a mimo to Walter nie zrozumiał znaczenia tych słów. Zerknął na Lichnowsky'ego i zobaczył, że on także jest zakłopotany.

– Oświadczenie, które może okazać się pomocne w zapobieżeniu potwornej katastrofie – dodał Tyrell.

Te słowa były niejasne, ale budziły nadzieję. Walter miał ochotę krzyknąć: „Do rzeczy!”.

Lichnowsky odpowiedział w równie formalny i dyplomatyczny sposób:

– Czy może pan zasugerować, co byłoby tematem tego oświadczenia, sir Williamie?

Na miłość boską, pomyślał Walter, przecież rozmawiamy o życiu i śmierci!

Urzędnik odpowiedział, starannie dobierając słowa:

– Być może, gdyby Niemcy powstrzymały się od ataku na Francję, wówczas Francja i Wielka Brytania mogłyby rozważyć, czy istotnie są zobowiązane uczestniczyć w konflikcie we wschodniej Europie.

Walter był tak zaskoczony, że upuścił długopis. Francja i Wielka Brytania niebiorące udziału w wojnie – tego właśnie pragnął! Spojrzał na Lichnowsky'ego. Ambasador także wyglądał na zdziwionego i uradowanego.

– To bardzo obiecujące – uznał.

Tyrell uniósł ostrzegawczo rękę.

– Proszę zrozumieć, że nie składam żadnych obietnic.

Doskonale, pomyślał Walter, ale też nie przyszedłeś tutaj na towarzyską pogawędkę.

– Zatem proszę tylko pozwolić mi powiedzieć – rzekł Lichnowsky – że każda propozycja ograniczenia wojny do wschodniej części Europy zostanie z ogromnym zainteresowaniem rozpatrzona przez Jego Wysokość cesarza Wilhelma oraz rząd Niemiec.

– Dziękuję. – Tyrell wstał. – Przekażę to sir Edwardowi Greyowi.

Walter odprowadził Tyrella. To, co usłyszał, podniosło go na duchu. Jeśli Francja i Wielka Brytania nie wezmą udziału w wojnie, nic go nie powstrzyma przed poślubieniem Maud. A może to tylko sen?

Wrócił do gabinetu ambasadora. Zanim zdążyli omówić propozycję Tyrella, zadzwonił telefon. Walter podniósł słuchawkę i usłyszał znajomy głos mówiący po angielsku:

– Tu Grey. Mogę mówić z Jego Wysokością?

– Oczywiście, proszę pana. – Walter oddał słuchawkę ambasadorowi. – Sir Edward Grey.

– Tu Lichnowsky. Dzień dobry... Tak, sir William właśnie wyszedł...

Walter wpatrywał się w ambasadora, w skupieniu słuchając, co mówi, i próbując wyczytać coś z jego twarzy.

– To nadzwyczaj interesująca propozycja... Proszę mi pozwolić jasno wyrazić nasze stanowisko. Niemcy nie są zwaśnione ani z Francją, ani z Wielką Brytanią.

Wyglądało na to, że Grey przekazuje tę samą propozycję, co

Tyrell. Najwyraźniej Anglicy traktują ją bardzo poważnie.

– Rosyjska mobilizacja jest zagrożeniem, którego nie można ignorować – stwierdził Lichnowsky – lecz jest to zagrożenie naszej wschodniej granicy i naszego austro-węgierskiego sojusznika. Prosiliśmy Francję o deklarację neutralności. Jeśli Francja nam ją zadeklaruje albo jeżeli Wielka Brytania może zagwarantować neutralność Francji, nie będzie powodu do wojny w zachodniej Europie... Dziękuję, panie sekretarzu. Doskonale, zadzwonię do pana dziś po południu, o piętnastej trzydzieści.

Odłożył słuchawkę.

Spojrzał na Waltera. Obaj uśmiechnęli się triumfalnie.

– Cóż – westchnął Lichnowsky – tego się nie spodziewałem!

III.

Maud była w Sussex House, gdzie grupka wpływowych posłów Partii Konserwatywnej i parów zebrała się w porannym salonie księżnej na herbatce, gdy przyszedł gotujący się ze złości Fitz.

– Asquith i Grey miękną! – powiedział. Wskazał srebrny talerz z ciastem. – Rozsypują się jak ta babka. Chcą zdradzić naszych przyjaciół. Wstydzę się, że jestem Anglikiem.

Tego Maud się obawiała. Fitz jest bezkompromisowy. Uważa, że Anglicy są od wydawania rozkazów i świat powinien ich słuchać. Myśl, że ten rząd mógłby być zmuszony do negocjacji z innymi, była mu wstrętna. I przygnębiająco wielu się z nim zgadzało.

– Uspokój się, Fitz, mój drogi, i powiedz nam, co się stało – poprosiła księżna.

– Dziś rano Asquith wysłał list do Douglasa. – Maud domyśliła się, że chodzi o generała Charlesa Douglasa, dowódcę cesarskiego sztabu głównego. – Nasz premier chciał przypomnieć, iż rząd nigdy nie obiecywał, że wyśle brytyjskie oddziały do Francji w wypadku wojny z Niemcami!

Maud, jako jedyna obecna przedstawicielka liberałów, poczuła się zobowiązana bronić rządu.

– Przecież to prawda, Fitz. Asquith chce tylko jasno dać do zrozumienia, że mamy różne możliwości.

– To jaki, do licha, był sens tych wszystkich naszych rozmów z francuskimi wojskowymi?

– Badanie możliwości! Przygotowanie różnych wariantów planów! Rozmowy to nie umowy, szczególnie w polityce międzynarodowej.

– Przyjaźń to przyjaźń. Wielka Brytania jest przywódcą świata. Kobieta nie musi rozumieć takich spraw, ale ludzie oczekują, że będziemy pomagali naszym sąsiadom. Jako dżentelmeni, brzydzimy się nawet wzmianką o zdradzie i tak samo powinniśmy postępować jako kraj.

Właśnie takie gadanie może jeszcze wplątać Wielką Brytanię w wojnę, pomyślała Maud z dreszczem przerażenia. Jej brat po prostu nie rozumie niebezpieczeństwa. Ich miłość zawsze była silniejsza niż różnice poglądów, lecz teraz są tak rozgniewani, że mogą naprawdę się pokłócić. A kiedy Fitz się z kimś zwaśni, nigdy się nie godzi. A przecież to on będzie musiał walczyć i może zginąć, zastrzelony lub przebity bagnetem albo rozerwany na kawałki. Fitz, a także Walter. Dlaczego Fitz tego nie rozumie? Miała ochotę wrzeszczeć.

Kiedy próbowała znaleźć odpowiednie słowa, odezwał się jeden z gości. Maud rozpoznała w nim redaktora działu zagranicznego „Timesa”, niejakiego Steeda.

– Mogę wam powiedzieć, że ma miejsce obrzydliwa próba międzynarodowej niemiecko-żydowskiej finansjery zmuszenia

mojej gazety do opowiedzenia się za neutralnością – oznajmił. Księżna wyduła wargi, nie lubiła rynsztokowego języka prasy.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – chłodno zapytała Maud.

– Lord Rothschild rozmawiał wczoraj z naszym redaktorem naczelnym. Chce, żebyśmy złagodzili antyniemiecki ton naszych artykułów w interesie pokoju.

Maud знаła Natty'ego Rothschilda, który był liberałem.

– A co lord Northcliffe sądzi o prośbie Rothschilda? – zapytała.

Northcliffe był właścicielem „Timesa”.

Steed się uśmiechnął.

– Kazał nam wydrukować jeszcze dziś bardziej napastliwy wstępniak. – Wziął leżący na bocznym stoliku egzemplarz gazety i pomachał nią. – Pokój nie jest tym, co interesuje nas najbardziej – zacytował.

Maud nie wiedziała, co może być bardziej godne pogardy od rozmyślnego zachęcania do wojny. Widziała, że nawet Fitz jest zniesmaczony lekkomyślnym nastawieniem dziennikarza. Już miała coś powiedzieć, gdy hrabia, niezmiennie uprzejmy nawet dla ordynusów, zmienił temat:

– Właśnie widziałem ambasadora Francji, Paula Cambona, wychodzącego z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Był biały jak prześcieradło. Powiedział: *lis vont nous lacher*. „Oni zamierzają nas opuścić”. Rozmawiał z Greyem.

– Czy pan wie, co powiedział Grey, że tak zirytował monsieur Cambona? – zapytała księżna.

– Tak, Cambon mi powiedział. Najwyraźniej Niemcy chcą zostawić Francję w spokoju, jeśli Francja obieca, że nie weźmie udziału w wojnie. A jeśli Francuzi odrzucą tę ofertę, Brytyjczycy nie będą się czuli zobowiązani pomagać w obronie Francji.

Maud współczuła francuskiemu ambasadorowi, lecz w jej sercu ożyła nadzieja na to, że Wielka Brytania nie weźmie udziału w wojnie.

– Przecież Francja musi odrzucić tę propozycję – zauważyła księżna. – Zawarła z Rosją traktat zobowiązujący oba te kraje do pomagania sobie w razie wojny.

– Właśnie! – gniewnie rzucił Fitz. – Jaki jest sens międzynarodowych sojuszy, jeśli mają być zrywane w kryzysowych sytuacjach?

– Nonsens – prychnęła Maud, wiedząc, że jest niegrzeczna, ale nie przejmując się tym. – Międzynarodowe sojusze zawsze są zrywane, jeśli jest to wygodne. Nie o to chodzi.

– A o co? – spytał Fitz lodowatym tonem.

– Myślę, że Asquith i Grey po prostu próbują przestraszyć Francuzów dawką realizmu. Francja nie może obronić się przed Niemcami bez naszej pomocy. Gdyby Francuzi sądzili, że będą musieli radzić sobie sami, może byliby nastawieni bardziej pokojowo i namówili swoich rosyjskich sojuszników, żeby zrezygnowali z wojny z Niemcami.

– A co z Serbią?

– Nawet w tym stadium jeszcze nie jest za późno, by Rosja i Austria zasiadły do stołu rokowań i wypracowały obopólnie zadowalające rozwiązanie problemu Bałkanów – odrzekła Maud.

Na chwilę zapadła cisza, po czym znów odezwał się Fitz:

– Bardzo wątpię, czy coś takiego się wydarzy.

– Chyba jednak nie powinniśmy tracić nadziei – powiedziała Maud i w swoim głosie usłyszała rozpacz.

IV.

Maud siedziała w swoim pokoju i nie miała siły przebrać się do obiadu. Pokojówka przygotowała jej suknię i biżuterię, ale Maud

tylko się na to gapiła.

Bawiąc w Londynie, niemal co wieczór była na jakimś przyjęciu, ponieważ większość fascynujących ją zabiegów politycznych i dyplomatycznych odbywała się podczas takich właśnie towarzyskich spotkań. Jednak tego wieczoru nie miała na to ochoty. Nie chciała być olśniewająca i czarująca, nie potrafiłaby zachęcić wpływowych ludzi, żeby mówili jej, co myślą, nie zamierzała prowadzić tej subtelnej gry, podczas której niepostrzeżenie skłaniała ich do zmiany zdania.

Walter idzie na wojnę. Włoży mundur i dostanie broń, a wróg będzie do niego strzelał z dział, moździerzy i karabinów maszynowych, próbując go zabić albo zranić tak ciężko, żeby nie mógł utrzymać się na nogach. Trudno jej było myśleć o czymś innym i przez cały czas była bliska płaczu. Zamieniła nawet kilka przykrych słów ze swoim ukochanym bratem.

Ktoś zapukał do drzwi. W progu stanął Grout.

– Jest tu pan von Ulrich, jaśnie pani – oznajmił.

Maud była zaskoczona. Nie spodziewała się Waltera. Po co przyszedł?

Widząc jej zaskoczenie, Grout dodał:

– Kiedy powiedziałem, że pana nie ma w domu, zapytał o panią.

– Dziękuję. – Maud przecisnęła się obok służącego i ruszyła w kierunku schodów.

– Pan von Ulrich jest w salonie! – zawołał za nią Grout. – Poproszę lady Hermie, żeby do państwa dołączyła.

Nawet on wiedział, że Maud nie powinna zostawać sama z tym młodzieńcem. Jednak ciotka Hermie nie porusza się szybko i minie kilka minut, zanim tam dotrze.

Maud wbiegła do salonu i rzuciła się w ramiona Waltera.

– Co zrobimy? – Załkała. – Walterze, co my zrobimy?

Przytulił ją, a potem obrzucił poważnym spojrzeniem. Twarz miał szarą i ściągniętą. Wyglądał tak, jakby dowiedział się o śmierci kogoś bliskiego.

– Francja nie odpowiedziała na niemieckie ultimatum – powiedział.

– Nic nie odpowiedzieli?!

– Nasz ambasador w Paryżu nalegał na odpowiedź. Otrzymał następującą wiadomość od premiera Vivianiego: „Francja będzie pilnowała swoich interesów”. Nie obiecują neutralności...

– Może jeszcze jest czas...

– Nie. Już podjęli decyzję o rozpoczęciu mobilizacji. Joffre zwyciężył w sporze, tak jak wojskowi w każdym kraju. Telegramy rozesłano dziś o szesnastej czasu paryskiego.

– Przecież musi być coś, co możecie zrobić!

– Niemcy nie mają już żadnego wyboru. Nie możemy walczyć z Rosją, mając za plecami wrogą Francję, uzbrojoną i zamierzającą odzyskać Alzację i Lotaryngię. Tak więc musimy zaatakować Francję. Już rozpoczęto realizację planu Schlieffena. W Berlinie tłumy na ulicach śpiewają Kaiserhymn.

– Będziesz musiał dołączyć do swojego regimentu. – Nie zdołała dłużej powstrzymać łez.

– Oczywiście.

Wytarła twarz. Chusteczka była za mała, głupi kawałek haftowanego płótna. Zamiast niej użyła rękawa sukienki.

– Kiedy? Kiedy będziesz musiał opuścić Londyn?

– Nie wcześniej niż za kilka dni. – Widziała, że on też powstrzymuje łzy. – Czy jest choć cień szansy, że Wielka Brytania nie przystąpi do wojny? Wtedy przynajmniej nie walczyłbym przeciwko twojej ojczyźnie.

– Nie wiem. Jutro się okaże. – Przyciągnęła go do siebie. – Proszę, przytul mnie mocno.

Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

V.

Fitz rozgniewał się, widząc antywojenną demonstrację w niedzielne popołudnie na Trafalgar Square. Przemawiał Keir Hardie, poseł Partii Pracy, ubrany w tweedowy garnitur. Wygląda jak gajowy, pomyślał Fitz. Hardie stał przy cokole kolumny Nelsona, pokrzykując chrapliwie ze szkockim akcentem, bezczeszcząc posąg bohatera, który zginął za Anglię w bitwie pod Trafalgarem.

Mówił, że nadchodząca wojna będzie największą katastrofą, jaką widział świat. Reprezentował górniczy okręg wyborczy Merthyr, w pobliżu Aberowen. Był nieślubnym synem pokojówki i zanim zajął się polityką, pracował jako górnik. Co on wie o wojnie?

Fitz oddalił się zde gustowany i poszedł na herbatę do księżnej. W wielkiej sali zobaczył Maud zatopioną w rozmowie z Walterem. Ten kryzys oddala go od siostry, ku jego głębokiemu ubolewaniu. Kocha ją i lubi Waltera, ale Maud należy do liberałów, a Walter jest Niemcem, więc w chwili takiego kryzysu trudno z nimi rozmawiać. Jednak starał się traktować ich przyjaźnie.

– Słyszę, że posiedzenie gabinetu dzisiejszego ranka było burzliwe – zagaił.

Maud pokiwała głową.

– Zeszłej nocy Churchill zmobilizował marynarkę wojenną, nikogo nie pytając. John Burns w proteście złożył dziś rano rezygnację.

– Nie będę udawał, że mi przykro. – Burns był radykałem i najbardziej antywojennie nastawionym ministrem w rządzie. – Zatem pozostali zatwierdzili działania Winstona.

– Niechętnie.

– Musimy być wdzięczni opatrności za jej drobne łaski. Fitz uważał za oburzające, że w chwili takiego zagrożenia władza pozostaje w rękach tych lewicowych oportunistów.

– Jednak odrzucili wniosek Greya o zadeklarowanie obrony Francji – dodała Maud.

– A więc wciąż zachowują się jak tchórze – stwierdził Fitz. Wiedział, że jest nieuprzejmy, ale był zbyt rozgoryczony, by się powstrzymać.

– Niezupełnie – spokojnie odparła Maud. – Zgodzili się nie dopuścić, by niemiecka flota przepłynęła przez kanał i zaatakowała Francję.

Fitz nieco się rozchmurzył.

– No, to już coś.

– Niemiecki rząd oznajmił w odpowiedzi, że nie mamy zamiaru wysyłać okrętów przez kanał La Manche – wtrącił się Walter.

– Widzisz, co się dzieje, gdy się okazuje stanowczość? – powiedział Fitz do Maud.

– Nie ciesz się tak, Fitz. Jeśli wybuchnie wojna, to dlatego, że tacy ludzie jak ty nie próbowali jej zapobiec.

– Och, naprawdę? – Nadał się. – No to pozwól, że coś ci powiem. Zeszłej nocy rozmawiałem z sir Edwardem Greyem w klubie Brooks. Poprosił zarówno Francuzów, jak i Niemców, by uszanowali neutralność Belgii. Francuzi natychmiast się zgodzili. – Fitz spojrzał wyzywająco na Waltera. – Niemcy nie odpowiedzieli.

– To prawda. – Walter wzruszył przeprasza ramionami. – Mój drogi Fitz, ty jako żołnierz rozumiesz, że nie mogliśmy odpowiedzieć na to pytanie, nie zdradzając naszych planów wojennych.

– Rozumiem to, lecz chcę wiedzieć, dlaczego moja siostra uważa mnie za wojennego podżegacza, a ciebie za miłośnika pokoju.

Maud zignorowała to pytanie i rzekła:

– Lloyd George sądzi, że Wielka Brytania powinna interweniować tylko wtedy, jeśli niemiecka armia znacząco naruszy

terytorium Belgii. Być może wystąpi z tą propozycją dzisiaj podczas wieczornego posiedzenia gabinetu.

Fitz wiedział, co to oznacza.

– Tak więc damy Niemcom pozwolenie na zaatakowanie Francji przez południowy kraniec Belgii? – syknął wściekle.

– Sądzę, że do tego się to sprowadza.

– Wiedziałem – prychnął Fitz. – Zdrajcy. Chcą wymigać się od swoich zobowiązań. Zrobią wszystko, żeby uniknąć wojny!

– Chciałabym, żebyś miał rację – westchnęła Maud.

VI.

Maud miała w poniedziałek po południu pójść do Izby Gmin, żeby wysłuchać przemówienia sir Edwarda Greya skierowanego do parlamentu. Wszyscy uważali, że będzie ono punktem zwrotnym. Poszła z nią ciotka Herm, a ona tym razem była zadowolona z krzepiącego towarzystwa starszej pani.

To popołudnie ma zadecydować o przyszłości Maud, jak również o losie tysięcy mężczyzn w wieku poborowym. Zależnie od tego, co powie Grey i jak zareaguje parlament, kobiety w całej Europie mogą zostać wdowami, a ich dzieci sierotami.

Maud przestała się złościć. Zapewne ze znużenia. Teraz była tylko przestraszona. Wojna albo pokój, małżeństwo lub samotność, życie lub śmierć: jej przeznaczenie.

Było święto, więc ogromna rzesza londyńskich bankowców, urzędników, prawników, maklerów i kupców miała wolne. Chyba większość z nich zgromadziła się w pobliżu budynków rządowych w Westminsterze, mając nadzieję, że jako pierwsi usłyszą wieści. Szofer powoli prowadził ośmioosobową limuzynę Fitz'a przez gęsty tłum na Trafalgar Square i Parliament Square. Dzień był pochmurny, lecz ciepły, i co bardziej ochoczo hołdujący modzie młodzieńcy nosili słomkowe kapelusze. Maud zauważyła reklamę „Evening Standard”, głoszącą: Na krawędzi katastrofy.

Tłum zaczął wiwatować, gdy cadillac zatrzymał się przed pałacem westminsterskim, po czym ucichł z jękiem rozczarowania na widok dwóch wysiadających dam. Gapie chcieli zobaczyć swoich bohaterów, ludzi takich jak Lloyd George i Keir Hardie.

Maud pomyślała, że ten pałac jest kwintesencją wiktoriańskiej manii ozdabiania wszystkiego. Kamienie były kunsztownie rzeźbione, wszechobecne boazerie miały wstawki z tkaniny, płyty posadzki były wielobarwne, szyby z przydymionego szkła, a dywany wzorzyste.

Chociaż było święto, parlament obradował i salęapełniali posłowie i parowie, przeważnie w strojach parlamentarzystów, czyli w czarnych płaszczach i czarnych jedwabnych cylindrach. Tylko przedstawiciele laburzystów łamali tę regułę, nosząc tweedy lub codzienne ubrania.

Maud wiedziała, że frakcja pokojowa nadal ma w rządzie przewagę. Lloyd George zeszłego wieczoru przeforsował swój wniosek i Anglia będzie stała z boku, jeśli Niemcy jedynie przemaszerują przez terytorium Belgii.

Na szczęście Włosi ogłosili neutralność, twierdząc, że traktat z Austrią zobowiązuje ich tylko do udziału w wojnie obronnej, podczas gdy działania Austrii wobec Serbii są wyraźnie agresywne. Jak na razie, pomyślała Maud, Włochy są jedynym krajem, który wykazał się zdrowym rozsądkiem.

Fitz i Walter czekali w ośmiokątnym głównym holu.

– Nie wiem, co dziś rano działo się na posiedzeniu gabinetu – zagadnęła ich Maud. – A wy?

– Kolejne trzy dymisje – poinformował Fitz. – Morley, Simon i Beauchamp.

Wszyscy oni byli przeciwnikami wojny. Maud była przy-

gnębiona, a także zdziwiona.

– Nie Lloyd George?

– Nie.

– Dziwne. – Miała złe przeczucia. Czyżby doszło do rozłamu we frakcji pokojowej? – Co Lloyd George zamierza?

– Nie wiem, ale mogę zgadywać – odrzekł Walter. Miał poważny wyraz twarzy. – Zeszłej nocy Niemcy zażądały zgody na swobodny przemarsz naszych wojsk przez Belgię.

Maud jęknęła.

– Belgijski rząd obradował od dwudziestej pierwszej aż do czwartej rano, po czym odrzucił to żądanie i wydał oświadczenie, że będą walczyć.

To było okropne.

– Zatem Lloyd George się mylił – zauważył Fitz. – Niemieckie wojska nie przejdą spokojnie przez Belgię.

Walter nic nie powiedział, tylko bezradnie rozłożył ręce.

Maud obawiała się, że to brutalne niemieckie ultimatum i lekomyślnie wyzywająca odpowiedź belgijskiego rządu mogą osłabić pokojową frakcję gabinetu. Belgia i Niemcy za bardzo przypominają Dawida i Goliata. Lloyd George doskonale wyczuwa nastroje społeczne – czyżby wyczuł, że nastawienie społeczeństwa się zmieniło?

– Musimy zająć miejsca – powiedział Fitz.

Zaniepokojona Maud przeszła przez wąskie drzwi i długimi schodami na galerię dla gości, z widokiem na salę Izby Gmin, gdzie zasiadał suwerenny rząd brytyjskiego imperium. W tym pomieszczeniu decydowano o kwestiach życia i śmierci czterystu czterdziestu czterech milionów ludzi żyjących pod brytyjskimi rządami. Ilekroć Maud tutaj przychodziła, uderzały ją niewielkie rozmiary tej sali, mniejszej od przeciętnego londyńskiego kościoła. Przedstawiciele rządu i opozycji siedzieli naprzeciwko siebie w rzędach amfiteatralnych ław, oddzieleni przejściami, które – jak głosi legenda – ma szerokość dwóch kling mieczy, żeby przeciwnicy nie mogli walczyć. Podczas większości debat izba jest prawie pusta, jednak dziś ławy były pełne i posłowie, dla których zabrakło miejsc, stali przy wejściu. Tylko pierwsze rzędy świeciły pustkami, ponieważ tradycyjnie miejsca te zarezerwowano dla członków gabinetu ministrów, po stronie rządu, oraz przywódców opozycji naprzeciwko nich.

To znaczące, pomyślała Maud, że dzisiejsza debata ma się odbyć właśnie tutaj, a nie w Izbie Lordów. W rzeczy samej, wielu parów, tak jak Fitz, było na galerii i obserwowało. Izba Gmin miała autorytet nadany w wyniku wyborów – chociaż głosować mogła niewiele więcej niż połowa dorosłych mężczyzn, a kobiety nie miały prawa wyborczego. Jako premier, Asquith tracił dużo czasu na walkę z lordami, szczególnie z planem Lloyda George'a, który chciał przyznać wszystkim starym ludziom niewielkie emerytury. Walka była zaciepła, lecz za każdym razem Izba Gmin zwyciężała. Maud sądziła, iż ukrytym tego powodem jest obawa angielskich arystokratów przed powtórzeniem się rewolucji francuskiej, tym razem na angielskiej ziemi, tak więc ostatecznie zawsze szli na kompromis.

Przybyli zasiadający w pierwszych rzędach i Maud natychmiast wyczuła dziwny nastrój liberałów. Premier Asquith śmiał się z czegoś, co powiedział kwakier Joseph Pease, a Lloyd George rozmawiał z sir Edwardem Greyem.

– Boże – jęknęła.

– Co takiego? – spytał siedzący obok niej Walter.

– Spójrz na nich. Oni wszyscy są kolegami. Już nie dzieli ich żadna różnica zdań.

– Nie możesz tak twierdzić, tylko na nich patrząc.

– Ależ mogę.

Wszedł przewodniczący Izby w staromodnej peruce i zasiadł na ustawionym na podwyższeniu tronie. Wywołał sekretarza spraw

zagranicznych i Grey wstał, blady i zatroskany. Zbyt gadatliwy i pompatyczny, nie był dobrym mówcą. Pomimo to ściśnięci w ławkach członkowie parlamentu i goście na zapchanej galerii słuchali w pełnej skupienia ciszy, cierpliwie czekając na najważniejszą część.

Mówił przez trzy kwadranse, zanim wspomniał o Belgii. Wtedy wreszcie ujawnił szczegóły niemieckiego ultimatum, o którym Walter powiedział Maud prawie godzinę wcześniej. Ta wiadomość zelektryzowała posłów. Maud zobaczyła, że tak jak się obawiała, to ultimatum zmieniło wszystko. Przedstawiciele obu frakcji Partii Liberalnej – prawicowi imperialiści i lewicowi obrońcy praw małych narodów – byli oburzeni.

Grey zacytował Gladstone'a, pytając:

– Czy więc, w takich okolicznościach, ten kraj, mający wpływy i środki, będzie spokojnie stał i patrzył, jak popełniana jest najgorsza zbrodnia, jaka kiedykolwiek splamiła karty historii, co uczyni nas współwinnymi grzechu?

Bzdury, pomyślała Maud. Inwazja na Belgię nie jest najgorszą zbrodnią w historii. A co z masakrą w Cawnpore? Co z handlem niewolnikami? Wielka Brytania nie interweniowała za każdym razem, gdy jakiś kraj został napadnięty. To śmieszne mówić, że przez brak reakcji Angliki stają się współwinnymi grzechu. Jednak niewielu obecnych widziało to tak jak ona. Posłowie z obu stron izby wiwatowali. Skonsternowana Maud spoglądała na pierwszą ławkę, w której zasiadali członkowie rządu. Wszyscy ministrowie, jeszcze wczoraj będący zdecydowanie przeciwni wojnie, teraz kiwali głowami: młody Herbert Samuel, Lewis „Lulu” Harcourt, kwakier Joseph Pease, przewodniczący Towarzystwa Pokojowego, i – co najgorsze – sam Lloyd George. Maud ogarnęła rozpacz. Zrozumiała, że poparcie Greya przez Lloydę George'a oznacza, iż walka polityczna się skończyła. Niemiecka groźba wobec Belgii zjednoczyła walczące frakcje.

Grey nie potrafi grać na uczuciach słuchaczy, tak jak Lloyd George, ani przemawiać jak prorok ze Starego Testamentu, jak Churchill, ale dziś tego nie potrzebuje, pomyślała Maud: fakty mówią same za siebie. Odwróciła się do Waltera i zapytała gniewnym szeptem:

– Dlaczego? Dlaczego Niemcy to zrobiły?

Miał udręczoną minę, ale odpowiedział z typową dla siebie spokojną logiką:

– Na południe od Belgii granica niemiecko-francuska jest solidnie ufortyfikowana. Gdybyśmy tam zaatakowali, pokonalibyśmy Francuzów, ale trwałoby to za długo, więc Rosja miałaby czas na przeprowadzenie mobilizacji i zaatakowanie nas od tyłu. Jedyną możliwością szybkiego zwycięstwa jest dla nas przejście przez Belgię.

– To jednak doprowadzi do tego, że Anglia wypowie wam wojnę!

Walter skinął głową.

– Tylko że angielska armia jest mała. Waszą główną siłę stanowi flota, a to nie jest wojna na morzu. Nasi dowódcy uważają, że udział Wielkiej Brytanii w wojnie niczego nie zmieni.

– Ty też tak myślisz?

– Sądzę, że robienie sobie wroga z bogatego i potężnego sąsiada nigdy nie jest mądre. Jednak przegrałem w tym sporze. I to powtarzało się przez cały czas przez ostatnie dwa tygodnie, z rozpaczą pomyślała Maud. W każdym kraju przeciwnicy wojny zostali przegłosowani. Austriacy zaatakowali Serbię, chociaż mogli się od tego powstrzymać; Rosjanie przeprowadzili mobilizację, zamiast negocjować; Niemcy odmówili udziału w międzynarodowej konferencji mogącej zażegnać spory; Francuzi mieli szansę pozostać neutralni i nie skorzystali z niej. A teraz Brytyjczycy zamierzają przystąpić do wojny, chociaż mogą stać z boku.

Grey doszedł do kulminacyjnego punktu swej przemowy:

– Przedstawiłem Izbie istotne fakty i jeśli, co nie wydaje się nieprawdopodobne, zostaniemy zmuszeni, i to zmuszeni przemocą, do zajęcia stanowiska w tych kwestiach, jestem przekonany, że gdy nasz kraj zrozumie, jaka jest stawka i o co tak naprawdę chodzi, jak ogromne są zagrożenia na zachodzie Europy, które ośmieliłem się opisać Izbie, będziemy mieli nie tylko poparcie Izby Gmin, ale także determinację, wolę, odwagę i siłę całego narodu.

Usiadł nagrodzony burzą oklasków. Nie było głosowania i Grey nawet niczego nie proponował, ale reakcja sali jasno dowodziła, że posłowie są gotowi przystąpić do wojny.

Przywódca opozycji, Andrew Bonar Law, wstał, by powiedzieć, iż rząd może liczyć na poparcie Partii Konserwatywnej. Maud to nie zaskoczyło: konserwatyści zawsze byli bardziej wojowniczy od liberałów. Jednak zdziwiła się, tak jak wszyscy inni, kiedy przywódca irlandzkich nacjonalistów powiedział to samo. Maud miała wrażenie, że znalazła się w domu wariatów. Czyżby była jedyną osobą na świecie pragnącą pokoju?

Tylko przywódca Partii Pracy wyłamał się z chóru.

– Sądzę, że on się myli – powiedział Ramsay MacDonald, mówiąc o Greyu. – Sądzę, że myli się rząd, który reprezentuje i w którego imieniu przemawia. Sądzę, iż historia dowiedzie, że oni wszyscy się mylą.

Jednak nikt go nie słuchał. Niektórzy członkowie parlamentu już opuszczali salę. Na galerii również robiło się pusto. Fitz wstał, a reszta jego towarzystwa zrobiła to samo. Maud szła za nimi jak w transie. W sali na dole MacDonald mówił:

– Gdyby ten powszechnie szanowany dżentelmen przyszedł tu dziś i powiedział nam, że nasza ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, nieważne, do jakiej odwoływałby się partii i klasy, bylibyśmy z nim... Jaki jest sens mówić o spieszeniu z pomocą Belgii, kiedy tak naprawdę chcecie wziąć udział w wojnie w całej Europie?

Maud wyszła z galerii i nie usłyszała reszty przemówienia.

To był najgorszy dzień w jej życiu. Jej ojczyzna zamierza prowadzić niepotrzebną wojnę, jej brat i ukochany mężczyzna będą ryzykowali życie, a ona i jej narzeczonzy zostaną rozdzieleni, może na zawsze. Straciła wszelką nadzieję i pogrążyła się w rozpacz.

Schodzili po schodach. Fitz szedł pierwszy.

– To bardzo interesujące, mój drogi – uprzejmie powiedziała ciotka Herm, jakby zaprowadził ją na wystawę, która okazała się lepsza, niż oczekiwała.

Walter złapał Maud za rękę i zatrzymał. Przepuściła kilka osób i Fitz znalazł się poza zasięgiem ich głosu. Mimo wszystko nie była przygotowana na to, co nastąpiło.

– Wyjdź za mnie – poprosił cicho Walter.

Serce zabiło jej mocniej.

– Co takiego? – szepnęła. – Jak to?

– Wyjdź za mnie, proszę, jutro.

– Tego nie da się...

– Mam specjalne pozwolenie. – Dotknął kieszeni płaszcza. – W piątek byłem w urzędzie stanu cywilnego w Chelsea.

Maud miała zamęt w głowie.

– Uzgodniliśmy, że poczekamy – przypomniała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. Natychmiast tego pożałowała.

On jednak mówił dalej:

– Czekaliśmy. Kryzys już się skończył. Jutro lub pojutrze nasze kraje będą w stanie wojny. Ja będę musiał opuścić Wielką Brytanię. Chcę cię poślubić, zanim wyjadę.

– Nie wiemy, co się wydarzy!

– Istotnie, nie wiemy. Jednak cokolwiek przyniesie przyszłość, chcę, żebyś była moją żoną.

– Przecież... – Maud zamilkła. Dlaczego się sprzeciwia?

Walter ma rację. Nikt nie wie, co się wydarzy, lecz teraz to niczego nie zmienia. Chce zostać jego żoną i żadna przyszłość, jaką jest

w stanie sobie wyobrazić, tego nie zmieni.
Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, zeszli na dół i znaleźli się w głównym holu, gdzie kłębił się rozmawiający z ożywieniem tłum. Maud rozpaczliwie chciała zadać Walterowi kilka pytań, lecz Fitz z galanterią uparł się, że wyprowadzi ją i ciotkę Herm z zatłoczonego holu. Na Parliament Square Fitz wsadził obie kobiety do samochodu. Szofer włączył automatyczną skrzynię biegów, zawarczał silnik i samochód odjechał, zostawiając Fitz'a i Waltera stojących na chodniku wraz z tłumem gapiów chcących usłyszeć, jaki czeka ich los.

VII.

Maud chciała zostać żoną Waltera. Tylko tego jednego była pewna. Kurczowo trzymała się tej myśli, gdy w jej głowie kłębiły się pytania i zastrzeżenia. Czy powinna przystać na plan Waltera, czy lepiej poczekać? Jeśli zgodzi się wyjść za niego jutro, komu powinna o tym powiedzieć? Dokąd pójdą po uroczystości? Czy zamieszkają razem? A jeśli tak, to gdzie?

Tego wieczoru przed obiadem pokojówka przyniosła jej na srebrnej tacy kopertę. W środku była jedna gruba kartka kremowego papieru, pokryta starannym kaligraficznym pismem Waltera. Osiemnasta.

Moja najukochańsza!

Jutro o piętnastej trzydzieści będę czekał na Ciebie w samochodzie naprzeciwko domu Fitz'a. Przywiozę z sobą dwóch potrzebnych świadków. Urząd jest zarezerwowany na szesnastą. Wynająłem apartament w hotelu Hyde. Już się zameldowałem, więc będziemy mogli pójść do naszego pokoju, nie tracąc czasu w recepcji. Będziemy panią i panem Woolridge. Załóż woalkę.

Kocham Cię, Maud. Twój narzeczony – W.

Drżącymi rękami położyła list na politurowanym mahoniowym blacie toaletki. Oddychała szybko. Patrzyła na kwiecistą tapetę i starała się uspokoić.

Dobrze wybrał porę: spokojne popołudnie, kiedy Maud będzie mogła niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Ciotka Herm zwykle ucina sobie drzemkę po lunchu, a Fitz pójdzie do Izby Lordów. Fitz nie może się o tym dowiedzieć, bo będzie próbował ją powstrzymać. Mógłby po prostu zamknąć ją w pokoju. A nawet wysłać do domu wariatów. Bogaty przedstawiciel wyższych sfer może stosunkowo łatwo pozbyć się w ten sposób krewnej. Wystarczy znaleźć dwóch lekarzy gotowych zgodzić się z nim, że musi być szalona, wychodząc za Niemca.

Nie powie o tym nikomu.

Fałszywe nazwisko i woalka świadczyły o tym, że Walter zamierza zachować wszystko w tajemnicy. Hyde to dyskretny hotel w Knightsbridge, gdzie nie powinni spotkać nikogo znajomego. Zadrzała z podniecenia na myśl o tym, że spędzi noc z Walterem.

Tylko co zrobią następnego dnia? Małżeństwa nie da się wiecznie trzymać w tajemnicy. Walter za kilka dni będzie musiał opuścić Wielką Brytanię. Czy ona pojedzie z nim? Obawiała się, że to złamie jego karierę. Jak mogliby mu ufać, że będzie walczył za swój kraj, będąc mężem Angielki? A jeśli będzie walczył, wyjedzie z domu, więc jaki sens ma jej wyjazd do Niemiec?

Pomimo tych wszystkich niewiadomych była cudownie podniekształcona.

– Pani Woolridge – powiedziała do pustej sypialni, nie posiadając się z radości.

4 sierpnia 1914 roku

i.

O wschodzie słońca Maud wstała i usiadła przy toaletce, żeby napisać list. W szufladzie miała stosik niebieskiego papieru listowego Fitz'a, a srebrny kałamarz napełniano codziennie. Mój kochany – napisała i zamyśliła się.

Zobaczyła swoje odbicie w owalnym lustrze. Miała potargane włosy i pomiętą nocną koszulę. Jej czoło zmarszczyło się w zadumie, a kąciki ust opadły. Wyjęła spomiędzy zębów kawałek jakiegoś warzywa. Gdyby mnie teraz zobaczył, pomyślała, może nie chciałby mnie poślubić. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli przystanie na jego plan, jutro rano on zobaczy ją właśnie taką. To była dziwna myśl, przerażająca i podniecająca jednocześnie.

Zaczęła pisać.

Tak, z całego serca pragnę za Ciebie wyjść. Jaki jednak masz plan? Gdzie będziemy mieszkali?

Myślała o tym przez prawie pół nocy. Przeszkody wydawały się nie do pokonania.

Jeśli zostaniesz w Anglii, umieszczą Cię w obozie dla internowanych. Jeśli pojedziemy do Niemiec, nie będę Cię widywała, ponieważ będziesz daleko od domu, na froncie. Ich krewni mogą przysporzyć im więcej kłopotów niż władze.

Kiedy powiemy naszym rodzinom o małżeństwie? Tylko nie przed ślubem, proszę, ponieważ Fitz znalazłby jakiś sposób, żeby nas powstrzymać. Nawet potem będą problemy z nim i z Twoim ojcem. Powiedz mi, co o tym myślisz.

Kocham Cię bardzo.

Zakleiła kopertę i napisała adres mieszkania Waltera, które znajdowało się ćwierć mili dalej. Zadzwoiła dzwonkiem i po kilku minutach pokojówka zapukała do jej drzwi. Sanderson była pulchną dziewczyną o szerokim uśmiechu.

– Gdyby pana von Ulricha nie było, idź do niemieckiej ambasady w Carlton House Terrace. Tak czy owak, zaczekaj na odpowiedź. Zrozumiałaś?

– Tak, pani.

– Nie mów innym służącym, co robisz.

Na młodej twarzy Sanderson malował się niepokój. Wiele pokojówek brało udział w intrygach swoich pań, lecz Maud nigdy nie miała potajemnych romansów i Sanderson nie przywykła kłamać.

– Co mam powiedzieć, jeśli pan Grout zapyta mnie, dokąd się wybieram?

Maud się zastanowiła.

– Powiedz, że idziesz kupić dla mnie kilka kobiecych artykułów.

Zmieszanie ukróci ciekawość Grouta.

– Tak, pani.

Sanderson wyszła, a Maud się ubrała.

Nie była pewna, czy zdoła zachowywać się w miarę normalnie w obecności rodziny. Fitz może nie zauważyć jej nastroju – mężczyźni rzadko zauważają takie rzeczy – ale ciotka Herm nie jest ślepa.

Maud zeszła na śniadanie, chociaż była zbyt spięta, żeby odczuwać głód. Ciotka Herm jadła wędzonego śledzia, którego zapach przyprowadził Maud o mdłości. Zaczęła sączyć kawę.

Minutę później pojawił się Fitz. Wziął wędzoną rybę i otworzył „Timesa”. Co ja zwykle robię? – zadała sobie pytanie Maud. Rozmawiam o polityce. Tak więc teraz też powinnam to robić.

– Czy tej nocy coś się wydarzyło? – zapytała.

– Po posiedzeniu rządu spotkałem Winstona – odparł Fitz. –

Prosimy niemiecki rząd, aby wycofał swoje ultimatum wobec Belgii.

Słowo „prosimy” wypowiedział z pogardliwym naciskiem.

Maud nie śmiała już mieć nadziei.

– Czy to oznacza, że nie zrezygnowaliśmy całkowicie z prób utrzymania pokoju?

– Równie dobrze moglibyśmy zrezygnować – prychnął z pogardą. – Cokolwiek myślą sobie Niemcy, nie zmienia zdania z powodu uprzejmej prośby.

– Tonący brzytwy się chwyta.

– Nie chwytam się brzytwy. Przygotowujemy się do wypowiedzenia wojny.

On ma rację, pomyślała przygnębiona. Wszystkie rządy pragną twierdzić, że nie chciały wojny, lecz zostały do niej zmuszone. Wydaje się, iż Fitz nie jest nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, tego, że w rezultacie tych dyplomatycznych zmagania może zostać śmiertelnie ranny. Chciała go ochronić, a jednocześnie udusić za ten jego głupi upór.

Aby oderwać się od tych myśli, przejrzała „Manchester Guardian”. Zobaczyła całostronicowe ogłoszenie zamieszczone przez Ligę Neutralności, z hasłem: Brytyjczycy, spełnijcie swój obowiązek, powstrzymując swą ojczyznę od paskudnej i głupiej wojny. Maud ucieszyła się, że są jeszcze ludzie myślący tak samo jak ona. Jednak nie mają szansy zwyciężyć w tym sporze.

Weszła Sanderson, niosąc kopertę na srebrnej tacy. Z dreszczem zgrozy Maud rozpoznała pismo Waltera. Przeraziła się. Co ta służąca sobie myśli? Czy nie zrozumiała, że jeśli zaniesiony list ma być tajemnicą, to odpowiedź także?

Nie może przeczytać listu Waltera w obecności Fitz’a. Z bijącym sercem i udawaną beztróską wzięła kopertę i położyła obok swojego talerza, po czym poprosiła Grouta o dolewkę kawy.

Wpatrywała się w gazetę, aby ukryć panikę. Fitz nie cenzurował jej korespondencji, ale jako głowa rodu miał prawo czytać każdy list zaadresowany do krewnej mieszkającej w jego domu. Żadna szanująca się kobieta nie protestowałaby przeciwko temu.

Maud powinna jak najszybciej skończyć śniadanie i wyjść.

Spróbowała zjeść kawałek grzanki, z trudem przełykając kęsy, tak wyschnięte miała gardło.

Fitz podniósł głowę znad „Timesa”.

– Nie zamierzasz przeczytać tego listu? – zapytał. A potem, ku jej zgrozie, dodał: – To wygląda na pismo von Ulricha.

Nie miała innego wyjścia. Rozcięła kopertę czystym nożem do masła i starała się mieć obojętną minę.

Dziewiąta rano.

Moja ukochana!

Wszystkim pracownikom ambasady kazano się spakować, popłacić rachunki i przygotować do opuszczenia Wielkiej Brytanii w ciągu kilku godzin od chwili powiadomienia.

Nie powinniśmy nikomu mówić o naszych planach. Po dzisiejszej nocy wrócę do Niemiec, a Ty zostaniesz tutaj, mieszkając u brata. Wszyscy są zgodni, że wojna nie może potrwać dłużej niż kilka tygodni, a najwyżej miesięcy. Gdy tylko się skończy i oboje wciąż będziemy żywi, powiemy światu o naszym szczęściu i rozpoczniemy nowe, wspólne życie.

A gdybyśmy mieli nie przeżyć tej wojny, och, proszę, spędźmy choć jedną szczęśliwą noc jako mąż i żona.

Kocham cię. W.

PS. Godzinę temu Niemcy wkroczyły do Belgii.

Maud rozmyślała gorączkowo. Małżeństwo w tajemnicy! Nikt nie będzie wiedział. Przełożeni Waltera nadal będą mu ufali, nie wiedząc, że jest mężem Angielki, a on będzie mógł walczyć tak, jak nakazuje mu honor, a nawet pracować w wywiadzie. Mężczyźni nadal będą się do niej zalecali, uważając ją za pannę, ale ona sobie z tym poradzi: przecież od lat odrzuca zalotników. Ona i Walter

będą rozdzieleni do końca wojny, który nastąpi najdalej za kilka miesięcy.

Te rozmyślenia przerwał Fitz:

– Co pisze?

Maud miała pustkę w głowie. Nie może powiedzieć bratu prawdy. Spojrzała na zapisaną starannym pismem kartkę i jej wzrok padł na postscriptum.

– Pisze, że Niemcy dziś o ósmej rano wkroczyły do Belgii.

Fitz odłożył widelec.

– A więc zaczęło się.

Tym razem nawet on był wstrząśnięty.

– Ta maleńka Belgia! – odezwała się ciotka Herm. – Uważam, że ci Niemcy to okropne dzikusy. – Zaraz jednak strapiła się i dodała: – Oprócz pana von Ulricha, oczywiście. On jest czarujący.

– To tyle, jeśli chodzi o uprzejmą prośbę brytyjskiego rządu – westchnął Fitz.

– To szaleństwo – powiedziała przygnębiona Maud. –

Tysiące ludzi zginą na wojnie, której nikt nie chce.

– Można by sądzić, że powinnaś popierać tę wojnę – spierał się Fitz. – W końcu będziemy bronili Francji, która jest oprócz nas jedyną prawdziwą demokracją w Europie. A naszymi wrogami będą Niemcy i Austria, których parlamenty nie mają praktycznie żadnej władzy.

– Jednak naszym sojusznikiem będzie Rosja – z goryczą przypomniała Maud. – Tak więc będziemy walczyli o zachowanie najokrutniejszej i najbardziej zacofanej monarchii w Europie.

– Rozumiem twoją niechęć.

– Wszystkim w ambasadzie kazano się spakować – dodała. – Możemy już nie zobaczyć Waltera.

Niedbale odłożyła list.

To jednak nie przyniosło zamierzonego rezultatu.

– Mogę rzucić okiem? – spytał Fitz.

Maud zamarła. W żadnym razie nie może mu pokazać listu.

Nie tylko by ją zamknął, ale też po przeczytaniu zdania o „jednej nocy szczęścia” mógłby wziąć rewolwer i zastrzelić Waltera.

– Mogę? – powtórzył Fitz, wyciągając rękę.

– Oczywiście. – Wahała się jeszcze sekundę, po czym sięgnęła po list. W ostatniej chwili doznała przeblýsku inspiracji i wyróciła filiżankę, oblewając papier kawą. – A niech to li-cho – zaklęła, z ulgą spostrzegłszy, że kawa rozpuściła niebieski atrament i słowa stały się nieczytelne.

Grout podszedł i zaczął wycierać stół. Udając, że mu pomaga, Maud podniosła kartkę i złożyła ją, w wyniku czego każdy ewentualnie ocalały fragment listu teraz został rozpuszczony przez kawę.

– Przykro mi, Fitz – powiedziała. – Jednak nie było tam żadnych innych informacji.

– Nie szkodzi – mruknął i wrócił do lektury gazety.

Maud złożyła dłonie na podołku, żeby ukryć ich drżenie.

II.

To był dopiero początek.

Maud wiedziała, że trudno jej będzie wyjść samej z domu. Jak wszystkie damy z wyższych sfer, nie powinna nigdzie chodzić bez przyzwoitki. Mężczyźni udawali, że powodem jest ich troska o bezpieczeństwo kobiet, lecz w istocie była to forma kontroli. i niewątpliwie tak pozostanie, dopóki kobiety nie zdobędą praw wyborczych.

Maud pół życia spędziła na wynajdywaniu sposobów obejścia tej reguły. Będzie musiała wymknąć się niepostrzeżenie. Nie było to jednak łatwe. Chociaż w rezydencji Fitz'a mieszkały tylko cztery osoby, przez cały czas w domu przebywało kilkanaście osób służby.

Ponadto będzie musiała całą noc być poza domem tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Zaczęła wprowadzać w życie starannie obmyślony plan.

– Boli mnie głowa – powiedziała pod koniec lunchu. –

Beo, wybaczysz mi, jeśli nie zejdem dziś wieczorem na kolację?

– Oczywiście – powiedziała Bea. – Czy mogę jakoś ci pomóc? Może pošle po doktora Wallace'a?

– Nie, dziękuję, to nic poważnego. – Niezbyt silny ból głowy był zwykłym eufemizmem na określenie miesiączkowania i wszyscy akceptowali go bez żadnych komentarzy.

Na razie idzie dobrze.

Poszła do swojego pokoju i zadzwoniła po pokojówkę.

– Kładę się do łóżka, Sanderson – oznajmiła, zaczynając starannie przygotowaną przemowę. – Zapewne pozostanę w nim przez resztę dnia. Proszę, powiedz innym służącym, żeby pod żadnym pozorem mnie nie niepokoiono. Może zadzwonię, żeby przyniesiono mi tacę z kolacją, ale wątpię, bo jestem taka śpiąca, że mogłabym spać całą dobę.

Dzięki temu przez resztę dnia nikt nie powinien zauważyć jej nieobecności.

– Czy jest pani chora, proszę pani? – spytała Sanderson z zatroskaną miną.

Niektóre damy często kładły się do łóżek za dnia, ale Maud robiła to rzadko.

– To zwykła kobieca dolegliwość, tylko gorsza niż zwykle.

Maud widziała, że Sanderson jej nie uwierzyła. Pokojówka została już tego dnia wysłana z sekretną wiadomością, co dotychczas nigdy się nie zdarzyło. Sanderson wiedziała, że dzieje się coś niezwykłego. Jednak pokojówkom nie wolno wypytywać ich pań.

Sanderson będzie musiała się zastanawiać.

– I nie budź mnie rano – dodała Maud.

Nie wiedziała, o której wróci ani jak niezauważona wśliznie się do domu.

Sanderson wyszła. Była piętnasta piętnaście. Maud szybko się rozebrała, po czym zajrzała do garderoby.

Nie przywykła sama wyjmować ubrania – zazwyczaj robiła to Sanderson. Do czarnego spacerowego kostiumu miała kapelusz z woalką, ale nie może włożyć czerni do ślubu.

Spojrzała na zegar nad kominkiem: piętnasta dwadzieścia pięć.

Nie ma czasu na wahanie.

Wybrała modny francuski kostium. Włożyła dopasowaną bluzkę z białej koronki z wysokim kołnierzem, podkreślającym smukłość jej szyi. Do tego spódnicę tak bladoniebieską, że prawie białą. Zgodnie z ostatnią śmiałą modą sięgała kilka cali nad kostkę. Dodatkami były granatowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem i woalka tej samej barwy, a także niebieski parasol z białym spodem. Całości dopełniała torebka z niebieskiego aksamitu. Maud włożyła do niej grzebień, mały flakonik perfum oraz czyste majtki.

Zegar wybił piętnastą trzydzieści. Walter już czeka przed domem. Czują, jak mocno bije jej serce.

Opuściła woalkę i przejrzała się w wysokim lustrze. Nie jest to ślubna suknia, ale Maud przypuszczała, że będzie dobrze wyglądała w urzędzie stanu cywilnego. Nigdy nie była na ślubie cywilnym, więc nie miała pewności.

Wyjęła klucz z zamka i stanęła przy zamkniętych drzwiach, nasłuchując.

Nie chciała spotkać nikogo, kto mógłby ją wypytywać. Mogłoby nie mieć znaczenia, gdyby została zauważona przez jakiegoś lokaja lub pucybuta, którego nie obchodzi, co ona robi, lecz do tej pory wszystkie służące już pewnie wiedzą, że się źle czuje, i gdyby natknęła się na którąś z nich, jej alibi by przepadło. Nie przejmowała się zamieszaniami, ale obawiała się, że próbowaliby ją powstrzymać.

Już miała otworzyć drzwi, gdy usłyszała ciężkie kroki i poczuła zapach dymu. To musi być Fitz kończący cygaro po lunchu. Zaraz wyjdzie do Izby Lordów lub do klubu White's. Czekala niecierpliwie.

Po kilku chwilach ciszy wystawiła głowę przez drzwi. Szeroki korytarz był pusty. Wyszła, zamknęła za sobą drzwi i przekreśliła klucz w zamku, po czym wrzuciła go do aksamitnej torebki. Teraz każdy próbujący otworzyć drzwi założy, że Maud śpi w pokoju. Cicho przeszła wyłożonym dywanem korytarzem do schodów i spojrzała w dół. W holu na dole nie było nikogo. Zaczęła schodzić po schodach. Gdy była w połowie, usłyszała jakiś dźwięk i zamarła. Drzwi piwnicy otworzyły się i wyłonił się z nich Grout. Maud wstrzymała oddech. Patrzyła na łysinę na czubku jego głowy, gdy przeszedł przez hol z dwiema karafkami porto. Był zwrócony plecami do schodów i nie patrząc w górę, wszedł do jadalni.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Maud biegiem pokonała resztę schodów, porzuciwszy ostrożność. Otworzyła drzwi, przeszła przez nie i zatrzasnęła je za sobą. Za późno pożałowała, że nie pomyślała o tym, żeby zamknąć je po cichu.

Cicha ulica Mayfair była skąpana w letnim słońcu. Maud zobaczyła ciągnięty przez konia wózek handlarza ryb, nianię z dziecięcym wózkiem i taksówkarza zmieniającego koło w taksówce. Sto jardów dalej, po drugiej stronie, stał biały samochód z niebieskim płóciennym dachem. Maud lubiła samochody i rozpoznała benza 10 30 należącego do kuzyna Waltera, Roberta.

Gdy przechodziła przez ulicę, Walter wysiadł i jej serce przepełniła radość. Miał na sobie jasnoszary garnitur z białymi aplikacjami. Napotkał jej spojrzenie i z wyrazu jego twarzy Maud domyśliła się, że do ostatniej chwili nie był pewny, czy ona przyjdzie. Na tę myśl łyzy stanęły jej w oczach.

Teraz jednak jego twarz rozjaśniła radość. Jakie to dziwne i cudowne, pomyślała, móc uszczęśliwić drugiego człowieka. Niespokojnie spojrzała na dom. Grout stał w progu, z uniesionymi ze zdziwienia brwiami patrząc na ulicę. Odgadła, że usłyszał trzask zamykanych drzwi. Rezerwacyjnie odwróciła się do niego plecami i do głowy przyszła jej tylko jedna myśl: nareszcie wolna!

Walter ucałował jej dłoń. Chciała pocałować go w usta, ale przeszkadzała jej woalka. Ponadto przed ślubem byłoby to nie stosowne. Nie ma potrzeby wyrzucać za okno przyzwoitości. Zobaczyła, że za kierownicą siedzi Robert. Uchylił szarego cylindra. Walter ufał mu. Miał być jednym ze świadków.

Walter otworzył drzwi i Maud usiadła z tyłu. Ktoś już tam był i Maud rozpoznała gospodynię z Ty Gwyn.

– Williams! – wykrzyknęła.

Williams się uśmiechnęła.

– Teraz lepiej mów mi Ethel. Mam być świadkiem na twoim ślubie.

– Oczywiście, przepraszam. – Maud uściskała ją impulsywnie. – Dziękuję ci, że przyszaś.

Samochód ruszył.

Maud pochyliła się do przodu i zapytała Waltera:

– Jak znalazłeś Ethel?

– Powiedziałaś mi, że była w twojej przychodni. Dostałem jej adres od doktora Greenwarda. Wiedziałem, że jej ufasz, ponieważ wybrałaś ją na przyzwoitkę podczas naszego spotkania w Ty Gwyn.

Ethel wręczyła Maud bukiet kwiatów.

– Twoja wiązanka ślubna.

Były w niej róże, koraloworóżowe – kwiaty namiętności. Czy Walter zna mowę kwiatów?

– Kto je wybrał?

– Propozycja wyszła ode mnie – powiedziała Ethel. –

I spodobała się Walterowi, kiedy wyjaśniłam jej sens. Ethel się zarumieniła. Wiedziała, jaka łączy ich namiętność, ponieważ widziała, jak się całowali.

– Są doskonałe – uznała Maud.

Ethel miała na sobie blad różową suknię, wyglądająca na nową, i kapelusz ozdobiony różowymi różyczkami. Zapewne zapłacił za to Walter. Jakiż jest uważający!

Przejechali przez Park Lane i skierowali się do Chelsea.

Wychodzę za mąż, pomyślała Maud. Dotychczas, ilekroć wyobrażała sobie swój ślub, zakładała, że będzie taki jak śluby wszystkich jej znajomych, długi i męczący. Ten miał być inny. Bez długich przygotowań, listy gości i przyjęcia. Nie będzie pieśni, przemówień ani pijanych krewnych próbujących ją pocałować – tylko panna młoda i jej narzeczony oraz dwoje ludzi, których oboje lubią i darzą zaufaniem.

Odsunęła od siebie myśli o przyszłości. Europę ogarnęła wojna i wszystko może się zdarzyć. Będzie po prostu cieszyła się tym dniem. I nocą.

Jechali King's Road i nagle zaczęła się denerwować. Chwyliła dłoń Ethel, szukając wsparcia. Ujrzała koszmarną wizję Fitzę ścigającego ich swoją limuzyną i wrzeszczącego: „Zatrzymać tę kobietę!”. Zerknęła przez ramię. Oczywiście ani Fitz, ani jego samochodu nie było w polu widzenia.

Podjechali przed klasyczną fasadę ratusza w Chelsea. Robert wziął Maud pod rękę i poprowadził po schodach do wejścia, a Walter podążył za nimi z Ethel. Przechodnie przystawali, by popatrzeć: wszyscy uwielbiają śluby.

Wewnątrz budynek miał bogaty wystrój w wiktoriańskim stylu, z kolorowymi płytkami posadzki oraz sztukateriami na ścianach. Wydawał się odpowiednim miejscem, by wziąć ślub.

Musieli poczekać w holu: inny ślub rozpoczął się o piętnastej trzydzięci i jeszcze się nie skończył. Stali w czwórce, patrząc na siebie i nic nie mówiąc. Maud wdychała zapach swoich róż. Uderzył jej do głowy i poczuła się, jakby wypila kieliszek szampa.

Po kilku minutach wyszła panna młoda w zwykłej sukience i pan młody w mundurze sierżanta. Może oni też podjęli nagłą decyzję z powodu wojny.

Maud i jej „orszak” weszli do sali. Kierownik urzędu stanu cywilnego siedział za stołem, w garniturze i srebrzystym krawacie. W kłapie miał goździk, co Maud uznała za miłe. Obok niego zajął miejsce urzędnik w codziennym ubraniu. Państwo młodzi podali swoje nazwiska: pan von Ulrich i panna Maud Fitzherbert. Maud podniosła woalkę.

– Panno Fitzherbert, czy ma pani dowód tożsamości? – zapytał kierownik.

Nie wiedziała, o czym mówi.

Widząc jej zaskoczenie, dodał:

– Może metrykę?

Nie miała metryki. Nie wiedziała, że będzie potrzebna, a nawet gdyby wiedziała, nie byłaby w stanie jej dostarczyć, ponieważ Fitz trzymał ją w sejfie razem z innymi dokumentami rodzinnymi, takimi jak jego testament. Wpadła w panikę.

– Sądzę, że to wystarczy – powiedział Walter i wyjął z kieszeni ostemplowaną kopertę ze znaczkiem, zaadresowaną do panny Maud Fitzherbert. Widniał na niej adres przychodni. Widocznie wziął ją, kiedy poszedł zobaczyć się z doktorem Greenwardem. Sprytnie.

Kierownik bez komentarza oddał mu kopertę.

– Moim obowiązkiem jest przypomnieć państwu o poważnym i wiążącym charakterze przysięgi, którą macie złożyć.

Maud poczuła się lekko urażona sugestią, że może nie wie, co robi, ale zaraz zrozumiała, że zapewne jest to coś, co urzędnik musi mówić wszystkim.

Walter wyprostował się jeszcze bardziej. No cóż, pomyślała Maud, nie ma odwrotu. Była pewna, że chce wyjść za Waltera, co więcej, była doskonale świadoma tego, że osiągnęła wiek dwudziestu trzech lat i nie spotkała nikogo, kogo choćby przez chwilę brała pod uwagę jako ewentualnego męża. Wszyscy inni mężczyźni, których znała, traktowali ją i inne kobiety jak duże dzieci. Walter jest inny. Tak więc on albo nikt.

Kierownik wypowiedział słowa, które Walter miał powtórzyć:

– Niniejszym oświadczam, iż nie znam żadnych prawnych przeszkód, z których powodu ja, Walter von Ulrich, nie miałbym połączyć się węzłem małżeńskim z Maud Elizabeth Fitzherbert. Wymówił jego imię, jakby było to angielskie Wall-ter zamiast prawidłowego niemieckiego Val-ter.

Maud obserwowała twarz narzeczonego, gdy powtarzał tę formułkę. Mówił stanowczo i dobitnie.

On też uważnie jej się przyglądał, gdy mówiła. Uwielbiała tę jego powagę. Większość mężczyzn, nawet tych mądrych, głupieje, rozmawiając z kobietami. Walter rozmawia z nią równie inteligentnie jak z Robertem czy Fitzem, a ponadto – co jeszcze rzadsze – słucha jej odpowiedzi.

Następnie złożyli przysięgę. Walter patrzył jej w oczy, gdy brał ją za żonę, i tym razem usłyszała, że jego głos lekko drży. To również uwielbiała: wiedziała, że potrafi zburzyć ten jego poważny nastrój. Może sprawić, że drży z miłości, szczęścia lub pożądania. Złożyła tę samą przysięgę:

– Wzywam wszystkich tu obecnych na świadków, że ja, Maud Elizabeth Fitzherbert, biorę ciebie, Waltera von Ulricha, za prawnie poślubionego małżonka.

Głos jej nie zadrżał i poczuła się nieco zmieszana tym, że nie jest poruszona – ale to nie było w jej stylu. Wolała sprawiać wrażenie opanowanej nawet wtedy, gdy taka nie była. Walter to rozumiał i wiedział, jaka burza skrywanym namiętności szaleje w jej sercu.

– Czy macie obrączki? – zapytał kierownik.

Maud o tym nie pomyślała, ale Walter był przygotowany.

Z kieszonki kamizelki wyjął zwykłą złotą obrączkę, ujął dłoń Maud i wsunął na jej palec. Musiał odgadnąć rozmiar, ale obrączka pasowała, była najwyżej o jeden rozmiar za duża. Ponieważ ich małżeństwo miało pozostać tajemnicą, i tak po dzisiejszym dniu przez jakiś czas nie będzie jej nosiła.

– Ogłaszam was mężem i żoną – powiedział kierownik. – Może pan pocałować pannę młodą.

Walter delikatnie pocałował ją w usta. Objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie.

– Kocham cię – szepnęła.

– A teraz świadectwo zawarcia małżeństwa – rzekł kierownik. – Może zechce pani usiąść... pani Ulrich.

Walter się uśmiechnął, Robert zachichotał, a Ethel wydała cichy okrzyk radości. Maud domyśliła się, że kierownik cieszy się z tego, iż jako pierwszy zwraca się do panny młodej, używając jej nowego nazwiska. Wszyscy usiedli, a urzędnik zaczął sporządzać świadectwo ślubu. Walter podał, że jego ojcem jest oficer, a miejscem urodzenia Danzig. Maud zaś, że jej ojcem jest George Fitzherbert, farmer – istotnie, w Ty Gwyn było stadko owiec, tak więc nie skłamała – a miejscem urodzenia Londyn. Robert i Ethel podpisali się jako świadkowie.

Nagle było po wszystkim. Opuścili salę i przeszli przez hol, gdzie następna śliczna panna młoda czekała ze zdenerwowanym panem młodym na złożenie przysięgi małżeńskiej. Kiedy trzymając się za ręce, schodzili po schodach do zaparkowanego samochodu, Ethel obrzuciła ich garścią konfetti. Wśród gapiów Maud zauważyła kobietę z klasy średniej, mniej więcej w tym samym wieku co ona, trzymającą pakunek ze sklepu. Kobieta uważnie przyjrzała się Walterowi, a potem przeniosła spojrzenie na Maud, która w jej

oczach dostrzegła zazdrość. Tak, pomyślała Maud, jestem szczęśliwą.

Walter i Maud usiedli na tylnym siedzeniu, a Robert i Ethel z przodu. Kiedy odjeżdżali, Walter ucałował dłoń Maud. Spojrzeli sobie w oczy i roześmiali się. Maud widywała, jak robiły to inne pary, i zawsze uważała to za głupie i sentymentalne, lecz teraz wydało jej się to najbardziej naturalne na świecie.

Po kilku minutach dojechali do hotelu Hyde. Maud opuściła woalkę. Walter wziął ją pod rękę i przeszli przez hol do schodów.

– Zamówię szampana – powiedział Robert.

Walter zarezerwował najlepszy apartament i ozdobił go kwiatami. Musiało tu być ze sto koraloworóżowych róż. W oczach Maud stanęły łzy, a Ethel otworzyła usta z podziwu. Na komodzie stała wielka patera z owocami i pudełko czekoladek. Popołudniowe słońce wpadało przez wielkie okna, oświetlając fotele i sofę obite materiałem o wesołym wzorze.

– Rozgoścmy się! – radośnie powiedział Walter.

Kiedy Maud i Ethel oglądały apartament, przyszedł Robert, a za nim kelner z szampanem i kieliszkami. Walter strzelił korkiem i napełnił kieliszki. Gdy wszyscy czworo trzymali je w dłoniach, Robert rzekł:

– Chcę wznieść toast.

Odchrząknął i Maud z rozbawieniem pojęła, że zamierza wygłosić przemowę.

– Mój kuzyn Walter to niezwykle człowiek – zaczął. – Zawsze wydawał się starszy ode mnie, aczkolwiek w rzeczywistości jesteśmy w tym samym wieku. Kiedy studiowaliśmy razem w Wiedniu, nigdy się nie upijał. Kiedy całą grupą wychodziliśmy wieczorem, by odwiedzić wiadome przybytki w mieście, on zostawał w domu i uczył się. Myślałem, że może jest mężczyzną, który nie kocha kobiet. – Robert uśmiechnął się krzywo. – W istocie to ja jestem taki, lecz to zupełnie inna historia, jak mawiają Anglicy. Walter kocha swoją rodzinę i pracę i kocha Niemcy, ale nigdy nie kochał kobiety. Aż do teraz. Zmienił się. – Robert uśmiechnął się łobuzersko. – Kupuje nowe krawaty. Zadaje mi pytania, kiedy należy całować dziewczynę, czy mężczyzna powinien używać wody kolońskiej, w jakich kolorach mu dobrze, jakbym ja wiedział, co lubią kobiety. A najgorsze z tego wszystkiego jest moim zdaniem to... – zrobił dramatyczną pauzę – że gra ragtime'y!

Pozostała trójka się roześmiała. Robert podniósł kieliszek.

– Za kobietę, która dokonała takich zmian: pannę młodą!

Wypili, a potem, ku zaskoczeniu Maud, przemówiła Ethel.

– Mnie wypada wznieść toast za pana młodego – powiedziała, jakby przez całe życie wygłaszała takie przemowy. Skąd ta walijska służąca bierze taką pewność siebie? Maud przypomniała sobie, że jej ojciec jest kaznodzieją i działaczem związkowym, tak więc miała z kogo brać przykład.

– Lady Maud jest inna od wszystkich znanych mi kobiet z jej klasy – zaczęła Ethel. – Kiedy podjęłam pracę jako pokojówka w Ty Gwyn, ona jako jedyna z rodziny Fitzherbertów zwracała na mnie uwagę. Tutaj, w Londynie, kiedy młode niezamężne kobiety rodzą dzieci, większość szacownych starszych pań narzeka na upadek moralności, tymczasem Maud zapewnia im prawdziwą i praktyczną pomoc. Na londyńskim East Endzie jest uważana za świętą. Jednak ma pewne wady, i to poważne.

Co dalej? – pomyślała Maud.

– Jest zbyt inteligentna, by związać się z przeciętnym mężczyzną – mówiła Ethel. – Niemal wszystkich londyńskich kawalerów przyciągała jej uderzająca uroda i żywa osobowość, lecz odstraszała mądrość i polityczny realizm. Jakiś czas temu zrozumiałam, że tylko bardzo niezwykle mężczyzna zdoła ją zdobyć. Będzie musiał być mądry i mieć otwarty umysł, być zasadniczy, ale nie ortodoksyjny, stanowczy, ale nie apodyktyczny. – Ethel się uśmiechnęła. – Myślałam, że taki mężczyzna nie

istnieje. Aż tu nagle, w styczniu, wjechał taksówką z dworca Aberowen na wzgórze, wszedł do Ty Gwyn i czekanie się skończyło. – Podniosła kieliszek. – Za pana młodego! Znów wszyscy czworo wypili, po czym Ethel wzięła Roberta pod rękę.

– Teraz możesz zabrać mnie do Ritza na obiad, Robercie – powiedziała.

– Myślałem, że wszyscy razem zjemy obiad tutaj – zdziwił się Walter.

Ethel obrzuciła go filuternym spojrzeniem.

– Nie bądź niemądry, człowieku. – Ruszyła do drzwi, pociągając za sobą Roberta.

– Dobrej nocy – rzucił Robert, chociaż była dopiero osiemnasta.

Wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

Maud się roześmiała.

– Ta gospodyni jest bardzo inteligentna – stwierdził Walter.

– Ona mnie rozumie. – Maud podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. – A teraz... do sypialni.

– Czy wolałabyś rozebrać się, zanim przyjdę? – spytał Walter nieco zaniepokojony.

– Niespecjalnie. Nie chciałbyś popatrzeć?

Przełknął ślinę i odparł lekko ochryplym głosem:

– Tak, proszę. Chciałbym.

Otworzył i przytrzymał jej drzwi, a Maud weszła do sypialni.

Pomimo udawanej śmiałości była trochę zdenerwowana, gdy usiadła na skraju łóżka i zdjęła buty. Nikt nie widział jej nagiej, od kiedy skończyła osiem lat. Nie wiedziała, czy jej ciało jest piękne, ponieważ nigdy nie widziała ciała innej osoby. W porównaniu z aktami w muzeum miała małe piersi i szerokie biodra. A między nogami kępkę włosów, której nie było na żadnym obrazie. Czy Walter pomyśli, że jest brzydka?

Zdjął marynarkę i kamizelkę, po czym machinalnie powiesił je na krześle. Podejrzewała, że pewnego dnia przyzwyczają się do tego. Jak wszyscy. Teraz jednak czuła się dziwnie, bardziej przejęta niż podniecona.

Ściągnęła pończochy i zdjęła kapelusz. Następny krok miał być poważniejszy. Wstała.

Walter przestał rozwiązywać krawat.

Maud szybko rozpięła spódnicę i pozwoliła jej opaść na podłogę. Potem zsunęła halkę i ściągnęła bluzkę przez głowę.

Stanęła przed nim w bieliźnie i patrzyła na jego twarz.

– Jesteś taka piękna – powiedział, prawie szepcząc.

Uśmiechnęła się. Zawsze mówi to, co trzeba.

Wzjął ją w ramiona i pocałował. Uspokoiła się trochę, prawie rozluźniła. Rozkoszowała się dotykiem jego ust na swoich ustach, tych delikatnych warg i lekko drapiących wąsów. Pogładziła go po policzku, czubkami palców ścisnęła płatek ucha i przesunęła dłoń po jego karku, wyczuwając wszystko wyostrzonymi zmysłami, myśląc: to wszystko jest teraz moje.

– Połóżmy się – powiedział.

– Nie. Jeszcze nie. – Cofnęła się o krok. – Zaczekaj.

Zdjęła halkę, ukazując nowoczesny biustonosz. Rozpięła zapięcie na plecach, po czym rzuciła go na podłogę. Spojrzała na Waltera wyzywająco, na wypadek gdyby nie spodobały mu się jej piersi.

– Są piękne. Mogę je pocałować?

– Możesz robić, co chcesz – odparła, czując się rozkosznie rozwiązła.

Pochylił głowę i ucałował najpierw jedną, a potem drugą pierś, delikatnie przesuwając wargi po jej sutkach, które stwardniały, jakby w pokoju zrobiło się zimno. Nagle zapragnęła zrobić to samo co on i zastanawiała się, czy uznałby to za dziwaczne. Mógłby tak całować jej piersi w nieskończoność. Odepchnęła

go delikatnie.

– Zdejmij resztę rzeczy – poprosiła. – Szybko.

Zdjął buty, skarpetki, krawat, koszulę, podkoszulek i spodnie, po czym się zawahał.

– Wstydzę się – wyznał ze śmiechem. – Nie wiem dlaczego.

– Ja pierwsza.

Rozwiązała tasiemkę majtek i ściągnęła je. Kiedy podniosła głowę, on też był nagi i zaskoczona stwierdziła, że jego penis sterczy z kępki jasnych włosów. Przypomniała sobie, jak ścisnęła go przez ubranie w operze, i zapragnęła znowu go dotknąć.

– Czy teraz możemy się położyć? – zapytał.

To zabrzmiało tak oficjalnie, że się roześmiała. Zrobił urażoną minę i natychmiast poczuła skruchę.

– Kocham cię – powiedziała i rozpogodził się. – Proszę, połóżmy się.

Była tak podniecona, że miała wrażenie, iż zaraz coś w niej pęknie.

Z początku leżeli obok siebie, całując się i dotykając.

– Kocham cię – powtórzyła. – Jak szybko znudzi ci się słuchanie tego?

– Nigdy – odparł z galanterią.

Wierzyła mu.

– Teraz? – zapytał po pewnym czasie, a ona skinęła głową.

Rozłożyła nogi. On położył się na niej, podpierając się łokciami. Była spięta. Przeniósłszy ciężar ciała na lewą rękę, prawą sięgnął między jej uda i poczuła, jak jego palce rozchylają wilgotne wargi, a potem coś większego. Pchnął i nagle poczuła ból. Krzyknęła.

– Przepraszam! Sprawilem ci ból. Tak strasznie mi przykro.

– Po prostu zaczekaj chwilę – poprosiła. Ten ból nie jest taki okropny. Była raczej zaskoczona. – Spróbuj jeszcze raz – zaczęła go. – Tylko delikatnie.

Znow poczuła, jak jego penis dotyka jej warg sromowych, i zrozumiała, że w nią nie wejdzie: jest za duży albo ona za mała, albo jedno i drugie. Jednak pozwoliła mu pchać w nadziei, że będzie dobrze. Bolało, lecz tym razem zacisnęła zęby i powstrzymała się od krzyku. Ten stoicyzm na nic się jednak nie zdał. Po chwili Walter zaprzestał wysiłków.

– Nie wejdzie – stwierdził.

– Co jest nie tak? – spytała przygnębiona. – Myślałam, że to będzie zupełnie naturalne.

– Nie rozumiem tego. Nie mam doświadczenia.

– Ja też nie. – Wyciągnęła rękę i chwyciła jego penis. Był sztywny, lecz gładki jak jedwab i uwielbiała trzymać go w dłoni. Spróbowała wprowadzić go w siebie, unosząc biodra, żeby to ułatwić, lecz po chwili Walter wycofał się, mówiąc: – Ach! Przepraszam! Mnie też to boli.

– Myślisz, że jesteś większy niż przeciętny mężczyzna? – zapytała ostrożnie.

– Nie. Kiedy byłem w wojsku, widziałem wielu nagich mężczyzn. Niektórzy mieli je bardzo duże i byli z nich dumni, ale mój jest przeciętny, a poza tym nigdy nie słyszałem, żeby któryś z nich skarżył się na takie trudności.

Maud pokiwała głową. Jedyne inne penis, jaki widziała, należał do Fitz'a, i o ile pamiętała, miał takie same rozmiary jak Waltera.

– Może ja jestem za mała?

Pokręcił głową.

– Kiedy miałem szesnaście lat, odwiedziłem rodzinę Roberta w ich zamku na Węgrzech. Była tam pokojówka, Greta, bardzo... energiczna. Nie odbyliśmy stosunku, ale eksperymentowaliśmy. Dotykałem jej w taki sposób, w jaki dotykałem ciebie w bibliotece Sussex House. Mam nadzieję, że nie rozgniewałem cię, mówiąc ci o tym.

Pocałowała jego brodę.

– Wcale nie.

– Pod tym względem Greta niewiele się od ciebie różniła.

– Więc co jest nie tak?

Westchnął i położył się obok niej. Wsunął rękę pod jej głowę i przyciągnawszy do siebie, pocałował w czoło.

– Słyszałem, że młode pary miewają z tym kłopoty. Czasem mężczyzna jest tak podniecony, że nie dostaje erekcji. Słyszałem również o mężczyznach, którzy są tak podnieceni, że mają wytrysk, zanim jeszcze dojdzie do stosunku. Sądzę, że musimy być cierpliwi, kochać się, i zobaczymy, co będzie.

– Przecież mamy tylko jedną noc! – Maud się rozplakała.

Walter pogładził ją po głowie, mówiąc: „Już dobrze, dobrze”, ale to nic nie dało. Była załamana. Myślałam, że jestem taka sprytna, wymykając się bratu i w tajemnicy poślubiając Waltera, a teraz wszystko skończyło się katastrofą. Była rozczarowana, ale jeszcze bardziej było jej żal Waltera. Jakże to straszne, że czekał z tym dwadzieścia osiem lat i poślubił kobietę, która nie może go zaspokoić!

Chciałaby o tym z kimś porozmawiać, z jakąś inną kobietą – ale z kim? Pomysł omawiania tego z ciotką Herm był po prostu śmieszny. Niektóre kobiety dzieliły się sekretami ze swoimi pokojówkami, ale Maud nigdy nie robiła tego z Sanderson. Pomyślała o Ethel. Z nią mogłaby porozmawiać. Uświadomiła sobie, że to przecież Ethel powiedziała jej, iż to normalne mieć włosy między nogami. Jednak Ethel poszła na obiad z Robertem.

Walter usiadł na łóżku.

– Zamówmy kolację i może butelkę wina – zaproponował. – Usiądziemy przy stole jak mąż z żoną i przez chwilę porozmawiamy sobie o tym i owym, a potem... później spróbujemy znowu.

Maud nie była głodna i nie wyobrażała sobie rozmowy „o tym i owym”, ale nie miała lepszego pomysłu, więc się zgodziła.

Przybita, ubrała się. Walter też szybko się ubrał, poszedł do sąsiedniego pokoju i zadzwonił po kelnera. Słyszała, jak zamawia wędliny, wędzoną rybę, sałatki i butelkę białego reńskiego wina. Usiadła przy otwartym oknie i spoglądała na ulicę w dole.

Plakat na kiosku z gazetami mówił o brytyjskim ultimatum dla Niemiec. Walter może zostać zabity na tej wojnie. Nie chciała, by umarł, nie straciwszy dziewictwa.

Walter zawołał ją kiedy przyniesiono kolację. Kelner rozłożył na stole biały obrus i ustawił na nim półmiski z wędzonym łososiem, plasterkami szynki, sałatą, pomidorami, ogórkiem oraz kromkami chleba. Nie była głodna, ale sączyła białe wino i skubała łososia, aby okazać dobrą wolę.

W końcu jednak rozmawiali „o tym i owym”. Walter wspominał swoje dzieciństwo, matkę oraz studia w Eton. Maud opowiadała o przyjęciach wydawanych w Ty Gwyn za życia jej ojca. Jego gośćmi byli najbardziej wpływowi ludzie na świecie, a matka musiała tak przydzielać pokoje, żeby ulokować mężczyzn obok ich kochanek.

Z początku Maud ostrożnie dobierała słowa, jakby byli dwójkiem ledwo znających się ludzi, ale wkrótce powróciła ich zwykła bliskość i zaczęła mówić to, co przychodziło jej do głowy. Kelner sprzątnął ze stołu i przenieśli się na kanapę, gdzie nadal rozmawiali, trzymając się za ręce. Zastanawiali się nad pożyciem seksualnym innych ludzi: swoich rodziców, Fitzę, Roberta, Ethel, a nawet księżnej. Maud słuchała zafascynowana o takich mężczyznach jak Robert: gdzie się spotykają, jak się rozpoznają i co robią. Walter powiedział jej, że całują się tak, jak inni mężczyźni całują kobiety, i robią to, co ona robiła mu w operze, oraz inne rzeczy... Powiedział, że nie jest pewny szczegółów, jednak ona sądziła, że je zna, ale jest zbyt zawstydzony, by o nich mówić.

Była zaskoczona, gdy zegar na kominku wybił północ.

– Chodźmy do łóżka – powiedziała. – Chcę leżeć w twoich

ramionach, nawet jeśli nie będzie tak, jak być powinno.

– Dobrze. – Wstał. – Masz coś przeciwko temu, że najpierw coś zrobię? W holu jest telefon do użytku gości. Chciałbym zadzwonić do ambasady.

– Oczywiście.

Wyszedł. Maud poszła korytarzem do łazienki, a potem wróciła do apartamentu. Zdjęła ubranie i położyła się naga na łóżku. Prawie nie przejmowała się już tym, co będzie dalej. Kochają się, są razem i nawet jeśli to ma być wszystko, zupełnie wystarczy. Walter wrócił po kilku minutach. Miał ponurą minę i natychmiast zrozumiała, że ma złe wieści.

– Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom – oznajmił.

– Och, Walterze, tak mi przykro!

– Ambasada otrzymała notę godzinę temu. Młody Nicolson przyniósł ją prosto z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wyciągnął księcia Lichnowsky'ego z łóżka.

Wiedzieli, że niemal na pewno tak się stanie, a mimo to rzeczywistość spadła na Maud jak cios. Widziała, że Walter też jest załamany.

Machinalnie zdjął ubranie, jakby rozbierał się przy niej od lat.

– Wyjeżdżamy jutro – powiedział.

Zdjął majtki i zobaczyła, że jego penis w normalnym stanie jest mały i pomarszczony.

– O dziesiątej mam być na Liverpool Station ze spakowanymi bagażami.

Zgasił światło i położył się obok niej.

Leżeli, nie dotykając się, i przez jedną okropną chwilę Maud myślała, że Walter zaraz zaśnie, ale odwrócił się do niej, wziął ją w ramiona i pocałował. Pomimo wszystko płonęła z pożądania, niemal tak, jakby przez te kłopoty pokochała go jeszcze mocniej i rozpaczliwiej. Poczwała, jak jego penis rośnie i twardnieje, dotykając jej łona. Po chwili położył się na niej. Tak jak przedtem, oparł się na lewej ręce i dotykał jej prawą. I jak przedtem poczwała, że jego twardy penis napiera na jej wargi sromowe. Zabolało – ale tylko przez chwilę. Tym razem wszedł w nią.

Napotkał lekki opór, a potem straciła dziewictwo i nagle był w niej cały. Leżeli zamknięci w najstarszym z uścisków.

– Och, dzięki Bogu – westchnęła, po czym ulgę zastąpiła rozkosz i zaczęła poruszać się w radosnym rytmie wraz z nim. Nareszcie się kochają.

CZEŚĆ DRUGA

Wojna olbrzymów

ROZDZIAŁ 12

Sierpień 1914 roku

i.

Katerina była zrozpaczona. Kiedy w całym Sankt Petersburgu rozwieszono ogłoszenia o mobilizacji, siedziała w wynajętym pokoju Grigorija, płacząc, szarpiąc długie włosy i powtarzając:

– Co ja zrobię? Co ja zrobię?

Grigorij miał ochotę wziąć ją w ramiona, scałować łązy i obiecać, że nigdy jej nie opuści. Nie mógł jednak złożyć takiej obietnicy,

a poza tym kochała jego brata. Peszków odbył już służbę wojskową, tak więc był rezerwista, teoretycznie przygotowanym do walki. W rzeczywistości większość szkolenia polegała na maszerowaniu i układaniu dróg. Pomimo to spodziewał się, że będzie wśród pierwszych powołanych. Był wściekły. Ta wojna jest głupia i bezsensowna jak wszystko, co robi car Mikołaj. Zamordowano kogoś w Bośni, a miesiąc później Rosja walczy z Niemcami! Po obu stronach zginą tysiące członków klasy pracującej i wieśniaków, w dodatku niepotrzebnie. Zdaniem Grigorija i wszystkich jego znajomych dowodzi to dobitnie, że rosyjska arystokracja jest zbyt głupia, by rządzić. Nawet jeśli przeżyje, wojna zniweczy jego plany. Oszczędza na drugi bilet do Ameryki. Przy jego pensji w Zakładach Putiłowskich może mu to zająć dwa lub trzy lata, lecz z żołnierskiego żołdu nigdy go nie kupi. Ile jeszcze lat będzie musiał znosić niesprawiedliwość i okrucieństwo carskich rządów? Jeszcze bardziej martwił się o Katerinę. Co zrobi, jeśli on pójdzie na wojnę? Dzieli pokój z trzema innymi dziewczętami i pracuje w Zakładach Putiłowskich, pakując naboje karabinowe do kartonowych pudełek. Będzie jednak musiała przerwać pracę, przynajmniej na jakiś czas, kiedy urodzi. Jak bez Grigorija utrzyma siebie i dziecko? Będzie zdesperowana, a wiedział, co wiejskie dziewczyny robią w Sankt Petersburgu, kiedy rozpaczliwie potrzebują pieniędzy. Boże broń, żeby miała sprzedawać swoje ciało na ulicach. Jednak nie powołano go ani pierwszego dnia, ani pierwszego tygodnia. Według gazet w ostatnim dniu lipca zmobilizowano dwa i pół miliona rezerwistów, ale to były zwykłe bajki. Niemożliwe, by tylu mężczyzn wezwano, odziano w mundury i wsadzono do jadących na front pociągów jednego dnia, a nawet miesiąca. Wzywano ich grupami, jednych wcześniej, innych później. Gdy minęły pierwsze gorące dni sierpnia, Grigorij zaczął myśleć, że może go pominięto. Istniała taka możliwość. Armia była jedną z najgorzej zarządzanych instytucji w tym beznadziejnie zdezorganizowanym kraju, więc zapewne o tysiącach mężczyzn zapomniano na skutek potwornej niekompetencji. Katerina miała zwyczaj zachodzić do jego pokoju każdego ranka, kiedy robił śniadanie. To był najprzyjemniejszy moment jego dnia. On zawsze był już wtedy umyty i ubrany, lecz ona przychodziła w halce, w której sypiała, czarująco potargana i ziewająca. Halka była już na nią za mała, ponieważ Katerina przytyła. Według jego wyliczeń była w piątym miesiącu ciąży. Jej piersi i biodra powiększyły się i miała mały, lecz zauważalny brzuch. Patrzenie na jej bujne kształty było rozkoszną torturą. Grigorij starał się, by tego nie zauważyła. Pewnego ranka weszła, kiedy smażył jajecznicę z dwóch kurzych jaj. Już nie gotował na śniadanie owsianki. Nienarodzone dziecko jego brata potrzebuje dobrego jedzenia, żeby urosło silne i zdrowe. Przeważnie Grigorij miał coś pożywnego dla siebie i Kateriny: szynkę, śledzie lub jej ulubione parówki. Katerina zawsze była głodna. Usiadła przy stole, odkroiła z bochenka grubą pajdę razowego chleba i zaczęła jeść, nie mogąc się doczekać.

– Kiedy ginie żołnierz, kto dostaje jego zaległy żołd? – zapytała z pełnymi ustami.

Grigorij przypomniał sobie, że podawał nazwisko i adres najbliższego krewnego.

– W moim przypadku Lew.

– Zastanawiam się, czy on jest już w Ameryce.

– Na pewno. Nie potrzeba ośmiu tygodni, żeby tam dopłynąć.

– Mam nadzieję, że znalazł pracę.

– Nie musisz się martwić. Nic mu nie będzie. Wszyscy go lubią.

Grigorij poczuł gniew i urazę na wspomnienie brata. To Lew powinien być tu, w Rosji, opiekować się Kateriną i niepokoić

poborem, podczas gdy Grigorij rozpoczynałby tak długo planowane nowe życie, na które oszczędzał. Lew pozbawił go tej możliwości. Ale Katerina nadal martwi się o mężczyznę, który ją porzucił, a nie o tego, który został.

– Jestem pewna, że dobrze sobie radzi w Ameryce, ale chciałabym dostać od niego list.

Grigorij wkroił do jajecznicy resztkę żółtego sera i posolił. Ze smutkiem zastanawiał się, czy dostaną kiedyś jakąś wiadomość z Ameryki. Lew nigdy nie był sentymentalny i być może postanowił zapomnieć o swojej przeszłości, porzucając ją jak jaszczurka stara skórę. Jednak Peszków nie powiedział tego przez wzgląd na Katerinę, która wciąż miała nadzieję, że Lew ją tam ściągnie.

– Myślisz, że będziesz walczył? – zapytała.

– Nie, jeśli tylko będę mógł tego uniknąć. O co mamy walczyć?

– Mówią, że za Serbię.

Grigorij nałożył jajecznicę na dwa talerze i usiadł przy stole.

– To kwestia tego, czy Serbia będzie pod jarzmem austriackiego cesarza, czy rosyjskiego cara. Wątpię, by Serbowie chcieli jednego czy drugiego, a ja na pewno nie.

Zaczął jeść.

– Zatem za cara.

– Walczyłbym za ciebie, za Lwa, za siebie lub twoje dziecko... ale za cara? Nie.

Katerina szybko zjadła jajecznicę i wytarła talerz drugą kromką chleba.

– Jakie chłopięce imiona ci się podobają?

– Mój ojciec miał na imię Siergiej, a jego ojcem był Tichon.

– Mnie podoba się Michaił. Jak archanioł.

– Większości ludzi także. Dlatego to takie popularne imię.

– Może powinnam dać mu na imię Lew? Albo Grigorij?

To mu sprawiło przyjemność. Uświadomił sobie, że pragnie mieć bratanka noszącego jego imię, jednak nie powinien niczego się od niej domagać.

– Lew to ładne imię – przyznał.

Zawyła syrena fabryczna – jej dźwięk słychać było w całej dzielnicy – i Grigorij zaczął zbierać się do wyjścia.

– Zmyję talerze – powiedziała Katerina.

Zaczynała pracę o siódmej, godzinę później niż Grigorij.

Nadstawiła policzek i Grigorij ją pocałował. To był tylko przelotny całus i Peszków nie pozwolił swoim wargom zatrzymać się choć odrobinę dłużej, mimo to cieszył się miękką gładkością jej skóry i ciepłym sennym zapachem jej szyi.

Potem włożył czapkę i wyszedł.

Pomimo wczesnej godziny letni dzień był ciepły i parny.

Grigorij zaczął się pocić, idąc różnym krokiem.

Przez te dwa miesiące od wyjazdu Lwa między Grigorijem i Kateriną nawiązała się niełatwa przyjaźń. Ona polegała na nim, a on dbał o nią, ale to nie tego oboje pragnęli. Grigorij chciał miłości, nie przyjaźni. Katerina chciała Lwa, nie Grigorija. On jednak czerpał satysfakcję z troszczenia się o to, by dobrze się odżywiała, bo tylko w ten sposób mógł wyrazić swoją miłość. To nie powinno trwać długo, ale w tym momencie trudno było myśleć długoterminowo. Wciąż zamierzał uciec z Rosji i znaleźć drogę do amerykańskiej ziemi obiecanej.

Na fabrycznej bramie rozlepiono nowe ogłoszenia o mobilizacji i ludzie tłoczyli się przy niej, a nieumiejący czytać błagali innych, by im je odczytali. Peszków znalazł się obok Izaaka, kapitana drużyny piłkarskiej. Byli w tym samym wieku i razem przeszli do rezerwy. Spojrzał na ogłoszenia, szukając nazwy regimentu. Dzisiaj ją znalazł.

Sprawdził jeszcze raz, ale wzrok go nie mylił: regiment narwski.

Powiódł wzrokiem po liście nazwisk i znalazł swoje.

Nie wierzył, że tak się stanie. Oszukiwał się. Ma dwadzieścia

pięć lat, jest zdrowy i silny, idealny materiał na żołnierza. To oczywiste, że pójdzie na wojnę.

Co się stanie z Kateriną? I jej dzieckiem?

Izaak głośno zaklął. Jego nazwisko też było na liście.

– Nie musicie się tym przejmować – powiedział ktoś za ich plecami.

Odwrócili się i zobaczyli wysoką chudą sylwetkę Kanina, przyjacielskiego nadzorcy działu odlewni, inżyniera po trzydziestce.

– Nie musimy się tym przejmować? – sceptycznie powtórzył Grigorij. – Katerina spodziewa się dziecka Lwa i nie ma nikogo, kto by się nią zaopiekował. Co mam robić?

– Widziałem się z człowiekiem kierującym mobilizacją w tej dzielnicy – rzekł Kanin. – Obiecał zostawić w spokoju wszystkich moich robotników. Tylko wicherzyciele muszą iść do wojska. W sercu Peszkowa znów obudziła się nadzieja. To brzmi zbyt dobrze, by mogło być prawdą.

– Co mamy robić? – spytał Izaak.

– Po prostu nie idźcie do koszar. Wszystko będzie dobrze. To już załatwione.

Izaak był agresywny – niewątpliwie to czyniło go tak dobrym sportowcem. Nie zadowolili go odpowiedź Kanina.

– Jak załatwione? – dopytywał się.

– Wojsko przekazuje policji listę tych, którzy się nie stawili, a policja ich łapie. Twoje nazwisko po prostu nie znajdzie się na tej liście.

Izaak mruknął coś, niezadowolony. Grigorij podzielał jego niechęć do takiego nieoficjalnego załatwiania spraw, gdyż coś mogło pójść źle, ale tak właśnie wyglądały kontakty z władzami. Kanin przekupił urzędnika albo wyświadczył mu jakąś przysługę. Nie było sensu się oburzać.

– To wspaniale – powiedział Peszków do Kanina. – Dziękuję.

– Nie dziękuj – łagodnie odparł Kanin. – Zrobiłem to dla siebie i Rosji. Potrzebujemy fachowców takich jak wy dwaj do produkowania pociągów, a nie zatrzymywania niemieckich kul. To mogą robić niepiśmienni wieśniacy. Rząd jeszcze tego nie pojął, ale z czasem zrozumie, a wtedy mi podziękują.

Grigorij i Izaak przeszli przez bramę.

– Możemy mu zaufać – rzekł Grigorij. – Co mamy do stracenia?

Stanęli w kolejce, by zgłosić swoje przyjście, wrzucając do puszek blaszki z numerkiem.

– To dobra wiadomość – dodał.

Izaak nie wyglądał na przekonanego.

– Wolałbym mieć pewność.

Ruszyli w kierunku odlewni. Grigorij starał się zapomnieć o zmartwieniach i przygotować do całodziennej pracy. Zakłady Putiłowskie produkowały teraz więcej pociągów niż kiedykolwiek. Armia musiała zakładać, że część lokomotyw i wagonów zostanie zniszczona pociskami, więc zaraz po rozpoczęciu walk będą potrzebne uzupełnienia. Naciskano na brygadę Grigorija, żeby szybciej produkowali koła.

Podwijając rękawy, wszedł do warsztatu. Barak był mały, a palenisko nagrzewało go nawet w zimie, w pełni lata zmieniając w rozgrzany piec. Słychać było pisk i brzęk metalu skrawanego i polerowanego przez tokarki.

Zobaczył stojącego przy tokarce Konstantina i ściągnął brwi, widząc minę przyjaciela: ostrzegała, że coś jest nie tak. Izaak też to zauważył. Zareagował szybciej niż Peszków. Przystanął, złapał go za rękę i powiedział:

– Co...?

Nie dokończył pytania.

Zza paleniska wyskoczyła jakaś postać w czarno-zielonym mundurze i drewnianym młotem uderzyła Grigorija w twarz.

Próbował uchylić się przed ciosem, ale zareagował odrobinę za późno i główka młota uderzyła go w policzek, obalając na ziemię. Poczł przeszywający ból i krzyknął.

Pociemniało mu w oczach i dopiero po dłuższej chwili odzyskał wzrok. Spojrzał w górę i zobaczył Michaiła Pińskiego, miejscowego kapitana policji.

Powinien był się tego spodziewać. Upiekło mu się wtedy, po bójce w lutym, ale policjanci nigdy nie zapominają takich rzeczy. Zobaczył, jak Izaak szarpie się z pomagierem Pińskiego, Ilją Kozłowem, i dwoma innymi policjantami.

Grigorij leżał na ziemi. Nie zamierzał walczyć, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Pozwoli Pińskiemu się zemścić, może wtedy policjant się uspokoi.

Nie zdołał jednak wytrwać w tym postanowieniu.

Piński znów zamachnął się młotem. W nagłym przeblysku Grigorij rozpoznał swoje własne narzędzie, używane do wbijania form w piasek. Młot spadał na jego głowę.

Uchylił się, ale Piński uderzył na skos i ciężkie dębowe narzędzie spadło na jego lewy bark. Ryknął z bólu i gniewu. Kiedy Piński łapał równowagę, Grigorij zerwał się z ziemi. Lewą rękę miał bezwładną i bezużyteczną, ale prawą sprawną. Zamachnął się, by uderzyć Pińskiego pięścią, nie zważając na konsekwencje. Nie zdołał zadać ciosu. Tuż przy nim pojawiły się dwie następne postacie w czarno-zielonych mundurach i mocno złapały go za ręce. Próbował się wyrwać, ale nie zdołał. Miał oczy zamglone z wściekłości. Zobaczył, jak Piński znów unosi młot. Trafił go w pierś i Grigorij poczuł, jak pękają mu żebra. Następny cios zadał niżej, w brzuch. Peszków zgiał się i zwrócił śniadanie. Oberwał w skroń. Na moment stracił przytomność i odzyskał ją, zwisając bezwładnie, trzymany przez dwóch policjantów. Dwaj inni złapali Izaaka.

– To cię uspokoiło? – warknął Piński.

Grigorij splunął krwią. Jego ciało było jednym wielkim bólem, nie mógł zebrać myśli. Co się stało? Piński go nienawidzi, ale musiało się wydarzyć coś, co doprowadziło do tej sytuacji. Ponadto Piński śmiało sobie poczynał, robiąc to w fabryce, otoczony przez robotników, którzy nie mają powodu, by lubić policjantów. Z jakiejś przyczyny musi być bardzo pewny swego.

Piński zważył w ręku młotek, jakby szykował się do zadania kolejnego ciosu. Peszków napiął mięśnie i powstrzymał chęć błagania o litość.

– Jak się nazywasz? – nagle zapytał Piński.

Grigorij próbował się odezwać, lecz za pierwszym razem tylko krew popłynęła mu z ust. W końcu zdołał odpowiedzieć:

– Grigorij Siergiejewicz Peszków.

Młot znów uderzył go w brzuch. Grigorij jęknął i z wymiotował krwią.

– Kłamca – syknął Piński. – Jak się nazywasz?

Znowu się zamachnął.

Konstantin odszedł od tokarki i zrobił krok w ich stronę.

– Oficerze, ten człowiek to Grigorij Peszków! – zaprotestował. – Wszyscy znamy go od lat!

– Nie lżyj mi tu. – Piński podniósł młot. – Albo sam tego posmakujesz.

Wtrąciła się Waria, matka Konstantina.

– To prawda, Michaiłe Michaiłowiczu. – Ten patronimiczny zwrot świadczył o tym, że zna Pińskiego. – Jest tym, za kogo się podaje.

Stała z rękami skrzyżowanymi na wydatnym biuście, jakby wyzywała policjanta, by jej nie uwierzył.

– Zatem wyjaśnij mi to. – Piński wyjął z kieszeni jakiś papier. – Grigorij Siergiejewicz Peszków opuścił Sankt Petersburg dwa miesiące temu na pokładzie statku „Anioł Gabriel”.

Pojawił się nadzorca Kanin.

– Co się tu dzieje? – zapytał. – Dlaczego nikt nie pracuje?

Piński wskazał Peszkowa.

– Ten człowiek to Lew Peszków, brat Grigorija, poszukiwany za zamordowanie funkcjonariusza policji!

Wszyscy zaczęli krzyczeć jednocześnie. Kanin uciszył ich podniesieniem ręki.

– Oficerze, znam zarówno Grigorija, jak i Lwa Peszkowa, i widywałem ich niemal codziennie przez kilka lat. Są podobni, jak zazwyczaj bracia, ale mogę pana zapewnić, że to jest Grigorij. A pan wstrzymuje pracę tego działu.

– Jeśli to jest Grigorij – powiedział Piński z miną człowieka, który pokazuje atutową kartę – to kto odpłynął na statku „Anioł Gabriel”?

Gdy tylko zadał to pytanie, odpowiedź stała się oczywista. Po chwili pojawił ją także Piński i zrobił głupią minę.

– Ukradziono mi paszport i bilet – wyjaśnił Grigorij.

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego na policji?! – wrzasnął Piński.

– A co by to dało? Lew opuścił kraj. Nie możecie sprowadzić z powrotem ani jego, ani mojej własności.

– To czyni cię współnikiem jego ucieczki.

Kanin znów interweniował:

– Kapitanie Piński, zaczął pan od oskarżenia tego człowieka o morderstwo. Może to dostateczny powód, żeby zatrzymać produkcję odlewni. Jednak przyznał się pan do pomyłki, a teraz zarzuca mi pan tylko to, że nie zgłosił kradzieży dokumentów. Tymczasem nasz kraj prowadzi wojnę, a pan wstrzymuje produkcję lokomotyw tak bardzo potrzebnych rosyjskiej armii. Jeśli nie chce pan, żeby pana nazwisko znalazło się w naszym następnym raporcie dla dowództwa armii, proponuję, żeby szybko zakończył pan to przesłuchanie.

Piński spojrzał na Grigorija.

– Do jakiego regimentu masz przydział?

– Do narwskiego – odruchowo odpowiedział Grigorij.

– Ha! – wykrzyknął Piński. – Dziś został zmobilizowany. – Spojrzał na Izaaka. – Założę się, że ty też.

Izaak nie odpowiedział.

– Puścić ich – rozkazał Piński.

Kiedy go puścili, Peszków zachwiał się, ale zdołał utrzymać się na nogach.

– Lepiej stawcie się w punkcie zbiorczym, tak jak nakazano – powiedział Piński. – Inaczej się wami zajmę.

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował, ratując resztki godności. Jego ludzie poszli za nim.

Grigorij ciężko opadł na stołek. Potwornie bolała go głowa, pęknięte żebra i posiniaczony brzuch. Chciał zwinąć się w kłębek w jakimś kącie i stracić przytomność. Powstrzymywało go przed tym tylko palące pragnienie zniszczenia Pińskiego i całego systemu, którego ten policjant jest częścią. Pewnego dnia, myślał, pozbędziemy się Pińskiego, cara i wszystkiego, co reprezentują.

– Wojsko nie będzie was ścigać – zapewnił Kanin. – Zadbaliśmy o to, ale obawiam się, że nie mogę nic załatwić z policją.

Grigorij pokiwał ponuro głową. Było tak, jak się obawiał.

Najdotkliwszym ciosem zadany przez Pińskiego, gorszym od uderzeń młotem, będzie dopilnowanie, aby Grigorij i Izaak zostali zmobilizowani.

– Szkoda mi będzie cię stracić – rzekł Kanin. – Byłeś dobrym pracownikiem.

Wyglądał na szczerze poruszonego, ale był bezsilny. Stał jeszcze chwilę, po czym bezradnie rozłożył ręce i opuścił warsztat.

Waria podeszła do Grigorija z miską wody i czystą ścierką.

Zmyła krew z jego twarzy. Była przysadzistą kobietą, lecz miała delikatne dłonie.

– Powinieneś pójść do baraków – powiedziała. – Znaleźć wolne łóżko i położyć się na godzinkę.

– Nie. Pójdę do domu.

Waria wzruszyła ramionami i podeszła do Izaaka, który nie był tak bardzo poturbowany.

Grigorij z trudem wstał. Zakręciło mu się w głowie i Konstantin podtrzymał go, żeby nie upadł, ale w końcu poczuł, że może stać o własnych siłach.

Konstantin podniósł z ziemi jego czapkę i podał mu ją.

Kiedy zaczął iść, znów zrobiło mu się słabo, ale machnięciem ręki zbył propozycje pomocy i po kilku krokach odzyskał równowagę. Wysiłek sprawił, że rozjaśniło mu się w głowie, ale ból żeber zmuszał do ostrożnego marszu. Powoli przeszedł przez labirynt stołów i tokarek, palenisk i pras, przed budynek, a potem do fabrycznej bramy.

Tam spotkał wchodzącą Katerinę.

– Grigorij! Dostałeś wezwanie. Widziałam ogłoszenie! –

Nagle zauważyła jego posiniaczoną twarz. – Co się stało?

– Miałem spotkanie z twoim ulubionym kapitanem policji.

– Ten wieprz Piński! Jesteś ranny!

– Siniaki się zagoją.

– Zabiorę cię do domu.

Grigorij był zdziwiony. Zamienili się rolami. Katerina jeszcze nigdy nie proponowała, że się nim zajmie.

– Mogę iść o własnych siłach.

– Mimo to pójdę z tobą.

Wzięła go pod rękę i razem poszli wąskimi uliczkami pod prad rzeki tysięcy robotników płynącej do fabryki. Grigorij był obolały i miał mdłości, a mimo to cieszyło go, że idzie pod rękę z Kateriną w słońcu wschodzącym nad zaniedbanymi domami i brudnymi ulicami.

Jednak ten spacer zmęczył go bardziej, niż Grigorij się spodziewał, i kiedy wreszcie dotarli do domu, usiadł ciężko na łóżku. Dopiero po chwili zdołał się położyć.

– W pokoju dziewcząt mam schowaną butelkę wódki – powiedziała Katerina.

– Nie, dziękuję, ale napiłbym się herbaty.

Nie miał samowara, więc zaparzyła herbatę w rondlu i podała mu kubek z kawałkiem cukru. Wypił i poczuł się trochę lepiej.

– Najgorsze jest to, że uniknąłbym poboru, ale Piński przysiągł, że dopilnuje, żeby mi się to nie udało.

Usiadła obok niego na łóżku i wyjęła z kieszeni ulotkę.

– Dała mi to jedna z dziewczyn.

Grigorij spojrzał na ulotkę. Wyglądała nijako i urzędowo, jak wszystkie rządowe publikacje. Nosiła tytuł Pomoc rodzinom żołnierzy.

– Jeśli jest się żoną żołnierza, ma się prawo do comiesięcznej zapomogi od wojska. Nie tylko biedne, wszystkie ją dostają – wyjaśniła Katerina.

Peszków niejasno przypominał sobie, że gdzieś o tym słyszał.

Nie zwrócił na to uwagi, bo jego to nie dotyczyło.

Katerina mówiła dalej:

– To nie wszystko. Ma się tanio opał, zniżkę na bilety kolejowe i pomoc w kształceniu dzieci.

– To dobrze – mruknął. Chciało mu się spać. – Takie rozsądne podejście jest niezwykle dla naszej armii.

– Trzeba jednak być mężatką.

Grigorij zaczął słuchać uważniej. Chyba nie proponuje mu...

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Teraz nie przysługuje mi nic.

Oparł się na łokciu i spojrzał na nią. Nagle jego serce zaczęło szybciej bić.

– Gdybym była żoną żołnierza, byłoby mi lepiej. I mojemu dziecku.

– Przecież... kochasz Lwa.

– Wiem. – Zaczęła płakać. – Jednak Lew jest w Ameryce

i nie dba o mnie nawet na tyle, żeby napisać i zapytać, jak się miewam.

– A więc... co chcesz zrobić?

Grigorij znał odpowiedź, ale musiał ją usłyszeć.

– Chcę wyjść za męża.

– Tylko po to, żeby dostać zapomogę dla żony żołnierza?

Skinęła głową i tym skinieniem zgasiła tę słabą iskrę głupiej nadziei, która na moment zapaliła się w jego sercu.

– To tyle by zmieniło. Miałabym trochę pieniędzy, kiedy urodzi się dziecko... szczególnie że ty będziesz w wojsku.

– Rozumiem – odparł z ciężkim sercem.

– Możemy się pobrać? Proszę!

– Tak. Oczywiście.

II.

W cerkwi Błogosławionej Dziewicy brało ślub jednocześnie pięć par. Pop szybko odprawił ceremonię i Grigorij z irytacją zauważył, że nikomu nie patrzył przy tym w oczy. Ten człowiek nie zauważyłby nawet, gdyby któraś z panien młodych była gorylicą.

Grigorij się tym nie przejmował. Ilekroć przechodził koło cerkwi, przypominał mu się pop, który próbował uprawiać seks z jedenastoletnim Lwem. Pogarda Peszkowa do chrześcijaństwa wzmocniła się później pod wpływem wykładów o ateizmie w bolszewickiej grupie dyskusyjnej Konstantina.

Grigorij i Katerina zawierali małżeństwo w przyspieszonym trybie, tak jak pozostałe cztery pary. Wszyscy mężczyźni byli w mundurach. Mobilizacja wywołała lawinę ślubów i cerkwie ledwo nadszły z ich odprawianiem. Grigorij nienawidził munduru – był dla niego symbolem zniewolenia.

Nikomui nie powiedział, że się żeni. Nie uważał, aby było co świętować. Katerina jasno dała mu do zrozumienia, że robi to z czysto praktycznych powodów, żeby dostać zapomogę. Sam w sobie był to bardzo dobry pomysł i Grigorij będzie mniej się niepokoił, przebywając daleko od domu, wiedząc, że jest zabezpieczona finansowo. Jednocześnie nie mógł odpędzić myśli, że ten ślub ma w sobie coś z koszarnej farsy.

Katerina nie miała takich oporów i do cerkwi przyszły wszystkie dziewczęta z jej pokoju oraz kilku robotników z Zakładów Putiłowskich.

Później w pokoju dziewcząt odbyło się przyjęcie z piwem, wódką i skrzypkiem, który grał znane wszystkim melodie. Kiedy goście byli już pijani, Grigorij wymknął się do swojego pokoju. Zdjął buty i położył się na łóżku w spodniach od munduru i koszuli. Zdmuchnął świecę, lecz pokój rozjaśniało światło padające z ulicy. Wciąż był obolały po pobiciu: lewa ręka bolała go, kiedy próbował coś nią zrobić, a pęknięte żebra powodowały przeszywający ból, ilekroć obrócił się na łóżku.

Jutro będzie w pociągu jadącym na zachód. Lada dzień rozpocznie się strzelanina. Bał się. Tylko szalenie się nie boi. Jednak jest sprytny, zdeterminowany i będzie starał się pozostać przy życiu, tak jak robił to, od kiedy zabito jego matkę.

Gdy przyszła Katerina, jeszcze nie spał.

– Wcześniej wyszedłeś z przyjęcia – zganiła go.

– Nie chciałem się upić.

Podciągnęła spódnicę.

Był zdumiony. Patrzył na jej ciało obrysowane światłem ulicznych latarni, długie łuki ud i jasne włosy. Był podniecony i zmieszany.

– Co robisz? – zapytał.

– Kładę się do łóżka.

– Nie tu.

Zdjęła buty.

– O czym ty mówisz? Jesteśmy po ślubie.

– Tylko po to, żebyś mogła dostać zapomogę.

– Mimo to zasługujesz na coś w zamian.

Położyła się na łóżku i pocałowała go. Jej oddech pachniał wódką.

Nie zdołał stłumić rosnącego pożądania i poczerwieniał z podniecenia i wstydu. Zdołał jednak wykrztusić: „Nie”.

Wzięła go za rękę i przycisnęła ją do swojej piersi. Mimowolnie zaczął ją pieścić, delikatnie uciskając czubkami palców, odnajdując sutek przez szorstki materiał sukni.

– Widzisz? – powiedziała. – Przecież chcesz.

Nuta triumfu w jej głosie rozzłościła go.

– Oczywiście, że chcę. Pokochałem cię od pierwszego wejścia. Ty jednak kochasz Lwa.

– Och, dlaczego ty zawsze myślisz o Lwie?

– Nabrałem tego zwyczaju, kiedy był mały i bezbronny.

– Cóż, teraz jest dorosłym mężczyzną i nie zależy mu ani na tobie, ani na mnie. Zabrał twój paszport, bilet i pieniądze, a nam nie zostawił nic, tylko swoje dziecko.

Ma rację, Lew zawsze był samolubny.

– Jednak nie kochasz członków swojej rodziny za to, że są dobrzy i troskliwi. Kochasz ich, ponieważ są twoją rodziną.

– Och, pozwól sobie na chwilę wytchnienia – prychnęła zirytowana. – Jutro idziesz do wojska. Nie chcesz umrzeć, żałując, że mnie nie wypieprzyłeś, chociaż miałeś okazję.

Miał na to wielką ochotę. Chociaż się upiła, jej ciało było ciepłe i zachęcające. Czy nie należy mu się jedna noc zapomnienia?

Przesunęła dłoń po jego nodze i złapała sztywny penis.

– No już, poślubiłeś mnie, równie dobrze możesz wziąć to, do czego masz prawo.

I właśnie w tym problem, pomyślał. Nie kocha go. Chce mu się oddać w zamian za to, co dla niej zrobił. To prostytutka. Był urażony i rozgniewany, a to, że jej pożądał, jeszcze pogarszało sprawę.

Zaczęła przesuwając dłoń po jego członku. Wściekły i rozpalony, odepchnął ją. Popchnął jednak mocniej, niż zamierzał, i spadła z łóżka.

Krzyknęła z zaskoczenia i bólu.

Nie chciał, by tak się stało, lecz był zbyt rozgniewany, by przeproszać.

Przez chwilę leżała na podłodze, płacząc i przeklinając. Oparł się pokusie i nie pomógł jej. Wstała, chwając się.

– Ty świnię! – krzyknęła. – Jak możesz być taki okrutny?! – Obciągnęła spódnicę, zakrywając piękne nogi. – Co to za noc poślubna, podczas której mąż wykopuje żonę z łóżka?

Te słowa uraziły go, lecz leżał nieruchomo i milczał.

– Nigdy nie sądziłam, że możesz być taki nieczuły! Idź do diabła! Idź do diabła!

Wzięła swoje buty, szarpnięciem otworzyła drzwi i wypadła z pokoju.

Grigorij był załamany. Ostatniego dnia w cywilu pokłócił się z kobietą, którą uwielbia. Jeśli zginie w walce, umrze nieszczęśliwy. Co za parszwy świat, pomyślał, co za nędzne życie.

Podszedł do drzwi, żeby je zamknąć. Gdy to robił, usłyszał dobiegający z sąsiedniego pokoju głos Kateriny.

– Grigorij nie może wstać, jest zbyt pijany! – mówiła

z wymuszoną wesołością. – Dajcie mi jeszcze wódki i tańczmy!

Zatrzasnął drzwi i rzucił się na łóżko.

III.

Wreszcie zapadł w niespokojny sen. Nazajutrz obudził się

wcześnie. Umył się, włożył mundur i zjadł trochę chleba. Kiedy zajrzał do pokoju dziewcząt, zobaczył, że wszystkie mocno śpią, na podłodze leżą puste butelki, a powietrze jest ciężkie od papierosowego dymu i oparów rozlanego piwa. Przez długą chwilę przyglądał się Katerinie śpiącej z otwartymi ustami. Potem wyszedł z domu, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy, i powtarzając sobie, że nic go to nie obchodzi.

Zapomniał o tym w podnieceniu i zamieszaniu towarzyszącym meldowaniu się w regimencie, pobieraniu broni i amunicji, szukaniu właściwego pociągu i spotkaniu z nowymi towarzyszami. Przestał myśleć o Katerinie i skupił się na przyszłości.

Wsiadł do pociągu z Izaakiem i kilkuset innymi rezerwistami w nowych szarozielonych mundurach. Tak jak pozostali, miał mosina-naganta rosyjskiej produkcji z długim spiczastym bagnetem. Karabin był tak długi, że oparty kolbą o ziemię sterczał mu powyżej głowy. Widząc rozległy siniec po uderzeniu drewnianym młotem, pokrywający połowę twarzy Grigorija, inni żołnierze brali go za bandziora i traktowali z ostrożnym respektem. Pociąg opuścił Sankt Petersburg i posapując, mknął przez pola i lasy. Zachodzące słońce przeważnie było z przodu i po prawej, tak więc jechali na południowy zachód, do Niemiec. Grigorijowi wydawało się to oczywiste, kiedy jednak powiedział o tym swoim kolegom, ci byli zdziwieni i przejęci: większość z nich nie wiedziała, gdzie leżą Niemcy.

Dopiero drugi raz w życiu jechał pociągiem i wciąż dobrze pamiętał pierwszy raz. Kiedy miał jedenaście lat, matka przywiozła jego i małego Lwa do Sankt Petersburga. Ojca powieszono kilka dni wcześniej, więc młodego Grigorija przepełniał strach i smutek, lecz jak każdy chłopiec był urzeczony jazdą: zapachem smarów, potężną lokomotywą, olbrzymimi kołami, towarzystwem pasażerów w trzeciej klasie oraz upajającą szybkością, z jaką krajobraz przemykał za oknami. Trochę tego uniesienia powróciło teraz i mimo woli pomyślał, że rozpoczyna przygodę, która może być podniecająca, ale i straszna.

Tym razem jednak jechał w bydłonym wagonie, jak wszyscy oprócz oficerów. W wagonie było około czterdziestu mężczyzn: białych i patrzących nieśmiało petersburskich robotników, długobrodych i wolno mówiących wieśniaków, którzy na wszystko spoglądali z zaciekawieniem i podziwem, oraz kilku ciemnokich i czarnowłosych Żydów.

Jeden Żyd usiadł obok Peszkowa i przedstawił się jako Dawid. Powiedział, że jego ojciec wyrabiał wiadra na podwórzu za ich domem, a on chodził od wioski do wioski, sprzedając je. Wyjaśnił, że w armii jest wielu Żydów, ponieważ trudniej im uzyskać zwolnienie ze służby wojskowej.

Dowodził nimi sierżant Gawrik, zawodowy żołnierz, który miał rozbiegany wzrok, wykrzykiwał rozkazy i nieustannie przeklinał. Udawał, że uważa ich wszystkich za wieśniaków, i nazywał krowojebcami. Był w wieku zbliżonym do Grigorija, zbyt młody, by brać udział w wojnie japońskiej w latach 1904 – 1905, i Grigorij domyślił się, że takim zachowaniem maskuje strach.

Co kilka godzin pociąg zatrzymywał się na jakiejś stacji i żołnierze wysiadali. Czasem dostawali zupę i piwo, a czasem tylko wodę. Pomiędzy postojami siedzieli na podłodze wagonu. Gawrik dopilnował, żeby wszyscy umieli czyścić broń i odróżniać stopnie wojskowe, a także przypominał, jak należy zwracać się do oficerów. Do poruczników i kapitanów mieli mówić „wasza miłość”, lecz wyżsi oficerowie wymagali jeszcze bardziej wyszukanego tytułowania, aż do „najjaśniejszej mości” w przypadku arystokratów. Drugiego dnia podróży Grigorij wyliczył, że muszą już być na rosyjskim terytorium Polski.

Zapytał sierżanta, do jakiego ugrupowania należy ich oddział. Wiedział, że są częścią regimentu narwskiego, ale nikt nie powiedział im nic więcej.

– Nie twój pieprzony interes – warknął Gawrik. – Masz iść tam, dokąd cię wysyłają, i robić to, co każą.

Grigorij odgadł, że sierżant nie zna odpowiedzi na to pytanie. Po półtoradniowej jeździe pociąg zatrzymał się w Ostrołęce. Grigorij nigdy o takim mieście nie słyszał, ale zauważył, że tu kończą się tory, i domyślił się, że są w pobliżu niemieckiej granicy. Rozładowywano setki wagonów. Spoceni ludzie i konie mozolili się, ściągając z lor wielkie działa. Tysiące żołnierzy biegało bezładnie, gdy rozzłoszczeni oficerowie próbowali podzielić ich na plutony i kompanie. Jednocześnie trzeba było przenieść na furmanki wiele ton zapasów: tusze mięsa, worki mąki, beczki piwa, skrzynki z nabojami, pociski artyleryjskie oraz owies dla koni.

W pewnej chwili Peszków zobaczył znienawidzoną twarz księcia Andrieja. Nosił wspaniały mundur – Grigorij nie był jeszcze należycie zaznajomiony z naszywkami i epoletami, żeby rozpoznać regiment czy rangę – i jechał na wysokim kasztanku. Za nim szedł kapral, niosąc klatkę z kanarkiem. Mógłbym go teraz zastrzelić, pomyślał Grigorij, i pomścić ojca. Oczywiście to głupi pomysł, lecz mimo to gładził język spustowy swojego karabinu, gdy książę i ptak w klatce znikali w tłumie.

Dzień był upalny i suchy. Tej nocy Grigorij spał na ziemi, wraz z pozostałymi żołnierzami z wagonu. Zrozumiał, że tworzą pluton i będą razem – przynajmniej przez pewien czas. Nazajutrz rano poznali swojego oficera, niepokojąco młodego porucznika o nazwisku Tomczak. Ten wyprowadził ich z Ostrołęki drogą wiodącą na północny zachód.

Porucznik Tomczak powiedział Grigorijowi, że wchodzi w skład XIII Korpusu dowodzonego przez generała Klujewa, będącego częścią 2. Armii generała Samsonowa. Kiedy Peszków przekazał tę wiadomość pozostałym, wystraszyli się, ponieważ trzynastka to pechowa liczba.

– Mówiłem ci, że to nie twój interes, Peszków, ty pedalski lachociągu – burknął sierżant Gawrik.

Nie uszli daleko od miasta, gdy utwardzona droga skończyła się i zmieniła w piaszczysty trakt biegnący przez las. Wozy z zaopatrzeniem ugrzęzły i woźnice zrozumieli, że jeden koń nie zdoła uciągnąć wyładowanej podwojody po piasku. Trzeba było wyprząc wszystkie konie i zaprząć je ponownie po dwa do jednego wozu. Co drugą furmankę musieli zostawić na poboczu drogi. Maszerowali cały dzień i znów spali pod gwiazdami. Co noc, idąc spać, Grigorij mówił sobie: Jeszcze jeden dzień, a ja nadal żyję i mogę się opiekować Kateriną i jej dzieckiem.

Tego wieczoru Tomczak nie otrzymał żadnych rozkazów, tak więc przez cały następny ranek siedzieli pod drzewami. Grigorij cieszył się z tego: nogi bolały go po wczorajszym marszu, a nowe buty obtarły stopy. Wieśniacy byli przyzwyczajeni do całodniowych wędrówek i śmiali się ze słabości mieszkańców miast.

W południe goniec przyniósł rozkazy: mają wyruszyć o ósmej rano, czyli cztery godziny wcześniej.

Nie zadbano o zaopatrzenie maszerujących ludzi w wodę, więc musieli ją pić ze studni i napotkanych po drodze strumieni. Wkrótce nauczyli się pić przy każdej sposobności i mieć zawsze pełne manierki. Nie było również kuchni polowych i jako jedyne pożywienie dostawali suchary nazywane podeszwami. Co kilka mil wzywano ich, żeby wyciągnęli jakieś działo z błota lub piasku. Maszerowali do zachodu słońca i znowu spali pod drzewami.

W połowie trzeciego dnia wyszli z lasu i ujrzeli ładny dom stojący wśród łąnów dojrzewającego owsa i pszenicy. Był piętrowy, miał stromy, spadzisty dach. Na podwórzu stała ocembrowana studnia i niska przybudówka przypominająca chlew, ale czysta. Budynek wyglądał jak dom zasobnego ziemianina lub ubogiego szlachcica. Był zamknięty i pusty.

Milę dalej, ku ogólnemu zdziwieniu, droga doprowadziła ich do wioski składającej się z wielu takich domów, także pustych.

Grigorij w końcu zrozumiał, że przeszli przez granicę i wkroczyli do Niemiec, a te wspaniałe domy należą do bogatych niemieckich gospodarzy, którzy uciekli z rodzinami i inwentarzem przed nadciągającą rosyjską armią. Tylko gdzie są lepianki ubogich wieśniaków? Co robiono z gnojem wyrzucanym z chlewów i obór? Dlaczego nie ma tu walących się drewnianych szop z popodpieranymi ścianami i dziurami w dachach?

Żołnierze się cieszyli.

– Uciekają przed nami! – wykrzyknął jeden wieśniak. – Boją się nas, Rosjan. Weźmiemy Niemcy bez jednego wystrzału! Na spotkaniach grupy dyskusyjnej Konstantina Grigorij dowiedział się, że Niemcy zamierzają najpierw podbić Francję, a potem rozprawić się z Rosją. Niemcy nie kapitulowali, lecz czekali na odpowiedni moment do ataku. Mimo to byłoby dziwne, gdyby oddali te zasobne tereny bez walki.

– Co to za część Niemiec, wasza miłość? – zapytał Tomczaka.

– Prusy Wschodnie.

– Czy to najbogatsza część kraju?

– Nie sędzę. Nie widzę tu żadnych pałaców.

– Czy zwykli ludzie w Niemczech są tak bogaci, że mogą mieszkać w takich domach jak te?

– Zapewne tak.

Najwidoczniej Tomczak, który wyglądał, jakby dopiero co ukończył szkołę, wiedział niewiele więcej od niego.

Grigorij maszerował dalej, ale zaczął się zastanawiać. Uważał się za dobrze poinformowanego, ale nie miał pojęcia, że Niemcom tak dobrze się powodzi.

Izaak podzielał jego wątpliwości.

– Nasza armia już ma kłopoty z żywieniem nas, chociaż jeszcze nie oddano ani jednego strzału – powiedział cicho. – Jak możemy walczyć z ludźmi, którzy są tak dobrze zorganizowani, że trzymają świnie w kamiennych domach?

IV.

Walter był zadowolony z rozwoju wydarzeń w Europie. Zapowiadała się krótka wojna i szybkie zwycięstwo Niemiec. Do Bożego Narodzenia powinien znów być z Maud.

Chyba że zginie, rzecz jasna. Jednak nawet gdyby tak się stało, umarłby szczęśliwy.

Drżał z radości, ilekroć przypominał sobie noc, którą spędzili razem. Nie tracili ani jednej cennej chwili na sen. Kochali się trzy razy. Początkowe bolesne trudności w końcu tylko zwiększyły ich euforię. Gdy się nie kochali, leżeli, rozmawiając i pieszcząc się leniwie. Była to rozmowa niepodobna do żadnej innej. Walter mógł powiedzieć Maud wszystko. Nigdy nikt nie był mu równie bliski.

Przed świtem zjedli wszystkie owoce z patery i czekoladki z pudełka. Wreszcie musieli opuścić apartament: Maud miała ukradkiem wrócić do domu Fitz'a, udając przed służbą, że była na wczesnym spacerze, a Walter udawał się do swojego mieszkania, żeby się przebrać, spakować i wydać lokajowi polecenie, by odesłał resztę dobytku do Berlina.

Podczas krótkiej jazdy taksówką z Knightsbridge do May fair mocno trzymali się za ręce i niewiele mówili. Walter kazał kierowcy stanąć za rogiem, niedaleko domu Fitz'a. Maud pocałowała go jeszcze raz, rozpaczliwie odnajdując jego język swoim, po czym odeszła, a on zastanawiał się, czy ją jeszcze zobaczy.

Wojna zaczęła się dobrze. Niemiecka armia przeszła jak burza przez Belgię. Dalej na południe Francuzi – wiedzeni bardziej sentymentem niż strategią – najechali Lotaryngię i zostali zdsiatkowani ogniem niemieckiej artylerii. Teraz byli w odwrocie. Japonia opowiedziała się po stronie Francuzów i Anglików, co,

niestety, umożliwiło przerzucenie rosyjskich wojsk z Dalekiego Wschodu na europejskie pole bitwy. Jednak Amerykanie potwierdzili swoją neutralność, ku ogromnej uldze Waltera. Jakże mały stał się ten świat, myślał. Przecież Japonia leży tak daleko na wschodzie, a Ameryka równie daleko na zachodzie. Ta wojna objęła całą kulę ziemską.

Według niemieckiego wywiadu Francuzi ślali potok telegramów do Sankt Petersburga, błagając cara, by atakował, w nadziei że rozproszy Niemców. Rosjanie poruszali się szybciej, niż przewidywano. Ich 1. Armia zaskoczyła świat, przekraczając granicę Niemiec zaledwie dwanaście dni od chwili rozpoczęcia mobilizacji. Tymczasem 2. Armia nacierała na południu, od końcowej stacji w Ostrołęce, w wyniku czego obie armie zamknęłyby kleszcze w pobliżu miasta Tannenberg. Obie armie nie napotkały żadnego oporu.

Nietypowe dla Niemców odrętwienie, które to umożliwiło, wkrótce się jednak skończyło. Dowódca tego rejonu, generał Prittwitz, znany jako der Dicke, Grubas, został słusznie usunięty przez naczelne dowództwo i zastąpiony przez ściągniętego ze stanu spoczynku Paula von Hindenburga oraz Ericha Ludendorffa, jednego z nielicznych dowódców wojskowych bez arystokratycznego „von” przed nazwiskiem. Czterdziestodwuletni Ludendorff był także jednym z najmłodszych generałów. Walter podziwiał go za to, że wybił się tylko dzięki swoim osiągnięciom, i cieszył się, że jest jego łącznikiem ze służbami wywiadowczymi.

W drodze z Belgii do Prus zatrzymali się na krótko w niedzielę dwudziestego trzeciego sierpnia w Berlinie, gdzie Walter spędził kilka chwil z matką na peronie. Jej sterczący nos był zaczerwieniony od kataru siennego. Mocno uściskała syna, drżąc ze wzruszenia.

– Jesteś bezpieczny? – spytała.

– Tak, matko, jestem bezpieczny.

– Bardzo martwię się o Zumwald. Rosjanie są tak blisko!

Zumwald był wiejską posiadłością von Ulrichów na wschodzie.

– Jestem pewny, że wszystko tam będzie dobrze.

Jednak nie dała się tak łatwo zbyć.

– Rozmawiałam z cesarżową. – Dobrze znała żonę Kaisera. – Kilka innych dam zrobiło to samo.

– Nie powinnaś niepokoić rodziny monarszej – skarcił ją Walter. – I bez tego mają dość zmartwień.

Pociągnęła nosem.

– Nie możemy pozostawiać naszych włości na pastwę rosyjskiej armii!

Walter ją rozumiał. On także nienawidził myśli o tym, że jacyś prymitywni rosyjscy wieśniacy i ich barbarzyńscy, wymachujący knutami panowie opanują dobrze utrzymane pastwiska i sady posiadłości von Ulrichów. Ci ciężko pracujący niemieccy gospodarze z ich mocno zbudowanymi żonami, wyszorowanymi dziećmi i tłustym bydłem zasłużyli na ochronę. Czy nie o to chodzi w tej wojnie? Ponadto zamierzał pewnego dnia zabrać Maud do Zumwaldu i pokazać jej posiadłość.

– Ludendorff powstrzyma marsz Rosjan, matko – zapewnił.

Miał nadzieję, że tak się stanie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, konduktor zagwizdał, więc Walter pocałował ją i wsiadł do pociągu.

Czuł się osobiście odpowiedzialny za niemiecki odwrót na froncie wschodnim. Był jednym z tych pracowników wywiadu, którzy przepowiadali, że Rosjanie nie zdołają zaatakować tak szybko po ogłoszeniu mobilizacji. Palił się ze wstydu, ilekroć o tym pomyślał, podejrzewał jednak, że nie we wszystkim się mylił i Rosjanie wysyłały na front źle przygotowane i niedostatecznie wyekwipowane oddziały.

Kiedy w tę niedzielę przyjechał do Prus Wschodnich w świątyni Ludendorffa, utwierdziły go w tym przekonaniu raporty mówiące, że na północy rosyjska 1. Armia się zatrzymała. Weszła zaledwie

na kilka mil w głąb niemieckiego terytorium i wojskowa logika nakazywała kontynuować marsz. Na co oni czekają? Walter podejrzewał, że kończy im się żywność.

Jednak południowe ramię kleszczy wciąż przesuwało się na przód i głównym zadaniem Ludendorffa było powstrzymanie go. Następnego ranka, w poniedziałek dwudziestego czwartego sierpnia, Walter przyniósł Ludendorffowi dwa bezcenne raporty: dwie rosyjskie radiodepesze przechwycone i przetłumaczone przez niemiecki wywiad.

Pierwsza, wysłana o piątej trzydzieści rano przez generała Rennenkampfa, zawierała rozkazy wymarszu dla rosyjskiej 1. Armii. Rennenkampf wreszcie znów podjął przerwany marsz, ale zamiast skręcić na południe, by zacisnąć kleszcze, spotykając się z 2. Armią, nie wiadomo dlaczego podążał na zachód w kierunku niezagrażającym żadnym niemieckim siłom.

Druga depesza była wysłana pół godziny później przez generała Samsonowa, dowódcę rosyjskiej 2. Armii. Rozkazywał swojemu XIII i XV Korpusowi ścigać niemiecki XX Korpus, który jego zdaniem był w odwrocie.

– To zdumiewające! – wykrzyknął Ludendorff. – Jak uzyskaliśmy tę informację?

Miał podejrzliwą minę, jakby Walter próbował go oszukać.

Walter domyślał się, że nie ufa mu jako przedstawicielowi starej pruskiej arystokracji.

– Czy znamy ich szyfry? – dopytywał się.

– Oni nie używają szyfrów – wyjaśnił Walter.

– Wysyłają rozkazy otwartym tekstem? Na miłość boską dlaczego?

– Rosyjscy żołnierze nie są dostatecznie wykształceni, żeby używać szyfrów. Przedwojenne opracowania naszego wywiadu sugerują że nie mają wystarczającej liczby ludzi mogących obsługiwać radiostacje.

– Więc dlaczego nie używają telefonów polowych? Rozmowy telefonicznej nie da się przechwycić.

– Myślę, że zapewne brakuje im kabli telefonicznych.

Ludendorff miał opuszczone kąciaki ust i wydatną szczękę, co nadawało mu agresywny i nieufny wygląd.

– To może być podstęp, prawda?

Walter pokręcił głową.

– To mało prawdopodobne, panie generale. Rosjanie z trudem utrzymują normalną łączność. Wykorzystanie fałszywych radiodepesz dla zmylenia wroga przekracza ich możliwości tak samo jak lot na Księżyc.

Ludendorff pochylił łysiejącą głowę nad rozłożoną przed nim na stole mapą. Był niestrudzony, ale często miewał poważne wątpliwości i Walter domyślał się, że kieruje nim strach przed porażką. Ludendorff dotknął palcem mapy.

– Trzynasty i Piętnasty Korpus Samsonowa tworzą środek rosyjskiej linii – rzekł. – Jeśli ruszą naprzód...

Walter natychmiast zrozumiał, o czym myśli Ludendorff:

Rosjanie mogą znaleźć się w potrzasku, otoczeni z trzech stron.

– Na naszym prawym skrzydle mamy generała von Francois i jego Pierwszy Korpus – mówił Ludendorff. – Na środku Scholtza i Dwudziesty Korpus, który się wycofał, ale nie poszedł w rozsypkę, wbrew temu, co myślą Rosjanie. Na naszym lewym skrzydle, zaledwie trzydzieści mil na północ, mamy Mackensena i Siedemnasty Korpus. Mackensen pilnuje północnego ramienia rosyjskich kleszczy, ale jeśli ci Rosjanie podążają w złym kierunku, zapewne moglibyśmy ich przez chwilę zignorować i skierować oddziały Mackensena na południe.

– Klasyczny manewr – zauważył Walter.

Pomysł był prosty, ale nie wpadł na to, dopóki nie pokazał mu tego Ludendorff. Właśnie dlatego, pomyślał z podziwem, Ludendorff jest generałem.

- To jednak uda się, tylko jeśli Rennenkampf z rosyjską 1. Armią nadal będzie podążał w złym kierunku – dodał Ludendorff.
- Widział pan przechwyconą depeszę, panie generale. Rosjanie dostali już rozkazy.
- Miejmy nadzieję, że Rennenkampf się nie rozmyśli.

V.

Batalion Grigorija nie miał żywności, ale przysłano im furmankę łopat, więc wykopali okop. Kopali, zmieniając się co pół godziny, i nie trwało to długo. Rezultat nie był idealny, ale miał spełnić swoją funkcję.

Nieco wcześniej tego dnia Peszków, Izaak oraz ich towarzysze natrafili na opuszczone niemieckie stanowisko i Grigorij zauważył, że okop wroga biegnie zygzakiem, załamując się w regularnych odstępach, tak że z jednego jego końca nie można było zobaczyć drugiego. Porucznik Tomczak powiedział, że taki zygzak nazywa się linią łamaną, ale nie wiedział, po co to robiono. Nie rozkazał swoim ludziom skopiować tego niemieckiego wzoru. Grigorij jednak był pewny, że ten zygzak musi czemuś służyć. Jeszcze ani razu nie wystrzelił ze swojego karabinu. Słyszał strzały, ogień z broni ręcznej, maszynowej i artyleryjski, a jego oddział zajął spory obszar niemieckiego terytorium, lecz on dotychczas nie strzelał do nikogo i nikt nie strzelał do niego. Wszędzie, dokąd dotarł XIII Korpus, Niemcy już zdążyli się wycofać.

To wszystko nie ma sensu. Zaczął sobie uświadamiać, że wojna to totalne zamieszanie. Nikt nie wie, gdzie się znajdują ani gdzie jest nieprzyjaciel. Wprawdzie dwaj żołnierze z plutonu Grigorija zginęli, ale nie z rąk Niemców: jeden przypadkowo postrzelił się ze swojego karabinu w udo i zdumiewająco szybko się wykrwawił, a drugi został stratowany przez spłoszonego konia i zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Od kilku dni nie widzieli podwozy z zaopatrzeniem. Racje żywnościowe się skończyły i zabrakło nawet sucharów. Nie jedli nic od rana poprzedniego dnia. Po wykopaniu rowu zasnęli głodni. Na szczęście było lato, więc przynajmniej nie marzli. Strzelanina wybuchła o świcie następnego dnia.

Zaczęła się w oddali na lewo od Grigorija, ale widział obłoczki szrapneli wybuchających w powietrzu i pióropusze ziemi unoszące się tam, gdzie padały pociski. Wiedział, że powinien się bać, jednak nie był przestraszony. Był głodny, spragniony, zmęczony, obolały i znudzony, ale nie wystraszony. Zastanawiał się, czy Niemcy czują się tak samo.

Po prawej, kilka mil na północ, także wybuchła zażarta strzelanina, lecz tu panował spokój.

- Jak w oku cyklonu – rzekł Dawid, żydowski sprzedawca wiader.

Niebawem jednak przyszły rozkazy wymarszu. Niechętnie wygramolili się z okopu i ruszyli.

- Pewnie powinniśmy dziękować losowi – powiedział Grigorij.

- Za co? – mruknął Izaak.

- Lepiej maszerować niż walczyć. Zrobią nam się pęcherze, ale będziemy żywi.

Po południu doszli do miasta, które – jak powiedział porucznik Tomczak – nazywało się Allenstein. W marszowym szyku dotarli do przedmieść i wkroczyli do centrum.

Ku ich zaskoczeniu Allenstein było pełne dobrze ubranych niemieckich obywateli, zajętych swoimi sprawami jak w każde czwartkowe popołudnie: wysyłających listy, robiących zakupy i spacerujących z dziećmi w wózkach. Oddział Grigorija zatrzymał się w niewielkim parku, gdzie żołnierze usiedli w cieniu wysokich drzew. Tomczak udał się do pobliskiego zakładu fryzjerskiego, po czym wyszedł ogolony i ostrzyżony. Izaak poszedł kupić wódkę,

ale wrócił z wiadomością, że wojsko przed każdym sklepem ze spirytualiami postawiło wartowników, którzy mają rozkaz nie wpuszczać żołnierzy.

W końcu pojawiła się furmanka z beczką wody do picia.

Żołnierze ustawili się w kolejce, żeby napełnić manierki. Gdy popołudnie przeszło w chłodny wieczór, przybyły kolejne wozy z bochenkami chleba kupionego lub zarekwirowanego piekarzom z miasteczka. Zapadła noc i zasnęli pod drzewami.

O świcie nie było śniadania. Pozostawiwszy batalion, który miał utrzymać miasteczko, reszta XIII Korpusu wymaszerowała z Allenstein, kierując się na południowy zachód drogą do Tannenbergu.

Chociaż nie brali jeszcze udziału w walkach, Peszków dostrzegł zmianę nastrojów wśród oficerów. Galopowali tam i z powrotem wzdłuż kolumny lub naradzali się w zirytowanych grupkach.

Słyszał podniesione głosy, jakiś major pokazywał w jedną, a kapitan w przeciwną stronę. Grigorij wciąż słyszał ogień artylerii na północy i południu, chociaż wydawało się, że ten przesuwa się na wschód, podczas gdy XIII Korpus podążał na zachód.

– Czyja to artyleria? – spytał sierżant Gawrik. – Nasza czy ich? I dlaczego przemieszcza się na wschód, kiedy my idziemy na zachód?

Fakt, iż nie użył żadnych wulgarnych słów, świadczył o tym, że jest poważnie zaniepokojony.

Kilka mil za Allenstein pozostawiono jeden batalion jako tylną straż, co zdziwiło Grigorija, ponieważ zakładał, że wróg jest przed nimi, a nie z tyłu. Liczebność XIII Korpusu maleje, pomyślał, ściągając brwi.

Koło południa jego batalion oddzielono od reszty korpusu.

Podczas gdy ich towarzysze poszli dalej na południowy zachód, ich skierowano na południowy wschód, szeroką ścieżką przez las.

I wtedy wreszcie Grigorij spotkał nieprzyjaciela.

Zatrzymali się na odpoczynek przy strumieniu i ludzie napełnili manierki. Peszków wszedł w las, idąc za głosem natury. Stał za grubym sosnowym pniem, gdy po lewej usłyszał jakiś dźwięk i zdziwiony zobaczył kilka jardów dalej niemieckiego oficera w pikielhaubie, na ładnym karym koniu. Patrzył przez lunetę w kierunku miejsca, gdzie zatrzymał się batalion. Grigorij zastanawiał się, na co patrzy: przecież przez te drzewa dużo nie widzi. Może próbuje ustalić, czy to mundury rosyjskie, czy niemieckie? Siedział nieruchomo jak posąg na petersburskim placu, ale jego koń nie był tak spokojny – poruszył się i znów wydał dźwięk, który ostrzegł Grigorija.

Peszków starannie zapiął spodnie, podniósł karabin i wycofał się, zasłonięty przed wzrokiem Niemca przez pień drzewa.

Tamten nagle się poruszył. Grigorij przeraził się, że Niemiec go zauważył, lecz oficer wprawnie okręcił rumaka i kłusem odjechał na zachód.

Grigorij biegiem wrócił do sierżanta Gawrika.

– Widziałem Niemca! – krzyknął.

– Gdzie?

Grigorij wskazał palcem.

– O tam. Poszedłem się odlać.

– Jesteś pewny, że to był Niemiec?

– Miał pikielhaubę.

– Co robił?

– Siedział na koniu i patrzył na nas przez lunetę.

– Zwiadowca! – orzekł Gawrik. – Strzeliłeś do niego?

Dopiero wtedy Grigorij przypomniał sobie, że ma zabijać niemieckich żołnierzy, a nie przed nimi uciekać.

– Pomyślałem, że powinienem o tym zameldować – rzekł niepewnie.

– Ty durniu, jak myślisz, po co daliśmy ci ten pieprzony

karabin?! – wrzasnął Gawrik.

Grigorij spojrział na karabin, który trzymał w ręku, na złowrogo wyglądający bagnet. Oczywiście, powinien z niego strzelić. O czym on myślał?

– Przepraszam.

– Teraz, kiedy pozwoliłeś mu uciec, nieprzyjaciel wie, gdzie jesteśmy!

Grigorij był upokorzony. O takiej sytuacji nigdy nie wspominał podczas szkolenia rezerwistów, ale powinien sobie z nią poradzić.

– Dokąd odjechał? – dopytywał się Gawrik.

Przynajmniej na to pytanie Grigorij mógł odpowiedzieć.

– Na zachód.

Gawrik odwrócił się i pospiesznie podszedł do porucznika Tomczaka, który stał oparty o drzewo i palił papierosa. Po chwili rzucił niedopałek na ziemię i pobiegł do majora Bobrowa, przystojnego oficera z długimi siwymi włosami.

Potem wydarzenia potoczyły się szybko. Nie mieli artylerii, ale drużyna karabinów maszynowych wyładowała broń z wozów.

Liczący sześciuset żołnierzy batalion ustawiono w nierównym szeregu, biegnącym z północy na południe i mającym tysiąc jardów długości. Wybrano kilku żołnierzy, żeby poszli przodem. Pozostali powoli ruszyli na zachód, ku popołudniowemu słońcu przeświecającemu przez liście.

Po kilku minutach wybuchł pierwszy pocisk. Z wyciem przeleciał w powietrzu, z trzaskiem przebił baldachim liści i w końcu uderzył w ziemię gdzieś za plecami Grigorija, eksplodując z donośnym hukiem, od którego zatrzęsała się ziemia.

– Ten zwiadowca podał im odległość – stwierdził Tomczak. – Strzelają tam, gdzie byliśmy. Dobrze, że się ruszyliśmy. Niemcy jednak też potrafili logicznie myśleć i najwyraźniej zrozumieli swój błąd, gdyż następny pocisk upadł tuż przed tyraliera nacierających Rosjan.

Ludzie wokół Grigorija zaczęli się denerwować. Nieustannie spoglądali po sobie, trzymali karabiny gotowe do strzału i przeklinali z byle powodu. Dawid wciąż patrzył w górę, jakby mógł dostrzec nadlatujący pocisk i zrobić unik. Izaak miał gniewną minę, tak jak na boisku piłkarskim, gdy druga strona zaczynała faulować. Peszków odkrył, że świadomość tego, iż ktoś ze wszystkich sił stara się go zabić, może być przytłaczająca. Czuł się tak, jakby otrzymał bardzo złą wiadomość, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak brzmiała. Wpadł mu do głowy głupi pomysł, by wykopać dziurę w ziemi i schować się w niej.

Zastanawiał się, co widzą artylerzyści. Czy mają obserwatora stojącego na jakimś wzgórzu i oglądającego las przez silnie powiększającą niemiecką lornetkę? W lesie nie można zauważyć pojedynczego człowieka, ale zapewne da się dostrzec sześćsetosobową grupę przemieszczającą się między drzewami.

Widocznie ktoś zdecydował, że wycelowano prawidłowo, gdyż w ciągu kilku następnych sekund spadły kolejne pociski, niektóre w sam środek tyraliery. Po obu stronach Grigorija rozlegały się ogłuszające wybuchy, fontanny ziemi tryskały w górę, żołnierze wrzeszczeli, w powietrzu przelatowały kawałki ludzkich ciał. Grigorij trząsał się z przerażenia. Nic nie możesz zrobić, w żaden sposób się ochronić: pocisk trafi w ciebie albo nie. Przyspieszył kroku, jakby szybsze tempo marszu mogło mu pomóc. Inni ludzie widocznie też wpadli na taki pomysł, ponieważ bez rozkazu wszyscy zaczęli biec truchtem.

Grigorij ścisnął w spoconych rękach karabin i starał się nie poddawać panice. Spadły kolejne pociski, za nim i przed nim, po lewej i prawej. Pobiegł jeszcze szybciej.

Ogień artyleryjski wzmógł się tak, że nie dało się już rozróżnić wybuchów poszczególnych pocisków: zmieniły się w jeden huk, jak odgłos stu pędzących pociągów pospiesznych.

Nagle batalion chyba wyszedł z pola ostrzału, gdyż pociski zaczęły wybuchać za nimi, a niebawem przestały spadać. Po chwili Grigorij zrozumiał dlaczego. Przed nim otworzono ogień z karabinu maszynowego i ze zgrozą pojął, że jest blisko wroga. Serie z karabinu maszynowego przeszywały las, strącając liście i odłupując drzazgi z pni sosen. Peszków usłyszał czyjś krzyk i stwierdził, że Tomczak pada. Klęknąwszy przy nim, zobaczył krew na jego twarzy i bluzie munduru. Pocisk trafił oficera w oko – Grigorija ogarnęła zgroza. Tomczak spróbował się poruszyć i wrzasnął z bólu.

– Co mam robić? Co mam robić? – pytał Grigorij.

Umiał zabandażować ranę, ale jak pomóc człowiekowi, którego kula trafiła w oko?

Ktoś klepnął go w głowę i obejrzawszy się, zobaczył przebiegającego obok Gawrika.

– Ruszaj się, Peszków, ty cipo! – wrzasnął sierżant.

Peszków jeszcze przez moment patrzył na Tomczaka. Wydawało mu się, że oficer już nie oddycha. Nie był tego pewny, ale mimo to wstał i pobiegł dalej.

Ogień wzmógł się, a strach Grigorija zamienił się w gniew.

Kule wroga go rozwścieczyły. Niejasno zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne, lecz nie mógł nic na to poradzić. Nagle zapragnął zabijać tych drani. Kilkaset jardów przed nim, po drugiej stronie polany, dostrzegł szare mundury i pikielhauby. Przyklęknął za pnem drzewa, wyjrzał, przycisnął kolbę karabinu do ramienia, wycelował w Niemca i po raz pierwszy ściągnął spust.

Nic się nie stało i dopiero wtedy przypomniał sobie o bezpieczniku.

Nie dało się odbezpieczyć mosina-naganta z kolbą przyciśniętą do ramienia. Grigorij opuścił więc broń, usiadł na ziemi za drzewem i trzymając kolbę w zgięciu łokcia, obrócił zakończony gałką rygiel, odbezpieczając karabin.

Rozejrzał się. Jego towarzysze przestali biec i pochowali się tak samo jak on. Jedni strzelali, inni ładowali broń, kilku wiło się w konwulsjach na ziemi, a jeszcze inni leżeli martwi.

Grigorij wyjrzał zza drzewa, przycisnął kolbę do ramienia i zmrużył oko. Zauważył sterzącą z krzaków lufę, a nad nią pikielhaubę. Z sercem przepełnionym nienawiścią pięciokrotnie nacisnął spust, raz za razem. Lufa karabinu Niemca natychmiast znikła i Grigorij odgadł, że chybił. Poczul głębokie rozczarowanie. W magazynku mosina-naganta mieściło się tylko pięć naboii.

Peszków otworzył ładownicę i naładował broń. Teraz chciał tylko zabić jak najwięcej Niemców.

Znów wyjrawszy zza drzewa, zauważył Niemca przebiegającego przez lukę między drzewami. Opróżnił magazynek, ale żołnierz wciąż biegł i znikł za kępą krzaków.

Grigorij zrozumiał, że nie wystarczy tylko strzelać. Wroga trudno trafić – o wiele trudniej w prawdziwej walce niż podczas nielicznych ćwiczeń na strzelnicy. Powinien bardziej się przyłożyć.

Kiedy znowu ładował broń, usłyszał trzask serii z karabinu maszynowego i ziemia wokół niego wytrysnęła w górę. Przywarł plecami do drzewa i podkurczył nogi, starając się być jak najmniejszym celem. Po odgłosie poznał, że karabin maszynowy znajduje się kilkadziesiąt jardów po jego lewej.

W przerwie między kolejnymi seriami usłyszał krzyk Gawrika:

– Celujcie w ten karabin maszynowy, wy głupie kutasy!

Zastrzelcie ich, zanim przeładują!

Grigorij wystawił głowę i próbował odnaleźć gniazdo karabinu maszynowego. Dostrzegł trójnog stojący między dwoma dużymi drzewami. Podniósł karabin i zawahał się. Nie wystarczy tylko strzelać, przypomniał sobie. Uspokoił oddech, wycelował ciężką lufę i wziął na muszkę pikielhaubę. Potem lekko opuścił lufę, tak że zobaczył pierś tamtego. Bluza munduru Niemca była rozpięta

pod szyją. Spocił się z wysiłku.

Grigorij ściągnął spust.

Chybił. Niemiec jakby nie zauważył, że do niego strzelają.

Peszków nie wiedział, gdzie poleciała kula.

Znów zaczął strzelać, opróżniając magazynek bez żadnego efektu. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Te świny próbują go zabić, a on nie jest w stanie trafić nawet jednego z nich. Może jest za daleko? A może po prostu kiepski z niego strzelec.

Karabin maszynowy znów otworzył ogień i wszyscy zastygli.

Pojawił się major Bobrów, pełznąc na czworakach po leśnej ściółce.

– Ludzie! – krzyknął. – Na moją komendę do ataku na ten karabin maszynowy!

Chyba zwariowałeś, pomyślał Grigorij. No cóż, ja nie.

Sierżant Gawrik powtórzył rozkaz:

– Przygotować się do ataku na gniazdo karabinu maszynowego! Czekać na rozkaz!

Bobrów wstał i pobiegł, zgięty wpół, wzdłuż linii. Grigorij usłyszał, jak nieco dalej wykrzykuje ten sam rozkaz. Tracisz czas, pomyślał. Masz nas wszystkich za samobójców?

Ogień karabinu maszynowego ustał i major wstał, zuchwale się odsłaniając. Zgubił gdzieś hełm, a siwe włosy czyniły go doskonale widocznym celem.

– Naprzód! – wrzasnął.

Gawrik powtórzył rozkaz.

– Naprzód, naprzód, naprzód!

Bobrów i Gawrik dali przykład, biegnąc między drzewami w kierunku gniazda karabinu maszynowego. Nagle Grigorij stwierdził, że robi to samo: pędzi przez krzaki, przeskakując leżące pnie drzew, nisko pochylony, starając sienie upuścić ciężkiego karabinu. Nieprzyjacielski karabin maszynowy milczał, lecz Niemcy strzelali ze wszystkiego, co mieli, i dziesiątki luf strzelających jednocześnie wydawały się równie groźne, ale Grigorij biegł, jakby tylko to potrafił robić. Już widział obsługę karabinu maszynowego rozpaczliwie przeładowującą broń, ich ręce mocujące się z magazynkiem, twarze pobladłe ze strachu. Niektórzy Rosjanie strzelali, lecz Peszków nie zachował takiej przytomności umysłu – po prostu biegł. Był jeszcze w pewnej odległości od karabinu maszynowego, kiedy zobaczył trzech Niemców schowanych za krzakiem. Wyglądali bardzo młodo i patrzyli na niego z przestraszonymi minami. Rzucił się na nich, trzymając przed sobą zakończony bagnietem karabin niczym kopię. Usłyszał czyjś wrzask i pojął, że to on tak krzyczy. Trzej żołnierze rzucili się do ucieczki. Pobiegł za nimi, ale był osłabiony z głodu i z łatwością mu uciekli. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymał się wyczerpany. Wszędzie wokół Niemcy uciekali, a Rosjanie ich ścigali. Obsługa karabinu maszynowego również uciekła. Grigorij przypuszczał, że powinien strzelać, ale w tym momencie nie miał siły, żeby przyłożyć kolbę do ramienia.

Pojawił się major Bobrów, biegnąc wzdłuż rosyjskiej linii.

– Naprzód! – wrzasnął. – Nie dajcie im uciec! Zabijcie wszystkich, inaczej wróca, żeby do was strzelać! Naprzód! Znużony Peszków znowu zaczął biec. Nagle obraz się zmienił. Przed nim pojawili się rosyjscy żołnierze uciekający co sił w nogach.

– Co jest, do diabła? – wysapał Bobrów, przystanąwszy obok Grigorija.

Grigorij zrozumiał, że są atakowani z flanki.

– Utrzymać pozycję! – krzyknął Bobrów. – Kryć się i strzelać!

Nikt go nie słuchał. Nowo przybyli w panice pędzili przez las, a towarzysze Grigorija zaczęli przyłączać się do ucieczki, skręcając w prawo i biegnąc na północ.

– Utrzymać pozycję, ludzie! – wrzeszczał Bobrów. Wyjął

pistolet. – Utrzymać pozycję, mówię! – Wycelował w grupkę przebiegających obok niego rosyjskich żołnierzy. – Ostrzegam was, zastrzelę każdego dezertera! Dał się słyszeć trzask i krew splamiła jego siwe włosy. Upadł. Grigorij nie wiedział, czy trafiła go zablakana niemiecka kula, czy któryś z jego żołnierzy.

Grigorij odwrócił się i pobiegł za pozostałymi. Teraz strzelano ze wszystkich stron. Nie wiedział, kto strzela do kogo. Rosjanie rozproszyli się po lesie i stopniowo odgłosy bitwy pozostały z tyłu. Biegł, dopóki mógł, aż wreszcie upadł na dywan suchych liści, nie mogąc się ruszyć. Przez długą chwilę leżał jak sparaliżowany. Uświadomił sobie, że wciąż trzyma karabin, co go zdziwiło: nie wiedział, dlaczego go nie rzucił. Wreszcie powoli podniósł się z ziemi. Zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu boli go prawe ucho. Dotknął go i krzyknął z bólu, a jego palce stały się lepkie od krwi. Ostrożnie dotknął ucha jeszcze raz. Ze zgrozą odkrył, że brakuje większej części małżowiny usznej. Został ranny i nawet tego nie poczuł. W którymś momencie kula oderwała górną połowę ucha.

Sprawdził karabin. Magazynek był pusty. Naładował go, chociaż sam nie wiedział po co, i tak nie jest w stanie nikogo trafić. Zabezpieczył broń. Domyślił się, że Rosjanie wpadli w zasadzkę. Sprowokowano ich do natarcia, pozorując odwrót, po czym Niemcy zamknęli ich w kotle. Co powinien zrobić? W zasięgu wzroku nie było nikogo, więc nie mógł zwrócić się po rozkazy do żadnego oficera. Nie może też jednak tutaj pozostać. Oddziały są w odwrocie – to pewne – tak więc chyba powinien zawrócić. Jeśli zostały jeszcze jakieś rosyjskie oddziały, to prawdopodobnie na wschodzie. Odwrócił się tak, że zachodzące słońce miał za plecami, i zaczął iść. Kroczył jak najciszej przez las, nie wiedząc, gdzie mogą być Niemcy. Zastanawiał się, czy cała 2. Armia została rozbita i uciekła. Uświadomił sobie, że może umrzeć z głodu w tym lesie.

Po godzinie przystanął, aby napić się wody ze strumienia. Rozważał, czy przemyć ranę, ale zdecydował, że lepiej zostawić ją w spokoju. Kiedy ugasił pragnienie, przykucnął i zamknął oczy. Wkrótce zrobi się ciemno. Na szczęście nie pada i będzie mógł spać na gołej ziemi.

Na pół drzemał, gdy usłyszał jakiś dźwięk. Spojrzał i zaskoczony zobaczył niemieckiego oficera na koniu, powoli jadącego między drzewami kilka jardów dalej. Przejechał obok, nie zauważwszy skulonego przy strumieniu Grigorija.

Peszków powoli podniósł karabin i odbezpieczył go. Klęcząc, przycisnął kolbę do ramienia i starannie wycelował w środek pleców Niemca, który znajdował się teraz dziesięć jardów od niego, niemal w zasięgu bagnetu.

Jakiś szósty zmysł w ostatniej chwili ostrzegł Niemca, który odwrócił się w siodle.

Grigorij naciągnął spust.

Huk wystrzału był ogłuszająco głośny w leśnej ciszy. Koń rzucił się do ucieczki. Oficer spadł z siodła i uderzył o ziemię, lecz jedna stopa uwięzła mu w strzemieniu. Koń wlokł go sto jardów przez poszycie, po czym zwolnił i stanął.

Peszków czujnie nasłuchiwał, czy strzał przyciągnął jeszcze kogoś. Nie usłyszał niczego prócz szelestu liści w łagodnych podmuchach wieczornego wiatru.

Ruszył w kierunku wierzchowca. Kiedy podszedł bliżej, przycisnął kolbę karabinu do ramienia i wycelował w oficera, lecz ta ostrożność okazała się zbyt uczynna. Mężczyzna leżał nieruchomo na plecach, z szeroko otwartymi oczami, a obok jego hełm. Miał krótko ostrzyżone jasne włosy i ładne zielone oczy. Mógł to być ten sam zwiadowca, którego Grigorij widział wcześniej. Nie był tego pewny. Lew by wiedział – zapamiętałby konia.

Grigorij otworzył juki. W jednym były mapy i luneta, w drugim kiełbasa i kawał razowego chleba. Był głodny jak wilk. Ugryzł

kielbasę. Była mocno przyprawiona pieprzem, ziołami i czosnkiem. Od pieprzu jego policzki zaczerwieniły się i pojawił się na nich pot. Przeżuł pospiesznie, połknął, po czym wepchnął sobie do ust kawał chleba. Jedzenie smakowało tak bosko, że chciało mu się płakać. Stał oparty o bok wielkiego konia, jedząc najszybciej, jak mógł, a zabity przez niego człowiek patrzył na niego martwymi zielonymi oczyma.

VI.

– Według naszych szacunków zginęło trzydzieści tysięcy Rosjan, generale – powiedział Walter do Ludendorffa. Starał się nie okazywać uniesienia, ale niemieckie zwycięstwo było tak przytłaczające, że nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Ludendorff był jednak chłodny i opanowany.

– Jeńców?

– Według ostatnich obliczeń około dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy, panie generale.

Była to zdumiewająca liczba, ale Ludendorff potraktował to jako coś zupełnie oczywistego.

– W tym jacyś dowódcy?

– Generał Samsonow się zastrzelił. Mamy jego ciało. Martos, dowódca rosyjskiego Piętnastego Korpusu, został wzięty do niewoli. Zdobyliśmy pięćset dział.

– Podsumowując – Ludendorff podniósł wreszcie głowę znad polowego biurka – rosyjska Druga Armia została zniszczona. Przestała istnieć.

– Tak, panie generale – potwierdził Walter z uśmiechem. Ludendorff zachował powagę. Pomachał notatką, którą przed chwilą przeczytał.

– Co czyni tę wiadomość jeszcze większą ironią losu.

– Panie generale?

– Przysyłają nam posiłki.

Walter był zaskoczony.

– Co? Przepraszam, generale... posiłki?

– Jestem równie zdziwiony jak ty. Trzy korpusy i dywizję kawalerii.

– Skąd?

– Z Francji, gdzie potrzebujemy każdego żołnierza, jeśli plan Schlieffena ma się powieść.

Walter przypomniał sobie, że Ludendorff opracowywał szczegóły planu Schlieffena ze zwykłą energią i pedanterią, tak więc wiedział dokładnie, jakie siły są potrzebne – co do jednego człowieka, konia i pocisku.

– I co jest tego powodem?

– Nie wiem, ale mogę się domyślać. – W głosie Ludendorffa pojawiła się nuta gorzkości. – Polityka. Księżniczki oraz hrabiny w Berlinie płakały i żaliły się cesarzowej na los swych rodzinnych posiadłości zdobytych przez Rosjan. Najwyższe dowództwo ugięło się pod presją.

Walter lekko się zarumienił. Jego matka była jedną z tych, które nagabywały cesarzową. To zrozumiałe, że kobiety niepokoją się i proszą o ochronę, ale niewybaczalne jest, jeśli wojsko ulega ich prośbom, ryzykując klęskę całej strategii wojennej.

– Czy nie tego właśnie pragną alianci? – powiedział obrzuty. – Francuzi namówili Rosjan, by dokonali inwazji nie w pełni przygotowaną armią, mając nadzieję, że wpadniemy w panikę i wyślemy posiłki na front wschodni, osłabiając w ten sposób nasze wojska we Francji!

– Właśnie tak. Francuzi są w odwrocie. Mają mniej żołnierzy, mniej dział, są pobici. Ich jedyną nadzieją jest osłabienie naszych sił. I to życzenie się spełniło.

– Zatem – Walter był zrozpaczony – mimo że odnieśliśmy

wielkie zwycięstwo na wschodzie, Rosjanie osiągnęli strategiczny cel, pomagając swoim sojusznikom na zachodzie!

– Tak. Właśnie tak.

ROZDZIAŁ 13

Wrzesień i październik 1914 roku

i.

Fitz obudził kobiety płacz.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Bea. Potem przypomniał sobie jednak, że żona jest w Londynie, a on w Paryżu. Kobieta leżąca obok niego w łóżku nie była dwudziestotrzyletnią ciężarną księżniczką, ale dziewiętnastoletnią kelnerką z francuskiego baru, o anielsko pięknej twarzy.

Podparł się na łokciu i spojrzął na nią. Miała jasne rzęsy, które rzucały cień na policzki. Teraz były mokre od łez.

– J'ai peur – załkała. – Boję się.

Pogładził jej włosy.

– Calme-toi. Uspokój się.

Nauczył się więcej francuskich słów od takich kobiet jak Gini niż w szkole. Gini było zdrobnieniem od Ginette, lecz nawet to imię brzmiało jak wymyślone. Zapewne nosi jakieś pospolite imię, na przykład Françoise.

Był pogodny ranek i do pokoju przez otwarte okno wpadał ciepły wietrzyk. Fitz nie słyszał wystrzałów ani stukotu żołnierskich buciorów o bruk.

– Paryż jeszcze nie padł – mruknął uspokajająco.

Nie powinien był tego mówić, gdyż znów zaczęła szlochać.

Spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. Do dziesiątej musi wrócić do hotelu.

– Jeśli przyjdą tu Niemcy, zaopiekujesz się mną? – spytała Gini.

– Oczywiście, chérie – odparł, tłumiąc poczucie winy.

Zrobiliby to, gdyby mógł, ale nie to było dla niego najważniejsze.

– Przyjdą tu? – zapytała cicho.

Fitz też chciałby to wiedzieć. Niemiecka armia jest dwukrotnie liczniejsza, niż zapowiadał francuski wywiad. Jak burza przeszła przez północno-wschodnią Francję, zwyciężając we wszystkich bitwach. Teraz ta lawina dotarła na północ od Paryża. Jak blisko, tego Fitz dowie się w ciągu paru następnych godzin.

– Niektórzy mówią, że miasto nie będzie bronione – szlochała Gini. – Czy to prawda?

Tego Fitz też nie wiedział. Gdyby Paryż stawił opór, spadłby nań grad pocisków niemieckiej artylerii. Jego wspaniałe budowle zostałyby zniszczone, szerokie bulwary podziurawione kraterami, bary i sklepy zmienione w sterty gruzu. Myśl, że stolica mogłaby się poddać i uniknąć tego wszystkiego, była kusząca.

– Może tak byłoby dla ciebie lepiej – powiedział z udawaną serdecznością do Gini. – Kochałabyś się z jakimś grubym pruskim generałem, który mówiłby do ciebie Liebling.

– Nie chcę żadnego Prusaka. – Zniżyła głos do szeptu. – Kocham ciebie.

Może to prawda, pomyślał, a może po prostu widzi w nim przepustkę do lepszego życia. Każdy, kto mógł, opuszczał miasto, ale nie było to łatwe. Większość prywatnych samochodów już zarekwirowano. Wagony kolejowe mogły zostać zarekwirowane w każdej chwili, a ich cywilni pasażerowie wyrzuceni i zostawieni w szczyrim polu. Przejazd taksówką do Bordeaux kosztował tysiąc pięćset franków, czyli tyle, co niewielki domek.

– Być może do tego nie dojdzie – pocieszył ją. – Niemcy

muszą być już wyczerpani. Maszerują i walczą od miesiąca. Nie mogą tego robić w nieskończoność.

Prawie w to wierzył. Francuzi wycofywali się, lecz walczyli zażarcie. Żołnierze byli znużeni, głodni i zdemoralizowani, ale niewielu dostało się do niewoli i stracili tylko kilka dział. Niezrównany głównodowodzący, generał Joffre, nie dopuścił do rozbitcia sił aliantów i wycofał je na południowy wschód od Paryża, gdzie dokonał przegrupowania wojsk. Ponadto bez wahania usuwał wyższych francuskich oficerów, którzy się nie sprawdzili. Dwóch dowódców armii, siedmiu dowódców korpusów i dziesiątki innych bezlitośnie zdymisjonowano.

Niemcy nie zdawali sobie z tego sprawy. Fitz czytał rozszyfrowane niemieckie depeche, świadczące o nadmiernej pewności siebie. Niemieckie najwyższe dowództwo wycofało nawet część oddziałów z Francji, przerzucając je jako posiłki do Prus Wschodnich. Fitz uważał, że to błąd. Przecież Francuzi jeszcze nie zostali pokonani. Nie miał takiej pewności co do Anglików.

Brytyjski Korpus Ekspedycyjny był mały – pięć i pół dywizji wobec siedemdziesięciu dywizji, jakie mieli w polu Francuzi. Anglicy dzielnie walczyli pod Mons i Fitz był z nich dumny, ale w ciągu pięciu dni stracili piętnaście tysięcy ze stutysięcznego stanu osobowego i musieli się wycofać.

Fizylierzy Walijscy stanowili część tego korpusu, lecz nie Fitz. Z początku był rozczarowany przydziałem do Paryża w charakterze oficera łącznikowego: chciał walczyć ze swoim regimentem. Był przekonany, że dowódcy uważają go za amatora, którego trzeba gdzieś upchnąć, żeby nie wyrządził zbyt poważnych szkód. Zna jednak Paryż i mówi po francusku, tak więc nikt nie mógł zaprzeczyć, że ma do tego odpowiednie kwalifikacje.

Okazało się, że to stanowisko jest ważniejsze, niż sądził. Stosunki między francuskimi i angielskimi dowódcami były niebezpiecznie złe. Brytyjskim Korpusem Ekspedycyjnym dowodził obraźliwy safandula o nieco mylącym nazwisku – sir John French. Już na początku poczuł się urażony tym, co uważał za niechęć do konsultacji ze strony generała Joffre'a, i był nieustannie rozdrażniony. W takiej wrogiej atmosferze Fitz z trudem utrzymywał przepływ informacji pomiędzy tymi dwoma dowódcami sił alianckich.

Wszystko to było niepokojące i trochę zawstydzające, a Fitz, jako przedstawiciela Anglików, francuscy oficerowie traktowali ze złe ukrywaną niechęcią. Tydzień temu sytuacja dramatycznie się pogorszyła. Sir John powiedział Joffre'owi, że jego oddziały potrzebują dwóch dni odpoczynku. Następnego dnia zmienił zdanie, żądając dziesięciu dni. Francuzi byli wstrząśnięci, a Fitz wstydził się za swój kraj.

Złożył protest u pułkownika Herveya, lizusowatego adiutanta sir Johna, lecz został z urazą odrzucony. W końcu Fitz odbył rozmowę telefoniczną z lordem Remarkiem, wiceministrem Ministerstwa Wojny. Chodzili razem do Eton, a ponadto Remarc był jednym z rozplotkowanych znajomych Maud. Fitz niechętnie robił coś takiego za plecami swoich przełożonych, lecz ważyły się losy Paryża i uważał, że musi działać. Przekonał się, że nie tak łatwo być patriotą. Jego skarga miała iście wybuchowe skutki. Premier Asquith natychmiast wysłał do Paryża nowego ministra wojny, lorda Kitchenera, i zaledwie przedwcześniej sir John został wezwany na dywanik przez swojego szefa. Fitz miał nadzieję, że dowódca Korpusu Ekspedycyjnego zostanie szybko wymieniony. A jeśli nie, to przynajmniej może wyrwany z letargu.

Wkrótce Fitz się przekonał. Odwrócił się plecami do Gini i opuścił nogi na podłogę. – Wychodzisz? – spytała. Wstał.

– Mam coś do zrobienia.

Dziewczyna zrzuciła z siebie kołdrę. Fitz spojrzał na jej idealne piersi. Podchwyciwszy to spojrzenie, uśmiechnęła się przez łzy

i zapraszająco rozchyliła nogi.

Oparł się jednak pokusie.

– Zaparz kawę, cherie – poprosił.

Narzuciła podomkę z bladozielonego jedwabiu i zagotowała wodę, kiedy Fitz się ubierał. Zeszłego wieczoru jadł obiad w ambasadzie Wielkiej Brytanii w galowym mundurze swego regimentu, lecz po posiłku zdjął rzucającą się w oczy szkarłatną kurtkę, przed wyprawą do nędznej dzielnicy zamieniając ją na krótki smoking. Gini podała mu kawę w kubku wielkości rondla.

– Będę dziś na ciebie czekała w klubie Alberta – powiedziała.

Oficjalnie nocne kluby były nieczynne, tak jak teatry i kina. Nawet Folies Bergere była zamknięta. Kafejki zamykano o dwudziestej, a restauracje o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Jednak nie tak łatwo było stłumić nocne życie wielkiego miasta i przedsiębiorczy ludzie, tacy jak Albert, szybko otwierali nielegalne lokale, w których sprzedawali szampana po złodziejskich cenach.

– Postaram się dotrzeć tam do północy – obiecał.

Kawa była gorzka, ale splukała resztki senności. Dał Gini złotego angielskiego suwerena. Była to hojna zapłata za jedną noc, ale w czasach takich jak te ludzie wolą złoto od papierowych pieniędzy.

Kiedy całował ją na pożegnanie, przywarła do niego.

– Będziesz tam dziś wieczorem, prawda? – zapytała.

Było mu żal dziewczyny. Jej świat się wali, a ona nie wie, co robić. Chciałby wziąć ją pod swoje skrzydła i obiecać, że się nią zajmie, ale nie może. Ma ciężarną żonę, a jeśli Bea się zdenerwuje, może stracić dziecko. Nawet gdyby był kawalerem, wiążąc się z francuską dziwką, stałby się pośmiewiskiem. Poza tym Gini jest jedną z milionów. Wszyscy się boją, z wyjątkiem tych, którzy nie żyją.

– Postaram się – odparł i wyśliznął się z jej objęć.

Jego niebieski cadillac stał zaparkowany przy krawężniku. Nad maską powiewała mała brytyjska flaga. Na ulicach było niewiele prywatnych samochodów i większość z nich miała flagi, zazwyczaj trójkolorowe albo Czerwonego Krzyża, świadczące o tym, że są wykorzystywane do ważnych celów związanych z wojną.

Fitz musiał bezwstydnie wykorzystać swoje znajomości i wydać fortunę na łapówki, żeby sprowadzić tu samochód z Londynu, ale był zadowolony, że zadał sobie tyle trudu. Codziennie kursował między brytyjską a francuską kwaterą główną i w ten sposób nie musiał prosić żadnej z armii o wypożyczenie samochodu lub konia. Nacisnął starter i silnik zapalił. Na ulicach prawie nie było ruchu. Nawet autobusy zostały zarekwirowane do zaopatrywania żołnierzy na froncie. Przepuścił duże stado owiec przeganianych ulicą, zapewne na Gare de l'Est, z którego miały zostać wysłane pociągami do wygłodzonych oddziałów.

Zaintrygował go widok sporej grupy osób stojących przed plakatem niedawno przyklejonym na murze pałacu Bourbon. Zatrzymał się i dołączył do ludzi czytających ogłoszenie.

DO ARMII ORAZ OBYWATELI PARYŻA

Fitz przeniósł wzrok na sam dół ogłoszenia i zobaczył, że jest podpisane przez generała Gallieniego, wojskowego gubernatora miasta. Gallieni, dzielny stary żołnierz, do niedawna pozostawał w stanie spoczynku. Był znany z tego, że na naradach nikomu nie pozwalał usiąść, ponieważ uważał, że dzięki temu ludzie szybciej podejmują decyzje.

Podpisane przez niego obwieszczenie było typowo związane: Członkowie rządu Republiki opuścili Paryż, aby dać nowy impuls do obrony kraju.

Fitz się zaniepokoił. Rząd uciekł! Od kilku dni krążyły plotki o tym, że ministrowie przeniosą się do Bordeaux, ale politycy wahali się, nie chcąc opuszczać stolicy. Teraz jednak wyjechali. To bardzo zły znak.

Reszta ogłoszenia była utrzymana w agresywnym stylu. Powierzono mi obowiązek obrony Paryża przed najeźdźcą. A zatem, pomyślał Fitz, Paryż jednak nie skapituluje. Miasto będzie walczyć. Dobrze! To z pewnością leży w interesie Wielkiej Brytanii. Jeśli stolica Francji ma wpaść w ręce wroga, ten przynajmniej powinien drogo za to zapłacić. Ten obowiązek wypełnią do końca. Fitz nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Dzięki Bogu za starych żołnierzy. Ludzie wokół najwyraźniej mieli mieszane odczucia. Niektóre uwagi były pełne podziwu. „Gallieni to bitny żołnierz – powiedział ktoś z satysfakcją – nie pozwoli zająć Paryża”. Inni byli większymi realistami. „Rząd nas zostawił” – stwierdziła jakaś kobieta. To oznacza, że Niemcy będą tu dziś lub jutro. Mężczyzna z walizką powiedział, że wysłał żonę i dzieci do swojego brata na wsi. Dobrze ubrana dama oznajmiła, że ma w kuchennej szafce trzydzieści kilogramów suszonej fasoli. Fitz poczuł, że rola Brytyjczyków w tej wojnie, a także jego udział, stały się jeszcze ważniejsze. Przekonany o nieuchronnej klęsce, pojechał do Ritza. Wszedł do holu swojego ulubionego hotelu i skierował się do budki telefonicznej. Zadzwoił do ambasady brytyjskiej i zostawił wiadomość dla ambasadora, powiadamiając go o ogłoszeniu Gallieni, na wypadek gdyby ta wiadomość jeszcze nie dotarła na rue du Faubourg St Honore. Kiedy wyszedł z budki, spotkał adiutanta sir Johna, pułkownika Herveya. Hervey spojrział na marynarkę Fitz'a i wykrzyknął: – Majorze Fitzherbert! Dlaczego, do diabła, jest pan tak ubrany? – Dzień dobry, pułkowniku – powiedział Fitz, z rozmysłem nie odpowiadając na pytanie. Przecież to oczywiste, że całą noc był poza domem. – Jest cholerna dziewiąta rano! Nie wie pan, że prowadzimy wojnę? Następne pytanie, które nie wymaga odpowiedzi. – Czy jest coś, co mogę dla pana zrobić, pułkowniku? – spytał chłodno Fitz. Hervey był ordynusem nienawidzącym tych, których nie mógł zastraszyć. – Być mniej zuchwałym, majorze. Mamy dość na głowie bez przeszkadzających nam cholernych gości z Londynu. Fitz uniósł brwi. – Lord Kitchener jest ministrem wojny. – Politycy powinni pozwolić nam wykonywać naszą robotę. Jednak ktoś mający wysoko postawionych przyjaciół ich podbechtiał. Wyglądało na to, że Hervey podejrzewa Fitz'a, ale nie ma odwagi tego powiedzieć. – Trudno się dziwić, że Ministerstwo Wojny się niepokoi – powiedział Fitz. – Dziesięć dni odpoczynku, kiedy Niemcy stoja u bram! – Ludzie są wyczerpani! – Za dziesięć dni wojna może się skończyć. Po co tu jesteśmy, jeśli nie po to, żeby uratować Paryż? – Kitchener wyciągnął sir Johna z kwatery głównej w kluczowym momencie bitwy! – wrzasnął Hervey. – Zauważyłem, że sir John nie bardzo się spieszył z powrotem do swoich żołnierzy – odpalił Fitz. – Widziałem, jak tamtego wieczoru jechał tu, w Ritzu, kolację. Wiedział, że jest bezczelny, ale nie mógł się powstrzymać. – Zejdź mi pan z oczu – warknął Hervey. Fitz odwrócił się na pięcie i ruszył schodami na górę. Nie był tak beztroski, jak udawał. W żadnym razie nie zamierzał kłaniać się idiotom podobnym do Herveya, ale wojskowa kariera

była dla niego bardzo ważna. Nienawidził myśli, że ludzie mogliby powiedzieć, iż nie jest taki jak jego ojciec. Z Herveya armia miała niewielki pożytek, ponieważ całą energię i czas poświęcał na popieranie swoich ulubieńców i kopanie dołków pod rywalami, ale w ten sposób mógł łącać kariery tych, którzy zajmowali się innymi sprawami, takimi jak wygranie wojny.

Fitz w ponurym nastroju wykapał się, ogolił i przebrał w mundur Fizylierów Walijskich. Wiedząc, że może do kolacji nie będzie nic jadł, zamówił do pokoju omlet i kolejną kawę.

Punktualnie o dziesiątej rozpoczął dzień pracy i zapomniał o złośliwym Herveyu. Porucznik Murray, bystry młody Szkot, przybył z brytyjskiej kwatery głównej, przynosząc do apartamentu Fitz'a pył drogi i poranny raport powietrznego zwiadu.

Fitz pospiesznie przełożył dokument na francuski i zapisał wyraźnym, zamaszystym charakterem pisma na bladoniebieskim hotelowym papierze. Brytyjskie samoloty codziennie rano przelatywały nad niemieckimi pozycjami i sprawdzały, w jakim kierunku zmierzają oddziały nieprzyjaciela. Zadaniem Fitz'a było jak najszybsze dostarczanie tych informacji generałowi Gallieniemu.

Kiedy przechodził przez hol, kierownik recepcji poinformował go, że jest do niego telefon.

Głos, pytający: „Fitz, czy to ty?”, był cichy i zniekształcony, lecz ku jego zdumieniu niewątpliwie należał do jego siostry Maud.

– Jak, do diabła, ci się to udało?

Tylko członkowie rządu i wojskowi mogli dzwonić z Londynu do Paryża.

– Jestem w gabinecie Johnny'ego Remarca w Ministerstwie Wojny.

– Cieszę się, że cię słyszę – powiedział Fitz. – Co u ciebie?

– Wszyscy tutaj strasznie się niepokoją. Z początku gazety podawały wyłącznie dobre wiadomości. Tylko ludzie znający geografię rozumieli, że po każdym wspaniałym francuskim zwycięstwie Niemcy wchodzili na kolejne pięćdziesiąt mil w głąb Francji. Jednak w niedzielę „Times” wypuścił wydanie specjalne. Czy to nie dziwne? W codziennych wydaniach jest tyle kłamstw, że kiedy piszą prawdę, to w wydaniu specjalnym.

Starła się być zabawna i cyniczna, lecz Fitz słyszał skrywany lęk i gniew.

– I co napisali w tym wydaniu specjalnym?

– O naszej „cofającej się i rozbitej armii”. Asquith jest wściekły. Teraz wszyscy spodziewają się, że Paryż lada dzień się podda. – Maska spokoju spadła i Maud spytała, szlochając: – Fitz, czy nic ci nie będzie?

Nie potrafił jej okłamywać.

– Nie wiem. Rząd przeniósł się do Bordeaux. Sir John French miał odejść, ale nadal tu jest.

– Sir John poskarżył się w Ministerstwie Wojny, że Kitchener przyjechał do Paryża w mundurze marszałka polnego, co jest naruszeniem etykiety, ponieważ obecnie jest ministrem rządu, a więc cywilem.

– Dobry Boże. W takiej chwili on myśli o etykiecie! Dlaczego go nie wylali?

– Johnny mówi, że to by wyglądało na przyznanie się do porażki.

– A jak to będzie wyglądało, jeśli Paryż wpadnie w ręce Niemców?

– Och, Fitz! A co z dzieckiem, którego spodziewa się Bea, twoim dzieckiem?

– Jak tam Bea? – zapytał Fitz, z poczuciem winy przypominając sobie, z kim spędził ostatnią noc.

Maud pociągnęła nosem i przełknęła ślinę.

– Wygląda kwitnąco – powiedziała już spokojniej. – I nie dokuczają jej te męczące poranne mdłości.

– Powiedz jej, że za nią tęsknię.

W słuchawce rozległ się szum zakłóceń i przez kilka sekund słyhać było jakiś inny głos. To oznaczało, że rozmowa w każdej chwili może zostać przerwana.

– Fitz, kiedy to się skończy? – spytała Maud żałośnie.

– Za kilka dni. Tak czy inaczej.

– Proszę, uważaj na siebie!

– Oczywiście.

Połączenie zostało przerwane.

Fitz odłożył słuchawkę na widełki, dał napiwek recepcjoniście i wyszedł na plac Vendôme.

Wsiadł do samochodu i ruszył. Maud zdenerwowała go, mówiąc o ciąży Bei. Był gotowy umrzeć za kraj i miał nadzieję, że zginie bohatersko, ale pragnął zobaczyć swoje dziecko. Jeszcze nie był rodzicem i marzył, że będzie patrzył, jak jego potomek uczy się i rośnie, pomagał mu dojrzeć. Nie chciał, by jego dziecko wychowywało się bez ojca.

Przejechał na drugi brzeg Sekwany do kompleksu wojskowych budynków znanych jako Les Invalides. Gallieni urządził kwaterę główną w pobliskiej szkole, liceum Victor-Duruy, osłoniętej przez drzewa. Wejście było strzeżone przez wartowników w jasnoniebieskich bluzach oraz czerwonych spodniach i czapkach, o wiele ładniejszych od brytyjskich mundurów w kolorze błota. Francuzi jeszcze nie pojęli, że celność nowoczesnych karabinów sprawia, iż dzisiaj żołnierz chce wtopić się w otoczenie.

Wartownicy dobrze znali Fitzę, więc niezatrzymywany wszedł do budynku. Była to szkoła dla dziewcząt, obwieszona obrazkami przedstawiającymi domowych ulubieńców i kwiaty. Na odsuniętych na bok tablicach widniała odmiana łacińskich czasowników. Wydawało się, że karabiny wartowników i buty oficerów są obrazą dla szlachetnych nauk, jakich tu przedtem udzielano.

Fitz poszedł prosto do siedziby sztabu. Gdy tylko się tam znalazł, wyczuł nastrój podniecenia. Na ścianie wisiała duża mapa środkowej Francji, z zaznaczonymi szpilkami pozycjami wojsk. Gallieni był wysoki, chudy i trzymał się prosto, pomimo raka prostaty, który w lutym zmusił go do przejścia w stan spoczynku. Znów w mundurze, gniewnie spoglądał na mapę przez binokle.

Fitz zasalutował, a potem uścisnął dłoń swojemu francuskiemu odpowiednikowi, pułkownikowi Dupuysowi, i szeptem spytał, co się dzieje.

– Śledzimy ruchy von Klucka – wyjaśnił Dupuys.

Gallieni miał eskadrę dziewięciu starych samolotów, które wykorzystywał do obserwowania ruchów wojsk nieprzyjacielskich. Generał von Kluck był dowódcą 1. Armii niemieckich sił znajdujących się najbliżej Paryża.

– Co macie? – zapytał Fitz.

– Dwa raporty. – Dupuys wskazał mapę. – Nasz zwiad lotniczy wykrył, że von Kluck przesuwa się na południowy wschód, w kierunku Marny.

To potwierdzało dane z brytyjskich raportów. Podążając w tym kierunku, 1. Armia przejdzie na wschód od Paryża. A ponieważ von Kluck dowodzi prawym skrzydłem niemieckiej ofensywy, główne niemieckie siły ominą miasto. Czyżby Paryż jednak miał ocaleć?

– Mam też raport zwiadu kawaleryjskiego, który sugeruje to samo.

Fitz pokiwał w zadumie głową.

– Niemiecka doktryna wojskowa nakazuje najpierw zniszczyć armię wroga, a dopiero potem zajmować miasta.

– Nie widzi pan, co to oznacza? – spytał podekscytowany Dupuys. – Odsłaniają flankę!

O tym Fitz nie pomyślał. Całą jego uwagę zaprzętał los Paryża. Teraz zrozumiał, że Dupuys ma rację i właśnie to jest powodem takiego wzburzenia w sztabie. Jeśli wywiad się nie myli, von

Kluck popełnił klasyczny błąd taktyczny. Flanka armii jest słabsza od jej czoła. Atak z flanki jest jak pchnięcie nożem w plecy. Dlaczego jednak von Kluck popełnił taki błąd? Widocznie uważał, iż Francuzi są tak osłabieni, że niezdolni do kontrataku. W takim razie był w błędzie.

— Sądzę, że to pana bardzo zainteresuje, panie generale — powiedział Fitz i wręczył mu kopertę z danymi. — To raport naszego zwiadu powietrznego z dzisiejszego ranka.

— Aha! — Gallieni rzeczywiście wyglądał na zainteresowanego.

Fitz podszedł do mapy.

— Za pozwoleniem, panie generale?

Gallieni skinieniem głowy wyraził zgodę. Brytyjczyków nie lubiano, ale wszelkie informacje wywiadowcze były mile widziane. Porównawszy mapę z jej angielską wersją, Fitz rzekł:

— Nasi ludzie umiejscowili armię von Klucka tutaj. — Wbił w mapę kolejną szpilkę. — Przemieszcza się w tym kierunku. To potwierdzało podejrzenia Francuzów.

Na moment w pokoju zapadła cisza.

— Zatem to prawda — spokojnie odezwał się Dupuys. — Odsłonił flankę.

Oczy generała Gallieniego rozblęły za binoklami.

— Tak więc to dla nas odpowiedni moment do ataku — powiedział.

II.

Fitz był bardzo pesymistycznie nastawiony, leżąc obok smukłej Gini o trzeciej rano, gdy przestali uprawiać seks i zatęsknił za swoją żoną. Z przygnębieniem pomyślał, że von Kluck na pewno już zauważył swój błąd i zmienił kierunek marszu.

Jednak następnego ranka, w piątek czwartego września, ku zachwytowi francuskich obrońców, von Kluck nadal zmierzał na południowy wschód. To wystarczyło generałowi Joffre'owi. Wydał francuskiej 6. Armii rozkaz wymarszu z Paryża następnego ranka i uderzenia na tyły von Klucka.

Jednak Brytyjczycy nadal się cofali.

Wieczorem, kiedy spotkał Gini u Alberta, Fitz był zrozpaczony.

— To nasza ostatnia szansa — wyjaśnił jej przy szampanie, który bynajmniej nie poprawił mu humoru. — Jeśli zadamy poważny cios Niemcom teraz, kiedy są wyczerpani, a ich linie zaopatrzeniowe szwankują, może uda nam się powstrzymać ich napór. Jeśli jednak ten kontratak się nie uda, Paryż wpadnie w ręce wroga.

Gini siedziała na barowym stołku i z szelestem jedwabnych pończoch założyła nogę na nogę.

— Tylko dlaczego jesteś taki ponury?

— Ponieważ w takiej chwili Brytyjczycy się cofają. Jeśli Paryż teraz padnie, będziemy się tego wstydzili po wsze czasy.

— Generał Joffre musi porozmawiać z sir Johnem i zażądać, żeby Brytyjczycy walczyli! Musisz sam porozmawiać z Joffre'em!

— Nie udziela audiencji brytyjskim majorom. Ponadto pomyślałby, że to jakiś podstęp sir Johna. Miałbym poważne kłopoty, chociaż tym akurat się nie przejmuję.

— No to porozmawiaj z jednym z jego doradców.

— Ten sam problem. Nie mogę wejść do kwatery głównej Francuzów i oznajmić, że Brytyjczycy ich zdradzają.

— Mógłbyś jednak szepnąć coś na ucho generałowi Lourceau, tak żeby nikt o tym nie wiedział.

— Jak?

— Siedzi tam.

Fitz powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył około sześćdziesięcioletniego Francuza w cywilnym ubraniu, siedzącego

przy stole z kobietą w czerwonej sukni.

– Jest bardzo przyjacielski – dodała Gini.

– Znasz go?

– Przez jakiś czas byliśmy przyjaciółmi, ale wolał Lizette. Fitz się wahał. Znowu zamierza zrobić coś za plecami zwierzchników. Jednak nie ma czasu na uprzejmości. Stawką jest Paryż. Fitz powinien zrobić, co w jego mocy.

– Przedstaw mnie – poprosił.

– Daj mi minutkę. – Gini elegancko zsunęła się ze stołka i przeszła przez klub, kołysząc się lekko w rytmie granego na pianinie ragtime'u, aż dotarła do stolika generała. Pocałowała go w usta, uśmiechnęła się do jego towarzyszk i usiadła. Po kilku minutach ożywionej rozmowy skinęła na Fitz'a. Lourceau wstał i uścisnęli sobie dłonie.

– To spotkanie to dla mnie zaszczyt, panie generale – powiedział Fitz.

– Nie jest to miejsce na poważne rozmowy – odrzekł generał – jednak Gini zapewnia mnie, że ma mi pan do powiedzenia coś bardzo ważnego.

– Z całą pewnością – odparł Fitz i usiadł.

III.

Nazajutrz Fitz pojechał do brytyjskiego obozu w Melun, dwadzieścia pięć mil na południowy wschód od Paryża, i dowiedział się, że Korpus Ekspedycyjny wciąż się wycofuje.

Może jego wiadomość nie dotarła do Joffre'a. Albo dotarła i Joffre po prostu stwierdził, że nic nie może zrobić.

Fitz wszedł do Vaux-le-Penil, wspaniałej rezydencji Ludwika XV, w której sir John urządził swoją kwaterę główną. W holu wpadł na pułkownika Hervey'a.

– Mogę spytać, panie pułkowniku, dlaczego się wycofujemy, kiedy nasi sojusznicy przygotowują kontratak? – zapytał najuprzejmiej, jak mógł.

– Nie, nie może pan – warknął Hervey.

Fitz naciskał, powstrzymując gniew:

– Francuzi uważają, że siły ich i Niemców są wyrównane, tak więc nawet nasz niewielki korpus może przeważać szalę.

Hervey uśmiechnął się pogardliwie.

– Na pewno tak myślą.

Mówił tak, jakby Francuzi nie mieli prawa domagać się pomocy swoich sojuszników.

Fitz zaczął tracić panowanie nad sobą.

– Przez nasze tchórzostwo możemy stracić Paryż!

– Niech pan się nie waży używać tego słowa, majorze.

– Zostaliśmy tu przysłani, by uratować Francję. To może być decydująca bitwa. – Fitz mimo woli podniósł głos. – Jeśli Paryż padnie, a z nim Francja, jak wyjaśnimy w domu, że w tym czasie odpoczywaliśmy?!

Zamiast odpowiedzieć, Hervey spojrział ponad ramieniem Fitz'a. Hrabia odwrócił się i zobaczył otyłą, wolno poruszającą się postać we francuskim mundurze: czarnej mundurowej bluzie opiętej na wydatnym brzuchu, niedopasowanych czerwonych bryczesach, obcisłych sztylpach oraz czerwono-złotym generalskim kepi nasuniętym na czoło. Wodniste oczy spojrzały na Fitz'a i Hervey'a spod siwych brwi. Fitz poznał generała Joffre'a.

– Pan jest za to odpowiedzialny? – zapytał Hervey, kiedy generał przemaszerował obok ze swoją świtą.

Fitz był zbyt dumny, by skłamać.

– Być może – mruknął.

– Jeszcze pogadamy. – Hervey odwrócił się i pospieszył za generałem.

Sir John przyjął Joffre'a w małym pokoju i w obecności zaledwie kilku oficerów, wśród których nie było Fitz'a. Ten czekał w kasynie oficerskim, zastanawiając się, co mówi Joffre i czy zdoła nakłonić sir Johna do powstrzymania haniebnego odwrotu i dołączenia do kontraktaku.

Odpowiedź usłyszał dwie godziny później od porucznika Murraya.

– Mówią, że Joffre próbował wszystkiego – zameldował Murray. – Błagał, płakał i sugerował, że brytyjski honor może zostać na wieki splamiony. I dopiął swego. Jutro skręcamy na północ.

– Alleluja! – powiedział Fitz z szerokim uśmiechem.

Minutę później pojawił się Hervey. Fitz uprzejmie wstał.

– Posunął się pan za daleko – syknął Hervey. – Generał Lourceau powiedział mi, co pan zrobił. Myślał, że wyświadcza panu przysługę.

– Nie mogę zaprzeczyć – odparł Fitz. – Rezultat świadczy o tym, że postąpiłem słusznie.

– Posłuchaj mnie, Fitzherbert – Hervey zniżył głos – jesteś, kurwa, skończony. Byłeś niełojalny wobec swojego zwierzchnika. To czarna plama na twoim nazwisku, która nigdy nie zostanie zmazana. Nie dostaniesz awansu, nawet jeśli wojna potrwa rok. Jesteś i na zawsze zostaniesz majorem.

– Dziękuję za szczerość, pułkowniku. Ja jednak wstąpiłem do wojska, żeby się bić z wrogiem, a nie po to, by awansować.

IV.

Fitz uważał, że rozpoczęty w niedzielę przez sir Johna przemarsz jest koszmarne powolny, lecz z ulgą stwierdził, że i tak zmusił von Klucka do przeciwdziałania zagrożeniu przez wysłanie oddziałów, których niemiecki dowódca potrzebował gdzie indziej. Teraz Niemcy walczą na dwóch frontach, zachodnim i południowym, co jest koszmarem każdego dowódcy.

Fitz zbudził się w poniedziałek rano w dobrym humorze, pomimo nocy przespanej na kocu na podłodze rezydencji. Zjadł śniadanie w kasynie oficerskim, a potem niecierpliwie czekał na powrót samolotów zwiadowczych z porannego patrolu. Wojna jest szaleńczym pośpiechem albo całkowitą beczynnością. Na terenie rezydencji był kościółek zbudowany podobno w 1000 roku i Fitz poszedł go zobaczyć, chociaż nigdy tak naprawdę nie rozumiał, co ludzie widzą w starych kościołach.

Piloci samolotów zwiadowczych zdawali raporty we wspianym salonie z widokiem na park i rzekę. Oficerowie siedzieli na składanych krzeselkach przy tanim przenośnym stole, otoczeni osiemnastowiecznym przepychem. Sir John miał wysuniętą brodę, obwisłe siwe wąsy i usta, które wydawały się nieustannie wykrzywione w grymasie urażonej dumy.

Lotnicy zameldowali, że brytyjskie oddziały mają wolną drogę, ponieważ niemieckie kolumny oddalają się, maszerując na północ.

Fitz był zadowolony. Wygląda na to, że kontratak aliantów był niespodziewany i zaskoczył Niemców. Ci, oczywiście, szybko przegrupują siły, ale na razie chyba mają problemy.

Oczekiwał, że sir John wyda rozkaz szybkiego natarcia, lecz niestety, dowódca tylko potwierdził ograniczoną aktywność bojową, zaleconą wcześniej.

Fitz sporządził raport po francusku, po czym wsiadł do samochodu. Przejechał dwadzieścia pięć mil do Paryża, przedzierając się przez rzekę opuszczających miasto ciężarówek, samochodów i konnych pojazdów zapchanych ludźmi i stertami bagaży, kierujących się na południe w ucieczce przed Niemcami.

W Paryżu musiał przepuścić oddziały ciemnoskórych Algierczyków, maszerujących przez miasto z jednego dworca na drugi.

Oficerowie jechali na mułach i mieli jaskrawoczerwone płaszcze. Gdy przechodzili, kobiety dawały im kwiaty i owoce, a restauratorzy darmowe zimne napoje.

Kiedy przemaszerowali, Fitz pojechał do Les Invalides i wszedł do szkoły, by zdać raport.

I znów brytyjski zwiad potwierdził francuskie doniesienia: część niemieckich sił jest w odwrocie.

– Musimy kontynuować atak! – powiedział stary generał. – Gdzie są Brytyjczycy?

Fitz podszedł do mapy i pokazał brytyjskie pozycje oraz cele przemarszu wytyczone przez sir Johna na koniec dnia.

– To nie wystarczy! – gniewnie stwierdził Gallieni. –

Musimy być bardziej agresywni! Potrzebny nam wasz atak, by von Kluck był zbyt zajęty, żeby wzmocnić swoją flankę. Kiedy przejdziecie przez Marne?

Fitz nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Był zawstydzony. Zgadzał się z każdym kwaśnym słowem Gallieniego, ale nie mógł się do tego przyznać.

– Z naciskiem podkreślę taką konieczność, rozmawiając z sir Johnem, panie generale.

Jednak Gallieni już wiedział, jak skompensować opieszałość Brytyjczyków.

– Dziś po południu pošlemy Siódmy Dywizjon Czwartego Korpusu, aby wzmocnić armię Manoury'ego nad rzeką Ourcq – oznajmił.

Jego sztabowcy natychmiast zaczęli sporządzać pisemne rozkazy.

– Generale, mamy za mało pociągów, aby przerzucić ich wszystkich do wieczora – powiedział nagle pułkownik Dupuys.

– Więc użyjcie samochodów – odrzekł Gallieni.

– Samochodów? – zdumiał się Dupuys. – Skąd weźmiemy tyle samochodów?

– Weźcie taksówki!

Wszyscy obecni w pokoju wytrzeszczyli oczy. Czyżby generał postradał rozum?

– Zadzwoń do komendanta policji – polecił. – Powiedz mu, żeby kazał swoim ludziom zatrzymywać wszystkie taksówki w mieście, wypraszać pasażerów i kierować tutaj. Wsadzimy do nich żołnierzy i przewieziemy na pole bitwy.

Fitz uśmiechnął się, widząc, że Gallieni mówi poważnie. Takie nastawienie lubił. Róbnymu wszystko, żeby zwyciężyć.

Dupuys wzruszył ramionami i złapał za słuchawkę telefonu.

– Proszę natychmiast połączyć mnie z komendantem policji – powiedział.

Muszę to zobaczyć, pomyślał Fitz.

Wszedł na dwór i zapalił cygaro. Nie musiał długo czekać. Po kilku minutach czerwona taksówka renault przejechała przez most Aleksandra III, ominęła duży ozdobny trawnik i zaparkowała przed głównym budynkiem. Za nią przyjechały dwie następne, potem tuzin, a później setka.

Po paru godzinach przed Les Invalides stało kilkaset identycznych czerwonych taksówek. Fitz jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział.

Taksówkarze opierali się o swoje auta, paląc fajki i rozmawiając z ożywieniem, czekając na instrukcje. Każdy z nich miał inną teorię na temat tego, po co ich tu wezwano.

W końcu pojawił się Dupuys i przeszedł na drugą stronę ulicy, niosąc w jednej ręce megafon, a w drugiej plik wojskowych kwitów rek wizycyjnych. Wspiął się na maskę jednej z taksówek i kierowcy zamilkli.

– Wojskowy komendant Paryża potrzebuje pięciuset taksówek, które pojedą stąd do Blagny – oznajmił przez megafon.

Kierowcy gapili się na niego w milczeniu.

– Tam każda taksówka weźmie pięciu żołnierzy i zawiezie

ich do Nanteuil.

Nanteuil znajduje się trzydzieści mil dalej na wschód i bardzo blisko linii frontu. Kierowcy zaczęli pojmować. Spoglądali po sobie, kiwając głowami i uśmiechając się. Fitz odgadł, że są zadowoleni, mogąc wziąć udział w wysiłku wojennym, a szczególnie w tak niezwykły sposób.

– Proszę przed odjazdem pobrać te formularze i wypełnić je, aby po powrocie odebrać zapłatę.

Odpowiedzią był głośny pomruk. Jeszcze dostaną zapłatę! To zagwarantowało ich współpracę.

– Po odjeździe pierwszych pięciuset samochodów dam instrukcje następnej pięćsetce. Niech żyje Paryż! Vive la France! Kierowcy odpowiedzieli chóralnym aplauzem. Obiegnęli Dupuy-sa, żeby pobrać formularze. Uradowany Fitz pomógł je rozdać. Niebawem samochody zaczęły odjeżdżać, zakręcając przed wielkim budynkiem i przejeżdżając przez most w promieniach słońca, entuzjastycznie trąbiąc, tworząc jasnoczerwoną linię transportową dla oddziałów potrzebnych na froncie.

V.

Przejsście dwudziestu pięciu mil zajęło Brytyjczykom trzy dni. Fitz cierpiał męki. Maszerowali, prawie nie napotykając oporu. Gdyby poruszali się szybciej, mogliby zadać decydujący cios. Pomimo to rankiem, w środę dziewiątego września, zastał ludzi Gallieniego w optymistycznym nastroju. Von Kluck był w odwrocie.

– Niemcy się boją! – powiedział pułkownik Dupuys.

Fitz nie wierzył, że Niemcy się boją, a mapa dawała bardziej wiarygodne wyjaśnienie. Brytyjczycy, pomimo powolnego i bojaźliwego marszu, weszli w lukę pomiędzy niemiecką 1. a 2. Armią, powstała, kiedy von Kluck ściągnął swoje oddziały na wschód, by odeprzeć atak z Paryża.

– Znaleźliśmy słaby punkt i wbijamy tam klin – rzekł z nadzieją Fitz.

Nakazał sobie spokój. Dotychczas Niemcy zwyciężali we wszystkich bitwach. Z drugiej strony ich linie zaopatrzeniowe są mocno rozciągnięte, ludzie wyczerpani, a liczebność oddziałów zmniejszona, ponieważ wysłano posiłki do Prus Wschodnich.

Natomiast Francuzi w tym rejonie dostali znaczące posiłki, a będąc na swojej ziemi, właściwie nie musieli martwić się o zaopatrzenie.

Nadzieje Fitz'a się rozwiały, gdy Brytyjczycy zatrzymali się pięć mil na północ od Marny. Dlaczego sir John przestał maszerować? Przecież nie napotkał żadnego oporu!

Niemcy jednak chyba nie zauważyli bojaźliwości Anglików, ponieważ nadal byli w odwrocie, więc w budynku liceum znowu obudziła się nadzieja.

Gdy drzewa na szkolnym podwórku zaczęły rzucać coraz dłuższe cienie i nadeszły ostatnie dzienne raporty, sztab Gallieniego powoli ogarniała skrywana radość. Pod koniec dnia Niemcy uciekali.

Fitz nie mógł w to uwierzyć. Rozpacz sprzed tygodnia zmieniła się w nadzieję. Siedział na za małym dla niego krześle i patrzył na wiszącą na ścianie mapę. Siedem dni temu niemiecka linia wyglądała jak odskocznia do decydującego ataku, teraz wydawała się murem, od którego się odbili.

Kiedy słońce zaszło za wieżą Eiffla, alianci wprawdzie nie zwyciężyli, ale po raz pierwszy od wielu tygodni powstrzymali marsz niemieckich wojsk.

Dupuys uściskał Fitz'a i ucałował go w oba policzki, a Fitz ten jeden raz nie miał mu tego za złe.

– Powstrzymaliśmy ich – powiedział Gallieni i ku zdziwieniu Fitz'a za szklami binokli starego generała zabłysły łzy. – Po-

wstrzymaliśmy ich.

VI.

Wkrótce po bitwie nad Marną obie strony zaczęły się okopywać. Wrześniowe upały zmieniły się w zimne i przygnębiające październikowe deszcze. Patowa sytuacja na wschodnim krańcu frontu nieubłaganie rozszerzyła się na zachód jak paraliż ogarniający ciało konającego.

Decydującą bitwę tej jesieni stoczono o belgijskie miasto Ypres na zachodnim końcu frontu, dwadzieścia mil od morza. Niemcy przypuścili gwałtowny atak wszystkimi siłami, próbując oskrzydlić brytyjskie oddziały. Walki trwały przez cztery tygodnie. W przeciwieństwie do wszystkich poprzednich ta bitwa była pozycyjna: obie strony kryły się w okopach przed ogniem nieprzyjacielskiej artylerii i wychodziły z nich tylko po to, by przypuszczać samobójcze ataki na gniazda karabinów maszynowych wroga. W końcu Brytyjczyków uratowały posiłki, w tym oddziały brązowskórych Hindusów, trzęsących się z zimna w tropikalnych mundurach. Gdy bitwa się skończyła, Brytyjczycy stracili siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi i Korpus Ekspedycyjny został rozbity, lecz alianci stworzyli zwartą linię obrony od granicy szwajcarskiej aż po kanał La Manche i niemiecka inwazja została zatrzymana.

Dwudziestego czwartego grudnia Fitz był w brytyjskiej kwaterze głównej w mieście St Omer, niedaleko Calais. Miał ponury nastrój. Pamiętał, jak żarliwie on sam i inni oficerowie zapewniali żołnierzy, że wrócą do domu na Boże Narodzenie. Teraz wyglądało na to, że wojna potrwa jeszcze rok, a nawet dłużej. Wrogie armie dzień za dniem siedziały w okopach, jedząc zepsutą żywność, łapiąc dyzenterię, gorączkę okopową i wszy, bezskutecznie tępiąc szczury żywiące się ciałami zabitych, którymi usłana była ziemia niczyja. Kiedyś Fitz doskonale wiedział, dlaczego Wielka Brytania musi wziąć udział w tej wojnie, ale teraz już nie pamiętał tych powodów.

Tego dnia deszcz ustał i zrobiło się zimno. Sir John przesłał do wszystkich oddziałów wiadomość, że nieprzyjaciel szykuje atak w Boże Narodzenie. Fitz wiedział, że to wymysł: nie potwierdzały tego żadne informacje wywiadowcze. Sir John nie chciał po prostu, by jego żołnierze byli podczas świąt Bożego Narodzenia mniej czujni.

Każdy żołnierz miał dostać prezent od księżniczki Marii, siedemnastoletniej córki króla i królowej. Było nim grawerowane mosiężne puzderko z tytoniem i papierosami, zdjęciem księżniczki i bożonarodzeniową kartką od króla. Inne prezenty wręczano niepalącym, Sikhom i pielęgniarkom – oni wszyscy mieli dostać czekoladę lub ciasto zamiast tytoniu. Fitz pomógł rozdawać pudełka Fizylierom Walijskim. Pod koniec dnia, za późno, by wrócić do względnie wygodnej kwatery w St Omer, znalazł się w dowództwie 4. Batalionu – wilgotnej ziemiance ćwierć mili za linią frontu – czytając opowiadanie o Sherlocku Holmesie i paląc krótkie cienkie cygaretki, do których się przyzwyczał. Nie były tak dobre jak jego panatelle, ale teraz rzadko miewał czas na wypalenie cygara. Towarzyszył mu Murray, który po Ypres został awansowany do stopnia kapitana. Fitz nie dostał awansu: Hervey dotrzymywał obietnicy.

Tuż po zachodzie słońca ze zdziwieniem usłyszał chaotyczną strzelaninę z broni ręcznej. Okazało się, że żołnierze zobaczyli jakieś światła i myśleli, iż nieprzyjaciel zamierza przeprowadzić niespodziewany atak. W rzeczywistości te światła okazały się kolorowymi lampionami, którymi Niemcy ozdabiali przedpiersie swojego okopu.

Murray, który już od jakiegoś czasu był na pierwszej linii frontu, opowiadał o hinduskich oddziałach broniących sąsiedniego

odcinka:

– Ci biedni dranie przybyli tutaj w letnich mundurach, ponieważ ktoś im powiedział, że wojna się skończy, zanim nadejdą chłody. Jednak coś ci powiem, Fitz: ci wasi śniadoskórzy żołnierze są pomysłowi. Wiesz, że prosiliśmy Ministerstwo Wojny, żeby wyposażyło nas w takie moździerce, jakie mają Niemcy, miotające granaty łukiem na przedpole? Cóż, ci Hindusi zrobili sobie takie z kawałków żeliwnych rur. Wygląda to trochę jak coś, co zerwano ze ściany publicznej toalety, ale działa!

Rano opadła lodowato zimna mgła i ziemia pod nogami stwardniała. O brzasku Fitz i Murray porozdawali prezenty od księżniczki. Niektórzy żołnierze kulili się wokół koksowników, próbując się ogrzać, ale mówili, że dziękują Bogu za mróz, bo ten jest lepszy od błota, szczególnie dla cierpiących na stopę okopową. Fitz zauważył, że niektórzy rozmawiają z sobą po walijsku, chociaż do oficerów zawsze zwracali się po angielsku.

Odległe o czterysta jardów okopy Niemców były skryte we mgle koloru ich mundurów, wyblakłego srebrzystoniebieskiego, zwanego wojskowo szarym. Fitz usłyszał cichy śpiew. To Niemcy śpiewali kolędy. Nie był muzykalny, ale wydawało mu się, że rozpoznaje Cichą noc.

Wrócił do ziemianki, żeby z innymi oficerami zjeść kiepskie śniadanie złożone z suchego chleba i konserwowej szynki. Później wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić. Nigdy w życiu nie czuł się tak podle. Myślał o śniadaniu, jakie w tym momencie podają w Ty Gwyn: gorące parówki, świeże jajka, nereczki na ostro, wędzone śledzie, grzanki z masłem, a do tego pachnąca kawa ze śmietanką. Marzył o czystej bieliźnie, starannie wyprasowanej koszuli i ubraniu z miękkiej wełny. Chciał siedzieć przy kominku w porannym salonie, nie mając nic lepszego do roboty niż czytanie głupich dowcipów w magazynie satyrycznym „Punch”.

Murray wyszedł za nim z ziemianki.

– Jest pan proszony do telefonu, majorze – powiedział. – Dzwonią z kwatery głównej.

Fitz się zdziwił. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby go znaleźć. Miał nadzieję, że nie chodzi o jakąś kłótnię, która wybuchła między Francuzami i Brytyjczykami, kiedy rozdawał świąteczne prezenty. Ściągając brwi, pochylił głowę, wszedł do ziemianki i podniósł słuchawkę telefonu polowego.

– Fitzherbert.

– Dzień dobry, panie majorze – powiedział nieznajomy głos. – Tu kapitan Davies. Pan mnie nie zna, ale proszono mnie, żebym przekazał panu wiadomość z domu.

Z domu? Fitz miał nadzieję, że nie stało się nic złego.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, kapitanie. Jak brzmi ta wiadomość?

– Pana żona urodziła zdrowego chłopca, panie majorze. Matka i syn czują się dobrze.

– Och!

Fitz usiadł gwałtownie na jakiejś skrzynce. Dziecko urodziło się za wcześnie – mniej więcej tydzień lub dwa – a wcześniaki są słabowite. Jednak przekazano mu, że chłopczyk ma się dobrze. I Bea też.

Fitz ma syna, a jego dobra – dziedzica.

– Jest pan tam, majorze? – spytał kapitan Davies.

– Tak, tak... Tylko jestem trochę zaskoczony. To za wcześnie.

– Ponieważ mamy Boże Narodzenie, panie majorze, pomyśleliśmy, że to pana rozweseli.

– I mieliście rację!

– Pozwolę sobie jako pierwszy złożyć panu gratulacje.

– To bardzo miło. Dziękuję.

Jednak kapitan Davies już się rozłączył.

Po chwili Fitz uświadomił sobie, że inni obecni w ziemiance oficerowie patrzą na niego w milczeniu.

– Dobra czy zła wiadomość? – spytał wreszcie któryś.
– Dobra! A nawet wspaniała. Zostałem ojcem!
Wszyscy ściskali mu dłoń i klepali po plecach. Murray wyciągnął butelkę whisky i pomimo wczesnej pory wszyscy wypili za zdrowie dziecka.
– Jak się będzie nazywał? – zapytał Murray.
– Wicehrabia, dopóki ja żyję – powiedział Fitz i natychmiast zrozumiał, że Murray nie pyta o tytuł, lecz o imię chłopca. – George, po moim ojcu, a William po dziadku. Ojcem Bei był Piotr Nikołajewicz, więc może dodamy i te imiona.
Murray wyglądał na rozbawionego.
– George William Piotr Nikołajewicz Fitzherbert, wicehrabia Aberowen – wymienił. – Sporo imion do noszenia!
Fitz wesoło pokiwał głową.
– Szczególnie że zapewne waży około trzech kilogramów.
Pękał z radości i dumy i czuł potrzebę podzielenia się tą nowiną z innymi.
– Może przejdę się po pierwszej linii – powiedział, kiedy wypili whisky. – Rozdam ludziom kilka cygar.
Opuścił ziemiankę i ruszył okopem. Był w euforii. Nikt nie strzelał, a powietrze było mroźne i czyste, pomijając okolice latryny. Nagle zaczął myśleć nie o Bei, lecz o Ethel. Czy już urodziła? Czy jest szczęśliwa w swoim domku, do którego kupna zmusiła Fitzę? Chociaż zaskoczył go twardy sposób, w jaki z nim negocjowała, nie mógł zapomnieć o tym, że nosi jego dziecko. Miał nadzieję, że urodzi je bez komplikacji, tak jak Bea.
Wszystkie te myśli wyleciały mu z głowy, gdy dotarł na pierwszą linię. Wszedł zza załomu okopu i doznał szoku. W okopie nie było nikogo.
Szedł, zygzakując, łamaną linią okopu, i nie napotykał nikogo. Jak w opowieści o duchach lub o statku płynącym pod pełnymi żaglami, choć na pokładzie nie ma żywej duszy.
Musi być na to jakieś wytłumaczenie. Może przeprowadzono niespodziewany atak, o którym Fitzę nie powiadomiono?
Postanowił spojrzeć na przedpole.
Tego nie można jednak robić nieostrożnie. Wielu żołnierzy zginęło pierwszego dnia na froncie, ponieważ postanowili wystawić głowę z okopu.
Fitz wziął saperkę. Cał po calu wysuwał jej ostrze nad okop, potem stanął na stopniu i powoli podniósł głowę, by spojrzeć przez wąską szparę między przedpiersiem a ostrzem saperki.
To, co zobaczył, zdumiało go.
Wszyscy żołnierze znajdowali się na porwanej kraterami ziemi niczyjej. Jednak nie walczyli. Stali w grupkach i rozmawiali. W tym widoku było coś dziwnego i po chwili Fitz spostrzegł, że niektórzy noszą mundury khaki, a inni szaroniebieskie. Rozmawiają z wrogami!
Fitz upuścił saperkę, wystawił głowę z okopu i patrzył. Na ziemi niczyjej były setki żołnierzy. Jak okiem sięgnąć po prawej i po lewej Brytyjczycy stali razem z Niemcami.
Co tu się dzieje, do diabła?
Znalazł drabinę i wygramolił się z okopu. Pomaszzerował po zrytej wybuchami ziemi. Mężczyźni pokazywali sobie zdjęcia swoich rodzin i sympatii, częstowali się papierosami i próbowali się porozumieć, mówiąc na przykład: „Ja Robert, a ty?”. Zauważył dwóch sierżantów, Anglika i Niemca, pogrążonych w rozmowie. Klepnął Anglika w ramię.
– Hej, ty! – krzyknął. – Co wy, do diabła, robicie?
Tamten odpowiedział mu z gardłowym akcentem mieszkańca doków Cardiff:
– Nie wiem, jak to się stało, panie majorze. Paru szkopów bez broni wyszło z okopu i zawołało „Wesołych Świąt!”, potem nasi chłopcy zrobili to samo, zaczęli iść do siebie i zanim ktoś

policzyłby do trzech, robili to wszyscy.

– Ale w okopach nie ma nikogo! – gniewnie rzucił Fitz. –

Nie widzicie, że to może być podstęp?

Sierżant spojrział na prawo i lewo.

– Nie, panie majorze, szczerze mówiąc, nie widzę – odparł chłodno.

Fitz uświadomił sobie, że on sam też tego nie widzi. Jak nieprzyjaciel mógł wykorzystać fakt, że żołnierze obu walczących stron nagle się zaprzyjaźnili?

Sierżant wskazał Niemca.

– To jest Hans Braun, panie majorze – rzekł. – Był kiedyś kelnerem w londyńskim hotelu Savoy. Mówi po angielsku!

Niemiec zasalutował Fitzowi.

– Cieszę się, że mogę pana poznać, majorze – powiedział. –

Wesołych Świąt. – Mówił po angielsku ze słabiej słyszalnym akcentem niż sierżant z Cardiff. Pokazał butelkę. – Napije się pan kropelkę sznapsa?

– Dobry Boże – jęknął Fitz i odszedł.

W żaden sposób nie mógł tego powstrzymać. Byłoby to trudne nawet z poparciem takich niezawodowych podoficerów, jak ten walijski sierżant. Bez ich pomocy to niemożliwe. Postanowił zameldować o tym swojemu przełożonemu i zrzucić ten problem na jego barki.

Zanim jednak zdążył się oddalić, usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

– Fitz! Fitz! To naprawdę ty?

Głos był znajomy. Fitz odwrócił się i zobaczył Niemca. Gdy ten podszedł bliżej, Fitz go rozpoznał.

– Von Ulrich? – wykrztusił zdumiony.

– We własnej osobie!

Walter z szerokim uśmiechem wyciągnął do niego rękę, a Fitz odruchowo ją uścisnął. Jest szczuplejszy, pomyślał, a jego jasna skóra ogorzała. Zapewne ja też się zmieniłem.

– To zdumiewające. Co za przypadek!

– Cieszę się, widząc cię całego i zdrowego – odrzekł Fitz. – Chociaż pewnie nie powinienem.

– I wzajemnie!

– Co z tym zrobimy? – Fitz machnięciem ręki wskazał bratających się żołnierzy. – To niepokojące.

– Masz rację. Jutro mogą nie chcieć strzelać do swoich nowych przyjaciół.

– I co wtedy zrobimy? – zapytał Fitz.

– Musimy szybko rozpocząć bitwę, żeby wrócili do normalności. Jeśli rano obie strony rozpoczną ostrzał artyleryjski, wkrótce znów zaczną się nienawidzić.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– A jak ty się masz, stary przyjacielu?

Fitz przypomniał sobie dobrą wiadomość i rozpromienił się.

– Zostałem ojcem – oznajmił. – Bea urodziła chłopca. Weź cygaro.

Zapalili. Walter wyjął, że był na froncie wschodnim.

– Rosjanie są skorumpowani – opowiadał z niesmakiem. –

Oficerowie sprzedają zapasy na czarnym rynku, a wojsko jest głodne i zmarznięte. Połowa mieszkańców Prus Wschodnich nosi kupione tanio od Rosjan wojskowe buty, a rosyjscy żołnierze chodzą boso.

Fitz powiedział, że był w Paryżu.

– Twoja ulubiona restauracja, Walterze, Voisin, wciąż jest otwarta.

Żołnierze zaczęli grać w piłkę, Anglia przeciwko Niemcom, ułożywszy mundury w stosy zamiast bramek.

– Muszę o tym zameldować – uznał Fitz.

– Ja też – rzekł Walter. – Najpierw jednak powiedz mi, jak się miewa lady Maud?

- Myślę, że dobrze.
- Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś przekazał jej moje uszanowanie.
- Fitza uderzył nacisk, z jakim Walter rzucił tę grzecznościową uwagę.
- Oczywiście. Z jakiegoś szczególnego powodu?
- Walter odwrócił głowę.
- Tuż przed wyjazdem z Londynu... tańczyłem z nią na balu u lady Westhampton. Była to ostatnia cywilizowana rzecz, jaką robiłem przed tą verdammten wojną.
- Walter wyglądał na niezwykle rozemocjonowanego. Fitz słyszał drżenie w jego głosie, a mieszanie niemieckich słów z angielskim zdarzało mu się bardzo rzadko. Może świąteczna atmosfera poruszyła i jego.
- Bardzo chciałbym, żeby wiedziała, że myślałem o niej w to Boże Narodzenie – dodał Walter i spojrzał na Fitza zamglonymi oczami. – Nie zapomnisz jej tego powiedzieć, stary przyjacielu?
- Nie zapomnę – obiecał Fitz. – Jestem pewny, że będzie bardzo zadowolona.

ROZDZIAŁ 14

Luty 1915 roku

i.

- Poszłam do lekarza – odezwała się kobieta siedząca obok Ethel. – Powiedziałałam mu, że swędzi mnie cipka.
- Przez pracownię przetoczył się śmiech. Znajdowała się na ostatnim piętrze niewielkiego domu we wschodnim Londynie, w pobliżu Aldgate. Dwadzieścia kobiet siedziało przy maszynach do szycia ustawionych ciasno po obu stronach długiego stołu. Nie było tu ogrzewania, a okna pozamykano w obawie przed lutowym mrozem. Podłoga z desek nie była niczym przykryta, pobielony tynk na ścianach popękał ze starości i w niektórych miejscach przez szpary przezierwały drewniane łąty. Przy dwudziestu kobietach oddychających tym samym powietrzem w pracowni było duszno, ale nigdy za ciepło, więc wszystkie siedziały w kapeluszach i płaszczach. Właśnie miały przerwę i pedały maszyn na chwilę przestały popiskiwać. Obok Ethel siedziała Mildred Perkins, mieszkanka Londynu, w tym samym wieku co ona. Mildred była również lokatorką Ethel. Byłaby piękna, gdyby nie wystające przednie zęby. Jej specjalność stanowiły sprośne żarty.
- Na co lekarz: „Nie powinna pani tak mówić, bo to brzydkie słowo”.
- Ethel się uśmiechnęła. Mildred potrafiła dać im trochę radości podczas ponurego dwunastogodzinnego dnia pracy. Ethel przedtem nie słyszała takiego języka. W Ty Gwyn personel był dobrze wychowany. Te londyńskie kobiety potrafiły powiedzieć wszystko. Były w różnym wieku i różnej narodowości, a niektóre ledwo mówiły po angielsku, tak jak dwie uciekinierki z okupowanej przez Niemców Belgii. Jedyne, co je łączyło, to desperacja zmuszająca do podjęcia tej pracy.
- Ja do niego: „No to co mam powiedzieć, panie doktorze?”.
- A on do mnie: „Że swędzi panią palec”.
- Szyły mundury dla brytyjskiej armii, tysiące mundurów, bluz i spodni. Dzień za dniem kawałki grubego materiału w kolorze khaki przynoszono z kralalni przy sąsiedniej ulicy – wielkie kartonowe pudła pełne rękawów, pleców i nogawek – a kobiety zszywały je razem i odsyłały do innej manufaktury, gdzie przyszywano guziki i obszywano dziurki. Pracowały na akord.
- On mnie pyta: „Czy palec swędzi panią nieustannie, pani Perkins, czy tylko od czasu do czasu?”.

Mildred przerwała, a kobiety zamilkły, czekając na puentę.

– Ja na to: „Nie, panie doktorze, tylko wtedy, kiedy sikam”.

Kobiety ryknęły śmiechem.

Do pracowni weszła dziewczynka w wieku około dwunastu lat z drągiem na ramieniu. Niosła na nim duże kubki i kufle, dwadzieścia sztuk. Postawiła je ostrożnie na stole. W kubkach była herbata, gorąca czekolada, zupa lub wodnista kawa. Każda kobieta miała swój kubek. Dwa razy dziennie, w południe i po południu, dawały tej dziewczynce, Allie, po półtora pensa, a ona szła napełnić kubki w pobliskiej kafejce.

Kobiety piły, rozprostowując ręce i nogi, przecierając oczy. Ta praca nie jest tak ciężka, jak w kopalni, pomyślała Ethel, ale pochylanie się przez wiele godzin nad maszyną i wpatrywanie w szwy też męczy. I trzeba to robić jak należy. Ich kierownik, Mannie Litov, sprawdza każdą sztukę odzieży i jeśli ma wady, nie płaci za nią, chociaż Ethel podejrzewała, że i tak wysyła wojsku te źle uszyte mundury.

Pięć minut później do warsztatu wszedł Mannie, klasnął i powiedział:

– No już, wracajcie do pracy.

Opróżniły kubki i usiadły przy maszynach.

Mannie był poganiaczem niewolników, ale według kobiet nie takim najgorszym. Przynajmniej nie obmacywał dziewcząt i nie domagał się usług seksualnych. Około trzydziestoletni, miał ciemne oczy oraz czarną brodę. Jego ojciec był krawcem, który przybył z Rosji i otworzył zakład przy Mile End Road, szyjąc tanie garnitury dla urzędników i maklerów. Mannie nauczył się zawodu od ojca, a potem otworzył ambitniejsze przedsiębiorstwo.

Wojna sprzyjała interesom. Od sierpnia do Bożego Narodzenia milion mężczyzn zgłosiło się na ochotnika do wojska i wszyscy potrzebowali mundurów. Mannie zatrudniał każdą szwaczkę, którą znalazł. Na szczęście Ethel nauczyła się w Ty Gwyn szyć na maszynie. Potrzebowała pracy. Chociaż domek był jej i dostawała czynsz od Mildred, musiała odłożyć trochę pieniędzy na czas, kiedy urodzi się dziecko. Jednak to, czego doświadczyła przy szukaniu pracy, było frustrujące i irytujące.

Wprawdzie kobiety mogły teraz pracować w wielu nowych zawodach, lecz Ethel szybko przekonała się, że w praktyce nadal nie ma mowy o równouprawnieniu. Posady, na których mężczyźni zarabiali tygodniowo trzy do czterech funtów, kobietom proponowano za funta. A nawet wtedy musiały znosić wrogość i szykany. Mężczyźni w autobusach odmawiali okazywania biletów konduktorze, inżynierowie potrafili wlać olej do skrzynki narzędziowej kobiety pracującej w warsztacie, a robotnic nie wpuszczano do fabrycznego bufetu. Jeszcze bardziej rozwścieczało Ethel to, że ci sami mężczyźni nazywali kobietę leniwą i niechlujną, jeśli jej dzieci chodziły w łachmanach.

W końcu, niechętnie i gniewnie, wybrała gałąź przemysłu tradycyjnie zatrudniającego kobiety, poprzysięgając sobie, że zanim umrze, postara się zmienić ten niesprawiedliwy system.

Rozmasowała sobie plecy. Dziecko miało przyjść na świat za tydzień lub dwa, więc lada dzień będzie musiała przerwać pracę. Trudno szyć z takim wielkim brzuchem, ale najtrudniejsza była walka z ogarniającym ją zmęczeniem.

Do sali weszły dwie kobiety, jedna z zabandażowaną ręką.

Szwaczki często raniły się igłami lub ostrymi nożycami, którymi przycinały materiał.

– Posłuchaj, Mannie – powiedziała Ethel – powinieneś mieć tutaj apteczkę w blaszanym pudełku, a w nim bandaże, butelkę jodyny oraz kilka innych rzeczy.

– Czy ja jestem zrobiony z pieniędzy? – prychnął, co było jego standardową odpowiedzią na wszelkie żądania pracownic.

– Jednak tracisz pieniądze za każdym razem, kiedy któraś z nas się skaleczy – rozsądnie zauważyła Ethel. – Te dwie

kobiety odeszły od maszyn na prawie godzinę, bo musiały iść do apteki i opatrzyć ranę.

Kobieta z zabandażowaną ręką się uśmiechnęła.

– Ponadto musiałam wpaść do pubu Pies i Kaczka, żeby się uspokoić – dodała.

– Pewnie chcesz, żebym trzymał w apteczce także butelkę ginu – powiedział z sarkazmem.

Ethel zignorowała tę uwagę.

– Sporządzę listę i dowiem się, ile co kosztuje, a wtedy będziesz mógł zdecydować, dobrze?

– Niczego nie obiecuję – zastrzegł Mannie, co w jego ustach było czymś najbardziej zbliżonym do obietnicy.

– A zatem umowa stoi.

Ethel odwróciła się do maszyny.

To zawsze ona prosiła Manniego o drobne udogodnienia w warsztacie albo protestowała, kiedy wprowadzał niekorzystne zmiany, takie jak opłata za ostrzenie nożyc. Nie wiedzieć kiedy „objęła” funkcję, jaką pełnił jej ojciec.

Za brudnym oknem ciemniało krótkie popołudnie. Trzy ostatnie godziny pracy były dla Ethel najcięższe. Bolały ją plecy, a jaskrawe światło lamp wywoływało ból głowy.

Jednak kiedy wybiła dziewiętnasta, nie chciało jej się iść do domu. Myśl o samotnym wieczorze była zbyt przygnębiająca.

Po przyjeździe do Londynu Ethel stała się obiektem zainteresowania kilku młodych mężczyzn. Tak naprawdę nie podobał jej się żaden z nich, ale przyjmowała zaproszenia do kina, na musicale, koncerty oraz wieczory w pubach, a nawet całowała się z jednym z tych młodzieńców, chociaż niezbyt namiętnie. Kiedy jednak jej ciąża stała się widoczna, przestano zwracać na nią uwagę. Ładna dziewczyna to jedno, a kobieta z dzieckiem to coś zupełnie innego. Na szczęście tego wieczoru było zebranie Partii Pracy. Ethel wstąpiła do Niezależnej Partii Pracy w Aldgate wkrótce po kupieniu domku. Często zastanawiała się, co pomyślałby o tym jej ojciec, gdyby wiedział. Czy chciałby wykluczyć ją z partii, tak jak wygnał ją z domu? Czy może w głębi duszy byłby zadowolony? Ethel przypuszczała, że zapewne nigdy się tego nie dowie.

Tego wieczoru miała wygłosić przemówienie Sylvia Pankhurst, jedna z przywódczyń sufrażystek walczących o prawa wyborcze dla kobiet. Wojna podzieliła słynną rodzinę Pankhurstów. Emeline, matka, zawiesiła kampanię na czas wojny, a jedna córka, Christabel, poparła matkę. Druga, Sylvia, zerwała jednak z nimi i kontynuowała walkę. Ethel była po jej stronie: kobiety podczas wojny są uciśnione tak samo jak w czasie pokoju i nigdy nie doczekają się sprawiedliwości, dopóki nie będą mogły głosować.

Na chodniku przed budynkiem przywitała się z innymi paniami. Oświetlona gazowymi latarniami ulica pełna była wracających do domów robotników, ludzi niosących produkty kupione na wieczorny posiłek oraz hulaków podążających na całonocne zabawy.

Z otwartych drzwi Psa i Kaczki buchało ciepłe zawiesiste powietrze. Ethel rozumiała kobiety, które wszystkie wieczory spędzały w takich lokalach. Puby są miłsze niż większość domów i można znaleźć w nich przyjacielską kompanię oraz tanio znieczulić się ginem.

Obok pubu znajdował się sklep spożywczy Lippmanna, ale był zamknięty. Został zdemolowany przez bandę wandalów patriotów z powodu niemieckiego nazwiska właściciela i okna zabito deskami. Jak na ironię, właściciel był Żydem z Glasgow, a jego syn służył w szkockim regimencie piechoty.

Ethel wsiadła do autobusu. To tylko dwa przystanki, ale była zbyt zmęczona, by iść.

Zebranie miało się odbyć w kaplicy Calvary Gospel, tej samej, w której Maud prowadziła przychodnię. Ethel zamieszkała w Aldgate, ponieważ była to jedyna dzielnica Londynu, o której słyszała – Maud kilkakrotnie wymieniła tę nazwę.

Sala była jasno oświetlona gazowymi kinkietami wiszącymi na ścianach, a węglowy piecyk na środku przeganiał zimno. Tanie składane krzesła ustawiono w rzędach przed stołem i mównicą. Ethel powitał sekretarz oddziału, Bernie Leckwith, spokojny i pedantyczny mężczyzna o złotym sercu. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Nasza prelegentka odwołała wykład – oznajmił.

Ethel nie kryła rozczarowania.

– Co my teraz zrobimy? – Rozejrzała się po sali. – Masz tu już ponad pięćdziesiąt osób.

– Przyślą zastępstwo, ale jeszcze jej nie ma i nie wiem, czy się nada. Nawet nie należy do partii.

– Kto to taki?

– To lady Maud Fitzherbert – z dezaprobatą odrzekł Bernie. – Rozumiem, że pochodzi z tej rodziny właścicieli kopalń. Ethel się roześmiała.

– Coś takiego! Kiedyś u niej pracowałam.

– Jest dobrą mówczynią?

– Nie mam pojęcia.

Ethel była zaintrygowana. Nie widziała Maud od tamtego obfitującego w wydarzenia wtorku, kiedy Maud wyszła za Waltera von Ulricha, a Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom. Ethel nadal miała suknię, którą kupił jej Walter – starannie zapakowana w bibułkę wisiała w garderobie. Uszyta z różowego jedwabiu, z muślinową narzutką, była najpiękniejszą sukienką, jaką kiedykolwiek miała. Oczywiście teraz by się w nią nie zmieściła. Ponadto była zbyt elegancka na zebranie Partii Pracy. Nadal miała też kapelusik, w oryginalnym pudełku ze sklepu przy Bond Street.

Zajęła miejsce, z ulgą dając odpocząć nogom, i przygotowała się na długie czekanie na rozpoczęcie zebrania. Nigdy nie zapomni wieczoru w Ritzu, do którego zaprosił ją po ślubie Robert von Ulrich. Gdy weszła do restauracji, została obrzucona przez kilka kobiet nieżyczliwymi spojrzeniami i domyśliła się, że pomimo drogiej sukni coś zdradza jej przynależność do klasy robotniczej. Jednak nic jej to nie obchodziło. Robert rozśmieszał ją złośliwymi uwagami na temat strojów i biżuterii innych pań, a ona opowiedziała mu co nieco o życiu w walijskim miasteczku górniczym, które wydawało mu się dziwniejsze od egzystencji Eskimosów. Gdzie oni są teraz? Oczywiście zarówno Walter, jak i Robert poszli na wojnę, Walter do armii niemieckiej, a Robert do austriackiej. Ethel nie miała pojęcia, czy żyją. O Fitzu wiedziała niewiele więcej. Zakładała, że popłynął do Francji z Fizylierami Walijskimi, ale nawet tego nie była pewna. Mimo wszystko przeglądała listy ofiar w gazetach, z obawą szukając nazwiska Fitzherbert. Nienawidziła go za to, jak ją potraktował, a jednocześnie dziękowała opatrznosci, kiedy jego nazwisko nie pojawiała się w wykazach.

Mogła podtrzymać kontakt z Maud, po prostu udając się w którąś srode do jej przychodni, tylko jak wyjaśniłaby swoją wizytę? Poza lekką niedyspozycją w lipcu – plamką krwi na bieliźnie, którą doktor Greenward uznał za coś, czym absolutnie nie ma powodu się niepokoić – nic jej nie dolegało.

Tymczasem Maud przez tych sześć miesięcy w ogóle się nie zmieniła. Weszła do sali jak zawsze dobrze ubrana, w wielkim kapeluszu z szerokim rondem i długim piórem, które sterczało niczym maszt jachtu. Nagle Ethel poczuła się zaniedbana w swoim starym brązowym płaszczu.

Maud zauważyła ją i podeszła.

– Cześć, Williams! Och, przepraszam, Ethel! Co za cudowna niespodzianka!

Ethel uścisnęła jej rękę.

– Wybacz mi, że nie wstanę – powiedziała, klepiąc się po brzuchu. – W tym momencie chyba nie dałabym rady wstać nawet dla samego króla.

– Nawet o tym nie myśl. Znajdziesz chwilkę, żeby porozmawiać ze mną po zebraniu?

– Byłoby cudownie.

Maud podeszła do stołu, a Bernie otworzył zebranie. Był rosyjskim Żydem, jak wielu innych mieszkańców londyńskiego East Endu. W istocie, niewiele osób zamieszkujących tę dzielnicę było rdzennymi Anglikami. Osiedliło się tam mnóstwo Walijszczyków, Szkotów i Irlandczyków, a przed wojną także wielu Niemców, lecz teraz zastąpiły ich tysiące belgijskich uchodźców. Na East Endzie wysiadali ze statków, więc to naturalne, że tutaj osiadali. Chociaż mieli specjalnego gościa, Bernie uparł się, by najpierw przeprosić za nieobecność pierwszej prelegentki, szczegółowo omówić poprzednie zebranie i inne nudne sprawy. Pracował dla miejscowej rady miejskiej w dziale bibliotecznym i był bardzo drobiazgowy.

Wreszcie przedstawił Maud. Mówiła pewnie i ze znajomością rzeczy o sytuacji kobiet.

– Kobieta wykonująca tę samą pracę co mężczyzna powinna otrzymywać taką samą zapłatę – zaczęła – jednak często mówi się nam, że to mężczyzna musi utrzymywać rodzinę. Kilku obecnych na sali mężczyzn energicznie pokiwało głowami: tak zawsze mówili.

– A co z kobietą, która musi utrzymać rodzinę?

Te słowa wywołały pomruk aprobaty ze strony kobiet.

– W ubiegłym tygodniu w Acton spotkałam dziewczynę, która próbuje nakarmić i ubrać pięcioro swoich dzieci za dwa funty tygodniowo, podczas gdy jej mąż, który uciekł i ją zostawił, zarabia cztery funty i dziesięć szylingów, robiąc śruby okrętowe w Tottenham, i wydaje te pieniądze w pubie!

– Tak jest! – powiedziała kobieta za plecami Ethel.

– Niedawno rozmawiałam z pewną kobietą z Bermondsey.

Jej mąż zginął pod Ypres. Ma na utrzymaniu czworo jego dzieci, a jednak płacą jej kobiecie stawki.

– Wstyd! – wykrzyknęło kilka kobiet.

– Jeśli pracodawcę stać, by płacić mężczyźnie szylinga za każdy sworzeń korbowodu, to stać go również, żeby tyle samo płacić kobiecie.

Mężczyźni wiercili się na krzesłach.

Maud obrzuciła słuchaczy stalowym spojrzeniem.

– Kiedy słyszę socjalistów opowiadających się za zrównaniem płac, pytam ich: czy pozwolicie chciwym pracodawcom traktować kobiety jak tanią siłę roboczą?

Ethel uważała, że takie poglądy u kobiety o pochodzeniu Maud wymagają sporej odwagi i niezależności. Zazdrościła Maud jej pięknych strojów i tego, jak płynnie się wysławia. Na domiar wszystkiego Maud poślubiła mężczyznę, którego kocha.

Po przemówieniu Maud została zaatakowana przez mężczyzn z Partii Pracy. Skarbnik oddziału, rumiany Szkot Jock Reid, powiedział:

– Jak możecie wciąż narzekać na brak prawa do głosowania, kiedy nasi chłopcy umierają we Francji?

Rozległy się chóralne potakiwania.

– Cieszę się, że mnie pan o to zapytał, ponieważ to pytanie niepokoi wielu mężczyzn i wiele kobiet – powiedziała Maud. Ethel podziwiała jej spokój, ostro kontrastujący z nieukrywaną wrogością pytającego. – Czy podczas wojny powinno się prowadzić normalną działalność polityczną? Czy powinniście chodzić na zebrania Partii Pracy? Czy związki zawodowe powinny walczyć z wyzyskiem robotników? Czy Partia Konserwatywna zawiesiła działalność? Czy niesprawiedliwość i wyzysk zostały zawieszony? Odpowiadam: nie, towarzyszu. Nie możemy pozwolić, aby wrogowie postępu wykorzystywali tę wojnę. Nie może ona stać się wymówką dla tradycjonalistów, chcących nas powstrzymać. Jak mówi pan Lloyd George, biznes jak zwykle.

Po zebraniu zaparzone herbatę – oczywiście zrobiły to kobiety – i Maud usiadła z Ethel, zdjawszy rękawiczki, aby utrzymać w delikatnych dłoniach filiżankę i spodek z grubego niebieskiego fajansu. Ethel uważała, że postąpiłaby nieładnie, mówiąc Maud prawdę o bracie, więc podała jej ostatnią wersję swojej bajeczki, według której „Teddy Williams” został zabity podczas walk we Francji.

– Mówię ludziom, że byliśmy małżeństwem. – Dotknęła taniej obrączki na palcu. – Nie żeby teraz kogoś to obchodziło. Kiedy chłopcy idą na wojnę, dziewczęta chcą sprawić im przyjemność, ze ślubem czy bez. – Zniżyła głos. – Pewnie nie masz żadnych wieści o Walterze.

Maud się uśmiechnęła.

– Stało się coś naprawdę zdumiewającego. Czytałaś w gazetach o świątecznym zawieszeniu broni?

– Tak, oczywiście. Anglicy i Niemcy dawali sobie prezenty i grali w piłkę na ziemi niczyjej. Szkoda, że nie przedłużyli tego rozejmu i nie odmówili dalszej walki.

– Masz absolutną rację. Jednak Fitz spotkał wtedy Waltera!

– To naprawdę cudownie.

– Oczywiście Fitz nie wie, że jesteśmy małżeństwem, tak więc Walter musiał uważać, co mówi. Jednak przekazał przez niego wiadomość, że myśli o mnie w to Boże Narodzenie.

Ethel uścisnęła rękę Maud.

– Więc nic mu nie jest!

– Walczył w Prusach Wschodnich, a teraz jest na pierwszej linii frontu we Francji, ale nie został ranny.

– Dzięki Bogu. Pewnie jednak nie będzie już od niego wiadomości. Taki szczęśliwy traf raczej się nie powtórzy.

– Nie. Mam tylko nadzieję, że wyślą go do jakiegoś neutralnego kraju, takiego jak Szwecja czy Stany Zjednoczone, skąd będzie mógł wysłać do mnie list. W przeciwnym razie będę musiała czekać do końca wojny.

– A co u hrabiego?

– Fitz ma się dobrze. Kilka pierwszych tygodni wojny spędził w Paryżu.

Podczas gdy ja pracowałam u rosyjskiego wyzyskiwacza, pomyślała Ethel z goryczą.

– Księżniczka Bea urodziła chłopca – dodała Maud.

– Fitz musi być szczęśliwy, że ma dziedzica.

– Wszyscy jesteśmy szczęśliwi – powiedziała Maud, a Ethel przypominała sobie, że rozmawia nie tylko z buntowniczką, ale także arystokratką.

Zebranie się skończyło. Na Maud czekała taksówka i pożegnały się. Bernie Leckwith wsiadł do autobusu razem z Ethel.

– Była lepsza, niż się spodziewałem – powiedział. – Z wyższych sfer, oczywiście, ale rozsądna. I przyjacielska, szczególnie wobec ciebie. Zapewne pracując dla takiej rodziny, bardzo dobrze się ją poznaje.

Nie masz pojęcia jak dobrze, pomyślała Ethel.

Mieszkała przy cichej uliczce zabudowanej domkami z tarasami, starymi, lecz solidnymi, przeważnie zamieszkanymi przez lepiej opłacanych robotników, fachowców i kadrę kierowniczą z rodzinami. Bernie odprowadził ją do frontowych drzwi. Uświadomiła sobie, że pewnie chce ją pocałować na dobranoc. Przez moment zastanawiała się, czy mu na to pozwolić, tylko dlatego, że jest jedynym mężczyzną na świecie, który nadal uważa ją za atrakcyjną. Jednak zdrowy rozsądek przeważył: nie chciała dawać mu złudnej nadziei.

– Dobranoc, towarzyszu! – powiedziała ciepło i weszła do domu.

Na piętrze było cicho i nie paliło się światło, Mildred i jej dzieci już spały. Ethel rozebrała się i położyła do łóżka. Była zmęczona, ale jej umysł wciąż pracował i nie mogła zasnąć. Po pewnym czasie wstała i zaparzyła sobie herbatę.

Postanowiła napisać do brata. Otworzyła notatnik i zaczęła:
Piszę z drogi do Ciebie Libby
Takiego szyfru używali jako dzieci: liczyło się co trzecie słowo,
a znajome imiona były przekreścone, tak więc powyższe oznaczało
po prostu Drogi Billy.
Przypomniała sobie, że jej metoda polega na tym, iż najpierw
pisze się wiadomość, którą chce się przesłać, a dopiero potem
wypełnia puste miejsca. Teraz napisała:
Siedzę sama i czuję się okropnie.
Potem zaszyfrowała to:
Tu, gdzie siedzę, jeśli jesteś sama, a nawet i nie tylko,
czuję, że to się może skończyć okropnie.
Jako dziecko uwielbiała tę zabawę, wymyślanie różnych wiadomości,
żeby ukryć w nich tę prawdziwą. Razem z Billym
opracowali pomocne sztuczki: na przykład liczyły się przekreślone
słowa, a podkreślone nie.
Postanowiła najpierw napisać całą wiadomość, a dopiero potem
ją zaszyfrować.
Złoto w Londynie nie leży na ulicach, przynajmniej nie
w Aldgate.
Zamierzała napisać wesoły list, bagatelizując swoje kłopoty.
Potem pomyślała: do diabła z tym, przecież mogę napisać bratu
prawdę.
Kiedyś uważałam, że jestem nadzwyczajna, nie pytaj
dlaczego. „ Ona myśli, że jest za dobra na Aberowen ”, mówili
o mnie i mieli rację.
Musiała zamrużyć, żeby powstrzymać łzy, kiedy przypomniały
jej się tamte czasy: wyprasowany strój służącej, pożywne posiłki
w czystutkiej jadalni dla służby, a przede wszystkim to, że wtedy
była piękna i szczupła.
A teraz spójrz na mnie. Pracuję dwanaście godzin dziennie
w szwalni wyzyskiwacza, Manniego Litova. Co wieczór boli
mnie głowa i nie przestaje boleć krzyż. Będę miała dziecko,
którego nikt nie chce. Mnie też nikt nie chce, poza nudnym
bibliotekarzem w okularach.
Przez długą chwilęssała koniec ołówka, po czym dopisała:
Równie dobrze mogłabym nie żyć.

II.

W drugą niedzielę każdego miesiąca z Cardiff do Aberowen
przyjeżdżał pociągiem pop z walizką pełną starannie zapakowanych
ikon i świeczników, aby odprawić nabożeństwo dla miejscowych
Rosjan.
Lew Peszków nienawidził duchownych, ale zawsze chodził na
tę mszę – trzeba było wziąć w niej udział, żeby później dostać
darmowy posiłek. Msze odprawiano w czytelni biblioteki publicz-
nej. Była to biblioteka Carnegie, zbudowana za pieniądze podaro-
wane przez amerykańskiego filantropa, jak głosiła plakietka w holu.
Lew umiał czytać, ale nie rozumiał ludzi, którzy uważali to za
przyjemność. Tutaj gazety były przyklejone do grubych dREW-
nianych uchwytów, żeby nikt ich nie ukradł, a na ścianach wisiały
tablice z napisem: „Cisza!”. Czy w takim miejscu można się
dobrze bawić?
Lew nie lubił większości rzeczy w Aberowen.
Konie wszędzie są takie same, ale nienawidził pracy pod ziemią:
tam zawsze było ciemno, a od gęstego pyłu węglowego wciąż
kasłał. Na górze przez cały czas padało. Nigdy nie widział tyle
deszczu. Nie było tu burz ani oberwania chmury – po których
niebo robi się czyste i poprawia się pogoda – tylko uporczywa
mżawka przez cały dzień, a czasem cały tydzień, od której
przemakały mu nogawki spodni i koszula na plecach.
Strajk skończył się w sierpniu, po wybuchu wojny, i górnicy

wrócili do pracy. Większość zatrudniono na nowo i zamieszkali w swoich dawnych domach. Z wyjątkiem tych, których zarząd uznał za wichrzycieli – ci przeważnie znaleźli się w regimencie Fizylierów Walijskich. Eksmitowane wdowy znalazły sobie inne mieszkania. Łamistrajków już nie ignorowano: miejscowi doszli do wniosku, że cudzoziemcy również zostali wykorzystani przez kapitalistów.

Lew jednak nie po to uciekł z Sankt Petersburga. Oczywiście, w Wielkiej Brytanii jest lepiej niż w Rosji, istnieją wolne związki zawodowe, policja nie może robić, co się jej podoba, nawet Żydzi cieszą się swobodą. Mimo to nie zamierzał osiąść w tym górniczym miasteczku na odludziu i do końca życia harować w kopalni. Nie o tym marzyli z Grigorijem. To nie Ameryka.

Nawet gdyby korciło go, żeby tu zostać, powinien ruszać dalej, gdyż jest to winien bratu. Wiedział, że źle go potraktował, ale poprzysiągł sobie, że wyśle mu pieniądze na bilet. W swoim krótkim życiu Lew złamał wiele obietnic, ale tej zamierzał dotrzymać.

Miał już większą część sumy na bilet z Cardiff do Nowego Jorku. Pieniądze leżały schowane pod kamienną płytą podłogi w kuchni jego domu przy Wellington Row, razem z rewolwerem i paszportem brata. Oczywiście nie zaoszczędził ich z tygodniowych wypłat, bo ledwo wystarczały mu na piwo i tytoń. Te pieniądze wygrał w karty.

Spiria już nie był jego współnikiem. Opuścił Aberowen po kilku dniach i wrócił do Cardiff poszukać lżejszej pracy. Nietrudno jednak znaleźć chciwego człowieka i Lew zaprzyjaźnił się z pewnym sztygarem, niejakiem Rhysem Price'em. Lew pilnował, żeby Rhys stale wygrywał, a potem dzielili się wygraną. Musieli uważać, żeby nie przesadzić: czasem trzeba było dać wygrać innym. Gdyby górnicy zorientowali się, co się dzieje, nie tylko przestaliby grać z Lewem w karty, ale też zapewne by go zabili. Tak więc pieniądze przybywało powoli i Lew nie mógł sobie pozwolić na rezygnowanie z darmowego posiłku.

Na popa zawsze czekał na stacji samochód hrabiego. Zawożono duchownego do Ty Gwyn, gdzie częstowano go kieliszkiem sherry i ciastem. Jeśli księżniczka Bea była w rezydencji, towarzyszyła mu do biblioteki i wchodziła do czytelni kilka sekund przed nim, by nie musiała zbyt długo czekać z pospólstwem.

Dziś według dużego zegara wiszącego na ścianie czytelni weszła kilka minut po jedenastej, w białym futrze i kapeluszu chroniącymi ją przez lutowym chłodem. Lew poczuł dreszcz: kiedy jej się przyglądał, znów czuł się jak przerażony sześćioletni chłopiec, patrzący, jak wieszają jego ojca.

Za nią wszedł pop w kremowej szacie przepasanej złotą szarfą. Dziś po raz pierwszy towarzyszył mu drugi mężczyzna w stroju nowicjusza – i Lew ze zdumieniem oraz przestachem rozpoznał swojego poprzedniego współnika, Spirię.

Lew miał mętlik w głowie. Patrzył, jak ci dwaj duchowni przygotowują pięć bochenków chleba i rozcieńczają czerwone wino. Czyżby Spiria odnalazł Boga i się zmienił? Czy może włożył tę duchowną szatę, żeby pod jej osłoną znowu oszukiwać i kraść?

Stary pop pobłogosławił zebranych. Kilku głęboko wierzących mężczyzn założyło chór – ku gorącej aprobacie ich walijskich sąsiadów – i teraz śpiewnie powiedzieli „amen”. Lew przeżegnał się razem z innymi, ale jego myśli niespokojnie krążyły wokół Spirii. Jeśli ten istotnie poczuł powołanie i wyjawi prawdę, zniszczy wszystko: nie będzie więcej gry w karty, biletu do Ameryki ani pieniędzy dla Grigorija.

Lew przypomniał sobie ostatni dzień na statku „Anioł Gabriel”, kiedy brutalnie zagroził, że wyrzuci Spirię za burtę, gdy ten tylko wspomniał, że mógłby go zdradzić. Spiria na pewno dobrze to pamięta. Teraz Lew żałował, że go upokorzył.

W czasie mszy przyglądał się Spirii, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Podchodząc do popa, żeby przyjąć komunię, starał się podchwycić spojrzenie dawnego kompana, ale nie zauważył w jego oczach błysku rozpoznania. Spiria skupił się na ceremonii albo dobrze udawał.

Po nabożeństwie obaj duchowni odjechali samochodem z księżniczką, a około trzydziestu prawosławnych Rosjan podażyło za nimi pieszo. Lew zastanawiał się, czy Spiria wspomni o nim w Ty Gwyn, i niepokoił się tym, co może powiedzieć. Czy będzie udawał, że nigdy razem nie oszukiwali ludzi? A może się wygada i ściągnie na głowę Lwa gniew górników? Albo zażąda pieniędzy za milczenie? Lew miał ochotę natychmiast opuścić miasto. Pociągi do Cardiff odjeżdżają niemal co godzinę. Gdyby zaoszczędził więcej pieniędzy, wyjechałby natychmiast. Jednak jeszcze nie uzbierał na bilet, więc pomaszerował pod górę razem z innymi, do pałacu hrabiego na darmowy obiad.

Jedzenie podano im w jadalni dla służby pod schodami. Posiłek był treściwy: gulasz jagnięcy i tyle chleba, ile kto mógł zjeść, oraz ale do popicia. Rosyjska pokojówka księżniczki, Nina, dołączyła do nich jako tłumaczka. Miała słabość do Lwa i postarała się, żeby dostał drugi kufel piwa.

Pop jadł z księżniczką, ale Spiria przyszedł do jadalni dla służby i usiadł obok Lwa. Ten powitał go najmiłszym ze swoich uśmiechów.

– No, stary przyjacielu, co za niespodzianka! – powiedział po rosyjsku. – Gratuluje!

Spiria nie dał się oczarować.

– Wciąż grasz w karty, mój synu? – spytał.

Lew nadal się uśmiechał, ale zniżył głos.

– Przeszanuj się, jeśli chcesz. Czy tak będzie dobrze?

– Porozmawiamy po obiedzie.

Lew był zawiedziony. Jaką drogę wybierze Spiria – prawości czy szantażu?

Po posiłku Spiria wyszedł tylnym wyjściem, a Lew za nim.

Nic nie mówiąc, Spiria zaprowadził go do białej rotundy, wyglądającej jak miniaturowa grecka świątynia. Z jej podwyższenia mogli widzieć, czy ktoś nadchodzi. Padało i po marmurowych kolumnach spływała woda. Lew zdjął czapkę i strząsnął z niej krople deszczu.

– Pamiętasz, jak na statku zapytałem cię, co byś zrobił, gdybym nie chciał oddać ci twojej połowy pieniędzy? – spytał Spiria.

Lew przycisnął go wtedy do relingu i zagroził, że skręci mu kark, a ciało wrzuci do morza.

– Nie, nie pamiętam – skłamał.

– Nieważne. Po prostu chciałem ci wybaczyć.

A więc wybrał drogę prawości, pomyślał z ulgą Lew.

– To, co czyniliśmy, było grzechem – ciągnął Spiria. –

Wyspowiadałem się i otrzymałem rozgrzeszenie.

– Zatem nie będę namawiał twojego spowiednika, żeby zagrał ze mną w karty.

– Nie żartuj.

Lew miał ochotę znów złapać Spirię za gardło, tak jak na statku, ale teraz przyszły duchowny nie wyglądał na takiego, który się przestraszy. Zabawne, ale te szaty dodały mu odwagi.

– Powinienem ujawnić twoje oszustwo tym, których ograbiłeś.

– Oni ci nie podziękują. Zemszczą się na tobie tak samo jak na mnie.

– Moja szata duchownego mnie ochroni.

Lew pokręcił głową.

– Większość tych ludzi, których razem oskubaliśmy, to biedni Żydzi. Zapewne pamiętają, jak pop patrzył z uśmiechem, kiedy bili ich Kozacy. W tej szacie jeszcze chętniej skopią cię na śmierć. Na młodej twarzy Spirii pojawił się gniew, ale uśmiechnął się

z przymusem.

– Bardziej martwię się o ciebie, mój synu. Nie chciałbym sprowokować jakiegoś aktu przemocy przeciwko tobie.

Lew zrozumiał zawołaną groźbę.

– Co zamierzasz zrobić?

– Pytanie, co ty zamierzasz zrobić.

– Będziesz trzymał język za zębami, jeśli przestanę grać?

– Jeśli się wypowiadasz, okażesz szczerą skruchę i przestaniesz grzeszyć, Bóg ci wybaczy, a wtedy nie mnie cię karać.

I w ten sposób tobie też się upieczę, pomyślał Lew.

– W porządku, tak zrobię – rzekł.

Gdy tylko wymówił te słowa, zrozumiał, że zbyt szybko ustąpił.

Następne słowa Spirii dowodziły, że młody nowicjusz nie da się tak łatwo zwieść.

– Sprawdzę to. I jeśli odkryję, że złamałeś obietnicę dana mnie i Bogu, ujawnię twoje oszustwo ofiarom.

– A oni mnie zabiją. Dobra robota, ojcze.

– Moim zdaniem to najlepsze rozwiązanie moralnego dylematu. Mój spowiednik się z tym zgadza. Możesz przyjąć tę propozycję lub nie.

– Nie mam innego wyjścia.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu.

Lew opuścił Ty Gwyn i poszedł w deszczu do Aberowen, gotując się ze złości. Jakie to typowe dla duchownego, myślał z urazą, pozbawić człowieka szans na osiągnięcie czegoś. Spiria dobrze się urządził: ma zapewniony wikt, odzienie i dach nad głową dzięki Cerkwi i gorliwym wiernym, którzy oddają ciężko zapracowane pieniądze. Do końca życia nie będzie musiał nic robić, tylko śpiewać w cerkwi i dobierać się do ministrantów. Co Lew ma zrobić? Jeśli przestanie grać w karty, zebranie odpowiedniej sumy na bilet do Ameryki zajmie mu wieczność. Musiałby przez wiele lat oporządzać kuce pół mili pod ziemią. I w życiu nie odwdzięczyłby się Grigorijowi, posyłając mu pieniądze na bilet do Ameryki.

Nigdy nie wybierał bezpieczniejszej drogi.

Poszedł do pubu Dwie Korony. W przestrzegającej szabasu Walii puby w niedziele były zamknięte, lecz w Aberowen przepisy traktowano dość swobodnie. W miasteczku był tylko jeden policjant, który – jak większość mieszkańców – w niedzielę miał wolne. Dla zachowania pozorów frontowe drzwi Dwóch Koron były zamknięte, ale bywalcy wchodzili kuchennym wejściem i interes kwitł jak zwykle.

Przy barze siedzieli bracia Ponti, Joey i Johnny. Pili whisky – co było niezwykle. Górnicy przeważnie pili piwo. Whisky to napój bogatych ludzi i jedna butelka zazwyczaj wystarczała gościom Dwóch Koron na cały rok.

Lew zamówił kufel piwa i zwrócił się do starszego z braci:

– Cześć, Joey.

– Cześć, Grigoriju.

Lew nadal posługiwał się imieniem brata, ponieważ widniało w paszporcie.

– Jesteś dziś przy forsie, co, Joey?

– Tak. Ja i mój młodszy brat byliśmy wczoraj w Cardiff na meczu bokserskim.

Ci bracia też wyglądają jak bokserzy, pomyślał Lew: barczyści, o byczych karkach i wielkich łapskach.

– Był dobry? – zapytał.

– Darkie Jenkins przeciwko Romanowi Tony'emu. Postawiliśmy na Tony'ego, bo to Włoch jak my. Obstawiano trzynaście do jednego i znokautował Jenkinsa w trzeciej rundzie.

Lew czasem miewał kłopoty z angielskim, ale zrozumiał, co to znaczy „trzynaście do jednego”.

– Powinniście spróbować zagrać w karty. Skoro macie... – Zahażał się, ale zaraz przypomniał sobie odpowiedni zwrot: – ...skoro

macie dobrą passę.

– Och, nie chcę stracić tych pieniędzy równie szybko, jak je wygrałem – powiedział Joey.

Kiedy jednak pół godziny później gracze zebrali się w stodole, Joey i Johnny do nich dołączyli. Pozostali byli zbieraniną Rosjan i Walijszczyków

Grali w miejscową odmianę pokera zwaną trzykartową. Lew lubił ją. Rozdawano po trzy karty i nie dobierano ani nie wymieniało następnych, tak więc gra toczyła się szybko. Jeśli jakiś gracz postawił, kolejny z grających musiał natychmiast podnieść stawkę – nie mógł pozostać w grze, stawiając tyle samo co poprzednik – więc pula szybko rosła. Rozgrywkę kontynuowano, aż zostało tylko dwóch graczy, a wtedy jeden z nich mógł ją zakończyć, podwajając stawkę i zmuszając przeciwnika do pokazania kart. Najlepszą ręką była trójka, nazywana kompletem, a najwyższą z nich „taca”, czyli trzy trójki.

Lew miał wrodzony talent do obliczania szans i zazwyczaj mógł wygrywać w karty bez oszukiwania, ale to trwałoby za długo.

Gracze kolejno rozdawali karty, więc Lew mógł oszukiwać tylko co trzecie rozdanie. Jednak istnieje wiele innych sposobów oszukiwania i Lew opracował prosty szyfr, dzięki któremu Rhys mógł mu pokazać, kiedy ma dobre karty. Wtedy Lew podwajał stawkę, niezależnie od tego, co miał w ręku, podbijając licytację i zwiększając pulę. Najczęściej pozostali odpadali i Lew przegrywał wszystko do Rhysa.

Już podczas pierwszego rozdania Lew postanowił, że to będzie jego ostatnia gra. Jeśli oskubie braci Pontich, zapewne wystarczy mu na bilet. W następną niedzielę Spiria zapyta ludzi, czy Lew nadal gra w karty, a wtedy Lew będzie już na morzu.

Przez dwie następne godziny patrzył, jak wygrane Rhysa rosła, i powtarzał sobie, że Ameryka przybliżyła się z każdym wygranym pensem. Zwykle nie lubił oskubywać nikogo do czysta, ponieważ chciał, by delikwent wrócił za tydzień, jednak dziś zamierzał zgarnąć tyle, ile się da.

Kiedy na dworze zaczęło się robić ciemno, znów przyszła jego kolej, by rozdawać. Dał Joeyowi Pontiemu trzy asy, a Rhysowi trzy trójki. W tej grze trójki były asy. Sobie dał parę króli, co usprawiedliwiało podwajanie stawki. Robił to, aż Joey prawie się splukał – nie chciał żadnych weksli. Joey postawił resztę swoich pieniędzy, żeby sprawdzić karty Rhysa. Kiedy Rhys pokazał „tacę” trójek, Joey miał minę komiczną i żalospną zarazem.

Rhys zgarnął pulę. Lew wstał.

– Jestem splukany – oznajmił.

Gra się skończyła i wszyscy wrócili do baru, gdzie Rhys postawił wszystkim kolejkę, żeby poprawić humory przegranym. Bracia Ponti wrócili do piwa.

– No cóż, łatwo przyszło, łatwo poszło, no nie? – rzucił Joey.

Po kilku minutach Lew wyszedł na tyły pubu, a Rhys za nim.

W Dwóch Koronach nie było toalety, więc mężczyźni korzystali z placyku za stodołą. Jedynym oświetleniem był tam blask odległych latarni. Rhys pospiesznie wręczył współnikowi jego połowę wygranej, częściowo w bilonie, a częściowo w nowych kolorowych banknotach – zielonych funtach i brązowych dziesięcioszylingówkach.

Lew dokładnie wiedział, ile mu się należy. Liczenie przychodziło mu z wrodzoną łatwością, tak jak ocenianie szans w grze. Później przeliczył pieniądze, chociaż był pewny, że Rhys go nie oszuka. Raz próbował to zrobić. Lew odkrył, że dostał o pięć szylingów za mało – suma, którą ktoś niedbały mógłby przeoczyć. Lew poszedł do domu Rhysa, wepchnął mu lufę rewolweru w usta i odciągnął kurek. Rhys posikał się ze strachu. Od tego czasu należność zawsze zgadzała się do pół pensa.

Lew wepchnął pieniądze do kieszeni i wrócili do baru.

Kiedy weszli, zobaczył Spirię.

Ten zdjął szatę duchownego i miał na sobie ubranie, które nosił na statku. Stał przy barze i nie pił, tylko rozmawiał z ożywieniem z grupką Rosjan, w której było kilku uczestników niedawnej gry w karty.

Napotkał spojrzenie Lwa.

Lew obrócił się na pięcie i wyszedł, ale wiedział, że jest już za późno.

Pospiesznie ruszył pod górę ku Wellington Row. Był pewny, że Spiria go wyda. Może już wyjaśnia, jak Lew oszukuje i wygrywa, chociaż pozornie jest przegrany. Tamci będą wściekli, a bracia Ponti zechcą odzyskać swoje pieniądze.

Zbliżając się do swojego domu, zobaczył nadchodzącego z przeciwnej strony mężczyznę z walizką i w świetle latarni rozpoznał młodszego sąsiada zwanego Billy z Jezusem.

– Cześć, Billy.

– Cześć, Grigoriju.

Wyglądało na to, że chłopak wyjeżdża z miasteczka, co obudziło ciekawość Lwa.

– Dokąd jedziesz?

– Do Londynu.

Zaciekawienie Lwa wzrosło.

– Którym pociągiem?

– Tym o osiemnastej do Cardiff.

Pasażerowie jadący do Londynu musieli przesiadać się w Cardiff.

– Która jest teraz?

– Za dwadzieścia.

– No to na razie.

Lew wszedł do domu. Postanowił pojechać tym samym pociągiem co Billy.

Zapalił światło w kuchni i podniósł kamienną płytę posadzki.

Wyjął oszczędności, paszport brata, pudełko z nabojami i broń, naganta M1 865, wygranego w karty od pewnego kapitana piechoty. Sprawdzał bębenek, upewniając się, że w każdej komorze jest nabój: łuski nie były automatycznie wyrzucane i należało je usuwać przed ponownym ładowaniem. Wetknął pieniądze, paszport i rewolwer do kieszeni płaszcza.

Na piętrze znalazł tekturową walizkę Grigorija z dziurą od kuli. Zapakował amunicję, zapasową koszulę i bieliznę oraz dwie talie kart.

Nie miał zegarka, ale według jego obliczeń od spotkania z Billym minęło pięć minut. Ma więc piętnaście minut na dojście do stacji. Zdaży.

Z ulicy dobiegły głosy kilku mężczyzn.

Nie chciał konfrontacji. Jest twardy, ale ci górnicy też. Nawet gdyby ich pokonał, spóźniłby się na pociąg. Oczywiście mógłby użyć broni, ale w tym kraju policja poważnie traktuje łapanie morderców, nawet jeśli ich ofiary są zwykłymi obywatelami.

W najlepszym razie sprawdzaliby pasażerów wsiadających na statek, co uniemożliwiłoby mu kupno biletu. Tak czy inaczej, lepiej opuścić miasto, nie uciekając się do przemocy.

Wyszedł tylnymi drzwiami i pospiesznie ruszył uliczką, starając się iść jak najciszej w ciężkich butach. Na szczęście ziemia była wilgotna, jak prawie zawsze w Walii, więc nie robił hałasu.

Dotarł do końca zaułka, skręcił w boczną uliczkę i wreszcie wyszedł na oświetloną ulicę. Ubikacje stojące na środku drogi zasłaniały go przed wzrokiem ludzi stojących przed jego domem. Przyspieszył kroku.

Dwie ulice dalej uświadomił sobie, że idąc tędy, będzie musiał przejść obok Dwóch Koron. Przystanął i zastanowił się. Znał miasto i wiedział, że gdyby chciał pójść inną drogą, musiałby zawrócić. A ci ludzie, których głosy słyszał na ulicy, mogą nadal stać przed jego domem.

Musi zaryzykować i przejść obok pubu. Skręcił w boczną uliczkę i poszedł przejściem biegnącym z tyłu lokalu. Zbliżając się do stodoły, w której grywali w karty, usłyszał głosy i dostrzegł sylwetki kilku mężczyzn, ledwo widoczne w świetle latarni na końcu zaułka. Czas naglił, ale Lew mimo to przystanął tuż przy wysokim drewnianym płocie, żeby być mniej widoczny, i zaczekał, aż wejdą do środka.

Wydawało mu się, że trwa to wieki.

– No już – szepnął. – Nie chcecie wrócić do ciepłego wnętrza?

Deszcz ściekał mu z czapki i spływał po karku.

W końcu weszli, a Lew bez przeszkód minął stodołę. Jednak oddalając się od niej, znów usłyszał głosy. Zaklął. Klienci pili piwo od południa i o tak późnej porze często wychodzili za potrzebą. Usłyszał, jak ktoś woła za nim przyjaźnie: „Cześć, koleś!”. To oznaczało, że go nie rozpoznano.

Udał, że nie słyszy, i szedł dalej.

Gdzieś blisko rozmawiali jacyś ludzie. Większość słów była niezrozumiała, ale wydawało mu się, że jeden z tamtych powiedział: „Wygląda na Roska”. Rosjanie ubierali się inaczej niż Anglicy i Lew domyślił się, że dostrzegli zarys jego płaszcza i czapki w świetle latarni, do której szybko się zbliżał. Jednak mężczyźni wychodzących z pubu zazwyczaj wzywał zew natury, więc Lew sądził, że nie zaczną go ścigać, dopóki sobie nie ulżą. Skręcił w najbliższą uliczkę i znikł im z oczu. Wątpił jednak, by o nim zapomnieli. Do tej pory Spiria na pewno wszystko im już opowiedział i ktoś wkrótce skojarzy, co oznacza widok mężczyzny ubranego jak Rosjanin i idącego do centrum miasta z walizką w rękę. Musi zdażyć na ten pociąg.

Zaczął biec.

Linie kolejową poprowadzono dnem doliny, więc droga na stację schodziła ostro w dół. Lew biegł bez wysiłku, sadząc długie susy. Nad dachami domów widział światła stacji, a gdy się zbliżył, również dym z komina lokomotywy stojącej na peronie.

Przebiegł przez plac i wpadł do holu dworca. Wskazówki wielkiego zegara pokazywały za minutę osiemnastą. Pospieszył do kasy, szukając w kieszeni pieniędzy.

– Proszę bilet – powiedział.

– Dokąd chciałby pan pojechać dziś wieczorem? – zapytał uprzejmie kasjer.

Lew wskazał peron.

– Na ten pociąg!

– Ten pociąg zatrzymuje się w Aberdare, Pontypridd...

– Cardiff.

Lew stwierdził, że minutowa wskazówka przeskakuje o jedną kreskę i zatrzymuje się, lekko drżąc, na godzinie osiemnastej.

– W jedną stronę czy w obie? – niespiesznie zapytał kasjer.

– W jedną, szybko!

Lew usłyszał gwizdek. Rozpaczliwie popatrzył na monety, które trzymał w ręku. Znał cenę biletu, gdyż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy dwa razy był w Cardiff, więc położył pieniądze na kontuarze.

Pociąg ruszył.

Kasjer dał mu bilet.

Lew złapał go i odwrócił się.

– Proszę odebrać resztę! – zawołał za nim kasjer.

Lew szybko pokonał odległość kilku kroków dzielącą go od bramki.

– Bilet proszę – powiedział kontroler, chociaż dopiero co widział, jak Lew go kupił.

Patrząc na peron, Lew zobaczył, że pociąg nabiera prędkości.

Kontroler przedziurkował bilet.

– Nie chce pan odebrać reszty? – zdziwił się.

Drzwi holu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli bracia

Ponti.

– Tu jesteś! – krzyknął Joey i rzucił się na Lwa. Ten zaskoczył go, wybiegając mu naprzeciw i uderzając pięścią w twarz. To na moment zatrzymało Joeya. Johnny wpadł na swojego starszego brata i obaj runęli na ziemię. Lew wyrwał kontrolerowi bilet i wybiegł na peron. Pociąg jechał już dość szybko. Lew przez chwilę biegł równo z nim. Nagle drzwi wagonu otworzyły się i Lew zobaczył przyjazną twarz Billy'ego z Jezusem.

– Skacz! – krzyknął Billy.

Lew skoczył i jedną nogą wylądował na stopniu. Billy złapał go za ramię. Przez moment chwiali się, gdy Lew rozpaczliwie usiłował dostać się do środka, wreszcie Billy silnym szarpnięciem wciągnął go do przedziału.

Lew z ulgą opadł na siedzenie.

Billy zatrzasnął drzwi i usiadł naprzeciwko niego.

– Dziękuję – wysapał Lew.

– W ostatniej chwili – stwierdził Billy.

– Jednak zdażyłem. – Lew się uśmiechnął. – Tylko to się liczy.

III.

Następnego ranka na dworcu Paddington Billy zapytał o drogę do Aldgate. Przyjacielski londyńczyk udzielił mu dokładnych wskazówek, zasypując go gradem słów, których Billy w ogóle nie rozumiał. Podziękował mężczyźnie i opuścił stację. Jeszcze nigdy nie był w Londynie, ale wiedział, że Paddington leży na zachodzie, a biedni ludzie mieszkają na wschodzie, tak więc poszedł w kierunku wschodzącego słońca. Miasto było większe, niż sobie wyobrażał, o wiele gwarniejsze i bardziej ruchliwe od Cardiff, ale podobał mu się ten zgiełk, uliczny ruch, tłumy, a przede wszystkim sklepy. Nie wiedział, że na świecie jest tyle sklepów. Zastanawiał się, ile pieniędzy ludzie wydają w londyńskich sklepach każdego dnia? Zapewne tysiące funtów. A może miliony. Upajał się wolnością. Nikt go tu nie znał. W Aberowen, a nawet w sporadycznie odwiedzonym Cardiff, zawsze mógł go zauważyć ktoś ze znajomych lub krewnych. W Londynie mógłby spacerować ulicą, trzymając za rękę jakąś ładną dziewczynę, a jego rodzice nigdy by się o tym nie dowiedzieli. Nie miał zamiaru tego robić, ale myśl o takiej możliwości – a wokół było tyle ślicznych i ładnie ubranych dziewcząt – była odurzająca. Po jakimś czasie zauważył autobus z napisem „Aldgate” z przodu, więc do niego wsiadł. Ethel w liście wspomniała o Aldgate.

Kiedy odszyfrował jej list, bardzo się zaniepokoił. Oczywiście nie mógł porozmawiać o tym z rodzicami. Zaczekał, aż wyjdą na wieczorne nabożeństwo w kaplicy Bethesda – do której przestał chodzić – po czym napisał im kartkę:

Droga Mamo!

Niepokoje się o naszą Eth i pojechałem ją odnaleźć.

Przepraszam, że wyszedłem pod Waszą nieobecność, ale nie chciałem kłótni.

Twój kochający syn

Billy

Ponieważ była niedziela, wykapał się, ogolił i włożył najlepsze ubranie. Wprawdzie garnitur był znoszony, po ojcu, ale Billy miał czystą białą koszulę i czarny wełniany krawat. Przespał kilka godzin w poczekalni na dworcu w Cardiff, po czym wsiadł do pierwszego pociągu odjeżdżającego w poniedziałek rano. Konduktor w autobusie uprzedził go, kiedy dojeżdżali do Aldgate, i Billy wysiadł. Była to uboga dzielnica, z rozsypującymi się nędznymi domami, straganami z używaną odzieżą oraz bosymi

dzieciakami bawiącymi się na klatkach schodowych. Nie wiedział, gdzie mieszka Ethel, ponieważ w liście nie podała swojego adresu. Jediną wskazówką było zdanie: Pracuję dwanaście godzin dziennie w szwalni wyzyskiwacza, Manniego Litova.

Niecierpliwie wyczekiwał chwili, kiedy opowie Ethel wszystkie nowiny z Aberowen. Na pewno wie z gazet, że wdowi strajk zakończył się niepowodzeniem. Billy wściekał się na myśl o tym. Właściciele kopalni mogli sobie pozwolić na takie podłe postępowanie, ponieważ trzymali w rękach wszystkie atuty. Do nich należą kopalnie i domy i zachowują się tak, jakby ludzie też byli ich własnością. Z powodu różnych skomplikowanych uregulowań prawnych większość górników nie miała prawa wyborczego, tak więc posłem z Aberowen był konserwatysta, który niezmiennie stawał po stronie firmy. Ojciec Tommy'ego Griffithsa twierdził, że nic się nigdy nie zmieni, dopóki nie będzie rewolucji takiej, jak ta we Francji. Natomiast ojciec Billy'ego mówił, że potrzebny jest rząd laburzystowski. Billy nie wiedział, który z nich ma rację. Podszedł do przyjaźnie wyglądającego młodzieńca i zapytał:

– Znasz może drogę do fabryki Manniego Litova?

Zapytany odpowiedział w języku, który brzmiał jak rosyjski.

Billy spróbował ponownie i tym razem trafił na człowieka mówiącego po angielsku, który nigdy nie słyszał o Manniem Litowie. Aldgate nie przypominało Aberowen, gdzie każdy przechodzień znałby drogę do każdego warsztatu w miasteczku. Czyżby Billy przebył tak długą drogę – i wydał tyle pieniędzy na bilet – na próżno?

Jeszcze nie był gotów się poddać. Zaczął wyszukiwać na ruchliwej ulicy ludzi mówiących po angielsku i wyglądających na zapracowanych – niosących narzędzia lub pchających wózki. Bez powodzenia zagadnął jeszcze pięć osób, po czym spotkał czyściciela okien z drabiną.

– Mannie Litov? – powtórzył mężczyzna. Powiedział „Litov”, nie wymawiając „t”, zamiast tego wydając dźwięk przypominający kasznięcie. – Tyn łod ciuchów?

– Przepraszam, może pan powtórzyć? – poprosił grzecznie Billy.

– Tyn łod ciuchów. Tam gdzi łone robiom ciuchy.

– Hmm... zapewne tak – powiedział zdesperowany Billy.

Czyściciel okien skinął głową.

– Dali prost, ćwierci mili, kręć praw, Ark Raf Rohd.

– Dalej prosto? – powtórzył Billy. – Ćwierć mili?

– Ta je, i kręć praw.

– Skręcić w prawo?

– Ark Raf Rohd.

– Ark Raw Road?

– Nie da si minadź.

Okazało się, że ulica nazywa się Oak Grove Road. Nie było tam żadnego gaju, nie mówiąc już o dębach. Była tylko wąska i kręta uliczka z brudnymi ceglanymi budynkami, pełna ludzi, koni i ręcznych wózków. Zapytawszy dwie kolejne osoby o drogę, Billy dotarł do budynku wciśniętego między pub Pies i Kaczka oraz zabity deskami sklep Lippmanna. Frontowe drzwi były otwarte. Billy wszedł po schodach na ostatnie piętro i znalazł się w pracowni, w której około dwudziestu kobiet szyło mundury dla armii brytyjskiej.

Nie przerywały pracy, turkoczając maszynami i pozornie go nie dostrzegając, aż w końcu jedna z nich powiedziała:

– Wejdz, kochasiu, nie zjemy cię. Chociaż po namyśle mogłabym spróbować.

Wszystkie parsknęły śmiechem.

– Szukam Ethel Williams.

– Nie ma jej tu.

– Dlaczego? – zapytał zaniepokojony Billy. – Jest chora?

– A co cię to obchodzi? – Kobieta wstała od maszyny. – Jestem Mildred, a ty kto?

Billy gapił się na nią. Była śliczna, chociaż z wystającymi przednimi zębami. Usta miała mocno umalowane, a spod kapelusza wymykały się jasne loki. Nosiła gruby i luźny szary płaszcz, lecz mimo to widział, jak kołysze biodrami, podchodząc do niego. Urzekła go tak, że odebrało mu mowę.

– Chyba nie jesteś tym draniem, który zrobił jej dzieciaka i uciekł, co?

Billy odzyskał głos.

– Jestem jej bratem.

– Och! O kurwa, ty jesteś Billy?

Billy'emu opadła szczeka. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby kobieta użyła tego słowa.

Obrzuciła go zuchwałym spojrzeniem.

– Jesteś jej bratem, teraz to widzę, chociaż wyglądasz na więcej niż szesnaście lat. – Powiedziała to nieco łagodniej, a Billy'emu zrobiło się cieplej na sercu. – Masz takie same ciemne oczy i kręcone włosy.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

Popatrzyła na niego wyzywająco.

– Przypadkiem wiem, że Ethel nie chce, by jej rodzina wiedziała, gdzie mieszka.

– Boi się naszego ojca – wyjaśnił Billy. – Jednak napisała do mnie list. Martwię się o nią, więc przyjechałem tu pociągiem.

– Z tej zapadłej dziury w Walii, z której ona pochodzi?

– To nie jest zapadła dziura – oburzył się Billy. Zaraz jednak wzruszył ramionami i stwierdził: – No cóż, chyba jednak jest.

– Masz cudowny akcent – westchnęła Mildred. – Brzmi, jakbyś śpiewał.

– Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

– Jak tu trafiłeś?

– Napisała, że pracuje u Manniego Litova w Aldgate.

– No to z ciebie prawdziwy Sherlock cholerny Holmes, no nie? – rzuciła z nutą niechętnego podziwu.

– Jeśli ty mi nie powiesz, gdzie ona jest, to zrobi to ktoś inny – odparł z udawaną pewnością siebie. – Nie wrócę do domu, dopóki się z nią nie zobaczę.

– Ona mnie zabije, ale dobrze – ustąpiła Mildred. – Nutley Street dwadzieścia trzy.

Billy poprosił o dokładne wskazówki. Kazał jej mówić powoli.

– Nie dziękuj mi – powiedziała, kiedy odchodził. – Tylko obroń, jeśli Ethel będzie próbowała mnie zabić.

– W porządku. – Billy pomyślał o tym, jak przyjemnie byłoby bronić Mildred.

Inne kobiety pożegnały go chórem, posyłając buziaki, co go zawstydzilo.

Nutley Street była oazą spokoju. Domki z tarasami zbudowano w sposób, który stał się Billy'emu dobrze znany po zaledwie jednym dniu spędzonym w Londynie. Były znacznie większe od domków górników, a ich frontowe drzwi wychodziły na małe ogródki, a nie na ulicę. Uporządkowany charakter nadawały im identyczne podnoszone okna, każde dwunastokwaterowe i wychodzące na taras.

Billy zapukał do drzwi domu numer dwadzieścia trzy, ale nikt mu nie otworzył.

Zaniepokoił się. Dlaczego Ethel nie poszła do pracy? Czy jest chora? A jeśli nie, to dlaczego nie ma jej w domu?

Zajrzał przez szparę na listy i zobaczył przedpokój z wypastowaną podłogą oraz wieszak, na którym wisiał znajomy stary, brązowy płaszcz. Dzień jest chłodny, Ethel nie wyszłaby z domu bez płaszcza. Podszedł do okna i spróbował zajrzeć do środka, ale przez firankę niczego nie zobaczył.

Wrócił do drzwi i znowu zajrzał przez otwór na listy. Wewnątrz nic się nie zmieniło, ale tym razem usłyszał jakiś dźwięk: przeciągły bolesny jęk. Przyłożył usta do otworu na listy i krzyknął:

– Eth! Czy to ty?! To ja, Billy!

Zapadła długa cisza, po czym znowu ktoś jęknął.

– Jasna cholera – zaklął.

Drzwi były zamknięte na zamek typu Yale, a to oznaczało, że uchwyt został zapewne przymocowany do futryny dwiema śrubami. Billy nasadą dłoni uderzył w drzwi. Nie wyglądały na zbyt solidne i domyślił się, że są zrobione z sosnowego drewna i bardzo stare. Odchylił się, podniósł prawą nogę i kopnął w drzwi obcasem ciężkiego górniczego buta. Usłyszał trzask pękającego drewna. Kopnął jeszcze kilka razy, ale drzwi nie ustąpiły. Żałował, że nie ma młota.

Rozejrzał się po ulicy w nadziei, że zobaczy jakiegoś fachowca z narzędziami, lecz wokół nie było nikogo poza dwoma umorusanymi chłopcami, którzy przyglądali mu się z zaciekawieniem. Przeszedł krótką ścieżką przez ogródek do furtki, odwrócił się, rozpędził i uderzył w drzwi prawym barkiem. Ustąpiły i wpadł do środka.

Podniósł się, pomasażował stłuczone ramię i odstawił zniszczone drzwi. W domu było cicho.

– Eth?! – zawołał. – Gdzie jesteś?!

Znów usłyszał jęk i poszedł tam, skąd dobiegał – do pokoju na parterze, od strony ulicy. Znalazł się w kobiecej sypialni, z porcelanowymi figurkami na kominku i zasłonami w kwiaty. Ethel miała na sobie szarą suknię spowijającą ją jak namiot. Nie leżała na łóżku, lecz kłęczała, opierając się na rękach, i jęczała.

– Co ci jest, Eth? – spytał Billy głosem zmienionym z przerażenia.

Nabrała powietrza.

– Dziecko wychodzi.

– Och, do diabła. Lepiej sprowadzę lekarza.

– Za późno, Billy. Dobry Jezu, ale boli.

– To brzmi, jakbyś umierała!

– Nie, Billy, tak wygląda poród. Podejdź tu i potrzyмай mnie za rękę.

Billy klęknął przy łóżku, a Ethel ścisnęła jego dłoń i znów zaczęła jęczeć. Tym razem jęk był dłuższy i boleśniejszy niż poprzednio i ścisnęła jego dłoń tak mocno, że zaczął się bać, iż połamie mu kości. Jęk zakończył się krzykiem, a potem zaczęła dyszeć, jakby przebiegła milę.

Minutę później powiedziała:

– Przykro mi, Billy, ale będziesz musiał zajrzeć mi pod kieckę.

– Och! Och, dobrze... – Niezupełnie rozumiał, ale uznał, że lepiej zrobić to, co Ethel każe. Uniósł jej sukienkę. – O Chryste! – jęknął. Pościel pod nią była zakrwawiona. Na środku tej plamy leżało coś różowego i pokrytego śluzem. Dostrzegł dużą okrągłą główkę z zamkniętymi oczami, dwie rączki i nóżki. – To dziecko! – krzyknął.

– Podnieś je, Billy – poleciła Ethel.

– Co, ja? – zdziwił się. – Och... no dobrze...

Pochylił się nad łóżkiem. Jedną rękę wsunął pod główkę

noworodka, a drugą pod pośladki. Stwierdził, że to chłopiec.

Dziecko było śliskie, lecz Billy zdołał je podnieść. Nadal łączyła je z Ethel pępowina.

– Masz je?

– Tak. Mam go. To chłopiec.

– Oddycha?

– Nie wiem. Jak to poznać? – Billy z trudem opanowywał panikę. – Nie, nie oddycha. Tak mi się wydaje.

– Klepnij go w tyłek, ale nie za mocno.

Billy obrócił dziecko, z łatwością trzymając je jedną ręką, a drugą mocno klepnął w pośladki. Malec natychmiast otworzył usta, nabrał powietrza i zaprotestował krzykiem. Billy był uradowany.

– Patrzcie no tylko!

– Potrzyмай go przez chwilę, dopóki się nie obróć. – Ethel usiadła na łóżku i poprawiła sukienkę. – Daj mi go. Billy ostrożnie podał jej niemowlę. Ethel umieściła je w zagięciu ręki i otarła mu buzię rękawem.

– Jest piękny!

Billy nie był tego taki pewny.

Pępowina ciągnąca się od brzuszka dziecka była sina i napięta, ale teraz skurczyła się i zbielała.

– Otwórz tamtą sufladę i podaj mi nożyczki i paczkę waty – powiedziała Ethel.

Zawiązała na pępowinie dwa węzły, a potem przecięła ją pomiędzy nimi.

– Już – oznajmiła. Rozpięła sukienkę. – Pewnie nie będziesz zakłopotany po tym, co widziałeś. – Wyjęła pierś i włożyła sutek do buzi niemowlęcia.

Mały zaczął ssać.

Miała rację: Billy nie był zakłopotany. Jeszcze przed godziną byłby okropnie zmieszany, widząc pierś siostry, ale teraz takie uczucie wydawało się trywialne. I czuł ogromną ulgę z powodu tego, że dziecku nic się nie stało. Patrzył, jak ssie, dziwiąc się maleńkim paluszkom. Czuł się tak, jakby był świadkiem cudu.

Uświadomił sobie, że twarz ma mokrą od łez, i zadał sobie pytanie, kiedy ostatnio płakał, ponieważ w ogóle tego nie pamiętał.

Niebawem dziecko zasnęło. Ethel zapięła sukienkę.

– Za chwilę go umyjemy – powiedziała. Zamknęła oczy. –

Mój Boże, nie wiedziałam, że aż tak będzie bolało.

– Kto jest jego ojcem, Eth? – zapytał Billy.

– Hrabia Fitzherbert. – Otworzyła szeroko oczy. – A niech to, nie chciałam ci tego powiedzieć.

– Przeklęta świnia – warknął Billy. – Zabiję go.

ROZDZIAŁ 15

Od czerwca do września 1915 roku

i.

Kiedy statek wpłynął do nowojorskiego portu, Lew Peszków – od teraz Lev Peshkov – uzmysłowił sobie, że Ameryka może nie być tak wspaniała, jak mówił jego brat. Przygotował się na ogromne rozczarowanie. Okazało się, że niepotrzebnie. Ameryka była taka, jaka miał nadzieję, że będzie: bogata, zabiegana, ekscytująca i swobodna.

Trzy miesiące później, w upalne czerwcowe popołudnie, pracował w hotelu w Buffalo, zajmując się w stajniach wierzchowcami gości. Właścicielem interesu był Josef Vyalov, który nakrył dawną Central Tavern cebulastą kopułą i nazwał hotel Sankt Petersburg, być może z tęsknoty za miastem, które opuścił, będąc dzieckiem. Lev pracował dla Vyalova, jak wielu innych rosyjskich emigrantów w Buffalo, ale nigdy go nie widział. Nawet gdyby go spotkał, nie wiedziałby, co powiedzieć. Rodzina Wialowów w Rosji oszukała Lva, wysadzając go w Cardiff, i ta krzywda wciąż bolała. Z drugiej strony dokumenty dostarczone przez Wialowów z Sankt Petersburga nie wzbudziły żadnych zastrzeżeń amerykańskiego urzędu imigracyjnego. A kiedy wymienił nazwisko Vyalov w barze przy Canal Street, natychmiast dostał pracę.

Mówił po angielsku już od roku, od kiedy zszedł na ląd w Cardiff, więc posługiwał się nim płynnie. Amerykanie twierdzili, że ma angielski akcent, i nie rozumieli pewnych zwrotów, których nauczył się w Aberowen, takich jak „tędy i owędy”, „czyż nie?” oraz „czyżby?” na końcu zdania. Potrafił jednak powiedzieć wszystko, co trzeba, a dziewczyny były oczarowane, kiedy mówił do nich „moja śliczna”.

Kilka minut przed osiemnastą, tuż przed zakończeniem pracy, na dziedziniec stajni przyszedł jego przyjaciel Nick z papierosem w ustach.

– Fatima – oznajmił i zaciągnął się z przesadną satysfakcją. – Turecki tytoń. Cudowny.

Pełne nazwisko Nicka brzmiało Mikołaj Dawidowicz Fomek, lecz tutaj zwano go Nick Forman. Czasem odgrywał rolę, kiedyś odgrywaną przez Spirię, a później przez Rhysa Price'a, ale przeważnie był złodziejem.

– Ile? – zapytał Lev.

– W sklepach sto takich papierosów w puszcze kosztuje pięćdziesiąt centów. Dla ciebie dziesięć centów. Sprzedasz je za ćwierć dolara. Lev wiedział, że fatima to popularny gatunek. Łatwo będzie sprzedać je za pół ceny. Rozejrzał się po podwórzu. Szefa nie było nigdzie widać.

– W porządku.

– Ile ich chcesz? Mam cały bagażnik.

Lev miał w kieszeni dolara.

– Dwadzieścia puszek. Dam ci dolara teraz i dolara później.

– Nie udzielam kredytu.

Lev uśmiechnął się i położył rękę na jego ramieniu.

– Daj spokój, kolego, możesz mi zaufać. Jesteśmy kumplami czy nie?

– Dobrze, dwadzieścia. Zaraz wracam.

Lev znalazł w kącie stary worek po obroku. Nick wrócił z dwudziestoma długimi zielonymi puszkami z obrazkiem na pokrywce przedstawiającym zawoalowaną kobietę. Lev umieścił te puszki w worku i dał Nickowi dolara.

– Zawsze miło podać pomocną dłoń rodakowi – rzekł Nick i odmaszerował.

Lev oczyścił zgrzebło i skrobak do kopyt, po czym pożegnał się z głównym stajennym i skierował kroki do dzielnicy First Ward. Wiedział, że wygląda podejrzanie, idąc z workiem po obroku na ramieniu, i zastanawiał się, co powie, jeśli jakiś policjant zatrzyma go i zapyta, co jest w worku. Jednak za bardzo się tym nie przejmował, gdyż potrafił wyjść cało z najróżniejszych opresji. Poszedł do dużego popularnego baru o nazwie Irlandzki Węderowiec. Przecisnął się przez tłum, zamówił kufel piwa i łąpczywie wypił połowę. Potem przysiadł się do grupki robotników rozmawiających w łamanym polsko-angielskim.

– Czy ktoś tu pali fatimy? – zapytał po chwili.

– Tak, ja od czasu do czasu palę fatimy – powiedział łyśy mężczyzna w skórzanym fartuchu.

– Chcesz je kupić za pół ceny? Dwadzieścia pięć centów za sto papierosów.

– Co z nimi nie tak?

– Ktoś je zgubił. Ktoś inny znalazł.

– To chyba trochę ryzykowny interes.

– Powiem ci coś: połóż pieniądze na stole. Nie wezmę ich, dopóki mi nie pozwolisz.

Teraz mężczyźni się zainteresowali. Łyśy sięgnął do kieszeni i wyjął ćwierć dolara. Lev wydobył z worka puszkę i wręczył mu ją. Mężczyzna otworzył puszkę. Był w niej prostokąt złożonego papieru. Rozwinął go i pokazał wszystkim zdjęcie.

– Hej, jest tu nawet karta z baseballistą! – wykrzyknął.

Włożył papierosa do ust i zapalił. – W porządku – powiedział do Lva. – Weź swoje ćwierć dolara.

Inny mężczyzna obserwował całą scenę, stojąc za plecami Lva.

– Po ile? – zapytał.

Lev powiedział mu i mężczyzna kupił dwie puszki.

W ciągu pół godziny sprzedał wszystkie papierosy. Był zadowolony: w godzinę z dwóch dolarów zrobił pięć. W pracy przez półtora dnia zarabiał trzy dolary. Może jutro kupi od Nicka więcej papierosów.

Zamówił drugie piwo, wypił je i opuścił lokal, zostawiając pusty worek na podłodze. Poszedł do dzielnicy Lovejoy, ubogiej części Buffalo, gdzie mieszkała większość Rosjan oraz wielu Włochów i Polaków. W drodze do domu mógłby kupić stek i usmażyć go z frytkami. Albo zabrać Margę na tańce. Lub kupić sobie nowy garnitur.

Powinienem odłożyć te pieniądze na bilet do Ameryki dla Grigorija, myślał z poczuciem winy, wiedząc, że tego nie zrobi. Trzy dolary to kropla w morzu. Potrzebuje naprawdę dużej wygranej. Wtedy od razu wyśle Grigorijowi całą sumę, zanim ulegnie pokusie i ją wyda.

Z tych rozmyślań wyrwało go klepnięcie w ramię. Odwrócił się z bijącym sercem, oczekując, że zobaczy mundur policjanta. Jednak ten, kto go zatrzymał, nie był policjantem, lecz dobrze zbudowaną mężczyzną w roboczym kombinezonie, ze złamanym nosem i groźną miną. Widok takiego człowieka oznaczał kłopoty.

– Kto kazał ci sprzedawać papierosy w Irlandzkim Wędrowcu? – zapytał mężczyzna.

– Ja tylko próbuję zarobić kilka dolców – odparł z uśmiechem Lev. – Mam nadzieję, że nikogo nie uraziłem.

– Czy to był Nicky Forman? Słyszałem, że zwinął ciężarówkę papierosów.

Lev nie zamierzał udzielać takich informacji nieznanemu.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – odparł, nadal uprzejmie.

– Nie wiesz, że Irlandzki Wędrowiec należy do pana V?

Lev poczuł gniew. „Pan V” to na pewno Josef Vyalov. Porzucił pojednawczy ton.

– No to wywieście szyld.

– Nie sprzedaje się niczego w barach pana V, dopóki na to nie pozwoli.

Lev wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem o tym.

– Oto coś, co pomoże ci zapamiętać – powiedział tamten i zamachnął się.

Lev spodziewał się ciosu i błyskawicznie zrobił krok do tyłu. Pięść przeszła powietrze i bandzior zatoczył się, tracąc równowagę. Lev doskoczył do niego i kopnął go w goleń. Pięść to przeważnie kiepska broń, nawet w połowie nie tak skuteczna jak obuta stopa. Kopnął z całej siły, ale nie tak mocno, by złamać kość. Mężczyzna ryknął wściekle, znów machnął pięścią i znów chybił.

Nie było sensu uderzać takiego bandziora w twarz – zapewne stracił w niej czucie – więc Lev kopnął go w krocze. Tamten zgiał się wpół i oburącz złapał za podbrzusze, oddychając spazmatycznie. Lev kopnął go w brzuch. Mężczyzna otwierał i zamykał usta jak złota rybka. Lev odsunął się na bok i kopniakiem podciął mu nogi. Bandzior upadł na plecy, a Lev starannie wycelował i kopnął go w kolano, tak by nie mógł się zbyt szybko poruszać, kiedy wstanie.

– Powiedz panu V, że powinien być bardziej uprzejmy – wysapał.

Odszedł, ciężko dysząc. Za plecami usłyszał czyjś głos:

– Hej, Ilya, co ci się stało, do kurwy nędzy?

Dwie ulice dalej Lev zaczął oddychać swobodniej, a jego serce przestało tłuc się w piersi. Do diabła z Josefem Vyalovem, pomyślał. Ten drań mnie oszukał i nie dam się zastraszyć. Vyalov nie będzie wiedział, kto pobił Ilyę. Nikt w Irlandzkim Wędrowcu nie zna Iva. Vyalov może się wściekać, ale nic nie będzie mógł zrobić. Lev odzyskał pewność siebie. Rozciągnąłem Ilyę na ziemi, pomyślał, a sam nawet nie mam siniaka!

Wciąż miał w kieszeni pieniądze. Zatrzymał się po drodze, żeby kupić dwa steki i butelkę ginu.

Mieszkał przy ulicy zabudowanej zaniedbanymi ceglanymi

domami podzielonymi na małe mieszkanie. Przed drzwiami sąsiedniego domu na schodach siedziała Marga, pilując paznokcie. Była ładną czarnowłosą Rosjanką w wieku około dziewiętnastu lat, o uwodzicielskim uśmiechu. Pracowała jako kelnerka, ale miała nadzieję, że zrobi karierę jako piosenkarka. Kilka razy postawił jej drinka i raz pocałował. Entuzjastycznie odwzajemniła pocałunek.

– Hej, dziecińko! – zawołał.

– Na kogo wołasz „dziecińko“?

– Co robisz dziś wieczorem?

– Mam randkę.

Lev niespecjalnie jej wierzył. Nigdy by się nie przyznała, że nie ma nic do roboty.

– Rzuć go – powiedział. – Ma nieświeży oddech.

Uśmiechnęła się.

– Nawet nie wiesz, kim on jest!

– Chodź ze mną. – Pokazał jej papierową torebkę. –

Usmażę stek.

– Zastanowię się.

– Przynies łód.

Wszedł do domu.

Jego mieszkanie według amerykańskich standardów było tania nora, ale jemu wydawało się duże i luksusowe: pokoik i kuchnia z bieżącą wodą oraz elektrycznym oświetleniem. I miał je tylko dla siebie! W Sankt Petersburgu w takim lokalu mieszkałoby dziesięć lub więcej osób.

Zdjął marynarkę, podwinął rękawy, po czym umył twarz i ręce nad kuchennym zlewem. Miał nadzieję, że Marga przyjdzie. Jest dziewczyną w jego typie, zawsze gotowa do śmiechu, tańca lub zabawy, nigdy zanadto nie przejmując się, co przyniesie przyszłość.

Obrał i pokroił kilka ziemniaków, potem postawił patelnię na płycie i rzucił na nią kawałek tłuszczu. Kiedy ziemniaki się smażyły, przyszła Marga z pojemnikiem tłuczonego lodu. Przygotowała drinki z ginu i cukru.

Lev powoli sączył drinka, a po chwili cmoknął ją w usta.

– Dobrze smakuje! – mruknął.

– Jesteś zuchwały! – zaprotestowała, ale bez przekonania.

Zastanawiał się, czy uda mu się zaciągnąć ją później do łóżka.

Zaczął podsmażać steki.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała. – Niewielu mężczyzn umie gotować.

– Mój ojciec zmarł, kiedy miałem sześć lat, a matka, kiedy miałem jedenaście. Wychował mnie mój brat Grigorij. Nauczyliśmy się wszystko robić sami. Chociaż w Rosji nigdy nie jedliśmy steków.

Zapytała go o Grigorija i przy posiłku opowiedział jej historię swojego życia. Większość dziewczyn rozczulała opowieść o dwóch osieroconych chłopcach walczących o byt, pracujących w dużej fabryce lokomotyw i mieszkających w wynajętym pokoju. Mając wyrzuty sumienia, pominął tę część historii, w której porzucił swoją ciężarną dziewczynę.

Drugiego drinka pili w pokoiku. Zanim zaczęli pić trzeciego, na dworze zrobiło się ciemno i Marga siedziała mu na kolanach. W przerwach między kolejnymi łykami Lev ją całował. Kiedy rozchyliła wargi pod naporem jego języka, położył rękę na jej piersi. W tym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Marga krzyknęła.

Do mieszkania weszli trzej mężczyźni. Dziewczyna zeskoczyła z kolan Iwa, wciąż krzycząc. Jeden z mężczyzn uderzył ją na odlew w twarz.

– Zamknij się, suko.

Pobiegła do drzwi, przyciskając dłonie do krwawiących warg.

Pozwolili jej uciec.

Lev zerwał się na równe nogi i skoczył na tego, który uderzył Margę. Zdażył zadać jeden solidny cios, trafiając go w oko. Potem

dwaj pozostali złapali go za ręce. Byli silni i nie zdołał im się wyrwać. Kiedy go trzymali, ten pierwszy, który był chyba przywódcą, kilka razy uderzył go w twarz i brzuch. Lev splunął krwią i zwymiotował stek.

Oslabionego i obolałego wyprowadzili go z mieszkania, po schodach i z budynku. Przy krawężniku stał niebieski hudson z zapalonym silnikiem. Wepchnęli Lva na tył. Dwaj mężczyźni przygnietli go buciarami do podłogi, a trzeci usiadł z przodu i pojechali.

Za bardzo go bolało, by zastanawiać się, dokąd go wiozą. Zakładał, że ci ludzie pracują dla Vyalova, ale jak go znaleźli? I co zamierzają z nim zrobić? Starał się nie wpaść w panikę.

Po kilku minutach zatrzymali się i wywlekli go z auta. Znajdowali się przed jakimś magazynem. Ulica była ciemna i pusta. Poczul odór jeziora i zorientował się, że są na wybrzeżu. Z ponurym fatalizmem uświadomił sobie, że to idealne miejsce, żeby kogoś zamordować. Nie będzie żadnych świadków, a ciało wrzucą do jeziora Erie, umieszczone w worku z kilkoma ceglami, żeby mieć pewność, że pójdzie na dno.

Powlekli go do budynku. Starał się pozbierać. To najgorsze tarapaty, w jakie dotychczas się wpakował. Nie był pewny, czy zdoła się z tego wykręcić. Dlaczego ja to robię? – zadawał sobie pytanie. Magazyn był wypełniony nowymi oponami, leżącymi w stertach po piętnaście lub dwadzieścia sztuk. Poprowadzili go między tymi stosami na tyły budynku i przystanęli przed drzwiami strzeżonymi przez kolejnego dobrze zbudowanego mężczyznę, który zatrzymał ich, unosząc rękę.

Nikt się nie odezwał.

– Zdaje się, że mamy kilka minut czekania – powiedział po chwili Lev. – Ma ktoś talię kart?

Nikt się nie uśmiechnął.

W końcu drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Nick Forman. Miał spuchniętą górną wargę i podbite oko.

– Musiałem im powiedzieć – rzekł na widok Lva. – Zabili-
by mnie.

A więc, pomyślał Lev, odnaleźli mnie przez Nicka.

W drzwiach pojawił się chudy mężczyzna w okularach. To nie może być Vyalov, pomyślał Lev, jest zbyt cherlawy.

– Wprowadź go, Theo – polecił okularnik.

– Jasne, panie Niall – powiedział przywódca bandziorów.

Biuro przypominało Lvu wiejską chatę, w której się urodził. Tu też było za ciepło, a w powietrzu wisiał gęsty dym. W kącie stał stolik z ikoną.

Za stalowym biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku o niezwykle szerokich barach. Miał na sobie wyglądający na drogi urzędniczy garnitur oraz krawat i dwa pierścienie na palcach ręki, w której trzymał papierosa.

– Co to za kurewski smród? – warknął.

– Przepraszam, panie V, ale ten śmieć się porzygał – wyjaśnił Theo. – Rzucał się, więc musieliśmy go trochę uspokoić, a wtedy zwrócił kolację.

– Puśćcie go.

Puścili Lva, ale pozostali w pobliżu.

Pan V zlustrował go od stóp do głów.

– Dostałem twoją wiadomość. Powiedziałeś, że powinienem być bardziej uprzejmy.

Lev zebrał całą odwagę. Nie zamierzał umrzeć, skomlać.

– Pan Josef Vyalov?

– Chryste, ty to masz tupet – mruknął mężczyzna. – Pytać mnie, kim jestem.

– Szukałem pana.

– Ty szukałeś mnie?

– Rodzina Wialowów sprzedała mi bilet z Sankt Petersburga do Nowego Jorku, ale wysadzono mnie w Cardiff.

- I co?
 - Chcę odzyskać moje pieniądze.
- Vyalov gapił się na niego przez długą chwilę, po czym ryknął śmiechem.
- Nic na to nie poradzę - rzekł - że mi się podobasz.
- Lev wstrzymał oddech. Czy to oznacza, że Vyalov nie zamierza go zabić?
- Masz jakąś pracę? - spytał Vyalov.
 - Pracuję dla pana.
 - Gdzie?
 - W hotelu Sankt Petersburg, w stajniach.
- Vyalov skinął głową.
- Myślę, że możemy ci zaproponować coś lepszego.

II.

W czerwcu 1915 roku Ameryka zrobiła kolejny krok w kierunku wojny.

Gus Dewar był przerażony. Uważał, że Stany Zjednoczone nie powinny przystępować do wojny w Europie. Naród amerykański był tego samego zdania i prezydent Woodrow Wilson również. A jednak niebezpieczeństwo było coraz bliżej.

Kryzys zaczął się w maju, gdy niemiecka łódź podwodna storpedowała „Lusitanię”, brytyjski statek przewożący sto siedemdziesiąt trzy tony karabinów, amunicji i pocisków odłamkowych. A także dwa tysiące pasażerów, w tym stu dwudziestu ośmiu obywateli Stanów Zjednoczonych.

Amerykane byli tak wstrząśnięci, jakby to był zamach. Gazety kipiały z oburzenia.

- Ludzie domagają się od pana czegoś, co jest niemożliwe! - powiedział oburzony Gus, stojąc w Gabinetcie Ovalnym. - Chca, żeby przycisnął pan Niemców, ale nie ryzykując przystąpienia do wojny.

Wilson pokiwał głową, podniósłszy ją znad maszyny do pisania.

- Żadne prawo nie nakazuje, by opinia publiczna była konsekwentna - zauważył.

Gus uznał spokój szefa za godny podziwu, ale nieco denerwujący.

- Jak, do licha, się pan z tym upora?

Wilson uśmiechnął się, pokazując zepsute zęby.

- Gus, czy ktoś ci mówił, że polityka jest łatwa?

W końcu Wilson wysłał surową notę do niemieckiego rządu, domagając się zaprzestania ataków na statki. On i jego doradcy, a wśród nich Gus, mieli nadzieję, że Niemcy pójdą na kompromis. Jeśli jednak wybiorą konfrontację, Gus nie miał pojęcia, w jaki sposób Wilson zdoła uniknąć eskalacji działań. To niebezpieczna gra i Gus odkrył, że nie potrafi zachować takiego chłodnego spokoju, jaki wykazuje Wilson.

Kiedy noty dyplomatyczne przesyłano przez Atlantyk, Wilson pojechał do swojej letniej rezydencji w New Hampshire, a Gus do Buffalo, gdzie zatrzymał się u swoich rodziców przy Delaware Avenue. Jego ojciec miał dom w Waszyngtonie, ale Gus mieszkał tam we własnym mieszkaniu, a kiedy przyjeżdżał do Buffalo, cieszył się wygodami domu prowadzonego przez matkę: srebrnym wazonem z różami na nocnym stoliku, ciepłymi bułeczkami na śniadanie, czystym, białym, lnianym obrusem zmienianym przed każdym posiłkiem, tym, że garnitur w jego garderobie jest zawsze wyczyszczony i wyprasowany, choć on nawet nie zauważył, kiedy zabrano go do czyszczenia.

Dom urządzono w rozmyślnie zwyczajnym stylu, co było reakcją jego matki na upodobanie do ozdób pokolenia jej rodziców. Stało tam dużo mebli biedermeierowskich, w wygodnym niemieckim stylu, który wracał do łask. W jadalni na każdej

z czterech ścian wisiał jeden dobry obraz, a stół zdobił trójramienny świecznik.

– Zapewne zamierzasz udać się do slumsów i oglądać walki na pięści? – zapytała go matka podczas lunchu pierwszego dnia.
– Boks to nic złego – rzekł Gus.

Był jego wielkim miłośnikiem. Próbował boksować jako lekomyślny osiemnastolatek: długie ręce zapewniły mu kilka zwycięstw, ale brakowało mu instynktu zabójcy.

– To takie canaille – prychnęła pogardliwie.

To snobistyczne określenie, które przywiozła z Europy, oznaczało brak klasy.

– Chciałbym oderwać myśli od międzynarodowej polityki. Jeśli zdołam.

– Dziś po południu u Albrighta jest wykład o Tycjanie z projekcją przezroczy.

Galeria sztuki Albrighta, biały klasycystyczny budynek w parku Delaware, była jedną z najważniejszych instytucji kulturalnych w Buffalo.

Gus wychował się otoczony przez renesansowe obrazy i szczególnie lubił portrety Tycjana, ale nie miał ochoty iść na wykład. Jednak był to ten rodzaj imprezy, w której powinni wziąć udział bogaci młodzi mężczyźni i kobiety, tak więc istniało duże prawdopodobieństwo, że odnowi stare znajomości.

Galeria Albrighta znajdowała się niedaleko Delaware Avenue.

Wszedł do otoczonego kolumnami atrium i zajął miejsce. Tak jak się spodziewał, wśród słuchaczy było kilka znajomych osób. Odkrył, że siedzi obok uderzająco ładnej dziewczyny, która wyglądała znajomo.

Uśmiechnął się do niej, a ona powiedziała:

– Zapomniał pan, kim jestem, prawda, panie Dewar?

Zrobiło mu się głupio.

– Hmm... Przez jakiś czas nie było mnie w mieście.

– Jestem Olga Vyalov.

Wyciągnęła rękę w białej rękawiczce.

– Oczywiście.

Jej ojciec to rosyjski emigrant, który zaczynał od wyrzucania pijaków z baru przy Canal Street. Teraz cała Canal Street należy do niego. Jest radnym miejskim i filarem rosyjskiego Kościoła ortodoksyjnego. Gus kilkakrotnie spotkał Olgę, chociaż nie pamiętał, by wyglądała tak urzekająco: może nagle dorosła albo coś. Jej wiek ocenił na dwadzieścia lat. Miała białą skórę i niebieskie oczy. Ubrana była w różowy żakiet ze stójką i kapelusz ozdobiony kwiatami z różowego jedwabiu.

– Słyszę, że pracuje pan dla prezydenta – powiedziała. –

Co pan sądzi o panu Wilsonie?

– Bardzo go podziwiam. Jest pragmatycznym politykiem, który nie wyrzekł się swoich ideałów.

– Jakie to ekscytujące być w centrum władzy.

– Istotnie, to ekscytujące, chociaż nie czuje się, że to centrum władzy. W demokracji prezydent podlega swoim wyborcom.

– Z pewnością jednak nie robi tylko tego, czego chce opinia publiczna.

– Niezupełnie. Prezydent Wilson mówi, że przywódca musi traktować opinię publiczną jak marynarz wiatr, wykorzystując go do kierowania statku w tę lub inną stronę, ale nigdy nie próbując płynąć pod wiatr.

Westchnęła.

– Bardzo chciałabym uczyć się o tych sprawach, ale ojciec nie pozwala mi iść na studia.

Gus się uśmiechnął.

– Zapewne uważa, że nauczyłaby się pani tam palić cygara i pić gin.

– Oraz jeszcze gorszych rzeczy, bez wątpienia. – Była to ryzykowna uwaga w ustach niezamężnej kobiety i widocznie

dostrzegła na twarzy Gusa zdziwienie, ponieważ dodała: – Przepraszam, zaszokowałam pana.

– Wcale nie. – Był zauroczoney. Chcąc podtrzymać rozmowę, rzekł: – Co by pani studiowała, gdyby poszła pani na studia?

– Myślę, że historię.

– Uwielbiam historię. Jakiś konkretny okres?

– Chciałabym zrozumieć moją przeszłość. Dlaczego mój ojciec musiał opuścić Rosję? Dlaczego w Ameryce jest o wiele lepiej? Muszą być po temu powody.

– Właśnie! – Gus był urzeczony tym, że taka ładna dziewczyna podziela jego intelektualną ciekawość. Nagle zobaczył ich dwoje jako parę małżeńską, w sypialni, rozmawiających po przyjęciu o światowych sprawach i szykujących się do snu, siebie w piżamie, siedzącego i obserwującego, jak ona niespiesznie zdejmuje biżuterię i suknię... Nagle podchwycił jej wzrok i odniósł wrażenie, że wie, o czym on myśli. Poczul zakłopotanie. Chciał coś powiedzieć, ale odebrało mu mowę.

W tym momencie wszedł prelegent i słuchacze zamilkli.

Gus cieszył się wykładem bardziej, niż oczekiwał. Prelegent miał kolorowe przezrocza kilku płócien Tycjana, które za pomocą rzutnika pokazywał na wielkim białym ekranie.

Po zakończeniu wykładu Gus chciał jeszcze porozmawiać z Olgą, ale nie było mu to dane, ponieważ podszedł do nich Chuck Dixon, którego znał ze szkoły. Charakteryzował go niewymuszony uśmiech, którego Gus mu zazdrościł. Obaj mieli dwadzieścia pięć lat, lecz Chuck sprawiał, że Gus czuł się jak niezdarny uczeń.

– Olgo, musisz poznać mojego kuzyna – rzekł. – Gapi się na ciebie z drugiego końca sali. – Uśmiechnął się przyjaźnie do Gusa. – Przepraszam, że pozbawiam cię takiego czarującego towarzystwa, Dewar, ale nie możesz mieć jej dla siebie przez całe popołudnie, wiesz.

Zaborczym gestem objął talię Olgi i pociągnął ją za sobą.

Gus był rozgoryczony. Tak dobrze mu się z nią rozmawiało.

Zazwyczaj nawiązanie rozmowy z dziewczyną było dla niego najtrudniejsze, lecz z Olgą przyszło mu to z łatwością. A teraz Chuck Dixon, który zawsze był jednym z najgorszych uczniów w klasie, zabrał mu ją tak, jakby brał drinka z tacy kelnera. Gdy Gus rozglądał się, szukając innych znajomych, podeszła do niego jednooka dziewczyna.

Kiedy poznał Rosę Hellman – na charytatywnym obiedzie na rzecz orkiestry symfonicznej Buffalo, w której grał jej brat – pomyślał, że do niego mruga, ponieważ jedno oko miała stale zamknięte. Poza tym jej twarz była śliczna, przez co defekt był jeszcze bardziej widoczny. Co więcej, zawsze modnie się ubierała, jakby rzucała światu wyzwanie. Dziś miała na głowie zawadiacko przekrzywiony słomkowy kapelusz i wyglądała uroczo.

Kiedy widział ją ostatnio, była redaktorką „Buffalo Anarchist”, radykalnej gazety o niewielkim zasięgu.

– Czy anarchiści interesują się sztuką? – zagadnął ją.

– Teraz pracuję dla „Evening Advertiser”.

To go zdziwiło.

– Czy wydawca zna twoje poglądy polityczne?

– Moje poglądy nie są już tak radykalne jak kiedyś, ale wie, jakie były.

– Zapewne doszedł do wniosku, że jeśli twoja anarchistyczna gazetka odniosła sukces, musisz być dobra.

– Mówi, że dał mi pracę, ponieważ mam większe jaja niż dwaj jego reporterzy mężczyźni.

Gus wiedział, że Rosa lubi szokować, ale kiedy to usłyszał, opadła mu szczęka.

Dziewczyna się roześmiała.

– Pomimo to nadal wysyła mnie na wystawy i pokazy mody. – Zmieniła temat: – Jak praca w Białym Domu?

Gus zdawał sobie sprawę, że cokolwiek powie, może się pojawić w gazecie.

– Niesamowicie ekscytująca. Uważam, że Wilson jest wielkim prezydentem, może największym z dotychczasowych.

– Jak możesz tak mówić? Jest niebezpiecznie blisko uwikłania nas w wojnę w Europie.

Nastawienie Rosy było powszechne u Amerykanów o niemieckich korzeniach, oczywiście biorących stronę Niemców, oraz wśród lewicowców, którzy chcieli zobaczyć klęskę cara. Jednak pogląd ten dzieliła mnóstwo ludzi niebędących Niemcami ani lewicowcami.

– Kiedy niemieckie okręty podwodne zabijają amerykańskich obywateli – ostrożnie odparł Gus – prezydent nie może... – Już miał powiedzieć „przymknąć oka”, lecz zawahał się, poczerwieniał i dokończył: – Nie może tego zignorować.

Wydawało się, że dziennikarka nie dostrzega jego zmieszania.

– Jednak Brytyjczycy blokują niemieckie porty, co stanowi pogwałcenie prawa międzynarodowego, i w rezultacie niemieckie kobiety i dzieci głodują – przypomniała. – Tymczasem we Francji mamy patową sytuację: przez sześć ostatnich miesięcy żadna ze stron nie przesunęła swojej pozycji o więcej niż kilka jardów. Niemcy muszą zatapiać brytyjskie statki, inaczej przegrają wojnę.

Doskonale orientowała się w takich zawiłościach i dlatego Gus zawsze lubił z nią rozmawiać.

– Studiowałem prawo międzynarodowe – powiedział. – Ściśle mówiąc, Brytyjczycy nie robią niczego nielegalnego. Blokadę morską zostały zakazane przez deklarację londyńską z tysiąc dziewięćset dziewiątego roku, która nigdy nie została ratyfikowana. Dziennikarka nie dała się zbić z tropu.

– Pomińmy kwestie prawne. Niemcy ostrzegali Amerykanów, żeby nie podróżowali brytyjskimi okrętami pasażerskimi. Na litość boską, umieścili to ostrzeżenie w gazetach! Co jeszcze mieli zrobić? Wyobraź sobie, że prowadzimy wojnę z Meksykiem, a „Lusitania” to meksykański statek przewożący broń mająca zabijać amerykańskich żołnierzy. Czy przepuścilibyśmy ją? To było dobre pytanie i Gus nie miał na nie przekonującej odpowiedzi.

– Cóż, sekretarz stanu Bryan zgodziłby się z tobą – powiedział. William Jennings Bryan złożył rezygnację po nocy Wilsona skierowanej do Niemców. – Uważał, że wystarczy ostrzec Amerykanów, żeby nie podróżowali statkami walczących narodów. Nie zamierzała mu odpuścić.

– Bryan uważa, że Wilson podejmuje ogromne ryzyko. Jeśli Niemcy się teraz nie wycofają, nie będziemy mogli uniknąć wojny z nimi.

Gus nie zamierzał mówić dziennikarce, że podziela jej zastrzeżenia. Wilson zażądał, aby niemiecki rząd zaprzestał ataków na statki handlowe, wypłacił odszkodowania i zapobiegł powtórzeniu się takich incydentów – innymi słowy, aby dał Brytyjczykom wolną rękę na morzach, godząc się z tym, że niemieckie statki są uwięzione w portach przez blokadę. Trudno oczekiwać, by jakkolwiek rząd przystał na takie żądania.

– Jednak opinia publiczna aprobeuje to, co zrobił prezydent – zauważył.

– Opinia publiczna może się mylić.

– Mimo to prezydent nie powinien jej ignorować. Posłuchaj, Wilson kroczy po linii nad przepaścią. Nie chce, abyśmy brali udział w tej wojnie, ale nie chce też, żeby Ameryka okazała słabość swojej polityki międzynarodowej. Myślę, że obecnie udaje mu się zachować równowagę.

– A w przyszłości?

To było niepokojące pytanie.

– Nikt nie potrafi przewidzieć, co się stanie. Nawet Woodrow Wilson.

Rosa znów się zaśmiała.

– Dyplomatyczna odpowiedź. Daleko zajdziesz w Waszyngtonie.

Ktoś ją zagadnął i odwróciła się.

Gus odszedł, czując się trochę tak, jakby stoczył pojedynek na pięści, który skończył się remisem.

Część słuchaczy zaproszono na herbatę w towarzystwie wykładowcy. Gus należał do tych uprzywilejowanych, ponieważ jego matka była mecenasem muzeum. Zostawił Rosę i ruszył do sali konferencyjnej. Gdy tam wszedł, ucieszył się na widok Olgi. Niewątpliwie jej ojciec również dotuje tę instytucję.

Wziął filiżankę z herbatą i podszedł do niej.

– Jeśli będzie pani kiedyś w Waszyngtonie, chętnie oprowadzę panią po Białym Domu – powiedział.

– Och! Mógłby pan przedstawić mnie prezydentowi?

Miał ochotę powiedzieć: „dla ciebie wszystko”, ale zawahał się, nie chcąc składać obietnicy, której może nie będzie mógł dotrzymać.

– Zapewne. Zależy, jak bardzo będzie zajęty. Kiedy siada przy maszynie do pisania i zaczyna pisać przemówienia oraz komunikaty dla prasy, nikomu nie wolno przeszkadzać.

– Było mi tak smutno, kiedy jego żona odeszła – rzekła Olga z westchnieniem.

Ellen Wilson umarła prawie rok temu, wkrótce po wybuchu wojny w Europie.

Gus pokiwał głową.

– Był załamany.

– Jednak słyszałam, że już romansuje z pewną bogatą wdową.

Gus się zmieszał. W Waszyngtonie było publiczną tajemnicą że Wilson zakochał się na zabój, chłopięcą miłością, zaledwie osiem miesięcy po śmierci żony, w ponętnej Edith Galt. Prezydent miał pięćdziesiąt osiem lat, a jego ukochana czterdzieści jeden. Teraz byli razem w New Hampshire. Gus należał do bardzo nielicznej grupy tych, którzy wiedzieli także, że Wilson przed miesiącem się oświadczył, ale pani Galt jeszcze nie udzieliła mu odpowiedzi.

– Kto pani o tym powiedział?

– Czy to prawda?

Rozpaczliwie chciał zrobić na niej wrażenie znajomością poufnych informacji, ale zdołał oprzeć się pokusie.

– Nie mogę rozmawiać o takich sprawach – odrzekł niechętnie.

– Och, co za rozczarowanie. Miałam nadzieję, że usłyszę kilka ploteczek.

– Przykro mi, że panią rozczarowałem.

– Nie bądź głuptasem. – Dotknęła jego ręki i przeszedł go rozkoszny dreszcz. – Jutro po południu urządzam przyjęcie i rozgrywkę w tenisa. Grasz?

Gus miał długie ręce i nogi i był dość dobrym graczem.

– Oczywiście. Uwielbiam tę grę.

– Przyjdiesz?

– Z największą przyjemnością.

III.

Lev nauczył się prowadzić w jeden dzień. Opanowanie innej ważnej umiejętności szofera, jaką jest zmienianie opon, zajęło mu zaledwie kilka godzin. Pod koniec tygodnia umiał również tankować, zmieniać olej i regulować hamulce. Jeśli samochód nie chciał ruszyć, Lev wiedział, jak sprawdzić, czy powodem jest wyładowany akumulator, czy zatkany dopływ paliwa.

Konie to przeszłość, powiedział mu Josef Vyalov. Stajenni są kiepsko opłacani i jest ich mnóstwo. Kierowcy są rzadkością i dużo zarabiają.

Ponadto Vyalov chciał mieć szofera, który będzie wystarczająco twardy, żeby jednocześnie pełnić funkcję ochroniarza. Samochodem Vyalova był nowiutki Packard Twin Six, siedmioosobowa limuzyna. Inni kierowcy byli pod wrażeniem. Ten model został wypuszczony na rynek zaledwie przed kilkoma tygodniami, a jego dwunastocylindrowy silnik budził zazdrość nawet właścicieli cadillaców v8.

Nowoczesna rezydencja Vyalova mniej się podobała Lvu. Jego zdaniem przypominała największą na świecie oborę. Była długa i niska, z szerokim okapem. Główny ogrodnik powiedział, że to najmodniejszy obecnie „preriowy dom”.

— Gdybym miał taki duży dom — powiedział Lev — chciałbym, żeby wyglądał jak pałac.

Zastanawiał się, czy napisać do Grigorija o Buffalo, pracy i samochodzie, ale się wahał. Chciałby mu napisać, że odłożył trochę pieniędzy na jego bilet do Ameryki, ale, niestety, nic nie zaoszczędził. Poprzysiągł sobie, że napisze, kiedy coś uzbiera. Grigorij nie może przecież do niego napisać, ponieważ nie ma jego adresu.

Rodzina Vyalovów składała się z trzech osób: Josefa, jego żony Leny, która rzadko się odzywała, oraz Olgi, ładnej córki o śmiałym spojrzeniu, mniej więcej w wieku Lva. Josef traktował żonę troskliwie i z kurtuazją chociaż większość wieczorów spędzał z kolegami. Dla córki był czuły, ale stanowczy. Często przyjeżdżał do domu w południe, żeby zjeść lunch z Leną i Olgą. Po lunchu on i Lena ucinali sobie drzemkę.

Czekając, by odwiedzić Josefa do centrum, Lev czasem rozmawiał z Olgą.

Lubiła palić papierosy, czego zabraniał jej ojciec, który postanowił, że jego córka będzie szanowaną młodą damą i przez małżeństwo wejdzie do towarzyskiej elity Buffalo. W posiadłości było kilka miejsc, gdzie Josef nigdy nie zaglądał. Należał do nich garaż, tak więc Olga przychodziła tam zapalić. Siadała na obitym skórą tylnym siedzeniu nowego packarda, w jedwabnej sukience, a Lev opierał się o drzwi, stawiał nogę na progu i gawędził z nią.

Zdawał sobie sprawę, że wygląda elegancko w liberii szofera i czapce zawadiacko zsuniętej do tyłu. Szybko odkrył, że Olga lubi słuchać o tym, jaką ma klasę. Uwielbiała, kiedy mówiono jej, że chodzi jak księżniczka, rozmawia jak żona prezydenta, a ubiera się jak paryżanka. Była snobką, jej ojciec także. Josef był brutalem i bandziorem, lecz Lev zauważył, że w kontaktach z wysoko postawionymi ludźmi, takimi jak prezesi banków i kongresmani, prezentuje nienaganne maniery graniczące ze służalczością. Lev miał intuicję i szybko rozgryzł Olgę. Była chowaną pod kloszem bogatą dziewczyną nieznajdującą ujścia dla swojego temperamentu. W przeciwieństwie do dziewcząt, które Lev poznał w nędznych dzielnicach Sankt Petersburga, Olga nie mogła wymknąć się na randkę z chłopcem o zmroku i pozwolić mu się obmacywać w ciemnej bramie. Miała dwadzieścia lat i była dziewicą. Być może nigdy nawet się nie całowała.

Lev obserwował z oddali rozgrywki tenisowe, chłonąc widok jej silnego smukłego ciała i to, jak jej piersi poruszają się pod cienką bawełnianą sukienką, kiedy biega po korcie. Grała przeciwko bardzo wysokiemu mężczyźnie w białych flanelowych spodniach. Wyglądał znajomo. Gapiąc się na niego, Lev w końcu przypomniał sobie, gdzie go widział: w Zakładach Putiłowskich. Naciągnął go na dolara, a Grigorij zapytał go, czy Josef Vyalov naprawdę jest ważną osobą w Buffalo. Jak on się nazywa? Jak marka whisky... Dewar, właśnie tak. Gus Dewar.

Kilkoro młodych ludzi przyglądało się grze. Dziewczyny miały na sobie kolorowe letnie sukienki, a mężczyźni słomkowe kapelusze. Pani Vyalov z miłym uśmiechem spoglądała spod parasolki. Służąca w mundurku podawała lemoniadę.

Gus Dewar pokonał Olgę i zeszli z kortu. Ich miejsce natychmiast zajęła inna para. Olga zuchwale wzięła od swego przeciwnika papierosa. Lev patrzył, jak Gus podaje jej ogień. Jakże pragnął być jednym z nich, grać w tenisa w pięknym ubraniu i pić lemoniadę.

Posłana za linię piłka upadła u jego stóp. Podniósł ją lecz zamiast odrzucić, oddał jednemu z graczy. Spojrzał na Olgę. Była pogrążona w rozmowie z Dewarem, oczarowując go i trochę z nim flirtując, tak samo jak robiła to z Lvem w garażu. Poczł ukłucie zazdrości i chęć znokautowania tego dryblasia. Podchwycił spojrzenie Olgi i posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech, ale odwróciła wzrok. Pozostali młodzi ludzie go ignorowali.

To najzupełniej normalne, powiedział sobie. Dziewczyna może przyjaźnie rozmawiać z szoferem, pałac papierosa w garażu, a potem w obecności swoich znajomych traktować go jak mebel. Pomimo wszystko jego duma została zraniona.

Odwrócił się i zobaczył jej ojca idącego żwirową alejką w kierunku kortu tenisowego. Vyalov miał na sobie swój oficjalny strój – garnitur i kamizelkę. Lev domyślił się, że chce powitać gości córki, zanim wróci do centrum.

Lada moment zobaczy Olgę pałac papierosa i dziewczyna drogo za to zapłaci.

W przypływie natchnienia Lev dwoma susami doskoczył do siedzącej Olgi i błyskawicznym ruchem wyrwał jej z ręki papierosa.

– Hej! – zaprotestowała.

Gus Dewar ściągnął brwi.

– Co to ma znaczyć, do diabła?

Lev odwrócił się i wetknął sobie papierosa do ust. W następnej chwili Vyalov go zauważył.

– Co ty tu robisz? – rzucił gniewnie. – Wyprowadź mój samochód.

– Tak jest, proszę pana.

– I zgaś tego przeklętego papierosa, kiedy do mnie mówisz.

Lev zgasił papierosa i schował niedopałek do kieszeni.

– Przepraszam, panie Vyalov, zapomniałem się.

– Niech to się nie powtórzy.

– Tak jest, proszę pana.

– Teraz zmykaj.

Lev odszedł pospiesznie, ale jeszcze spojrzał przez ramię.

Młodzi ludzie zerwali się na równe nogi, a Vyalov jowialnie ścisnął ich ręce. Olga z miną winowajczyny przedstawiała swoich przyjaciół. O mało nie została przyłapana. Napotkała wzrok Lva i posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

Lev puścił do niej oko i odszedł.

IV.

W salonie Ursuli Dewar znajdowało się kilka zdobiących go przedmiotów, każdy z nich cenny na swój sposób: marmurowa głowa dłuta Eliego Nadelmana, pierwsze wydanie Biblii Genewskiej, samotna róża w wazonie z rżniętego szkła, oprawiona w ramki fotografia jej dziadka, który otworzył jeden z pierwszych supermarketów w Ameryce. Kiedy Gus o osiemnastej wszedł do salonu, siedziała tam w wieczorowej jedwabnej sukni, czytając nową powieść pod tytułem Przygody dobrego wojaka Szwejka.

– Jak ci się podoba książka? – zapytał.

– Nadzwyczaj dobra, chociaż słyszałam, że jej autor, paradoksalnie, to straszny cham.

Zmieszał jej tradycyjnego drinka z angosturą, lecz bez cukru.

Był zdenerwowany. W moim wieku nie powinienem bać się matki, pomyślał. Jednak potrafi być dokuczliwa. Podał jej drinka.

– Dziękuję – powiedziała. – Dobrze się bawisz na urlopie?
– Doskonale.
– Bałam się, że będziesz tęsknił do ekscytującego życia w Waszyngtonie i Białym Domu.
Gus też się tego spodziewał, lecz wakacje przyniosły kilka nieoczekiwanych przyjemności.
– Wróć, gdy tylko zrobi to prezydent, ale na razie doskonale się bawię.
– Jak myślisz, czy Woodrow wypowie wojnę Niemcom?
– Mam nadzieję, że nie. Niemcy są gotowi ustąpić, ale chcą, by Amerykanie przestali sprzedawać broń aliantom.
– I przestaniemy?
Ursula miała niemieckich przodków, jak połowa mieszkańców Buffalo, ale używając pierwszej osoby liczby mnogiej, myślała o Amerykanach.
– Z całą pewnością nie. Nasze fabryki zbyt dużo zarabiają na brytyjskich zamówieniach.
– Zatem mamy impas?
– Jeszcze nie. Wciąż trwa dyplomatyczny kontredans. A tymczasem, jakby przypominając nam o naciskach na neutralne kraje, Włochy przystąpiły do aliantów.
– Czy to coś zmieni?
– Niewystarczająco. – Gus nabrał powietrza. – Dziś po południu grałem w tenisa u Vyalowów.
Nie zabrzmiało to tak obojętnie, jak chciał.
– Wygrałeś, mój drogi?
– Tak. Ich rezydencja jest w stylu domu na prerii. Bardzo okazała.
– To takie nuworyszowskie.
– My pewnie też byliśmy kiedyś nuworyszami, czyż nie? Może kiedy twój dziadek otworzył swój sklep?
– To męczące, kiedy mówisz jak socjalista, Angusie, nawet jeśli wiem, że tak nie myślisz. – Upiła łyk drinka. – Mm, doskonały.
– Mamo, zrobiłabyś coś dla mnie?
– Oczywiście, mój drogi, jeśli tylko będę mogła.
– To ci się nie spodoba.
– Co takiego?
– Chcę, żebyś zaprosiła panią Vyalov na herbatę. Jego matka powoli odstawiła szklaneczkę.
– Rozumiem – powiedziała.
– Nie zapytasz dlaczego?
– Wiem dlaczego. Może być tylko jeden powód. Spotkałam jej uderzająco piękną córkę.
– Nie powinnaś mieć nic przeciwko temu. Vyalov jest prominentnym obywatelem tego miasta i bardzo bogatym. A Olga to anioł.
– A jeśli nie anioł, to przynajmniej chrześcijanka.
– Vyalowowie są prawosławni – poinformował Gus. Równie dobrze mogą wyłożyć wszystkie karty na stół, uznał. – Chodzą do cerkwi Świętych Piotra i Pawła przy Ideal Street. Dewarowie należeli do Kościoła episkopalnego.
– Przynajmniej nie są Żydami, dzięki Bogu. – Matka kiedyś obawiała się, że Gus zechce poślubić Rachel Abramov, którą bardzo lubił, ale nie kochał. – I pewnie powinniśmy być wdzięczni losowi, że Olga nie jest łowczynią posagów.
– Istotnie. Vyalov jest zapewne bogatszy niż tata.
– Nie mam pojęcia, czy tak jest.
Takie kobiety jak Ursula z zasady nic nie wiedziały o pieniądzach. Gus podejrzewał, że doskonale znają stan finansów nie tylko swoich, ale także cudzych małżonków, i jedynie udają nieświadomość.
Nie opierała się tak, jak się obawiał.
– Zatem zrobisz to? – spytał z obawą.
– Oczywiście. Wyślę pani Vyalov zaproszenie.

Gus ucieszył się, ale po chwili niepokój powrócił.

– Chyba nie zaprosisz swoich przyjaciółek snobek, żeby pani Vyalov czuła się od nich gorsza?

– Nie mam przyjaciółek snobek!

To stwierdzenie było tak zabawne, że nawet nie zasługiwało na odpowiedź.

– Zaproś panią Fischer, ona jest miła. I ciocię Gertrudę.

– Bardzo dobrze.

– Dziękuję, mam. – Gus poczuł ulgę jak po ciężkiej przeprawie. – Wiem, że Olga może nie jest taką narzeczoną, o jakiej dla mnie marzyłaś, ale jestem pewny, że szybko ją polubisz.

– Mój synu, masz już prawie dwadzieścia sześć lat. Pięć lat temu próbowałam ci wyperswadować małżeństwo z córką podejrzanego biznesmena, jednak ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czy doczekam się wnuków. Gdybyś oznajmił, że chcesz się ożenić z rozwiedzioną polską kelnerką, obawiam się, że moja największą troską byłoby to, czy jest dostatecznie młoda, żeby urodzić dzieci.

– Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków, Olga jeszcze nie zgodziła się za mnie wyjść. Nawet jej o to nie prosiłem.

– Jak mogłaby ci się oprzeć? – Ursula wstała i pocałowała syna. – A teraz zrób mi jeszcze jednego drinka.

V.

– Uratowałeś mi życie! – powiedziała Olga do Lva. – Ojciec by mnie zabił.

Lev się uśmiechnął.

– Zobaczyłem, że nadchodzi. Musiałem działać szybko.

– Jestem ci bardzo wdzięczna. – Pocałowała go w usta.

Był zaskoczony. Odsunęła się, zanim zdążył wykorzystać jej śmiałość. Natychmiast poczuł, że znalazł się na nieznanym terenie. Nerwowo rozejrzał się po garażu, ale byli sami.

Wyjęła paczkę papierosów i włożyła jednego do ust. Podał jej ogień, tak jak poprzedniego dnia zrobił to Gus Dewar. To był intymny gest, zmuszający kobietę do pochylecia głowy i pozwolenia, by mężczyzna patrzył na jej wargi. Romantyczny. Odchyliła się do tyłu na siedzeniu packarda i wydmuchnęła dym. Lev usiadł obok niej. Nie protestowała. On też zapalił papierosa. Siedzieli przez chwilę w półmroku, a dym mieszał się z zapachem oleju, skóry i perfum Olgi.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś, grając w tenisa – zagaił Lev, chcąc przerwać milczenie.

Westchnęła.

– Wszyscy chłopcy w mieście boją się mojego ojca. Myślą, że ich zastrzeli, jeśli mnie pocałują.

– A zastrzeli?

Roześmiała się.

– Zapewne tak.

– Ja się go nie boję.

To było bliskie prawdy. Lev nie tyle się nie bał, ile po prostu ignorował swoje obawy, zawsze mając nadzieję, że uda mu się wykaraskać z kłopotów.

Jednak Olga miała sceptyczną minę.

– Naprawdę?

– Dlatego mnie zatrudnił. – To również tylko trochę mijają się z prawdą. – Spytaj go.

– Może to zrobię.

– Gus Dewar naprawdę cię lubi.

– Mój ojciec szalałby z radości, gdybym za niego wyszła.

– Dlaczego?

– Jest bogaty, ze starej arystokratycznej rodziny z Buffalo, a jego ojciec jest senatorem.

– Zawsze robisz to, czego chce tata?

W zadumie zaciągnęła się papierosem.

– Tak – powiedziała i wydmuchnęła dym.

– Uwielbiam patrzeć na twoje usta, kiedy palisz – wyznał Lev.

Nie odpowiedziała, ale popatrzyła na niego zamyślona.

Dla Lva było to wystarczające zaproszenie. Pocałował ją.

Jęknęła cicho i odepchnęła go lekko, oparłszy dłoń o jego pierś, ale nie był to poważny protest. Lev odrzucił papierosa i położył dłoń na jej piersi. Złapała go za przegub, jakby chciała oderwać jego dłoń, lecz zamiast tego przycisnęła ją jeszcze mocniej.

Lev musnął językiem jej zaciśnięte usta. Odsunęła się i spojrzała na niego zdziwiona. Zrozumiał, że nie umie się całować w taki sposób. Naprawdę jest niedoświadczona.

– W porządku – szepnęła. – Zaufaj mi.

Odrzuciła papierosa, przyciągnęła Lva do siebie, zamknęła oczy i pocałowała go z otwartymi ustami.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jej pożądanie było rozpaczliwe. Lev kochał się z kilkoma kobietami i uważał, że lepiej pozwolić, by to partnerka narzucała tempo. Wahającej się kobiety nie można poganiać, a niecierpliwej powstrzymywać. Gdy odsunął majtki Olgi i pieścił jej miękki wzgórek, była tak podniecona, że aż szlochała. Domyślił się, że skoro skończyła dwadzieścia lat, nigdy niecałowana przez nieśmiałych chłopców z Buffalo, to musi być naprawdę bardzo sfrustrowana. Uniosła zapraszająco biodra, żeby mógł ściągnąć jej majtki. Kiedy pocałował ją między nogami, krzyknęła, zaszokowana i podniecona. Z pewnością jest dziewicą, ale Lev był zbyt napalony, żeby myśl o tym go powstrzymała.

Położyła się zjedną nogą na siedzeniu, a drugą na podłodze, ze spódnicą zadartą do pasa i rozchyłonymi udami. Oddychała ciężko przez otwarte usta i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, gdy rozpinał spodnie. Wszedł w nią ostrożnie, wiedząc, jak łatwo zranić tam dziewczynę, lecz ona złapała go za biodra i niecierpliwie wciągnęła w siebie, jakby obawiała się, że w ostatniej chwili może nie dać jej tego, czego chce. Poczul, jak błona dziewicza stawia lekki opór, po czym ustępuje, wywołując jedynie jej ciche westchnienie, jakby pod wpływem bólu, który skończył się równie szybko, jak się zaczął. Poruszała się pod nim we własnym rytmie i znów pozwolił jej prowadzić, wyczuwając, że odpowiadała na zew, któremu nie można się oprzeć.

Ten stosunek był dla niego bardziej podniecający niż wszystkie dotychczasowe. Niektóre jego dziewczyny były doświadczone, inne niewinne, ale chętne, jeszcze inne starały się zaspokoić mężczyznę, zanim same zaczną szukać spełnienia. Jednak jeszcze nigdy nie napotkał takiej pierwotnej żądzy, jak u Olgi, i to go rozpaliło.

Powstrzymywał się. Olga krzyknęła i zasłoniła ręką usta, żeby stłumić krzyk. Prężyła się pod nim, po czym przycisnęła twarz do jego piersi. Ze zduszonym okrzykiem osiągnęła orgazm i chwilę później on również.

Stoczył się z niej i usiadł na podłodze. Ona leżała, oddychając szybko. Przez chwilę oboje nic nie mówili. W końcu Olga usiadła.

– O Boże – westchnęła. – Nie wiedziałam, że to będzie takie.

– Zwykle nie jest – odparł.

Zapadła długa, pełna zadumy cisza, zanim powiedziała:

– Co ja zrobiłam?

Lev milczał.

Podniosła z podłogi majtki i włożyła je. Posiedziała jeszcze chwilę, łapiąc oddech, po czym wysiadła z samochodu. Lev patrzył na nią, czekając, aż coś powie, ale nie odezwała się. Podeszła do

tylnych drzwi garażu, otworzyła je i wyszła.
Jednak następnego dnia wróciła.

VI.

Dwudziestego dziewiątego czerwca Edith Galt przyjęła oświadczenie prezydenta Wilsona. W lipcu prezydent na krótko wrócił do Białego Domu.

– Muszę na kilka dni wyjechać do Waszyngtonu – powiedział Gus do Olgi, gdy spacerowali w ogrodzie zoologicznym Buffalo.

– Na jak długo?

– Dopóki prezydent będzie mnie potrzebował.

– Jakże to podniecające!

Gus skinął głową.

– To najlepsza praca na świecie. Jednak to oznacza, że nie jestem panem samego siebie. Jeśli dojdzie do eskalacji konfliktu z Niemcami, minie sporo czasu, zanim wrócę do Buffalo.

– Będziemy za tobą tęsknili.

– A ja za tobą. Tak się zaprzyjaźniliśmy od mojego powrotu.

Pływali łódką po jeziorze w parku Delaware i kąpali się na plaży Crystal, popłynęli parostatkiem w górę rzeki do wodospadu Niagara oraz przez jezioro na kanadyjski brzeg i co drugi dzień grali w tenisa – zawsze w grupie młodych przyjaciół i pilnowani przez co najmniej jedną czujną matkę. Dzisiaj była z nimi pani Vyalov, idąc kilka kroków za nimi i rozmawiając z Chuckiem Dixonem.

– Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo będę za tobą tęsknił – rzekł Gus.

Olga uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

– To było najpiękniejsze lato w moim życiu.

– Iw moim! – zapewniła, kręcąc parasolką w czerwono-białe paski.

To ucieszyło Gusa, chociaż nie był pewny, czy to akurat jego towarzystwo ją uszczęśliwiło. Wciąż nie mógł jej rozgryźć. Wydawało się, że zawsze cieszy się z jego odwiedzin i chętnie rozmawia z nim godzinami. Jednak nie widział żadnego uczucia, żadnych oznak tego, że mogliby być kimś więcej niż przyjaciółmi. Oczywiście szanująca się panna nie powinna okazywać takich uczuć, przynajmniej przed zaręczynami, ale mimo wszystko Gus był dezorientowany. Może właśnie to tak go w niej pociągało.

Doskonale pamiętał, że Caroline Wigmore jasno wyrażała swoje potrzeby. Często myślał o Caroline – jedynej kobiecie, którą dotychczas kochał. Jeśli ona mogła powiedzieć, czego chce, to dlaczego Olga tego nie potrafi? Jednak Caroline była mężatką, natomiast Olga jest dziewczycą chowaną pod kloszem.

Gus przystanął przed wybiegiem dla niedźwiedzi i patrzyli przez stalowe kraty na brązowego niedźwiądka siedzącego na tylnych łapach i spoglądającego na nich.

– Zastanawiam się, czy wszystkie nasze dni mogłyby być takie szczęśliwe – rzekł Gus.

– Dlaczego nie?

Czy to zachęta? Spojrzał na Olgę. Nie patrzyła na niego, lecz obserwowała niedźwiedzia. Przyglądał się jej niebieskim oczom, łagodnemu łukowi policzka, delikatnej skórze szyi.

– Chciałbym być Tycjanem – westchnął. – Namalowałbym cię.

Jej matka i Chuck przeszli obok i poszli dalej, zostawiając Gusa i Olgę z tyłu. Na chwilę zostali sami.

W końcu spojrzała na niego i Gusowi wydało się, że w jej oczach widzi czułość. To go ośmieliło. Pomyślał sobie: jeśli może to zrobić prezydent, który od niecałego roku jest wdowcem, to z pewnością mogę i ja.

– Kocham cię, Olgo – wyznał.
Milczała, wciąż na niego patrząc.
Przełknął ślinę. Znow nie mógł jej rozszyfrować.
– Czy to możliwe... Czy mogę mieć nadzieję, że pewnego dnia i ty mnie pokochasz?
Patrzył na nią, prawie nie oddychając. W tym momencie trzymała jego los w swoich rękach.
Zapadła długa cisza. O czym Olga myśli? Ocenia go czy po prostu waha się przed podjęciem życiowej decyzji?
W końcu się uśmiechnęła.
– Och tak – powiedziała.
Nie mógł w to uwierzyć.
– Naprawdę?
Roześmiała się wesoło.
– Naprawdę.
Wziął ją za rękę.
– Kochasz mnie?
Skinęła głową.
– Musisz to powiedzieć.
– Tak, Gus, kocham cię.
Ucałował jej dłoń.
– Porozmawiam z twoim ojcem przed wyjazdem do Waszyngtonu.
– Chyba wiem, co powie – odrzekła z uśmiechem.
– Potem będziemy mogli powiedzieć wszystkim.
– Tak.
– Dziękuję – powiedział żarliwie. – Uczyniłaś mnie bardzo szczęśliwym.

VII.

Gus przyszedł rano do biura Josefa Vyalova i oficjalnie poprosił go o rękę córki. Vyalov wyraził swoje głębokie zadowolenie. Chociaż Gus spodziewał się takiej odpowiedzi, poczuł bezgraniczną ulgę.
Szedł właśnie na dworzec, żeby złapać pociąg do Waszyngtonu, więc uzgodnili, że uczczą to, gdy tylko wróci. Tymczasem Gus chętnie pozostawił Josefowi oraz matce Olgi zaplanowanie wesela.
Wchodząc sprężystym krokiem na Central Station przy Exchange Street, napotkał Rosę Hellman, w czerwonym kapeluszu i z małym neserem.
– Cześć – rzucił. – Mogę pomóc ci z bagażem?
– Nie, dziękuję, jest lekki. Nie było mnie tylko jeden dzień. Pojechałam na rozmowę kwalifikacyjną do pewnej agencji prasowej.
Uniósł brwi.
– Starasz się o posadę reportera?
– Tak. I dostałam ją.
– Gratulacje! Wybacz mi moje zdziwienie, nie wiedziałem, że zatrudniają kobiety.
– Rzadko, ale się zdarza. „New York Times” zatrudnił pierwszą kobietę reportera w tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym roku. Nazywała się Maria Morgan.
– Co będziesz robiła?
– Będę asystentką ich waszyngtońskiego korespondenta.
Prawdę mówiąc, życie uczuciowe prezydenta podsunęło im myśl, że potrzebują kobiety. Mężczyźni potrafią przeoczyć romantyczne historie.
Gus zastanawiał się, czy wspomniała, że przyjaźni się z jednym z bliskich doradców Wilsona. Domyślał się, że tak: reporterzy nie są skromni.
– Wracam do Waszyngtonu – powiedział. – Pewnie się

tam spotkamy.

– Mam nadzieję.

– Ja też mam dobrą wiadomość. Oświadczyłem się Oldze Vyalov, a ona przyjęła moje oświadczenia. Pobieramy się. Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem, po czym prychnęła:

– Ty głupcze.

Nie byłbyś bardziej wstrząśnięty, gdyby go spoliczkowała. Gapił się na nią szeroko otwartymi oczami.

– Ty cholerny głupcze – powtórzyła i odeszła.

VIII.

Dwaj kolejni Amerykanie zginęli dziewiętnastego sierpnia, kiedy Niemcy storpedowali następną dużą brytyjski okręt pasażerski, „Arabie”.

Gus żałował tych ofiar, ale jeszcze bardziej przerażało go to, że Ameryka nieubłaganie wciągana jest w konflikt w Europie. Czuł, że prezydent wkrótce podejmie decyzję. Gus pragnął po ślubie żyć w spokoju i szczęściu, obawiał się przyszłości pełnej rzezi, okrucieństwa i zniszczeń niesionych przez wojnę.

Na polecenie Wilsona Gus powiedział nieoficjalnie paru reporterom, że prezydent rozważa możliwość zerwania stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Tymczasem nowy sekretarz stanu, Robert Lansing, próbował wypracować jakąś ugodę z ambasadorem Niemiec, księciem Johannem von Bernstorffem.

Wszystko to może się bardzo źle skończyć, myślał Gus. Niemcy przejrzą bluff Wilsona i odrzucą jego propozycje. Co wtedy zrobi prezydent? Jeśli nie zrobi nic, wyjdzie na głupca. Powiedział Gusowi, że zerwanie stosunków dyplomatycznych niekoniecznie musi prowadzić do wojny. Gus miał niepokojące wrażenie, że ta sytuacja wymyka się spod kontroli.

Jednak cesarz nie chciał wojny z Ameryką i ku ogromnej uldze Gusa ryzykowna gra Wilsona okazała się opłacalna. Pod koniec sierpnia Niemcy obiecali nie atakować statków pasażerskich bez ostrzeżenia. Nie było to w pełni zadowalające zapewnienie, ale zakończyło impas.

Amerykańskie gazety, nie zważając na wszystkie niuanse, wpadły w ekstazę. Drugiego września Gus triumfalnie odczytał Wilsonowi fragment pochwalnego artykułu zamieszczonego w tym dniu przez nowojorski „Evening Post”: Nie mobilizując ani jednego oddziału i nie wysyłając floty, samym ogromnym, konsekwentnym i nieugiętym uporem w obronie słusznej sprawy zmusił do kapitulacji najdumniejsze, najbardziej aroganckie i najlepiej uzbrojone z państw.

– Oni jeszcze nie skapitulowali – powiedział prezydent.

IX.

Pewnego wieczoru pod koniec września zaprowadzono Lva do magazynu, rozebrano do naga i związano mu ręce na plecach.

Potem Vyalov wyszedł ze swojego biura.

– Ty psie – warknął. – Ty nędzny psie.

– Co ja takiego zrobiłem? – jęknął Lev.

– Wiesz, co zrobiłeś, ty parszywy kundlu.

Lev był przerażony. Nie zdołał się z tego wywinąć, jeśli Vyalov nie wysłucha, co ma do powiedzenia.

Vyalov zdjął marynarkę i podciągnął rękawy koszuli.

– Przynieście mi to – polecił.

Norman Niall, jego chuderlawy księgowy, poszedł do biura i wrócił z knutem.

Lev wytrzeszczył oczy. To był typowy rosyjski bat, tradycyjnie używany do chłostania przestępców. Miał długą drewnianą rączkę

i trzy rzemienie z twardej skóry zakończone ołowianymi kulkami. Lev nigdy nie był chłostany, ale widział, jak to robiono. Na wsi w taki sposób karano drobnych złodziejaszków lub cudzołożników. W Sankt Petersburgu knuta często używano na przestępców politycznych. Po dwudziestu uderzeniach ukarany mógł zostać kaleką po stu – umierał.

Vyalov, wciąż w kamizelce ze złotą dewizką, zważył w rękę knut. Niall zachichotał. Ilya i Theo patrzyli z zaciekawieniem. Lev skulił się i obrócił, przywierając do sterty opon. Bat ze świstem przeciął powietrze, spadając na jego kark i ramiona. Lev wrzasnął z bólu.

Vyalov znów uderzył. Zabolalo jeszcze bardziej.

Lev sam się dziwił, że był tak głupi. Pieprzył córkę wpływowego i okrutnego człowieka. Co mi przyszło do głowy? Dlaczego nigdy nie potrafię oprzeć się pokusie?

Vyalov znów uderzył. Tym razem Lev uchylił się, chcąc uniknąć ciosu. Oberwał samymi końcami rzemieni, ale i te rozerwały jego ciało i znów krzyknął z bólu. Próbował uciekać, ale ludzie Vyalova odepchnęli go ze śmiechem.

Vyalov podniósł bat, zamarkował cios i uderzył dopiero wtedy, gdy Lev się uchylił. Rzemienie przecięły ciało na jego nogach i Lev zobaczył krew spływającą z ran. Kiedy Vyalov znowu się zamachnął, Lev rozpaczliwie odskoczył, potknął się i upadł na betonową posadzkę. Gdy leżał na plecach, szybko opadając z sił, Vyalov uderzył go w brzuch i uda. Lev przetoczył się, zbyt obolały i przerażony, by wstać, ale knut wciąż szarpał jego ciało. Zebrał resztki sił, by się odczołgać, ale pośliznął się na własnej krwi i bat znów go trafił. Przestał krzyczeć, zabrakło mu tchu. Doszedł do wniosku, że Vyalov zamierza go zatłuc. Chciał tylko jak najszybciej zapaść w niebyt.

Jednak Vyalov odmówił mu tej ulgi. Rzucił knut, sapiąc z wysiłku.

– Powinienem cię zabić – wysapał. – Jednak nie mogę.

Lev był zdumiony. Leżał w kałuży krwi, patrząc na swojego dręczyciela.

– Ona jest w ciąży – dodał Vyalov.

Pomimo strachu i bólu Lev próbował zebrać myśli. Przecież używali prezerwatyw. Można je kupić w każdym dużym amerykańskim mieście. Zawsze zakładał prezerwatywę – oczywiście oprócz tego pierwszego razu, kiedy się tego nie spodziewał, a także wtedy, gdy oprowadzała go po domu, w którym akurat nikogo nie było, i kochali się na łóżku w pokoju gościnnym, i raz po zmroku w ogrodzie...

Uświadomił sobie, że zrobili to kilka razy.

– Miała wyjść za chłopaka senatora Dewara. – W ochrypłym głosie Vyalova Lev usłyszał nie tylko gniew, ale także rozgoryczenie. – Mój wnuk mógł być prezydentem.

Lev z trudem zbierał myśli, ale zrozumiał, że ślub trzeba będzie odwołać. Gus Dewar nie ożeni się z dziewczyną noszącą cudze dziecko, bez względu na to, jak bardzo ją kocha. Chyba że...

– Nie musi urodzić tego dziecka... w mieście są lekarze... – wycharczał Lev.

Vyalov złapał knut i Lev się skulił.

– Nawet o tym nie myśl! – wrzasnął Vyalov. – To wbrew woli Boga!

Lev był zdumiony. Co niedziela zawoził rodzinę Vyalovów do cerkwi, ale zakładał, że dla Josefa religia jest tylko przykrywką. Ten człowiek żyje z nieuczciwości i przemocy, a jednak nie chce nawet słyszeć o aborcji! Lev miał ochotę go zapytać, czy cerkiew nie zabrania łapownictwa i bicia ludzi.

– Czy możesz sobie wyobrazić, jak mnie upokorzyłeś? – zapytał Vyalov. – Wszystkie gazety w mieście pisały o tych zaręczynach. – Twarz mu poczerwieniała i podniósł głos do ryku. – Co mam powiedzieć senatorowi Dewarowi?! Już zarezer-

wowałem kościół! Zatrudniłem firmę cateringową! Drukowane są zaproszenia! Już widzę panią Dewar, tę dumną starą cipę, jak śmieje się ze mnie, zasłaniając usta pomarszczoną dłonią. A wszystko przez pieprzonego szofera!
Znowu podniósł knut, po czym gniewnie go odrzucił.
– Nie mogę cię zabić. – Odwrócił się do Thea. – Zabierzcie tę kupę gówna do lekarza – rozkazał. – Połatajcie go. Poślubi moją córkę.

ROZDZIAŁ 16
Czerwiec 1916 roku

i.

– Możemy pogadać, chłopcze? – zapytał ojciec Billy'ego. Billy był zdziwiony. Przez ostatnie dwa lata, od kiedy przestał chodzić do kaplicy Bethesda, prawie z sobą nie rozmawiali. W domku przy Wellington Row zawsze panowała napięta atmosfera. Billy już prawie zapomniał, jak to jest słyszeć łagodne głosy rozmawiające przyjaźnie w kuchni – a nawet podniesione w jednej z gwałtownych sprzeczek, jakie im się zdarzały. Ta zła atmosfera była jednym z dwóch powodów tego, że Billy poszedł do wojska.

Teraz ojciec powiedział to niemal pokornie. Billy ostrożnie zerknął na jego twarz: nie było na niej agresji czy wyzwania, tylko błaganie.

Mimo to Billy nie był przygotowany, by tańczyć w takt tej melodii.

– Po co?

Ojciec otworzył usta, by rzucić gniewną replikę, ale z trudem się powstrzymał.

– Przemawiała przeze mnie duma – wyznał. – To grzech.

Może ty też byłeś dumny, lecz to sprawa między tobą a Panem i to mnie nie usprawiedliwia.

– Dojście do tego zabrało ci dwa lata – zauważył Billy.

– Zabrałoby więcej, gdybyś nie poszedł do wojska.

Billy i Tommy zgłosili się na ochotnika w zeszłym roku, skłamawszy, ile mają lat. Dołączyli do 8. Batalionu Fizyliarów Walijskich, nazywanego Chłopcami z Aberowen. Formowanie takich batalionów było nową koncepcją. Były złożone z mieszkańców jednego miasteczka, szkolących się i walczących razem z ludźmi, wśród których dorastali. Uważano, że to wzmocni morale. Oddział Billy'ego odbył roczne szkolenie, głównie w nowym obozie nieopodal Cardiff. Billy dobrze się bawił. To było łatwiejsze od wydobywania węgla i o wiele mniej niebezpieczne. Chociaż zdarzały się długie chwile potwornej nudy – gdyż „szkolenie” często oznaczało to samo co „czekanie” – umilały je zajęcia sportowe, gry i towarzystwo innych młodych mężczyzn uczących się czegoś nowego. Podczas jednego z długich okresów beczynności przypadkowo wziął do ręki książkę i okazało się, że jest nią tragedia Makbet. Ze zdziwieniem odkrył, że opowieść jest wciągająca, a poezja dziwnie fascynująca. Język Szekspira nie był trudny dla kogoś, kto przez tyle godzin studiował pisaną siedemnastowieczną angielszczyznę protestancką Biblię. Od tamtego czasu przeczytał wszystkie dzieła Szekspira, a najlepsze z nich kilkakrotnie.

Teraz szkolenie się zakończyło i za dwa dni Chłopcy z Aberowen mieli popłynąć do Francji. Ojciec pomyślał, że może po raz ostatni widzi Billy'ego żywego. Zapewne dlatego zdobył się na tyle pokory, by porozmawiać.

Billy spojrzał na zegar. Przyszedł tylko pożegnać się z matką. Zamierzał spędzić przepustkę w Londynie, z Ethel i jej seksowną

lokatorką. Śliczną buzię Mildred, z czerwonymi wargami i króliczymi zębami, miał w pamięci od chwili, gdy zaszokowała go, mówiąc: „O kurwa, ty jesteś Billy?”. Jego worek stał spakowany przy drzwiach. Był w nim komplet dzieł Szekspira. Tommy miał czekać na niego na stacji.

– Muszę zdażyć na pociąg – powiedział.

– Pociągów jest dużo – rzekł ojciec. – Siadaj, Billy... proszę. Billy zawsze czuł się nieswojo, gdy ojciec był w takim nastroju. Mógł być apodyktyczny, arogancki i surowy, ale przynajmniej był silny. Billy nie chciał widzieć ojca słabego.

Gramper siedział w fotelu i słuchał.

– No, Billy, bądź dobrym chłopcem – powiedział. – Daj ojcu szansę, dobrze?

– W porządku.

Billy usiadł przy stole.

Matka wyszła z wnęki kuchennej.

Zapadła cisza. Billy uświadomił sobie, że może już nigdy nie ujrzy tego domu. Wracając z obozu wojskowego, po raz pierwszy zobaczył, że domek jest mały, pokoje ciemne, a powietrze przesycone zapachem kurzu i jedzenia. Co więcej, swobodna i wesoła atmosfera koszar uzmysłowiła mu, że w tym domu został wychowany w duchu ściśle biblijnych nakazów i wiele naturalnych ludzkich odruchów nie znajdowało tu ujścia. A jednak myśl o wyjeździe zasmucała go. Porzucał nie tylko to miejsce, ale także dotychczasowe życie. Tutaj wszystko było proste. Wierzył w Boga, słuchał ojca i ufał swoim kolegom z pracy na przodku. Właściciele kopalni byli łajdakami, związki zawodowe broniły ludzi, a socjalizm proponował jaśniejszą przyszłość. Jednak życie nie jest takie proste. Może wróci na Wellington Row, ale już nigdy nie będzie chłopcem, który tu mieszkał.

Ojciec splótł dłonie i zamknął oczy.

– O Panie, pomóż Twemu słudze być tak pokornym i skromnym, jak był Jezus. – Otworzył oczy i zapytał: – Dlaczego to zrobiłeś, Billy? Dlaczego się zaciągnąłeś?

– Ponieważ prowadzimy wojnę. Czy to się komuś podoba, czy nie, musimy walczyć.

– Czy jednak nie widzisz... – Ojciec urwał i uspokajająco podniósł ręce. – Pozwól mi zacząć jeszcze raz. Chyba nie wierzysz w to, co czytasz w gazetach o złych Niemcach gwałcących zakonnice, prawda?

– Nie. Wszystko, co kiedykolwiek pisano w gazetach o górnikach, było kłamstwem, więc nie sądzę, żeby teraz mówiono prawdę o Niemcach.

– Tak jak ja to widzę, to kapitalistyczna wojna, która nie dotyczy robotnika. Możesz się jednak z tym nie zgodzić – rzekł ojciec.

Billy był zdumiony jego pojednawczym tonem. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby ojciec powiedział „możesz się jednak z tym nie zgodzić”.

– Niewiele wiem o kapitalizmie – przyznał – ale spodziewam się, że masz rację. Pomimo to Niemców trzeba powstrzymać. Oni myślą, że mogą rządzić całym światem!

– Jesteśmy Brytyjczykami – tłumaczył ojciec. – Nasze imperium sprawuje władzę nad ponad czterystoma milionami ludzi. Niewielu z nich może głosować. Nie mają żadnej kontroli nad swoimi własnymi krajami. Zapytaj przeciętnego Brytyjczyka dlaczego, a odpowie ci, że naszym przeznaczeniem jest rządzić pośrednimi narodami. – Ojciec rozłożył ręce w geście oznaczającym „Czy to nie jest oczywiste?”. – Billy, chłopcze, to nie Niemcy uważają, że powinni władać całym światem, lecz my! Billy westchnął. Zgadzał się z tym.

– Jednak zostaliśmy zaatakowani – zauważył. – Przyczyny tej wojny mogą być niewłaściwe, ale mimo to musimy walczyć.

– Ilu ludzi zginęło podczas ostatniej wojny? – zapytał

ojciec. – Miliony! – Podniósł nieco głos, ale nie tyle z gniewu, ile ze smutku. – I to będzie trwało dopóty, dopóki młodzi ludzie są gotowi zabijać się „mimo to”, jak powiedziałeś.

– Zapewne tak będzie, aż jedna strona zwycięży.

– Może obawiasz się, iż ludzie pomyślą, że się boisz? – odezwała się matka.

– Nie – odparł Billy, ale miała rację.

Racjonalne wytłumaczenie powodów jego wstąpienia do wojska nie było całą prawdą. Jak zwykle, matka trafiła w sedno. Przez prawie dwa lata słyszał i czytał, że sprawni młodzi mężczyźni, tacy jak on, są tchórzami, jeśli nie idą walczyć. Tak pisano w gazetach, mówiono o tym w sklepach i pubach, w śródmieściu Cardiff ładne dziewczyny wręczały białe pióra każdemu chłopakowi, który nie nosił munduru, a werbownicy szydzili z młodych cywilów. Billy wiedział, że to propaganda, jednak był poruszony. Trudno mu było znieść myśl, że ludzie uważają go za tchórze. Wyobrażał sobie, jak wyjaśnia tym dziewczynom z białymi piórkami, że praca w kopalni jest bardziej niebezpieczna niż służba w wojsku. Nie licząc oddziałów na pierwszej linii frontu, żołnierze są mniej zagrożeni śmiercią lub kalectwem niż górnicy. A Wielka Brytania potrzebuje węgla. Jest paliwem dla połowy marynarki wojennej. Rząd wyraźnie powiedział, że nie chce, by górnicy zaciągali się do wojska. To wszystko niczego jednak nie zmieniało. Kiedy włożył szorstką bluzę i spodnie khaki, nowe buty i siodłata czapkę, poczuł się lepiej.

– Ludzie myślą, że pod koniec miesiąca nastąpi wielkie natarcie – powiedział ojciec.

Billy skinął głową.

– Oficerowie nic nie mówią, ale wszyscy inni rozmawiają tylko o tym. Zapewne dlatego chcą tak szybko ściągnąć tam więcej ludzi.

– Gazety piszą, że może to być decydująca bitwa, początek końca.

– Pomimo wszystko miejmy taką nadzieję.

– Powinniście mieć teraz dość amunicji, dzięki Lloydowi George'owi.

– Taak.

W ubiegłym roku zabrakło amunicji. Poruszenie w gazetach wywołane „skandalem amunicyjnym” o mało nie obaliło premiera Asquitha. Uformował rząd koalicyjny, stworzył nowy urząd ministra do spraw amunicji i dał to stanowisko najpopularniejszemu członkowi gabinetu, Davidowi Lloydowi George'owi. Od tamtego czasu wskaźniki produkcji poszybowały w górę.

– Staraj się na siebie uważać – poprosił ojciec.

– I nie udawaj bohatera – dodała matka. – Zostaw to tym, którzy rozpętali tę wojnę: arystokratom, konserwatystom, oficerom. Rób, co ci każą, i nic ponadto.

– Wojna to wojna – stwierdził Gramper. – Nie ma bezpiecznego sposobu jej prowadzenia.

Billy zrozumiał, że tak się z nim żegnają. Zbierało mu się na płacz, ale powstrzymał łzy.

– No dobrze. – Wstał.

Gramper uściskał mu dłoń, matka go ucałowała. Ojciec podał mu rękę, a potem pod wpływem nagłego impulsu uściskał go.

Billy nie pamiętał, kiedy ojciec ostatnio to robił.

– Niech cię Bóg błogosławi i ma w opiece, Billy – rzekł ojciec.

Miał łzy w oczach.

Billy o mało się nie rozkleił.

– No to na razie – rzucił.

Podniósł worek. Usłyszał szloch matki. Nie oglądając się, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Na dworze zaczerpnął powietrza i wziął się w garść, po czym ruszył stromą ulicą w dół, w kierunku stacji.

II.

Rzeka Somma wiła się meandrami ze wschodu na zachód Francji, aż do morza. Linia frontu, biegnąca z północy na południe, przecinała ją niedaleko Amiens. Na południe od tej miejscowości aż do Szwajcarii linię aliantów utrzymywały francuskie oddziały. Na północy większość sił stanowiły oddziały brytyjskie i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Od tego miejsca przez dwadzieścia mil na północny zachód ciągnęło się pasmo wzgórz. Niemcy w tym rejonie okopali się w zboczach tych wzgórz. Z jednego z okopów Walter von Ulrich patrzył przez silnie powiększającą lornetkę Zeiss Doppelfernrohr na pozycje brytyjskie.

Był słoneczny dzień wczesnego lata i słyszał śpiew ptaków. W pobliskim sadzie, który dotychczas uniknął ostrzału, odważnie kwitły jabłonie. Ludzie byli jedynymi zwierzętami zabijającymi się milionami i zamieniającymi krajobraz w pustynię lejów po pociskach i drutu kolczastego. Może rasa ludzka w końcu wybije się całkowicie, pozostawiając ten świat ptakom i drzewom, pomyślał gorzko Walter. Może tak będzie lepiej.

Pozycja na wzniesieniu ma wiele zalet, stwierdził, wracając do prozaicznych spraw. Brytyjczycy będą musieli atakować pod górę. Jeszcze korzystniejsza jest możliwość obserwowania przez Niemców wszystkich poczynań Brytyjczyków. Walter był pewny, że ci szykują teraz zmasowane natarcie.

Takiej aktywności nie dało się ukryć. Od miesięcy Brytyjczycy złowrogo naprawiali drogi i tory w tym niegdyś sennym wiejskim zakątku Francji. Teraz wykorzystywali te linie zaopatrzeniowe do przewożenia setek ciężkich dział, tysiące koni i dziesiątków tysięcy ludzi. Za linią frontu, z niekończących się kolumn ciężarówek i wagonów kolejowych wyładowywano skrzynki z amunicją, beczki z wodą pitną i bele siana. Walter skierował lornetkę na oddział łącznościowców, kopiących wąski rów i rozwijających wielką szpulę czegoś, co niewątpliwie było kablem telefonicznym.

Mają nadzieję na sukces, pomyślał z dreszczem niepokoju. Taki nakład ludzkiej pracy, czasu i pieniędzy może być usprawiedliwiony jedynie przekonaniem, że to będzie decydujący atak. Walter miał nadzieję, że będzie – tak czy inaczej.

Ilekcroć patrzył na terytorium nieprzyjaciela, myślał o Maud. Zdjęcie, które nosił w portfelu, wycięte z magazynu „Tatler”, ukazywało ją w efektownie prostej balowej sukni w hotelu Savoy, z podpisem: Lady Maud Fitzherbert jest zawsze ubrana zgodnie z najnowszą modą. Domyślał się, że teraz rzadko tańczy. Czy odgrywa jakąś rolę w wojennym wysiłku, tak jak w Berlinie siostra Waltera, Greta, roznosząca drobne prezenty rannym żołnierzom w lazaretach? A może wyjechała na wieś, tak jak matka Waltera, i sady ziemniaki na rabatkach z powodu niedostatku żywności?

Nie wiedział, czy Brytyjczykom brakuje żywności. Niemiecka marynarka wojenna została uwięziona w portach przez brytyjską blokadę, tak więc od prawie dwóch lat niczego nie importowano drogą morską. Jednak Brytyjczycy otrzymywali pomoc z Ameryki. Niemieckie łodzie podwodne nieustannie atakowały transatlantyki, lecz naczelne dowództwo powstrzymywało zmasowany atak, nazywany totalną wojną morską, z obawy przed wciągnięciem Ameryki do wojny. Tak więc Walter domyślał się, że Maud nie głoduje tak jak on. A on i tak jest w lepszej sytuacji niż niemiecka ludność cywilna. W niektórych miastach wybuchły strajki i demonstracje wywołane niedoborem żywności.

Nie pisał do niej ani ona do niego. Usługi pocztowe między Niemcami a Wielką Brytanią zostały zawieszane. Jedyną szansą byłaby podróż jego lub jej do jakiegoś neutralnego kraju, na

przykład Stanów Zjednoczonych lub Szwecji, i wysłanie stamtąd listu, ale taka możliwość nie była dana ani jemu, ani – najwidoczniej – jej.

Dręczyło go to, że nic nie wie o Maud. Cierpiał katusze na myśl o tym, że może jest chora i leży w szpitalu, a on nie ma o tym pojęcia. Marzył, by wojna się skończyła i by mógł być z ukochaną.

Oczywiście rozpaczliwie pragnął zwycięstwa Niemiec, ale czasem czuł, że mogłyby nawet zostać pokonane, byle Maud nic się nie stało. W jego koszmarnych snach wojna się kończyła i jechał szukać jej w Londynie, gdzie mówiono mu, że nie żyje.

Zepchnął tę przerażającą myśl w głąb świadomości. Nastawił mniejsze zbliżenie i obejrzał druty kolczaste po niemieckiej stronie ziemi niczyjej – dwa pasy, każdy szeroki na piętnaście stóp. Druty zostały solidnie przymocowane do ziemi żelaznymi palikami, tak by nie dało się ich łatwo usunąć. Tworzyły krzepiąco solidną zapórę.

Zszedł z przedpiersia okopu i po długich drewnianych schodkach do głębokiej ziemianki. Wadą pozycji na stoku było to, że okopy lepiej widziała nieprzyjacielska artyleria, więc aby to powetować, ziemianki w tym sektorze kopano w kredowej ziemi, dostatecznie głęboko, by zapewniać ochronę przed wszystkim poza bezpośrednim trafieniem pociskiem największego kalibru. Było tu dość miejsca, by podczas ostrzału pomieścić wszystkich żołnierzy z oddziału broniącego tego stanowiska. Niektóre ziemianki połączono z sobą, zapewniając alternatywną drogę ewakuacji, gdyby wybuch zasypał wyjście.

Walter usiadł na drewnianej ławie i wyjął z kieszeni notatnik. Przez kilka minut opisywał w skrócie wszystko, co widział. Jego raport potwierdzi informacje uzyskane z innych źródeł wywiadowczych. Tajni agenci ostrzegali przed tym, co Brytyjczycy nazywali „wielkim uderzeniem”.

Przeszedł przez labirynt okopów na tyłach. Niemcy konstruowali trzy linie okopów odległych o milę lub dwie, tak że jeśli wyparto ich z pierwszej linii, mogli wycofać się na drugą linię obrony, a w razie klęski – na trzecią. Cokolwiek się zdarzy, pomyślał z ponurą satysfakcją, Brytyjczycy nie odniosą szybkiego zwycięstwa.

Walter odnalazł swojego konia i pojechał z powrotem do głównej kwatery 2. Armii, dokąd dotarł w porze lunchu. W kantynie oficerskiej spotkał swojego ojca, co bardzo go zdziwiło. Starszy pan był teraz wyższym oficerem w sztabie i przenosił się z jednego pola bitwy na drugie, tak jak w czasie pokoju z jednej europejskiej stolicy do drugiej.

Otto się postarzał. Schudł – wszyscy Niemcy schudli. Jego mnisia tonsurka była przyszytych tak krótko, że wydawał się łyśy. Jednak był ożywiony i wesoły. Wojna mu odpowiadała. Lubił związane z nią podniecenie, pośpiech, szybkie decyzje i trwanie w nieustannej gotowości.

Nigdy nie mówił o Maud.

– Co widziałeś? – zapytał.

– W ciągu kilku tygodni na tym odcinku nastąpi zmasowany atak – odrzekł Walter.

Ojciec sceptycznie pokręcił głową.

– Rejon Sommy jest najlepiej bronionym odcinkiem naszej linii obrony. Zajmujemy pozycje na wzgórzach i mamy trzy linie okopów. Na wojnie atakujesz wroga w jego najsłabszym punkcie, a nie najsilniejszym, nawet Brytyjczycy to wiedzą.

Walter opowiedział ojcu, co widział: ciężarówki, pociągi i oddziały łącznościowców rozwijające kable telefoniczne.

– Uważam, że to podstęp – powiedział Otto. – Gdyby naprawdę mieli zaatakować tutaj, staraliby się ukryć te przygotowania. Tu nastąpi pozorowany atak, a po nim prawdziwy na północy, we Flandrii.

– A co myślisz o tym von Falkenhayn? – chciał wiedzieć

Walter.

Erich von Falkenhayn od prawie dwóch lat był szefem sztabu.

Ojciec Waltera się uśmiechnął.

– On myśli to, co mu powiem.

III.

Gdy pod koniec lunchu podano kawę, lady Maud zapytała lady

Hermie:

– W razie potrzeby, ciociu, czy wiesz, jak się skontaktować z adwokatem Fitzem?

Ciotka Herm wyglądała na wstrząśniętą.

– Moja droga, a do czegoż mieliby mi być potrzebni adwokaci?

– Nigdy nie wiadomo. – Maud zwróciła się do kamerdynera, który postawił dzbanek z kawą na srebrnym trójnogu: – Grout, bądź tak miły i przynieś mi kartkę oraz ołówek.

Grout wyszedł i po chwili wrócił z przyborami do pisania.

Maud napisała nazwisko i adres adwokata rodziny.

– Po co mi to? – zdziwiła się ciotka Herm.

– Dziś po południu mogą mnie aresztować – wesoło oznajmiła Maud. – Jeśli tak się stanie, poproś go, żeby przyszedł i wyciągnął mnie z aresztu.

– Och! – wykrzyknęła ciotka Herm. – Chyba nie mówisz poważnie!

– Nie, jestem pewna, że do tego nie dojdzie... Jednak wiesz, tak na wszelki wypadek...

Maud pocałowała ciotkę i opuściła pokój.

Zachowanie ciotki Herm doprowadzało Maud do furii, ale większość kobiet była taka jak ona. Dama nie powinna nawet znać nazwiska swojego adwokata, nie mówiąc o znajomości prawa. Nic dziwnego, że kobiety są tak bezlitośnie wykorzystywane.

Maud włożyła kapelusz, rękawiczki oraz lekki letni płaszcz, po czym wyszła i złapała autobus do Aldgate.

Była sama. Wraz z wybuchem wojny przestano rygorystycznie przestrzegać nakazu wychodzenia z przyzwoitką. Już nie uważano za skandal, jeśli samotna kobieta pojawiała się na ulicy bez eskorty. Ciotka Herm nie aprobowała tej zmiany, ale nie mogła zamknąć Maud pod kluczem ani odwołać się do Fitzem, który był we Francji, tak więc musiała zaakceptować tę sytuację, aczkolwiek z kwaśną miną.

Maud była redaktorką „Żony Żołnierza”, niskonakładowej gazety walczącej o lepsze traktowanie rodzin żołnierzy. Pewien konserwatywny członek parlamentu nazwał tę gazetę „nieznośnie dokuczliwą dla rządu” i od tamtej pory cytował ten umieszczano w nagłówku każdego kolejnego wydania. Wojowniczość Maud podsycała jej oburzenie wywołane ubezwłasnowolnieniem kobiet oraz bezsensowną rzezią, jaką była ta wojna. Subsydiowała gazetę ze swojego skromnego spadku. I tak nie potrzebuje tych pieniędzy. Fitz zawsze płaci za wszystko, co jest jej potrzebne.

Ethel Williams była kierowniczką redakcji. Bez wahania porzuciła warsztat krawiecki dla lepszej pensji i roli odgrywanej w kampanii. Podzielała oburzenie Maud, ale dysponowała innymi umiejętnościami. Maud orientowała się w polityce prowadzonej na najwyższym szczeblu – spotykała się na gruncie towarzyskim z ministrami i rozmawiała z nimi o aktualnych wydarzeniach. Ethel obracała się w innych kręgach: Krajowego Związku Robotników Odzieżowych, Niezależnej Partii Pracy, strajków, lokautów i ulicznych marszów.

Tak jak się umówiły, Maud spotkała się z Ethel przed znajdującą się w Aldgate siedzibą Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy i Marynarzy, po drugiej stronie ulicy.

Przed wojną ta dobroczynna organizacja pozwalała dobrze sytuowanym damom pomagać i doradzać potrzebującym żonom

żołnierzy. Teraz pełniła inną funkcję. Rząd płacił jednego funta i szylinga małżonce żołnierza z dwojgiem dzieci, rozdzielonej z mężem przez wojnę. Nie było to dużo – mniej więcej połowa tego, co zarabia górnik – ale wystarczało, by wydobyć miliony kobiet i dzieci z potwornej nędzy. Stowarzyszenie zajmowało się rozdzielaniem tej zapomogi.

Wypłacano ją jednak tylko kobietom „dobrego prowadzenia” i damy z tej charytatywnej organizacji czasem wstrzymywały wypłatę rządowych pieniędzy żonom, które nie słuchały ich rad dotyczących wychowywania dzieci, prowadzenia domu oraz niebezpieczeństw związanych z oglądaniem musicali i piciem ginu. Maud uważała, że tym kobietom byłoby lepiej, gdyby nie piły ginu, ale to nie daje nikomu prawa skazywania ich na życie w ubóstwie. Do szału doprowadzali ją przedstawiciele wygodnie żyjącej klasy średniej, oceniający żony żołnierzy i pozbawiający je środków do życia. Uważała, że gdyby kobiety mogły głosować, parlament nie pozwoliłby na coś takiego.

Ethel towarzyszyła kilkunastoosobowa grupa kobiet należących do klasy pracującej oraz jeden mężczyzna, Bernie Leckwith, sekretarz Niezależnej Partii Pracy w Aldgate. Ta partia aprobowała gazetę Maud i popierała jej kampanię.

Kiedy Maud dołączyła do stojącej na chodniku grupki, Ethel rozmawiała z jakimś młodzieńcem z notesem.

– Zasiłek rozłakowy nie jest dobroczyнным datkiem – tłumaczyła. – Z mocy prawa przysługuje żonom żołnierzy. Czy musi pan zdać egzamin z dobrego prowadzenia się, zanim otrzyma pan pensję reportera? Czy pana Asquitha pytają, ile kieliszków madery wypił, zanim pobierze swoją wypłatę członka parlamentu? Te kobiety mają prawo do tych pieniędzy, jakby dostawały pensję.

Maud pomyślała, że Ethel nauczyła się przemawiać. Wypowiada się jasno i logicznie. Może odziedziczyła ten dar po swoim ojcu kaznodziei.

Reporter patrzył na nią z podziwem: wyglądał tak, jakby prawie się w niej zakochał.

– Wasi przeciwnicy mówią, że kobieta nie powinna otrzymywać zasiłku, jeśli nie jest wierna swojemu mężowi żołnierzowi – zauważył przepraszająco.

– A sprawdzacie mężów? – odpaliła urażona Ethel. – Zdaje się, że są domy złej sławy we Francji, Mezopotamii i innych miejscach, w których służą nasi mężowie. Czy wojsko notuje nazwiska żonatych mężczyzn odwiedzających takie domy i wstrzymuje im żołd? Cudzołóstwo to grzech, ale nie powód, by skazywać grzeszników na życie w nędzy i pozwalać ich dzieciom głodować. Ethel trzymała na rękach swojego synka Lloyda. Skończył szesnaście miesięcy i umiał już chodzić, chociaż niepewnie. Miał ciemne włosy i zielone oczy i był równie ładny jak jego matka. Maud wyciągnęła do niego ręce, a on chętnie dał się wziąć. Poczowała ukłucie smutku: prawie żałowała, że nie zaszła w ciążę podczas tamtej jednej nocy z Walterem, pomimo wszystkich kłopotów, jakie by to spowodowało.

Nie miała żadnych wiadomości o Walterze od poprzedniego Bożego Narodzenia. Nie wiedziała, czy żyje. Może już została wdową? Starła się nie wpadać w przygnębienie, lecz czasem straszne myśli nadciągały niespodziewanie i wtedy nie mogła powstrzymać się od płaczu.

Ethel przestała czarować reportera i przedstawiła Maud młodej kobiecie z dwojgiem dzieci trzymających się jej spódnicy.

– To jest Jayne McCulley, o której ci opowiadałam.

Jayne miała śliczną twarzyczkę i zdeterminowaną minę.

Maud uścisnęła jej dłoń.

– Mam nadzieję, że dziś uzyskamy dla pani sprawiedliwość, pani McCulley – powiedziała.

– To bardzo uprzejmie z pani strony.

Nawyk uniżonego zwracania się do arystokratów zanikał powoli nawet w egalitarnych ugrupowaniach politycznych.

– Wszyscy gotowi? – zapytała Ethel.

Maud oddała jej Lloyd'a, po czym całą grupą przeszli przez ulicę i wkroczyli frontowymi drzwiami do siedziby organizacji dobroczynnej. Była tam recepcja z biurkiem, za którym siedziała kobieta w średnim wieku. Wyglądała na przestraszoną widokiem takiego tłumu.

– Nie ma powodu do obaw – uspokoiła ją Maud. – Pani Williams i ja przyszłyśmy zobaczyć się z panią Hargreaves, waszą kierowniczką.

Recepcjonistka wstała.

– Zobaczę, czy już jest – powiedziała nerwowo.

– Wiem, że jest – odezwała się Ethel. – Widziałam, jak przeszła przez te drzwi pół godziny temu.

Recepcjonistka czmychnęła.

Kobietę, która z nią wróciła, nie tak łatwo było przestraszyć. Pani Hargreaves była przysadzista, po czterdziestce, w żakiecie, spódnicy i modnym kapeluszu ozdobionym dużą marszczoną kokardą. Na jej krępej figurze to zestawienie straciło cały kontynentalny szyk, złośliwie pomyślała Maud, ale niewiasta emanowała pewnością siebie, jaką dają pieniądze. Miała także wydatny nos.

– O co chodzi? – zapytała szorstko.

W walce o równouprawnienie kobiet czasem trzeba walczyć z kobietami tak samo jak z mężczyznami, skonstatowała Maud.

– Przyszedłam zobaczyć się z panią ponieważ niepokoi mnie sposób, w jaki potraktowano panią McCulley.

Pani Hargreaves wyglądała na zaskoczoną akcentem wyższych sfer, z jakim mówiła Maud. Zmierzyła ją wzrokiem. Zapewne uświadomiła sobie, że strój Maud jest równie drogi jak jej ubranie. Kiedy znów się odezwała, mówiła już mniej arogancko.

– Obawiam się, że nie mogę omawiać indywidualnych przypadków.

– Jednak pani McCulley prosiła mnie, żebym z panią porozmawiała, i jest tutaj, żeby to potwierdzić.

– Pamięta mnie pani, pani Hargreaves? – spytała Jayne McCulley.

– Prawdę mówiąc, pamiętam. Była pani wobec mnie bardzo nieuprzejma.

Jayne zwróciła się do Maud:

– Powiedziałam jej, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

Kobiety zachichotały na wzmiankę o nosie, a pani Hargreaves poczerwieniała.

– Jednak nie może pani odrzucić podania o zasiłek rozłąkowy na podstawie tego, że wnioskodawczyni była wobec pani nieuprzejma. – Maud powstrzymywała gniew i starała się mówić z zimną dezaprobatą. – Z pewnością pani o tym wie?

Pani Hargreaves wojowniczo wysunęła dolną szczękę.

– Pani McCulley była widziana w takich publicznych miejscach, jak pub Pies i Kaczka oraz Stepney Musie Hall, za każdym razem z jakimś młodym człowiekiem. Zasiłek rozłąkowy jest dla kobiet, które dobrze się prowadzą. Rząd nie zamierza finansować nieprzyzwoitego zachowania.

Maud miała ochotę ją udusić.

– Pani chyba niewłaściwie rozumie swoją rolę. Nie wolno pani odmawiać wypłaty zasiłku na podstawie podejrzeń.

Pani Hargreaves traciła pewność siebie.

– Zapewne pan Hargreaves bezpiecznie siedzi w domu, prawda? – wtrąciła się Ethel.

– Nie, nie siedzi – pospiesznie odparła kobieta. – Jest w wojsku, w Egipcie.

– Och! Zatem pani też otrzymuje zasiłek rozłąkowy.
– To nie ma nic do rzeczy.
– Czy ktoś przyszedł do pani domu, pani Hargreaves, żeby sprawdzić, jak się pani prowadzi? Czy sprawdzano, ile sherry jest w karafce na kredensie? Czy wypytywano o pani stopień zażyłości z dostawcą ze sklepu spożywczego?
– Jak pani śmie!
– Pani uraza jest zrozumiała – przyznała Maud – ale może teraz pani zrozumie, dlaczego pani McCulley tak zareagowała na pani pytania.
Pani Hargreaves podniosła głos.
– To śmieszne! Tu nie ma czego porównywać!
– Nie ma? – gniewnie prychnęła Maud. – Jej mąż, tak jak pani, naraża życie dla ojczyzny. Zarówno pani, jak i jej, przysługuje zasiłek rozłąkowy. Jednak pani ma prawo oceniać jej zachowanie i odmawiać pieniędzy, podczas gdy pani nikt nie ocenia. Dlaczego? Żony oficerów czasem za dużo piją.
– A także cudzołożą – dodała Ethel.
– Dość tego! – krzyknęła pani Hargreaves. – Nie pozwolę się obrażać.
– Tak jak pani Jayne McCulley – powiedziała Ethel.
– Mężczyzna, którego widziała pani z panią McCulley, to jej brat. Przyjechał do domu na przepustkę z Francji. Miał tylko dwa dni urlopu i chciała, żeby się dobrze bawił, zanim wróci do okopów. Dlatego zabrała go do pubu i na tańce.
Pani Hargreaves była zmieszana, ale nadal próbowała się stawiać.
– Powinna była to wyjaśnić, kiedy ją pytałam. A teraz muszę prosić państwa o opuszczenie biura.
– Teraz, kiedy zna pani prawdę, ufam, że zatwierdzi pani podanie pani McCulley.
– Zobaczymy.
– Nalegam, żeby uczyniła pani to natychmiast.
– To niemożliwe.
– Nie wyjdziemy stąd, dopóki pani tego nie zrobi.
– Wezwę policję.
– Bardzo dobrze.
Pani Hargreaves uciekła.
Ethel zwróciła się do podziwiałego ją reportera:
– Gdzie pański fotograf?
– Czeka na zewnątrz.
Kilka minut później do środka wszedł krzepki konstabl w średnim wieku.
– No, no, moje panie – powiedział – proszę nie sprawiać kłopotów i spokojnie opuścić budynek.
Maud wystąpiła naprzód.
– Odmawiam opuszczenia tego budynku – oznajmiła. – Pomińmy pozostałych.
– A kim pani jest, jeśli mogę spytać?
– Jestem lady Maud Fitzherbert i jeśli chce mnie pan stąd usunąć, będzie pan musiał mnie wynieść.
– Skoro pani nalega – mruknął policjant i wziął ją na ręce.
Kiedy opuszczali budynek, fotograf zrobił im zdjęcie.

IV.

– Nie boisz się? – spytała Mildred.
– Tak – przyznał Billy. – Trochę się boję.
Z Mildred mógł rozmawiać. Wydawało się, że wie o nim tak dużo. Od paru lat mieszka z jego siostrą, a kobiety zawsze wszystko sobie opowiadają. Jednak Mildred miała coś jeszcze, co sprawiało, że dobrze się czuł w jej towarzystwie. Dziewczęta z Aberowen zawsze starały się zrobić wrażenie na chłopcach, mówiąc różne rzeczy dla efektu i sprawdzając swój wygląd w lusterkach, ale

Mildred po prostu była sobą. Czasem mówiła rzeczy oburzające i rozśmieszała Billy'ego. Czuł, że może rozmawiać z nią na różne tematy.

Onieśmielało go to, jak bardzo jest atrakcyjna. Nie urzekały go jej jasne kręcone włosy i niebieskie oczy, ale to, że nic sobie z niczego nie robi. No i ta różnica wieku: ona ma dwadzieścia cztery lata, a on niecałe osiemnaście. Wydawała mu się osobą światową, a jednak była szczerze nim zainteresowana, co bardzo mu pochlebiało. Tęsknie spoglądał na nią przez całą szerokość kuchni Ethel, żywiąc nadzieję, że będzie miał okazję porozmawiać z nią na osobności, i zastanawiając się, czy starczy mu odwagi, by dotknąć jej dłoni, objąć i pocałować.

Siedzieli przy kwadratowym stole: Billy, Tommy, Ethel i Mildred. Był ciepły wieczór i drzwi na podwórze z tyłu były otwarte. Na kamiennej posadzce dwie małe dziewczynki Mildred bawiły się z Lloydem. Enid i Lillian miały trzy i cztery latka, ale Billy jeszcze ich nie rozróżniał. Ze względu na dzieci kobiety nie chciały nigdzie iść, więc Billy i Tommy przynieśli z pubu kilka butelek piwa.

– Nic ci nie będzie – zapewniła Mildred Billy'ego. – Zostałeś przeszkolony.

– Taak.

Szkolenie nie dodało Billy'emu pewności siebie. Ciągłe marszerowali tam i z powrotem, salutowali i ćwiczyli walkę na bagnety. Nie uważał, by nauczono go sztuki przetrwania.

– Jeśli wszyscy Niemcy okażą się kukłami przywiązanymi do słupów, to będziemy wiedzieli, jak wbijać w nie nasze bagnety – odezwał się Tommy.

– Umiecie chyba strzelać, co? – zapytała Mildred.

Przez pewien czas ćwiczyli z zardzewiałymi i zepsutymi karabinami oznakowanymi jako „ćwiczebne”, co oznaczało, że pod żadnym pozorem nie wolno było z nich strzelać. W końcu jednak każdemu z nich wręczono powtarzalny karabin Lee Enfield z magazynkiem mieszczącym dziesięć naboń. Okazało się, że Billy dobrze strzela: potrafi opróżnić magazynek w czasie poniżej minuty, trafiając w cel wielkości człowieka oddalony o trzysta jardów. Rekrutom powiedziano, że Lee Enfield jest znany z szybkostrzelności: światowy rekord to trzydzieści osiem strzałów oddanych w minutę.

– Sprzęt jest w porządku – powiedział Billy do Mildred. – To oficerowie mnie niepokoją. Dotychczas nie spotkałem takiego, któremu zaufałbym podczas katastrofy w kopalni.

– Sądzę, że wszyscy dobrzy są we Francji. – Mildred była optymistką. – Onanistom pozwolili zostać w domu i szkolić rekrutów.

Billy się roześmiał. Mildred to kobieta bez zahamowań.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Tak naprawdę bał się, że gdy Niemcy zaczną do niego strzelać, może rzucić się do ucieczki. Myślał, że upokorzenie jest gorsze od rany. Czasem był tak zdenerwowany, że marzył, aby ta straszna chwila już nadeszła i mógł poznać prawdę, taką czy inną.

– W każdym razie cieszę się, że będziecie strzelali do tych podłych Niemców – oznajmiła Mildred. – To sami gwałciciele.

– Na twoim miejscu nie wierzyłbym we wszystko, co pisał w „Daily Mail” – powiedział Tommy. – Wmawiają wam, że wszyscy związkowcy są nielojalni. Ja wiem, że to nieprawda, bo większość członków mojego oddziału zgłosiła się na ochotnika. Tak więc Niemcy może nie są tacy źli, jak przedstawia ich „Mail”.

– Taa, zapewne masz rację. – Mildred zwróciła się do Billy'ego: – Widziałeś Trampa?

– Tak, uwielbiam Charliego Chaplina.

Ethel wzięła synka na ręce.

– Powiedz „dobranoc” wujkowi Billy'emu.

Malec wiał się w jej ramionach, nie chcąc iść spać. Billy pamiętał go jako noworodka, gdy otworzył usta i po raz pierwszy zapłakał. Teraz jest duży i silny.

– Dobranoc, Lloydzie.

Ethel dała mu to imię na cześć Lloyda George'a. Billy był jedyną osobą na świecie, która wiedziała, że malec ma także drugie imię: Fitzherbert. Zostało wpisane do metryki, lecz Ethel nikomu o tym nie powiedziała.

Billy chętnie wziąłby hrabiego Fitzherberta na muszkę Lee Enfielda.

– Jest podobny do dziadka, no nie? – powiedziała Ethel.

Billy nie widział żadnego podobieństwa.

– Odpowiem na to pytanie, kiedy zapuści wąsy.

Mildred położyła dziewczynki do łóżka. Potem kobiety oznajmiły, że chcą zjeść kolację. Ethel i Tommy poszli kupić ostrygi, zostawiając Billy'ego i Mildred samych.

Gdy tylko wyszli, Billy zwrócił się do Mildred:

– Naprawdę cię lubię, Mildred.

– Ja też cię lubię – powiedziała, więc przysunął swoje krzesło do jej krzesła i pocałował ją.

Z entuzjazmem odwzajemniła pocałunek.

Robił to już, całował się z kilkoma dziewczynami w ostatnim rzędzie kina Majestic. Zawsze od razu otwierały usta i on teraz też to zrobił.

Mildred odepchnęła go łagodnie.

– Nie tak szybko. Zrób tak.

I pocałowała go z zamkniętymi ustami, przesuwając wargami po jego policzku, powiekach i szyi, a potem po ustach. To było dziwne, ale mu się podobało.

– Zrób mi tak samo. – Wykonał polecenie. – A teraz to. –

Poczuł na swoich wargach czubek jej języka, dotykający ich bardzo delikatnie. Znowu poszedł za jej przykładem. Potem pokazała mu jeszcze inny sposób całowania, skubiąc jego szyję i płatki uszu. Czuł, że mógłby robić to całą wieczność.

– Szybko się uczysz – pochwaliła go, gładząc po policzku, kiedy przzerwali, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Jesteś cudowna.

Znowu ją pocałował i położył dłoń na jej piersi. Pozwoliła mu przez chwilę ją pieścić, ale kiedy zaczął ciężko oddychać, odtrąciła jego rękę.

– Nie napalaj się tak. Oni zaraz wrócą.

Chwilę później usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

– A niech to – syknął.

– Bądź cierpliwy.

– Cierpliwy? Jutro wyruszam do Francji.

– No cóż, jeszcze nie jest jutro, no nie?

Billy zastanawiał się, jak ma to rozumieć, gdy weszli Ethel i Tommy.

Zjedli kolację i wypili resztę piwa. Ethel opowiedziała im o Jayne McCulley i o tym, jak lady Maud została wyniesiona przez policjanta z siedziby organizacji charytatywnej. Przedstawiała wydarzenia tak, jakby to była farsa, ale Billy pękał z dumy, że ma siostrę, która walczy o prawa ubogich kobiet. W dodatku jest kierowniczką redakcji i przyjaciółką lady Maud! Postanowił, że pewnego dnia i on będzie walczył o prawa zwykłych ludzi. Właśnie to podziwiał w swoim ojcu. Tata jest ograniczony i uparty, ale przez całe życie walczył o interesy człowieka pracy. Zapadł zmrok i Ethel oznajmiła, że pora spać. Przygotowała dla Billy'ego i Tommy'ego prowizoryczne posłania na podłodze kuchni. Wszyscy się położyli.

Billy leżał z otwartymi oczami, zastanawiając się, co Mildred miała na myśli, mówiąc „jeszcze nie jest jutro”. Może obiecywała, że znowu pocałuje go rano, kiedy będzie wychodził na pociąg do Southampton? Jednak wydawało się, że miała na myśli coś więcej.

Czy to możliwe, że chce zobaczyć go jeszcze tej nocy?
Myśl o wizycie w jej pokoju rozpałała go tak, że nie mógł zasnąć. Pomyślał, że miałyby na sobie nocną koszulę, a pod nią jej ciało byłoby ciepłe w dotyku. Wyobraził sobie jej twarz na poduszce i zazdrościł tej poduszce, ponieważ dotykała jej policzka. Kiedy Tommy zaczął miarowo oddychać, Billy wstał z posłania.
– Dokąd idziesz? – spytał Tommy, który nie spał tak mocno, jak Billy sądził.
– Do toalety. Za dużo piwa.
Tommy mruknął coś pod nosem i odwrócił się na drugi bok.
Billy w bieliźnie po cichu wszedł po schodach. Na piętrze znajdowało się troje drzwi. Zawahał się. A jeśli źle zrozumiał Mildred? Może krzyknie ze strachu na jego widok. Ależ to by było krępujące.
Nie, pomyślał, ona nie jest z tych, które krzyczą ze strachu. Otworzył pierwsze drzwi. Z ulicy padało słabe światło. Zobaczył wąskie łóżeczko i główki obu dziewczynek na poduszce. Cicho zamknął drzwi. Czuł się jak włamywacz.
Zajrzał do następnego pokoju. W tym paliła się świeca i dopiero po chwili jego wzrok oswoił się z mdłym światłem. Billy ujrzał szersze łóżko i jedną głowę na poduszce. Mildred leżała zwrócona twarzą do niego, ale nie widział, czy ma otwarte oczy. Czekał na jej protest, lecz nie wydała żadnego dźwięku.
Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.
– Mildred? – szepnął niepewnie.
– Cholera, najwyższy czas, Billy – powiedziała zupełnie przytomnie. – Wskakuj do łóżka, szybko.
Wśliznął się pod kołdrę i objął ją. Nie miała na sobie nocnej koszuli, której się spodziewał. Z rosnącym podnieceniem stwierdził, że jest naga.
Nagle zaczął się denerwować.
– Ja nigdy... – Urwał.
– Wiem. Będziesz moim pierwszym prawiczkim.

V.

W czerwcu 1916 roku major hrabia Fitzherbert został przydzielony do 8. Batalionu Fizylierów Walijskich i objął dowodzenie kompanii B, liczącej stu dwudziestu ośmiu żołnierzy i czterech poruczników. Nigdy nie dowodził w walce i w duchu szalał z niepokoju.

On był we Francji, ale jego batalion jeszcze w Wielkiej Brytanii. Oddział składał się z rekrutów, świeżo po szkoleniu. Kilku przydzielonych do niego weteranów podniesie morale, wyjaśnił Fitzowi brygadier. Złożone z zawodowych żołnierzy oddziały wysłane do Francji w 1914 roku już nie istniały – straciwszy ponad połowę swych stanów – i to była Nowa Armia Kitchenera. Kompanię Fitz'a nazywano Chłopcami z Aberowen.

– Zapewne zna pan większość z nich – powiedział brygadier, który chyba nie pojmował, jak głęboka przepaść oddziela hrabiego od górników.

Fitz otrzymał rozkazy jednocześnie z kilkoma innymi dowódcami i dla uczczenia tego postawił im kolejkę w kantynie. Kapitan, który dowodził teraz kompanią A, podniósł szklaneczkę z whisky i rzekł:

– Fitzherbert? Zapewne jest pan właścicielem kopalni. Ja jestem Gwyn Evans, sklepikarz. Pewnie kupuje pan u mnie przecieradła i ręczniki.

W wojsku było teraz mnóstwo takich obrotnych biznesmenów. Zazwyczaj zachowywali się tak, jakby byli równi Fitzowi, tylko przypadkiem zajmowali się czymś innym. Jednak Fitz wiedział także, że wojsko bardzo ceni organizacyjne zdolności tych handlowców. Nazywając siebie „sklepikarzem”, kapitan okazał fałszywą

skromność. Gwyn Evans był właścicielem supermarketów we wszystkich większych miastach Południowej Walii. Zatrudniał o wiele więcej pracowników, niż kompania A miała żołnierzy. Natomiast Fitz nigdy nie zorganizował niczego poważniejszego niż partia krykieta i skomplikowane tryby maszyny wojennej boleśnie uświadamiały mu brak doświadczenia.

– Zakładam, że jest to atak, który został uzgodniony w Chantilly – powiedział Evans.

Fitz wiedział, co tamten ma na myśli. W grudniu sir John French w końcu został zdymisjonowany i sir Douglas Haig objął stanowisko głównodowodzącego brytyjskiej armii we Francji, a kilka dni później Fitz – wciąż pełniący funkcję oficera łącznikowego – wziął udział w konferencji aliantów w Chantilly. Francuzi zaproponowali zmasowaną ofensywę na zachodnim froncie w 1916 roku, a Rosjanie zgodzili się przeprowadzić podobne natarcie na wschodzie.

– Słyszałem wtedy, że Francuzi zaatakują czterdziestoma dywizjami, a my dwudziestoma pięcioma – ciągnął Evans. – Teraz tak się nie stanie.

Fitzowi nie podobało się to utyskiwanie – i tak był już zaniepokojony – ale, niestety, Evans miał rację.

– To przez Verdun – powiedział Fitz.

Od czasu tamtych grudniowych ustaleń Francuzi stracili ćwierć miliona ludzi podczas obrony ufortyfikowanego miasta Verdun i nad Sommę mogli posłać mniej żołnierzy, niż przewidywano.

– Niezależnie od powodów – dodał Evans – właściwie zostaliśmy sami.

– Nie wiem, czy to coś zmienia. – Fitz udawał obojętność, choć bynajmniej obojętny nie był. – Zaatakujemy na naszym odcinku frontu niezależnie od tego, co oni zrobią.

– Nie zgadzam się z tym. – Pewność siebie Evansa graniczyła z arogancją. – Wycofując się, Francuzi przestaną wiązać wiele niemieckich oddziałów. Te będą mogły zostać przerzucone na nasz odcinek jako posiłki.

– Sądzę, że błyskawiczne uderzenie nie da im na to czasu.

– Naprawdę, panie majorze? – chłodno zapytał Evans, znów w sposób graniczący ze zniewagą. – Jeśli przedrzemy się przez pierwszą linię niemieckich zasieków, będziemy musieli jeszcze zdobyć drugą i trzecią.

Evans zaczynał denerwować Fitz'a. Taka gadanina źle wpływa na morale.

– Zasieki zostaną zniszczone przez naszą artylerię – zapewnił.

– Z doświadczenia wiem, że artyleria niezbyt skutecznie niszczy zasieki. Stalowe kulki szrapnela lecą w dół i do przodu...

– Wiem, co to jest szrapnel, dziękuję.

Evans zignorował tę uwagę.

– Zatem pocisk musi eksplodować tuż nad celem i przed nim, inaczej nie da żadnego efektu. Nasze działa po prostu nie są tak celne. Natomiast pociski rozrywające wybuchają po uderzeniu o ziemię, tak więc nawet przy bezpośrednim trafieniu tylko wyrzucają w górę druty kolczaste, które spadają praktycznie nieuszkodzone.

– Nie docenia pan ogromnej siły naszego ostrzału. – Irytację Fitz'a wzmagało paskudne podejrzenie, że sklepikarz może mieć rację. Co gorsza, to podejrzenie zwiększało jego obawy. – Nic po nim nie zostanie. Niemieckie okopy będą całkowicie zniszczone.

– Mam nadzieję, że ma pan rację. Bo jeśli ukryją się w ziemiankach podczas ostrzału, a potem wyjdą z nich z karabinami maszynowymi, nasi ludzie zostaną położeni pokotem.

– Pan chyba nie rozumie – gniewnie rzekł Fitz – że w historii wojen jeszcze nie było tak intensywnego ostrzału. Mamy jedno działo na każde dwadzieścia jardów linii frontu. Zamierzamy wystrzelić ponad milion pocisków! Po czymś takim nie pozostanie

tam nikt żywy.

– No cóż, przynajmniej co do jednego jesteście zgodni. Tak jak pan mówi, jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiono, więc żaden z nas nie może być pewny, co z tego wyniknie – podsumował Evans.

VI.

Lady Maud pojawiła się w sądzie magistrackim w Aldgate w dużym czerwonym kapeluszu ze wstążkami oraz strusimi piórami i została skazana na jedną gwineę grzywny za zakłócanie spokoju.

– Mam nadzieję, że premier Asquith się o tym dowie – powiedziała do Ethel po wyjściu z sali sądowej.

Ethel nie była taką optymistką.

– Nie mamy możliwości zmuszenia go do działania – odrzekła zniechęcona. – Takie rzeczy będą się działy, dopóki kobiety nie zyskają możliwości zmieniania rządu poprzez głosowanie. – Sufrażystki zamierzały uczynić prawa wyborcze kobiet wiodącym tematem wyborów powszechnych w 1915 roku, ale wojenny parlament przełożył ich termin. – Może będziemy musiały poczekać, aż wojna się skończy.

– Niekoniecznie – powiedziała Maud. Przystanął, pozując do zdjęcia na schodach sądu, po czym skierowały się do redakcji „Żony Żołnierza”. – Asquith próbuje utrzymać koalicję liberalno-konserwatywną. Jeśli ta się rozpadnie, potrzebne będą wybory. To da nam okazję.

Ethel była zdziwiona. Sądziła, że problem praw wyborczych dla kobiet został pogrzebany.

– Jak to?

– Rząd ma poważny problem. W obecnym systemie żołnierze w czynnej służbie nie mogą głosować, ponieważ nie mają stałego miejsca pobytu. To nie było istotne przed wojną kiedy w wojsku służyło zaledwie sto tysięcy ludzi. Teraz jednak jest ich ponad milion. Rząd nie odważy się ogłosić wyborów i nie dopuścić ich do głosu, ponieważ ci ludzie umierają za ojczyznę. Wybuchłby bunt.

– A jeśli zreformują system, jak mogą nie uwzględnić kobiet?

– W tym momencie ten bezkręgowiec Asquith szuka jakiegoś sposobu, żeby to zrobić.

– Nie może! Kobiety tak samo jak mężczyźni biorą udział w tej wojnie: produkują amunicję, opiekują się rannymi żołnierzami we Francji, wykonują wiele prac, które niegdyś wykonywali wyłącznie mężczyźni.

– Asquith ma nadzieję wykręcić się z tego sporu.

– Zatem musimy dopilnować, żeby się rozczarował.

Maud się uśmiechnęła.

– Właśnie – powiedziała. – Myślę, że to będzie celem naszej następnej kampanii.

VII.

– Wstąpiłem do wojska, żeby wyrwać się z zakładu poprawczego – wyznał George Barrow, oparty o reling okrętu transportowego wypływającego z Southampton. – Kiedy skończyłem szesnaście lat, zostałem oskarżony o włamanie i dostałem trzy lata. Po roku miałem dość obciążania dyrektorowi, więc powiedziałem, że chcę się zgłosić na ochotnika. Zaprowadził mnie do punktu werbunkowego i tak znalazłem się tutaj.

Billy spojrział na niego. Chłopak miał złamany nos, poszarpane ucho i bliznę na czole. Wyglądał jak emerytowany bokser.

– Ile masz lat? – zapytał Billy.

– Siedemnaście.

Oficjalnie chłopcy poniżej osiemnastu lat nie mogli zaciągać się do wojska i musieli mieć ukończone dziewiętnaście, zanim wysłano ich za morze. Oba te przepisy były przez armię systematycznie łamane. Prowadzący werbunek sierżanci i oficerowie medyczni dostawali pół korony za każdego zwerbowanego rekruta i rzadko kwestionowali prawdomówność chłopców, którzy podawali się za starszych niż w rzeczywistości. W batalionie był chłopiec, niejaki Owen Bevin, który wyglądał na piętnastolatka.

– Czy to, co właśnie minęliśmy, to była wyspa? – zapytał George.

– Tak – potwierdził Billy. – To była wyspa Wight.

– Och, a ja myślałem, że to już Francja.

– Nie, ona leży znacznie dalej.

Podróż trwała aż do następnego dnia, gdy wczesnym rankiem wysadzono ich na ląd w Hawrze. Billy zszedł po trapie i po raz pierwszy w życiu postawił stopę na obcej ziemi. W rzeczywistości nie była to ziemia, lecz bruk, po którym trudno maszerowało się w podkutych butach. Przeszli przez miasto, obserwowani obojętnie przez mieszkańców. Billy słyszał opowieści o ślicznych francuskich dziewczynach z wdzięcznością rzucających się na szyje przybyłych Anglików, lecz tu widział tylko apatyczne kobiety w średnim wieku i chustkach na głowach.

Pomaszerowali do obozu, w którym spędzili noc. Nazajutrz wsiedli do pociągu. Pobyt za granicą był mniej ekscytujący, niż Billy oczekiwał. Wszystko było inne, ale tylko trochę. Tak jak Wielka Brytania, Francja składała się głównie z pól i wiosek, dróg i torów kolejowych. Pola oddzielano ogrodzeniami, nie żywopłotami, a wioski wydawały się większe i solidniej zbudowane, ale to wszystko. Było to nieoczekiwane rozczarowanie. Pod koniec dnia dotarli do swoich kwater w ogromnym obozie, który tworzyły pospiesznie postawione baraki.

Billy został awansowany do stopnia kaprała, więc dowodził ośmioosobową drużyną, do której należeli Tommy, młody Owen Bevin i George Barrow z poprawczaka. Dołączył do nich tajemniczy Robin Mortimer, który pomimo trzydziestu lat wciąż był tylko szeregowcem. Gdy usiedli przy herbacie i chlebie z dżemem w długiej stołówce mieszczącej około tysiąca osób, Billy zwrócił się do niego:

– A zatem, Robinie, wszyscy jesteśmy tu nowi, ale ty wydajesz się bardziej doświadczony. Jak się tu znalazłeś?

Mortimer odpowiedział ładną angielszczyzną wykształconego Walijszczyka, ale językiem okopów.

– Nie twój pieprzony interes, walijski ciołku – warknął i poszedł usiąść gdzie indziej.

Billy wzruszył ramionami. „Walijski ciołek” to żadna zniewaga, szczególnie w ustach innego Walijszczyka.

Cztery drużyny tworzyły pluton, który podlegał sierżantowi Elijahowi Jonesowi, lat dwadzieścia, synowi Johna Sklep Jonesa. Uważano go za weterana, ponieważ był na froncie od roku. Jones przychodził do kaplicy Bethesda i Billy znał go, od kiedy obaj chodzili do szkoły, w której otrzymał przydomek Prorok z powodu swojego biblijnego imienia.

Prorok słyszał wymianę zdań z Mortimerem.

– Pogadam z nim, Billy – powiedział. – To zawzięty stary drań, ale nie może tak mówić do kaprała.

– O co się tak wścieka?

– Kiedyś był majorem. Nie wiem, co zrobił, ale został postawiony przed sądem wojennym i wydalony z wojska, czyli pozbawiony stopnia oficerskiego. Potem, jako zdolny do służby wojskowej, natychmiast został powołany i dostał stopień szeregowca. Tak robią z oficerami, którzy nieodpowiednio się zachowują. Po podwieczorku poznali swojego dowódcę plutonu, porucznika Jamesa Carltona-Smitha, chłopaka w tym samym wieku co Billy. Był sztywny i zmieszany, i chyba za młody, by dowodzić

czymkolwiek.

– Ludzie – zaczął, starając się ukryć akcent przedstawiciela wyższych sfer – mam zaszczyt być waszym dowódcą i wiem, że w nadchodzącej bitwie będziecie waleczni jak lwy.

– Przeklęty czyrak – mruknął Mortimer.

Billy wiedział, że porucznicy bywają nazywani czyrakami, ale tylko przez innych oficerów.

Potem Carlton-Smith przedstawił dowódcę kompanii B, majora Fitzherberta.

– Jasna cholera – sapnął Billy.

Gapił się z otwartymi ustami, jak człowiek, którego nienawdził jak nikogo na świecie, wchodzi na krzesło, aby przemówić do kompanii. Fitz miał dobrze dopasowany mundur khaki i jedną z tych jesionowych laseczek, jakie lubili nosić niektórzy oficerowie. Mówił z tym samym akcentem co Carlton-Smith i plótł takie same banały. Billy nie wierzył własnym oczom. Co ten Fitz tu robi? Zapładnia francuskie służące? Myśl, że ten beznadziejny nieudacznik jest jego dowódcą, była trudna do zniesienia.

Kiedy oficerowie odeszli, Prorok cicho rzekł do Billy'ego i Mortimera:

– Porucznik Carlton-Smith jeszcze rok temu był w Eton.

Eton to szkoła dla elity. Fitz też do niej chodził.

– Dlaczego więc jest oficerem? – zapytał Billy.

– Był uczniem odpowiedzialnym za dyscyplinę.

– Och, świetnie – sarkastycznie mruknął Billy. – No to nic nam nie grozi.

– On niewiele wie o wojnie, ale ma dość rozumu, żeby nie podskakiwać, więc będzie w porządku, dopóki będziemy mieli na niego oko. Jeśli zobaczycie, że chce zrobić coś naprawdę głupiego, powiadomcie mnie. – Zmierzył wzrokiem Mortimera. – Ty wiesz, o co chodzi, no nie?

Mortimer ponuro skinął głową.

– Liczę na was, wiecie.

Kilka minut później zgaszono światło. Nie mieli prycz, tylko sienniki ułożone rzędami na ziemi. Leżąc z otwartymi oczami, Billy z podziwem myślał o tym, jak Prorok uporał się z Mortimerem. Poradził sobie z trudnym podwładnym, czyniąc go swoim sojusznikiem. W taki sposób ojciec Billy'ego dałby sobie radę z wicherzycielem.

Prorok przekazał tę samą wiadomość Mortimerowi i Billy'emu.

Czy jego również uznał za buntownika? Billy przypomniał sobie, że Prorok był na tym niedzielnym nabożeństwie, podczas którego Billy odczytał przypowieść o cudzołożnicy. Ma rację, pomyślał, jestem wicherzycielem.

Nie chciało mu się spać, a na dworze było jeszcze jasno, ale zasnął natychmiast. Zbudził go potworny hałas, jakby szalała burza. Usiadł na sienniku. Przez mokre od deszczu szyby wpadało mętne światło poranka, ale to nie była burza.

Inni wyglądali na tak samo zaskoczonych.

– Jezu Chryste – jęknął Tommy. – Co to było?

Mortimer zapalał papierosa.

– Ogień artyleryjski – wyjaśnił. – To nasze działa. Witaj we Francji, walijski ciołku.

Billy ich nie słuchał. Patrzył na Owena Bevina siedzącego na posłaniu naprzeciwko. Chłopak trzymał w zębach róg prześcieradła i płakał.

VIII.

Maud śniło się, że Lloyd George wsadził jej rękę pod spódnicę, a ona powiedziała mu, że jest żoną Niemca. On zawiadomił policję, która przysłała ją aresztować i dobijała się do okna sypialni.

Usiadła nieprzytomna na łóżku. Po chwili zdała sobie sprawę, jak nieprawdopodobne jest to, by policja dobijała się do okna jej sypialni na pierwszym piętrze, gdyby nawet naprawdę chcieli ją aresztować. Sen odszedł, ale hałas nie ucichł. Słyszała również głęboki basowy pomruk jadącego w oddali pociągu. Zapaliła lampkę przy łóżku. Secesyjny srebrny zegar na kominku pokazywał czwartą rano. Czy to trzęsienie ziemi? Wybuch w fabryce amunicji? Katastrofa kolejowa? Odrzuciła haftowaną kołdrę i wstała. Rozsunęła grube zasłony w zielono-granatowe pasy i spojrzała przez okno na ulicę Mayfair. W świetle poranka ujrzała młodą kobietę w czerwonej sukni, zapewne prostytutkę wracającą do domu, niespokojnie rozmawiającą z mleczarzem. Wokół nie było nikogo innego. Okno Maud wciąż dygotało bez żadnego widocznego powodu. Nawet nie wiał wiatr. Narzuciła na nocną koszulę pikowaną jedwabną podomkę i przejrzała się w lustrze toaletki. Włosy ma potargane, ale poza tym wygląda dość przyzwoicie. Wyszła na korytarz. Ciotka Herm stała tam w nocnej koszuli obok Sanderson, pokojówki Maud, której okrągła twarz była blada ze strachu. Nagle na schodach pojawił się Grout.

– Dzień dobry, lady Maud, dzień dobry, lady Hermio – powitał je, oficjalny jak zawsze. – Nie ma powodu do obaw. To działa.

– Jakie działa? – zapytała Maud.

– We Francji, pani.

IX.

Ostrzał brytyjskiej artylerii trwał tydzień. Miał trwać pięć dni, lecz tylko jednego z tych pięciu cieszyli się ładną pogodą – ku konsternacji Fitz'a. Chociaż było lato, przez pozostałe dni pułap chmur był niski i nieustannie padał deszcz. To utrudniało artylerzystom dokładne celowanie. Ponadto oznaczało to, że samoloty zwiadowcze nie mogły oglądać skutków ostrzału i pomagać artylerzystom w dokładniejszym celowaniu. Szczególnie utrudnione zadanie miały baterie mające prowadzić ogień wyprzedzający – czyli niszczyć artylerię nieprzyjaciela – ponieważ Niemcy sprytnie przemieszczali swoje działa i brytyjskie pociski spadały na opuszczone stanowiska.

Fitz siedział w wilgotnej ziemiance będącej kwaterą główną batalionu, ponuro paląc cygaro i usiłując nie słuchać niekończącego się huków. Wobec braku zdjęć z powietrza on i inni dowódcy kompanii organizowali wypady do okopów. Te przynajmniej pozwalały na wzrokową obserwację nieprzyjaciela. Jednak były bardzo ryzykowne i te grupki zwiadowców, które pozostawały tam za długo, nigdy nie wracały. Tak więc ludzie musieli pospiesznie obejrzeć niewielki odcinek linii frontu i uciekać.

Ku ogromnemu zniecierpliwieniu Fitz'a przynosili sprzeczne raporty. Jedne okopy niemieckie były zniszczone, inne nietknięte. Część drutów kolczastych została poszarpana, ale na pewno nie wszystkie. Najbardziej niepokojące było to, że niektóre patrole zostały przepędzone przez ogień nieprzyjaciela. Jeśli Niemcy nadal są w stanie strzelać, najwyraźniej artylerii nie udało się wykonać zadania i zniszczyć ich pozycji.

Fitz wiedział, że podczas ostrzału 4. Armia wzięła dokładnie dwunastu jeńców. Wszyscy zostali przesłuchani, ale – niestety – podawali sprzeczne informacje. Jedni mówili, że ich ziemianki zostały zniszczone, inni, że Niemcy siedzą cali i zdrowi pod ziemią, podczas gdy Brytyjczycy marnują amunicję, ostrzeliwując puste okopy.

Brytyjczycy byli tak niepewni skutków swego ostrzału, że generał Haig odłożył atak zaplanowany na dwudziestego dziewiątego czerwca. Jednak pogoda nadal była kiepska.

– Trzeba będzie go odwołać – rzekł kapitan Evans na

śniadaniu rankiem trzydziestego czerwca.

– Nie ma mowy – uciał Fitz.

– Nie zaatakujemy, dopóki nie uzyskamy potwierdzenia, że linia obrony wroga została zniszczona – tłumaczył Evans. – To aksjomat wojny pozycyjnej.

Fitz wiedział, że tę zasadę uzgodniono na wczesnym etapie planowania, ale później porzucono.

– Niech pan będzie realistą – rzekł do Evansa. – Szykowa-
liśmy tę ofensywę przez sześć miesięcy. To nasza pierwsza większa
operacja w tym roku. Skupiliśmy na niej wszystkie nasze wysiłki.
Jak można ją odwołać? Haig musiałby podać się do dymisji. To
mogłoby nawet spowodować upadek rządu Asquitha.

Ta uwaga rozzłościła Evansa. Poczzerwieniał i podniósł głos:

– Lepiej, żeby rząd upadł, niż żebyśmy mieli posyłać naszych
ludzi pod ogień okopanych karabinów maszynowych.

Fitz pokręcił głową.

– Niech pan spojrzy na te miliony ton zaopatrzenia, jakie
przysłano, na drogi i tory, jakie położono, żeby to wszystko tu
przewieźć, na setki tysięcy ludzi przeszkolonych, uzbrojonych
i przywiezionych tu z całej Wielkiej Brytanii. Co zrobimy?
Odeślemy ich do domu?

Zapadła długa cisza, po czym Evans rzekł:

– Oczywiście ma pan rację, majorze. – Te słowa były
pojednawcze, ale w jego głosie słychać było ledwo powstrzymy-
wany gniew. – Nie odeślemy ich do domu – wycedził przez
zaciśnięte zęby. – Pochowamy ich tutaj.

W południe deszcz przestał padać i wyszło słońce. Nieco
później podano potwierdzenie: atak jutro.

ROZDZIAŁ 17

1 lipca 1916 roku

i.

Walter von Ulrich znalazł się w piekle.

Brytyjski ostrzał trwał siedem dni i siedem nocy. Wszyscy
żołnierze w niemieckich okopach wyglądali teraz na dziesięć lat
starszych niż przed tygodniem. Kulili się w ziemiankach –
głębokich jaskiniach wykopanych w ziemi za linią okopów – lecz
huk i tak był ogłuszający, a ziemia pod ich nogami nieustannie
drżała. A najgorsze było to, że wiedzieli, iż bezpośrednie trafienie
pociskiem najcięższego kalibru zniszczy nawet najsolidniejszą
ziemiankę.

Podczas przerw w ostrzale wracali do okopów, gotowi odeprzeć
zmasowany atak, którego wszyscy się spodziewali. Gdy tylko
upewnili się, że Brytyjczycy nie nacierają, sprawdzali zniszczenia.
Znajdowali zasypane okopy, wejścia do ziemianki przywalone
stertą ziemi, a w pewne smutne popołudnie zdewastowaną kantinę
pełną potłuczonych naczyń, rozbitych słoików z dżemem i mydłem.
Z trudem usunęli zwały ziemi, załatali umocnienie deskami i po-
prosilili o nową dostawę żywności.

Ta jednak nie nadeszła. Prawie nic nie docierało na pierwszą
linię frontu. Ostrzał czynił wszelkie dostawy niebezpiecznymi.
Ludzie byli głodni i spragnieni. Walter wiele razy cieszył się,
mogąc napić się deszczówki z leja po pocisku.

W przerwach między ostrzałem ludzie nie mogli pozostawać
w ziemiankach. Musieli być w okopach, gotowi do odparcia
Brytyjczyków. Wartownicy nieustannie obserwowali przedpole.
Pozostali siedzieli w ziemiankach lub przy wejściach do nich,
gotowi zbiec po schodach i schronić się pod ziemią, kiedy wielkie
działa otworzą ogień, albo popędzić do okopów i bronić ich
w razie ataku. Za każdym razem trzeba było znosić karabiny

maszynowe pod ziemię, a potem znowu je wyciągać i ustawiać na stanowiskach.

W przerwach między salwami artylerii Brytyjczycy prowadzili ostrzał z moździerzy. Chociaż przy wystrzeliwaniu te niewielkie pociski nie robiły dużo hałasu, potrafiły rozbić drewniane szalunki. Jednak przelatywały nad ziemią niczyją powolnym łukiem, więc można było je dostrzec i w porę się schować. Walter unikał trafienia przez jeden z nich, odbiegłszy dostatecznie daleko, by wyjść bez szwanku, chociaż wybuch obsypał ziemią jego posiłek, zmuszając go do wyrzucenia całej miski pożywnej wieprzowego gulaszu. To był jego ostatni gorący posiłek i gdyby dostał go teraz, to chyba zjadłby go razem z ziemią.

Pociski to nie wszystko. Na ich odcinku przeprowadzono atak gazowy. Wprawdzie ludzie mieli maski, ale dno okopu było usłane truchłami szczurów, myszy i innych małych zwierzątek zabitych przez chlor. Lufy karabinów zrobiły się zielonkawoczarne.

Tuż po północy siódmego dnia ostrzał ustał i Walter postanowił udać się na patrol.

Włożył wełnianą czapkę i posmarował twarz ziemią. Wziął pistolet, standardowy luger 9 milimetrów przydzielany niemieckim oficerom. Wyjął magazynek z rękojeści i sprawdził amunicję. Magazynek był pełny.

Wspiął się po drabinie na przedpiersie okopu, co było samobójstwem za dnia, lecz względnie bezpieczne w nocy. Pobiegł, zgięty w pół, po łagodnym zboczu, aż do linii niemieckich zasieków z drutu kolczastego. Była tam luka, zrobiona celowo przed stanowiskiem niemieckiego karabinu maszynowego. Przeczłogał się przez nią.

To przypominało mu opowieści przygodowe, które czytywał jako uczeń. Zazwyczaj występowali w nich młodzi Niemcy o kwadratowych szczękach, walczący z czerwonoskórymi Indianami, Pigmejami z dmuchawkami lub przebiegłymi angielskimi szpiegami. Pamiętał opisy czołgania się po leśnym poszyciu w gąszczu dżungli i w gęstej trawie prerii.

Tutaj nie było poszycia. Po osiemnastu miesiącach wojny tylko nieliczne kępki trawy oraz krzaków i rachityczne drzewka zostały na tej pustyni pełnej błota i lejów po pociskach.

To pogarszało sytuację, ponieważ nie było żadnej osłony.

Księżyc nie świecił, lecz krajobraz sporadycznie rozjaśniały błyski eksplozji lub oślepiająco jasne światła rac. Wtedy Walter mógł tylko przypadać do ziemi i leżeć nieruchomo. Jeśli przypadkiem był akurat w leju po pocisku, trudno byłoby go zauważyć. W przeciwnym razie pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że nikt nie spojrzy w jego kierunku.

Na ziemi leżało dużo brytyjskich niewybuchów. Według obliczeń Waltera mniej więcej jedna trzecia amunicji była wadliwa. Wiedział, że Lloyd George został mianowany ministrem do spraw amunicji, i domyślał się, że ten szukający poklasku demagog przedkłada ilość nad jakość. Niemcy nigdy nie popełniliby takiego błędu, pomyślał.

Dotarł do brytyjskich zasieków, poczołgał się wzdłuż nich, aż znalazł lukę, po czym przedostał się przez nią.

Gdy dostrzegł linię brytyjskich okopów, niczym smugę czarnej farby na tle ciemnoszarego nieba, znów przypadł do ziemi, starając się poruszać jak najciszej. Musi podejść blisko, o to właśnie chodzi. Chciał usłyszeć, co mówią ludzie w okopach.

Obie strony co noc wysyłały patrole. Walter zazwyczaj wyznaczał kilku inteligentnie wyglądających żołnierzy, którzy sprawiali wrażenie dostatecznie znudzonych, by zapragnąć przygody, nawet niebezpiecznej. Czasem jednak szedł sam, częściowo dlatego, że chciał pokazać, iż jest gotowy ryzykować życie, a częściowo dlatego, że jego własne obserwacje były zwykle bardziej szczegółowe.

Nasłuchiwał, starając się usłyszeć kaszlnięcie, kilka wymam-

rotanych słów albo choćby pierdnięcie, a po nim westchnienie satysfakcji. Wydawało się, że stoi przed wyjątkowo cichym odcinkiem. Skręcił w lewo, przeczołgał się pięćdziesiąt jardów i przystanął. Teraz słyszał jakiś niezidentyfikowany dźwięk, przypominający odległy pomruk jakiejś maszynierii.

Poczołgał się dalej, starając się nie stracić orientacji. W ciemności łatwo pobłądzić. Pewnej nocy po długim czołganiu się natrafił na drut kolczasty, który minął pół godziny wcześniej, i zrozumiał, że zatoczył koło.

Usłyszał głos, mówiący cicho:

– O tam.

Zamarł. W jego polu widzenia pojawiło się osłonięte światełko latarki, drgające w powietrzu jak świetlik. W słabym blasku dostrzegł trzydzieści jardów dalej trzech żołnierzy w płaskich brytyjskich hełmach. Pragnął jak najszybciej się od nich oddalić, ale doszedł do wniosku, że jeśli się poruszy, zauważą go. Sięgnął po pistolet: jeśli ma umrzeć, to zabierze z sobą paru wrogów. Bezpiecznik znajdował się po lewej stronie, tuż nad rękonożką. Kciukiem przesunął go w górę i do przodu. Cichy szcęk wydał mu się donośny jak uderzenie gromu, ale żołnierze najwyraźniej niczego nie usłyszeli.

Dwaj z nich nieśli szpulę drutu kolczastego. Walter odgadł, że zamierzają naprawić odcinek zniszczony w dzień przez niemiecką artylerię. Może powinienem ich zastrzelić, pomyślał, wszystkich trzech. Jutro będą próbowali mnie zabić. Jednak miał coś ważniejszego do zrobienia, więc powstrzymał się od naciśnięcia spustu i tylko patrzył, jak przechodzą, znikając w ciemnościach. Kciukiem opuścił bezpiecznik, schował broń do kabury i poczołgał się bliżej brytyjskich okopów.

Teraz hałas był głośniejszy. Walter przez moment leżał nieruchomo, koncentrując się, i po chwili zrozumiał, że to gwar tłumu. Starali się być cicho, ale taka masa ludzi zawsze robi hałas. Słyszał szuranie nóg, szelest odzieży, pociąganie nosem, ziewanie i beknięcie. Od czasu do czasu ciche słowa wypowiedziane rozkazującym tonem. Jednak tym, co zaintrygowało i zdziwiło Waltera, było to, że ten tłum wydawał się tak liczny. Nie potrafił ocenić, ilu jest ludzi. Ostatnio Brytyjczycy wykopali nowe, szersze okopy, jakby na ogromne ilości zapasów albo bardzo duże działa. Może jednak były przeznaczone dla ludzi.

Walter musi to zobaczyć.

Poczołgał się dalej. Szum się wzmagał. Walter musi zajrzeć do okopu, ale jak ma to zrobić, nie dając się zauważyć?

Usłyszał głos za plecami i na moment serce przestało mu bić. Odwrócił się i zobaczył blask osłoniętej latarki. To wracał oddział saperów. Walter przywarł do ziemi, po czym powoli wyjął pistolet.

Spieszyli się, nie starając się poruszać cicho, zadowoleni, że wykonali swoje zadanie, i chcąc jak najszybciej wrócić do bezpiecznego okopu. Podeszli blisko, ale nie patrzyli w jego stronę. Kiedy go minęli, Walter wpadł na pewien pomysł i zerwał się z ziemi.

Teraz, gdyby ktoś poświecił latarką i go zobaczył, wydawałby się członkiem tamtej grupy.

Podążył za nimi. Nie przypuszczał, żeby usłyszeli jego kroki i zdołali odróżnić je od swoich. Żaden z nich się nie odwrócił. Spoglądał w kierunku źródła szumu. Teraz widział już dno okopu, ale w pierwszej chwili zobaczył tylko kilka światełek, zapewne latarek. Stopniowo jego oczy oswoiły się z mrokiem i w końcu zrozumiał, na co patrzy. Zdziwił się jeszcze bardziej. Patrzył na tysiące ludzi.

Stanął jak wryty. Ten szeroki okop o nieznanym przeznaczeniu okazał się punktem wypadowym. Brytyjczycy koncentrowali znaczne siły do zmasowanego ataku. Stali długimi szeregami, czekając, przestępując z nogi na nogę, a ich bagnety i stalowe hełmy

błyszczały w świetle latarek oficerów. Walter próbował liczyć: dziesięć szeregów to stu żołnierzy, następne dziesięć to dwustu, czterystu, ośmiuset... W jego polu widzenia było tysiąc sześciuset ludzi, a ciemność kryła następne szeregi.

Wkrótce ma się rozpocząć natarcie.

Walter musi jak najprędzej wrócić z tą informacją do swoich. Gdyby niemiecka artyleria otworzyła teraz ogień, zabiliby tysiące wrogów, tuż za brytyjską linią frontu, zanim jeszcze rozpocząłby się atak. To okazja zesłana przez niebo, a może przez diabły grające w okrutną grę w kości. Gdy tylko dotrze do swoich, zatelefonuje do dowództwa.

W powietrze wzbija się raca. W jej świetle zobaczył brytyjskiego wartownika wyglądającego z okopu, z karabinem gotowym do strzału, gapiącego się na niego.

Walter przypadł do ziemi i ukrył twarz w błocie.

Huknął strzał. Jeden z saperów krzyknął:

– Nie strzelaj, ty walnięty draniu, to my!

Jego akcent przypominał Walterowi ten, z jakim mówił personel w walijskiej rezydencji Fitz'a, i domyślił się, że to regiment Walijszczyków.

Raca zgasła. Walter zerwał się z ziemi i pobiegł w kierunku niemieckich okopów. Wartownik przez kilka sekund nie będzie nic widział, oślepiony przez racę. Walter biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, spodziewając się w każdej chwili kolejnego strzału. W pół minuty dotarł do brytyjskich zasieków i z ulgą opadł na klęczki. Pospiesznie zaczął czołgać się przez lukę. Rozbłysła następna raca. Wciąż znajdował się w zasięgu strzału, ale nie był już tak dobrze widoczny. Przepadł do ziemi. Raca paliła się bezpośrednio nad nim i kawał płonącej magnezji upadł niebezpiecznie blisko jego ręki, ale kolejnych strzałów nie było. Kiedy raca zgasła, podniósł się i pobiegł do niemieckich okopów.

II.

Dwie mile za brytyjskimi liniami Fitz niespokojnie obserwował, jak 8. Batalion formuje szyk zaraz po drugiej nad ranem. Obawiał się, że ci świeżo przeszkoleni ludzie przyniosą mu wstyd, ale tak się nie stało. Byli zdyscyplinowani i skwapliwie wykonywali rozkazy. Brygadier, siedząc na koniu, wygłosił krótką przemowę. Był oświetlony od dołu latarką sierżanta i wyglądał jak bandyta z amerykańskiego filmu.

– Nasza artyleria rozbiła niemiecką linię obrony – oznajmił. – Kiedy tam dotrzecie, znajdziecie tylko martwych Niemców.

Gdzieś w pobliżu mówiący z walijskim akcentem głos mruknął:

– To prawdziwy cud, że ci Niemcy wciąż do nas strzelają, chociaż są kurewsko martwi.

Fitz starał się dojrzeć mówiącego, ale było za ciemno.

– Macie zdobyć i obsadzić okopy – ciągnął brygadier. –

Potem przyjadą kuchnie polowe i wydadzą wam gorący posiłek.

Kompania B pomaszerowała w kierunku pola bitwy, prowadzona przez sierżantów. Przeszli przez pola, pozostawiając wydeptaną ścieżkę dla transportu kołowego. Odchodząc, zaczęli śpiewać Prowadź mnie do Ciebie, o Wielki Jehowo. Ich głosy unosiły się w powietrzu jeszcze kilka minut po tym, jak znikli w ciemnościach. Fitz wrócił do dowództwa batalionu. Tam czekała otwarta ciężarówka mająca przewieźć oficerów na pierwszą linię. Fitz usiadł obok porucznika Rolanda Morgana, syna nadzorcy kopalni w Aberowen.

Robił, co mógł, żeby zniechęcać ludzi do defetystycznej gadaniny, lecz mimo woli zastanawiał się, czy brygadier nie poszedł za daleko w przeciwną stronę. Jeszcze nigdy żadna armia nie przeprowadziła takiej ofensywy jak ta i nikt nie mógł być pewny jej

wyniku. Siedmiodniowy ostrzał artyleryjski bynajmniej nie rozbił niemieckiej linii obrony. Niemcy wciąż odpowiadali ogniem, jak to sarkastycznie wytknął ten anonimowy żołnierz. Prawdę mówiąc, Fitz to samo napisał w swoim raporcie, po czym pułkownik Hervey zapytał go, czy się boi.

Fitz był zaniepokojony. Kiedy sztabowcy nie chcą słuchać złych wieści, giną ludzie.

Jakby na potwierdzenie tego, na drodze za nimi eksplodował pocisk. Fitz obejrzał się i zobaczył rozlatujące się w powietrzu kawałki takiej samej ciężarówki jak ta, w której jechał. Następny wóz gwałtownie skręcił do rowu i wpadła na niego ciężarówka jadąca za nim. To był okropny widok, lecz kierowca ich samochodu najzupełniej słusznie nie zatrzymał się, by pomóc tamtym. Rannych należy pozostawić sanitariuszom.

Kolejne pociski spadały na pole po lewej i prawej. Niemcy ostrzeliwali dojścia do pierwszej linii, a nie samą linię. Widocznie domyślili się, że wkrótce nastąpi zmasowany atak – koncentracji takiej ilości wojska nie dało się ukryć przed ich wywiadem – i ze śmiertelnością skutecznością zabijali ludzi, którzy jeszcze nawet nie dotarli do okopów. Fitz starał się zwalczyć budzący się w nim lęk, ale bezskutecznie. Kompania B może nawet nie dotrzeć na pole bitwy.

Bez dalszych niespodzianek dojechali na miejsce zbiórki. Było już tam kilka tysięcy żołnierzy opierających się o swoje karabiny i rozmawiających ścisłymi głosami. Fitz usłyszał, że kilka grup już zostało zdziesiątkowanych przez ostrzał. Czekał, zastanawiając się ponuro, czy jego kompania jeszcze istnieje. W końcu jednak, ku jego ogromnej uldze, Chłopcy z Aberowen przybyli w pełnym składzie i sformowali szyk. Fitz przeprowadził ich przez kilkadziesiąt ostatnich jardów do okopu zbiorczego na pierwszej linii. Teraz nie mieli nic innego do roboty, jak czekać na godzinę zero. W okopach stała woda i owijacze Fitz'a szybko przemokły. Teraz wszelkie śpiewy były zabronione: może je usłyszeć wróg. Palenia także zakazano. Niektórzy się modlili. Jakiś wysoki żołnierz wyjął książeczkę żołdu i zaczął wypełniać stroniczkę „ostatniej woli i testamentu” przy wąskiej smudze światła latarki sierżanta Elijaha Jonesa. Pisał lewą ręką i Fitz rozpoznał w nim Morrisona, byłego lokaja z Ty Gwyn i leworęcznego rzucającego w drużynie krykieta. Świt przyszedł wcześniej – środek lata minął zaledwie przed kilkoma dniami. W jego świetle niektórzy mężczyźni wyjmowali zdjęcia i patrzyli na nie albo je całowali. Fitzowi wydawało się to zbyt sentymentalne i wahał się, czy pójść za ich przykładem, ale po chwili zrobił to. Na zdjęciu był jego syn, George, którego nazywali Boy. Miał teraz osiemnaście miesięcy, lecz zdjęcie zostało zrobione w dniu jego pierwszych urodzin. Widocznie Bea zabrała go do zakładu fotograficznego, gdyż tłem była kiczowata, pełna kwiatów polana. Mały nie wyglądał jak chłopiec w czymś białym podobnym do sukienki i w czepku, ale był cały i zdrowy i mógł odziedziczyć tytuł hrabiego, gdyby Fitz dzisiaj zginął. Fitz zakładał, że Bea i Boy są teraz w Londynie. Był lipiec i trwał sezon spotkań towarzyskich, aczkolwiek stonowany. Dziewczęta muszą jednak debiutować na balach, bo inaczej gdzie znajdą odpowiednich mężów?

Zrobiło się jaśniej, a potem wyszło słońce. Stalowe hełmy Chłopców z Aberowen błyszcząły, a w bagnetach odbijał się blask poranka. Większość z nich nigdy nie brała udziału w bitwie. Jakież czeka ich chrzest? Zwycięstwo czy klęska?

Z nadejściem dnia brytyjska artyleria rozpoczęła intensywny ostrzał. Artylerzyści dawali z siebie wszystko. Może ten ich ostatni wysiłek zniszczy w końcu niemieckie pozycje. Zapewne o to modli się generał Haig.

Chłopcy z Aberowen nie szli w pierwszym rzucie, ale Fitz poszedł spojrzeć na pole bitwy, pozostawiając porucznikom dowodzenie kompanią B. Przecisnął się przez tłum ludzi czekających

w okopach pierwszej linii, po czym stanął na stopniu i spojrzął przez szparę między workami ułożonymi na przedpiersiu. Poranna mgła rozpraszała się, przeganiana przez promienie wschodzącego słońca. Niebieskie niebo plamił ciemny dym wybuchających pocisków. Fitz stwierdził, że to będzie piękny dzień francuskiego lata.

– Dobra pogoda na zabijanie Niemców – rzucił w przestrzeń. Pozostał na pierwszej linii aż do godziny zero. Chciał zobaczyć, co się stanie z pierwszą falą atakujących. Może da się wyciągnąć z tego jakieś wnioski. Chociaż przebywał we Francji od niemal dwóch lat, po raz pierwszy miał dowodzić ludźmi w walce i był tym bardziej zdenerwowany niż myślał, że może zginąć. Każdy żołnierz dostał rację rumu. Fitz wypił trochę. Chociaż alkohol rozgrzał mu żołądek, nadal był spięty. Godziną zero ogłoszono siódmą trzydzieści. Kiedy minęła siódma, wszyscy zamilkli.

O siódmej dwadzieścia ucichły brytyjskie działa.

– Nie! – głośno powiedział Fitz. – Jeszcze nie. Za wcześnie! Oczywiście nikt go nie słuchał. Był przerażony. Przecież to zdradzi Niemcom, że zaraz nastąpi atak. Z pewnością już wybiegają z ziemianek, wyciągają karabiny maszynowe i zajmują pozycje. Artylerzyści dali nieprzyjacielowi dziesięć minut na przygotowania! Powinni ostrzeliwać ich do ostatniej chwili, jeszcze sekundę przed siódmą trzydzieści.

Teraz jednak nic już nie można było na to poradzić.

Fitz zastanawiał się ponuro, ilu ludzi umrze z powodu tego błędu.

Sierzanci wydali rozkaz i wokół Fitz'a ludzie wspięli się po drabinach i wygramolili na przedpiersie okopu. Zajęli pozycje przed brytyjskimi zasiekami. Znajdowali się jakieś ćwierć mili od Niemców, ale jeszcze nikt do nich nie strzelał. Ku zdumieniu Fitz'a sierżanci rozkazali: „Równaj w prawo!”. Żołnierze zaczęli ustawiać się jak na placu defiladowym, dokładnie korygując odstęp między sobą, aż stanęli równo jak kręgle w kręgielni. Zdaniem Fitz'a to było czyste szaleństwo i tylko dało Niemcom więcej czasu na przygotowania.

O siódmej trzydzieści rozległ się gwizdek, sygnaliści opuścili flagi i pierwszy szereg ruszył naprzód.

Nie biegli, obciążeni ekwipunkiem: każdy z nich niósł dodatkową amunicję, płachtę przeciwdeszczową, żywność i wodę oraz dwie bomby Millsa, czyli ręczne granaty o łącznej wadze około dwóch kilogramów. Ruszyli truchtem, rozpryskując wodę w lejach po pociskach, przechodząc przez luki w brytyjskich zasiekach. Zgodnie z rozkazem znów sformowali szereg i ruszyli tyraliera, ramię przy ramieniu, przez ziemię niczyją.

Kiedy byli w połowie drogi, niemieckie karabiny maszynowe otworzyły ogień.

Na sekundę przed tym, zanim usłyszał znajomy grzechot, Fitz zobaczył, jak ludzie zaczynają padać. Najpierw jeden, potem dziesięciu, dwudziestu i więcej.

– O mój Boże – jęknął, widząc, jak padło pięćdziesięciu i stu.

Przerażony patrzył na tę rzeź. Niektórzy trafieni wyrzucali ręce w górę, inni krzyczeli lub skręcali się w konwulsjach, jeszcze inni po prostu bezwładnie osuwali się na ziemię, jak worki.

To było gorsze od pesymistycznych przewidywań Gwyna Evansa, gorsze od najstraszniejszych obaw Fitz'a.

Zanim dotarli do niemieckich okopów, większość z nich poległa. Znowu rozległ się dźwięk gwizdka i do ataku ruszył drugi szereg.

Szeregowiec Robin Mortimer był wściekły.

– To pierdolona głupota – powiedział, gdy usłyszeli trzask karabinów maszynowych. – Powinniśmy uderzyć po ciemku. Nie przechodzi się przez ziemię niczyją za dnia. Nawet nie zrobili zasłony dymnej. To pierdolone samobójstwo.

Ludzie w okopie zbiorczym byli zdenerwowani. Billy niepokoił się osłabieniem morale w oddziale Chłopców z Aberowen. Podczas marszu z obozu na linię frontu przeżyli pierwszy ostrzał artyleryjski. Ich kolumna nie została bezpośrednio trafiona, ale oddziały przed i za nimi zostały zmasakrowane. Co było niemal równie okropne – przeszli obok szeregu świeżo wykopanych dołów o głębokości sześciu stóp każdy i domyślili się, że są to zbiorowe mogiły, przygotowane dla tych, którzy dzisiaj zginą.

– Wiatr nie pozwala położyć zasłony dymnej – spokojnie tłumaczył Prorok Jones. – To dlatego nie używają gazu.

– Pieprzone szaleństwo – mruknął Mortimer.

– Dowódcy wiedzą lepiej – wesoło powiedział George Barrow. – Są urodzeni do rządzenia. Mówię wam, zostawmy to im. Tommy Griffiths nie mógł tego ścierpieć.

– Jak możesz tak uważać, skoro posłali cię do poprawczaka?

– Muszą wsadzać do więzienia takich jak ja – stanowczo odrzekł George. – Inaczej wszyscy by kradli. Nawet mnie ktoś mógłby obrobić!

Wszyscy parsknęli śmiechem, poza smętnym Mortimerem.

Znów pojawił się major Fitzherbert z ponurą miną, niosąc dzbanek rumu. Rozdzielił wszystkim racje, nalewając rum do blaszanych kubków. Billy bez entuzjazmu wypił swoją porcję. Mocny trunek poprawił humory, ale nie na długo.

Billy tak czuł się tylko tamtego pierwszego dnia w kopalni, kiedy Rhys Price zostawił go samego i zgasła mu lampa. Wtedy pomogło mu widzenie. Niestety, Jezus pokazuje się chłopcom o rozgorączkowanej wyobraźni, a nie trzeźwym, praktycznie myślącym mężczyznom. Dzisiaj Billy był zdany tylko na siebie. Zbliżyła się chwila próby, może już za kilka minut. Czy wystarczy mu odwagi? Jeśli nie – jeżeli zwinie się w kłębek na ziemi, zamknie oczy, wybuchnie płaczem lub ucieknie – będzie się wstydził do końca życia. Wolałby umrzeć, pomyślał, tylko czy nadal będę tak uważał, kiedy zaczniesz się strzelanina? Przeszli kilka kroków.

Wyjął portfel. Mildred dała mu swoje zdjęcie. Była na nim w płaszczu i kapeluszu. Wolałby pamiętać ją taką jak wtedy, gdy poszedł w nocy do jej sypialni.

Zastanawiał się, co teraz robi. Dziś sobota, więc zapewne jest u Manniego Litova i szyje mundury. Był późny ranek, toteż kobiety lada chwila zrobią sobie przerwę. Może Mildred opowie im jakąś śmieszna historię.

Myślał o niej cały czas. Ich wspólna noc była przedłużeniem lekcji całowania. Powstrzymała go, gdy próbował szarżować jak byk, i nauczyła powolniejszych, bardziej wyrafinowanych sposobów, pieszczot tak niesamowicie przyjemnych, że przechodzących wszelkie wyobrażenia. Całowała jego ptaszka, a potem poprosiła, żeby też ją tam całował. Co więcej, pokazała, jak ma to robić, żeby krzyczała z rozkoszy. W końcu wyjęła z szuflady nocnej szafki kondom. Nigdy jeszcze nie widział prezerwatywy, chociaż chłopcy rozmawiali o nich, nazywając je gumowymi kalesonami. Nałożyła mu go i nawet to wydawało mu się podniecające.

To było jak sen i musiał wciąż sobie przypominać, że zdarzyło się naprawdę. Sposób, w jaki go wychowano, nie przygotował go na swobodne i obojętne podejście Mildred do seksu, które dla niego było objawieniem. Jego rodzice, podobnie jak większość mieszkańców Aberowen, nazwaliby ją „nieodpowiednią” kobietą z dwojgiem dzieci i bez męża, ale Billy'emu nie przeszkadzałoby nawet, gdyby miała sześcioro dzieci. Otworzyła przed nim bramy rajy i pragnął znów tam wejść. A ponad wszystko chciał przeżyć

dzisiejszy dzień, żeby znów zobaczyć Mildred i spędzić z nią następną noc.

Gdy Chłopcy z Aberowen szli naprzód, powoli zbliżając się do pierwszej linii okopów, Billy stwierdził, że się poci.

Owen Bevin zaczął płakać.

– Weźcie się w garść, szeregowy Bevin – szorstko rzucił

Billy. – Płacz nic nie da, no nie?

– Chcę do domu – jęknął chłopiec.

– Ja też, chłopie, ja też.

– Proszę, kapralu, nie wiedziałem, że to tak będzie.

– A właściwie ile ty masz lat?

– Szesnaście.

– Jasna cholera – zaklął Billy. – Jak się zaciągnąłeś?

– Powiedziałem lekarzowi, ile mam lat, a on na to: „Idź i wróć rano. Jesteś wysoki jak na swój wiek, może do jutra będziesz miał osiemnaście”. I puścił do mnie oko, wiesz, więc zrozumiałem, że muszę skłamać.

– Skurwiel – syknął Billy.

Spojrzał na Owena. Z tego chłopca nie będzie żadnego pożytku na polu bitwy. Trzęsie się i płacze.

Billy zwrócił się do porucznika Carltona-Smitha.

– Panie poruczniku, Bevin ma dopiero szesnaście lat.

– Dobry Boże – sapnął porucznik.

– Trzeba go odesłać na tyły. Tylko będzie z nim kłopot.

– Sam nie wiem...

Carlton-Smith też wyglądał na zagubionego i bezradnego.

Billy przypomniał sobie, jak Prorok Jones próbował zrobić sprzymierzeńca z Mortimera. Prorok to dobry dowódca, umiejący przewidzieć problemy i starający się im zapobiec, natomiast Carlton-Smith jest do niczego, a jednak to on tu dowodzi. Właśnie dlatego nazywa się to systemem klasowym, powiedziałby ojciec.

Po chwili Carlton-Smith podszedł do Fitzherberta i coś do niego powiedział. Major pokręcił głową, a Carlton-Smith bezradnie wzruszył ramionami.

Wychowanie Billy'ego nie pozwalało mu obojętnie przyglądać się okrucieństwu.

– Panie majorze, ten chłopiec ma dopiero szesnaście lat!

– Teraz już za późno na takie wyznania – rzekł Fitzherbert. – I nie odzywajcie się niepytani, kapralu.

Billy wiedział, że Fitzherbert go nie poznał. Billy był tylko jednym z setek mężczyzn pracujących w kopalniach hrabiego.

Fitzherbert nie wiedział, że jest bratem Ethel. Mimo to takie lekceważące traktowanie rozżłościło Billy'ego.

– To łamanie prawa – rzekł z uporem.

W innych okolicznościach Fitzherbert pierwszy wygłaszałby wykłady o konieczności poszanowania prawa.

– Ja to osądzę – z irytacją odparł Fitz. – Od tego jestem oficerem.

W Billym zagotowała się krew. Fitzherbert i Carlton-Smith stoją sobie w swoich szytych na miarę mundurach, gniewnie patrząc na Billy'ego w jego szorstkim polowym uniformie, myśląc, że wszystko im wolno.

– Prawo jest prawem – powiedział Billy.

– Widzę, że zapomniał pan dziś swojej laseczki, majorze Fitzherbert – spokojnie powiedział Prorok. – Mogę wysłać Bevina do kwatery, żeby ją panu przyniósł?

To kompromis pozwalający wyjść z tego z twarzą, pomyślał Billy. Dobra robota, Proroku.

Jednak Fitzherbert tego nie kupił.

– Nie bądź śmieszny – prychnął.

Nagle Bevin rzucił się do ucieczki. Wpadł w tłum stojących za nim ludzi i po chwili znikł im z oczu. To było tak zaskakujące, że niektórzy zaczęli się śmiać.

– Nie ucieknie daleko – orzekł Fitzherbert. – A kiedy go złapiesz, to nie będzie zabawne.

– To jeszcze dzieciak! – krzyknął Billy.

Fitzherbert przeszył go wzrokiem.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Williams, panie majorze.

Fitzherbert był zaskoczony, ale szybko się opanował.

– Są setki Williamsów – stwierdził. – Jak masz na imię?

– William, panie majorze. Nazywają mnie Billy Podwójny.

Fitzherbert zmierzył go posępnym spojrzeniem.

Wie, pomyślał Billy. Wie, że Ethel ma brata, Billy'ego Williamsa. Odpowiedział Fitzowi takim samym spojrzeniem.

– Jeszcze słowo, szeregowy Williamie Williams – warknął Fitzherbert – a staniesz przed sądem.

Coś ze świstem przeleciało nad ich głowami. Billy uskokzył. Za nimi rozległ się ogłuszający huk. Wokół, jakby niesione huraganem, latały grudy ziemi i kawałki desek. Usłyszał krzyki. Nagle uświadomił sobie, że leży na ziemi, nie wiedząc, czy przewrócił go podmuch, czy może sam upadł. Coś ciężkiego uderzyło go w głowę i zaklął. Podkuty but z łoskotem wylądował na ziemi tuż przy jego twarzy. W bucie tkwiła noga. Oderwana od ciała.

– O Chryste – jęknął.

Podniósł się. Nie był ranny. Rozejrzał się, szukając ludzi ze swojej drużyny. Tommy, George Barrow, Mortimer... wszyscy wstawali z ziemi. Teraz przesuwali się do przodu, nagle widząc w pierwszej linii drogę ucieczki.

– Pozostać na stanowiskach! – krzyknął major Fitzherbert.

– Nie ruszać się – powiedział Prorok Jones.

To powstrzymało prących naprzód. Billy próbował strzepnąć błoto z mundurku. Wtedy za nimi wybuchł następny pocisk. Ten chyba spadł nieco dalej, ale nie zrobiło to większej różnicy. Huk, podmuch i znów grad ziemi i części ciała. Ludzie zaczęli gramolić się z okopu na przedpiersie i boki. Billy i jego drużyna dołączyli do nich. Fitzherbert, Carlton-Smith i Roland Morgan wrzeszczeli, że mają pozostać na swoich miejscach, ale nikt ich nie słuchał. Pobiegli, chcąc oddalić się na bezpieczną odległość od miejsca, gdzie padały pociski. Zbliżając się do brytyjskich zasieków, zwolnili i zatrzymali się na skraju ziemi niczyjej, uświadomiwszy sobie, że przed nimi czai się niebezpieczeństwo równie wielkie jak to, przed którym uciekają.

Nie mając innego wyjścia, oficerowie dołączyli do nich.

– Formować szyk! – rozkazał Fitzherbert.

Billy spojrział na Proroka. Sierżant zawahał się, po czym usłuchał.

– Do szeregu, do szeregu! – krzyknął.

– Spójrz na to – powiedział do Billy'ego Tommy.

– Na co?

– Za drutami.

Billy popatrzył.

– Ciało – rzekł Tommy.

Dopiero wtedy Billy zobaczył, o co mu chodzi. Ziemia była usłana zwłokami w mundurach khaki, straszliwie okaleczonymi lub leżącymi spokojnie jak we śnie albo splecionymi w uścisku niczym kochankowie.

Były ich tysiące.

– Jezu, pomóż nam – szepnął Billy.

Mdliło go. Co to za świat? Jaki cel może mieć Bóg, pozwalając na coś takiego?

Kompania A stanęła w szeregu, a Billy i reszta kompanii B ustawili się za nimi.

Zgroza Billy'ego zmieniła się w gniew. Hrabia Fitzherbert i jemu podobni to zaplanowali. To oni dowodzą i ich należy winić za tę rzeź. Powinno się ich wystrzelać, pomyślał z furją, każdego z tych cholernych drani.

Porucznik Morgan dmuchnął w gwizdek i kompania A pobiegła naprzód jak drużyna rugby. Carlton-Smith zagwizdał swoim i Billy zaczął biec.

Wtedy niemieckie karabiny maszynowe otworzyły ogień.

Żołnierze z kompanii A zaczęli padać i Morgan upadł pierwszy. Nawet nie zdążyli wystrzelić. To nie była bitwa, ale masakra. Billy popatrzył na otaczających go żołnierzy. Wezbrał w nim bunt. Oficerowie zawiedli. Ludzie powinni sami podejmować decyzje.

Do diabła z rozkazami.

– Ołać to! – krzyknął. – Kryć się!

I rzucił się do leja po pocisku. Jego boki były błotniste, a na dnie stała cuchnąca woda, ale z ulgą przywarł do lepkiej ziemi, gdy kule przelatowały mu nad głową. Po chwili obok niego znalazł się Tommy, a potem reszta drużyny. Ludzie z innych pododdziałów naśladowali Billy'ego.

Fitzherbert przebiegł obok ich leja.

– Ruszać się, ludzie! – krzyknął.

– Jeśli będzie się upierał, zastrzelę skurwiela – zapowiedział Billy.

Nagle Fitzherberta trafiły kule z karabinu maszynowego. Krew trysnęła mu z policzka i jedna noga ugięła się pod nim. Upadł na ziemię.

Billy uświadomił sobie, że oficerom grozi takie samo niebezpieczeństwo jak zwykłym żołnierzom. Opuścił go gniew, a jego miejsce zajął wstyd za brytyjską armię. Dlaczego jest tak bezużyteczna? Tyle wysiłku, tyle wydanych pieniędzy i wielomiesięcznych przygotowań – i wielki atak okazał się fiaskiem. To upokarzające.

Billy się rozejrzał. Fitz leżał nieruchomo, nieprzytomny. W polu widzenia nie było porucznika Carltona-Smitha ani sierżanta Jonesa. Pozostali żołnierze patrzyli na Billy'ego. Był tylko kapralem, ale spodziewali się, że powie im, co mają robić.

Odwrócił się do Mortimera, który kiedyś był oficerem.

– Co myślisz...

– Nie patrz na mnie, walijski ciołku – kwaśno powiedział Mortimer. – Jesteś pierdolonym kapralem.

Billy zrozumiał, że musi obmyślić jakiś plan.

Nie zamierzał poprowadzić ich z powrotem. Nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Byłoby to marnotrawstwo życia tych, którzy już zginęli. Musimy nadać temu wszystkiemu jakiś sens, pomyślał, musimy czegoś dokonać.

Z drugiej strony nie zamierzał rzucać się pod ogień karabinów maszynowych.

Przede wszystkim powinien się rozejrzeć.

Zdjął stalowy hełm i trzymając go w wyciągniętej ręce, podniósł nad krawędź leja jako przynętę, na wypadek gdyby jakiś Niemiec trzymał ich na muszce. Jednak nic się nie stało.

Wystawił głowę z leja, spodziewając się kuli w czoło. Nikt do niego nie strzelił.

Popatrzył na ziemię niczyją i w górę, za niemieckie zasieki i na ich pierwszą linię umocnień wykopanych w zboczu wzgórza.

Zobaczył lufy karabinów wystające z otworów strzelniczych.

– Gdzie jest ten pierdolony karabin maszynowy? – zapytał Tommy'ego.

– Nie jestem pewny.

Obok nich przebiegła kompania C. Niektórzy poszukali osłony, lecz inni szli w szeregu. Karabin maszynowy znów otworzył ogień, szarpiąc tyralierę i kosząc ludzi jak kręgle. Billy już nie był zaszokowany. Szukał miejsca, z którego padały kule.

– Mam go – powiedział Tommy.

– Gdzie?

– Poprowadź linię prostą stąd do tej kępy krzaków na szczycie wzgórza.

– Dobrze.

– Zobacz, gdzie ta linia przecina niemieckie okopy.

– Tak.

– A teraz kawałek w prawo.

– Jak daleko... nieważne, już widzę drani.

Przed Billym i trochę na prawo z okopu sterczało coś, co mogło być stalową osłoną, a z niej wystawała charakterystyczna lufa karabinu maszynowego. Billy'emu wydało się, że dostrzega tam trzy niemieckie hełmy, ale nie miał pewności.

Zapewne skupili się na tej luce w brytyjskich zasiekach, pomyślał. Strzelają do tych, którzy atakują tamtędy na wprost. Trzeba zaatakować pod innym kątem. Gdyby nasza drużyna zdołała przesunąć się wzdłuż ziemi niczyjej, moglibyśmy uderzyć na gniazdo tego karabinu maszynowego od lewej, podczas gdy Niemcy będą patrzyli w prawo.

Zaplanował trasę z wykorzystaniem trzech dużych lejów, z których ostatni znajdował się tuż obok spłaszczonego przez wybuch odcinka niemieckich zasieków.

Nie miał pojęcia, czy to właściwa strategia, ale właściwa strategia tego ranka doprowadziła do śmierci tysięcy ludzi, więc do diabła z nią.

Zsunął się do leja i popatrzył na swoich ludzi. George Barrow, pomimo młodego wieku, był dobrym strzelcem.

– Kiedy ten karabin maszynowy znów otworzy ogień, przygotuj się. Gdy tylko przestanie strzelać, ty zacznij. Przy odrobinie szczęścia poszukają osłony. Ja pobiegnę do tamtego leja. Strzelaj cały czas, aż opróżnisz magazynek. Masz dziesięć naboń, to wystarczy na pół minuty. Zanim Niemcy podniosą głowy, powinienem być w następnym leju. – Spojrzał na pozostałych. – Zaczekajcie, aż znów przerwą ogień, a potem wszyscy pobiegnijcie tam, osłaniany przez Tommy'ego. Za trzecim razem ja będę osłaniał was ogniem, a Tommy dobiegnie do nas.

Kompania D wbiegła na ziemię niczyją. Karabin maszynowy otworzył ogień. Jednocześnie strzelano z karabinów i moździerzy. Jednak ofiar było mniej, ponieważ ludzie chowali się w lejach po pociskach, zamiast rzucać się pod grad kul.

Lada chwila, pomyślał Billy. Powiedział swoim ludziom, co zamierza zrobić, i teraz okryłby się wstydem, gdyby się wycofał. Zaciśnął zęby. Lepiej być trupem niż tchórzem, powiedział sobie. Karabin maszynowy przestał strzelać.

Billy natychmiast zerwał się na równe nogi. Teraz stanowi dobry cel. Pochylił się i pobiegł.

Za jego plecami Barrow zaczął strzelać. Teraz ten siedemnas-toletni chłopak z poprawczaka ma w rękach życie Billy'ego. George strzelał miarowo: bach, dwa, trzy; bach, dwa, trzy – tak jak mu kazał.

Billy pędził najszybciej, jak mógł, objuczony ekwipunkiem. Buty grzęzły mu w błocie, oddech wiązał w gardle i kłuło go w piersi, ale myślał tylko o tym, że musi biec jeszcze szybciej. Nigdy nie był tak bliski śmierci.

Kiedy był jeszcze parę jardów od leja, cisnął do niego karabin i rzucił się za nim szczupakiem, jakby chciał powstrzymać przeciwnika na meczu rugby. Wylądował na skraju leja i sturlał się po błocie. Nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje.

Usłyszał chóralny okrzyk. To jego drużyna przyjęła aplauzem udany bieg. Dziwił się, że zachowali tyle animuszu pośród tej rzezi. Ludzie to dziwne istoty.

Kiedy złapał oddech, ostrożnie wyjrzał z leja. Przebiegł około stu jardów. Przebycie w ten sposób ziemi niczyjej zajmie sporo czasu. Jednak alternatywą jest samobójstwo.

Karabin maszynowy znów zaczął strzelać. Kiedy przestał, Tommy otworzył ogień. Poszedł za przykładem George'a i robił krótkie przerwy między kolejnymi strzałami. Jak szybko się uczymy, kiedy nasze życie jest zagrożone, pomyślał Billy. Tommy wystrzelił dziesiątą i ostatnią kulę magazynka, a reszta drużyny

wylądowała w leju obok Billy'ego.

– Przesuńcie się bliżej! – krzyknął, pokazując przód leja. Niemieckie pozycje znajdowały się wyżej i Billy bał się, że nieprzyjaciel może widzieć tylną część krateru.

Oparł karabin o krawędź leja i wycelował w gniazdo karabinu maszynowego. Po pewnym czasie Niemcy znów otworzyli ogień. Kiedy przerwali, Billy zaczął strzelać. W duchu modlił się, żeby Tommy biegł szybko. Uświadomił sobie, że bardziej zależy mu na Tommym niż na wszystkich pozostałych żołnierzach z drużyny razem wziętych. Spokojnie celował i strzelał w regularnych, około pięciosekundowych odstępach. Nieważne, czy kogoś trafi, byle zmusić Niemców do szukania osłony, dopóki Tommy biegnie.

Iglica z suchym trzaskiem trafiła w pustą komorę i Tommy wylądował obok niego.

– Jasna cholera – zaklął. – Ile jeszcze razy musimy to zrobić?

– Chyba jeszcze dwa – odparł Billy, ładując magazynek. – Potem albo znajdziemy się dostatecznie blisko, żeby rzucić bombę Millsa... albo wszyscy będziemy kurewsko martwi.

– Nie przeklinaj, Billy – z poważną miną poprosił Tommy. – Wiesz, że uważam to za niesmaczne.

Billy zachichotał. I zaraz zadał sobie pytanie, jak może się śmiać. Siedzą w leju po pocisku i cała niemiecka armia do mnie strzela, a ja się śmieję, pomyślał. Boże dopomóż.

W ten sam sposób dostali się do następnego leja, ale ten był trochę dalej i tym razem stracili jednego człowieka. Joey Ponti dostał w głowę, kiedy biegł. George Barrow podniósł go i doniósł do leja, ale Joey nie żył, z krwawiącą dziurą w głowie.

Billy zastanawiał się, gdzie jest jego młodszy brat Johnny. Nie widział go, od kiedy opuścili okopy. To ja będę musiał mu o tym powiedzieć, pomyślał. Johnny uwielbiał swojego starszego brata.

W tym leju były jeszcze inne trupy. W cuchnącej wodzie unosiły się trzy ciała w mundurach khaki. Zapewne to jedni z pierwszych, którzy wyszli z okopu. Billy dziwił się, jak zdołali dotrzeć tak daleko. Zapewne przypadkiem. Pociski musiały ominąć niektórych idących w pierwszym szeregu, a potem skosiły ich podczas odwrotu.

Inne pododdziały zbliżały się teraz do niemieckich linii, stosując podobną taktykę. Albo naśladowały grupę Billy'ego, albo – co bardziej prawdopodobne – wpadły na ten sam pomysł, porzucając idiotyczny atak tyraliera nakazany przez oficerów i wypracowując własną, rozsądniejszą taktykę. W rezultacie przebieg wydarzeń nie był już tak sprzyjający dla Niemców. Ostrzeliwani, nie mogli nieustannie zasypywać Brytyjczyków gradem kul. Pewnie dlatego grupka Billy'ego dotarła do następnego leja bez żadnych strat. A nawet powiększyła się o jednego człowieka. Obok Billy'ego leżał jakiś nieznanomy żołnierz.

– Skąd się tu, kurwa, wzięłeś? – zapytał Billy.

– Zgubiłem mój oddział – wyjaśnił żołnierz. – Wygląda na to, że wiecie, co robicie, więc poszedłem za wami. Mam nadzieję, że nie macz nic przeciwko temu.

Mówił z akcentem, który wydał się Billy'emu kanadyjski.

– Dobrze rzucasz? – zapytał go.

– W ogólniaku grałem w reprezentacji szkoły.

– Dobrze. Kiedy powiem, postaraj się wrzucić bombę Millsa do tego gniazda karabinu maszynowego.

Billy kazał Pryszczatemu Llewellynowi i Ałunowi Pritchardowi rzucać granaty, kiedy reszta drużyny będzie osłaniać ich ogniem. Znowu zaczęli czekać, aż karabin maszynowy przestanie strzelać.

– Teraz! – wrzasnął Billy i wstał.

Z niemieckiego okopu posypały się kule. Pryszczaty i Ałun,

przestraszeni strzałami, rzucili niecelnie. Oba granaty nie doleciały do odległego o pięćdziesiąt jardów okopu, upadając przed nim i nie wyrządzając żadnych szkód. Billy zaklął. Nie udało im się zniszczyć karabinu maszynowego, który oczywiście znów otworzył ogień. Chwilę później Pryszczaty skręcał się w konwulsjach, gdy kule przeszły jego ciało.

Billy poczuł, że ogarnia go dziwny spokój. Przez sekundę przymierzał się, robiąc szeroki zamach. Oceniał odległość, jakby rzucał piłką do rugby. Niejasno zdał sobie sprawę, że stojący obok niego Kanadyjczyk jest tak samo spokojny. Karabin maszynowy terkotał i grzechotał, obracając się ku nim.

Rzucili jednocześnie.

Oba granaty wpadły do okopu tuż przy gnieździe karabinu maszynowego. Rozległ się głuchy podwójny huk. Billy zobaczył wylatującą w powietrze lufę karabinu i wydał triumfalny okrzyk. Wyrwał zawleczkę drugiego granatu i pobiegł w górę zbocza, wrzeszcząc: „Do ataku!”.

Euforia niczym narkotyk rozgrzewała mu krew w żyłach.

Prawie nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie miał pojęcia, ilu Niemców z wycelowanymi karabinami może siedzieć w tym okopie. Jego towarzysze pobiegli za nim. Rzucił drugi granat, a oni poszli za jego przykładem. Część nie trafiła, inne wpadły do okopu i wybuchły.

Billy dobiegł do okopu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że karabin ma zawieszony na ramieniu. Zanim zdążyłby go zdjąć i wycelować, niemiecki żołnierz by go zastrzelił.

Jednak w okopie nie znaleźli żywych Niemców.

Granaty zebrały straszliwe żniwo. Dno okopu było usłane trupami i – co stanowiło jeszcze gorszy widok – szczątkami ciał. Jeśli jacyś Niemcy przeżyli tę masakrę, to już się wycofali. Billy zeskoczył do okopu i przygotował karabin do strzału. Niepotrzebnie. Nie został tam nikt, do kogo mógłby strzelić.

Tommy zeskoczył za nim.

– Zrobiliśmy to! – krzyknął w ekstazie. – Zdobyliśmy niemiecki okop!

Billy czuł dziką radość. Próbowali go zabić, ale to on zabił ich. Sprawilo mu to głęboką satysfakcję. Nigdy w życiu takiej nie czuł.

– Masz rację – powiedział do Tommy'ego. – Zrobiliśmy to.

Billy'ego zaskoczyła jakość niemieckich fortyfikacji. Okiem górnika potrafił ocenić solidność konstrukcji. Ściany obłożone były deskami, trawersy proste, a ziemianki zdumiewająco głębokie, wkopane na głębokość dwudziestu, a czasem trzydziestu stóp, z porządnymi framugami drzwi i drewnianymi schodkami. To wyjaśniało, w jaki sposób tylu Niemcom udało się przetrwać siedem dni nieustannego ostrzału.

Niemcy zapewne wykopali całą sieć tych okopów, z przejściami łączącymi pierwszą linię z magazynami i pomocniczymi pomieszczeniami na tyłach. Billy musiał się upewnić, iż żaden nieprzyjacielski oddział nie czai się w pobliżu. Poprowadził swoją drużynę na rozpoznanie, z karabinami gotowymi do strzału, ale nikogo nie spotkali.

Sieć okopów kończyła się na szczycie wzgórza. Stamtąd Billy rozejrzał się po okolicy. Na lewo od ich pozycji, za obszarem zniszczeń spowodowanych przez ostrzał, inny brytyjski oddział zajął sąsiedni sektor. Po prawej okop się kończył i zbocze opadało w dolinkę ze strumieniem.

Spojrzał na wschód, na terytorium wroga. Wiedział, że milę lud dwie dalej znajduje się następna sieć okopów, będących drugą linią niemieckiej obrony. Był gotowy poprowadzić swoją drużynę naprzód, ale się zawahał. Nie widział żadnych atakujących brytyjskich oddziałów i odgadł, że żołnierze wystrzelali większość amunicji. Zakładał, że w każdej chwili ciężarówki dostawcze, podskakując na nierównym terenie, przywiozą im nową amunicję i rozkazy.

Spojrzał na niebo. Zbliżało się południe. Ludzie nic nie jedli od zeszłego wieczoru.

– Zobaczmy, czy Niemcy zostawili jakąś żywność – powiedział.

Postawił Łoja Hewitta jako czujkę na szczycie wzgórza, na wypadek niemieckiego kontrataku.

W okopach nie znaleźli prawie nic do jedzenia. Wyglądało na to, że Niemcy nie byli dobrze żywieni. Wyszperali czerstwy razowiec i twardą kiełbasę podobną do salami, ale ani kropli piwa. A Niemcy podobno słyną z jakości tego trunku.

Brygadier obiecał, że kuchnie polowe pojedą za nacierającymi oddziałami, lecz niecierpliwie lustrując ziemię niczyją, Billy nie dostrzegł ani śladu zaopatrzenia.

Usiedli i zaczęli jeść swoje żelazne racje: twarde suchary i wołowinę.

Uświadomił sobie, że powinien posłać kogoś z meldunkiem.

Zanim jednak zdążył to zrobić, niemiecka artyleria przeniosła ogień. Z początku ostrzeliwała brytyjskie tyły, teraz skupiła ogień na ziemi niczyjej. Pomiędzy brytyjskimi i niemieckimi liniami wylatywały w górę wulkany ziemi. Ostrzał był tak intensywny, że nikt nie zdołałby przedostać się żywy.

Na szczęście artylerzyści nie ostrzeliwali swojej pierwszej linii. Zapewne nie wiedzieli, które odcinki zostały opanowane przez Brytyjczyków, a które pozostały w rękach Niemców.

Drużyna Billy'ego utknęła. Nie mogą iść naprzód bez amunicji i nie mogą się wycofać z powodu ostrzału. Jednak tylko Billy wydawał się zaniepokojony tą sytuacją. Pozostali zaczęli szukać pamiątek. Brali pikielhauby, odznaki i scyzoryki. George Barrow zdejmował zabitym Niemcom zegarki i obrączki. Tommy zabrał martwemu oficerowi lugera 9 milimetrów i pudełko naboju.

Zaczęli odczuwać zmęczenie. Nic dziwnego: przez całą noc byli na nogach. Billy postawił dwóch żołnierzy na warcie, a pozostałym pozwolił się przespać. Był rozczarowany: już pierwszego dnia odniósł zwycięstwo w walce i chciał komuś o tym powiedzieć. Wieczorem ostrzał ustał. Billy zastanawiał się nad odwrotem. Wydawało się to jedynym sensownym rozwiązaniem, ale obawiał się, że zostanie oskarżony o dezercję. Nie wiadomo, do czego są zdolni oficerowie.

Jednak Niemcy ułatwili mu podjęcie decyzji. Łój Hewitt, postawiony na grani, zauważył, jak zbliżają się od wschodu. Billy zobaczył duży oddział – pięćdziesięciu lub stu żołnierzy – biegnący ku nim przez dolinę. Nie mając amunicji, jego ludzie nie będą w stanie utrzymać zdobytej pozycji.

Natomiast jeśli się wycofają, mogą zostać oskarżeni o tchórzostwo.

Poderwał swoją garstkę żołnierzy.

– Dobrze, chłopcy – powiedział. – Otwórzcie ogień, a potem wycofamy się, gdy skończy się wam amunicja.

Opróżnił magazynek, strzelając do nacierających nieprzyjaciół, którzy znajdowali się jeszcze pół mili poza zasięgiem strzałów, po czym odwrócił się i uciekł. Pozostali zrobili to samo.

Wygramolili się z niemieckich okopów i pobiegli z powrotem przez ziemię niczyją, przeskakując przez ciała zabitych i omijając sanitariuszy zbierających rannych. Nikt do nich nie strzelał.

Billy dotarł na brytyjską stronę i wskoczył do okopu pełnego zabitych, rannych i wyczerpanych żołnierzy, takich jak on. Zobaczył leżącego na noszach majora Fitzherberta z zakrwawioną twarzą, lecz otwartymi oczami, żywego i oddychającego miarowo.

Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zginął, pomyślał Billy. Wielu żołnierzy siedziało lub leżało w błocie, gapiąc się w pustkę, otępiali od szoku i sparaliżowani zmęczeniem. Oficerowie próbowali zorganizować powrót ludzi i transport ciał na tyły. Nie wyczuwało się triumfu i nikt nie próbował kontynuować ataku, a oficerowie nawet nie patrzyli na pobojuwisko. Ofensywa okazała

się porażką.

Pozostali przy życiu żołnierze z drużyny Billy'ego wskoczyli za nim do okopu.

– Co za syf – jęknął Billy. – Co za cholerny syf.

IV.

Tydzień później Owen Bevin stanął przed sądem wojennym oskarżony o tchórzostwo i dezercję.

Dano mu możliwość obrony podczas procesu – przydzielono oficera mającego pełnić funkcję „przyjaciela więźnia” – ale ją odrzucił. Ponieważ wyrok skazujący był równoznaczny z karą śmierci, automatycznie przewidziano możliwość wniosku o uniewinnienie. Jednak Bevin nic nie powiedział na swoją obronę. Proces trwał niecałą godzinę. Bevin został uznany za winnego. Skazano go na karę śmierci.

Dokumenty przekazano do kwatery głównej do przejrzenia.

Głównodowodzący zatwierdził karę śmierci. Dwa tygodnie później, na błotnistym francuskim pastwisku, Bevin stanął o świcie z opaską na oczach przed plutonem egzekucyjnym.

Niektórzy żołnierze widocznie specjalnie starali się chybić, gdyż po salwie Bevin wciąż był żywy, chociaż zakrwawiony.

Dowódca plutonu egzekucyjnego podszedł do niego, wyjął pistolet i z bliska strzelił mu dwa razy w czoło.

I wtedy, w końcu, Owen Bevin umarł.

ROZDZIAŁ 18

Koniec lipca 1916 roku

i.

Billy znalazł się we Francji, Ethel zaś dużo rozmyślała o życiu i śmierci. Wiedziała, że być może już nigdy go nie zobaczy. Ucieszyła się na wieść o tym, że stracił dziewictwo z Mildred.

– Pozwoliłam twojemu braciszкови dać upust niecnym chuciom – oznajmiła Mildred beztrąsko, gdy Billy wyjechał. – Uroczy chłopiec. Macie takich więcej w Walii?

Ethel podejrzewała, że uczucia Mildred nie są tak powierzchowne, jak je przedstawia. Podczas wieczornej modlitwy Enid i Lillian prosiły Boga, by opiekował się wujkiem Billym we Francji i pozwolił mu bezpiecznie wrócić do domu.

Kilka dni później Lloyd nabawił się ostrej infekcji w klatce piersiowej. Zrozpaczona Ethel kołysała synka na rękach, a on z trudem oddychał. Przerażona, że może umrzeć, gorzko pożałowała, że jej rodzice nigdy nie widzieli wnuka. Gdy tylko wyzdrowiał, postanowiła zabrać go do Aberowen.

Wracała dokładnie dwa lata po wyjeździe. Padał deszcz.

Miasteczko niewiele się zmieniło, lecz wywarło na niej przygnębiające wrażenie. W ciągu pierwszych dwudziestu jeden lat życia nie patrzyła na nie w taki sposób, lecz teraz, znając Londyn, zauważyła, że całe Aberowen jest jednobarwne. Wszystko tonęło w szarości: domy, ulice, hałdy żużlu i niskie deszczowe chmury przepływające posępnie nad górami.

Czuła znużenie, wychodząc z dworca w samym środku popołudnia. Całodniowa podróż z półtorarocznym dzieckiem bardzo ją zmęczyła. Lloyd był greczny i oczarowywał współpasażerów uroczym uśmiechem, lecz trzeba było go karmić w trzęsącym wagonie, zmieniać pieluchy w cuchnącej toalecie i usypiać na rękach, gdy zaczynał marudzić. Nie było to łatwe w obecności obcych ludzi.

Z Lloydem na biodrze oraz walizeczką w rękę Ethel przemierzyła dworcowy plac i zaczęła wspinać się Clive Street. Wkrótce poczuła, że brakuje jej tchu. Londyn jest prawie zupełnie płaski, a ona zapomniała, że w Aberowen nie sposób się ruszyć, nie wchodząc pod górę albo z niej nie schodząc.

Nie wiedziała, co działo się w miasteczku od jej wyjazdu.

Jedynym źródłem nowin był Billy, lecz z mężczyznami kiepsko się plotkuje. Przez jakiś czas bez wątplenia to właśnie ona stanowiła główny temat rozmów, jednak od tamtej pory musiało dojść do nowych skandali.

Powrót Ethel wywołał sensację. Kilka kobiet zmierzyło ją jednoznacznymi spojrzeniami, gdy wolno szła ulicą. Odgadywała ich myśli. Patrzcie, to ta Ethel Williams, której wydawało się, że jest lepsza od nas, a teraz wraca ubrana w starą brązową kiecę, bez męża, za to z bachorem. Duma to najprostsza droga do upadku, będą mówiły z udawanym współczuciem.

Skierowała się ku Wellington Row, lecz nie do domu rodzinnego. Ojciec zapowiedział, że ma nigdy więcej nie wracać. Napisała do matki Tommy'ego Griffithsa, o której z racji gorącego zaangażowania politycznego jej męża mówiono „Griffithsowa, ta socjalistka”. Przy tej samej ulicy mieszkała „Griffithsowa dewotka”. Griffithsowie nie chodzili do kaplicy i krzywo patrzyli na tradycyjne poglądy ojca Ethel. Ethel przenocowała Tommy'ego w Londynie, toteż pani Griffiths chętnie odwzajemniła przysługę. Tommy był jedynakiem, więc po jego odejściu do wojska w domu było wolne łóżko.

Tata i mama nie wiedzieli o jej przyjeździe.

Pani Griffiths powitała ją ciepło i rozpląwała się z zachwytu nad Lloydem. Miała kiedyś córeczkę w wieku Ethel, lecz dziewczynka zmarła na koklusz. Ethel słabo pamiętała blondyneczkę imieniem Gwenny.

Nakarmiła i przebrała Lloydę, po czym poszła do kuchni na herbatę. Pani Griffiths zauważyła jej obrączkę.

– Jesteś mężatką, tak?

– Wdową. Mąż zginął pod Ypres.

– Och, tak mi przykro.

– Nazywał się Williams, więc nie musiałam zmieniać nazwiska.

Ta historyjka obiegnie całe miasto. Niektórzy będą powątpiewali, czy pan Williams naprawdę istniał i czy rzeczywiście wziął ślub z Ethel. Dla niej nie miało znaczenia, czy uwierzą. Udawanie mężatki było do przyjęcia, a matkę przyznającą się do tego, że jest sama, uznawano za bezwstydnicę. Mieszkańcy Aberowen mają swoje zasady.

– Kiedy chcesz spotkać się z mamą? – zapytała pani Griffiths.

Ethel nie wiedziała, jak rodzice zareagują na jej widok. Mogą znów wyrzucić ją z domu lub przebaczyć, ale mogą także w jakiś sposób potępić córkę za grzech, nie wypędzając jej.

– Nie mam pojęcia... Bardzo się denerwuję.

Pani Griffiths spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Twój tata może i jest okrutnikiem, ale cię kocha.

– Ludzie zawsze tak myślą. „W gruncie rzeczy ojciec cię kocha”, mówią. Wyrzucenie z domu ma być wyrazem miłości rodzicielskiej?

– Przeróżne rzeczy robi się w nagłym odruchu, kiedy chodzi o zranioną dumę – odparła pocieszająco pani Griffiths. – Zwłaszcza chłopcy takie są.

Ethel wstała i wzięła Lloydę na rękę.

– No cóż, nie ma sensu dłużej tego odkładać. Chodź, kochanie. Czas poznać dziadków.

– Powodzenia – rzuciła pani Griffiths.

Dom Williamsów stał prawie po sąsiedzku. Ethel miała nadzieję, że ojca nie będzie. Mogłaby spędzić trochę czasu z matką,

która nie jest tak surowa jak mąż.

Już chciała zapukać do drzwi, ale przyszło jej na myśl, że to głupie.

Weszła do kuchni, w której tak często spędzała czas. Nie było żadnego z rodziców, tylko Gramper ucinał sobie drzemkę na krześle. Otworzywszy oczy, spojrzał zdziwiony.

– Toż to nasza Ethel! – powiedział ciepło.

– Witaj, Gramper.

Dziadek zeszczuplał. Przemierzył małą kuchnię, opierając się o stół. Pocałował Ethel w policzek i spojrzał na dziecko.

– A kogo my tu mamy? – spytał z radością. – Czy to mój pierwszy prawnuczek?

– To jest Lloyd – oznajmiła Ethel.

– Jakie ładne imię!

Lloyd wtulił buzię w ramię matki.

– Jest nieśmiały – wyjaśniła.

– Ha, boi się obcego staruszka z siwymi włosami. Przywyknie.

Usiądź, ślicznotko, i opowiadaj o wszystkim.

– Gdzie jest mama?

– Poszła do Co-opu po dżem. – Pobliski sklep spożywczy działał na zasadzie spółdzielni, która dzieliła się zyskiem z klientami. Takie sklepy cieszyły się sporą popularnością na południu Walii. Nikt jednak nie wiedział, jak wymawiać nazwę Co-op. Jedni mówili „cop”, a inni „quop”. – Niedługo wróci.

Ethel postawiła Lloyda na podłodze i malec zaczął zwiedzać kuchnię. Chodził chwiejnie od jednego miejsca do drugiego, trochę jak Gramper. Ethel opowiadała o swojej pracy menedżerki w gazecie „Żona Żołnierza”, o drukowaniu, dystrybucji nakładu, odbieraniu niesprzedanych egzemplarzy, pozyskiwaniu ogłoszeń.

Gramper zapytał, skąd wie, jak to wszystko robić. Ethel odparła, że razem z Maud uczyły się na bieżąco. Trudno jej współpracować z drukarzem, któremu nie podoba się, że kobiety wydają mu polecenia, lecz sprzedaż powierzchni ogłoszeniowej idzie dobrze. Gramper zdjął zegarek na łańcuszku i zawiesił go sobie na palcu, nie patrząc na Lloyda. Chłopczyk zapatrzył się na błyszczący łańcuszek i wyciągnął do niego rączkę. Gramper pozwolił mu go chwycić. Po chwili Lloyd opierał się o kolana Grampera, z zacięciem oglądając czasomierz.

Ethel czuła się dziwnie w swoim dawnym domu. Wyobrażała sobie, że poczuje się, jakby wkładała na nogi stare, noszone przez lata buty, które dobrze ułożyły się na stopach. Tymczasem dręczyło ją coś w rodzaju niepewności. Miała wrażenie, że przebywa w domu bliskich sąsiadów. Spoglądała na wyblakłe makatki z wersetami z Biblii i zachodziła w głowę, dlaczego matka od dziesiątków lat ich nie zmienia. Ethel nie czuła się w rodzinnym domu jak u siebie.

– Dostaliście jakieś wiadomości od Billy'ego? – spytała.

– Nie, a ty?

– Od czasu jego wyjazdu do Francji nic.

– Wydaje mi się, że walczy w tej wielkiej bitwie nad Sommą.

– Mam nadzieję, że nie. Podobno tam jest strasznie.

, – Prawdziwe piekło, jeśli wierzyć plotkom.

Ludzie nie znali niczego oprócz plotek, gdyż doniesienia prasowe były niejasne, a zarazem optymistyczne. Jednak wielu rannych trafiło do brytyjskich szpitali. Przekazywano sobie z ust do ust ich relacje, z których wyłaniał się mroźny obraz obraz niekompetencji dowódców oraz rzezi żołnierzy.

Do kuchni weszła mama.

– Sterczą w sklepie, jakby nie mieli nic lepszego do roboty...

Och! Wielkie nieba, to ty, Ethel? – Rozpłakała się.

Ethel ją objęła.

– Caro, spójrz – odezwał się Gramper – to jest twój wnuczek Lloyd.

Matka Ethel otarła łzy i wzięła dziecko na ręce.

– Jaki śliczny! Ma kręcone włoski. Wygląda jak Billy w jego

wieku.

Lloyd przez chwilę patrzył na babcię, a potem się rozpląkał.

Ethel przytuliła chłopca.

– Ostatnio zrobił się z niego prawdziwy maminsynek – rzekła przepraszająco.

– W tym wieku wszystkie dzieci takie są – odparła matka. – Korzystaj, bo niedługo mu się odwidzi.

– Gdzie tata? – spytała Ethel, starając się nie okazywać niepokoju.

Na twarzy matki pojawiło się napięcie.

– Pojechał do Caerphilly na zebranie związku. – Spojrzała na zegar. – Będzie lada chwila, jeśli nie spóźnił się na pociąg. Ethel domyśliła się, że matka liczy na to, iż ojciec się spóźni. Ona też wolała spędzić z córką więcej czasu, nim dojdzie do konfrontacji.

Zaparzyła herbatę i postawiła na stole talerzyk ze słodkimi walijskimi ciasteczkami.

– Nie jadłam ich od dwóch lat. – Ethel wzięła jedno. – Są przepyszne.

– To się nazywa szczęście – rzekł wesoło Gramper. – Córka, wnuczka i prawnuczek w jednym miejscu. Czego więcej mężczyzna może chcieć od życia? – dodał, też biorąc ciastko.

Ethel przyszło na myśl, że zdaniem wielu Gramper nie ma szczególnych powodów do zadowolenia. Spędza całe dnie w zadmionej kuchni, ubrany w swój jedyny garnitur. Ale on nie narzekał na swój los, a przynajmniej dziś za jej sprawą poczuł się szczęśliwy.

– Ja też w twoim wieku miałam szansę wyjechać do Londynu, ale dziadek Gramper powiedział... – Matka zamilkła w pół zdania. W drzwiach stanął ojciec.

Wszyscy spojrzeli na niego. Miał na sobie garnitur oraz płaską górniczą czapkę i był spocony po marszu pod górę. Zrobił krok i znieruchomiał.

– Spójrz, kto nas odwiedził – odezwała się mama z wymuszoną beztroską. – Ethel przyszła z twoim wnuczkiem. – Jej twarz była blada ze zdenerwowania.

Ojciec milczał. Nawet nie zdjął czapki.

– Witaj, tato – odezwała się Ethel. – To jest Lloyd.

Nie spojrział na nią.

– Mały jest bardzo podobny do ciebie – dodał Gramper. – Popatrz tylko na jego usta.

Lloyd wyczuł napięcie wiszące w powietrzu i się rozpląkał. Ojciec wciąż milczał. Ethel uświadomiła sobie, że popełniła błąd, przychodząc bez uprzedzenia. Nie chciała, by zabronił jej się pokazywać. Teraz jednak widziała, że przyjął postawę obronną. Poczuł się osaczony. Nigdy nie lubił, gdy przypierano go do ściany.

Na jego twarzy malowała się zaciętość. Spojrział na żonę.

– Ja nie mam wnuczka.

– Och, daj spokój – rzekła pojednawczo matka Ethel.

Twarz ojca zastygła. Stał nieruchomo i bez słowa patrzył na żonę, jakby na coś czekał. Ethel zrozumiała, że nie ruszy się, dopóki ona nie wyjdzie. Rozpląkała się.

– A niech to – mruknął Gramper.

Ethel wzięła Lloyda na ręce.

– Przepraszam, mam – wyszlochała. – Myślałam, że jeśli... Zachłysnęła się i nie dokończyła zdania. Z dzieckiem na rękę przepchnęła się obok ojca. Nie spojrział jej w oczy.

Wyszła, trzaskając drzwiami.

II.

Rano, po wyjściu mężczyzn do pracy w szybie i po wyprawieniu dzieci do szkoły, kobiety zazwyczaj krzątały się koło domów.

Myły chodniki, progi albo okna. Niektóre robiły zakupy lub załatwiały inne sprawy. Muszą sobie przypomnieć, że istnieje świat poza ich małymi nędznymi domostwami, że życie nie ogranicza się do czterech ścian, myślała Ethel.

Stała przed domkiem pani Griffiths, socjalistki, oparta o mur. Na całej długości ulicy kobiety wyszły przed domy, znajdując po temu najrozmaitsze powody. Lloyd bawił się piłką. Zobaczył, że inne dzieci nią rzucają, i próbował je naśladować, ale mu nie wychodziło. Ethel nagle uświadomiła sobie, jak skomplikowaną czynnością jest rzut piłką. Trzeba wykorzystać całą rękę i nadgarstek, palce zaś muszą się rozluźnić w chwili, gdy ramię wyciągnie się na całą długość. Lloyd jeszcze tej sztuki nie opanował. Wypuszczał piłkę za szybko, i wtedy spadała mu za ramię, albo za późno, i nie zdążyła nabrać rozpędu. Mimo to próbował. Kiedyś mu się uda i już nigdy tego nie zapomni, myślała Ethel. Dopóki człowiek nie ma dzieci, nie rozumie, jak dużo muszą się nauczyć.

Nie mogła pojąć, jak jej ojciec mógł odtrącić takiego malca. Przecież Lloyd nie wyrządził nikomu krzywdy. Owszem, ona jest grzesznicą, ale to samo można powiedzieć o większości ludzi. Bóg wybacza grzechy, kim więc jest ojciec, żeby wydawać sądy? Gniewało ją to i smuciło zarazem.

Nadjechał goniec pocztowy na koniu i uwiązał go nieopodal szaletów. Nazywał się Geraint Jones. Jego praca polegała na doręczaniu paczek oraz telegramów, dziś jednak niczego nie niósł. Ethel ogarnął nagły chłód, jakby chmury zasnuły słońce. Na Wellington Row rzadko przychodziły telegramy i zwykle zawierały złe wieści.

Geraint poszedł dalej i Ethel poczuła ulgę. Ta wiadomość nie jest przeznaczona dla jej rodziny. Przypomniała sobie list, który dostała od lady Maud. Ethel i Maud wraz z grupą innych pań rozpoczęły starania o to, by prawo wyborcze dla kobiet zostało włączone do debaty na temat reformy prawa wyborczego żołnierzy. Udało się nagłośnić kampanię tak, by premier Asquith nie mógł się od tej kwestii uchylić.

Maud donosiła, że premier zrobił unik i zlecił zajęcie się sprawą tak zwanej konferencji przewodniczącego Izby Gmin. Jednakże zdaniem Maud był to dobry znak. Zamiast historycznych przemówień w Izbie Gmin odbędzie się spokojna debata i może zwycięży zdrowy rozsądek. Maud próbowała dowiedzieć się, kogo Asquith deleguje do komisji.

Gramper wyszedł przed dom, przycupnął na niskim schodku i zapalił pierwszą tego dnia fajkę. Na widok Ethel uśmiechnął się i pomachał jej.

Po przeciwnej stronie ulicy Minnie Ponti, matka Joeya i Johnny'ego, zaczęła trzepać kijem dywanik. Kurz sprawił, że zanosła się kaszlem.

Pani Griffiths wsypała do dziury w drodze gruntowej szufelkę pełną popiołu wybranego z pieca kuchennego.

— Może w czymś pomogę? — zaproponowała Ethel. — Zrobię zakupy, jeśli pani chce. — Ethel zdążyła już posłać łóżka i pozmywać naczynia po śniadaniu.

— Dobrze — odrzekła pani Griffiths. — Zaraz przygotuję ci listę. — Oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Była tęgą kobietą i każdy wysiłek przyprawiał ją o zadyszkę.

Ethel usłyszała podniesione głosy na końcu ulicy. Nagle rozległ się głośny krzyk.

Spojrzała na panią Griffiths i wzięła Lloyd'a na ręce. Razem pospieszyły sprawdzić, co się stało.

Grupa kobiet otoczyła panią Pritchard. Kobieta zawodziła na cały głos, a przyjaciółki starały się ją uspokoić. Jednak nie tylko ona płakała. Kulawy Pugh, były górnik, który stracił nogę podczas zawału korytarza, siedział bezradnie na środku ulicy. Obok stali dwaj sąsiedzi. Po drugiej stronie ulicy pani Johnowa Jones, właścicielka sklepu, szlochała, stojąc w drzwiach z kartką w rękę.

Listonosz Geraint, blady i bliski łez, przeszedł przez ulicę, by zapukać do następnych drzwi.

– Telegramy z Ministerstwa Wojny – wyjaśniła pani Griffiths. – Boże, miej nas w opiece.

– Bitwa nad Sommą – domyśliła się Ethel. – Chłopcy z Aberowen z pewnością brali w niej udział.

– Ałun Pritchard na pewno nie żyje, Clive Pugh też. Prorok Jones dosłużył się stopnia sierżanta, rodzice byli z niego tacy dumni...

– Biedna pani Jones, jej drugi syn zginął w wybuchu w kopalni.

– Oby tylko Tommy'emu nic się nie stało. Boże, błagam cię – modliła się pani Griffiths, mimo że jej mąż słynął z ateizmu. – Boże, oszczędź Tommy'ego.

– I Billy'ego – dodała Ethel, po czym wyszeptała do uszka Lloyd'a: – Oraz twojego tatusia.

Geraint niósł na ramieniu płócienną torbę. Ethel pomyślała trwożnie, że może się w niej kryć jeszcze wiele telegramów. Anioł śmierci w czapce listonosza przeszedł na drugą stronę ulicy.

Kiedy minął szalety, wszyscy mieszkańcy ulicy wylegli na chodnik. Kobiety przerwały swoje zajęcia i stały wyczekująco. Pojawili się rodzice Ethel. Tata jeszcze nie poszedł do pracy. Stanęli bez słowa obok Grampera, zdjęci strachem.

Geraint podszedł do pani Llewellyn. Jej syn Arthur zginął.

Ethel pamiętała, że przezywano go Pryszczytaty. Biedak nie musi się już zamartwiać o swoją cerę.

Pani Llewellyn uniosła ręce, jak gdyby chciała obronić się przed Geraintem.

– Nie! – załkała. – Proszę, nie!

Geraint wyciągnął rękę z telegramem.

– Nic na to nie poradzę, pani Llewellyn – rzekł. Miał zaledwie siedemnaście lat. – Tu na wierzchu jest pani adres, widzi pani?

Mimo to adresatka nie przyjęła koperty.

– Nie! – powtórzyła, odwracając się i ukrywając twarz w dłoniach.

Chłopcu drżały wargi.

– Proszę to wziąć. Muszę doręczyć pozostałe, a na poczcie leżą ich jeszcze setki! Jest dziesiąta i nie wiem, jak zdążę do wieczora. Bardzo proszę.

– Wezmę go za nią – odezwała się pani Roley Hughes, sąsiadka pani Llewellyn. – Ja nie mam synów.

– Dziękuję, pani Hughes – powiedział Geraint i ruszył dalej. Wyjął z torby telegram, spojrział na adres i ominął dom Griffithsów.

– Dzięki ci, Boże – westchnęła pani Griffiths. – Mój Tommy żyje, Bogu dzięki. – I rozplakała się z radości. Ethel przełożyła Lloyd'a na drugie biodro i otoczyła panią Griffiths ramieniem.

Geraint zbliżył się do Minnie Ponti. Ta nie krzyknęła, lecz po jej twarzy płynęły łzy.

– Który? – spytała chrapliwie. – Joey czy Johnny?

– Nie wiem, pani Ponti – odparł listonosz. – Będzie pani musiała sama przeczytać, co tam jest napisane.

Pani Ponti rozdarła kopertę.

– Nic nie widzę! – krzyknęła. Otarła łzy i spojrzała jeszcze raz. – Giuseppe! Mój Joey nie żyje. Mój biedny synek!

Pani Ponti mieszkała przy samym końcu ulicy. Ethel z bijącym sercem patrzyła, czy Geraint zajdzie do domu Williamsów. Za chwilę się okaże, czy Billy żyje.

Chłopak odwrócił się od szlochającej pani Ponti. Ojciec, matka i dziadek Ethel spoglądali na niego w trwożnym wyczekiwaniu.

Geraint zerknął do torby.

– Nie ma więcej listów do mieszkańców Wellington Row – oznajmił.

Ethel o mało nie zemdląca. Billy nie zginął.
Spojrzała na rodziców. Mama płakała. Gramper usiłował zapalić fajkę, lecz drżały mu ręce.
Tata patrzył na nią. Jego twarz wyrażała silne emocje, ale nie mogła ich odczytać.
Zrobił krok w jej stronę.
Było to niewiele, lecz wystarczyło. Podbiegła do niego z Lloydem w ramionach.
Objął ich oboje.
– Billy żyje – wyszeptał. – Ty także.
– Och, tato, tak mi przykro, że cię zawiodłam.
– Nie szkodzi, to już nieważne. – Poklepał ją po plecach jak wtedy, gdy w dzieciństwie przewróciła się i obtarła sobie kolana. – No, już dobrze, już dobrze...

III.

Msze ekumeniczne stanowiły w Aberowen rzadkość, jako że dla walijskich chrześcijan różnice doktrynalne nie były kwestią drugorzędą. Jedni nie obchodzili Bożego Narodzenia, ponieważ Biblia nie zawiera żadnego odniesienia do daty narodzin Chrystusa, inni nie uznawali głosowań, gdyż święty Paweł Apostoł napisał: Nasza bowiem ojczyzna jest w niebie. Nikt nie chciał się modlić ramię w ramię z tymi, którzy mieli inne przekonania.
Jednak po środzie, kiedy rodzinom żołnierzy doręczono telegramy, różnice te na krótko straciły znaczenie.
Proboszcz Aberowen, wielbny Thomas Ellis-Thomas, zaproponował wspólną mszę dla upamiętnienia poległych. Było ich dwustu jedenastu, a ponieważ bitwa wciąż trwała, do miasta codziennie docierały jedna lub dwie depesze kondolencyjne. Nie było ulicy, której mieszkańcy kogoś by nie stracili. W gęstych szeregach górniczych ruder żałoba panowała niemal wszędzie.
Metodyści, baptyści i katolicy przystali na propozycję anglikańskiego proboszcza. Mniejsze grupy – baptyści ewangelijni, świadkowie Jehowy oraz ewangelicy drugiego przyjścia – wolały obserwować to wydarzenie wyniośle i z oddali. Ojciec Ethel zmagał się z sumieniem. Nikt jednak nie chciał stać z boku, gdy zanosilo się na największą mszę w dziejach miasta. Stawili się wszyscy.
W Aberowen nie było synagogi, lecz wśród poległych znalazł się młody Jonathan Goldman, więc garstka praktykujących żydów postanowiła wziąć udział w nabożeństwie, mimo że nie poczyniono żadnych ustępstw na rzecz ich religii.
Odkonano to w niedzielę o czternastej trzydzieści w parku miejskim zwanym Rek, co było skrótem od nazwy „teren rekreacyjny”. Decyzją rajców miejskich dla duchownych wzniesiono prowizoryczny podest. Był piękny słoneczny dzień, przyszło trzy tysiące ludzi.
Ethel patrzyła na zgromadzonych. Perceval Jones wyróżniał się cylindrem. Był burmistrzem, a od niedawna także deputowanym do parlamentu. Jako honorowy dowódca Chłopców z Aberowen zarządzał rekrutacją. Zjawiło się kilku dyrektorów Celtic Minerals. Nie mają nic wspólnego z bohaterstwem tych, którzy polegali, pomyślała z goryczą. Maldwyn Morgan, znany jako Maldwyn, Który Wybył do Merthyr, przyszedł z żoną. Ich syn Roland poległ, więc Ethel pomyślała, że ci akurat nie przyszli na mszę bez przyczyny.
Nagle zauważyła Fitza.
Nie od razu go rozpoznała. Zobaczyła księżniczkę Beę w czarnej sukni i kapeluszu. Za nią podążała niania z małym wicehrabią Aberowen na rękach, rówieśnikiem Lloyda. Obok Bei szedł o kulał mężczyzna z lewą nogą w gipsie. Miał zabandażowaną jedną stronę głowy oraz lewe oko. Ethel dopiero po dłuższej chwili poznała Fitza i krzyknęła ze zdumienia.
– Co się stało? spytała mama.

– Spójrz na hrabiego!

– To on? O rety, biedaczysko.

Ethel przyglądała się Fitzowi. Nie kochała go już, okazał się zbyt okrutny, nie mogła jednak patrzeć na niego obojętnie. Kiedyś zasypywała pocałunkami tę twarz, teraz spowita bandażem, i pieściła krzepkie ciało, tak strasznie okaleczone. Był próżnym mężczyzną, lecz próżność stanowiła najbliższą z jego wad. Ethel wiedziała, że widok własnego odbicia w lustrze sprawia mu większy ból niż rany.

– Dlaczego nie został w domu? – zastanawiała się mama. – Ludzie by zrozumieli.

Ethel pokręciła głową.

– Jest na to zbyt dumny. Poprowadził tych chłopców na śmierć, musiał przyjść.

– Dobrze go znasz – zauważyła mama i spojrzała na Ethel w taki sposób, że ta zaczęła się zastanawiać, czy aby nie podejrzewa prawdy. – Ale moim zdaniem chce także pokazać innym, że klasy wyższe również ucierpiały.

Ethel skinęła głową. Mama ma rację. Fitz jest butny i wyniosły, lecz, o dziwo, pragnie szacunku prostych ludzi.

Do Ethel podszedł Dai Ryjek, syn rzeźnika. Był mężczyzną drobnej budowy, miał na sobie ładny garnitur.

– Miło cię znów widzieć w Aberowen.

– Jak się masz, Dai?

– Świetnie, dzięki. Jutro zaczynają grać nowy film z Charliem Chaplinem. Lubisz Chaplina?

– Nie mam czasu na filmy.

– Może jutro wieczorem zostawiłabyś małego z mamą i wybrała się ze mną do kina?

Dai wsunął jej kiedyś rękę pod sukienkę w kinie Pałace w Cardiff. Minęło pięć lat, lecz w jego oczach Ethel widziała, że wciąż to pamięta.

– Nie, dziękuję – odparła zdecydowanie.

Dai nie zamierzał się poddawać.

– Pracuję teraz w szybie, ale kiedy tata odejdzie na emeryturę, przejmę sklep.

– Wiem, że doskonale sobie poradzisz.

– Są tacy, którzy nie spojrzeliby na dziewczynę z dzieckiem, ale ja jestem inny.

Było to nieco protekcyjne, lecz Ethel postanowiła się nie obrażać.

– Do widzenia, Dai. Miło, że chciałeś mnie zaprosić.

Uśmiechnął się smutno.

– Wciąż jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam – westchnął, dotknął czapki i odszedł.

– Co z nim nie tak? – spytała oburzona mama. – Potrzebujesz męża, a on jest dobrą partią!

No właśnie, pomyślała Ethel. Może i jest trochę za niski, ale nadrabia ten mankament urokiem. Ma dobre perspektywy i chce zaakceptować dziecko innego mężczyzny. Ethel nie wiedziała, dlaczego tak stanowczo odmówiła pójścia z Daiem do kina. Czy w głębi serca nadal uważa, że Aberowen to dla niej za niskie progi? Rząd krzesel z przodu ustawiono dla śmietanki towarzyskiej. Fitz i Bea usiedli obok Percevala Jonesa i Maldwyna Morgana. Rozpoczęła się msza.

Ethel do pewnego stopnia wierzyła w religię chrześcijańską. Zakładała, że musi istnieć jakiś Bóg, choć podejrzewała, że jest On rozumniejszy, niż wyobraża to sobie jej ojciec. Jego gorąca niezgoda na to, co głoszą tradycyjne Kościoły, oznaczała dla niej łagodną niechęć do posągów, kadzidła i łaciny. W Londynie raz na jakiś czas chodziła w niedzielę na poranną mszę do kaplicy Calvary Gospel. Robiła to w dużej mierze dlatego, że tamtejszy pastor był żarliwym socjalistą i pozwalał Maud wykorzystywać kościół jako ambulatorium i organizować w nim zebrania Partii Pracy.

W parku nie było organów, więc purytanie nie musieli tłumić niechęci do instrumentów muzycznych. Ethel dowiedziała się od ojca, że doszło do kłótni o to, kto ma prowadzić śpiew. Tu, w Aberowen, ta rola była ważniejsza od roli wygłaszającego kazanie. Zadanie ostatecznie powierzono chórowi męskiemu, którego dyrygent nie należał do żadnego Kościoła.

Rozpoczęto od pieśni Haendla Jak pasterz pasie On swą trzodę. Był to popularny hymn o skomplikowanej linii melodycznej, którą zgromadzeni wykonali bezbłędnie. Gdy setki głosów wyśpiewały tenorem słowa Ogarnie owieczki swym ramieniem, Ethel uświadomiła sobie, że w Londynie tęskniła za tą poruszającą muzyką.

Katolicki ksiądz wyrecytował po łacinie Psalm sto dwudziesty dziewiąty, De Profundis. Ryczał na całe gardło, lecz wierni w ostatnich rzędach ledwo go słyszeli. Proboszcz anglikański odczytał z brewiarza powszechnego Zgromadźcie się na pochówek zmarłych. Dilys Jones, młody metodysta, odśpiewał hymn autorstwa Charlesa Wesleya Miłość Boża ponad wszelkie miłości. Pastor baptystyczny przeczytał Pierwszy List do Koryntian, ustęp piętnasty od wiersza dwudziestego do końca.

Jeden kaznodzieja miał wystąpić w imieniu niezależnych wyznawców. Wybór padł na ojca Ethel.

Rozpoczął od odczytania wersetu z ósmego ustępu Listu do Rzymian, wiersz jedenasty: A jeżeli mieszka w was Duch Tego, który Jezusa wskrzesił z martwych, to Ten, co wskrzesił Chrystusa z martwych, przywróci do życia wasze śmiertelne ciała mocą mieszkającego w was swego Ducha". Tata mówił mocnym głosem, który niósł się po całym parku.

Ethel była z niego dumna. Zaszczyt, który mu przypadł, świadczył o tym, że jest jednym z najważniejszych obywateli miasta, przywódcą duchowym i społecznym. Prezentował się elegancko w czarnym jedwabnym krawacie kupionym przez mamę w domu handlowym Gwyna Evansa w Merthyr.

Mówił o zmartwychwstaniu i życiu po śmierci. Myśli Ethel odpłynęły, bo już to wszystko słyszała. Zakładała, że istnieje życie pośmiertne, choć nie miała co do tego pewności, lecz przekona się o tym zbyt szybko.

Szmer poruszenia wśród zgromadzonych stanowił sygnał, że tata odszedł od zwyczajowej tematyki.

– Mam nadzieję, że kiedy nasz kraj zdecydował się przystąpić do wojny, każdy parlamentarzysta wejrzał szczerze w swoje sumienie i modląc się, poszukał przewodnictwa Pana. Kto jednak umieścił tych ludzi w parlamencie?

Tata zahaczy o politykę, pomyślała Ethel. Brawo. Proboszcz nie będzie miał już takiej zadowolonej miny.

– Wszyscy mężczyźni w tym kraju muszą odbyć służbę wojskową. Ale nie każdemu przypada część prawa decydowania o udziale w wojnie.

Rozległy się okrzyki poparcia.

– Zasady głosowania wykluczają ponad połowę mężczyzn!

– Oraz wszystkie kobiety! – dodała głośno Ethel.

– Ciii! – syknęła mama. – To ojciec wygłasza kazanie, nie ty.

– Ponad dwustu mężczyzn z Aberowen zginęło pierwszego lipca nad brzegami rzeki Sommy. Dowiedziałem się, że ofiar pochodzenia brytyjskiego jest ponad pięćdziesiąt tysięcy! Zgromadzeni westchnęli z przerażenia. Niewielu znało te liczby. To Ethel przekazała je ojcu. Maud dowiedziała się o nich od znajomych z Ministerstwa Wojny.

– Pięćdziesiąt tysięcy ofiar, z czego dwadzieścia tysięcy to polegli – ciągnął ojciec. – Każdego dnia masakra zabiera kolejnych młodych mężczyzn. – Tu i ówdzie rozległy się głosy protestu, lecz okrzyków poparcia było więcej. Mówca uniósł rękę. – Nie mówię, kto jest temu winny. Powiadam tylko, że taki

rozlew krwi nie może być usprawiedliwiony, gdy obywatelom odmawia się prawa decydowania o udziale w wojnie. Proboszcz wstał z zamiarem przerwania mówcy, Perceval Jones zaś daremnie próbował wspiąć się na podest. Ojciec Ethel prawie skończył.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek każe się nam iść na wojnę, niech to nie będzie bez zgody wszystkich obywateli.

– Tak kobiet, jak i mężczyzn! – krzyknęła Ethel, ale jej głos utonął wśród okrzyków górników.

Kilku mężczyzn stało przed ojcem, starając się go przekrzyczeć, lecz jego słowa unosiły się ponad tłumem.

– Nie będziemy więcej wojowali z nakazu mniejszości! Nigdy! Przenigdy!

Mówca wrócił na swoje miejsce, a zebrani wyrazili poparcie burzą wiwatów i oklasków.

ROZDZIAŁ 19

Lipiec - październik 1916 roku

i.

Miasto Kowel było węzłem kolejowym w części Rosji należącej niegdyś do Polski. Leżało w pobliżu dawnej granicy z Austro-Węgrami. Wojska rosyjskie zajęły pozycje dwadzieścia mil od miasteczka nad brzegami rzeki Stochód. Były to bagniste tereny o powierzchni setek mil kwadratowych, po których tu i ówdzie wiły się ścieżki. Grigorij znalazł skrawek suchej ziemi i wydał plutonowi rozkaz do postoju. Namiotów nie mieli, gdyż major Azow przed trzema tygodniami sprzedał je wszystkie fabryce ubrań w Pińsku. Oznajmił, że latem żołnierze nie potrzebują namiotów, przed nadejściem zimy zaś wszyscy i tak zginą. Jakimś cudem Peszków wciąż pozostawał wśród żywych. Był sierżantem, a jego przyjaciel Izaak – kapralem. Większość rekrutów z poboru w 1914 roku została oficerami niezawodowymi. Zdziesiątkowany batalion Grigorija wycofano na tyły, uzupełniono i ponownie zdziesiątkowano. Żołnierzy wysyłano wszędzie, tylko nie do domów.

W ciągu minionych dwóch lat Grigorij zabił wielu wrogów karabinem, bagnetem bądź granatami ręcznymi. Przeważnie znajdowali się tak blisko, że widział, jak umierają. Niektórych spośród jego towarzyszy, zwłaszcza tych lepiej wykształconych, nękały z tego powodu koszmary. On jednak wychował się w surowym wiejskim środowisku, a później jako sierota przetrwał na ulicach Sankt Petersburga. Akty przemocy nie przynosiły złych snów. Oburzały go tępota, gruboskórność i stopień skorumpowania oficerów. Życie i walka u boku przedstawicieli klasy rządzącej zrobiły z niego rewolucjonistę.

Musi przeżyć, ponieważ nikt inny nie zaopiekuje się Kateriną. Pisał do niej regularnie i co jakiś czas otrzymywał listy napisane starannym pismem uczennicy, pełne błędów i skreśleń. Trzymał wszystkie w plecaku, przewiązane sznurkiem. Gdy długo nie było nowego, czytał stare.

W pierwszym zawiadomiła go, że urodziła syna Władimira, który obecnie ma półtora roku. Grigorij bardzo chciał go zobaczyć. Miał jeszcze w pamięci żywy obraz swojego małego braciszka. Czy Władimir ma słodki uśmiech Lwa? Na pewno wyrosły mu już ząbki, zaczął chodzić i wypowiadać pierwsze słowa. Peszków chętnie usłyszałby, jak malec mówi na niego „wujek Griszka”. Często wspominał tę noc, gdy Katerina przyszła do jego łóżka. W snach na jawie zazwyczaj zmieniał bieg wydarzeń. Nie odtrącał dziewczyny, lecz brał w ramiona, całował w gorące usta i kochał się z nią. Wiedział jednak, że w rzeczywistości jej serce należy do

jego brata.

Nie dostawał żadnych wiadomości od Lwa, który wyjechał ponad dwa lata temu. Bał się, że w Ameryce spotkało go jakieś nieszczęście. Raz po raz wpadał w tarapaty, lecz zawsze jakoś udawało mu się wywinąć. Źródłem problemów było jego wychowanie. Chłopak nie miał co jeść i nie znał dyscypliny, a Grigorij kiepsko zastępował rodziców. Teraz żałował, że nie wywiązał się lepiej z tego zadania, ale sam był wtedy dzieckiem.

Tak się więc składało, że Kateriną i jej malcem nie mógł zaopiekować się nikt oprócz Grigorija. On zaś był zdeterminowany, by ująć z życiem na przekór haniebnej niekompetencji panoszącej się w rosyjskiej armii i pewnego dnia wrócić do domu, do Kateriny i małego Władimira.

Okręgiem dowodził generał Brusilow, który był zawodowym oficerem w odróżnieniu od całej rzeszy dworskich generałów. Pod jego dowództwem Rosjanie poczynili w czerwcu postępy, zmuszając Austriaków do chaotycznej ucieczki. Grigorij i jego podkomendni walczyli dzielnie, gdy rozkazy układały się w logiczną całość. Jeśli było inaczej, poświęcali całą energię na to, by nie wchodzić na linię ognia. Peszków doskonale opanował tę sztukę, zyskując w ten sposób lojalność plutonu.

W lipcu marsz wojsk rosyjskich uległ spowolnieniu. Jak zawsze przyczyniły się do tego braki w zaopatrzeniu. Teraz jednak na sukurs regularnym oddziałom przyszła gwardia. Gwardziści stanowili elitę rosyjskiej armii, wyróżniali się wzrostem i sprawnością. Różnili się od reszty także tym, że nosili piękne ciemnozielone mundury ze złotym szamerunkiem oraz nowe buty. Ich dowódca jednak, generał Biezobrazow, był dworzaninem, takim jak wielu mu podobnych. Grigorij miał przeczucie, że Biezobrazow nie zdobędzie Kowla, choćby dysponował najroślejszymi gwardzistami.

Rozkazy przywiózł o świcie major Azow. Był wysokim zwalonym mężczyzną i nosił za ciasny mundur. O tak wczesnej porze, jak to często bywa, miał zaczerwienione oczy. Porucznik wezwał sierżantów, Azow zaś rozkazał przejść rzekę w bród i ścieżkami wiodącymi przez bagna pomaszerować ku zachodowi. Austriacy rozłokowali się na mokradłach, lecz ze względu na to, iż teren był podmokły, nie zdołali się okopać.

Grigorij oczyma wyobraźni widział nadchodzącą katastrofę. Austriacy zajmą osłonięte pozycje i będą mogli starannie wybierać cele. Stłoczeni na ścieżkach Rosjanie nie będą w stanie sprawnie się przemieszczać po grząskim gruncie. Zostaną zdziesiątkowani. Na domiar złego brakuje im amunicji.

– Wielmożny panie, potrzebujemy naboju – powiedział Grigorij.

Azow zbliżył się żwawo jak na swoją tuszę i bez ostrzeżenia uderzył go w twarz. Peszków poczuł w ustach palący ból i runął na ziemię.

– To na jakiś czas zamknie ci gębę – warknął Azow. –

Dostaniecie amunicję, kiedy oficerowie stwierdzą, że jest potrzebna. – Odwrócił się do pozostałych żołnierzy. – Formować szyki i czekać na sygnał do wymarszu.

Grigorij wstał, czując na wargach smak krwi. Dotknawszy ostrożnie twarzy, uświadomił sobie, że stracił przedni ząb. Przeklinał swoją lekkomyślność. Nieopatrznie stanął zbyt blisko oficera. Powinien był wiedzieć, czym to grozi, gdyż ci wściekali się z byle powodu. Mógł się uważać za szczęściarza, bo gdyby Azow miał karabin, trzasnąłby go kolbą w twarz.

Zarządził zbiórkę plutonu i ustawił żołnierzy w nierównym szeregu. Zamierzał poczekać i puścić innych przodem, lecz rozczarował się, gdyż Azow wysłał jego kompanię do boju jako jedną z pierwszych. Pluton Grigorija znalazł się w czołówce.

Trzeba będzie obmyślić jakiś inny fortel.

Wszedł do rzeki, a trzydziestu pięciu żołnierzy z jego plutonu

za nim. Woda była zimna, lecz świeciło słońce, więc żołnierze chętnie się zanurzyli. Peszków brodził powoli, a jego podkomendni robili to samo, obserwując dowódcę.

Rzeka Stochód była szeroka i płytka, sięgała im tylko do ud, więc szybko przeszli na drugi brzeg. Grigorij zauważył z radością, że co gorliwsi żołnierze z innych pododdziałów wyprzedzili jego pluton. Znalazłszy się na ścieżce, podwładni Grigorija musieli się posuwać w tym samym tempie co inni, dlatego dowódca nie mógł realizować swojego planu i zostawać w tyle. To go martwiło. Nie chciał, by jego żołnierze maszerowali na czele, gdy Austriacy otworzą ogień.

Milę dalej ścieżka znów się zwężała, żołnierze musieli zwolnić i iść gęsiego. Grigorij zwierzył szansę. Udając zniecierpliwienie powolnością marszu, zszedł ze ścieżki w wodniste błoto, a żołnierze poszli za jego przykładem. Następny pluton przegonił ich i zamknął powstałą lukę.

Woda sięgała Grigorijowi do piersi, muł był lepki. Oddział posuwał się bardzo powoli i zgodnie z oczekiwaniami dowódcy został z tyłu.

Porucznik Kiryłow zorientował się, co się dzieje, i wrzasnął wściekły:

– Hej, wy tam! Wracać na ścieżkę!

– Tak jest, wielmożny panie! – odkrzyknął Peszków, lecz poprowadził swoich żołnierzy jeszcze dalej od ścieżki, udając, że szuka twardego gruntu.

Porucznik zaklął i dał za wygraną.

Grigorij rozglądał się tak samo uważnie jak oficerowie, lecz z innego powodu. Oni wypatrywali austriackich żołnierzy, on kryjówek.

Szedł dalej, pozwalając wyprzedzić się setkom żołnierzy.

Gwardzistów rozpira duma, myślał, więc niech sobie powalczą.

Późnym rankiem gdzieś na przedzie huknęły strzały. Awangarda nawiązała kontakt z wrogiem. Nadszedł czas, by znaleźć kryjówkę.

Peszków dotarł do łagodnego pagórka, na którym ziemia była suchsza. Reszta kompanii majora Azowa znikła z pola widzenia.

Znalazłszy się na wzniesieniu, Grigorij ryknął na cały głos:

– Stanowiska ogniowe wroga z lewej! Kryć się!

Żołnierze dobrze wiedzieli, że dowódca nie wypatrywał żadnych stanowisk ogniowych, lecz padli na ziemię za krzakami i drzewami i wycelowali karabiny. Grigorij wypalił na próbę w stronę odległej o pięćset jardów kępy krzaków. Zrobił to na wypadek, gdyby niefortunnie wybrał miejsce akurat naprzeciwko Austriaków. Jednak nikt nie odpowiedział ogniem.

Tutaj nic nam nie grozi, pomyślał z satysfakcją. Dzień mijał i mogły się wydarzyć dwie rzeczy. Najpewniej za kilka godzin pojawią się rosyjscy żołnierze niosący rannych, a wróg będzie ich ścigał przez bagna. Wtedy pluton Grigorija przyłączy się do odwrotu. Jeśli nie stanie się tak przed wieczorem, będzie to oznaczało, że Rosjanie wygrali bitwę, a wówczas on poprowadzi pluton naprzód, by wziąć udział w świętowaniu zwycięstwa.

Tymczasem trzeba tylko pilnować żołnierzy, by pozorowali utrzymywanie kontaktu bojowego z wrogiem. Leżenie godzinami na ziemi i udawanie, że obserwuje się teren, jest piekielnie nudne. Żołnierze zaczynają podjadać, popijać, palić papierosy, grać w karty albo drzemać, co psuje wrażenie, iż są nastawieni bojowo. Nim jednak zdążyli wygodnie się rozłożyć, kilkaset jardów dalej, po przeciwnej stronie sadzawki, pojawił się porucznik Kiryłow. Grigorij jęknął cicho. Porucznik może pokrzyżować mu plany.

– A wy co tam robicie?! – krzyknął Kiryłow.

– Proszę uważać, wielmożny panie! – ostrzegł go Grigorij.

Izaak wypalił w powietrze i Grigorij przypadł do ziemi. Kiryłow zrobił to samo, by po chwili wycofać się tą samą drogą, którą nadszedł.

– To zawsze działa – rzekł Izaak i zachichotał. Grigorij nie był tego taki pewny. Kiryłow wyglądał na poirytowanego, zupełnie jakby odgadł, że ktoś robi z niego głupca, i nie wiedział, jak w tej sytuacji postąpić.

Z przodu dobiegały huki, okrzyki i inne odgłosy bitwy. Wszystko działo się w odległości mniej więcej mili i nie przesuwano ani w jedną, ani w drugą stronę.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i osuszało mokre ubranie Grigorija. Poczawszy głód, wyjął z menażki twardego suchara i zaczął go gryźć, uważając na bolące miejsce po wybitym zębie. Mgła opadła i w oddali ukazały się niemieckie samoloty latające nisko nad polem bitwy. Terkot karabinów maszynowych świadczył o tym, że ostrzeliwują piechotę. Ściśnięci na wąskich drożynach i brodzący w grzęzawisku gwardziści musieli stanowić nader łatwy cel. Grigorij jeszcze bardziej się ucieszył, że nie doprowadził swoich żołnierzy milę dalej.

Po południu odgłosy bitwy zaczęły się przybliżać. Rosjanie zostali zmuszeni do odwrotu. Grigorij szykował się, by wydać rozkaz przyłączenia się do uciekających. Musiał jednak trochę poczekać, żeby nie ściągnąć uwagi na swój pluton. Powolny odwrót jest równie ważny jak ślamazarny marsz naprzód.

Z prawej i lewej strony zobaczył garstki rozproszonych żołnierzy, którzy, taplając się w błocie, zmierzali w stronę rzeki. Kilku było rannych. Rozpoczął się odwrót, choć armia jeszcze nie rzuciła się do ucieczki.

Gdzieś w pobliżu zarżał koń. Konno jeździli wyłącznie oficerowie. Peszków natychmiast strzelił do wymagowanego Austriaka. Podwładni poszli za jego przykładem i rozpoczęła się kanonada. Rozejrzawszy się, Grigorij zobaczył majora Azowa, który na tęgim siwku przedzierał się przez błoto. Major ryczał na wycofujących się żołnierzy, nakazując im powrót na pole bitwy. Ci zaś kłócili się z nim, aż wyjął naganta. Grigorij, zupełnie bez związku z sytuacją, przypomniał sobie, że Lew ma taki sam. Azow wymierzył z pistoletu do żołnierzy, a ci niechętnie ruszyli tam, skąd przyszli.

Major wsunął broń do kabury i podjechał do Grigorija.

– Co wy tu robicie, durnie?

Peszków przetoczył się po ziemi i załadował ostatni magazynek z pięcioma nabojami, udając, że się spieszy.

– Melduję, że w tamtej kępie drzew znajdują się stanowiska wroga, wielmożny panie. Proszę zsiąść z konia, oni widzą wielmożnego pana.

Azow pozostał jednak w siodle.

– I co, kryjcie się przed nimi?

– Wielmożny pan porucznik Kiryłow rozkazał nam ich zlikwidować. Wysłałem patrol na skrzydło, osłaniamy go.

Azow nie był jednak skończonym głupcem.

– Jakoś nie odpowiadają ogniem – zauważył.

– Przygwoździliśmy ich do ziemi.

Major pokręcił głową.

– Jeśli tam w ogóle byli, to już się wycofali.

– Nie sędzę, wielmożny panie. Jeszcze przed chwilą się ostrzeliwali.

– Nikogo tam nie ma. Przerwać ogień! – krzyknął Azow. Żołnierze przestali strzelać i spojrzeli na majora.

– Na mój rozkaz, do ataku! – Azow wyciągnął pistolet.

Grigorij znalazł się w trudnej sytuacji. Wszystko świadczyło o tym, że zgodnie z jego przewidywaniami bitwa zakończyła się klęską. Unikał walki przez cały dzień i teraz, gdy już było po wszystkim, nie chciał narażać życia swojego i swoich żołnierzy. Jednak otwarta odmowa wykonania rozkazu oficera niosła wielkie ryzyko.

Nagle z kępy drzew, którą Grigorij wskazywał jako kryjówkę wroga, wybiegła grupa żołnierzy. Patrzył na nich zdumiony. Nie

byli to Austriacy, lecz wycofujący się Rosjanie. Mundury świadczyły o tym aż nadto dobitnie.

Jednak Azow nie zmienił zdania.

— Ci ludzie to tchórzliwi dezterterzy! Na nich! — ryknął, strzelając z naganta do uciekających Rosjan.

Żołnierze Grigorija osłupieli. Oficerowie niejednokrotnie grozili bronią żołnierzom niechętnie idącym do boju, lecz jak dotąd żaden nie rozkazał atakować swoich. Podwładni spojrzeli bezradnie na Peszkowa.

Azow wymierzył do niego z pistoletu.

— Do ataku! — wrzasnął. — Ognia do tych zdrajców!

Grigorij podjął decyzję.

— Powstać! — krzyknął, po czym wstał i odwrócił się tyłem do nadbiegających rosyjskich żołnierzy. Spojrzawszy w prawo i w lewo, uniósł karabin. — Słyszeliście rozkaz wielmożnego pana majora! — Udając, że się odwraca, wymierzył do Azowa.

Jeśli już ma strzelać do swoich, to woli zabić oficera niż żołnierza.

Azow przez chwilę wlepiął w niego wzrok. Grigorij nacisnął spust.

Trafił w konia majora i wierzchowiec się zatoczył. To uratowało Grigorijowi życie, albowiem Azow również strzelił, lecz nagłe szarpnięcie konia sprawiło, że kula poleciała w bok. Grigorij odruchowo przeładował broń i znów wystrzelił.

Chybił po raz drugi i zaklął. Teraz znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, lecz groziło ono również majorowi.

Azow zmagał się z wierzchowcem i nie mógł dobrze wycelować. Grigorij śledził przez chwilę ruchomy cel, strzelił po raz trzeci i trafił oficera w pierś. Major zsunął się powoli z konia i runął na ziemię. Grigorij patrzył z ponurą satysfakcją na ciężkie ciało zwalające się w grzaską kałużę.

Koń zrobił kilka powolnych kroków do tyłu i usiadł na zadzie jak pies.

Peszków podszedł do Azowa. Major leżał w błocie i patrzył w niebo. Nie poruszał się, lecz wciąż żył. Z rany po prawej stronie piersi sączyła się krew. Grigorij się rozejrzał. Żołnierze uciekający z pola bitwy byli daleko i nie mogli wyraźnie widzieć, co się dzieje. Do swoich podwładnych mógł mieć pełne zaufanie: wiele razy ratował im skórę. Przystawił majorowi broń do czoła.

— To za wszystkich porządnym Rosjan, których zamordowałeś, krwiożerczy łotrze. — Uśmiechnął się. — I za to, coś mi zrobił — dodał, naciskając spust.

Major przestał oddychać.

Grigorij spojrział na swoich podkomendnych.

— Pan major zginął od nieprzyjacielskiego ognia. Do odwrotu! Żołnierze krzyknęli z radości i puścili się biegiem.

Grigorij podszedł do konia majora. Wierzchowiec próbował wstać, lecz miał złamaną nogę. Peszków przystawił karabin do jego ucha i wystrzelił ostatni nabój. Zwierzę upadło na bok i znieruchomiało.

Konia żałował Grigorij bardziej niż majora Azowa.

Pobiegł za swoimi żołnierzami.

II.

Ofensywa Brusilowa załamała się i utknęła. Grigorij został przeniesiony do stolicy. Miasto przemianowano na Piotrogród, gdyż nazwa Sankt Petersburg brzmiała zbyt niemiecko. Zaprawione w bojach oddziały miały bronić rodziny cara oraz jego ministrów przed gniewem obywateli. Resztki batalionu połączono z doborowym Pierwszym Pułkiem Karabinów Maszynowych. Grigorij zamieszkał w koszarach przy Samsoniewskim Prospekcie w dzielnicy Wybörg, w której znajdowały się fabryki i robotnicze slumsy.

Żołnierze z Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych mieszkali w dobrych warunkach i dostawali porządne jedzenie. Chodziło o to, by byli zadowoleni i chętni do obrony znienawidzonego reżimu.

Grigorij ucieszył się z powrotu, lecz perspektywa spotkania z Kateriną napawała go niepokojem. Tęsknił za jej twarzą i głosem. Pragnął wziąć na ręce jej dziecko, swojego bratanka. Jednak prawda była taka, że Katerina wybrała Lwa i urodziła jego dziecko. Nie ma prawa jej kochać.

Przez jakiś czas bawił się myślą, że nie zawiadomi jej o swoim powrocie. W ponaddwumilionowym mieście mogą się nie spotkać. Okazało się jednak, że to ponad jego siły.

Pierwszego dnia nie pozwolono mu wyjść z koszar. Niecierpliwiał się, chciał czym prędzej zobaczyć Katerinę. Wieczorem wraz z Izaakiem nawiązali kontakty z innymi bolszewikami mieszkającymi w koszarach. Grigorij zgodził się stworzyć grupę dyskusyjną.

Nazajutrz rano jego pluton został przydzielony do ochrony bankietu mającego się odbyć w rezydencji księcia Andrieja, dawnego pana Grigorija. Księżę mieszkał w różowo-żółtym pałacu na Nabrzeżu Angielskim tuż nad Newą. W południe żołnierze ustawili się na schodach. Miasto poszarzało, nisko na niebie wisiały deszczowe chmury, lecz we wszystkich oknach pałacu paliły się światła. Za aksamitnymi zasłonami podobnymi do teatralnych kurtyn uwijali się lokaje oraz pokojówki z butelkami wina, półmisekami pełnymi smakołyków i srebrnymi tacami, na których piętrzyły się stopy owoców. W wielkiej sali orkiestra grała muzykę symfoniczną, a jej dźwięki wydostawały się na dwór. Do schodów podjeżdżały wielkie błyszczące auta, lokaje spieszyli otwierać ich drzwiczki. Z pojazdów wysiadali mężczyźni w czarnych płaszczach i wysokich kapeluszach oraz damy otulone futrami. Po przeciwnej stronie ulicy zebrał się niewielki tłum gapiów.

Scena była dobrze znana, lecz wszystko odbywało się inaczej niż kiedyś. Ilekroć ktoś wysiadł z samochodu, gapie buczeli i rzucali drwiące okrzyki. Dawniej policja w ciągu minuty rozpędziłaby tłum pałkami, teraz jednak policjantów nie było, a goście w pośpiechu wchodzili po schodach między dwoma szeregami żołnierzy. Następnie czym prędzej wślizgiwali się przez wspaniałe drzwi, wyraźnie bojąc się pozostawać na zewnątrz.

Grigorij uważał, że ludzie słusznie szydzą z arystokratów, którzy w tak nieudolny sposób prowadzą wojnę. W razie wybuchu zamieszek bez wahania wziąłby stronę pospólstwa. Nie zamierzał strzelać do ludzi i domyślał się, że wielu żołnierzy czuje podobnie.

Jak to możliwe, że magnaci w takich czasach urządzają wystawne przyjęcia? Połowa Rosji głoduje i nawet żołnierze na froncie dostają zmniejszone racje żywnościowe. Ludzie tacy jak Andriej zasługują na to, by zaszlachtowano ich we własnych łóżkach. Jeśli go zobaczę, trudno mi będzie się powstrzymać, myślał Grigorij. Najchętniej rozwaliłbym go tak jak majora Azowa. Procesja samochodów się skończyła, wszyscy goście wysiedli bez przeszkód. Gapie znudzili się i pomału rozeszli. Grigorij przez całe popołudnie wpatrywał się w twarze przechodzących ulicą kobiet z nadzieją, że ujrzy Katerinę. Gdy goście zaczęli wychodzić z bankietu, zrobiło się ciemno i zimno. Nikomu nie chciało się stać na ulicy, obyło się więc bez buczenia i okrzyków.

Zaraz po przyjęciu żołnierzy zawołano do tylnych drzwi. Mogli się raczyć resztkami, których nie pochłonęła służba: kawałkami mięsa i ryby, zimnymi warzywami, nadgryzionymi rogalikami, jabłkami i gruszkami. Jedzenie rzucono byle jak na wiklinowy stół, przez co powstała nieapetyczna mieszanka: plasterki szynki nurzały się w pasztecie rybnym, owoce w sosie, pieczywo zaś było przyprószone popiołem z cygar. Jednak żołnierzom zdarzało się w okopach jeść gorsze rzeczy, a ponieważ od śniadania złożonego

z owsianki i zimnego dorsza upłynęło sporo czasu, jedli łapczywie. Grigorij ani razu nie zobaczył zniechęconej gęby księcia Andrieja. Może to i lepiej.

Po powrocie do koszar i zdaniu broni żołnierze dostali wolne na cały wieczór. Peszkowa ogarnęła uniesienie: wreszcie zobaczy Katerinę. Na zapleczu kuchni wyprosił dla niej trochę chleba oraz mięsa, bo jako sierżant mógł korzystać z pewnych przywilejów. Wyglansowawszy buty, ruszył w drogę.

Wyborg leżał w północno-wschodniej części stolicy. Katerina mieszkała po przeciwnej stronie miasta, w południowo-zachodniej dzielnicy Narwa. Jej mały pokój znajdował się nieopodal Zakładów Putiłowskich.

Grigorij skierował się na południe Samsoniewskim Prospektem, pokonał most Litiejny i znalazł się w centrum. Niektóre eleganckie sklepy wciąż były otwarte, w witrynach paliły się światła, lecz wiele innych już zamknięto. W zwykłych sklepikach pozostało niewiele towaru. Na wystawie piekarni leżało jedno ciastko oraz kartka z napisem: Do jutra chleba nie będzie.

Widok szerokiego Newskiego Prospektu przypominał Grigorijowi, jak siedział wtedy u boku matki tamtego strasznego dnia w 1905 roku i jak na jego oczach zastrzelili ją carscy żołnierze. Teraz jest jednym z nich, lecz do kobiet i dzieci strzelać nie będzie. Jeśli car spróbuje popełnić taką zbrodnię, tym razem skończy się to inaczej.

Dziesięciu czy dwunastu młodych, groźnie wyglądających mężczyzn w czarnych płaszczach i czapkach kroczyło z portretem młodego cara Mikołaja. Monarcha miał gęstą ciemną czuprynę i efektowną rudawą bródkę. Jeden ze zgrai wykrzyknął: „Niech żyje car!”, a jego kompani zatrzymali się, zdjęli czapki i zaczęli wiwatować. Kilku przechodniów także zdjęło nakrycia głowy.

Grigorij napotykał już takie bandy. Nazywano je Czarnymi Sotniami, a oficjalna nazwa brzmiała: Związek Ludu Rosyjskiego. Była to prawicowa organizacja pragnąca powrotu złotego wieku samodzierżawia, kiedy to car cieszył się sławą ojca narodu, a w Rosji nie było liberałów, socjalistów oraz Żydów. Jej gazety były finansowane przez władze, broszury zaś drukowano w piwnicach komend policji. Tak przynajmniej donosili bolszewikom ich informatorzy w policyjnych szeregach.

Sierżant zerknął na nich z pogardą, lecz któryś go zaczepił:

– Hej, ty! Dlaczegoś nie zdjął czapki?

Grigorij nie zwolnił kroku. Inny członek bandy złapał go za rękę.

– Ktoś ty, Żyd? Czapka ze łba!

– Dotknij mnie jeszcze raz, a urwę ci ten głupi łeb, szczeniaku – warknął Peszków.

Napastnik cofnął się, po czym podsunał mu ulotkę.

– Poczytaj sobie, przyjacielu. Tu jest o tym, jak Żydzi zdradzają was, żołnierzy.

– Z drogi, bo wepchnę ci do tyłka ten durny paszkwil.

Mężczyzna rozejrzał się, szukając wsparcia u towarzyszy, lecz tamci zaczęli okładać jakiegoś starszego mężczyznę w futrzanej czapce. Grigorij odszedł.

Kiedy mijał drzwi zabitego deskami sklepu, odezwała się do niego jakaś kobieta:

– Hej, byczku, możesz mnie wziąć za rubla.

Zagadnęła go słowami prostytutki, lecz ton jej głosu zaskoczył Grigorija. Mówiła jak osoba wykształcona. Miała na sobie długi płaszcz, a gdy na nią spojrział, rozchyliła go. Pod spodem była naga, mimo że panował ziąb. Miała ponad trzydzieści lat, duże piersi i okrągły brzuch.

Grigorij poczuł żądzę. Od lat nie był z kobietą. Frontowe prostytutki były wulgarne, brudne i roznosiły choroby. Jednak tę kobietę mógłby przytulić.

– Tak czy nie? – spytała, otulając się płaszczem.

– Nie mam pieniędzy.
– A co jest w tej torbie?
– Parę kęsów jedzenia.
– Dam ci za bochenek chleba – zaproponowała kobieta. –
Moje dzieci głodują.
Grigorij pomyślał o jej bujnych piersiach.
– Gdzie?
– Na zapleczu sklepu.
Przynajmniej nie będę wariował z pożądania, kiedy znajdę się obok Kateriny.
– Zgoda.
Kobieta otworzyła drzwi i wprowadziła Grigorija do środka.
Przeszli przez pusty sklepik do drugiego pomieszczenia. W bladym świetle padającym z ulicy zobaczył na podłodze przykryty kocem materac.
Stała twarzą do niego, znowu rozchylając poły płaszcza.
Spojrzał na ciemną gęstwinę włosów na jej łonie. Wyciągnęła do niego rękę.
– Najpierw chleb, sierżancie.
Peszków wyjął z sakwy duży bochen czarnego chleba.
– Zaraz przyjdę – rzekła kobieta.
Wbiegła po schodach na górę i otworzyła drzwi. Grigorij usłyszał dziecięcy głos, a potem charczący męski kaszel wydobywający się z głębi piersi. Przez chwilę z góry dobiegały stłumione odgłosy kroków i cichej rozmowy. Drzwi zamknęły się i kobieta zeszła na dół.
Zdjęła płaszcz, położyła się na materacu i rozsunała nogi.
Grigorij otoczył ją ramionami. Na jej ładnej, znamionującej inteligencję twarzy widać było napięcie.
– Aleś ty silny!
Pogładził ją po miękkiej skórze, lecz żądza zupełnie go opuściła. Obraz był zbyt żałosny: pusty sklepik, schorowany mąż, głodne dzieci i udawana kokieteria.
Rozpięła mu spodnie i ujęła jego wiotki członek.
– Chcesz, żebym wzięła do buzi?
– Nie – odparł Grigorij, siadając i podając jej płaszcz. –
Ubierz się.
– Ale chleba nie mogę ci oddać, jest już prawie zjedzony – rzekła z przestraczeniem.
Grigorij pokręcił głową.
– Dlaczego to robisz?
Kobieta włożyła płaszcz i zapięła guziki.
– Masz papierosy?
Poczęstował ją i sam też zapalił.
Wydmuchnęła dym.
– Mieliśmy sklep obuwniczy z dobrymi butami za przyzwoitą cenę, dla klasy średniej. Mąż umie prowadzić interes i dobrze nam się wiodło. – W jej głosie pojawiła się nuta gorczy. – Ale w tym mieście nikt oprócz arystokracji od dwóch lat nie kupił nowych butów.
– Nie mogliście zająć się czymś innym?
– Mogliśmy – odparła kobieta z gniewnym błyskiem w oczach. – Przecież nie siedzieliśmy z założonymi rękami i nie czekaliśmy, co przyniesie los. Mąż dowiedział się, że może dostarczać żołnierzom dobre buty za połowę ceny, którą płaci wojsko. Wszystkie małe zakłady zaopatrujące nasz sklep rozpaczliwie potrzebowały zamówień. Mąż poszedł do Komisji Przemysłu Wojennego.
– Cóż to takiego?
– Dawno cię tu nie było, sierżancie. Teraz wszystkim rządzi niezależne komitety, bo rząd z niczym sobie nie radzi. Komisja Przemysłu Wojennego zajmuje się zaopatrzeniem armii. A raczej zajmowała się, dopóki ministrem wojny był Poliwanow.
– I co się stało?

– Zdobyliśmy zamówienie, mąż przeznaczył wszystkie oszczędności na zapłatę dla szewców i wtedy car zwolnił Poliwanowa.

– Dlaczego?

– Dopuszczał do komisji przedstawiciele robotników, więc caryca doszła do wniosku, że jest rewolucjonistą. Tak czy owak, zamówienie cofnięto, a my zbankrutowaliśmy.

Grigorij z niesmakiem pokręcił głową.

– A mnie się wydawało, że tylko dowódcy na froncie poszaleli.

– Próbowaliśmy w innych branżach. Mąż był gotów wziąć każdą robotę: kelnera, motorniczego tramwaju albo robotnika drogowego, ale nikt nie przyjmował do pracy. Ze zmartwienia i głodu zaczął chorować.

– I doszło do tego.

– Nie jestem w tym dobra. Niektóre chłopcy mają serce, tak jak ty. Ale inni... – Kobieta zadrżała i odwróciła głowę.

Peszków dopalił papierosa i wstał.

– Żegnaj. Nie będę cię pytał o imię.

Ona też wstała.

– Dzięki tobie moja rodzina żyje – rzekła zdławionym głosem. – A ja nie będę musiała jutro wychodzić na ulicę. – Stała na palcach i delikatnie pocałowała go w usta. – Dziękuję, sierżancie.

Na dworze zrobiło się chłodno. Grigorij zmierzał w stronę swojej dzielnicy. Oddalając się od sklepu, poczuł wzbierające pożądanie. Z żalem pomyślał o delikatnej skórze, którą ledwie musnął.

Przyszło mu na myśl, że Katerina tak samo jak on ma potrzeby fizyczne. Dwa lata to dużo czasu, a ona ma dopiero dwadzieścia trzy. Dlaczego miałyby pozostawać wierna Lwu albo jemu? Kobieta z dzieckiem odstraszy niejednego, lecz z drugiej strony jest bardzo ponętna. A w każdym razie była przed dwoma laty, może już nie jest. A jeśli Grigorij kogoś u niej zastanie? To dopiero byłoby straszne. Znalazł się obok swojego dawnego domu przy torach kolejowych. Ulica wyglądała na bardziej zaniedbaną niż dwa lata temu. Niczego nie odmalowano, nie naprawiono ani nawet nie wyczyszczono. Przed piekarnią na rogu ustawiła się kolejka, mimo że sklep był zamknięty.

Wciąż miał klucz, więc sam sobie otworzył.

Z lękiem wchodził po schodach. Bardzo nie chciał zastać Kateriny z innym mężczyzną. Teraz żałował, że nie uprzedził jej o swoim przybyciu. Mogłaby tak to urządzić, że byłaby sama. Zapukał do drzwi.

– Kto tam?

Na dźwięk jej głosu łzy napłynęły mu do oczu.

– Gość – odparł chrapliwie i otworzył.

Katerina stała przy kominku z rondlem w ręku. Na jego widok upuściła naczynie, rozlewając mleko. Uniosła ręce do ust i krzyknęła cicho.

– To tylko ja – uspokoił ją Grigorij.

Na podłodze siedział chłopczyk z blaszaną łyżką w rączce, którą jeszcze przed chwilą walił w pustą bańkę. Popatrzył na Grigorija i się rozplakał.

Katerina wzięła go na ręce.

– Nie płacz, Wołodia – rzekła, kołysząc dziecko. – Nie ma się czego bać. To twój tatuś.

Grigorij nie miał pewności, czy chce, by mały Władimir uważał go za ojca, lecz nie była to odpowiednia chwila na spory. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Otoczył ramionami matkę i dziecko. Najpierw cmoknął chłopca, a potem ucałował Katerinę w czoło.

Zrobił krok do tyłu i popatrzył na oboje. Katerina nie była już dziewczęciem o świeżej twarzy, które uratował przed niechcianymi

zalotami kapitana policji Pińskiego. Zeszczuplała, a w jej zmęczonych oczach czaiło się napięcie.

O dziwo, chłopiec nie przypominał Lwa. Nie był tak przystojny i nie miał jego zniewalającego uśmiechu. Miał natomiast intensywnie błękitne oczy, które Grigorij widywał za każdym razem, gdy spoglądał w lustro.

– Śliczny chłopczyk – rzekł z uśmiechem.

– Co ci się stało w ucho? – odpowiedziała pytaniem Katerina.

Grigorij dotknął resztki prawego ucha.

– Straciłem w bitwie pod Tannenbergiem.

– A ząb?

– Uraziłem oficera. Ale on już nie żyje, więc koniec końców stanęło na moim.

– Nie jesteś już taki przystojny jak kiedyś.

Katerina nigdy dotąd nie mówiła mu, że jest przystojny.

– To drobne obrażenia. Mam szczęście, że żyję.

Rozejrzał się po swoim starym pokoiku. Na gzymsie kominka, na którym bracia trzymali kiedyś fajki, słój z tytoniem, zapaliki i bibułki, Katerina umieściła wazon, lalkę oraz kolorowy plakat z Mary Pickford. W oknie wisiała zasłonka. Była uszyta ze ścinków, jak kołdra, lecz Grigorij nigdy nie miał zasłony. Zauważył również, że zmienił się zapach. Dawniej w pokoju wisiał ciężki zaduch dymu tytoniowego, gotowanej kapusty i niedomytych mężczyzn. Teraz pachniało świeżością.

Katerina starła rozlane mleko.

– Wylałam kolację Wołodii. Nie wiem, co mu dam do jedzenia. W moich piersiach nie ma już pokarmu.

– Nie martw się – odrzekł Grigorij, wyciągając z worka pęto kiełbasy, kapustę oraz puszkę dżemu. Katerina patrzyła na to z niedowierzaniem. – Wszystko z koszarowej kuchni.

Otworzyła puszkę i podała dziecku łyżeczkę dżemu.

Malec zjadł i powiedział:

– Jeszcze?

Katerina także skosztowała odrobinę, a potem nakarmiła dziecko.

– To jest jak bajka. Tyle jedzenia! Nie będę musiała spać przed piekarnią.

Grigorij ściągnął brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Katerina przełknęła porcję dżemu.

– Nigdy nie starcza chleba. Cały jest sprzedawany rano, zaraz po otwarciu piekarni. Trzeba stanąć w kolejce, to jedyny sposób na zdobycie pieczywa. A jeśli nie staniesz przed północą, chleb zniknie, zanim nadejdzie twoja kolej.

– Boże drogi. – Grigorij przeraził się na myśl, że dziewczyna musi spać na chodniku. – A co z Wołodią?

– Znajoma nastawia uszu, kiedy mnie nie ma. On i tak przesypia całą noc.

Nic dziwnego, że żona sklepiarza chciała mu się oddać za bochenek chleba. Pewnie przepłacił.

– Jak dajesz sobie radę?

– Zarabiam w fabryce dwanaście rubli tygodniowo.

– To dwa razy tyle co wtedy, gdy wyjeżdżałem! – Grigorij nie krył zdziwienia.

– Ale czynsz za pokój wynosił cztery ruble, a teraz osiem. Zostają mi cztery ruble na wszystko inne. Worek ziemniaków kosztował rubla, a teraz siedem.

– Siedem rubli za worek kartofli! To jak ludzie żyją?

– Wszyscy cierpią głód. Dzieci chorują i umierają, starcy po prostu znikają. Z dnia na dzień jest gorzej i nikt nic nie robi. Grigorija ogarnęło przygnębienie. Męcząc się w wojsku, pocieszał się myślą, że Katerinie i dziecku powodzi się lepiej niż jemu, że mają ciepłe mieszkanie oraz pieniądze na jedzenie. Oszukiwał się. Gniewało go, że Katerina musi zostawiać synka

bez opieki i spać przed piekarnią.

Usiedli przy stole. Grigorij pokroił kielbasę na plasterki.

– Dobrze byłoby napić się herbaty.

Katerina się uśmiechnęła.

– Od roku nie piłam herbaty.

– Przyniosę z koszar.

Zjadła kielbasę. Grigorij widział, że dziewczyna musi się powstrzymać, by nie pochłonąć wszystkiego. Wziął Władimira na ręce i dał mu jeszcze dżemu, bo chłopczyk był za mały, by jeść kielbasę.

Grigorija ogarnęła beztroska radość. Będąc na froncie, wiele razy wyobrażał sobie tę scenę: mały pokój, stół zastawiony jedzeniem, dziecko, Katerina. Teraz marzenie się spełniło.

– To nie powinno przychodzić tak trudno – rzekł zadumany.

– Co masz na myśli?

– Ty i ja jesteśmy silni i sprawni, ciężko pracujemy. Nie chcę wiele: własny pokój, coś do jedzenia, odpoczynek pod koniec dnia. Tak powinno być zawsze.

– Zdradzili nas poplecznicy Niemiec na dworze – odparła Katerina.

– Jak to?

– Przecież wiesz, że caryca to Niemka.

– Owszem. – Żona cara, Alicja, przyszła na świat jako księżna Hesji i Renu, krain należących do Cesarstwa Niemieckiego.

– A Stiirmer jest Niemcem, wiadomo.

Grigorij wzruszył ramionami. Według jego wiedzy premier Borys Stiirmer urodził się w Rosji. Wielu Rosjan nosi niemieckie nazwiska i na odwrót. Mieszkańcy obu państw od wieków przekraczają granice.

– Rasputin także popiera Niemców.

– Naprawdę? – Grigorij podejrzewał, że obłąkanemu mni-
chowi zależy głównie na czarowaniu pań i zdobywaniu wpływów i władzy.

– Wszyscy współdziałają. Niemcy opłacają Sturmera, żeby morzył chłopów głodem. Car dzwoni do swojego kuzyna, cesarza Wilhelma, i mówi mu, w którą stronę idą nasze wojska. Rasputin chce, żebyśmy ogłosili kapitulację, a caryca i jej dama dworu, Anna Wyrubowa, śpią z nim.

Grigorij znał te wszystkie pogłoski, ale nie wierzył w pronie-
mieckie nastawienie dworu. Ludzie mający władzę są po prostu głupi i niekompetentni. Jednak wielu żołnierzy dawało wiarę takim niestworzonym historiom, a sądząc ze słów Kateriny, także wielu cywilów. Obowiązkiem bolszewików było przedstawianie prawdziwych przyczyn, dla których Rosjanie przegrywają wojnę i cierpią głód.

Ale nie dzisiaj. Władimir ziewnął, więc Grigorij wziął go na ręce i zaczął kołysać, chodząc po pokoju. Katerina tymczasem opowiadała mu o pracy w fabryce, o innych lokatorach domu i ludziach, których znał. Kapitan Piński jest teraz porucznikiem tajnej policji, zajmuje się tropieniem groźnych liberałów i demokratów. Na ulicach koczują tysiące osieroconych dzieci, które żyją z kradzieży bądź prostytucji albo giną z głodu i zimna. Konstantin, najbliższy przyjaciel Grigorija w Zakładach Putiłowskich, został członkiem pietrogradzkiego komitetu Partii Bolszewickiej. Bogaci się jedynie rodzina Wiałowów: bez względu na to, jak dotkliwe są niedobory, oni zawsze mogą handlować wódką, kawiosem, papierosami i czekoladą. Grigorij z przyjemnością patrzył na pełne usta Kateriny, gdy mówiła. Kształt jej podbródka znamionował determinację, a oczy patrzyły śmiało, lecz on zawsze widział w niej delikatność i bezbronność.

Kołysanie Grigorija i głos matki uspiły Władimira. Grigorij ułożył go ostrożnie na posłaniu, które Katerina zrobiła w kącie. Był to zwykły worek wypchany szmatami i przykryty kocem. Chłopczyk zwinął się na nim w kłębek i wsunął kciuk do buzi. Zegar na wieży kościelnej wybił dwudziestą pierwszą.

- O której musisz wrócić do koszar?
- O dwudziestej drugiej. Lepiej już pójdę.
- Nie odchodź jeszcze. - Katerina objęła go i pocałowała. To była cudowna chwila. Jej usta były takie miękkie. Zamknął na sekundę oczy i poczuł zapach jej skóry. Nagle się odsunął.
- Tak nie wolno.
- Nie pleć głupstw.
- Kochasz Lwa.

Spojrzała mu w oczy.

- Miałam dwadzieścia lat i byłam dziewczyną ze wsi nieznaną miasta. Podobały mi się jego eleganckie garnitury, jego papierosy, wódka i hojność. Był uroczy, przystojny i wesoły. Teraz mam dwadzieścia trzy lata i wychowuję dziecko. Gdzie się podział Lew?

Grigorij wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo.
- Ale ty tutaj jesteś. - Katerina pogłaskała go po policzku. Wiedział, że powinien ją odepchnąć, lecz nie potrafił. - Przyniosłeś dziecku jedzenie. Przecież widzę, jaka byłam głupia, zakochując się w Lwie, a nie w tobie. Nie rozumiesz, że teraz zmądrzałam? Że nauczyłam się ciebie kochać?

Grigorij patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

W błękitnych oczach Kateriny malowała się szczerłość.

- Tak, kocham cię.

Grigorij jęknął, zamknął oczy, wziął ją w ramiona i się poddał.

ROZDZIAŁ 20

Listopad - grudzień 1916 roku

i.

Ethel Williams z niepokojem czytała listę poległych zamieszczoną w gazecie. Figurowało na niej kilku Williamsów, lecz nie było kaprała Fizyliarów Walijskich Williama Williamsa. Odmówiwszy po cichu modlitwę dziękczynną, złożyła gazetę i podała ją Bernieemu Leckwithowi. Następnie zagotowała wodę na kakao. Nie mogła mieć pewności, czy Billy żyje. Być może zginął przed godziną lub kilkoma godzinami. Dręczyło ją wspomnienie dnia, w którym do Aberowen przyszły telegramy kondolencyjne. Na wykrzywionych strachem i smutkiem twarzach kobiet już na zawsze odcisnęły się bolesne ślady wieści zawartych w depeszach. Ethel wstydziła się radości, jaka ją ogarnęła, gdy okazało się, że Billy'ego nie ma wśród poległych. Telegramy wciąż napływały do Aberowen. Bitwa nad Sommą nie zakończyła się tamtego dnia. Przez cały lipiec, sierpień, wrzesień i październik brytyjskie dowództwo rzucało młodych żołnierzy na ziemię niczyją, a tam ścinały ich z nóg serie z karabinów maszynowych. Gazety nieustannie obwieszczały zwycięstwo, jednak telegramy opowiadały zupełnie inną historię. Bernie spędzał większość wieczorów w kuchni z Ethel. Mały Lloyd polubił wujka Berniego. Malec siadał mu na kolanach, a Bernie czytał na głos gazetę. Lloyd niewiele rozumiał, ale i tak mu się podobało. Dziś jednak Bernie był czymś zirytowany i nie zwracał na chłopca uwagi. Mildred zeszła z góry z imbrykiem.

- Pożycz łyżkę herbaty, Ethel.
- Weź sobie, wiesz, gdzie jest. Może napijesz się kakao?
- Nie, dzięki. Po kakao puszczam baki. Cześć, Bernie. Jak tam rewolucja?

Bernie uśmiechnął się i podniósł głowę znad gazety. Lubił Mildred. Wszyscy ją lubili.

- Rewolucja nieco się opóźnia.

Mildred nasypała herbaty do czajniczka.

- Są wiadomości od Billy'ego?
- Ostatnio nic nie było. A ty coś dostałaś?
- Parę tygodni temu.

Ethel rano zbierała pocztę z podłogi, wiedziała więc, że Mildred często dostaje listy od jej brata. Zakładała, że są to listy miłosne, bo o czym chłopak może pisać do lokatorki siostry? Mildred najwyraźniej odwzajemniała jego uczucia: często o niego pytała, jakby mimochodem, ukrywając niepokój.

Ethel lubiła ją, ale nie miała pewności, czy osiemnastoletni Billy jest gotowy na związek z dwudziestotrzyletnią kobietą z dwojgiem dzieci. Musiała jednak przyznać, że jej brat zawsze był nad wiek dojrzały i odpowiedzialny. Nim wojna dobiegnie końca, może mu przybyć kilka lat. Ethel pragnęła tylko, aby wrócił do domu żywy. Poza tym niewiele się liczyło.

- Jego nazwiska nie ma na liście ofiar w dzisiejszej gazecie, Bogu dzięki - oznajmiła Ethel.
- Ciekawe, kiedy dostanie urlop.
- Jest tam dopiero od pięciu miesięcy.

Mildred odstawiła imbryk.

- Mogę cię o coś spytać?
- Naturalnie.

- Myślę o tym, by pracować jako szwaczka na własną rękę.

Ethel się zdziwiła. Mildred była mistrzynią w zakładzie Man-niego Litova, dzięki czemu lepiej zarabiała.

- Koleżanka może mi załatwić pracę przy wykańczaniu kapeluszy - ciągnęła Mildred. - Przyszywanie woalek, wstażek, piór i koralików. To robota wymagająca kwalifikacji i o wiele bardziej opłacalna niż szycie mundurów.

- Doskonale.
- Sęk w tym, że przynajmniej na początku musiałabym to robić w domu. Z czasem zatrudniłabym kilka dziewcząt i wynajęła jakiś mały lokalik.
- Ty naprawdę patrzysz w przyszłość!
- Tak trzeba, no nie? Wojna się skończy i mundury nie będą potrzebne.

- Słusznie.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym przez jakiś czas wykorzystywała piętro jako warsztat?

- Jasne, że nie. Powodzenia!

- Dzięki. - Mildred pocałowała Ethel w policzek, wzięła imbryk z herbatą i wyszła.

Lloyd ziewnął i potarł oczy. Ethel wzięła go na ręce i położyła do łóżeczka we frontowym pokoju. Przez minutę lub dwie patrzyła z czułością, jak zasypia. Jego bezbronność zawsze ją wzruszała. Gdy dorośniesz, świat będzie lepszy, przyrzekła mu w duchu. My się o to postaramy.

Wróciwszy do kuchni, zajęła się Berniem, któremu humor zdecydowanie nie dopisywał.

- Powinno być więcej książek dla dzieci - odezwała się. Skinął głową.

- Chciałbym, żeby w każdej bibliotece był mały dział literatury dziecięcej - rzekł, nie odrywając się od lektury.

- Może jeśli wy, bibliotekarze, się postaracie, wydawcy poczują się zachęceni i zaczną wydawać więcej takich książek.

- Taką mam nadzieję.

Ethel dorzuciła węgla do pieca i naląka kakao do filiżanek. Takie kameralne wieczory zwykle cieszyły Berniego, który nie miał tendencji do zamykania się w sobie. Stanowili parę outsiderów: ona, dziewczyna z Walii, i on, Żyd. Nie oznacza to, że w Londynie brakowało Walijszyków czy Żydów. Tak czy inaczej, w ciągu tych dwóch lat spędzonych w Londynie Ethel zaprzyjaźniła się z Berniem, Mildred oraz Maud.

Domyślała się, co go trapi. Wczoraj wieczorem młody in-

teligentny mówca z Towarzystwa Fabiańskiego wygłosił przemówienie na zebraniu miejscowej komórki Partii Pracy, poświęcone socjalizmowi w epoce powojennej. Ethel wdała się z nim w dyskusję i najwidoczniej zrobiła na młodzieńcu wrażenie. Po zebraniu flirtował z nią, choć wszyscy wiedzieli, że jest żonaty. Ethel spodobała się jego atencja, aczkolwiek wcale nie traktowała jej poważnie. Mimo to Bernie mógł być zazdrosny.

Postanowiła dać mu spokój, skoro tak woli. Usiadła przy stole i otworzyła dużą kopertę pełną listów napisanych przez mężczyzn walczących na froncie. Czytelniczki „Żony Żołnierza” przysyłały do gazety listy swoich mężów. Za każdy opublikowany list płacono szylinga. Z korespondencji wyłaniał się obraz życia na froncie prawdziwszy niż ten, który przedstawiała oficjalna prasa. Większość tekstów do „Żony Żołnierza” pisała Maud, lecz listy były pomysłem Ethel i to ona redagowała stronę, która stała się najpopularniejszym działem gazety.

Zaoferowano jej lepiej płatne, pełnoetatowe stanowisko organizatorki w Krajowym Związku Robotników Odzieżowych, lecz odrzuciła tę propozycję. Chciała zostać z Maud i kontynuować kampanię.

Przeczytawszy kilka listów, westchnęła i spojrzała na Berniego.

– Można by pomyśleć, że ludzie opowiedzą się przeciwko wojnie.

– Ale tego nie zrobili. Spójrz na wyniki wyborów.

W ubiegłym miesiącu w Ayrshire przeprowadzono wybory uzupełniające w jednym okręgu, przyczyną była śmierć deputowanego. Konserwatysta, generał broni Hunter-Weston, weteran spod Sommy, stanął przeciwko pastorowi Chalmersowi, który opowiadał się za pokojem. Wojskowy odniósł miażdżące zwycięstwo: zdobył siedem tysięcy sto czterdzieści dziewięć głosów, kontrkandydat zaś zaledwie tysiąc trzysta.

– Wszystko przez prasę – prychnęła Ethel. – Co nasza mała gazetka propagująca pokój może zdziałać wobec maszyny propagandowej tego cholernego Northcliffe'a? – Lord Northcliffe, zaprzysięgły militarysta, był właścicielem „Timesa” oraz „Daily Mail”.

– Nie chodzi wyłącznie o gazety, lecz także o forszę – zauważył Bernie.

Z uwagą śledził rządowe finanse, co mogło się wydawać dziwne, gdyż sam nigdy nie miał więcej niż kilka szylingów. Ethel dostrzegła sposobność wyrwania go ze złego nastroju.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przed wojną rząd wydawał około pół miliona funtów dziennie na wszystko razem: wojsko, pałace i więzienia, szkolnictwo, emerytury, administrację kolonii.

– To mnóstwo forsy! – Ethel uśmiechnęła się z czułością. –

Mój ojciec zawsze znał takie dane.

Bernie napił się kakao.

– Zgadnij, ile wydajemy teraz.

– Dwa razy tyle? Milion dziennie? To chyba niemożliwe.

– Grubo się pomyliłaś. Wojna kosztuje nas pięć milionów funtów dziennie. Dziesięć razy więcej, niż normalnie kosztuje rządzenie krajem.

Ethel była wstrząśnięta.

– Skąd się biorą te pieniądze?

– No właśnie. Zapożyczymy się.

– Ależ wojna trwa od ponad dwóch lat! Musieliśmy pożyczyć... prawie cztery miliardy funtów!

– Coś koło tego. Tyle, ile wynoszą zwykłe wydatki w ciągu dwudziestu pięciu lat.

– Jak spłacimy ten dług?

– Być może nigdy go nie spłacimy. Rząd, który podniesie podatki, by spłacić kredyt, może doprowadzić do rewolucji.

– A więc co się stanie?

– W razie gdybyśmy przegrali wojnę, nasi wierzyciele, czyli głównie Amerykanie, zbankrutują. Lecz jeśli wygramy, każemy zapłacić Niemcom. Takie obciążenia nazywa się reparacjami wojennymi.

– Czy oni dadzą sobie z tym radę?

– Będą przymierali głodem, lecz los przegranych nikogo nie obchodzi. Niemcy postąpili tak samo z Francuzami w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym. – Bernie wstał i odstawił filiżankę do zlewu. – Rozumiesz więc, że nie możemy zawrzeć pokoju z Niemcami, bo kto wtedy spłaci rachunki?

Słowa Berniego wstrząsnęły Ethel.

– Wysyłamy więc na śmierć w okopach naszych chłopców tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie spłacić zadłużenia. Biedny Billy. Jaki okropny jest świat, w którym przyszło nam żyć.

– Ale my go zmienimy.

Taką mam nadzieję, pomyślała. Bernie sądził, że nie obejdzie się bez rewolucji. Ethel czytała o rewolucji francuskiej i wiedziała, iż tego rodzaju przewroty nie zawsze kończą się tak, jak zamierzili ich przywódcy. Mimo to była zdeterminowana, by zapewnić Lloydowi lepsze życie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Bernie wstał i ruszył do drzwi, jakby chciał wyjść, lecz nagle zmienił zdanie.

– Ten chłopak wczoraj ciekawie mówił.

– Owszem.

– Bystry z niego facet.

– Tak, całkiem inteligentny.

– Ethel... dwa lata temu powiedziałaś, że chodzi ci o przyjaźń, a nie o romans.

– Przykro mi, że zraniłam twoje uczucia.

– Nie żałuj. Nasza przyjaźń to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała.

– Mnie także sprawia ogromną przyjemność.

– Twierdziłaś, że wkrótce zapomnę o miłosnych nastrojach i będziemy po prostu kolegami. Ale pomyliłaś się. – Pochylił się w jej stronę. – Im lepiej cię poznaję, tym bardziej cię kocham. Ethel widziała tęsknotę w oczach Berniego i bardzo żałowała, że nie może odwzajemnić jego uczuć.

– Ja także cię lubię, ale nie w taki sposób.

– Po co nam samotność? Lubimy się, stanowimy zgrany tandem! Mamy te same ideały i cele, podobne zapatrywania. Powinniśmy być z sobą.

– Małżeństwo to coś więcej.

– Wiem i pragnę wziąć cię w ramiona. – Bernie wyciągnął rękę do Ethel, lecz ona założyła nogę na nogę i odwróciła się bokiem. Bernie cofnął rękę i na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech. – Wiem, że nie jestem najprzystojniejszym facetem, jakiego spotkałaś, ale myślę, że nikt nie kocha cię tak jak ja. Ethel z bólem przyznała mu rację. Podobała się wielu mężczyznom i jeden ją uwiódł, lecz żaden nie był jej tak oddany i wytrwały jak Bernie. Gdyby za niego wyszła, mogłaby mieć pewność, że zostanie z nim na zawsze. W głębi duszy tęskniła do tego.

– Wyjdź za mnie – poprosił Bernie, wyczuwając jej wahanie. – Kocham cię. Do końca swoich dni będę robił wszystko, abyś była szczęśliwa. Niczego innego nie pragnę.

Czy Ethel w ogóle potrzebuje mężczyzny? Nie jest nieszczęśliwa. Lloyd stanowi dla niej nieustanne źródło radości. Uwielbia patrzeć, jak stawia pierwsze chwiejne kroki, słuchać jego gawożenia, obserwować jego bezgraniczną ciekawość. Synek jej wystarcza.

– Lloydowi potrzeba ojca – dodał Bernie.

Ethel poczuła wyrzuty sumienia. Bernie już pełni tę funkcję na pół etatu. Czy powinna wyjść za niego przez wzgląd na Lloyd'a? Nie jest jeszcze za późno, by zaczął go nazywać tatą.

Oznaczałoby to wyrzeczenie się resztek nadziei na to, że odnajdzie zniewalającą namiętność, jaką rozpałił w niej Fitz. Tamto wspomnienie wciąż budziło w niej tęsknotę. Jednak próbując myśleć obiektywnie, odsuwając na bok emocje, zadała sobie pytanie: co przyniósł mi ten romans? Fitz mnie rozczarował, rodzina odrzuciła, zostałam wygnana do obcego kraju. Dlaczego miałabym znowu tego chcieć?

Mimo wszystko nie potrafiła przyjąć oświadczyn Berniego.

– Pozwól mi pomyśleć.

Bernie się rozpromienił. Najwyraźniej była to bardziej obiecująca odpowiedź niż ta, której oczekiwał.

– Myśl, jak długo chcesz. Poczekam.

Ethel otworzyła drzwi.

– Do zobaczenia, Bernie.

– Do zobaczenia. – Pochylił się, a ona nadstawiła policzek.

Jego wargi dotknęły jej skóry. Odsunęła się. Bernie ujął ją za nadgarstek. – Ethel...

– Śpij dobrze.

Bernie zawahał się, a potem skinął głową.

– Ty też – powiedział i wyszedł.

II.

W dniu wyborów w listopadzie 1916 roku Gus Dewar pomyślał, że jego kariera polityczna dobiegła końca.

Siedział w Białym Domu, odbierał telefony i przekazywał wiadomości prezydentowi Wilsonowi przebywającemu ze swoją drugą żoną Edith w Shadow Lawn w stanie New Jersey. Mieścił się tam nowy letni Biały Dom. Poczta dostarczała dokumenty z Waszyngtonu codziennie, lecz czasem prezydent chciał je poznać nieco szybciej.

O dwudziestej pierwszej stało się jasne, że republikanin, sędzia Sądu Najwyższego Charles Evans Hughes, wygrał w czterech stanach, w których sympatie polityczne elektoratu się wahały: Nowym Jorku, Indianie, Connecticut oraz New Jersey.

Jednak do Gusa dotarło to dopiero wtedy, gdy posłaniec przyniósł mu jutrzejsze wydania nowojorskich gazet. Nagłówek jednej z nich głosił: Prezydent elekt Hughes.

Gus był w szoku, ponieważ przez cały czas sądził, że zwycięzca zostanie urzędujący prezydent. Wyborcy nie zapomnieli, jak dobrze poradził sobie z kryzysem po zatonięciu „Lusitanii”. Zdołał postawić Niemcom twarde warunki, a jednocześnie zachować neutralność. Slogan wyborczy Wilsona brzmiał: „To on uchronił nas od wojny”.

Hughes zarzucał Wilsonowi, że nie przygotował Ameryki do wojny, lecz to się zemściło. Amerykanie byli zdeterminowani, by po brutalnym stłumieniu powstania wielkanocnego w Dublinie z nikim się nie sprzymierzać. Brytyjczycy potraktowali Irlandczyków nie lepiej niż Niemcy Belgów, dlatego zatem Ameryka miałaby stawać po czyjejsz stronie?

Przeczytawszy gazety, Gus rozluźnił krawat i położył się na kozetce w pokoju sąsiadującym z Gabinetem Owalnym.

Perspektywa opuszczenia Białego Domu wytrąciła go z równowagi. Uzmysłowił sobie, że praca dla Wilsona stała się fundamentem jego istnienia. Życie uczuciowe leżało w gruzach, lecz przynajmniej wiedział, że ceni go prezydent Stanów Zjednoczonych.

Źródłem obaw Gusa nie był tylko egoizm. Wilson z determinacją dążył do stworzenia międzynarodowego ładu, który pozwoliłby w przyszłości uniknąć wojen. Tak jak sąsiedzi nie załatwiali już waśni granicznych za pomocą coltów, tak państwa powinny rozstrzygać kwestie sporne poprzez niezależny arbitraż. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych, Edward Grey, w liście do Wilsona

użył określenia Liga Narodów, a prezydentowi przypadło ono do gustu. Gdyby Gus przyczynił się do urzeczywistnienia tego planu, jego życie miałyby sens.

Teraz jednak wygląda na to, że marzenie się nie spełni. Z tą myślą Gus zapadł w niespokojny sen.

Wczesnym rankiem obudził go telefon z informacją, że Wilson wygrał w Ohio, „niebieskim” stanie, którego mieszkańców zjednał sobie stanowiskiem w sprawie ośmiogodzinnego dnia pracy, oraz w Kansas. A więc wrócił do gry. Nieco później zwyciężył także w Minnesocie większością nieco ponad tysiąca głosów.

Jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał z nadzieją Gus.

W środę wieczorem Wilson prowadził stosunkiem głosów elektorskich dwieście sześćdziesiąt cztery do dwustu pięćdziesięciu czterech. Różnica wynosiła zatem dziesięć głosów. Jeden stan, Kalifornia, jeszcze nie ogłosił wyników, a miał trzysta głosów elektorskich. Ten, kto wygra w Kalifornii, zostanie prezydentem. Telefon milczał. Gusowi nie pozostało wiele do zrobienia.

Obliczanie głosów w Los Angeles odbywało się powoli. Uzbrojeni demokraci pilnowali każdej nieotwartej urny. Nadal twierdzili, że machinacje wyborcze pozbawiły ich zwycięstwa w wyborach prezydenckich w 1876 roku.

Wynik nie był jeszcze rozstrzygnięty, gdy zadzwoniono z holu i oznajmiono Gusowi, że ma gościa. Ku jego zdziwieniu okazało się, że jest nim Rosa Hellman, była redaktorka „Buffalo Anarchist”. Ucieszył się, gdyż rozmowy z nią zawsze były interesujące. Pewien anarchista zabił w zamachu w Buffalo w 1901 roku prezydenta McKinleya, jednak Wilson znajdował się w odległym New Jersey, toteż Gus zaprosił Rosę do gabinetu i zaproponował kawę. Miała na sobie czerwony płaszcz. Pomagając jej go zdjąć, pochylił się i owionął go zapach kwiatowych perfum.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, oznajmiła pani, że jestem ostatnim głupcem, zaręczając się z Olgą Vyalov – rzekł, wieszając płaszcz na stojaku na kapelusze.

Rosa miała zakłopotaną minę.

– Proszę mi wybaczyć.

– Miała pani rację. – Gus postanowił zmienić temat. – Pracuje pani teraz w agencji prasowej?

– Owszem.

– Jest pani waszyngtońską korespondentką?

– Nie, jestem jedyną asystentką korespondenta.

Rosa pierwszy raz napomknęła o swoim kalectwie. Gus się zawahał.

– Zastanawiałem się kiedyś, dlaczego nie nosi pani opaski.

Ale to dobrze. Jest pani piękna z zamkniętym jednym okiem.

– Dziękuję, uprzejmy z pana mężczyzna. Czym pan się zajmuje w Białym Domu?

– Podnoszę słuchawkę, kiedy dzwoni telefon... Oprócz tego czytam przesłane raporty z Departamentu Stanu, a następnie mówię Wilsonowi prawdę.

– Na przykład o czym?

– Zdaniem naszych ambasadorów w Europie ofensywa nad Sommą osiąga niektóre cele, ale nie wszystkie. Obydwie strony ponoszą ciężkie straty. Podważyć takie stwierdzenie jest prawie niemożliwością, poza tym nic ono prezydentowi nie mówi. Oznajmiam mu więc, że bitwa jest dla Brytyjczyków katastrofą. – Gus wzruszył ramionami. – A raczej oznajmiałem, bo niewykluczone, że stracę tę posadę. – Gus ukrywał swoje prawdziwe uczucia. Perspektywa porażki Wilsona w wyborach napawała go przerażeniem.

Rosa skinęła głową.

– W Kalifornii ponownie liczą głosy. Zagłosowało prawie milion osób, różnica wynosi około pięciu tysięcy.

– Tak dużo zależy od decyzji niewielkiej liczby niewykształconych ludzi.

– Jak to w demokracji.
Gus się uśmiechnął.

– Rządzić krajem w taki sposób jest diabelnie trudno, lecz każdy inny ustrój wypada jeszcze gorzej.

– Jeśli Wilson wygra, jaki będzie jego najważniejszy cel?

– Rozmawiamy prywatnie?

– Oczywiście.

– Pokój w Europie – odparł bez wahania Gus.

– Doprawdy?

– Prezydent od początku czuł się nieswojo z hasłem „To on uchronił nas od wojny”. Sprawa nie leży całkowicie w jego rękach. Możemy zostać wciągnięci w zawieruchę bez względu na to, czego chcemy.

– Ale co prezydent może zrobić?

– Będzie wywierał nacisk na obie strony, by osiągnęły kompromis.

– Czy to się może udać?

– Nie mam pojęcia.

– Ależ oni nie mogą nadal wyrzynać się nawzajem, jak to robią nad Sommą.

– Bóg jeden wie. – Gus znów zmienił temat: – Proszę mi powiedzieć, co nowego w Buffalo?

Rosa spojrzała mu prosto w oczy.

– Chce pan wiedzieć, co się dzieje z Olgą? A może to zbyt krępujące?

Gus odwrócił głowę. Czyż może być coś bardziej krępującego? Najpierw dostał od Olgi list z informacją o unieważnieniu zaręczyn – był pełen wyrazów żalu, lecz niczego nie tłumaczył. Gus odpisał, że chce się z Olgą zobaczyć. Nie mógł zrozumieć takiego postępowania i domyślał się, że ktoś na nią naciska. Jednak jeszcze tego samego dnia jego matka, dzięki siatce zaprzyjaźnionych plotkarek, dowiedziała się, że Olga wychodzi za kierowcę jej ojca.

– Ale dlaczego? – spytał przygnębiony Gus.

– Drogi chłopcze, istnieje tylko jeden powód, dla którego dziewczyna może wyjść za szofera. – Gus patrzył na matkę, niczego nie rozumując. – Na pewno jest w ciąży – dodała po dłuższej chwili. Był to najbardziej upokarzający moment w życiu Gusa. Minał rok, a on nadal wzdrygał się z bólu na to wspomnienie.

Rosa odczytała wyraz jego twarzy.

– Niepotrzebnie do tego nawiązałam. Przykro mi.

Gus powinien był domyślić się tego, co wszyscy wiedzą. Dotknął lekko ręki Rosy.

– Dziękuję za szczerość. Tak wolę. Owszem, jestem ciekawy, co się dzieje z Olgą.

– Wzięli ślub w cerkwi przy Ideal Street, wesele odbyło się w hotelu Statler. Zaproszono sześćset osób, Josef Vyalov wynajął salę balową oraz jadalnię. Wszystkim podano kawior. Było to najbardziej wystawne przyjęcie ślubne w dziejach Buffalo.

– Jaki jest jej mąż?

– Lev Peshkov jest przystojny, czarujący i niegodny zaufania. Na pierwszy rzut oka widać, że to drań. Został zięciem jednego z najbogatszych ludzi w mieście.

– A dziecko?

– Dziewczynka ma na imię Daria, lecz nazywają ją Daisy. Urodziła się w marcu. Lev, rzecz jasna, nie jest już szoferem. Zdaje się, że prowadzi jeden z nocnych klubów Vyalova. Rozmawiali przez godzinę. Później Gus zszedł na dół i zatrzymał taksówkę, która odwiozła Rosę do domu.

Nazajutrz wczesnym rankiem odebrał telegram z wynikami wyborów w Kalifornii. Wilson wygrał liczbą trzech tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu głosów i został ponownie wybrany na prezydenta.

Gus nie posiadał się z radości. Zyskali następne cztery lata na osiągnięcie swoich celów. Przez ten czas mogą zmienić świat. Wciąż spoglądał na depeszę, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

– Łączę z Shadow Lawn – oznajmiła operatorka. – Prezydent chce z panem mówić.

– Dziękuję.

Po chwili odezwał się znajomy głos Wilsona:

– Witaj, Gus.

– Moje gratulacje, panie prezydencie.

– Dziękuję. Pakuj walizkę. Chcę, żebyś poleciał do Berlina.

III.

Gdy Walter von Ulrich przyjechał do domu na urlop, jego matka postanowiła wydać przyjęcie.

Przyjęcia stanowiły w Berlinie rzadkość. Nawet zamożnej kobiecie, żonie wpływowego człowieka, trudno było kupić żywność. Susanne von Ulrich nie czuła się dobrze, schudła i męczył ją kaszel. Jednak bardzo chciała zrobić coś dla syna.

Otto miał piwnicę pełną przedniego wina kupionego jeszcze przed wojną. Susanne postanowiła, że bankiet odbędzie się po południu, dzięki temu nie będzie musiała serwować pełnej kolacji. Podała trójkątne tosty z wędzoną rybą i serem, a niedostatek jedzenia nadrobiła obfitością szampana.

Walter był wdzięczny matce za ten pomysł, lecz w gruncie rzeczy nie chciał przyjęcia. Wyrwawszy się z pola bitwy na dwa tygodnie, marzył o miękkim łóżku i suchych ubraniach oraz o tym, że przez cały dzień będzie mógł leniuchować w eleganckim salonie w domu rodziców, wyglądać przez okno i myśleć o Maud albo usiąść przy fortepianie i zagrać Frulingsglaube Schuberta: Teraz wszystko, wszystko musi się odmienić.

Z jakąś beztroską on i Maud w sierpniu 1914 roku marzyli, że w Boże Narodzenie znów będą razem! Minęły już dwa lata od chwili, gdy patrzył na jej uroczą twarz. Przypuszczalnie upłyną jeszcze dwa, nim Niemcy wygrają wojnę. Dla Waltera byłoby najlepiej, gdyby Rosja padła, gdyż wtedy Niemcy mogliby skoncentrować wszystkie siły i rozpocząć ostateczną ofensywę na zachodzie.

Tymczasem coraz trudniej było mu przywołać obraz ukochanej. Musiał spoglądać na wyblakłą fotografię z gazety, którą nosił przy sobie, opatrzoną podpisem: Lady Maud Fitzherbert zawsze ubiera się zgodnie z najnowszą modą. Przyjęcie bez niej nie stanowiło dla niego atrakcji. Szykując się, żałował, że matka zadała sobie tyle trudu.

Dom tchnął szarością. Było zbyt mało służby, by utrzymać go w idealnym porządku. Mężczyźni poszli do wojska, kobiety zostały konduktorkami i listonoszkami, natomiast starsi wiekiem służyący, którzy pozostali, nie umieli sprostać wysokim wymaganiom stawianym przez matkę Waltera. Było więc nie tylko brudno, ale i zimno. Przydział węgla nie wystarczał, by używać centralnego ogrzewania, toteż matka postawiła piecyki w holu, jadalni i salonie. Wszystko to jednak było za mało na listopadowe chłody w Berlinie.

Walter rozpogodził się, gdy zimne pokoje zapełniły się młodymi ludźmi, a niewielka orkiestra, która zajęła miejsce w holu, zaczęła grać. Młodsza siostra Waltera, Greta, zaprosiła wszystkich swoich przyjaciół. Walter uprzytomnił sobie, jak bardzo brakowało mu życia towarzyskiego. Lubił widok dziewcząt w pięknych kreacjach oraz mężczyzn ubranych w nieskazitelne garnitury. Żarty, flirty i plotki sprawiały mu przyjemność. Życie dyplomaty, które miał okazję poznać, bardzo mu odpowiadało. Z łatwością oczarowywał ludzi i zabawiał ich rozmową.

W domu państwa von Ulrichów nie było sali balowej, lecz goście zaczęli tańczyć na terakotowej posadzce w holu. Walter kilka razy poprosił do tańca najlepszą przyjaciółkę Greta, Monikę von der Helbard, wysoką wiotką pannę z długimi rudymi włosami. Przywodziła mu na myśl obrazy angielskich malarzy określających się mianem prerafaelitów.

Trzymając kieliszek szampana, usiadł obok Moniki. Zapytała, jak jest w okopach. Wszyscy o to pytali. Zazwyczaj odpowiadał, że życie na froncie nie należy do łatwych, lecz morale żołnierzy jest wysokie i Niemcy odniosą ostateczne zwycięstwo. Nie wiedzieć czemu Monice powiedział prawdę.

– A najgorsze jest to, że nie widać w tym żadnego celu. Od dwóch lat zajmujemy te same pozycje, kilka jardów w jedną lub drugą stronę, a ja nie wiem, czy jakakolwiek decyzja najwyższego dowództwa może tę sytuację zmienić. Czy w ogóle jest to możliwe. Marzniemy, głodujemy, kaszлемy, zapadamy na choroby stóp i żołądka, nudzimy się aż do bólu. I wszystko na próżno.

– Z gazet dowiadujemy się czego innego. Jakie to smutne – westchnęła Monika.

Na znak współczucia uściśnęła lekko jego ramię. Dotyk po-działał na Waltera jak lekki wstrząs elektryczny. Od dwóch lat nie dotknęła go żadna kobieta spoza rodziny. Pomyślał, jak cudownie byłoby wziąć Monikę w ramiona, przytulić jej ciepłe ciało i poca-łować w usta. Spojrzała na niego bursztynowymi oczyma i Walter uświadomił sobie, że odgadła jego myśli. Już wcześniej przekonał się, że kobiety często wiedzą, co mężczyznom chodzi po głowach. Poczł zakłopotanie, lecz Monika najwyraźniej się tym nie przejęła. Ta myśl jeszcze bardziej go podnieciła.

Ktoś do nich podszedł i Walter z irytacją podniósł na niego oczy. Myślał, że jakiś mężczyzna chce poprosić Monikę do tańca. Wtem rozpoznał znajomą twarz.

– Boże drogi – rzekł, próbując przypomnieć sobie nazwisko. Jak wszyscy dyplomaci, miał doskonałą pamięć do twarzy. – Czy to Gus Dewar? – spytał po angielsku.

– Tak – odparł po niemiecku Gus. – Możemy mówić po niemiecku. Jak się pan miewa?

Walter wstał i podał gościowi rękę.

– Pozwoli pan, że przedstawię pannę Monikę von der Helbard. To jest Gus Dewar, doradca prezydenta Woodrowa Wilsona.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Dewar. Zostawiam panów i życzę miłej rozmowy.

Walter z żalem i poczuciem winy odprowadził ją wzrokiem. Na krótką chwilę zapomniał, że jest żonaty.

Spojrzał na Amerykanina, którego polubił od pierwszego spotkania w Ty Gwyn. Gus wyglądał nieco dziwnie. Miał dużą głowę osadzoną na długim chudym tułowi, lecz była to głowa nie od parady. Był wtedy świeżo upieczonym absolwentem Harvardu i cechowała go urocza nieśmiałość, jednak dwa lata spędzone w Białym Domu dodały mu nieco pewności siebie. Miał na sobie garnitur bez fasonu, jakie nosili Amerykanie, jednak prezentował się w nim całkiem elegancko.

– Cieszę się, że pana widzę – rzekł Walter. – Niewielu ludzi przyjeżdża tutaj na urlop.

– W gruncie rzeczy nie jestem na urlopie – wyznał Gus. Walter czekał, aż wyjawi coś więcej, ten jednak milczał.

– Jeśli nie urlop, to co?

– Powiedzmy, że wkładam palec do wody, by sprawdzić, czy jest wystarczająco ciepła dla prezydenta.

A zatem sprawy oficjalne.

– Rozumiem.

– Przejdźmy do rzeczy – zasugerował Gus i znów się zawahał. Walter czekał cierpliwie. Gus zniżył głos. – Prezydent Wilson pragnie, by Niemcy i alianci zorganizowali rozmowy

pokoju.

Serce Waltera zabiło szybciej, lecz uniósł z niedowierzaniem brwi.

– Prezydent przysłał z tym pana właśnie do mnie?

– Sam pan wie, jak to jest. Prezydent nie może się narażać na otwartą odmowę, gdyż osłabiłoby to jego autorytet. Naturalnie może kazać naszemu ambasadorowi w Berlinie spotkać się z waszym ministrem spraw zagranicznych. Wtedy jednak sprawa nabierze oficjalnego biegu i prędzej czy później wyjdzie na jaw. Zwrócił się więc do swojego najniższego rangą doradcy, czyli mnie, abym polecał do Berlina i wykorzystał kontakty, które nawiązałem w tysiąc dziewięćset czternastym roku.

Walter skinął głową. W świecie dyplomacji załatwia się w ten sposób wiele spraw.

– Jeżeli odrzucimy waszą propozycję, nikt się nie dowie.

– A nawet jeśli informacja wydostanie się na zewnątrz, będzie wiadomo tylko tyle, że jacyś niewiele znaczący młokosi próbowali działać na własną rękę.

Wszystko to brzmiało sensownie i Walter poczuł dreszcz podniecenia.

– Jak brzmi propozycja prezydenta Wilsona?

Amerikanin odetchnął głęboko.

– Gdyby Kaiser przedstawił aliantom pisemną propozycję zorganizowania konferencji pokojowej, prezydent publicznie by ją poparł.

Walter stłumił ogarniające go uniesienie. Ta nieoczekiwana prywatna rozmowa może wstrząsnąć światem. Czy to naprawdę możliwe, że koszmar frontowych okopów dobiegnie końca? Czy to możliwe, że on, Walter, spotka się z ukochaną za kilka miesięcy, a nie lat? Powiedział sobie, że nie wolno dawać się ponieść emocjom. Tego rodzaju nieoficjalne dyplomatyczne sondowanie gruntu zwykle spełza na niczym. Nie mógł jednak pohamować entuzjazmu.

– To wielka rzecz, Gus. Wilson naprawdę tak do tego podchodzi?

– Jak najbardziej. Powiedział mi o tym zaraz po wygranych wyborach.

– Do czego dąży?

– Nie chce prowadzić Ameryki na wojnę. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że i tak zostaniemy w nią wciągnięci. Prezydent Wilson pragnie pokoju. Później chce ustanowić nowy system międzynarodowy, dzięki któremu nigdy więcej do takiej wojny nie dojdzie.

– Jestem za. Co mam robić?

– Pomów z ojcem.

– Ta propozycja może mu się nie spodobać.

– Przekonaj go.

– Zrobię, co w mojej mocy. Mogę się z tobą skontaktować w waszej ambasadzie?

– Nie, jestem tutaj z prywatną wizytą. Mieszkam w hotelu Adlon.

– Jakżeby inaczej – rzekł z uśmiechem Walter. Adlon był najlepszym hotelem w Berlinie, a kiedyś cieszył się sławą najbardziej luksusowego hotelu na świecie. Walter pomyślał o tym z nostalgią. – Czy kiedykolwiek będziemy znów dwoma sztabkami, których jedyną troską jest to, by zwrócić na siebie uwagę kelnera i zamówić jeszcze jedną butelkę szampana?

Gus potraktował to pytanie poważnie.

– Nie sądzę, by te czasy wróciły. W każdym razie nie za naszego życia.

Zjawiła się siostra Waltera, Greta. Miała kręcone blond włosy, które uroczo falowały, gdy poruszała głową.

– A panowie dlaczego tacy smutni? – spytała wesoło. –

Panie Dewar, zapraszam do tańca!

Gus się rozpogodził.

– Z największą radością!

Greta pociągnęła go na parkiet.

Walter wrócił do gości. Gawędził z przyjaciółmi i krewnymi, lecz jego myśli krążyły wokół propozycji Amerykanina. Rozmyślał o tym, w jaki sposób najkorzystniej ją przedstawić.

W rozmowie z ojcem nie powinien okazywać zbyt dużego entuzjazmu. Ojciec będzie przeciwny, on zaś odegra rolę neutralnego wysłannika.

Kiedy goście wyszli, matka osaczyła Waltera w salonie. Był urządzony w stylu rokoko, bo staromodni Niemcy wciąż preferowali ozdobne lustra, stoły z wygiętymi nogami tudzież wielkie kandelabry.

– Bardzo miła dziewczyna z tej Moniki von der Helbard.

– Faktycznie, urocza – zgodził się Walter.

Matka nie nosiła żadnej biżuterii. Pełniła funkcję przewodniczącej komitetu zbiórki złota i oddała wszystkie swoje błyskotki na sprzedaż. Pozostała jej tylko złota obrączka ślubna.

– Koniecznie trzeba ją znowu zaprosić, tym razem z rodzicami. Jej ojcem jest margrabia von der Helbard.

– Tak, wiem o tym.

– To bardzo dobra rodzina. Należą do Uradel, staroniemieckiej szlachty.

Walter skierował się do drzwi.

– O której ojciec ma wrócić do domu?

– Niebawem. Walterze, usiądź na chwilę i porozmawiaj ze mną.

Walter wyraźnie dał do zrozumienia, że chce się oddalić. Teraz to sobie uświadomił. Chciał zniknąć na godzinę i pomyśleć spokojnie o propozycji przedstawionej przez Gusa Dewara. Jednak zachował się niegrzecznie wobec matki, którą kochał. Czym prędzej zabrał się do naprawiania błędu.

– Z największą radością, mamó – rzekł, przysuwając jej krzesło. – Myślałem, że chcesz odpocząć, ale jeśli nie, chętnie porozmawiam. – Usiadł naprzeciwko niej. – Przyjęcie było wspaniałe. Jestem ci bardzo wdzięczny, że je zorganizowałaś.

Matka skinęła głową, lecz od razu zmieniła temat:

– Kuzyn Robert zaginął podczas ofensywy Brusilowa.

– Wiem o tym. Niewykluczone, że trafił do rosyjskiej niewoli.

– Albo poległ. Twój ojciec ma sześćdziesiąt lat. Wkrótce możesz zostać hrabią von Ulrichem.

Walterowi wcale się taka ewentualność nie uśmiechała. Arystokratyczne tytuły znaczyły coraz mniej. Może byłby dumny z tego, że jest hrabią, lecz po wojnie mogłoby się to okazać niekorzystne. Tak czy inaczej, na razie nie ma żadnego tytułu.

– Śmierć Roberta nie została potwierdzona.

– Naturalnie, ale musisz być przygotowany.

– Jak?

– Powinieneś się ożenić.

– Ach tak? – W gruncie rzeczy to było do przewidzenia, pomyślał.

– Musisz mieć dziedzica, który przejmie tytuł po twojej śmierci. A to może nastąpić prędko, pomimo moich modlitw... –

Głos uwiązał matce w gardle. Zamknęła na chwilę oczy. – Dzień w dzień modłę się, żeby strzegły cię niebiosy. Byłoby korzystnie, gdybyś jak najrychlej został ojcem.

Matka lękała się, że straci Waltera, lecz on nie mniej bał się, iż straci ją. Spojrzał na nią z czułością. Miała jasne włosy i dorównywała urodą Grecie. Może kiedyś była tak samo żywiołowa. Jej oczy błyszczały, a policzki zaróżowiły się od szampana. Jednak nawet wejście po schodach pozbawiało ją tchu. Potrzebowała odpoczynku, dobrego jedzenia i zapomnienia o troskach. Z powodu wojny wszystko było na odwrót. Nie tylko żołnierze giną, pomyślał Walter.

– Zastanów się nad Moniką, bardzo cię proszę.
Pragnął powiedzieć jej o Maud.

– Monika jest przeuroczą dziewczyną, mamó, ale jej nie kocham. Prawie jej nie znam.

– Nie czas na subtelności! Jest wojna, konwenanse można sobie darować. Spotkaj się z nią. Zostało ci jeszcze dziesięć dni do urlopu. Spotykaj się z nią codziennie. Możesz się oświadczyć ostatniego dnia.

– A jej uczucia? Monika może mnie nie zechcieć.

– Podobasz jej się. – Matka odwróciła głowę. – Zrobi to, co każą jej rodzice.

Walter nie wiedział, czy się zezłościć, czy roześmiać.

– Usiadł z jej matką do stołu i wszystko ustaliłyście, prawda?

– Czasy są dramatyczne. Moglibyście się pobrać za trzy miesiące. Ojciec wystara się dla ciebie o specjalny urlop na ślub i miesiąc miodowy.

– On tak powiedział? – Zazwyczaj ojciec zdecydowanie potępiał wszelkie przywileje ustosunkowanych żołnierzy.

– Ojciec rozumie, że ktoś musi odziedziczyć tytuł. Musiała go przekabacić. Jak długo to trwało? Zwykle nie ulegał łatwo.

Walter z trudem nad sobą panował. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jest mężem Maud i nie powinien nawet udawać zainteresowania Moniką, lecz z drugiej strony nie może się z tego wytłumaczyć.

– Mamó, nie chcę cię rozczarować, ale nie oświadczę się Monice von der Helbard.

– Ależ dlaczego? – wykrzyknęła.

Walter czuł się okropnie.

– Mogę tylko powiedzieć, że chciałbym, abyś była szczęśliwa. Matka spojrzała na niego twardo.

– Kuzyn Robert pozostał kawalerem. Nikogo to nie zaskoczyło, gdyż powód jest znany. Mam nadzieję, że w twoim przypadku sprawy mają się inaczej...

Walter poczuł się zażenowany tym, że matka nawiązuje do homoseksualizmu Roberta.

– Mamó, proszę cię! Wiem dobrze, co masz na myśli, ale jeśli o to chodzi, mogę cię uspokoić.

Odwróciła głowę.

– Przepraszam, że o tym wspomniałam. Więc w czym tkwi problem? Masz trzydzieści lat!

– Niełatwo znaleźć odpowiednią dziewczynę.

– Nie jest to aż takie trudne.

– Szukam kogoś podobnego do ciebie.

– Teraz sobie ze mnie żartujesz.

Walter usłyszał męski głos. Po chwili do salonu wszedł ojciec. Był w mundurze i rozcierał zziębnięte dłonie.

– Spadnie śnieg – oznajmił, całując żonę i kiwając głową Walterowi. – Bankiet się udał, jak sędzę. Nie mogłem przyjść, miałem całe popołudnie wypełnione spotkaniami.

– Udał się wspaniale – zapewnił Walter. – Mama wy-
czarowała pyszne przekąski z niczego, a Perrier-Jouet był wy-
śmienity.

– Który rocznik piliście?

– Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty dziewiąty.

– Powinieneś być wybrać dziewięćdziesiąty drugi.

– Niewiele go zostało.

– Ach tak.

– Odbyłem intrygującą rozmowę z Gusem Dewarem.

– Pamiętam go. To ten Amerykanin, którego ojciec utrzymuje bliskie kontakty z prezydentem Wilsonem.

– Syn jest obecnie jeszcze bliżej prezydenta niż ojciec. Pracuje w Białym Domu.

– Co powiedział?

Matka wstała.

– Porozmawiajcie sobie, zostawiam was.

Obaj mężczyźni podnieśli się z krzeseł.

– Walterze, zastanów się nad tym, co mówiłam – poprosiła matka, wychodząc.

Po chwili zjawił się lokaj. Niósł tacę, a na niej kieliszek ze słuszną miarką złotobrazowej brandy.

– Napijesz się? – spytał Otto syna.

– Nie, dziękuję. Wypiłem mnóstwo szampana.

Otto skosztował drinka i wyciągnął nogi w stronę kominka.

– A zatem zjawił się u nas młody Dewar... Jaka przyniósł wiadomość?

– Jest ściśle poufna.

– Naturalnie.

Walter nie potrafił żywić do ojca cieplejszych uczuć. Dzieliła ich różnica zdań, a ojciec był nieprzejednany. Miał staroświeckie poglądy, pozostawał głuchy na argumenty i trzymał się swoich racji z beztroskim uporem, który budził w Walterze odrazę. Konsekwencją głupoty ojca i głupoty całego jego pokolenia we wszystkich krajach Europy była rzeź nad Sommą Walter nie mógł mu tego wybaczyć.

Mimo to teraz mówił do niego miękko, przyjaznym głosem.

Pragnął, by ta rozmowa przebiegła w tak dobrej i konstruktywnej atmosferze, jak to tylko możliwe.

– Prezydent Ameryki nie chce, by jego kraj został wciągnięty w wojnę.

– To dobrze.

– Chce, żebyśmy zawarli pokój.

– Ha! – wykrztusił drwiąco Otto. – Zamierza nas zdławić tanim kosztem! Cóż za bezczelność.

Błyskawiczna, nacechowana pogardą reakcja ojca nieprzyjemnie zaskoczyła Waltera. Mimo to kontynuował, starannie dobierając słowa:

– Wrogowie twierdzą, że przyczyną wojny jest niemiecki militarizm oraz nasza skłonność do agresji, lecz to oczywiście nieprawda.

– W rzeczy samej. Poczuliśmy się zagrożeni mobilizacją Rosjan na naszej wschodniej granicy i mobilizacją Francuzów na zachodzie. Plan Schlieffena pozostał jedynym rozwiązaniem. – Otto jak zwykle przemawiał do syna, jakby ten był dwunastoletnim chłopcem.

– Otóż to. Pamiętam, jak tłumaczyłeś, że prowadzimy wojnę obronną reagując na zagrożenie, którego nie wolno tolerować. Musieliśmy się bronić – argumentował cierpliwie Walter.

Być może Ottona zaskoczyło to, że syn powtarza banalne usprawiedliwienia wojny, lecz tego nie okazał.

– Słusznie.

– Uczyniliśmy to i osiągnęliśmy nasze cele. – Walter wyciągnął asa z rękawa.

Ojciec drgnął.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zażegnaliśmy niebezpieczeństwo. Armia rosyjska została rozbita, reżim carski znalazł się na krawędzi upadku. Podbiliśmy Belgię, wdarliśmy się w głąb Francji, powstrzymaliśmy wojska francuskie i ich brytyjskich sojuszników. Zrealizowaliśmy nasze zamierzenia. Obroniliśmy Niemcy.

– To triumf.

– Więc czego więcej pragniemy?

– Całkowitego zwycięstwa!

Walter pochylił się, patrząc ojcu w oczy.

– Co zyskamy?

– Nasi wrogowie muszą zapłacić za napaść! Muszą się zgodzić na reparacje, pójść na ustępstwa w kwestii kolonii, być może trzeba będzie skorygować granice.

– To nie były nasze pierwotne cele, prawda?
Otto nie zamierzał ustępować ani na cal.
– Nie, ale skoro włożyliśmy w wojnę tyle wysiłku i pieniędzy, skoro tak wielu wspaniałych młodych Niemców straciło w niej życie, musimy dostać coś w zamian.
Był to marny argument, lecz Walter wiedział, że lepiej nie przekonywać ojca do zmiany zdania. Wykazał jednak, że Niemcy osiągnęły cele wojenne. Postanowił zmienić taktykę.
– Jesteś pewny, że całkowite zwycięstwo leży w granicach naszych możliwości? – zapytał.
– Tak, jestem pewny!
– W lutym przypuściliśmy szturm na francuską twierdzę Verdun. Nie zdobyliśmy jej. Rosjanie uderzyli na nas ze wschodu, a Brytyjczycy rzucili wszystkie siły do ofensywy nad Sommą. Obie strony podjęły ogromny wysiłek, a mimo to nie zdołały przełamać pata.
Walter czekał na odpowiedź ojca.
– Jak dotąd – przyznał niechętnie Otto.
– Najwyższe dowództwo się z tym pogodziło. W sierpniu, gdy Erich von Falkenhayn został odsunięty, a szefem sztabu mianowano Ludendorffa, zmieniliśmy taktykę. Przeszliśmy od ataku do obrony. Jak twoim zdaniem defensywa może doprowadzić do całkowitego zwycięstwa?
– Dzięki wojnie podwodnej! – odparł Otto. – Alianci otrzymują dostawy z Ameryki, a nasze porty są blokowane przez angielską flotę. Musimy odciąć im życiodajne źródło zaopatrzenia, a wtedy skapitulują.
Walter nie chciał wdawać się w tę dyskusję, lecz skoro się zaczęła, musiał brnąć dalej. Zaciśnawszy zęby, najłagodniej, jak potrafił, rzekł:
– To z pewnością wciągnie w wojnę Amerykanów.
– Znasz liczebność amerykańskiej armii?
– Zaledwie około stu tysięcy, ale...
– Otóż to. Nie zdołaliby spacyfikować nawet Meksyku, więc nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia!
Hrabia nigdy nie był za oceanem, podobnie jak większość mężczyzn z jego pokolenia, dlatego nie miał pojęcia, o czym mówi.
– Stany Zjednoczone to duży i bardzo bogaty kraj – zauważył Walter. Kipiał w środku, lecz starał się mówić obojętnie, zachowując pozory spokojnej dyskusji. – Mogą rozbudować armię.
– Ale nieprędko. Zajmie im to co najmniej rok. Do tego czasu Brytyjczycy i Francuzi ogłoszą kapitulację.
Walter skinął głową.
– Już o tym rozmawialiśmy, ojczcze – rzekł pojednawczo. – Podobnie jak każdy, kto ma związek ze strategią wojenną. Argumenty leżą po obu stronach.
Otto nie mógł temu zaprzeczyć, więc tylko mruknął coś niezadowolony.
– Tak czy owak, nie mnie decydować o tym, jakiej odpowiedzi udzieli Niemcy na tę nieformalną ofertę Waszyngtonu – dodał Walter.
Ojciec zrozumiał aluzję.
– Ani mnie, rzecz jasna.
– Wilson deklaruje, że jeśli Niemcy złożą aliantom oficjalną propozycję rozmów pokojowych, on publicznie ją poprze. Uważam, że mamy obowiązek przekazać tę wiadomość naszemu suwerenowi.
– Istotnie – potwierdził Otto. – To Kaiser musi zdecydować.

IV.

Walter napisał do Maud list na czystej kartce pozbawionej wszelkich oficjalnych nagłówków.
Moja droga, najdroższa!
W Niemczech panuje zima, podobnie jak w moim sercu.

Pisał po angielsku. Nie umieścił w rogu kartki swojego adresu, nie wymieniał także imienia Maud.

Nie umiem Ci powiedzieć, jak bardzo Cię Kocham i jak bardzo tęsknię.

Zadanie było niełatwe. List mogli przeczytać wścibscy policjanci, a on musiał go napisać tak, by Maud nie została zidentyfikowana.

Jestem jednym z miliona mężczyzn rozdzielonych z ukochanymi kobietami. Północny wiatr przewiewa na wylot nasze dusze.

Chciał, by list wyglądał tak, jakby napisał go pierwszy lepszy żołnierz, którego wojna rzuciła daleko od rodziny.

Świat stał się dla mnie zimny i posępny, tak jak zapewne dla Ciebie, lecz najtrudniejsza do zniesienia jest nasza rozłąka.

Pragnął jej napisać o swojej służbie w zwiadzie wojskowym, o tym, że matka stara się nakłonić go do ożenku z Moniką, o braku żywności w Berlinie, a nawet o sadze rodzinnej zatytułowanej Buddenbrookowie, którą właśnie czytał. Bał się jednak, że najmniej szczegół narazi na niebezpieczeństwo jego lub ją. Nie mogę dużo mówić, lecz wiedz, że jestem wierny Tobie...

Z poczuciem winy przypomniał sobie, że korciło go, by pocałować Monikę. Jednak nie uległ pokusie.

...I świętym przyrzeczeniom, które złożyliśmy ostatnim razem.

Tylko w taki sposób mógł nawiązać do ich ślubu. Wolał nie ryzykować, że ktoś po angielskiej stronie przeczyta list i dowie się prawdy.

Każdego dnia myślę o chwili, gdy znów się spotkamy, spojrzemy sobie w oczy i powiemy: „ Witaj, Kochanie ”.

Do tego czasu nie zapominaj o mnie.

Walter nie podpisał listu.

Wsunął go do koperty, którą następnie umieścił w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Między Niemcami i Anglią nie działały żadne połączenia pocztowe.

Zajrzał na chwilę do swojego pokoju, po czym zszedł na dół.

Włożywszy kapelusz i gruby płaszcz, wyszedł na zimne ulice Berlina.

Gus Dewar czekał na niego w barze w Adlonie. Hotel zachował cień przedwojennego dostojęstwa. Kelnerzy mieli na sobie wieczorowe garnitury, grał kwartet smyczkowy, lecz nie było importowanych drinków – szkockiej whisky, brandy ani ginu. Zamówili sznapsa.

– Jak została przyjęta moja propozycja? – spytał niecierpliwie Gus.

Walter był pełen nadziei, lecz wiedział, że powody do optymizmu są nikłe, wolał więc go nie okazywać. Miał dla Gusa obiecujące wieści, lecz nic poza tym.

– Kaiser napisze do prezydenta.

– Doskonale! Co mu oznajmi?

– Widziałem szkic listu. Obawiam się, że ton nie jest szczególnie pojednawczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Walter zamknął oczy i zacytował z pamięci:

– Najstraszliwsza z wojen szaleje od dwóch i pół roku. Niemcy i jej sojusznicy udowodnili swoją niezniszczalną potęgę. Nasze linie twardo odparły nieustające ataki. Ostatnie wydarzenia pokazują, że dalsze działania nie złamią naszego oporu... I dalej w podobnym tonie.

– Rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jest pojednawczy.

– Teraz najważniejsze. – Walter przypomniał sobie dalszy

ciąg listu: – Świadomi naszej potęgi zbrojnej oraz gospodarczej i gotowi, w razie konieczności, prowadzić do końca narzuconą nam walkę, lecz jednocześnie pragnąc powstrzymać rozlew krwi i położyć kres okropnościom wojny, proponujemy niezwłoczne rozpoczęcie negocjacji pokojowych.

– Wspaniale! – wykrzyknął Gus. – Cesarz się zgadza!

– Ciszej, proszę! – Walter rozejrzał się nerwowo, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi. Dźwięk smyczków zagłuszał rozmowę.

– Przepraszam – mruknął Gus.

– Ale zgadłeś. – Walter się uśmiechnął. – Ton listu jest wyniosły, wojowniczy i pogardliwy, lecz cesarz proponuje negocjacje.

– Nie umiem wyrazić, jak jestem wdzięczny.

Walter uniósł rękę.

– Powiem ci coś bardzo szczerze. Wpływowi ludzie z najbliższego otoczenia Kaisera, przeciwni pokojowi, poparli tę propozycję wyłącznie z cynicznych pobudek. Chcą wybadać zamiary waszego prezydenta i mają pewność, że alianci i tak odrzuca ofertę rozmów.

– Miejmy nadzieję, że są w błędzie!

– Amen.

– Kiedy list zostanie wysłany?

– Wciąż toczą się spory o konkretne sformułowania. Gdy się zakończą, ktoś dostarczy list ambasadorowi amerykańskiemu w Berlinie z prośbą, by ten przekazał go rządowi państw sprzymierzonych. – Dyplomatyczna gra była konieczna, gdyż wrogie rządy nie utrzymywały oficjalnych kontaktów.

– Polecę do Londynu – oznajmił Gus. – Może uda mi się przygotować grunt dla negocjacji.

– Tego właśnie się spodziewałem. Mam prośbę.

– Twoja pomoc była nieoceniona. Możesz prosić o wszystko!

– Rzecz jest czysto osobistej natury.

– Nie szkodzi.

– Muszę ci zatem wyjawić pewien sekret.

Gus się uśmiechnął.

– To intrygujące!

– Chciałbym, abys przekazał mój list lady Maud Fitzherbert.

– Ach tak. – Gus się zamyślił. Wiedział, że może istnieć tylko jeden powód, dla którego Walter pisze potajemnie do Maud. – Rozumiem potrzebę dyskrecji. Ale zgadzam się.

– Jeśli twoje bagaże zostaną przeszukane przy wyjeździe z Niemiec lub wjeździe do Anglii, będziesz musiał powiedzieć, że to list od Amerykanina mieszkającego w Niemczech do narzeczonej w Londynie. Nie ma tam żadnych nazwisk ani adresów.

– Zgoda.

– Dziękuję – rzekł z radością Walter. – Nie potrafię ci powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy.

V.

W sobotę drugiego grudnia w Ty Gwyn miał się odbyć pokaz strzelecki. Hrabia Fitzherbert i księżniczka Bea zabawili dłużej w Londynie, toteż gospodarzem przyjęcia został przyjaciel Fitza, Bing Westhampton, a gospodynią lady Maud. Przed wojną Maud uwielbiała takie imprezy. Kobiety, rzecz jasna, nie strzelały, lecz Maud lubiła, gdy dom zapełniał się gośćmi. W czasie pikniku panie dołączały do panów, płonęły ogniska, uczta trwała do późnej nocy. Ona jednak nie umiała cieszyć się zabawą, podczas gdy żołnierze cierpieli w okopach. Powtarzała sobie, że nikt nie może pogrążyć się w żalu na całe życie, nawet w czasie wojny, ale daremnie. Przywołała swój najpogodniejszy uśmiech i zachęcała wszystkich, by jedli i pili do syta, lecz usłyszawszy wystrzały, mogła myśleć jedynie o polu bitwy. Wy-

kwintne smakołyki na jej talerzu pozostały nietknięte, a kelnerzy odnosili pełne kieliszki bezcennych win z piwnicy Fitza. Maud drażniła zabawa, gdyż myślała tylko o Walterze. Żyje czy zginął? Bitwa nad Sommą wreszcie się zakończyła. Fitz twierdzi, że Niemcy stracili pół miliona żołnierzy. Czy Walter jest jednym z nich? A może leży gdzieś w szpitalu, ranny?

A być może świętuje zwycięstwo. Gazety nie zdołały ukryć faktu, że ogromny wysiłek armii brytyjskiej w 1916 roku pozwolił na zdobycie zaledwie siedmiu mil terenu. Niemcy mieli powody, by sobie gratulować. Nawet Fitz w prywatnych rozmowach przyznawał po cichu, że największą nadzieją Wielkiej Brytanii jest przystąpienie do wojny Amerykanów. Czy Walter leży w jakimś burdelu w Berlinie z butelką sznapsa w jednej ręce i z ładną jasnowłosą Fraulein u boku? Wolałabym, żeby był ranny, pomyślała Maud i ogarnęła ją wstyd.

Wśród gości w Ty Gwyn był Gus Dewar, który w czasie podwieczorku odszukał Maud. Wszyscy mężczyźni bez wyjątku nosili tweedowe pumpy, lecz rosły Amerykanin prezentował się w nich wyjątkowo komicznie. Niepewnie trzymając filiżankę herbaty, przemierzał zatłoczony salon poranny, idąc w stronę gospodyni.

Maud stłumiła westchnienie. Nieżonaci mężczyźni zwykle zbliżali się do niej z zamiarem nawiązania romansu, ona zaś musiała się przed nimi bronić, nie wyjawiając, że jest mężatką. Czasami bywało to trudne. Na wojnie poległo wielu kawalerów z wyższych sfer i teraz podobała się nawet tym, którzy nie mieli jej czym zaimponować: młodszym synom baronów bankrutów, cheralawym duchownym o nieświeżym oddechu, a nawet homoseksualistom szukającym żony, która sprawi, że będą cieszyli się szacunkiem.

Gus stanowił znacznie lepszy wybór. Nie był przystojny i nie roztaczał bezpretensjonalnego uroku cechującego Waltera czy Fitza, lecz był inteligentny i miał wspaniałe ideały, a przy tym podzielał żywe zainteresowanie Maud sprawami międzynarodowymi. Odrobina niezdarności fizycznej i towarzyskiej, a także swoista prostoduszność przydawały mu wdzięku. Gdyby Maud była wolna, mógłby mieć u niej szansę.

Amerykanin usiadł na żółtej, obitej jedwabiem sofie, zakładając nogę na nogę.

– Jak przyjemnie znowu gościć w Ty Gwyn.

– Był pan u nas tuż przed wojną – przypomniała sobie Maud.

Nigdy nie zapomni tego styczniowego weekendu w 1914 roku, gdy do Ty Gwyn zawitał król, a w kopalni w Aberowen doszło do katastrofy. Ze wstydem uświadomiła sobie, że najbardziej utkwiał jej w pamięci pocałunek z Walterem. Teraz całowałaby się z nim chętnie. Byli głupcami, że poprzestali na pocałunku! Żałowała, że się nie kochali, że nie zaszła w ciążę. Musieliby pobrać się w pośpiechu i hańbie, a później zesłano by ich niczym społecznych wyrzutków do jakiegoś strasznego kraju, takiego jak Rodezja lub Bengal. Wszystkie względy, które ich wówczas powstrzymywały, rodzice, normy społeczne, kariera, teraz wydawały się banalne wobec przerażającej możliwości, że Walter zginął albo że nigdy więcej się nie zobaczą.

– Dlaczego ludzie są tak głupi, by wywoływać wojny? –

westchnęła. – I nadal walczą, mimo iż straty w ludziach dawno przewyższyły wszelkie korzyści, jakie wojna mogła komukolwiek przynieść.

– Prezydent Wilson uważa, że obie strony konfliktu powinny rozpocząć rozmowy pokojowe, nie licząc na zwycięstwo – odparł Gus.

Maud była rada, że nie zachwyca się urodą jej oczu ani nie prawi komplementów.

– Podzielam zdanie prezydenta. Armia brytyjska straciła prawie milion żołnierzy. Sama bitwa nad Sommą kosztowała nas czterysta tysięcy ofiar.

– Jakie są nastroje brytyjskiego narodu?

Maud się zastanowiła.

– Większość gazet nadal stwarza pozory, że bitwa nad Somma zakończyła się wielkim triumfem. Wszelkie próby realistycznej oceny sytuacji są piętnowane jako brak patriotyzmu. Jestem pewna, że lord Northcliffe w gruncie rzeczy wolałby żyć w kraju rządzonym przez dyktatora wojskowego. Jednak większość ludności uświadomiła sobie, że nie robimy postępów.

– Być może Niemcy zaproponują rozmowy pokojowe.

– Oby miał pan rację.

– Uważam, że wkrótce mogą wystąpić z oficjalną propozycją.

Maud spojrzała na niego uważnie.

– Proszę wybaczyć. Myślałam, że prowadzi pan ze mną zwykłą pogawędkę, ale tak nie jest. – Poczowała radosny dreszcz. Rozmowy pokojowe. Czy to możliwe?

– To nie jest towarzyska pogawędka – przyznał Gus. –

Wiem, że ma pani przyjaciół w liberalnym rządzie.

– Rząd nie jest już liberalny, lecz koalicyjny. W gabinecie zasiada kilku ministrów z Partii Konserwatywnej.

– Przepraszam, źle to ująłem. Wiem o koalicji. Mimo to Asquith wciąż jest premierem z ramienia liberałów. Wiadomo mi, że przyjaźni się pani z wieloma czołowymi politykami w ich szeregach.

– To prawda.

– Chciałbym zatem spytać, jak, pani zdaniem, zostanie przyjęta niemiecka propozycja rozmów pokojowych.

Maud musiała się dobrze zastanowić. Wiedziała, kogo reprezentuje Gus. To pytanie zadaje prezydent Stanów Zjednoczonych, musi więc udzielić precyzyjnej odpowiedzi. Tak się złożyło, że znała kluczową informację.

– Przed dziesięcioma dniami na posiedzeniu gabinetu omawiano raport analityczny autorstwa lorda Lansdowne'a, byłego konserwatywnego sekretarza spraw zagranicznych. Wynikało z niego, że tej wojny nie możemy wygrać.

Oblicze Gusa się rozjaśniło.

– Doprawdy? Nic o tym nie wiedziałem.

– To naturalne, gdyż raport był tajny. Rozeszły się jednak pogłoski o nim, Northcliffe zaś pieklił się na, jak to określił, defetystyczne banialuki o wynegocjowanym pokoju.

– Jak przyjęto analizę Lansdowne'a? – spytał Gus, a na jego twarzy widać było napięcie.

– Powiedzialabym, że czterej członkowie rządu są gotowi go poprzeć. Sekretarz spraw zagranicznych sir Edward Grey, kanclerz McKenna, prezes komisji handlu Runciman oraz sam premier.

– To bardzo silne poparcie! – ucieszył się Gus.

– Zwłaszcza teraz, gdy odszedł wojowniczy Winston Churchill. On nigdy nie podźwignął się po fiasku wyprawy na Dardanele, która była jego oczkiem w głowie.

– Którzy członkowie gabinetu opowiedzieli się przeciwko Lansdowne'owi?

– David Lloyd George, sekretarz wojny, najpopularniejszy polityk w kraju. Robert Cecil, minister do spraw blokady, Arthur Henderson, minister skarbu, który jest jednocześnie liderem Partii Pracy, oraz Arthur Balfour, pierwszy lord admiralicji.

– Czytałem wywiad Lloyda George'a dla prasy. Oznajmił, że chce walczyć do samego końca.

– Niestety, większość obywateli podziela to zdanie. Tak naprawdę mają niewielkie szanse, by spojrzeć na sprawę z innej strony. Ludzie, którzy nie chcą wojny, tacy jak filozof Bertrand Russell, są ustawicznie nękani przez władze.

– Jakie wnioski przyjął rząd?

– Żadnych. Spotkania gabinetu Asquitha często kończą się w ten sposób. Słysząc narzekania, że premier nie potrafi podejmować decyzji.

– To irytujące. Wydaje się jednak, że propozycja pokojowa nie padnie na jałowy grunt.

Jak miło rozmawiać z mężczyzną, który traktuje mnie poważnie, pomyślała Maud. Nawet ci, którzy mówią mądrze, odnoszą się do niej trochę protekcjonalnie. Drugim mężczyzną, który dyskutuje z nią jak równy z równym, jest Walter.

W tym momencie do pokoju wkroczył Fitz. Miał na sobie czarno-szare londyńskie ubranie, najwidoczniej przed chwilą wysiadł z pociągu. Nosił opaskę na oku i podpierał się laską.

– Przykro mi, że państwa zawiodłem – rzekł, zwracając się do wszystkich obecnych. – Musiałem zostać na noc w mieście. Londyn wrze po ostatnich wydarzeniach.

– Cóż to za wydarzenia? – zainteresował się Gus. – Nie czytaliśmy jeszcze dzisiejszych gazet.

– Wczoraj Lloyd George napisał do Asquitha list, w którym domaga się zmiany sposobu prowadzenia działań wojennych. Chce, aby wszystkie decyzje podejmowała wszechwładna Rada Wojenna złożona z trzech ministrów.

– I Asquith się na to zgodzi? – chciał wiedzieć Amerykanin.

– W żadnym razie. Odpowiedział, że gdyby stworzono takie ciało, musiałby mu przewodniczyć premier.

Przyjaciel Fitz, niepokorny Bing Westhampton, siedział w wykuszowym oknie z nogami na parapecie.

– To przekreśla całe zamierzenie – odezwał się. – Każda rada, której przewodniczy Asquith, będzie równie chwiejna i niezdecydowana jak gabinet. – Spojrzał przeprasząco na zebranych. – Proszę o wybaczenie obecnych tu ministrów rządu.

– Masz rację – przyznał Fitz. – Ten list to w istocie wyzwanie rzucone przywództwu Asquitha, zwłaszcza że przyjaciel Lloyd George'a, Max Aitken, opowiedział całą historię prasie. Teraz nie ma już miejsca na kompromis. Pozostała walka do samego końca, jak by to ujął Lloyd George. Jeśli nie postawi na swoim, będzie musiał odejść z rządu. A jeśli zdoła postawić, wówczas odejść będzie musiał Asquith i czeka nas wybieranie nowego premiera.

Maud zauważyła spojrzenie Gusa. Wiedziała, że oboje pomyśleli o tym samym: jeśli przy Downing Street będzie urzędował Asquith, inicjatywa pokojowa ma szansę. Jeżeli starcie wygra wojowniczo nastawiony Lloyd George, nic z tego.

Dźwięk gongu oznajmił gościom, że czas przebrać się w wieczorowe stroje. Towarzystwo się rozproszyło. Maud poszła do swojego pokoju.

Ubranie leżało rozłożone na łóżku. Suknię kupiła w Paryżu na londyński sezon 1914. Od tamtego czasu przybyło jej niewiele rzeczy. Zdjęła popołudniową sukienkę i włożyła jedwab. Nie zadzwoni po służącą, wykorzysta tych parę minut dla siebie. Usiadła przy toaletce i spojrzała w lustro. Ma dwadzieścia sześć lat i to widać. Nigdy nie była ładna, lecz ludzie mówili o niej, że jest przystojna. Wojenny niedostatek pozbawił ją tej odrobiny dziewczęcej miękkości, którą miała, rysy twarzy stały się jeszcze bardziej wyraziste. Co pomyśli Walter, jeśli jeszcze kiedykolwiek się spotkają? Dotknęła piersi. Przynajmniej one zachowały jędrność. Walterowi będzie przyjemnie je pieścić. Gdy o nim pomyślała, jej sutki nabrzmiały. Ciekawe, czy zdążyłaby jeszcze...

Rozległo się pukanie do drzwi i Maud ze wstydem opuściła rękę.

– Kto tam?

Drzwi się otworzyły i wszedł Gus Dewar.

Maud wstała i najbardziej surowym głosem, na jaki było ją stać, powiedziała:

– Panie Dewar, proszę natychmiast opuścić mój pokój!

– Nie ma powodu do obaw – uspokoił ją Gus. – Muszę porozmawiać z panią na osobności.

– Ależ ja nie rozumiem...

– W Berlinie widziałem się z Walterem.
Maud zamilkła. Zszokowana patrzyła na Gusa. Skąd on wie o niej i o Walterze?
– Dał mi list dla pani. – Wsunął rękę do kieszeni tweedowej marynarki i wyjął kopertę.
Maud wzięła ją drżącą ręką.
– Nie wymienił ani swojego, ani pani imienia z obawy, że na granicy ktoś może przeczytać list – wyjaśnił Gus. – Ale nikt nie sprawdzał mojego bagażu.
Czuła się nieswojo. Tęskniła za wieściami od Waltera, lecz teraz bała się, że będą złe. Być może wziął sobie kochankę i prosi ją w liście o wybaczenie. Albo ożenił się z jakąś Niemką i chce, by na zawsze zachowała w sekrecie ich ślub. Najgorsza ewentualność była taka, że wszczął postępowanie rozwodowe.
Rozdarła kopertę.
Moja droga, najdroższa!
W Niemczech panuje zima, podobnie jak w moim sercu.
Jej oczy wypełniły się łzami.
– Och, panie Dewar! Dziękuję, że pan to dla mnie zrobił!
Gus podszedł do niej.
– Już dobrze, już dobrze – uspokajał ją, klepiąc po ramieniu.
Próbowała przeczytać dalszą część listu, lecz nie widziała słów.
– Jestem taka szczęśliwa – łkała.
Oparła głowę na ramieniu Gusa, a on otoczył ją ramionami.
– Wszystko będzie dobrze.
Emocje wzięły górę i Maud rozszlochała się na dobre.

ROZDZIAŁ 21
Grudzień 1916 roku

i.

Fitz pracował w gmachu Admiralicji w Whitehall. Nie chciał tej służby, marzył o powrocie do Francji, do Fizyliarów Walijskich. Nienawidził brudu i dyskomfortu okopów, lecz czuł się źle, siedząc bezpiecznie w Londynie, podczas gdy inni ryzykowali życie. Przerażała go myśl, że ktoś uważa go za tchórza. Jednak lekarze orzekli, iż jego noga jest jeszcze za słaba, i wojsko nie pozwoliło mu wrócić na front.
Ze względu na to, że Fitz znał niemiecki, Smith-Cumming z Biura Tajnej Służby, który przedstawiał się jako „C”, polecił go Wywiadowi Morskiemu. Fitz trafił tymczasowo do wydziału zwanego Salą 40. Praca przy biurku była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, lecz ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że jego poczynania mają istotne znaczenie dla działań wojennych.
Pierwszego dnia wojny statek pocztowy CS „Alert” wypłynął na Morze Północne, wydobył z dna specjalnie zabezpieczone niemieckie kable komunikacyjne i wszystkie przeciął. W ten podstępny sposób Brytyjczycy zmusili wroga do wysyłania większości informacji drogą radiową. Te zaś można przechwycić. Niemcy nie byli w ciemną bici i wszystkie wiadomości szyfrowali. W Sali 40 parano się łamaniem tych kodów.
Fitz pracował z grupą ludzi, wśród których znalazło się sporo dziwaków, a większość nie miała wiele wspólnego z wojskiem. Stacje nasłuchowe na wybrzeżu odbierały kakofonię sygnałów, a oni starali się je odczytać. Fitz nie miał pojęcia o dekodowaniu – nigdy nie udawało mu się odgadnąć, kto jest zabójcą w powieści o Sherlocku Holmesie – lecz potrafił tłumaczyć rozszyfrowane komunikaty na angielski. Co jeszcze ważniejsze, doświadczenie z pola bitwy pozwalało mu ocenić, które z nich są istotne.
W gruncie rzeczy wszystko to niewiele zmieniało. Pod koniec

1916 roku, pomimo uporczywych ataków Niemców na Verdun i jeszcze kosztowniejszej brytyjskiej ofensywy nad Sommą, front zachodni przebiegał prawie w tym samym miejscu, co na początku roku. Alianci rozpaczliwie potrzebowali sukcesu. Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny mogło przechylić szalę, jednak jak dotąd nic nie wskazywało, że tak się stanie.

Dowódcy we wszystkich armiach wydawali rozkazy późnym wieczorem lub rano, toteż Fitz zaczynał wcześniej i pracował intensywnie do południa. W środę po pokazie strzeleckim wyjechał z siedziby Admiralicji o dwunastej trzydzieści i taksówką udał się do domu. Podejście z Whitehall do Mayfair, mimo że krótkie, wymagało od niego zbyt dużego wysiłku.

Trzy kobiety, z którymi mieszkał – Bea, Maud i ciotka Herm – właśnie zasiadały do lunchu. Fitz podał laskę i czapkę Groutowi i dołączył do dam. Jego biuro było urządzone nader skromnie, dlatego przebywanie w domu sprawiało Fitzowi przyjemność. Lubił piękne meble, dyskretną służbę oraz widok chińskiej porcelany na śnieżnobiałym obrusie.

Zapytał Maud o wieści ze świata polityki. Między premierem Asquithem i Lloydem George'em szalała wojna. Wczoraj Asquith w dramatycznych okolicznościach ustąpił ze stanowiska szefa rządu. Fitz się zaniepokoił. Nie jest wielbicielem liberała Asquitha, ale co będzie, jeśli nowy premier da się skusić taniej obietnicy rozmów pokojowych?

– Król spotkał się z Bonarem Lawem – oznajmiła Maud.

Andrew Bonar Law był przywódcą konserwatystów. Ostatnią pozostałość królewskich prerogatyw na brytyjskiej scenie politycznej stanowiło prawo monarchy do wyznaczania premiera, który jednak musiał następnie zdobyć poparcie parlamentu.

– Czym zakończyło się spotkanie?

– Bonar Law nie przyjął teki premiera.

– Jak mógł odmówić królowi? – oburzył się Fitz. Jego zdaniem każdy winien jest posłuszeństwo królowi, a szczególnie konserwatysta.

– Uważa, że premierem powinien być Lloyd George. Ale król nie chce go mianować.

– I słusznie – wtrąciła Bea. – Ten człowiek jest niewiele lepszy od socjalisty.

– W istocie – potwierdził Fitz. – Lecz ma w sobie więcej zaciętości niż wszyscy inni razem wzięci. Przynajmniej dodałby wigoru naszym zmaganiom na froncie.

– A ja się obawiam, że przy nim nie będzie szansy na pokój – rzekła Maud.

– Pokój? – zdziwił się Fitz. – Tym chyba nie musisz się zamartwiać. – Starał się nad sobą panować, lecz defetystyczne bajki o pokoju przypominały mu o tych wszystkich, którzy zginęli: młodym poruczniku Carltonie-Smisie, o wielu Chłopcach z Aberowen, a nawet o żalonym Owenie Bevinie, rozstrzelanym przez pluton egzekucyjny. Czy ich ofiara ma pójść na marne? Ta myśl wydawała mu się świętokradztwem. Siłąc się na swobodny ton, dodał: – Pokój nie zostanie zawarty, dopóki jedna lub druga strona nie osiągnie zwycięstwa.

W oczach Maud błysnął gniew, lecz ona także trzymała się w ryzach.

– Możemy mieć jedno i drugie w najlepszym wydaniu: energiczne przywództwo wojskowe dzięki temu, że Lloyd George stanie na czele Rady Wojennej, w roli premiera zaś męża stanu takiego jak Arthur Balfour, który wynegocjowałby pokój, w razie gdybyśmy go zechcieli.

– Hm. – Fitzowi ten pomysł nie przypadł do gustu, lecz Maud umiała tak przedstawić sprawy, że trudno było odmówić jej racji. Postanowił zmienić temat: – Co zamierzacie robić po południu?

– Jedziemy z ciocią Herm na East End. Podejmujemy panie

z klubu Żona Żołnierza. Dzięki twoim funduszom, za które jesteśmy ci bardzo wdzięczne, będzie kawa i ciasto. Postaramy się pomóc tym kobietom w ich problemach.

– Jakich mianowicie?

– Zwykle sprawy – odpowiedziała ciocia Herm. – Chodzi o to, aby mogły mieszkać w przyzwoitych warunkach i aby ktoś godny zaufania opiekował się ich dziećmi.

– Zdumiewasz mnie, ciociu. – Fitz był rozbawiony. – Kiedyś nie pochwalalaś wypraw Maud na East End.

– Trwa wojna – odparła wyzywająco lady Hermia. – Wszyscy musimy robić, co w naszej mocy.

– Może wybiorę się z wami – rzekł pod wpływem impulsu. – Niech zobaczą, że hrabiowie odnoszą rany tak samo jak dokerzy.

Maud spojrzała na niego zaskoczona.

– Naturalnie, jeśli masz ochotę.

Fitz widział, że siostra nie jest zachwycona. Bez wątpienia w klubie panują nastroje lewicowe, dyskutuje się o prawie do głosowania dla kobiet i tym podobnych bzdurach. Nie mogła jednak odmówić temu, który to wszystko finansuje.

Po lunchu wszyscy zaczęli szykować się do wyjścia. Fitz poszedł do przebieralni żony. Siwowłosa służąca Bei, Nina, pomogła pani zdjąć sukienkę, którą ta miała na sobie w czasie posiłku. Bea mruknęła coś po rosyjsku, a Nina odpowiedziała w tym samym języku. Takie zachowanie irytowało Fitz, gdyż wydawało mu się, że chodzi o wyeliminowanie go z rozmowy.

– Zostaw nas, proszę – rzekł po rosyjsku do służącej. Miał nadzieję, że obie kobiety pomyślą, iż wszystko zrozumiał.

Nina dygnęła i wyszła.

– Nie widziałem dzisiaj Boya – powiedział Fitz, który wyszedł do pracy wcześniej rano. – Muszę zajrzeć do żłobka, zanim zabiorą go na spacer.

– Chwilowo nie jest wyprowadzany, bo ma lekki kaszel – odparła Bea. Była zaniepokojona.

Fitz ściągnął brwi.

– Potrzeba mu świeżego powietrza.

Zdziwił się na widok łez w oczach żony.

– Boję się o niego. Ty i Andriej ryzykujecie życie na wojnie, być może zostanie mi tylko on.

Brat Bei, Andriej, był żonaty, lecz nie miał dzieci. Jeśli obaj zginą, dziecko będzie jedynym krewnym Bei. Dlatego tak przesadnie dbała o syna.

– Tak czy inaczej, rozpieszczanie nie wychodzi mu na dobre.

– Nie znam tego słowa – wyznała smutno jego żona.

– Chyba wiesz, co mam na myśli.

Bea zdjęła halkę. Miała bujniejszą figurę niż kiedyś. Rozwiązała wstążki przytrzymujące pończochy. Fitz wyobraził sobie, że gryzie ją w wewnętrzną część uda.

Zauważyła, że jej się przygląda.

– Jestem zmęczona. Muszę się przespać godzinę.

– Mógłbym się obok ciebie położyć?

– Myślałam, że idziesz z siostrą do slumsów.

– Nie muszę.

Fitz wstał, by wyjść, lecz nagle zmienił zdanie. Był zły i czuł się odrzucony.

– Od dawna nie przyjechałaś mnie w swoim łóżku.

– Nie liczyłam dni.

– Ja liczę. To są tygodnie, a nie dni.

– Przykro mi. Tak bardzo się tym wszystkim martwię. – Bea znów była bliska płaczu.

Fitz wiedział, że boi się o brata, i współczuł jej, że jest bezsilna. Jednak miliony kobiet przechodzą podobne udręki, ludzie szlachetnie urodzeni zaś mają obowiązek zachować stoicyzm.

– Słyszałam, że zaczęłaś chodzić na msze do ambasady

rosyjskiej, gdy przebywałem we Francji. – W Londynie nie było cerkwi, lecz urządzano kaplicę w ambasadzie.

– Kto ci powiedział?

– Mniejsza z tym. – Fitz dowiedział się tego od cioci

Herm. – Przed ślubem prosiłem cię, żebyś przeszła na anglikanizm, i tak zrobiłaś.

Bea nie patrzyła mężowi w oczy.

– Myślałam, że nic się nie stanie, jeśli pójdę na jedną lub dwie msze – powiedziała cicho. – Przepraszam, że zrobiłam ci przykrość.

Fitz był podejrzliwy wobec cudzoziemskich duchownych.

– Czy wasz ksiądz naucza, że czerpanie przyjemności ze spania z mężem to grzech?

– Ależ skąd! Tylko że kiedy jesteś daleko, czuję się samotna, taka oddalona od wszystkiego, w czym wyrosłam... Rosyjskie śpiewy i modlitwy przynoszą mi pociechę.

Fitzowi zrobiło się jej żal. To musi być dla niej trudne. Nawet nie potrafił wyobrazić sobie życia na stałe w obcym kraju. Z rozmów z żonatymi mężczyznami wiedział, że po urodzeniu dzieci żonom zdarza się opierać ich awansom.

On jednak wziął serce w karby. Każdy ma obowiązek się poświęcać. Bea powinna być wdzięczna, że nie musi wychodzić z okopu i biec na karabiny maszynowe.

– Uważam, że spełniłem wobec ciebie swój obowiązek. Po ślubie spłaciłem długi twojej rodziny. Ściągnąłem biegłych rosyjskich i angielskich, by opracowali plan reorganizacji majątków. – Eksperci doradzili Andriejowi, by osuszył bagna, żeby zyskać więcej ziemi uprawnej. Istniała także perspektywa odkrycia złóż węgla i innych surowców mineralnych, lecz on nawet nie kiwnął palcem. – To nie moja wina, że Andriej zmarnował wszystkie możliwości.

– Tak, Fitz, spełniłeś swoje obietnice – potwierdziła Bea.

– A teraz proszę cię, żebyś ty wypełniła swój obowiązek.

Musimy spłodzić dziedziców. Jeśli Andriej zginie bezpotomnie, nasz syn odziedziczy dwa ogromne majątki. Będzie jednym z największych posiadaczy ziemskich na świecie. Musimy mieć więcej synów, na wypadek gdyby, broń Boże, coś stało się Boyowi.

– Znam swoje obowiązki.

Fitz poczuł się nie w porządku. Mówił o dziedzicu i była to prawda, ale nie wyjawiał, że pragnie zobaczyć jej miękkie ciało na prześcieradle. Biel na bieli, jasne włosy na poduszce. Odsunął tę wizję.

– Jeśli znasz swoje obowiązki, wypełniaj je. Wchodząc następnym razem do twojego pokoju, będę oczekiwał, że przyjmiesz mnie tak, jak żona przyjmuje kochającego męża.

– Dobrze, Fitz.

Wychodził z poczuciem, że tupnął nogą, lecz jednocześnie miał wrażenie, iż postąpił niewłaściwie. To było absurdalne: pokazał Bei, że błędzi, a ona przyjęła jego naganę. Tak powinny wyglądać sprawy między mężem i żoną. Mimo to nie czuł takiej satysfakcji, jaką powinien odczuwać.

Przestał myśleć o Bei, spotkawszy się w holu z Maud i ciocią Herm. Włożył wojskową czapkę i zerknął w lustro, po czym szybko odwrócił głowę. Ostatnio starał się nie myśleć zbyt często o swoim wyglądzie. Kula uszkodziła mięśnie lewej strony jego twarzy, dlatego powieka była stale opadnięta. Było to drobne zniekształcenie, lecz próżność Fitz'a ucierpiała. Powiedział sobie, że musi być wdzięczny za to, iż nie stracił wzroku.

Niebieski cadillac został we Francji, lecz Fitz zdołał kupić następnego. Szofer znał drogę, co świadczyło o tym, iż woził już Maud na East End. Pół godziny później zatrzymali się przed kaplicą Calvary Gospel, skromniutkim przybytkiem z blaszanym dachem. Wyglądała tak, jakby żywcem przeniesiono ją z Aberowen. Ciekawe, czy pastor jest Walijszczykiem.

Spotkanie już trwało, w kaplicy było mnóstwo młodych kobiet

z dziećmi. Cuchnęło gorzej niż w koszarach, Fitz miał ochotę zatkać sobie nos chusteczką.

Maud i Herm od razu zabrały się do dzieła. Maud przyjmowała jedną uczestniczkę spotkania po drugiej w biurze na zapleczu, a Herm komenderowała. Fitz kuśtykał od stolika do stolika, pytając żony żołnierzy, gdzie służy ich mążowie, dzieci tymczasem dokazywały na podłodze. Kobiety były młode i zdarzało się, że chichotały i milkły, zagadnięte przez Fitzę, lecz na ogół się nie peszyły.

Ciekawiło je, w którym pułku służył i jak odniósł obrażenia.

Dopiero w połowie obchodu dostrzegł Ethel.

Zauważył, że na zapleczu mieszczą się dwa biura, z których jedno zajęła Maud. Przez chwilę zastanawiał się, kto urzęduje w drugim. Spojrzał w tamtą stronę, gdy otworzyły się drzwi.

Stała w nich Ethel.

Nie widział jej od dwóch lat, lecz niewiele się zmieniła. Jej ciemne loki falowały, gdy szła, a twarz rozjaśniał promienny uśmiech. Miała na sobie znoszoną bezbarwną sukienkę, podobnie jak wszystkie obecne w kaplicy kobiety z wyjątkiem Maud i Herm, lecz zachowała szczupłą figurę. Fitz nie mógł przestać myśleć o jej drobnym ciele, które tak dobrze znał. Znów go zauroczyła, nawet nań nie spojrzawszy. Było tak, jakby zaledwie wczoraj leżeli, śmiejąc się i całując na łóżku w apartamencie Gardenia.

Zamieniła kilka zdań z jedynym poza Fitzem mężczyzną obecnym w kaplicy. Ubrany w ciemnoszary wizytowy garnitur, siedział zgarbiony przy stole, notując coś w księdze rachunkowej. Nosił grube okulary, lecz Fitz i tak dostrzegł uwielbienie w jego oczach, gdy podniósł wzrok na Ethel. Odpowiedziała mu swobodnym przyjacielskim tonem. Ciekawe, czy są małżeństwem, zastanawiał się Fitz.

Ethel odwróciła się i podchwyciła jego wzrok. Uniosła brwi i otworzyła usta. Zaskoczona, zrobiła krok do tyłu i wpadła na krzesło. Siedząca na nim kobieta spojrzała na nią z irytacją.

– Przepraszam! – rzekła cicho Ethel, nie patrząc w jej stronę.

Fitz wstał, co nie było łatwe ze względu na niesprawną nogę. Przez cały czas patrzył na Ethel. Ona zaś była wyraźnie poruszona i nie wiedziała, czy podejść do niego, czy schronić się w biurze.

– Witaj, Ethel – powiedział.

Te słowa nie mogły do niej dotrzeć w gwarnym pomieszczeniu, lecz zapewne odczytała je z ruchu warg.

Podjąwszy decyzję, ruszyła w stronę Fitzę.

– Dzień dobry, hrabio Fitzherbert – powiedziała. Za sprawą śpiewnego walijskiego akcentu ten powitalny zwrot zabrzmiał jak melodia. Podała Fitzowi rękę. Miała szorstką skórę.

Idąc za jej przykładem, odpowiedział równie oficjalnie:

– Jak się pani miewa, pani Williams?

Ethel przysunęła sobie krzesło i usiadła. Siadając na drugim krześle, Fitz uświadomił sobie, że dzięki jej zręcznemu manewrowi zajęli równe pozycje bez spoufalania się.

– Widziałam cię na mszy w Aberowen. Zrobiło mi się bardzo przykro... – Głos Ethel się załamał. Spuściła wzrok, po czym podjęła: – Było mi bardzo przykro, że zostałeś ranny. Mam nadzieję, że już wracasz do zdrowia.

– Pomału. – Fitz widział, że troska Ethel nie jest udawana.

Najwyraźniej nie znienawidziła go na przekór wszystkiemu, co się stało. Ujęło go to.

– Jak odniosłeś rany?

Opowiadał tę historię tak często, że go znudziła.

– To było pierwszego dnia bitwy nad Sommą. Ledwo zdażyłem wziąć udział w walce. Wybiegliśmy z okopu, minęliśmy nasze zasieki i popędziliśmy po ziemi niczyjej. Kiedy się ocknałem, nieśli mnie na noszach. Bolało jak wszyscy diabli.

– Mój brat widział, jak upadałeś.

Fitz pamiętał niesubordynowanego kaprala Williama Williamsa.

– Naprawdę? Co się z nim stało?

– Jego pododdział zajął niemiecki okop, ale później musiał się wycofać, bo zabrakło amunicji.
Fitz nie uczestniczył w pobitewnej odprawie, gdyż leżał w szpitalu.

– Brat dostał jakieś odznaczenie?

– Nie. Pułkownik oznajmił mu, że powinien być bronić pozycji aż do śmierci. „Tak jak pan?“, spytał Billy. Postawiono go w stan oskarżenia.

Fitza wcale to nie zdziwiło, jako że Williams ciągle przysparzał kłopotów.

– Co tutaj robisz?

– Współpracuję z twoją siostrą.

– Nic mi o tym nie mówiła.

Ethel spojrzała na niego wymownie.

– Uznała, że wieści od byłych służących cię nie zaciekawia.

Była to drwina, lecz Fitz puścił ją mimo uszu.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem kierowniczką redakcji „Żony Żołnierza”. Załatwiam druk i dystrybucję, a także opracowuję stronę z korespondencją. Dodatkowo zajmuję się finansami.

Fitzowi to zaimponowało. Ethel jest teraz kimś więcej niż pomocą domową. Zawsze wyróżniała się talentem organizacyjnym.

– Moimi, jak przypuszczam?

– Raczej nie. Maud jest bardzo przezorna. Wie, że nie masz nic przeciwko fundowaniu ciastek, herbaty i opieki lekarskiej dla dzieci żołnierzy, ale nie odważyłaby się wykorzystać twoich pieniędzy na propagandę antywojenną.

Fitz podtrzymywał rozmowę wyłącznie po to, by patrzeć na twarz Ethel. Sprawiało mu to ogromną przyjemność.

– Treścią gazety jest propaganda antywojenna?

– Omawiamy publicznie to, o czym wy mówicie tylko potajemnie: możliwość zawarcia pokoju.

Ethel miała rację. Politycy z obu najważniejszych partii rozmawiali o pokoju, Fitza zaś to gniewało. Nie chciał jednak się z nią kłócić.

– Twój bohater, Lloyd George, opowiada się za jeszcze większym zaangażowaniem w wojnę.

– Sądzisz, że zostanie premierem?

– Król go nie popiera, ale Lloyd George może być jedynym kandydatem, który zdoła zjednoczyć parlament.

– Obawiam się, że przedłuży wojnę.

Maud wyszła z biura. Spotkanie dobiegało końca, panie zbierały kubki ze stołów i popędzały dzieci w stronę drzwi. Zdumiony Fitz patrzył na ciocię Herm dźwigającą stos brudnych talerzyków. Jak wojna zmienia ludzi!

Spojrzał na Ethel. Wciąż była najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką znał. Pod wpływem impulsu, zniżając głos, zapytał cicho:

– Możemy się jutro spotkać?

Na jej twarzy odmalował się szok.

– Ale po co? – spytała cicho.

– Tak czy nie?

– Gdzie?

– Na Victoria Station. O trzynastej. Przy wejściu na trzeci peron.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podszedł do nich mężczyzna w okularach o grubych szklach. Ethel go przedstawiła.

– Panie hrabio, pozwoli pan, że przedstawię pana Beriego Leckwitha, przewodniczącego koła Niezależnej Partii Pracy w Aldgate.

Fitz podał Leckwithowi rękę. Mężczyzna był między dwudziestką a trzydziestką. Nie poszedł do wojska prawdopodobnie ze względu na słaby wzrok.

– Przykro mi z powodu pana ran, hrabio Fitzherbert – rzekł z akcentem cockney.

– Jestem jednym z tysięcy rannych. Mam szczęście, że żyję.

– Czy patrząc z perspektywy czasu, można powiedzieć, że gdybyśmy nad Sommą cokolwiek zrobili inaczej, wynik bitwy znacząco by się zmienił?

Fitz zastanawiał się przez chwilę. To było diabelnie dobre pytanie.

– Zabrakło nam żołnierzy i amunicji, jak twierdzą generałowie? – indagował Leckwith. – A może potrzebna była elastyczniejsza taktyka i lepsza komunikacja, jak uważają politycy?

– Wszystkie te elementy by nam pomogły, lecz szczerze powiedziawszy, wątpię, czy przyniosłyby zwycięstwo – odparł z namysłem Fitz. – Atak był od początku skazany na niepowodzenie. Jednak nie mogliśmy tego wiedzieć. Musieliśmy podjąć próbę.

Leckwith skinął głową, jakby uzyskał potwierdzenie swojego poglądu.

– Dziękuję panu za szczerą odpowiedź – rzekł, jakby Fitz uczynił wyznanie.

Wyszli z kaplicy. Fitz pomógł cioci Herm i Maud wsiąść do samochodu, a następnie sam zajął w nim miejsce. Szofer ruszył.

Fitz z trudem oddychał, gdyż przeżył mały szok. Przed trzema laty Ethel liczyła poduszki w Ty Gwyn, dziś kieruje gazetą, która, choć mała, przez czołowych ministrów uważana jest za cień w ciele rządu.

Co może ją łączyć z tym bardzo inteligentnym Berniem Leckwithem?

– Kim jest ten człowiek, z którym rozmawiałem? – zapytał Maud.

– Ważnym miejscowym politykiem.

– Oraz mężem Ethel Williams?

Maud się roześmiała.

– Nie, choć wszyscy uważają, że powinien nim zostać. To mądry mężczyzna, który podziela jej ideały i z oddaniem zajmuje się jej synem. Nie rozumiem, dlaczego Ethel jeszcze za niego nie wyszła.

– Być może dlatego, że w jego obecności jej serce nie bije mocniej.

Maud uniosła brwi i Fitz uświadomił sobie, że niebezpiecznie otarł się o szczerą.

– Dziewczyny jej pokroju szukają romansów, prawda? – dodał szybko. – Ona wolałaby wyjść za bohatera wojennego, a nie za bibliotekarza.

– Ethel nie jest dziewczyną żadnego pokroju – odparła lodowato Maud. – Jest po prostu wyjątkowa. Taką poznaje się raz w życiu.

Fitz odwrócił głowę. Wiedział, że Maud ma rację.

Ciekawe, jak wygląda dziecko. Nagle uzmysłowił sobie, że musiał to być jeden z tych umorusanych brzdąców raczkujących na posadzce kaplicy. Prawdopodobnie zobaczył dzisiaj swojego syna i nawet o tym nie wiedział. Ta myśl dziwnie go poruszyła. Nie wiedzieć czemu zachciało mu się płakać.

Samochód wjechał na Trafalgar Square i Fitz kazał szoferowi stanąć.

– Muszę wstąpić do biura – wyjaśnił Maud.

Dokuśtykawszy do starego gmachu Admiralicji, wszedł na górę. Jego biurko znajdowało się w sekcji dyplomatycznej zajmującej salę numer czterdzieści pięć. Podporucznik Carver, studiujący łacinę i grekę, który przyszedł z Cambridge, by rozszyfrowywać niemieckie sygnały, oznajmił Fitzowi, że po południu nadeszło niewiele przechwyconych komunikatów. Jak zwykle o tej porze nie było niczego pilnego. Pojawiły się jednak wieści polityczne.

– Słyszał pan? – zapytał Carver. – Król wezwał do siebie

Lloyda George'a.

II.

Nazajutrz rano Ethel powtarzała sobie, że nie spotka się z Fitzem. Jak on śmiał coś takiego zaproponować? Przez ponad dwa lata nie miała od niego wiadomości, a kiedy już się spotkali, nawet nie zapytał o swoje dziecko! Jest samolubny i kłamliwy jak zawsze.

Mimo to wciągnął ją wir. Fitz spojrzął na nią intensywnie zielonymi oczyma i pytał o jej życie tak, jakby wbrew wszelkim znakom była dla niego ważna. Stracił boską urodę, jego piękna twarz szpeciło przymknięte oko i chodził o lasce, pochylony, jednak ta słabość sprawiła, że Ethel zapragnęła otoczyć go opieką. Powiedziała sobie, że jest głupia. Fitz ma najlepszą opiekę, jaką można kupić za pieniądze. Postanowiła nie iść na spotkanie. O dwunastej wyszła z redakcji „Żony Żołnierza”, mieszczącej się w dwóch pokoikach nad drukarnią, w których znajdowała się także siedziba Niezależnej Partii Pracy. Złapała autobus. Maud nie było tego ranka w biurze, co uchroniło Ethel przed koniecznością wymyślania wymówek.

Przejazd autobusem i metrem z Aldgate do Victoria Station trwał długo, toteż spóźniła się pięć minut. Pomyślała, że Fitz mógł się zniescierpliwzić i odejść. Ta myśl trochę ją zabolęła. Lecz on czekał. Miał na sobie tweedowy garnitur, jakby wybierał się na przejażdżkę na wieś. Ethel od razu poczuła się lepiej.

– Już się przestraszyłem, że nie przyjdiesz – rzekł z uśmiechem.

– Nie wiem, po co przyszłam. Dlaczego mnie o to poprosiłeś?

– Chcę ci coś pokazać. – Wziął ją pod rękę.

Wyszli z dworca. Ethel odczuwała naiwną dumę, krocząc tak z Fitzem. A jeśli natkną się na kogoś z jego znajomych? Pewnie udadzą że się nie widzą, pomyślała. W klasie społecznej, do której należy Fitz, od mężczyzny żonatego od kilku lat nie oczekuje się wierności.

Przejechali autobusem kilka przystanków i znaleźli się w podejrzanej części Chelsea, w której tanie pokoje wynajmowali artyści i pisarze. Ethel zachodziła w głowę, co Fitz chce jej pokazać. Przy uliczce stały niewielkie wille.

– Widziałaś kiedyś debatę parlamentarną? – zapytał.

– Nie. Ale bardzo chętnie bym zobaczyła.

– Trzeba mieć zaproszenie od deputowanego albo para.

Załatwić ci?

– Tak, bardzo proszę!

Fitz był rad, że Ethel przyjęła jego propozycję.

– Sprawdzę, kiedy będzie się działo coś ciekawego. Może zobaczysz w akcji samego Lloyda George'a.

– O tak!

– Dzisiaj ma formować gabinet. Coś mi się zdaje, że wieczorem ucałuje rękę króla jako nowy premier.

Ethel rozejrzała się zamyślona. Tu i ówdzie dzielnica Chelsea wciąż przypominała wioskę, którą była przed stu laty. Niskie starsze budynki wyglądały jak wiejskie domki z rozległymi ogrodami i sadami. W grudniu nie było zbyt dużo zieleni, lecz mimo to okolica sprawiała przyjemnie swojskie wrażenie.

– Polityka płata dziwne figle – zauważyła Ethel. – Od chwili, gdy nauczyłam się czytać gazety, chciałam, by Lloyd George został premierem, lecz teraz, gdy do tego doszło, boję się.

– Dlaczegoż to?

– To największy zwolennik wojny wśród głównych postaci rządu. Jego nominacja może zniweczyć wszelkie szanse na zawarcie pokoju. Z drugiej strony...

– Tak? – spytał zaintrygowany Fitz.

– Jest jedynym człowiekiem, który mógłby wyrazić zgodę na negocjacje pokojowe bez narażania się na wściekły atak żadnych krwi gazet Northcliffe'a.

– Trafna uwaga – pochwalił Fitz, lecz jego twarz wyrażała niepokój. – Gdyby zrobił to ktoś inny, mielibyśmy nagłówki w rodzaju: Precz z Asquithem albo Balfourem, albo Bonarem Lawem, my chcemy Lloyda George'a! Jeśli jednak go zaatakują, nie pozostanie nikt inny.

– Może więc jest nadzieja na pokój?

– Dlaczego chcesz pokoju, a nie zwycięstwa? – zapytał Fitz lekko zirytowany.

– Ponieważ właśnie z tego powodu wpakowaliśmy się w ten koszmar – odparła spokojnie Ethel. – Co chcesz mi pokazać?

– To, co widzisz. – Fitz otworzył bramę i przytrzymał ją. Znaleźli się przed piętrowym, średniej wielkości domkiem. Ogród był zapuszczony, a ściany należałoby pomalować, lecz dom był uroczy. Ethel pomyślała, że mógłby w nim mieszkać znany muzyk bądź aktor. Fitz wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi, a gdy oboje weszli do środka, pocałował ją. Poddała się. Od tak dawna nikt jej nie całował i czuła się jak spragniony wędrowiec na pustyni. Poglądziła Fitz'a po szyi i przytuliła się do niego. Wyczuła, że jest równie rozpalony jak ona. Odepchnęła go jednak, zanim straciła nad sobą panowanie.

– Dość. Przestań. – Oddychała szybko.

– Ale dlaczego?

– Poprzednim razem, gdy to zrobiliśmy, wylądowałam sam na sam z twoim parszywym adwokatem. – Odsunęła się od niego. – Nie jestem już taka naiwna jak kiedyś.

– Tym razem będzie inaczej – zapewnił Fitz, dysząc z pożądania. – Postąpiłem jak dureń, pozwalając ci odejść. Teraz to widzę. I byłem młody.

Chcąc się uspokoić, Ethel rozejrzała się po domu. Meble były stare i zniszczone.

– Czyj to dom?

– Może być twój, jeśli zechcesz.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Mogłabyś zamieszkać tutaj z dzieckiem. Przez lata zajmowała go starsza pani, która była gosposią mojego ojca. Zmarła przed kilkoma miesiącami. Mogłabyś odnowić domek i kupić nowe meble.

– Zamieszkać? – zdziwiła się Ethel. – Jako kto?

Fitz nie mógł wymówić tego słowa.

– Jako twoja kochanka?

– Mogłabyś mieć nianię, kilkoro służby i ogrodnika. A nawet samochód z szoferem, jeśli miałabyś ochotę.

Ethel miała ochotę wyłącznie na Fitz'a.

On zaś niewłaściwie odczytał jej milczenie.

– Dom jest za mały? Wolałabyś Kensington? Chcesz mieć lokaja i gosposię? Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Nie rozumiesz? Moje życie bez ciebie jest puste.

Nie wątpiła, że w tej chwili Fitz naprawdę tak myśli i czuje, bo jest podniecony i niezaspokojony. Wiedziała z gorzkiego doświadczenia, jak szybko może się to zmienić.

Najgorsze było to, że pragnęła go równie gorąco.

Chyba dostrzegł to w jej oczach, bo znów wziął ją w ramiona. Zwróciła ku niemu twarz. Ale ja pragnę czegoś więcej, pomyślała. Uwolniła się z jego objęć, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– A zatem? – spytał.

Ethel nie mogła podjąć rozsądnej decyzji, kiedy obsypywał ją pocałunkami.

– Muszę zostać sama. – Siłą woli oderwała się od Fitz'a, nim

było za późno. – Jadę do domu – powiedziała, otwierając drzwi. – Potrzebuję czasu do namysłu. – W progu się zawahała. – Myśl, jak długo chcesz. Ja będę czekał. Ethel zamknęła za sobą drzwi i zaczęła biec.

III.

Gus Dewar znajdował się w National Gallery przy Trafalgar Square. Patrzył na Autoportret w wieku sześćdziesięciu trzech lat Rembrandta, gdy stojąca obok kobieta powiedziała:

– Wyjątkowy brzydal.

Gus odwrócił głowę i ze zdumieniem stwierdził, że to Maud Fitzherbert.

– Ja czy Rembrandt?

Maud parsknęła śmiechem.

Ruszyli w stronę wyjścia.

– Cóż za miły zbieg okoliczności – rzekł Gus.

– Prawdę powiedziawszy, spostrzegłam pana i weszłam za panem do środka. – Maud zniżyła głos. – Chciałam zapytać, dlaczego Niemcy jeszcze nie złożyli propozycji pokojowej, o której pan mówił.

Gus nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Może się rozmyślili – odparł posępnie. – Tam, podobnie jak tutaj, istnieje frakcja pokoju i frakcja wojny. Być może frakcja wojny wzięła górę i zdołała przekonać Kaisera.

– Ależ oni muszą widzieć, że bitwy niczego już nie zmieniają! – tłumaczyła zdesperowana Maud. – Czytał pan w gazecie, że Niemcy zajęli Bukareszt?

Gus pokiwał głową. Rumunia przystąpiła do wojny w sierpniu i przez pewien czas Brytyjczycy mieli nadzieję, że nowy sojusznik zada cios wrogom, lecz we wrześniu Niemcy odpowiedzieli kontruderzeniem i stolica Rumunii padła ich łupem.

– Niemcy się wzmocnili, zdobywając nowe terytorium.

– Otóż to. Jeden krok do przodu, jeden do tyłu. I tak w kółko.

Czy my nigdy niczego się nie nauczymy?

– Nominacja Lloyda George'a na premiera nie wróży dobrze – zauważył Gus.

– Hm. Tu może się pan mylić.

– Czyżby? Lloyd George zbudował swoją reputację polityczną na wojowniczości. Trudno mu będzie zawrzeć pokój.

– Tego nie można być pewnym. Lloyd George jest nieprzewidywalny, może wykonać woltę. Zdziwią się jedynie ci, którzy biorą jego szczerłość za dobrą monetę.

– A więc jest nadzieja.

– Mimo to wolałabym, żeby premierem była kobieta.

Gus nie sądził, by kiedykolwiek do tego doszło, lecz nic nie powiedział.

– Jest jeszcze coś, o co chciałabym pana zapytać – rzekła Maud, po czym nagle zamilkła.

Amerikanin odwrócił się do niej. Uzmysłowił sobie, że podziwia jej twarz. Może uwrażliwiło go obcowanie z malarstwem. Dostrzegł wyrazisty zarys nosa i podbródka, wydatne kości policzkowe i długą szyję. Twardość rysów zmiękczały nieco pełne usta oraz duże zielone oczy.

– Jestem do pani usług.

– Co Walter panu mówił?

Gus przypomniał sobie zaskakującą rozmowę, którą odbyli w Adlonie.

– Napomknął, że z radością wyjawi mi pewien sekret, ale ostatecznie tego nie zrobił.

– Myślał, że sam pan odgadnie.

– Domyśliłem się, że jest w pani zakochany. Z pani reakcji po otrzymaniu listu wywnioskowałem, że jego miłość jest od-

wzajemniona. – Gus się uśmiechnął. – Szczęściarz z niego, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Skinęła głową i Gus zobaczył na jej twarzy coś w rodzaju ulgi.

W tym musi być coś więcej. Może dlatego Maud chce wy badać, ile on wie. Ciekawe, co ukrywają? Być może są zaręczeni? Szli dalej galerią. Rozumiem, dlaczego on cię kocha, myślał Gus. Ja bym się w tobie zadurzył w mgnieniu oka.

Maud znów go zaskoczyła.

– Był pan kiedyś zakochany?

Pytanie było niedelikatne, ale mimo to odpowiedział:

– Owszem, dwa razy.

– Ale już pan nie jest?

Gus poczuł nagłą potrzebę zwierzenia się jej.

– W roku wybuchu wojny okazałem się nikczemnikiem i zapalałem uczuciem do kobiety, która była mężatką.

– Czy ona pana kochała?

– Tak.

– I co było dalej?

– Prosiłem, żeby zostawiła dla mnie męża. Popełniłem błąd.

Wiem, że to panią zaszokowało. Ale ona okazała się lepsza ode mnie i odrzuciła moją niemoralną propozycję.

– Nie tak łatwo mnie zaszokować. A drugi raz?

– W zeszłym roku zaręczyłem się z pewną kobietą w moim mieście, Buffalo, ale ona wyszła za kogoś innego.

– Och, bardzo przepraszam! Może nie powinnam była pytać.

Przywołałam bolesne wspomnienie.

– Bardzo bolesne.

– Proszę wybaczyć, ale powiem, że dzięki temu czuję się lepiej. Teraz wiem, że zna pan smutek, który może przynieść miłość.

– Tak, znam.

– Ale może jednak pokój zostanie zawarty i mój smutek się skończy.

– Szczerze pani tego życzę, lady Maud.

IV.

Przez kilka dni Ethel cierpiała katusze. Wyżymając pranie na zimnym podwórzu, wyobrażała sobie siebie w ładnym domku w Chelsea. Lloyd hasałby po ogrodzie pod okiem czujnej niani. „Dam ci wszystko, czego zapragniesz”, powiedział Fitz, a Ethel wiedziała, że to prawda. Zapisałby na nią dom, zabierał ją do Szwajcarii i na południe Francji. Gdyby przyjęła jego propozycję, zapewniłby jej roczną pensję aż do śmierci, nawet gdyby się nią znudził. Nie wątpiła, że potrafi sprawić, by nigdy tak się nie stało. To haniebne i odrażające, powiedziała sobie surowo. Byłaby kobietą, której płaci się za seks, a czy słowo „prostytutka” oznacza coś innego? Nigdy nie mogłaby zaprosić rodziców do swojego gniazdka w Chelsea, natychmiast odgadliby, komu to wszystko zawdzięcza.

Czy przejęłaby się tym? Może i nie, ale istnieją inne względy.

Pragnie od życia czegoś więcej niż komfort. Jako kochanka milionera nie mogłaby prowadzić kampanii na rzecz kobiet z klasy robotniczej. To byłby koniec jej udziału w życiu politycznym. Straciłaby kontakt z Bernieem i Mildred, trudno byłoby jej nawet spotykać się z Maud.

Ale kimże ona jest, by tak wiele oczekiwać? Ethel Williams, urodzona w chatce górnika! Dlaczego zadziera nosa, odrzucając łatwe życie? Powinnaś uważać się za szczęściarę, jak mawiał Bernie. Łata tym jest jeszcze Lloyd. Miałaby guwernantkę, a później Fitz płaciłby za jego ekskluzywną szkołę. Jej syn wyrósłby wśród elity i cieszył się przywilejami. Czy matka ma prawo mu tego odmawiać? Wciąż nie odpowiedziała sobie na to pytanie, gdy w biurze,

które dzieliła z Maud, otworzyła gazetę i przeczytała o innej niezwykle ważnej ofercie. Dwunastego grudnia kanclerz Niemiec, Theobald von Bethmann-Hollweg, zaproponował aliantom rozmowy pokojowe.

Ethel poczuła uniesienie. Pokój! Czy to naprawdę możliwe? Czy Billy wróci do domu?

Premier Francji natychmiast określił tę notę mianem zręcznego posunięcia, a rosyjski minister spraw zagranicznych nazwał niemieckie propozycje szalbierstwem. Ethel uważała jednak, że najważniejsza będzie reakcja rządu brytyjskiego.

Lloyd George nie występował publicznie, tłumacząc to chorobą gardła. W grudniu połowa mieszkańców Londynu cierpiała na kaszel i przeziębienia, lecz Ethel podejrzewała, iż premier chce dać sobie czas do namysłu. Uznała to za dobry omen. Bezpośrednią reakcją byłoby odrzucenie, każda inna pozostawiała nadzieję. Przynajmniej rozważa możliwość zawarcia pokoju, myślała optymistycznie.

Tymczasem prezydent Wilson zadeklarował, że jego kraj stoi po stronie pokoju. Zasugerował, by przed przystąpieniem do rozmów wszystkie kraje biorące udział w wojnie określiły, co chcą osiągnąć, walcząc.

– To ich zdeprymowało – stwierdził wieczorem tego dnia Bernie Leckwith. – Zapomnieli, po co w ogóle zaczęli tę wojnę. Teraz walczą tylko o zwycięstwo.

Ethel przypomniała sobie słowa pani Dai Kucyk o strajku: gdy mężczyźni przystępują do walki, myślą tylko o tym, by wygrać. Nie zrezygnują bez względu na cenę. Ethel zastanawiała się, jak zareagowałaby na propozycję pokojową kobieta premier.

Kilka dni później uświadomiła sobie, że Bernie miał rację. Sugestia prezydenta Wilsona spowodowała osobliwe milczenie.

Żaden kraj nie odpowiedział od razu. To jeszcze bardziej rozgniewało Ethel. Jak można toczyć walkę, nie wiedząc nawet, o co się walczy?

Pod koniec tygodnia Bernie zorganizował spotkanie poświęcone omówieniu niemieckiej noty dyplomatycznej. Tego dnia rano Ethel obudziła się i zobaczyła brata stojącego przy jej łóżku w zielonym mundurze.

– Billy, ty żyjesz! – wykrzyknęła.

– A jakże. Przyjechałem na tygodniowy urlop. Wstawaj, ty leniwa krowo.

Ethel zerwała się, zarzuciła szlafrok na nocną koszulę i objęła brata.

– Och, Billy, tak się cieszę. – Zauważyła paski na jego rękawie. – Zostałeś sierżantem, tak?

– Tak jest.

– Jak się dostałeś do domu?

– Mildred mi otworzyła. Jestem tu od wczorajszego wieczoru.

– Gdzie spałeś?

Billy się zawstydział.

– Na górze.

– Ale ci się poszczęściło – zaśmiała się Ethel.

– Ja ją naprawdę lubię.

– To tak jak ja. Mildred to szczerze złoto. Ożenisz się z nią?

– Dlaczego nie, jeśli przeżyję wojnę.

– Nie przeszkadza ci różnica wieku?

– Ona ma dwadzieścia trzy lata. Nie jest stara, do trzydziestki jej daleko.

– A dzieci?

Billy wzruszył ramionami.

– Są fajne, ale nawet gdyby nie były, dla niej bym z nimi wytrzymał.

– Naprawdę ją kochasz.

– To nic trudnego.

– Mildred otworzyła zakład, na pewno widziałeś kapelusze w jej pokoju.

– Owszem. Mówi, że całkiem nieźle jej idzie.

– Nawet bardzo dobrze. Mildred to pracowita dziewczyna. Tommy jest z tobą?

– Przyplłynęliśmy tym samym statkiem, ale on pojechał pociągiem do Aberowen.

Lloyd się obudził i na widok obcego mężczyzny zaczął płakać. Ethel wzięła go na ręce i uspokoiła.

– Przejdźmy do kuchni – zaproponowała. – Zrobię śniadanie.

Zajęła się gotowaniem owsianki, a Billy usiadł i wziął gazetę.

– Psiakrew – zaklął po chwili.

– Co się stało?

– Ten cholerny Fitzherbert otworzył swoją wielką gębę. Zerknął na Lloyda, jakby obawiał się, że uraził dziecko, ganiąc ojca.

Ethel obejrzała się przez ramię i zobaczyła tytuł w gazecie:

POKÓJ. GŁOS ŻOŁNIERZA:

NIE PORZUCAJCIE NAS TERAZ!

Ranny na wojnie hrabia ujawnia swoje poglądy

Wczoraj Izba Lordów stała się areną poruszającego

wystąpienia przeciwko niemieckiej inicjatywie pokojowej.

Mówcą był hrabia Fitzherbert, major Fizylierów Walijskich, który w Londynie wraca do zdrowia po tym, jak został ranny w bitwie nad Sommą.

Hrabia Fitzherbert oznajmił, że podjęcie rozmów pokojowych z Niemcami równałoby się zdradzie wszystkich tych, którzy oddali życie na wojnie. „Jesteśmy przekonani, że zwyciężamy i możemy osiągnąć całkowite zwycięstwo, jeśli nas teraz nie porzucicie”, przekonywał.

Hrabia, który pojawił się w izbie w mundurze, z opaską na oku oraz o kuli, wywarł ogromne wrażenie. Wysłuchano go w całkowitej ciszy, a przemowę nagrodzono rzęsyistymi oklaskami.

Dalej autor pisał w tym samym tonie. Ethel ogarnęło przerażenie. Wystąpienie pełne było sentymentalnych banałów, lecz odniosło skutek. Fitz zwykle nie nosił opaski, musiał ją założyć dla większego efektu. Jego mowa uprzedziła do planu pokojowego mnóstwo ludzi.

Ethel zjadła śniadanie z Billym, po czym ubrała Lloyda i wyszła z domu. Billy miał spędzić dzień z Mildred, ale obiecał przyjść wieczorem na spotkanie.

Po przyjeździe do redakcji „Żony Żołnierza” zobaczyła, że wszystkie gazety piszą o wystąpieniu Fitz’a. Kilka poświęciło mu artykuł przewodni. Poglądy były zróżnicowane, lecz wszyscy komentatorzy zgadzali się, że mówca zadał potężny cios swoim oponentom.

– Jak można opowiadać się przeciwko negocjacjom pokojowym? – pytała Ethel.

– Sama będziesz miała okazję zadać mu to pytanie – odparła Maud. – Zaprosiłam go na nasze spotkanie, a on powiedział, że przyjdzie.

– Zostanie ciepło przyjęty! – przestraszyła się Ethel.

– Taką mam nadzieję.

Cały dzień pracowały nad specjalnym wydaniem gazety. Na pierwszej stronie miał się znaleźć artykuł zatytułowany Niewielka groźba pokoju. Maud tytuł się podobał, lecz Ethel uważała, że zawarta w nim ironia jest zbyt subtelna. Późnym popołudniem Ethel zabrała Lloyda od opiekunki, zaprowadziła do domu, nakarmiła i położyła do łóżka. Zostawiła go pod opieką Mildred, która nie chodziła na wiece.

Wnętrze kaplicy Calvary Gospel się wypełniało. Niebawem pozostały wyłącznie miejsca stojące. Wśród obecnych znalazło się wielu żołnierzy oraz marynarzy w mundurach. Zebraniu przewodniczył Bernie. Otworzył je wystąpieniem, które, choć krótkie, okazało się nudne. Bernie nie był dobrym mówcą. Następnie zaprosił pierwszego gościa, filozofa z Oksfordu.

Ethel знаła argumenty przemawiające za pokojem lepiej niż uczoney, obserwowała więc swoich dwóch zalotników. Fitz był wytworem setek lat dobrobytu i kulturalnej ogłady: jak zwykle doskonale ubrany, miał nienagannie ostrzyżone włosy, białe dłonie i czyste paznokcie. Bernie pochodził z plemienia prześladowanych nomadów, którzy przeżyli tylko dzięki temu, że byli sprytniejsi od swoich ciemieżycieli. Miał na sobie swój jedyny garnitur z ciemnoszarej serży. Ethel nigdy nie widziała go w innym stroju. Kiedy było ciepło, po prostu zdejmował marynarkę.

Widownia słuchała w milczeniu. Ruch laburzystowski był podzielony w kwestii pokoju. Ramsay MacDonald, który trzeciego sierpnia 1914 roku wygłosił w parlamencie mowę przeciwko wojnie, ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Partii Pracy dwa dni później, gdy wojna została wypowiedziana. Od tamtej pory Partia Pracy popierała wojnę, podobnie jak większość jej elektoratu. Jednak zwolennicy partii stanowili najbardziej sceptycznie nastawiony do konfliktu odłam klasy robotniczej i istniała wśród nich silna mniejszość opowiadająca się za pokojem.

Fitz zaczął od przypomnienia wspaniałej brytyjskiej tradycji: „Przez setki lat utrzymywaliśmy równowagę w Europie, stając w jednym szeregu ze słabszymi narodami, by żaden kraj nie zdominował kontynentu”.

– Kanclerz Niemiec nie powiedział ani słowa na temat warunków pokoju, lecz punktem wyjścia każdych rozmów musiałyby być status quo – ciągnął. – Pokój w tej chwili oznaczałby, że Francja została upokorzona i pozbawiona części terytorium, Belgia zaś stałaby się państwem satelickim. Niemcy zdominowałyby kontynent europejski za pomocą siły militarnej. Do tego nie wolno nam dopuścić. Musimy walczyć aż do zwycięstwa.

Otwierając dyskusję, Bernie oznajmił:

– Hrabia Fitzherbert przybył tutaj całkowicie prywatnie, a nie jako oficer. Dał mi słowo honoru, że obecni tu żołnierze służby czynnej nie zostaną ukarani dyscyplinarnie za to, co powiedzą. Tylko pod takim warunkiem mogliśmy zaprosić hrabiego na to zebranie.

Bernie zadał pierwsze pytanie i jak zwykle w jego przypadku było ono trafne:

– Jeśli Francja została upokorzona i utraciła część terytorium, może to doprowadzić do destabilizacji w Europie. Tak wynika z pańskiej analizy, panie hrabio.

Fitz skinął głową.

– A jeżeli Niemcy zostaną upokorzone i stracą Alzację i Lotaryngię, co bez wątplenia nastąpi, to Europa stanie się bardziej stabilna?

Ethel dostrzegła konsternację na twarzy Fitz'a, który nie spodziewał się napotkać tak mocnej opozycji tutaj, na East Endzie. Intelktualnie hrabia nie był dla Berniego przeciwnikiem. Ethel zrobiło się go trochę żal.

– Na czym zatem polega różnica? – dokończył Bernie.

Zwolennicy pokoju wyrazili pomrukiem swoją aprobatę.

Fitz błyskawicznie doszedł do siebie.

– Otóż polega ona na tym, że Niemcy są brutalnym, okrutnym, militarystycznym agresorem. Zawierając teraz pokój, nagrodzimy takie postępowanie i zachęcimy do jego kontynuowania w przyszłości!

Druga strona widowni nagrodziła wypowiedź okrzykami, Fitz zachował twarz. Jednak argument był słaby, oceniła Ethel. Maud wstała, by wytknąć to przedmówcy.

– Wojna nie wybuchła z winy żadnego narodu! Tak się utarło, że obwiniamy Niemcy, a nasze napaściwe gazety propagują tę bajeczkę. Przywołujemy napaść Niemców na Belgię i mówimy, że nie była ona sprowokowana. Zapominamy o tym, że na niemieckiej granicy wschodniej stanęło sześć milionów uzbrojonych Rosjan. Zapominamy, że Francja nie zgodziła się ogłosić neutralności. –

Tu i ówdzie rozległo się buczenie. Nigdy nie wolno liczyć na oklaski, mówiąc ludziom, że sytuacja jest bardziej złożona, niż im się wydaje, pomyślała Ethel z goryczą. – Nie twierdzę, że Niemcy są niewinne! – Maud mówiła coraz głośniejsze. – Nie twierdzę, że którykolwiek kraj jest niewinny. Mówię tylko, że nie walczymy o stabilizację w Europie ani o sprawiedliwość dla Belgów, ani też po to, by wymierzyć karę niemieckiemu militarystom. Walczymy, bo jesteśmy zbyt dumni, by przyznać się, że popełniliśmy błąd! Jakiś żołnierz w mundurze wstał, by zabrać głos. Ethel z dumą zobaczyła, że to jej brat.

– Walczyłem nad Sommą – zaczął Billy. Widownia ucichła. – Powiem wam, dlaczego straciliśmy w tej bitwie tak wielu żołnierzy. – Ethel jakby słyszała mocny głos ojca, w którym brzmiało spokojne przekonanie. Uświadomiła sobie, że Billy byłby świetnym kaznodzieją. – Nasi oficerowie... – mówca wyciągnął rękę i oskarżycielskim gestem wskazał Fitzę – zapewniali, że atak będzie jak spacer po parku.

Ethel zobaczyła, że hrabia wierci się niespokojnie na krześle.

– Usłyszeliśmy, że nasza artyleria zmiotła pozycje wrogów, obróciła w perzynę ich okopy i stanowiska ogniowe – ciągnął Billy. – Że po drugiej stronie zobaczymy samych martwych Niemców.

Ethel stwierdziła, że jej brat nie zwraca się do osób siedzących na podeście, lecz wpatruje się intensywnie w słuchaczy, by przyciągnąć ich uwagę.

– Dlaczego wmawiali nam takie rzeczy? – zapytał Billy, patrząc na Fitzę. Po chwili dodał z naciskiem: – Wymyśli, które nie miały nic wspólnego z prawdą. – Na widowni rozległy się ciche słowa potwierdzenia.

Twarz Fitzę pociemniała. Ethel wiedziała, że w kręgu społecznym, do którego należy, zarzut kłamstwa stanowi najcięższą obelgę. Billy także o tym wiedział.

– Pozycje Niemców nie zostały zniszczone, a my przekonaliśmy się o tym, gdy wybiegliśmy prosto pod ogień karabinów maszynowych.

Tym razem reakcja słuchaczy była głośniejsza.

– Hańba! – krzyknął ktoś.

Fitz wstał, aby odpowiedzieć, lecz Bernie go powstrzymał:

– Chwileczkę, pozwólcmy mówcy dokończyć. – Hrabia usiadł, energicznie kręcąc głową.

– Czy oficerowie sprawdzili za pomocą rozpoznania powietrznego lub patroli, jakie szkody wyrządził ogień naszej artylerii? – spytał podniesionym głosem Billy. – Jeśli nie, to dlaczego? Fitz znowu wstał, kipiąc gniewem. Jedna część zgromadzonych zaczęła klaskać, a druga bucieć.

– Wy nic nie rozumiecie! – zaczął.

Jednak głos Billy'ego zabrzmiał mocniej:

– Skoro znali prawdę, dlaczego wmawiali nam co innego?!

Fitz zaczął krzyczeć i połowa widowni mu wtórowała, lecz słowa Billy'ego unosiły się ponad gwiełkiem:

– Zapytam wprost! – ryknął. – Czy wy, oficerowie, jesteście durniami, czy kłamcami?!

V.

List Fitzę napisany był dużymi, znamionującymi pewnością siebie literami na drogim papierze ozdobionym jego herbem. Fitz nie nawiązał do spotkania w Aldgate, lecz zapraszał Ethel do pałacu westminsterskiego na następnego dzień, wtorek dziewiętnastego grudnia. Miała zasiąść w galerii Izby Gmin i wysłuchać pierwszego wystąpienia premiera Lloyda George'a. Była bardzo podekscytowana. Nigdy nie przypuszczała, że zobaczy od środka pałac, nawet nie marzyła o tym, że usłyszy expose swojego idola.

– Jak myślisz, dlaczego cię zaprosił? – spytał wieczorem Bernie, jak zawsze trafiając w sedno.

Ethel nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Czysta nieskażona dobroć nigdy nie leżała w charakterze Fitz'a. Umiał być wielkoduszny, gdy mu to odpowiadało. Bernie słusznie podejrzewał, że hrabia oczekuje czegoś w zamian.

Bernie był mózgowcem, nie zaś intuicjonistą, lecz wyczuł, iż Fitz'a i Ethel coś łączy. Starał się być trochę uwodzicielski. Nie było to zbyt ostentacyjne, gdyż Bernie nie miał skłonności do takich zachowań, lecz przy powitaniu trzymał jej rękę odrobinę dłużej niż zwykle i stawał o cal bliżej, niż powinien. Gdy mówił, kładł rękę na jej ramieniu i trzymał ją za łokieć, kiedy schodziła po schodach. Nagle poczuwszy się niepewnie, instynktownie wykonywał gesty świadczące o tym, że Ethel należy do niego. Ona tymczasem ledwo powstrzymywała się od wzdrygnięć. Fitz w okrutny sposób przypomniał jej o tym, czego nie czuje do Berniego.

We wtorek Maud zjawiła się w biurze o wpół do jedenastej i pracowały razem przez cały ranek. Maud nie mogła zaprojektować pierwszej strony następnego numeru przed expose Lloyda George'a, lecz gazeta zawierała również inne materiały: ogłoszenia o pracy, o poszukiwaniu opiekunek do dzieci, porady zdrowotne dla kobiet i maluchów, pisane przez doktora Greenwarda, a także przepisy kulinarne oraz listy.

– Fitz po wiecu wyłazi ze skóry – oznajmiła Maud.

– Mówiłam ci, że dostanie w kość.

– To mu nie przeszkadza, ale Billy zarzucił mu kłamstwo.

– Jesteś pewna, że przyczyną nie jest to, iż Billy zwyciężył w sporze?

Maud uśmiechnęła się smutno.

– Niewykluczone.

– Mam tylko nadzieję, że się na nim nie odegra.

– Nie robi tego – odparła zdecydowanie Maud. – Złamałby dane słowo.

– To dobrze.

Zjadły lunch w kafejce przy Mile End Road. Lokalik nosił nazwę Dobry Przystanek dla Zmotoryzowanych i faktycznie roiło się w nim od kierowców ciężarówek. Obsługa radośnie przywitała Maud. Zjadły wołowinę z zapiekаныmi ostrygami – tanie ostrygi miały rekompensować niedostatek wołowiny.

Później wsiadły do autobusu, który jechał przez centrum Londynu na West End. Ethel spojrzała na ogromną tarczę Big Bena i zobaczyła, że jest piętnasta trzydzieści. Expose premiera wyznaczono na szesnastą. Ten człowiek może zakończyć wojnę i ocalić miliony istnień ludzkich. Czy zechce to uczynić?

Lloyd George zawsze walczył o dobro prostego robotnika.

Przed wybuchem wojny stoczył batalię z Izłą Lordów i królem, by wprowadzono emerytury. Ethel wiedziała, ile to znaczyło dla ubogich starych ludzi. W dniu, w którym wypłacono pierwsze świadczenia, zobaczyła, jak emerytowani górnicy – niegdyś krzepcy mężczyźni, teraz przygięci do ziemi i trzęsący się – wychodzą z budynku poczty i płaczą z radości, że nie są już nędzarzami. Właśnie tego dnia Lloyd George stał się bohaterem klasy robotniczej. Lordowie przeznacziliby pieniądze na Marynar-kę Królewską.

Gdybym mogła napisać jego dzisiejszą mowę, powiedziałabym:

„Są chwile w życiu ludzi i narodów, gdy należy rzec: Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, więcej zrobić nie zdołam, dlatego odstępuję i szukam innej drogi. Niespełna godzinę temu zarządziłem przerwanie ognia na całym brytyjskim odcinku frontu we Francji. Panowie, armaty zamilkły”.

To byłoby możliwe. Francuzi wpadną w furję, lecz muszą przyłączyć się do rozejmu, gdyż w przeciwnym razie Brytyjczycy zawrą separatystyczny pokój, skazując ich na pewną klęskę. Układ pokojowy jest trudny do przyjęcia dla Francji i Belgii, ale nie tak

tragiczny, jak utrata kolejnych milionów ludzi. Byłby to nie tylko akt wielkiego męża stanu, lecz również koniec kariery politycznej Lloyda George'a, bo wyborcy nigdy więcej nie zagłosowaliby na tego, który przegrał wojnę. Lecz cóż to byłoby za zejście ze sceny!

Fitz stał w głównym holu w towarzystwie Gusa Dewara. Z pewnością równie niecierpliwie jak wszyscy oczekiwał reakcji Lloyda George'a na inicjatywę pokojową.

Weszli długimi schodami na galerię i zajęli miejsca. Ethel usiadła pośrodku, Fitz z prawej strony, a Gus z lewej. Szeregi pokrytych zieloną skórą ław zapełniły się już deputowanymi. Pustych pozostało tylko kilka foteli w pierwszym rzędzie, tradycyjnie zarezerwowanych dla członków gabinetu.

– Sami mężczyźni – zauważyła głośno Maud.

– Proszę o ciszę! – syknął nadgorliwie odzwierny w tradycyjnym dworskim stroju, składającym się między innymi z aksamitnych bryczesów do kolan oraz białych pończoch.

Przemawiał właśnie jakiś szeregowy deputowany, lecz niewielu go słuchało. Wszyscy czekali na premiera.

– Twój brat mnie obraził – rzekł cicho Fitz do Ethel.

– Biedactwo – prychnęła sarkastycznie. – Zranił twoje uczucia?

– Kiedyś pojedynekowano się o błaższe sprawy.

– Mamy dwudziesty wiek, przydałaby się odrobina rozsądku. Drwina Ethel nie zrobiła na nim wrażenia.

– Czy on wie, kto jest ojcem Lloyda?

Ethel milczała. Wolałaby nie mówić Fitzowi prawdy, lecz nie chciała kłamać.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak na mnie pomstował.

– Nie sądzę, aby Billy potrzebował dodatkowej motywacji. To, co wydarzyło się nad Sommą, mogło wywołać gniew żołnierzy, prawda?

– Powinien stanąć przed sądem polowym za obrazę.

– Obiecałeś...

– Tak, niestety, obiecałem.

Do sali obrad wkroczył Lloyd George. Był drobnym mężczyzną. Miał na sobie garnitur dzienny, jego nieco za długie włosy były lekko potargane, a krzaczaste wasy całkiem posiwiały. Mimo pięćdziesięciu trzech lat poruszał się sprężysto, a gdy usiadł i powiedział coś do jakiegoś deputowanego, Ethel zobaczyła na jego twarzy uśmiech znany ze zdjęć w gazetach.

Rozpoczął przemowę o szesnastej dziesiątej. Na wstępie nieco chrapliwym głosem wspomniał, że boli go gardło. Zrobił pauzę, a potem rzekł:

– Staję dzisiaj przed Izłą Gmin, dźwigając brzemie najstraszliwszej odpowiedzialności, jaka może spaść na barki żyjącego człowieka.

Dobry początek, oceniła Ethel. Premier przynajmniej nie zbagatelizuje niemieckiej noty, tak jak to zrobili Francuzi i Rosjanie.

– Każdy człowiek bądź grupa ludzi, która lekkomyślnie lub bez dostatecznego powodu przedłużałaby tak straszny konflikt, splamiłaby duszę zbrodnią, której nawet ocean wody nie byłby w stanie zmyć.

Odniesienie biblijne, pomyślała Ethel. Nawiązanie do baptystrycznej koncepcji zmywania grzechów.

Jednak po chwili, znów niczym kaznodzieja, premier wygłosił stwierdzenie przeciwne:

– Każdy człowiek bądź grupa ludzi, z powodu zmęczenia lub rozpaczcy porzucająca walkę bez osiągnięcia doniosłego celu, dla którego się w nią zaangażowała i którego jest blisko, wzięłaby na swoje sumienie akt najbardziej kosztownego tchórzostwa, jaki kiedykolwiek został popełniony przez męża stanu.

Ethel poruszyła się niepewnie na krześle. Do czego premier

zmierza? Przypomniała sobie twarze mieszkańców Aberowen, którzy dostali telegramy z kondolencjami. Polityk pokroju Lloyd George'a, jeśli tylko jest to w jego mocy, nie pozwoli, by ta tragedia nadal trwała. A jeśli tak, to jaki jest sens jego trwania w polityce?

Premier tymczasem zacytował Abrahama Lincolna:

– „Przyjęliśmy tę wojnę, by osiągnąć pewien cel, a jest to cel ważki. Zakończymy ją, gdy ów cel zostanie osiągnięty”.

Te słowa nie wróżyły dobrze. Ethel chętnie zapytałaby, co to za cel. Prezydent Wilson zadał to pytanie i do tej pory nie doczekał się odpowiedzi.

– Czy możemy liczyć na jego osiągnięcie, przyjmując za-proszenie kanclerza Niemiec do rozmów? Jest to jedyna kwestia, którą powinniśmy rozważyć.

Ethel ogarnęła złość. Jak można omawiać to pytanie, skoro nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego prowadzona jest ta wojna? Lloyd George podniósł głos jak kaznodzieja grzmiący o ogniach piekielnych:

– Niemcy ogłaszają się zwycięzcą, dlatego przyjęcie ich zaproszenia bez znajomości konkretów, zgoda na uczestnictwo w takiej konferencji... – premier przerwał i powiódł wzrokiem po sali; spojrzał najpierw w stronę liberałów zasiadających po jego prawej stronie, a następnie w kierunku opozycyjnych konserwatystów – oznaczałaby wsunięcie głowy w pętlę na końcu sznura, który wróg dzierży w swoich rękach!

W sali rozległy się okrzyki entuzjazmu.

Lloyd George odrzucił propozycję pokojową.

Gus Dewar ukrył twarz w dłoniach.

– Ałun Pritchard poległ nad Sommą – odezwała się głośno

Ethel. – Czy to nic nie znaczy?

– Ciszej tam! – rzucił odźwierny.

Ethel wstała.

– Sierżant Prorok Jones także nie żyje!

– Uspokój się i usiądź, na miłość boską! – syknął Fitz.

Lloyd George kontynuował przemówienie. Jeden czy dwóch deputowanych spojrzało na galerię.

– Clive Pugh! – krzyknęła na cały głos Ethel.

Z obu stron zbliżyli się do niej odźwierni.

– Pryszczaty Llewellyn!

Odźwierni chwycili Ethel pod ręce i szybko wyprowadzili z sali.

– Joey Ponti! – krzyknęła, gdy była już za drzwiami.

ROZDZIAŁ 22

Styczeń - luty 1917 roku

i.

Walter von Ulrich śnił o tym, że siedzi w powozie i jedzie na spotkanie z Maud. Pojazd znalazł się na wzgórzu i zaczął niebezpiecznie przyspieszać, podskakując na wyboistej nawierzchni. Walter krzychał „Zwolnij! Zwolnij!”, lecz stangret go nie słyszał, gdyż wszystko zagłuszał tętent kopyt dziwnie przypominający warkot silnika samochodowego. Było to osobliwe, lecz Walter bał się wyłącznie tego, że rozpędzony powóz rozbije się, a on nigdy nie dotrze do ukochanej. Chciał jeszcze raz krzyknąć na stangreta, ale się obudził.

W rzeczywistości jechał mercedesem model Double Phaeton 37 95, za którego kierownicą siedział szofer. Poruszali się z przeciętną prędkością po wyboistej śląskiej drodze. Obok ojciec palił cygaro. Wyjechali wczesnym rankiem odziani w kożuchy, gdyż samochód był kabrioletem. Zmierzali do wschodniej kwatery najwyższego dowództwa.

Sen był łatwy do odczytania. Alianci wzdorliwie odrzucili usilnie propagowaną przez Waltera ofertę. Wzmocniło to pozycję niemieckich militarystów, którzy zapragnęli wznowienia nieograniczonej wojny podwodnej. Okręty miałyby zatapiać każdą jednostkę, która znajdzie się w strefie działań wojennych: wojskową czy cywilną, pasażerską czy handlową, bojową czy neutralną. Celem działań było odcięcie Wielkiej Brytanii i Francji od dostaw i zmuszenie ich do kapitulacji. Politycy, a zwłaszcza kanclerz, obawiali się, że jest to droga do klęski, gdyż w ten sposób Stany Zjednoczone prawdopodobnie zostaną wciągnięte w wojnę. Jednak dowódcy floty podwodnej powoli zyskiwali przewagę. Kaiser pokazał, ku której stronie się skłania, rekomendując na stanowisko sekretarza spraw zagranicznych wojowniczo nastawionego Arthura Zimmermanna. Walterowi przyśniło się, że powóz mknie szaleńczo w dół na spotkanie katastrofy.

Jego zdaniem największym zagrożeniem dla Niemiec są Stany Zjednoczone, tak więc celem niemieckiej polityki powinno być trzymanie Ameryki z daleka od wojny. To prawda, że za sprawą alianckiej blokady Niemcy głodują. Jednak Rosjanie długo nie wytrzymają naporu, a gdy skapitulują, armia niemiecka opanuje bogate zachodnie i południowe regiony cesarstwa rosyjskiego z bezkresnymi polami kukurydzy oraz nieograniczonymi złożami ropy naftowej. Wówczas wszystkie wojska będą mogły skoncentrować się na froncie zachodnim. To jedyna nadzieja.

Lecz czy Kaiser to rozumie?

Dziś zapadnie ostateczna decyzja.

Nad pejzażem usianym plamami śniegu wstawał posępny świt.

Walter czuł się jak dekwonik, który zdołał umknąć przed bitwą.

– Powinienem być wrócić na front kilka tygodni temu.

– Najwyraźniej wojsko chce, żebyś został w Niemczech –

odparł Otto. – Cenią cię jako analityka wywiadu.

– W Niemczech pełno jest starszych mężczyzn, którzy sprawdziliby się co najmniej tak dobrze jak ja. Pociągnąłeś za odpowiedzialność sznurki?

Otto wzruszył ramionami.

– Gdybyś się ożenił i spłodził syna, mógłbyś zostać przeniesiony tam, dokąd zechcesz.

– Trzymasz mnie w Berlinie po to, żebym ożenił się z Moniką von der Helbard? – spytał z niedowierzaniem Walter.

– Nie mam takiej władzy. Ale być może są w najwyższym dowództwie tacy, którzy rozumieją potrzebę zachowania szlacheckich rodów.

Walter chciał zaprotestować przeciwko tak naiwnemu stwierdzeniu, lecz w tej samej chwili samochód skręcił i przejechał przez ozdobną bramę. Wzdłuż długiego podjazdu rosły bezlistne drzewa, a na trawnikach bielił się śnieg. Na końcu podjazdu stał olbrzymi dom, największy, jaki Walter widział w Niemczech.

– To zamek Pless? – spytał.

– Zgadza się.

– Jest ogromny.

– Ma trzysta pomieszczeń.

Wysiedli z samochodu i weszli do holu przypominającego dworzec kolejowy. Na ścianach wisiały łby dzików umieszczone na tle czerwonego jedwabiu. Wielkie marmurowe schody prowadziły do komnat na pierwszym piętrze. Walter we wspaniałych gmachach spędził pół życia, lecz ten zdecydowanie się wyróżniał. Do przybyłych podszedł jakiś generał. Walter rozpoznał von Henschera, bliskiego znajomego ojca.

– Macie czas, by umyć się i ogarnąć, byle prędko – powiedział tonem życzliwego ponaglenia. – Jesteście oczekiwani w głównej jadalni za czterdzieści minut. To twój syn? – Spojrzał na Waltera.

– Służy w departamencie wywiadu – odparł Otto.

Walter zsalutował krótko.

– To ja umieściłem na liście jego nazwisko. – Generał

zwrócił się do Waltera: – Zdaje się, że byłeś w Ameryce.

– Spędziłem trzy lata w naszej ambasadzie w Waszyngtonie, panie generale.

– To dobrze. Ja nigdy nie byłem w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak twój ojciec. I większość z nas. Nowy minister spraw zagranicznych stanowi chlubny wyjątek od tej reguły.

Przed dwudziestoma laty Arthur Zimmermann wracał z Chin do Niemiec przez Stany. Odbył podróż pociągiem z San Francisco do Nowego Jorku i na tej podstawie uważano go za znawcę Ameryki.

Walter tego nie skomentował.

– Pan Zimmermann poprosił mnie, abym spytał cię o zdanie w pewnej kwestii. – Walter poczuł się wyróżniony, lecz także zaskoczony. Do czego ministrowi spraw zagranicznych potrzebna jest jego opinia? – Później będzie na to więcej czasu. – Von Henscher skinął na lokaja w staroświeckiej liberii, a ten zaprowadził gości do ich pokoju.

Pół godziny później znaleźli się w jadalni zamienionej w salę konferencyjną. Rozejrzawszy się, Walter ze zdumieniem stwierdził, że są tam wszyscy, którzy liczą się w Niemczech. Nawet Theobald von Bethmann-Hollweg, którego krótko ostrzyżone włosy zrobiły się niemal białe.

Przy długim stole zasiadła większość wyższych szarż armii niemieckiej. Dla żołnierzy niższych stopni ustawiono przy ścianie rząd twardych krzeseł. Asystent rozdał kilka egzemplarzy dwustronicowego memorandum. Walter zajrzał ojcu przez ramię. Dokument określał tonaż ładunków statków wpływających do i wypływających z brytyjskich portów, tabele frachtu oraz przestrzeni ładunkowej, wartość kaloryczną posiłków jedzonych przez Brytyjczyków, a nawet wyliczenie, ile wełny potrzeba na damską spódnicę.

Dwie godziny później zjawił się cesarz Wilhelm ubrany w mundur generalski. Wszyscy obecni zerwali się na równe nogi. Jego Wysokość był blady i wyglądał na rozdrażnionego. Za kilka dni będzie obchodził pięćdziesiąte ósme urodziny. Bezwładną lewą rękę trzymał przy boku, aby nie przyciągała uwagi. Walter z trudem wzbudził w sobie poczucie radosnego oddania, które tak łatwo przychodziło mu w dzieciństwie. Nie mógł już udawać wiary w to, że Kaiser jest mądrym ojcem narodu. Wilhelm II był zwyczajnym mężczyzną przytłoczonym sytuacją. Niekompetentny, bezradny i żałośnie nieszczęśliwy, wyglądał jak żywy argument przeciwko monarchii dziedzicznej.

Cesarz rozejrzał się i skinął głową kilku obecnym, których szczególnie cenił. Jednym z nich był Otto. Następnie usiadł i skinął na Henninga von Holtzendorffa, białobrodego szefa sztabu Admiralicji.

Admirał zaczął cytować treść memorandum: wymieniał liczbę łodzi podwodnych, które flota mogła w danym czasie utrzymywać na morzu, tonaż statków niezbędnych aliantom do funkcjonowania oraz tempo, w jakim są w stanie zastępować zatopione jednostki.

– Obliczyłem, że miesięcznie możemy zatopić statki przewożące sześćset tysięcy ton ładunku – poinformował. Wystąpienie było przekonujące, każde stwierdzenie poparte zostało danymi liczbowymi. Sceptycyzm Waltera wzbudziła zbytnia dokładność i pewność admirała. Wszak wojna nie może być aż tak przewidywalna.

Von Holtzendorff wskazał leżący na stole dokument przewiązany niebieską wstążką, zawierający przypuszczalnie cesarski rozkaz rozpoczęcia nieograniczonej wojny podwodnej.

– Jeśli Wasza Wysokość zatwierdzi dzisiaj mój rozkaz, gwarantuję, że dokładnie za pięć miesięcy alianci skapitulują – oznajmił admirał, po czym usiadł.

Kaiser spojrział na kanclerza. Teraz usłyszymy coś bliższego

rzeczywistości, pomyślał Walter. Bethmann pełnił funkcję kanclerza od siedmiu lat i w odróżnieniu od monarchy miał wyczuć złożoność stosunków międzynarodowych.

Bethmann posępnie odniósł się do możliwości przystąpienia Ameryki do wojny. Mówił o nieograniczonych amerykańskich zasobach ludzkich, finansowych i materiałowych. Na poparcie swoich tez zacytował opinie wszystkich Niemców w starszym wieku znajdujących Stany Zjednoczone. Jednak ku rozczarowaniu Waltera robił to wszystko tak, jakby wykonywał z góry zaplanowane pozorne ruchy. Z pewnością uważa, że Kaiser już zdecydował. Czy celem tego spotkania jest jedynie zatwierdzenie podjętej wcześniej decyzji? Czy los Niemiec został przesądzony? Cesarz niechętnie słuchał tych, którzy się z nim nie zgadzali. W czasie wystąpienia kanclerza wierzcił się, chrząkał niecierpliwie i robił miny świadczące o dezaprobach. Bethmann zaczął się wycofywać.

– Jeśli władze wojskowe uważają wojnę podwodną za konieczność, nie mam prawa im się sprzeciwić. Z drugiej strony... Kanclerz nie dokończył wypowiedzi, gdyż von Holtzendorff zerwał się na równe nogi i mu przerwał:

– Daję słowo oficera floty, że ani jeden Amerykanin nie postawi nogi na kontynencie!

Toż tu absurd, pomyślał Walter. Co tu ma do rzeczy jego słowo? Jednak krótkie wystąpienie admirała wywarło na słuchaczach większe wrażenie niż dane statystyczne. Kaiser rozpromienił się, a kilku uczestników spotkania pokiwało głowami.

Bethmann najwyraźniej dał za wygraną. Osunął się na krzesło, na jego twarzy nie było już widać napięcia.

– Jeśli na horyzoncie zobaczymy zwycięstwo, musimy za nim podążyć – zakończył.

Kaiser dał ręką znak i von Holtzendorff podsunął mu przewiązany wstążką dokument.

Tylko nie to, jęknął w duchu Walter. Tak ważnej decyzji nie wolno nam podejmować na podstawie tak wątpliwych przesłanek!

Monarcha wziął pióro i podpisał: „Wilhelm V”.

Następnie odłożył pióro i wstał.

Wszyscy zerwali się z miejsc.

To może być koniec, pomyślał Walter.

Kaiser wyszedł z sali. Napięcie znikło, zaczęto rozmawiać.

Bethmann siedział, gapiąc się na blat stołu. Wyglądał jak człowiek, który napotkał swoje przeznaczenie. Mamrotał coś pod nosem.

Walter podszedł bliżej, żeby lepiej słyszeć. Mówił po łacinie: *Finis Germaniae*. „Koniec Niemiec”.

Do Ottona podszedł generał von Henscher.

– Jeśli masz ochotę, możemy zjeść razem lunch. Ty także, młody człowieku.

Poprowadził gości do jednego z bocznych pokoi, w którym serwowano zimne przekąski.

Zamek Pless służył jako rezydencja cesarza, toteż jedzenie podawano smaczne. Walter był zły i przygnębiony, lecz zarazem głodny, tak jak wszyscy obywatele Niemiec. Nałożył sobie na talerz górę zimnego kurczaka, sałatki z ziemniaków oraz białego chleba.

– Minister spraw zagranicznych Zimmermann spodziewał się dzisiejszej decyzji – oznajmił von Henscher. – Chce wiedzieć, co możemy zrobić, by zniechęcić Amerykanów.

Szanse na to są niewielkie, pomyślał Walter. Jeśli będziemy zatapiać amerykańskie statki i zabijali amerykańskich obywateli, trudno nam będzie złagodzić ten cios.

– Czy możemy na przykład wywołać protesty miliona trzystu tysięcy Amerykanów urodzonych w Niemczech? – zastanawiał się generał.

Walter znów jęknął w duchu.

– Nie ma o tym mowy. To durna bajeczka.

– Uważaj, jak zwracasz się do przełożonych – warknął ojciec.

Von Henscher wykonał uspokajający gest.

– Niech ten młodzian powie, co myśli. Mogę wysłuchać jego opinii. A zatem, co sądzisz, majorze?

– Ci ludzie nie żyją miłością do Vaterlandu. Jak pan myśli, dlaczego stąd wyjechali? Jedzą wurst i piją piwo, ale są Amerykanami i będą walczyli za Amerykę.

– A Irlandczycy?

– To samo. Nienawidzą Brytyjczyków, naturalnie, lecz jeśli nasze łodzie podwodne zaczną zabijać Amerykanów, znienawidzą nas jeszcze bardziej.

– Czy prezydent Wilson może wypowiedzieć nam wojnę? – spytał z irytacją Otto. – Niedawno wygrał wybory jako ten, który ocalił Amerykę przed wojną.

Walter wzruszył ramionami.

– W pewnym sensie będzie mu łatwiej. Ludzie uwierzą, że nie miał innej możliwości.

– Co może go powstrzymać? – spytał von Henscher.

– Ochrona jednostek krajów neutralnych...

– Wykluczone – wpadł mu w słowo ojciec. – Wojna nieograniczona nie może być zawężana. Tego chcieli dowódcy floty i na to zgodził się Jego Wysokość.

– Jeśli kwestie wewnętrzne nie zdołają powstrzymać Wilsona, to czy mogą go zaabsorbować sprawy zagraniczne na zachodniej półkuli? – indagował von Henscher. – Na przykład Meksyk? Otto uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Nawiązujesz do „Ypirangi”. Trzeba przyznać, że był to niewielki triumf naszej agresywnej dyplomacji.

Walter nie podzielał entuzjazmu ojca z powodu incydentu ze statkiem pełnym broni, który Niemcy wysłały do Meksyku. Otto i jego znajomi sprawili, że prezydent Wilson wyszedł na głupca. Być może jeszcze tego pożąłują.

– Co się teraz dzieje? – spytał von Henscher.

– Większość amerykańskich wojsk albo przebywa w Meksyku, albo stacjonuje na granicy – odparł Walter. – Rzekomo ścigają bandytę zwanego Pancho Villa, który urządza rajdy przez granicę. Prezydent Carranza kipi z gniewu, że obce wojska naruszają suwerenne terytorium jego kraju, ale niewiele może zrobić.

– Gdyby otrzymał od nas pomoc, czy to by coś zmieniło?

Walter się zastanowił. Tego rodzaju dyplomatyczne złośliwości uważał za ryzykowne, lecz miał obowiązek odpowiedzieć najbardziej precyzyjnie jak to możliwe.

– Meksykanie są przeświadczeni, że ukradziono im Teksas, Nowy Meksyk i Arizonę. Mogą snuć marzenia o odzyskaniu tych terytoriów, tak jak Francuzi marzą o odbiciu Alzacji i Lotaryngii. Prezydent Carranza może się okazać na tyle głupi, by uwierzyć, że jest to wykonalne.

– W każdym razie tego rodzaju działania z pewnością odciągnęłyby uwagę Ameryki od Europy! – zauważył z entuzjazmem Otto.

– Na pewien czas – przyznał niechętnie Walter. – W dłuższej perspektywie nasza ingerencja mogłaby wzmocnić tę część Amerykanów, która chciałaby opowiedzieć się w wojnie po stronie aliantów.

– Interesuje nas krótka perspektywa. Słyszałeś, co powiedział von Holtzendorff: nasze okręty podwodne rzuca aliantów na kolana w ciągu pięciu miesięcy. Chodzi nam tylko o to, by na taki okres zaabsorbować Amerykanów.

– Jest jeszcze Japonia – przypomniał von Henscher. – Czy istnieje szansa przekonania Japończyków, by zaatakowali Kanał Panamski lub nawet Kalifornię?

– Realistycznie rzecz biorąc, nie – odparł zdecydowanie Walter. Rozmowa brnęła coraz dalej w krainę fantazji.

Von Henscher nie dawał za wygraną.

– Jednakże sama groźba mogłaby zatrzymać więcej amerykańskich wojsk na zachodnim wybrzeżu.

– Niewykluczone.

Otto przyłożył chusteczkę do ust.

– Ta dyskusja jest bardzo ciekawa, ale muszę sprawdzić, czy Jego Wysokość mnie potrzebuje.

Wszyscy wstali.

– Jeśli wolno, panie generale... – zaczął Walter.

Ojciec westchnął.

– Słucham? – powiedział generał.

– Uważam, że podejmujemy wielkie ryzyko. Jeśli rozniesie się wieść, że niemieccy przywódcy dyskutowali o wywołaniu zamieszek w Meksyku i zachęcali Japończyków do ataku na Kalifornię, amerykańska opinia publiczna oburzy się i wypowiedzenie wojny może nastąpić prędzej, a nawet natychmiast. Proszę wybaczyć, że przypominam o rzeczach oczywistych, ale ta rozmowa musi pozostać między nami.

– Bardzo słusznie – odparł von Henscher, uśmiechając się do Ottona. – Twój ojciec i ja należymy do starszego pokolenia, lecz to i owo wiemy. Może pan polegać na naszej dyskrecji.

II.

Fitz ucieszył się, iż niemiecka propozycja pokojowa została odrzucona, i był dumny ze swojej roli w tym procesie, lecz później opadły go wątpliwości.

Przemyślał wszystko, idąc, a raczej kuśtykając Piccadilly w drodze do siedziby Admiralicji w środę siedemnastego stycznia. Rozmowy pokojowe dałyby Niemcom szansę podstępnego umocnienia swoich zdobyczy, legitymizacji panowania w Belgii, północno-wschodniej Francji oraz części Rosji. Dla Wielkiej Brytanii udział w takich negocjacjach oznaczałby przyznanie się do klęski. Jednak Brytyjczycy jak dotąd nie odnieśli zwycięstwa. Słowa Lloyda George'a o pokonaniu wroga zostały dobrze przyjęte przez gazety, lecz wszyscy trzeźwo myślący ludzie wiedzieli, że premier buja w obłokach. Wojna potrwa rok, a może dłużej. Jeżeli Amerykanie pozostaną neutralni, i tak może dojść do rozmów pokojowych. A jeśli nikt nie jest w stanie wygrać tej wojny? Może zginąć niepotrzebnie kolejny milion ludzi. Fitz drezczyła myśl, że Ethel mimo wszystko miała rację.

A jeżeli Wielka Brytania poniesie klęskę? Dojdzie do kryzysu finansowego, zapanuje bezrobocie i bieda. Robotnicy podchwycą wołanie ojca Ethel i przypomną, że nie mogli wziąć udziału w podejmowaniu decyzji o wojnie. Gniew ludu przeciwko rządzącym będzie straszny. Protesty i marsze zamienią się w zamieszki. Niewiele ponad sto lat temu paryżanie stracili króla i znaczną część szlachty. Czy londyńczycy pójdą w ich ślady? Fitz zobaczył siebie ze związanymi rękami i nogami na wozie jadącym na miejsce egzekucji. Tłum ludzi opluwa go i obrzuca obelgami. Co gorsza, to samo może spotkać Maud, ciocię Herm, Beę i Boya.

Wyrzucił z głowy te potworne obrazy.

Ależ złościca z tej Ethel, myślał z podziwem i żalem, lecz zarazem jeszcze bardziej go pociągała. Struchlał ze wstydu, gdy zaproszony przez niego gość został wyrzucony z galerii podczas expose premiera. Niestety, Ethel skierowała swój gniew przeciwko niemu. Wyszedł za nią i dogonił ją w głównym holu, a ona zbeształa go i zarzuciła, że na niego i jemu podobnych spada wina za przeciąganie wojny. Z jej wywodu można było wysnuć wniosek, że każdy żołnierz, który zginął we Francji, poniósł śmierć z ręki Fitz'a. To był koniec „planu Chelsea”. Fitz wysłał kilka listów, lecz Ethel nie odpowiedziała. Był boleśnie rozczarowany. Marząc o rozkosznych popołudniach, które mogliby spędzać w miłosnym

gniazdku, czuł głęboko w piersi ból.

Znalazł jednak pociechę. Bea wzięła sobie do serca jego reprimendę – przyjmowała go w swojej sypialni ubrana w ładną bieliznę i obdarowywała pachnącym ciałem tak, jak to robiła na początku małżeństwa. Była wszak dobrze wychowaną arystokratką i wiedziała, do czego służy żona.

Rozmyślając o potulnej księżniczce i aktywistce, której urokowi nie sposób się oprzeć, wszedł do starego gmachu Admiralicji. Na jego biurku leżał częściowo odczytany niemiecki szyfrogram.

Nagłówek brzmiał:

Berlin do Waszyngtonu. W. 158. 16 stycznia 1917

Odruchowo spojrzawszy na dolną część telegramu, Fitz zobaczył nazwisko:

Zimmermann

Był zaintrygowany. To wiadomość od niemieckiego ministra spraw zagranicznych do ambasadora w Stanach Zjednoczonych. Fitz napisał ołówkiem tłumaczenie, stawiając znaczki i pytajniki w miejscach, w których zbitki liter nie zostały odszyfrowane.

Najwyższy stopień tajności, do wiadomości Waszej Eksceleencji. Przekazać Cesarskiemu Ministrowi w Meksyku?

z xxx bezpieczną drogą.

Znaki zapytania wskazywały fragmenty, których znaczenie nie jest jasne. Kryptolodzy zgadywali. Jeśli mieli rację, wiadomość była przeznaczona dla ambasadora niemieckiego w Meksyku.

Przesyłano ją przez ambasadę w Waszyngtonie.

Meksyk, pomyślał Fitz. To dziwne.

Następne zdanie zostało odkodowane w całości:

Zamierzamy 1 lutego rozpocząć nieograniczoną wojnę podwodną.

– Wielki Boże! – rzekł na głos Fitz. Takiego obrotu spraw oczekiwano z trwogą, lecz depesza stanowiła jednoznaczne potwierdzenie. Była nawet opatrzona datą! Odczytanie tej wiadomości zostanie uznane za triumf zespołu pracującego w Sali 40. Jednocześnie będziemy dążyli do tego, by Ameryka pozostała neutralna. Jeśli to się nie uda, zaproponujemy Meksykowi? sojusz na następujących zasadach: prowadzenie wojny, końcowy pokój.

– Sojusz z Meksykiem? – mruknął Fitz. – Ta wiadomość to bomba. Amerykanie się wściekną!

Wasza Ekscelencja będzie tymczasem informował prezydenta tajna wojna z USA xxxx i jednocześnie czas na nasze negocjacje z Japonią xxxx nasze łodzie podwodne zmuszą Anglię do pokoju w ciągu kilku miesięcy. Potwierdzić odbiór. Fitz podniósł głowę i podchwycił spojrzenie Carvera, który nie krył podniecenia.

– Pewnie czyta pan depeszę Zimmermanna.

– W takiej postaci, w jakiej ją dostałem – odparł spokojnie Fitz. Był równie podekscytowany jak Carver, lecz umiał to lepiej ukryć. – Dlaczego odczyt jest tak niechlujny?

– Zastosowano nowy kod, który jeszcze nie do końca rozgryźliśmy. Mimo to wiadomość jest nie z tej ziemi, prawda?

Fitz znów spojrział na swoje tłumaczenie. Carver nie przesadzał. Treść telegramu wskazuje, że Niemcy podejmą próbę sprzymierzenia się z Meksykiem przeciwko Stanom Zjednoczonym. To sensacja. Ich posunięcie może rozgniewać amerykańskiego prezydenta tak bardzo, że wypowie Niemcom wojnę.

Puls Fitz'a przyspieszył.

– Owszem. Zaniósę ten telegram prosto do Mrugacza. –

Kapitan William Reginald Hall, dyrektor Wywiadu Morskiego, cierpiał na tik twarzy, dlatego otrzymał przydomek Mrugacz. Jednak jego mózg funkcjonował bez zarzutu. – Kapitan będzie zadawał pytania, a ja muszę mieć gotowe odpowiedzi. Jakie są szanse otrzymania pełnego odszyfrowanego tekstu?

– Opanowanie nowego kodu potrwa kilka tygodni.

Fitz jęknął. Rekonstrukcja nowych kodów od podstaw stanowiła czasochłonny proces, którego nie dało się przyspieszyć.

– Zauważyłem, że wiadomość ma być przekazana z Waszyngtonu do Meksyku – ciągnął Carver. – Na tej trasie Niemcy wciąż stosują stary kod dyplomatyczny, który złamaliśmy ponad rok temu. Może uda nam się zdobyć kopię tej depechy, gdy powędruje ona dalej?

– To możliwe! – ucieszył się Fitz. – Mamy agenta w urzędzie telegraficznym w mieście Meksyk. Kiedy ogłosimy światu treść... – Fitz się zamyślił.

– Tego nie wolno nam zrobić – przypomniał zaniepokojony Carver.

– Dlaczego?

– Niemcy zorientują się, że przechytujemy ich korespondencję.

Fitz wiedział, że podporucznik ma rację. Na tym polegało wieczne utrapienie wywiadu: jak wykorzystać informację, nie zdradzając źródła.

– Ta wiadomość jest tak ważna, że może warto zaryzykować.

– Wątpię. Nasz departament dostarczył wielu rzetelnych informacji. Dowództwo nie zechce narażać nas na niebezpieczeństwo.

– Niech to szlag! Natrafiliśmy na taki materiał i nie możemy go wykorzystać?

Carver wzruszył ramionami.

– Tak bywa w tej robocie.

Fitzowi nie mieściło się to w głowie. Przystąpienie Ameryki do wojny może doprowadzić do zwycięstwa. Taki rezultat z pewnością wart jest każdego poświęcenia. Fitz znał jednak wojsko i wiedział, że niektórzy gotowi są wykazać więcej odwagi i zaradności w obronie swojego departamentu niż frontowej reduty. Zastrzeżenia Carvera należało traktować poważnie.

– Potrzebna nam przykrywka.

– Na przykład Amerykanie przechycili radiogram – zaproponował Carver.

Fitz pokiwał głową.

– Ma być przekazany z Waszyngtonu do Meksyku, powiedzmy więc, że amerykańskie władze zdobyły go dzięki Western Union.

– Ludziom z Western Union może to być nie w smak...

– Pal ich licho. A zatem, w jaki sposób można wykorzystać tę informację do maksimum? Nasz rząd ma ją ogłosić? Przekazujemy wiadomość Amerykanom? Wciągamy trzeci kraj w grę przeciwko Niemcom?

Carver uniósł ręce w geście kapitulacji.

– To dla mnie za głębokie wody.

– Dla mnie nie – rzekł Fitz, któremu nagle coś zaświtało w głowie. – Znam kogoś, kto może nam pomóc.

III.

Fitz spotkał się z Gusem Dewarem w południowej części Londynu w pubie o nazwie Ring.

Zaskoczyło go to, że Dewar okazał się miłośnikiem pięściarstwa. Jako nastolatek chodził do hali bokserskiej na nabrzeżach w Buffalo, a w czasie podróży po Europie w 1914 roku oglądał walki zawodowców w każdej odwiedzanej stolicy. Nie afiszuje się ze swoim zamiłowaniem do tej dyscypliny, pomyślał z ironią Fitz. Pięściarstwo nie jest popularnym tematem rozmów w czasie podwieczorków w Mayfair.

Goście klubu stanowili przekrój wszystkich klas społecznych: dżentelmeni ubrani w wieczorowe garnitury mieszały się z dokerami w podartych jesionkach. Tu i ówdzie pokątni bukmacherzy przyjmowali zakłady, a kelnerzy roznosili tace zastawione pintami

piwa. W powietrzu wisiał dym z cygar, fajek i papierosów. Nie było krzesełek ani kobiet.

Fitz zastał Gusa pogrążonego w rozmowie z londyńczykiem ze złamanym nosem. Spierali się o amerykańskiego pięściarza Jacka Johnsona, pierwszego czarnoskórego mistrza świata wagi ciężkiej, który ożenił się z białą kobietą. Chrześcijańscy kapłani nawoływali, by został za to zlinczowany. Anglik rozzłościł Gusa, gdyż przyznawał rację duchownym.

Fitz miał cichą nadzieję, że Gus zakocha się w Maud. To byłby odpowiedni związek. Oboje są intelektualistami i liberałami, wszystko traktują z zatrwającą powagą i czytają mnóstwo książek. Ród Dewarów należy do tak zwanych starych fortun. Mianem tym określa się w Ameryce grupę społeczną najbardziej zbliżoną do europejskiej arystokracji.

Poza tym Gus i Maud są zwolennikami zawarcia pokoju. Maud zawsze z pasją mówi o zakończeniu wojny. Fitz nie rozumiał jej przekonań. Gus natomiast darzył czcią swojego szefa Woodrowa Wilsona, który przed miesiącem wygłosił mowę nawołującą do zawarcia pokoju bez zwycięzców. To sformułowanie wywołało gniew Fitz'a oraz większości brytyjskich i francuskich przywódców.

Jednak podobieństwa między Gusem i Maud do niczego nie doprowadziły. Fitz kochał siostrę, lecz zachodził w głowę, co jest z nią nie tak. Czy chce zostać starą panną?

Odciągnąwszy Gusa od rozmówcy ze złamanym nosem, Fitz poruszył kwestię Meksyku.

– To jedna wielka kłapa – odparł Gus. – Wilson wycofał generała Pershinga i jego wojska, by zadowolić prezydenta Carranzę, ale na próżno. Carranza nawet nie chce słyszeć o obsadzeniu granicy policją. Dlaczego pytasz?

– Później ci powiem. Rozpoczyna się następna runda.

Pięściarz znany jako Benny Yid tłukł po głowie Alberta Collinsa noszącego przydomek Łysy. Fitz postanowił unikać tematu niemieckiej propozycji pokojowej. Wiedział, że Gus jest głęboko rozczarowany porażką inicjatywy Wilsona. Wciąż od nowa zadawał sobie pytanie, czy mógł rozegrać to lepiej, zrobić coś więcej dla wsparcia planu prezydenta. Fitz był zdania, że plan jest z góry skazany na fiasko, gdyż żadna ze stron w gruncie rzeczy nie pragnie pokoju.

W trzeciej rundzie Łysy Albert Collins runął na deski i tam pozostał.

– Złapałeś mnie w samą porę – rzekł Gus. – Właśnie wybieram się w podróż powrotną do domu.

– Cieszysz się?

– Jeśli się tam dostanę. Po drodze może mnie zatopić niemiecki U-Boot.

Niemcy rozpoczęli nieograniczoną wojnę podwodną pierwszego lutego, zgodnie z zapowiedzią zawartą w przechwyconej przez Brytyjczyków depeszy ministra Zimmermanna. Rozgniewało to Amerykanów, lecz nie tak bardzo, jak chciał Fitz.

– Prezydent Wilson wyjątkowo spokojnie zareagował na wieść o działaniach okrętów podwodnych – zauważył.

– Zerwał stosunki dyplomatyczne z Niemcami. To nie świadczy o spokoju.

– Ale nie wypowiedział im wojny.

Fitz był zdruzgotany tą wiadomością. Ze wszystkich sił sprzeciwiał się rozmowom pokojowym, lecz Maud i Ethel oraz ich pacyfistycznie nastawieni znajomkowie mieli rację, twierdząc, że w przewidywalnej przyszłości nadziei na zwycięstwo nie ma, jeśli alianci nie otrzymają pomocy z zewnątrz. Fitz był pewny, że rozpoczęcie nieograniczonej wojny podwodnej wciągnie Amerykę do wojny. Jak dotąd te nadzieje okazały się płonne.

– Szczerze powiedziawszy, decyzja Niemców o rozpoczęciu wojny podwodnej wzburzyła prezydenta Wilsona – oznajmił

Gus. – Jest gotów wypowiedzieć im wojnę. Bóg świadkiem, że próbował wszelkich innych środków. Ale wygrał wybory prezydenckie jako ten, który nas od wojny uchronił. Może zmienić decyzję jedynie wtedy, gdy w stronę konfliktu zbrojnego poniesie go fala społecznego entuzjazmu.

– W takim razie chyba mam coś, co mu pomoże.

Gus uniósł brwi.

– Z powodu obrażeń zostałem przeniesiony do jednostki zajmującej się dekodowaniem przechwyconych niemieckich wiadomości. – Fitz wyjął z kieszeni kartkę zapisaną jego pismem. – Wasz rząd w ciągu kilku dni otrzyma ten tekst oficjalną drogą dyplomatyczną. Pokazuję ci tę wiadomość, bo potrzebuję rady, jak to rozegrać.

Brytyjski szpieg w Meksyku zdobył depezę zaszyfrowaną za pomocą starego kodu. Fitz mógł więc wręczyć Gusowi pełny tekst odczytanej depeszy Zimmermanna.

Waszyngton do Meksyku, 19 stycznia 1917

Zamierzamy 1 lutego rozpocząć nieograniczoną wojnę podwodną. Jednocześnie będziemy dążyli do tego, by Ameryka pozostała neutralna. Jeśli to się nie uda, proponujemy Meksykowi sojusz na następujących zasadach:

Wspólne prowadzenie wojny.

Wspólnie zawarty końcowy pokój.

Hojne wsparcie finansowe z naszej strony i doprowadzenie do tego, by Meksyk odzyskał utracone terytoria w Teksasie, Nowym Meksyku i Arizonie.

Szczegółowe uzgodnienia pozostawiam Panu.

Wasza Ekscelencja poinformuje o powyższym prezydenta w sposób tajny, gdy tylko wybuch wojny z USA będzie pewny. Jednocześnie proszę zasugerować, by z własnej inicjatywy zaprosił Japonię do natychmiastowego przyłączenia się i poprowadził mediacje między nami a Japonią.

Proszę także zwrócić uwagę prezydenta na fakt, że bezwzględne użycie przez nas floty podwodnej daje szansę zmuszenia Anglii do zawarcia pokoju w ciągu kilku miesięcy. Gus przeczytał kilka wierszy, ze względu na słabe oświetlenie hali trzymając kartkę tuż przed oczyma.

– Sojusz? Boże drogi!

Fitz się rozejrzył. Zaczęła się następna runda i w hali było zbyt głośno, by ktoś mógł usłyszeć słowa Gusa.

– Odbić Teksas? – czytał z niedowierzaniem Gus. Po chwili dodał gniewnie: – Zaprosić Japonię? – Uniósł głowę. – Toż to woła o pomstę do nieba!

Właśnie na taką reakcję liczył Fitz. Musi teraz opanować podniecenie.

– Tak, to woła o pomstę do nieba – przyznał spokojnie.

– Niemcy chcą zapłacić Meksykowi za napaść na Stany Zjednoczone!

– Owszem.

– I zwracają się do Meksykanów, aby wciągnęli do tej wojny Japonię!

– Otóż to.

– Niech no tylko to wyjdzie na jaw!

– Właśnie o tym chcę z tobą pomówić. Zamierzamy to upublicznić w sposób najbardziej korzystny dla waszego prezydenta.

– Dlaczego brytyjski rząd po prostu nie ujawni tej wiadomości światu?

Fitz pomyślał, że Gus nie zastanawia się nad tym, co mówi.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chcemy, by Niemcy wiedzieli, że odczytujemy ich depesze. Po drugie, mogą nas oskarżyć o jej sfałszowanie.

Gus skinął głową.

– Przepraszam, poniósł mnie gniew. Spójrzmy na sprawę chłodnym okiem.

- Jeśli to możliwe, chcielibyśmy, aby rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił, że uzyskał kopię depechy od Western Union.
 - Wilson nie zechce kłamać.
 - Zatem zdobądźcie kopię od Western Union i to już nie będzie kłamstwo.
- Gus znów skinął głową.
- To powinno być możliwe. Jeśli chodzi o drugi aspekt zagadnienia... Kto może upublicznić treść telegramu, nie narażając się na podejrzenie o fałszerstwo?
 - Sam prezydent, jak sądzę.
 - Byłaby to jedna z możliwości.
 - Masz lepszy pomysł?
 - Owszem - odparł z zadumą Gus. - Chyba mam.

IV.

Ethel i Bernie wzięli ślub w kaplicy Calvary Gospel. Żadne z nich nie miało głębokich przekonań religijnych, lecz obojgu przypadł do gustu pastor.

Od dnia expose Lloyda George'a Ethel nie kontaktowała się z Fitzem. Jego twardy sprzeciw wobec zawarcia pokoju boleśnie przypominał jej o prawdziwym charakterze mężczyzny reprezentującego sobą wszystko, czego nienawidziła: tradycję, konserwatywizm, wyzysk klasy robotniczej, niezasłużone bogactwo. Nie mogła być jego kochanką i wstydziła się nawet tego, że przez chwilę kusiła ją perspektywa domku w Chelsea. Uświadomiła sobie, że jej prawdziwą bratnią duszą jest Bernie.

Miała na sobie różową suknię i kapelusz ozdobiony kwiatami, który Walter von Ulrich kupił jej na ślub Maud Fitzherbert. Druhen nie było, lecz Mildred i Maud wystąpiły w roli honorowych patronek. Rodzice Ethel przyjechali pociągiem z Aberowen. Billy, niestety, przebywał we Francji i nie mógł dostać urlopu. Mały Lloyd był ubrany w specjalnie dla niego uszyty błękitny strój pазia z mosiężnymi guzikami oraz czapeczką.

Bernie zaskoczył Ethel, przedstawiając jej rodzinę, o której nikt nie wiedział. Sędziwa matka znała tylko jidysz i przez całą mszę mamrotała coś pod nosem. Mieszkała z zamożnym starszym bratem Berniego, który - Mildred odkryła to dzięki temu, że z nim flirtowała - jest właścicielem fabryki rowerów w Birmingham.

Po ceremonii podano herbatę i ciasto. Nie było napojów alkoholowych, co odpowiadało mamie i tacie. Palacze musieli wyjść na zewnątrz. Mama ucałowała Ethel i powiedziała:

- Cieszę się, że mimo wszystko się ustatkowałaś.

Słowa „mimo wszystko” miały wielki ciężar. Oznaczały: gratuluję ci, choć jesteś kobietą upadłą, masz nieślubne dziecko z nieznanym ojcem, wychodzisz za Żyda i mieszkasz w Londynie, który jest tym samym co Sodoma i Gomora. Jednak Ethel przyjęła to warunkowe błogosławieństwo matki i przyrzekła sobie, że nigdy nie będzie mówiła takich rzeczy swojemu dziecku.

Rodzice mieli tanie bilet, toteż wyszli szybko, by zdążyć na pociąg. Gdy większość gości opuściła przyjęcie, reszta wyruszyła na drinka do pubu Pies i Kaczka.

Ethel i Bernie udali się do domu, gdy nadeszła pora snu Lloyda. Rankiem tego dnia Bernie załadował swoje nieliczne ubrania oraz stosy książek na wózek i przeprowadził się z wynajętego mieszkania do domu Ethel.

Chcieli spędzić noc we dwoje, więc położyli Lloyda spać na górze z dziećmi Mildred. Lloydowi bardzo się to spodobało. Potem wypili kakao w kuchni i poszli do łóżka.

Ona miała na sobie nową koszulę nocną, a on nową czystą piżamę. Położywszy się obok żony, z nerwów zaczął się pocić. Ethel pogładziła go po policzku.

– Jestem „nierządnicą”, ale nie mam zbyt dużego doświadczenia – wyznała. – Tylko z pierwszym mężem. Trwało to parę tygodni, a potem on odszedł. – Nie powiedziała Bernieemu o Fitzu i nigdy nie zamierzała tego zrobić. Tylko Billy i adwokat Albert Solman znali prawdę.

– Masz go więcej ode mnie – odparł Bernie. Ethel poczuła jednak, że mąż się odpręży. – Ja zaliczyłem tylko kilka wpadek.

– Jak się nazywały?

– Wolałabyś nie wiedzieć.

Ethel się uśmiechnęła.

– Wprost przeciwnie. Ile ich było? Sześć? Dziesięć? Dwa-dzieścia?

– Boże drogi, zaledwie trzy. Pierwszą była Rachel Wright, jeszcze w szkole. Później powiedziała, że będziemy musieli wziąć ślub. Uwierzyłem jej i byłem załamany.

Ethel zachichotała.

– I co się wydarzyło?

– Tydzień później zrobiła to z Mickym Armstrongiem i uciekłem spod topora.

– Przyjemnie z nią było?

– Chyba tak. Miałem tylko szesnaście lat. Najbardziej zależało mi na tym, by móc powiedzieć, że to zrobiłem.

Ethel pocałowała go delikatnie.

– Kto był następny?

– Carol McAllister, sąsiadka. Zapłaciłem jej szylinga. Krótco to trwało. Ona pewnie wiedziała, co mówić i robić, żeby załatwić rzecz raz-dwa. W całej zabawie pociągała ją forsa.

Ethel z dezaprobatą ściągnęła brwi, lecz przypomniała sobie domek w Chelsea. Przecież myślała o tym, by postąpić tak samo jak Carol McAllister.

– A ta trzecia? – spytała, czując się nieswojo.

– To była kobieta starsza ode mnie. Właścicielka domu, w którym mieszkałem. Przyszła do mojego łóżka w nocy pod nieobecność męża.

– Dobrze ci z nią było?

– Milutko. To był fajny kawałek mojego życia.

– I co się zepsuło?

– Mąż nabrał podejrzeń i musiałem się wynieść.

– Co potem?

– Potem poznałem ciebie i przestałem interesować się innymi kobietami.

Zaczęli się całować. Bernie uniósł nocną koszulę Ethel. Był delikatny, bał się, że zada jej ból, lecz wszedł w nią łatwo. Ogarnęła ją czułość dla niego za jego dobroć, inteligencję oraz oddanie jej i dziecku. Objęła go i przyciągnęła do siebie. Szczytowanie nastąpiło szybko. Ułożyli się zadowoleni na plecach i zasnęli.

V.

Gus Dewar odnotował zmianę w fasonach damskich sukienek, które zaczęły odsłaniać stopy. Przed dziesięcioma laty widok kostki podniecał, teraz spowszedniał. Być może kobiety ukrywają nagość, aby być bardziej pociągające, a nie mniej.

Rosa Hellman miała na sobie modny, długi, ciemnoczerwony płaszcz od karczku z tyłu opadający falbanami. Był oblamowany czarnym futerkiem, które stanowiło przyjemny dodatek, zwłaszcza w lutym w Waszyngtonie. Mały szary kapelusik z czerwonym paskiem i piórkiem nie był zbyt praktyczny, ale kiedy to Amerykanki nosiły kapelusze ze względów praktycznych?

– Czuję się zaszczycona twoim zaproszeniem – powiedziała.

Gus nie wiedział, czy sobie z niego drwi. – Wróciłeś z Europy, prawda?

Jedli lunch w restauracji hotelu Willard, dwie przecznice na

wschód od Białego Domu. Gus zaprosił Rosę w konkretnym celu.

– Mam dla ciebie gotowy temat – oznajmił, gdy tylko złożył zamówienie.

– Wspaniale! Pozwolisz, że zgadnę: prezydent zamierza rozwieść się z Edith i wziąć za żonę Mary Peck.

Gus ściągnął brwi. Wilson romansował z Mary Peck, gdy był żonaty po raz pierwszy. Gus wątpił, czy doszło do cudzołóstwa, lecz prezydent się wygłupił i pisał do swojej wybranki nader czułe listy. Waszyngtońskie plotkarki zwęszyły romans, ale nic nie przedostało się do gazet.

– Mówię o istotnej sprawie – odparł poważnie.

– Ach, proszę o wybaczenie. – Rosa zrobiła uroczystą minę. Gusowi zachciało się śmiać.

– Jest tylko jeden warunek. Nie wolno ci ujawnić, że otrzymałaś tę informację z Białego Domu.

– Zgoda.

– Pokażę ci depezę ministra spraw zagranicznych Niemiec Arthura Zimmermanna do ambasadora niemieckiego w Meksyku.

– Jak ją zdobyłeś? – spytała zdziwiona.

– Z Western Union – skłamał Gus.

– Czy takie wiadomości nie są szyfrowane?

– Szyfry można złamać. – Podał dziennikarce przepisane na maszynie pełne tłumaczenie telegramu.

– To jest prywatna rozmowa? – zapytała.

– Nie. Chcę, żebyś zachowała dla siebie jedynie źródło pochodzenia depezy.

– Dobrze. – Rosa zaczęła czytać i po chwili otworzyła usta. Spojrzała na Gusa. – Czy ta wiadomość jest autentyczna?

– A czy kiedyś cię nabrałem?

– Nigdy. – Rosa czytała dalej. – Niemcy zapłacą Meksykowi za napaść na Teksas?

– Tak mówi pan Zimmermann.

– To nie jest temat na artykuł, Gus. To sensacja stulecia! Gus pozwolił sobie na uśmiech, nie zdradzając jednak euforii, która go rozpierała.

– Spodziewałem się, że tak powiesz.

– Działasz niezależnie czy w imieniu prezydenta?

– Wyobrażasz sobie, że zrobiłbym coś takiego bez pozwolenia z samej góry?

– Chyba nie. O rany. A więc dostałam ten materiał od prezydenta.

– Nieoficjalnie.

– Skąd pewność, że to prawdziwe informacje? Nie mogę napisać artykułu wyłącznie na podstawie skrawka papieru i pańskiego słowa.

Gus spodziewał się takiego haczyka.

– Sekretarz stanu Lansing osobiście potwierdzi autentyczność depezy w rozmowie z twoim szefem, pod warunkiem że wymiana zdań będzie poufna.

– Doskonale. – Rosa znów spojrzała na kartkę. – To wszystko zmieni. Wyobrażasz sobie, co powiedzą Amerykanie, gdy przeczytają ten materiał?

– Myślę, że wykażą większą chęć przyłączenia się do wojny z Niemcami.

– Większą chęć? Dostaną szału! Wilsonowi nie pozostanie nic innego, jak tylko wypowiedzieć wojnę.

Gus milczał.

Po chwili Rosa odgadła tego przyczynę.

– Ach, teraz rozumiem, dlaczego ujawniasz treść depezy. Prezydent chce wypowiedzieć wojnę.

Nie pomyliła się. Ta zgadywanka z inteligentną kobietą sprawiała mu przyjemność. Uśmiechnął się.

– Tego nie powiedziałem.

– Ależ ta depeza rozgniewa Amerykanów tak bardzo, że

zaczną się domagać wojny. Wilson będzie mógł powiedzieć, że nie wycofuje się ze swoich obietnic wyborczych, jednak opinia publiczna zmusiła go do zmiany polityki.

Gus uświadomił sobie, że Rosa okazała się aż nazbyt bystra.

– Tego nie napiszesz, prawda? – spytał z niepokojem.

Rosa się uśmiechnęła.

– Nie, skądże. Po prostu nie biorę pozorów za dobrą monetę.

Kiedyś byłam anarchistką, wiesz?

– A teraz?

– Teraz jestem reporterką. Istnieje tylko jeden sposób napisania tego artykułu.

Gus poczuł ulgę.

Kelner przyniósł gotowanego łososia dla Rosy i stek z ziemniakami dla Gusa. Dziennikarka wstała.

– Muszę iść do redakcji.

– A twój lunch? – zdziwił się Gus.

– Mówisz poważnie? Nie przełknę ani kęsa. Czy zdajesz sobie sprawę, co przed chwilą zrobiłeś?

Gus miał wrażenie, że rozumie.

– Powiedz.

– Właśnie pchnąłeś Amerykę ku wojnie.

Skinął głową.

– Tak, wiem. Napisz ten artykuł.

– Dziękuję, że to mnie wybrałeś – powiedziała Rosa i już jej nie było.

ROZDZIAŁ 23

Marzec 1917 roku

i.

Zima w Piotrogradzie była mroźna, ludzie głodowali. Kreska termometru umieszczonego przed koszarami Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych zatrzymała się na minus piętnastu stopniach Celsjusza i pozostała tam przez cały miesiąc. Piekarze nie piekli ciast, ciastek i ciasteczek, całą mąkę przeznaczając na chleb, a i tak było go za mało. Przed drzwiami koszarowej kuchni ustawiono uzbrojonych wartowników, gdyż wielu żołnierzy błagało o żywność lub próbowało ją wykraść.

Rankiem pewnego szczególnie zimnego dnia na początku marca Grigorij dostał popołudniową przepustkę i postanowił odwiedzić Władimira, który przebywał u gospodyni domu. Katerina była w pracy. Włożył szynel i ruszył oblodzonymi ulicami. Na Newskim Prospekcie zauważył żebraczkę, dziewczynkę w wieku około dziewięciu lat stojącą na rogu w lodowatym wietrze. Zmarszczył czoło, gdyż coś w jej wyglądzie go uderzyło, lecz poszedł dalej. Nagle uświadomił sobie źródło swojego zaniepokojenia: dziewczynka posłała mu zapraszające spojrzenie. Był tak zaszokowany, że stanął w pół kroku. Czy w tym wieku można być dziwką?

Odwrócił się, by ją o to zapytać, lecz znikła.

Szedł dalej z głową pełną niespokojnych myśli. Wiedział naturalnie, że istnieją mężczyźni lubiący seks z dziećmi. Przekonał się o tym wiele lat temu, gdy wraz z małym Lwem zwrócili się o pomoc do popa. Mimo to obraz dziewięciolatki żałośnie nasładowującej pożądlive spojrzenie ścisnął go za serce. Zachciało mu się płakać nad losem swojego kraju. Robimy z naszych dzieci prostytutki, myślał. Czy może być jeszcze gorzej?

W posępnym nastroju dotarł do swojego dawnego domu. Od razu usłyszał płacz Władimira. Wszedłszy do pokoiku Kateriny, stwierdził, że malec jest sam. Jego buzia była czerwona od płaczu. Wziął chłopca na ręce i zaczął go kołysać.

Czyste i schludne mieszkanko pachniało gospodynią. Grigorij

zwykle odwiedzał Katerinę w niedzielę. Wychodzili z domu, po powrocie zaś szykowali posiłek z tego, co przynosił z koszar, o ile zdołał coś zdobyć. Później Władimir zasypiał, a oni się kochali. W dni, gdy jedzenia było dużo, Grigorij czuł się cudownie. Głośnie zawodzenie malca zamieniło się w łkanie. Trzymając dziecko w ramionach, Peszków wyszedł rozejrzeć się za gospodynią, która miała pilnować chłopca. Zastał ją w pralni, niskiej przybudówce na tyłach domu, właśnie przepuszczała mokrą pościel przez wyżymaczkę. Była to kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat z siwymi, przewiązanymi chustką włosami. W 1914 roku, gdy Grigorij szedł do wojska, była pulchna, lecz teraz schudła, a skóra na jej policzkach obwisła. Nastąpiły takie czasy, że nawet właścicielki domów chodzą głodne.

Przestraszyła się na widok Grigorija, a na jej twarzy malowało się poczucie winy.

– Nie słyszałaś, że dziecko płacze?

– Nie mogę kołysać go przez cały dzień – usprawiedliwiła się i wróciła do wyżymania.

– Może jest głodny?

– Wypił mleko – odparła pospiesznie. Zbyt pospiesznie.

Grigorij domyślił się, że sama je wypila. Miał ochotę ją udusić. Pralnia była nieogrzewana i Peszków poczuł, że od miękkiej skóry chłopczyka bije ciepło.

– Zdaje się, że mały ma gorączkę. Nie zauważyłaś tego?

– Lekarzem też mam być?

Wołodia przestał płakać i zrobił się ospały. To zmartwiło Grigorija bardziej niż jego płacz. Zwykle był czujny, ruchliwy, ciekawski i skłonny do psot, teraz jednak leżał spokojnie w jego ramionach z zarumienioną buzią i nieruchomym spojrzeniem.

Ułożywszy dziecko na posłaniu w kącie pokoju, Grigorij wziął z półki słoik, wyszedł z domu i poszedł do sklepu wielobranżowego przy sąsiedniej ulicy. Kupił mleko, garść cukru w papierku oraz jabłko.

Kiedy wrócił, chłopczyk leżał spokojnie.

Grigorij podgrzał mleko, rozpuścił w nim cukier i namoczonymi w mleku kęsami chleba nakarmił dziecko. Pamiętał, że matka dawała coś takiego małemu Lwu, gdy ten zachorował. Wołodia jadł tak, jakby był głodny i jednocześnie spragniony.

Chleb i mleko znikły w buzi malca, a Grigorij pokroił jabłko i obrał plasterek ze skórki. Zjadł skórkę, a resztę podał Wołodii, mówiąc: „Troszkę dla mnie, troszkę dla ciebie”. Zwykle bawiło to chłopca, lecz teraz był obojętny. Kęs owocu wypadł mu z buzi.

W pobliżu nie było lekarza, a Grigorij i tak nie miał pieniędzy, lecz kilka ulic dalej mieszkała akuszerka. Była to Magda, urodziwa żona jego starego przyjaciela Konstantina, który pełnił funkcję sekretarza komitetu bolszewickiego w Zakładach Putiłowskich.

Grigorij grywał z nim w szachy, ilekroć mieli okazję. Partie zwykle kończyły się wygraną Grigorija.

Zmienił malcowi pieluchę i owinał go w koc wzięty z łóżka Kateriny, tak że widać było tylko oczka i nosek. Wyszedł z nim na zimną ulicę.

Konstantin i Magda mieszkali w dwupokojowym mieszkaniu z ciotką dziewczyny, która opiekowała się trojgiem ich małych dzieci. Peszków bał się, że Magda wyszła do porodu, lecz dopisało mu szczęście i zastał ją w domu.

Miała dużą wiedzę i złote serce, ale była trochę w gorącej wodzie kąpana. Przyłożyła dłoń do czoła Władimira.

– Dziecko ma infekcję.

– Jak groźną?

– Kaszel jest?

– Nie.

– Jakie są kupki?

– Rzadkie.

Rozebrała dziecko.

– Zdaje mi się, że Katerina nie ma już pokarmu.
– Skąd to wiesz? – zdziwił się Grigorij.
– To normalne. Kobieta nie może nakarmić dziecka, jeśli sama nie jest najedzona. Mleko nie bierze się z niczego. Dlatego chłopiec jest taki wychudzony.
Grigorij nie zdawał sobie sprawy, że Władimir jest chudy.
Magda nacisnęła palcem brzuch dziecka.
– Zapalenie kiszek – orzekła.
– Wyzdrowieje?
– Pewnie tak. Dzieci stale łapia infekcje i zwykle przeżywają.
– Co można zrobić?
– Obmywaj mu czoło letnią wodą, żeby zbić temperaturę.
Niech dużo pije, wszystko, na co ma ochotę. Nie martw się, czyje. Dobrze odżywiaj Katerinę, aby mogła go karmić. Mały potrzebuje matczyne mleko.
Grigorij zabrał dziecko do domu. Po drodze kupił mleko i podgrzał je na piecu. Podawał je malcowi łyżeczką, a ten wypił wszystko. Zamoczył ściereczkę w naczyniu z ciepłą wodą i obmył mu buzię. Skóra chłopca przybrała normalną barwę, oddech się wyrównał.
Kiedy wieczorem Katerina wróciła do domu, Grigorij zdążył się uspokoić. Była zmęczona i zmarznięta. Kupiła kapustę i kilka gramów smalcu, które Grigorij podsmażył na patelni. Odpoczywała, a on opowiedział jej o gorączce synka, o niedbałej gospodyni i recepcie Magdy.
– Co mam zrobić? – spytała zmęczona i zrozpaczona. – Muszę chodzić do pracy. Nie ma nikogo innego, kto mógłby przypilnować Wołodii.
Grigorij nakarmił dziecko wywarem z podgrzanej kapusty i tłuszczu, po czym położył je spać. Zjedli z Kateriną kolację, a następnie położyli się do łóżka.
– Nie pozwól mi za długo spać – poprosiła. – Muszę stanąć w kolejce po chleb.
– Ja pójdę za ciebie – zaproponował Grigorij. – Ty odpoczywaj. – Spóźni się do koszar, ale pewnie ujdzie mu to na sucho. Ostatnio oficerowie za bardzo boją się buntu, by czepiać się drobnych wykroczeń.
Katerina przystała na jego propozycję i mocno zasnęła. Usłyszawszy, że zegar wybija drugą, Grigorij włożył buty i szynel. Władimir spał spokojnie. Peszków wyszedł z domu i skierował się do piekarni. Stwierdził zdziwiony, że ogonek jest już długi. A więc się spóźnił. Przed sklepem zgromadziło się około stu ludzi, opatulonych z powodu mrozu i tupiących dla rozgrzania nóg. Ten i ów przyniósł krzesło albo taboret. Jakiś przedsiębiorczy młodzieniec stał przy blaszanym piecyku i sprzedawał owsiankę. Brudne naczynia mył w śniegu. Za Grigorijem ustawiło się jeszcze kilkanaście osób.
Kolejkowicze plotkowali i narzekali, czekając na otwarcie piekarni. Dwie stojące przed Grigorijem kobiety spierały się, kto odpowiada za brak chleba: jedna winiła Niemców na carskim dworze, druga Żydów chomikujących mąkę.
– A kto rządzi? – spytał Grigorij. – Jeśli tramwaj się przewraca, winny jest motorniczy, bo to on kierował. Nie rządzą nami ani Żydzi, ani Niemcy. Rządzi car i szlachta. – Tak mówili bolszewicy.
– Kto by rządził, gdyby cara nie było? – odpowiedziała sceptycznie młodsza z kobiet. Na głowie miała żółty filcowy kapelusz.
– Mnie się zdaje, że sami powinniśmy sobą rządzić – rzekł Peszków. – Tak jest we Francji i w Ameryce.
– Ja tam nie wiem – mruknęła starsza. – Ale dłużej tego nie zdzierzę.
Piekarnię otwarto o piątej i po chwili w kolejce rozeszła się wieść, że każdy może kupić tylko jeden bochenek chleba.

– Cała noc stania po jeden bochenek! – oburzyła się kobieta w żółtym kapeluszu.
Żona piekarza wpuszczala po jednym kliencie. Minęła godzina, zanim Grigorij znalazł się na początku kolejki. Starsza z kobiet stojących przed Grigorijem weszła do środka, a wtedy piekarczowa oznajmiła:
– To wszystko. Więcej chleba nie ma.
– Nie, proszę! Jeszcze chociaż jeden bochenek! – zawodziła kobieta w żółtym kapeluszu.
Twarz piekarczowej miała kamienny wyraz. Takie sytuacje zdarzały się już wcześniej.
– Gdyby mąż miał mąkę, upiekłby więcej. Chleb się skończył, słyszycie? Nie mogę sprzedawać, bo nie mam czego.
Ostatnia klientka wyszła z piekarni z bochenkiem pod płaszczem i pospiesznie się oddaliła.
Kobieta w żółtym kapeluszu wybuchnęła płaczem.
Żona piekarza zatrzaskała drzwi.
Grigorij odwrócił się i odszedł.

II.

Wiosna zawitała do Piotrogradu w czwartek ósmego marca, lecz w cesarstwie rosyjskim uporczywie trzymano się kalendarza juliańskiego, według którego był dwudziesty trzeci lutego. Reszta Europy już od trzystu lat posługiwała się nowocześniejszym kalendarzem.

Ocieplenie zbiegło się z Międzynarodowym Dniem Kobiet. Robotnice przędzalni zorganizowały strajk i przemaszerowały z przemysłowych przedmieść do centrum miasta, by zaprotestować przeciwko kolejkom po pieczywo, wojnie oraz caratowi. Ogłoszono racjonowanie chleba, lecz to tylko pogorszyło sytuację. Pierwszy Pułk Karabinów Maszynowych, podobnie jak wszystkie jednostki w mieście, został skierowany do pomocy policjantom i Kozakom, którzy mieli utrzymywać porządek. Co będzie, jeśli żołnierze dostaną rozkaz strzelania do demonstrantów? – zastanawiał się Peszków. Czy się do niego zastosują? A może wycelują karabiny w oficerów? W 1905 roku posłuchali rozkazów i strzelali do robotników. Jednak od tamtego czasu lud rosyjski przez dziesięć lat cierpiał tyranię, represje, wojnę oraz głód. Tym razem obeszło się bez zamieszek i pododdział Grigorija wrócił wieczorem do koszar, nie wystrzeliwszy ani jednego pocisku. W piątek zaczęli strajkować kolejni robotnicy. Car przebywał czterysta mil od Piotrogradu, w kwaterze głównej armii w Mogilewie. Miastem rządził komendant Piotrogradzkiego Okręgu Wojskowego generał Chabałow. Postanowił nie wpuszczać demonstrantów do centrum i w tym celu rozmieścił na mostach żołnierzy. Pododdział Grigorija zajął stanowisko nieopodal koszar i miał strzec mostu Litiejnego, prowadzącego przez Nowę do Litiejnego Prospektu. Jednak rzeka wciąż była skuta grubym lodem i maszerujący okpili wojskowych, po prostu przechodząc po lodzie. Żołnierze patrzyli na to zadowoleni, gdyż większość z nich, podobnie jak Grigorij, sympatyzowała z demonstrantami. Strajku nie zorganizowała żadna partia polityczna. Bolszewicy, podobnie jak inne lewicowe partie rewolucyjne, nie wskazywali drogi robotnikom, ale szli za ich przykładem. Grigorij znów nie wziął udziału w żadnym starciu, lecz w innych punktach miasta nie było tak spokojnie. Wróciwszy w sobotę wieczorem do koszar, dowiedział się, że policja zaatakowała demonstrantów przed dworcem kolejowym na końcu Newskiego Prospektu. O dziwo, Kozacy bronili maszerujących przed policją. Żołnierze opowiadali o towarzyszach Kozakach. Peszków podchodził do tych pogłosek sceptycznie. Kozacy nigdy nie okazali lojalności nikomu oprócz siebie. Oni po prostu kochali walkę.

W niedzielę Grigorija obudzono o piątej, długo przez świtem. Przy śniadaniu rozeszła się wieść, że car kazał generałowi Chabalowowi, jeśli zajdzie taka potrzeba, położyć kres strajkom i manifestacjom przy użyciu wszelkich sił. Peszków pomyślał, że zabrzmiało to złowieszczo.

Sierżanci wydali rozkazy. Każdy pluton miał obsadzić inny punkt miasta: nie tylko mosty, ale również skrzyżowania, dworce kolejowe oraz budynki poczty. Posterunki miały się kontaktować za pomocą telefonów polowych. Stolicę kraju należało zabezpieczyć tak jak zdobyte miasto wroga. Najgorsze było to, że pułk musiał rozmieścić w newralgicznych miejscach karabiny maszynowe.

Kiedy Grigorij przekazał rozkazy swoim żołnierzom, ci się przestraszyli.

– Czy car naprawdę rozkaże wojsku strzelać z karabinów maszynowych do ludzi? – zapytał Izaak.

– A jeśli tak zrobi, to czy żołnierze okażą posłuszeństwo? – odpowiedział pytaniem Grigorij.

Cieszył się, lecz jednocześnie czuł strach. Strajki podniosły go na duchu, gdyż wiedział, że naród rosyjski musi zbuntować się przeciwko swoim władcom. W innym razie wojna się nie skończy, ludzie będą cierpieć głód i Władimir nigdy nie pozna lepszego życia niż to, które wiodą Grigorij i Katerina. Właśnie to przekonanie skłoniło go do wstąpienia do partii. Z drugiej zaś strony miał nadzieję, że jeśli wojsko odmówi wykonywania rozkazów, rewolucja przebiegnie bez większego rozlewu krwi. Jednak gdy jego pułk dostał rozkaz ustawienia karabinów maszynowych na rogach ulic Piotrogradu, poczuł, że jego nadzieje były płonne.

Czy to w ogóle możliwe, aby lud rosyjski kiedykolwiek wyzwolił się spod tyranii caratu? Niekiedy wydawało się to mrzonką, jednak w innych krajach wybuchały rewolucje i oprawców obalano. Nawet Anglicy stracili kiedyś swojego króla. Sankt Petersburg jawił się Peszkowowi jako rondel z wodą postawiony na ogniu. Unosiły się nad nim smugi pary, tu i ówdzie pojawiały się bąbelki, a rozgrzana powierzchnia wody błyszczała, lecz wciąż nie wrzała.

Pluton Grigorija został skierowany do Pałacu Taurydzkiego, ogromnej letniej siedziby Katarzyny II, obecnie służącej jako miejsce posiedzeń bezwolnego rosyjskiego parlamentu, Dumy. Poranek był cichy, nawet wygłodzeni ludzie lubili w niedzielę pospać dłużej. Jednak pogoda wciąż była ładna i w południe zaczęli nadchodzić piechotą z przedmieść i nadjeżdżać tramwajami. Część zgromadziła się w wielkim pałacowym ogrodzie. Grigorij zauważył, że nie wszyscy są robotnikami. Byli tam przedstawiciele inteligencji obu płci, studenci, a nawet kilku zamożnych kupców. Niektórzy przyszli z dziećmi. Zjawili się, aby wziąć udział w manifestacji politycznej, czy po to, by pospacerować w parku? Najprawdopodobniej sami tego nie wiedzieli.

Przy wejściu do pałacu Peszków spostrzegł elegancko ubranego młodzieńca, którego twarz znał ze zdjęć w gazetach. Był to Aleksander Fiedorowicz Kiereński, deputowany z ramienia trudowików. Stanowili oni umiarkowaną frakcję, która oderwała się od Socjalistycznych Rewolucjonistów. Grigorij zapytał go, co się dzieje w siedzibie parlamentu.

– Dziś car oficjalnie rozwiązał Dumę – oznajmił Kiereński. Grigorij z niesmakiem pokręcił głową.

– To typowa reakcja. Zdławić tych, którzy się skarżą, zamiast podjąć próbę rozwiązania ich problemów.

Kiereński posłał mu twarde spojrzenie. Być może nie spodziewał się tak wnikliwej analizy ze strony prostego żołnierza.

– Można tak powiedzieć. W każdym razie deputowani zignorowali carski edykt.

– I co teraz będzie?

– Większość uważa, że demonstracje wygasną, gdy tylko

władze zdolają przywrócić zaopatrzenie w chleb – odparł Kiereński, po czym wszedł do pałacu.

Grigorij nie rozumiał, dlaczego ugodowcy przewidują taki rozwój wypadków. Gdyby władze potrafiły przywrócić dostawy chleba, czyż nie uczyniłyby tego, zamiast wprowadzać jego racjonowanie? Ugodowcy zawsze woleli nadzieję, a nie fakty.

Wczesnym popołudniem Grigorij ze zdziwieniem zobaczył uśmiechnięte twarze Kateriny i Władimira. Zwykle spędzał z nimi niedziele, lecz dzisiaj nie spodziewał się ich ujrzeć. Malec wyglądał zdrowo i był pogodny. Grigorij poczuł ulgę na jego widok. Chłopczyk najwyraźniej przezwyciężył infekcję. Było ciepło i Katerina rozpięta płaszcz, ukazując swą zgrabną figurę. Grigorij zapragnął jej dotknąć. Uśmiechnęła się, a on wyobraził sobie, jak będzie go całowała, gdy położą się do łóżka. Ogarnęło go nieznośne pragnienie. Tak bardzo tęsknił do jej objęć w to niedzielne popołudnie.

– Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz? – spytał.

– Zgadłam.

– Cieszę się, że was widzę, ale tu w śródmieściu nie jest bezpiecznie.

Katerina spojrzała na licznych spacerowiczów w parku.

– Wydaje mi się, że nic nam nie grozi.

Grigorij nie mógł zaprzeczyć, gdyż nic nie zwiastowało zagrożenia.

Katerina z dzieckiem ruszyła spacerem wokół zamarznętego jeziora. Grigorija ścisnęło w gardle na widok malca przewracającego się po zrobieniu kilku niezdarnych kroków. Matka podniosła go, uspokoiła i poszli dalej. Są tacy bezbronni. Co przyniesie im los?

Wróciwszy ze spaceru, Katerina oznajmiła, że zabiera Władimira do domu, by go położyć.

– Idź bocznymi uliczkami – poradził Grigorij. – I trzymaj się z daleka od dużych grup ludzi. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Dobrze – odparła Katerina.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

Tego dnia Peszków nie zobaczył rozlewu krwi, lecz wieczorem w koszarach usłyszał, że na placu Znamieńskim żołnierzom rozkazano strzelać do tłumu i zginęło czterdzieści osób. Poczul zimne ukłucie w sercu. Katerina mogła zginąć, po prostu idąc ulicą!

Żołnierze byli oburzeni, w kantynie panowała wybuchowa atmosfera. Wyczuwając napięcie, Grigorij wszedł na stół. Nakazał spokój i zachęcił, by każdy po kolei zabrał głos. Kolacja przeobraziła się w wiec. Jako pierwszego wywołał Izaaka, który był gwiazdorem pułkowej drużyny piłkarskiej.

– Wstąpiłem do wojska, żeby zabijać Niemców, a nie Rosjan – zaczął Izaak, wywołując okrzyki poparcia. – Demonstranci to nasi bracia i siostry, matki i ojcowie, a jedyną ich zbrodnią jest to, że dopominają się o chleb!

Grigorij znał wszystkich bolszewików w pułku i udzielił głosu kilku z nich, lecz wskazywał także innych, by zachować równowagę poglądów. Zazwyczaj żołnierze wyrażali swoje opinie ostrożnie, obawiając się, że ich uwagi trafią do dowódców i ściągną na nich karę, lecz wydawało się, że dziś o to nie dbają.

Największe wrażenie wywarł Jaków, rosły mężczyzna o nie-dźwiedzich barach. Ze łzami w oczach stanął na stole obok Peszkowa.

– Gdy kazano nam strzelać, nie wiedziałem, co robić. – Nie mógł głośno mówić, więc w sali zapadła cisza. – Powiedziałem: „Boże, prowadź”, i wsłuchałem się w swoje serce, ale Bóg nie udzielił mi odpowiedzi. – Wszyscy słuchali w milczeniu. – Uniosłem karabin. Kapitan krzyczał: „Ognia! Ognia!”. Ale do

kogo miałem strzelać? W Galicji wiedzieliśmy, kto wróg, bo tamci do nas strzelali. Ale dzisiaj na placu nikt nas nie atakował. Najwięcej było kobiet, niektóre prowadziły dzieci. Nawet mężczyźni nie byli uzbrojeni.

Zamilkł. Żołnierze siedzieli nieruchomo, jakby się bali, że każdy ruch może złamać zakłęcie.

– I co było dalej, Jako wie Dawidowiczu? – spytał Izaak.

– Pociągnąłem za spust – podjął Jaków. Łzy spływały z jego oczu na gęstą czarną brodę. – Nawet nie celowałem. Kapitan ryczał na mnie, a ja strzeliłem, żeby dał mi spokój. Ale trafiłem kobietę, właściwie dziewczynę. Miała może dziewiętnaście lat. Była ubrana w zielone palto. Trafiłem ją w pierś, czerwona krew rozlała się po palcie. Dziewczyna upadła na ziemię. – Jaków mówił teraz urywanymi zdaniami, szlochając. – Upuściłem karabin i chciałem się do niej dostać, jakoś pomóc, ale ludzie rzucili się na mnie, bili i kopali, a ja prawie nic nie czułem. – Otarł twarz rękawem. – Mam teraz kłopot, bo zgubiłem karabin. – Nastąpiła długa pauza. – Ona miała z dziewiętnaście lat.

Grigorij nie zauważył, że drzwi się otworzyły i do kantyny wszedł porucznik Kiryłow.

Złaz z tego stołu, Jaków! – krzyknął, po czym spojrzał na Grigorija. – Z ciebie też jest wicherzyciel, Peszków. Wracać mi zaraz do koszar, wszyscy – zwrócił się do żołnierzy. – Kto tu będzie za minutę od tej chwili, zostanie wychłostany.

Nikt się nie poruszył. Żołnierze patrzyli posępnie na porucznika. Grigorijowi wydawało się, że to początek buntu.

Jaków był jednak za bardzo przybity swoim nieszczęściem, by uświadomić sobie, do jak dramatycznej sytuacji doprowadził. Niezgrabnie zszedł ze stołu i napięcie opadło. Żołnierze siedzący najbliżej Kiryłowa zaczęli wstawać. Ich twarze były ponure, lecz jednocześnie wyrażały strach. Grigorij jeszcze przez chwilę stał wyzywająco na stole, lecz czując, że żołnierze nie są wystarczająco rozgniewani, by rzucić się na oficera, zeskoczył na podłogę. Mężczyźni ruszyli w stronę drzwi. Kiryłow stał, mierząc każdego gniewnym spojrzeniem.

Peszków wrócił do koszar. Niebawem dźwięk dzwonka wezwał do gaszenia świateł. Jako sierżant cieszył się przywilejem korzystania z oddzielonej zasłona wnęki na końcu wspólnej sypialni. Słyszał rozmawiających cicho podwładnych.

– Nie będę strzelał do kobiet – mówił ktoś.

– Ani ja.

– Jeśli odmówicie, któryś z tych drani oficerów rozstrzela was za nieposłuszeństwo! – odezwał się trzeci głos.

– Ja będę tak strzelał, żeby chybić.

– Ktoś może zauważyć.

– Trzeba celować tuż nad głowami. Wtedy nikt nie będzie wiedział na pewno, że specjalnie pudłujesz.

– Tak będę robił – postanowił następny żołnierz.

– Ja też.

– I ja.

Zobaczymy, pomyślał Grigorij, zasypiając. W ciemności łatwo wypowiadać śmiałe słowa. Dzień przynosi zupełnie inną historię.

III.

W poniedziałek pluton Grigorija otrzymał rozkaz przemaszerowania krótkiego odcinka Samsoniewskim Prospektem do mostu Litiejnego i powstrzymania demonstrantów chcących przejść przez rzekę do centrum. Czterystujardowy most spoczywał na potężnych kamiennych filarach tkwiących w zamarznętej rzece. Takie samo zadanie mieli wykonać w piątek, lecz tym razem rozkazy były inne. Porucznik Kiryłow zrobił Grigorijowi, odprawę.

Ostatnio mówił tak, jakby wiecznie dręczył go zły nastrój, i być może faktycznie tak było. Oficerowie zapewne nie lubili występować przeciwko rodakom nie mniej niż zwykli żołnierze.

– Nikomu nie wolno przejść na drugą stronę rzeki ani po moście, ani po lodzie, zrozumiano? Będziecie strzelali do tych, którzy nie wykonają polecenia.

Peszków ukrył pogardę.

– Tak jest, jasnie panie! – rzekł słuźbiście.

Kiryłow powtórzył rozkaz, po czym odszedł. Grigorij pomyślał, że porucznik się boi. Niewątpliwie nęka go strach przed odpowiedzialnością za przebieg wydarzeń bez względu na to, czy jego rozkazy zostaną wykonane, czy też zignorowane.

Grigorij ani myślał się im podporządkowywać. Pozwoli idącym na czele manifestacji wciągnąć się w rozmowę, a reszta spokojnie przejdzie po lodzie. Właśnie tak stało się w piątek.

Jednak wczesnym rankiem do jego plutonu dołączył oddział policji. Grigorij z przerażeniem stwierdził, że dowódcą jest jego dawny wróg Michaił Piński. Nie wyglądał na kogoś, kto cierpi z niedożywienia: twarz miał zaokrągloną, a mundur ciasno opinał tułów. W rękę trzymał tubę. Jego przybocznego o twarzy łasicy, Kozłowa, nie było nigdzie widać.

– Znam cię – powiedział Piński do Grigorija. – Pracowałeś w Zakładach Putilowskich.

– Dopóki nie posłałeś mnie w kamasze – odburknął Grigorij.

– Twój braciszek to morderca, ale zwiął do Ameryki.

– Ty tak uważasz.

– Nikt nie przejdzie dzisiaj przez rzekę.

– Zobaczymy.

– Oczekuję pełnej współpracy ze strony twoich żołnierzy, zrozumiano?

– Nie boisz się?

– Buntu? Nie bądź durny.

– Mówię o przyszłości. Założmy, że rewolucjoniści dopną swego. Jak myślisz, co zrobią? Przez całe życie pomiatałeś słabszymi, biłeś, napastowałeś kobiety i brałeś łapówki. Nie boisz się, że kiedyś przyjdzie dzień zapłaty?

Piński wycelował w niego palec w rękawicze.

– Zamelduję, że jesteś wyrotowcem – oznajmił i odszedł.

Grigorij tylko wzruszył ramionami. Policja już nie mogła aresztować ludzi wedle uznania, tak jak kiedyś. Gdyby Grigorij poszedł za kratki, Izaak i inni pewnie by się zbuntowali. Oficerowie byli tego świadomi.

Dzień zaczął się spokojnie, lecz Peszków zauważył na ulicach grupki robotników. Wiele fabryk było zamkniętych, ponieważ właściciele nie mogli zdobyć paliwa do silników parowych i pieców. Inne strajkowały, gdyż robotnicy domagali się wyższych płac w związku z inflacją, ogrzewania w lodowato zimnych warsztatach lub barierkach ochronnych wokół niebezpiecznych maszyn. Wyglądało na to, że nikt nie poszedł dzisiaj do pracy. Jednak dzień zaczął się pogodnie, więc ludzie nie będą siedzieli w domach. I rzeczywiście, niebawem Grigorij zobaczył, że Samsoniewskim Prospektem nadciąga spora grupa mężczyzn i kobiet w robotniczych łachmanach. Miał pod sobą trzydziestu żołnierzy i dwóch kaprali. Ustawił ich w czterech szeregach po ośmiu, zagradzając koniec mostu. Piński miał mniej więcej tyle samo podwładnych, z czego połowę pieszych, a połowę konnych. Rozmieszczył ich po obu stronach drogi. Widok nadchodzących ludzi wzbudził niepokój Grigorija. Nie sposób było przewidzieć rozwoju wypadków. Gdyby wszystko zależało od niego, zapobiegłby rozlewowi krwi, udając opór, a następnie przepuszczając manifestantów. Jednak nie wiedział, jak zachowa się Piński.

Demonstracja była coraz bliżej. Szły setki, jeśli nie tysiące ludzi. Mężczyźni i kobiety w granatowych fartuchach i podartych robotniczych płaszczach. Większość nosiła na rękawach czerwone

opaski lub wstążki. Napisy na transparentach brzmiały: „Precz z carem”, „Chleba, pokoju i ziemi”. To już nie jest zwykły protest, ale ruch polityczny, myślał Peszków.

Czoło pochodu zbliżyło się i wyczuł narastające wśród żołnierzy napięcie.

Wyszedł maszerującym naprzeciw. Ze zdziwieniem zobaczył na czele Warię, matkę Konstantina. Włosy miała związane czerwoną chustą i niosła czerwoną flagę na mocnym drzewcu.

– Witajcie, Grigoriju Siergiejewiczu – rzekła przyjaźnie. – Zastrzelicie mnie?

– Gdzieżby tam – odparł Grigorij. – Ale za policję nie ręczę.

Waria zatrzymała się, lecz tysiące demonstrantów maszerowały dalej. Grigorij usłyszał, jak Piński wydaje rozkaz konnym policjantom zwanym faraonami, stanowiącym najbardziej znienawidzoną formację sił porządkowych. Byli uzbrojeni w baty oraz pałki.

– Chcemy tylko zarobić na chleb i wyżywić rodziny – tłumaczyła Waria. – Czy ty też tego chcesz, Grigoriju?

Demonstranci nie nacierali na żołnierzy Grigorija, nie próbowali ich wymijać i dostawać się na most. Rozpraszczeni po nabrzeżu po obu stronach przeprawy. Faraonowie Pińskiego ustawili się wzdłuż brzegu, chcąc odgrodzić maszerujących od lodu, lecz było ich zbyt mało, by tego dokonać. Jednak żaden z robotników nie chciał skoczyć jako pierwszy, więc powstał chwilowy pat. Piński przyłożył tubę do ust.

– Cofnąć się! – krzyknął. Tuba była prostym blaszanym stożkiem, który tylko minimalnie wzmacniał głos. – Nie wolno wam wchodzić do śródmieścia. Wracajcie spokojnie do swoich miejsc pracy. To rozkaz policji. W tył zwrot!

Nikt się nie odwrócił, większość maszerujących nawet nie usłyszała rozkazu. Jednak demonstranci zaczęli buczeć i rzucać drwiące okrzyki. Ktoś stojący nieco dalej cisnął kamieniem. Pocisk trafił konia w zad i zwierzę wierzgnęło, a zaskoczony jeździec o mało nie runął na ziemię. Wyprostował się wściekły, ściągnął wodze i smagnął wierzchowca batem. Tłum zareagował śmiechem, co jeszcze bardziej rozwścieczyło policjanta. Zdołał jednak zaprowadzić nad koniem.

Jakiś śmiałek skorzystał z zamieszania, przemknął obok konnego policjanta i rzucił się biegiem po lodzie. Wiele osób po obu stronach mostu zrobiło to samo. Policjanci sięgnęli po baty i pałki. Manewrując wierzchowcami, zaczęli rozdawać razy. Niektórzy demonstranci padli pod ciosami, lecz większość się przedostała. To zachęciło innych. Po zamarzniętej rzece pędziło już trzydzieści lub więcej osób.

Peszków z radością obserwował rozwój sytuacji. Mógł powiedzieć, że podjął próbę wyegzekwowania zakazu i nie wpuścił nikogo na most, lecz manifestantów było zbyt dużo i nie udało się ich powstrzymać.

Piński widział to zupełnie inaczej.

Skierował megafon w stronę uzbrojonych policjantów.

– Wyceluj broń!

– Nie! – krzyknął Grigorij, lecz było za późno. Policjanci przyjęli pozycję strzelecką, przyklękawszy na jedno kolano. Unieśli karabiny. Demonstranci w pierwszych szeregach chcieli się cofnąć, lecz z tyłu napierały na nich tysiące innych. Niektórzy rzucili się biegiem ku rzece naprzeciwko konnym.

– Ognia! – krzyknął Piński.

Salwa zabrzmiała jak huk fajerwerków. Po niej nastąpiły okrzyki strachu i bólu umierających i rannych.

Grigorij cofnął się pamięcią o dwanaście lat. Zobaczył plac przed Pałacem Zimowym, a na nim setki mężczyzn i kobiet modlących się na kłęczkach oraz żołnierzy z karabinami. Jego matka leżała na ziemi, jej krew wypływała prosto na śnieg. Słyszał krzyk jedenastoletniego Lwa: „Zabili mamę! Mama nie żyje!”.

– Nie. Drugi raz im na to nie pozwolę – powiedział głośno. Odbezpieczywszy karabin Mosin-Nagant, otworzył zamek i przyłożył broń do ramienia. Demonstranci krzyczeli i pierzchali na wszystkie strony, deptając tych, którzy upadli. Konni policjanci, na nic nie zważając, rozdawali razy na prawo i lewo, piesi strzelali do tłumu gdzie popadnie.

Grigorij starannie wymierzył w Pińskiego, celując w środek tułowia. Nie był dobrym strzelcem, a policjant znajdował się sześćdziesiąt jardów od niego. Szansa trafienia jednak istniała. Nacisnął spust.

Piński nadal wrzeszczał przez tubę.

Peszków chybił. Obniżył lufę karabinu, gdyż ten podrywał przy strzelaniu, i znowu nacisnął spust.

Raz jeszcze spudłował.

Rzeź trwała nadal, policjanci zasypywali gradem kul biegających demonstrantów.

Magazynek karabinu Grigorija zawierał sześć naboí. Zwykle trafiał jednym strzałem na pięć. Wypalił po raz trzeci.

Piński wydał okrzyk bólu wzmocniony przez tubę. Prawe kolano ugięło się pod nim. Upuścił megafon i padł na ziemię. Żołnierze poszli w ślady dowódcy. Zaatakowali policję, jedni strzelając, inni posługując się karabinami jak maczugami. Jeszcze inni ściągali konnych policjantów z siodeł. Manifestanci nabrali odwagi i przyłączyli się do walki. Niektórzy spośród biegnących po lodzie zawrócili.

Gniew tłumu był straszny. Wszyscy dobrze znali piotrogrodzich policjantów, którzy zachowywali się jak wyniośli brutale i byli niezdyscyplinowani. Teraz ich ofiary miały okazję do rewanzu. Demonstranci kopali i deptali swoich oprawców, powalali tych, którzy stali jeszcze na nogach. Konnych zrzucali z wierzchołków. Oddział stawiał opór przez kilka chwil, a potem ci, którzy mogli, wzięli nogi za pas.

Grigorij zauważył, że Piński się podnosi. Wymierzył po raz kolejny, chcąc wykończyć łotra, lecz policjant na koniu zasłonił mu cel. Jeden z faraonów wciągnął Pińskiego na grzbiet wierzchołca i odjechał galopem.

Policjanci pierzchali w popłochu.

Peszków uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie był w takich tarapatkach.

Jego pluton odważył się zbuntować. Wbrew jednoznaczному rozkazowi żołnierze zaatakowali policjantów zamiast demonstrantów. A on dał im do tego sygnał, strzelając do porucznika Pińskiego, który przeżył i o wszystkim opowie. Nie było żadnego sposobu, by zatuszować to zdarzenie, ani też dobrej wymówki. Grigorij nie uniknie kary. Dopuszczył się zdrady, czeka go pewnie sąd polowy i egzekucja.

A jednak czuł się szczęśliwy.

Waria przecisnęła się do niego przez tłum ludzi. Miała krew na twarzy, lecz się uśmiechała.

– I co teraz, sierżancie?

Grigorij nie zamierzał ponosić kary. Car morduje swoich poddanych, a ci nie pozostaną dłużni.

– Na koszary. Uzbroimy klasę robotniczą! – Chwytał czerwony sztandar. – Za mną!

Ruszył Samsoniewskim Prospektem. Za nim szedł Izaak na czele plutonu, a manifestanci podążyli za żołnierzami. Grigorij nie wiedział dokładnie, co zamierza, lecz nie czuł potrzeby robienia planów. Krocząc na czele tysięcy ludzi, miał wrażenie, że wszystko jest w jego rękach.

Wartownik otworzył żołnierzom bramę, ale nie zdołał jej zamknąć przed robotnikami. Grigorij czuł się niezwykły. Poprowadził pochód do zbrojowni. Z kwatery dowództwa wyszedł porucznik Kiryłow i na widok tłumu rzucił się biegiem w jego

stronę.

– Hej, wy tam! – wrzasnął. – Stać! Ani kroku dalej!

Grigorij nie zwracał na niego uwagi.

Kiryłow zatrzymał się i wyciągnął pistolet.

– Stać, bo będę strzelał!

Dwóch lub trzech żołnierzy uniosło karabiny i wypaliło do niego. Trafiony kilkoma kulami porucznik runął na ziemię zalany krwią.

Peszków maszerował dalej.

Zbrojowni pilnowało dwóch wartowników. Żaden nie próbował go zatrzymać. On zaś ostatnimi dwiema kulami, które pozostały w magazynku, przestrzelił zamek ciężkich drewnianych drzwi. Robotnicy wdarli się do arsenału, przepychając się i biorąc broń. Niektórzy podwładni Grigorija zaczęli otwierać drewniane skrzynie z karabinami i pistoletami. Rozdawali je wraz z pudełkami z amunicją.

Oto nadeszła rewolucja, myślał Grigorij. Rozpierało go uniesienie, a jednocześnie bardzo się bał.

Wziął dwa oficerskie naganty, nabił karabin i napchał do kieszeni amunicji. Nie był pewny, co zamierza, lecz teraz, jako zbrodniarz, potrzebował jak najwięcej broni.

Reszta żołnierzy przyłączyła się do plądrowania arsenału i niebawem wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Z czerwonym sztandarem w ręku Grigorij wyprowadził buntowników z koszar. Demonstracje zawsze zmierzały w stronę centrum miasta. Wraz z Izaakiem, Jakowem i Warią przemaszerował mostem do Litiejnego Prospektu, kierując się w stronę opływającego w przepych centrum Piotrogradu. Czuł się tak, jakby płynął lub śnił, jakby wypił wielki łyk wódki. Od lat mówił, że trzeba rzucić wyzwanie reżimowi, lecz dziś tego dokonał i poczuł się odmieniony. Stał się innym człowiekiem, rozwinął skrzydła i frunął niczym ptak. Przypomniały mu się słowa, które wypowiedział do niego starzec tuż po śmierci matki: „Obyś żył długo – rzekł, gdy Grigorij wynosił z placu jej ciało. – Dostatecznie długo, żeby zemścić się na krwawym carze za wyrządzone dziś zło”. Twoje życzenie się spełniło, dziadku, pomyślał Peszków w uniesieniu.

Pierwszy Pułk Karabinów Maszynowych nie był jedynym oddziałem, który tego ranka się zbuntował. Dotarłszy na drugi koniec mostu, Grigorij z radością się o tym przekonał. Na ulicach roiło się od żołnierzy z czapkami zawadiacko odwróconymi do tyłu lub w nieregularnie rozpiętych płaszczach. Większość nosiła czerwone opaski na rękach lub czerwone wstążki wpięte w kłapy na znak, że są rewolucjonistami. Zdobywcze samochody pędziły z rykiem, a opony piszczały na wirażach. Z ich okienek sterczały lufy karabinów i bagnety, w środku siedzieli żołnierze z roześmianymi dziewczętami na kolanach. Wczorajsze posterunki oraz punkty kontrolne znikły, władzę na ulicach przejął lud. Grigorij zauważył sklep z winem z wybitymi oknami i wyłączanymi drzwiami. Ze środka wytoczył się żołnierz z dziewczyną, deptając po stłuczonym szkłe, oboje trzymali w rękach butelki. Właściciel sąsiedniej kawiarni wyłożył na stół przed lokalem wędzoną rybę oraz pokrojoną w plasterki kiełbasę i stanął obok z czerwoną wstążką w klapie. Uśmiechając się nerwowo, zapraszał żołnierzy, by się częstowali. Grigorij domyślił się, że chce ocalić kafejkę przed losem, który spotkał sklep z alkoholem. Karnawałowy nastrój był coraz bardziej widoczny, w miarę jak pochód zbliżał się do centrum. Niektórzy już zdążyli się upić, mimo że było dopiero południe. Dziewczeta chętnie całowały każdego mężczyznę z czerwoną opaską na ramieniu. Sierżant zobaczył żołnierza, który bez żenady pieścił bujne piersi uśmiechniętej kobiety w średnim wieku. Niektóre dziewczyny włożyły żołnierskie mundury i paradowały w czapkach i za dużych buciorach. Było widać, że czują się wyzwolone.

Ulicą nadszedł lśniący rolls-royce. Tłum rzucił się, by go zatrzymać. Szofer wcisnął gaz, lecz ktoś zdołał otworzyć drzwiczki i go wyciągnąć. Ludzie przepychali się, próbując dostać się do środka. Grigorij rozpoznał jednego z dyrektorów Zakładów Putiłowskich, Maklakowa, który wygramolił się z tylnego siedzenia. Sierżant pamiętał jego oczarowanie księżniczką Beą, gdy ta odwiedziła fabrykę. Ludzie śmiali się szydlerczo, lecz nie nękali hrabiego, który, postawiwszy kołnierz płaszcz, wziął nogi za pas. Dziewięć lub dziesięć osób wcisnęło się do auta, ktoś usiadł za kierownicą i odjechał, trąbiąc bez opamiętania.

Na rogu grupka rewolucjonistów pastwiła się nad rosłym mężczyzną w filcowym kapeluszu i wytartej jesionce, jakie noszą inteligenci. Żołnierz szturchnął go lufą karabinu, jakaś starsza kobieta splunęła na niego, a junak w robotniczym kombinezonie cisnął na niego garść śmieci.

– Puśćcie mnie! – krzyczał biedak rozkazującym tonem, lecz dręczyciele tylko parsknęli śmiechem. Peszków zobaczył, że napadniętym mężczyzną jest Kanin, majster z odlewni Zakładów Putiłowskich. Kapelusz spadł mu z głowy i Grigorij stwierdził, że Kanin wyłysiał.

Przepchnął się do niego.

– Ten człowiek nie jest niczemu winien! – krzyknął. – To inżynier, kiedyś z nim pracowałem.

Kanin go rozpoznał.

– Dziękuję, Grigoriju Siergiejewiczu. Chcę się dostać do domu matki, zobaczyć, czy wszystko z nią w porządku.

Grigorij odwrócił się do zgromadzonych.

– Pozwólcie mu przejść, ręczę za niego. – Zauważywszy kobietę niosącą zwój czerwonej wstążki, przypuszczalnie ukradziony z pasmanterii, poprosił o kawałek. Odcięła część nożyczkami, a Grigorij zawiązał go na lewym rękawie płaszcz inżyniera. Ludzie przyjęli to entuzjastycznymi okrzykami.

– Teraz nic wam nie grozi.

Kanin uścisnął mu rękę i odszedł.

Pochód prowadzony przez Grigorija znalazł się na Newskim Prospekcie, szerokiej ulicy handlowej biegnącej od Pałacu Zimowego do Dworca Nikołajewskiego. Ludzie pili alkohol prosto z butelek, jedli, całowali się i strzelali z karabinów w powietrze.

Na tych restauracjach, które pozostawały otwarte, wisiały kartki z napisami: „Darmowe jedzenie dla rewolucjonistów!”, „Jedz, co chcesz, płac, ile możesz!”. Na koczach łbach walało się szkło z potłuczonych witryn sklepów. Pośrodku ulicy leżał przewrócony tramwaj, w który wbił się samochód marki Renault. Robotnicy nienawidzili tramwajów, bo bilety były dla nich za drogie.

Nagle Grigorij usłyszał strzał. Rozpoczęła się istna kanonada. Przez chwilę myślał, że nic się nie stało, lecz maszerująca obok niego Waria zatoczyła się i upadła. Grigorij i Jaków przyklękli obok niej. Była nieprzytomna. Nie bez trudu przewrócili ciężkie ciało na plecy i zobaczyli, że kobiecie nie można już pomóc. Pocisk wbił się w jej czoło, w otwartych oczach nie było życia. Peszków nie pozwolił sobie na żal ani na myśl o stracie, jaką poniósł syn Warii, jego najlepszy przyjaciel Konstantin. Na polu bitwy nauczył się, że najpierw się walczy, a później żałuje. Ale czy ulica to pole bitwy? Kto mógł chcieć zabić Warię? Jednak strzał był tak celny, że prawie nie sposób było uznać Warii za ofiarę zabłąkanej kuli.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź na swoje pytanie.

Jaków runął na ziemię, a z jego piersi pociekła krew. Masywne ciało z głuchym łoskotem spadło na kocie łby.

Grigorij odskoczył od dwójga towarzyszy. Co się dzieje, u licha? – zastanawiał się. Przykucnąwszy, szybko rozejrzał się za kryjówką.

Huknął następny strzał. Przechodzący obok żołnierz z czerwonym paskiem na czapce padł na ziemię, trzymając się za brzuch.

W pobliżu jest snajper strzelający do rewolucjonistów. Grigorij przebiegł kilka kroków i ukrył się za przewróconym tramwajem.

Jakaś kobieta krzyknęła, potem druga. Ludzie zauważyli zakrwawione ciała i rzucili się do ucieczki. Uniósłszy głowę, rozejrzał się po okolicznych budynkach. Strzelec musi być z policji, ale gdzie się zaczął? Po odgłosie wystrzału Grigorij ocenił, że znajduje się po drugiej stronie ulicy, mniej niż o jedną przecznicę dalej. Mury jaśniały w popołudniowym słońcu. Był tam hotel, sklep jubilerski z zamkniętymi stalowymi okiennicami, bank oraz cerkiew na rogu. Żadne okno nie było otwarte, snajper musi więc kryć się na dachu. Tylko jeden dach zapewniał kryjówkę: dach cerkwi. Była to kamienna budowla w barokowym stylu z wieżyczkami, nadbudówkami oraz kopułą w kształcie cebuli.

Padł następny strzał. Jakaś kobieta w robotniczym ubraniu krzyknęła i przewróciła się, trzymając się za ramię. Grigorij był pewny, że huk dobiegł od strony cerkwi. Nie zauważył jednak dymu, a więc policja wyposażyła snajperów w amunicję bezdymną. Na ulicach Piotrogradu toczy się prawdziwa wojna.

Cała przecznica Newskiego Prospektu opustoszała. Grigorij skierował karabin w stronę gzymsu biegnącego u szczycie cerkwi. Właśnie tam by się usadowił, gdyby był snajperem i chciał mieć w polu widzenia całą ulicę. Patrzył uważnie. Kątem oka dostrzegł lufy dwóch karabinów skierowane w tamtą stronę. Żołnierze skryli się tak jak on i wypatrywali wroga. Ulicą nadchodzili żołnierz i dziewczyna. Byli pijani. Dziewczyna tańczyła, unosząc sukienkę i odsłaniając kolana, a chłopak okrążał ją tanecznym krokiem, trzymając karabin przy szyi niczym skrzypce. Oboje mieli na rękach czerwone opaski. Zewsząd dobiegały ostrzegawcze okrzyki, lecz rozbawiona para nie reagowała. Gdy mijali cerkiew, najwyraźniej nieświadomi śmiertelnego niebezpieczeństwa, rozległy się dwa strzały i para upadła na ziemię. Grigorij i tym razem nie wypatrywał smug dymu, lecz mimo to z wściekłości wystrzelał cały magazynek, mierząc w gzyms. Pociski zostawiły ślady na murze i wzbily obłoczki pyłu. Odezwały się pozostałe dwa karabiny. Sierżant zobaczył, że żołnierze strzelają w tę samą stronę, lecz nic nie świadczyło o tym, by któryś trafił. To niewykonalne, myślał Grigorij, przeładowując broń. Strzelają do niewidzialnego celu. Snajper musi leżeć w pewnej odległości od gzymsu i żadna część karabinu nie wystaje przez kratę. Trzeba go powstrzymać. Już uśmiercił Warię, Jakowa, dwóch żołnierzy oraz niewinną dziewczynę.

Istnieje tylko jeden sposób, by go dopaść. Trzeba dostać się na dach cerkwi.

Grigorij znów wypalił w stronę gzymsu. Zgodnie z jego oczekiwaniami dwaj żołnierze zrobili to samo. Założywszy, że snajper na chwilę schylił głowę, Peszków zerwał się na równe nogi, przebiegł na drugą stronę ulicy i przywarł plecami do witryny księgarni, jednego z nielicznych sklepów, które nie zostały splądrowane.

Kryjąc się w popołudniowym cieniu rzucanym przez budynki, posuwał się ulicą w stronę cerkwi oddzielonej wąską alejką od banku. Poczekał cierpliwie kilka minut na następną kanonadę, a potem przemknął przez alejkę i stanął oparty plecami o wschodnią ścianę cerkwi.

Czy snajper zauważył, że ktoś nadbiega i odgadł jego plan? To była wielka niewiadoma.

Trzymając się blisko ściany, Grigorij dotarł do uchylonych niewielkich drzwi. W niedzielę cerkwie są otwarte. Wśliznął się do środka.

Cerkiew była bogato zdobiona czerwonym, zielonym i złotym marmurem. Akurat nie odprawiano żadnej mszy, lecz dwudziestu lub trzydziestu wiernych stało bądź siedziało z pochylo-

nymi głowami i modliło się. Grigorij rozejrzał się za drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Ruszył szybko nawą. Obawiał się, że każda minuta zwłoki oznacza śmierć kolejnych ludzi.

Przystojny młody kapłan z ciemnymi włosami i jasną cerą otworzył usta na widok broni, chcąc zaprotestować, lecz Grigorij zignorował go i pobiegł dalej.

W przedsionku zauważył małe drewniane drzwiczki osadzone w ścianie. Otworzył je i ujrzał spiralne schodki.

– Zatrzymaj się, synu – powiedział jakiś głos z tyłu. – Co ty robisz?

Grigorij się odwrócił. Przed nim stał młody pop.

– Czy te schody prowadzą na dach?

– Jestem ojciec Michaił. Nie wolno wnosić broni do domu bożego.

– Na dachu jest snajper.

– To oficer policji!

– Ojciec o nim wie? – Peszków spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Macie świadomość, że z jego ręki giną ludzie?

Pop nie odpowiedział.

Grigorij wbiegł po schodach.

Z góry nadlatywał powiew zimnego wiatru. Najwyraźniej ojciec Michaił stanął po stronie policji. Czy może w jakiś sposób ostrzec snajpera? Nie wybiegnie na ulicę i nie zacznie machać rękami, bo wtedy prawdopodobnie dostanie kulę.

Wszedłszy w półmroku po długich schodach, Grigorij ujrzał następne drzwi.

Gdy jego oczy znalazły się na wysokości ich dolnej krawędzi, uchylił drzwiczki lewą ręką, w prawej trzymając broń. Zrobił tak, by stanowić jak najmniejszy cel. Przez szparę wpadło słońce. Szerzej otworzył drzwi.

Nikogo nie zobaczył.

Zmrużył oczy i zlustrował fragment dachu widoczny przez niewielki prostokąt wejścia. Znajdował się w wieży cerkwi. Drzwi wychodziły na południe, a Newski Prospekt rozpościerał się od północnej strony świątyni. Snajper polował po przeciwnej stronie, chyba że się przesunął i zaczął na Grigorija.

Peszków wspiął się ostrożnie na jeden stopień, potem na drugi, i wysunął głowę.

Nic się nie stało.

Dach opadał lekko w stronę rynny biegnącej wzdłuż ozdobnego murku. Drewniane schodnie pozwalały robotnikom przemieszczać się po dachu bez stapania po dachówkach. Grigorij stanął tyłem do zwieńczonej dzwonnica wieży.

Z karabinem w rękę zaczął ją ostrożnie okrążyć.

Dotarłszy do pierwszego narożnika, ujrzał fragment Newskiego Prospektu. W jasnym blasku słońca widział ogród Aleksandra, a dalej gmach Admiralicji. Ulicę w pewnej odległości zapełniali ludzie, lecz w pobliżu cerkwi było pusto. Najwyraźniej snajper nie próżnował.

Grigorij nastawił uszu, lecz nie usłyszał strzałów.

Prześliznął się do następnego narożnika wieży i spojrzał. Teraz widział całą górną krawędź północnej ściany cerkwi. Był pewny, że ujrzy tam snajpera rozpląszczonego na dachu między wspornikami murku, lecz nikogo nie zobaczył. Ludzie kulili się w drzwiach i czaili za narożnikami, obserwując rozwój wydarzeń. Wtem rozległ się huk, a następnie głośny krzyk. Snajper znów kogoś trafił.

Strzał padł sponad głowy Grigorija.

Spojrzał w górę. Wieża dzwonnicy usiana była okienkami bez szyb, a na jej przeciwległych narożnikach wznosiły się otwarte wieżyczki. Właśnie tam zaczął się snajper i strzelał z jednego z licznych otworów. Na swoje szczęście Grigorij trzymał się blisko ściany, więc wróg nie mógł go dostrzec.

Grigorij wszedł do wieży. W ograniczonej przestrzeni klatki schodowej karabin wydawał mu się duży i nieporęczny. Odłożywszy go, wyjął jeden z rewolwerów. Po jego ciężarze zorientował się, że nie jest nabity. Zaklął cicho, gdyż ładowanie naganta M1895 trwa długo. Wyjął z kieszeni płaszczka pudełko z amunicją i jeden po drugim umieścił siedem naboju w pękatej komorze cylindra. Odwiódł kurek.

Zostawiwszy karabin, wspiał się cicho po spiralnych schodach. Szedł powoli, żeby się nie zmęczyć i nie oddychać głośno.

Rewolwer trzymał w prawej ręce, mierząc w górę.

Po chwili poczuł zapach dymu.

Snajper palił papierosa. Jednak ostra woń dymu mogła dolecieć daleko, toteż Peszków nie wiedział, w jakiej odległości jest wróg. W górze przed sobą ujrzał odbłask słońca. Podkraśl się tam z bronią gotową do strzału. Światło wpadało przez pozabawione szyby okno. Snajpera nie było.

Wspiał się nieco wyżej i znów zobaczył światło. Woń dymu stała się intensywniejsza. Wydawało mu się, że wyczuwa obecność snajpera tuż za załomem klatki schodowej, lecz pewności nie miał. A jeśli tamten go wyczuje?

Wtem usłyszał, jak ktoś głośno wciąga powietrze. Zaskoczyło go to tak bardzo, że prawie nacisnął spust. Uświadomił sobie, że w taki sposób palacz wciąga dym do płuc. Po chwili z satysfakcją wypuścił go z ust.

Grigorij się zawahał. Nie wiedział, w którą stronę patrzy snajper i w którą stronę skierowany jest jego karabin. Chciał usłyszeć odgłos następnego strzału. Byłby to sygnał, że uwaga wroga skierowana jest na ulicę.

Czekanie może oznaczać kolejną śmierć. Jeszcze jeden Jaków lub jeszcze jedna Waria padnie, krwawiąc, na bruk. Jednak jeśli Grigorij nie zrobi tego, co zamierza, ilu jeszcze ludzi zginie dziś z ręki policyjnego snajpera?

Zmusił się do cierpliwości. Poczuł się jak na polu bitwy. Nie pędzi się na oślep, by ocalić rannego towarzysza i poświęcić życie. Ryzyko podejmuje się tylko wtedy, gdy istnieją ważne powody.

Usłyszał kolejny głośny wdech, a później wydech. Zgnieciony niedopałek papierosa stoczył się po schodach, odbił od ściany i wylądował u jego stóp. Dał się słyszeć szelest ubrania mężczyzny, gdy zmieniał pozycję w ograniczonej przestrzeni. Do uszu Peszkowa doszły mamrotane cicho obelgi:

– Świnie... rewolucjoniści... śmierdzący Żydzi... zakażone dziwki... kretyni... – Snajper nakręcał się, by znów kogoś zabić. Jeśli Grigorij teraz go powstrzyma, ocali komuś życie.

Wszedł na następny stopień.

Snajper wciąż mamrotał:

– Bydło... cudzoziemski motłoch... złodzieje i kryminaliści...

Głos wydawał się znajomy. Grigorij chyba spotkał już gdzieś tego człowieka.

Zrobił jeszcze jeden krok i ujrzał stopy obute w lśniące, nowe, policyjne oficerki z czarnej skóry. Ich niewielki rozmiar świadczył o tym, że snajper jest drobnym mężczyzną. Klęczał na jednym kolanie. Była to najbardziej stabilna pozycja strzelecka. Grigorij zobaczył, że usadowił się w narożnej wieżyczce, dzięki czemu mógł strzelać w trzech różnych kierunkach.

Jeszcze jeden krok i będę mógł go sprzątnąć, pomyślał.

Zrobił krok, lecz był tak spięty, że źle stąpnął i stracił równowagę. Potknął się i upadł, wypuszczając broń. Rewolwer z metalicznym łoskotem uderzył o kamienne schody.

Snajper zaklął głośno i się obejrzał.

Był to Ilja Kozłów, prawa ręka Pińskiego.

Grigorij sięgnął po rewolwer, lecz nie zdołał go złapać. Broń nieznośnie wolno potoczyła się w dół po schodach, spadając z jednego stopnia na drugi, aż spoczęła daleko poza zasięgiem rąk Grigorija.

Kozłów zaczął się odwracać, lecz klęcząc, nie mógł zrobić tego szybko.

Grigorij odzyskał równowagę i pokonał następny stopień.

Kozłów chciał skierować karabin w jego stronę. Był to standardowy mosin-nagant z przymocowaną lornetką. Miał bez bagnetu ponad jard długości, toteż Kozłów nie mógł go szybko odwrócić. Grigorij zbliżył się w okamgnieniu i lufa zawadziła o jego lewą rękę. Kozłów niepotrzebnie nacisnął spust. Pocisk odbił się rykoszetem od wewnętrznej ściany klatki schodowej.

Snajper zaskakująco zważo skoczył na równe nogi. Miał małą głowę i nikiemność wypisaną na twarzy. Grigorij mimo woli pomyślał, że został snajperem, by wziąć odwet na większych chłopakach i dziewczynach, którzy zawsze nim gardzili.

Peszków chwycił karabin obiema rękami i przez chwilę moczył się twarzą w twarz z policjantem w ciasnej wieżyczce, tuż obok pozbawionego szyb okienka. Usłyszawszy krzyki, domyślił się, że zgromadzeni na ulicy ludzie obserwują walkę.

Był wyższy i silniejszy i wiedział, że wyrwie przeciwnikowi karabin. Kozłów także to sobie uświadomił i nagle puścił broń. Grigorij zatoczył się do tyłu. Policjant wyszarpnął zza pasa drewnianą pałkę i rąbnął go w głowę. Peszków przez chwilę widział gwiazdy. Zauważywszy, że Kozłów znów bierze zamach, uniósł karabin i pałka spadła na lufę. Zanim przeciwnik zdołał uderzyć ponownie, Grigorij puścił broń, złapał go za mundur i postawił.

Mężczyzna był drobny i niewiele ważył. Grigorij trzymał go przez chwilę, po czym z całej siły wyrzucił przez okno.

Wydawało się, że snajper spada bardzo powoli. Na zielonych wyłogach munduru błysnęło słońce, gdy przeleciał nad murkiem okalającym dach cerkwi. Ciszę rozdarł przeciągły krzyk przerażenia. Ciało runęło na ziemię z głuchym łoskotem, który dotarł aż do wieży. Krzyk nagle się urwał.

Przez chwilę panowała cisza, a potem na ulicy rozległ się gromki ryk radości.

Grigorij uzmysłowił sobie, że ludzie wiwatują na jego cześć.

Zobaczyli na ulicy mundur policyjny, a w wieżyczce postać w wojskowym mundurze, i domyślili się, co zaszło. Wylegli z bram i zza węglów i stanęli na ulicy, zadzierając głowy, krzycząc i wiwatując. Grigorij został bohaterem.

Nie czuł się z tym dobrze. Zabił na wojnie paru ludzi i nie mdlał już na widok trupa, lecz z trudem przychodziło mu cieszyć się z czyjejs śmierci, nawet jeśli ofiara zasłużyła na nią tak jak Kozłów. Stał jeszcze przez chwilę na widoku, słuchając aplauzu, lecz mimo to było mu nieswojo. Odwrócił się i ruszył schodami w dół.

Po drodze zabrał rewolwer i karabin. Na dole w cerkwi czekał ojciec Michaił. Na jego twarzy widać było strach. Grigorij wycelował w niego rewolwer.

— Zasłużyłeś na kulkę. Snajper, którego wpuściłeś na dach, zamordował dwóch moich przyjaciół i co najmniej troje innych ludzi. Istny diabeł z ciebie.

Pop nie mógł wykrztusić słowa, słysząc, że ktoś nazywa go diabłem. Jednak Grigorij nie potrafił zastrzelić nieuzbrojonego cywila, więc tylko burknął coś z odrazą i wyszedł.

Żołnierze z jego plutonu czekali przed cerkwią. Na widok dowódcy wrzasnęli z radości. Nie zdołał ich powstrzymać, gdy wzięli go na ramiona i zaczęli nieść.

Będąc na wysokości ich głów, zobaczył, że nastrój na ulicy uległ zmianie. Więcej było pijanych, tu i ówdzie w bramie leżał ktoś spity do nieprzytomności. Zaszokował go widok mężczyzn i kobiet w głębi bram, nieograniczających się do całowania. Wszyscy byli uzbrojeni. Najwyraźniej tłum wdarł się do wielu zbrojowni, a być może nawet do fabryk broni. Na każdym skrzyżowaniu stały rozbite samochody, lekarze podjeżdżali do nich

karetkami i udzielali rannym pomocy. Oprócz dorosłych na ulice wysypały się dzieci. Szczególnie mali chłopcy mieli doskonałą zabawę: kradli jedzenie, popalali papierosy i dokazywali w opuszczonych autach.

Ktoś z zawodową wprawą plądrował sklep z futrami. Grigorij rozpoznał Trofima, byłego współnika Lwa, który właśnie wynosił ze sklepu naręczne futer i ładował je na wózek. Akcję obserwował inny kompan Lwa, skorumpowany policjant Fiodor. Jego mundur ukryty był pod chłopskim paltem. Miejskie rzezimieszki zwietrzyły, że rewolucja to doskonały interes.

Wreszcie żołnierze postawili Grigorija na ziemi. Z wolna się ściemniało, w kilku miejscach na ulicy zapłonęły ogniska. Ludzie zgromadzili się wokół nich, by pić i śpiewać piosenki.

Jakiś chłopiec w wieku około dziesięciu lat wyciągnął broń z rąk pijanego w sztok wojaka. Był to długolufowy pistolet maszynowy Luger P08, stanowiący uzbrojenie niemieckich artylerzystów. Żołnierz musiał go zabrać jeńcowi wojennemu. Malec wziął broń w obie ręce i z uśmiechem wycelował w leżącego na ziemi mężczyznę. Grigorij ruszył w jego stronę, by odebrać mu pistolet, lecz ten pociągnął za spust i kula wbiła się w pierś pijanego żołnierza. Chłopiec krzyknął, lecz był tak przerażony, że nie puścił cyngla i pistolet wciąż wypluwał z lufy pociski. Odrzut poderwał jego rękę. Jeden pocisk trafił staruszkę, a drugi innego żołnierza. Magazynek się opróżnił i wtedy malec zdołał wypuścić broń.

Nim Grigorij zdążył zareagować, usłyszał krzyk i odwrócił się.

W drzwiach zamkniętego sklepu jakaś para odbywała stosunek seksualny. Kobieta oparła się plecami o ścianę, podkasawszy spódnicę do pasa. Jej szeroko rozstawione nogi mocno wparły się w ziemię. Mężczyzna w mundurze kaprała stał na ugiętych nogach, z rozpiętymi spodniami, i napierał na nią. Podkomendni Peszkowa ustawili się tuż obok i dopingowali parę okrzykami.

Kaprał osiągnął orgazm, po czym odwrócił się szybko i zapiał rozporek. Kobieta opuściła spódnicę, lecz Igor, jeden z żołnierzy, zawołał:

– Chwileczkę! Teraz moja kolej.

Podciągnął spódnicę kobiety, odsłaniając jej białe nogi.

Koledzy go zachęcali.

– Nie! – protestowała kobieta, próbując odepchnąć natręta.

Była pijana, ale nie bezwolna.

Igor był niskim umięśnionym mężczyzną o zaskakującej krzepie. Przyparł kobietę do ściany i złapał ją za nadgarstki.

– No, dalej, jeden wojak nie gorszy od drugiego.

Kobieta wyrывała się, lecz dwóch innych żołnierzy pochwyciło ją i przytrzymało.

– Hej, zostawcie ją! – rzucił jej pierwszy partner.

– Ty sobie użyłeś, teraz moja kolej – odparł Igor, rozpinając spodnie.

Grigorij patrzył na to z odrazą.

– Przestańcie! – krzyknął.

Igor rzucił mu wyzywające spojrzenie.

– Wydajecie mi rozkaz jako oficer, Grigoriju Siergiejewiczu?

– Niejako oficer, lecz jako człowiek! Daj jej spokój, Igorze.

Czy nie widzisz, że ona cię nie chce? Masz mnóstwo innych kobiet.

– Ale mnie się chce akurat tej. – Igor się rozejrzał. –

Wszystkim nam się chce, prawda, koledzy?

Grigorij podszedł do niego i stanął z rękami opartymi na biodrach.

– Mężczyźni z was czy psy?! Ta kobieta powiedziała „nie”! –

Położył rękę na ramieniu rozgniewanego Igora. – Powiedzcie, towarzyszu, można się tu gdzieś napić?

Igor się uśmiechnął, żołnierze także. Kobieta zdołała się wymknąć.

– Widzę hotelik po drugiej stronie ulicy – ciągnął Grigorij. – Zagadniemy właściciela, może przypadkiem ma wódkę?

Żołnierze krzyknęli radośnie i gromadą ruszyli w stronę hotelu. Wystraszony właściciel lokalu rozlewał w holu darmowe piwo. Grigorij pomyślał, że roztropny z niego jegomość. Upicie się piwem zabiera więcej czasu i jest mniejsza szansa, że pijani zaczną rozrabiać. Grigorij przyjął poczęstunek i napił się. Jego uniesienie prysło. Czuł się tak, jakby nagle otrzeźwiał po pijaństwie. Incydent z rozwiązłą kobietą nim wstrząsnął, a widok chłopca strzelającego z pistoletu do żołnierza był straszny. Rewolucja nie polega tylko na zrzuceniu kajdan. Uzbrojenie ludu niesie groźbę. Żołnierze siadający za kierownicami samochodów burżujów są prawie tak samo niebezpieczni. Nawet pozornie niewinna swoboda całowania się z każdą chętną dziewczyną w ciągu kilku godzin doprowadziła do tego, że pluton Peszkowa o mało nie dopuścił się zbiorowego gwałtu.

To nie może dłużej trwać.

Musi być jakiś porządek. Rzecz jasna, Grigorij nie chciał powrotu starego. Dziełem cara były kolejki po chleb, brutalność policji oraz to, że żołnierze chodzili bez butów. Jednak trzeba oddzielić wolność od chaosu.

Grigorij powiedział półgłosem, że musi wyjść za potrzebą, i wymknął się z hotelu. Ruszył Newskim Prospektem tam, skąd przyszedł. Dzisiejsza bitwa zakończyła się triumfem ludu, carska policja i oficerowie ponieśli klęskę. Jeśli jednak to zwycięstwo doprowadzi do eskalacji przemocy, ludzie rychło zapragną powrotu starego reżimu.

Kto trzyma ster władzy? Wczoraj Grigorij dowiedział się od Kiereńskiego, że Duma rzuciła wyzwanie carowi i nie zgodziła się przerwać obrad. Parlament miał niewielkie uprawnienia, lecz przynajmniej stanowił symbol demokracji. Grigorij postanowił dotrzeć do Pałacu Taurydzkiego i sprawdzić, jaka jest sytuacja. Pomaszerował na północ ku rzece, a następnie skręcił na wschód w stronę Ogrodów Taurydzkich. Nim tam dotarł, zapadł zmierzch. W klasycystycznej fasadzie pałacu błyszcząły dziesiątki rozświetlonych okien. Kilka tysięcy osób wpadło na ten sam pomysł, co on. Rozległy dziedziniec zapełnił się robotnikami oraz żołnierzami. Jakiś mężczyzna z megafonem raz po raz powtarzał ogłoszenie. Grigorij przecisnął się bliżej, by go usłyszeć.

– Grupa Robotnicza z Komitetu Przemysłu Zbrojeniowego została uwolniona z więzienia Kriesty! – oznajmił mówca.

Grigorij nie wiedział, o kim mowa, lecz nazwa przypadła mu do gustu.

– Wraz z innymi towarzyszami utworzyli Tymczasową Egzekutywę Komitetu Rady Deputowanych Robotniczych.

Grigorij przyklasnął temu pomysłowi. W 1905 roku w Sankt Petersburgu istniała podobna rada deputowanych robotniczych. Miał wtedy zaledwie szesnaście lat, lecz wiedział, że robotnicy fabryczni wybrali radę i zorganizowali strajk. Na jego czele stanął charyzmatyczny przywódca Lew Trocki, który później trafił na zesłanie.

– Wszystko zostanie oficjalnie ogłoszone w specjalnym numerze gazety „Izwestia”. Egzekutywa utworzyła Komitet Dostaw Żywności mający dopilnować, by robotnicy i żołnierze mieli zapewnione wyżywienie. Utworzyła również Komisję Wojskową, której celem będzie obrona rewolucji.

Nie padło ani jedno słowo o Dumie. Tłum zaczął wiwatować, lecz Grigorij nie był pewny, czy żołnierze podporządkują się samozwańczej Komisji Wojskowej. Gdzie w tym wszystkim demokracja?

Jego wątpliwości rozwiało ostatecznie zdanie ogłoszenia:

– Komitet apeluje do robotników i żołnierzy, by jak najprędzej wybrali swoich przedstawicieli do rady i skierowali ich do pałacu. Zostaną oni członkami nowego rządu rewolucyjnego!

Właśnie to pragnął usłyszeć Grigorij. Nowy rząd rewolucyjny, rada robotniczo-żołnierska. Teraz nastąpi przemiana, która nie

spowoduje zamieszek. Pełen entuzjazmu odwrócił się na pięcie i skierował w stronę koszar. Żołnierze prędej czy później wróca na noc do jednostki. Nie mógł się doczekać, kiedy przekaże im nowinę.

Po raz pierwszy wezmą udział w wyborach.

IV.

Nazajutrz rano Pierwszy Pułk Karabinów Maszynowych zebrał się na placu, gdzie odbywały się defilady, by wybrać przedstawiciela do Piotrogradzkiej Rady Delegatów. Izaak wysunął kandydaturę sierżanta Grigorija Peszkowa.

Został wybrany jednomyślnie.

Przyjął to z radością. Znał życie robotników i żołnierzy.

Postanowił, że wniesie na salony władzy zapach fabryki. Nigdy nie zapomni o swoich korzeniach i nie włoży melonika. Postara się, by zamieszki przyniosły poprawę życia ludu, nie zaś rozpasane akty przemocy. Teraz będzie mógł sprawić, by Katerinie i Władimirowi lepiej się żyło.

Szybkim krokiem pokonał most Litiejny i skierował się w stronę Pałacu Taurydzkiego. Najpilniejszym priorytetem jest chleb. Katerina, mały oraz dwa i pół miliona mieszkańców Piotrogradu muszą coś jeść. Poczawszy nagłe brzemie odpowiedzialności, istniejącej wyłącznie w jego wyobraźni, przeraził się. Chłopi i młynarze muszą dostarczać piotrogradzkim piekarzom więcej mąki, lecz nie zrobią tego, jeśli im się nie zapłaci. Skąd rada zdobędzie wystarczającą ilość pieniędzy? Przyszło mu na myśl, że obalenie rządu mogło być najłatwiejszą częścią zadania.

Pałac miał długą główną fasadę oraz dwa skrzydła. Okazało się, że obradują zarówno Duma, jak i rada. Odpowiednio do swego charakteru politycznego Duma, stary parlament klasy średniej, zebrała się w prawym skrzydle, rada zaś – w lewym. Kto jednak trzyma władzę? Tego nikt nie wiedział. Tę kwestię trzeba rozstrzygnąć w pierwszej kolejności, zanim będzie można zająć się prawdziwymi problemami, pomyślał niecierpliwie Grigorij.

Na schodach pałacu dojrzał chudą sylwetkę i gęstą czuprynę Konstantina. Przestraszony uświadomił sobie, że nie podjął żadnej próby zawiadomienia przyjaciela o śmierci jego matki Warii. Szybko jednak zrozumiał, że on już wie. Konstantin nosił na ramieniu czerwoną opaskę, lecz na czapce miał zawiązaną czarną wstążkę. Grigorij objął go serdecznie.

– Widziałem, jak to się stało.

– To ty załatwiłeś policyjnego snajpera?

– Tak, to ja.

– Dziękuję. Jednak prawdziwą zemstą będzie rewolucja.

Konstantin został jednym z dwóch deputowanych z Zakładów Putiłowskich. Przez całe popołudnie zjawiali się nowi i pod wieczór w ogromnej Sali Katarzyny zgromadziło się ich trzy tysiące. Prawie wszyscy byli żołnierzami. Wojskowym łatwiej zorganizować wybory niż robotnikom, gdyż przed wieloma z tych ostatnich zamknięto bramy fabryk. Niektórych deputowanych wybrało kilkadziesiąt osób, innych tysiące. Demokracja nie jest taka łatwa, jak się wydawało.

Padła propozycja, by zgromadzeniu nadać nazwę Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Pomysł spotkał się z gromkim aplauzem. Nie stosowano żadnych procedur. Nie było planu obrad, przedstawiania i popierania wniosków ani regulaminu głosowania. Ktoś wstawał i zabierał głos, nierzadko mówiła więcej niż jedna osoba. Na podeście siedziało kilku osobników podejrzanie przypominających inteligentów i coś skrzętnie notowało. Grigorij domyślił się, że to członkowie utworzonej wczoraj egzekutywy. Dobrze, że ktoś przynajmniej dokumentuje przebieg obrad.

Chaos mógł niepokoić, lecz mimo to w sali panował nastrój radosnego uniesienia. Wszyscy czuli, że stoczyli bitwę i ją wygrali. Na dobre czy złe, tworzą zupełnie nowy świat.

Nikt jednak nie wspominał o chlebie. Rozczarowani bezwładem panującym w radzie Grigorij i Konstantin, korzystając z zamieszania, opuścili Salę Katarzyny i przeszli do drugiego skrzydła pałacu, by sprawdzić, czym zajmuje się Duma. Po drodze zauważyli w holu żołnierzy z czerwonymi opaskami, którzy gromadzili żywność i amunicję, jakby szykowali się do oblężenia. To jasne, że car nie pogodzi się tak po prostu z tym, co się stało, pomyślał Grigorij. Spróbuje odzyskać władzę siłą, to zaś będzie oznaczało szturm na pałac.

W prawym skrzydle pałacu spotkali hrabiego Maklakowa, dyrektora Zakładów Putiłowskich. Był delegatem centroprawicy, lecz grzecznie potraktował przybyszów. Poinformował ich o utworzeniu Tymczasowego Komitetu Członków Dumy do spraw Przywrócenia Porządku w Stolicy oraz Ustanowienia Stosunków z Osobami i Instytucjami. Nazwa była nedorzecznie długa i skomplikowana, lecz Grigorij odniósł wrażenie, że kryje się za nią groźna próba przejęcia władzy przez Dumę. Zmartwił się jeszcze bardziej, gdy Maklakow oznajmił, iż na stanowisko komendanta Piotrogradu komitet wyznaczył pułkownika Engelhardta.

– Wszyscy żołnierze otrzymali polecenie powrotu do koszar i podporządkowania się rozkazom – dodał z satysfakcją Maklakow.

– Co takiego? – spytał poruszony Grigorij. – Ależ to zdławi rewolucję. Carscy oficerowie odzyskują władzę!

– Członkowie Dumy nie wierzą, że doszło do rewolucji.

– Ponieważ są durniami – prychnął gniewnie.

Maklakow zadarł nos i się oddalił.

Konstantin też był zły.

– To jest kontrrewolucja! – oburzył się.

– I trzeba ją odeprzeć – podchwycił Grigorij.

Czym prędzej wrócili do lewego skrzydła. W wielkiej sali przewodniczący zgromadzenia usiłował zapanować nad obradami.

Grigorij wskoczył na podest.

– Mam pilne ogłoszenie!

– Tak jak każdy tutaj – zauważył przewodniczący znużonym głosem. – Ale co tam, mówcie.

– Duma chce nakazać żołnierzom powrót do koszar i poddanie się władzy oficerów!

Delegaci odpowiedzieli gromkim okrzykiem protestu.

– Towarzysze! – ryknął, przekrzykując tłum. – W ten sposób otwiera się drogę do powrotu starego porządku!

Drugi głośny okrzyk potwierdził jego słowa.

– Ludziom w mieście potrzebny jest chleb, kobiety muszą czuć się bezpiecznie na ulicach. Fabryki niech się otworzą, młyny niech miela mąkę, ale wszystko musi się dziać inaczej niż dotychczas.

Zgromadzeni nastawili uszu, nie wiedząc, do czego mówca zmierza.

– My, żołnierze, musimy przestać napadać na burżujów, nękać kobiety na ulicach i okradać sklepy z alkoholem. Trzeba nam wrócić do koszar, otrzeźwieć i podjąć swoje obowiązki, ale... – Grigorij dramatycznie zawiesił głos – na naszych warunkach!

Rozległ się szmer aprobaty.

– A co to za warunki?

– Rozkazy niech wydają wybrane komitety, a nie oficerowie! – krzyknął ktoś z sali.

– Precz z „jaśnie panami” i „waszymi ekscelencjami”. Powinno się ich nazywać pułkownikami i generałami.

– Koniec z salutowaniem! – dodał inny żołnierz.

Grigorij nie wiedział, co dalej robić. Każdy miał jakiś pomysł. Nie sposób było wszystkich wysłuchać, a tym bardziej zapamiętać. W sukurs przyszedł mu przewodniczący.

– Niech wszyscy, którzy chcą coś zaproponować, zbiorą się obok towarzysza Sokołowa. – Nikołaj Sokołow był lewicowym adwokatem. Dobrze, pomyślał Peszków. Potrzebny nam ktoś, kto sformułuje nasze propozycje w poprawnym języku prawniczym. – Kiedy ustalicie, co chcecie zaproponować, przynieście swoje postulaty radzie.

– Zgoda.

Zeskoczył z podestu. Sokołow siedział przy stoliku w końcu sali. Grigorij i Konstantin podeszli do niego wraz z kilkunastoma innymi deputowanymi.

– Doskonale – rzekł Sokołow. – Do kogo wniosek jest zaadresowany?

Grigorij znów znalazł się w kropce. Już miał powiedzieć „Do całego świata”, lecz jakiś żołnierz wtrącił:

– Do garnizonu piotrogrodzkiego.

– I do wszystkich żołnierzy gwardii, armii i artylerii – dodał inny.

– A także floty – podpowiedział następny.

– Bardzo dobrze. – Sokołow zanotował. – Do niezwłocznego i ścisłego wykonania, jak rozumiem?

– Tak jest.

– I do wiadomości robotników Piotrogradu?

– Tak, tak – rzucił niecierpliwie Grigorij. – Kto zaproponował wybieranie komitetów w wojsku?

– Ja – odpowiedział żołnierz z siwymi wąsami, siedzący na krawędzi stołu dokładnie naprzeciwko Sokołowa. – Wszystkie oddziały tworzą komitety złożone z wybranych przedstawicieli – podyktował.

– We wszystkich kompaniach, batalionach, pułkach... – mówił Sokołow, zapisując te słowa.

– Składach, bateriach, szwadronach, na okrętach... – dodał ktoś.

– Ci, którzy jeszcze nie wyznaczyli deputowanych, muszą to zrobić – ciągnął mężczyzna z siwymi wąsami.

– Dobrze. – Peszkowa zżerała niecierpliwość. – Broń wszelkiego rodzaju, w tym samochody pancerne, jest w dyspozycji komitetów batalionowych i kompanijnych, nie zaś oficerów. Kilku żołnierzy przytaknęło.

– Świetnie – mruknął Sokołow.

– Jednostka wojskowa podlega Radzie Robotników i Żołnierzy i jej komitetom – ciągnął Grigorij.

Sokołow po raz pierwszy podniósł głowę.

– To oznacza, że rada sprawuje kontrolę nad armią?

– Właśnie tak. Rozkazy Komitetu Wojskowego Dumy mają być wykonywane tylko wtedy, gdy nie są sprzeczne z decyzjami rady. Sokołow wciąż patrzył na Grigorija.

– W ten sposób Duma będzie pozbawiona władzy, tak jak do tej pory. Przedtem zależała od kaprysu cara, teraz każda jej decyzja będzie wymagała aprobaty rady.

– Otóż to.

– A więc rada stanowi najwyższą władzę.

– Zapiszcie to – poprosił Grigorij.

Sokołow spełnił prośbę.

– Oficerom zabrania się być niegrzecznymi wobec żołnierzy innych stopni – podsunął ktoś.

– Dobrze – przytaknął Sokołow.

– I nie wolno im mówić do nich „ty” jak do bydła albo dzieci. Grigorij pomyślał, że to trywialne uwagi.

– Trzeba jakoś zatytułować ten dokument.

– Co proponujecie? – spytał Sokołow.

– Jakie tytuły nosiły poprzednie ustawy rady?

– Nie było poprzednich ustaw. Ta jest pierwsza.

– W takim razie niech się nazywa Ustawa Numer Jeden.

V.

Grigorij czerpał głęboką satysfakcję z faktu, że wprowadził swoją pierwszą ustawę jako wybrany przedstawiciel narodu. W ciągu następnych dwóch dni było ich jeszcze kilka, a on bardzo się zaangażował w codzienną pracę rządu rewolucyjnego. Nadal jednak myślał o Katerinie i Władimirze. W czwartek wieczorem zdołał się wreszcie wymknąć, by ich zobaczyć.

Zmierzał w kierunku południowo-zachodnich peryferii miasta z sercem pełnym złych przeczuc. Katerina obiecała, że będzie unikała niebezpieczeństw, lecz kobiety z Piotrogradu uważały, że rewolucja jest sprawą zarówno mężczyzn, jak i ich. Wszak wszystko zaczęło się w Międzynarodowym Dniu Kobiet. Nie było to nic nowego. Matka Grigorija zginęła podczas nieudanej rewolucji 1905 roku. Gdyby Katerina wybrała się do centrum miasta z dzieckiem na ręku, nie byłaby tam jedyną matką. Wielu niewinnych ludzi straciło życie z rąk policji, pod nogami tłumu lub kołami samochodów prowadzonych przez pijanych żołnierzy czy od zabłąkanej kuli. Wchodząc do domu, Grigorij bał się, że któraś lokatorka z zatroskaną twarzą i łzami w oczach oznajmi: „Stała się straszna rzecz...”.

Dotarłszy do szczytu schodów, zapukał do drzwi i wszedł.

Katerina poderwała się z krzesła i rzuciła w jego ramiona.

– Żyjesz! – Ucałowała go gorąco. – Tak się martwiłam!

Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Przykro mi, że nie mogłem przyjść wcześniej. Jestem delegatem do rady.

– Jesteś delegatem?! – Katerina pokraśniała z dumy i uściskała go jeszcze raz. – Mój mąż!

On zaś uświadomił sobie, że naprawdę jej zaimponował. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

– Delegat tylko reprezentuje tych, którzy go wybrali – wyjaśnił skromnie.

– Ale ludzie zawsze wybierają najmądrzejszych i najuczciwszych.

– W każdym razie starają się, by tak było.

Pokoik oświetlał mdły blask lampy naftowej. Grigorij położył na stole paczkę. Dzięki nowemu stanowisku bez trudu dostawał żywność z koszarowej kuchni.

– Są tam także zapalki i koc – oznajmił.

– Dziękuję!

– Mam nadzieję, że siedziałeś w domu. Na ulicach wciąż jest niebezpiecznie. Niektórzy z nas robią rewolucję, ale inni po prostu wariują.

– Prawie w ogóle nie wychodziłam. Czekałam na wiadomość od ciebie.

– Jak nasze dziecko? – Chłopczyk spał na posłaniu w kącie pokoju.

– Tęskni za tatusem.

Katerina miała na myśli Grigorija. To nie on chciał, by Władimir nazywał go tatą, lecz ona. Zapewne nie zobaczą już Lwa, który od prawie trzech lat nie daje znaku życia, więc dziecko nigdy nie pozna prawdy. I może tak będzie lepiej.

– Szkoda, że śpi – rzekła Katerina i westchnęła. – Uwielbia, kiedy tu jesteś.

– Porozmawiam z nim rano.

– Możesz zostać na noc? To cudownie!

Grigorij usiadł, a Katerina uklękła i ściągnęła mu buty.

– Masz zmęczoną twarz.

– Jestem zmęczony.

– Chodźmy do łóżka. Późno się zrobiło.

Zaczęła rozpinać jego płaszcz. Grigorij odchylił się do tyłu.

– Generał Chabałow ukrywa się w budynku Admiralicji.

Baliśmy się, że będzie chciał odbić dworce kolejowe, ale nawet nie podjął takiej próby.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Z tchórzostwa. Car rozkazał Iwanowowi maszerować na Piotrogród i ustanowić dyktaturę wojskową, ale żołnierze Iwanowa zbuntowali się i operacja została odwołana.

Katerina ściągnęła brwi.

– Czyżby stara klasa panująca tak zwyczajnie dała za wygraną?

– Na to wygląda. Dziwne, prawda? Ale kontrrewolucji nie będzie.

Położyli się do łóżka. Grigorij był w bieliźnie, a Katerina wciąż miała na sobie sukienkę. Nigdy nie rozbierała się przy nim do naga. Może uważała, że ma coś do ukrycia. To było jej małe dziwactwo, które akceptował, choć nie bez odrobiny żalu. Wziął ją w ramiona i pocałował.

– Kocham cię – szepnęła, gdy w nią wchodził.

Grigorij poczuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Później zapytała sennym głosem:

– Co będzie dalej?

– Odbędzie się posiedzenie Konstytuanty wybranej w powszechnym, bezpośrednim, tajnym i równoprawnym głosowaniu.

Tymczasem Duma tworzy Rząd Tymczasowy.

– Kto stanie na jego czele?

– Lwów.

Katerina usiadła, odsłaniając piersi.

– Książę! Dlaczego?

– Chodzi o to, żeby rząd miał zaufanie wszystkich klas.

– Do diabła ze wszystkimi klasami! – W gniewie Katerina była jeszcze piękniejsza. Jej twarz nabierała kolorów, oczy błyszczały. – To robotnicy i żołnierze przeprowadzili rewolucję, po co nam zaufanie innych klas?

To pytanie nurtowało także Grigorija.

– Potrzebujemy przedsiębiorców, by znów otworzyli fabryki, hurtowników, by wznowili dostawy, oraz sklepikarzy, by otworzyli sklepy – wyjaśnił.

– A co będzie z carem?

– Duma domaga się jego abdykacji. Wysłano do Pskowa dwóch delegatów, którzy mieli go o tym zawiadomić.

– Car abdykuje? – zdziwiła się Katerina. – To naprawdę będzie koniec.

– Tak.

– Czy to możliwe?

– Nie wiem. Jutro się przekonamy.

VI.

Debata, która toczyła się w piątek w Pałacu Taurydzkim, była chaotyczna. W Sali Katarzyny zgromadziło się dwa lub nawet trzy tysiące mężczyzn i garstka kobiet. Powietrze wypełniał smród dymu oraz nieumytych żołnierzy. Wszyscy czekali na informację o decyzji cara.

Obrady często przerywano ogłoszeniami. Nie wszystkie były naprawdę pilne. Czasem wstawał jakiś żołnierz, by poinformować, że w jego batalionie utworzono komitet i aresztowano pułkownika. Częstokroć nie były to nawet ogłoszenia, lecz przemowy nawołujące do obrony rewolucji.

Nastrój się zmienił, gdy na podest wskoczył siwowłosy sierżant o zaczerwienionej twarzy. Z trudem łapiąc oddech i trzymając w ręku kartkę, poprosił o ciszę.

– Car podpisał dokument... – zaczął powoli, lecz dobitnie.

Tu i ówdzie rozległy się okrzyki radości.

– ...o abdykacji – dokończył podniesionym głosem sierżant.

Odpowiedział mu donośny ryk. Peszkowa przeszył dziwny dreszcz. Czy to możliwe? Czyżby marzenie się spełniło? Sierżant uniósł rękę. Jeszcze nie skończył wystąpienia.

– ...ze względu na słabe zdrowie siedemnastoletniego syna Aleksandra wyznaczył na następcę Wielkiego Księcia Michaiła, swojego młodszego brata.

Okrzyki radości zmieniły się w wycie.

– Nie! – wrzasnął Grigorij, lecz jego głos utonął w tysiącu innych.

Po kilku minutach delegaci się uspokoili, lecz z zewnątrz dobiegł jeszcze głośniejszy ryk. Tłum zgromadzony na dziedzińcu usłyszał wiadomość i przyjął ją z takim samym gniewem.

– Rząd Tymczasowy nie może na to przystać – rzekł Grigorij do Konstantina.

– Ja też tak uważam. Trzeba im o tym powiedzieć.

Opuścili salę obrad rady i przeszli do drugiego skrzydła pałacu. Ministrowie nowo utworzonego rządu spotykali się w pokoju, w którym naradzali się członkowie dawnego Komitetu Tymczasowego. Większość stanowili ci sami politycy, co nie mogło napawać optymizmem. Rozprawiali o oświadczeniu cara.

Paweł Miliukow, umiarkowany polityk z monoklem w oku, przekonywał, że należy zachować monarchię jako symbol prawowitości władzy.

– Jedna wielka bzdura – mruknął Peszków.

Monarchia symbolizowała niekompetencję, okrucieństwo i klęskę, lecz nie miała nic wspólnego z prawowitością. Na szczęście reszta rządu była tego samego zdania co Grigorij. Kiereński, obecny minister sprawiedliwości, zaproponował, by Wielki Książę Michaił odmówił przyjęcia korony. Na szczęście większość poparła jego wniosek.

Kiereńskiemu i księciu Lwowowi udzielono pełnomocnictwa, by natychmiast udali się do Michaiła. Miliukow łypnął przez monokl.

– Powinienem panom towarzyszyć, by przedstawić opinię mniejszości!

Sierżant pomyślał, że ta niedorzeczna sugestia przepadnie, lecz pozostali ministrowie beztrąsko się na nią zgodzili, więc wstał i oznajmił bez zastanowienia:

– A ja wybiorę się z ministrami do księcia jako obserwator z ramienia Piotrogradzkiej Rady Delegatów.

– Dobrze, zgoda – odparł zmęczonym głosem Kiereński.

Grupa wysłanników opuściła pałac bocznymi drzwiami i wsiadła do dwóch czekających limuzyn marki Renault. W jednym z samochodów zajął miejsce także były przewodniczący Dumy, bardzo tęgi Michaił Rodzianko. Grigorij nie mógł uwierzyć, że uczestniczy w takich wydarzeniach. Został członkiem delegacji, która zakaże następcy tronu przyjmowania korony cara. A przecież niespełna tydzień temu, na rozkaz porucznika Kiryłowa, posłusznie zeskokczył ze stołu w kantine. Świat zmienia się tak szybko, że trudno za nim nadążyć.

Sierżant nigdy nie był w domu bogatego arystokraty, poczuł się więc tak, jakby wkraczał do świata baśni. Ogromne domostwo mieściło tyle przedmiotów. Gdziekolwiek się spojrzeło, wzrok padał na przepyszne wazy, misternie rzeźbione zegary, srebrne kandelabry i wysadzane klejnotami ornamenty. Gdyby wziął złotą misę i uciekł, mógłby za nią dostać tyle pieniędzy, że wystarczyłoby na dom. Tylko że teraz nikt nie kupuje złotych mis, ludzie po prostu chcą chleba.

Książę Gieorgij Lwów, siwowłosa mężczyzna z gęstą brodą, najwyraźniej nie czuł się przytłoczony scenerią ani onieśmielony powagą misji, jego towarzysze zdradzali jednak pewną nerwowość. Czekali w salonie pod surowymi spojrzeniami postaci na starych portretach, przebierając nogami na grubych dywanach.

Po dłuższej chwili zjawił się Wielki Książę Michaił. Był to

trzydziestoosmioletni mężczyzna z przedwczesną łysiną i niewielkim wąsikiem. Grigorij ze zdziwieniem zauważył, że arystokrata denerwuje się bardziej niż oni. Trzymał głowę wyniośle przechyloną, lecz mimo to sprawiał wrażenie onieśmiałego i zagnębionego.

– Co macie mi do powiedzenia? – spytał, zebrawszy się na odwagę.

– Przybyliśmy tutaj prosić, by wasza książęca mość nie przyjmował korony – odparł Lwów.

– O rety – sapnął Michaił. Wydawało się, że nie wie, co ma zrobić.

Kiereński zachował przytomność umysłu.

– Lud Sankt Petersburga przyjął z oburzeniem decyzję Jego Wysokości cara – oznajmił zdecydowanie. – Ogromna rzesza żołnierzy maszeruje na Pałac Taurydzki. Dojdzie do powstania i wojny domowej, jeśli wasza książęca mość natychmiast nie odmówi wstąpienia na tron.

– O mój Boże – westchnął Michaił.

Peszków zrozumiał, że Wielki Książę nie grzeszy inteligencją. Dlaczego mnie to dziwi? – pomyślał. Gdyby ci ludzie byli mądrzy, nie znaleźliby się o krok od utraty rosyjskiej korony.

– Wasza książęca mość, przybyłem tu, by przedstawić punkt widzenia mniejszości Rządu Tymczasowego – odezwał się Miłukow. – Moim zdaniem monarchia jest jedynie symbolem władzy, którą reprezentuje naród.

Michaił zdumiał się jeszcze bardziej. Sierżant uświadomił sobie, że książę nie lubi być stawiany przed koniecznością wyboru.

– Panowie pozwolą, że zamienię parę słów z Rodzianką?

Proszę zostać, my udamy się do sąsiedniego pokoju.

Po wyjściu wystraszonego kandydata na cara i otyłego przewodniczącego Dumy w salonie zaczęły się stłumione rozmowy. Do Grigorija nikt się nie odzywał. Był jedynym robotnikiem wśród obecnych i pozostali delegaci trochę się go bali. Słusznie podejrzewali, że kieszenie jego munduru są wypchane pistoletami oraz amunicją.

Wreszcie Rodzianko wrócił do salonu.

– Książę chce wiedzieć, czy zapewnimy mu bezpieczeństwo, w razie gdyby został carem. – Grigorij był zniesmaczony, lecz nie zaskoczony tym, że Wielki Książę bardziej troszczy się o siebie, niż o ojczyznę. – Odpowiedziałem, że to się nie uda.

– A zatem? – spytał Kiereński.

– Książę za chwilę do nas dołączy.

Nastąpiła bardzo długa chwila oczekiwania, aż wreszcie w drzwiach salonu stanął Michaił. Wszyscy zamilkli.

– Postanowiłem zrezygnować z korony – oznajmił po długim milczeniu.

Grigorij miał wrażenie, że jego serce się zatrzymało. Osiem dni, myślał. Osiem dni temu kobiety z Wyborga przemaszerowały po moście Litiejnym. Dziś dobiegło końca panowanie dynastii Romanowów.

Przypomniał sobie słowa matki wypowiedziane w dniu, w którym zginęła: „Nie zaznam spokoju, dopóki Rosja nie stanie się republiką”. Odpoczywaj w spokoju, mateczko.

Kiereński uściskał dłoń Wielkiego Księcia, wypowiadając jakieś pompatyczne zdania, lecz Grigorij go nie słuchał.

Udało się, myślał. Dokonaliśmy rewolucji.

Pozbawiliśmy cara tronu.

VII.

W Berlinie Otto von Ulrich odkorkował olbrzymią butlę szampana Perrier-Jouet rocznik 1892.

Von Ulrichowie zaprosili na lunch rodzinę von der Helbardów.

Ojciec Moniki, Konrad, był hrabią, zatem jego matce przysługiwał tytuł hrabiny. Eva von der Helbard była imponującą kobietą o siwych włosach ułożonych w wymyślną fryzurę. Przed posiłkiem osaczyła Waltera i oznajmiła mu, że Monika jest doskonałą skrzypaczką i miała w szkole najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów. Kątem oka Walter zauważył, że jego matka rozmawia z Moniką, i domyślił się, że składa jej raport o jego świadectwach szkolnych.

Był zły na rodziców za uporczywe swatanie go z Moniką. Sprawy nie ułatwiał fakt, że dziewczyna bardzo go pociągała. Była inteligentna i piękna. Włosy miała zawsze starannie uczesane, on zaś nie mógł przestać wyobrażać sobie, jak rozpuszcza je wieczorem. Ostatnimi czasy miewał trudności z przywołaniem obrazu Maud.

Otto uniósł kielich.

– Na odchodne carowi!

– Dziwię ci się, ojcze – prychnął zirytowany Walter. – Czyżbyś naprawdę cieszył się z faktu, że prawowity monarcha został obalony przez tłuszcę złożoną z robotników i soldateski? Otto poczerwieniał. Siostra Waltera, Greta, poklepała go po rękę. – Nie przejmuj się nim, tato. Walter tylko tak mówi, żeby cię rozzłościć.

– Poznałem cara Mikołaja, gdy byłem w naszej ambasadzie w Piotrogradzie – odezwał się Konrad.

– Jakie zrobił na panu wrażenie? – spytał Walter.

Monika odpowiedziała za ojca. Posyłając Walterowi konspiracyjny uśmiech, odrzekła:

– Tata powiadał, że gdyby car przyszedł na świat w innym środowisku, przy odrobinie wysiłku zdołałby zostać rzetelnym listonoszem.

– Oto tragedia monarchii dziedzicznej. – Walter odwrócił się do ojca. – Jednak z pewnością nie spodoba ci się to, że w Rosji zapanuje demokracja.

– Demokracja? – prychnął Otto. – Zobaczymy. Wiemy tylko tyle, że nowy premier jest liberalnie usposobionym arystokratą.

– Myślisz, że książę Lwów zechce zawrzeć z nami pokój? – zapytała Monika Waltera.

Pytanie było bardzo na czasie.

– Mam taką nadzieję – odparł, starając się nie zerkać na jej biust. – Jeśli będziemy mogli przerzucić wszystkie wojska z frontu wschodniego do Francji, pokonamy aliantów.

Monika uniosła kieliszek i spojrzała Walterowi w oczy.

– Wypijmy za to – zaproponowała.

W zimnym i mokrym okopie w północno-wschodniej Francji żołnierze z plutonu Billy'ego popijali gin.

Butelkę przyniósł zdegradowany oficer Robin Mortimer.

– Specjalnie ją trzymałem – zaznaczył.

– Osłabiasz mnie – jęknął Billy, używając jednego z powiedzonek Mildred. Mortimer był gburowatym nędzarzem i nigdy nie postawił nikomu drinka.

Nalał trunku do blaszanych kubków.

– Za cholerną rewolucję – powiedział. Wszyscy wypili, a potem znów nadstawili naczynia.

Humor dopisywał Billy'emu, jeszcze zanim skosztowali ginu.

Rosjanie pokazali, że wciąż można obalać tyranów.

Śpiewali Czerwony sztandar, gdy zza załomu okopu, kuśtykając i rozchlapując błoto, wyłonił się Fitzherbert. Był teraz pułkownikiem i zrobił się jeszcze bardziej arogancki.

– Ciszej tam! – krzyknął.

Śpiew stopniowo ucichł.

– Oblewamy obalenie rosyjskiego cara! – wyjaśnił Billy.

– On był prawowitym monarchą, a ci, którzy go zdetronizo-

wali, są zbrodniarzami – odparł gniewnie Fitz. – Dość tych przyśpiewek.
Pogarda Billy'ego dla Fitz'a wzrosła jeszcze bardziej.
– Był tyranem, który wymordował tysiące swoich poddanych.
Wszyscy cywilizowani ludzie mają dziś powód do radości.
Fitz przyjrzał mu się uważnie. Nie nosił już opaski i powieka lewego oka była zawsze opadnięta, jednak nie miało to wpływu na jego wzrok.
– Sierżant Williams, mogłem się domyślić. Znam was i waszą rodzinę.
A jakże, pomyślał Billy.
– Wasza siostra agituje na rzecz pokoju.
– Podobnie jak pańska – odparł Billy. Robin Mortimer parsknął głośnym śmiechem i nagle zamilkł.
– Jeszcze jedna bezczelna odzywka i postawię was w stan oskarżenia.
– Proszę wybaczyć.
– A teraz wszyscy mają się uspokoić. Koniec ze śpiewami – rozkazał Fitz i odszedł.
– Niech żyje rewolucja – szepnął Billy.
Fitz udał, że nie słyszy.

– Nie! – krzyknęła księżniczka Bea.
– Uspokój się, proszę – rzekła Maud, która przekazała jej nowinę.
– Oni nie mogą tego zrobić! – krzyczała Bea. – Nie mogą zmusić naszego ukochanego cara do abdykacji! On jest ojcem narodu!
– Może wyjdzie na lepsze...
– Nie wierzę ci! To podłe kłamstwo!
Otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał Grout. Miał zmartwioną minę.
Bea chwyciła japońską wazę z kompozycją z suchej trawy i cisnęła ją przez cały pokój. Naczynie rozbiło się o ścianę. Maud poklepała ją po ramieniu.
– Już dobrze, dobrze. – Nie wiedziała, co jeszcze może zrobić. Cieszyła się z obalenia cara, lecz jednocześnie współczuła Bei, której całe wyobrażenie o świecie legło w gruzach.
Grout skinął palcem i do pokoju wbiegła przestraszona pokojówka. Wskazał kawałki wazy i dziewczyna zaczęła je zbierać. Na stole stała zastawa do herbaty: filiżanki, spodki, czajniczki, dzbanuszki z mlekiem i śmietanką, a także cukierniczka. Bea gwałtownym ruchem zrzuciła wszystko na podłogę.
– Ci rewolucjoniści wszystkich wymordują!
Kamerdyner uklęknął i zaczął sprzątać.
– Nie ekscytuj się tak! – syknęła Maud.
Bea się rozplakała.
– Biedna caryca i jej dzieci! Co z nimi będzie?
– Powinnaś się na chwilę położyć. Chodź, pójdziemy do twojego pokoju.
Maud wzięła Beę pod rękę, a ta pozwoliła się wyprowadzić.
– To koniec wszystkiego – szlochała Bea.
– Nie szkodzi – uspokajała ją Maud. – Może to będzie nowy początek.

Ethel i Bernie wybrali się do Aberowen. To było coś w rodzaju miesiąca miodowego. Z radością pokazywała mu miejsca, w których spędziła dzieciństwo: szyb, kaplicę, szkołę. Oprowadziła go nawet po Ty Gwyn – Fitz'a i Bei akurat nie było – lecz do apartamentu Gardenia go nie zabrała.
Zamieszkali u rodziny Griffithsów, która znów oddała do dyspozycji Ethel pokój Tommy'ego. Dzięki temu Gramper mógł spać u siebie. Siedzieli właśnie w kuchni, gdy wpadł Len, ateista i socjalista, zwolennik rewolucji. W rękę trzymał gazetę.

– Car abdykował!
Wszyscy się ucieszyli i zaczęli klaskać. Od tygodnia dochodziły wieści o zamieszkach w Piotrogradzie. Ethel zastanawiała się, do czego doprowadzą.
– Kto przejął władzę? – chciał wiedzieć Bernie.
– Rząd Tymczasowy pod przewodnictwem księcia Lwowa – odparł Len.
– Trudno to uznać za triumf socjalizmu – zauważył Bernie.
– Ano, trudno.
– Uszy do góry! – pocieszyła ich Ethel. – Wszystko po kolei. Chodźmy do Dwóch Koron i uczcijmy to. Zostawię na chwilę Lloyda z panią Ponti.
Kobiety nałożyły kapelusze i wszyscy poszli do pubu. W niepełna godzinę lokal się zapełnił. Zdziwiona Ethel ujrzała w drzwiach matkę i ojca. Pani Griffiths także ich zauważyła.
– Co oni tu, do diabła, robią?
Kilka minut później Ethel zobaczyła, że jej ojciec wchodzi na krzesło i prosi o ciszę.
– Wiem, że niektórzy z was zdziwili się na mój widok. – Uniósł szklanę. – Jednak są okazje, które trzeba uczcić w szczególny sposób. Nie zmieniłem zwyczajów, ale właściciel był miły i podał mi szklaneczkę z kranówką. – Goście parsknęli śmiechem. – Przyszedłem tutaj, by uczcić z sąsiadami wielkie zwycięstwo, do którego doszło w Rosji. Wznoszę toast za rewolucję! Wszyscy odpowiedzieli mu i wypili.
– Coś takiego! Tata w Dwóch Koronach – mruknęła zdziwiona Ethel. – Nigdy bym nie pomyślała, że tego doczekam.

W supernowoczesnym domu Josefa Vyalova na prerii w Buffalo Lev Peshkov częstował się drinkiem z barku. Nie pił już wódki. Zamieszkawszy u bogatego teścia, zagustował w szkockiej whisky. Pił ją na sposób amerykański, z kostkami lodu. Nie podobało mu się, że mieszka z teściami. Wolałby, aby on i Olga mieli własny dom. Jednak Oldze to odpowiadało, ojciec zaś za wszystko płacił. Lev był unieruchomiony do czasu, aż sam uzbiera jakąś sumkę.
Josef czytał gazetę, a Lena szyła. Lev uniósł szklanę.
– Niech żyje rewolucja! – powiedział z przekonaniem.
– Uważaj, co mówisz – ostrzegł go Josef. – Interesy mogą ucierpieć.
Do pokoju weszła Olga.
– Nalej mi szklaneczkę sherry, kochanie.
Lev stłumił westchnienie. Olga lubiła prosić go o drobne przysługi, a on w obecności rodziców nie mógł odmawiać. Nalał trunku do małej szklanki i podał żonie, kłaniając się jak kelner. Uśmiechnęła się ładnie, nie zauważwszy w tym geście ironii. Upił łyk szkockiej, rozkoszując się jej smakiem i ognistym pieczeniem w gardle.
– Żal mi biednej carycy i jej dzieci – rzekła pani Vyalov. – Co oni teraz poczną?
– Wszyscy zginą z rąk motłochu – orzekł Josef. – Wcale bym się nie zdziwił.
– Biedactwa. Co też car zrobił rewolucjonistom, by zasłużyć na taki koniec?
– Ja mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie – rzekł Lev. Wiedział, że powinien milczeć, lecz nie umiał się powstrzymać, zwłaszcza gdy whisky rozgrzewała mu trzewia. – Gdy miałem jedenaście lat, zastrajkowała fabryka, w której pracowała moja matka. Pani Vyalov cmoknęła. Nie była zwolenniczką strajków.
– Policja spędziła w jedno miejsce wszystkie dzieci strajkujących. Nigdy tego nie zapomnę. Truchlałem ze strachu.
– Dlaczego policjanci tak zrobili? – spytała pani Vyalov.
– Wszystkich nas wychłostali różgami po pupach – mówił Lev. – Po to, by dać nauczkę naszym rodzicom.

Pani Vyalov pobladła. Nie mogła ścierpieć, gdy dzieciom lub zwierzętom działa się krzywda.

– Właśnie to car i jego reżim zrobił mnie oraz takim jak ja, mamó. – Potrząsał szklanką tak, by kostki lodu zadzwoniły o szkło. – I dlatego piję za rewolucję.

– Jakie jest twoje zdanie, Gus? – spytał prezydent Wilson. – Ty jako jedyny byłeś w Piotrogradzie. Co może się wydarzyć?

– Nie cierpię mówić jak urzędnik z Departamentu Stanu, ale sprawy mogą przybrać różny obrót.

Prezydent parsknął śmiechem. Znajdowali się w Gabinetcie Owalnym. Gospodarz siedział za biurkiem, a Gus stał.

– Strzelaj – zachęcił Wilson. – Rosjanie wycofają się z wojny czy nie? To najważniejsze pytanie roku.

– No cóż, wszyscy ministrowie nowego rządu należą do okropnych partii politycznych mających w nazwach takie słowa jak „socjalistyczny” czy „rewolucyjny”, lecz w gruncie rzeczy są biznesmenami i inteligentami, przedstawicielami klasy średniej. W istocie dążą do rewolucji burżuazyjnej, która da im większą swobodę działalności przemysłowej i handlowej. Jednak lud chce chleba, pokoju i ziemi: chleba dla robotników, pokoju dla żołnierzy, a ziemi dla chłopstwa. Nie jest to na rękę ludziom takim jak Lwów i Kiereński. Myślę, że rząd Lwowa będzie dążył do stopniowych przemian. I nie zaprzestanie prowadzenia wojny. Jednak robotników to nie zadowoli.

– Kto odniesie ostateczne zwycięstwo?

Podczas wizyty w Sankt Petersburgu Gus widział, jak robotnik demonstruje formowanie koła lokomotywy w brudnej, popadającej w ruinę odlewni Zakładów Putiłowskich. Później zobaczył tego samego mężczyznę bijącego się z policjantem o dziewczynę. Nie zapamiętał nazwiska robotnika, lecz utkwiał mu w pamięci obraz jego szerokich barków, silnych rąk i obciętego palca. Oraz wyraz zacieklej, niepowstrzymanej determinacji w niebieskich oczach.

– Lud rosyjski – odparł. – To on ostatecznie zwycięży.

ROZDZIAŁ 24

Kwiecień 1917 roku

i.

W ciepły dzień wczesną wiosną Walter spacerował z Moniką von der Helbard po ogrodzie przy kamienicy jej rodziców. Dom był wielki, podobnie jak ogród, w którym znajdowały się pawilon tenisowy, kręgielnia, wybieg do ćwiczenia jazdy konnej oraz plac zabaw dla dzieci z huśtawkami i zjeżdżalnią. Walter pamiętał, jak przychodził tu w dzieciństwie i wydawało mu się, że jest w raju. Teraz jednak nie był to już sielankowy plac zabaw. Wszystkie konie, oprócz najstarszych, trafiły do wojska. Między płaskimi kamieniami rozległego tarasu grzebały kury. Ojciec Moniki tuczył prosiaka w pawilonie tenisowym. Kozy skubały trawę, na której niegdyś grano w kręgle. Wieść niosła, że hrabina sama je doi.

Jednak stare drzewa puszczały liście, świeciło słońce, a Walter zdjął płaszcz i zarzucił go sobie na ramię. Był w samej kamizelce i koszuli. To z pewnością nie spodobałoby się jego matce, lecz ona siedziała w domu z gospodynią i plotkowała. Greta, siostra Waltera, wymyśliła jakiś pretekst i zostawiła parę sam na sam. To także nie byłoby matce w smak, przynajmniej teoretycznie.

Monika miała psa wabiącego się Pierre, pudła długonogiego i pełnego wdzięku. Miał mnóstwo rdzawej sierści oraz jasnobrązowe ślepia. Walter nie mógł się opędzić od myśli, że psiak przypomina nieco Monikę, mimo że dziewczyna jest urodziwa. Spodobało mu się, jak postępuje z psem. Nie pieściła go, nie

podsuwała mu kąsków ani nie przemawiała dziecięcym głosem, tak jak robiły to niektóre dziewczęta. Pozwoliła mu iść przy nodze i tylko czasem rzucała mu starą piłkę tenisową, by zaaportował.

– Decyzja Rosjan to wielkie rozczarowanie.

Walter skinął głową. Rząd księcia Lwowa obwieścił, że Rosja nie wycofa się z konfliktu. Niemiecki front wschodni nie mógł zostać odciążony, posiłki nie mogły trafić do Francji. Wojna musi trwać.

– Nasza jedyna nadzieja w tym, że rząd Lwowa upadnie i do władzy dojdzie frakcja pokojowa – powiedział Walter.

– Czy to prawdopodobne?

– Trudno ocenić. Lewicowi rewolucjoniści wciąż domagają się chleba, pokoju i ziemi. Rząd obiecał przeprowadzić demokratyczne wybory do Konstytuanty, ale kto wygra? – Walter podniósł z ziemi gałązkę i rzucił Pierre'owi. Pies popędził za nią i dumnie przyniósł. Walter schylił się, by poklepać go po łbie, a gdy się wyprostował, Monika stała tuż przed nim.

– Lubię cię, Walterze – powiedziała, patrząc na niego bursztynowymi oczami. – Czuję, że nigdy nie zabrakłoby nam tematów do rozmowy.

Walter odnosił takie samo wrażenie i wiedział, że gdyby teraz chciał ją pocałować, pozwoliłaby mu.

Odsunął się od niej.

– Ja także cię lubię. I lubię twojego psa. – Roześmiał się, żeby zabrzmiało to żartobliwie.

Mimo to czuł, że zranił Monikę. Przygryzła wargę i odwróciła się. Posunęła się tak daleko, jak mogła się posunąć dobrze wychowana dziewczyna, a on ją odtrącił.

Szli dalej. Odezwała się po dłuższej chwili:

– Zastanawiam się, co ukrywasz.

Mój Boże, ależ ona bystra.

– Niczego nie ukrywam – skłamał. – A ty?

– W każdym razie niczego, o czym warto opowiadać. –

Strzepnęła coś z ramienia Waltera. – Pszczoła.

– Jeszcze za wcześnie na pszczoły.

– Może będziemy mieli wczesne lato.

– Nie jest aż tak ciepło.

Udała, że drży.

– Masz rację, jest chłodno. Przyniesiesz mi okrycie? Jeśli pójdziesz do kuchni i poprosisz pokojówkę, ona coś znajdzie.

– Naturalnie. – Wcale nie było zimno, lecz dżentelmen

nigdy nie odmawia takiej prośbie, jakkolwiek byłaby dziwna.

Najwyraźniej Monika chce zostać na chwilę sama. Walter ruszył w stronę domu. Musiał odrzucić jej awanse, ale było mu przykro, że ją rani. Pasują do siebie, co do tego ich matki się nie pomyliły.

Monika nie mogła zrozumieć, dlaczego Walter wciąż ją odpycha.

Wszedł do domu i dalej schodami do piwnicy, gdzie zastał starszą wiekiem pokojówkę w czarnej sukience i koronkowym czepku. Natychmiast poszła po chustę, a on czekał w holu.

Dom był urządzony w nowoczesnym stylu Jugendstil, który wyparł rokokowe zawijasy tak lubiane przez rodziców Waltera.

Utrzymane w pastelowych barwach pokoje były jasno oświetlone.

Hol z kolumnami zdobił chłodny szary marmur, a na posadzce leżał dywan w kolorze grzybów.

Miał wrażenie, że Maud znajduje się milion mil od niego na innej planecie. W pewnym sensie tak było, gdyż świat sprzed wojny nie wróci. Nie widział żony od trzech lat i nie miał od niej wiadomości. Może się już nigdy nie spotkają. Choć o niej nie zapomniał – bo nigdy nie zapomni namiętności, która ich połączyła – z niepokojem stwierdzał, że nie pamięta szczegółów wspólnie spędzonych chwil: w co była ubrana, gdzie się całowali i trzymali za ręce, co jedli, co pili i o czym rozmawiali podczas niekończących się, wiecznie takich samych przyjęć w Londynie. Czasem wydawało mu się, że wojna w pewnym sensie doprowa-

dziła do ich rozvodu. Jednak odpychał od siebie tę haniebną myśl. Pokojówka przyniosła żółtą kaszmirową chustę. Gdy Walter wrócił do Moniki, ta siedziała na pniu drzewa z Pierre'em u stóp. Podał jej chustę, a ona otuliła nią ramiona. Dobrze jej było w żółtym, przydawał blasku jej oczom oraz skórze. Z dziwnym spojrzeniem podała Walterowi portfel.

– Musiał ci wypaść z kieszeni.

– Dziękuję. – Walter wsunął portfel do kieszeni płaszcza, który wciąż trzymał na ramieniu.

– Wracajmy do domu – powiedziała Monika.

– Jak sobie życzysz.

Jej nastrój się zmienił. Być może zwyczajnie postanowiła z niego zrezygnować. A może coś się wydarzyło?

Nagle coś sobie uzmysłowił. Czy aby portfel naprawdę wypadł mu z kieszeni? Czyżby mu go wyjęła, strzepując z jego ramienia nieistniejącą pszczołę?

– Moniko... – Zatrzymał się. – Zaglądałaś do mojego portfela?

– Mówiłeś, że nie masz żadnych tajemnic – odparła, rumieniąc się.

Bez wątpienia zobaczyła wycinek z gazety z tytułem: Lady Maud Fitzherbert zawsze ubiera się zgodnie z najnowszą modą. Walter zawsze go przy sobie nosił.

– To było bardzo niegrzeczne z twojej strony – rzekł gniewnie. Najbardziej zły był na siebie. Nie powinien nosić tego kompromitującego zdjęcia. Jeśli Monika odgadła jego znaczenie, to mogą też inni. Wtedy czeka go hańba i wyrzucenie z wojska. Może zostać oskarżony o zdradę, trafić do więzienia, a nawet stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Postąpił głupio. Wiedział jednak, że nigdy nie zdoła tego zdjęcia wyrzucić. To wszystko, co ma po Maud.

Monika położyła rękę na jego ramieniu.

– Nigdy czegoś podobnego nie zrobiłam i wstydzę się. Zapewne wiesz, że jestem zrozpaczona. Och, Walterze, tak łatwo mogłabym się w tobie zakochać i ty także byś mnie pokochał, widzę to w twoich oczach i w twoim uśmiechu, kiedy na mnie patrzysz. Ale nic nie powiedziałeś! – W oczach Moniki błyszczały łzy. – To doprowadzało mnie do obłędu.

– Jest mi bardzo przykro. – Walter nie czuł już gniewu.

Monika wykroczyła poza granice konwenansów i otworzyła przed nim serce. Było mu bardzo smutno, żałował i jej, i siebie.

– Musiałam się dowiedzieć, dlaczego wciąż mnie odrzucasz.

Teraz wiem. Jest piękna. Nawet trochę do mnie podobna. – Monika otarła łzy. – Znalazła cię przede mną, to wszystko. – Spojrzała na niego przenikliwie. – Pewnie jesteście zaręczeni.

Walter nie mógł okłamywać kogoś, kto był wobec niego tak szczerzy. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Monika odgadła powód jego milczenia.

– O mój Boże! Jesteście po ślubie, prawda?

To może się skończyć katastrofą.

– Jeśli ktoś się dowie, będę miał poważne kłopoty.

– Wiem.

– Mam nadzieję, że dochowasz tajemnicy.

– Jak możesz o to pytać? Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego spotkałam. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Nie puszczę pary z ust.

– Dziękuję. Wiem, że dotrzymasz słowa.

Monika odwróciła głowę, powstrzymując łzy.

– Wejdźmy do środka.

W holu powiedziała:

– Przepraszam cię na chwilę, muszę umyć twarz.

– Dobrze.

– Mam nadzieję... – Głos Moniki się załamał. Zaczęła łkać. – Mam nadzieję, że ona wie, jakie szczęście ją spotkało – wyszeptwała. Odwróciła się i weszła do pokoju sąsiadującego

z holem.

Walter włożył płaszcz, wziął się w garść i wszedł po marmurowych schodach. Salon urządzone w tym samym stonowanym stylu co hol. Drewno było jasne, a zasłony błękitno-zielone. Stwierdził, że rodzice Moniki mają lepszy gust niż jego matka i ojciec.

Matka spojrzała na niego i od razu wiedziała, że coś się stało.

– Gdzie jest Monika? – spytała ostro.

Walter uniósł brwi. To nie w jej stylu zadawać pytania, na które odpowiedź mogła brzmieć: „Poszła do łazienki”. Była wyraźnie spięta.

– Dołączycy do nas za kilka minut – odrzekł cicho.

– Spójrzcie no tylko. – Ojciec pomachał gazetą. – Przysłano mi to z biura Zimmermanna z prośbą o komentarz. Ci ruscy rewolucjoniści chcą przejechać przez Niemcy. Co za bezczelność! – Otto wypił kilka kieliszków sznapsa i zachowywał się bardzo swobodnie.

– Których to rewolucjonistów masz na myśli, ojczy? – zapytał grzecznie Walter. Nie obchodziło go to, lecz ucieszył się, że jest o czym pomówić.

– Tych w Zurychu! Martowa, Lenina i całą tę zgraję. Po obaleniu cara w Rosji podobno zapanowała wolność słowa, więc chcą wracać do domu, ale nie mogą się tam dostać!

– Nic dziwnego – powiedział z zadumą Konrad von der Helbard, ojciec Moniki. – Nie sposób przedostać się ze Szwajcarii do Rosji, nie jadąc przez Niemcy. Każda inna trasa lądowa musiałaby przeciąć linię frontu. Jednak z Anglii przez Morze Północne do Szwecji wciąż pływają parowce, prawda?

– Owszem, ale ci ludzie nie zaryzykują podróży przez Wielką Brytanię – zauważył Walter. – Brytyjczycy zatrzymali Trockiego i Bucharina. We Francji czy Włoszech mogłoby ich spotkać coś jeszcze gorszego.

– A więc utknęli! – oznajmił triumfalnie Otto.

– Co doradzisz ministrowi Zimmermannowi, ojczy?

– Odmowę, naturalnie. Nie chcemy, by te szumowiny zatrzymały nasz naród. Kto wie, jaką zawieruchę mogą te szatany wywołać w Niemczech.

– Lenin i Martow... – myślał głośno Walter. – Martow jest mienszewikiem, ale Lenin należy do bolszewików. – Niemiecki wywiad żywo interesował się rosyjskimi rewolucjonistami.

– Bolszewicy, mienszewicy, socjaliści, rewolucjoniści – wymienił Otto. – Wszyscy są siebie warci.

– Niezupełnie. Bolszewicy są najbardziej zapalczywi – przypomniał Walter.

– Tym bardziej należy trzymać ich z daleka od naszego kraju – powiedziała z przekonaniem matka Moniki.

Walter puścił tę uwagę mimo uszu.

– Co ważniejsze, bolszewicy za granicą stają się bardziej radykalni niż ci w kraju. Piotrogrodzcy bolszewicy popierają rząd tymczasowy księcia Lwowa, lecz ich towarzysze w Zurychu już nie.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zdziwiła się Greta.

Walter czytał raporty niemieckich agentów w Szwajcarii, przechwytyjących pocztę rewolucjonistów.

– Parę dni temu Lenin wygłosił w Zurychu przemówienie, w którym potępił Rząd Tymczasowy.

Otto machnął lekceważąco ręką, lecz Konrad von der Helbard pochylił się w stronę Waltera.

– Co ci chodzi po głowie, młodzieńcze?

– Odmawiając rewolucjonistom prawa przejazdu przez Niemcy, chronimy Rosję przed wywrotową ideologią.

– Wyjaśnij to, proszę. – Matka patrzyła na niego zaskoczona.

– Uważam, że powinniśmy pomóc tym niebezpiecznym ludziom przedostać się do ojczyzny. Kiedy się tam znajdą, albo podejmą próbę obalenia rosyjskiego rządu, osłabiając w ten sposób

jego zdolność do prowadzenia wojny, albo przejmą władzę i zawrą z nami pokój. Niemcy zyskają w każdym przypadku.
Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali się nad słowami Waltera. Nagle Otto roześmiał się gromko i klasnął.
– Mój syn! Jednak jest w nim coś ze starego ojca!

II.

Najdroższa!

Zurych jest zimnym miastem położonym nad jeziorem – pisał Walter – lecz słońce oświetla wodę, zielone wzgórza wokół i widoczne w oddali Alpy. Ulice tworzą szachownicę i nie mają zakrętów. Szwajcarzy lubią porządek jeszcze bardziej niż Niemcy! Szkoda, że Cię tu nie ma, ukochana przyjaciółko. Chciałabym, żebyś była wszędzie, gdzie ja jestem!!!

Trzy wykrzykniki miały wywołać u cenzora pocztowego wrażenie, że autorką listu jest egzaltowana dziewczyna. Walter przebywał w neutralnej Szwajcarii, lecz mimo to robił wszystko, by tekst listu nie pozwolił ustalić tożsamości ani autora, ani adresata.

Zadaję sobie pytanie, czy cierpisz z powodu niemile widzianych względów okazywanych Ci przez kawalerów. Jesteś piękna i czarująca, więc na pewno tak się dzieje. Ja cierpię z tego samego powodu. Nie mam urody ani czaru, lecz i tak muszę znosić pewne awanse. Matka wybrała mi kogoś, przyjaciela mojej siostry, którego od zawsze znam i lubię. W pewnym momencie sytuacja stała się trudna. Obawiam się, że osoba ta odkryła, iż żywię do niej uczucie przyjaźni wykluczające ożenek. Ufam jednak, że nasza tajemnica pozostaje niezagrożona.

Gdyby cenzor zadał sobie trud i doczytał do tego miejsca, doszedłby do wniosku, że list napisała lesbijka do kochanki. To samo pomyśli w Anglii każdy, kto przeczyta list. To bez znaczenia. Maud skończyła dwadzieścia sześć lat i jest samotną feministką, toteż padły na nią podejrzenia o safickie skłonności. Za kilka dni znajdę się w Sztokholmie, innym chłodnym mieście nad wodą. Możesz przysłać mi tam list do Grand Hotelu.

Szwecja, podobnie jak Szwajcaria, zachowała neutralność i utrzymywała połączenia pocztowe z Anglią.

Tak bardzo tęsknię za wiadomością od Ciebie!!!

Do tego czasu, najdroższa, pamiętaj o swojej ukochanej...
Waltraud

III.

Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom w piątek szóstego kwietnia 1917 roku.

Walter spodziewał się tego, lecz mimo to wiadomość ta była dla niego ciosem. Ameryka to bogaty, demokratyczny i prężny kraj, trudno sobie wyobrazić gorszego wroga. Jediną nadzieję mógł obecnie pokładać w tym, że Rosja upadnie, dając Niemcom szansę odniesienia zwycięstwa na froncie zachodnim, zanim Amerykanie zdążą rozbudować swoje siły.

Trzy dni później trzydziestu dwóch rosyjskich rewolucjonistów na wygnaniu spotkało się w hotelu Zahringerhof w Zurychu. Byli wśród nich mężczyźni, kobiety oraz jedno dziecko, czteroletni chłopczyk imieniem Robert. Z hotelu przeszli do zwieńczonego barokowym łukiem dworca kolejowego i wsiedli do pociągu zmierzającego do rodzinnego kraju.

Walter żywił obawy co do tego, czy Rosjanie wyjadą. Mien-

szewik Martow odmówił wyjazdu bez zezwolenia Rządu Tymczasowego w Piotrogradzie. Był to osobliwy gest szacunku ze strony rewolucjonisty. Zezwolenia nie wydano, lecz Lenin oraz bolszewicy i tak postanowili jechać. Walter chciał dopilnować, by podróż przebiegła bez zakłóceń, dlatego towarzyszył im na dworzec i wsiadł z nimi do pociągu.

Oto tajny oręż Niemiec, myślał: trzydziestu dwóch malkontentów i wyrzutków pragnących obalić rosyjski rząd. Boże dopomóż. Włodzimierz Iljicz Uljanow, znany jako Lenin, miał czterdzieści sześć lat. Był niski i krępy, ubierał się schludnie, lecz nie dbał o elegancję. Miał zbyt wiele zajęć, by tracić na nią czas. Kiedyś był rudy, lecz wcześniej stracił włosy i teraz miał lśniąca czaszkę z resztkami włosów. Nosił starannie przystrzyżoną bródkę, rudą i przetykaną siwizną. Przy pierwszym spotkaniu nie zrobił dobrego wrażenia na Walterze, który stwierdził, że nie grzeszy ani urokiem osobistym, ani prezencją.

Walter podawał się za niższego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jego zadanie miało polegać na załatwianiu wszelkich praktycznych spraw, z którymi bolszewicy mogli się zetknąć podczas podróży przez Niemcy. Lenin zmierzył go ostrym takującym spojrzeniem. Najwyraźniej domyślił się, że ma do czynienia z agentem wywiadu.

Dojechali do Schaffhausen na granicy i tam przesiedli się do niemieckiego pociągu. Wszyscy mówili po niemiecku, gdyż mieszkali w niemieckojęzycznej części Szwajcarii. Lenin dobrze znał ten język. Walter przekonał się, że ma nieprzeciętne zdolności lingwistyczne. Płynnie mówił po francusku, niezłe po angielsku, czytał w oryginale Arystotelesa. Relaksował się, spędzając godzinę lub dwie ze słownikiem języka obcego.

W Gottmadingen przesiedli się znowu, tym razem do zamkniętego wagonu przygotowanego tak, jakby mieli nim jechać nosiciele groźnej choroby zakaźnej. Troje z czworga drzwi było zamkniętych na klucz, czwarte znajdowały się obok przedziału sypialnego Waltera. Takie postępowanie miało uspokoić niemieckie władze, lecz te środki bezpieczeństwa okazały się zbędne. Rosjanie nie zamierzali uciekać, chcieli dostać się do domu.

Lenin oraz jego żona Nadia mieli własny przedział, lecz pozostali tłoczyli się po czterech. Taki to egalitaryzm, pomyślał cynicznie Walter.

Pociąg przemierzał Niemcy z południa na północ, a Walter pod bezbarwną powierzchownością Lenina wyczuł siłę charakteru. Nie interesowała go trunki, jedzenie ani dobra materialne. Od rana do nocy zaprzętała go polityka. Wciąż dyskutował, pisał albo myślał o polityce i robił notatki. Walter zauważył, że Lenin zawsze więcej od swoich towarzyszy i sprawia wrażenie, jakby lepiej przemyślał daną kwestię. Tylko wtedy, gdy debata nie dotyczyła Rosji lub polityki, jego wiedza okazywała się ograniczona. Potrafił skutecznie zepsuć innym zabawę. Pierwszego wieczoru młody Karol Radek opowiadał w sąsiednim przedziale dowcipy. – Aresztowano pewnego mężczyznę za to, że powiedział „Mikołaj to kretyn”. Ten tłumaczy policjantowi: „Chodziło mi o innego Mikołaja, nie o naszego umiłowanego cara”. Policjant na to: „Łżesz! Jeśli mówisz »kretyn«, to nikogo oprócz cara nie możesz mieć na myśli!”. – Kompani ryknęli śmiechem. Lenin wyłonił się z przedziału z twarzą jak chmura burzowa i kazał im się uciszyć.

Nie lubił także dymu papierosowego. Przed trzydziestu laty pod naciskiem matki rzucił palenie. Z uwagi na niego towarzysze popalali w toalecie lub na końcu wagonu. Jedna toaleta przypadła na trzydzieści dwie osoby, toteż tworzyły się kolejki i dochodziło do scysji. Lenin postanowił wykorzystać swój niepospolity intelekt, by rozwiązać ten problem. Pociął płachtę papieru i wydał wszystkim dwa rodzaje biletów: jeden do normalnego korzystania z toalety, a drugi do palenia. Ograniczył w ten sposób długość ogonków

i położył kres niesnaskom. Waltera to rozbawiło. Rozwiązanie było skuteczne, wszyscy czuli się zadowoleni, lecz nie osiągnięto go w drodze dyskusji czy wspólnych ustaleń. W tej grupie Lenin odgrywał rolę dobrotliwego dyktatora. Jeżeli zdobędzie władzę, czy będzie rządził imperium rosyjskim w takim samym stylu?

Ale czy do tego dojdzie? Jeśli stanie się inaczej, Walter będzie musiał uznać, że zmarnował czas.

Jemu zaś przychodził do głowy tylko jeden sposób zwiększenia szans Lenina. Postanowił zrobić coś w tej sprawie.

Wysiadłszy z pociągu w Berlinie, zapowiedział, że będzie towarzyszył Rosjanom podczas ostatniego etapu podróży.

– Proszę się nie spóźnić – powiedział jeden z nich. – Za godzinę odjeżdżamy.

– Będę się spieszył – zapewnił Walter. Pociąg miał wyruszyć na jego polecenie, lecz Rosjanie o tym nie wiedzieli.

Wagon stał na boczniczy stacji Potsdamer. W ciągu kilku minut Walter dotarł stamtąd do siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych mieszczącej się w samym centrum Berlina przy Wilhelmstrasse siedemdziesiąt sześć. W gabinecie jego ojca znajdowały się ciężkie mahoniowe biurko, portret Kaisera oraz oszklona witryna z kolekcją ceramiki. Była wśród nich osiemnastowieczna misa na owoce z kremowej porcelany, którą Walter kupił podczas ostatniej podróży do Londynu. Miał nadzieję zastać ojca przy biurku i tak też było.

– Przekonania Lenina nie budzą wątpliwości – oznajmił ojcu przy kawie. – Twierdzi, że pozbyli się symbolu opresji, czyli cara, lecz nie zmienili rosyjskiego społeczeństwa. Robotnicy nie przejęli władzy, wszystko trzyma w rękę klasa średnia. Poza tym Lenin z jakiegoś powodu nienawidzi Kiereńskiego.

– Czy zdoła obalić Rząd Tymczasowy?

Walter rozłożył bezradnie ręce.

– Jest naturalnym przywódcą, bardzo inteligentnym i zdeterminowanym. Bez przerwy pracuje. Jednak bolszewicy są jedną z tuzina partyjek walczących o władzę i nie sposób przewidzieć, która wyjdzie z tych zmagania zwycięsko.

– A więc wszystkie nasze zabiegi mogą się okazać daremne?

– Chyba że w jakiś sposób pomożemy bolszewikom.

– Jakiż to sposób?

Walter odetchnął głęboko.

– Możemy dać im pieniądze.

– Co takiego? – Otto był oburzony. – Rząd Niemiec miałby finansować socjalistów i rewolucjonistów?

– Proponuję na początek sto tysięcy rubli – ciągnął chłodno Walter. – Najlepiej w złotych dziesięciorublowkach, jeśli są do zdobycia.

– Kaiser nigdy nie wyrazi na to zgody.

– Czy trzeba go o tym informować? Zimmermann może wykorzystać swoje kompetencje.

– Nie zgodzi się.

– Jesteś pewny?

Otto przez dłuższą chwilę patrzył na syna w milczeniu.

– Zapytam go – rzekł po namyśle.

IV.

Po trzech dniach spędzonych w pociągu Rosjanie opuścili terytorium Niemiec. W Sassnitz na wybrzeżu kupili bilety na prom „Queen victoria”, który miał przewieźć przez Bałtyk na południowy kraniec Szwecji. Walter popłynął z nimi. Morze było wzburzone i wszyscy zachorowali oprócz Lenina, Radka oraz Zinowiewa, którzy kłócili się zaciekle o politykę i nawet nie zauważali kołysania.

Nocnym pociągiem dotarli do Sztokholmu. Socjalista Borg-

mastare podjął ich śniadaniem. Walter zameldował się w Grand Hotelu z nadzieją, że czeka na niego list od Maud. Listu nie było. Rozczarowany, chciał rzucić się w zimne wody zatoki. To była właściwie jedyna od trzech lat szansa nawiązania kontaktu z żoną i coś ją zniweczyło. Czyżby nie otrzymała listu?

Dręczyły go bolesne rozmyślania. Czy jeszcze jej na nim zależy? Czy o nim zapomniała? Może w jej życiu pojawił się inny mężczyzna? Walter gubił się w domysłach.

Radek oraz pewien elegancko ubrany szwedzki socjalista zaprowadzili Lenina, trochę wbrew jego woli, do działu odzieży męskiej supermarketu PUB. Podkute górskie buty, które dotąd nosił, trafiły na śmietnik. Kupił sobie płaszcz z zamszowym kołnierzem i nowy kapelusz. Radek orzekł, że teraz Lenin wygląda jak przywódca narodu.

Wieczorem, tuż po zmroku, Rosjanie udali się na dworzec kolejowy, by wsiąść do pociągu zmierzającego do Finlandii.

Walter, który rozstawał się już z rosyjską ekipą, odprowadził ich na dworzec. Przed odjazdem pociągu spotkał się sam na sam z Leninem.

Usiedli w przedziale oświetlonym słabą lampą elektryczną, której blask odbijał się od łysiny Lenina. Walter czuł się nieswojo. Musi bezbłędnie wykonać zadanie. Wiedział, że namową i błaganiami niczego nie zwojuje. Lenin z całą pewnością nie pozwoli się też zastraszyć. Przekonać go można jedynie za pomocą logiki.

Walter przygotował mowę.

– Rząd niemiecki pomaga wam wrócić do kraju. Ma pan świadomość, że nie robimy tego z dobrej woli.

– Uważa pan, że to zaszkodzi Rosji! – odrzekł płynnie po niemiecku Lenin.

Walter nie zaprzeczył.

– Mimo to zgodził się pan przyjąć naszą pomoc.

– Dla dobra rewolucji! To jedyne kryterium dobra i zła.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi. – Walter z głuchym odgłosem postawił na podłodze ciężką walizę. – W podwójnym dniu tej walizki znajdzie pan sto tysięcy rubli w banknotach i monetach.

– Słucham? – Lenina trudno było wytrącić z równowagi, lecz słowa Waltera go zaskoczyły. – Na co te pieniądze?

– Dla was.

Lenin poczuł się urażony.

– Czy to łapówka? – spytał gniewnie.

– Ależ skąd. Nie musimy pana przekupywać. Pana cele są zbieżne z naszymi. Opowiedział się pan za obaleniem Rządu Tymczasowego oraz zakończeniem wojny.

– Na co zatem przeznaczone są te pieniądze?

– Na propagandę. Aby łatwiej wam było upowszechniać wasze przesłanie. My także chcemy je nagłośnić. Pokój między Niemcami i Rosją.

– Żebyście mogli wygrać swoją kapitalistyczno-imperialistyczną wojnę przeciwko Francji!

– Jak powiedziałem, nie pomagamy wam z dobrej woli, wy zaś tego od nas nie oczekujecie. Chodzi o praktyczne cele polityczne, nic poza tym. W tej chwili nasze interesy zbiegają się z waszymi. Lenin popatrzył na rozmówcę tak jak wtedy, gdy Radek upierał się, by kupić sobie nowe ubranie. Uznał pomysł za wstrętny, lecz nie mógł zaprzeczyć, że ma sens.

– Będziemy wam przekazywali podobną sumę każdego miesiąca. Pod warunkiem, rzecz jasna, że będziecie skutecznie prowadzić kampanię pokojową.

Zapadła długa cisza.

– Powiedział pan, że sukces rewolucji stanowi jedyne kryterium dobra i zła. Jeśli tak jest, powinien pan przyjąć te pieniądze – odezwał się wreszcie Walter.

Na peronie rozległ się gwizdek.

Walter wstał.

– Muszę teraz pana opuścić. Żegnam i życzę powodzenia.

Lenin gapił się na walizkę i milczał.

Walter wyszedł na korytarz i wysiadł z pociągu.

Odwrócił się i spojrzał na okno przedziału Lenina. Nie zdziwiłby się na widok wylatującej przez nie walizki.

Rozległ się drugi gwizdek, a następnie donośny głęboki świst.

Wagony drgnęły i pociąg wolno wytoczył się ze stacji. Siedział w nim Lenin z grupą rosyjskich wygnańców oraz walizką pieniędzy.

Walter wyjął z kieszeni płaszcz chustkę i otarł czoło. Pomimo chłodu był zlany potem.

V.

Wiodącą wzdłuż nabrzeża drogę z dworca do hotelu pokonał pieszo. Było ciemno, znad Bałtyku wiał zimny wschodni wiatr. Powinien się cieszyć, przecież zdołał przekupić Lenina! On tymczasem był zawiedziony. Milczenie Maud przygnębiało go bardziej, niż powinno. Istnieje wiele powodów, dla których mogła nie przysłać listu. Nie powinien zakładać najgorszego. Jednak był tak bliski zakochania się w Monice, dlaczego więc Maud nie mogło przydarzyć się coś podobnego? Nie potrafi przezwyciężyć obawy, że ukochana o nim zapomniała.

Postanowił się upić.

W recepcji przekazano mu napisaną na maszynie wiadomość:

Proszę zapukać do apartamentu 201, ktoś czeka tam na pana z przesyłką. Walter domyślił się, że chodzi o oficjalną notkę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Może minister zmienił zdanie co do finansowania Lenina? Jeśli tak, zdecydował się za późno.

Wszedł po schodach i zapukał do drzwi pokoju dwieście jeden.

– Tak? – powiedział ktoś cicho po niemiecku.

– Walter von Ulrich.

– Proszę wejść, drzwi są otwarte.

Walter wszedł i zamknął za sobą drzwi. W apartamencie paliły się świece.

– Ktoś ma mi przekazać wiadomość – rzekł, patrząc w półmrok. Z fotela uniosła się jakaś postać. Była to kobieta. Stała tyłem, lecz coś sprawiło, że serce Waltera drgnęło. Odwróciła się do niego.

Maud.

Otworzył usta i stał jak sparaliżowany.

– Witaj, Walterze.

Nie zdołała dłużej nad sobą panować i rzuciła mu się na szyję.

Walter poczuł tak dobrze znany zapach. Całował włosy ukochanej i głaskał ją po plecach. Milczał z obawy, że się rozplacze.

Przytulił ją mocno. Nie mógł uwierzyć, że Maud wciąż do niego należy, że trzyma ją w ramionach i jej dotyka. Tęsknił do niej boleśnie przez prawie trzy lata. Spojrzała na niego oczami pełnymi łez, a on patrzył na jej twarz i upajał się nią. W ogóle się nie zmieniła, lecz zarazem była odmieniona: zeszczuplała, a pod jej oczami pojawiły się delikatne linie, których przedtem nie było.

Jednak spojrzenie zdradzało wciąż tę samą przenikliwą inteligencję.

– Wpatrzył się we mnie z napiętą uwagą, jakby miał zamiar rysować mój portret – powiedziała po angielsku Maud.

Walter się uśmiechnął.

– Nie jesteśmy Hamletem i Ofelią, nie idź więc do klasztoru.

– Boże drogi, jak ja za tobą tęskniłam.

– Mogę powiedzieć to samo. Miałem nadzieję na list, a tu nagle widzisz ciebie! Jak ci się to udało?

– Powiedziałam w biurze paszportowym, że chcę przeprowadzić ze skandynawskimi politykami wywiad na temat prawa głosowania dla kobiet. Później spotkałam na przyjęciu sekretarza spraw wewnętrznych i szepnęłam mu słówko.

- Jak się tutaj dostałaś?
- Parowce pasażerskie wciąż kursują.
- Ależ to bardzo niebezpieczne. Nasze łodzie podwodne zatapiają wszystkie jednostki.
- Wiem. Zaryzykowałam. Byłam zdesperowana. - Maud znów się rozplakała.
- Usiądźmy. - Obejmując ją w talii, Walter poprowadził w stronę kanapy.
- Nie. Za długo czekaliśmy jeszcze wtedy, przed wojną. - Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę sypialni. W kominku trzaskały płonące szczapy. - Nie traćmy więcej czasu. Chodźmy do łóżka.

VI.

Grigorij i Konstantin zostali członkami delegacji Piotrogradzkiej Rady Delegatów, która w poniedziałek wieczorem szesnastego kwietnia udała się na Dworzec Fiński, by powitać wracającego do kraju Lenina.

Większość z nich nigdy go nie widziała, bo ostatnich siedemnaście lat spędził na emigracji. Gdy Lenin opuszczał Rosję, Grigorij miał lat jedenaście. Mimo to znał go z opowieści, podobnie jak tysiące ludzi, którzy przyszli na dworzec. Dlaczego jest ich tak wielu? - zastanawiał się. Może tak jak on są niezadowoleni z Rządu Tymczasowego, podejrzliwi wobec ministrów inteligentów i rozgniewani faktem, że wojna się nie skończyła?

Dworzec Fiński znajdował się w dzielnicy Wybörg, nieopodal zakładów tekstylnych oraz koszar Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych. Na placu zgromadził się tłum. Grigorij nie spodziewał się zdrady, lecz na wszelki wypadek kazał Izaakowi ściągnąć kilka plutonów i samochodów pancernych, by stały w pogotowiu. Na dachu dworca przymocowano reflektor. Snop światła przesuwiał się po stojących w ciemności ludziach. Salę dworca zapełnili robotnicy i żołnierze z czerwonymi flagami oraz transparentami. Grała orkiestra wojskowa. Dwadzieścia minut przed północą dwa oddziały marynarzy ustawiły się na peronie, tworząc straż honorową. Delegaci rady kręcili się po wielkiej poczekalni, niegdyś przeznaczony dla cara i jego rodziny. Grigorij wraz z rzeszą innych osób wyszedł na peron.

Dochodziła północ, gdy Konstantin wyciągnął rękę. Spojrzawszy w tamtą stronę, Grigorij zobaczył dalekie światła pociągu. W tłumie rozległ się szmer. Pociąg wtoczył się na stację, buchając dymem, i zatrzymał się z sykiem pary. Na jego boku widniał numer dwieście dziewięćdziesiąt trzy.

Po krótkiej chwili z wagonu wysiadł krępy mężczyzna w dwurzędowym wełnianym płaszczu i kapeluszu typu Homburg. Grigorij pomyślał, że Lenin nie nosiłby ubrań klasy panującej. Jakaś młoda kobieta wręczyła przybyłemu bukiet. Lenin przyjął kwiaty, niechętnie marszcząc czoło.

Za nim stał Lew Kamieniew, którego Komitet Centralny Partii Bolszewickiej wysłał na granicę, by pomógł Leninowi w razie ewentualnych problemów. Tymczasem żadnych problemów nie było. Kamieniew dał ręką znak, by wszyscy skierowali się do carskiej poczekalni.

Lenin niegrzecznie odwrócił się tyłem do niego i przemówił do marynarzy:

- Towarzysze! Oszukano was! Dokonaliście rewolucji, lecz jej owoce ukradli wam zdrajcy z Rządu Tymczasowego!

Kamieniew zbladł. Niemal wszyscy zwolennicy lewicy doraźnie prowadzili politykę wspierania tego rządu.

Grigorij był zachwycony, nie wierzył bowiem w burżuazyjną demokrację. W 1905 roku car zezwolił na utworzenie parlamentu, lecz był to ruch pozorny. Gdy tylko zamieszki dobiegły końca i robotnicy wrócili do fabryk, parlament został pozbawiony wszel-

kiej władzy. Rząd Tymczasowy zmierzał w tym samym kierunku. Teraz wreszcie znalazł się ktoś, kto ma odwagę to powiedzieć. Grigorij i Konstantin podążyli za Leninem i Kamieniem do poczekalni, która szybko wypełniła się ludźmi. Przewodniczący Piotrogradzkiej Rady Delegatów, Nikołaj Czkeidze, łysiejący mężczyzna o szurzej twarzy, podszedł do Lenina. Uściskawszy mu dłoń, rzekł:

– W imieniu Piotrogradzkiej Rady Delegatów i rewolucji witamy was w Rosji, ale...

Grigorij spojrzał na Konstantina, unosząc brwi. Słowo „ale” zbyt wcześnie pojawiło się w mowie powitalnej. Przyjaciel wzruszył kościstymi ramionami.

– ...ale uważamy, że w tej chwili główne zadanie rewolucyjnej demokracji polega na obronie rewolucji przed wszelkimi atakami... – Czkeidze zrobił pauzę, po czym dokończył z naciskiem: – Zarówno wewnętrznymi, jak i zewnętrznymi.

– To nie jest powitanie, lecz ostrzeżenie – mruknął Konstantin.

– Jesteśmy zdania, że do osiągnięcia tego celu potrzebny jest nie podział, lecz jedność wszystkich rewolucjonistów. Mamy nadzieję, że będziecie w zgodzie z nami dążyć do osiągnięcia tych celów.

Niektórzy członkowie delegacji zaklaskali uprzejmie.

Lenin nie odpowiedział od razu, tylko spojrzał na twarze zgromadzonych i bogato zdobiony sufit. Następnie w geście wyglądającym jak umyślna zniewaga odwrócił się od Czkeidzego i przemówił do rzeszy słuchaczy.

– Towarzysze, żołnierze, marynarze i robotnicy! – zaczął, znacząco pomijając parlamentarzystów z klasy inteligenckiej. – Pozdrawiam was jako awangardę światowej armii proletariatu. Dziś lub jutro może upaść cały europejski imperializm. Rewolucja, której dokonaliście, otworzyła nową erę. Niech żyje światowa rewolucja socjalistyczna!

Odpowiedział mu aplauz, lecz Grigorij był skonsternowany.

Rewolucja na razie powiodła się tylko w Piotrogradzie, a jej wynik wciąż się ważył. Jak w tej sytuacji można myśleć o rewolucji światowej? Jednak sama idea go porwała. Lenin ma rację: wszyscy powinni zwrócić się przeciwko panom, którzy tak wielu ludzi wysłali na bezsensowną wojnę.

Lenin oddalił się od delegacji i wyszedł na plac.

Tłum wznosił gromki krzyk. Podwładni Izaaka dźwignęli

Lenina i postawili go na wzmocnionym dachu samochodu pancernego. Skierowano na niego snop światła z reflektora. Lenin zdjął kapelusz.

Jego głos był monotony, lecz słowa elektryzowały.

– Rząd Tymczasowy zdradził rewolucję!

Ludzie zareagowali entuzjastycznie. Peszków się zdziwił, nie podejrzewał bowiem, że tak wielu podziela jego zdanie.

– Ta wojna jest wojną drapieżnego imperializmu. Nie chcemy uczestniczyć w tej haniebnej imperialistycznej rzezi niewinnych. Obalając kapitał, możemy osiągnąć demokratyczny pokój!

Okrzyki stały się głośniejsze.

– Precz z łgarstwem i oszustwem burżuazyjnego parlamentu!

Jedynym dopuszczalnym ustrojem jest rada delegatów robotniczych. Wszystkie banki muszą zostać przejęte i oddane pod władzę rady. Cała prywatna ziemia musi być skonfiskowana. Wszyscy oficerowie w wojsku muszą być wybierani!

Grigorij myślał dokładnie w taki sam sposób, wznosił więc okrzyk wraz ze wszystkimi, którzy zgromadzili się na placu.

– Niech żyje rewolucja!

Tłum ogarnęło szaleństwo.

Lenin zszedł z dachu i wsiadł do opancerzonego samochodu, który powoli ruszył. Ludzie otoczyli go i biegli obok, powiewając czerwonymi flagami. Orkiestra wojskowa dołączyła się do pochodu,

grając marsza.

– Na takiego człowieka czekałem! – rzekł Grigorij.

– Ja także – odparł Konstantin.

Ruszyli za orszakiem.

ROZDZIAŁ 25

Maj i czerwiec 1917 roku

i.

Nocny klub Monte Carlo w Buffalo za dnia prezentował się fatalnie, lecz Lev Peshkov i tak go uwielbiał. Drewno było porysowane, farba spękana, skórzane obicia poplamione. Na wykładzinie walały się niedopałki, a mimo to Lev uważał to miejsce za raj. Przy wejściu pocałował szatniarkę, obdarował odźwiernego cygarem i ostrzegł barmana, by uważał przy podnoszeniu skrzynki z alkoholem.

Praca kierownika nocnego klubu bardzo mu odpowiadała. Jego głównym zajęciem było pilnowanie, żeby nikt nie kradł. Sam będąc złodziejem, wiedział, jak to się robi. Poza tym musiał tylko dbać o to, by w barze nie zabrakło trunków, a na scenie grał porządny zespół. Dodatek do pensji stanowiły darmowe papierosy oraz tyle alkoholu, ile zdołał wypić, utrzymując się na nogach. Zawsze miał na sobie wieczorowy strój, w którym czuł się jak księżę. Josef Vyalov nie wtrącał się do prowadzenia lokalu. Zadowalał się tym, że przynosi dochody. Czasem tylko wpadał z kompanami, by obejrzeć koncert.

Lev miał tylko jeden kłopot: żonę.

Olga się zmieniła. Przez parę tygodni, latem 1915 roku, była jak zmysłowy żywioł, wiecznie głodny jego ciała. Teraz jednak wiedział, że taka nie jest. Od dnia ślubu wszystko, co robił, było jej nie w smak. Chciała, by codziennie się kąpał, używał szczoteczki do zębów i przestał puszczać baki. Nie lubiła tańczyć i pić i prosiła go, żeby nie palił. Nigdy nie przychodziła do klubu. Spali w osobnych łóżkach. Nazywała go proletariuszem.

– Ależ ja jestem proletariuszem – rzekł pewnego dnia. –

Dlatego pracowałem jako szofer.

Ona wciąż była niezadowolona.

Dlatego zatrudnił Margę.

Stara miłość Lva właśnie próbowała na scenie nowy numer, podczas gdy dwie Murzynki w chustkach na głowach wycierały stoliki i zamiatały. Marga miała na sobie obcisłą suknię, jej usta pomalowane czerwoną szminką. Lev dał jej posadę piosenkarki, nie mając pojęcia, czy jest dobra. Okazało się, że jest więcej niż dobra: została gwiazdą. Właśnie śpiewała sugestywną piosenkę o dziewczynie czekającej całą noc na powrót swojego chłopaka.

Choć cierpią frustracje,

To nasze relacje

Szybują wysoko,

Gdy nadchodzi on.

Lev dobrze wiedział, jak to jest.

Obserwował ją do końca piosenki. Marga zeszła ze sceny

i pocałowała go w policzek. Z dwiema butelkami piwa ruszył za nią do garderoby.

– Bombowy numer – pochwalił ją.

– Dzięki. – Wzięła od niego butelkę i upiła długi łyk. Lev patrzył na jej czerwone usta zaciśnięte na szyjce. Zauważyła, że jej się przygląda, przełknęła i uśmiechnęła się szeroko. – Coś ci to przypomina?

– A jakże. – Wziął dziewczynę w ramiona i przesunął dłońmi po jej ciele. Po chwili uklękła, rozpięła mu spodnie i wzięła go do ust. Była w tym dobra, nie znał lepszej. Albo to lubiła, albo

była najlepszą aktorką w całej Ameryce. Zamknął oczy i westchnął z rozkoszy.

Nagle drzwi się otworzyły i do garderoby wkroczył Josef Vyalov.

– A więc to prawda! – rzucił z wściekłością.

Za nim podążało dwóch jego zbirów, Ilya i Theo.

Lev śmiertelnie się przeraził. W pośpiechu zapinał spodnie, jednocześnie próbując się tłumaczyć.

Marga wstała i otarła usta.

– Jesteście w mojej garderobie! – zaprotestowała.

– A ty w moim klubie – odparował Vyalov. – Ale już niedługo. Zwalniam cię. – Odwrócił się do Lva. – Mąż mojej córki nie będzie rznął pracownicy!

– On mnie nie rznął – rzuciła wyzywająco Marga. – Nie zauważyłeś tego, Vyalov?

Josef zdzielił ją pięścią w usta. Marga krzyknęła i zatoczyła się, krwawiąc.

– Jesteś zwolniona. Wypierdalaj.

Marga wzięła torebkę i wyszła.

Vyalov spojrzał na Lva.

– Ty palancie. Nie zrobiłem dla ciebie wystarczająco dużo?

– Przepraszam, tato – mruknął Lev, który bardzo bał się teścia. Vyalov nie cofał się przed niczym: ci, którzy mu się narazili, bywali chłostani, torturowani, okaleczani i pozbawiani życia. Nie znał litości ani lęku przed prawem. W pewnym sensie dorównywał potęgą carowi.

– Tylko mi nie chrzań, że to był pierwszy raz – prychnął Vyalov. – Słyszę te plotki od chwili, gdy cię tu umieściłem. Lev milczał. Pogłoski były prawdziwe. Miewał inne kobiety, lecz nie po tym, jak zatrudnił Margę.

– Przesuwam cię – oznajmił Vyalov.

– Co to znaczy?

– Odbieram ci klub. Tu jest za dużo bab.

Serce Lva zamarło. Kochał swoje Monte Carlo.

– Ale co miałbym robić?

– Mam odlewnię koło przystani. Nie uświadczysz tam ani jednej kiecki. Kierownik się pochorował, leży w szpitalu. Możesz popilnować zakładu.

– Ja miałbym siedzieć w odlewni? – spytał z niedowierzaniem Lev.

– Zasuwałeś w Zakładach Putiłowskich.

– Ale w stajni!

– Iw kopalni węgla.

– Robiłem to samo.

– Znasz to środowisko.

– Nienawidzę go!

– Czy ktoś cię pyta o gusta? Jezu Chryste, nakryłem cię ze spuszczonej gaciami. Masz szczęście, że tylko tak cię potraktowałem.

Lev się nie odezwał.

– Wynocha stąd i do samochodu – rozkazał Vyalov.

Peshkov wyszedł z garderoby, Vyalov za nim. Nie mógł uwierzyć, że odchodzi z klubu na dobre. Barman i szatniarka patrzyli na niego, wyczuwając, że coś jest nie w porządku.

– Ty dzisiaj rządysz, Ivanie – rzucił Vyalov do barmana.

– Tak jest, szefie.

Dwunastocylindrowy packard Vyalova stał przy krawężniku.

Obok dumnie czekał nowy szofer, chłopak z Kijowa. Skoczył, by otworzyć tylne drzwiczki. Ale przynajmniej wciąż jeżdżę z tyłu, pomyślał Lev.

Na pociechę przypomniał sobie, że żyje niczym rosyjski bojar, a może i lepiej. Mieszkają z Olgą w dzieciennym skrzydle wielkiego domu na prerii. Bogaci Amerykanie nie utrzymują tak licznej służby jak Rosjanie, lecz ich domy są czystsze i jaśniejsze od pałaców w Sankt Petersburgu. Mają nowoczesne łazienki, chło-

dziarki, odkurzacze oraz centralne ogrzewanie, a jedzenie jest smaczne. Vyalov nie podzielał upodobania rosyjskich arystokratów do szampana, więc na kredensie zawsze stała butelka whisky. Lev miał sześć garniturów.

Ilekcroć czuł się pomiatany przez teścia, wracał myślami do starych czasów w Sankt Petersburgu: do pokoiku, w którym mieszkał z Grigorijem, taniej gorzałki, kwaśnego ciemnego chleba i gulaszu z brukwi. Jazdę tramwajem zamiast chodzenia pieszo uważał wtedy za wielki luksus. Rozprostowawszy nogi w limuzynie vyalova, popatrzył na swoje jedwabne skarpetki oraz lśniąca czarne buty i powiedział sobie, że powinien się cieszyć.

vyalov wsiadł za Lvem i pojechali nad zatokę. Odlewnia Vyalova wyglądała jak pomniejszona wersja Zakładów Putiłowskich: te same nędzne budyneczki z powybijanymi szybami, wysokie kominy, czarny dym, szarzy robotnicy z umorusanymi gębami. Lev był załamany.

– Firma nazywa się Zakłady Metalowe Buffalo, ale produkuje tylko jedną rzecz: wiatraki – wyjaśnił Vyalov. Samochód wjechał przez wąską bramę. – Przed wojną przynosiła straty. Wykupiłem ją i obciąłem pensje, żeby nie upadła. Ostatnio interesy idą lepiej. Dostaliśmy długą listę zamówień na śmigła, śruby okrętowe i wiatraki do samochodów pancernych. Załoga chce podwyżki, ale ja muszę odzyskać część mojego wkładu, zanim zaczną szastać forszą.

Lev bał się tej pracy, lecz strach przed Vyalovem był silniejszy. Poza tym nie chciał sprawić teściowi zawodu. Postanowił, że to nie on będzie tym, który da robotnikom podwyżkę.

Vyalov oprowadził go po fabryce. Lev pożałował, że ma na sobie smoking. Wewnątrz odlewnia różniła się od Zakładów Putiłowskich. Było o wiele czystiej, nie pałętały się dzieci. Wszystko oprócz pieców napędzała energia elektryczna. W Rosji dwunastu chłopów dźwigało na linie kocioł lokomotywy, a tutaj ogromną śrubę okrętową podnosił elektryczny wyciąg. Teść wskazał łysego mężczyznę ze sterczącym spod kombinizonu kołnierzykiem i krawatem.

– Oto twój wróg, Brian Hall, sekretarz tutejszego oddziału związku.

Lev przyjrzał się Hallowi, który właśnie nastawiał ciężką prasę tłoczącą, dokręcając mutrę kluczem z długą rączką. Wyglądał zadziornie, a zauważywszy Lva i Vyalova, rzucił im wyzywające spojrzenie, jakby pytał, czy szukają z nim zwady.

– Podejdz tu, Hall! – polecił Vyalov, przekrzykując stojącą obok szlifierkę.

Mężczyzna niespiesznie odłożył klucz do skrzynki z narzędziami i wytarł ręce w ściereczkę.

– To jest twój nowy szef, Lev Peshkov.

– Witam – rzekł Hall do Lva, po czym zwrócił się do Vyalova: – Dzisiaj rano Peter Fisher dostał w twarz odpryskiem stali. Ma paskudną ranę, musieli go zabrać do szpitala.

– Przykro mi to słyszeć. Robota w zakładach metalowych jest niebezpieczna, ale nikogo się nie zmusza, żeby tu pracował.

– Omal nie stracił oka – dodał z oburzeniem Hall. – Powinniśmy mieć gogle.

– Za mojej kadencji nikt tutaj nie stracił oka.

Hall naprawdę się rozeźlił.

– Mamy czekać, aż ktoś oślepie, zanim dostaniemy gogle?

– To jak mam się przekonać, że ich potrzebujecie?

– Człowiek nigdy nie został okradziony, a jednak montuje zamki w drzwiach.

– Ale sam za nie płaci.

Hall skinął głową, jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi. Z miną znużonej mądrości wrócił do swojej maszyny.

– Bez przerwy się czegoś domagają – rzucił Vyalov do Lva.

Lev odgadł, że teść oczekuje od niego bezwzględności. Na tym

akurat dobrze się zna. Właśnie takimi metodami zarządzane były wszystkie fabryki w Sankt Petersburgu.

Wyszli z zakładu i ruszyli Delaware Avenue. Lev domyślił się, że jada do domu na obiad. Vyalowowi nawet nie przyszło do głowy, by zapytać, czy zięciowi to odpowiada. W taki sam sposób podejmował decyzję za wszystkich, którzy go otaczali.

W domu Lev ściągnął zabrudzone po wizycie w fabryce buty i włożył haftowane pantofle, które Olga podarowała mu na Gwiazdkę. Skierował kroki do pokoju dziecięcego. Matka Olgi, Lena, pilnowała tam Daisy.

– Patrz, Daisy, tatuś przyszedł! – zaszczębiotała Lena.

Córeczka Lva miała czternaście miesięcy i już zaczynała chodzić. Podreptała z uśmiechem w jego stronę, lecz nagle przewróciła się i rozplakała. Podniósł ją i ucałował. Dotąd w ogóle nie obchodziły go dzieci i niemowlęta, lecz Daisy zawładnęła jego sercem. Gdy robiła się marudna, nie chciała spać i nikt nie mógł jej uspokoić, Lev kołysał ją i szeptał do uszka kojące słowa. Śpiewał rosyjskie dumki, aż oczka dziewczynki zamykały się, jej drobne ciało robiło się bezwładne i zasypiała w jego ramionach.

– Wypisz, wymaluj przystojny tatuś! – zachwycała się Lena.

Lev uważał, że Daisy wygląda po prostu jak dziecko, ale nie dyskutował z teściową. Lena go ubóstwiała. Flirtowała z nim, często go dotykała i całowała przy każdej sposobności. Była w nim zakochana, lecz bez wątplenia uważała, że okazuje mu jedynie zwykłe rodzinne przywiązanie.

W drugim końcu pokoju siedziała młoda Rosjanka Polina.

Była nianią, lecz nie musiała się przeprocowywać, gdyż Olga i Lena poświęcały Daisy większość czasu. Lev podał jej dziecko, a ona spojrzała mu wyzywająco w oczy. Była klasyczną rosyjską pięknoscą, miała jasne włosy i wydatne kości policzkowe. Zaświtało mu w głowie pytanie, czy mógłby z nią poromansować i czy uszłoby mu to na sucho. Polina zajmowała mały pokój. Czy zdoła wkraść się do niej niezauważony? Uznał, że warto zaryzykować, gdyż w jej spojrzeniu dostrzegł pożądanie.

Do pokoju weszła Olga i Lva dopadło poczucie winy.

– Co za niespodzianka! – powiedziała na jego widok. –

Myślałam, że nie wrócisz przed trzecią rano.

– Twój ojciec przesunął mnie na inne stanowisko – odparł z goryczą. – Będę teraz kierował odlewnią.

– Ale dlaczego? Myślałam, że dobrze sobie radzisz w klubie.

– Nie mam pojęcia – zełgał.

– Może to z powodu mobilizacji. – Prezydent Wilson wypowiedział wojnę Niemcom i zamierzał ogłosić pobór do wojska. – Odlewnia zostanie zakwalifikowana do kategorii podstawowego przemysłu zbrojeniowego. Tatko chce cię uchronić przed wojskiem. Lev wiedział z gazet, że pobór będą przeprowadzały lokalne komisje. Vyalov z pewnością umieści w niej jednego ze swoich znajomych i załatwi wszystko, co będzie chciał. Tak to się działo w miasteczku. Jednak Lev nie wyprowadził żony z błędu. Przykrywką niezwiązana z Margą spadła mu jak z nieba, Olga sama mu ją podsunęła.

– Masz rację. Na pewno o to chodzi.

– Dada – powiedziała Daisy.

– Mądra dziewczynka! – pochwaliła ją Polina.

– Jestem pewna, że doskonale się spiszesz jako kierownik odlewni – rzekła Lena.

Lev posłał jej uśmiech amerykańskiego zawadiaki.

– Zrobię, co w mojej mocy.

II.

Gus Dewar miał poczucie, że zlecona mu przez prezydenta europejska misja zakończyła się fiaskiem.

– Fiasko? – zdziwił się Wilson. – Skądże znowu! Na-
kłoniłeś Niemców do złożenia oferty pokojowej. To nie twoja
wina, że Brytyjczycy i Francuzi posłali ich do wszystkich diabłów.
Można podsunąć dziecku jedzenie, ale nie można za nie pogryźć. –
Jednak prawda była taka, że Gus nie zdołał doprowadzić nawet
do wstępnych rozmów.

Tym bardziej zależało mu więc na wykonaniu następnego
ważnego zadania, które powierzył mu prezydent.

– Zakłady Metalowe Buffalo zostały zamknięte z powodu
strajku – oznajmił Wilson. – Okręty, samoloty i pojazdy woj-
skowe stoją na taśmach i czekają na śruby, śmigła oraz wiatraki
tam wytwarzane. Pochodzisz z Buffalo, jedź tam i postaraj się,
żeby ludzie wrócili do pracy.

Pierwszego wieczoru po powrocie do rodzinnego miasta Gus
poszedł na kolację do domu Chucka Dixona, z którym niegdyś
rywalizował o względy Olgi Vyalov. Chuck i jego niedawno
poślubiona żona Doris mieszkali w wiktoriańskim dworku przy
Elmwood Avenue, ulicy biegnącej równoległe do Delaware. Chuck
codziennie rano dojeżdżał pociągiem linii Belt Linę do pracy
w banku ojca.

Doris była ładną dziewczyną, trochę podobną do Olgi. Przy-
glądając się nowożeńcom, Gus myślał o tym, jak bardzo tęskni za
domowym ciepłem. Marzył kiedyś o tym, że codziennie rano
będzie się budził obok Olgi, lecz upłynęły dwa lata, zauroczenie
minęło, a on wolał swoją kawalerkę w Waszyngtonie przy Szes-
nastej Ulicy.

– Prezydent Wilson obiecywał, że uchroni nas przed wojną,
i co? – zagadnęła go Doris, gdy usiedli do steków z puree
z ziemniaków.

– Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Przez trzy lata zabiegał
o pokój. Tamci go nie posłuchali – odparł pojednawczo Gus.

– Ale to nie znaczy, że musimy przystąpić do wojny.

– Kotku, Niemcy zatapiają amerykańskie statki! – wtrącił
niecierpliwie Chuck.

– To niech amerykańskie statki omijają strefę działań wojen-
nych! – Doris była wzburzona. Gus domyślił się, że nie pierwszy
raz się o to spierają. Jej gniew bez wątpienia podsycala obawa, że
Chuck zostanie powołany do wojska.

Gus widział w zagadnieniach związanych z wojną zbyt wiele
niuansów, by kategorycznie rozstrzygać, co jest dobre, a co złe.

– Owszem, istnieje taka możliwość i prezydent ją rozważał.

To jednak oznaczałoby, że godzimy się na to, by Niemcy dyktowali
nam, które amerykańskie statki mogą pływać, a które nie.

– Nie możemy pozwolić, by Niemcy lub ktokolwiek inny
mówił nam, co mamy robić! – obruszył się Chuck.

– Dlaczego nie, skoro w ten sposób możemy ocalić życie
wielu ludzi? – Doris pozostawała nieugięta.

– Większość Amerykanów podziela zdanie Chucka – za-
uważył Gus.

– To jeszcze nie znaczy, że jest ono słuszne.

– Wilson uważa, że prezydent ma obowiązek traktować opinię
publiczną tak, jak żaglowiec traktuje wiatr. Korzysta z niego, ale
nigdy nie płynie w przeciwną stronę.

– Więc dlaczego musimy zarządzać pobór? W ten sposób
wszyscy mężczyźni w Ameryce staną się niewolnikami.

– Nie sądzisz, że wszyscy powinniśmy w takim samym
stopniu odpowiadać za obronę ojczyzny? – spytał Chuck.

– Mamy armię zawodową. Składa się z żołnierzy, którzy
sami do niej wstąpili.

– Nasza armia liczy sto trzydzieści tysięcy ludzi. W tej wojnie
to tyle co nic. Potrzebujemy co najmniej miliona.

– Żeby więcej żołnierzy mogło zginąć – prychnęła Doris.

– My w banku cieszymy się jak diabli, mówię wam –
odezwał się Chuck. – Udzieliliśmy ogromnych kredytów firmom

zaopatrującym aliantów. Jeśli Niemcy zwyciężą a Angole i Żabojady nie zdołają spłacić długów, wtedy będzie krucho.

– Tego nie wiedziałam. – Doris wyglądała na zmartwioną.

Chuck poklepał ją po dłoni.

– Nie bój się o forszę, kotku. To nam nie grozi. Alianci wygrają, szczególnie jeśli Wujek Sam udzieli im niewielkiej pomocy.

– Jest jeszcze jeden powód przemawiający za naszym przystąpieniem do wojny – rzekł Gus. – Po zakończeniu wojny Stany Zjednoczone będą mogły jako równoprawny partner wziąć udział w ustanawianiu nowego porządku. Może się to wydawać drugorzędne, lecz Wilson marzy o stworzeniu Ligi Narodów, która pozwoli rozwiązywać przyszłe konflikty bez wzajemnego mordowania się. – Spojrzał na Doris. – Byłabyś za tym, jak sędzę.

– Z całą pewnością.

Chuck zmienił temat:

– Co cię sprowadza do domu, Gus? Poza chęcią objaśnienia nam, maluczkim, decyzji prezydenta.

Gus opowiedział o strajku. Mówił lekkim tonem, gdyż rozmawiali przy posiłku, lecz w istocie był zatroskany. Zakłady Metalowe Buffalo odgrywały ważną rolę w produkcji wojennej, a on nie wiedział, jak nakłonić robotników do powrotu do pracy. Tuż przed reelekcją Wilson doprowadził do zakończenia ogólnokrajowego strajku kolejarzy i uważał, że interwencje w spory pracownicze stanowią naturalny element życia politycznego. Dla Gusa był to trudny obowiązek.

– Wiesz, naturalnie, kto jest właścicielem fabryki? – spytał Chuck.

– Vyalov? – odgadł Gus.

– A kto nią zarządza w jego imieniu?

– Nie mam pojęcia.

– Jego zięć Lev Peshkov.

– Cóż, tego nie wiedziałem.

III.

Lev wściekał się z powodu strajku. Związkowcy wykorzystali jego brak doświadczenia. Był pewny, że Brian Hall i jego ludzie uznali go za słabeusza. Postanowił im pokazać, że się mylą. Sięgnął po racjonalne argumenty.

– Pan Vyalov musi odzyskać część pieniędzy, które stracił w ubiegłych latach – tłumaczył Hallowi.

– A robotnicy muszą odzyskać część tego, co stracili z powodu obniżek pensji! – odparł związkowiec.

– To nie jest to samo.

– Rzeczywiście – zgodził się Hall. – Wy jesteście bogaci, a oni są biedni. Im jest trudniej. – Facet był bystry i przez to jeszcze bardziej denerwujący.

Lev rozpaczliwie próbował odzyskać twarz w oczach teścia.

Nie należy pozwalać, by człowiek pokroju Josefa Vyalova gniewał się zbyt długo. To niebezpieczne. Kłopot polegał na tym, że jedynym atutem Lva był urok osobisty, a ten na Vyalova nie działał.

Jednak Vyalov wsparł go w zmaganiach ze związkami.

– Czasem trzeba im pozwolić zastrajkować – mówił. – Nie dawać za wygraną przeczekać ich. Kiedy głód zagląda im w oczy, łatwiej przemówić do rozumu. – Jednak Lev wiedział, że teść potrafi bardzo szybko zmieniać zdanie.

Miał plan, jak przyspieszyć koniec strajku. Zamierzał wykorzystać potęgę prasy.

Vyalov załatwił mu wstęp do miejscowego jachtklubu. Należała do niego większość czołowych biznesmenów, między innymi Peter Hoyle, wydawca „Buffalo Evening Advertiser”. Pewnego dnia po południu Lev zagadnął go w siedzibie klubu mieszczącej się przy końcu Porter Avenue.

Konserwatywny „Advertiser” niezmiennie propagował stabili-

zację, o wszystkie trudności obwiniając cudzoziemców, Murzynów oraz socjalistycznych wichrzycieli. Hoyle, stary druh Vyalova, był imponującej postury mężczyzną z czarnym wąsem.

– Patrzcie, patrzcie, młody Peshkov – rzucił na powitanie.

Mówił głośno i chrapliwie, jakby przekrzykiwał szum prasy drukarskiej. – Słyszałem, że prezydent przysłał tu syna Cama Dewara, żeby doprowadził do zakończenia strajku.

– Na to wygląda, ale jeszcze nie dostałem od niego żadnej wiadomości.

– Znam go, to naiwniak. Nie masz się czym martwić.

Lev przytaknął. W Piotrogradzie w 1914 roku wyłudził od Gusa dolara, a w ubiegłym z łatwością odebrał mu narzeczoną.

– Chciałbym z panem porozmawiać o strajku – rzekł Lev, siadając w skórzanym fotelu naprzeciwko Hoyle'a.

– „Advertiser” już potępił strajkujących jako amerykańskich socjalistów i rewolucjonistów. Co jeszcze możemy zrobić?

– Nazwijcie ich wrogimi agentami. Wstrzymują produkcję pojazdów, których nasi chłopcy będą potrzebowali w Europie. Natomiast robotników tam nie będzie, bo są zwolnieni z poboru!

– Jest to pewien punkt zaczepienia – przyznał Hoyle, marszcząc brwi.

– Tyle że na razie nie wiemy, jak przebiegnie pobór.

– Pracownicy przemysłu zbrojeniowego na pewno będą wykluczeni.

– Owszem, owszem...

– A mimo to domagają się pieniędzy. Wielu ludzi zgodziłoby się zarabiać mniej za pracę, dzięki której unikną wojska.

Hoyle wyjął z kieszeni notes i zaczął coś w nim pisać.

– Mniej pieniędzy za pracę zwalniająca od poboru – mam-rotął.

– Można by zadać pytanie: po czyjej stronie są ci ludzie?

– To zabrzmiało jak czołówka artykułu.

Lev był przyjemnie zdziwiony. Poszło mu nad podziw łatwo.

Hoyle uniósł głowę.

– Zakładam, że pan Vyalov wie o tej rozmowie?

Lev nie spodziewał się tego pytania. Swobodnym uśmiechem pokrył konsternację. Usłyszawszy zaprzeczenie, Hoyle w jednej chwili machnąłby na sprawę ręką.

– Naturalnie, że tak – skłamał Lev. – Właściwie to był jego pomysł.

IV.

Vyalov zaprosił Gusa na spotkanie w jachtklubie. Brian Hall zaproponował konferencję w siedzibie związku w Buffalo. Każdy chciał spotkania na swoim gruncie, gdzie czuł się pewnie i władczo. Gus wynajął więc salę konferencyjną w hotelu Statler.

Lev Peshkov zarzucił strajkującym unikanie poboru, „Advertiser” zaś umieścił na pierwszej stronie jego komentarz zatytułowany Po czyjej oni są stronie? Gus oniemiał na widok gazety.

Tego rodzaju napastliwe zaczepki prowadziły tylko do eskalacji sporu. Jednak działania Lva wywołały kontruderzenie. Poranne gazety aż kipiały od protestów pracowników innych gałęzi przemysłu zbrojeniowego, oburzonych sugestią, że powinni dostawać niższe pensje ze względu na swój uprzywilejowany status oraz że uchylają się przed poborem do wojska. Gafa Lva pokrzepiła Gusa, który wiedział jednak, że jego prawdziwym przeciwnikiem jest Vyalov, i to go niepokoiło.

Gus przyniósł do hotelu wszystkie gazety i rozłożył je na stole w sali konferencyjnej. W widocznym miejscu rzucił popularną bulwarówkę z tytułem na pierwszej stronie, który brzmiał: A ty się zaciągniesz, Lwie?

Briana Halla zaprosił kwadrans przed Vyalovem. Lider związku

stawił się punktualnie. Gus zwrócił uwagę na to, że ma na sobie elegancki garnitur oraz szary zamszowy kapelusz. Wydawało się, że to dobre posunięcie. Ma reprezentować robotników, lecz byłoby błędem, gdyby wyglądał gorzej od rozmówców. Hall w gruncie rzeczy był równie groźnym przeciwnikiem jak właściciel fabryki Vyalov.

Na widok gazet związkowiec uśmiechnął się szeroko.

– Młody Lev popełnia błędy – zauważył z satysfakcją. – Sam sobie nawarzył piwa.

– Manipulowanie prasą to niebezpieczna gra – potwierdził Gus, po czym od razu przeszedł do rzeczy: – Proście o podwyżkę w wysokości dolara dziennie.

– To tylko dziesięć centów więcej, niż dostawali moi koledzy, zanim Vyalov kupił zakład...

– Mniejsza o to – wpadł mu w słowo Gus, wykazując więcej odwagi, niż w rzeczywistości miał. – Jeśli załatwię wam pięćdziesiąt centów, pójdziecie na to?

Hall zrobił powątpiewającą minę.

– Musiałbym przedstawić tę propozycję załodze...

– Nie. Musi mi pan odpowiedzieć od razu. – Modlił się w duchu, by nie zdradzić swojej niepewności.

Hall wykręcił się od konkretnej odpowiedzi.

– Vyalov się na to zgodził?

– Vyalovem ja się będę martwił. Pięćdziesiąt centów, tak albo nie? – Gus siłą woli zmuszał się, by nie wytrzeć potu z czoła.

Hall zmierzył go długim badawczym spojrzeniem. Gus podejrzewał, że za tą bojową miną kryje się przenikliwy umysł.

– Przyjmujemy propozycję – rzekł Hall po namyśle. –

Tymczasowo.

– Dziękuję. – Gus powstrzymał się od długiego westchnienia ulgi. – Napije się pan kawy?

– Oczywiście, że tak.

Gus odwrócił się, korzystając z okazji, by na chwilę ukryć przed rozmówcą wyraz swojej twarzy. Nacisnął guzik dzwonka, wzywając kelnera.

Do sali weszli Josef Vyalov i Lev Peshkov. Gus nie podał im ręki.

– Proszę spocząć – powiedział krótko.

Wzrok Vyalova powędrował w stronę gazet leżących na stole.

Na jego twarzy malował się gniew. Gus domyślił się, że Lev będzie miał kłopoty z powodu nagłówków.

Próbował mu się nie przyglądać. Ten szofer uwiódł jego narzeczoną, lecz to nie może zaciemniać jego trzeźwego osądu. Chętnie rąbnąłby go w głowę. Jeśli spotkanie przebiegnie po jego myśli, wynik będzie dla Lva o wiele bardziej upokarzający niż cios w twarz i sprawi Gusowi znacznie większą satysfakcję.

Nadszedł kelner.

– Proszę przynieść kawę dla moich gości oraz talerz z kanapkami z szynką. – Gus rozmyślnie nie zapytał ich, czego sobie życzą. Zauważył, że prezydent Wilson postępuje tak z ludźmi, gdy chce ich onieśmielić.

Usiadł i otworzył teczkę, w której znajdowała się czysta kartka. Udawał, że czyta.

Lev również zajął miejsce.

– Widzę, Gus, że prezydent przysłał cię, żebyś z nami negocjował.

Dopiero wtedy Gus pozwolił sobie spojrzeć na Lva. Patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Przystojny, owszem, lecz niegodny zaufania i słaby. Widząc wyraz zakłopotania na jego twarzy, Gus przemówił:

– Popieprzyło ci się we łbie?

Lev był tak zaszokowany, że cofnął się razem z krzesłem, jakby obawiał się ciosu.

– Co, u diabła...

– Ameryka prowadzi wojnę – ciągnął szorstko Gus. – Prezydent ani myśli z tobą negocjować. – Spojrzał na Briana Halla. – Z panem także – dodał, mimo że zaledwie dziesięć minut temu zawarł z nim umowę. Na koniec spojrzał na Vyalova. – Ani nawet z panem.

Vyalov patrzył mu prosto w oczy. W odróżnieniu od zięcia nie dał się zastraszyć. Jednak z jego twarzy znikł wyraz rozbawienia i pogardy, z którym wkroczył do sali. Po dłuższej chwili spytał:

– A więc po coś tu przyjechał?

– Po to, by powiedzieć wam, jak będzie – odpowiedział Gus tym samym tonem. – A kiedy skończę, wy się na to zgodzicie.

– Ha! – parsknął Lev.

– Zamknij się – syknął Vyalov. – Słuchamy cię, Dewar.

– Dacie pracownikom podwyżkę o pięćdziesiąt centów dziennie. – Gus odwrócił się do Halla. – A wy na nią przystaniecie. Wyraz twarzy związkowca niczego nie zdradzał.

– Czyżby? – mruknął.

– I chcę, żebyście jeszcze dziś w południe wrócili do roboty.

– Niby dlaczego, do jasnej cholery, mielibyśmy robić, co nam każesz? – spytał Vyalov.

– Z powodu alternatywy.

– Jakiej mianowicie?

– Prezydent przyśle do odlewni batalion wojska. Żołnierze zajmą zakład, zabezpieczą go, wyślą gotowe wyroby odbiorcom, a produkcja będzie kontynuowana pod nadzorem inżynierów wojskowych. Po wojnie prezydent może zwróci panu fabrykę. – Gus spojrzał na Halla. – Żałoga być może również odzyska wtedy stanowiska pracy. – Żałował, że nie skonsultował tego posunięcia z Wilsonem, lecz było już za późno.

– Czy prezydent ma do tego prawo? – zdziwił się Lev.

– Jest to zgodne z wojennym ustawodawstwem – wyjaśnił Gus.

– Ty tak mówisz – zauważył sceptycznie Vyalov.

– Możecie pozwać nas do sądu. Myśli pan, że jakiś amerykański sędzia opowie się po waszej stronie i po stronie naszych wrogów? – Gus rozparł się na krześle i spojrzał na rozmówców z arogancją, której w ogóle nie czuł. Uda się? Uwierzą mu? A może powiedzą „blefujesz”, wyśmieją go i sobie pójdą? Zapadła długa cisza. Twarz Halla nie wyrażała niczego, Vyalov myślał. Lev wyglądał, jakby zaraz miał się rozchorować. Wreszcie Vyalov odwrócił się do Halla.

– Zgodzicie się poprzestać na pięćdziesięciu centach?

– Tak – odparł przewodniczący związku.

Vyalov spojrzał na Gusa.

– W takim razie my też się zgadzamy.

– Dziękuję panom. – Gus zamknął teczkę, starając się zapanować nad drżeniem rąk. – Przekażę wiadomość prezydentowi.

V.

Sobota była ciepła i słoneczna. Lev powiedział Oldze, że musi zajrzeć do odlewni, a pojechał do Margi. Dziewczyna zajmowała niewielki pokój w hotelu Lovejoy. Objęli się mocno, lecz gdy Lev zaczął jej rozpinąć bluzkę, zaproponowała:

– Chodźmy do parku.

– Wolałbym pociupciać.

– Później. Zabierz mnie do parku, a kiedy wrócimy, pokażę ci coś specjalnego. Coś, czegośmy jeszcze nie próbowali. Zaschło mu w gardle.

– Dlaczego muszę czekać?

– Taki piękny dziś dzień.

– A jeśli ktoś nas zobaczy?

- Będzie tam milion ludzi.
- Tak, ale...
- Boisz się teścia, prawda?
- Do diabła z nim. Jestem ojcem jego wnuczki. Co zrobi, zastrzelili mnie?
- Zmienię sukienkę.
- Poczekam w samochodzie. Nie chcę patrzeć, jak się przebierasz. Mogłbym nie wytrzymać...

Lev miał nowego czteromiejscowego cadillaca coupe. Nie był to najbardziej szpanerski samochód w mieście, ale na początek całkiem niezły. Usiadł za kółkiem i zapalił papierosa. Oczywiście, że boi się Vyalova, ale przez całe życie podejmował ryzyko. Wszak nie jest Grigorijem. Jak dotąd wszystko układa się dobrze, myślał. Siedzi w aucie ubrany w niebieski letni garnitur i wybiera się do parku z ładną babką. Życie jest naprawdę przyjemne. Zanim dopalił papierosa, Marga wyszła z hotelu i wsiadła do samochodu. Miała na sobie sukienkę bez rękawów i włosy zakręcone nad uszami zgodnie z najnowszą modą.

Pojechali do parku Humboldta w East Side. Siedzieli na drewnianej parkowej ławeczce, wystawiając twarze do słońca i obserwując dzieci bawiące się w sadzawce. Lev ciągle dotykał odsłoniętych ramion Margi. Uwielbiał zazdrosne spojrzenia innych mężczyzn. Jest ze mną najładniejsza dziewczyna w parku. Nieźle, co?

- Przykro mi z powodu twoich ust - rzekł. Marga wciąż miała spuchniętą dolną wargę po ciosie Vyalova. Wyglądała z nią całkiem seksownie.
- To nie twoja wina. Twój teść to wieprz.
- Nie zaprzeczę.
- Zaproponowali mi pracę w Hot Spot. Zacznę, gdy tylko będę mogła znowu śpiewać.
- Jak ci idzie?

Marga zanuciła kilka taktów:

Przeczესuję włosy palcami,
Bawię się pasjansami,
Na milionera mego czekam godzinami,
Aż pojawi się.

Ostrożnie dotknęła ust.

- Wciąż boli.

Lev nachylił się do niej.

- Pocałuję, będzie lepiej.

Marga nadstawiła usta, a on ucałował je delikatnie, ledwo je muskając.

- Możesz troszkę mocniej - zachęciła.

Uśmiechnął się.

- Tak jak teraz? - Znów ją pocałował, tym razem pieszcząc językiem wewnątrz jej ust.

- Może być - rzekła po minucie Marga, śmiejąc się.

- W takim razie... - Tym razem Lev wsunął jej do ust cały język. Ich języki się spotkały, a potem Marga pogłaskała go po szyi. Ktoś rzucił: „Cóż za obrzydliwość”. Lev zastanawiał się, czy przechodnie zauważyli jego wzwód.

Uśmiechając się do Margi, powiedział:

- Gorszymi obywateli naszego miasta. - Rozejrzał się i nagle jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem jego żony Olgi. Patrzyła na niego zaszokowana. Jej usta rozchyliły się i ułożyły w kształt litery O.

Tuż obok stał jej ojciec w kamizelce i słomkowym kanotierze.

Trzymał na rękach Daisy. Dziewczynka miała na główce biały czepek osłaniający buzię przed słońcem. Za nimi stała niania Polina.

- Lev! Co to... Kim ona jest? - wykrztusiła Olga.

Czuł, że zdołałby się wyłgać nawet z tej wpadki, gdyby nie było tam Vyalova.

Wstał.

– Olgo... Nie wiem, co powiedzieć.
– Lepiej milcz – warknął Vyalov.
Olga się rozpląkała.
Vyalov podał Daisy niani.
– Natychmiast zanieś moją wnuczkę do samochodu.
– Tak, panie Vyalov.
Vyalov wziął Olgę za rękę i odprowadził ją na bok.
– Idź z Poliną, skarbie.
Olga zakryła oczy ręką, by nie było widać łez, i podażyła za nianią.
– Ty kupo gnoju – syknął Vyalov do Lva.
Lev zacisnął pięści. Jeśli Vyalov go uderzy, będzie się bronił. Teść ma posturę byka, lecz jest o dwadzieścia lat starszy. Wyższy od niego Lev nauczył się bić w spelunkach Sankt Petersburga. Nie zamierzał biernie przyjmować razów.
Vyalov odgadł jego myśli.
– Nie będę się z tobą bił. Sprawy zaszły za daleko.
A więc co zamierzasz zrobić? – pomyślał Lev, jednak nie otworzył ust.
Vyalov spojrzał na Margę.
– Powinienem być mocniej ci przywalić.
Marga otworzyła torebkę i wsunęła do niej rękę.
– Zbliżysz się do mnie o cal, a strzelę ci prosto w bebechy, ty ruski kmiotku ze świńskim ryjem. Tak mi dopomóż Bóg.
Lev podziwiał jej tupet. Niewielu ludzi znajdowało w sobie tyle odwagi, by grozić Josefowi Vyalovowi.
Twarz teścia pociemniała od gniewu, ale odwrócił się od Margi i przemówił do zięcia:
– Wiesz, co się teraz stanie?
Lev nie wiedział. Milczał.
– Pójdiesz prosto do woja, niech cię szlag.
Lev poczuł zimno.
– Nie mówisz poważnie.
– Kiedy ostatnio słyszałeś, jak nie mówię poważnie?
– Nie pójdę do wojska. Jak mnie zmusisz?
– Albo zgłosisz się na ochotnika, albo wezmą cię z poboru.
– Nie możesz tego zrobić! – wybuchła Marga.
– Owszem, może – rzekł zrezygnowany Lev. – W tym mieście on może załatwić wszystko.
– I wiesz co? Wprawdzie jesteś moim zięciem, ale na miły Bóg, oby cię zatłukli – dodał Vyalov.

VI.

Pod koniec czerwca Chuck i Doris wydali przyjęcie w ogrodzie. Gus przyszedł z rodzicami. Mężczyźni włożyli garnitury, lecz kobiety miały na sobie letnie sukienki i wymyślne kapelusze. Były kanapki oraz piwo, lemoniada i ciasto. Klaun rozdawał cukierki, a nauczyciel w szortach organizował dzieciom zabawy: bieg w worku, wyścig z jajkiem na łyżce oraz na „trzech nogach”.

Doris znów chciała rozmawiać z Gusem o wojnie.

– Krążą pogłoski o buncie w armii francuskiej – zagaiła.
Gus wiedział, że prawda jest znacznie gorsza od pogłosek: do buntów doszło w pięćdziesięciu czterech francuskich dywizjach, dwadzieścia tysięcy żołnierzy zdezerterowało.
– Przypuszczam, że właśnie dlatego Francuzi zmienili taktykę i przeszli z ofensywy do obrony – odparł neutralnie.
– Francuscy oficerowie podobno źle traktują swoich podwładnych. – Doris z radością przyjmowała niepomyślne wieści z wojny, gdyż stanowiły dla niej dobry argument. – A ofensywa Nivelles'a zakończyła się katastrofą.
– Przybycie amerykańskich oddziałów podniesie Francuzów

na duchu. – Pierwsi amerykańscy żołnierze już wsiedli na statki płynące do Francji.

– Jak dotąd wysłaliśmy tam jedynie symboliczne siły. Mam nadzieję, że nasze wojska odegrają niewielką rolę w zmaganiach.

– Nie, to nie tak. Musimy zwerbować, wyćwiczyć i uzbroić co najmniej milion żołnierzy. Tego nie można zrobić z dnia na dzień. W przyszłym roku wyślemy do Europy setki tysięcy ludzi. Doris spojrzała ponad ramieniem Gusa.

– O mój Boże, nadchodzi jeden z naszych nowych rekrutów.

Gus odwrócił się i zobaczył rodzinę Vyalovów: Josefa z Leną i Olgą oraz Lva z małą dziewczynką. Był w mundurze. Prezentował się olśniewająco, lecz minę miał ponurą.

Gus poczuł się zażenowany, ale jego ojciec, senator, czyli osoba publiczna, kordialnie uścisnął Josefowi dłoń i powiedział coś, co tamtego rozbawiło. Matka życzliwie zagadnęła Lenę i zachwyciła się dzieckiem. Gus uświadomił sobie, iż rodzice spodziewali się tego spotkania i postanowili zachowywać się tak, jakby zapomnieli o tym, że ich syn i Olga byli kiedyś zaręczeni. Napotkał spojrzenie Olgi i grzecznie skinął głową. Zaruszyła się.

Lev był bezczelny jak zawsze.

– No i co, Gus, prezydent pogratulował ci z powodu zakończenia strajku? – rzucił.

Inni goście usłyszeli to pytanie i zamilkli, czekając na odpowiedź Gusa.

– Jest rad, że wykazaliście odrobinę rozsądku – odparł taktownie. – Widzę, że wstąpiłeś do wojska.

– Zgłosiłem się na ochotnika. Szkolę się na oficera.

– I jak ci się to podoba?

Gus spostrzegł, że otoczyła ich gromada słuchaczy: Vyalovowie, Dewarowie i Dixonowie. Od czasu zerwania zaręczyn jego i Olgi nie widziano Gusa i Lva razem w miejscu publicznym. Wszyscy byli ciekawi, jak zachowają się dawni rywale.

– Przyzwyczaję się. A co z tobą?

– Co masz na myśli?

– Pytam, czy się zaciągniesz. W końcu to ty i twój prezydent wplątaliście nas w tę wojnę.

Gus milczał, lecz był zawstydzony. Lev ma rację.

– Zawsze możesz poczekać, aż cię zwerbują – ciągnął Peshkoy dokręcając śrubę. – Nigdy nie wiadomo, a nuż się wywiniesz. Poza tym, jeśli wrócisz do Waszyngtonu, prezydent może ci załatwić zwolnienie – dodał ze śmiechem.

Gus pokręcił głową.

– Niezupełnie. Zastanawiałem się nad tym. Masz rację, należę do rządu, który wprowadził pobór. Nie uniknę tego.

Ojciec skinął głową, jakby spodziewał się takich słów. Matka miała na ten temat inne zdanie.

– Ależ ty pracujesz dla prezydenta! Czy można w lepszy sposób służyć krajowi w czasie wojny?

– To by wyglądało na tchórzostwo – rzucił Lev.

– Otóż to – potwierdził Gus. – Dlatego nie wrócę do Waszyngtonu. Ta część mojego życia się zakończyła.

– Gus, nie! – szepnęła błagalnie matka.

– Rozmawiałem już z generałem Clarence'em z Dywizji Buffalo. Wstępuję do Armii Narodowej.

Matka zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ 26

Połowa czerwca 1917 roku

Ethel nigdy nie myślała o prawach kobiet aż do dnia, w którym, ciężarna i niezamężna, stanęła w bibliotece Ty Gwyn twarzą w twarz z oślizłym adwokatem Solmanem. Ten zaś nauczył ją czegoś o życiu. Miała poświęcić najlepsze lata, z trudem zarabiając na to, by wykarmić i wyżywić dziecko Fitz, natomiast Fitz nie miał obowiązku jej pomagać. To było tak niesprawiedliwe, że miała ochotę zamordować prawnika.

Jej gniew rozpałił się jeszcze bardziej, gdy zaczęła szukać pracy w Londynie. Mogła ją dostać, pod warunkiem że stanowiska nie zechce żaden mężczyzna. Otrzymywałyby połowę męskiej pensji albo mniej.

Feminizm Ethel stwardniał na kamień przez te lata, gdy mieszkała obok dzielnych, zaharowanych i biedujących kobiet z londyńskiego East Endu. Mężczyźni często opowiadali bajki o podziale obowiązków w rodzinie: mężczyzna ma zarabiać na chleb, a kobieta zajmować się domem i dziećmi. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. Większość znanych jej kobiet pracowała dwanaście godzin dziennie, a oprócz tego opiekowała się domem i dziećmi. Niedożywione, przepracowane, mieszkały w rudkach i chodziły odziane w łachmany, a mimo to śpiewały, śmiały się i kochały swoje dzieci. Zdaniem Ethel każda z nich bardziej zasługiwała na prawo do głosowania niż dziesięciu facetów. Głosiła to przesłanie tak długo, że w połowie 1917 roku poczuła się dziwnie, gdy prawo wyborcze dla kobiet stało się realną możliwością. W dzieciństwie pytała: „Jak będzie w niebie?”, i nigdy nie uzyskała zadowalającej odpowiedzi.

Parlament zgodził się na przeprowadzenie debaty w połowie czerwca.

– To owoc dwóch kompromisów – rzekła radośnie do Berniego, przeczytawszy artykuł w „Timesie”. – Zgromadzenie, które zwołał Asquith, by nie podejmować tej kwestii, za wszelką cenę chciało uniknąć sporu.

Bernie karmił Lloyda tostem zanurzonym w słodzonej herbacie. Było to jego śniadanie.

– Zapewne rząd boi się, że kobiety znów będą przykuwały się łańcuchami do ogrodzeń.

Ethel pokiwała głową.

– Jeśli politycy uwikłają się w tego rodzaju awantury, ludzie powiedzą, że rząd nie skupia się na dążeniu do zwycięstwa w wojnie. Komisja zaleciła przyznanie prawa wyborczego kobietom po trzydziestce, które prowadzą gospodarstwo domowe albo są żonami właścicieli gospodarstwa domowego. To oznacza, że jestem za młoda.

– To był pierwszy kompromis – zauważył Bernie. – A drugi?

– Maud twierdzi, że gabinet był podzielony. – Gabinet Wojenny składał się z czterech członków rządu oraz premiera Lloyda George'a. – Curzon jest nam przeciwny, naturalnie. – Hrabia Curzon, przewodniczący Izby Lordów, szczyił się swoim mizoginizmem i pełnił funkcję prezesa Ligi Przeciwników Prawa Wyborczego Kobiet. – Podobnie jak Milner. Za to Henderson nas popiera. – Arthur Henderson był szefem Partii Pracy, której deputowani udzielili kobietom poparcia mimo sprzeciwu wielu członków partii. – Bonar Law jest z nami, choć przekonania ma letnie.

– Dwóch za i dwóch przeciw, Lloyd George zaś jak zwykle chciał uszczęśliwić wszystkich.

– Kompromis polega na tym, że głosowanie będzie wolne. – Oznacza to, że rząd nie nakaże swojemu partyjnemu zapleczu głosować w taki bądź inny sposób.

– Cokolwiek się zdarzy, nie będzie winą rządu.

– Nikt nigdy nie twierdził, że Lloyd George jest szczególnie pomysłowy.

– Ale dał wam szansę.

- To i nic więcej. Musimy przeprowadzić kampanię.
- Wydaje mi się, że postawa ludzi uległa zmianie - rzekł optymistycznie Bernie. - Rząd potrzebuje kobiet, by zastąpiły mężczyzn, którzy trafili na front we Francji. Włożono sporo wysiłku w przekonywanie obywateli, że kobiety doskonale sobie radzą jako kierowcy autobusów oraz pracownice zakładów zbrojeniowych. Teraz trudniej jest mówić, że kobiety są gorsze.
- Obyś miał rację - powiedziała z zapalem Ethel.

Cztery miesiące po ślubie Ethel niczego nie żałowała. Bernie był inteligentny, interesujący i szlachetny. Wyznawali te same idee i wspólnie do nich dążyli. Bernie prawdopodobnie zostanie kandydatem Partii Pracy z Aldgate w następnych wyborach powszechnych, kiedy już do nich dojdzie. Podobnie jak wszystko inne, muszą poczekać do zakończenia wojny. Pracowity i bystry, będzie dobrym parlamentarzystą. Ethel nie wiedziała jednak, czy Partia Pracy zwycięży w Aldgate. Obecny deputowany jest liberałem, lecz od poprzednich wyborów w 1910 roku dużo się zmieniło. Nawet jeśli projekt ustawy o prawie wyborczym dla kobiet nie zostanie przyjęty, pozostałe propozycje zgromadzenia przewodniczącego izby sprawią, że wielu robotników uzyska prawo do głosowania.

Bernie to zacny mężczyzna, lecz Ethel ze wstydem przyłapywała się czasami na tęsknocie za Fitzem, który nie był ani bystry, ani interesujący. Nie był również szlachetny, a jego poglądy stały w sprzeczności z jej przekonaniem. Zauważając u siebie takie myśli, czuła, że nie jest lepsza od mężczyzn uganiających się za dziewczętami tańczącymi kankana. Rozpalają ich pończochy, halki i majtki z falbankami. Ją oczarowały delikatne dłonie Fitz'a, jego rytmiczny akcent oraz woń czystości zaprawiona minimalną domieszką perfum.

Ona jednak nazywa się teraz Ethel Leckwith. Wszyscy mówią o nich tak, jakby byli niczym pieprz i sól, czajnik i herbata.

Włożyła Lloydowi buciki i zabrała go do opiekunki, a potem udała się do redakcji „Żony Żołnierza”. Pogoda była ładna, Ethel zaś pełna nadziei. Możemy zmienić świat, myślała. Nie jest to łatwe, ale wykonalne. Gazeta Maud przysporzy ustawie poparcia wśród kobiet z klasy robotniczej, wszystkie oczy z pewnością będą śledziły, jak głosują poszczególni parlamentarzyści.

Redakcja mieściła się w dwóch ciasnych pokojach nad drukarnią. Maud już tam była. Zapewne przyszła wcześniej z powodu nowin politycznych. Siedziała przy starym poplamionym stole ubrana w letnią sukienkę w kolorze bzu i podobny do żagla kapelusz z długim sterzcącym piórem. Większość ubrań pochodziła sprzed wojny, lecz mimo to Maud nosiła się elegancko. Poza tym wyglądała zbyt rasowo na tle tego otoczenia, jak koń wyścigowy na wiejskiej farmie.

- Musimy wypuścić specjalny numer - oznajmiła, skrobiąc coś w notesie. - Piszę tekst na pierwszą stronę.
- Ethel poczuła dreszcz podniecenia. Właśnie to lubiła najbardziej: działanie. Usiadła po drugiej stronie stołu.
- Dopilnuję, żeby pozostałe strony były gotowe na czas. Czy wykorzystujemy kolumnę poświęconą pomocy czytelników?
- Tak. Niech przychodzą na nasze spotkania, lobbuja u miejscowego deputowanego, piszą listy do gazet i tak dalej.
- Napiszę wstępny szkic. - Ethel wzięła ołówek i wyjęła z szuflady notes.
- Musimy zmobilizować kobiety przeciwko tej ustawie - dodała Maud.

Ethel znieruchomiała z ołówkiem w ręku.

- Powiedziałaś: „przeciwko”?
- Naturalnie. Rząd zamierza udawać, że daje kobietom prawo wyborcze, a tymczasem skąpi go większości z nas.

Ethel zobaczyła tytuł napisany przez Maud: Wszystkie głosy

przeciwko szalbierstwu!

– Chwileczkę. – Ona nie widziała w tym projekcie szalbierstwa. – Może to nie jest wszystko, czego byśmy pragnęły, ale lepsze to niż nic.

Maud zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem.

– To jest gorsze niż nic. Ustawa ma wywołać fałszywe wrażenie, że daje kobietom równość.

Przyjaciółka za dużo teoretyzuje. Nie ulega wątpliwości, że dyskryminacja młodych kobiet jest zasadniczo zła, lecz w tej chwili nie to jest ważne. Chodzi o praktykę polityczną.

– Czasem reformy muszą następować stopniowo – tłumaczyła Ethel. – Mężczyznom także przyznawano prawo wyborcze krok po kroku. Nawet teraz zaledwie połowa z nich może brać udział w głosowaniach...

– Zastanawiałaś się, co będą czuły pominięte? – przerwała jej Maud władcym tonem.

Czasami zdarzało jej się traktować innych z góry. Ethel nie pozwoliła sobie na to, by poczuć się urażona.

– Jestem jedną z nich – zauważyła spokojnie.

Maud nie zmieniała tonu.

– Większość pracowników zakładów produkujących amunicję, tak ważnych dla naszego wysiłku wojennego, okaże się za młoda, by móc głosować. Podobnie jak większość sanitariuszek, które narażają życie, opiekując się rannymi żołnierzami we Francji. Wdowy po poległych nie będą mogły głosować, pomimo straszliwej ofiary, jaką poniosły, jeśli akurat mieszkają w wynajętych mieszkaniach. Nie rozumiesz, że w tej ustawie chodzi o to, by uczynić z kobiet mniejszość?

– Chcesz prowadzić kampanię przeciwko ustawie?

– Oczywiście, że tak.

– Ależ to szaleństwo! – Ethel była zaskoczona i poruszona, widząc, że zdecydowanie nie zgadza się z kobietą, z którą od dawna się przyjaźni i współpracuje. – Wybacz, ale nie rozumiem, jak możemy prosić parlamentarzystów o to, by głosowali przeciwko czemuś, czego domagamy się od dziesiątków lat.

– Zabiegamy o coś innego! – Maud rozgniewała się jeszcze bardziej. – Walczyłyśmy o równouprawnienie i nie uzyskałyśmy go. Jeśli damy się nabrać na ten wybieg, zostaniemy odsunięte na boczny tor na całe następne pokolenie!

– Nie o wybieg tu chodzi. – Ethel poczuła się dotknięta. – Nikt mnie nie nabiera. Rozumiem twoją argumentację, bo nie jest szczególnie subtelna. Ale niewłaściwie oceniasz sytuację.

– Czyżby? – odpowiedziała sztywno Maud. Nagle Ethel dostrzegła, jak bardzo jest podobna do Fitz'a: brat i siostra mają różne poglądy, lecz trzymają się ich z takim samym uporem.

– Wyobraź sobie hasła propagandowe, które rzucą przeciwnicy – mówiła Ethel. – „Zawsze wiedzieliśmy, że kobiety nie potrafią się zdecydować”. „Oto, dlaczego nie powinny brać udziału w głosowaniach”. Wyśmieją nas, i to nie po raz pierwszy.

– Nasza propaganda powinna być skuteczniejsza – odrzekła nonszalancko Maud. – Będziemy musiały bardzo jasno wyłożyć wszystkim istotę rzeczy.

Ethel pokręciła głową.

– Mylisz się. To są sprawy bardzo emocjonalne. Od lat prowadziłyśmy kampanię przeciwko zasadzie niepozwalającej kobietom głosować. Na tym polega prawdziwa bariera. Gdy zostanie pokonana, ludzie zaczną postrzegać dalsze ustępstwa jako kwestie techniczne. Względnie łatwo uda się obniżyć wiek kobiet uprawnionych do głosowania i znieść inne ograniczenia. Musisz się z tym zgodzić.

– Ale się nie zgadzam – odparła lodowato Maud. Nie znosiła, gdy mówiono jej, że musi się z czymś zgodzić. – Ta ustawa to krok do tyłu. Każdy, kto ją poprze, będzie zdrajcą.

Ethel spojrzała jej głęboko w oczy.

– Nie możesz tak myśleć.

- Proszę, nie pouczaj mnie, jak mogę myśleć, a jak nie mogę.
 - Od dwóch lat razem pracujemy i prowadzimy kampanię - mówiła Ethel ze łzami w oczach. - Naprawdę wierzysz, że nie zgadzając się z tobą, popełniam nielojalność wobec idei równouprawnienia kobiet?
- Maud była nieubłagana.
- Tak właśnie uważam.
 - No cóż, trudno - westchnęła Ethel. Nie wiedziała, co ma zrobić, więc wyszła.

II.

Fitz kazał krawcowi uszyć sześć nowych garniturów. Stare na nim wisiały, ponieważ schudł i wyglądał w nich staro. Włożył nowy strój wieczorowy: czarny smoking, białą kamizelkę, kołnierzyk i białą muszkę. Teraz lepiej, pomyślał, przejrząwszy się w lustrze w garderobie.

Zszedł do salonu. W domu radził sobie bez laski. Maud naląła mu kieliszek madery.

- Jak się czujesz? - spytała ciocia Herm.

- Lekarze mówią, że stan nogi się poprawia, ale następuje to powoli. - Fitz na jakiś czas wrócił do okopów, lecz zmogły go zimno i wilgoć. Znowu trafił na listę rekonwalescentów i teraz pracował w wywiadzie.

- Wiemy, że wolałbyś być tam, ale my nie żałujemy, że tej wiosny nie wzięłaś udziału w walkach - powiedziała Maud. Fitz skinął głową. Ofensywa generała Nivelles'a zakończyła się fiaskiem i dowódca wyleciał z wojska. Wśród żołnierzy zapanały buntownicze nastroje. Bronili okopów, lecz odmawiali ruszenia do ataku. Jak dotąd był to dla aliantów kolejny zły rok wojny.

Maud myliła się jednak, sądząc, że Fitz wolałby walczyć na froncie. Jego dokonania w wywiadzie były przypuszczalnie ważniejsze od tego, co mógłby zdziałać we Francji. Wielu ludzi obawiało się, że niemieckie łodzie podwodne zdołają przerwać brytyjskie szlaki zaopatrzeniowe. Jednakże komórka znana pod nazwą Sala 40 zdołała odkryć miejsce pobytu U-Bootów i wysłać do statków ostrzeżenie. Ta informacja oraz taktyka wysyłania statków w konwojach pod eskortą niszczycieli znacznie osłabiła skuteczność działań okrętów podwodnych. Był to triumf, choć wiedziało o nim niewielu ludzi.

Teraz zagrożenie stanowi Rosja. Po detronizacji cara wszystko stało się możliwe. Jak dotąd umiarkowane siły polityczne utrzymują się u władzy, ale jak długo to potrwa? Nie tylko rodzina Bei oraz dziedzictwo Boya znalazły się w niebezpieczeństwie. Jeśli ekstremiści zdobędą władzę, mogą ogłosić pokój, a wtedy setki tysięcy niemieckich żołnierzy trafią na front we Francji.

- Przynajmniej nie utraciliśmy Rosji - przypomniał Fitz.

- Na razie - odparła Maud. - Niemcy liczą na zwycięstwo bolszewików, wszyscy o tym wiedzą.

Do salonu weszła księżniczka Bea. Miała na sobie suknię ze srebrnego jedwabiu z głębokim dekoltem oraz diamentową biżuterię. Fitz i Bea wybierali się na kolację, a potem na bal. W Londynie trwał sezon towarzyski. Bea usłyszała uwagę Maud.

- Nie doceniasz rosyjskiej rodziny carskiej. Wciąż jeszcze może dojść do kontrrewolucji. Bo co zyskał nasz naród? Robotnicy nadal głodują, żołnierze giną, a Niemcy zdobywają teren.

Wszedł Grout z butelką szampana. Otworzył ją bezgłośnie i napełnił kieliszek Bei. Jak zawsze upiła tylko jeden mały łyk.

- Książę Lwów ogłosił, że kobiety będą mogły głosować w wyborach do Konstytuanty - powiedziała Maud.

- Jeśli do nich dojdzie - zastrzegł Fitz. - Rząd Tymczasowy publikuje mnóstwo obwieszczeń, ale czy ktoś się nimi przejmuje?

Z tego, co mi wiadomo, w każdej wiosce i siole powstała rada i wzięła sprawy w swoje ręce.

– Wyobraźcie to sobie! – wykrzyknęła Bea. – Zabobonni niepiśmienni chłopci udają, że rządzą!

– To niesłychanie groźne – dodał gniewnie Fitz. – Ludzie nie mają pojęcia, jak łatwo może dojść do anarchii i aktów barbarzyństwa. – Ten temat zawsze doprowadzał go do pasji.

– Cóż to byłoby za ironia losu, gdyby Rosja stała się bardziej demokratycznym krajem niż Wielka Brytania – westchnęła Maud.

– Parlament będzie debatował nad prawem wyborczym dla kobiet – przypomniał Fitz.

– Tylko dla tych, które mają ponad trzydzieści lat, prowadzą własne gospodarstwo domowe lub są żonami właścicieli gospodarstwa domowego.

– Mimo to powinnaś się cieszyć z postępu. W jednym z czasopism przeczytałem artykuł na ten temat pióra twojej towarzyszkii Ethel. – Fitz prawie osłupiał, gdy siedząc w salonie swojego klubu, ujrzał w „New Statesmanie” artykuł podpisany nazwiskiem swojej byłej gospodyni. Podczas lektury przysłała mu do głowy nieprzyjemna myśl, że sam nie zdołałby napisać tak precyzyjnego i przekonującego tekstu. – Według niej kobiety powinny zaakceptować ustawę, kierując się zasadą, że coś jest lepsze niż nic.

– Obawiam się, że nie mogę się z tym zgodzić – odrzekła zimno Maud. – Nie zamierzam czekać do trzydziestki, aż zostanę uznana za członkinię rasy ludzkiej.

– Posprzeczałyście się?

– Ustaliłyśmy, że każda z nas pójdzie swoją drogą. Fitz widział, że siostra jest wzburzona. Aby ostudzić atmosferę, zwrócił się do lady Hermii:

– Jeśli rząd brytyjski przyzna kobietom prawo do głosowania, na kogo zagłosujesz, ciociu?

– Nie jestem pewna, czy pójdę głosować – odparła Hermia. – Czy to nie jest odrobinę wulgarne?

Maud się skrzywiła, lecz twarz Fitz’a rozjaśnił uśmiech.

– Jeśli w taki sposób myślą damy z dobrych domów, na głosowanie pójdą wyłącznie robotnice i wybiorą socjalistów.

– O rety – jęknęła ciotka Herm. – W takim razie może jednak zagłosuję.

– Poparłabyś Lloyda George'a?

– Tego walijskiego prawnika? Na pewno nie.

– To może Bonara Lawa, przywódcę konserwatystów?

– Dlaczego nie?

– Ale on jest Kanadyjczykiem.

– O mój Boże.

– Tak to jest, gdy ma się imperium. Hołota z całego świata uważa się za jego część.

Weszła niania z Boyem. Chłopiec miał już dwa i pół roku i był pulchnym brzdącem z gęstą jasną czupryną, którą odziedziczył po matce. Podbiegł do Bei, a ta wzięła go na kolana.

– Jadłem owsiankę, a niania rozsypała cukier! – oznajmił ze śmiechem. To było wydarzenie dnia.

Fitz pomyślał, że Bea najlepiej sprawuje się w roli matki. Rysy jej twarzy miękły, robiła się czuła, głaskała i całowała malca. Dziecko po chwili zsunęło się z jej kolan i podreptało do taty.

– Jak się miewa mój mały żołnierz? Kiedy dorośniesz, będziesz strzelał do Niemców?

– Bum! Bum! – odpowiedział Boy.

Fitz zauważył, że chłopcu cieknie z nosa.

– Czy on jest przeziębiony? – spytał ostro.

Niania się wystraszyła. Była młodą dziewczyną z Aberowen, lecz miała dobre przygotowanie zawodowe.

– Ależ skąd, panie hrabio, jestem tego pewna. Przecież mamy czerwiec!

– Istnieje coś takiego jak letnie przeziębienie.
– Przez cały dzień dziecko było zupełnie zdrowe. Po prostu cieknie mu z noska.
– Na pewno. – Fitz wyjął z kieszeni smokingu chusteczkę i wytarł Boyowi nos. – Bawił się z dziećmi z plebsu?
– Wykluczone, proszę pana.
– A w parku?
– Odwiedzamy tylko te części, w których przebywają dzieci z dobrych rodzin. Zwracam na to szczególną uwagę.
– Mam nadzieję. Ten chłopiec jest dziedzicem tytułu Fitzherbertów, a może nawet rosyjskim księciem. – Fitz postawił syna na ziemi, ten zaś popędził do niani.
Pojawił się Grout ze srebrną tacą, na której leżała koperta.
– Telegram, panie hrabio – oznajmił. – Zaadresowany do księżniczki.
Fitz wskazał gestem, że Grout ma przekazać depeszę Bei. Ta z niepokojem ściągnęła brwi, gdyż telegramy w czasie wojny niepokoiły każdego. Rozdarła kopertę, przebiegła wzrokiem tekst i krzyknęła.
– Co się stało? – Fitz aż podskoczył.
– Mój brat!
– Żyje?
– Tak, jest ranny. – Bea się rozplakała. – Amputowano mu rękę, ale wraca do zdrowia. Biedny Andriej.
Fitz przeczytał telegram. Z jedynej informacji dodatkowej wynikało, że księżę Andriej został przewieziony do Bułowniru, jego posiadłości leżącej w guberni tambowskiej na południowy wschód od Moskwy. Miał nadzieję, że Andriej naprawdę wydobrzeje. Wielu żołnierzy umierało z powodu zakażeń, amputacja nie zawsze powstrzymywała rozwój gangreny.
– Moja droga, jest mi bardzo przykro – powiedział. Maud i Herm stanęły po obu stronach Bei, pocieszając ją. – Tu napisano, że otrzymamy następny list, ale Bóg jeden wie, jak długo będzie do nas szedł.
– Muszę wiedzieć, co z Andriejem! – szlochała Bea.
– Poproszę brytyjskiego ambasadora, aby zbadał sytuację. – Hrabia wciąż mógł liczyć na pewne przywileje, nawet w epoce demokracji.
– Zaprowadzimy cię do twojego pokoju – zasugerowała Maud.
Bea skinęła głową i wstała.
– Ja jednak pójdę na kolację do lorda Silvermana. Będzie tam Bonar Law. – Fitz chciał pewnego dnia zostać ministrem w rządzie konserwatystów, dlatego chętnie korzystał z każdej okazji, by pomówić z przywódcą partii. – Ale nie zostanę na balu, wrócę prosto do domu.
Jego żona skinęła głową i pozwoliła zaprowadzić się na górę.
– Samochód czeka – oznajmił Grout, który wszedł do salonu. Podczas krótkiej jazdy na Belgrave Square Fitz myślał o otrzymanej wiadomości. Księżę Andriej nigdy nie umiał dobrze zarządzać rodzinnym majątkiem. Zapewne użyje kalectwa jako wymówki, by jeszcze mniej zajmować się finansami. Posiadłość znów podupadnie. Jednak Fitz nie mógł nic na to poradzić z odległości tysiąca pięciuset mil. Był zmartwiony i sfrustrowany. Anarchia niezmiennie czai się za rogiem, a niedbalstwo takich arystokratów jak Andriej daje rewolucjonistom szansę.
Dotarłszy do rezydencji Silvermana, Fitz zastał tam Bonara Lawa, a także Percevala Jonesa, deputowanego z Aberowen i przewodniczącego zarządu firmy Celtic Minerals. Jones zawsze był pyszałkiem, a tego wieczoru puchł z dumy, że znalazł się w tak dystyngowanym towarzystwie. Rozmawiał z lordem Silvermanem, trzymając ręce w kieszeniach, a na jego obszernej kamizelce lśniła wielka złota dewizka od zegarka.
Fitz nie był specjalnie zaskoczony. To spotkanie polityczne,

Jones pnie się w górę w szeregach Partii Konserwatywnej i bez wątpienia on także ma nadzieję zostać ministrem, gdy Bonar Law obejmie stanowisko szefa rządu. Mimo to poczuł się tak, jakby spotkał stajennego na balu myśliwskim. Dręczyło go nieprzyjemne wrażenie, że bolszewizm zawitał do Londynu nie dzięki rewolucji, lecz tylnymi drzwiami.

Przy stole Jones zaskoczył Fitz'a, zdradzając, że opowiada się za przyznaniem kobietom prawa do głosowania.

– Na litość boską, dlaczego?

– Przeprowadziliśmy sondę wśród przewodniczących okręgów i działaczy – odparł. Bonar Law skinął głową, potwierdzając jego słowa. – Stosunek głosów wynosi dwa do jednego za propozycją.

– Konserwatyści opowiadają się za równouprawnieniem? – zapytał z niedowierzaniem Fitz.

– Tak, panie hrabio.

– Ale dlaczego?

– Ustawa przyzna prawo wyborcze wyłącznie kobietom po trzydziestce, które prowadzą gospodarstwo domowe albo są żonami właścicieli gospodarstw domowych. Większość robotnic fabrycznych zostanie wykluczona, gdyż zwykle są za młode. A te wszystkie okropne intelektualistki to samotnice mieszkające kątem u ludzi. Fitz był zaskoczony. Zawsze uważał, że to kwestia zasad. Jednak dla nowobogackich biznesmenów pokroju Jonesa zasady się nie liczyły. Fitz nigdy się nie zastanawiał nad konsekwencjami, jakie równouprawnienie kobiet mogłoby przynieść w czasie wyborów.

– Nadal nie rozumiem...

– Większość nowych wyborców będą stanowiły dojrzałe matki rodzin z klasy średniej. – Jones wulgarnym gestem dotknął palcem bocznej części nosa. – Hrabio Fitzherbert, to jest najbardziej konserwatywna grupa społeczna w kraju. Ta ustawa da naszej partii sześć milionów nowych głosów.

– Zamierzacie więc poprzeć ustawę o prawie głosowania dla kobiet?

– Musimy to zrobić! Potrzebujemy tych głosów. W czasie następnych wyborów pojawią się trzy miliony nowych wyborców płci męskiej. Wielu z nich wróci z wojska, większość opowie się przeciwko nam. Nasze zwolenniczki płci żeńskiej będą od nich liczniejsze.

– Ależ, człowieku, co z zasadami!? – zaprotestował Fitz, choć czuł, że przegrywa tę bitwę.

– Zasady? Tu chodzi o praktyczną politykę. – Posłał Fitzowi protekcjonalny uśmiech, który go rozwścieczył. – Jeśli wolno mi tak powiedzieć, zawsze był pan idealistą, hrabio.

– Wszyscy jesteśmy idealistami – rzekł lord Silverman, starając się jako dobry gospodarz załagodzić konflikt. – Dlatego zajmujemy się polityką. Ludzie pozbawieni ideałów nie zaprzatają sobie głów takimi sprawami. My jednak musimy stawić czoło rzeczywistości wyborów oraz opinii publicznej.

Fitz chciał uniknąć etykiety niepraktycznego marzyciela.

– Naturalnie, że tak – powiedział pospiesznie. – Jednak kwestia miejsca kobiety dotyka samej istoty życia rodzinnego, a więc czegoś, co zwykłem uważać za wartość drogą konserwatystom.

– Sprawa wciąż jest otwarta – odrzekł Bonar Law. – Parlamentarzyści mają wolną rękę. Zagłosują zgodnie ze swoim sumieniem.

Fitz potulnie skinął głową, a Silverman poruszył temat buntów francuskich żołnierzy.

Przez dalszą część kolacji Fitz milczał. Wydało mu się złowieszcze, że projekt ustawy o przyznaniu kobietom prawa do głosowania popierają zarówno Ethel Leckwith, jak i Perceval Jones. Istnieje realne zagrożenie, że ustawa przejdzie. Uważał, iż konserwatyści

powinni stać na straży tradycyjnych wartości, a nie lawirować, kierując się względami tymczasowego poparcia elektoratu. Widział jednak wyraźnie, że Bonar Law jest innego zdania i woli się nie wychylać. Ogarnął go wstyd, że nie jest całkowicie szczery – nie znosił się wstydzic.

Wyszedł od lorda Silvermana zaraz po Bonarze Lawie. Dotarliśmy do domu, od razu udał się na górę. Zdjął płaszcz, włożył jedwabny szlafrok i skierował się do pokoju Bei.

Siedziała w łóżku z filiżanką herbaty. Widać było, że jest zapłakana, lecz przypudrowała nieco twarz. Miała na sobie kwiecistą nocną koszulę oraz dzierganą różową lizeskę z bufiastymi rękawami.

Fitz zapytał, jak się czuje.

– Jestem zdruzgotana. Z całej mojej rodziny został tylko Andriej.

– Tak, wiem. – Oboje rodzice Bei nie żyli, nie miała żadnych bliskich krewnych. – Wieści są niepokojące, ale twój brat prawdopodobnie z tego wyjdzie.

Odstawiła filiżankę i spodek.

– Dużo myślałam, Fitz.

Bea rzadko mówiła takie rzeczy.

– Potrzymaj mnie za rękę.

Fitz ujął jej dłoń w obie ręce. Wyglądała ładnie i mimo że temat rozmowy był smutny, Fitz ogarnęło pożądanie. Czuł pod palcami pierścionek zaręczynowy z diamentem i złotą obrączkę ślubną. Miał ochotę wziąć jej dłoń i ugryźć w mięsistą podstawę kciuka.

– Chcę, żebyś zabrał mnie do Rosji.

Fitz był tak zaskoczony, że puścił dłoń żony.

– Co takiego?

– Nie odmawiaj od razu, zastanów się – poprosiła Bea. – Powiesz, że to niebezpieczne, wiem. Mimo to w Rosji wciąż mieszkają setki Brytyjczyków: dyplomaci w ambasadach, biznesmeni, oficerowie oraz żołnierze na misjach wojskowych, dziennikarze i inni.

– Co z Boyem?

– To straszne, że musiałabym go zostawić, ale niania spisuje się doskonale, Hermia go uwielbia, na Maud też można liczyć. W kryzysowej sytuacji podejmie rozsądne decyzje.

– Będziemy potrzebowali wiz...

– Możesz szepnąć słówko komuś na ważnym stanowisku. Na litość boską, dopiero co zjadłeś kolację z członkiem rządu. Bea miała rację.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych zapewne poprosi mnie o raport z podróży. Tym bardziej że będziemy jechali przez tereny wiejskie, na które nasi dyplomaci rzadko się zapuszczają.

Bea wzięła męża za rękę.

– Mój jedyny żyjący krewny jest ciężko ranny i może umrzeć.

Muszę się z nim zobaczyć. Proszę cię, Fitz. Błagam.

W gruncie rzeczy Fitz nie był tak bardzo przeciwny prośbie Bei, jak jej się wydawało. Okopy zmieniły jego wyobrażenie o niebezpieczeństwie. Większość żołnierzy przeżywała kanonadę artyleryjską. Podróż do Rosji, choć niebezpieczna, była w porównaniu z tym niczym. Mimo to Fitz się wahał.

– Rozumiem twoją prośbę. Pozwól mi dowiedzieć się paru rzeczy.

Bea uznała to za zgodę.

– Och, dziękuję!

– Jeszcze mi nie dziękuj. Najpierw zorientuję się, co w takim przedsięwzięciu można przewidzieć i zaplanować.

– Dobrze – zgodziła się Bea. Fitz widział jednak, że w myślach już przesądziła wynik.

Wstał.

– Muszę się przygotować do snu – rzekł, zmierzając do drzwi.

- Kiedy już się przebierzesz, przyjdź tutaj. Chcę, żebyś mnie przytulił.
- Naturalnie – odparł Fitz z uśmiechem.

III

W dniu, w którym parlament debatował nad prawem kobiet do głosowania, Ethel zorganizowała wiec w budynku nieopodal pałacu westminsterskiego.

Działała teraz w Krajowym Związku Robotników Odzieżowych, który chętnie zatrudnił znaną aktywistkę. Jej najważniejsze zadanie polegało na rekrutacji do związku kobiet harujących ponad siły w fabrykach na East Endzie, lecz związek uważał, że o pracowników należy walczyć zarówno w miejscu pracy, jak i na poziomie polityki państwowej.

Wciąż odczuwała przykrość z powodu rozstania z Maud.

Niewykluczone, że zawsze było coś sztucznego w przyjaźni siostry hrabiego i jego byłej gospodyni, lecz Ethel miała nadzieję, iż obie zdołają pokonać barierę klasową. Jednak w głębi serca Maud tkwiło nieuświadomione przekonanie, że ona urodziła się, by rozkazywać, a Ethel – by słuchać.

Ethel zaś pragnęła, by głosowanie w parlamencie odbyło się przed końcem wiecu, gdyż wtedy mogłaby ogłosić uczestnikom jego wynik. Jednak debata się przeciągnęła, a zebranie musiało się zakończyć o dwudziestej drugiej. Ethel i Bernie poszli do pubu w Whitehall, w którym bywali laburzystowscy deputowani. Tam czekali na wieści z Westminsteru.

Było po jedenastej, pub właśnie zamykano, gdy do środka wpadło dwóch parlamentarzystów. Jeden z nich wypatrył Ethel.

- Wygraliśmy! – wykrztusił. – To znaczy wy wygrałyście. Kobiety.

Ethel nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Przyjęto ustawę?

- Ogromną większością głosów, trzysta osiemdziesiąt siedem do pięćdziesięciu siedmiu!

- Wygraliśmy! – Ethel ucałowała Berniego. – Wygraliśmy!

- Brawo – rzekł Bernie. – Ciesz się zwycięstwem, za-służyłaś na nie.

Nie mogli uczcić sukcesu trunkiem, ponieważ na czas wojny wprowadzono nowe przepisy, na których mocy w pubach kończono obsługiwac gości o określonych godzinach. Miało to wpłynąć na poprawę wydajności pracy klasy robotniczej. Ethel i Bernie wyszli na ulicę, by złapać autobus.

Ethel nie posiadała się z radości.

- Aż trudno w to uwierzyć. Po tylu latach doczekaliśmy się.

Kobiety będą mogły głosować!

Nieopodal przechodził elegancko ubrany wysoki mężczyzna z laską.

Ethel rozpoznała Fitzę.

- Nie bądź tego taka pewna. Pokonamy was w Izbie Lordów – rzucił.

ROZDZIAŁ 27

Czerwiec - wrzesień 1917 roku

i.

Walter von Ulrich wspiał się na wał okopu i ryzykując życie, ruszył po ziemi niczyjej.

Leje po pociskach zarosły świeżą trawą i dzikimi kwiatami.

Był ciepły letni wieczór. Tereny te należały niegdyś do Polski, potem do Rosji, a obecnie częściowo zajmowały je oddziały niemieckie. Walter miał na sobie płaszcz nieokreślonego koloru, który przykrywał mundur kaprała. Ubrudził sobie twarz i ręce ziemią aby wyglądać autentycznie. Na głowie, niczym flagę pokoju, miał białą czapkę, a na ramieniu niósł kartonowe pudło. Powtarzał sobie, że nie ma powodu do obaw.

W świetle zmierzchającego dnia majaczyły pozycje Rosjan. Od dwóch tygodni nie było ostrzału i Walter uważał, że jego widok wywoła raczej zaciekawienie niż podejrzliwość.

Jeśli się przeliczył, już jest martwy.

Rosjanie szykowali się do natarcia. Samoloty rozpoznawcze i zwiadowcy donosili, że na froncie rozmieszczane są nowe oddziały, a ciężarówki dowożą amunicję. Potwierdzali to głodujący rosyjscy żołnierze, którzy przekroczyli linię i poddali się w nadziei, że dostaną od byłych wrogów coś do jedzenia.

Dowody świadczące o zbliżającej się ofensywie bardzo rozczarowały Waltera. Miał nadzieję, że nowy rosyjski rząd nie będzie w stanie kontynuować działań wojennych. W Piotrogradzie Lenin i bolszewicy donośnie nawoływali do zawarcia pokoju, zalewając ludność gazetami i ulotkami drukowanymi za pieniądze otrzymane od Niemców.

Naród rosyjski nie chciał wojny. Odezwa wydana przez Pawła Miliukowa, ministra spraw zagranicznych, noszącego charakterystyczny monokl, głosząca, że Rosja wciąż dąży do osiągnięcia „decydującego zwycięstwa”, wywołała gniew robotników i żołnierzy, którzy znów wylegli na ulice. Skłonny do teatralnych gestów młody minister wojny Kiereński, którego pomysłem była nowa ofensywa, przywrócił karę chłosty w wojsku oraz władzę oficerów. Lecz czy rosyjscy żołnierze będą walczyli? Właśnie to chcieli wiedzieć Niemcy, Walter zaś położył na szali swoje życie, by poznać odpowiedź na to pytanie.

Ze strony Rosjan dochodziły sprzeczne sygnały. Na niektórych odcinkach frontu żołnierze wywiesili białe flagi i jednostronnie ogłosili zawieszenie broni. W innych miejscach siedzieli cicho i utrzymywali dyscyplinę. Walter postanowił złożyć wrogom wizytę właśnie w takim punkcie.

Po długotrwałych zabiegach zdołał się wydostać z Berlina. Monika von der Helbard prawdopodobnie oznajmiła rodzicom bez ogródek, że ślubu nie będzie. Tak czy inaczej, Walter znów był na linii frontu, gromadząc informacje wywiadowcze.

Przełożył pudło na drugie ramię. Dostrzegał już głowy wystające ponad krawędź okopu. Były okryte czapkami, gdyż rosyjscy żołnierze nie mieli hełmów. Przyglądali mu się, lecz jak dotąd nie mierzyli doń z karabinów.

Walter miał fatalistyczne nastawienie do śmierci. Myślał, że mógłby umrzeć szczęśliwy po cudownej nocy, którą spędził w Sztokholmie z Maud. Naturalnie wolałby żyć, stworzyć z Maud dom i mieć z nią dzieci. I miał nadzieję, że wszystko to stanie się w zamożnych, demokratycznych Niemczech. To jednak oznaczało konieczność odniesienia zwycięstwa w wojnie. Aby zwyciężyć, należało ryzykować życie. Nie miał zatem wyboru.

Gdy znalazł się w zasięgu strzału, ścisnęło go w żołądku. Pierwszy lepszy szeregowiec może bez najmniejszego wysiłku wycelować w niego i pociągnąć za spust. Na tym przecież polega zadanie żołnierza.

Walter nie trzymał w rękach żadnej broni i liczył na to, że tamci to zauważą. W rzeczywistości miał z tyłu za paskiem dziewięćmilimetrowego lugera, lecz Rosjanie nie mogli go widzieć. Widzieli pudło, które niósł. Miał nadzieję, że wygląda na nieszkodliwe.

Cieszył go każdy postawiony krok, wiedział jednak, że zmierza na spotkanie niebezpieczeństwa. To może się stać w każdej sekundzie, myślał. Zastanawiał się, czy człowiek słyszy strzał, od

którego ginie. Najbardziej bał się, że dostanie postrzał i powoli wykrwawi się na śmierć albo padnie ofiarą infekcji w jakimś brudnym szpitalu polowym.

Dostrzegał już twarze Rosjan wyrażające rozbawienie, zdziwienie i ożywione zaciekawienie. Szukał wzrokiem oznak strachu, gdyż właśnie strach stanowił dla niego największą groźbę. Przestraszony żołnierz może wystrzelić choćby po to, by rozładować napięcie.

Zostało dziesięć jardów, dziewięć, osiem... Stał nad krawędzią okopu.

– Witajcie, towarzysze – rzekł po rosyjsku, stawiając pudło na ziemi.

Wyciągnął rękę do najbliższego żołnierza. Tamten odruchowo podał mu dłoń i pomógł zeskoczyć do okopu. Natychmiast zebrała się wokół niego mała grupka.

– Przyszedłem was o coś zapytać.

Większość wykształconych Rosjan mówiła trochę po niemiecku, ale żołnierze byli wieśniakami i tylko nieliczni znali jakikolwiek obcy język. W dzieciństwie Walter uczył się rosyjskiego, gdyż ojciec starannie przygotowywał go do kariery w wojsku i Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie miał zbyt wielu okazji, by go używać, lecz żywił nadzieję, że to, co pamięta, wystarczy do wypełnienia misji.

– Najpierw się napijmy – zaproponował. Zniósłszy pudło do okopu, otworzył je i wyjął butelkę sznapsa. Odkorkował ją, wypił łyk, otarł usta i podał trunek najbliższemu żołnierzowi, którym był rosły kapral w wieku osiemnastu lub dwiętnastu lat. Chłopak napił się z uśmiechem i przekazał butelkę dalej.

Walter ukradkiem obserwował otoczenie. Okop został zbudowany niedbale. Ścianki opadały ukośnie, nie wzmocniono ich belkami. Nierównego dna nie wyłożono deskami, toteż nawet latem było grzaskie. Rów nie biegł prosto, choć to akurat wydawało się korzystne z punktu widzenia przeciwników, gdyż załamania ograniczają pole rażenia pocisku artyleryjskiego. W powietrzu unosił się straszny smród; najwyraźniej żołnierzom nie zawsze chciało się wychodzić do latryny. Wszystko, co Rosjanie robili, było byle jakie, chaotyczne i niedopracowane.

Nagle pojawił się sierżant.

– Co tu się dzieje, Fiodorze Igorowiczu? – spytał rosłego kaprała. – Dlaczego rozmawiacie z tym jebanym szkopem?

Fiodor był młody, lecz nosił gęste zakręcone wasy. Z nieodgadzonego powodu miał na głowie włożoną na bakier czapkę marynarską. Jego pewność siebie graniczyła z arogancją.

– Napijcie się, sierżancie Gawrik.

Sierżant upił łyk z butelki tak samo jak żołnierze, lecz zmierzył Waltera nieufnym spojrzeniem.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Walter wiedział, co na to odpowiedzieć.

– W imieniu niemieckich robotników, żołnierzy i chłopów przychodzę was zapytać, dlaczego z nami walcycie?

Po chwili konsternacji Fiodor odpowiedział pytaniem:

– A dlaczego wy walcycie z nami?

Na to pytanie Walter także miał przeciwiczną odpowiedź:

– My nie mamy wyboru. W naszym kraju wciąż rządzi Kaiser, jeszcze nie zrobiliśmy u siebie rewolucji. Ale wam się udało. Cara nie ma, Rosją rządzi naród. Przychodzę więc i pytam narodu: dlaczego z nami walcycie?

Fiodor spojrzał na Gawrika.

– Sami wciąż zadajemy sobie to pytanie!

Gawrik wzruszył ramionami. Walter odgadł, że jest tradycjonalistą, lecz zachowuje swoje zdanie dla siebie.

Paru żołnierzy zbliżyło się do rozmawiających. Walter odkorkował drugą butelkę. Spojrzał na twarze wychudzonych, obdartych

i brudnych mężczyzn, którzy szybko się upijali.

– Czego pragną Rosjanie?

Odpowiedziało mu kilku żołnierzy.

– Ziemi.

– Pokoju.

– Wolności.

– Gorzałki!

Walter wyjął z pudła następną butelkę. Tak naprawdę potrzeba wam mydła, dobrej strawy i nowych butów, pomyślał.

– Ja tam chcę wrócić do domu, do mojej wioski – oznajmił Fiodor. – Dzielą majątek księcia, a ja bym chciał dopilnować, żeby i mojej rodzinie przypadł należny kawałek.

– Popierasz jakąś partię polityczną? – chciał wiedzieć Walter.

– Bolszewików – odparł żołnierz, wywołując entuzjazm kolegów.

Walter ucieszył się z ich reakcji.

– Należycie do partii?

Żołnierze pokręcili głowami.

– Popierałem Socjalistycznych Rewolucjonistów, ale oni nas zawiedli – wyjaśnił Fiodor. Reszta żołnierzy pokiwała głowami. – Kiereński przywrócił chłostę – dodał po chwili.

– I zarządził letnią ofensywę – przypomniał Walter. Tuż obok stał stos skrzyń z amunicją, lecz Walter o tym nie wspomniał, obawiając się, że w ten sposób podsunie Rosjanom oczywistą możliwość, iż jest szpiegiem. – Widzimy wszystko z samolotów – wyjaśnił.

– Dlaczego mamy iść do ataku? – spytał Fiodor sierżanta. – Możemy zawrzeć pokój tu, gdzie jesteśmy! – Rozległ się pomruk aprobaty.

– Co zrobicie, jeśli wydadzą rozkaz? – zapytał Walter.

– Trzeba będzie zwołać zebranie komitetu żołnierskiego i omówić sprawę – odparł kapral.

– Nie pieprz głupstw – warknął Gawrik. – Komitety żołnierskie już nie mają prawa dyskusowania nad rozkazami. Odpowiedział mu pomruk niezadowolenia. Ktoś stojący na skraju grupy rzucił cicho:

– Poczekamy, zobaczymy, towarzyszu sierżancie.

Zgromadzenie się powiększało. Może Rosjanie wyczuwają wódkę na odległość, zastanawiał się Walter, otwierając następne dwie butelki. Z myślą o nowo przybyłych rzekł:

– Naród niemiecki pragnie pokoju tak samo jak wy. Jeśli wy nas nie zaatakujecie, my także tego zrobimy.

– Za to wypiję! – rzucił jeden z tych, którzy dopiero nadeszli. Odpowiedziały mu zachęcające okrzyki.

Walter bał się, że głośna wymiana zdań zwróci uwagę oficera.

Nie wiedział, jak sprawić, by Rosjanie nie podnosili głosu pomimo wypitego sznapsa. Okazało się jednak, że jest za późno.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał ktoś władczy tonem. – Co wy tu robicie? – Żołnierze rozstąpili się, robiąc przejście rosłemu mężczyźnie w mundurze majora. Spojrzał na Waltera. – A wy kto, u diabła?

Serce Waltera biło mocniej. Obowiązkiem oficera jest wziąć go do niewoli. Niemiecki wywiad wiedział, jak Rosjanie traktują jeńców wojennych. Pojmanie oznaczało powolną śmierć z głodu i zimna.

Walter zmusił się do uśmiechu i podsunął oficerowi ostatnią nieotwartą butelkę.

– Proszę się napić, panie majorze.

Oficer zignorował propozycję i odwrócił się do Gawrika:

– Co wy tutaj wyprawiacie?

Sierżant się nie przestraszył.

– Żołnierze nie jedli dzisiaj obiadu, majorze, więc nie mogłem odmówić im napitku.

– Powinniście byli wziąć tego człowieka do niewoli!

- Nie możemy wziąć go do niewoli, bośmy pili jego gorzałkę - odrzekł niewyraźnie Fiodor. - Tak się nie godzi! - dodał, a koledzy mu zawtórowali.

- Jesteś szpiegiem i powinienem ci rozwalić ten cholerny łeb - oznajmił major Walterowi, dotykając pistoletu spoczywającego w kaburze przy pasku.

Żołnierze zaczęli głośno protestować. Major nadal był wściekły, lecz nic już nie mówił, najwidoczniej chcąc uniknąć konfliktu z podwładnymi.

- Chyba już sobie pójdę, bo pan major mnie tu nie chce - rzekł Walter. - Poza tym mamy burdel tuż za linią frontu, a jedna cyncata blondynka na pewno usycha z samotności...

Żołnierze parsknęli śmiechem. Słowa Waltera były częściowo prawdziwe: burdel faktycznie istniał, lecz on nigdy w nim nie był.

- Pamiętajcie, że nie będziemy walczyli, jeśli i wy nie będziecie.

Wydostał się z okopu. To była najniebezpieczniejsza chwila. Zrobił kilka kroków, a następnie odwrócił się i pomachawszy Rosjanom na pożegnanie, szedł dalej. Zaspokoił swoją ciekawość, a sznaps się skończył. Teraz mogło im przyjść do głów, że trzeba spełnić żołnierski obowiązek i ukatrupić wroga. Walter miał wrażenie, że niesie na plecach tarczę strzelecką.

Zapadał zmierzch. Niebawem Walter zniknie z pola widzenia Rosjan. Od bezpiecznej strefy dzieliły go zaledwie jardy. Całą siłą woli powstrzymał się, by nie zacząć bieć. To mogłoby spowodować kogoś do strzału. Zaciskając zęby, maszerował równym krokiem wśród leżących wszędzie niewybuchów.

Obejrzał się i nie dostrzegł okopu. Oznaczało to, że Rosjanie także go nie widzą. Jest bezpieczny.

Odetchnął swobodniej i szedł dalej. Warto było zaryzykować, gdyż sporo się dowiedział. Na tym odcinku frontu Rosjanie nie wywiesili białej flagi, lecz byli źle przygotowani do bitwy. Żołnierze okazywali niezadowolenie i gotowość do buntu, a oficerowie z trudem utrzymywali dyscyplinę. Sierżant jak ognia unikał konfrontacji z nimi, a major nie ośmielił się wziąć Waltera do niewoli: Przy takim morale żołnierze nie mogą dzielnie walczyć.

Wreszcie Walter znalazł się w polu widzenia niemieckich żołnierzy. Krzyknął swoje nazwisko i podał hasło, po czym zeskoczył do okopu. Porucznik mu zasalutował.

- Zwiad udany, panie oficerze?

- Tak, dziękuję. W rzeczy samej udany.

II.

Katerina leżała na łóżku w starym pokoiku Grigorija, ubrana tylko w cienką halkę. Przez otwarte okno wpadało ciepłe lipcowe powietrze oraz łoskot przejeżdżających w odległości kilku kroków pociągów. Była w szóstym miesiącu ciąży.

Grigorij przesunął palcem po jej ciele: po ramieniu, nabrzmiałej piersi, żebrach, łagodnym wzniesieniu brzucha i po udzie. Przed Kateriną nie znał takiej sielankowej radości. Jego młodzieńcze związki z kobietami były pospieszne i krótkie. Leżeć obok kobiety po seksie, dotykając jej łagodnie i czule, lecz bez pożądania i pośpiechu - to było dla niego nowe i niezwykle doświadczenie. Może tym właśnie jest małżeństwo, myślał.

- W ciąży wyglądasz jeszcze piękniej - szepnęła, by nie budzić Władimira.

Przez dwa i pół roku był jak ojciec dla syna brata, a teraz będzie miał własne dziecko. Chętnie nadałby mu imię Lenina, lecz mają już jednego Władimira. Cięża Kateriny sprawiła, że poglądy polityczne Grigorija uległy radykalizacji. Musi myśleć o kraju, w którym jego dziecko będzie dorastało, i chce, by jego syn był wolny. Z niewiadomych powodów myślał, że urodzi się chłop-

czyk. Należy zrobić wszystko, by Rosją rządził naród, a nie car lub parlament złożony z inteligentów, bądź też koalicja biznesmenów i generałów, którzy przywrócą stare w nowym przebraniu. Tak naprawdę nie lubił Lenina, który żył w stanie permanentnego gniewu. Stale pokrzykiwał na ludzi. Każdy, kto się z nim nie zgadzał, był świnia, wyrodkiem, szmata. Jednak pracował z ogromnym poświęceniem i nad wszystkim długo się zastanawiał, a jego decyzje były niezawodnie słuszne. Jak dotąd wszystkie rosyjskie rewolucje się rozmywały. Grigorij był pewny, że Lenin nie pozwoli, by to się powtórzyło.

Członkowie Rządu Tymczasowego także to wiedzieli i pojawiły się sygnały świadczące o tym, że wzięto Lenina na muszkę. Prawicowa prasa oskarżała go o to, że jest niemieckim agentem. Zarzuty były niedorzeczne. Było jednak prawdą, że Lenin ma tajne źródło finansowania. Grigorij, który wstąpił do bolszewików jeszcze przed wojną, należał do kręgu wtajemniczonych i nie stanowiło dlań sekretu, że pieniądze napływają z Niemiec. Gdyby tajemnica się wydała, wzmocniłaby podejrzenia.

Właśnie zasypiał, gdy usłyszał kroki w korytarzu, po których nastąpiło głośne nagłać pukanie do drzwi. Wciągając spodnie, krzyknął:

- O co chodzi?! - Władimir zbudził się i zapłakał.
- Grigorij Siergiejewicz? - spytał męski głos.
- Tak. - Peszków otworzył drzwi i zobaczył Izaaka. - Co się stało?
- Wydano nakaz aresztowania Lenina, Zinowiewa i Kamieniewa.

Grigorij poczuł nagły chłód.

- Trzeba ich ostrzec!
- Przed domem stoi wojskowy samochód.
- Włóżę buty.

Izaak wyszedł, a Katerina wzięła synka na ręce i przytuliła. Grigorij ubrał się szybko, ucałował oboje i zbiegł po schodach. Wskoczył do samochodu i usiadł obok Izaaka.

- Lenin jest najważniejszy. - Rząd słusznie skierował na niego swoją uwagę. Zinowiew i Kamieniew byli rzetelnymi rewolucjonistami, lecz to Lenin stanowił motor napędowy całego ruchu. - Trzeba go ostrzec w pierwszej kolejności. Jedź do mieszkania jego siostry. Byle prędko.

Izaak wcisnął pedał gazu.

Grigorij przytrzymał się mocno, gdy auto ostro skręciło. Wyprostowawszy się, spytał:

- Jak się dowiedziałeś?
- Od bolszewików w Ministerstwie Sprawiedliwości.
- Kiedy podpisano nakazy?
- Dziś rano.
- Obyśmy się nie spóźnili. - Peszków obawiał się, że Lenin już został aresztowany. Nikt nie miał tak niewzruszonej determinacji. Lenin był satrapą, ale to właśnie on uczynił z bolszewików czołową partię. Bez niego rewolucja mogła ugrzęznąć w bagnie kompromisów.

Izaak wjechał na ulicę Szeroką i zatrzymał się przed jedną z kamienic, które zwykle zamieszkiwała inteligencja. Grigorij wysiadł szybko z samochodu, wbiegł do budynku i zapukał do drzwi mieszkania Jelizarowów. Otworzyła Anna, starsza siostra Lenina. Była po pięćdziesiątce, miała siwe włosy rozdzielone na środku przedziałkiem. Peszków poznał ją, gdyż pracowała w redakcji „Prawdy”.

- On tu jest? - spytał.
- Tak, ale co się stało?

Grigorij poczuł ogromną ulgę. Nie spóźnił się. Wszedł do mieszkania.

- Chcą go aresztować.
- Anna zatrzęsnęła drzwiami.

– Wołodia! – zawołała. – Chodź tu prędko!

Lenin był jak zwykle ubrany w lichy ciemny garnitur, koszulę i krawat. Grigorij w krótkich słowach przedstawił sytuację.

– Natychmiast opuszczam mieszkanie – zdecydował Lenin.

– Może spakujesz kilka rzeczy do walizki... – zaczęła Anna.

– To zbyt ryzykowne. Przyślij wszystko później. Dam ci znać, gdzie jestem. – Spojrzał na Grigorija. – Dziękuję za ostrzeżenie, Grigoriju Siergiejewiczu. Macie samochód?

– Tak.

Lenin bez słowa wyszedł na korytarz.

Grigorij pospieszył za nim i otworzył drzwi samochodu.

– Wydane również nakazy na Zinowiewa i Kamieniewa – powiedział, gdy Lenin wsiadł do auta.

– Wracajcie do mieszkania i zadzwońcie do nich – polecił Lenin. – Marek ma telefon i wie, gdzie są Zinowiew i Kamieniew. – Trzasnął drzwiami. Nachylił się i powiedział do Izaaka coś, czego Grigorij już nie dosłyszał. Izaak odjechał.

Lenin często zachowywał się w ten sposób. Wrzeszczał na wszystkich i rozkazywał, a oni słuchali, gdyż jego polecenia zawsze były sensowne.

Grigorij poczuł się tak, jakby z jego barków spadł wielki ciężar. Rozejrzał się. Z budynku po przeciwnej stronie ulicy wyłoniła się grupa mężczyzn. Niektórzy mieli na sobie garnitury, inni mundury wojskowe. Grigorij ze zdumieniem rozpoznał Michaiła Pińskiego. Tajna policja została ponoć rozwiązana, lecz ludzie tacy jak Piński kontynuowali swoje dzieło w wojskowych mundurach.

Na pewno przyszli po Lenina i pomylili domy.

Grigorij wbiegł do kamienicy. Drzwi mieszkania Jelizarowów wciąż pozostawały otwarte. W środku była Anna, jej mąż Marek, przybrany syn Goria oraz ich służąca, dziewczyna ze wsi imieniem Anuszka. Wszyscy spoglądali skonsternowani na przybysza. Peszków zamknął za sobą drzwi.

– Lenin jest bezpieczny, ale przed domem pokazała się policja. Muszę czym prędzej zadzwonić do Zinowiewa i Kamieniewa.

– Telefon jest tam, na małym stoliku – rzekł Marek.

Grigorij się zawahał.

– Jak on działa? – Nigdy nie korzystał z aparatu.

– A, przepraszam. – Marek przyłożył jedną część do ust, a drugą do ucha. – Dla nas to także nowość, ale używamy telefonu tak często, że już przywykliśmy. – Niecierpliwie nacisnął sprężynujące widełki. – Tak, proszę – powiedział, a następnie podał numer telefonu odbiorcy.

Rozległo się walenie do drzwi.

Grigorij położył palec na ustach, dając wszystkim znak, by milczeli.

Anna odprowadziła Anuszkę i dziecko do pokoju na tyłach.

Marek mówił coś szybko do telefonu. Grigorij stał przy drzwiach.

– Otwierać, bo wyważymy drzwi! Mamy nakaz!

– Chwileczkę, wkładam spodnie! – krzyknął Grigorij. Do domów, w których spędził większość życia, często zaglądała policja, dzięki temu znał wszystkie sztuczki pozwalające zatrzymać na chwilę intruzów.

Marek stuknął w widełki i poprosił o połączenie z następnym numerem.

– Kto tam?! – krzyknął Grigorij. – Kto jest za drzwiami?

– Policja! Natychmiast otwierać.

– Już idę, tylko zamknę psa w kuchni.

– Pospieszcie się!

Grigorij usłyszał słowa Marka:

– Każcie mu się ukryć. Przed drzwiami mojego mieszkania stoi policja. – Marek odłożył słuchawkę na widełki i skinął głową Grigorijowi, który otworzył drzwi i zrobił krok do tyłu.

– Gdzie jest Lenin? – spytał Piński, wchodząc do mieszkania.

Za nim weszło kilku wojskowych.

– Nie ma tu nikogo o tym nazwisku – odparł Grigorij.

Piński popatrzył na niego.

– A ty co tu robisz? Zawsze wiedziałem, że z ciebie wicherzyciel.

Marek podszedł do Pińskiego.

– Proszę mi pokazać nakaz – rzekł spokojnie.

Piński niechętnie podał mu jakąś kartkę.

Marek przez dłuższą chwilę oglądał dokument.

– Zdrada stanu? Ależ to niedorzeczne!

– Lenin jest niemieckim agentem – wyjaśnił Piński, zwięzonymi oczyma przypatrując się Markowi. – Jesteś jego szwagrem, tak?

Marek zwrócił mu nakaz.

– Człowieka, którego szukacie, tutaj nie ma.

Piński widział, że gospodarz mówi prawdę.

– Dlaczego, u diabła?! Przecież tu mieszka! – wrzasnął wściekły.

– Lenina tu nie ma – powtórzył Marek.

Twarz Pińskiego poczerwieniała.

– Czyżby ktoś go ostrzegł? – Piński chwycił poję płaszcz Grigorija. – Gadaj, co tu robisz.

– Jestem deputowanym do Piotrogradzkiej Rady Delegatów z ramienia Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych. Jeśli nie chcesz, żeby mój pułk złożył wizytę w twojej kwaterze, zabierz ręce.

Piński puścił Grigorija.

– Rozejrzemy się po mieszkaniu.

Obok stolika z telefonem stał regał z książkami. Piński wziął kilka tomów i cisnął je na podłogę. Skinał na pozostałych oficerów.

– Przewrócić wszystko do góry nogami.

III.

Walter poszedł do wioski na terytorium odbitym Rosjanom i napotkanemu tam wieśniakowi wręczył złotą monetę w zamian za wszystkie jego ubrania: brudną kapotę z owczej skóry, lnianą koszulę, zgrzebne luźne portki oraz buty z kory buka. Na szczęście nie musiał kupować bielizny, bo tamten jej nie nosił.

Kuchennymi nożyczkami obciął sobie włosy i przestał się golić.

W mieście na ryneczku kupił worek cebuli. Na samym dniu, pod cebulą, umieścił skórzaną sakwę zawierającą dziesięć tysięcy rubli w monetach oraz banknotach.

Pewnego wieczoru ubrudził sobie twarz ziemią, włożył wieśniacze łachmany i zarzucił worek na plecy. W takim stroju prześliznął się przez linię Rosjan, dotarł pieszo do dworca kolejowego i poprosił w kasie o bilet trzeciej klasy.

Udawał rozeźlonego i odpowiadał warknięciem każdemu, kto go zagadnął, jak gdyby bał się, że wszyscy chcą mu ukraść cebulę. Niewykluczone, że tak właśnie było. Za paskiem trzymał doskonale widoczny duży nóż, zardzewiały, lecz ostry, a pod cuchnącą kapotą nosił pistolet Mosin-Nagant odebrany więźniemu do niewoli rosyjskiemu oficerowi. Dwa razy zaczepiali go policjanci, a on uśmiechał się tępo i podsuwał im cebulę. Była to łapówka tak nędzna, że funkcjonariusze prychnęli z odrazą i odchodzili. Gdyby któryś chciał zajrzeć do worka, Walter gotów był go zabić. Nigdy jednak do tego nie doszło. Kupował bilety na krótkie odcinki, złożone z trzech lub czterech stacji, jako że wieśniacy nie wędrowali setek mil, by handlować cebulą.

Był spięty i czujny, gdyż jego kamuflaż nie był zbyt dobry.

Gdyby ktoś porozmawiał z nim dłużej niż kilka sekund, wnet by się zorientował, że nie ma do czynienia z Rosjaninem. Kara za to, co robił, jest śmierć.

Początkowo się bał, lecz strach z wolna stopniał i drugiego dnia Waltera dopadło znużenie. Nie miał czym zająć myśli. Naturalnie nie mógł czytać i musiał uważać, by nie zerkać na rozkłady jazdy na stacjach i na ogłoszenia, ponieważ większość chłopów była niepiśmienna. Pociągi osobowe toczyły się z łoskotem przez niekończące się rosyjskie lasy, a on zaczął wyobrażać sobie mieszkanie, w którym zamieszka z Maud po zakończeniu wojny. Będzie urządzone nowoczesnie, pełne jasnego drewna i pastelowych kolorów, podobne do domu von der Helbardów i bardzo różne od domu jego rodziców, zdominowanego przez ciężkie sprzęty oraz ciemne kolory. Wszystko będzie łatwe do czyszczenia i utrzymania, zwłaszcza kuchnia i pralnia. Pozwoli to ograniczyć liczbę służby. Będą mieli pierwszorzędną fortepian Steinwaya, gdyż oboje lubią grać. Kupią jeden lub dwa przykuwające wzrok nowoczesne obrazy, być może pędzla austriackich ekspresjonistów. W ten sposób zaszokują przedstawicieli starszego pokolenia i zaprezentują się jako postępową parą. Sypialnia będzie przestronna, w jasnych barwach, będą wylegiwali się nago na łóżku, całowali się, rozmawiali i kochali. Wreszcie Walter dojechał do Piotrogradu.

Spotkanie zorganizował socjalista ze szwedzkiej ambasady. Ktoś z szeregów bolszewików miał codziennie o osiemnastej czekać przez godzinę na Waltera na Dworcu Warszawskim, by odebrać pieniądze. Walter przybył do miasta w południe. Pozostały do spotkania czas wykorzystał na to, by się rozejrzeć i ocenić zdolność narodu rosyjskiego do kontynuowania działań zbrojnych.

To, co ujrzał, wstrząsnęło nim.

Gdy tylko opuścił dworzec, zaczęły go nagabywać prostytutki męskie i żeńskie, dorosłe i nieletnie. Przeszedł przez most nad kanałem i pokonawszy kilka mil, znalazł się w centrum miasta. Większość sklepów była zamknięta, wiele witryn zabito deskami. Niektóre zostały zwyczajnie porzucone, a szkło ze zbitych szyb błyszczało na ulicy. Zobaczył mnóstwo pijaków oraz dwie bójki na pięści. Ulicą z rzadka przemykał samochód lub konny powóz. Piesi pierzchali na boki, a pasażerowie nie wyglądali spoza zasuniętych kotar. Większość ludzi była wychudzona, ubrana w podarte szmaty i bosa. Sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej niż w Berlinie. Widział mnóstwo żołnierzy chodzących pojedynczo i grupami. Większość lekceważyła dyscyplinę: maszerowali nierówno albo wylegiwali się na posterunkach w rozpiętych mundurach. Rozmawiali z cywilami i zachowywali się zgodnie ze swoim widzimisię. Potwierdziło się przekonanie, którego Walter nabrał podczas odwiedzin w rosyjskim okopie na froncie: ci żołnierze nie mają ochoty walczyć.

Doskonała wiadomość, pomyślał.

Nikt go nie zaczepiał, policjanci nie zwracali nań uwagi. Jeszcze jeden łachmaniarz człapiący za swoimi sprawami po mieście, które chyli się ku upadkowi.

Podniesiony na duchu dotarł o osiemnastej na dworzec i błyskawicznie wypatrzył łącznika, którym był sierżant z czerwoną chustą zawiązaną na lufie karabinu. Przed ujawnieniem się Walter uważnie mu się przyjrzał. Mężczyzna wyglądał imponująco: nie był rosły, lecz barczysty i dobrze zbudowany. Nie miał prawego ucha, jednego zęba na przedzie i serdecznego palca u lewej ręki. Czekał cierpliwie, jak przystało na żołnierza weterana, lecz jego błękitne oczy patrzyły przenikliwie i niewiele im umykało. Walter chciał przyjrzeć mu się z ukrycia, lecz żołnierz spojrzął mu w oczy, skinął głową, odwrócił się i zaczął odchodzić. Walter podążył za nim, jakby byli umówieni. Znalazłszy się w dużej poczekalni pełnej stołów i krzeseł, usiedli.

— Sierżant Grigorij Peszków? — spytał Walter.

Żołnierz skinął głową.

— Wiem, kim jesteś.

Niemiec rozejrzał się po sali. W kącie syczał samowar, jakaś staruszka w chuście na głowie sprzedawała wędzone i marynowane

ryby. Przy stołach siedziało piętnaście, może dwadzieścia osób. Nikt nie spojrział dwa razy na żołnierza i wieśniaka najwyraźniej szukającego okazji, by sprzedać worek cebuli. Za nimi wszedł młody mężczyzna w granatowym fartuchu robotnika. Walter zerknął mu przelotnie w oczy. Mężczyzna usiadł, zapalił papierosa i otworzył „Prawdę”.

– Mogę coś zjeść? – zapytał Walter. – Umieram z głodu, ale wieśniaka pewnie nie stać na tutejsze jedzenie.

Sierżant zamówił kilka kromek czarnego chleba, śledzie oraz dwie szklanki herbaty z cukrem. Walter pochłonął wszystko. Poobserwowawszy go przez minutę, Grigorij rzekł:

– Aż dziw bierze, że ktoś mógł cię wziąć za chłopca. Ja na pewno rozpoznałbym w tobie burżuja.

– Po czym?

– Masz brudne ręce, ale jesz małymi kęsami i ocierasz usta szmatką, jakby to była chusteczka. Prawdziwy wieśniak połyka wielkie kawałki jedzenia i siorbie herbatę, zanim ją przełknie. Waltera zirytował ten protekcyjny ton. Przecież przeżyłem trzy dni w pociągu, myślał. Ciekawe, jak ty poradziłbyś sobie w Niemczech. Trzeba przypomnieć Peszkowowi, że musi zapracować na forszę.

– Opowiedz mi, jak się wiedzie bolszewikom.

– Niebezpiecznie dobrze – odparł Grigorij. – W ciągu ostatnich kilku miesięcy tysiące Rosjan wstąpiło do partii. Lew Trocki wreszcie ogłosił, że nas popiera. Powinieneś go usłyszeć. Przeważnie zapełnia całą salę Cirque Modernę. – Walter zauważył, że dla Grigorija Trocki to uwielbiany bohater. Nawet Niemcy wiedzą, że przemówienia Trockiego potrafią porwać tłumy. Stanowi dla bolszewików cenną zdobycz. – Rok temu w lutym mieliśmy dziesięć tysięcy członków, dzisiaj jest ich dwieście tysięcy – dodał z dumą Peszków.

– To doskonale, ale czy możecie wpłynąć na bieg wydarzeń?

– Mamy duże szanse wygrać wybory do Konstytuanty.

– Kiedy się odbędą?

– Są bardzo opóźnione... – Grigorij westchnął. – Rząd Tymczasowy zwołał radę przedstawicieli, która po dwóch miesiącach obrad ustaliła, że do napisania prawa wyborczego trzeba stworzyć drugą radę, złożoną z sześćdziesięciu dwóch członków...

– Dlaczego ten proces jest tak skomplikowany?

– Mówią, że chcą, by nikt nie mógł podważyć wyników. –

Grigorij zaczął się irytować. – Prawdziwy powód jest taki, że partie konserwatywne przeciągają wybory, bo wiedzą, iż mogą przegrać.

Wnikliwa analiza jak na sierżanta, stwierdził Walter.

– Kiedy więc dojdzie do wyborów?

– We wrześniu.

– Dlaczego uważasz, że bolszewicy zwyciężą?

– Jesteśmy jedynym ugrupowaniem zdecydowanie opowiadającym się za pokojem. Wszyscy o tym wiedzą dzięki gazetom i ulotkom, które wydajemy.

– Dlaczego powiedziałaś, iż wiedzie wam się tak dobrze, że to aż niebezpieczne?

– Stajemy się głównym celem ataków rządu. Wydano nakaz aresztowania Lenina. Musiał się ukryć. Ale wciąż kieruje partią. Walter w to wierzył. Jeśli Lenin zdołał utrzymać kontrolę nad partią, będąc na zesłaniu w Zurychu, z pewnością może to robić z kryjówki w Rosji.

Walter wykonał zadanie – dostarczył pieniądze i zebrał potrzebne informacje. Poczul ulgę. Teraz musi tylko dostać się do domu.

Pchnął nogą w stronę Grigorija worek zawierający dziesięć tysięcy rubli.

Dopił herbatę i wstał.

– Niech ci smakuje cebula – rzucił, ruszając w stronę drzwi.

Kątem oka zauważył, że mężczyzna w granatowym fartuchu składa „Prawdę” i wstaje.

Walter kupił bilet do Ługi i wsiadł do przedziału trzeciej klasy. Przecisnął się przez grupkę żołnierzy palących papierosy i pijących wódkę, żydowską rodzinę wiozącą cały swój dobytek w związanych sznurkiem tobołkach oraz gromadę wieśniaków z pustymi skrzynkami, którzy prawdopodobnie sprzedali w mieście kurczaki. Na końcu wagonu stanął i się obejrzał.

Mężczyzna w granatowym fartuchu również wsiadł do pociągu. Walter obserwował go przez chwilę. Nieznajomy przepychał się między pasażerami, bezceremonialnie pomagając sobie łokciami. Tylko policjant może zachowywać się w taki sposób. Wyskoczywszy z wagonu, Niemiec błyskawicznie opuścił dworzec. Przypominając sobie trasę popołudniowej wycieczki, szybkim krokiem ruszył w stronę kanału. Było lato, czas krótkich nocy, więc wieczór był jasny. Miał nadzieję, że udało mu się zgubić ogon, lecz obejrzwawszy się przez ramię, znów zobaczył granatowy fartuch. Mężczyzna przypuszczalnie śledził Peszkowa i postanowił sprawdzić, kim jest jego kompan, wieśniak z workiem cebuli.

Nieznajomy w granatowym fartuchu zaczął biec. Gdyby Walter został złapany, zastrzelono by go jako szpiega. Wiedział, co musi zrobić. Nie miał wyboru.

Znajdował się w dzielnicy tanich kamienic czynszowych. Cały Piotrogród wyglądał biednie, lecz na całym świecie najtańsze hotele i spelunki w miastach skupiają się wokół dworców kolejowych. Walter ruszył biegiem, a jego prześladowca przyspieszył, by dotrzymać mu kroku.

Walter dotarł do otoczonego ceglany murem podwórka obok kanału. Mur był wysoki i miał żelazną bramkę, lecz przy nim znajdował się opuszczony nieogrodzony magazyn. Skręcił, pokonał biegiem teren wokół magazynu, a następnie wdrapał się na mur i zeskoczył na podwórko.

Gdzieś musi być stróż, lecz Walter nigdzie go nie zauważył. Rozglądał się za kryjówką. Niestety, wciąż było widno. Podwórko miało własne nabrzeże z niewielką drewnianą kładką. Wszędzie piętrzyły się stosy cegieł wysokości dorosłego mężczyzny, jednak Walter musiał znaleźć się w takim miejscu, z którego będzie mógł widzieć, pozostając niezauważonym. Podszedł do częściowo rozebranego stosu – sporo cegieł przypuszczalnie zostało ukradzionych – i szybko przełożył kilka cegieł tak, że mógł się za nimi ukryć i spoglądać przez lukę. Wyjawszy rewolwer zza paska, odwiódł kurek.

Kilka chwil później na murze ukazał się granatowy fartuch. Mężczyzna był średniego wzrostu, szczupły. Nosił niewielki wąsik. Z jego postawy bił strach. Uświadomił sobie, że nie jest to już zwykłe śledzenie podejrzanego. To śmiertelny pościg, a on nie wie, czy jest tropicielem, czy zwierzyną.

Wyciągnął broń.

Niemiec wsunął lufę w szczelinę między cegłami i wymierzył w przeciwnika, ten jednak znajdował się zbyt daleko i Walter nie mógł być pewny strzału.

Mężczyzna stał przez chwilę i się rozglądał. Najwyraźniej nie był pewny, co robić. Odwrócił się i ruszył w stronę wody.

Walter za nim. Udało mu się odwrócić role.

Tamten przebiegał od jednego stosu cegieł do drugiego. Walter postępował tak samo, przyczajając się za cegłami, ilekroć mężczyzna w granatowym fartuchu przystawał. Walter był coraz bliżej niego. Chciał uniknąć długiej wymiany ognia, gdyż ta mogłaby zwrócić uwagę innych policjantów. Musi położyć przeciwnika jednym bądź dwoma strzałami i czym prędzej się oddalić.

Gdy mężczyzna zbliżał się do kanału, Waltera dzieliło od niego zaledwie dziesięć jardów. Spojrzał w jedną i w drugą stronę, jakby podejrzewał, że ścigany mógł odpłynąć łódką.

Walter wyszedł z ukrycia i wziął na muszkę środek pleców przeciwnika.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał prosto na niego.

Nagle krzyknął.

Był to piskliwy, dziewczęcy wrzask zaskoczenia i strachu.

Walter w ułamku sekundy zrozumiał, że zapamięta ten głos do końca życia.

Nacisnął spust. Wystrzał momentalnie przerwał krzyk.

Wystarczyła jedna kula i tajniak upadł bez życia na ziemię.

Walter pochylił się nad ciałem. Oczy spoglądały martwo w niebo. Bicie serca i oddech ustały.

Zawlókł ciało na skraj kanału, po czym wsunął do kieszeni spodni i fartucha kawałki cegieł. Następnie przesunął je nad niskim murkiem, pozwalając wpaść do wody.

Trup zniknął pod powierzchnią. Walter odwrócił się na pięcie i odszedł.

IV.

Gdy wybuchła kontrrewolucja, Grigorij uczestniczył w posiedzeniu Piotrogradzkiej Rady Delegatów.

Przejął się tym wydarzeniem, lecz nie był zaskoczony. Im bardziej bolszewicy zyskiwali na popularności, tym bardziej bezwzględna stawała się reakcja. Partia dobrze sobie radziła w lokalnych wyborach, zdobywając władzę w kolejnych radach terenowych. Uzyskała trzydzieści trzy procent głosów w radzie miejskiej Piotrogradu. W odwecie rząd, na którego czele stał Kiereński, kazał aresztować Trockiego i znów przesunął tak długo odwlekane ogólnokrajowe wybory do Konstytuanty. Bolszewicy od początku twierdzili, iż Rząd Tymczasowy nigdy nie przeprowadzi wyborów powszechnych, a kolejna zwłoka przyczyniła się do zwiększenia wiarygodności partii.

Wtedy do akcji wkroczyło wojsko.

Generał Kornilow, ogolony na łyso Kozak, miał serce lwa i mózg owcy – tak określił go generał Aleksiejew i to sformułowanie zyskało sławę. Dziewiątego września Kornilow rozkazał swoim oddziałom wyruszyć na Piotrogród.

Rada zareagowała szybko. Delegaci niezwłocznie postanowili utworzyć Komitet Walki z Kontrrewolucją.

Komitet nic nie znaczy, pomyślał zniecierpliwiony Grigorij. Poderwał się z miejsca, tłumiąc gniew i obawę. Był delegatem z ramienia Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych, toteż słuchano go z szacunkiem, szczególnie jeśli wypowiadał się w kwestiach wojskowych.

– Nie ma sensu istnienie komitetu, którego członkowie będą tylko wygłaszali przemówienia – zaczął z pasją. – Jeśli doniesienia, które przed chwilą usłyszeliśmy, są prawdziwe, część wojsk Kornilowa stoi niedaleko granic Piotrogradu. Można je powstrzymać jedynie siłą. – Grigorij zawsze chodził w mundurze sierżanta, nosił karabin i pistolet. – Komitet nic nie zdziała, jeśli nie zmobilizuje robotników i żołnierzy Piotrogradu przeciwko buntowi w armii.

Zdawał sobie sprawę, że tylko partia bolszewicka może podjąć naród do czynu. Wiedzieli to również wszyscy inni delegaci bez względu na przynależność partyjną. Ostatecznie ustalono, że w skład komitetu wejdzie trzech mienszewików, trzech rewolucyjnych socjalistów oraz trzech bolszewików z Grigorijem na czele. Wszyscy jednak mieli świadomość, że w gruncie rzeczy liczą się wyłącznie bolszewicy.

Gdy tylko decyzja zapadła, komitet opuścił salę obrad. Peszków zajmował się polityką od pół roku, toteż nauczył się, jak funkcjonuje system. Nie bacząc na oficjalny skład komitetu, zaprosił do niego jeszcze paru ludzi, między innymi Konstantina z Zakładów Putiłow-

skich oraz Izaaka z Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych. Piotrogradzka Rada Delegatów przeniosła się z Pałacu Taurydzkiego do Instytutu Smolnego, w którym niegdyś mieściła się szkoła dla dziewcząt. Komitet wznowił obrady w sali klasowej, w otoczeniu oprawionych w ramki koronkowych serwetek oraz dziecięcych akwareli.

– Czy wpłynął wniosek o rozpoczęcie debaty? – zapytał przewodniczący.

Pytanie było niedorzeczne, lecz Grigorij nauczył się obchodzić takie przeszkody. Szybko przejął kontrolę nad obradami i pokierował nimi tak, by skupiono się na działaniu, a nie na słowach.

– Jeśli pozwolicie, towarzyszu przewodniczący, chciałbym zwrócić uwagę na pięć spraw, którymi powinniśmy się zająć. – Lista z konkretną liczbą punktów pozwalała skupić uwagę uczestników debaty, dając im poczucie, że powinni słuchać wypowiedzi do samego końca. – Po pierwsze, należy zmobilizować żołnierzy stacjonujących w Piotrogradzie przeciwko buntowi generała Korniłowa. Jak możemy to osiągnąć? Proponuję, by kapral Izaak Iwanowicz sporządził listę najważniejszych oddziałów wraz z nazwiskami zaufanych rewolucjonistów. Znając skład sojuszników, powinniśmy wysłać do nich wiadomości z instrukcją, by podporządkowali się rozkazom komitetu i przygotowali do odparcia buntowników. Jeśli Izaak zacznie od razu, za kilka minut przedstawi komitetowi listę do akceptacji.

Grigorij zrobił pauzę, a słuchacze wyrazili aprobatę, kiwając głowami.

– Dziękuję. Proszę robić swoje, towarzyszu Izaaku. Po drugie, musimy wysłać wiadomość do Kronsztadu. – Baza marynarki w Kronsztadzie, znajdująca się na wyspie położonej dwadzieścia mil od wybrzeża, miała złą sławę z powodu brutalnego traktowania młodych rekrutów przez oficerów. Przed sześcioma miesiącami marynarze skierowali swój gniew na oprawców, torturowali ich i wielu uśmiercili. Baza stanowiła teraz ostoję radykalizmu. – Marynarze muszą się uzbroić, dotrzeć do Piotrogradu i oddać pod naszą komendę. – Wskazał bolszewickiego deputowanego, który utrzymywał bliskie kontakty z marynarzami. – Towarzyszu Gleb, czy za zgodą komitetu podejmiecie się tego zadania? Gleb skinął głową.

– Jeśli wolno, napiszę list, przedstawię go przewodniczącemu do akceptacji i osobiście zawiozę do Kronsztadu.

– Bardzo was o to proszę.

Członkowie komitetu wyglądali na nieco zdezorientowanych, gdyż obrady toczyły się w szybszym niż zazwyczaj tempie. Tylko bolszewicy nie byli zaskoczeni.

– Po trzecie, należy sformować jednostki obronne z robotników i wyposażać je w karabiny. Możemy je zdobyć w wojskowych arsenałach oraz w fabrykach broni. Większość robotników będzie potrzebowała szkolenia w zakresie strzelania i dyscypliny wojskowej. Proponuję, by zadanie to wykonali wspólnie związkowcy oraz członkowie Czerwonej Straży. – Należeli do niej żołnierze opowiadający się za rewolucją i uzbrojeni robotnicy. Nie wszyscy byli bolszewikami, lecz zwykle słuchali rozkazów bolszewickich komitetów. – Mógłby się tym zająć towarzysz Konstantin, deputowany z Zakładów Putiłowskich. On wie, które związki zdobyły czołową pozycję w największych fabrykach. Grigorij zdawał sobie sprawę, że zamienia społeczeństwo Piotrogradu w armię rewolucyjną. Pozostali bolszewicy w Komitecie też to wiedzieli, ale czy reszta również uświadomi sobie ten fakt? Później, gdy kontrrewolucja zostanie zdławiona, niesłuchanie trudno będzie zwolennikom umiarkowanych rządów rozbroić tę siłę i przywrócić władzę Rządu Tymczasowego. Gdyby wybiegli myślą tak daleko, mogliby podjąć próbę złagodzenia bądź pokrzyżowania jego planów. Jednak w tej chwili myśleli tylko o tym, by udaremnić wysiłki kontrrewolucjonistów. Jak to zwykle bywa,

tylko bolszewicy mieli opracowaną strategię.

– Zaraz przygotuję listę – oznajmił Konstantin. Nie ulegało wątpliwości, że będzie faworyzował bolszewików, lecz to właśnie oni działają najskuteczniej.

– Po czwarte, Związek Kolejarzy musi zrobić wszystko, by utrudnić postępy armii Kornilowa – ciągnął Grigorij. Bolszewicy usilnie walczyli o to, by przejąć kontrolę nad tym związkiem i obecnie mają przynajmniej jednego człowieka w każdej lokomotywni. Bolszewiczcy związkowcy nieodmiennie zgłaszali się na ochotnika do funkcji skarbników, sekretarzy i przewodniczących. – Niektóre oddziały poruszają się drogami, lecz główna masa żołnierzy i sprzętu będzie transportowana koleją. Związek postara się, by pociągi długo stały na stacjach i jeździły dalekimi objazdami. Czy komitet może powierzyć wam to zadanie, towarzyszu Wiktorze?

Wiktor, delegat kolejarzy, skinął głową.

– Zorganizuję tymczasowy komitet w łonie związku, który zajmie się utrudnianiem manewru buntowników.

– Ostatni punkt. Powinniśmy zachęcić mieszkańców innych miast, by zakładali podobne do naszego komitety. Rewolucji trzeba bronić wszędzie. Może członkowie komitetu zaproponują, z którymi miastami powinniśmy nawiązać kontakt?

Był to fortel, lecz uczestnicy zebrania dali się nabrać. Uradowani, że mają zajęcie, zaczęli wykrzykiwać nazwy miast. Dzięki temu nie mieli czasu zająć się ważniejszymi sugestiami Peszkowa i pominęli je, nie zastanawiając się nad długofalowymi skutkami uzbrojenia obywateli.

Izaak i Gleb sporządzili listy, a przewodniczący komitetu podpisał je bez dyskusji. Konstantin przygotował listę liderów zakładowych i zaczął rozsyłać do nich wiadomości. Wiktor opuścił gmach, by zająć się organizowaniem kolejarzy.

Członków komitetu pochłonięło formułowanie listu do sąsiednich miast. Grigorij wymknął się po cichu, osiągnąwszy cel. Obrona Piotrogradu i rewolucji została zorganizowana, a na jej czele stanęli bolszewicy.

Teraz potrzebuje wiarygodnych informacji o miejscu pobytu armii kontrrewolucjonistów. Czy faktycznie od południa zbliżają się jakieś oddziały? Jeśli tak, trzeba będzie stawić im czoło prędzej, niż Komitet Obrony Rewolucji zdoła poczynić odpowiednie kroki.

Pieszko pokonał krótki odcinek dzielący Instytut Smolny od koszar. Zastał tam żołnierzy szykujących się do odparcia buntowników Kornilowa. Wziął opancerzony samochód, kierowcę oraz trzech zaufanych żołnierzy rewolucjonistów i kazał jechać przez miasto na południe.

Było jesienne popołudnie, zaczynało się ściemniać. Samochód krążył po peryferiach, a siedzący w nim żołnierze wypatrywali wrogich jednostek. Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań Grigorij stwierdził, że doniesienia o postępach wojsk Kornilowa mogą być przesadzone. W najgorszym razie napotka jedynie awangardę. Mimo to należy zachować czujność, więc kontynuował poszukiwania.

Zwiadowcy natrafili na oddział piechoty rozlokowujący się w szkole.

Sierżant pomyślał o ściągnięciu Pierwszego Pułku Karabinów Maszynowych i uderzeniu zniemacka, lecz przyszło mu do głowy, że istnieje lepszy sposób, ryzykowny, ale w razie powodzenia pozwoli uniknąć rozlewu krwi.

Postanowił przekonać kontrrewolucjonistów siłą argumentów.

Samochód przejechał obok ospałego wartownika i Peszków wysiadł. Na wszelki wypadek postawił bagnet karabinu na sztorc i niósł broń na ramieniu. Czuł się bardzo niepewnie, lecz zmusił się do swobodnego zachowania.

Podeszło do niego kilku żołnierzy.

– Co wy tutaj robicie, sierżancie? – spytał pułkownik. Grigorij puścił to pytanie mimo uszu i zwrócił się do kaprała:

– Muszę pomówić z przewodniczącym waszego komitetu rewolucyjnego, towarzyszu.

– W tej brygadzie nie ma żadnego komitetu, towarzyszu – odparł pułkownik. – Wracajcie do samochodu i już was tu nie ma. Kaprał pokonał strach i powiedział:

– Byłem przewodniczącym komitetu w moim plutonie, sierżancie, dopóki nie zakazano działalności komitetów. Twarz pułkownika pociemniała z gniewu. Oto rewolucja w miniaturze, uświadomił sobie Grigorij. Kto wyjdzie zwycięsko z tego starcia, pułkownik czy kaprał? Nadeszło więcej żołnierzy, którzy nastawili uszu.

– Powiedzcie mi zatem, dlaczego uderzacie w rewolucję? – spytał Grigorij kaprała.

– Wcale nie. Jesteśmy tu po to, by jej bronić.

– Ktoś was okłamuje – zwrócił się Peszków do zgromadzonych żołnierzy. – Prezes Rady Ministrów, towarzysz Kiereński, zwolnił z funkcji generała Kornilowa, lecz Kornilow nie posłuchał i dlatego skierował żołnierzy do ataku na Piotrogród. Odpowiedział mu pomruk aprobaty. Było widać, że pułkownik czuje się nieswojo. Miał świadomość, że Grigorij mówi prawdę.

– Dość tych łgarstw! – wypalił. – Wynoście się stąd, sierżancie, bo was zastrzelę.

– Proszę nie dotykać broni, pułkowniku. Wasi podkomendni mają prawo znać prawdę. – Peszków spojrzał na coraz liczniejsze zgromadzenie. – Mam rację?

– Tak jest! – odpowiedziało okrzykiem kilku żołnierzy.

– Nie popieram wszystkiego, co robi Kiereński – ciągnął Grigorij. – Przywrócił karę śmierci i chłosty, ale jest naszym rewolucyjnym przywódcą. Tymczasem generał Kornilow dąży do zdławienia rewolucji.

– Kłamstwo na kłamstwie! – warknął gniewnie pułkownik. – Czy wy nie rozumiecie? Ten sierżant jest bolszewikiem. Wszyscy wiedzą, że bolszewicy są na niemieckim żołdzie!

– Skąd nam wiedzieć, komu dać wiarę? – zapytał kaprał. – Wy, sierżancie, mówicie jedno, a pułkownik drugie.

– Nie musicie wierzyć żadnemu z nas – odparł Grigorij. – Idźcie i przekonajcie się sami. – Zaczął mówić głośniej, by wszyscy go słyszeli. – Wcale nie musicie ukrywać się w szkole. Idźcie do najbliższej fabryki i zapytajcie pierwszego lepszego robotnika. Porozmawiajcie z żołnierzami na ulicach. Rychło poznacie prawdę.

Kaprał skinął głową.

– Dobra myśl.

– Niczego takiego nie zrobicie – rzucił wściekle pułkownik. – Rozkazuję wam zostać na terenie szkoły. Popełnia błąd, pomyślał Grigorij.

– Pułkownik nie chce, żebyście sami sprawdzili, komu wierzyć. Czy to nie dowód, że was okłamuje?

Oficer położył dłoń na pistolecie.

– Czyżbyście nakłaniali moich ludzi do buntu, sierżancie? Żołnierze spoglądali to na pułkownika, to na Grigorija. Niebezpieczny moment. Grigorij jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci.

Nagle uświadomił sobie, że znalazł się w niekorzystnej sytuacji. Spór z pułkownikiem pochłonął go tak bardzo, że nie zaplanował dalszych kroków. Trzymał karabin na ramieniu, lecz broń nie była odbezpieczona. Zanim ją zdejmie, zanim przesunie nieporęczną gałkę odbezpieczającą mechanizm i wymierzy, pułkownik zdąży wyciągnąć pistolet i wypalić. Grigorija ogarnął strach. Musi stłumić w sobie przemożną chęć ucieczki.

– Do buntu, powiadacie? – odrzekł, by zyskać na czasie.

Mimo strachu starał się, by jego głos brzmiał pewnie. – Odsunięty od dowodzenia generał prowadzi wojska na stolicę, lecz jego żołnierze odmawiają ataku na prawowity rząd. Kto jest buntownikiem? Ja mówię, że jest nim generał oraz ci oficerowie, którzy godzą się wykonywać rozkazy zdrajcy.

Pułkownik wyjął pistolet z kabury.

– Wynoście się stąd, sierżancie. – Odwrócił się do pozostałych. – Wszyscy mają wejść do szkoły, zbiórka w sali. Pamiętajcie, że nieposłuszeństwo w wojsku to zbrodnia, a kara śmierci została przywrócona. Zastrzelę każdego, kto odmówi wykonania rozkazu. Wymierzył broń w kaprała.

Grigorij uświadomił sobie, że żołnierze podporządkują się pewnemu sobie i uzbrojonemu oficerowi. W desperacji pojął, że jest tylko jedno wyjście: musi zabić pułkownika.

Wiedział, jak to zrobić. Będzie musiał działać błyskawicznie, lecz ocenił, że plan ma szanse powodzenia.

Zsunął karabin z lewego ramienia i nie przekładając go do prawej ręki, z całej siły pchnął nim pułkownika w bok. Ostrze długiego bagnetu przebiło materiał munduru i zagłębiło się w miękkim brzuchu. Pułkownik ryknął z bólu, lecz nie upadł. Mimo zranienia zdołał się obrócić. Jego pistolet zatoczył łuk w powietrzu. Oficer nacisnął spust.

Kula poszybowała wysoko.

Grigorij napał mocniej na karabin, wbijając bagnet wyżej, w stronę serca. Twarz pułkownika stężała z bólu. Otworzył usta, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Runął na ziemię, wciąż ściskając w ręku pistolet.

Grigorij wyrwał bagnet z jego boku.

Pistolet wypadł z ręki pułkownika.

Wszyscy patrzyli, jak oficer w niemej udręce wije się na suchej trawie placu zabaw. Grigorij odbezpieczył karabin, wymierzył prosto w serce i wystrzelił dwa razy. Oficer znieruchomiał.

– Miał pan rację, pułkowniku – rzekł Grigorij. – W wojsku obowiązuje kara śmierci.

V.

Fitz i Bea wyjechali pociągiem z Moskwy tylko w towarzystwie rosyjskiej służącej Niny oraz lokaja Fitz'a. Jenkins był kiedyś mistrzem boksu. Nie powołano go do wojska dlatego, że widział zaledwie na dziesięć jardów.

Wysiedli w Bułownirze, na małej stacyjce obsługującej posiadłość księcia Andrieja. Doradcy Fitz'a proponowali, by Andriej zbudował tam miasteczko z tartakiem, spichlerzami i młynem, lecz nic nie zostało zrealizowane i wieśniacy wciąż musieli wozić płony wozami konnymi na oddalony o dwadzieścia mil stary rynek w mieście.

Andriej wysłał po gości otwarty powóz. Woźnica przyglądał się posępnie, jak Jenkins dźwiga kufry i układa je w tylnej części pojazdu. Jadąc gruntową drogą wśród pól, Fitz wspominał poprzednią wizytę. Przybył wtedy jako właśnie poślubiony mąż księżniczki, a wieśniacy stali przy drodze i wiwatowali. Teraz było zupełnie inaczej. Ci, którzy pracowali na polach, ledwo unosili głowy, a ludzie w wioskach i siołach demonstracyjnie odwracali się do nich plecami. Takie zachowanie irytowało Fitz'a, lecz jego gniew złagodził widok starego kamiennego domostwa, które w blasku nisko wiszącego popołudniowego słońca przybrało maślanożółty kolor. Przez frontowe drzwi wylegli nienagannie ubrani służący wyglądający jak stadko kaczek, które przybiegły na karmienie. Uwijali się, otwierając drzwiczki i zdejmując z powozu bagaże. Lokaj Andrieja, Gieorgij, pocałował Fitz'a w rękę i wypowiedział angielską formułkę, której bez wątpienia wyuczył się na pamięć:

– Witamy znowu w pańskim rosyjskim domu, hrabio Fitz-

herbert.

Rosyjskie domy często bywały olbrzymie, lecz zaniedbane. Bułownir nie stanowił wyjątku. Imponującej wysokości hol prosił się o odmalowanie, bezcenny kandelabr pokrył kurz, a na marmurową podłogę nasikał pies. Książę Andriej i księżna Waleria stali pod dużym portretem dziadka Bei, który spoglądał na nich z góry srogim wzrokiem.

Bea podbiegła do brata i zarzuciła mu ręce na szyję.

Waleria była klasyczną pięknoscią o regularnych rysach twarzy i starannie upiętych ciemnych włosach. Uściskawszy rękę Fitz, powiedziała po francusku:

– Dziękujemy za przybycie. Jesteśmy radzi, że was widzimy.

Księżniczka Bea oderwała się od brata, ocierając łzy. Fitz podał szwagrowi rękę, ten zaś wyciągnął lewą dłoń. Prawy rękaw jego marynarki wisiał pusty. Książę był blady i wychudzony, jakby cierpiał na wyniszczającą chorobę. W jego czarnej brodzie pojawiły się siwe pasemka, choć mężczyzna miał zaledwie trzydzieści trzy lata.

– Nie potrafię wyrazić, jaka to ulga was widzieć.

– Czy coś się stało? – spytał Fitz. Rozmawiali po francusku, którym wszyscy biegle władali.

– Chodź do biblioteki. Waleria zaprowadzi Beę na górę.

Opuściwszy damy, Andriej i Fitz udali się do zakurzonej biblioteki pełnej oprawionych w skórę tomów. Nie wyglądały na często czytane.

– Zamówiłem herbatę. Obawiam się, że nie mamy sherry.

– Herbata będzie w sam raz. – Fitz usiadł w fotelu. Zraniona noga dokuczała mu po długiej podróży. – Jaka jest sytuacja?

– Masz broń?

– Owszem. Służbowy rewolwer jest w bagażu. – Fitz miał webleya mark V, którego wydano mu w 1914 roku.

– Nie rozstawaj się z nim, proszę. Ja stale noszę przy sobie broń. – Andriej rozpiął marynarkę, odsłaniając pas i kaburę.

– Wyjaśnij mi dlaczego.

– Chłopi utworzyli Komitet Rolny. Ktoś z Partii Socjalistów-Rewolucjonistów nawbijał im bredni do łbów. Roszczą sobie prawo do przejęcia gruntów, których nie uprawiam, i rozdzielenia ich między siebie.

– Byłeś już w takiej sytuacji?

– Za czasów dziadka. Powiesiliśmy trzech wieśniaków i na tym się skończyło. Ale te chorobliwe pomysły trwają w uśpieniu i odżywają po latach.

– Jak postąpiłeś tym razem?

– Wygłosiłem do chłopów pogadankę i pokazałem rękę, którą straciłem, broniąc ich przed Niemcami. Przycichli, lecz kilka dni temu paru miejscowych wróciło z wojska. Twierdzą, że zostali zwolnieni, ale ja jestem pewny, że zdezerterowali. Niestety, nie ma możliwości sprawdzenia tego.

Fitz pokiwał głową. Ofensywa Kiereńskiego się nie powiodła.

Niemcy i Austriacy rozpoczęli kontratak. Rosjanie poszli w rozsypkę, a Niemcy ruszyli na Piotrogród. Tysiące rosyjskich żołnierzy opuściło pole bitwy i wróciło do swoich wiosek.

– Mają karabiny i pistolety, które musieli ukraść oficerom albo odebrać niemieckim jeńcom. W każdym razie są uzbrojeni po zęby i przesiąknięci wywrotowymi ideami. Prowodyrem jest, jak się zdaje, kapral Fiodor Igorowicz. Powiedział Georgijowi, że nie rozumie, dlaczego wciąż należy do mnie jakakolwiek ziemia, o ugorach nie wspominając.

– Nie pojmuję, co się dzieje z tymi, którzy trafiają do wojska – oburzył się Fitz. – Można pomyśleć, że armia nauczy ich posłuchu i dyscypliny, lecz wydaje się, że jest wprost przeciwnie.

– Obawiam się, że dzisiaj rano sprawy stanęły na ostrzu noża – ciągnął Andriej. – Młodszy brat kaprala Fiodora, Iwan

Igorowicz, zaczął wypasać bydło na moim pastwisku. Gieorgij to zauważył, poszedłem więc z nim, żeby przemówić Iwanowi do rozumu. Zapędziliśmy krowy na drogę, lecz on usiłował zamknąć przed nami bramę. Miałem z sobą strzelbę i rąbnąłem go kolbą w czoło. Większość tych przeklętych wieśniaków ma łby twarde jak kule armatnie, lecz ten patałach okazał się inny. Padł na ziemię i wyzionął ducha. Socjaliści wykorzystują to jako pretekst, by podburzać chłopstwo.

Fitz grzecznie ukrył niesmak. Bardzo mu się nie podobał rosyjski zwyczaj bicia ludzi niższego stanu i nie zdziwił się, że wydarzenie spowodowało zamieszki.

– Powiedziałaś komuś o tym incydencie?

– Wysłałem do miasta informację o śmierci tego człowieka i poprosiłem, by przysłano oddział policji lub żołnierzy w celu utrzymania porządku. Jednak mój goniec do tej pory nie wrócił.

– A zatem jesteśmy zdani na siebie.

– Tak. Jeśli sytuacja się pogorszy, obawiam się, że będziemy zmuszeni odesłać stąd panie.

Fitz był zdruzgotany. Sprawy wyglądają znacznie gorzej, niż się spodziewał. Wszyscy mogą zginąć. Przyjazd do Andrieja to straszliwy błąd. Musi czym prędzej zabrać stąd Beę.

Wstał. Pamiętając, że Anglicy często chlubią się przed cudzoziemcami umiejętnością zachowania zimnej krwi w trudnych sytuacjach, rzekł:

– Pójdę się przebrać do kolacji.

Andriej zaprowadził go do pokoju. Jenkins wyjął z kufra strój wieczorowy i wyprasował go. Fitz zaczął się rozbierać. Miał poczucie, że popełnił głupstwo. Naraził Beę i siebie na niebezpieczeństwo. Wyrobił sobie rzetelną opinię o sytuacji wewnętrznej Rosji, lecz raport, który napisze, nie jest wart podjętego ryzyka. Uległ namowom żony, a to zawsze okazywało się błędem. Po- stanowił wsiąść w pierwszy poranny pociąg.

Rewolwer leżał na toaletce obok spinek do koszuli. Sprawdził, czy działa, po czym otworzył magazynek i załadował pociski. Marynarka nie miała odpowiedniej kieszeni na rewolwer, więc wcisnął go do kieszeni spodni, nieestetycznie ją wypychając. Zawołał Jenkinsa i poleciwszy mu schować ubranie podróżne, wszedł do pokoju Bei. Stała w samej bieliźnie i zakładała naszyjnik. Miała bujniejsze kształty niż zwykle, jej piersi i biodra nieco się powiększyły. Nagle Fitzowi przyszło na myśl, że żona może być w ciąży. Rano, w Moskwie, gdy jechali samochodem na dworzec, miała mdłości. Nasunęło mu to wspomnienie jej poprzedniej ciąży, które z kolei przypomniało mu cudowne chwile, gdy miał Ethel i Beę jednocześnie. Na świecie nie szalała wtedy wojna.

Zamierzał jej powiedzieć, że jutro rano wyjeżdżają, gdy zerknął przez okno i zatrzymał się w pół kroku.

Pokój znajdował się we frontowej części domu. Rozpościerał się z niego widok na park i pola aż do najbliższej wioski. Wzrok Fitz'a przykuł tłum ludzi. Pełen najgorszych przeczuć podszedł do okna. Zobaczył stu lub więcej chłopów idących przez park. Mimo że wciąż było widno, wielu niosło zapalone pochodnie. Niektórzy trzymali karabiny.

– O kurwa – zaklął Fitz.

Bea była wstrząśnięta.

– Czyżbyś zapomniał o mojej obecności?

– Spójrz tylko na to.

– O nie – wykrztusiła.

– Jenkins! Jenkins, jesteś tam?! – Fitz otworzył drzwi i zobaczył lokaja. Zaskoczony Jenkins wieszał na wieszaku jego garnitur. – Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Musimy opuścić dom w ciągu pięciu minut. Pędź do stajni, zaprzęgnij konie do powozu i podjedź jak najprędzej do kuchennych drzwi. Lokaj rzucił garnitur na podłogę i wybiegł.

Fitz odwrócił się do Bei.

– Zarzuć na siebie jakiś płaszcz i włóż buty nadające się do chodzenia. Potem zejdź do kuchni i tam na mnie czekaj. Musiał oddać Bei sprawiedliwość: nie wpadła w histerię, tylko wykonała polecenie.

Fitz wyszedł z pokoju i najprędzej, jak mógł, pokuśtykał do pokoju Andrieja, lecz szwagra ani Walerii tam nie było.

Zszedł na dół. Gieorgij i część męskiej służby stali przerażeni w holu. Fitz także się bał, lecz miał nadzieję, że tego po nim nie widać.

Księcia i księżną zastał w salonie. Na stole stał szampan w lodzie oraz dwa napełnione kieliszki, jednak gospodarze nie pili. Andriej stał przed kominkiem, a Waleria przy oknie, patrząc na zbliżającą się watahę. Fitz stanął obok niej. Wieśniacy byli już prawie u drzwi. Kilku miało broń palną, większość niosła noże, młoty i kosy.

– Gieorgij spróbuje przemówić im do rozsądku, a jeśli mu się nie uda, ja będę musiał do nich wyjść – powiedział Andriej.

– Na litość boską, Andrieju, czas na negocjacje minął. Musimy natychmiast stąd uciekać.

Zanim Andriej odpowiedział, w holu rozległy się podniesione głosy.

Fitz podszedł do drzwi i uchylił je. Gieorgij spierał się z roslym młodym wieśniakiem z sumiastymi wąsami: Fitz domyślił się, że to Fiodor Igorowicz. Otoczyli ich mężczyźni oraz kilka kobiet. Niektórzy trzymali płonące pochodnie. Drzwiami wpychali się kolejni wieśniacy. Trudno było zrozumieć miejscową gwarę, lecz jedno zdanie powtórzyło się kilka razy:

– Chcemy rozmawiać z księciem!

Andriej także je usłyszał. Ominawszy Fitz, wyszedł do holu.

– Nie... – szepnął Fitz, lecz było za późno.

Pojawienie się Andrieja ubranego w wieczorowy garnitur intruzi powitali drwinami i syczeniem.

– Jeśli wszyscy spokojnie wyjdziecie, może unikniecie kłopotów! – rzekł podniesionym głosem książę.

– To pan ma kłopoty! – krzyknął Fiodor. – Zabił pan mojego brata!

– Moje miejsce jest u boku męża! – oznajmiła cicho Waleria i nie pozwoliwszy się zatrzymać, wyszła do holu.

– Nie zamierzałem zabić Iwana – zapewnił Andriej. – Żyłby, gdyby nie złamał prawa i nie wystąpił przeciwko swojemu księciu. Fiodor nagłym ruchem odwrócił karabin i rąbnął Andrieja kolbą w twarz.

Książę cofnął się i złapał za policzek.

Wieśniacy krzyknęli z radości.

– Tak zrobiłeś Iwanowi! – ryknął Fiodor.

Fitz sięgnął po rewolwer.

Fiodor uniósł karabin nad głowę. Broń zawisała na chwilę w powietrzu niczym topór kata. Następnie wieśniak potężnie uderzył kolbą w czubek głowy Andrieja. Dał się słyszeć nieprzyjemny odgłos pękającej kości i Andriej upadł na posadzkę. Waleria krzyknęła.

Fitz, który stał za niedomkniętymi drzwiami, otworzył kciukiem zamek po lewej stronie magazynka rewolweru i wymierzył w Fiodora, lecz wieśniacy otoczyli swojego przywódcę. Zaczęli okładać i kopać leżącego Andrieja. Waleria chciała dostać się do męża i go ratować, lecz nie mogła przecisnąć się przez tłum.

Jakiś wieśniak zamachnął się kosą i trafił ostrzem w portret srogiego dziadka Bei, przecinając płótno. Inny wypalił ze strzelby do kandelabru. Kryształ rozprysł się na kawałeczki, które posypały się z brzękiem na posadzkę. Ktoś musiał podłożyć ogień pod draperie, gdyż objął je płomień.

Fitz był na polu bitwy i nauczył się, że rycerskość należy temperować chłodną kalkulacją. Wiedział, że w pojedynkę nie zdoła ocalić Andrieja przed motłochem. Może jednak uratować

Walerię.

Schował broń do kieszeni.

Uwagę wszystkich w holu przykuwał leżący bezwładnie księżę. Waleria stała na zewnątrz kręgu i bezskutecznie waliła pięściami w ramiona stojących przed nią wieśniaków. Fitz chwycił ją wpół i wyniósł do salonu. Przeciążona noga paliła ogniem, lecz zacisnął zęby.

– Puść mnie! – krzyczała Waleria. – Muszę ratować Andrieja!

– Jemu już nie pomożemy!

Fitz zarzucił sobie szwagierkę na ramię, by zmniejszyć nacisk na nogę. Nagle usłyszał świst przelatującej kuli. Odwróciwszy się, zobaczył szeroko uśmiechniętego żołnierza w mundurze, mierzącego doń z pistoletu.

Usłyszał drugi strzał i poczuł uderzenie. Przez chwilę myślał, że został trafiony, lecz jego zmysły nie zarejestrowały bólu. Skoczył w stronę łącznika prowadzącego do jadalni.

– Ona chce uciec! – krzyknął żołnierz.

Anglik wybiegł przez drzwi w chwili, gdy następna kula wbiła się w drewno. Prości żołnierze nie ćwiczyli strzelania z pistoletu i nie wiedzieli, że broń ta jest o wiele mniej celna od karabinu. Powłócząc nogą, Fitz minął zastawiony srebrem i kryształami stół, do którego miało zasiąść czworo arystokratów. Słyszał goniących go wieśniaków. Na końcu pokoju znajdowały się drzwi. Wpadł do wąskiego korytarzyka, a stamtąd do kuchni. Kucharz oraz kilka służących kuchennych znieruchomieli, przerywając szykowanie posiłku. Wszyscy spojrzeli przerażeni na uciekającego Fitzę.

Ten uświadomił sobie, że pościg jest zbyt blisko. Jeśli tamci zbliżą się na tyle, by oddać celny strzał, czeka go śmierć. Musi coś zrobić, by ich powstrzymać.

Postawiwszy Walerię na podłodze, zobaczył krew na jej sukience. Szwagierka została trafiona, lecz żyła i była przytomna. Posadził ją na krześle i odwrócił się w stronę korytarza. Roześmiany wojak pędził w jego stronę, strzelając bez opamiętania. Za nim biegło wąskim korytarzem jeszcze kilku napastników. W salonie i w jadalni szalały płomienie.

Fitz wyciągnął webleya. Był to dwutaktowy rewolwer niewymagający naciągania. Przeniósłszy ciężar ciała na zdrową nogę, starannie wymierzył w brzuch biegnącego żołnierza i nacisnął spust. Huknął strzał i mężczyzna runął na podłogę przed Fitzem. Kobiety w kuchni wrzasnęły.

Drugim strzałem Fitz położył następnego mężczyznę. Strzelił po raz trzeci z takim samym rezultatem. Czwarty napastnik czmychnął do jadalni.

Fitz zatrzasnął drzwi kuchni. Teraz ścigający zawahają się, bo nie wiedzą, czy przeciwnik się na nich zaczął. Dzięki temu zyska czas na ucieczkę.

Wziął na ręce Walerię, która najwyraźniej traciła przytomność. Nigdy nie był w kuchni domu szwagra, lecz skierował się na tyły. Następny korytarz biegł obok spiżarni i pralni. Na końcu znajdowały się drzwi.

Zdyszany Fitz znalazł się na dworze. Noga bolała go jak wszyscy diabli. Przed kuchnią stał powóz. Jenkins tkwił na koźle, a Bea i szlochająca Nina siedziały w środku. Przerażony chłopiec stajenny trzymał konie.

Fitz umieścił nieprzytomną Walerię w powozie, wsiadł i krzyknął do Jenkinsa:

– Ruszaj! Ruszaj!

Lokaj smagnął konie biczem, stajenny odskoczył i powóz ruszył.

– Nic ci się nie stało? – spytał Fitz.

– Żyję i nie jestem ranna. A ty?

– Nie odniosłem obrażeń. Ale boję się o życie twojego bra-

ta. – Tak naprawdę Fitz nie miał wątpliwości, że Andriej nie żyje, lecz wolał nie mówić o tym teraz żonie.

Bea spojrzała na księżnę.

– Co jej jest?

– Prawdopodobnie postrzelono ją. – Fitz dokładniej przyjrzał się Walerii. Jej twarz była biała i nieruchoma. – O mój Boże...

– Ona nie żyje, prawda?

– Musisz być dzielna.

– Będę – szepnęła Bea, patrząc na bezwładną dłoń bratowej. – Biedna Waleria.

Powóz przemknął podjazdem i minął mały wdowi domek, w którym matka Bei zamieszkała po śmierci męża. Fitz spojrzął na dwór. Przed kuchennymi drzwiami zebrała się niewielka grupka rozczarowanych pościgiem wieśniaków. Jeden z nich mierzył do uciekinierów z karabinu. Fitz kazał Bei się schylić. Sam też to uczynił.

Uniósł głowę, dopiero gdy znaleźli się poza zasięgiem strzału.

Z domu wszystkimi drzwiami wysypywali się wieśniacy i służba.

Okna dziwnie jaśniały. Fitz zrozumiał, że dwór płonie. Dym sacył się z frontowych drzwi, a z otwartego okna wydostawały się języki ognia, od których zajęły się pnącza oplatające ścianę.

Powóz wspiął się na grzbiet wzgórza i pomknął w dół. Stary dwór zniknął w oddali.

ROZDZIAŁ 28

Październik i listopad 1917 roku

i.

– Admirał von Holtzendorff przyrzekał, że Brytyjczycy w ciągu pięciu miesięcy zaczną głodować – oznajmił gniewnie Walter. – To było dziewięć miesięcy temu.

– Pomylił się w rachubach – odparł ojciec.

Walter powstrzymał się od ostrej riposty.

Znajdowali się w gabinecie Ottona w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Berlinie. Gospodarz siedział w rzeźbionym fotelu za ogromnym biurkiem. Na ścianie za nim wisiał portret dziadka obecnego monarchy, Wilhelma I, który został ogłoszony cesarzem Niemiec w Sali Lustrzanej pałacu w Wersalu.

Takie usprawiedliwienie doprowadzało Waltera do furii.

– Admirał dał oficerskie słowo honoru, że ani jeden amerykański oficer nie dotrze do Europy. Z naszych danych wywiadowczych wynika, że w czerwcu wylądowało ich we Francji czternaście tysięcy. Tyle jest warte słowo oficera!

To ubodło Ottona.

– Admirał zrobił to, co uważał za najlepsze dla ojczyzny – rzekł rozdrażniony. – Co więcej człowiek może zrobić?

– Pytasz mnie, co człowiek może zrobić? – oburzył się

Walter. – Może nie składać fałszywych obietnic. Jeśli nie wie na pewno, może się powstrzymać od mówienia, że wie. Może powiedzieć prawdę albo zamknąć swoją durną gębę na kłódkę.

– Von Holtzendorff udzielił najlepszej rady, jakiej mógł udzielić. Słabość tego argumentu jeszcze bardziej rozżłościła Waltera.

– Taka skromność byłaby stosowna przed faktem, ale jej zabrakło. A ty byłeś wtedy w zamku Pless i wiesz, co się wydarzyło. Von Holtzendorff dał słowo. Wprowadził Kaisera w błąd. Wciągnął nas w wojnę z Ameryką. Trudno o gorszą przysługę dla monarchy!

– Przypuszczam, że chciałbyś jego ustąpienia, ale kto go zastąpi?

– Ustąpienia? – Walter kipiał ze złości. – Chcę, żeby włożył sobie lufę pistoletu do ust i pociągnął za spust.

Otto zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Cóż za niegodziwe słowa.
- Śmierć winowajcy byłaby małą karą za śmierć tych wszystkich, którzy polegali z jego winy.
- Wy, młodzi, nie macie krzty zdrowego rozsądku.
- Ty śmiesz mi mówić o zdrowym rozsądku? Ty i ludzie z twojego pokolenia pchnęliście Niemcy do wojny, która okaleczyła kraj i zabiła miliony, wojny, której po trzech latach wciąż nie wygraliśmy.

Otto odwrócił wzrok. Trudno mu było zaprzeczyć, że Niemcy nie wygrały wojny. Walczące strony trwały w paraliżującym zwarciu na froncie francuskim. Rozpoczęcie wojny podwodnej nie doprowadziło do odcięcia aliantów od dostaw. Tymczasem za sprawą brytyjskiej blokady morskiej Niemcy zaczęli przymierać głodem.

- Musimy poczekać na rozwój wypadków w Piotrogradzie - odrzekł Otto. - Jeśli Rosja wycofa się z wojny, układ się zmieni.
- Otóż to - potwierdził Walter. - Teraz wszystko zależy od bolszewików.

II.

Na początku października Grigorij i Katerina wybrali się do akuszerki.

Grigorij spędzał większość nocy w jednopokojowym mieszkanku nieopodal Zakładów Putiłowskich. Nie kochali się już, gdyż Katerinie było niewygodnie. Jej brzuch urósł, skóra napięła się jak na piłce, a pępek nie był już wklęsły. Grigorij nigdy nie przebywał blisko ciężarnej kobiety. Cieszyło go to, a zarazem napawało lękiem. Wiedział, że wszystko przebiega normalnie, jednak bał się myśli, że główka dziecka w okrutny sposób rozewrze wąskie przejście, które tak uwielbiał.

Szli do domu Magdy, żony Konstantina. Władimir siedział na ramionach Grigorija. Chłopiec miał prawie trzy lata, lecz przybrany ojciec wciąż nosił go bez wysiłku. Zaczynała się uwidaczniać jego osobowość: na swój dziecięcy sposób był inteligentny i poważny, czym bardziej przypominał wujka niż swojego czarującego, krnąbrnego ojca Lwa. Dziecko jest jak rewolucja, pomyślał Grigorij: można dać mu początek, lecz nie sposób zapanować nad jego rozwojem.

Kontrrewolucja generała Kornilowa została zdławiona, nim się zaczęła. Związek Kolarzy dopilnował, by większość jego wojsk utknęła na bocznicach wiele mil od Piotrogradu. Ci, którzy dotarli w pobliże miasta, napotykali bolszewików, którzy zniechęcali ich do walki, po prostu mówiąc im prawdę, tak jak to zrobił Peszków z oddziałem stacjonującym w budynku szkoły. Żołnierze brali do niewoli spiskujących oficerów i dokonywali egzekucji. Kornilow także został aresztowany i uwięziony.

Grigorij zyskał sławę tego, który zatrzymał armię Kornilowa. Obruszył się, że to przesada, lecz ta skromność sprawiła, że jeszcze bardziej urósł w oczach towarzyszy. Wybrano go do Komitetu Centralnego Partii Bolszewickiej.

Trocki wyszedł z więzienia, a bolszewicy zdobyli pięćdziesiąt jeden procent głosów w wyborach w Moskwie. Liczba członków partii sięgnęła trzystu pięćdziesięciu tysięcy.

Grigorija ogarnęło odurzające poczucie, że wszystko może się wydarzyć, łącznie z całkowitą katastrofą. Przecież rewolucja może upaść każdego dnia. Bał się tego, gdyż wtedy jego dziecko będzie skazane na Rosję ani trochę niezmienioną na lepsze. Wspominał kamienie milowe swojego dzieciństwa: śmierć ojca na szubienicy, zabicie matki przed Pałacem Zimowym, popa, który zdjął spodnie małemu Lwu, harówkę w Zakładach Putiłowskich. Dla swojego dziecka pragnął innego życia.

- Lenin wzywa do zbrojnego powstania - powiedział do Kateriny. Lenin wciąż ukrywał się poza miastem, lecz zasypywał

partię gniewnymi listami. Nawoływał do natychmiastowego działania.

– Myślę, że Lenin ma rację – odrzekła. – Wszystkim znudziły się rządy, które plotą o demokracji, ale nic nie robią w sprawie ceny chleba.

Katerina jak zawsze wypowiedziała myśli piotrogrodzkich robotników.

Magda podała gościom herbatę.

– Przykro mi, ale nie mam cukru. Od tygodni nie udało mi się go zdobyć.

– Nie mogę się doczekać chwili, gdy już będzie po wszystkim – westchnęła Katerina. – Noszenie tego ciężaru jest okropnie męczące.

Magda obmacała jej brzuch i oznajmiła, że do rozwiązania pozostało jeszcze około dwóch tygodni.

– Z Władimirem strasznie się męczyłam – mówiła Katerina. – Nie miałam przyjaciółek, a akuszerką była syberyjska wiedźma o twarzy jak skała. Ksenia jej było na imię.

– Znam Ksenię. Akuszerka z niej dobra, choć nieco surowa.

– O tak.

Konstantin miał jechać do Instytutu Smolnego. Piotrogrodzka Rada Delegatów nie obradowała codziennie, lecz stale odbywały się spotkania komisji i zwoływanych na poczekaniu grup robotników. Rząd Tymczasowy Kiereńskiego osłabł tak bardzo, że rada rzeczy zyskała na znaczeniu.

– Podobno Lenin jest w mieście – rzekł Konstantin do Grigorija.

– Tak, wrócił wczoraj wieczorem.

– Gdzie się zatrzymał?

– To tajemnica. Policja wciąż czyha, by go aresztować.

– Co go skłoniło do powrotu?

– Jutro się dowiemy. Zwołał zebranie Komitetu Centralnego.

Konstantin wyszedł, aby zdażyć na tramwaj do śródmieścia.

Grigorij odprowadził Katerinę do domu.

– Lepiej się czuję, wiedząc, że Magda będzie ze mną – wyznała, gdy zbierał się do wyjścia.

– To dobrze. – Grigorijowi wciąż się wydawało, że rodzenie dziecka jest bardziej niebezpieczne od zbrojnej rewolty.

– Ty także przy mnie będziesz – dodała Katerina.

– Ale nie w tym samym pokoju – zastrzegł, nieco zdenerwowany.

– Oczywiście, że nie. Ale będziesz chodził tam i z powrotem za drzwiami. Dzięki temu poczuje się bezpieczna.

– Zgoda.

– Będziesz tam, prawda?

– Tak – odparł Grigorij. – Bez względu na wszystko będę przy tobie.

Dotarłszy godzinę później do koszar, zastał tam istny kocioł.

Na placu defiladowym oficerowie próbowali zorganizować załadunek broni i amunicji na wagony, lecz wszystkie komitety batalionowe miały spotkania albo właśnie się do nich szykowały.

– Kiereński napytał sobie biedy! – wykrzyknął radośnie Izaak. – Chce nas wysłać na front.

Grigorij struchlał.

– Kogo chce wysłać na front?

– Cały garnizon piotrogrodzki! Takie przyszły rozkazy. Mamy zluzować oddziały przebywające na froncie.

– A dlaczegóż to?

– Podobno dlatego, że Niemcy nadchodzą. – Wojska niemieckie zdobyły wysepki w Zatoce Ryskiej i kierowały się na Piotrogród.

– Bzdura – prychnął Peszków. – Wrogowie chcą osłabić radę. – Po chwili uświadomił sobie jednak, że to sprytny zamysł.

Jeśli żołnierzy z Piotrogradu zastąpią inni, wracający prosto z frontu, utworzenie nowych komitetów żołnierskich i wyłonienie delegatów do rady potrwa wiele dni, a może tygodni. Co gorsza, nowi delegaci nie będą mieli doświadczenia, którego nabrali poprzednicy, przez pół roku prowadząc różnorodne batalie polityczne. Trzeba je będzie stoczyć od nowa. — Co na to żołnierze?

— Są wściekli. Chcą, żeby Kiereński wynegocjował pokój, zamiast wysłać ich na śmierć.

— Odmówią opuszczenia Piotrogradu?

— Trudno powiedzieć. Przydałoby się wsparcie rady.

— Zajmę się tym.

Grigorij wziął opancerzony samochód oraz dwóch żołnierzy jako eskortę i pojechał przez most Litiejny do Instytutu Smolnego. Decyzja Rządu Tymczasowego była skierowana przeciwko rewolucji, lecz przyszło mu na myśl, że bolszewicy mogą ją obrócić na swoją korzyść. Nie wszyscy żołnierze popierają bolszewików, jednak teraz, gdy Kiereński postanowił wysłać ich na front, niezdecydowani być może przestaną się wahać. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym głębszego nabierał przekonania, że Kiereński popełnił fatalny błąd.

Instytut Smolny mieścił się w imponującym gmachu, w którym uczyły się córki bogaczy. Wejścia pilnowało dwóch żołnierzy z karabinami maszynowymi z pułku Peszkowa. Gwardia Czerwona próbowała sprawdzać tożsamość wszystkich gości, lecz przybywało ich tak wielu, że kontrola nie była zbyt rygorystyczna.

Na dziedzińcu trwał gorączkowy ruch. Samochody opancerzone, motocykle, ciężarówki oraz samochody osobowe wjeżdżały i wyjeżdżały, współzawodnicząc o miejsce do parkowania. Szerokie schody prowadziły do łukowatych podcieni i klasycznej kolumnady. W sali na piętrze trwało posiedzenie komitetu wykonawczego Piotrogradzkiej Rady Delegatów.

Mienszewicy nawoływali żołnierzy z garnizonu, by szykowali się do wyruszenia na front. Grigorij pomyślał z niesmakiem, że mienszewicy jak zwykle kapitulują bez walki. Nagle przeraził się, że rewolucja się oddala.

Zwołał pozostałych bolszewików z egzekutywy rady, by przyjąć śmielszą rezolucję.

— Jedyńm sposobem obrony Piotrogradu przed Niemcami jest mobilizacja robotników — oznajmił Trocki.

— Podobnie jak wtedy, gdy broniliśmy się przed puczem Kornilowa — podchwycił z zapałem Grigorij. — Trzeba powołać komitet, który pokieruje obroną miasta.

Trocki naszkicował naprędce projekt wniosku, a następnie go przedstawił.

Mienszewicy się oburzyli.

— Chcecie stworzyć drugie obok kwatery głównej centrum dowodzenia wojskiem! — wykrzyknął Marek Brojdo. — Nikt nie może służyć dwóm panom.

Grigorij zauważył z niesmakiem, że większość członków kierownictwa przychyliła się do wniosku mienszewików i propozycja Trockiego przepadła. Wychodził ze spotkania zdesperowany. Czy po takim rozczarowaniu żołnierze pozostaną lojalni wobec rady?

Po południu bolszewicy spotkali się w sali numer trzydzieści sześć i postanowili, że nie mogą zaakceptować tej decyzji. Ustalili, iż przedstawią swój wniosek na wieczornym spotkaniu pełnego składu rady.

Za drugim razem wniosek bolszewików przeszedł w głosowaniu. Peszków przyjął to z ulgą. Rada poparła żołnierzy i ustanowiła alternatywne dowództwo wojskowe.

Bolszewicy uczynili wielki krok w stronę przejęcia władzy.

III.

Grigorij opuszczał Instytut Smolny w optymistycznym nastroju. Bolszewicy wymykali się pojedynczo i parami, by nie zwracać na siebie uwagi tajnej policji. Wszyscy kierowali się do dużego mieszkania towarzyski Galiny Flakserman, w którym miało się odbyć zebranie Komitetu Centralnego.

Peszków był zdenerwowany, dlatego przyszedł wcześniej. Okrążył kwartał, wypatrując stojących bezczynnie osobników, którzy mogą być policyjnymi szpiczlami. Nie zauważył jednak nikogo podejrzanego. Znalazłszy się w budynku, sprawdził wszystkie trzy wyjścia i wybrał to, które umożliwia najszybszą ewakuację. Bolszewicy usiedli przy wielkim stole. Wielu było ubranych w skórzane płaszcze, które stały się dla nich czymś w rodzaju mundurów. Lenina nie było, więc zaczęli bez niego. Leninowi wciąż groziło aresztowanie i Grigorij się o niego bał. Jednak przywódca zjawił się o dwudziestej drugiej w peruce, która co chwila się zsuwała i w której wyglądał trochę głupio. Nie było jednak niczego śmiesznego w zaproponowanym przez niego wniosku. Lenin wzywał do zbrojnego powstania, na którego czele stanęliby bolszewicy. Miało ono obalić Rząd Tymczasowy i przejąć władzę.

Grigorij poczuł uniesienie. Głód zbrojnego powstania był powszechny, lecz większość rewolucjonistów twierdziła, że sytuacja jeszcze do niego nie dojrzała. Teraz najważniejszy z nich daje sygnał do działania.

Lenin mówił przez godzinę. Jak zawsze wypowiadał się ostro, walił pięścią w stół, krzyczał i obrzucał obelgami tych, którzy byli innego zdania. Styl wypowiedzi obracał się przeciwko niemu, gdyż ludzie skłonni są odrzucać wywody aroganckich mówców. Mimo to Lenin umiał być przekonujący. Miał dużą wiedzę oraz niezawodny instynkt polityczny, toteż mało kto potrafił oprzeć się potężnym ciosom jego argumentów.

Grigorij od samego początku stał po stronie Lenina. Najważniejsze to przejąć władzę i położyć kres wahaniom, myślał. Wszystkie problemy można rozwiązać później. Ale czy pozostali myślą tak samo?

Zinowiew nie podzielał tego zdania. Był przystojnym mężczyzną, lecz dla zmylenia policji zapuścił brodę i krótko ostrzygł bujną grzywę czarnych kręconych włosów. Uważał, że strategia zaproponowana przez Lenina niesie zbyt wielkie ryzyko. Obawiał się, że prawicowcy wykorzystają powstanie jako pretekst do dokonania zamachu wojskowego. Chciał, by Partia Bolszewicka skupiła się na wygraniu wyborów do Konstytuanty.

Jego bojaźliwość doprowadziła Lenina do furii.

– Rząd Tymczasowy nigdy nie ogłosi wyborów powszechnych! Kto myśli inaczej, ten jest naiwnym durniem.

Trocki i Stalin opowiedzieli się za powstaniem, lecz Trocki rozgniewał Lenina opinią, że należy poczekać na wszechrosyjski zjazd rad mający rozpocząć się za dziesięć dni.

Grigorij uznał to za dobry pomysł – Trocki zawsze mówił rozsądnie – lecz Lenin go zaskoczył.

– Nie! – ryknął.

– Prawdopodobnie zdobędziemy poparcie większości delegatów... – zauważył Trocki.

– Jeśli kongres utworzy rząd, będzie to z pewnością rząd koalicyjny! – oznajmił gniewnie Lenin. – Bolszewicy dopuszczeni do rządu będą centrystami. Któż by tego chciał oprócz zdrajców i kontrrewolucjonistów?

Trocki poczerwieniał od tej obelgi, lecz zbył ją milczeniem. Grigorij uświadomił sobie, że Lenin ma rację. Jak zwykle wybiegł myślami dalej niż inni. W razie powstania koalicji mien-szewicy zażądatają umiarkowanego premiera i na pewno nie zgodzą się na Lenina.

Lenin mógł zostać premierem tylko w drodze zamachu stanu. Grigorij szybko to zrozumiał i odgadł, że ta sama myśl zaświtała w głowach wszystkich członków komitetu. Dyskusja ciągnęła się do wczesnych godzin rannych. Stosunkiem głosów dziesięć do dwóch przyjęto wniosek popierający zbrojne powstanie. Nie wszystko jednak ułożyło się po myśli Lenina, gdyż nie wyznaczono daty rozpoczęcia działań. Zebranie dobiegło końca. Galina postawiła na stole przed wygłodniałymi rewolucjonistami samowar z herbatą oraz ser, kiełbasę i chleb.

IV.

W dzieciństwie Peszków był świadkiem kulminacyjnego momentu polowania na jelenia, które urządzono w posiadłości księcia Andrieja. Psy powaliły zwierzę tuż za wioską i wszyscy poszli popatrzeć. Kiedy tam dotarł, jeleni dogorywał. Psy łapczywie pożerały wnętrzności wylewające się z brzucha zwierzęcia, a myśliwi na koniach wznosili kielichy z brandy, pijąc za udane polowanie. Jednakże nieszczęsne zwierzę podjęło ostatnią rozpaczliwą próbę walki o życie. Machnęło ogromnym porożem, nadziewając na nie jednego ogara, a drugiemu rozpruwając brzuch. Przez chwilę wydawało się, że zdoła dźwignąć się na nogi, lecz nagle runęło na czerwoną od posoki ziemię i zamknęło oczy.

Grigorij pomyślał, że szef Rządu Tymczasowego Kiereński przypomina tamtego jelenia. Wszyscy mieli świadomość, że jest już martwy, tylko on tego nie wiedział.

Sroga rosyjska zima zaciskała się wokół Piotrogradu niczym pięść i właśnie wtedy kryzys osiągnął apogeum.

Komitet wojskowy, rychło przemianowany na Wojskowy Komitet Rewolucyjny, został zdominowany przez charyzmatycznego Trockiego. Niełatwo było go uznać za przystojnego mężczyznę. Miał duży nos, wysokie czoło i wyłupiaste oczy, które błyszczały za okularami bez oprawek. Był jednak czarujący i miał dar przekonywania oponentów. Lenin krzyczał i gromił, Trocki zaś przemawiał do rozsądku i namawiał. Grigorij podejrzewał, że Trocki jest równie twardy jak Lenin, lecz lepiej to maskuje.

W poniedziałek piątego listopada, dwa dni przed rozpoczęciem Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad, Peszków poszedł na masówkę zwołaną przez Wojskowy Komitet Rewolucyjny, w której mieli wziąć udział wszyscy żołnierze z Twierdzy Pietropawłowskiej. Zebranie rozpoczęło się w południe i ciągnęło przez wiele godzin. Żołnierze rozprawiali na placu przed fortecą o polityce, tymczasem oficerowie kipieli z bezsilnej złości. Przybycie Trockiego powitano gromkimi oklaskami. Wysłuchawszy jego wystąpienia, żołnierze zagłosowali, że podporządkują się komitetowi i Trockiemu, nie zaś Kiereńskiemu oraz jego rządowi.

Opuszczając plac, Grigorij doszedł do wniosku, iż rząd nie może sobie pozwolić na tolerowanie sytuacji, w której kluczowa jednostka wojskowa deklaruje posłuszeństwo wobec innego ośrodka władzy. Działa twierdzy rozlokowane były nad rzeką, dokładnie naprzeciwko Pałacu Zimowego będącego siedzibą Rządu Tymczasowego. Teraz Kiereński na pewno przyzna się do porażki i zrezygnuje z kierowania rządem, pomyślał Peszków.

Nazajutrz Trocki ogłosił, jakie kroki należy poczynić, by przeciwdziałać kontrrewolucyjnemu zamachowi w armii. Rozkazał czerwonogwardzistom lojalnym wobec Piotrogradzkiej Rady Delegatów opanować mosty, dworce kolejowe i posterunki policji, a także urzędy pocztowe i telegraficzne, centralę telefoniczną oraz bank państwowy.

Grigorij był przy Trockim i tłumaczył rozkazy wielkiego

przywódcy na precyzyjny język instrukcji dla poszczególnych jednostek wojskowych. Rozsyłał je po mieście za pośrednictwem gońców poruszających się konno, rowerami i samochodami. Przyszło mu na myśl, że poczynione przez Trockiego kroki prewencyjne bardzo przypominają zamach stanu.

Ku jego zdumieniu i radości przeciwnik stawiał nikły opór.

Szpieg w Pałacu Marińskim doniósł, że premier Kiereński zwrócił się do parlamentu – zgromadzenia, które skompromitowało się, nie umiając stworzyć Konstytuanty – o wotum zaufania. Parlament go nie udzielił. Nikt się jednak tym nie przejął. Kiereński przechodził do historii jako jeszcze jeden nieudacznik, który nie potrafił rządzić Rosją. Pojechał do Pałacu Zimowego, siedziby rządu udającego, że sprawuje władzę.

Lenin ukrywał się w mieszkaniu towarzyszkii Margarity Fofanowej. Komitet Centralny zakazał mu poruszania się po mieście, obawiając się, że zostanie aresztowany. Grigorij był jednym z nielicznych ludzi znających miejsce jego pobytu. O dwudziestej Margarita przyszła do Instytutu Smolnego z listem Lenina, w którym ten nakazywał bolszewikom niezwłocznie rozpocząć zbrojne powstanie. – A co my jego zdaniem robimy? – spytał rozdrażniony Trocki.

Jednak Grigorij uważał, że Lenin ma rację. Mimo wszystko bolszewicy nie przejęli całej władzy. Po inauguracji Zjazdu Rad wszystko znajdzie się w rękach zgromadzenia i nawet jeśli bolszewicy uzyskają większość, powstanie następny rząd koalicyjny zbudowany na kompromisie.

Rozpoczęcie zjazdu zostało wyznaczone na następny dzień na czternastą. Tylko Lenin rozumie powagę sytuacji, myślał zdesperowany Peszków. Powinien być tutaj, w samym centrum wydarzeń.

Postanowił go sprowadzić.

Noc była lodowato zimna, dał północny wiatr przenikający przez skórzany płaszcz, który Grigorij nosił na mundurze sierżanta. Centrum miasta wyglądało uderzająco zwyczajnie: eleganccy inteligenści wychodzili z teatrów i zmierzali do rzęsiście oświetlonych restauracji, żebracy wyciągali ręce po drobniaki, na każdym rogu uśmiechały się prostytutki. Grigorij skinął głową towarzyszowi sprzedającemu ulotkę autorstwa Lenina zatytułowaną: Czy bolszewicy zdołają utrzymać władzę? Nie kupił jej, gdyż znał już odpowiedź na tytułowe pytanie.

Mieszkanie Margarity znajdowało się w północnej części dzielnicy Wyborg. Grigorij nie mógł tam pojechać samochodem, gdyż w ten sposób ściągnąłby uwagę na kryjówkę Lenina. Poszedł pieszo na Dworzec Fiński i wsiadł do tramwaju. Jechał długo i niemal przez całą drogę zastanawiał się, czy Lenin odmówi. Na szczęście jednak Lenina nie trzeba było długo przekonywać. – Mam wątpliwości, czy towarzysze z Komitetu Centralnego zrobią ostateczny decydujący krok – powiedział Grigorij. Ten argument wystarczył Leninowi.

Na stole w kuchni zostawił kartkę, aby Margarita nie pomyślała, że go aresztowano. Wiadomość brzmiała: Udałem się do miejsca, w którym waszym zdaniem nie powinienem się znaleźć. Do zobaczenia, Iljicz. Członkowie partii zwracali się do niego, używając drugiego imienia, po ojcu.

Grigorij sprawdził pistolet, a Lenin założył perukę, robotniczą czapkę oraz wytarte palto. Tak przygotowani, opuścili kryjówkę. Peszków miał oczy szeroko otwarte. Bał się, że wpadną na patrol policyjny lub wojskowy i Lenin zostanie rozpoznany. Postanowił, że w razie gdyby przywódcy groziło aresztowanie, będzie strzelał.

Byli jedynymi pasażerami tramwaju. Lenin zagadnął konduktorkę, co sądzi o ostatnich wydarzeniach politycznych.

W drodze z Dworca Fińskiego usłyszeli miarowe stukanie butów i schowali się. Ulicą przechodziła hałaśliwa zgraja lojalnych

wobec władzy kadetów.

O północy sierżant z poczuciem triumfu doprowadził Lenina do Instytutu Smolnego.

Lenin niezwłocznie udał się do sali numer trzydzieści sześć i zwołał zebranie Komitetu Centralnego Partii Bolszewickiej. Trocki oznajmił, że Gwardia Czerwona opanowała wiele newralgicznych punktów miasta. Zdaniem Lenina było to jednak za mało. Twierdził, że zajęcie przez rewolucjonistów Pałacu Zimowego i aresztowanie ministrów Rządu Tymczasowego miałyby wymowę symboliczną. Przekonałoby naród, że władza w sposób ostateczny i nieodwołalny przeszła w ręce rewolucjonistów. Grigorij zrozumiał, że Lenin ma rację.

Wszyscy o tym wiedzieli.

Trocki zaczął obmyślać plan zdobycia Pałacu Zimowego.

Tej nocy Grigorij nie spędził z Kateriną.

V.

Nie wolno popełnić błędu.

Peszków wiedział, że ostatni akt rewolucji musi być decydujący. Dopilnował, aby rozkazy były jasne i aby w porę docierały do adresatów.

Plan nie wydawał się skomplikowany, lecz Grigorij obawiał się, że Trocki zbyt optymistycznie ustalił harmonogram. Główną siłę uderzeniową rewolucjonistów będą stanowili marynarze. Większość miała dotrzeć koleją i drogą morską z Helsingfors, stolicy regionu fińskiego. Wyruszyli o trzeciej w nocy. Reszta przybędzie z Kronsztadu, morskiej bazy znajdującej się na wyspie dwadzieścia mil od wybrzeża.

Szturm miał się rozpocząć w południe.

Zacznie się tak samo jak bitwa, od ostrzału artyleryjskiego. Armaty z położonej na drugim brzegu Nowy Twierdzy Pietropawłowskiej zburzą mury pałacu, a wówczas marynarze i żołnierze zdobędą gmach. Trocki oznajmił, że nastąpi to o czternastej, w porze rozpoczęcia Zjazdu Rad.

Lenin chciał wystąpić na samym początku i obwieścić, że bolszewicy już zdobyli władzę. Tylko w ten sposób będzie można zapobiec powstaniu chwiejnego i nieskutecznego kompromisowego rządu. Tylko taki przebieg wydarzeń da pewność, że Lenin obejmie władzę.

Grigorij obawiał się, że akcja nie przebiegnie tak błyskawicznie, jak życzy sobie Trocki.

Ochrona Pałacu Zimowego spisywała się źle, toteż o świcie sierżant zdołał wysłać Izaaka na rekonesans. Izaak doniósł, że w gmachu stacjonuje około trzech tysięcy żołnierzy lojalistów. Jeśli będą dobrze zorganizowani i stawią zaciekle opór, dojdzie do prawdziwej bitwy.

Izaak dowiedział się również, że Kiereński opuścił miasto.

Czerwonogwardziści kontrolowali dworce kolejowe, dlatego premier nie mógł wyjechać pociągiem. Wymknął się zarekwirowanym samochodem.

— Cóż to za premier, który nie może wsiąść do pociągu w stolicy swojego kraju? — utyskiwał Izaak.

— Najważniejsze, że już go nie ma. — Grigorij nie krył satysfakcji. — I nie sądzę, by kiedykolwiek miał wrócić. Jego nastrój pogorszył się jednak, gdy nadeszło południe, a marynarze nie pojawili się w Piotrogradzie.

Przeszedł mostem na drugą stronę rzeki i sprawdził, czy działa czekająca w gotowości. Z przerażeniem odkrył, że są to eksponaty muzealne zdadne tylko do oglądania, a nie do prowadzenia ognia. Rozkazał Izaakowi postarać się o sprawną artylerię.

Czym prędzej udał się do Instytutu Smolnego i oznajmił Trockiemu, że realizacja planu się opóźnia.

– Ktoś was szukał, towarzyszu – rzekł wartownik przy drzwiach. – Była mowa o akuszerce.

– W tej chwili nie mogę się tym zająć – odparł Grigorij. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Sierżant dowiedział się, że członkowie Gwardii Czerwonej zajęli Pałac Maliński i rozpędzili parlament bez rozlewu krwi. Uwolniono bolszewików siedzących w więzieniach. Trocki rozkazał wszystkim żołnierzom stacjonującym poza obrębem Piotrogradu, by pozostali na posterunkach. Ci zaś słuchali jego, a nie oficerów. Lenin pisał manifest zaczynający się od słów: Obywatele Rosji! Rząd Tymczasowy został obalony!

– Atak jeszcze się nie zaczął – powiedział przygnębiony Grigorij do Trockiego. – Nie uda się dokonać tego przed piętnastą.

– Nie obawiajcie się – odrzekł Trocki. – Możemy opóźnić początek zjazdu.

Grigorij wrócił na plac przed Pałacem Zimowym. O czternastej wpłynął na Nową stawiacz min „Amur” z tysiącem marynarzy z Kronsztadu na pokładzie. Robotnicy zgromadzili się na nabrzeżu, by wiwatować na ich cześć.

Peszków pomyślał, że gdyby Kiereński kazał umieścić w wąskim kanale trochę min, nie wpuściłby marynarzy do miasta i pokonał rewolucję. Jednak min nie było i marynarze w grozkowych mundurach zaczęli zeskakiwać z pokładu z karabinami w rękach. Grigorij zamierzał skierować ich na stanowiska wokół Pałacu Zimowego.

Jednak plan wciąż napotykał przeszkody. Izaak znalazł działo i wielkim nakładem sił zdołał ustawić je na właściwym miejscu, lecz okazało się, że nie ma do niego pocisków. Tymczasem żołnierze strzegący pałacu zabrali się do wznoszenia barykad. Zdesperowany Grigorij pojechał do Instytutu Smolnego. Niebawem miało się rozpocząć nadzwyczajne posiedzenie Piotrogradzkiej Rady Delegatów. Przestronne sale szkoły dla dziewcząt, pomalowane na dziewczęco biały kolor, wypełniły się setkami delegatów. Peszków wszedł na podest i zajął miejsce obok Trockiego, który miał otworzyć posiedzenie.

– Atak opóźnia się z uwagi na szereg przeszkód.

Trocki spokojnie przyjął złe wieści. Lenin wpadłby w szal.

– Kiedy możecie zająć pałac?

– Realna godzina to osiemnasta.

Trocki spokojnie skinął głową i wstał, by przemówić do delegatów.

– W imieniu Wojskowego Komitetu Rewolucyjnego ogłaszam, że Rząd Tymczasowy przestał istnieć!

Zerwała się burza braw i oklasków. Obym zdołał przemienić to kłamstwo w prawdę, pomyślał Grigorij.

Gdy owacja ucichła, Trocki wymienił osiągnięcia Gwardii Czerwonej: zdobycie w nocy dworców kolejowych i innych kluczowych budynków oraz rozpędzenie parlamentu. O tym ostatnim Grigorij nie wiedział. Oznajmił również, że kilku członków rządu zostało aresztowanych.

– Pałac Zimowy jeszcze nie został zdobyty, lecz jego los wkrótce się rozstrzygnie! – Delegaci odpowiedzieli entuzjastycznymi okrzykami.

– Uprzedzacie decyzje Zjazdu Rad! – krzyknął jakiś oponent.

Za tymi słowami krył się miękki argument o demokratycznym charakterze. Grigorij także by go wysunął w dawnych czasach, zanim stał się realistą.

Trocki zareplikował w jednej chwili. Niewykluczone, że był przygotowany na krytyczne głosy.

– Wolę zjazdu uprzedzili robotnicy i żołnierze, rozpoczynając powstanie.

Nagle po sali przebiegł szmer i delegaci zaczęli wstawać.

Grigorij spojrział z zaciekawieniem w stronę drzwi. Przybył Lenin. Towarzyszyły mu oklaski. Entuzjazm jeszcze się wzmógł, gdy

Lenin wszedł na podest. Stanęli z Trockim ramię w ramię, uśmiechając się i kiwając głowami. Dziękowali za owację na stojąco zgotowaną im przez delegatów w nagrodę za zamach, który jeszcze nie doszedł do skutku.

Między triumfem ogłoszonym w zamkniętych murach oraz skomplikowaną i pogmatwaną sytuacją poza nimi ziała przepaść. Grigorij wymknął się niepostrzeżenie z sali.

Marynarze z Helsingfors wciąż nie przybyli, a działo w twierdzy nie było gotowe do salwy. Ściemniło się i zaczęło mżyć. Peszków stanął na skraju placu. Przed nim znajdował się Pałac Zimowy, a za nim sztab generalny armii. Nagle zauważył gromadę kadetów opuszczających pałac. Znaczkami na mundurach wskazywały, że pochodzą ze Szkoły Artylerii Michajłowskiego. Nieśli cztery ciężkie karabiny maszynowe. Pozwolił im przejść.

O dziewiętnastej rozkazał oddziałowi żołnierzy i marynarzy wkroczyć do siedziby sztabu i przejąć nad nią kontrolę. Oddział nie napotkał oporu.

Była dwudziesta, gdy dwustu Kozaków strzegących pałacu postanowiło wrócić do koszar. Grigorij przepuścił ich przez kordon. Przyszło mu do głowy, że denerwujące opóźnienie szturmów okaże się okolicznością sprzyjającą, gdyż siły obrońców topniały z każdą chwilą.

Tuż przed dwudziestą drugą Izaak zameldował, że działo w Twierdzy Pietropawłowskiej jest gotowe. Grigorij kazał odpalić jeden pusty ładunek. Tak jak się spodziewał, kolejny oddział żołnierzy uciekł z pałacu.

Czyżby to było aż tak łatwe?

Na stawiaczu min „Amur” włączono syrenę. Grigorij rozejrzał się i zobaczył nadpływające jednostki. Jego serce zamarło. Czyżby Kiereński w ostatniej chwili zdołał zmobilizować siły prorządowe i ściągnąć je do obrony pałacu? Jednak okrzyk radości na pokładzie „Amura” oznaczał, że statkami przybywają marynarze z Helsingfors. Jednostki bezpiecznie zakotwiczyły, a Grigorij wreszcie mógł wydać komendę otwarcia ognia do pałacu.

Rozpoczęła się kanonada. Niektóre pociski eksplodowały w powietrzu, oświetlając statki na rzece i oblężony pałac. Jeden trafił w narożne okno na trzecim piętrze. Grigorij zastanawiał się, czy ktoś tam jest. Ze zdumieniem zobaczył, że doskonale widoczne w blasku wybuchów tramwaje bez zakłóceń przetaczają się po mostach Troickim i Pałacowym.

Walka o zdobycie pałacu ani trochę nie przypominała starcia na froncie. Tam grzmiały setki, a nawet tysiące dział, tutaj zaledwie cztery. Salwy oddzielone były długimi przerwami, mnóstwo pocisków marnowało się, wpadając do rzeki i nie wyrządzając nikomu krzywdy.

Wreszcie Grigorij nakazał przerwać ostrzał i wysłał niewielkie oddziały na zwiad. Żołnierze wrócili i oznajmili, że w pałacu została garstka obrońców, którzy nie stawiają oporu.

Tuż przed północą pchnął do pałacu większy oddział. Żołnierze mieli przeczesać ogromne korytarze, unieszkodliwić strażę i odszukać ministrów. Wnętrze gmachu przypominało zaniedbane koszary: na parkietach ozdobionych złotem komnat walały się materace, niedopałki papierosów, okruchy chleba oraz puste butelki z francuskimi nalepkami, które żołnierze prawdopodobnie znaleźli w przebogatych carskich piwnicach.

Padło kilka pojedynczych strzałów, lecz do prawdziwej walki nie doszło. Na parterze Grigorij nie znalazł ani jednego ministra. Przyszło mu do głowy, że mogli się wymknąć, i ta myśl go przeraziła. Nie chciał meldować Trockiemu i Leninowi, że członkowie rządu Kiereńskiego wysliznęli mu się z rąk.

Wraz z Izaakiem i dwoma innymi żołnierzami wbiegł szerokimi schodami na piętro. Otworzywszy na oścież podwójne drzwi, wpadli do sali posiedzeń. Znaleźli tam grupkę oniemiałych ze strachu mężczyzn w garniturach i krawatach. Tylko tyle zostało

z Rządu Tymczasowego.

Jeden z nich zdobył się na odwagę i rzekł władczo:

– To jest siedziba Rządu Tymczasowego. Czego chcecie?

Grigorij rozpoznał Aleksandra Konowałowa, bogatego przemysłowca z branży tekstylnej pełniącego funkcję zastępcy premiera.

– Wszyscy jesteście aresztowani – oznajmił Grigorij, napa-
wając się tą wspaniałą chwilą.

– Zanotuj ich nazwiska – powiedział do Izaaka. – Kono-
wałów, Maliantowicz, Nikitin, Tereszczenko... – Gdy lista była
kompletna, rozkazał: – Odprowadźcie ich do Twierdzy Piet-
ropawłowskiej i zamknijcie w celach. Ja pójdę do Instytutu
Smolnego i przekażę wiadomość Trockiemu i Leninowi.

Wyszedł z gmachu i przystanął na chwilę na placu, wspominając
matkę. Zginęła przed dwunastoma laty dokładnie w tym miejscu,
zastrzelona przez carskie straże. Odwrócił się i spojrzał na olbrzymi
pałac z rzędami białych kolumn i setkami okien, w których odbijał
się blask księżyca. Nagle poczuł wściekłość.

– Macie za swoje, szatany – warknął. – Teraz odpowiecie
za to, żeście ją zamordowali.

Po chwili ochłonał. Nawet nie wiem, do kogo mówię, pomyślał.
Jednym skokiem wsiadł do samochodu opancerzonego w ziemistym
kolorze, czekającego obok zdemontowanej barykady.

– Do Smolnego – rzucił do kierowcy.

W czasie krótkiej jazdy ogarnęło go uniesienie. Wreszcie
wygraliśmy. Jesteśmy zwycięzcami. Naród stracił z piedestału
swoich ciemniejszych.

Pokonał pędem schody i wbiegł do Instytutu Smolnego wypeł-
nionego ludźmi. Odgadł, że rozpoczął się Zjazd Rad. Trocki nie
zdołał przesunąć jego rozpoczęcia. Źle się stało. Mienszewicy oraz
inni bezzębni rewolucjoniści będą się domagali miejsc w nowym
rządzie, mimo że nie zrobili nic, by obalić stary.

Wokół żyrandoli snuły się kłęby dymu z papierosów. Na
podeście zasiedli członkowie prezydium. Grigorij znał większość
z nich. Zauważył, że bolszewicy zajmują czternaście z dwudziestu
pięciu miejsc. Oznacza to, że partia ma największą liczbę delega-
tów. Przestraszył się jednak, widząc, że przewodniczącym zgromadzenia
został Kamieniew, umiarkowany bolszewik, który głoso-
wał przeciwko zbrojnemu powstaniu. Lenin ostrzegał, że zjazd
doprowadzi do zawarcia kolejnego zgniłego kompromisu.
Lenin siedział w pierwszym rzędzie. Grigorij podszedł do
delegata zajmującego sąsiednie krzesło.

– Muszę pomówić z Iljiczem, odstąpcie mi swoje miejsce. –
Tamten spojrział nań z niechęcią, lecz po chwili wstał.

– Pałac Zimowy jest w naszych rękach – powiedział Grigorij
Leninowi na ucho i podał nazwiska aresztowanych ministrów.

– Za późno – odparł posępnie Lenin.

Właśnie tego Peszków się obawiał.

– Jaka jest sytuacja?

Ponury wyraz twarzy Lenina był bardzo wymowny.

– Martow złożył wniosek. – Juliusz Martow był starym
wrogiem Lenina. Zawsze chciał, by Socjaldemokratyczna Partia
Robotnicza Rosji była podobna do brytyjskiej Partii Pracy wal-
czącej o prawa robotników metodami demokratycznymi. Jego
spór z Leninem w tej kwestii doprowadził w 1903 roku do rozpadu
SPRR na dwie frakcje: bolszewików Lenina i mienszewików
Martowa. – Nawołuje do zakończenia walk ulicznych i wyłonienia
demokratycznego rządu w drodze negocjacji.

– Jakich negocjacji? – spytał z niedowierzaniem Grigorij. –
Przecież zdobyliśmy władzę!

– Poparliśmy wniosek – mruknął beznamiętnie Lenin.

– Dlaczego?

– Sprzeciwiając się, przegralibyśmy. Mamy trzystu delegatów
na sześciuset siedemdziesięciu i jesteśmy zdecydowanie największą
partią, ale nie stanowimy większości.

Grigorijowi chciało się płakać. Zamachu dokonano za późno. W wyniku układów i kompromisów powstanie koalicja. Rząd znów nie będzie wiedział, dlaczego Rosjanie głodują i giną na froncie.

– Ale oni i tak nas atakują – dodał Lenin.

Peszków nie znał delegata, który właśnie przemawiał.

– Zjazd został zwołany po to, by wyłonić nową Radę Ministrów. A czego się dowiadujemy? – pytał gniewnie mówca. –

W nieodpowiedzialny sposób przejęto władzę, nie czekając na decyzję zjazdu! Mamy obowiązek ocalić rewolucję przed tym szaleństwem.

Bolszewicy zaprotestowali głošnymi okrzykami. Grigorij usłyszał słowa Lenina:

– Świnia! Łotr! Zdrajca!

Kamieniew przywołał delegatów do porządku.

Następny mówca był równie wrogo nastawiony do bolszewików, a po nim odezwały się kolejne głosy utrzymane w podobnym tonie. Mienszewik Lew Chińczuk wzywał do negocjacji z Rządem Tymczasowym. Wybuch oburzenia delegatów był tak gwałtowny, że przez kilka minut nie mógł dojść do głosu.

– Opuszczamy zjazd! – starał się przekrzyknąć zgiełk, po czym wyszedł z sali.

Peszków odgadł ich taktykę: mienszewicy będą twierdzili, że po ich wyjściu uchwały zjazdu nie mają mocy.

– Dezerterzy! – krzyknął ktoś. Większość obecnych podchwyciła ten okrzyk.

Grigorij był załamany. Rewolucjoniści tak długo czekali na ten zjazd. Delegaci mieli wyrazić wolę rosyjskiego narodu, a tymczasem wszystko się wali.

Spojrzał na Lenina i ze zdziwieniem ujrzał w jego oczach radosny błysk.

– Wspaniale, jesteśmy uratowani! Nigdy bym nie pomyślał, że popełnią tak fatalny błąd.

Grigorij niczego nie rozumiał. Czyżby Lenin stracił poczucie rzeczywistości?

Następnym mówcą był Michaił Gendelman, czołowy przedstawiciel Partii Socjalistów-Rewolucjonistów.

– Bolszewicy przejęli władzę i ponoszą całkowitą odpowiedzialność za ten szalony i zbrodniczy czyn. Wobec tego faktu socjaliści-rewolucjoniści nie mogą podjąć z nimi współpracy i opuszczają zjazd! – Gendelman wyszedł, a wraz z nim cała frakcja. Odprowadzały ich szydercze okrzyki i gwizdy pozostałych delegatów.

Peszków nie mógł na to patrzeć. Dlaczego wielki triumf tak szybko zamienił się w awanturę?

Tymczasem na twarzy Lenina malowało się jeszcze większe zadowolenie.

Kilku wojskowych delegatów opowiedziało się za bolszewickim przewrotem i Grigorij nieco się rozchmurzył, lecz wciąż nie rozumiał radości Lenina. Władimir Iljicz skrobał coś w notatniku. Przemawiały kolejne osoby, a on poprawiał i przepisywał swoje słowa. Skończywszy, wręczył Grigorijowi dwie kartki.

– Trzeba to przedstawić delegatom i niezwłocznie przyjąć.

Lenin napisał długie oświadczenie pełne rewolucyjnej retoryki, lecz Peszków skupił się na kluczowym zdaniu: Niniejszym zjazdem postanawia wziąć władzę w swoje ręce.

Właśnie tego pragnął Grigorij.

– Trocki ma to odczytać?

– Nie Trocki – odparł Lenin, spoglądając na mężczyznę i jedną kobietę, którzy siedzieli na podeście. – Łunaczarski. Lenin doszedł do wniosku, że Trocki zebrał już wystarczająco duży poklask.

Peszków przekazał proklamację Łunaczarskiemu, ten zaś zwrócił się do przewodniczącego. Kilka minut później Kamieniew udzielił głosu Łunaczarskiemu, który wstał i odczytał słowa Lenina.

Każde zdanie delegaci witali głośnym okrzykiem. Przewodniczący zarządził głosowanie. Grigorij pojał wreszcie, skąd bierze się radość Lenina. Po wyjściu z sali obrad mienszewików i socjalistów-rewolucjonistów bolszewicy zdobyli miążdżącą przewagę. Mieli wolną rękę, kompromis nie był już potrzebny. Odbył się głosowanie. Tylko dwóch delegatów opowiedziało się przeciwko wnioskowi Lenina. Bolszewicy mieli już władzę, a teraz zdołali ją zalegalizować. Przewodniczący zamknął obrady. Był czwartek ósmego listopada, piąta rano. Rewolucja rosyjska zatriumfowała. Bolszewicy trzymali w rękę wszystkie atuty. Grigorij wychodził z gmachu za Stalinem, gruzińskim rewolucjonistą, oraz jeszcze jednym delegatem. Towarzysz Stalin miał na sobie skórzany płaszcz i pas z nabojami, podobnie jak wielu bolszewików, lecz w głowie Peszkowa obudziło się niedobre wspomnienie. Mężczyzna odwrócił głowę, by powiedzieć coś do Stalina. Grigorij rozpoznał tę twarz i przeszedł go dreszcz. Obok Stalina kroczył Michaił Piński. On także przyłączył się do rewolucji.

VI.

Grigorij był wykończony. Uzmysłował sobie, że nie spał dwie noce. Było tak dużo do zrobienia, że prawie nie zauważał mijających dni. Opancerzony samochód był piekielnie niewygodny, lecz mimo to Peszków usnął w czasie jazdy. Gdy Izaak go obudził, zobaczył, że jest przed domem. Ciekawe, czy Katerina słyszała, co się wydarzyło. Miał nadzieję, że nie wie wszystkiego, gdyż wtedy będzie miał przyjemność opowiedzenia jej o zwycięstwie rewolucji. Wszedł do kamienicy i potknął się na schodach. Spod drzwi sączyło się światło.

– To ja – powiedział, znalazłszy się w pokoju.

Katerina siedziała na łóżku z maleńkim niemowlęciem w ramionach.

Grigorija zalała fala radości.

– Dziecko! Jakie śliczne.

– To dziewczynka.

– Dziewczynka!

– Przrzekłeś, że będziesz przy mnie czuwał – powiedziała Katerina z wyrzutem.

– Nic nie wiedziałem. – Grigorij spojrział na dziecko. – Ma ciemne włosy, podobne do moich. Jak ją nazwiemy?

– Wysłałam ci wiadomość.

Przypomniał sobie słowa wartownika w Instytucie Smolnym.

„Była mowa o akuszerce”, powiedział żołnierz.

– O mój Boże. Nie miałem ani chwili...

– Magda przyjmowała inny poród. Musiałam sprowadzić

Ksienię.

– Bardzo się męczyłaś? – spytał zatroskany.

– Pewnie, że się męczyłam.

– Strasznie mi przykro. Ale słuchaj! Wybuchła rewolucja, tym razem prawdziwa! Zdobyliśmy władzę. Bolszewicy tworzą rząd. – Pochylił się, by ucałować ukochaną.

– Tak myślałam – szepnęła, odwracając twarz.

ROZDZIAŁ 29

Marzec 1918 roku

i.

Walter stał na dachu małego średniowiecznego kościółka w wiosce Villefranche-sur-Oise nieopodal St Quentin. Przez jakiś czas służyła ona jako miejsce wypoczynku żołnierzy przebywających na tyłach armii. Mieszkający w niej Francuzi, starając się jak najlepiej wykorzystywać sytuację, sprzedawali zdobywcom omloty i wino, gdy zdołali je zdobyć. Malheur la guerre – mówili. – Pour nous, pour vous, pour tout le monde. „Straszna wojna dla nas, dla was, dla wszystkich”. Niewielkie postępy czynione przez aliantów wypędziły francuskich mieszkańców wioski. Połowa domów się zawaliła, wioska znalazła się bliżej linii frontu. Obecnie była tam strefa koncentracji wojsk.

Wąską drogą biegnącą przez wieś maszerowali czwórkami niemieccy żołnierze. Szli godzinami, były ich tysiące – zmęczeni, lecz radośni, chociaż wiedzieli, że idą na front. Przeniesiono ich tutaj z frontu wschodniego. Marzec we Francji jest znacznie przyjemniejszy niż luty w Polsce, niezależnie od tego, co cię czeka, myślał Walter.

Jego serce cieszył widok maszerujących wojsk. Ci żołnierze znaleźli się we Francji dzięki rozejmowi zawartemu przez Niemcy i Rosję. Przed paroma dniami negocjatorzy podpisali porozumienie pokojowe w Brześciu Litewskim. Rosja na dobre wycofała się z wojny. Walter przyczynił się do tego, wspierając Lenina i bolszewików. Teraz na własne oczy oglądał wspaniałe owoce swoich poczynań.

Armia niemiecka we Francji liczyła obecnie sto dziewięćdziesiąt dwie dywizje. W ubiegłym roku było ich sto dwadzieścia dziewięć. Większość przybyłych dotarła z frontu wschodniego. Po raz pierwszy Niemcy mieli więcej żołnierzy niż alianci, których stan posiadania wynosił, według niemieckiego wywiadu, sto siedemdziesiąt trzy dywizje. W ciągu ostatnich trzech i pół roku narodowi niemieckiemu wielokrotnie powtarzano, że jego armia jest o krok od zwycięstwa. Walter wierzył, że tym razem jest to prawda. Nie podzielał przekonania ojca, który twierdził, że Niemcy należą do wyższej rasy ludzi, lecz jednocześnie był zdania, iż niemieckie panowanie w Europie nie będzie niczym złym. Francuzi są obdarzeni licznymi talentami – mają doskonałą kuchnię, malarstwo, modę oraz wino – lecz rządzą się kiepsko. Francuscy urzędnicy uważają się za rodzaj arystokracji i są przekonani, że wolno im kazać obywatelom czekać godzinami w kolejkach. Odrobina niemieckiego porządku dobrze im robi. To samo odnosi się do bałaganiarskich Włochów. Najwięcej skorzysta Europa Wschodnia. Stare cesarstwo rosyjskie wciąż tkwi w średniowieczu: odziani w łachmany wieśniacy przymierają głodem w nędznych chatynkach, kobiety karze się za niewierność chłostą. Niemcy przyniosą im porządek, sprawiedliwość i nowoczesne metody uprawy roli. Już zdążyli otworzyć pierwsze planowe połączenia lotnicze. Samoloty kursują z Wiednia do Kijowa i z powrotem, jak pociągi. Po niemieckim zwycięstwie w całej Europie powstanie sieć lotnicza. Walter i Maud będą mogli wychowywać swoje dzieci w pokojowym i dobrze zorganizowanym świecie.

Jednak sprzyjająca sytuacja na froncie nie potrwa długo, bo Amerykanie zaczynają napływać w dużej sile. Rozbudowa armii zajęła im rok, lecz teraz we Francji stacjonuje trzysta tysięcy amerykańskich żołnierzy i codziennie lądują kolejni. Niemcy muszą zwyciężyć teraz, podbić Francję i zepchnąć aliantów do morza, zanim amerykańskie posiłki zmienią układ sił.

Zbliżające się natarcie otrzymało kryptonim Kaiserschicht, czyli „Cesarska Bitwa”. Bez względu na jej zakończenie, będzie to ostatnia niemiecka ofensywa.

Walter znów dostał przydział na front. Niemcy potrzebowali wszystkich ludzi zdolnych do walki, zwłaszcza że poległo tak wielu oficerów. Walter objął dowodzenie Sturmbataillon – batalionu uderzeniowego – i przeszedł wraz z podwładnymi szkolenie w zakresie nowoczesnej taktyki. Niektórzy żołnierze byli twardymi

weteranami, ale oprócz nich w oddziale znaleźli się młodzi chłopcy oraz starcy powołani w akcie desperacji. Walter polubił ich w czasie ćwiczeń, musiał jednak uważać, by nie przywiązać się zanedo do ludzi, których być może będzie musiał wysyłać na śmierć.

W tym samym kursie uczestniczył Gottfried von Kessel, dawny rywal Waltera z ambasady niemieckiej w Londynie. Pomimo słabego wzroku został kapitanem w batalionie Waltera. Wojna nie zdołała utemperować jego zarozumiałstwa.

Walter obserwował teren przez lornetkę. Jasny i chłodny dzień zapewniał doskonałą widoczność. Na południu rzeka Oise wiła się leniwie przez mokradła. Na północy rozciągały się żyzne pola uprawne i tereny usiane domkami, mostami, sadami i niewielkimi kępami lasu. Milę dalej na zachód znajdowała się sieć niemieckich okopów, a za nimi pole bitwy. Wiejski krajobraz został zdewastowany podczas działań wojennych. Zryte bombami pola pszenicy wyglądały jak powierzchnia księżyca. Wioski przypominały stosy kamieni, sady były spalone, a mosty wysadzone w powietrze.

Zmieniwszy ogniskową lornetki, Walter dojrzał gnijące trupy ludzi i koni oraz wypalone stalowe skorupyczołgów.

Po drugiej stronie tego pogorzelniska kryli się Brytyjczycy. Usłyszawszy głośny łoskot, spojrział na wschód. Zbliżał się pojazd, którego nigdy nie widział, lecz który słyszał w akcji. Było to działo samojezdne z gigantyczną lufą i mechanizmem strzelniczym zamontowanym na podwoziu, wyposażone w stukonny silnik. Tuż za nim posuwała się masywna ciężarówka, przypuszczalnie wioząca odpowiednio potężną amunicję. Za pierwszym działem podążało drugie i trzecie. Członkowie załóg siedzący na pojazdach machali czapkami, jakby uczestniczyli w defiladzie zwycięstwa.

Ten widok podniósł Waltera na duchu. Działa tego typu można błyskawicznie transportować po rozpoczęciu ofensywy. Dadaż o wiele lepsze wsparcie nacierającej piechocie.

Do Waltera dotarły wieści, że jeszcze większa armata ostrzeliwuje Paryż z odległości sześćdziesięciu mil. Wydawało się to prawie niemożliwe.

Za artylerią pojawił się mercedes phaeton 37 95, który wyglądał znajomo. Zjechał z drogi i zaparkował na placu przed kościołem. Wysiadł z niego ojciec Waltera.

Co go tutaj sprowadziło?

Walter wszedł przez niskie drzwi do wieży i zbiegł po spiralnych schodkach. Nawa opuszczonego kościoła pełniła funkcję sypialni. Lawirował między zwiniętymi posłaniami oraz skrzynkami służącymi żołnierzom jako stoły i krzesła.

Na cmentarzu ustawiono drewniane platformy, które pozwoliły artylerii i ciężarówkom zaopatrzenia pokonywać zdobyte przez oddziały szturmowe brytyjskie okopy. Pomosty ukryto między grobami, tak aby nie były zbyt dobrze widoczne z powietrza.

Rzeka ludzi i pojazdów płynąca przez wioskę ze wschodu na zachód się zwęziła. Coś ma się wydarzyć.

Otto miał na sobie mundur, toteż zasalutował przepisowo.

Walter widział, że ojciec jest bardzo podekscytowany.

– Nadjeżdża specjalny gość!

– Któż to taki?

– Sam zobaczysz.

Walter domyślił się, że jest nim generał Ludendorff, który był w istocie najwyższym dowódcą armii.

– Co ten gość zamierza tu robić?

– Przemówić do żołnierzy, naturalnie. Zbierz ich przed kościołem.

– Kiedy?

– Gość jest już niedaleko.

– Dobrze. – Walter rozejrzał się po placu. – Sierżancie Schwab, pozwólcie! Wy i kapral Grunwald, chodźcie tutaj. –

Pchnął posłańców do kościoła, do kantyny mieszczącej się w stodo-
dole oraz namiotów na wzniesieniu od północnej strony. – Za
kwadrans wszyscy mają się stawić w pełnym umundurowaniu
przed kościołem. Ruszajcie! – Gońcy się rozbiegli.

Walter obszedł wioskę, informując o wydarzeniu oficerów,
kierując żołnierzy na plac i zerkając na drogę. Swojego dowódcę,
generała majora Schwarzkopfa, zastał w cuchnącym serem budy-
neczku na skraju wsi. Oficer jadł późne śniadanie złożone z chleba
z sardynkami w puszcze.

W ciągu kwadransa na placu zebrały się dwa tysiące żołnierzy.
Dziesięć minut później wyglądali tak, jak przystało na wojskowych:
mieli zapięte mundury i czapki na głowach. Walter ściągnął
ciężarówkę z otwartą przyczepą, kazał ją ustawić przed szeregiem
i zrobić schodki ze skrzynek na amunicję.

Otto wyjął z mercedesa czerwony dywanik i rozłożył go na
schodach.

Walter zawołał Grunwalda, rosłego kaprala z dużymi dłońmi
i stopami. Kazał mu wejść na dach kościoła z lornetką i gwizdkiem.
Wszyscy czekali.

Minęło pół godziny, godzina... Żołnierze zaczęli się wiercić
i rozmawiać, szereg się postrzępił.

Po upływie następnej godziny Grunwald zagwizdał.

– Uwaga, nadjeżdża! – szepnął Otto.

Dowódcy zaczęli wykrzykiwać rozkazy, żołnierze stanęli na
baczność. Na plac wjechała kawalkada motorów.

Drzwiczki samochodu opancerzonego otworzyły się i wysiadł
z niego mężczyzna w generalskim mundurze. Nie był to jednak
łysiejący Ludendorff o spiczastej głowie. Specjalny gość poruszał
się niezgrabnie, trzymając lewą rękę w kieszeni płaszcza, jakby
był ranny.

Po chwili Walter stwierdził, że to sam Kaiser.

Generał major Schwarzkopf podszedł do cesarza i zasalutował.

Żołnierze zorientowali się, kto do nich przybył. Przez szeregi
przebiegł szmer, a następnie rozległy się wiwaty. Generał major
zrobił groźną minę, widząc takie rozluźnienie dyscypliny. Kaiser
uśmiechnął się pobłażliwie i na twarzy Schwarzkopfa pojawił się
wyraz aprobaty.

Cesarz wspiał się po zaimprovizowanych schodkach na przy-
czepę ciężarówki i pokiwał głową, odpowiadając na wybuch
entuzjazmu żołnierzy. Gdy tylko okrzyki ucichły, rozpoczął
przemowę:

– Rodacy! Oto godzina naszego zwycięstwa!

Żołnierze znów zaczęli wiwatować. Tym razem Walter cieszył
się wraz z nimi.

II.

O pierwszej w nocy w czwartek dwudziestego pierwszego
marca brygada znalazła się na wysuniętej pozycji i była gotowa do
natarcia. Walter siedział w ziemiance wraz z pozostałymi oficerami
ze swojego batalionu. Rozmawiali, by złagodzić napięcie oczekiwania
na bitwę.

Gottfried von Kessel objaśniał strategię Ludendorffa:

– Uderzymy w kierunku zachodnim i wbijemy się klinem
między pozycje Brytyjczyków i Francuzów. – Mówił z pewnością
siebie ignoranta, którą okazywał także wtedy, gdy pracował z Wal-
terem w ambasadzie w Londynie. – Potem skierujemy się na
północ, atakując prawe skrzydło Brytyjczyków, i zepchniemy je
do kanału La Manche.

– Nie – odezwał się porucznik von Braun, starszy i bardziej
doświadczony. – Kiedy przedrzemy się przez ich linię, najroz-
tropniej będzie dojść aż do wybrzeża Atlantyku. Wyobraźcie sobie:
siły niemieckie tworzą linię przez cały środek Francji, oddzielając

armię francuską od sojuszników.

– Ale wówczas będziemy mieli wrogów od północy i od południa! – zauważył von Kessel.

Do dyskusji włączył się kapitan Kellerman:

– Ludendorff uderzy na południe. Musimy zdobyć Paryż.

Tylko to się liczy.

– Paryż to jedynie symbol! – prychnął pogardliwie von Kessel.

Spekulowali, gdyż nikt nie wiedział, co się wydarzy. Walter wyszedł, bo był zbyt spięty, by przysłuchiwać się czczym dyskusjom. Żołnierze siedzieli nieruchomo na dnie okopu, zachowując spokój. Ostatnie godziny przed bitwą to czas na refleksję i modlitwę. Wczoraj wieczorem w gulaszu z jęczmienia pojawiły się kawałki wołowiny, co zdarzało się rzadko. Morale żołnierzy było wysokie. Wszyscy czuli, że zbliża się koniec wojny.

Noc była jasna i gwiazdzista. Kuchnie polowe wydawały śniadanie złożone z czarnego chleba oraz cienkiej kawy o posmaku brukwi. Trochę popadało, lecz deszcz szybko przeszedł, a wiatr ustał niemal zupełnie. Dzięki temu można było odpalać pociski z trującym gazem. Używały go obie strony, lecz Walter słyszał, że tym razem Niemcy zastosują nową zabójczą mieszanekę fosgenu i gazu łzawiącego. Gaz łzawiący nie był śmiertelny, lecz przenikał przez standardową brytyjską maskę gazową. Zakładano, że wrogowie zedrą maski z głów, by potrzebę podrażnione gazem łzawiącym oczy, a wtedy zaczną wdychać fosgen i umrą.

Wielkie działa ustawiono wzdłuż skraju ziemi niczyjej. Walter jeszcze nigdy nie widział takiego nagromadzenia artylerii. Załogi układały amunicję w stosy. Tuż za nimi stał drugi szereg dział z zaprzężonymi do nich końmi. Miały one stanowić następną falę uderzeniową, która pójdzie w ślad za pierwszą.

O wpół do piątej wszystko znieruchomiało. Kuchnie polowe znikły, załogi dział rozsiadły się na ziemi i czekały. Oficerowie stali w okopach, spoglądając w ciemność ponad ziemią niczyją, za którą spał wróg. Nawet konie nie rżały. To nasza ostatnia szansa na zwycięstwo, myślał Walter. Nie był pewny, czy powinien się pomodlić.

Za dwadzieścia piąta blask białej racy przyćmił migoczące gwiazdy. Po chwili wypaliło ogromne działo stojące nieopodal Waltera. Błysnęło i rozległ się huk tak głośny, że Walter zatoczył się, jakby go popchnięto. To jednak było nic. Po kilku sekundach zadudniła cała artyleria. Grzmot był potężniejszy od huku piorunów. Rozbłyśki oświetlały twarze kanonierów ładujących do dział ciężkie pociski oraz ładunki kordytu. Powietrze wypełniły opary i dym. Walter starał się oddychać wyłącznie przez nos. Ziemia drżała pod jego stopami.

Niebawem ujrzał wybuchy i płomienie po brytyjskiej stronie. Pociski trafiły w składy amunicji i zbiorniki z paliwem. Wiedział, co to znaczy być pod ostrzałem artylerii, i żałował wrogów. Miał nadzieję, że Fitza tam nie ma.

Lufy armat rozgrzały się tak bardzo, że sparzyłyby skórę każdemu, kto popełniłby ten błąd i ich dotknął. Za sprawą temperatury odkształcały się i traciły celność, toteż załogi ochładzały je mokrymi workami, a żołnierze Waltera na ochotnika przynosili wiadra wody z pobliskich lejów po bombach. Piechota zawsze chętnie wspomagała artylerzystów przed atakiem: im więcej wrogów ginęło od salw artyleryjskich, tym mniej zostawało później tych, którzy strzelali do nacierających.

Wraz z brzaskiem nadciągnęła mgła. W pobliżu dział wyparowała od ciepła, lecz w oddali nic nie było widać. Walter się zaniepokoił. Artylerzyści będą musieli celować, kierując się mapą. Na szczęście Niemcy mieli szczegółowe plany brytyjskich pozycji, których większość zaledwie rok temu sami zajmowali. Nic jednak nie może zastąpić bezpośredniej obserwacji. To nie jest dobry początek natarcia.

Mgła mieszała się z dymem. Walter zasłonił chustką nos i usta. Brytyjczycy przynajmniej na tym odcinku nie odpowiedzieli na ostrzał ogniem. To podniosło go na duchu. Może nieprzyjacielska artyleria została zniszczona? Jediną niemiecką ofiarą, którą Walter widział, był artylerzysta obsługujący moździerz. Zginał przypuszczalnie dlatego, że pocisk wybuchł wewnątrz lufy. Noszowi wynieśli zwłoki, a sanitariusze opatrzyli rany tych, którzy byli w pobliżu i dostali odłamkami.

O dziewiątej Walter rozkazał żołnierzom z grupy szturmowej zająć pozycje bojowe. Regularna piechota czekała w okopach. Nieco dalej ustawiono działa gotowe do transportu, zespoły sanitarne, telefonistów, żołnierzy donoszących amunicję oraz gońców. Szturmowcy nosili nowoczesne hełmy z osłonami. Oni jako pierwsi zrzucili stare pikielhauby. Ich uzbrojenie stanowił karabinek Mauser K98, który ze względu na krótkość lufy był niecelny na dużą odległość, lecz w bezpośrednim starciu łatwiej było się nim posługiwać niż długim karabinem. Każdy żołnierz miał na piersi pojemnik z kilkunastoma granatami z trzonkiem. Anglicy nazywali je tłuczkami, gdyż wyglądały jak narzędzia, których kobiety używały do ubijania ziemniaków. Każda kuchnia w Wielkiej Brytanii była w taki wyposażona. Walter dowiedział się tego od przesłuchiwanym jeńców wojennych, gdyż nigdy nie był w brytyjskiej kuchni.

Nałożył maskę i dał znak swoim żołnierzom, by zrobili to samo. Dzięki temu po dotarciu na drugą stronę pola walki nie padną ofiara gazów bojowych rozszanych przez własną artylerię. Odziewiątej trzydzieści zrzucił karabinek na plecy i wziął po jednym granacie do każdej ręki. Właśnie tak przygotowani szturmowcy szli do natarcia. Nie mógł wydawać rozkazów na głos, gdyż z powodu huku artylerii nikt ich nie słyszał. Dał więc sygnał ręką i popędził przed siebie. Żołnierze ruszyli za nim.

Ziemia była sucha i twarda, gdyż od tygodni nie padał deszcz. Sprzyjało to nacierającym, którzy mogli łatwiej poruszać się pieszo oraz pojazdami.

Bieгли pochyleni. Niemiecka artyleria strzelała ponad ich głowami. Żołnierze zdawali sobie sprawę, że mogą zostać trafieni odłamkiem rozpryskującego się pocisku, zwłaszcza we mgle, gdy obserwatorzy nie byli w stanie dokładnie wskazywać działonowym celu. Jednak warto było ryzykować, gdyż w ten sposób łatwiej zbliżą się do okopów wroga. Po zakończeniu bombardowania szturmowcy spadną na Brytyjczyków, zanim ci zdążą zająć pozycje i ustawić karabiny maszynowe.

Walter miał nadzieję, że pociski artyleryjskie poszarpały zasieki z drutu kolczastego. Jeśli nie, jego ludzie stracą sporo czasu na ich przecinanie.

Po prawej stronie rozległ się huk eksplozji, a następnie krzyk. Walter zauważył błysk drutu na ziemi. Oddział wbiegł na niewykryte pole minowe. Waltera ogarnął paniczny strach. W każdej chwili może wpaść na minę, która rozerwie go na strzępy. Szybko jednak wziął się w garść.

– Patrzeć pod nogi! – ryknął, lecz jego słowa utonęły w huku armat. Żołnierze pędzili dalej. Rannych trzeba zostawić sanitariuszom.

O dziewiątej czterdzieści działa zamilkły.

Ludendorff zrezygnował z kilkudniowego przygotowania artyleryjskiego poprzedzającego natarcie, ponieważ w ten sposób wróg miał czas na ściągnięcie rezerw. Obliczono, że pięciogodzinny ostrzał wystarczy, by oszołomić wroga i osłabić jego ducha walki, jednocześnie nie pozwalając mu się przegrupować.

Tak mówi teoria, myślał Walter.

Wyprostował się i przyspieszył. Oddychał szybko, lecz równo, i prawie się nie pocił. Był czujny, ale spokojny. Do nawiązania kontaktu z wrogiem pozostały zaledwie sekundy.

Walter dotarł do brytyjskich zasieków. Druty nie zostały

zniszczone, lecz były w nich luki. Walter wskazał je swoim podkomendnym.

Dowódcy kompanii i plutonów dali żołnierzom znak, że mają się rozdzielić. Nie używali słów, gdyż wróg był już blisko i mógł usłyszeć.

Walter ucieszył się na myśl, że mgła stała się sprzymierzeńcem nacierających, osłaniając ich przed obrońcami. Teraz mogą się spodziewać huraganowego ognia karabinów maszynowych. Lecz Brytyjczycy nie widzieli celu.

Szturmujący znaleźli się w miejscu, w którym ziemia została zryta niemieckimi pociskami. W pierwszej chwili Walter widział tylko leje oraz hałdy ziemi. Nagle ujrzał kawałek okopu i uświadomił sobie, że dotarł do linii obrony Brytyjczyków. Okop był poszarpany. Artyleria zrobiła swoje.

Czy w okopie ktoś jest? Nie padł ani jeden strzał, lecz należało się upewnić. Walter zerwał zawleczkę z granatu i cisnął go do okopu. Granat eksplodował, a on zajrzał ponad krawędzią. Na ziemi leżało pokotem kilkunastu żołnierzy, żaden się nie poruszał. Ci, którzy przeżyli ostrzał artyleryjski, zginęli od wybuchu granatu. Jak dotąd szczęście ci dopisuje, ale nie licz na to, że tak będzie zawsze, pomyślał Walter.

Przebiegł wzdłuż okopu, by zobaczyć, jak sobie poczyna reszta jego batalionu. Kilku brytyjskich żołnierzy stało z rękami opartymi na przypominających miski hełmach, ich broń leżała na ziemi. Wyglądali na lepiej odżywionych od Niemców, którzy wzięli ich do niewoli.

Porucznik von Braun mierzył do Brytyjczyków z karabinka, lecz Walter nie chciał, by jego oficerowie tracili czas na jeńców. Ściągnął maskę. Brytyjczycy ich nie mieli.

– Ruszać się! – zakomenderował po angielsku. – Tędy! – Wskazał w stronę niemieckich linii. Brytyjczycy ruszyli przed siebie. Marzyli o tym, by zejść z pola walki i ocalić życie. – Puść ich! – krzyknął Walter do von Brauna. – Ci z tyłu się nimi zajmą, my musimy iść dalej. – Na tym polega istota działania szturmowców.

Walter pobiegł dalej. Na przestrzeni kilkuset jardów sytuacja się powtarzała: zryte pociskami okopy pełne były ciał wrogów, prawdziwego oporu nikt nie stawiał. Usłyszał terkot karabinu maszynowego i po chwili natrafił na pluton, który schronił się w lejach. Przypadł do ziemi obok pochodzącego z Bawarii sierżanta Schwaba.

– Nie widzimy pozycji karabinu – powiedział Schwab. – Strzelamy na słuch.

Najwyraźniej nie rozumiał, na czym polega taktyka walki. Szturmowcy powinni omijać punkty silnego oporu. Ich zdławieniem ma się zająć nadciągająca piechota.

– Naprzód! – rozkazał Walter. – Obejść gniazdo. – Gdy karabin na chwilę zamilkł, Walter wstał i dał znak ręką. – Wstawać i naprzód! – Żołnierze posłuchali. Poprowadził ich obok pola ostrzału i dalej, przez opuszczony okop.

Nagle znów natknął się na Gottfrieda. Porucznik trzymał w dłoniach puszkę biszkoptów i biegł, wpychając je sobie do ust.

– Nie do wiary! – krzyknął. – Powinien pan zobaczyć, czym raczą się angole!

Walter wytrącił mu puszkę z rąk.

– Jesteś tu po to, by walczyć, a nie obżerać się, durniu! – wrzasnął. – Naprzód!

Nagle coś przemknęło mu po nodze. Zerknąwszy w dół, zobaczył królika czmychającego do nory. Artyleria z pewnością zniszczyła nory zwierząt.

Walter spojrział na kompas, by sprawdzić, czy nadal idzie na zachód. Nie mógł wiedzieć, czy napotykane okopy są rowami komunikacyjnymi, czy zaopatrzeniowymi, toteż ich przebieg niewiele mu mówił.

Brytyjczycy nauczyli się od Niemców budowania wielu linii

okopów. Po przebyciu pierwszego należało spodziewać się następnego, zwanego przez Brytyjczyków Czerwoną Linia. Jeśli uda się go pokonać, o milę dalej będzie następny – Brązowa Linia.

Za nim aż do wybrzeża rozciąga się pusty teren.

We mgle od zachodniej strony eksplodowały pociski. Czyżby Brytyjczycy otworzyli ogień artyleryjski? Ale przecież ostrzeliwaliby własne linie obrony. To musi być następna fala niemieckiego ostrzału. Walter i jego żołnierze mogli w każdej chwili znaleźć się poza granicą ognia swojej artylerii. Na szczęście większość jego podkomendnych była za nim. Uniósł ręce.

– Kryć się! Przekażcie innym!

Rozkazu nie trzeba było powtarzać, gdyż żołnierze doszli do tego samego wniosku co dowódca. Pobiegli kilka jardów w przeciwnym kierunku i wskoczyli do pustych okopów.

Waltera rozpieszczała radość. Natarcie przebiega bez przeszkód. Na dnie rowu leżało trzech brytyjskich żołnierzy. Dwóch się nie ruszało, a jeden jęczał. Gdzie jest reszta? Przypuszczalnie uciekli. Tych trzech mogło także stanowić oddział samobójczy, który został, by bronić straconej pozycji i osłaniać odwrót towarzyszy.

Jeden z poległych Brytyjczyków był wyjątkowo rosły, miał duże dłonie i stopy. Grunwald błyskawicznie ściągnął mu buty.

– Mój rozmiar! – rzucił Walterowi tytułem wyjaśnienia, a on nie miał serca mu zabraniać. Buty Grunwalda były pełne dziur. Walter usiadł. Natarcie nie mogło udać się lepiej.

Po godzinie niemieckie działa znów zamilkły. Walter zebrał żołnierzy i ponownie ruszyli do ataku.

Znalazłszy się w połowie wzniesienia, usłyszał jakieś głosy i podniósł rękę. Żołnierze przystanęli.

– Taka mgła, że czubka wacka bym nie dojrzał – powiedział ktoś po angielsku.

Walter rozpoznał akcent. Czyżby australijski? Brzmiał nieco z włoska.

– Jak cię nie widzą, to i nie ustrzelą! – odparł drugi głos z takim samym akcentem.

Walter wrócił myślami do 1914 roku, gdy odwiedził ogromne wiejskie dworzyszczce Fitza w Walii. Właśnie tak mówiła tamtejsza służba. W zrytych pociskami francuskim okopie kryli się Walijszczyki.

Niebo zaczynało się rozjaśniać.

III.

Sierżant Billy Williams wpatrywał się w mgłę. Artyleria wreszcie się zlitowała i przestała strzelać, lecz to oznaczało, że nadchodzą Niemcy. Co robić?

Billy nie dostał żadnych rozkazów. Jego pluton zajmował posterunek obronny na wzgórzu w pewnej odległości za linią frontu. W ładną pogodę z tego miejsca roztaczał się widok na długi łagodny stok, na którego końcu znajdowały się ruiny. Kiedyś musiały to być wiejskie zabudowania. Okop łączył redutę Billy'ego z podobnymi, które teraz pozostawały niewidoczne. Zwykle rozkazy przychodziły z tyłów, lecz dziś nie dotarł ani jeden. Telefon milczał, wybuch pocisku prawdopodobnie przerwał linię.

Żołnierze stali lub siedzieli. Gdy zamilkł ostrzał, wychynęli z ziemianki. Raz na jakiś czas z kuchni polowej wysyłano rankiem wóz z wielkim kotłem herbaty, ale dzisiaj nic tego nie zapowiadało. Billy i jego koledzy zjedli na śniadanie swoje żelazne racje.

Pluton miał amerykański lekki karabin maszynowy Lewis, ustawiony na tylnej ścianie okopu nad ziemianką. Obsługiwał go dziewiętnastolatek z poprawczaka, George Barrow, dobry żołnierz, lecz o marnym wykształceniu. George uważał, że ostatni najeźdźca, który wtargnął do Anglii, nazywał się Norman Zdobywca. Teraz

siedział przy karabinie, osłonięty przed zabłąkanymi kulami stalową osłoną, i pykał fajkę.

Uzbrojenie oddziału stanowił także moździerz Stokesa, wyrzucający trzycalowe pociski na odległość do ośmiuset jardów. Kapral Johnny Ponti, którego brat Joey zginął nad Sommą, zabójczo dobrze opanował sztukę prowadzenia z niego ognia.

Billy wspiał się na krawędź okopu i stanął obok George'a, lecz nawet stamtąd jego wzrok nie sięgał dalej.

– Słuchaj, Billy, czy inne kraje też mają takie imperia jak nasz? – zapytał George.

– Jasne. Francuzi trzymają większość Afryki Północnej, Holendrzy opanowali Indie Wschodnie, do Niemców należy Afryka Południowo-Zachodnia...

– Słyszałem o tym, ale myślałem, że to nie może być prawda – rzekł nieco rozczarowany George.

– Dlaczego?

– Jakim prawem oni rządzą innymi narodami?

– A jakim prawem my rządymy Nigerią, Jamajką i Indiami?

– Ponieważ jesteście Brytyjczykami.

Billy skinął głową. George Barrow, który nigdy w życiu nie widział atlasu, czuł się lepszy od Kartezjusza, Rembrandta i Beethovena. Nie on jeden. Wszyscy mieli za sobą lata szkolnej propagandy, kiedy to nasłuchali się o brytyjskich triumfach. O klęskach nie powiedziano im ani słowa. Opowiadano o demokracji w Londynie, lecz nie o tyranii w Kairze. Gdy uczono o brytyjskim wymiarze sprawiedliwości, ani słowem nie wspomiano o chłostkach w Australii, o głodzie w Irlandii i masakrach w Indiach. Uczniowie dowiadywali się, że katolicy palili na stosie protestantów, i byli w szoku, słysząc, że protestanci robili to samo z katolikami, ilekroć mogli. Niewielu miało takich ojców jak Billy, którzy tłumaczyli, że nauczyciele przedstawiają uczniom świat fantazji.

Jednak Billy nie mógł w tej chwili wyprowadzić George'a z błędu. Miał inne zmartwienia.

Odrobinę się przetarło i mgła się uniosła, a potem zupełnie znikła.

– Jasna cholera! – zaklął George. Billy zobaczył, co go tak poruszyło. Po stoku podchodziło kilkuset niemieckich żołnierzy. Znajdowali się ćwierć mili od nich.

Billy zeskoczył do okopu. Paru kolegów także zauważyło wroga i ich okrzyki zaalarmowały pozostałych. Spojrzał przez szparę w stalowej płycie ustawionej na obmurowaniu okopu.

Niemcy zareagowali z opóźnieniem przypuszczalnie dlatego, że Brytyjczycy nie rzucali się w oczy. Jeden czy dwóch się zatrzymało, lecz reszta pędziła dalej.

W okopach odezwały się karabiny. Kilku Niemców upadło, a pozostali położyli się na ziemi, szukając schronienia w lejach i za rzadkimi krzakami. Terkot karabinu maszynowego nad głową przypominał Billy'emu gwar stadionu piłkarskiego. Po chwili Niemcy odpowiedzieli ogniem. Zauważył z ulgą, że nie mają karabinów maszynowych ani moździerzy. Nagle usłyszał krzyk jednego ze swoich. Jakiś bystrooki Niemiec spostrzegł, że ktoś nieostrożnie wystawia głowę z okopu, albo po prostu dopisało mu szczęście.

Obok Billy'ego pojawił się Tommy Griffiths.

– Dai Powell dostał.

– Ranny?

– Zabity. Kula przeszła przez głowę.

– O kurwa – zaklął Billy. Pani Powell robiła na drutach piękne swetry i wysyłała je synowi do Francji. Dla kogo będzie teraz dziergała?

– Wyjąłem mu z kieszeni kolekcję – dodał Tommy. Dai miał stosik pornograficznych pocztówek kupionych od pewnego Francuza. Przedstawiały pulchne dziewczyny z bujnym owłosie-

niem łonowym. Większość kolegów z batalionu co jakiś czas je od niego pożyczają.

– Dlaczego? – spytał Billy, wypatrując wrogów.

– Lepiej, żeby nie trafiły do Aberowen.

– Racja.

– Co mam z nimi zrobić?

– Jasny gwint, Tommy, później mnie o to zapytasz, dobra?

Teraz mam na karku parę setek zasranych szkopów.

– Wybacz, Bill.

Ilu jest tych Niemców? Trudno oszacować liczbę wrogów na polu bitwy, lecz Billy ocenił, że co najmniej dwustu. Przypuszczalnie było więcej, ale znajdowali się poza polem widzenia. Domyślił się, że naciera cały batalion. Jego pluton, liczący czterdziestu żołnierzy, stanął wobec ogromnej przewagi wroga.

Co robić?

Od ponad doby nie widział oficera. W tej reducie jest najstarszy stopniem i dowodzi. Musi obmyślić plan.

Dawno przestał się wściekać na nieudolność przełożonych.

Wszyscy stanowili część systemu klasowego. Billy wychował się w pogardzie dla niego. Jednak w rzadkich sytuacjach, gdy spadał na niego ciężar dowodzenia, nie było to dla niego frajdą. Czuł brzemień odpowiedzialności i lęk, że podejmie niewłaściwe decyzje i sprowadzi śmierć na swoich towarzyszy.

Jeśli Niemcy zaatakują frontalnie, przygwoźdzą pluton ogniem.

Jednak nie wiedzą, z iloma obrońcami mają do czynienia. Czy uda się wywołać wrażenie, że jest nas więcej niż w rzeczywistości? – zastanawiał się Billy.

Przemknęła mu przez głowę myśl o odwrocie. Ale przecież żołnierze nie pierzchają przed atakiem. To jest stanowisko obronne i Billy powinien walczyć o jego utrzymanie.

Stanie więc do boju, przynajmniej na krótko.

Po tej decyzji przyszły następne.

– Daj im jeszcze popalić, George! – krzyknął. Karabin znów zaterkotał, a on popędził okopem. – Utrzymywać stały ostrzał, chłopaki. Niech myślą, że są nas setki.

Zobaczył ciało Daia Powella leżące na ziemi. Krew już zaczęła czernieć wokół rany w głowie. Dai nosił pod płaszczem pulower wydziergany przez matkę – był brązowy i wyglądał paskudnie, ale Daiowi za życia było w nim ciepło.

– Spoczywaj w pokoju, brachu – szepnął Billy.

Nieco dalej spotkał Johnny'ego Pontiego.

– Uruchoom granatnik. Niech skurczybyki poskaczą.

– Dobra – odparł Johnny, stawiając karabin z dwunożną podpórką na dnie okopu. – Jaka odległość, pięćset jardów?

Pomagiera Johnny'ego nazywano Łój Hewitt. Miał nalaną puciołowatą twarz. Stanął na stopniu i wyjrzał.

– Pięćset do sześciuset! – krzyknął. Billy także zerknął, lecz Hewitt i Johnny współpracowali nie od dziś, im więc pozostawił decyzję.

– Dwa krążki, kąć czterdzieści pięć stopni – orzekł Johnny.

Granaty miały własny odrzut i można było je zaopatrzyć w dodatkowe ładunki napędowe, by zwiększyć ich zasięg.

Johnny jeszcze raz wskoczył na stopień, by zerknąć na atakujących Niemców, po czym nastawił moździerz. Znajdujący się w pobliżu koledzy usunęli się na bok. Johnny wpuścił pocisk do lufy. Kiedy ten uderzał w jej dno, iglica odpalała ładunek. Pocisk spadł za blisko, nie doleciawszy do najbliższych wrogów.

– Pięćdziesiąt jardów dalej i ciut w prawo! – polecił Hewitt.

Johnny przestawił moździerz i znów wypalił. Drugi granat

wylądował w leju, w którym kryła się gromadka Niemców.

– Dobra nasza! – krzyknął Łój Hewitt.

Billy nie widział, czy któryś z wrogów został trafiony, lecz ostrzał zmusił ich do schowania łbów.

– Poślij im z tuzin gruszek!

Billy znalazł się obok Robina Mortimera, zdegradowanego oficera, który stał na stopniu i strzelał raz po raz. Ładując broń, zobaczył Billy'ego.

– Załatw trochę ołowiu, Walińczyku. – Mortimer był zawsze szorstki, nawet gdy komuś pomagał. – Lepiej, żeby nie zabrakło wszystkim naraz.

Billy skinął głową.

– Masz rację, dzięki. – Skład amunicji znajdował się sto jardów w głębi pola w okopie komunikacyjnym. Wybrał dwóch rekrutów, którzy ledwo strzelali. – Jenkins i Nosey, skoczcie po naboje, tylko raz-dwa. – Szeregowcy pomknęli co sił w nogach. Billy spojrział przez otwór wizjera. Jeden z Niemców wstał. Billy struchlał na myśl, że oficer wydaje rozkaz, by atakować. Wróg musiał zauważyć, że stoi naprzeciwko kilkudziesięciu obrońców, i uświadomił sobie, że może łatwo zdławić opór.

Tak jednak nie było. Oficer wskazał ręką w przeciwną stronę i zaczął zbiegać po stoku wzgórza. Żołnierze poszli w jego ślady. Ludzie Billy'ego wzniesli okrzyk radości i wściekle ostrzelali uciekających, kładąc kilku, zanim ci znaleźli się poza zasięgiem ognia.

Niemcy dopadli do ruin wiejskich zabudowań i skryli się wśród gruzów.

Billy nie mógł powstrzymać uśmiechu. Odparł natarcie dziesięciokrotnie większych sił! Niech mnie zrobią zakichanym generałem, pomyślał.

– Wstrzymać ogień! Są poza zasięgiem!

Jenkins i Nosey wrócili ze skrzynkami z amunicją.

– Dajcie więcej, chłopaki. Oni mogą wrócić – rzucił Billy. Spojrzął w stronę wroga. Niemcy zmienili plan: podzielili się na dwie grupy. Jedna ruszyła w lewą stronę od ruin, a druga w prawą. Zaczęli okrążyć jego pozycję, trzymając się poza zasięgiem ognia.

– O kurwa – mruknął. Szkopy wedrą się między jego stanowisko obronne a sąsiednie i zajdą go z obu flank. Albo zostawią go do wykończenia nadchodzącej za czołówką piechocie. Tak czy inaczej, reduta padnie łupem wroga.

– Ściągaj karabin, George. Johnny, demontuj moździerz.

Wszyscy pakować manatki. Zwijamy się stąd.

Żołnierze zarzucili na plecy karabiny i plecaki, przemknęli do rowu komunikacyjnego i puścili się biegiem.

Billy zajrzał do ziemianki, by sprawdzić, czy ktoś tam jest.

Wyciągnął zawleczkę z granatu i cisnął go do środka. Jeśli coś tam zostało, wróg nie będzie mógł z tego skorzystać.

Potem ruszył za swoimi żołnierzami.

IV.

Późnym popołudniem batalion Waltera zajął ostatnie linie brytyjskich okopów.

Walter był zmęczony, ale miał poczucie triumfu. Jego żołnierze stoczyli kilka zaciekłych potyczek, lecz ani jednej dłuższej bitwy. Dzięki mgłej taktyka działań szturmowców sprawdziła się nadspodziewanie dobrze. Słabe ogniska oporu zdławili, mocniejsze ominęli i zajęli kawał terenu.

Znalazłszy ziemiankę, schronił się w niej. Kilku żołnierzy wskoczyło za nim. Wnętrze miało domowy klimat, jak gdyby Anglicy mieszkali w nim od miesięcy: na ścianach wisiały obrazki wycięte z czasopism, na skrzyni stała maszyna do pisania, a w starej puszcze po ciastkach leżały sztucce. Służący za stół stos skrzynek przykryto obrusem. Walter domyślił się, że był to punkt dowodzenia batalionu.

Żołnierze od razu wypatrzyli prowiant. Były suchary, dżem, ser i szynka. Walter nie mógł im zabronić jedzenia, lecz zakazał

otwierania whisky. Włamali się do zamkniętej na klucz szafki i znaleźli słoik kawy. Ktoś rozpałił przed lepianką niewielkie ognisko i zaparzył napój. Dowódca dostał kubek kawy ze słodonym mleczkiem z puszki. Miała iście niebiański smak.

– Czytałem w gazecie, że Angolom brakowało żywności tak samo jak nam – rzekł sierżant Schwab, unosząc słoik z dżemem, który zajadał łyżeczką. – Pozazdrościć takich niedoborów! Walter od dawna wiedział, że kiedyś żołnierze odgadną prawdę. Podejrzał, że niemieckie władze przesadzają, opisując skuteczność działań okrętów podwodnych, które miały przerwać szlaki zaopatrzeniowe aliantów. Teraz poznał prawdę, jego żołnierze również. W Wielkiej Brytanii żywność podlega racjonowaniu, lecz Brytyjczycy nie wyglądają na zagłodzonych. Z całą pewnością można to było powiedzieć o Niemcach.

Znalazł mapę lekkomyślnie pozostawioną przez wycofujące się siły wroga. Porównawszy ją ze swoją, doszedł do wniosku, że znajduje się niedaleko kanału Crozat. Niemcy w ciągu jednego dnia odbili całe terytorium, które alianci, ponosząc ciężkie straty, zdobyli półtora roku temu w czasie bitwy nad Somą. Zwycięstwo naprawdę jest w zasięgu ręki wojsk niemieckich. Walter usiadł do brytyjskiej maszyny do pisania i zaczął układać raport.

ROZDZIAŁ 30

Koniec marca - kwiecień 1918 roku

i.

W czasie wielkanocnego weekendu Fitz wydał w Ty Gwyn przyjęcie. Kierował się ukrytym motywem: zaproszeni goście równie gorąco jak on opowiadali się przeciwko nowemu rosyjskiemu reżimowi.

Gwiazdą wieczoru był Winston Churchill.

Należał do Partii Liberalnej, więc spodziewano się po nim sympatii dla rewolucjonistów. Był jednak wnukiem księcia i miał pewną skłonność do autorytaryzmu. Fitz od dawna uważał go za zdrajcę swojej klasy społecznej, lecz teraz był gotów mu wybaczyć ze względu na gorącą nienawiść do bolszewików.

Churchill przybył do Aberowen w Wielki Piątek i gospodarz wysłał po niego na dworzec rolls-royce'a. Winston wszedł sprężystym krokiem do domu. Był niewysokim drobnym mężczyzną o rudych włosach i różowej cerze. Miał na butach krople deszczu. Nosił dobrze skrojony tweedowy garnitur w kolorze pszenicy oraz niebieską muszkę. Jego oczy także były niebieskie. Miał czterdzieści trzy lata, lecz gdy podawał dłoń nieznanym i kiwał głową komuś, kogo dobrze znał, w jego gestach było coś chłopięcego. Spojrzał na wzorzystą tapetę, rzeźbiony kominek oraz meble z ciemnego dębu.

– Fitz, pański dom wygląda w środku jak Pałac Westminsterski! Churchill tryskał energią. Znowu był w rządzie. Lloyd George mianował go ministrem do spraw uzbrojenia. Wiele mówiło się o powodach, dla których premier przyjął z powrotem tak kłopotliwego i nieprzewidywalnego urzędnika. Powszechnie uważano, że wolał go mieć przy sobie, gdyż w innym razie Churchill podszczypywałby rząd z zewnątrz.

– Wasi górnicy popierają bolszewików – oznajmił Winston trochę rozbawiony, a trochę zdegustowany. Usiadł i wyciągnął mokre nogi w stronę trzaskających w kominku brył węgla. – Na co drugim domu powiewa czerwona flaga.

– Ci ludzie nie wiedzą, z czego się cieszą – prychnął z pogardą Fitz. Pod tą przyganą krył się głęboki niepokój. Winston wziął od Maud filiżankę herbaty oraz posmarowaną

masłem bułkę, którą podał lokaj.

– Rozumiem, że poniósł pan osobistą stratę.

– Wieśniacy zamordowali mojego szwagra, księcia Andrieja, i jego żonę.

– Bardzo panu współczuję.

– Byliśmy tam z Beą i ledwo uszliśmy z życiem!

– Słyszałem o tym zdarzeniu.

– Chłopi zagarnęli jego ziemię, ogromny majątek, którego prawowitym dziedzicem jest mój syn, a nowy reżim poparł ten rabunek.

– Niestety, tak. Lenin rozpoczął swoje rządy od podpisania Aktu o ziemi.

– Trzeba mu jednak oddać, że wprowadził ośmiogodzinny dzień pracy dla robotników oraz powszechny i darmowy dostęp do nauki dla dzieci – zauważyła Maud.

Fitz był zły. Maud nie okazała krzty taktu. To nie jest odpowiednia chwila, by bronić Lenina.

Jednak w Winstonie znalazła godnego przeciwnika.

– Wprowadził również zakaz krytykowania władzy przez prasę. Taka to socjalistyczna wolność.

– Dziedzictwo mojego syna nie jest jedynym ani nawet głównym powodem mojego niepokoju – powiedział hrabia. –

Jeśli bolszewikom powiedzie się w Rosji, co będzie dalej? Walijscy górnicy już są przekonani, że węgiel głęboko pod powierzchnią nie należy do właściciela ziemi. W każdy sobotni wieczór w połowie walijskich pubów można usłyszeć Czerwony sztandar.

– Reżim bolszewicki powinien być zdławiony w zarodku – rzekł w zamyśleniu Winston. – Otóż to, zdławiony w zarodku – powtórzył, zadowolony z tego wyrażenia.

Fitz powściągnął niecierpliwość. Churchill ulegał czasem złudzeniu, że wymyśliwszy chwytliwy slogan, opracował nową strategię polityczną.

– Ależ my nic nie robimy! – zauważył zdesperowany Fitz.

Gong obwieścił wszystkim, że czas przebrać się do posiłku.

Gospodarz nie obstawał przy kontynuowaniu rozmowy. Ma cały weekend, by dowodzić swoich racji.

Idąc do garderoby, zauważył, że Boya, wbrew zwyczajowi, nie sprowadzono na dół na podwieczorek. Ruszył długim korytarzem do skrzydła dla dzieci.

Boy miał trzy lata i trzy miesiące i nie był ani niemowlęciem, ani raczkującym brzdącem. Umiał chodzić i mówić. Miał niebieskie oczy Bei oraz jasne loki. Siedział przy kominku owinięty kocem, a młoda ładna niania o nazwisku Jones czytała mu książkę.

Prawowity dziedzic tysięcy akrów rosyjskiej ziemi trzymał kciuk w buzi. Na widok ojca nie podskoczył i nie pobiegł do niego, jak to zwykle robił.

– Co mu jest? – zapytał Fitz.

– Boli go brzuszek, panie hrabio.

Niania odrobinę przypominała Fitzowi Ethel Williams, lecz nie dorównywała jej inteligencją.

– Proszę wyrażać się jaśniej. Co mu dolega?

– Ma biegunkę.

– Skąd, u licha, mu się to wzięło?

– Nie wiem. Toaleta w pociągu nie była zbyt czysta...

Tak oto wina spadała na Fitza, który przywiózł całą rodzinę na przyjęcie do Walii. Stłumił przekleństwo.

– Wezwałaś lekarza?

– Doktor Mortimer jest już w drodze.

Fitz pomyślał, że przesadza z obawami. Dzieci stale dostają jakichś infekcji. Pamiętał, że w dzieciństwie często bolał go brzuch. Jednak dzieci umierają czasem z powodu niezytu żołądka i jelit.

Uklęknął przed kanapą. Jego głowa znalazła się na wysokości głowy syna.

– Jak się miewa mój mały żołnierzyk?
– Mam sraczkę – mruknął Boy.
Musiał podchwycić to wulgarnie wyrażenie od służby. Wypowiedział je nawet z lekkim walijskim zaśpiewem. Fitz postanowił nie robić z tego afery.
– Pan doktor niedługo tu będzie. Pomoże ci.
– Nie chcę kąpieli.
– Może dzisiaj darujemy sobie kąpiel? – zaproponował Fitz, wstając. – Proszę po mnie przysłać, kiedy przyjedzie lekarz. Chcę z nim pomówić.
– Oczywiście, panie hrabio.
Fitz wyszedł z bawialni i udał się do garderoby. Lokaj przygotował wieczorowy strój: koszulę z diamentami na przodzie i takimi samymi spinkami do mankietów, czystą lnianą chusteczkę oraz jedwabne skarpetki, które umieścił w skórzanych trzewikach. Jednak Fitz nie zaczął się od razu przebierać, tylko poszedł do pokoju Bei.
Była w ósmym miesiącu ciąży.
Nie miał okazji widzieć jej w tym stanie, gdy oczekiwała narodzin Boya. Wyjechał do Francji, kiedy była w czwartym lub piątym miesiącu, a po jego powrocie chłopiec już był na świecie. Nie obserwował, jak pęcznieje jej ciało, nie dziwił się jego niezwyklej zdolności do przemiany i rozciągania.
Siedziała przed toaletką, lecz nie patrzyła w lustro. Odchyliła się do tyłu, nogi miała rozchylone, a jej ręce spoczywały na obrzmiałym brzuchu. Zamknęła oczy, jej twarz pobladła.
– Nie mogę znaleźć wygodnej pozycji – poskarżyła się. – Na stojąco, na siedząco, na leżąco, wszystko mnie boli.
– Powinnaś pójść do bawialni i zerknąć na Boya.
– Pójdę, gdy tylko się pozbięram! – warknęła Bea. – Niepotrzebnie tu przyjechałam. Nie powinnam pełnić honorów domu w tym stanie, to śmieszne.
Fitz wiedział, że ma rację.
– Potrzebujemy wsparcia tych ludzi, jeśli mamy w jakiś sposób stawić czoło bolszewikom.
– Boya wciąż boli brzuszek?
– Tak, niedługo zjawi się lekarz.
– Przyślij go do mnie, gdy tylko dotrze. Choć nie można spodziewać się zbyt dużo po wiejskim medyku.
– Powiem służbie. Rozumiem, że nie zejdiesz na kolację?
– Jak miałabym to zrobić w tym stanie?
– Tylko pytam. Maud zajmie miejsce gospodyni.
Fitz poszedł do garderoby. Niektórzy rezygnowali z fraków i białych krawatów, wkładając do kolacji krótkie smokingi oraz czarne krawaty. Usprawiedliwiali to wojną. Fitz nie dostrzegał związku. Dlaczego wojna miałaby skłaniać do zmiany stroju na mniej oficjalny?
Włożył wieczorowy garnitur i zszedł na dół.

II.

Po kolacji podano kawę w salonie.
– A zatem, lady Maud, dopięłyście swego – zauważył prowokacyjnie Winston. – Kobiety zdobyły prawo do głosowania.
– Tylko niektóre z nas.
Fitz wiedział, że siostra jest rozczarowana ustawą dającą prawo do głosowania kobietom w wieku ponad trzydziestu lat, które posiadają własne gospodarstwo domowe lub są żonami właścicieli. On zaś był zły, że ustawa w ogóle przeszła.
– Musi pani podziękować obecnemu tu lordowi Curzonowi, który, o dziwo, wstrzymał się od głosu, gdy ustawa trafiła do Izby Lordów – ciągnął lekko drwiącym tonem Churchill.
Hrabia Curzon był błyskotliwym człowiekiem, traktującym

wszystkich oschle i z góry. Co gorsza, podkreślał to metalowy gorset podtrzymujący jego plecy. Ułożono nawet o nim rymowankę:

Cóż za wyniosła persona
z George'a Nathaniela Curzona.

Były wicekról Indii Curzon przewodniczył teraz Izbie Lordów i zasiadał w pięcioosobowym Gabinetcie Wojennym. Był także prezesem Ligi Przeciwników Prawa Wyborczego Kobiet, toteż jego decyzja wprawiła w osłupienie cały świat polityki oraz głęboko rozczarowała tych, którzy występowali przeciwko równouprawnieniu kobiet. Fitz naturalnie był jednym z tych rozczarowanych.

– Izba Gmin przyjęła ustawę – przypomniał Curzon. – Uznałem, że nie powinniśmy sprzeciwiać się woli wybieralnych członków parlamentu.

Ta opinia nie złagodziła gniewu hrabiego.

– Izba Lordów istnieje po to, by przypatrywać się decyzjom Izby Gmin i powściągać niewłaściwe jej zapędy. To z całą pewnością był wzorcowy przykład!

– Gdybyśmy przegłosowali ustawę, deputowani by się oburzyli i znów ją nam przysłali.

Fitz wzruszył ramionami.

– O odbyliśmy już podobną debatę.

– Tak się niefortunnie składa, że trwają obrady komisji Bryce'a.

– Ach tak! – Fitz nie wziął tego pod uwagę. Komisja Bryce'a rozważała propozycję reformy Izby Lordów. – I co z tego wynika?

– Wkrótce ma wpłynąć sprawozdanie. Nie możemy sobie pozwolić na otwartą wojnę z Izba Gmin przed tym terminem.

– Faktycznie – przyznał Fitz, choć zrobił to niechętnie.

Gdyby lordowie podważyli wolę Izby Gmin, Bryce mógłby wnioskować o ograniczenie władzy izby wyższej parlamentu. – Moglibyśmy stracić całą władzę, i to na dobre.

– Właśnie takie rozumowanie kazało mi wstrzymać się od głosu.

Polityka nierzadko wpędzała Fitza w depresję.

Lokaj Peel podał kawę Curzonowi, a przy okazji rzekł cicho do Fitza:

– Panie hrabio, doktor Mortimer czeka na pana w małym gabinecie.

Fitza martwił stan zdrowia syna, więc ucieszył się z tej informacji.

– Pójdę się z nim zobaczyć – powiedział, po czym przeprosił gości.

Do małego gabinetu trafiały wszelkie sprzęty, które nie pasowały nigdzie indziej: niewygodne rzeźbione krzesło w stylu gotyckim, szkocki pejzaż, który nikomu się nie podobał, oraz głowa tygrysa upolowanego w Indiach przez ojca Fitza.

Mortimer był dobrym miejscowym lekarzem, nieco zbyt pewnym siebie, jakby uważał, że profesja zrównuje go z hrabią. Potrafił jednak być grzeczny.

– Dobry wieczór, panie hrabio – rzekł. – Pański syn cierpi na łagodną infekcję gastryczną, która najprawdopodobniej nie jest groźna.

– Jak to „najprawdopodobniej”?

– Świadomie użyłem tego słowa. – Mortimer mówił z walijskim akcentem złagodzonego za sprawą edukacji. – My, naukowcy, zawsze mamy do czynienia z prawdopodobieństwem, nigdy z pewnością. Górnikom powtarzam, że codziennie zjeżdżają do szybu, wiedząc, że prawdopodobnie wybuchu nie będzie.

– Hm. – Dla hrabiego nie stanowiło to wielkiego pocieszenia. – Zbadał pan księżniczkę?

– Owszem. Jej choroba także nie jest poważna. W istocie, w ogóle nie jest to choroba, lecz poród.

Fitz podskoczył.

– Co takiego?!

– Myślała, że jest w ósmym miesiącu, lecz źle dokonała obliczeń. To dziewiąty miesiąc i miejmy nadzieję, że ciąża nie potrwa już wiele godzin.

– Kto z nią jest?

– Ze wszystkich stron otaczają księżniczkę służące. Posłałem po dobrą akuszerkę. Ja też będę asystował przy porodzie, jeśli pan sobie życzy.

– To moja wina – powiedział z goryczą Fitz. – Nie powinienem był nakłaniać jej do wyjazdu z Londynu.

– Każdego dnia poza Londynem rodzą się idealnie zdrowe dzieci. Fitz miał przecucie, że ktoś sobie z niego kpi, lecz zbył to milczeniem.

– A jeśli zdarzy się coś złego?

– Słyszałem o pańskim londyńskim lekarzu, profesorze Rathbonie. Jest, rzecz jasna, bardzo cenionym lekarzem, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę powiedzieć, że przyjąłem więcej porodów niż on.

– To były dzieci górników.

– Tak, przeważnie. Jednakże w chwili narodzin nie ma wielkiej różnicy między nimi a małymi arystokratami. Medyk rzeczywiście naigrawał się z Fitzem.

– Nie podoba mi się pańska bezczelność. Mortimera to nie przestraszyło.

– A mnie pańska. Bez krzty dobrych manier dał pan do zrozumienia, że uważa mnie za niegodnego zajmowania się pańską rodziną. Z przyjemnością się oddalę. – Lekarz wziął swoją torbę.

Hrabia westchnął. Sprzeczką była głupia, on zaś wściekał się na bolszewików, a nie na walijskiego lekarza.

– Nie bądź pan durniem.

– Robię, co w mojej mocy. – Mortimer ruszył do drzwi.

– Czy nie jest pańskim obowiązkiem stawianie interesu pacjentów ponad swój?

Lekarz zatrzymał się w drzwiach.

– Ależ ty jesteś bezczelny, Fitzherbert.

Niewielu ludzi odzywało się tak do hrabiego. Przełknął kaśliwa ripostę, która przysłała mu do głowy. Znalezienie innego lekarza może zająć kilka godzin. Bea nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby pozwolił Mortimerowi odejść z powodu urazy.

– Zapomnę, co pan powiedział. Zapomnę o całej rozmowie, jeśli pan robi to samo.

– Przypuszczam, że są to najlepsze przeprosiny, na jakie mogę liczyć – mruknął Mortimer.

Tak było, lecz hrabia milczał.

– Idę na górę – oznajmił lekarz.

III.

Księżniczka Bea nie rodziła spokojnie. Jej wrzaski niosły się po całym skrzydle domu. Maud bardzo głośno grała na pianinie, by zająć gości i je zagłuszyć, lecz jeden ragtime nie różnił się zbyt od drugiego, więc po dwudziestu minutach dała za wygraną. Niektórzy goście poszli spać, jednak gdy wybiła północ, większość mężczyzn zgromadziła się w sali bilardowej. Peel podał koniak. Fitz poczęstował Winstona kubańskim cygarem El Rey del Mundo. Churchill zapalił je, a on zagaił:

– Rząd musi coś przedsięwziąć w sprawie bolszewików. Winston spojrział na twarze gości, jakby chciał się upewnić, czy wszyscy są godni zaufania. Rozparłszy się na krzesle, zaczął:

– Sytuacja wygląda następująco. Nasza północna eskadra znajduje się już na wodach koło Murmańska. Teoretycznie ma bronić rosyjskich okrętów, aby te nie padły łupem Niemców.

Mamy również niewielką misję wojskową w Archangielsku. Naciskam, by przerzucić oddziały do Murmańska. W dłuższej perspektywie nasze kontyngenty mogłyby stać się trzonem sił kontrrewolucyjnych w północnej Rosji.

– To za mało – uznał hrabia.

– Bez wątpienia. Chciałbym, abyśmy umieścili wojska w Baku nad Morzem Kaspijskim. Tamtejsze ogromne pola naftowe nie mogą wpaść w ręce Niemców albo Turków. Należałoby także wysłać jakieś siły na Morze Czarne i na Ukrainę, gdzie już działa ruch antybolszewicki. Na Syberii znajdują się tysiące ton sprzętu wartego może miliard funtów. Stanowił on wsparcie dla Rosjan, gdy byli naszymi sojusznikami. Mamy prawo posłać żołnierzy do ochrony naszej własności.

– Czy Lloyd George wyrazi zgodę na poczynienie któregoś z tych kroków? – spytał Fitz po trosze z nadzieją, a po trosze z powątpiewaniem.

– Nie zrobi tego publicznie. Przeszkodę stanowią te czerwone flagi wywieszane na domach górników. Naród rosyjski i rewolucja cieszą się w naszym kraju szerokim poparciem. A ja rozumiem powód, jakkolwiek Lenin i jego hołota budzą we mnie wstręt. Z całym szacunkiem dla księżnej Bei – tu Churchill spojrział na sufit, bo rozległ się kolejny głośny krzyk – rosyjska klasa rządząca bardzo ospale reagowała na niezadowolenie ludu.

Winston Churchill był przedziwną mieszkanką sprzeczności: arystokrata i zwyczajny człowiek, błyskotliwy administrator, wiecz- nie wtrącający się w kompetencje innych resortów, czarujący gawędziarz nielubiany przez większość partyjnych kolegów.

– Rosyjscy rewolucjoniści to złodzieje i mordercy – oznajmił Fitz.

– W istocie. Musimy jednak pogodzić się z faktem, że nie wszyscy tak ich odbierają. Dlatego premier nie może otwarcie potępić rewolucji.

– Potępiając ją w swoim sumieniu, nie osiągnie wiele – zauważył gospodarz.

– Można to i owo zrobić bez wiedzy premiera.

– Rozumiem. – Fitz mógł się tylko domyślać, czy jest to dużo, czy mało.

Do pokoju weszła Maud. Mężczyźni wstali, trochę zaskoczeni. W wiejskich domach arystokratów kobiety zwykle nie zaglądały do sal bilardowych. Jednak Maud ignorowała zasady, które jej nie odpowiadały. Podeszła do brata i pocałowała go w policzek.

– Gratuluję. Masz drugiego syna.

Mężczyźni wzniesli okrzyk, po czym otoczyli gospodarza.

Kleпали go po plecach i ściskali jego dłoń.

– Czy moja żona dobrze się czuje? – spytał Fitz.

– Jest bardzo zmęczona, ale dumna.

– Bogu dzięki.

– Doktor Mortimer wyszedł, ale akuszerka mówi, że możesz już obejrzeć dziecko.

Hrabia ruszył do drzwi.

– Pójdę z panem – rzekł Winston.

Wychodząc, Fitz usłyszał słowa Maud:

– Nalej mi brandy z łaski swojej, Peel.

– Pan naturalnie bywał w Rosji – odezwał się cicho Churchill.

– Tak, kilka razy – odparł Fitz, gdy znaleźli się na schodach.

– Zna pan więc język.

Fitz nie wiedział, do czego rozmówca zmierza.

– Trochę. Nie ma się czym chwalić, ale potrafię się porozumieć.

– Miał pan styczność z niejakim Mansfieldem Smithem-Cummingiem?

– Owszem, tak się złożyło. On kieruje... – Fitz zawahał się, czy mówić na głos o Biurze Tajnej Służby. – Kieruje specjalnym

departamentem. Napisałem dla niego parę raportów.

– To doskonale. Po powrocie do Londynu mógłby się pan z nim spotkać.

Rozmowa zaczynała być ciekawa.

– Zrobię to w każdej chwili – odparł Fitz, starając się nie okazywać zapału.

– Poproszę go, by się z panem skontaktował. Być może zleci panu następną misję.

Mężczyźni znaleźli się przed drzwiami pokoju Bei. Z wnętrza dobiegał charakterystyczny płacz noworodka. Hrabia zawstydział się, czując, że łzy napływają mu do oczu.

– Wejdę tam. Dobranoc.

– Gratuluję i również życzę panu dobrej nocy.

IV.

Nazwali syna Andrew Aleksander Murray Fitzherbert. Chłopczyk był mały jak okruszek, ale bardzo żywy, z czarną czupryną Fitz'a. Został owinięty w kocik i ułożony w rolls-roycie, za którym jechały dwa inne samochody stanowiące zabezpieczenie w razie awarii. Kawalkada zatrzymała się na śniadanie w Chepstow i na lunch w Oksfordzie. Fitz i jego rodzina dotarli do domu w Mayfair w porze obiadu.

Kilka dni później, w ciepłe kwietniowe popołudnie, Fitz szedł nabrzeżem, spoglądając na mętne wody Tamizy. Zmierzał na spotkanie z Mansfieldem Smithem-Cummingiem.

Mieszkanie w Victorii przestało wystarczać Tajnej Służbie. Jej dyrektor, którego nazywano C, przeniósł rozrastający się departament do eleganckiego wiktoriańskiego gmachu zwanego Whitehall Court nad brzegiem rzeki. Z okien widać było Big Bena. Prywatna winda zawiozła Fitz'a na ostatnie piętro. Szef szpiegów zajmował tam dwa mieszkania połączone kładką na dachu.

– Obserwujemy Lenina od lat – oznajmił C. – Jeśli nie zdołamy pozbawić go władzy, stanie się jednym z najgorszych tyranów, jakich znał świat.

– Sądzę, że ma pan rację. – Fitz z ulgą przyjął fakt, że C ma takie samo zdanie o bolszewikach jak on. – Ale co możemy zrobić?

– Pomówmy o tym, co pan może zrobić. – C wziął z biurka stalowy cyrkiel do pomiaru odległości na mapach i jakby w roz-targnieniu wbił sobie szpikulec w lewą nogę.

Fitz zdołał opanować krzyk, który chciał wyrwać mu się z gardła. To była próba, naturalnie. Przypomniał sobie, że C przeżył wypadek samochodowy i od tej pory ma drewnianą nogę.

– Niezła sztuczka. Prawie się nabrałem.

C odłożył cyrkiel i spojrzał twardo na Fitz'a przez monokl.

– Pewien Kozak na Syberii zdołał obalić miejscowy reżim bolszewicki. Chcę wiedzieć, czy opłaca nam się udzielić mu wsparcia.

– W otwarty sposób? – zdziwił się Fitz.

– Oczywiście, że nie. Ale dysponuję tajnym funduszem. Jeśli zdołamy podtrzymać zarzewie kontrrewolucji na wschodzie, będzie to warte, powiedzmy, dziesięć tysięcy funtów miesięcznie.

– Jak brzmi jego nazwisko?

– Semenów. Jest kapitanem i ma dwadzieścia osiem lat.

Stacjonuje w Manczuli, nieopodal wschodniej odnogi chińskiej kolei i jej łącznika z koleją transsyberyjską.

– Kapitan Semenów kontroluje więc jedną linię kolejową i mógłby zająć drugą?

– Otóż to. I nienawidzi bolszewików.

– Dlatego musimy jak najwięcej się o nim dowiedzieć.

– Na tym polega pańskie zadanie.

Fitz był rad, że będzie miał szansę przyczynić się do obalenia Lenina: Nasuwało mu się wiele pytań. Jedno z nich brzmiało: jak odnaleźć Semenowa? Kapitan jest Kozakiem, a ci mają wątpliwą

sławę ludu, który najpierw strzela, a potem zadaje pytania. Zechce porozmawiać z Anglikiem czy go zabije? Rzecz jasna będzie twierdził, że pokona bolszewików, ale czy Fitz zdoła ustalić, jak jest naprawdę? Czy potrafi ocenić, czy Brytyjczycy efektywnie wydają pieniądze?

Zadał jednak C inne pytanie:

– Czy ja nadaję się do tej misji? Proszę wybaczyć, ale jestem znaną postacią, nawet w Rosji nie mogę liczyć na anonimowość...

– Szczerze powiedziawszy, nie mamy dużego wyboru. Potrzebujemy kogoś wysoko postawionego, na wypadek gdyby trzeba było z Semenowem negocjować. A niewiele jest ludzi godnych zaufania i znających rosyjski. Proszę mi wierzyć, jest pan najlepszym, jakiego mamy.

– Rozumiem.

– To będzie niebezpieczna misja.

Fitzowi stanął przed oczami obraz wieśniaków, którzy zatłukli na śmierć Andrieja. Równie dobrze to mógł być on, Fitz. Opanował dreszcz strachu.

– Zdaję sobie sprawę z zagrożenia – rzekł spokojnie.

– Pojedzie pan do Władywostoku?

– Oczywiście – odparł Fitz.

ROZDZIAŁ 31

Maj - wrzesień 1918 roku

i.

Gus Dewar opornie oswajał się z wojaczką. Był tyczkowaty i niezgrabny, dlatego maszerowanie, rytmiczne stukanie obcasami i salutowanie sprawiały mu trudność. Ćwiczeń gimnastycznych nie wykonywał od czasów szkolnych. Przyjaciele znający jego upodobanie do kwiatów na stole w jadalni oraz lnianej pościeli na łóżku uważali, że pobyt w wojsku będzie dla niego szokiem. Chuck Dixon, który przeszedł z nim szkolenie oficerskie, powiedział:

– Dla ciebie nawet domowa łazienka jest torem przeszkód.

Gus jednak przetrwał. W wieku jedenastu lat trafił do szkoły z internatem, więc prześladowanie ze strony silniejszych rówieśników i słuchanie rozkazów głupich przełożonych nie było dlań pierwszą. Usłyszał trochę drwin na okoliczność bogatych rodziców i dobrych manier, lecz zniósł je cierpliwie.

Kiedy należało się sprężyć, ruchy Gusa charakteryzowały się swoistą elegancją którą dotąd prezentował jedynie na korcie tenisowym.

– Wyglądasz jak żyrafa i biegasz podobnie jak ona – zauważył Chuck.

Gus dobrze radził sobie w boksie ze względu na zasięg ramion, choć instruktor w stopniu sierżanta zakomunikował z żalem, że brakuje mu instynktu zabójcy.

Niestety, okazał się fatalnym strzelcem.

Chciał spisać się dobrze w wojsku między innymi po to, by pokazać wszystkim, że się mylą. Pragnął im udowodnić – a być może i sobie – że nie jest fajtłapą. Miał też jeszcze jeden powód: wierzył w to, o co walczy.

Prezydent Wilson wygłosił do połączonych izb Kongresu i Senatu przemówienie, które odbiło się echem na całym globie niczym sygnał wojskowej trąbki. Wzywał ni mniej, ni więcej, tylko do stworzenia nowego światowego ładu. „Należy stworzyć powszechne stowarzyszenie narodów oparte na szczegółowych umowach, które zagwarantuje polityczną suwerenność oraz nienaruszalność terytorialną zarówno krajom wielkim, jak i małym”. Liga Narodów była marzeniem Wilsona, Gusa i wielu innych.

O dziwo, także sir Edwarda Greya, który jako pierwszy wysunął tę

ideę, pełniąc funkcję sekretarza spraw zagranicznych. Wilson przedstawił swój program w czternastu punktach. Opowiadał się za redukcją zbrojeń, za prawem narodów kolonialnych do decydowania o swojej przyszłości, za przyznaniem wolności narodom bałkańskim, Polsce oraz narodom poddanym Imperium Osmańskiemu. Wystąpienie zasłynęło pod nazwą Czternastopunktowego planu Wilsona. Gus zazdrościł tym, którzy pomogli prezydentowi je napisać. Kiedyś i on miałby w tym swój udział.

„Cały program osnuty jest wokół jednej idei – tłumaczył Wilson. – To zasada sprawiedliwości dla wszystkich narodów i narodowości oraz ich prawa do istnienia na takich samych warunkach swobody i bezpieczeństwa, bez względu na ich potęgę”. Czytając te słowa, Gus miał łzy w oczach. „Naród Stanów Zjednoczonych nie mógłby postępować według żadnej innej zasady”. Czy to możliwe, by narody rozwiązywały spory bez wojny? Paradoksalnie, to coś, o co warto walczyć.

Gus i Chuck wraz z batalionem karabinów maszynowych zostali przewiezieni z Hoboken w stanie New Jersey do portu i weszli na pokład „Corinny”, niegdyś luksusowego statku pasażerskiego, teraz przystosowanego do przewozu wojska. Rejs trwał dwa tygodnie. Jako podporucznicy mieli wspólną kabinę na górnym pokładzie. Zaprzyjaźnili się, mimo że niegdyś rywalizowali o rękę Olgi Vyalov.

Statek płynął w eskortowanym przez okręty marynarki wojennej konwoju. Rejs przebiegł spokojnie, jeśli nie liczyć śmierci kilkunastu żołnierzy, którzy zmarli na grypę hiszpankę, nową chorobę ogarniającą cały świat. Wyżywienie było nędzne. Żołnierze kpili, że Niemcy zrezygnowali z wojny podwodnej i postanowili wygrać wojnę, podtruwając wroga.

„Corinna” stała przez półtora dnia na redzie w Breście, porcie leżącym na koniuszku północno-zachodniego wybrzeża Francji. Gdy wysiedli na brzeg, otoczyli ich ludzie i pojazdy. Zniecierpliwieni oficerowie wykrzykiwali rozkazy, ryczały silniki aut, wszędzie uwijali się spoceni dokerzy. Gus nieopatrznie zapytał jakiegoś sierżanta o przyczynę opóźnienia.

– Opóźnienia, panie poruczniku? – zdziwił się tamten.

Wyrażenie „panie poruczniku” zabrzmiało w jego ustach jak obelga. – Wczoraj wyładowaliśmy pięć tysięcy chłopów wraz z samochodami, działami, namiotami i kuchniami polowymi. Przerzuciliśmy ich w pobliże torów kolejowych i dróg. Dzisiaj wyładujemy następnych pięć tysięcy, jutro tak samo. Nie ma żadnych opóźnień, panie poruczniku. Zapierdalamy jak wszyscy diabli.

Chuck uśmiechnął się do Gusa.

– Ostrzegalem cię.

Dokerami byli żołnierze o ciemnym kolorze skóry. Ilekroć czarni i biali musieli korzystać z tych samych pomieszczeń, dochodziło do awantur wywoływanych zwykle przez białych rekrutów z głębokiego południa Stanów Zjednoczonych. Wojsko dało za wygraną. Aby uniknąć mieszania ras na froncie, pułki kolorowych przydzielono do wykonywania prac na tyłach. Gus wiedział, że murzyńscy żołnierze są z tego powodu rozżaleni: chcieli walczyć za ojczyznę tak samo jak wszyscy inni. Większość pułku wyjechała z Brestu pociągiem. Żołnierze nie podróżowali wagonami pasażerskimi, lecz zostali stłoczeni w wagonach do przewozu bydła. Gus rozbawił kolegów, odczytując napis na ścianie wagonu: Czterdziestu mężczyzn albo osiem koni. Batalion karabinów maszynowych miał jednak własne pojazdy, toteż Gus i Chuck dotarli do obozu na południe od Paryża samochodem. W kraju ćwiczyli walkę w okopach, używając drewnianych karabinów, teraz jednak dostali prawdziwą broń i amunicję. Gus i Chuck jako oficerowie otrzymali półautomatyczne pistolety Colt M1911 z magazynkiem na siedem naboju w ręczce. Przed opuszczeniem Stanów zrzucili z głów kapelusze w stylu Kanadyjskiej Policji

Konnej i dostali bardziej praktyczne furażerki. Mieli również stalowe hełmy w kształcie miski, takie same jak te, które nosili Brytyjczycy. Francuscy instruktorzy w granatowych mundurach uczyli ich walczyć w koordynacji z ciężką artylerią. Armia amerykańska nie potrzebowała dotąd tej umiejętności. Gus znał francuski, toteż siłą rzeczy wyznaczono go na oficera łącznikowego. Stosunki między żołnierzami obu narodowości układały się dobrze, choć Francuzi skarżyli się, że po przybyciu amerykańców poszła w górę cena brandy. Niemiecka ofensywa postępowała przez cały kwiecień. We Flandrii wojska Ludendorffa zdobywały teren tak szybko, że generał Haig oznajmił, iż Brytyjczycy są przyparci do muru. Określenie to wywołało szok Amerykanów. Gusowi nie spieszyło się do boju, lecz Chucka zaczął denerwować przestój w obozie szkoleniowym. Nie rozumiał, dlaczego bawią się w udawane bitwy, zamiast walczyć w prawdziwych. Najbliższa linia frontu przebiegała w Szampanii pod miastem Rheims na północny wschód od Paryża. Dowódca Gusa, pułkownik Wagner, oznajmił mu, że zgodnie z zapewnieniami alianckiego wywiadu Niemcy nie przeprowadzą ofensywy w tamtym sektorze. Okazało się jednak, że wywiad aliancki bardzo się pomylił.

II.

Waltera rozpieszczała radość. Straty były duże, lecz strategia Ludendorffa się sprawdzała. Niemcy atakowali słabe punkty wroga, błyskawicznie posuwali się naprzód i omijali silne punkty oporu, zostawiając je oddziałom posuwającym się za awangardą. Generał Foch, nowy dowódca naczelny armii sprzymierzonych, wykonał kilka zręcznych manewrów obronnych, lecz wojska niemieckie zdobywały teren tak szybko, jak nigdy dotąd w czasie tej wojny. Natarcie grzęzło jednak, ilekroć niemieccy żołnierze natrafiali na magazyny z żywnością. Zatrzymywali się i obżerali, a Walter nie był w stanie zmusić ich do dalszego marszu, dopóki nie napełnili brzuchów. Widok był przedziwny: żołnierze siadali na ziemi, wypijali surowe jajka, jednocześnie napychali sobie usta ciastem i szynką albo żłopali wino prosto z butelki, nie bacząc na spadające pociski artyleryjskie i gwiżdżące im nad głowami kule. Inni oficerowie borykali się z tym samym problemem. Niektórzy straszili podwładnych pistoletami, lecz nawet to nie mogło skłonić ich do pozostawienia strawy i podjęcia marszu. Poza tym wiosenna ofensywa okazała się wielkim triumfem. Walter i jego żołnierze byli wyczerpani po czterech latach wojny, lecz to samo odnosiło się do żołnierzy francuskich i brytyjskich, których napotykali w walce.

Po ofensywach 1918 roku nad Sommą i we Flandrii Ludendorff zaplanował trzecią, która miała nastąpić w sektorze frontu pomiędzy Rheims i Soissons. Alianci utrzymywali tam wznieśienia zwane Chemin des Dames, czyli „Droga Dam”. Nazwa wzięła się stąd, że Ludwik XV kazał w tej okolicy zbudować drogę dla swoich córek udających się w odwiedzinach do przyjaciółki.

Ostatnie oddziały przerzucono tam w niedzielę dwudziestego szóstego maja. Dzień był słoneczny, wiał lekki północno-wschodni wiatr. Walter znów patrzył z dumą na maszerujące na front oddziały i tysiące dział, rozmieszczanych pomimo nękającego ostrzału francuskiej artylerii. Z ziemianek, w których mieściły się sztaby, ciągnięto linie telefoniczne do pozycji baterii.

Ludendorff nie zmienił taktyki. O drugiej w nocy artyleria zaczęła ostrzeliwać francuskie pozycje na wzgórzach pociskami z gazem oraz szrapnelami. Walter z zadowoleniem zauważył, że ogień francuskich dział momentalnie osłabł. Świadczyło to o tym, że niemieckie pociski trafiły w cel. Przygotowanie artyleryjskie zgodnie z nową taktyką było krótkie i zakończyło się za kwadrans

szósta.

Do akcji ruszyli szturmowcy.

Niemcy nacierali pod górę, lecz napotkali niewielki opór. Walter zdziwił się i ucieszył, dotarłszy do drogi na grzbiecie wzgórza w niespełną godzinę. Było już widno, dostrzegł więc Francuzów wycofujących się po zboczu.

Szturmowcy posuwali się równo z postępującym ostrzałem artyleryjskim i przed południem dotarli do rzeki Aisne płynącej dnem doliny. Niektórzy rolnicy spalili w stodołach maszyny i wcześniej zebrane plony, lecz większość pierzchła w pośpiechu, zostawiając bogate łupy oddziałom rekwizycyjnym zamykającym tyły niemieckich wojsk. Walter ze zdumieniem stwierdził, że wycofujący się Francuzi nie wysadzili mostów na Aisne. Oznaczało to, że uciekają w panice.

Po południu pięciuset żołnierzy Waltera stanęło na następnym grzbiecie i rozbiło obóz po drugiej stronie rzeki Vesle. W ciągu jednego dnia zdobyli dwanaście mil terenu.

Nazajutrz odpoczywali, czekając na uzupełnienia, lecz następnego dnia znów ruszyli do walki. Czwartego dnia, w czwartek trzydziestego maja, zdobywszy od poniedziałku trzydzieści mil terenu, stanęli na północnym brzegu Marny.

Walter pamiętał, że w 1914 roku właśnie w tym miejscu ugrzęzła niemiecka ofensywa.

Poprzysiągł sobie, że to się nie powtórzy.

III.

Gus przebywał wraz z Amerykańskimi Siłami Ekspedycyjnymi w obozie szkoleniowym Chateauvillain na południe od Paryża. Trzydziestego maja Trzecia Dywizja otrzymała rozkaz wyruszenia na linię obrony Marny. Większość żołnierzy wsiadła do pociągów, mimo że zdewastowane francuskie koleje mogły ich przewieźć na miejsce dopiero za kilka dni. Gus i Chuck oraz ich batalion karabinów maszynowych wyruszyli natychmiast samochodami.

Gus odczuwał jednocześnie dreszcz podniecenia i strach. To nie jest walka na ringu, w której sędzia może wkroczyć do akcji, wymusić przestrzeganie zasad i przerwać pojedynek, gdy ten stanie się zbyt niebezpieczny. Jak się zachowa, kiedy wróg naprawdę będzie do niego strzelał? Odwróci się i ucieknie? Co go przed tym powstrzyma? Zwykle w swoim postępowaniu kierował się logiką. Samochody były równie zawodne jak pociągi, wiele pojazdów stawało z braku paliwa. Jazdę utrudniali cywile zmierzający w przeciwnym kierunku. Uciekając przed bitwą, niektórzy prowadzili stada krów, inni wieźli swój dobytek na wózkach i taczkach.

W piątek o osiemnastej oddział z siedemnastoma karabinami maszynowymi dotarł do miasteczka Chateau-Thierry, pięćdziesiąt mil na wschód od Paryża. Położona na obu brzegach Marny miejscina wyglądała uroczonie w blasku zachodzącego słońca. Południowe przedmieście z leżącym po północnej stronie rzeki centrum łączyły dwa mosty. Francuzi utrzymywali oba brzegi, lecz czołówka niemieckich wojsk dotarła do północnych rogatek miasta.

Batalion Gusa dostał rozkaz rozmieszczenia broni wzdłuż południowego brzegu rzeki i zamknięcia mostów. Uzbrojenie stanowiły ciężkie karabiny maszynowe M1 914 Hotchkiss ustawione na masywnych trójnogach, ładowane metalowymi taśmami zawierającymi po dwieście pięćdziesiąt naboju. batalion miał także na wyposażeniu granaty wystrzeliwane z ustawionych na podpórce pod kątem czterdziestu pięciu stopni karabinów, jak również kilka moździerzy Stokesa.

O zachodzie słońca Gus i Chuck sprawdzali rozmieszczenie plutonów między mostami. W czasie szkolenia nie przygotowano ich do podejmowania takich decyzji, musieli więc kierować się

zdrowym rozsądkiem. Gus wybrał trzykondygnacyjny budynek ze zdemolowaną kafejką na parterze. Włamał się tylnymi drzwiami i wspiał po schodach. Z okienka na poddaszu było doskonale widać rzekę oraz prowadzącą na północ uliczkę na drugim brzegu. Rozkazał ustawić tam ciężki karabin maszynowy. Spodziewał się usłyszeć od sierżanta, że to idiotyczny pomysł, lecz ten tylko skinął głową i zabrał się do roboty.

Gus rozlokował w podobnych miejscach jeszcze trzy karabiny maszynowe.

Rozglądał się, szukając odpowiedniej kryjówki dla moździerzy, i znalazł murowany dok na brzegu Marny. Nie był pewny, czy budynek stoi w jego sektorze, czy w sektorze Chucka, zaczął więc szukać kolegi. Ten stał sto jardów dalej nieopodal wschodniego mostu i patrzył przez lornetkę na drugą stronę rzeki. Gus zrobił dwa kroki w tym kierunku i nagle rozległ się straszliwy huk.

Odwrócił się i usłyszał kilka kolejnych ogłuszających huków. Dopiero widok pióropusza wody uprzytomnił mu, że niemiecka artyleria otworzyła ogień.

Spojrzał na Chucka i zobaczył, że jego przyjaciel znika w tumanie ziemi.

– Jezu Chryste! – krzyknął, rzucając się ku niemu.

Na południowym brzegu wybuchały pociski i granaty moździerzowe. Żołnierze padli na ziemię. Gus dobiegł do miejsca, w którym ostatni raz widział Chucka, i rozejrzał się zdumiony. Zobaczył tylko zwały ziemi i kamienie. Spostrzegłszy rękę wystającą z gruzu, przesunął kamień. Zmartwiał, gdyż między kamieniami leżała sama ręka.

Czy należy do Chucka? Musi istnieć jakiś sposób sprawdzenia tego, lecz Gus był zbyt wstrząśnięty, aby na niego wpaść. Czubkiem buta odgarnął ziemię, a następnie uklęknął i zaczął kopać. Po chwili wyłonił się brązowy kołnierzyk z metalowym krążkiem oraz znaczkiem US.

– O mój Boże – jęknął. Błyskawicznie odgarnął ziemię z twarzy Chucka. Ten jednak leżał nieruchomo i nie oddychał. Serce nie biło.

Gus próbował sobie przypomnieć, jak należy postąpić. Kogo zawiadomić o jego śmierci? Trzeba coś zrobić z ciałem, ale co? Zwykle w takiej sytuacji wzywa się grabarza.

Podniósł głowę i zobaczył sierżanta i dwóch kaprali, którzy na niego patrzyli. Gdzieś za nimi na ulicy eksplodował granat moździerzowy i wszyscy trzej odruchowo schylili głowy, lecz zaraz znów popatrzyli na Chucka. Gus uświadomił sobie, że czekają na jego rozkazy.

Wyprostował się błyskawicznie i przypomniał sobie, czego uczono go na szkoleniu. Nie do niego należy zajmowanie się poległymi i rannymi towarzyszami. On żyje i ma się dobrze, jego obowiązkiem jest walczyć. Poczul przypływ irracjonalnego gniewu na Niemców, którzy zabili Chucka. Do diabła, odpłacę im za to. Przypomniał sobie, co ma do zrobienia. Pilnował rozmieszczania karabinów, tego należy się trzymać. Teraz będzie musiał wziąć pod komendę pluton Chucka.

Skinął na sierżanta dowodzącego moździerzami.

– Nie lokujcie się w tym doku, jest za bardzo odsłonięty. – Wskazał wąską alejkę między winiarnią i stajnią. – Rozstawcie trzy moździerze w tamtej uliczce.

– Tak jest – odparł sierżant i ruszył wykonać rozkaz.

Gus spojrzał na ulicę.

– Widzicie ten płaski dach, kapralu? Ustawcie tam karabin maszynowy.

– Przepraszam, panie poruczniku, ale to warsztat samochodowy. Może pod nim być zbiornik z paliwem.

– Niech to szlag, macie rację. Słuszne spostrzeżenie, kapralu. W takim razie idźcie na wieżę tamtego kościoła. Będą pod nią

tylko modlitewniki.

– Tak jest, panie poruczniku. Doskonałe miejsce.

– Reszta za mną. Ukryjmy się, a ja pomyślę, gdzie rozlokować resztę sprzętu.

Poprowadził żołnierzy przez drogę, a następnie ulicą. Na tyłach budynków biegła wąska dróżka. Pocisk artyleryjski spadł przed sklepem z artykułami rolniczymi. Na Gusa posypała się chmura nawozu w proszku, przypominając mu, że nie znajduje się poza zasięgiem ognia.

Biegł ścieżką, w miarę możliwości kryjąc się za ścianami i wrykując rozkazy podoficerom. – Rozmieszczał karabiny w najwyższych i najsolidniejszych budynkach, a moździerze w ogródkach między domami. Czasem podkomendni sami coś sugerowali albo nie zgadzali się z nim. Wysłuchiwał ich i szybko podejmował decyzje.

Wkrótce zapadł zmierzch i robota stała się trudniejsza. Niemcy zasypywali miasteczko pociskami, z których większość trafiała w amerykańskie pozycje na południowym brzegu rzeki. Kilka budynków uległo zniszczeniu. Ulica nad brzegiem wyglądała teraz jak szczerbate uzębienie. W ciągu paru godzin trzy karabiny maszynowe zostały wyeliminowane przez ostrzał artyleryjski. O północy Gus zdołał wrócić do kwatery głównej batalionu, mieszczącej się w wytwórni maszyn do szycia. Pułkownik Wagner pochylił się ze swoim francuskim odpowiednikiem nad dokładnym planem miasta. Gus zameldował, że wszystkie karabiny z jego plutonu oraz z plutonu Chucka zajęły pozycje bojowe.

– Dobra robota, Dewar – pochwalił pułkownik – Nic wam nie jest?

– Ależ skąd, panie pułkowniku – odparł Gus. Pytanie dowódcy zdziwiło go i nieco dotknęło. Najwyraźniej Wagner uważał, że brakuje mu odwagi, by wykonać zadanie.

– Pytam, bo macie mnóstwo krwi na mundurze.

– Naprawdę? – Gus stwierdził, że na przodzie munduru jest sporo zakrzepłej krwi. – Ciekawe, skąd się wzięła.

– Wygląda na to, że z waszej twarzy. Macie paskudnie przeciętą skórę.

Gus dotknął policzka i skrzywił się, wyczuwając żywe mięso.

– Nie mam pojęcia, kiedy to się stało.

– Idźcie do ambulatorium, niech oczyszczą ranę.

– To nic poważnego, panie pułkowniku. Wolałbym...

– Róbcie, co mówię, poruczniku. Jeśli dojdzie do zakażenia, rana będzie poważna. – Pułkownik się uśmiechnął. – Nie chcę pana stracić. Ma pan zadatki na dobrego oficera.

IV.

Nazajutrz o czwartej rano Niemcy odpalili ładunki z gazem.

O świcie Walter z oddziałem podszedł od północy do miasteczka, spodziewając się natrafić na opór równie słaby jak ten, z którym miał do czynienia przez ostatnie dwa miesiące.

Woleliby ominąć Chateau-Thierry, lecz było to niemożliwe.

Przez miasteczko przebiegała linia kolejowa i znajdowały się w nim dwa mosty. Należało je zdobyć.

Pola i wiejskie domki ustąpiły miejsca większym, następnie pojawiły się brukowane ulice i ogrody. Gdy Walter zbliżył się do pierwszego z piętrowych budynków, z okna na piętrze poleciała seria z karabinu maszynowego. Pociski rozprysły się u jego stóp niczym krople deszczu na powierzchni stawu. Rzucił się nad niskim ogrodzeniem na grządkę warzywną i przetoczył za jabłko. Jego żołnierze rozpierzchli się w podobny sposób, lecz dwóch upadło na drogę. Jeden leżał bez ruchu, drugi jęczał z bólu.

Walter obejrzał się za siebie i wypatrzył sierżanta Schwaba.

– Weźcie sześciu ludzi, znajdźcie tylne wejście do domu i zniszczcie stanowisko karabinu maszynowego. – Poszukał wzrokiem poruczników. – Von Kessel, przejdźcie jedną przecznicę w kierunku zachodnim i stamtąd wkroczcie do miasta. Von Braun, my pójdziemy na wschód.

Trzymał się z dala od ulic, przemykał drózkami i podwórkami, lecz mniej więcej w co dziesiątym domu znajdowali się strzelcy i karabiny maszynowe. Walter uświadomił sobie z drżeniem serca, że coś przywróciło Francuzom bojowego ducha.

Szturmowcy przez cały ranek walczyli o poszczególne domy, ponosząc ciężkie straty. Nie w taki sposób mieli działać; straty na każdym podwórzu nie były przewidziane. Wyszkolono ich, by szli tam, gdzie jest najmniejszy opór, wdzierali się głęboko za linie wroga i przerywali połączenia komunikacyjne, osłabiając morale obrońców i odbierając im wiarę w dowódców tak, by szybko kapitulowali przed nadchodzącą piechotą. Jednak ta taktyka zawodziła. Szturmowcy zmagali się mozolnie z przeciwnikiem, który, jak się wydawało, złapał drugi oddech.

Mimo to zdobywali teren i w południe Walter stanął w ruinach średniowiecznego zamku, od którego miasteczko wzięło nazwę. Zamek wznosił się na szczycie wzgórza, a u jego stóp stał ratusz. Od niego prostą linią odchodziła główna ulica, a dwieście pięćdziesiąt jardów dalej zaczynał się most z podwójnym łukiem. Pięćset jardów na wschód w górę rzeki znajdował się most kolejowy stanowiący drugą przeprawę przez Marne.

Walter widział wszystko gołym okiem. Wyjął lornetkę i skierował ją na pozycje wroga na południowym brzegu rzeki. Żołnierze lekkomyślnie pozostawiali na widoku, co świadczyło o tym, że są żółtodziobami. Weterani się nie pokazują. Zobaczył młode, pełne energii, dobrze odżywione i ubrane wojsko. Z lękiem skonstatował, że mundury są jasnobrązowe, a nie granatowe. Amerykanie.

V.

Po południu Francuzi wrócili na północny brzeg rzeki. Gus zdołał zrobić dobry użytek ze swojego sprzętu, kierując ostrzał moździerzy i karabinów maszynowych ponad głowami Francuzów na atakujących Niemców. Amerykanie zasypali pociskami biegnące z północy na południe uliczki Chateau-Thierry, zamieniając je w pola śmierci. Mimo to Niemcy nieubłaganie posuwali się od banku do kafejki, od bramy do bramy, miażdżąc Francuzów przewagą liczebną.

Późne popołudnie zmieniło się w czerwony jak krew wieczór. Z wysoko położonego okna Gus dostrzegał resztki Francuzów wycofujących się w stronę zachodniego mostu. Ustawili ostatnie stanowisko na jego północnym krańcu i utrzymali je, aż czerwone słońce skryło się za wzgórzami na zachodzie. Pod osłoną ciemności ruszyli na drugą stronę.

Grupka Niemców zauważyła to i rzuciła się w pościg. Gus widział ich szare mundury, mimo że rozmywały się w mroku. Nagle most eksplodował. Francuzi wcześniej go zaminowali i okablowali. Ciała niemieckich żołnierzy leciały w powietrze, a północny łuk mostu runął do wody.

Zapadła cisza.

Gus położył się na sienniku w kwaterze i po raz pierwszy od prawie dwóch dób trochę się przespał. O świcie zbudził go ostrzał niemieckiej artylerii. Z czerwonymi od niewyspania oczami wybiegł z fabryki i popędził nad rzekę. W perlistym blasku czerwonego poranka ujrzał Niemców na całym północnym brzegu. Ostrzeliwali Amerykanów po drugiej stronie z zabójczo bliskiej odległości.

Kazał zluzować żołnierzy czuwających przez całą noc i zastąpić

ich tymi, którzy zdołali nieco odpocząć. Następnie przechodził od jednego stanowiska do drugiego, kryjąc się za nadbrzeżnymi zabudowaniami, i podpowiadał, jak lepiej zabezpieczyć stanowiska. Strzelca przesunął do mniejszego okienka, kazał wykorzystać płyty z blachy falistej do osłony przed odpryskami, usypać stopy gruzu po obu stronach karabinu maszynowego. Jednak najlepszą ochroną własnego życia było utrudnienie życia wrogom.

– Zgotujcie im piekło.

Podwładni zareagowali ochoczo na tę zachętę. Karabin Hotchkissa wystrzeliwał czterysta pięćdziesiąt pocisków na minutę, a jego zasięg wynosił cztery tysiące jardów, toteż świetnie się nadawał do ostrzeliwania drugiego brzegu rzeki. Moździerz Stokesa okazał się mniej skuteczny, gdyż jego przeznaczeniem była walka w okopach, gdzie ogień bezpośredni ma niewielką skuteczność. Jednak ręczne granatniki siały spore spustoszenie w szeregach wroga.

Przeciwnicy walczyli jak dwaj bokserzy zamknięci w beczce i okładający się gołymi pięściami. Nieustający łoskot ogromnej ilości wystrzeliwanej amunicji ogłuszał. Budynek waliły się w gruz, ranni żołnierze krzyčili z bólu. Zakrwawieni sanitariusze biegali od brzegu do polowego ambulatorium i z powrotem, gońcy roznosili amunicję oraz kubki z gorącą kawą strudżonym żołnierzom obsługującym karabiny maszynowe.

Czas płynął, a Gus na wpół świadomie odnotował, że już się nie boi. Nie myślał o strachu, bo było do wykonania tak wiele zadań. W południe znalazł się w fabryce. Poszedł do kantyny i zamiast zjeść lunch, chciwie pił słodką kawę z mlekiem. Przyszło mu na myśl, że nastąpiła w nim dziwna zmiana, że stał się kimś innym. Czy Gus Dewar naprawdę śmiga od budynku do budynku pomimo trwającej kanonady i pokrzykuje na swoich żołnierzy, by dali Niemcom popalić? Przecież ten sam młokos bał się, że puszcza mu nerwy, odwróci się i zwieje z pola bitwy. Tymczasem prawie nie myślał o własnym bezpieczeństwie, martwiąc się zagrożeniem wiszącym nad jego ludźmi. Jak to się stało? Podeszedł do niego kapral i poinformował, że jego pododdział stracił specjalny klucz służący do wymiany przegrzanej lufy hotchkissa. Gus przełknął resztkę kawy i popędził, by zająć się rozwiązaniem problemu. Wieczorem przeżył jednak chwilę strachu. O zmierzchu spojrzął przez wybite okno kuchni na miejsce, w którym zginął Chuck Dixon. Nie szokowało go już to, że przyjaciel zniknął tak nagle w pióropuszu ziemi. Przez ostatnie trzy dni oglądał śmierć i zniszczenie. Przeraził się z innego powodu: uświadomił sobie, że pewnego dnia będzie musiał o tej strasznej chwili opowiedzieć rodzicom Chucka, Albertowi i Emmeline, właścicielom banku w Buffalo, oraz jego żonie Doris, która tak sprzeciwiała się przystąpieniu Ameryki do wojny. Prawdopodobnie czuła lęk właśnie przed tym, co się wydarzyło. Co im powiedzieć? „Chuck walczył dzielnie”. Tymczasem Chuck wcale nie walczył, gdyż zginął w pierwszej minucie bitwy, nie oddawszy ani jednego strzału. Nie miałyby znaczenia, gdyby był tchórzem, wynik byłby taki sam. Jego życie zostało zmarnowane.

Gdy tak patrzył, zagubiony w myślach, kątem oka dostrzegł ruch na moście kolejowym.

Na ułamek sekundy jego serce straciło rytm. Na dalszym końcu mostu ukazały się jakieś postacie. Polowe mundury ledwo majaczyły w półmroku. Żołnierze biegli niezdarnie po torach, potykając się na żwirze i podkładach. Mieli rozszerzające się u dołu hełmy i nieśli karabiny zawieszane na paskach. To byli Niemcy.

Gus popędził do najbliższego stanowiska karabinu maszynowego znajdującego się tuż za murem ogrodu. Obsługa nie zauważyła natarcia. Klepnął strzelca w ramię.

– Ogień na most! Niemcy atakują! – Strzelec skierował lufę na nowy cel.

Gus wskazał pierwszego z brzegu żołnierza.

– Pędźcie do kwatery dowództwa i zameldujcie o ataku wroga

na wschodni most. Tylko raz-dwa!

Rozejrzał się za sierżantem.

– Dopilnujcie, żeby wszyscy ostrzelowali most. Wykonać! Skierował się na zachód. Przeniesienie ciężkich karabinów maszynowych nie było łatwe, gdyż razem z trójnogiem hotchkiss ważył osiemdziesiąt osiem funtów. Wszystkim żołnierzom obsługującym moździerz i ręczne granatniki rozkazał zająć nowe pozycje pozwalające bronić przeprawy.

Niemcy zaczęli padać pod ostrzałem, lecz uparcie parli naprzód. Gus dojrzał przez lornetkę wysokiego mężczyznę w mundurze majora, który wyglądał znajomo. Pomyślał, że mógł go spotkać przed wojną. Nagle major został trafiony pociskiem i upadł na ziemię.

Atakujący mieli huraganowe wsparcie swojej artylerii. Wydawało się, że wszystkie działa na drugim brzegu Marny wzięły na cel południowy kraniec mostu, na którym zgrupowali się amerykańscy obrońcy. Żołnierze Gusa padali jeden po drugim, lecz każdego zabitego bądź rannego od razu zastępował nowy strzelec, tak więc ostrzał trwał nieustannie.

Niemcy przerwali bieg i skryli się za wątlą osłoną, jaką stanowili zabici towarzysze. Najodważniejsi szli dalej, nie mieli jednak gdzie się schować i zostali szybko powaleni.

Zapadł zmrok, ale nic się nie zmieniło: obie strony kontynuowały ostrzał z maksymalnym natężeniem. Sylwetki wrogów wyglądały jak cienie majaczące w blasku ognia karabinów i wybuchających pocisków. Gus kazał przenieść niektóre karabiny maszynowe na nowe stanowiska. Był niemal pewny, że atak nie jest fortem mającym odwrócić uwagę obrońców od przeprawy w innym miejscu. Niemcy uświadomili sobie, że sytuacja jest patowa, i zaczęli się wycofywać.

Widząc na moście ludzi z noszami, Gus rozkazał przerwać ogień.

W odpowiedzi ucichła niemiecka artyleria.

– Boże wszechmogący – szepnął Gus, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Chyba ich odparliśmy.

VI.

Wystrzelony przez Amerykanów pocisk strzaskał piszczel w nodze Waltera. Major leżał na torze, wijąc się z bólu, lecz poczuł się jeszcze gorzej na widok wycofujących się żołnierzy. Usłyszawszy milknącą artylerię, zrozumiał, że nie wykonał zadania. Wrzasnął z bólu, gdy sanitariusze kładli go na nosze. Krzyki rannych źle działały na morale żołnierzy, ale nie mógł się powstrzymać. Podskakując, pobiegli po torze, a następnie ulicą. Dotarli do ambulatorium, gdzie ktoś podał rannemu morfinę. Walter stracił przytomność.

Ocknął się z nogą w szynie. Każdego przechodzącego wypytywał o postępy bitwy, lecz nikt nie potrafił podać szczegółów. Wreszcie do punktu medycznego zawitał Gottfried von Kessel, by napawać się nieszczęściem Waltera, i oznajmił, że Niemcy zrezygnowali ze sforsowania Marny w Chateau-Thierry. Być może spróbują w innym miejscu.

Nazajutrz, tuż przed tym, jak Waltera wsadzono do pociągu jadącego do Niemiec, dowiedział się, że główna część amerykańskiej Trzeciej Dywizji dotarła nad Marne i zajęła pozycje na jej południowym brzegu.

Ranny towarzysz opowiedział mu o krwawej bitwie w lesie nieopodal miasteczka Bois de Belleau. Obie walczące strony poniosły dotkliwe straty, lecz zwyciężyli Amerykanie.

W Berlinie gazety wciąż donosiły o niemieckich triumfach, lecz linie na mapie ani o cal nie zbliżały się do Paryża. Walter z goryczą doszedł do wniosku, że wiosenna ofensywa się załamała.

Amerykanie przybyli za wcześnie.

Po wyjściu ze szpitala trafił do swojego starego pokoju w domu rodziców. Tam miał wracać do zdrowia.

Ósmego sierpnia, podczas ataku pod Amiens, alianci rzucili do walki prawie pięćset nowych pojazdów zwanych czołgami.

Te opancerzone pojazdy bojowe często się psuły, lecz trudno je było zatrzymać. Brytyjczycy zdobyli osiem mil terenu w ciągu jednego dnia.

Osiem mil to mało, lecz Walter podejrzewał, że losy batalii się odwróciły. Z twarzy ojca wyczytał to samo. W Berlinie już nikt nie mówił o zwycięstwie.

Pewnego wieczoru pod koniec września Otto wszedł do domu z taką miną, jakby ktoś umarł. Nic nie pozostało z jego naturalnej żywiołowości. Walter myślał, że ojciec zaraz się rozplacze.

– Kaiser wrócił do Berlina.

Walter wiedział, że cesarz przebywa w kwaterze głównej armii w belgijskim kurorcie Spa.

– Dlaczego?

Otto zniżył głos niemal do szeptu, jakby normalnym głosem nie mógł wymówić tego, co ma do powiedzenia.

– Ludendorff chce ... rozejmu.

ROZDZIAŁ 32

Październik 1918 roku

i.

Maud jadła lunch w Ritzu ze swoim przyjacielem lordem Remarkiem, który był zastępcą ministra w Ministerstwie Wojny.

Johnny miał na sobie nową lawendową kamizelkę. Przy gulaszu pot-au-feu Maud zapytała:

– Czy wojna naprawdę zmierza ku końcowi?

– Wszyscy tak uważają. Niemcy stracili w tym roku siedemset tysięcy żołnierzy. Nie mogą kontynuować walki.

Maud przyszła do głowy straszna myśl, że Walter mógł być jednym z owych siedmiuset tysięcy. Wiedziała, że to możliwe. Lęk zmroził jej serce. Nie dostała od niego wiadomości od ich sielankowego drugiego miesiąca miodowego w Sztokholmie. Domyślała się, że nie wyjeżdża już służbowo do krajów neutralnych, z których mógłby do niej pisać. Istniała jednak gorsza możliwość, o wiele bardziej prawdopodobna: Walter poszedł na front, by wziąć udział w ostatniej niemieckiej ofensywie, która miała o wszystkim rozstrzygnąć.

Te myśli były zatrważające, lecz realistyczne. Mnóstwo kobiet straciło ukochanych mężów, braci, synów i narzeczonych. Przez cztery lata takie tragedie były na porządku dziennym. Nie istniało już coś takiego jak przesadny pesymizm. Żałoba stała się normą. Maud odsunęła talerz z jedzeniem.

– Czy istnieją jakieś inne przesłanki dające nadzieję na pokój?

– Owszem. Niemcy mają nowego kanclerza, który napisał do Wilsona i zasugerował rozejm zgodny ze słynnym czternastopunktowym planem prezydenta.

– To może napawać nadzieją! Wilson się zgodził?

– Nie. Odpowiedział, że wpierv Niemcy muszą się wycofać ze wszystkich podbitych terenów.

– Jakie jest zdanie naszego rządu?

– Lloyd George się wścieka. Niemcy traktują Amerykanów jak ważniejszych partnerów w sojuszu, Wilson zaś poczyna sobie tak, jakby mógł zawrzeć pokój bez konsultacji z nami.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Obawiam się, że tak. Nasz rząd nie do końca zgadza się z czternastoma punktami Wilsona.

Maud skinęła głową.

- Przypuszczam, że nie ma zgody na punkt piąty mówiący o tym, iż narody w koloniach mają prawo do samostanowienia.
- Otóż to. Rodezja, Barbados, Indie... Jak można od nas oczekiwać proszenia tubylców o zgodę na to, byśmy ich cywilizowali? Amerykanie są zbyt liberalni. Poza tym nigdy nie zgodzimy się na punkt drugi dotyczący wolności żeglugi w czasie wojny i pokoju. Potęgą Wielkiej Brytanii opiera się na flocie. Nie zagłodzilibyśmy Niemiec i nie zmusili ich w ten sposób do uległości, gdybyśmy nie zdołali zablokować ich handlu morskiego.
- Co na to wszystko Francuzi?
- Johnny uśmiechnął się szeroko.
- Clemenceau oznajmił, że Wilson chce być lepszy od pana Boga. „Bóg przedstawił zaledwie dziesięć przykazań”. To jego słowa.
- Odnoszę wrażenie, że większość zwykłych Brytyjczyków popiera Wilsona i jego plan.
- Johnny skinął głową.
- Natomiast przywódcy europejscy nie mogą zakazać amerykańskiemu prezydentowi zawarcia pokoju.
- Maud tak bardzo chciała w to uwierzyć, że aż się przeraziła. Powiedziała sobie, że za wcześnie na radość. Może ją spotkać gorzkie rozczarowanie.
- Kelner przyniósł solę a la Waleska i spojrzał z podziwem na kamizelkę Johnny'ego.
- Maud miała jeszcze jeden powód do zmartwień.
- Są jakieś wiadomości o Fitzu? - Misję jej brata na Syberii okrywała tajemnica, lecz Fitz jej się zwierzył, a Johnny przekazywał biuletyny.
- Kozacki dowódca nas zawiódł. Fitz zawarł z nim układ i przez jakiś czas mu płaciliśmy, lecz ów człowiek okazał się zwykłym watażką. Fitz jednak pozostał na miejscu i ma nadzieję, że zdoła nakłonić Rosjan do obalenia bolszewików. Tymczasem Lenin przeniósł rząd z Piotrogradu do Moskwy, gdyż uważa, że tam nie grozi mu inwazja z zewnątrz.
- Gdyby udało się odsunąć bolszewików od władzy, czy nowa władza podjęłaby wojnę z Niemcami?
- Realistycznie rzecz biorąc, to niemożliwe. - Johnny napił się chablis. - Jednak wielu wpływowych członków brytyjskiego rządu po prostu nienawidzi bolszewików.
- Dlaczego?
- Reżim Lenina jest brutalny.
- Podobnie jak carat, a mimo to Winston Churchill nie knuł, by obalić cara.
- Kryje się pod tym obawa, że jeśli bolszewizm odniesie sukces w Rosji, dotrze i do nas.
- Jeśli odniesie sukces, to co w tym złego, że do nas przyjdzie? Johnny wzruszył ramionami.
- Nie możesz oczekiwać, by ludzie tacy jak twój brat podzielali ten pogląd.
- To prawda - przyznała Maud. - Ciekawe, jak on sobie radzi.

II.

- Jesteśmy w Rosji! - wykrzyknął Billy Williams, gdy statek przybił do nabrzeża i dały się słyszeć głosy dokerów. - Po cośmy się tu przywlekli, do kurwy nędzy?
- Ale jak to możliwe? - zdziwił się Tommy Griffiths. - Rosja leży na wschodzie, a my przez kilka tygodni żeglowaliśmy na zachód.
- Przeplłynęliśmy pół świata i dotarliśmy do Rosji z drugiej strony.
- Tommy'ego to nie przekonało. Wyjrzał przez reling.
- Te ludki wyglądają mi na Chińczyków.
- Ale gadają po rusku. Trochę podobnie jak ten woźnica

Peszków, który wykiwał braci Pontich przy grze w karty, a później prysnął.

Tommy wsłuchał się w głosy dokerów.

– A niech mnie. Masz rację.

– Musimy być na Syberii – orzekł Billy. – Nie dziwota, że mróz dupę ściska.

Kilka minut później dowiedzieli się, że są we Władywostoku.

Miejscomi nie zwrócili szczególnej uwagi na maszerujących ulicami Chłopców z Aberowen. W mieście przebywały już tysiące żołnierzy. Większość stanowili Japończycy, lecz byli także Amerykanie, Czesi i inni. Port pracował pełną parą, szerokimi bulwarami jeździły tramwaje. W mieście znajdowały się nowoczesne hotele, teatry i setki sklepów. Przypomina Cardiff i różni się jedynie temperaturą, pomyślał Billy.

Dotarłszy do koszar, zastali tam batalion starszych wiekiem londyńczyków przerzuconych z Hongkongu. Nic w tym dziwnego, że przysyłają na zadupie starych pierdzieli, stwierdził Billy. Tymczasem aberoweńczycy, choć zdziesiątkowani, mieli twardość weteranów. Kto spośród pociągających za sznurki kazał ich wywieźć z Francji i posłać na drugą stronę kuli ziemskiej?

Billy rychło poznał odpowiedź na swoje pytanie. Po obiedzie dowódca brygady, zadowolony z siebie dżentelmen tuż przed emeryturą, oznajmił żołnierzom, że przemówi do nich hrabia Fitzherbert.

Kapitan Gwyn Evans, właściciel sklepów wielobranżowych, przyniósł drewnianą skrzynkę służącą do przewozu puszek ze smalcem. Fitz wspinał się na nią. Ze względu na niesprawną nogę nie było to łatwe. Billy patrzył na niego bez cienia współczucia. Miał je dla Kulawego Pugha oraz innych byłych górników, którzy odnieśli rany, kopiąc węgiel dla pana hrabiego. Fitz był zadowolonym z siebie, butnym wyzyskiwaczem prostych mężczyzn i kobiet. Szkoda, że Niemcy trafili go w nogę zamiast w serce.

– Nasza misja ma cztery wymiary – zaczął, mówiąc donośnie, chcąc, aby jego głos dotarł do każdego z sześciuset mężczyzn. – Po pierwsze, musimy chronić naszą własność państwową. Obok bocznic kolejowych znajduje się duży skład broni pilnowany przez naszych wartowników. Być może zauważyliście go po wyjściu z przystani. Na dziesięciu tysiącach akrów złożono sześćset tysięcy ton amunicji oraz innego sprzętu przysłanego tu przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone w czasie, gdy Rosjanie byli naszymi sojusznikami. Teraz bolszewicy zawarli pokój z Niemcami, a my nie chcemy, by pociski, za które zapłacili nasi obywatele, wpadły w ich ręce.

– To bez sensu – powiedział Billy na tyle głośno, by usłyszał go Tommy oraz stojący obok koledzy. – Dlaczego w takim razie nie załadowali żelastwa z powrotem na statki i nie wysłali do kraju, zamiast nas tutaj ściągać?

Fitz zerknął gniewnie w stronę, z której dobiegł głos, lecz mówił dalej:

– Po wtóre, przebywa tu wielu czeskich patriotów. Jedni byli jeńcami wojennymi, drudzy przed wojną pracowali w tym regionie. Ludzie ci stworzyli Legion Czeski i pragną wsiąść na statek, by przyłączyć się do naszych sił we Francji. Nękają ich bolszewicy, a nasze zadanie polega na tym, by pomóc im się stąd wydostać. Miejscomi przywódcy społeczności kozackiej nam w tym dopomoga.

– Przywódcy społeczności kozackiej? – powtórzył Billy. – Komu on wciska te brednie? Toż to zwykli bandyci.

Fitz i tym razem usłyszał nieprzyjazne szemranie. Kapitan Evans z gniewną miną stanął w pobliżu Billy'ego.

– Na Syberii przebywa osiem tysięcy austriackich i niemieckich jeńców wojennych, których uwolniono po podpisaniu paktu pokojowego. Musimy zapobiec ich powrotowi na pole bitwy. Podejrzewamy, że Niemcy zerkają łakomie na pola naftowe w Baku na południu Rosji. Nie możemy im pozwolić się do nich dostać.

– Coś mi się zdaje, że Baku leży kawał drogi stąd – mruknął Billy.

– Któryś z was ma jakieś pytania? – spytał spokojnie brygadier.

Fitz łypnął na niego srogo, ale było już za późno.

– Nic o tym nie czytałem w gazetach – odrzekł Billy.

– Ta misja, podobnie jak wiele ekspedycji wojskowych, jest tajna – wyjaśnił Fitz. – Nie wolno wam będzie pisać w listach, gdzie jesteście.

– Prowadzimy wojnę z Rosją, proszę pana?

– Nie prowadzimy wojny z Rosją. – Fitz znacząco odwrócił wzrok od Billy'ego. Być może pamiętał, jak Billy zapędził go w kosi róg w czasie debaty w kaplicy Calvary Gospel. – Czy ktoś oprócz sierżanta Williamsa ma pytania?

– Dążymy do obalenia rządu bolszewików? – nie dawał za wygraną Billy.

Wśród żołnierzy przebiegł gniewny pomruk. Wielu z nich sympatyzowało z rewolucją.

– Nie istnieje rząd bolszewików – odparł z rosnącym zniecierpliwieniem Fitz. – Reżim moskiewski nie został uznany przez Jego Wysokość Króla Wielkiej Brytanii.

– Czy nasza ekspedycja dostała akceptację parlamentu? Dowódca brygady zaniepokoił się, gdyż nie oczekiwał tego rodzaju pytań.

– Wystarczy, sierżancie, proszę dać szansę innym.

Jednak Fitz popełnił głupstwo i nie uciał sporu. Widać nie przyszło mu do głowy, że umiejętności polemiczne Billy'ego, które ten posiadał dzięki radykalnie nastawionemu ojcu, są wyższe niż jego własne.

– Misje wojskowe zatwierdza Ministerstwo Wojny, a nie parlament.

– A więc ta misja została zatajona przed naszymi przedstawicielami wybranymi w powszechnych wyborach! – zauważył z oburzeniem Billy.

– Ostrożnie, mądralo – szepnął zaniepokojony Tommy.

– To było konieczne – potwierdził Fitz.

Billy był zbyt rozgniewany, by pójść za radą kumpla. Wstał i donośnym głosem zapytał:

– Czy to, co robimy, jest zgodne z prawem?

Fitz zaczerwienił się i Billy zrozumiał, że cios był celny.

– Naturalnie, że tak...

– Jeśli misja nie została zaakceptowana przez naród brytyjski i naród rosyjski – wpadł mu w słowo Billy – to jak może być zgodna z prawem?

– Siadajcie, sierżancie – odezwał się kapitan Evans – to nie wiec laburzystowski. Jeszcze jedno słowo i postawimy was w stan oskarżenia.

Billy usiadł, ale wiedział, że to on odniósł zwycięstwo w tej potyczce.

– Zaprosił nas tutaj Ogólnorosyjski Rząd Tymczasowy, którego ramieniem wykonawczym jest pięcioosobowy dyrektoriat w Omsku na zachodzie Syberii. Właśnie tam się udacie – zakończył Fitz.

III

Zapadał zmierzch. Lev Peshkov trząsał się z zimna w porcie handlowym we Władywostoku, ślepej kiszce kolei transsyberyjskiej. Miał na sobie wojskowy płaszcz zarzucony na mundur porucznika, lecz Syberia była najzimniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek się znalazł.

Wściekał się, że trafił do Rosji. Miał szczęście, że przed czterema laty zdołał stąd zwiać. Jeszcze większy fart pozwolił mu wżenić się w bogatą amerykańską rodzinę. A teraz znów go tu przywiało, i to przez dziewczynę. Co jest ze mną nie tak? – pytał

sam siebie. Dlaczego nie mogę znaleźć jedzenia?
Brama się otworzyła i wjechał przez nią wóz ciągnięty przez muła. Lev wskoczył na miejsce obok brytyjskiego żołnierza, który powoził.

– Jak tam, Sid?

– Siemasz – odpowiedział woźnica. Był to chudy mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Miał przedwcześnie pomarszczoną twarz i zawsze trzymał w ustach papierosa. Mówił cockneyem, bardzo różnym od dialektu Południowej Walii oraz stanu Nowy Jork. Początkowo Lvu trudno było go zrozumieć.

– Masz whisky?

– Nie, tylko kakao w puszkach.

Lev odwrócił się, przechylił do tyłu i uniósł róg brezentu. Był prawie pewny, że Sid żartuje. Zobaczył tekturowe pudło z napisem „Czekolada i kakao Fry's”.

– Kozacy się na to nie rzuca.

– Zajrzyj pod spód.

Lev odsunął pudło i ujrzał inny napis: „Teacher's Highland Cream. Jakość Starej Szkockiej Whisky”.

– Ile ich jest?

– Dwanaście skrzynek.

Zakrył skrzynkę.

– To lepsze niż kakao.

Pokierował Sida tak, że ominęli centrum miasta. Lev często oglądał się za siebie, sprawdzając, czy ktoś ich śledzi. Przestraszył się nieco na widok amerykańskiego oficera, lecz nikt nie zatrzymał wozu. Władystok roił się od uciekinierów, którzy pierzchli przed bolszewikami. Większość przywiozła z sobą pieniądze. Szastali nimi tak, jakby nie było jutro, i faktycznie dla wielu z nich jutro nie istniało. Dlatego sklepy tętniły życiem, po ulicach zaś jeździły wozy z towarami. W Rosji brakowało wszystkiego, toteż większość sprzedawanych rzeczy została przemycona z Chin albo skradziona wojsku, tak jak szkocka whisky Sida.

Lev zauważył kobietę z małą dziewczynką i pomyślał o Daisy.

Tęsknił za nią. Mała już chodzi i mówi, poznaje świat. Jej minka zmiękcza serce każdego, nawet Josefa Vyalova. Lev nie widział córki od pół roku. Ma teraz dwa i pół. Pod jego nieobecność musiała się zmienić.

Tęsknił również za Margą. To o niej marzył. Widział jej ciało wijące się pod nim na łóżku. Przez nią podpadł teściowi i wylądował na Syberii, lecz mimo to pragnął ją zobaczyć.

– Masz jakąś słabość? – spytał. Chętnie by się zaprzyjaźnił z burowatym Sidem. Wspólnota występku potrzebuje zaufania.

– Nie – odparł Sid. – Tylko forsa.

– Kochasz forszę tak bardzo, że jesteś gotów dla niej ryzykować?

– Nie, po prostu kradnę.

– Złodziejstwo wpędziło cię kiedyś w tarapaty?

– Raz siedziałem, ale tylko przez pół roku.

– Ja mam słabość do bab.

– Naprawdę?

Lev przywykł już do tego, że Brytyjczycy zadają pytanie po uzyskaniu odpowiedzi.

– Nie mogę im się oprzeć. Mam taki mus, żeby wparadować do nocnego klubu z ładną lalczką u boku.

– Kręci cię to?

– Jak cholera. Nie mogę się powstrzymać.

Wóz wjechał na tyły doków. Były tam drogi gruntowe oraz hoteliki dla marynarzy niemające nazw ani adresów. Sid rozejrzył się nerwowo.

– Jesteś uzbrojony? – spytał Lev.

– Nie. Mam tylko to. – Sid odsunął połą płaszcz, pokazując ogromny pistolet z długą na stopę lufą zatknęty za pasek.

Lev nigdy nie widział takiej broni.

– Co to, kurwa, za armata?

– Webley-Mars. Największy pistolet na świecie. Bardzo rzadko spotykany.

– Nawet nie musisz pociągać za spust, wystarczy, że nim machniesz. Wszyscy odwalą kitę ze strachu.

W tej okolicy nikt nie odśnieżał ulic, toteż wóz jechał w koleinach albo ślizgał się na mało używanych traktach. Pobyt w Rosji przypomniał Lvu o bracie. Pamiętał o swojej obietnicy przysłania Grigorijowi pieniędzy na podróż do Ameryki. Sprzedając kradzione towary wojskowe Kozakom, nieźle się obłowił. Dzisiejszy utarg wystarczy na bilet dla Grigorija.

Lev popełnił w swoim krótkim życiu mnóstwo nikczemności, lecz jeśli uda mu się zrobić coś dla brata, poczuje się o wiele lepiej. Wjechali w alejkę i skręcili za niskim budynkiem. Lev wyciągnął z kartonu butelkę szkockiej.

– Zostań tutaj i pilnuj ładunku, bo inaczej zniknie, zanim się obejrzymy.

– Nie ma strachu – mruknął Sid, lecz było widać, że się niepokoi.

Wsunawszy rękę pod płaszcz, Lev dotknął półautomatycznego colta 45 i wszedł tylnymi drzwiami do budynku.

Znalazł się w typowej syberyjskiej knajpie. Sala była mała, stał w niej stół i kilka krzeseł. Nie było baru. Za otwartymi drzwiami znajdowała się brudna kuchnia oraz regał z butelkami i beczką. Przy płonącym ogniu siedziało trzech mężczyzn odzianych w podarte kozuchy. Lev rozpoznał twarz typa w środku, którego zwano Sotnik. Kozak nosił bufiaste spodnie wsunięte w cholewy butów do konnej jazdy. Miał wydatne kości policzkowe i skośne oczy, a także wymyślnie podkreśnione wasy i baki. Jego skóra była zaczerwieniona i ogorzała od wiatru i zimna. Mógł mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak pięćdziesiąt pięć lat.

Lev uściśnął wszystkim dłonie i odkorkował butelkę. Jeden z mężczyzn, przypuszczalnie właściciel lokalu, przyniósł cztery szklanki nie od kompletu. Peshkov nalał obficie, wszyscy wypili.

– To najlepsza whisky na świecie – oznajmił po rosyjsku. – Pochodzi z zimnego kraju takiego jak Syberia. Woda w tamtejszych górach to czysty stopiony śnieg. Szkoda tylko, że jest taka droga.

– Ile? – spytał Sotnik, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Lev nie chciał się znów targować.

– Tyle, ileśmy uzgodnili wczoraj. Płatne w złotych rublach i niczym innym.

– Ile flaszek?

– Sto czterdzieści cztery.

– Gdzie są?

– Niedaleko.

– Uważaj, bo w okolicy niemało złodziei.

To mogło być ostrzeżenie albo groźba. Lev domyślił się, że dwuznaczność nie jest przypadkowa.

– Wiem o złodziejach. Sam nim jestem.

Sotnik zerknął na kompanów i po krótkiej chwili parsknął śmiechem. Tamci także się roześmiali.

Lev nalał drugą kolejkę.

– Nie bój się. Twoja whisky czeka bezpiecznie pod lufą. – To zdanie również mogło być uspokojeniem lub ostrzeżeniem.

– To dobrze – mruknął Sotnik.

Lev dopił whisky i spojrzał na zegarek.

– Wkrótce przejdzie tędy patrol wojskowy – skłamał. – Czas na mnie.

– Jeszcze jedna kolejka – zaproponował Sotnik.

Lev wstał.

– Chcesz tej whisky? – spytał trochę zirytowany. – Mogę ją łatwo opchnąć komu innemu. – To była prawda. Sprzedaż alkoholu nie stanowiła problemu.

– Biorę ją.

– Forsa na stół.

Sotnik podniósł z ziemi sakwę i zaczął odliczać pięciorublowki. Uzgodnili cenę sześćdziesiąt rubli za tuzin butelek. Kozak powoli układał monety w stosach po dwanaście, aż uzbierało się dwanaście stosów. Lev odgadł, że nie umie policzyć do stu czterdziestu czterech.

Dokończywszy operację, Sotnik spojrzął na Lva. Ten skinął głową i Kozak wsypał monety do sakwy.

Wyszli przed budynek. Sotnik trzymał sakwę w ręku. Zapadła noc, lecz księżyc świecił jasno.

– Zostań na wozie – rzekł po angielsku Lev do Sida. – I bądź czujny. – Przy dobijaniu pokątnych interesów była to najniebezpieczniejsza chwila: kupiec mógł zagarnąć towar i za-trzymać pieniądze. Lev nie chciał ryzykować utraty pieniędzy na bilet dla Grigorija.

Ściągnął brezent z wozu i odsunął trzy pudła z kakao, odsłaniając whisky. Zdjąwszy jedną skrzynkę, postawił ją przed Sotnikiem. Drugi Kozak podszedł do wozu i wyciągnął ręce po skrzynkę.

– Nie – rzekł Lev, spoglądając na Sotnika. – Torba.

Nastała długa chwila ciszy.

Sid podwinął połą płaszcz, pokazując broń.

Sotnik podał Lvu sakwę.

Lev zajrzał do środka, ale postanowił nie przeliczać jeszcze raz pieniędzy. Zauważyłby, gdyby Sotnik ukradkiem wyjął kilka monet. Przekazał torbę Sidowi i pomógł Kozakom rozładowywać skrzynki. Uścisnął wszystkim ręce i już miał wsiadać na wóz, gdy Sotnik go powstrzymał, wskazując otwartą skrzynkę.

– Patrz. Brakuje jednej butelki.

Butelka stała w knajpie na stole i Sotnik dobrze o tym wiedział. Dlaczego akurat teraz chce wszcząć awanturę? To niebezpieczne.

– Daj jedną sztukę złota – rzekł Lev do Sida.

Ten otworzył sakwę i podał mu monetę.

Lev położył ją na zaciśniętej pięści, a następnie wyrzucił w powietrze, tak że zawirowała, lśniąc w świetle księżyca.

Sotnik odruchowo wyciągnął po nią rękę, lecz Lev wskoczył na ławkę wozu.

Sid strzelił z bata.

– Niech Bóg prowadzi! – krzyknął Lev, gdy wóz ruszył. –

Daj znać, kiedy zapragniesz whisky.

Wóz wytoczył się na drogę. Lev odetchnął swobodniej.

– Ile zgarnęliśmy? – spytał Sid.

– Tyle, ileśmy zawołali. Trzysta sześćdziesiąt rubli na łebka.

Bez piątki. Przeżyję stratę jednej monety. Masz torbę?

Sid wyciągnął dużą skórzaną sakwę, a Lev odliczył siedemdziesiąt dwie monety i wsypał je do środka.

Pożegnawszy się z Sidem, zeskoczył z wozu nieopodal kwatery amerykańskich oficerów. Gdy zmierzał do swojej, podszedł do niego kapitan Hammond.

– Peshkov! Gdzie wyście się podziewali?

Lev pożałował, że niesie trzysta pięćdziesiąt pięć rubli w kozackiej sakwie.

– Trochę zwiedzałem, panie kapitanie.

– Jest ciemno!

– Dlatego wróciłem.

– Szukaliśmy was. Pułkownik chce się z wami widzieć.

– Już idę. – Lev ruszył w stronę swojej kwatery, by zostawić tam sakwę.

– Do siedziby pułkownika tędy – zwrócił mu uwagę Hammond.

– Tak jest.

Pułkownik Markham nie lubił Lva. Był zawodowym żołnierzem, nie rekrutem zwerbowanym na czas wojny. Przeczynał, że Rosjaninowi nie leży na sercu troska o poziom służby w armii amerykańskiej, i miał rację. W swoim stylu mógłby powiedzieć, że ma ją gdzieś w stu dziesięciu procentach.

Lvu przyszło na myśl, by położyć sakwę na podłodze przed biurkiem pułkownika, lecz nie mógł zostawić takiej forszy bez opieki.

– Gdzie wyście się, do diabła, włóczyli? – warknął Markham.

– Zwiedzałem miasto, panie pułkowniku.

– Zmieniam wam przydział. Nasi brytyjscy sojusznicy potrzebują tłumaczy i poprosili mnie, żebym was do nich skierował. Nie zabrzmiało to groźnie.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Pojedziecie z nimi do Omska.

To już zabrzmiało o wiele groźniej. Omsk leży cztery tysiące mil od Władywostoku w barbarzyńskim mateczniku Rosji.

– W jakim celu mam tam jechać, panie pułkowniku?

– Oni wam wszystko powiedzą.

Nie uśmiechała mu się ta podróż. Omsk jest za daleko od domu.

– Mam się zgłosić na ochotnika, panie pułkowniku?

Wahanie pułkownika świadczyło o tym, że przydział jest dobrowolny. Jeśli w wojsku cokolwiek można uznać za dobrowolne.

– Odmawiacie zgody na przydział? – spytał groźnie Markham.

– Tylko gdy jest on dobrowolny, panie pułkowniku.

– Powiem wam, jak jest – odparł pułkownik. – Jeśli zgłosicie się na ochotnika, nie każę wam otworzyć torby i pokazać jej zawartości.

Lev zaklął w duchu. Nic nie mógł zrobić. Pułkownik go przechytrzył. W sakwie spoczywały pieniądze na podróż Grigorija do Ameryki.

Omsk, niech to szlag.

– Pojadę z przyjemnością, panie pułkowniku.

IV.

Ethel poszła na górę do mieszkania Mildred. Było tam czysto, lecz panował bałagan: na podłodze walały się zabawki, w popielniczce palił się papieros, a przed kominkiem schły majtki.

– Możesz dziś wieczorem rzucić okiem na Lloyda? – Ethel szła z Bernieem na zebranie Partii Pracy. Lloyd miał już cztery lata. Niepilnowany, potrafił wygramolić się z łóżka i udać na spacer.

– Naturalnie – odparła Mildred. Wieczorami często zajmowały się nawzajem swoimi dziećmi. – Dostałam list od Billy'ego.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Ale wydaje mi się, że nie jest we Francji. Nic nie pisze o okopach.

– Zatem musi być na Bliskim Wschodzie. Ciekawe, czy widział Jerozolimę. – Pod koniec ubiegłego roku wojska brytyjskie zdobyły to miasto. – Tata bardzo by się ucieszył.

– Jest coś dla ciebie. Mówi, że napisze później, ale powiem ci... – Mildred sięgnęła do kieszeni fartucha. – Wierz mi, że jestem niedoinformowany o polityce Rosji. Dziwne słowa.

– To taki szyfr – wyjaśniła Ethel. – Wiadomość brzmi: „Jestem w Rosji”. Co on tam robi?

– Nie wiedziałam, że mamy wojska w Rosji.

– Ani ja. Czy Billy wymienia tytuł jakiejś piosenki bądź książki?

– Owszem. Skąd wiesz?

– To też szyfr.

– Mówi, żebym przypomniła ci o piosence, którą kiedyś śpiewałaś, zatytułowanej I'm with Freddie in the Zoo. Nigdy nie słyszałam o takiej piosence.

– Ja też nie. To są inicjały. Freddie in the Zoo znaczy... Fitz. Do pokoju wszedł Bernie. Na szyi miał czerwony krawat.

– Zasnął mocno. – Bernie miał na myśli Lloyda.

– Mildred dostała list od Billy'ego – oznajmiła Ethel. – Wygląda na to, że jest w Rosji z hrabią Fitzherbertem.

– Ha! Zachodziłem w głowę, kiedy to zrobią.

– Co mianowicie?

– Wysłaliśmy naszych żołnierzy do walki z bolszewikami. Wiedziałem, że do tego dojdzie.

– Prowadzimy wojnę z nowymi rosyjskimi władzami?

– Nieoficjalnie, rzecz jasna. – Bernie spojrział na zegarek. – Musimy iść. – Bardzo nie lubił się spóźniać.

– Jak to „nieoficjalnie”? Albo prowadzimy wojnę, albo nie... – zauważyła Ethel, gdy jechali autobusem.

– Churchill i jego zgraja wiedzą, że nasz naród nie poprze wojny z bolszewikami, więc chcą to zrobić potajemnie.

– Jestem rozczarowana Leninem... – rzekła w zamyśleniu Ethel.

– On postępuje tak, jak dyktuje konieczność! – przerwał jej Bernie, który gorąco popierał bolszewików.

– Lenin może się stać takim samym tyranem jak car... – ciągnęła Ethel.

– To śmieszne!

– ...ale mimo to powinno się dać mu szansę pokazania, co może zrobić dla Rosji.

– Dobrze, że przynajmniej w jednym się zgadzamy.

– Nie wiem, co możemy w tej sprawie zdziałać.

– Potrzebujemy dokładniejszych informacji.

– Billy wkrótce do mnie napisze i poda więcej szczegółów.

Ethel była oburzona tajną wojną prowadzoną przez rząd – jeśli faktycznie ją prowadzi – lecz bardzo bała się o Billy'ego. Wiedziała, że brat nie będzie milczał. Jeśli uzna, że wojsko postępuje źle, rozgłosi to i może napytać sobie biedy. Kaplica Calvary Gospel była wypełniona ludźmi. Podczas wojny Partia Pracy zyskała na popularności. W pewnej mierze działo się tak dlatego, że przywódca laburzystów, Arthur Henderson, należał do Gabinetu Wojennego Lloyda George'a. Henderson rozpoczął pracę w fabryce lokomotyw w wieku dwunastu lat, a jego poczynania w gabinecie pozbawiły konserwatystów argumentu, że robotnicy nie są godni najwyższych stanowisk. Ethel i Bernie zajęli miejsce obok Jocka Reida. Jock pochodził z Glasgow, miał rumianą twarz i był najlepszym przyjacielem Berniego z jego czasów kawalerskich. Zebranie prowadził doktor Greenward. Głównym punktem programu były następne wybory powszechne. Krażyły pogłoski, że Lloyd George natychmiast po zakończeniu wojny ogłosi wybory narodowe. Laburzyści w Aldgate potrzebowali kandydata, a Bernie zajmował czołowe miejsce. Jego kandydatura została wysunięta i uzyskała poparcie. Ktoś zaproponował doktora Greenwarda jako drugiego kandydata, lecz ten odpowiedział, że woli pozostać przy medycynie. Jayne McCulley wstąpiła do partii, gdy Ethel i Maud zaprotowały przeciwko odebraniu jej zasiłku separacyjnego. Policjanci zabrali wtedy Maud do więzienia.

– Wyczytałam w gazecie, że kobiety będą mogły kandydować w następnych wyborach, dlatego proponuję, żeby naszą kandydatką została Ethel Williams – powiedziała Jayne. Wszyscy oniemieli, a potem zaczęli mówić jeden przez drugiego.

Ethel była zaskoczona. Taka myśl nie powstała jej w głowie. Odkąd знаła Berniego, chciał zostać parlamentarzystą, a ona to zaakceptowała. Poza tym kobiety nigdy dotąd nie mogły kandydować. Nie miała pewności, czy ta sytuacja uległa zmianie. W pierwszym odruchu chciała odmówić.

Jednak Jayne nie skończyła jeszcze swojego wystąpienia. Była ładną młodą kobietą, lecz miękkość jej rysów mogła wprowadzić w błąd. Jayne umiała się postawić.

– Szanuję Berniego, ale on jest organizatorem i specjalistą od

zebrań. Deputowanym z okręgu Aldgate jest liberał, cieszy się dużą popularnością i trudno będzie go pokonać. Potrzebujemy kandydata, który zdobędzie to miejsce dla laburzystów, który powie mieszkańcom East Endu: „Poprowadzę was do zwycięstwa!”, a oni za nim pójdą. Taką kandydatką jest Ethel.

Kobiety zaczęły klaskać. Kilku mężczyzn również, lecz inni zareagowali niechętnie. Ethel uświadomiła sobie, że gdyby wystartowała, mogłaby liczyć na spore poparcie.

Jayne miała rację: Bernie jest przypuszczalnie najinteligentniejszym mężczyzną obecnym na sali, lecz nie ma charyzmy przywódcy. Potrafił wytłumaczyć, dlaczego dochodzi do rewolucji i dlaczego firmy plajtują, Ethel natomiast potrafiła zainspirować ludzi, by przyłączyli się do krucjaty.

Jock Reid wstał.

– Towarzyszu przewodniczący, wydaje mi się, że prawo nie zezwala kobietom kandydować.

– Mogę odpowiedzieć na to pytanie – odrzekł doktor Greenward. – Przyjęta w tym roku ustawa pozwala głosować kobietom po trzydziestce, ale nie daje im prawa kandydowania. Rząd przyznał jednak, że jest to błąd ustawodawczy. W związku z tym przygotowano następną ustawę.

Jock nie dawał za wygraną:

– Obowiązująca obecnie ustawa zabrania kandydowania kobietom, więc nie możemy wyznaczać kobiety na kandydatkę. Ethel uśmiechnęła się krzywo. Jakie to dziwne, że mężczyźni nawołujący do światowej rewolucji tak ściśle trzymają się litery prawa.

– Ustawa o biernym prawie wyborczym kobiet zostanie uchwalona przed następnymi wyborami powszechnymi, więc nasz okręg jak najbardziej może wystawić kobietę – odparł doktor Greenward.

– Ależ Ethel nie skończyła trzydziestu lat.

– Podobno nowa ustawa ma obejmować te kobiety, które skończyły dwadzieścia jeden.

– Co to znaczy „podobno”? – upierał się Jock. – Jak możemy wyznaczyć kandydata, skoro nie znamy zasad?

– Może powinniśmy odłożyć nominację do czasu uchwalenia nowej ustawy – zasugerował doktor Greenward.

Bernie szepnął coś do ucha Jockowi, a ten powiedział:

– Zapytajmy Ethel, czy chce kandydować. Jeśli nie zechce, nie ma potrzeby odkładać decyzji.

Bernie odwrócił się do żony z uśmiechem świadczącym o pewności siebie.

– Dobrze – rzekł doktor Greenward. – Ethel, zgodziłabyś się, gdybyś otrzymała nominację?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

Ethel się zawahała.

Jej mąż od dawna marzył o kandydowaniu. Ale które z nich lepiej będzie reprezentowało laburzystów?

Mijały sekundy, a na twarzy Berniego pojawił się wyraz niedowierzania. Spodziewał się, że Ethel bez wahania odrzuci nominację.

A ona utwierdziła się w swoim postanowieniu.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Jak powiedział przewodniczący, na razie nie jest to zgodne z prawem. Trudno mi więc odpowiedzieć na to pytanie. Uważam, że Bernie byłby dobrym kandydatem... Ale potrzebuję czasu do namysłu. Może w takim razie powinniśmy pójść za sugestią przewodniczącego i odłożyć nominację?

Spojrzała na męża.

Bernie wyglądał tak, jakby chciał ją zabić.

11 listopada 1918 roku

i.

O drugiej w nocy w domu Fitz'a w Mayfair zadzwonił telefon. Maud siedziała przy świeczce w salonie. Zmarli przodkowie spoglądali na nią z portretów. Zasłony były zaciągnięte jak całuny, ledwie widoczne kontury mebli czaiły się niczym dzikie bestie w mroku nocy. Od kilku dni prawie w ogóle nie spała. Jakieś zabobonne przeczucie szeptało jej, że Walter zginie przed końcem wojny.

Trzymała w dłoniach filiżankę zimnej herbaty i patrzyła w rozżarzone węgle, zastanawiając się, gdzie jest jej ukochany i co robi. Śpi gdzieś w zimnym okopie czy szykuje się do jutrzejszej bitwy? A może nie żyje? Być może Maud jest już wdową, mimo że w ciągu czterech lat małżeństwa spędziła z mężem zaledwie dwie noce. Pewna mogła być tylko tego, że nie jest jeńcem wojennym. Johnny Remarc na jej prośbę przeglądał wszystkie listy wziętych do niewoli oficerów. Johnny nie znał jej tajemnicy, był przekonany, że Maud interesuje się losem Waltera dlatego, iż ten przed wojną przyjaźnił się z Fitzem. Dzwonek telefonu ją wystraszył. W pierwszej chwili pomyślała, że telefon może dotyczyć Waltera, lecz uświadomiła sobie, iż to wykluczone. Wiadomość o tym, że czyjś przyjaciel trafił do niewoli, może poczekać do rana. Pomyślała z bólem, że chodzi o brata. Czyżby Fitz został ranny gdzieś na dalekiej Syberii?

Wybiegła do holu, lecz Grout ją uprzedził. Z poczuciem winy uprzytomniła sobie, że powinna była pozwolić iść słuźbie spać.

– Zapytam, czy lady Maud jest w domu, jaśnie panie – rzekł Grout do słuchawki. Następnie zakrył dłonią mikrofon. – Lord Remarc z Ministerstwa Wojny.

Maud wzięła od niego słuchawkę.

– Czy Fitz jest ranny?

– Nie, uspokój się – odparł Johnny. – Mam dobre wieści.

Niemcy przyjęli warunki rozejmu.

– Och, Johnny! Bogu dzięki!

– W lasku nieopodal Compiegne, na północ od Paryża, stoja na bocznicach dwa pociągi. Przed chwilą Niemcy weszli do wagonu francuskiego pociągu. Są gotowi złożyć podpis.

– A więc jeszcze nie podpisali?

– Jeszcze nie. Wydziwiają nad formułkami.

– Zadzwoń do mnie, kiedy podpiszą traktat? Nie będę się kładła.

– Zadzwoń. Dobranoc.

Maud podała słuchawkę kamerdynerowi.

– Grout, być może dzisiaj skończy się wojna.

– Jestem bardzo rad, jaśnie pani.

– Ale powinienes się położyć.

– Za pani pozwoleniem, wolałbym poczekać na telefon lorda Remarca.

– Naturalnie.

– Podać jeszcze herbaty?

II.

Chłopcy z Aberowen przybyli do Omska wczesnym rankiem.

Billy do końca życia zapamięta każdy szczegół podróży koleją transsyberyjską z Władywostoku. Przebycie czterech tysięcy mil zajęło im dwadzieścia trzy dni, mimo iż w lokomotywie siedział uzbrojony sierżant i pilnował, by maszynista i palacz utrzymywali maksymalną prędkość. Billy przez całą drogę marzył, gdyż stojący na środku wagonu piecyk nie dawał rady chłodom syberyjskich poranków. Żywili się czarnym chlebem oraz konserwami wołowy-

mi. Jednak każdy dzień przynosił nowe odkrycia.

Billy nie zdawał sobie sprawy, że istnieją na świecie miejsca tak urokliwe jak Bajkał. Kapitan Evans powiedział, że jezioro od końca do końca jest dłuższe niż Walia. Z pędzącego pociągu widzieli słońce wschodzące nad błękitną wodą. Jego promienie padały na wierzchołki wysokich na milę gór po drugiej stronie. Leżący na nich śnieg lśnił niczym złoto.

Na zawsze zachowa w pamięci widok niekończącej się karawany wielbłądów wędrującej wzdłuż torów. Objuczone zwierzęta człapały cierpliwie po śniegu, nie zważając na dwudziesty wiek, który pędził tuż obok w postaci setek ton żelaza, buchając obłokami pary. Cholernie daleko stąd do Aberowen, pomyślał Billy. Jednak najbardziej pamiętnym wydarzeniem były odwiedziny w liceum w Czicie. Pociąg zatrzymał się tam na dwa dni. Przez ten czas pułkownik Fitzherbert prowadził rozmowy z miejscowym dowódcą, kozackim watażką Semenowem. Billy dołączył do wycieczki amerykańskich gości. Znający angielski dyrektor szkoły opowiadał, że jeszcze w ubiegłym roku uczył tylko dzieci zamożnych inteligentów. Żydzi nie mogli się uczyć, nawet jeśli stać ich było na opłaty. Teraz, z rozkazu bolszewików, edukacja stała się darmowa dla wszystkich. Efekty były widoczne gołym okiem. Klasy zapełniły się szkrabami w łachmanach, które uczyły się czytać, pisać i liczyć, a nawet poznawały nauki ścisłe oraz sztuki piękne. Cokolwiek robił Lenin – a trudno było oddzielić prawdę od konserwatywnej propagandy – edukację rosyjskich dzieci potraktował poważnie.

Tym samym pociągiem jechał Lev Peshkov. Przywitał się ciepło z Billym, nie okazując wstydu, jakby zapomniał, że wypędzono go z Aberowen jako oszusta i złodzieja. Dotarł do Ameryki i ożenił się z bogatą dziewczyną. Teraz był porucznikiem i miał pomagać Walińczykom jako tłumacz.

Ludność Omska radośnie powitała batalion maszerujący z dworca do koszar. Billy zauważył na ulicach wielu rosyjskich oficerów w pięknych staroświeckich mundurach, którzy jednak nie mieli nic wspólnego ze służbą wojskową. W mieście przebywało także sporo żołnierzy kanadyjskich.

Gdy batalion dostał przepustkę, Billy i Tommy wyszli zwiedzać Omsk. Nie było tam dużo do oglądania: katedra, meczet, murowana twierdza oraz rzeka, na której uwijały się statki pasażerskie i towarowe. Wielu miejscowych nosiło mniejsze i większe elementy brytyjskich mundurów. Kobieta sprzedająca smażone ryby miała na sobie zielony płaszcz, doręczyciel pchający wózek nosił grube wojskowe spodnie z serży, a rosły chłopak z torbą pełną szkolnych podręczników szedł ulicą w nowiutkich brytyjskich butach.

– Skąd oni to wszystko wzięli? – dziwił się Billy.

– Zaopatrujemy w mundury stacjonujących tutaj rosyjskich żołnierzy. Od Peshkova wiem, że oficerowie sprzedają je na czarnym rynku – wyjaśnił Tommy.

– Dobrze nam tak, skoro wspieramy niewłaściwą stronę.

Kanadyjski oddział YMCA otworzył kantinę. Siedziało już tam kilkunastu strzelców z Aberowen. Był to jedyny lokal w mieście. Billy i Tommy zamówili gorącą herbatę oraz dwa duże kawałki tarty jabłkowej, którą w Ameryce Północnej nazywa się plackiem.

– Omsk jest siedzibą reakcyjnego rządu antybolszewickiego – rzekł Billy. – Czytałem o tym w „New York Timesie”. – Amerykańskie gazety dostępne we Władystoku przedstawiały obraz sytuacji rzetelniej niż brytyjskie.

Do kantyny wkroczył Lev Peshkov z piękną młodą Rosjanką w tanim paltociku. Wszyscy wbili w niego wzrok. Jak on tak szybko tego dokonał?

– Hej, słyszeliście plotkę? – zagadnął. Był wyraźnie ożywiony.

Ten facet pewnie zawsze słyszy plotki jako pierwszy, pomyślał

Billy.

- Taa, doszły nas słuchy, że jesteś pedziem - rzucił Tommy. Wszyscy parsknęli śmiechem.
- Podpisano rozejm - oznajmił Lev i na chwilę zamilkł. - Nie kapujecie? Wojna się skończyła!
- Ale nie dla nas - rzekł Billy i westchnął.

III.

Pluton kapitana Dewara nacierał na małą wioskę o nazwie Aux Deux Eglises na wschód od rzeki Meuse. Do Gusa dotarła pogłoska, że o jedenastej ma się zacząć rozejm, lecz dowódca kazał atakować, więc kapitan wypełniał rozkaz. Karabiny maszynowe rozmieścił na skraju zagajnika. Fizylierzy prowadzili ostrzał przez szeroką łąkę, toteż kryjący się w zabudowaniach wrogowie mieli mnóstwo czasu na odwrót.

Ci jednak, niestety, nie chcieli skorzystać z tej sposobności. Rozstawili moździerze i lekkie karabiny maszynowe na podwórzach oraz w sadach i energicznie się ostrzeliwali. Zwłaszcza jeden karabin strzelający z dachu stodoły skutecznie ograniczał ruchy plutonu. Gus zwrócił się do kaprała Kerry'ego, najlepszego strzelca w pododdziale:

- Możecie rąbać granatem w dach tej stodoły?
- Owszem, jeśli podejdę nieco bliżej - odparł piegowaty dziewiętnastolatek.
- Właśnie w tym sęk.

Kerry rozejrzał się po terenie.

- Mniej więcej na jednej trzeciej szerokości tej łąki jest minimalne wzniesienie. Stamtąd dałbym radę.

- To ryzykowne - uznał Gus. - Chcesz zostać bohaterem? - Spojrzał na zegarek. - Za pięć minut wojna może się skończyć, jeśli wierzyć pogłoskom.

Kerry uśmiechnął się szeroko.

- Spróbuję, panie kapitanie.

Gus się zawahał. Nie chciał narażać życia młodzika. Są jednak w wojsku i wciąż walczą, a rozkaz to rozkaz.

- No dobrze. Zrób to, kiedy zechcesz.

Po cichu liczył na to, że Kerry będzie się ociągał, lecz chłopak momentalnie zarzucił sobie karabin na ramię i wziął skrzynkę granatów.

- Wszyscy ognia! - krzyknął Gus. - Dajcie Kerry'emu maksymalną osłonę.

Karabiny maszynowe zaterkotały, a chłopak zaczął biec.

Wróg natychmiast go wypatrzył i otworzył ogień. Kerry pędził zygzakiem jak zając czmychający przed psami. Wokół wybuchały pociski niemieckich moździerzy, lecz jakimś cudem go omijały. Minimalne wzniesienie, do którego zmierzał Kerry, znajdowało się trzysta jardów od zagajnika.

Prawie mu się udało.

Niemiecki strzelec wziął go na muszkę i posłał długą serię z karabinu maszynowego. W ułamku sekundy Kerry dostał kilkunastoma pociskami. Rozrzucił ramiona i wypuścił z rąk skrzynkę z amunicją. Siła rozpędu poniosła go jeszcze kilka kroków. Runął tuż przed wzniesieniem i padł. Gus pomyślał, że zginął, zanim dotknął ziemi.

Karabiny wroga zamilkły. Po chwili Amerykanie także przestali strzelać. Gus odniósł wrażenie, że słyszy dalekie okrzyki radości. Wszyscy zamilkli i wyteżyli słuch. Do uszu Gusa dobiegły wiwaty Niemców.

Nagle zaczęli się wysypywać z kryjówek w wiosce.

Gus usłyszał warkot motoru. Na leśnym dukcie ukazał się amerykański motocykl marki Indian. Prowadził sierżant, a na tylnym siodełku siedział major.

– Przerwać ogień! – ryknął. Motocyklista jeździł od jednej pozycji strzeleckiej do drugiej. – Przerwać ogień! – powtarzał. – Przerwać ogień!

Żołnierze z plutonu Gusa zaczęli wiwatować. Zerwali hełmy z głów i rzucali je do góry. Niektórzy tańczyli, inni ściskali sobie dłonie. Ktoś zaintonował piosenkę.

Gus nie mógł oderwać oczu od kaprala Kerry'ego.

Wolno ruszył przez łąkę i uklęknął obok ciała. Widział wiele trupów i był pewny, że Kerry nie żyje. Nie znał nawet jego imienia. Odwrócił ciało. W klatce piersiowej widniały małe otwory po kulach. Gus zamknął chłopakowi oczy i wstał.

– Boże odpuść – wyszeptał.

IV.

Ethel i Bernie nie poszli tego dnia do pracy. On leżał złożony grypa, podobnie jak opiekunka Lloyd'a, więc Ethel opiekowała się zarówno mężem, jak i synkiem.

Była w bardzo złym humorze. Między nią a Berniem doszło do ostrej kłótni o to, kto ma kandydować do parlamentu. Była to ich najgorsza kłótnia małżeńska, bo jedyna. Od tego czasu prawie się do siebie nie odzywali.

Wiedziała, że jej postępowanie jest usprawiedliwione, lecz i tak czuła się winna. Może lepiej od męża spisać się w roli parlamentarzystki, a poza tym wyboru powinni dokonać towarzysze, a nie oni sami. Bernie planował to od lat, co jednak nie oznaczało, że nominacja należy mu się z urzędu. Ethel zaczęła myśleć o kandydowaniu dopiero teraz, lecz bardzo chciała wystartować. Kobiety zdobyły prawo do głosowania, ale nie wolno na tym poprzestawać. Przede wszystkim należy obniżyć limit wieku i zrównać go z tym, który obowiązuje mężczyzn. Należy również podnieść płace kobiet oraz poprawić warunki pracy. W większości gałęzi przemysłu kobietom płaci się mniej, nawet jeśli zajmują równorzędne stanowisko. Dlaczego nie mogą zarabiać tyle samo?

Jednak Ethel była przywiązana do Berniego i widząc cierpienie na jego twarzy, od razu chciała zrezygnować.

– Spodziewałem się, że wrogowie podetną mi skrzydła – wyznał pewnego wieczoru. – Konserwatyści, kompromisowi liberałowie, kapitalistyczni imperialiści, burżuazja. Oczekiwałem nawet sprzeciwu ze strony kilku towarzyszy partyjnych. Ale myślałem, że na jednej osobie mogę polegać. A to właśnie ona podstawiała mi nogę. – Wspominając tę rozmowę, Ethel czuła ból w piersi.

O jedenastej zanosła mężowi herbatę. Mieli wygodną, choć urządzonej tanim kosztem sypialnię. Stał w niej stolik do pisania, w oknach wisiały zwykłe bawełniane zasłony, a ścianę zdobiło zdjęcie Keira Hardiego. Bernie odłożył powieść Filantropi w podartych spodniach, która była niemal obowiązkową lekturą wszystkich socjalistów.

– Co będziesz dzisiaj robiła? – spytał chłodno. Wieczorem miało się odbyć zebranie Partii Pracy. – Podjęłaś decyzję? Owszem, Ethel podjęła decyzję. Mogła mu ją zakomunikować już dwa dni temu, lecz nie potrafiła się do tego zmusić. Teraz zapytał, więc mu odpowie.

– Powinniśmy wybrać najlepszego kandydata – odparła zadziornie.

Bernie poczuł się dotknięty.

– Jak możesz mi to robić i mówić, że wciąż mnie kochasz?

Uważała, że sięganie po ten argument jest niesprawiedliwe. Dlaczego działa on tylko w jedną stronę? Ale nie o to chodzi.

– Nie należy myśleć o sobie, lecz o partii.

– Co z naszym małżeństwem?

– Nie ustąpię ci dlatego, że jestem twoją żoną...

- Zdradziłaś mnie.
 - ...ale ci ustępuję – dokończyła Ethel.
 - Co takiego?
 - Powiedziałam, że ci ustępuję.
- Na twarzy Berniego odmalowała się ulga.
- Ale nie dlatego, że jestem twoją żoną, i nie dlatego, że jesteś lepszym kandydatem – zauważyła.
- Bernie patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.
- Jestem w ciąży – oznajmiła Ethel.
 - A niech mnie!
 - Tak. Akurat w chwili, gdy kobieta może wejść do parlamentu, ja wpadłam.
- Bernie się uśmiechnął.
- Czyli wszystko obróciło się na dobre!
 - Wiedziałam, że tak pomyślisz. – W tej chwili czuła niechęć do Berniego, do nienarodzonego dziecka i całego życia. Nagle uświadomiła sobie, że rozdzwonił się dzwon na wieży kościelnej. Spojrzała na zegar stojący na kominku. Pięć po jedenastej. Dlaczego dzwonią w poniedziałek rano? Uderzono w drugi dzwon. Ethel zmarszczyła czoło i podeszła do okna. Na ulicach nie działo się nic szczególnego, lecz biło coraz więcej dzwonów. Spojrzawszy na zachód, zobaczyła wznoszącą się nad śródmieściem Londynu czerwoną racę.
- Odwróciła się do męża.
- Biją chyba wszystkie dzwony w Londynie.
 - Coś się wydarzyło. Założę się, że to koniec wojny. Na pewno dzwonią na cześć pokoju!
 - Wątpię, by czcili w ten sposób moją cholerną ciążę.

V.

Nadzieje Fitz'a na obalenie Lenina i jego siepaczy skupiały się wokół Ogólnorosyjskiego Rządu Tymczasowego z siedzibą w Omsku. Nie tylko on, lecz i najważniejsi członkowie rządów największych państw liczyli na to, że właśnie w tym mieście zacznie się kontrrewolucja.

Pięćoosobowy Dyrektoriat urzędował w stojącym na przedmieściu pociągu. Szereg opancerzonych wagonów pilnowanych przez doborowych żołnierzy krył resztki cesarskiego skarbcza, złoto warte miliony rubli. Car zginął z rąk bolszewików, lecz jego pieniądze miały dać potęgę i władzę lojalistycznej opozycji. Fitz czuł, że dużo zainwestował w Dyrektoriat. Grupa wpływowych ludzi, których zebrał w kwietniu w Ty Gwyn, stworzyła tajną siatkę brytyjskich polityków. Zdołali oni zapewnić niejawnie, lecz mocne wsparcie rosyjskiemu ruchowi oporu. Skłoniło to inne państwa do udzielenia poparcia kontrrewolucjonistom, a na pewno zniechęciło je do popierania reżimu Lenina. Jednak cudzoziemcy nie mogą zrobić wszystkiego: to sami Rosjanie muszą stanąć do walki.

Ile może zdziałać Dyrektoriat? Na jego czele stał Nikołaj Awksientjew, członek Partii Socjalistów-Rewolucjonistów – tak zwanych eserowców. Fitz rozmyślnie go ignorował. Socjaliści-rewolucjoniści byli niewiele lepsi od hołoty Lenina. Hrabia pokładał nadzieje w prawicowcach i generalicji. Tylko oni mogą odbudować monarchię i własność prywatną. Chciał się spotkać z generałem Bołdyriewem, głównodowodzącym posłusznej Dyrektoriatowi Armii Syberyjskiej.

Umeblowanie rządowych wagonów przywodziło na pamięć miniony carski majestat. Zamszowe krzesła były wytarte, intarsje wyszczerbione, a abażury lamp poplamione. Podstarzali służący nosili strzepy misternie haftowanych, wyszywanych paciorkami liberii ze starego petersburskiego pałacu. W jednym z wagonów siedziała jaskrawo umalowana młoda kobieta w jedwabnej sukni

i paliła papierosa.

Fitz był rozczarowany. Pragnął powrotu starych czasów, lecz ta sceneria nawet jemu kojarzyła się z zacofaniem. Zawrzał w nim gniew na wspomnienie drwiącego pytania sierżanta Williamsa: „Czy to, co robimy, jest zgodne z prawem?”. Hrabia miał świadomość, że jego odpowiedź budziła poważne wątpliwości. Czas na dobre zamknąć Williamsowi usta, pomyślał ze złością. Ten łobuz praktycznie stał się bolszewikiem.

Generał Bołdyriew był zwalisty i niezgrabny.

– Zmobilizowaliśmy dwieście tysięcy żołnierzy – oznajmił z dumą Fitzowi. – Możecie ich wyposażyć?

– To imponujące – przyznał hrabia, lecz pomyślał co innego. Właśnie za sprawą takiego nastawienia sześciomilionowa armia rosyjska poniosła klęskę w starciu ze znacznie mniejszymi liczebnie wojskami Niemiec i Austrii. Bołdyriew nosił absurdalnie staroświeckie, charakterystyczne dla starego reżimu okrągłe epolety z bujnymi frędzlami. Wyglądał w nich jak postać z opery komicznej Gilberta i Sullivana. – Jednak na pana miejscu odesłałbym połowę rekrutów do domu – dodał po rosyjsku.

– A to dlaczego? – zdziwił się generał.

– Możemy wyposażyć najwyżej sto tysięcy żołnierzy. Poza tym trzeba ich wyszkolić. Lepiej jest mieć małą zdyscyplinowaną armię niż wielką zbieraninę, która wycofa się lub skapituluje przy pierwszej okazji.

– Jeśli mówimy o sytuacji idealnej.

– Sprzęt, który wam przekażemy, ma trafić do żołnierzy na pierwszej linii, a nie do tych na tyłach.

– Naturalnie. To bardzo rozsądne.

Fitz miał nieprzyjemne wrażenie, że Bołdyriew zgadza się z nim, wcale go nie słuchając. Musiał jednak kontynuować.

– Zbyt dużo z tego, co przysyłamy, idzie na marne. Widać to po cywilach, którzy paradują po ulicach w częściach brytyjskich mundurów.

– Tak, owszem.

– Zalecam, by wszyscy oficerowie nienadający się do służby zostali pozbawieni mundurów i by wrócili do domów. – Przekleństwem armii rosyjskiej byli amatorzy oraz leciwi nieudacznicy, którzy wtrącali się w proces decyzyjny, lecz nie brali udziału w walce.

– Hmm.

– Sugeruję także, by dał pan większe pełnomocnictwa ministrowi wojny admirałowi Kołczakowi. – Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważało Kołczaka za najbardziej obiecującego członka Dyrektoriatu.

– Świetnie, świetnie.

– Jest pan gotów zrealizować te zalecenia? – spytał Fitz, który chciał usłyszeć od rozmówcy konkretną deklarację.

– Absolutnie tak.

– Kiedy?

– Wszystko w swoim czasie, panie pułkowniku, wszystko w swoim czasie.

Serce Fitz'a zamarło. Dobrze, że Churchill i Curzon nie widzą jak nędzne siły stają przeciwko bolszewizmowi, pomyślał zrozpaczony. Ale może Rosjanie wezmą się w garść? – tu wykazał iście brytyjski optymizm. Tak czy owak, musi zrobić jak najlepszy użytek z tego, czym dysponuje.

Rozległo się pukanie w drzwi i do przedziału wszedł kapitan Murray, adiutant Fitz'a. Trzymał w ręku telegram.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – rzekł bez tchu. – Jestem pewny, że chce pan jak najprędzej poznać tę wiadomość.

Mildred zeszła na dół w środku dnia.

— Ruszajmy na zachód — zaproponowała, mając na myśli londyński West End. — Wszyscy tam idą. Puściłam dziewczyny do domu. — Zatrudniała w swoim zakładzie modniarskim dwie młode szwaczki. — Cały East End robi sobie wolne. Wojna się skończyła!

Ethel bardzo chciała z nią iść. To, że zrezygnowała z kandydowania na rzecz Berniego, nie poprawiło zbyt wiele atmosfery w domu. On się rozpogodził, lecz ona poczuła jeszcze większe rozgoryczenie. Wypad do miasta dobrze by jej zrobił.

— Muszę zabrać Lloyda.

— Dobrze, ja wezmę Enid i Lii. Niech na całe życie zapamiętają dzień, w którym wygraliśmy wojnę.

Naszykowany Berniemu na lunch kanapkę z serem, Ethel ubrała ciepło Lloyda. Cała gromada zdołała wsiąść do autobusu, lecz ten wkrótce się zapełnił. Mężczyźni i chłopcy wisieli na zewnątrz na stopniach. Na każdym domu powiewała jakaś flaga. Oprócz brytyjskich Union Jacków były walijskie smoki, trójkolorowe sztandary francuskie oraz gwiazdziste amerykańskie. Ludzie rzucali się w ramiona nieznanym, tańczyli na ulicach i całowali się. Padał deszcz, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Ethel pomyślała o rzeszach młodych mężczyzn, którym nic już nie grozi. Zapomniała o troskach i uległa radosnemu nastrojowi chwili.

Gdy autobus minął teatry i wjechał do dzielnicy rządowej, samochody zaczęły się posuwać w żółwym tempie. Na Trafalgar Square zebrała się ogromna rzesza świętujących ludzi. Autobus nie mógł dalej jechać, więc pasażerowie wysiedli. Ethel i Mildred ruszyły z dziećmi ulicą Whitehall w stronę Downing Street. Nie mogły się zbliżyć do siedziby rządu pod numerem dziesiątym, gdyż mnóstwo londyńczyków chciało zobaczyć premiera Lloyda George'a, tego, który wygrał wojnę. W parku St James 's mnóstwo par obściskowało się w krzakach. W drugim końcu parku tysiące obiegało pałac Buckingham. Śpiewano Keep the Home Fires Burning, a następnie hymn Now Thank We AU Our God. Ethel zauważyła, że wielkim chórem dyryguje młoda szczupła kobieta w tweedowym kostiumie, stojąca na ciężarówce. Przyszło jej na myśl, że przed wojną żadna dziewczyna nie ośmieliłaby się czegoś takiego zrobić.

Przeszły przez ulicę i znalazły się w parku Green. Chciały dostać się bliżej pałacu. Jakiś młody mężczyzna uśmiechnął się do Mildred, a gdy odpowiedziała uśmiechem, objął ją i ucałował, a ona z zapalem odwzajemniła pocałunek.

— Spodobało ci się — zauważyła z zazdrością Ethel, gdy chłopak odszedł.

— Jakżeby inaczej. Zrobiłabym mu laskę, gdyby mnie poprosił.

— Nie powiem tego Billy'emu — rzekła ze śmiechem Ethel.

— Billy nie jest głupi, wie, jakie ze mnie ziółko.

Ominawszy zgromadzenie, dotarły do Constitution Hill. Tłum nieco się przeczekał. Ulica biegła wzdłuż bocznej elewacji pałacu Buckingham, toteż nie sposób było zobaczyć króla, nawet gdyby monarcha zdecydował się wyjść na balkon. Ethel zastanawiała się, w którą stronę ruszyć, gdy na ulicy ukazał się oddział konnej policji. Ludzie pierzchali z drogi.

Za konnymi policjantami sunął otwarty powóz. Król i królowa uśmiechali się i machali. Ethel od razu rozpoznała monarszą parę, gdyż zapamiętała ją z wizyty w Aberowen przed prawie pięcioma laty. Trudno jej było teraz uwierzyć w swoje szczęście. Powóz zbliżał się powoli. Broda króla, ciemna, gdy monarcha zaszczycił Ty Gwyn, zdążyła posiwieć. Król był zmęczony, lecz szczęśliwy. Królowa chroniła parasolką kapelusz przed deszczem. Wydawało się, że jej słynny biust jest jeszcze obfitszy niż dawniej.

— Spójrz, Lloydzie — rzekła Ethel. — To jest król!

Powóz znalazł się tuż obok miejsca, w którym stały Ethel

i Mildred.

– Cześć, król! – krzyknął głośno Lloyd.

Król usłyszał okrzyk i uśmiechnął się.

– Witaj, młodzieńcze!

Powóz pojechał dalej.

VII.

Grigorij siedział w wagonie jadalnym pociągu pancernego. Miejsce naprzeciwko zajmował przewodniczący Rewolucyjnej Rady Wojennej oraz komisarz ludowy do spraw wojskowych i morskich. Oznaczało to, że jest naczelnym wodzem Armii Czerwonej. Nazywał się Lew Dawidowicz Bronstein, lecz tak jak większość czołowych rewolucjonistów przyjął pseudonim i był znany jako Lew Trocki. Za kilka dni miał skończyć trzydzieści dziewięć lat i w jego rękach spoczywał los Rosji. Rewolucja trwała od roku, a Peszków był coraz bardziej zaniepokojony. Wydawało się, że szturm na Pałac Zimowy ja wieńczy, a tymczasem był to zaledwie początek walki. Rządy najpotężniejszych krajów świata pały wrogością do bolszewików. Podpisane dzisiaj zawieszenie broni oznaczało, że teraz skupia całą uwagę na dławieniu rewolucji. I tylko Armia Czerwona może te zakusy udaremnić.

Wielu żołnierzy nie cierpiało Trockiego, uważając go za arystokratę i Żyda. W Rosji jedno wykluczało drugie, lecz wojacy nie grzeszyli logiką. Trocki nie pochodził z arystokracji, jakkolwiek jego ojciec był bogatym rolnikiem, a Lew otrzymał dobre wykształcenie. Jednak jego dobre maniere nie przysparzały mu sympatii. Poza tym był na tyle głupi, że jeździł z własnym kucharzem i wyposażył swój personel w nowe buty oraz stroje ze złotymi guzikami. Wyglądał staro na swój wiek. Bujna czupryna kędzierzawych włosów pozostała czarna, lecz twarz znaczyły linie znamionujące życie pełne napięcia. Jako wódz naczelny Trocki dokonywał cudów.

Czerwona Gwardia, która obaliła Rząd Tymczasowy, na polu bitwy nie wykazała się skutecznością. Gwardziści pili, dyscyplina była im obca. Podejmowanie decyzji taktycznych w drodze głosowania nie przysparzało im sukcesów. Okazało się, że jest jeszcze gorzej niż wtedy, gdy rozkazy wydawali nieznający się na rzemiośle wojennym arystokraci. Czerwoni przegrali wszystkie większe bitwy z kontrrewolucjonistami, którzy określali się obecnie mianem białych.

Trocki, mimo głośnych protestów, na powrót wprowadził pobór. Wziął do wojska wielu byłych carskich oficerów. Nazwał ich specjalistami i obsadził na dawnych stanowiskach. Przywrócił także karę śmierci dla dezertersów. Peszkowowi te kroki nie przypadły do gustu, ale wiedział, że są nieodzowne. Wszystko jest lepsze od kontrrewolucji.

Jedynym spoiwem armii byli bolszewicy. Rozlokowywano ich równomiernie we wszystkich jednostkach, by zmaksymalizować wpływ, jaki wywierali na ogół żołnierzy. Byli wśród nich zwykli szeregowcy, inni natomiast zajmowali stanowiska dowódcze. Niektórzy, tacy jak Grigorij, byli komisarzami politycznymi współpracującymi z dowódcami wojskowymi i podlegali Komitetowi Centralnemu partii w Moskwie. Dbali o morale żołnierzy, przypominając im, że walczą o największą sprawę w dziejach ludzkości. Gdy wojsko okazywało okrucieństwo i bezwzględność, rekwirując ziarno oraz konie rozpaczliwie ubogim chłopskim rodzinom, bolszewicy tłumaczyli kolegom, że jest to niezbędne dla osiągnięcia wyższego celu. Zawczasu powiadamiali o wszelkich oznakach niezadowolnienia, by można je było zdławić, zanim staną się groźne. Czy te wszystkie kroki wystarczą?

Peszków i Trocki pochylali się nad mapą. Wódz wskazał region zakaukaski leżący pomiędzy Rosją a Persją.

- Turcy dzięki pomocy Niemiec wciąż panują nad Morzem Kaspijskim.
 - Zagrożają polom naftowym – dodał cicho Grigorij.
 - Denikin jest silny na Ukrainie. – Tysiące arystokratów, oficerów i burżujów umknęło przed rewolucją i znalazło schronienie w Nowoczerkasku. Utworzyli tam siły kontrrewolucyjne pod dowództwem generała renegata Antona Denikina.
 - Tak zwana armia ochotnicza.
 - Otóż to. – Palec Trockiego powędrował ku północnej części Rosji. – Brytyjczycy trzymają eskadrę morską w Murmańsku. W Archangielsku stacjonują trzy bataliony amerykańskiej piechoty. Dostają wsparcie od niemal wszystkich państw: Kanady, Chin, Polski, Włoch, Serbii... Prędzej bym wymienił kraje niemające swoich oddziałów na mroźnej północy naszej ojczyzny.
 - Do tego jeszcze Syberia.
- Trocki pokiwał głową.
- Japończycy i Amerykanie utrzymują jednostki we Włodawostoku. Czesi kontrolują większą część kolei transsyberyjskiej. W Omsku są Brytyjczycy oraz Kanadyjczycy. Wspierają tak zwany Ogólnorosyjski Rząd Tymczasowy.
- Grigorij znał większość tych informacji, lecz dotąd nie ogarniał całości obrazu.
- Jesteśmy otoczeni!
 - Nie inaczej. A teraz, gdy mocarstwa kapitalistyczno-imperialistyczne zawarły pokój, będą miały do dyspozycji miliony żołnierzy.
- Peszków szukał jakiegoś promyka nadziei.
- My jednak w ciągu pół roku zwiększyliśmy liczebność Armii Czerwonej z trzystu tysięcy do miliona.
- Dla Trockiego nie stanowiło to pocieszenia.
- Wszystko za mało.

VIII.

Niemcy wpadły w rewolucyjny zamęt. Walter doszedł do zatrważającego wniosku, że sytuacja w kraju przypomina to, co przed rokiem działo się w Rosji.

Zaczął się od buntu. Dowódcy marynarki rozkazali flocie w Kilonii wyjść w morze i przypuścić samobójczy atak na Brytyjczyków. Marynarze odmówili wykonania rozkazu, wiedząc o toczących się rozmowach pokojowych. Walter w rozmowie z ojcem zauważył, że oficerowie występowali przeciw woli Kaisera, więc to oni byli buntownikami, marynarze zaś okazali lojalność. Otto o mało nie dostał apopleksji.

Władze podjęły próbę zdławienia buntu marynarzy, a wówczas Kilonię opanowali żołnierze i robotnicy, którzy utworzyli radę wzorowaną na rosyjskich sowietach. Dwa dni później podobne rady przejęły władzę w Hamburgu, Bremie oraz Cuxhaven. Przedwczoraj Kaiser abdykował.

Walter był pełen obaw. Pragnął demokracji, a nie rewolucji. Tymczasem w dniu abdykacji cesarza robotnicy w Berlinie zorganizowali wielotysięczny marsz pod czerwonymi sztandarami. Skrajnie lewicowy przywódca proletariatu, Karl Liebknecht, ogłosił Niemcy wolną republiką socjalistyczną. Trudno było sobie wyobrazić, czym to się skończy.

Rozejm przyniósł ogrom goryczy. Walter od początku uważał wojnę za straszliwy błąd, lecz świadomość, że miał słuszność, nie dawała mu satysfakcji. Ojczyzna poniosła klęskę i została poniżona, a rodacy cierpieli głód. Walter siedział w salonie domu rodziców w Berlinie i przeglądał gazety. Był tak przygnębiony, że nawet nie chciało mu się grać na fortepianie. Tapeta wyblakła, ramy obrazów pokrył kurz. Klepki w starym parkiecie poluzowały się, lecz nie miał ich kto naprawić.

Można było tylko mieć nadzieję, że świat wyciągnie naukę z historii. Czternastopunktowy plan prezydenta Wilsona dawał iskierkę światła, która mogła zwiastować wschód słońca. Czy to możliwe, by giganci wśród narodów świata znaleźli pokojową drogę rozstrzygnięcia dzielących ich sporów?

Artykuł w prawicowej gazecie doprowadził Waltera do furii.

– Ten dureń pisze, że armia niemiecka nie została pokonana – rzekł do ojca, gdy ten wszedł do salonu. – Utrzymuje, że padliśmy ofiarą zdrady rodzimych Żydów i socjalistów. Należy tępić tego rodzaju bzdury.

– Niby dlaczego? – rzucił wyzywająco Otto.

– Ponieważ wiemy, że to nieprawda.

– Moim zdaniem zostaliśmy zdradzeni przez Żydów i socjalistów.

Jego syn nie wierzył własnym uszom.

– To nie Żydzi i socjaliści pokonali nas dwukrotnie nad Marną. Po prostu przegraliśmy wojnę!

– Osłabiły nas braki w zaopatrzeniu.

– Brytyjczycy zorganizowali blokadę. Kto doprowadził do tego, że Amerykanie przyłączyli się do wojny? To nie Żydzi i socjaliści zażądali nieograniczonej wojny podwodnej i zatopili statki z obywatelami amerykańskimi na pokładzie.

– Socjaliści przystali na haniebne warunki rozejmu.

Walter nie posiadał się z oburzenia.

– Sam wiesz doskonale, że to Ludendorff poprosił o rozejm.

Kanclerz Ebert objął urząd dopiero przedwczoraj. Jak możesz go obwiniać?

– Gdyby wojsko wciąż trzymało ster władzy, nigdy nie podpisałibyśmy tego dokumentu.

– Ale go nie trzymacie, ponieważ przegraliście wojnę. Wmawialiście Kaiserowi, że możecie zwyciężyć, a on wam uwierzył i w konsekwencji stracił koronę. Jak mamy się uczyć na własnych błędach, skoro powtarzamy narodowi niemieckiemu takie łągarstwa?

– Jeśli uwierzą, że nas pokonano, upadnie morale.

– Powinno upaść! Przywódcy europejscy zrobili coś karygodnie głupiego i zgotowali śmierć milionom ludzi. Pozwólcie to narodowi zrozumieć, aby coś takiego nigdy się nie powtórzyło!

– Wykluczone – uciał ojciec.

CZEŚĆ TRZECIA

Nowy ład

ROZDZIAŁ 34

Listopad – grudzień 1918 roku

i.

Nazajutrz po dniu ogłoszenia zwycięstwa Ethel obudziła się wcześniej rano. Stojąc na kamiennej podłodze kuchni, trzęsąc się z zimna i czekając, aż zagotuje się woda w czajniku na staroświeckiej kuchence, powzięła postanowienie, że będzie szczęśliwa.

Powodów do radości jest wiele. Wojna się skończyła, a ona spodziewa się dziecka. Ma wiernego męża, który ją ubóstwia. Nie wszystko ułożyło się po jej myśli, lecz nie pozwoli sobie na przygnębienie. Postanowiła, zgodnie z panującą modą, pomalować kuchnię na wesoły żółty kolor.

Najpierw jednak musi naprawić swoje małżeństwo. Jej rezyg-

nacja udobruchała Berniego, lecz ją nadal trawiła gorycz i dlatego w domu atmosfera była zatruta. Ethel nosiła w sobie gniew, ale nie chciała, by rozdzwięk między nią i Bernieem pozostał. Myślała o tym, jak załagodzić sytuację.

Zaniosła do sypialni dwie filiżanki herbaty i weszła do łóżka. Lloyd wciąż spał w swoim łóżeczku w kącie.

– Jak się czujesz? – spytała. Bernie usiadł i założył okulary.

– Wydaje mi się, że jest lepiej.

– Zostań w łóżku jeszcze dzień i wylecz się do końca.

– Dlaczego nie? – odparł tonem, w którym nie było ani ciepła, ani wrogości.

Ethel upiła łyk gorącej herbaty.

– Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

Bernie milczał. Myślała, że się nadał, lecz on tylko zastanawiał się nad odpowiedzią, tak jak często czynił.

– Syna już mamy, więc teraz miło byłoby mieć córkę do pary – odparł po dłuższej chwili.

Ethel ogarnęła czułość. Zawsze mówił o Lloydzie jak o własnym dziecku.

– Musimy zrobić wszystko, by dorastali w dobrym kraju – powiedziała. – By mieli szansę na przyzwoite wykształcenie, pracę i dom, w którym wychowają swoje dzieci. I żeby nie było więcej wojen.

– Lloyd George nie będzie zwlekał z rozpisanem wyborów.

– Tak myślisz?

– Ludzie widzą w nim tego, który wygrał wojnę. Zechce to wykorzystać, nim dobry efekt wygaśnie.

– Wydaje mi się, że mimo to laburzyści uzyskają dobry wynik.

– Mamy szansę w takich okręgach jak Aldgate.

– Chcesz, abym poprowadziła twoją kampanię? – spytała

Ethel po chwili wahania.

Bernie spojrzał na nią niepewnie.

– Poprosiłem Jocka Reida, żeby został moim agentem.

– Jock może się zająć stroną prawną i finansową, a ja będę organizowała spotkania i wiece. Znam się na tym o wiele lepiej. – Nagle Ethel poczuła, że stawką w tej grze jest nie tylko kampania, lecz także ich małżeństwo.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak. Jock po prostu każe ci wygłaszać przemówienia.

Możesz to robić, naturalnie, ale publiczne wystąpienia nie są twoją mocną stroną. Znacznie lepiej wypadasz w małym towarzystwie, w rozmowie przy herbacie. Załatwię ci spotkania w fabrykach i magazynach, w których będziesz mógł rozmawiać z ludźmi w mniej oficjalnej scenerii.

– Na pewno masz rację – rzekł Bernie.

Ethel dopiła herbatę i postawiła filiżankę na podłodze przy łóżku.

– Lepiej się czujesz?

– Tak.

Odstawiła filiżankę Berniego, a następnie ściągnęła przez głowę koszulę nocną. Jej piersi nie były już tak sterczące jak przed pierwszą ciążą, lecz wciąż jędrne i krągłe.

– O ile lepiej?

– O wiele – mruknął Bernie, patrząc na żonę.

Nie kochali się od tamtego wieczoru, gdy Jayne McCulley wysunęła kandydaturę Ethel. Bardzo jej tego brakowało. Ujęła piersi w dłonie. Od panującego w pokoju chłodu jej sutki stwardniały.

– Wiesz, co to jest?

– Zdaje się, że twój biust.

– Niektórzy nazywają je cyckami.

– Ja mówię, że są piękne – powiedział chrapliwie.

– Chcesz się nimi pobawić?

– Mogłbym to robić przez cały dzień.

– Tego nie wiem, ale zacznij i zobaczymy, jak nam pójdzie.

Ethel westchnęła z zadowoleniem. Mężczyźni są tacy nieskomplikowani.

Godzinę później poszła do pracy, zostawiając Lloyda z Berniem. Ulice były puste, londyńczycy leczyli kaca. Dotarła do siedziby Krajowego Związku Robotników Odzieżowych i usiadła za biurkiem. Pokój przyniesie nowe wyzwania, myślała, planując swój dzień pracy. Miliony mężczyzn pójdą do cywila i zaczną szukać zatrudnienia. Będą chcieli wypchnąć z posad kobiety zajmujące je od lat. Im zaś będą potrzebne pensje. Nie do wszystkich bowiem powrócą z Francji mężowie, gdyż wielu zostało tam na zawsze. Potrzebują związku, potrzebują Ethel. Przed wyborami, bez względu na to, kiedy się odbędą, związek będzie agitował za Partią Pracy. Ethel poświęciła większość czasu na obmyślanie strategii.

Popołudniówki przyniosły zaskakujące informacje o wyborach. Lloyd George postanowił kontynuować istniejącą koalicję w czasie pokoju. Nie wystąpi w kampanii jako lider liberałów, lecz jako szef koalicji. Rano przy Downing Street wygłosił przemówienie do dwustu liberalnych deputowanych i uzyskał ich poparcie. Jednocześnie Bonar Law przekonał konserwatywnych członków parlamentu, by poparli jego plan.

Ethel była zdezorientowana. Na kogo ludzie mają oddać głosy? Gdy wróciła do domu, stwierdziła, że Bernie jest wściekły.

– To nie są wybory, lecz koronacja! Król Lloyd George. Cholerny zdrajca. Ma szansę stworzyć radykalny lewicowy rząd i co robi? Trzyma sztamę z konserwatystami! Cholerny dwulicowiec!

– Nie poddawajmy się jeszcze – powiedziała Ethel.

Dwa dni później Partia Pracy wyszła z koalicji i ogłosiła, że będzie występować przeciwko Lloydowi George'owi. Czterech laburzystowskich deputowanych zajmujących stanowiska ministerialne odmówiło rezygnacji, w związku z czym niezwłocznie usunięto ich z partii. Datę wyborów wyznaczono na czternastego grudnia. Wyniki postanowiono ogłosić po Bożym Narodzeniu, by żołnierze wracający z Francji mieli czas na oddanie głosów, a komisje wyborcze na ich policzenie.

Ethel zaczęła opracowywać szczegółowy plan kampanii wyborczej Berniego.

II.

Ranek po ogłoszeniu zwycięstwa Maud napisała na czerwonym papierze brata list do Waltera i wrzuciła go do czerwonej skrzynki na rogu ulicy.

Nie wiedziała, jak długo potrwa przywracanie normalnej obsługi pocztowej, lecz chciała, by jej koperta znalazła się na wierzchu. List był starannie sformułowany, na wypadek gdyby cenzura wciąż obowiązywała. Nie było w nim wzmianki o małżeństwie, lecz tylko wyrazy nadziei, że teraz, gdy między krajami zapanował pokój, Maud i Walter będą mogli wznowić dawne relacje. Wysłanie takiego listu stanowiło ryzyko, lecz ona rozpaczliwie chciała wiedzieć, czy ukochany żyje. Jeśli tak, pragnęła się z nim zobaczyć. Dławił ją lęk, że zwycięscy alianci będą chcieli wymierzyć karę narodowi niemieckiemu. Jednak przemówienie Lloyda George'a wygłoszone do deputowanych z ramienia Partii Liberalnej uspokoiło ją. Popołudniowe gazety donosiły, że premier chce sprawiedliwego porozumienia pokojowego z Niemcami. „Nie możemy pozwolić, by zachłanność bądź złe emocje przeważały nad fundamentalnymi zasadami sprawiedliwości”. Rząd brytyjski odwróci się od tego, co premier nazwał „podłą, niską żądzą zemsty i chciwości”. Maud się ucieszyła. Życie Niemców po wojnie będzie trudne nawet bez dodatkowych obciążeń.

Jednak nazajutrz, otworzywszy przy śniadaniu „Daily Mail”, przestraszyła się. Tytuł artykułu na pierwszej stronie brzmiał:

Hunowie, oto nadszedł czas zapłaty. Autor przekonywał, że owszem, do Niemiec należy wysłać pomoc żywnościową, lecz tylko dlatego, że zagłodzeni na śmierć Niemcy nie będą w stanie spłacić długu. Zdaniem dziennikarza Kaiser powinien zostać osadzony za zbrodnie wojenne. Gazeta podgrzewała atmosferę, publikując na czele kolumny listów do redakcji diatrybę pióra wicehrabiny Templetown zatytułowaną Tama dla Hunów.

– Jak długo mamy się nienawidzić? – spytała Maud ciocię Herm. – Rok? Dziesięć lat? A może zawsze?

Maud jednak nie powinna była się dziwić. Na początku wojny „Daily Mail” rozniecił kampanię nienawiści przeciwko trzydziestu tysiącom Niemców mieszkających w Wielkiej Brytanii. Większość z nich stanowili zasiedziali obywatele uważający Wyspy Brytyjskie za swój dom. Doprowadzono do podziałów w wielu rodzinach, a tysiące niewinnych osób przesiedziało lata w brytyjskich obozach koncentracyjnych. Była to głupota, lecz ludzie zawsze potrzebują kogoś, kogo mogą nienawidzić. A gazety skwapliwie tę potrzebę zaspokajają.

Maud знаła właściciela „Daily Mail”, lorda Northcliffe'a. Tak jak wszyscy wielcy ludzie prasy lord wierzył w brednie, które publikował. Jego talent polegał na umiejętności przedstawiania najbardziej niedorzecznych i ignoranckich uprzedzeń w taki sposób, że wydawały się zasadne. To, co haniebne, zyskiwało status godnego szacunku. Właśnie dlatego czytelnicy kupowali jego gazety.

Wiedziała także, że ostatnio Lloyd George utarł Northcliffe'owi nosa. Zadufany magnat prasowy wysunął swoją kandydaturę na członka brytyjskiej delegacji na zbliżającą się konferencję pokojową i poczuł się dotknięty, gdy premier go odrzucił.

Maud to zmartwiło. W polityce ludziom godnym pogardy czasami należy schlebiać. Lloyd George chyba o tej zasadzie zapomniał. Przyszło jej na myśl, że zjadliwa propaganda „Daily Mail” może wpłynąć na wynik wyborów.

Kilka dni później życie potwierdziło jej obawy.

Wybrała się na wiec wyborczy w sali ratusza na londyńskim East Endzie. Na widowni siedziała Ethel Leckwith, a jej mąż Bernie zajmował miejsce na podeście. Nie pogodziły się po kłótni, mimo że łączyła je wieloletnia przyjaźń. Maud wciąż trzęsła się z gniewu na myśl, że Ethel, podobnie jak wiele innych kobiet, poparła decyzję parlamentu stawiającą je w gorszej względem mężczyzn pozycji podczas wyborów. Mimo to tęskniła za entuzjazmem i pogodą ducha Ethel.

Publiczność niecierpliwiła się, gdy przedstawiano uczestników. Składała się głównie z mężczyzn, chociaż niektóre kobiety otrzymały już prawo wyborcze. Maud pomyślała, iż większość pań jeszcze nie przywykła do tego, że powinny interesować się debatami politycznymi. Przyszło jej także na myśl, że odstręczyłby je klimat takich zgromadzeń, w czasie których mężczyźni wstają i perorują, a słuchacze biją brawo lub bucą.

Pierwszy zabrał głos Bernie. Maud od razu zauważyła, że marny z niego mówca. Opowiadał o nowym statucie Partii Pracy, zwracając szczególną uwagę na paragraf czwarty mówiący o publicznej własności środków produkcji. Maud uznała to za interesujące. Laburzyści różnili się w tej kwestii od liberałów, gdyż ci brali stronę przemysłowców. Szybko jednak zrozumiała, że jest w mniejszości. Siedzący obok niej mężczyzna długo się wiercił, lecz nagle wstał i krzyknął:

– Kiedy wreszcie wywalicie szkopów z naszego kraju?

Berniego zbiło to z tropu. Mamrotał coś przez chwilę, a potem odparł:

– Zrobię to, co będzie korzystne dla proletariusza.

Maud chętnie by go zapytała, czy zamierza także zrobić coś dla proletariuszki. Ethel miała zapewne podobne odczucia.

– Nie uważam jednak, że działania przeciwko Niemcom

w Wielkiej Brytanii należy traktować jako priorytet. Publiczności wcale to nie zadowoliło. Tu i ówdzie rozległy się nieprzyjemne pomruki.

– Wracając jednak do ważniejszych kwestii...

– A co z KaiseremV. – krzyknął ktoś z drugiego końca sali.

Bernie popełnił błąd, odpowiadając na zaczepkę pytaniem:

– Co mianowicie? Przecież abdykował.

– Powinien stanąć przed sądem.

– Nie rozumiecie, że proces dałby mu szansę występowania w swojej obronie? – spytał zniecierpliwiony Bernie. – Naprawdę chcecie, aby cesarz Niemiec ogłosił światu, że jest niewinny?

Maud pomyślała, że argument jest nie do zbiccia, lecz nie tego łaknęła publika. Buczenie się wzmogło, ktoś zawołał:

– Kaiser na szubienicę!

Brytyjscy wyborcy paskudnie wyrażają oburzenie, stwierdziła.

Miała na myśli mężczyzn. Niewiele kobiet chciałoby wziąć udział w takim przedstawieniu.

– Wieszając pokonanych wrogów, stajemy się barbarzyńcami – rzekł Bernie.

– Zmusisz Hunów do wypłacenia odszkodowań?! – krzyknął mężczyzna siedzący obok Maud.

Pomysł wzbudził entuzjazm zebranych. Z kilku miejsc rozległo się wołanie:

– Niech Hunowie zapłacą!

– W granicach rozsądku... – zaczął Bernie, lecz nie pozwolono mu dokończyć.

– Niech Hunowie zapłacą! Niech Hunowie zapłacą! – skandowała publiczność.

Maud wstała i opuściła salę ratusza.

III.

Woodrow Wilson jako pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych wyjechał poza terytorium kraju w czasie sprawowania urzędu.

Statek wypłynął z Nowego Jorku czwartego grudnia. Dziewięć dni później Gus oczekiwał na niego na nabrzeżu w Breście w Bretanii. W południe mgła się rozplynęła i po raz pierwszy od kilku dni wyszło słońce. Francuskie, brytyjskie oraz amerykańskie okręty liniowe utworzyły szpaler honorowy, przez który przepłynął transportowiec marynarki amerykańskiej „George Washington” z prezydentem na pokładzie. Działa oddały salwę honorową, a orkiestra odegrała Gwiazdzisty sztandar.

Dla Gusa była to podniosła chwila. Wilson przybył do Europy z zamiarem dołożenia wszelkich starań, by nigdy więcej nie doszło do takiej wojny, jaka niedawno się zakończyła. Czternastopunktowy plan prezydenta oraz postulowana przezeń organizacja o nazwie Liga Narodów miały na zawsze zmienić sposób rozwiązywania konfliktów między państwami. Zamierzenie było niebotycznie ambitne. Żaden polityk w historii ludzkości nie mierzył tak wysoko. Jeśli mu się powiedzie, na świecie zapanuje nowy ład.

O piętnastej Pierwsza Dama, Edith Wilson, zeszła po trapie, opierając rękę na ramieniu generała Pershinga. Za nimi kroczył prezydent w kapeluszu na głowie.

Miasto Brest przywitało Wilsona jak zwycięzcę. Na transparentach widniały napisy Vive Wilson, defenseur du droit des peuples – „Niech żyje Wilson, obrońca ludzkich praw”. Na wszystkich budynkach powiewały flagi z pasami i gwiazdami. Ludzie tłumnie wylegli na ulice, wiele kobiet miało na głowach tradycyjne bretońskie koronkowe czepki. Wszędzie rozbrzmiewały dźwięki bretońskich kobz. Gus nie przepadał za tą muzyką. Francuski minister spraw zagranicznych wygłosił przemówienie powitalne. Gus stanął z amerykańskimi dziennikarzami. Nagle zauważył drobną kobietę w wielkim futrzanym kapeluszu. Gdy

odwróciła głowę, zobaczył ładną twarz z zamkniętym jednym okiem. Uśmiechnął się. To Rosa Hellman. Bardzo chciał poznać jej wrażenia z konferencji pokojowej. Po przemówieniach świta prezydenta wsiadła do pociągu, który miał wyruszyć w czterystumilową nocną podróż do Paryża. Prezydent uściskał Gusowi dłoń.

– Miło, że znów jesteś w zespole.

Wilson chciał, by w czasie paryskiej konferencji pokojowej otaczali go ludzie dobrze mu znani. Głównym doradcą był pułkownik House, Teksasńczyk, który od lat nieoficjalnie doradzał prezydentowi w sprawach międzynarodowych. Gus miał być niższym rangą członkiem zespołu.

Prezydent był zmęczony, więc oboje z żoną udali się do swojego przedziału. Zaniepokoiło to Gusa, który słyszał o szwankującym zdrowiu Wilsona. W 1906 roku pęknięcie naczynia krwionośnego za lewym okiem spowodowało czasową ślepotę. Lekarze stwierdzili nadciśnienie i doradzali mu odejście na emeryturę. Wilson bez troski zignorował ich radę i został prezydentem, lecz ostatnimi czasami skarżył się na bóle głowy, które mogły być objawem tego samego schorzenia. Konferencja pokojowa będzie wyczerpująca. Gus miał nadzieję, że Wilson wytrzyma.

Tym samym pociągiem jechała Rosa. Gus usiadł naprzeciwko niej w wagonie restauracyjnym. Tapicerka na siedzeniach skrzyła się brokatem.

– Przemknęło mi przez myśl, że może się zobaczymy – zaczęła Rosa. Spotkanie najwidoczniej sprawiło jej przyjemność.

– Dostałem urlop. – Gus wciąż nosił mundur kapitana.

– W kraju nie zostawiono suchej nitki na Wilsonie za to, że wybrał taki skład delegacji. Nie chodziło o pana, rzecz jasna...

– Jestem w drugim szeregu.

– Słysząc głosy, że prezydent nie powinien zabierać żony.

Gus wzruszył ramionami. To takie trywialne. Po doświadczeniach na polu bitwy trudno mu było traktować poważnie sprawy zaprzatające ludzi w czasie pokoju.

– Uderzające jest to, że w składzie delegacji zabrakło choćby jednego republikanina.

– Prezydent chce być otoczony sojusznikami, a nie wrogami – obruszył się Gus.

– W kraju także potrzebuje sojuszników – zauważyła Rosa. – Wszak stracił ich w Kongresie.

Było to trafne spostrzeżenie. Gus przypomniał sobie, że Rosa jest bardzo inteligentna. Wybory uzupełniające okazały się dla Wilsona katastrofą. Republikanie zyskali większość w Senacie oraz Izbie Reprezentantów.

– Jak do tego doszło? Nie śledziłem wydarzeń.

– Zwykli ludzie mają dość racjonowania żywności i wysokich cen, a koniec wojny przyszedł za późno, by poprawić sytuację. Liberałowie są wściekli na Ustawę o szpiegostwie. Pozwoliła ona Wilsonowi uwięzić tych, którzy protestowali przeciwko wojnie. Prezydent wykorzystał ją, a jakże. Eugene Debs dostał dziesięć lat. – Debs był kandydatem socjalistów na prezydenta. Rosa dodała gniewnie: – Nie można wsadzać przeciwników do więzienia i udawać bojownika o wolność.

Gus lubił ostre potyczki na argumenty z Rosą.

– Wojna to taki czas, gdy trzeba poświęcić część wolności – zauważył.

– Najwyraźniej amerykańscy wyborcy nie podzielają tego zdania. I jeszcze jedno: Wilson wprowadził segregację w swoich waszyngtońskich urządach.

Gus nie wiedział, czy Murzyni kiedykolwiek zostaną wyniesieni na poziom białych. Podobnie jak większość liberalnie myślących Amerykanów uważał, że należy zapewnić im lepsze szanse w życiu i zobaczyć, co z tego wyniknie. Jednak Wilson i jego żona pochodzili z Południa i mieli inne przekonania.

– Edith nie chciała zabrać pokojówki do Londynu z obawy, że dziewczyna się rozbisurmani – oznajmił Gus. – Pierwsza Dama powiada, że Brytyjczycy zbyt uprzejmie traktują Murzynów.

– Woodrow Wilson przestał być pupilem amerykańskiej lewicy – podjęła Rosa. – To zaś oznacza, że do realizacji projektu Ligi Narodów potrzebne mu jest poparcie republikanów.

– Przypuszczam, że Henry Cabot Lodge czuje się dotknięty. – Lodge był pravicowym republikaninem.

– Zna pan polityków. Są wrażliwi jak małe dziewczynki i jeszcze bardziej mściwi. Lodge przewodniczy senackiej komisji spraw zagranicznych. Wilson powinien był zabrać go z sobą do Paryża.

– Ależ Lodge opowiada się przeciwko samej idei Ligi Narodów!

– Umiejętność wsłuchiwania się w głosy przeciwników to rzadki talent, lecz prezydent powinien go posiadać. Biorąc z sobą Lodge'a, zneutralizowałby przeciwnika. Jako członek zespołu nie mógłby po powrocie do kraju podważyć umów podpisanych w Paryżu.

Gus musiał przyznać Rosie rację, choć Wilson był idealistą wierzącym, że prawością można przewyciężyć wszelkie przeszkody. Nie doceniał siły pochlebstwa, kadzenia i kuszenia. Na cześć prezydenta podano wyśmienite jedzenie. Zamówili świeżą solę z Atlantyku z sosem maślanym. Gus nie jadł tak dobrze od wybuchu wojny. Z rozbawieniem patrzył, jak Rosa pochłania rybę. Zachodził w głowę, gdzie się to wszystko mieści w tak drobnej osóbcie.

Po posiłku kelner przyniósł mocną kawę w maleńkich filiżankach. Gus nie miał ochoty zostawiać Rosy i iść do przedziału sypialnego. Rozmowa z nią była intrygująca.

– Tak czy inaczej, Wilson będzie miał mocną pozycję w Paryżu.

– Dlaczego? – Rosa spojrzała na niego sceptycznie.

– Przede wszystkim dlatego, że wygraliśmy za nich wojnę. Dziennikarka skinęła głową.

– Wilson powiedział kiedyś: „W Chateau-Thierry ocaliliśmy świat”.

– Walczyłem tam razem z Chuckiem Dixonem.

– Czy tam właśnie zginął?

– Pocisk artyleryjski trafił prosto w niego. To była pierwsza ofiara wojny, którą zobaczyłem. Niestety, nie ostatnia.

– Bardzo mi przykro, zwłaszcza z powodu jego żony. Znam Doris od lat. Miałyśmy tę samą nauczycielkę gry na pianinie.

– Nie wiem jednak, czy uratowaliśmy świat – ciągnął Gus. – Francuzi, Brytyjczycy i Rosjanie ponieśli większe straty niż my. Ale to my przechyliliśmy szalę zwycięstwa. To powinno się liczyć.

Rosa pokręciła głową. Jej ciemne loki zafalowały.

– Z tym zdaniem nie mogę się zgodzić. Wojna się skończyła i Europejczycy już nas nie potrzebują.

– Lloyd George uważa, że potęgi militarnej Stanów Zjednoczonych nie wolno lekceważyć.

– A zatem się myli. – Gus był zdziwiony i zaintrygowany, słysząc tak zdecydowane opinie z ust kobiety. – Przypuśćmy, że Francuzi i Brytyjczycy po prostu nie przychyliły się do opinii Wilsona. Sięgnie po wojsko, by wcielić w życie swoje idee? Nie. Nawet gdyby zechciał, zdominowany przez republikanów Kongres mu na to nie pozwoli.

– Jesteśmy silni gospodarczo i finansowo.

– Bez wątplenia alianci sporo nam zawdzięczają, ale nie sądzę, by dawało nam to przewagę w negocjacjach. Jest takie powiedzenie: jeśli zaciągnąłeś kredyt na sto dolarów, bank ma cię w rękę, lecz jeśli jesteś winien milion, to ty masz władzę nad bankiem.

Gus uświadomił sobie, że zadanie stojące przed Wilsonem

może być znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażał.

– A opinia publiczna? Widziała pani, jakie przyjęcie zgotowano prezydentowi w Breście? Oczywiście wszystkich Europejczyków są na niego zwrócone, wszyscy liczą na to, że Wilson stworzy nowy pokojowy świat.

– To jest jego najmocniejsza karta, ludzie mają dość rzezi. „Nigdy więcej!”, krzyczą. Mam nadzieję, że Wilson spełni ich oczekiwania.

Gus i Rosa udali się do swoich przedziałów i powiedzieli sobie „dobranoc”. Gus długo leżał i myślał o tym, co mówiła dziennikarka. Bez wątpienia jest najinteligentniejszą kobietą, jaką zna. A także piękną. Szybko zapominało się o jej oku. Z początku wydawało się, że to okropna deformacja, lecz po chwili przestał ją zauważać. Rosa była pesymistycznie nastawiona do konferencji pokojowej. Wszystkie jej spostrzeżenia były trafne. Gus uzmysłowił sobie, że Wilson będzie musiał stoczyć bój. Cieszył się, że należy do delegacji, i postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, by plany prezydenta udało się wprowadzić w życie.

Wczesnym rankiem wyjrzał przez okno pociągu pędzącego przez Francję na wschód. Ze zdumieniem zobaczył w jakimś miasteczku tłumy ludzi na peronach i na drodze obok torów. Mimo ciemności byli dobrze widoczni w świetle latarni. Stały tam tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Nikt nie wiwatował, wszyscy stali w ciszy. Mężczyźni i chłopcy na znak szacunku zdjęli czapki. Ten gest prawie wycisnął łzy z oczu Gusa. Czekali przez pół nocy, by zobaczyć przejazd pociągu wiozącego nadzieję świata.

ROZDZIAŁ 35

Grudzień 1918 – luty 1919 roku

i.

Głosy liczono przez trzy dni po Bożym Narodzeniu. Ethel i Bernie Leckwithowie poszli do ratusza w Aldgate, by poznać wyniki wyborów. Bernie czekał na podeście, ubrany w swój najlepszy garnitur. Ethel zajęła miejsce na widowni. Bernie przegrał.

Przyjął porażkę ze stoickim spokojem, lecz jego żona się rozplakała. To kres jego marzeń. Być może były one głupie i naiwne, lecz mimo to wspaniała mu z całego serca.

Zwyciężył liberał, który poparł koalicję Lloyda George'a. Konserwatyści nie mieli swojego kandydata, więc zagłosowali na kandydata liberałów. Takiej koalicji Partia Pracy nie miała szans pokonać.

Bernie pogratulował zwycięzcy i zszedł z podestu. Partyjni koledzy mieli butelkę szkockiej whisky. Chcieli przepić porażkę, lecz Bernie i Ethel poszli do domu.

– Ja się do tego nie nadaję – oznajmił Bernie, gdy Ethel wstawiła mleko na kakao.

– Dobrze się spisałeś. Przechytrył cię ten cholerny Lloyd George.

Bernie pokręcił głową.

– Nie jestem przywódcą. Moja działka to główkowanie i planowanie. Wiele razy próbowałem przemawiać do ludzi tak jak ty, natchnąć ich entuzjazmem dla naszej sprawy, ale nigdy mi się nie udało. Kiedy ty mówisz, kochają cię. Na tym polega różnica między nami.

Ethel wiedziała, że mąż ma rację.

Nazajutrz gazety doniosły, że wyniki wyborów w Aldgate powtórzyły się w całym kraju. Koalicja zdobyła pięćset dwadzieścia pięć na siedemset siedem miejsc, wygrywając z ogromną przewagą, jedną z największych w historii parlamentu. Wyborcy oddali głosy

na tego, który wygrał wojnę.

Ethel czuła palącą gorycz rozczarowania. Krajem wciąż rządzi starcy. Politycy, którzy wysłali na śmierć miliony ludzi, świętują teraz, jakby dokonali cudu. A co tak naprawdę osiągnęli? Ból, głód, spustoszenie. Zginęło niepotrzebnie dziesięć milionów mężczyzn i chłopców.

Promykiem nadziei była poprawa pozycji Partii Pracy. Laburzyści zdobyli sześćdziesiąt miejsc. Do tej pory mieli ich czterdzieści dwa.

Najbardziej ucierpieli ci liberałowie, którzy opowiedzieli się przeciwko Lloydowi George'owi. Wygrali w zaledwie trzydziestu okręgach, nawet Asquith stracił miejsce w parlamencie.

– To może być koniec Partii Liberalnej – orzekł Bernie, smarując chleb masłem. – Zawiedli wyborców, teraz laburzyści stanowią opozycję. Być może to nasza jedyna pociecha.

Właśnie wychodzili do pracy, gdy listonosz przyniósł pocztę.

Ethel przeglądała listy, a mąż wiązał sznurowadła przy butach Lloyd'a. Jeden z listów był od brata. Usiadła przy stole w kuchni, by odczytać zakodowaną ich ustalonym szyfrem wiadomość.

Podkreślała kluczowe słowa ołówkiem i zapisywała je w notesie. Im dłużej czytała, tym bardziej była zaintrygowana.

– Wiesz, że Billy jest w Rosji? – powiedziała do Berniego.

– Tak, wiem.

– Pisze, że nasze wojska posłano tam do walki z bolszewikami. Amerykanie również mają w Rosji swoich żołnierzy.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Ale posłuchaj tego: Wiemy, że biali nie zdołają pokonać bolszewików, ale co się stanie, jeśli do wojny włączą się obce wojska? Wszystko może się zdarzyć!

– Mogłaby powrócić monarchia – rzekł w zadumie Bernie.

– Nasz naród do tego nie dopuści.

– Tylko że nasz naród nie wie o tych wydarzeniach.

– A więc trzeba narodowi o nich powiedzieć. Napiszę artykuł – zdecydowała Ethel.

– Kto go opublikuje?

– Zobaczymy, może „Daily Herald”. – „Herald” był lewicową gazetą. – Zaprowadzisz Lloyd'a do opiekunki?

– Oczywiście.

Ethel myślała przez minutę, a potem napisała u góry kartki:

RĘCE PRECZ OD ROSJI!

II.

Maud spacerowała po Paryżu i płakała. Wzdłuż szerokich bulwarów piętrzyły się stosy gruzu w miejscach, na które spadły niemieckie pociski. Okna wspaniałych gmachów zabito deskami. Ich widok przywoływał bolesne wspomnienie jej przystojnego brata, i jego okaleczonej twarzy. W szpalerach drzew ziały luki: stare kasztany i szacowne klony musiały paść pod siekierami, gdyż zabrakło drewna. Połowa kobiet chodziła w żałobie, na rogach ulic stali kulawi weterani, wyciągając ręce po drobniaki.

Płakała również z powodu Waltera, gdyż jej list pozostał bez odpowiedzi. Chciała pojechać do Niemiec, lecz okazało się to niemożliwe. Nawet zdobycie pozwolenia na wyjazd do Paryża było bardzo trudne. Miała nadzieję, że Walter przybędzie wraz z niemiecką delegacją, lecz takowej nie było. Przedstawiciele pokonanych krajów nie zaproszono na konferencję pokojową.

Zwycięscy alianci zamierzali między sobą ustalić warunki porozumienia, a następnie przedstawić traktat do podpisu tym, którzy przegrali.

Tymczasem brakowało węgla i we wszystkich hotelach panował ziąb. Maud wynajęła apartament w Majesticu, w którym zamiesz-

kała brytyjska delegacja. Chcąc zabezpieczyć się przed francuskimi szpiegami, Brytyjczycy zastąpili francuską służbę swoimi ludźmi. Konsekwencją tego była okropna kuchnia: owsianka na śniadanie, rozgotowane warzywa oraz podła kawa.

Opatulona przedwojennym futrem Maud poszła na spotkanie z Johnnym Remarkiem u souqueta przy Polach Elizejskich.

– Dziękuję, że załatwiłeś mi podróż do Paryża.

– Wszystko dla ciebie, Maud. Dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, by tu przyjechać?

Nie zamierzała mówić prawdy komuś, kto uwielbia plotki.

– Na zakupy. Od czterech lat nie kupiłam sobie nowej sukienki.

– Och, daj spokój. Tu nie ma czego kupować, a to, co jest, kosztuje fortunę. Tysiąc pięćset franków za kieckę! Nawet Fitz by się zawahał. Podejrzewam, że masz francuskiego kochasia.

– Chciałabym. – Maud postanowiła zmienić temat: –

Odnalazłam samochód Fitz'a. Gdzie mogę zdobyć paliwo?

– Zobaczę, co da się zrobić.

Zamówili lunch.

– Myślisz, że zdołamy zmusić Niemcy do zapłacenia miliardowych reparacji wojennych? – spytała.

– Nie za bardzo mogą protestować. Po wojnie francusko-pruskiej wymusili na Francji pięć miliardów franków i Francuzi spłacili tę sumę w trzy lata. W marcu zeszłego roku podpisali w Brześciu Litewskim układ pokojowy z Rosją i kazali bolszewikom zapłacić sześć miliardów. Rzecz jasna, nie od razu. Tak czy owak, święte oburzenie Niemców trąci hipokryzją. Maud bardzo drażniło, gdy ktoś źle wypowiadał się o Niemcach. Przegrana wojna nie czyniła z nich bestii. Miała ochotę zapytać: „A gdybyśmy to my znaleźli się na ich miejscu? Czy musielibyśmy przyznać, że wojna wynikła z naszej winy, a następnie za wszystko zapłacić?”.

– Ale my żądamy znacznie więcej, dwadzieścia cztery miliardy funtów, a Francuzi prawie dwa razy tyle – zauważyła.

– Trudno się spierać z Francuzami. Są nam winni sześć miliardów funtów, a Amerykanom jeszcze więcej. Jeśli odmówimy im niemieckich reparacji, powiedzą, że nie mogą nas spłacić.

– Czy Niemcy są w stanie zapłacić tyle, ile żądamy?

– Nie. Mój kolega Pozzo Keynes twierdzi, że mogą zapłacić jedną dziesiątą, czyli około dwóch miliardów, ale to poważnie osłabi ich kraj.

– Masz na myśli Johna Maynarda Keynesa, tego ekonomistę z Cambridge?

– Tak. Mówimy na niego Pozzo.

– Nie wiedziałam, że to twój przyjaciel...

Johnny się uśmiechnął.

– Och, moja droga, jak najbardziej.

Przez krótką chwilę Maud zazdrościła Johnny'emu jego bez troskiej amoralności. Musiała walczyć z pragnieniem fizycznej miłości. Upłynęły niemal dwa lata od chwili, gdy dotknął jej mężczyzna. Czuła się jak stara, pomarszczona i zasuszona zakonnica.

– Ileż smutku w tym spojrzeniu! – Johnny był bardzo spostrzegawczy. – Mam nadzieję, że nie zadrzyłaś się w Pozzu. Maud roześmiała się i wróciła do polityki.

– Skoro wiemy, że Niemcy nie zdołają zapłacić reparacji, dlaczego Lloyd George tak bardzo nalega?

– Zadałem mu to samo pytanie. Znam go dobrze od czasu, gdy był ministrem do spraw uzbrojenia. Mówi, że wszyscy uczestnicy wojny sami spłacą swoje zadłużenie i nikt nie dostanie znaczących reparacji.

– Skąd więc te pretensje?

– Koniec końców za wojnę zapłacą podatnicy we wszystkich

krajach, lecz polityk, który im to powie, pozbawi się szans w następnych wyborach.

III.

Gus codziennie uczestniczył w posiedzeniach komisji do spraw utworzenia Ligi Narodów, której zadanie polegało na sporządzeniu traktatu założycielskiego tej organizacji. Obradom przewodniczył sam Woodrow Wilson. Bardzo zależało mu na czasie. Prezydent całkowicie zdominował pierwszy miesiąc konferencji. Odrzucił przedstawiony przez Francuzów program, w którym czołową pozycję zajmowały niemieckie reparacje wojenne, a Liga Narodów znajdowała się na szarym końcu. Oznajmił, że każdy podpisany przezeń traktat musi uwzględniać Ligę Narodów. Komisja do spraw utworzenia Ligi Narodów obradowała w luksusowym hotelu Crillon przy placu Zgody. Windy hydrauliczne były przestarzałe i jeździły bardzo powoli, a czasem stawały między piętrami, gdy ciśnienie wody było zbyt małe. Gusowi kojarzyły się z europejskimi politykami, którzy uwielbiają jałowe spory i nigdy niczego nie uzgadniają, jeśli się ich do tego nie zmusi. Śmiał się w duchu, obserwując reakcje prezydenta zarówno na opieszałość wind, jak i dyplomatów. Wilson wiercił się i mruczał pod nosem w bezradnej złości.

Dziewiętnastu członków komisji zasiadało przy wielkim stole przykrytym czerwonym obrusem, tłumacze stali za nimi i szeptali im do uszu, a asystenci uwijali się po sali z teczkami i notesami. Gus widział, że Europejczykowi imponuje jego szef, który prowadził obrady niezwykle energicznie. Niektórzy twierdzili, że spisanie traktatu potrwa miesiące, jeśli nie lata, inni, że narody nigdy nie zdołają się porozumieć. Tymczasem, ku radości Gusa, po dziesięciu dniach komisja zbliżała się do ukończenia pierwszego szkicu traktatu założycielskiego.

Wilson musiał wracać do Stanów Zjednoczonych czternastego lutego. Później znów miał udać się do Europy, lecz był zdeterminowany, by zawieźć do ojczyzny projekt dokumentu.

Niestety, po południu w przeddzień wyjazdu prezydenta Francuzi stworzyli poważną przeszkodę: zaproponowali, by Liga Narodów dysponowała własną armią.

Zdesperowany Wilson wznosił oczy do nieba.

— To niemożliwe — jęknął.

Gus znał przyczynę jego zachowania. Kongres nie zgodzi się, by amerykańscy żołnierze podlegali cudzoziemskiemu dowództwu. Francuski delegat, były premier Leon Bourgeois, przekonywał, że pozbawiona środków pozwalających wymusić stosowanie się do swoich decyzji Liga będzie ignorowana.

Gus podzielał zastrzeżenia prezydenta. Istniały inne drogi, którymi Liga może pójść, by wywrzeć nacisk na niepokorne państwa, takie jak dyplomacja oraz sankcje ekonomiczne. W ostateczności można było stworzyć siły zbrojne i wykorzystać je do określonych celów, a następnie rozwiązać po wykonaniu zadania. Bourgeois oznajmił jednak, że tego rodzaju poczynania nie uchroniłyby Francji przed agresją Niemiec. Gus pomyślał, iż wątpliwości Francuzów są zrozumiałe, lecz nie w taki sposób tworzy się nowy ład na świecie.

Lord Robert Cecil, który miał ogromny udział w sporządzeniu szkicu traktatu, uniósł kościsty palec na znak, że chce zabrać głos. Wilson skinął głową. Lubił Cecila, który był zdecydowanym zwolennikiem Ligi Narodów. Nie wszyscy podzielali jego sympatię: premier Francji Clemenceau mawiał, że uśmiechnięty Cecil przypomina chińskiego smoka.

— Proszę wybaczyć obcesowość — zaczął Cecil. — Otóż francuscy delegaci mówią, że skoro Liga nie będzie tak silna, jak oczekiwali, odrzuca ją w całości. Chciałbym bez ogródek zauwa-

żyć, że jeśli do tego dojdzie, niemal na pewno powstanie układ bilateralny między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, w którym Francja nie będzie miała żadnego udziału.

Gus powstrzymał uśmiech. Ale im powiedział, pomyślał.

Poruszony Bourgeois wycofał poprawkę.

Wilson posłał Cecilowi spojrzenie pełne wdzięczności.

Japoński delegat, baron Makino, zgłosił chęć zabrania głosu.

Wilson skinął głową, po czym zerknął na zegarek.

Makino zamierzał odnieść się do uzgodnionego już punktu gwarantującego wolność religijną. Chciał dodać poprawkę mówiącą o tym, że wszyscy członkowie Ligi Narodów będą traktować jednakowo swoich obywateli, wykluczając dyskryminację rasową. Twarz Wilsona zastygła.

Wystąpienie Makino cechowała elokwencja, która dawała się wyczuć nawet w tłumaczeniu. Baron wskazywał, że różne rasy walczyły w czasie wojny ramię w ramię. „Powstała więc sympatii i wdzięczności”, mówił. Jego zdaniem Liga Narodów ma być wielką rodziną. Czyż wszyscy w rodzinie nie powinni traktować się jak równi?

Gus zmartwił się, lecz nie był zaskoczony. Japończycy poruszali tę kwestię od bodaj dwóch tygodni. Sprawa już wywołała konsternację Australijczyków i Kalifornijczyków, którzy nie chcieli widzieć Japończyków na swoim terytorium. Wytrąciła z równowagi Wilsona, któremu nawet w głowie nie powstało, że amerykańscy Murzyni mogą być mu równi. Najbardziej jednak zaniepokoiła Brytyjczyków, którzy niedemokratycznie władali setkami milionów ludzi rozmaitych ras i nie chcieli, by ci uważali się za równych swoim panom.

Znów głos zabrał Cecil.

– Niestety, jest to kwestia bardzo kontrowersyjna – rzekł takim tonem, że Gus prawie uwierzył w jego smutek. – Sama sugestia, że może ona stanąć na porządku obrad, wywołała rozdźwięk.

Przez salę przebiegł szmer aprobaty.

– Uważam, że nie powinniśmy odwlekać uzgodnienia projektu traktatu, tylko odłożyć na później debatę o dyskryminacji rasowej – dokończył.

– Kwestia wolności religijnej również budzi kontrowersje – zauważył premier Grecji. – Może i ją lepiej będzie odłożyć?

– Rząd mojego kraju jeszcze nigdy nie podpisał traktatu niezawierającego odwołania do Boga! – oświadczył delegat portugalski.

Lord Cecil, który był człowiekiem głęboko religijnym, odparł:

– Być może tym razem wszystkim nam przyjdzie zaryzykować.

Odpowiedział mu cichy śmiech niektórych delegatów.

– Jeśli to uzgodniliśmy, przejdźmy do następnego punktu – rzekł z ulgą prezydent.

IV.

Nazajutrz Wilson udał się do gmachu francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy Quai d'Orsay i odczytał projekt traktatu na sesji plenarnej konferencji pokojowej w słynnej Sali Zegarowej, w której wisiały gigantyczne kandelabry przypominające stalaktyty w arktycznej jaskini. Wieczorem rozpoczął podróż do ojczyzny. Następnym dniem była sobota i Gus wybrał się na tańce.

Paryż po zmroku zamieniał się w miasto zabawy. Żywności wciąż brakowało, lecz alkoholu było pod dostatkiem. Młodzi mężczyźni zostawiali drzwi hotelowe otwarte, tak aby siostry z Czerwonego Krzyża mogły wchodzić, ilekroć potrzebowały towarzystwa. Konwencjonalna moralność uległa zawieszeniu.

Ludzie nie kryli się ze swoimi romansami. Zniewieściali mężczyźni zrzucali maski męskości, lesbijki spotykały się w restauracji Larue. Mówiono, że brak węgla to mit wymyślony po to, by wszyscy szukali ciepła u boku swoich przyjaciół.

Była drożyzna, lecz Gus miał pieniądze. Posiadał także inne atuty: znał Paryż oraz język, którym tam mówiono. Chodził na wyścigi do St Cloud, w operze obejrzał Cyganerię i pikantny musical Phi phi. Należał do świty prezydenta, więc zapraszano go na każde przyjęcie.

Coraz więcej czasu spędzał z Rosą Hellman. Musiał uważać na to, co mówi, gdyż wszystko mogło się później ukazać w gazecie. Dyskrekcja weszła mu w krew. Rosa była jedną z najinteligentniejszych osób, jakie znał. Lubił ją, ale tylko tyle. Zawsze chętnie się z nią spotykała, lecz który dziennikarz odrzuciłby zaproszenie od prezydenckiego asystenta? Nie mógł wziąć jej za rękę ani pocałować na dobranoc, żeby nie pomyślała, iż wykorzystuje swoją pozycję kogoś, kogo ona będzie się bała urazić ze względu na jego stanowisko.

Spotkali się na koktajlu w Ritzu.

– Co to jest koktajl? – zapytała Rosa.

– Mocny alkohol przystrojony czymś dla uszlachetnienia.

Koktajle są bardzo modne, możesz mi wierzyć.

Rosa nosiła się modnie. Jej krótko ostrzyżone włosy opadały na uszy niczym niemiecki hełm. Kragłości i gorsety wyszły z mody. Sukienka miała zaskakująco niską talię. Ukrywała kształty, lecz paradoksalnie sprawiała, że Gus wyobrażał sobie ukryte pod nią ciało. Dziennikarka malowała usta i pudrowała twarz. Europejskie kobiety wciąż uważały malowanie się za zbyt śmiałe.

Wzięli martini i ruszyli przez salę Ritza. Przyciągali spojrzenia: on, wysoki chudzielec o dużej głowie, ubrany we фрак i biały krawat, ona, filigranowa jednooka dama w srebrzystobłękitnym jedwabiu. Potem złapali taksówkę i pojechali do hotelu Majestic, w którym Brytyjczycy co sobotę organizowali dancing. Wszyscy tam bywali.

Sala była pełna. Młodzi asystenci z delegacji, dziennikarze przybyli z całego świata oraz żołnierze uwolnieni z okopów "Jazzowali" z pielęgniarkami i maszynistkami. Rosa nauczyła Gusa fokstrota, a potem zostawiła go i zatańczyła z przystojnym czarnookim mężczyzną należącym do greckiej delegacji.

Zazdrosny Gus krążył po sali, rozmawiając ze znajomymi.

Niespodziewanie spotkał lady Maud Fitzherbert, ubraną w purpurową suknię i buty ze spiczastymi noskami.

– Witam! – rzekł zaskoczony.

Maud ucieszyła się na jego widok.

– Dobrze pan wygląda.

– Szczęście mi dopisało. Pozostałem w jednym kawałku.

Musnęła palcami bliznę na jego policzku.

– Prawie.

– To draśnięcie. Zatańczymy?

Gus objął ją w talii. Maud bardzo schudła, pod materiałem sukienki wyczuwał kości. Zatańczyli walca angielskiego.

– Jak się miewa Fitz? – spytał Gus.

– Chyba dobrze. Jest w Rosji. Zapewne nie powinnam tego mówić, ale to tajemnica poliszynela.

– W brytyjskich gazetach zauważyłem tytuł Ręce precz od Rosji.

– Kampanię prowadzi pewna kobieta, którą poznał pan w Ty Gwyn. Nazywała się Ethel Williams, obecnie Ethel Leckwith.

– Nie pamiętam jej.

– Była gospodynią.

– Wielkie nieba!

– Zaczyna się liczyć w brytyjskiej polityce.

– Jak bardzo świat się zmienił.

Maud przyciągnęła Gusa bliżej i zniżyła głos.

– Przypuszczam, że nie ma pan wieści o Walterze?

Gus przypomniał sobie podobnego do Waltera niemieckiego oficera, który padł trafiony pociskiem w Chateau-Thierry. Nie miał jednak pewności, czy to był on.

– Przykro mi, ale nic nie wiem. Musi pani być bardzo ciężko.

– Z Niemiec nie dochodzą żadne wiadomości i nikomu nie wolno tam wjeżdżać!

– Obawiam się, że musi pani poczekać do czasu podpisania traktatu pokojowego.

– Kiedy to nastąpi?

Tego Gus nie wiedział.

– Traktat założycielski Ligi Narodów jest prawie gotowy, lecz do ustalenia wysokości niemieckich reparacji wojennych jeszcze droga daleka.

– Ależ to niedorzeczne – powiedziała z goryczą Maud. – Potrzebujemy bogatych Niemiec, które będą kupować od nas samochody, piece i odkurzacze. Jeśli okaleczymy ich gospodarczo, pójdą drogą bolszewików.

– Ludzie są żądni zemsty.

– Pamięta pan rok tysiąc dziewięćset czternasty? Walter nie chciał wojny, podobnie jak większość niemieckiego społeczeństwa. Jednak kraj nie był demokratyczny, generałowie podpuszczali Kaisera. A gdy Rosjanie ogłosili mobilizację, nie było wyjścia.

– Naturalnie, że pamiętam, lecz większość ludzi nie.

Walc dobiegł końca. Pojawiła się Rosa Hellman i Gus przedstawił sobie panie. Rozmawiali przez chwilę, lecz Rosa była dziwnie oschła. Maud odeszła.

– Ta sukienka kosztowała fortunę – zauważyła ponuro dziennikarka. – Pochodzi od Jeanne Lanvin.

– Nie polubiłaś Maud? – zdziwił się Gus.

– Ale ty, jak się zdaje, bardzo ją lubisz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tańczyliście bardzo blisko siebie.

Rosa nie wiedziała o Walterze, mimo to Gusowi nie podobało się, że został oskarżony o flirtowanie.

– Chciała porozmawiać o pewnej poufnej sprawie – odrzekł ze szczyptą oburzenia.

– Och, nie wątpię.

– Nie rozumiem, dlaczego robisz mi wyrzuty. Poszłaś tańczyć z tym wazeliniarskim Grekiem.

– Jest bardzo przystojny i ani trochę nie wazeliniarski. Dlaczego nie miałabym tańczyć z innymi mężczyznami? Przecież się we mnie nie zakochałeś.

Gus popatrzył na nią.

– Ojej... – Nagle poczuł się zagubiony i niepewny.

– Co się znowu stało?

– Chyba coś sobie uświadomiłem...

– Powiesz mi co?

– Chyba muszę – odparł drżącym głosem i zamilkł.

Rosa czekała.

– A więc? – spytała ze zniecierpliwieniem.

– Zakochałem się w tobie.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

– Mówisz poważnie?

To spadło na niego zupełnie nieoczekiwanie, lecz nie miał cienia wątpliwości.

– Tak, kocham cię.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Coś takiego...

– Chyba jestem w tobie zakochany od dawna, tylko o tym nie wiedziałem.

Rosa skinęła głową, jak gdyby potwierdziło się jej podejrzenie.

Orkiestra zaczęła grać wolną melodię. Rosa przysunęła się do Gusa.

Odruchowo wziął ją w ramiona, lecz był zbyt wstrząśnięty, by pilnować kroków tanecznych.

– Wątpię, czy dam radę...

– Nie szkodzi. – Rosa wiedziała, o czym myśli. – Po prostu udawaj.

Gus szurał przez chwilę nogami. Miał mętlik w głowie. Rosa nie powiedziała ani słowa o tym, co czuje. Ale też nie odeszła. Czy istnieje szansa, że odwzajemnia jego uczucie? Najwyraźniej go lubi, ale to nie to samo co miłość. Czy w tej chwili pyta sama siebie, co czuje? A może zastanawia się, jak delikatnie go odtrącić? Spojrzała na niego. Wydawało mu się, że za chwilę usłyszy odpowiedź.

– Zabierz mnie stąd, Gus, proszę cię.

– Naturalnie.

Rosa wzięła płaszcz z szatni. Odźwierny zawołał taksówkę, czerwone renault.

– Do Maxima – rzucił Gus. Nie było daleko, jechali w milczeniu. Gus chciał wiedzieć, co myśli Rosa, lecz jej nie ponaglał. Wkrótce i tak się dowie.

Restauracja była zapełniona, ale zostało kilka stolików dla spóźnionych gości. Główny kelner był desole. Gus wyciągnął z portfela banknot stufrankowy.

– Cichy stolik w kącie. – Kartka z napisem Reservee natychmiast znikła.

Zamówili coś lekkiego i butelkę szampana.

– Bardzo się zmieniłeś – stwierdziła Rosa.

Zdziwił się.

– Ja tak nie uważam.

– W Buffalo byłeś innym człowiekiem. Miałam wrażenie, że się mnie boisz. Teraz przechodzisz się po Paryżu, jakby należał do ciebie.

– O rany, odmalowałaś mnie jako aroganta.

– Ależ nie, mówię tylko, że jesteś pewny siebie. Przecież pracowałeś dla prezydenta i walczyłeś na wojnie. Takie doświadczenia zmieniają.

Przyniesiono dania, lecz prawie nie jedli. Gus był zbyt spięty. O czym myśli Rosa? Kocha go czy nie? Przecież musi to wiedzieć. Odłożył sztućce, lecz zamiast zadać pytanie, które chodziło mu po głowie, rzekł:

– Ty zawsze sprawiałaś wrażenie pewnej siebie.

Roześmiała się.

– Czyż to nie dziwne?

– Dlaczego?

– Byłam pewna siebie do wieku mniej więcej siedmiu lat.

A potem... wiesz, jakie są dziewczynki. Każda chce się przyjaźnić z najładniejszą. Musiałam się bawić z grubaskami, brzydulami i tymi, które nosiły ubrania po starszym rodzeństwie. Tak weszłam w wiek nastoletni. Nawet praca w „Buffalo Anarchist” była kontynuacją outsiderstwa. Dopiero gdy zostałam redaktorką, zaczęłam odzyskiwać poczucie własnej wartości. – Napila się szampana. – Ty mi w tym pomogłeś.

– Ja? – Gus nie posiadał się ze zdumienia.

– Rozmawiałaś ze mną tak, jakbym była najmądrzejsza i najciekawszą osobą w całym Buffalo.

– Przypuszczam, że byłaś.

– Nie licząc Olgi Vyalov.

– Ach. – Gus zarumienił się na wspomnienie swojego oczarowania Olgą. Uważał je teraz za głupotę, lecz nie chciał tego mówić.

W ten sposób poniżyłby kobietę. Dżentelmen tak nie postępuje.

Dopili kawę i Gus poprosił o rachunek. Wciąż jednak nie wiedział, co Rosa do niego czuje.

W taksówce ujął jej dłoń i przycisnął do warg.

– Och, Gus, jesteś taki kochany.

Nie wiedział, co kryje się za tymi słowami. Jej twarz była zwrócona w jego stronę, sugerując oczekiwanie. Czy chce, żeby... Zebrał się na odwagę i pocałował Rosę w usta.

Przez dłuższą chwilę nie reagowała, a on zamarł, myśląc, że

zrobił coś niewłaściwego. Nagle westchnęła i z zadowoleniem rozchyliła wargi.
Ach tak, pomyślał radośnie, a więc wszystko w porządku.
Otoczył ją ramionami i całowali się przez całą drogę do hotelu.
Jazda trwała zbyt krótko. Nagle portier otworzył drzwiczki samochodu.

– Wytrzymaj usta – powiedziała Rosa, wysiadając. Gus wyjął chusteczkę. Białe płótno zaczerwieniło się od szminki. Złożył ją starannie i schował do kieszeni.

Odprowadził Rosę do drzwi.

– Zobaczymy się jutro? – spytał.

– Kiedy?

– Wcześniej.

Parsknęła śmiechem.

– Ty nigdy nie udajesz, prawda? Kocham cię za to.

To było miłe. „Kocham cię za to” nie oznacza „Kocham cię”, ale jest lepsze niż nic.

– Jak najwcześniej.

– Co będziemy robili?

– Jest niedziela – przypomniał. To była pierwsza rzecz, która przyszła mu na myśl. – Możemy pójść do kościoła.

– A więc dobrze.

– Zaprowadzę cię do Notre Dame.

– Jesteś katolikiem? – spytała zdziwiona.

– Nie, należę do Kościoła episkopalnego. A ty?

– Ja również.

– Świetnie, możemy usiąść na końcu. Dowiem się, kiedy jest msza, i zadzwonię do ciebie do hotelu.

Podawała mu rękę jak przyjacielowi.

– Dziękuję za uroczy wieczór – rzekła oficjalnie.

– Było mi bardzo miło. Dobranoc.

– Dobranoc – odparła, po czym odwróciła się i znikła w hotelowym holu.

ROZDZIAŁ 36

Marzec - kwiecień 1919

i.

Gdy nadeszła odwilż i twarda jak pancierz rosyjska ziemia zmieniła się w grzęzawisko, armie białych podjęły ogromny wysiłek, by uwolnić kraj od plagi bolszewizmu. Liczące sto tysięcy żołnierzy jednostki admirała Kołczaka, fragmentarycznie zaopatrzone w brytyjskie mundury i broń, uderzyły na czerwonych z Syberii na siedemsetmilowym froncie przebiegającym na linii północ-południe.

Fitz szedł kilka mil za wojskami Kołczaka. Dowodził Chłopcami z Aberowen, garstką Kanadyjczyków oraz paroma tłumaczami. Jego zadanie polegało na wspieraniu generała w dziedzinie łączności, wywiadu i zaopatrzenia.

Wiązał z Kołczakiem wielkie nadzieje. Przewidywał pewne trudności, lecz nie wyobrażał sobie, by Lenin i Trocki zagarnęli Rosję.

Na początku marca stacjonował w mieście Ufa po europejskiej stronie Uralu i czytał brytyjskie gazety sprzed tygodnia. Z Londynu dochodziły dobre i złe wieści. Fitz ucieszył się, że Lloyd George mianował Winstona Churchilla sekretarzem wojny. Spośród czołowych polityków Winston najenergiczniej popierał interwencję w Rosji. Jednak niektóre gazety przyjęły odmienną linię. Fitz nie zdziwił się, czytając „Daily Herald” i „New Statesmana”, które uważał za bolszewickie. Jednak nawet w konserwatywnym „Daily Express” na pierwszej stronie ukazał się artykuł zatytułowany

Wyjdźcie z Rosji.

Tak się niefortunnie składało, że dziennikarze dysponowali szczegółowymi informacjami o rozwoju wydarzeń. Wiedzieli nawet o tym, że Kołczak przeprowadził zamach stanu, w którego wyniku Dyrektoriat został pozbawiony wszelkiej władzy, a jego mianowano najwyższym władcą. Skąd czerpią tę wiedzę? Hrabia oderwał wzrok od gazety. Jego kwatery mieściła się w szkole handlowej. Przy biurku naprzeciwko niego siedział adiutant.

– Murray, zanim wyślesz do kraju następną paczkę z listami żołnierzy, przynieś je do mnie.

Było to nietypowe polecenie. Murray spojrział zdziwiony na dowódcę.

– Czy dobrze zrozumiałem, panie pułkowniku?

Fitz musiał wytłumaczyć swoją decyzję.

– Podejrzewam, że wydostają się stąd jakieś informacje. Cenzor musiał zasnąć na posterunku.

– Może uznano, że skoro wojna w Europie dobiegła końca, można rozluźnić kontrolę?

– Bez wątplenia. Tak czy owak, chcę sprawdzić, czy do przecieku doszło w naszej części wodociągu.

Na ostatniej stronie gazety znajdowało się zdjęcie kobiety prowadzącej kampanię pod hasłem „Ręce precz od Rosji”. Fitz ze zdumieniem zobaczył, że jest nią Ethel. Kiedyś pracowała jako gospodyni w Ty Gwyn, lecz „Express” przedstawiał ją jako sekretarza generalnego Krajowego Związku Robotników Odzieżowych.

Od tamtego czasu Fitz spał z wieloma kobietami. Ostatnio w Omsku z oszałamiającą rosyjską blond pięknością, kochanka carskiego generała, który był zbyt pijany i znudzony, by się nią zajmować. Jednak Ethel wciąż jaśniała w jego pamięci. Zastanawiał się, jaki jest jej syn. Prawdopodobnie ma kilkoro nieślubnych dzieci w różnych zakątkach świata, lecz tylko o dziecku Ethel wiedział na pewno.

Właśnie ona podgrzewała atmosferę protestu przeciwko interwencji w Rosji. Teraz stało się jasne, skąd pochodzą informacje. Jej niepokorny braciszek jest sierżantem w Chłopcach z Aberowen. Zawsze siał zamęt, a teraz dostarcza Ethel wiadomości z Rosji. Dopadnę go i słono mi za to zapłaci, myślał Fitz.

Przez następnych kilka tygodni biali pędzili naprzód, gromiąc zaskoczonych czerwonoarmistów, którzy uważali syberyjski rząd za wrak. Jeśli armie Kołczaka zdołają połączyć się ze swoimi zwolennikami na północy w Archangielsku i armią ochotniczą Denikina na południu, utworzą półkolista, długą na tysiąc mil szablę nieubłagania zbliżającą się do Moskwy.

Nagle pod koniec kwietnia czerwoni przeszli do kontrnatarcia. Fitz przebywał już wówczas w Bugurusłanie, rozpaczliwie ubogim miasteczku w leśnym regionie około stu mil na wschód od Wołgi. Parę zaniedbanych kamiennych cerkwi oraz zabudowań miejskich sterczało ponad niskimi dachami drewnianych domków niczym chwasty na wysypisku śmieci. Fitz siedział w dużej sali ratusza z oddziałem zwiadu i przeglądał raporty z przesłuchań jeńców. Nie wiedział o katastrofie, aż zobaczył za oknem obszarpanych żołnierzy z armii Kołczaka ciągnących główną ulicą miasta w niewłaściwym kierunku. Pchnął tłumacza Lwa Peshkova, by zasięgnął języka u uciekinierów.

Peshkov przyniósł smutną historię. Czerwoni uderzyli od południa na rozciągniętą lewą flankę postępującej armii Kołczaka. Aby uniknąć podzielenia sił na pół, tamtejszy dowódca białych, generał Bielów, rozkazał wycofać się i przegrupować.

Kilka minut później do Fitz'a przyprowadzono żołnierza czerwonych, który zdezerterował. Okazało się, że czerwoni byli zaskoczeni ofensywą Kołczaka, jednak szybko się otrząsnęli i uzupełnili oddziały. Trocki ogłosił, że Armia Czerwona musi przeprowadzić ofensywę na wschodzie.

– Trocki uważa, że jeśli władza czerwonych się zachwieje, alianci uznają Kołczaka za władcę Rosji, a wówczas zaleją Syberię wojskami i sprzętem. .

Na to właśnie liczył Fitz.

– Co zrobił Trocki? – spytał łamanym rosyjskim.

Żołnierz odpowiedział błyskawicznie. Hrabia nie zrozumiał, lecz Peshkov przetłumaczył słowa dezertera.

– Trocki ogłosił zaciąg rekrutów z Partii Bolszewickiej i związków zawodowych. Odzew był nadzwyczajny. Prysłano oddziały z dwudziestu dwóch guberni. Z samego komitetu okręgowego w Nowogrodzie zgłosiła się połowa członków!

Fitz wyobraził sobie, co by się stało, gdyby Kołczak wezwał do walki swoich zwolenników. Niewiele by z tego wynikło.

Poszedł na kwaterę się spakować. Zdażył w ostatniej chwili.

Chłopcy z Aberowen opuścili miasto tuż przed nadejściem czerwonych. Garstka żołnierzy została z tyłu. Wieczorem Zachodnia Armia Kołczaka wycofywała się, a Fitz jechał pociągiem w stronę Uralu.

Dwa dni później znów znalazł się w szkole handlowej w Ufie.

Opadł go czarny nastrój i palił gniew. Spędziwszy na wojnie pięć lat, potrafił rozpoznać, kiedy zmienia się układ. Wojnę domową w Rosji można było uznać za zakończoną.

Biali okazali się zbyt słabi. Zwycięstwo przypadnie rewolucjonistom. Jedynie inwazja aliantów mogłaby odwrócić bieg wydarzeń, lecz do niej nie dojdzie. Churchill już ma kłopoty z powodu tego, co przedsięwziął. A przecież działał niewiele. Billy Williams i Ethel postarają się, aby do Rosji nie przysłano posiłków. Zjawił się Murray z workiem pełnym listów.

– Życzył pan sobie zobaczyć korespondencję żołnierzy, panie pułkowniku – oznajmił z nutą przygany w głosie.

Fitz pominął milczeniem skrupuły adiutanta i otworzył worek. Szukał listu sierżanta Williamsa. Przynajmniej będzie kogo ukarać za klęskę.

Szybko znalazł to, czego szukał. List był zaadresowany do „E. Williams”. Billy posługiwał się panięmskim nazwiskiem siostry, obawiając się, że użycie nazwiska po mężu zwróci uwagę na zdradziecką korespondencję.

Duże litery znamionowały pewność siebie autora. Przy pierwszym czytaniu tekst wydawał się niewinny, jakkolwiek brzmiał nieco dziwnie. Fitz pracował kiedyś przy rozszyfrowywaniu wiadomości, zabrał się więc do dzieła.

– Jeszcze jedno, panie pułkowniku – odezwał się Murray. – Czy w ciągu ostatnich dni widział pan tego amerykańskiego tłumacza Peshkova?

– Nie. Co się z nim stało?

– Zdaje się, że zniknął, panie pułkowniku.

II.

Trocki był bardzo zmęczony, lecz nie zniechęcony. Głębokie bruzdy na jego twarzy nie przyćmiły blasku nadziei w oczach. Grigorij pomyślał z podziwem, że sił dodaje mu niezachwiana wiara w to, co robi. Podejrzewał, że wszyscy przywódcy rewolucji ją mają, Lenin i Stalin także. Każdy z nich był pewien, że postępuje właściwie, niezależnie od tego, z jakim problemem się mierzy, czy to reforma rolna, czy taktyka wojskowa.

Grigorij był inny. Razem z Trockim rozmyślał o tym, jak odeprzeć ofensywę białych, lecz dopóki wynik pozostawał niezany, nigdy nie miał pewności, czy podjęta decyzja jest słuszna. Może dlatego słowa Trockiego obiegały cały świat, a Peshków był zaledwie jednym z wielu komisarzy.

Jak zwykle zasiadł obok wodza w jego prywatnym wagonie.

Na stoliku leżała rozłożona mapa Rosji.

– Kontrrewolucja na północy nie stanowi dla nas zagrożenia – stwierdził Trocki.
Grigorij przyznał mu rację.

– Nasz wywiad donosi o buntach wśród brytyjskich żołnierzy i marynarzy stacjonujących w tamtym regionie.

– Stracili resztki nadziei na połączenie się z Kołczakiem. Jego wojsko ucieka ile sił w nogach, z powrotem na Syberię. Moglibyśmy przegonić je za Ural, ale uważam, że gdzie indziej mamy ważniejsze sprawy.

– Na zachodzie?

– Sytuacja wygląda tam źle. Białych wspierają reakcyjni nacjonaliści na Litwie, Łotwie i w Estonii. Kołczak mianował tam dowódcą Judenicza. Brytyjska flotylla, która z nim współdziałała, zamknęła nasze jednostki w Kronsztadzie. Ale jeszcze bardziej niepokoi mnie to, co dzieje się na południu.

– Generał Denikin.

– Ma pod sobą około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, których wspierają oddziały francuskie i włoskie. Brytyjczycy zaopatrują go w sprzęt. Sądzymy, że Denikin planuje uderzenie na Moskwę.

– Jeśli wolno coś zasugerować, towarzyszu. Chciałbym zwrócić uwagę, że można go pokonać środkami politycznymi, a nie wojskowymi.

Trocki spojrział z zaciekawieniem na Grigorija.

– Mówcie.

– Denikin wszędzie przysparza sobie wrogów. Jego Kozacy okradają wszystkich bez wyjątku. W każdym zdobytym mieście każe wyłapywać Żydów i po prostu ich rozstrzeliwać. Jeśli kopalnia nie wykonuje planu wydobywania, skazuje na śmierć co dziesiątego górnik. I, rzecz jasna, tak samo karze dezertersów zbiegłych z jego armii.

– My także ich rozstrzelujemy – zauważył Trocki. – Poza tym zabijamy wieśniaków, którzy ich ukrywają.

– Oraz tych, którzy odmawiają wydania nam zboża. – Peszków musiał sprawić, by jego serce stało się twarde, aby pogodzić się z tą bezwzględnością konieczności. – Znam wieśniaków, mój ojciec był chłopem. Dla nich najważniejsza jest ziemia. Wielu zyskało spore pole gruntu dzięki rewolucji i chce je zachować bez względu na wszystko.

– A zatem?

– Kołczak ogłosił, że reforma rolna musi być zgodna z zasadą prywatnej własności.

– Chłopi musieliby oddać pola przejęte po arystokratkach.

– Wszyscy o tym wiedzą. Chciałbym wydrukować jego proklamację i wywiesić przed każdą cerkwią. Chłopi będą woleli nas niż białych niezależnie od tego, co wyczyniają nasi żołnierze.

– Do dzieła – polecił Trocki.

– Jeszcze jedno. Ogłoście amnestię dla dezertersów. Każdy, kto w ciągu tygodnia wróci do szeregów, uniknie kary.

– To także jest posunięcie polityczne.

– Odezwa nie stanie się zachętą do dezercji, gdyż amnestia będzie obowiązywała tylko przez tydzień. Jednak może przyciągnąć do nas żołnierzy, którzy uciekli. Zwłaszcza gdy zrozumieją, że biali chcą odebrać im ziemię.

– Dobrze, spróbujmy – zgodził się Trocki.

Wszedł adiutant i zaszalutował.

– Otrzymaliśmy dziwny raport, towarzyszu Peszków. Pomyślałem, że zechcecie go usłyszeć.

– Proszę mówić.

– Chodzi o jednego z jeńców pojmanych w Bugurusłanie. Był z armii Kołczaka, ale nosił amerykański mundur.

– Wśród białych są żołnierze z całego świata. Kapitalistyczny imperializm wspiera kontrrewolucję, to naturalne.

– Nie o to chodzi, towarzyszu komisarzu.

– A o co?

– Ten człowiek podaje się za waszego brata.

III.

Peron był długi i wisiała nad nim gęsta poranna mgła, więc Grigorij nie widział końca pociągu. Zapewne doszło do nieporozumienia, ktoś pomylił nazwiska lub źle przetłumaczył. Peszków próbował przygotować się na rozczarowanie, lecz bez skutku. Jego serce biło coraz mocniej, a nerwy były napięte. Nie widział brata od niemal pięciu lat. Często myślał, że Lev nie żyje. To wciąż może być prawda.

Kroczył wolno, spoglądając w kłęby białych oparów. Jeśli ten człowiek jest jego bratem, na pewno się zmienił. Grigorij stracił ząb na przedzie i większą część ucha. Prawdopodobnie zmian było więcej, lecz on ich nie dostrzegał. Jak mógł się zmienić Lev? Po chwili z białej pary wynurzyły się dwie postacie: rosyjski żołnierz w poszarpanym mundurze i butach własnej roboty oraz mężczyzna wyglądający jak Amerykanin. Czy to Lev? Nosił krótko obcięte włosy, na amerykańską modłę, i nie miał wąsów. Miał natomiast zaokrągloną twarz dobrze odżywionego amerykańskiego wojaka, a pod eleganckim nowym mundurem przeżyły się muskuły. Grigorij stwierdził z niedowierzaniem, że jest to mundur oficerski. Czy to możliwe, że jego brat został oficerem armii amerykańskiej? Jeniec przyglądał się Grigorijowi. Ten podszedł bliżej i zobaczył, że naprawdę stoi przed nim jego brat. Wyglądał inaczej, i to nie tylko za sprawą otaczającej go aury dobrobytu. Sposób, w jaki stał, wyraz twarzy oraz spojrzenie świadczyły o tym, że Lev nie jest już sztubackim zawadiaką. Nabrał rozwagi. Dojrzał. Zbliżywszy się do niego, Grigorij przypomniał sobie, ile razy brat go zawiódł. Cisnęło mu się na usta wiele zarzutów, lecz żadnego nie wypowiedział, tylko rozłożył ramiona i uściskał go. Ucałowali się w policzki, pokleпали po ramionach i znów uściskali. Grigorij płakał. Poprowadził brata do wagonu, w którym urzędował. Kazał adiutantowi przynieść herbatę. Usiedli w zniszczonych fotelach.

– Ty w wojsku? – spytał z niedowierzaniem Grigorij.

– W Ameryce mają pobór.

Lev nigdy na ochotnika nie wstąpiłby do wojska.

– Jesteś oficerem!

– Tak jak ty.

Grigorij pokręcił głową.

– W Armii Czerwonej zrezygnowaliśmy ze stopni wojskowych. Jestem komisarzem.

– Mimo to wciąż jest tak, że jedni zamawiają herbatę, a drudzy ją przynoszą – zauważył Lev, gdy adiutant wszedł z kubkami. – Mama byłaby z ciebie dumna.

– Napuszyłyby się od pięt do czubka głowy. Dlaczegoś nie pisał? Myślałem, że nie żyjesz!

– Przykro mi jak cholera. Czułem się podle, bo zgarnąłem twój bilet. Chciałem napisać, że zafunduję ci podróż. Odkładałem to, żeby zebrać więcej forsy.

Wymówka była nędzna, lecz charakterystyczna dla Lwa. Nie szedł na zabawę, jeśli nie miał ładnej marynarki, i nie wchodził do baru, nie mając w kieszeni wystarczającej ilości pieniędzy, by wszystkim postawić kolejkę.

Grigorij przypomniał sobie o innym kłamstwie.

– Wyjeżdżając, nie uprzedziłeś mnie, że Katerina jest w ciąży.

– Nie wiedziałem o tym.

– Wiedziałeś. Zakazałeś jej mówić mi o tym.

– Może i tak było. – Lev został przyłapany na głupim łgarstwie, lecz szybko odzyskał rezon i przeszedł do kontrataku: – Ten statek, którym mnie wysłałeś, wcale nie płynął do Nowego Jorku! Wyszadli nas w jakiejś zapadłej dziurze o nazwie Cardiff. Miesiącami musiałem zasuwać, żeby zarobić na drugi bilet.

Grigorij przez chwilę poczuł się winny, lecz szybko przypomniał sobie, jak Lev prosił go o bilet.

– Może nie powinienem był pomagać ci prysnąć przed policją – rzucił cierpko.

– Pewnie zrobiłeś, co mogłeś – przyznał z oporem Lev.

Posłał bratu uśmiech, który kiedyś sprawiał, że ten wszystko mu przebaczał. – Zawsze się dla mnie starałeś. Od śmierci mamy. Grigorija ścisnęło w gardle.

– Tak czy owak, powinniśmy odplacić Wialowom za to, że nas wykiwali – rzekł, starając się panować nad głosem.

– Ja się na nich odegrałem. W Buffalo mieszka niejaki Josef Vyalov. Przeleciałem jego córkę i zrobiłem jej dziecko. Vyalov musiał pozwolić mi się z nią ożenić.

– Boże drogi! Należysz do rodziny Wialowów?

– Josef Vyalov pożalował tego i dlatego wpuścił mnie w pobór. Ma nadzieję, że zginę na polu bitwy.

– Czy ty zawsze pchasz się tam, dokąd zaprowadzi cię twój wacek?

– Z grubsza rzecz biorąc. – Lev wzruszył ramionami.

Grigorij także miał to i owo do wyjawienia i nieco się tego obawiał. Zaczął ostrożnie:

– Katerina urodziła syna. Dała mu na imię Władimir.

Iwa ucieszyła ta wiadomość.

– Naprawdę? Mam syna!

Grigorij nie potrafił powiedzieć bratu, że Władimir nic o nim nie wie. I że nazywa tatą jego, Grigorija.

– Dobrze się nim opiekuję.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Grigorij poczuł znajome ukłucie złości. Lev zawsze zakładał, że inni wezmą na siebie obowiązki, które on zaniedbał.

– Ożeniłem się z Kateriną – oznajmił, spodziewając się gniewu brata.

Ten jednak zachował spokój.

– Przewidziałem, że to zrobisz.

– Co takiego? – zdumiał się Grigorij.

Lev skinął głową.

– Szalałeś za nią, a ja chciałem, żeby dziecko wychował ktoś porządny i solidny. Tak miało być.

– A ja przeżywałem katusze! – Czyżby niepotrzebnie się zadrećczał? – Nie mogłem dać sobie rady z myślą, że postąpiłem wobec ciebie nielojalnie.

– Skądże znowu. Zostawiłem ją na lodzie. Życzę wam obojgu szczęścia.

Grigorij był wściekły, że Lev podchodzi do sprawy tak niepoważnie.

– Czy ty w ogóle się o nas martwiłeś? – spytał.

– Przecież mnie znasz.

To jasne, że nie martwił się ani trochę.

– W ogóle o nas nie myślałeś.

– Oczywiście, że myślałem. Nie bądź taki świętoszek, ciągnęło cię do niej. Jakiś czas wytrzymałeś, ale wreszcie udało ci się ją wyobrać.

Lev powiedział prawdę bez ogródek. Zawsze w denerwujący sposób umiał ściągnąć każdego do swojego poziomu.

– Racja – przyznał Grigorij. – Tak czy owak, mamy drugie dziecko, córkę. Nosi imię Anna i ma półtora roku.

– Dwoje dorosłych i dwoje dzieci. Nie szkodzi. Wystarczy.

– O czym ty mówisz?

– Zarabiałem, opychając Kozakom za złoto whisky z brytyjskich magazynów. Uzbierałem fortunę. – Lev sięgnął pod koszulę munduru, rozpiął klamerkę i wyjął pas z pieniędzmi. – Jest tu wystarczająco dużo, żebyście wszyscy czworo mogli dostać się do Ameryki! – Podał pas bratu.

Grigorij był zdziwiony i wzruszony. A jednak Lev nie zapom-

niał o rodzinie. Zaoszczędził na bilet. Przekazanie pieniędzy musiało się odbyć w efekciarski sposób, taki już miał charakter. Ale dotrzymał obietnicy.

Jaka szkoda, że wszystko to na próżno.

– Dziękuję. Jestem z Ciebie dumny, lecz teraz to już niepotrzebne. Mogę postarać się o twoje zwolnienie i pomóc ci wrócić do normalnego życia w Rosji. – Zwrócił bratu pas.

Lev trzymał pas w dłoniach i patrzył.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Grigorij zorientował się, że zranił brata, odmawiając przyjęcia podarunku. Jednak miał teraz większe zmartwienia. Co się stanie, jeśli Lev i Katerina znów się zejdą? Czy ona, tak jak kiedyś, zadurzy się w przystojniejszym z braci? Serce mu zamarło na myśl, że mógłby ją stracić po tym wszystkim, co przeszli.

– Mieszkamy teraz w Moskwie. Mamy mieszkanie na Kremlu.

Katerina, Władimir, Ania i ja. Bez trudu mogę ci załatwić jakiś lokal...

– Chwileczkę – wpadł mu w słowo Lev. Na jego twarzy widać było niedowierzanie. – Myślisz, że ja chcę wrócić do Rosji?

– Już to zrobiłeś – zauważył Grigorij.

– Ale nie po to, by zostać!

– Niemożliwe, żebyś chciał znów znaleźć się w Ameryce.

– Oczywiście, że tego chcę! A ty powinienesz jechać ze mną.

– To niepotrzebne! Rosja się zmieniła. Nie ma już cara!

– Podoba mi się w Ameryce. Wam też się spodoba, a szczególnie Katerinie.

– Ależ my tutaj tworzymy historię! Wynaleźliśmy nowy ustrój oparty na radach. To jest nowy świat, nowa Rosja. A ty to wszystko tracisz!

– To ty nic nie kapujesz. W Ameryce mam samochód, żarcia jest więcej, niż zdołasz zjeść. Gorzałki i papierosów w bród. Mam pięć garniturów!

– Po co komu pięć garniturów? – spytał Grigorij, nie kryjąc zniecierpliwienia. – To tak, jakbyś miał pięć łóżek. Można spać tylko na jednym naraz!

– Ja to widzę inaczej.

Rozmowa stała się denerwująca, gdyż Lev najwyraźniej uważał, że jego brat czegoś nie rozumie. Grigorij nie wiedział, jakich użyć argumentów.

– Naprawdę tego potrzebujesz? Papierosów, stosu ubrań i samochodu?

– Wszyscy tego potrzebują. Wy, bolszewicy, powinniście to sobie zapamiętać.

Grigorij nie zamierzał pobierać od brata lekcji polityki.

– Rosjanie chcą chleba, pokoju i ziemi.

– Poza tym mam córkę w Ameryce, Daisy. Ma trzy latka.

Grigorij z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Wiem, co myślisz – rzekł Lev. – Nie przejąłem się dzieckiem Kateriny... Jak mu na imię?

– Władimir.

– Nie dbał o syna, myślisz sobie, dlaczego miałby dbać o Daisy? Ale jest pewna różnica. Władimira nigdy nie widziałem. Jeszcze się nie urodził, kiedy wyjeżdżałem z Sankt Petersburga. Kocham Daisy, a ona kocha mnie.

Przynajmniej to Grigorij potrafił zrozumieć. Ucieszył się na myśl, że Lev ma na tyle dobre serce, by czuć przywiązanie do córki. I choć dziwiło go niepomiernie, że woli Amerykę od Rosji, w głębi duszy poczuł ulgę, że ten nie wróci do domu. Lev z pewnością chciałby zobaczyć syna, a Władimir prędzej czy później dowiedziałby się, kto jest jego prawdziwym ojcem. A gdyby Katerina postanowiła rzucić Grigorija i odejść z Lwem, zabierając synka, co by się stało z Anną? Czy ją także by stracił? Grigorij pomyślał z poczuciem winy, że będzie lepiej, jeśli Lev sam popłynie za ocean.

– Sądzę, że dokonujesz złego wyboru, ale do niczego cię nie

zmuszam.

Lev się uśmiechnął.

– Spietrałeś się, że odbiorę ci Katerinę, co? Za dobrze cię znam, braciszku.

Grigorij aż się wzdrygnął.

– Odebrałbyś mi ją, potem znów rzucił, a ja musiałbym po raz drugi zbierać wszystko do kupy. Ja także cię znam.

– Ale pomożesz mi wrócić do Stanów?

– Nie. – Grigorij poczuł satysfakcję, widząc lęk, który przemknął po twarzy brata. Jednak nie przedłużał jego cierpienia. – Pomogę ci wrócić do białych, a oni zabiorą cię do Ameryki.

– Jak to zrobimy?

– Zawieziemy cię na front, a nawet nieco dalej. Wypuszczę cię na ziemi niczyjej. Później będziesz mógł liczyć tylko na siebie.

– Mogą mnie zastrzelić.

– Obu nas może to spotkać. Jest wojna.

– Chyba muszę zaryzykować.

– Dasz sobie radę. Jak zawsze.

IV.

Billy Williams został poprowadzony piaszczystymi uliczkami z więzienia w Ufie do szkoły handlowej, w której tymczasowo zakwaterowały się brytyjskie oddziały.

Proces przed sądem polowym odbywał się w klasie. Fitz zasiadł przy stole nauczyciela, a miejsce obok zajął jego adiutant kapitan Murray. Kapitan Gwyn Evans przygotował notes i ołówek.

Billy był brudny i nieogolony. Źle mu się spało w towarzystwie pijaków i prostytutek. Fitz jak zwykle miał na sobie idealnie wyprasowany mundur. Billy wiedział, że wpadł w poważne tarapaty. Werdykt jest przesądzony, gdyż dowody nie pozostawiają wątpliwości. Postanowił jednak nie okazać strachu. Zaprezentuje się z dobrej strony.

– Polowy sąd wojskowy może wydawać wyroki, gdy oskarżony jest w służbie czynnej lub przebywa za granicą i nie można zwołać zwyczajnego sądu wojskowego – zaczął Fitz. – Wymagana jest obecność trzech oficerów pełniących funkcję sędziów albo dwóch, jeśli tylko tyłu jest. Sąd może osądzić żołnierza w każdym stopniu i ma władzę wydawania wyroków śmierci.

Jedyna szansa Billy'ego polegała na podważeniu i złagodzeniu wyroku. Karą może być więzienie, ciężkie roboty lub śmierć. Fitz bez wątpienia chciałby postawić go przed plutonem egzekucyjnym albo przynajmniej wsadzić na parę lat do więzienia. Billy zamierzał zasiać w głowach Murraya i Evansa wątpliwości co do tego, czy proces jest sprawiedliwy. Jeśli zdoła ich zmiękczyć, może wykręci się krótką odsiadką.

– Gdzie mój adwokat? – spytał.

– Zapewnienie wam przedstawiciela prawnego nie jest możliwe – odparł Fitz.

– Jest pan tego pewny, panie pułkowniku?

– Macie się odzywać po udzieleniu wam głosu.

– Proszę odnotować, że odmówiono mi adwokata – rzekł

Billy, patrząc na Gwyna Evansa. Ten siedział bez ruchu, mimo że miał notes. – A może akta tej sprawy będą jednym wielkim kłamstwem? – Położył nacisk na słowo „kłamstwo”, wiedząc, że ubodzie ono Fitz. Do kodeksu angielskiego dżentelmena należy mówienie prawdy.

Fitz skinął na Evansa, a ten zanotował słowa Billy'ego.

Punkt dla mnie, pomyślał Billy i trochę go to pocieszyło.

– Williamie Williamsie, jesteś oskarżony z mocy części pierwszej Ustawy o wojsku – oznajmił Fitz. – Zarzuca ci się, że będąc na służbie, świadomie popełniłeś czyn mający zniweczyć

działania sił Jego Królewskiej Wysokości. Grozi za to śmierć lub mniejsza kara, jeśli tak postanowi sąd.

Powtórna wzmianka o karze śmierci zmroziła Billy'ego, lecz jego twarz pozostała nieruchoma.

– Przyznajesz się do winy?

Billy odetchnął głęboko. Mówił wyraźnie, starając się, by w jego głosie brzmiała nagana i pogarda.

– Pytam, jak śmiecie udawać obiektywnego sędziego? Jak śmiecie udawać, że prowadzimy w Rosji działania zgodne z prawem? Jak śmiecie oskarżać o zdradę człowieka, który przez trzy lata walczył u waszego boku? Oto moja odpowiedź.

– Nie bądź bezczelny, Billy – odezwał się Gwyn Evans. – W ten sposób tylko pogarszasz swoją sytuację.

Billy nie zamierzał pozwolić Evansowi udawać dobrej woli.

– A ja radzę wam stąd odejść i odciąć się od tej karykatury sądu. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, a wierzcie mi, że trafi na pierwszą stronę „Daily Mirror”, okaże się, że to wy jesteście zhańbieni, a nie ja. – Spojrzał na Murraya. – Hańba spadnie na każdego, kto bierze udział w tej farsie.

Evans się stropił. Najwyraźniej nie przyszło mu do głowy, że rzecz może zostać upubliczniona.

– Dość tego! – krzyknął Fitz.

Świetnie, trzymam byka za rogi, pomyślał Billy.

– Przyjrzyjmy się dowodom, kapitanie – polecił Fitz.

Murray otworzył teczkę i wyjął z niej kartkę. Billy rozpoznał swój charakter pisma. Tak jak się spodziewał, był to jego list do Ethel.

Murray pokazał mu list.

– Czy wy go napisaliście?

– Jak to się stało, że zwróciliście na niego uwagę, kapitanie Murray?

– Odpowiadajcie na pytania! – warknął Fitz.

– Chodziliście do Eton, prawda, kapitanie? – zapytał Billy. – Dżentelmen nigdy nie zagląda do czyichś listów. Tak nam mówiono. Ja zaś rozumiem, że tylko uprawniony cenzor ma prawo kontrolować listy żołnierzy. Zakładam więc, że to cenzor zwrócił wam uwagę na ten list. – Zrobił pauzę. Zgodnie z jego oczekiwaniami Murray nie kwapił się, by odpowiedzieć. – A może list został zdobyty bezprawnie?

– Czy to wy napisaliście ten list? – spytał powtórnie Murray.

– Jeśli został zdobyty bezprawnie, nie może być wykorzystany w czasie procesu. Myślę, że tak właśnie powiedziała by adwokat. Ale tu nie ma ani jednego prawnika. Dlatego ten sąd jest farsą.

– Wy napisaliście ten list?

– Odpowiem na to pytanie, kiedy wyjaśnicie mi, jak weszliście w jego posiadanie.

– Możecie zostać ukarani za obrazę sądu – przypomniał Fitz. Grozi mi kara śmierci, a ten dureń Fitz straszy mnie karą za obrazę! – pomyślał Billy.

– Bronię się, wskazując uchybienia popełniane przez sąd oraz nielegalność oskarżenia. Zabronicie mi tego?

Murray dał za wygraną.

– Na kopercie podany jest adres zwrotny sierżanta Billy'ego Williamsa. Jeśli oskarżony chce oświadczyć, że go nie napisał, powinien to zrobić teraz.

Billy milczał.

– List został napisany szyfrem – ciągnął Murray. – Można go zrozumieć, czytając co trzecie słowo oraz pierwsze litery tytułów piosenek i filmów. – Murray podał list Evansowi. – Odszyfrowana treść listu brzmi następująco...

Billy opisywał nieudolność reżimu Kołczaka, który, mimo iż miał dużo złota, nie zdołał opłacić obsługi kolei transsyberyjskiej, co powodowało trudności w dostawach i zaopatrzeniu. Mówił także szczegółowo o pomocy, której wojsko brytyjskie udzielało

białym. Informacje te utrzymywano w tajemnicy przed brytyjską opinią publiczną, która łożyła na wojsko, oraz przed rodzinami żołnierzy ryzykujących życie.

– Zaprzeczacie, że wysłaliście tę wiadomość? – spytał Murray.

– Nie mogę wypowiadać się na temat bezprawnie zdobytych dowodów.

– Adresatka E. Williams to pani Ethel Leckwith, liderka kampanii „Ręce precz od Rosji”, prawda?

– Nie mogę wypowiadać się na temat bezprawnie zdobytych dowodów.

– Czy wcześniej pisaliście do niej zaszyfrowane listy? Billy milczał.

– Ona zaś wykorzystała podawane przez was informacje w artykułach, dyskredytujących armię brytyjską i narażających na niebezpieczeństwo nasze działania w Rosji.

– Wcale nie – odparł Billy. – Armia została zdyskredytowana przez tych, którzy wysłali nas na potajemną i nielegalną misję bez wiedzy i aprobaty parlamentu. Kampania „Ręce precz od Rosji” to pierwszy niezbędny krok, który ma nam przywrócić właściwą rolę obrońców Wielkiej Brytanii. Nie jesteśmy prywatną armią wąskiego grona spiskujących prawicowych generałów i polityków.

Billy z satysfakcją zauważył, że szlachetna twarz Fitz'a poczerwieniała z gniewu.

– Myślę, że usłyszeliśmy wystarczająco dużo – oznajmił Fitz. – Sąd naradzi się teraz nad werdyktem. – Murray powiedział coś cicho. – A tak. Czy oskarżony ma coś do powiedzenia? Billy wstał.

– Jako pierwszego świadka powołuję pułkownika hrabiego Fitzherberta.

– Nie bądźcie śmieszni – prychnął Fitz.

– Proszę odnotować, że sąd odmówił mi prawa zadawania pytań, mimo że świadek był obecny na sali.

– Kontynuujemy.

– Gdyby nie odmówiono mi prawa do powołania świadka, zapytałbym pułkownika, jakie są jego związki z moją rodziną. Czy nie żywi do mnie osobistej urazy ze względu na to, że mój ojciec jest przywódcą górników? Jaki jest charakter jego związków z moją siostrą? Czy nie zatrudnił jej jako gospodyni, by potem zwolnić w zagadkowych okolicznościach? – Billy'ego korciło, by rzec parę słów więcej o Ethel, lecz w ten sposób szargałby jej imię. Poza tym aluzja prawdopodobnie wystarczyła. – Zapytałbym go, czy ma osobisty interes w prowadzeniu tej bezprawnej wojny przeciwko rządowi bolszewickiemu. Czy jego żona jest rosyjską księżniczką? Czy jego syn dziedziczy posiadłość w Rosji? Czy pułkownik przybył tutaj po to, by zabezpieczyć swoje osobiste interesy? Czy wszystkie te kwestie są prawdziwym powodem, dla którego zwołał ten karykaturalny sąd? I czy to całkowicie nie dyskwalifikuje go jako sędziego w tej sprawie?

Fitz gapił się na Billy'ego z kamienną twarzą, lecz Murray i Evans wyglądali na przestraszonych. Do tej pory nic nie wiedzieli o osobistych pobudkach Fitz'a.

– Nie mam nic więcej do dodania – podjął Billy. – Cesarz Niemiec został oskarżony o zbrodnie wojenne. Twierdzi się, że za namową generałów wypowiedział wojnę wbrew woli narodu niemieckiego wyrażanej przez deputowanych do Reichstagu. Jednocześnie mówi się, że Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę dopiero po debacie w Izbie Gmin.

Fitz udawał zdumienie, lecz Murray i Evans słuchali uważnie.

– Zastanówmy się teraz nad wojną w Rosji. Nie debatowano nad nią w brytyjskim parlamencie. Fakty są przed narodem brytyjskim ukrywane pod pretekstem dbałości o bezpieczeństwo operacji. Zawsze używa się tej wymówki, gdy chodzi o brudne sekrety

armii. Walczymy, mimo że wojna nie została wypowiedziana. Premier Wielkiej Brytanii oraz jego współpracownicy znaleźli się w takim samym położeniu jak Kaiser i jego generalicja. To oni działają niezgodnie z prawem, a nie ja – zakończył Billy i usiadł. Kapitanowie nachylili się do Fitz'a. Billy zachodził w głowę, czy przypadkiem nie posunął się za daleko. Chciał mówić kaśliwie, lecz zamiast zdobyć poparcie oficerów, mógł ich obrazić. Jednak wśród sędziów doszło do rozdźwięku. Fitz mówił coś z naciskiem, Evans zaś zawzięcie kręcił głową. Na twarzy Murraya malowała się niepewność. To chyba dobry znak, uznał Billy. Mimo to bał się jak jeszcze nigdy w życiu. Szedł naprzeciwko karabinów maszynowych nad Sommą, przeżył wybuch w kopalni, lecz nigdy nie był tak przerażony jak teraz, gdy jego życie spoczęło w rękach wrogo nastawionych oficerów.

Ci zaś ustalili wspólne stanowisko. Fitz spojrzał na Billy'ego.

– Wstańcie.

Billy wstał.

– Sierżancie Williamie Williams, sąd orzeka, że jesteście winni zarzucanych czynów. – Fitz patrzył na Billy'ego, jakby miał nadzieję ujrzeć na jego twarzy strach pokonanego. Tymczasem Billy spodziewał się takiego werdyktu. Lęk budził w nim jedynie wyrok. – Zostajecie skazani na dziesięć lat więzienia. Billy nie mógł dłużej zachować nieruchomej twarzy. To nie kara śmierci... ale dziesięć lat?! Wyjdzie z trzydziestką na karku. Będzie rok tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty. Mildred skończy trzydzieści pięć lat. Połowa życia będzie zanimi. Nie mógł powstrzymać łez, które napłynęły mu do oczu. Na twarzy Fitz'a malowała się głęboka satysfakcja.

– Możecie odejść.

Billy'ego odprowadzono do więzienia, w którym miał rozpocząć odsiadanie wyroku.

ROZDZIAŁ 37

Maj - czerwiec 1919 roku

i.

Pierwszego dnia maja Walter von Ulrich napisał list do Maud i wysłał go z miasteczka Wersal. Nie wiedział, czy jego żona żyje. Od czasu ich spotkania w Sztokholmie nie dostał od niej żadnej wiadomości. Połączeń pocztowych między Niemcami i Wielką Brytanią wciąż nie wznowiono, toteż mógł do niej napisać pierwszy raz od dwóch lat. Walter i jego ojciec przybyli do Francji poprzedniego dnia wraz ze stu osiemdziesięcioma politykami, dyplomatami i urzędnikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wchodzili w skład niemieckiej delegacji na konferencję pokojową. Francuzi spowolnili pociąg tak, że jechał w tempie spacerowym. Za oknami rozpościerał się krajobraz zrujnowanej północno-wschodniej części Francji.

– Jakbyśmy tylko my wystrzelili tutaj pociski – warknął gniewnie Otto.

Niemiecką delegację przewieziono z Paryża do miasteczka Wersal i wysadzono przed hotelem Reservoirs. Bagaże wyrzucono na podwórku i obcesowo oznajmiono, żeby sami je sobie przenieśli. Najwyraźniej Francuzi nie zamierzają okazywać pokonanym wielkoduszności, pomyślał Walter.

– Ich problem polega na tym, że nie zwyciężyli – zauważył Otto. – Nie przegrali, gdyż uratowali ich Brytyjczycy i Amerykanie. Ale powodów do chwały nie mają. Pokonaliśmy ich i wiedzą o tym, a to rani ich napuszone poczucie dumy.

Hotel był zimny i ponury, lecz na dworze kwitły magnolie i jabłonie. Niemcom pozwolono spacerować po terenie wielkiego

chateau i wychodzić do sklepów. Przed hotelem nieustannie kłębił się niewielki tłumek. Prości ludzie nie okazywali takiej złośliwości jak oficjele. Czasem buczeli, lecz zazwyczaj przyglądali się wrogom z ciekawością.

Walter napisał do Maud pierwszego dnia pobytu. Nie wspominał o małżeństwie, gdyż wciąż nie miał pewności, czy jest to bezpieczne, a poza tym trudno mu było wyzbyć się nawyku dyskrecji. Wyjawił, gdzie jest, opisał hotel i jego otoczenie, a na koniec poprosił, by odpisała. Poszedł do miasteczka, kupił znaczek i wysłał list.

Z niepokojem i nadzieją czekał na odpowiedź. Jeśli Maud żyje, to czy wciąż go kocha? Był niemal pewny, że tak. Jednak od dnia, gdy spotkali się w sztokholmskim hotelu, a ona namiętnie rzuciła się w jego ramiona, upłynęły dwa lata. Świat jest pełen mężczyzn, którzy wrócili z wojny i dowiedzieli się, że ich dziewczyny lub żony w czasie długich lat rozłąki zakochały się w kimś innym.

Kilka dni później przewodniczący delegacji zostali wezwani do hotelu Trianon Pałace po drugiej stronie parku i ceremonialnie wręczono im egzemplarze traktatu pokojowego sporządzonego przez zwycięskich aliantów. Dokument napisano po francusku.

W hotelu Reservoirs kopie przekazano zespołom tłumaczy. Walter stanął na czele jednego z nich. Podzielił swoją część na fragmenty, rozdał je i zasiadł do czytania.

Było gorzej, niż się spodziewał.

Armia francuska miała przez piętnaście lat okupować graniczny region Nadrenii. Zagłębie Saary zostało protektoratem Ligi Narodów, a zarządzanie kopalniami węgla przypadło Francuzom. Alzację i Lotaryngię bez plebiscytu przyznano Francji. Rząd w Paryżu obawiał się, że ludność zagłosuje za Niemcami. Nowe państwo polskie było tak rozległe, że objęło miejsca zamieszkania trzech milionów Niemców oraz złoża węgla na Śląsku. Niemcy stracili wszystkie kolonie: alianci rozparcelowali je między siebie niczym złodzieje dzielący łup. Ponadto Niemcy musieli się zgodzić na płacenie reparacji wojennych w nieustalonej wysokości. Innymi słowy, kazano im podpisać czek in blanco.

Walter zastanawiał się, jakich Niemiec chcą alianci. Czyżby dążyli do stworzenia gigantycznego obozu pracy niewolniczej, w którym wszyscy dostają racje żywnościowe i harują, by panowie mogli zagarnąć owoce ich mozołu? Skoro on sam ma być takim niewolnikiem, jak może myśleć o założeniu domu z Maud i posiadaniu dzieci?

Jednak najgorzej brzmiała klauzula o odpowiedzialności za wojnę. Artykuł dwieście trzydziesty pierwszy traktatu stanowił: Alianci oraz rządy Państw Stowarzyszonych stwierdzają, a Niemcy przyjmują do wiadomości, odpowiedzialność Niemiec oraz ich sojuszników za spowodowanie wszelkich strat i zniszczeń, które ponieśli alianci, rządy Państw Stowarzyszonych oraz ich obywatele w wyniku wojny narzuconej im przez agresję Niemiec i ich sojuszników.

– To kłamstwo – prychnął gniewnie Walter. – Głupie, ignoranckie, podłe, złośliwe i wstrętne kłamstwo.

Niemcy nie były bez winy, wiedział o tym i wiele razy spierał się w tej kwestii z ojcem. Przeżył jednak kryzysy dyplomatyczne w lecie 1914 roku i znał każdy krok prowadzący do wojny. Żaden konkretny naród nie ponosił winy. Przywódcy po obu stronach konfliktu dążyli przede wszystkim do obrony swoich krajów i nie było jednego, który zamierzał pogrążyć świat w największej wojnie w historii: ani Asquith, ani Poincare, ani Kaiser, ani car, ani cesarz Austrii. Przypuszczalnie nawet Gawriło Princip, skrytobójca z Sarajewa, przeraził się, uświadomiwszy sobie konsekwencje swojego czynu. Jednak on także nie ponosił odpowiedzialności za „wielkie straty i zniszczenia”.

Walter natknął się na ojca tuż po północy. Obaj pili kawę, by nie zasnąć i móc dalej pracować.

– To skandal! – grzmiał Otto. – Przystaliśmy na pokój

oparty na czternastopunktowym planie Wilsona, tymczasem traktat nie ma z nim nic wspólnego!

Tym razem wyjątkowo Walter przyznał ojcu rację.

Do rana tłumaczenie było wydrukowane, a kopie wysłano specjalnym kurierem do Berlina. Klasyczny przykład niemieckiej sprawności, myślał Walter, wyraźniej dostrzegając zalety ojczyzny w chwili, gdy ją lżono. Był zbyt zmęczony, by zasnąć, postanowił więc pójść na spacer i nieco zrelaksować się przed snem.

Skierował się do parku. Kwitły rododendrony. To był cudowny poranek dla Francji, ponury dla Niemiec. Jak potraktuje propozycje pokojowe borykający się z ogromnymi trudnościami socjaldemokratyczny rząd Niemiec? Czy zrozpaczony naród zwróci się ku bolszewizmowi?

Oprócz Waltera w wielkim parku była tylko młoda kobieta ubrana w lekki letni płaszcz. Siedziała na ławce pod kasztanem. Zamyślony dotknął grzecznie rona kapelusza i poszedł dalej.

– Walterze... – odezwała się kobieta.

Jego serce zamarło. Zna ten głos, ale to nie może być ona.

Odwrócił się i spojrzał.

Kobieta wstała.

– Och, Walterze. Nie poznajesz mnie?

To była Maud.

Krew zaśpiewała mu w żyłach. Zrobił dwa kroki w jej stronę, a ona rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno. Zanurzył twarz w jej włosach i wdychał ich zapach, wciąż znajomy mimo upływu lat. Pocałował ją w czoło, w policzek, a później w usta. Mówił i całował jednocześnie, lecz ani słowa, ani pocałunki nie mogły wyrazić tego, co działo się w jego sercu.

– Wciąż mnie kochasz? – spytała po długiej chwili.

– Bardziej niż kiedykolwiek – odparł i znów ją pocałował.

II.

Gdy przestali się obejmować, Maud przesunęła dłońmi po nagiej piersi Waltera.

– Jakiś ty chudy – stwierdziła.

Brzuch Waltera był wklęsły, kości biodrowe sterczały. Zapraagnęła utuczyć go rogalikami z masłem i pasztetem z wątróbek. Znajdowali się w pokoju w oberży kilka mil od Paryża. Okno było otwarte, przez żółte jak pierwiosnki zasłony wpadał łagodny letni wietrzyk. Maud dowiedziała się o tym pensjonacie przed wieloma laty, gdy Fitz urządził w nim schadzki z zamężną hrabiną de Cagnes. Zajazd, niewiele większy od sporego wiejskiego domu, nawet nie miał nazwy. Mężczyźni przyjeżdżali tam na lunch i rezerwowali pokój na popołudnie. Być może i na obrzeżach Londynu istnieją takie miejsca, lecz to miejsce i jego otoczenie zdecydowanie kojarzyły się z Francją.

Podali się za państwa Woolride'ów, a Maud założyła obrączkę, którą trzymała schowaną ponad pięć lat. Dyskretna właścicielka bez wątpienia zakładała, że tylko udają małżeństwo. Nie mieli nic przeciwko temu, byleby nie odgadła, że Walter jest Niemcem. To mogłoby przysporzyć problemów.

Maud nie mogła oderwać się od Waltera. Cieszyła się, że nie został ranny. Dotknęła czubkami palców blizny na jego łydce.

– Dostałem pod Chateau-Thierry.

– Gus Dewar brał udział w tej bitwie. Mam nadzieję, że to nie on cię postrzelił.

– Dopisało mi szczęście, że rana dobrze się zagoiła. Wielu żołnierzy umarło z powodu gangreny.

Upłynęły trzy tygodnie od dnia, gdy znów się połączyli. Walter przez całą dobę pracował nad odpowiedzią Niemiec na propozycję traktatu. Wychodził codziennie tylko na godzinę lub pół godziny, by pospacerować z Maud po parku albo posiedzieć na tylnej

kanapie niebieskiego cadillaca Fitz'a. Szofer tymczasem woził ich po okolicy.

Twarde warunki traktatu postawione Niemcom zaszokowały Maud nie mniej niż Waltera. Celem konferencji paryskiej miało być stworzenie sprawiedliwego i pokojowego świata, nie zaś zemsta zwycięzców nad pokonanymi. Nowe Niemcy powinny być demokratyczne i bogate. Maud chciała mieć z Walterem dzieci – byłyby Niemcami. Często przypominała sobie ustęp z Księgi Rut czynający się od słów: Gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę. Prędzej czy później będzie musiała to powiedzieć Walterowi.

Pocieszał ją fakt, że nie ona jedna jest przeciwna propozycjom traktatu pokojowego. Po stronie aliantów więcej jest takich, którzy uważają pokój za ważniejszy od zemsty. Dwunastu członków delegacji amerykańskiej na znak protestu złożyło rezygnację.

W wyborach uzupełniających w Wielkiej Brytanii zwyciężył kandydat opowiadający się za pokojem wolnym od żądzy zemsty. Arcybiskup Canterbury oświadczył publicznie, że te propozycje wywołują ogromny dyskomfort. Dodał, że wypowiada się w imieniu milczącej rzeszy ludzi, których opinii nie odzwierciedlają gazety siejące nienawiść do tak zwanych Hunów.

Wczoraj Niemcy przedstawili swoją kontrpropozycję. Liczący sto stron dokument zawierał szczegółowe założenia opracowane na podstawie czternastopunktowego planu Wilsona. Francuskie gazety poranne ogarnęły istny szał. Autorzy artykułów nie posiadali się z oburzenia, nazywając niemieckie propozycje pomnikiem bezczelności i pokazem błazenady.

– Francuzi zarzucają nam arogancję! – zachnął się Walter. – Jak brzmi to powiedzenie o naczygniach?

– Przyganiał kocioł garnkowi – podsunęła Maud.

Walter przekręcił się na bok i zaczął się bawić jej włosami łonowymi. Były ciemne, kręcone i bujne. Zaproponowała, że je przystrzyże, lecz jemu podobały się właśnie takie.

– Co zrobimy? Schadzki w hotelu i popołudnia w łóżku są romantyczne. Zachowujemy się jak potajemni kochankowie, ale to nie może trwać wiecznie. Musimy oznajmić światu, że jesteśmy mężem i żoną.

Maud przyznała mu rację. Ona także chciała spędzać z nim każdą noc, ale nie mówiła tego głośno. Była nieco zażenowana tym, że tak bardzo lubi się z nim kochać.

– Moglibyśmy założyć dom, niech ludzie sami wyciągną wnioski.

– Nie czuję się z tym dobrze – wyznał Walter. – Zupełnie jakbyśmy się wstydzili.

Ona czuła to samo. Pragnęła powiedzieć światu o swoim szczęściu, a nie się ukrywać. Była dumna z Waltera: przystojnego, dzielnego i wyjątkowo inteligentnego.

– Moglibyśmy jeszcze raz wziąć ślub. Zaręczyć się, dać na zapowiedzi, pobrać się i nikomu nie mówić o tym, że od prawie pięciu lat jesteśmy małżeństwem. Poślubienie kogoś dwa razy nie jest przestępstwem.

Walter się zamyślił.

– Mój ojciec i twój brat wystąpiliby przeciwko nam. Nie zdołaliby nas powstrzymać, ale mogliby wszystko zepsuć i wesele nie sprawiłoby nam radości.

– Masz rację – przyznała niechętnie Maud. – Fitz oznajmiłby, że niektórzy Niemcy są całkiem przyzwoici, ale mimo to nikt nie chce, by jego siostra wychodziła za jednego z nich.

– Dlatego musimy ich postawić przed faktem dokonanym.

– Powiedzmy im, a następnie opublikujmy wiadomość w prasie. Ogłosimy, że nasz związek to symbol nowego światowego ładu. Angielsko-niemieckie małżeństwo zbiegnie się w czasie z podpisaniem traktatu pokojowego.

Waltera trapiły wątpliwości.

– Jak się do tego zabierzemy?

– Pomówię z wydawcą magazynu „Tatler”. Lubią mnie w redakcji, bo dostarczyłam gazecie mnóstwo materiału.
Walter się uśmiechnął.
– Lady Maud Fitzherbert zawsze ubiera się zgodnie z najnowszą modą.
– O czym ty mówisz?
Walter sięgnął po portfel leżący na stoliku przy łóżku i wyjął z niego wycinek.
– To było twoje jedyne zdjęcie, które miałem.
Maud wzięła do ręki miękkie od starości i wyblakłe zdjęcie barwy piasku. Przyjrzała mu się.
– Pochodzi jeszcze sprzed wojny.
– I od tego czasu mi towarzyszy. Przetrwało tak samo jak ja.
Maud łzy napłynęły do oczu. Zdjęcie się rozmyło.
Przycisnęła twarz do piersi Waltera i rozpłakała się. Niektóre kobiety wybuchają płaczem pod byle pretekstem, lecz ona nigdy do nich nie należała. Teraz szlochała niepoohamowanie. Płakała nad straconymi latami i milionami poległych żołnierzy, nad daremnością i bezsensu wojny. Wylewała łzy, które uzbierały się w ciągu pięciu lat. Przez cały ten czas musiała trzymać się w ryzach.
Gdy się wypłakała i łzy obeschły, pocałowała namiętnie Waltera i znów wzięła go w ramiona.

III.

Szesnastego czerwca cadillac Fitza podjechał pod hotel i zawiózł Waltera do Paryża. Maud wpadła na pomysł, aby wysłać do „Tatlera” zdjęcie. Walter włożył tweedowy garnitur uszyty przed wojną w Londynie. Spodnie były za luźne w pasie, lecz teraz wszyscy Niemcy chodzili w za dużych ubraniach.
Walter stworzył w hotelu Reservoirs małą agencję wywiadowczą mającą śledzić wiadomości podawane we francuskich, brytyjskich, amerykańskich i włoskich gazetach oraz plotki docierające do niemieckiej delegacji. Wiedział, że między aliantami dochodzi do zażartych kłótni na tle niemieckich propozycji pokojowych. Lloyd George, polityk do przesady elastyczny, skłaniał się do powtórnego rozważenia projektu traktatu, jednak premier Francji Clemenceau oświadczył, że okazał już zbyt daleko posuniętą wielkoduszność, i pienił się na każdą wzmiankę o poprawkach. O dziwo, Woodrow Wilson także był uparty. Uważał projekt za sprawiedliwy, a raz coś postanowiwszy, stawał się głuchy na krytykę.

Alianci negocjowali również traktaty pokojowe obejmujące sojuszników Niemiec: Austrię, Węgry, Bułgarię oraz Imperium Osmańskie. Tworzyli nowe państwa, takie jak Jugosławia i Czechosłowacja, a także dzielili Bliski Wschód na strefy brytyjską i francuską. Spierali się też o to, czy zawrzeć pokój z Leninem. Ludzie we wszystkich krajach byli zmęczeni wojną, lecz garstka wpływowych polityków wciąż paliła się do walki z bolszewikami. Dziennikarze brytyjskiego „Daily Mail” wykryli międzynarodowy spisek żydowskich bankierów wspierających reżim w Moskwie. Był to jeden z najbardziej nieprawdopodobnych wymysłów tej gazety.

W kwestii traktatu z Niemcami Wilson i Clemenceau przegłosowali Lloyda George'a, a rankiem tego samego dnia niemiecka delegacja w hotelu Reservoirs otrzymała nacechowaną zniecierpliwieniem notę dyplomatyczną dającą jej trzy dni na przyjęcie traktatu.

Siedząc na tylnej kanapie samochodu Fitza, Walter rozmyślał ponuro o przyszłości ojczyzny. Będziemy jak afrykańska kolonia, myślał, której prymitywni mieszkańcy trudzą się jedynie po to, by przysporzyć bogactwa cudzoziemskim panom. Nie chciał wy-

chowywać swoich dzieci w takim kraju.

Maud czekała w studiu fotograficznym. Wyglądała pięknie w zwiewnej letniej sukience od Paula Poireta, twórcy mody tak sławnego, że nawet Walter o nim słyszał.

Tło, którego fotograf używał do robienia zdjęć, przedstawiało ogród pełen kwitnących kwiatów. Maud orzekła, że jest w złym guście, więc pozowali przed zasłonami w jadalni, które na szczęście były gładkie. Pierwsze zdjęcie przedstawiało ich stojących obok siebie. Nie dotykali się, jakby byli obcymi ludźmi. Fotograf zaproponował, by Walter uklęknął przed Maud, to jednak było zbyt sentymentalne. Wspólnie zdołali znaleźć odpowiednią pozę. Zakochani trzymali się za ręce, spoglądając na siebie, a nie w obiektyw aparatu.

Fotograf obiecał, że odbitki będą gotowe nazajutrz.

Pojechali do oberży na lunch.

– Alianci nie mogą zmusić Niemiec do podpisania traktatu – stwierdziła Maud. – W ten sposób się nie negocjuje.

– Tak właśnie postąpili.

– Co będzie, jeśli odmówicie?

– Na ten temat się nie wypowiadają.

– A więc co zamierzacie zrobić?

– Część delegacji wraca dziś wieczorem do Berlina na konsultacje z rządem. – Walter westchnął. – Tak się, niestety, składa, że mnie również wyznaczono.

– Nadszedł więc czas, abyśmy dali nasze ogłoszenie. Jutro po odebraniu zdjęć wyruszę do Londynu.

– Dobrze. Zawiadomię matkę, gdy tylko dotrę do Berlina.

Przyjmie to z radością. Potem powiem ojcu. Jego reakcja nie będzie miła.

– Ja pomówię z ciocią Herm i księżniczką Beą. Później napiszę do Rosji do Fitza.

– Przez pewien czas się nie zobaczymy.

– Zjedzmy więc i chodźmy do łóżka.

IV.

Gus i Rosa spotkali się w ogrodach Tuileries. Paryż zaczyna wracać do normalności, pomyślał wesoło Gus. Świeciło słońce, drzewa obsypane były liśćmi, a mężczyźni z goździkami w butonierkach siedzieli, paląc cygara, i chłonęli wzrokiem przechodzące tuż obok najlepiej ubrane kobiety na świecie. Po jednej stronie parku biegła rue de Rivoli, pełna samochodów, ciężarówek i pociągów. Z drugiej strony płynęła Sekwana, po której sunęły barki towarowe. Może jednak świat wydobędzie się z zapaści.

Rosa wyglądała oszałamiająco w czerwonej sukni z cienkiej bawełny i kapeluszu z szerokim rondem. Gdybym umiał malować, myślał Gus, namalowałbym ją właśnie taką.

Miał na sobie granatowy blezer i modny słomkowy kapelusz.

Na jego widok Rosa parsknęła śmiechem.

– Co się stało?

– Nic. Ładnie dziś wyglądasz.

– Rozbawił cię mój kapelusz, prawda?

Rosa stłumiła śmiech.

– Jesteś uroczy.

– Wygląda idiotycznie. Nic na to nie poradzę. Źle się prezentuję w kapeluszach. To dlatego, że jestem zbudowany jak młotek z długim trzonkiem.

Rosa lekko pocałowała go w usta.

– Jesteś najbardziej atrakcyjnym mężczyzną w Paryżu.

Najdziwniejsze było to, że naprawdę tak uważała. Ale ze mnie szczęściarz, pomyślał Gus.

Wziął ją pod rękę.

– Chodźmy. – Ruszyli wolnym krokiem w stronę Luwru.

- Widziałeś najnowszy numer „Tatlera”?
- Tego londyńskiego magazynu? Nie. Dlaczego pytasz?
- Zdaje się, że twoja bliska przyjaciółka, lady Maud, wyszła za Niemca.
- Och! Jak dziennikarze to wywęszyli?
- Chcesz powiedzieć, że ty wiedziałeś?
- Domyśliłem się. Spotkałem Waltera w Berlinie w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, a on poprosił mnie o przekazanie listu Maud. Odgadłem, że albo są zaręczeni, albo po ślubie.
- Jesteś bardzo dyskretny! Nie pisałeś ani słówka.
- To była niebezpieczna tajemnica.
- Wciąż jest niebezpieczna. „Tatler” pisze o nich ładnie, lecz pozostałe gazety mogą przyjąć inną linię.
- Maud bywała już przedmiotem ataków prasowych. Twarda z niej sztuka.

Rosa się zawstydziała.

- Pewnie o tym właśnie rozmawialiście tego wieczoru, kiedy zobaczyłam cię z nią tete-d-tetel
 - Nie inaczej. Pytała mnie, czy doszły do mnie jakieś wieści o Walterze.
 - Tak mi głupio, że podejrzewałam was o flirtowanie.
 - Wybaczam ci, ale zachowuję sobie prawo do przywołania tej sprawy następnym razem, gdy mnie bez powodu skrytykujesz. Mogę cię o coś zapytać?
 - Możesz pytać o wszystko.
 - Mam trzy pytania.
 - To złowróżbne. Jak w baśni ludowej. Jeśli odpowiem niewłaściwie, dostanę kosza?
 - Wciąż jesteś anarchistką?
 - Zmartwiłoby cię to?
 - Zadaję sobie pytanie, czy polityka mogłaby nas rozdzielić.
 - Anarchia to przekonanie, że nikt nie ma prawa rządzić.
- Wszystkie filozofie polityczne, od boskich praw królów po umowę społeczną Rousseau, usprawiedliwiają władzę. Anarchiści wierzą, że wszystkie one poniosły klęskę, zatem żadna forma władzy nie jest prawomocna.
- W teorii jest to nie do podważenia. A zarazem nie do przekucia na praktykę.
 - Szybko chwytasz. Wygląda to tak, że wszyscy anarchiści są przeciwni establishmentowi, lecz głęboko różni ich wizja funkcjonowania społeczeństwa.
 - Jaka jest twoja?
 - Nie postrzegam tej kwestii tak jak dawniej. Pisanie o Białym Domu nieco zmieniło moją perspektywę. Wciąż jednak wierzę, że władza musi usprawiedliwić swoje istnienie.
 - Co do tego nie ma między nami sporu.
 - To dobrze. Proszę o następne pytanie.
 - Opowiedz mi o swoim oku.
 - Taka się urodziłam. Można je otworzyć operacyjnie, ale pod powieką kryje się bezużyteczna tkanka. Mogłabym nosić szklane oko, które jednak nigdy by się nie zamykało. Myślę, że wybrałam mniejsze zło. Martwi cię to?

Gus zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z Rosą.

- Mogę je pocałować?

Zawahała się.

- Dobrze.

Nachylił się i ucałował zamkniętą powiekę. Nie poczuł pod wargami niczego nadzwyczajnego. Było tak, jakby całował policzek.

- Dziękuję.

- Nikt tego nigdy nie robił – rzekła cicho.

Gus skinął głową. Domyślił się, że może to być coś w rodzaju tabu.

- Dlaczego chciałeś je pocałować?

- Ponieważ kocham w tobie wszystko i chciałem ci to pokazać.
 - Och. - Milczała przez dłuższą chwilę i Gus domyślił się, że dławia ją emocje. Nagle uśmiechnęła się i odezwała beztróskim tonem, który lepiej do niej pasował: - Jeśli najdzie cię chętka pocałowania mnie w jakieś inne dziwne miejsce, daj znać. Nie wiedział, jak zareagować na tę mgliście podniecającą propozycję, więc odłożył to na później.
 - Mam jeszcze jedno pytanie.
 - Strzelaj.
 - Cztery miesiące temu wyznałem ci miłość.
 - Nie zapomniałam.
 - Ale ty nie powiedziałaś, co czujesz.
 - Czy to nie jest oczywiste?
 - Możliwe, ale wolałbym usłyszeć. Kochasz mnie?
 - Och, Gus, czy ty nie rozumiesz? - Twarz Rosy się zmieniła, pojawił się na niej ból. - Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra. Ty stanowiłeś najlepszą partię w Buffalo, a ja byłam jedynką anarchistką. Powinieneś pokochać kogoś eleganckiego, pięknego i bogatego. Jestem córką lekarza, moja matka była gosposią. Nie jestem dla ciebie odpowiednią kobietą.
 - Kochasz mnie? - zapytał z cichą determinacją.
- Rozpłakała się.
- Oczywiście, że tak, głuptasie. Kocham cię z całego serca. Gus otoczył ją ramionami.
 - A więc tylko to się liczy.

V.

Ciocia Herm odłożyła „Tatlera”.

- Bardzo nieładnie z twojej strony, że wyszłaś w tajemnicę za mąż - rzekła do Maud. Zaraz jednak uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Ale to takie romantyczne!
- Siedziały w salonie domu Fitz'a w Mayfair. Bea odnowiła dom po zakończeniu wojny, urządzając go w nowym stylu art deco. Wybrała proste funkcjonalne krzesła oraz modernistyczne srebrne błyskotki z Aspreys. Maud i Hermii towarzyszył niepokorny przyjaciel Fitz'a Bing Westhampton oraz jego żona. Była pełnia londyńskiego sezonu towarzyskiego. Wybierali się do opery; czekali na Beę. Ona zaś chciała pocałować na dobranoc Boya, który miał teraz trzy i pół roku, oraz półtorarocznego Andrew. Maud wzięła gazetę i znów spojrzała na artykuł. Zdjęcie nie bardzo jej się podobało. Wyobrażała sobie, że ukaże dwoje zakochanych w sobie ludzi, tymczasem przypominało scenę z filmu. Walter wyglądał jak łowca niewieścich serc - trzymał ją za rękę i patrzył w oczy niczym podły Lothario, ona zaś przypominała pierwszą naiwną, która lada moment ulegnie jego żądzom. Jednak tekst spełnił wszystkie jej oczekiwania. Autor przypominał czytelnikom, że przed wojną lady Maud była „modną sufrażystką”, że z myślą o prawach kobiet stworzyła gazetę „Żona Żołnierza” oraz że poszła do więzienia za protest w sprawie Jayne McCulley. Czytelnik dowiadywał się z artykułu, że Maud i Walter zamierzali poinformować o swoim związku normalną drogą lecz uniemożliwił to wybuch wojny. Zawarty w tajemnicy i pośpiechu ślub został przedstawiony jako wyraz rozpaczliwego dążenia dwojga ludzi do zachowania normalności w nienormalnych okolicznościach.
- Maud nalegała, by cytowano ją dokładnie, i dziennikarz dotrzymał słowa.
- Mam świadomość, że niektórzy Brytyjczycy nienawidzą Niemców - mówiła. - Wiem jednak również, że Walter, podobnie jak wielu innych jego rodaków, robił wszystko, co w jego mocy, by zapobiec konfliktowi zbrojnemu. Teraz wojna dobiegła końca, a my

musimy budować pokój i przyjaźń między dawnymi wrogami. Jest we mnie szczerą nadzieję, że w naszym związku ludzie dostrzegą symbol nowego świata.

Lata prowadzenia kampanii politycznych nauczyły Maud, że można czasem zyskać poparcie gazety, dając jej wyłączność na dobry materiał.

Walter dotarł do Berlina zgodnie z planem. We Francji tłumy ludzi szydziły z niemieckich delegatów zmierzających na dworzec kolejowy. Trafiona kamieniem w głowę sekretarka przewróciła się. Pamiętajcie, jak oni postąpili z Belgią, brzmiał komentarz we francuskiej prasie. Sekretarka wciąż leżała w szpitalu. Tymczasem obywatele niemieccy gniewnie sprzeciwiali się podpisaniu traktatu.

Bing usiadł na kanapie obok Maud. Nie był w nastroju do flirtu, co stanowiło odstępstwo od reguły.

– Szkoda, że nie możesz zasięgnąć rady brata – rzekł, skinieniem głowy wskazując artykuł w gazecie.

Maud pisemnie poinformowała Fitz'a o swoim małżeństwie.

Do listu dołączyła wycinek z „Tatlera”, by uświadomić mu, że londyńska socjeta zaakceptowała jej związek. Nie wiedziała, jak długo list będzie wędrował do Fitz'a. Odpowiedzi spodziewała się po upływie miesiąca. Wtedy będzie za późno na sprzeciw hrabiego. Pozostanie mu uśmiechnąć się i jej pogratulować.

Oburzyła ją sugestia, że mężczyzna musi jej wskazywać drogę postępowania.

– Co takiego mógłby mi powiedzieć Fitz?

– W dającej się przewidzieć perspektywie życie małżonki Niemca będzie trudne.

– Mam tego świadomość. Mężczyzna nie musi mi tego tłumaczyć.

– Pod nieobecność Fitz'a czuję się w pewnym sensie za ciebie odpowiedzialny.

– Naprawdę nie musisz. – Maud starała się nie traktować słów Binga jako obrazy. Co ten człowiek może jej doradzić, skoro umie jedynie uprawiać hazard i popijać drinki w nocnych lokalach? Bing zniżył głos.

– Nie wiem, czy powinienem to mówić, ale... – Zerknął na ciocię Herm, która zrozumiała aluzję i poszła dolać sobie kawy. – Gdybyś ogłosiła, że małżeństwo nie zostało skonsumowane, można by je unieważnić.

Maud przypomniała sobie widok żółtych jak pierwiosnki zasłon i powstrzymała radosny uśmiech.

– Ale nie mogę...

– Proszę, nie opowiadaj mi o tym. Chcę tylko, żebyś rozumiała, jakie masz możliwości.

Maud musiała stłumić narastające wzburzenie.

– Wiem, że chcesz być życzliwy...

– Istnieje także możliwość wzięcia rozwodu. Mężczyzna zawsze może dać kobiecie powody. Zdajesz sobie z tego sprawę.

Maud nie mogła tego dłużej znieść.

– Natychmiast skończ ten temat, proszę cię – rzekła podniesionym głosem. – Nie mam najmniejszego zamiaru unieważniać związku ani brać rozwodu. Kocham Waltera.

Bing się zaszepił.

– Chciałem powiedzieć to, co mógłby powiedzieć Fitz jako głowa waszej rodziny, gdyby tutaj był. – Wstał i zwrócił się do żony. – Chodźmy już. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy się spóźnili.

Po kilku minutach do salonu weszła Bea w nowej różowej sukni.

– Jestem gotowa – oznajmiła takim tonem, jakby to ona na wszystkich czekała, a nie odwrotnie. Zerknęła na pierścionek połyskujący na lewej dłoni Maud, lecz nic nie powiedziała. Usłyszawszy od niej nowinę, zachowała się z wyszukaną neutral-

nością. – Obyś była szczęśliwa – rzekła głosem pozbawionym ciepła. – I mam nadzieję, że Fitz pogodzi się z faktem, iż zrobiłaś to bez jego pozwolenia.

Wsiedli do samochodu. Był to czarny cadillac, którego Fitz kupił po tym, jak niebieski zaginał we Francji. Maud uzmysłowiła sobie, że wszystko zapewnia brat: dom, w którym mieszkają trzy kobiety, bajecznie drogie suknie, które noszą, samochód, łożę w operze. Rachunki z Ritza przesyłane są do Alberta Solmana, adwokata hrabiego w Londynie, a ten reguluje je bez słowa. Fitz nigdy się nie skarżył. Maud wiedziała, że Walter nie zdoła zapewnić jej takiego stylu życia. Może Bing ma rację, może trudno jej będzie obejść się bez luksusu, do którego przywykła. Ale będzie żyła u boku mężczyzny, którego kocha.

Z powodu opieszałości Bei dotarli do Covent Garden w ostatniej chwili. Widzowie już zajęli miejsca. Kobiety weszły pospiesznie po wyłożonych czerwonym dywanem schodach i skierowały się do łoży. Nagle Maud przypomniała sobie, co robili z Walterem w czasie Don Giovanniego. Poczowała zakłopotanie: co ją wtedy opętało, że podjęła takie ryzyko?

Bing Westhampton już siedział z żoną w łoży. Wstał i podsunął Bei krzesło. Na widowni zapadła cisza. Za chwilę miało się zacząć przedstawienie. Jeden z głównych punktów wieczoru stanowiła obserwacja innych gości w operze. Niejedna głowa odwróciła się w stronę zajmującej miejsce w łoży księżniczki. Ciocia Herm usadowiła się w drugim rzędzie, lecz miejsce na przedzie Bing trzymał dla Maud. Z widowni dobiegł pomruk. Większość gości zapewne widziała zdjęcie w gazecie i przeczytała artykuł. Wielu znało Maud osobiście. To była londyńska socjeta: arystokraci i politycy, sędziowie i biskupi, znani artyści i zamożni kupcy z żonami. Maud stała przez chwilę, żeby jej się dobrze przyjrzeni i zobaczyli, jaka jest szczęśliwa i dumna.

Popełniła błąd.

Ton odgłosów dochodzących z widowni się zmienił. Pomruk przybrał na sile. Słów nie sposób było zrozumieć, lecz pobrzmiwała w nich dezaprobata. Przypominały brzęczenie muchy obijającej się o szybę. Maud była zaskoczona. Nagle usłyszała inny dźwięk, zatrzważająco podobny do syku. Zmieszana i wystraszona usiadła.

To jednak nie poprawiło sytuacji. Wszyscy gapili się na Maud. Syczenie rozeszło się błyskawicznie po widowni, a następnie dotarło do rzędu łoż.

– Proszę – odezwał się Bing w słabym odruchu sprzeciwu.

Maud nie zetknęła się z taką nienawiścią nawet podczas najgorętszych demonstracji sufrażystek. Czuła w żołądku bolesny skurcz. Marzyła o tym, by orkiestra zaczęła grać, jednak dyrygent nie podnosił batuty i patrzył w stronę łoży.

Próbowała odpowiedzieć dumnym spojrzeniem, lecz łzy napłynęły jej do oczu i zamazały obraz. Nagle zrozumiała, że koszmar nie skończy się sam z siebie. Musi coś przedsięwziąć.

Wstała. Syczenie stało się jeszcze głośniejsze.

Po twarzy Maud popłynęły łzy. Odwróciła się, prawie nic nie widząc. Przewracając krzesło, skierowała się w stronę drzwi łoży. Ciocia Herm także wstała.

– Och, moja droga, moja droga...

Bing skoczył i otworzył drzwi. Maud wyszła, a ciocia Herm podążała tuż za nią. Bing również opuścił łożę. Syczenie ustało i rozległy się śmiechy. Później Maud z przerażeniem usłyszała, że widzowie zaczynają klaskać. Wyrażali radość, że zdołali się jej pozbyć. Szyderczy aplauz odprowadzał ją do korytarza, po schodach i do samych drzwi teatru.

Bramę parku od pałacu w Wersalu dzieliła jedna mila. Tego dnia stały przy niej setki francuskich kawalerzystów w granatowych mundurach. Letnie słońce odbijało się od ich stalowych hełmów. Czerwono-białe proporce na lancach powiewały w ciepłym wiaterku.

Johnny Remarc, pomimo hańby w operze, zdobył dla Maud zaproszenie na uroczystość podpisania traktatu pokojowego. Musiała jednak jechać na otwartej przyczepie ciężarówki wraz z sekretarkami brytyjskiej delegacji. Wyglądały jak owce wiezione na targowisko.

Przez chwilę wydawało się, że Niemcy odmówią podpisania traktatu. Bohater wojenny marszałek polny von Hindenburg oznajmił, że honorowa porażka jest lepsza od hańbiącego pokoju. Cały niemiecki rząd wolał podać się do dymisji, niż zgodzić się na traktat. Podobnie uczyniło kierownictwo delegacji na konferencję w Paryżu. Jednak Zgromadzenie Narodowe zagłosowało za podpisaniem całego traktatu z wyjątkiem feralnej klauzuli o odpowiedzialności za wojnę. Alianci zareagowali natychmiast, ogłaszając, że jest to dla nich nie do przyjęcia.

– Jak postąpią alianci, jeśli Niemcy odmówią? – spytała Maud Waltera w obojętnej, w której potajemnie mieszkali.

– Oświadczyli, że przeprowadzą inwazję.

Maud pokręciła głową.

– Nasi żołnierze nie zechcą walczyć.

– Tak samo postąpią nasi.

– Dojdzie więc do pata.

– Jednak brytyjska marynarka nie zaprzestała blokady, więc Niemcy nie będą mieli dostaw. Alianci poczekają, aż we wszystkich niemieckich miastach wybuchną zamieszki, i wtedy wkroczą przez nikogo niepowstrzymywani.

– Zatem musicie podpisać traktat.

– Albo dać się zagłodzić – potwierdził z goryczą Walter.

Był dwudziesty ósmy czerwca, od zamachu na arcyksięcia

Ferdynanda w Sarajewie minęło dokładnie pięć lat.

Ciężarówka przywiozła sekretarki na dziedziniec, a one zsiadły, starając się zrobić to z godnością. Maud weszła do pałacu i ruszyła schodami na górę, mijając szereg francuskich żołnierzy. Byli to członkowie Gwardii Republikańskiej w paradnych srebrnych hełmach ozdobionych końskim włosiem.

Dotarła do Sali Lustrzanej, jednego z najbardziej monumentalnych pomieszczeń, jakie istnieją. Mogły się w nim zmieścić trzy korty tenisowe jeden za drugim. W jednej ścianie znajdowało się siedemnaście długich okien wychodzących na ogród. Odbijały się one w siedemnastu lustrzanych łukach umieszczonych po przeciwnej stronie. Najistotniejsze było to, że w tej właśnie sali w 1871 roku, po wojnie francusko-pruskiej, zwycięscy Niemcy koronowali swojego pierwszego cesarza i zmusili Francję do zrzeczenia się Alzacji i Lotaryngii. Teraz to oni mieli zostać upokorzeni pod tym samym łukowatym sklepieniem. Bez wątpienia niektórzy z nich zaczną marzyć o zemście. Poniżenie, na które narażasz innych, prędzej czy później obraca się przeciwko tobie, pomyślała Maud. Czy ta refleksja zaświta w głowie któremuś z mężczyzn obecnych na dzisiejszej ceremonii? Zapewne nie.

Maud znalazła sobie miejsce na jednej z czerwonych, obitych aksamitem ławek. W sali zgromadziły się dziesiątki reporterów i fotografów, pojawiła się również ekipa filmowa z ogromnymi kamerami. Główni aktorzy wkroczyli pojedynczo i parami, po czym zasiedli przy długim stole: rozluźniony i arogancki Clemenceau, sztywny Wilson oraz Lloyd George, przypominający starzejącego się bojowego koguta. Gus Dewar szepnął coś Wilsonowi do ucha, a następnie zbliżył się do grupy dziennikarzy i zamienił kilka zdań z ładną jednooką reporterką. Maud już ją kiedyś spotkała. Amerykanin jest w niej zakochany, nie budzi to najmniejszych wątpliwości.

O piętnastej na czyjś znak zapadła podniosła cisza. Clemenceau wydał polecenie, drzwi się otworzyły i weszło dwóch niemieckich sygnatariuszy traktatu. Maud wiedziała od Waltera, że nikt w Berlinie nie chciał, by jego nazwisko widniało pod traktatem. Wysłano ministra spraw zagranicznych oraz ministra poczty. Poblądle twarze obu mężczyzn wyrażały wstyd.

Clemenceau wygłosił krótkie przemówienie, a następnie skinął na Niemców. Ci wyjęli z kieszeni pióra i złożyli podpisy na dokumencie. Zaraz po tym na niewidoczny sygnał zagrzmiały działa, obwieszczając światu, że traktat pokojowy został podpisany.

Do stołu zaczęli podchodzić delegaci. Byli to nie tylko wysłannicy wielkich mocarstw, lecz także przedstawiciele wszystkich państw podpisujących traktat. Trwało to tak długo, że widzowie zaczęli rozmawiać. Niemcy siedzieli sztywno do końca ceremonii. Potem zostali wyprowadzeni pod eskortą.

Maud odczuwała wielki niesmak. Głosiliśmy kazania o pokoju, a tymczasem przez cały czas knuliśmy zemstę, myślała, wychodząc z pałacu. Wilsona i Lloyd'a George'a otoczył tłum wiwatujących gapiów. Ominęła ich, przeszła przez miasteczko i dotarła do hotelu, w którym mieszkali Niemcy.

Miała nadzieję, że Walter nie jest zbyt przybity. To dla niego straszny dzień.

Zastała go przy pakowaniu bagaży.

– Dzisiaj wieczorem wyjeżdżamy – oznajmił. – Cała delegacja.

– Tak prędko!

Maud do tej pory nie myślała o tym, co się stanie po podpisaniu traktatu. Wydarzenie było tak dramatyczne, że nie wybiegała dalej myślą.

Walter tymczasem miał gotowy plan.

– Jedź ze mną – powiedział po prostu.

– Nie dostałam pozwolenia na wjazd do Niemiec.

– Czyje pozwolenie jest ci potrzebne? Zdobyłem dla ciebie paszport na nazwisko Maud von Ulrich.

– Jak ci się to udało? – spytała zaskoczona, choć wcale nie było to najważniejsze pytanie, jakie cisnęło jej się na usta.

– Nie było trudno. Jesteś żoną obywatela Niemiec, masz prawo do paszportu. Wykorzystałem swoje wpływy jedynie po to, by skrócić procedurę do kilku godzin.

Maud patrzyła na ukochanego. To stało się tak nagle.

– Pojedziesz?

Dostrzegła lęk w jego oczach. Myślał, że w ostatniej chwili się wycofa. Widząc, jak bardzo Walter boi się ją utracić, miała ochotę się rozplakać. Była szczęśliwa, że mąż darzy ją tak namiętną miłością.

– Tak, pojedę – odparła. – Oczywiście, że z tobą pojedę.

On jednak nie wyglądał na przekonanego.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Skinęła głową.

– Pamiętasz biblijną historię Rut?

– Naturalnie. Dlaczego...

W ciągu ostatnich kilku tygodni Maud przeczytała ten fragment wielokrotnie, a teraz zacytowała słowa, które tak bardzo ją poruszyły:

– Gdzie ty pójdiesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszkam, twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem. Gdzie ty umrzesz... – Zamilkła, bo ścisnęło ją w gardle, lecz po chwili przełknęła ślinę i podjęła: – Gdzie ty umrzesz, tam ja umrę i tam będę pogrzebana.

Walter uśmiechnął się, lecz w jego oczach błyszczały łzy.

– Dziękuję – szepnęła.

– Kocham cię. O której godzinie odjeżdża pociąg?

i.

Gus i Rosa dotarli do Waszyngtonu w tym samym czasie co prezydent. W sierpniu jednocześnie postarali się o urlop i pojechali do Buffalo. Nazajutrz po przybyciu Gus przedstawił Rosę rodzicom.

Był podenerwowany. Rozpaczliwie pragnął, by jego matka ją polubiła. Matka miała jednak przesadne wyobrażenie o jego atrakcyjności dla kobiet. Znajdowała mankamenty u każdej dziewczyny, o której wspominał. Żadna nie była dość dobra, szczególnie jeśli chodzi o pozycję społeczną. Gdyby chciał się ożenić z córką angielskiego króla, pewnie powiedziałyby: „Nie możesz sobie znaleźć dobrze urodzonej młodej Amerykanki?”.

– Pierwszą rzeczą, którą dostrzeżesz, mamó, będzie jej nadzwyczajna uroda – rzekł Gus przy śniadaniu. – Po drugie, zobaczysz, że Rosa ma tylko jedno oko. Po kilku minutach zorientujesz się, że jest bardzo mądra. A gdy poznasz ją lepiej, zrozumiesz, że to najcudowniejsza dziewczyna na świecie.

– Jestem tego absolutnie pewna – odparła matka z powalającą nieszczerością. – Kim są jej rodzice?

Rosa przyjechała po południu, gdy matka jak zwykle uciniała sobie drzemkę, a ojciec był w mieście. Gus oprowadził ukochaną po domu i posiadłości.

– Masz świadomość, że pochodzę ze skromniejszego środowiska? – zapytała nerwowo Rosa.

– Szybko przywykniesz. Poza tym my nie będziemy otoczeni takim przepychem. Ale stać nas na elegancki domek w Waszyngtonie.

Zagrali w tenisa. Mecz był nierówny, gdyż długie ręce i nogi dawały Gusowi sporą przewagę nad rywalką, ona zaś źle oceniała odległość. Jednak walczyła z determinacją, biegała do wszystkich piłek i wygrała kilka gemów. W białej tenisowej sukience z modnym obszyciem na wysokości łydki wyglądała tak seksownie, że Gusowi trudno było skupić się na uderzeniach.

Szli na podwieczorek złani potem.

– Musisz zmobilizować wszystkie rezerwy tolerancji i dobrej woli – uprzedził Gus. – Moja rodzicielka potrafi być okropną snobką.

Matka jednak zachowywała się nad podziw dobrze. Ucałowała Rosę w oba policzki i powiedziała:

– Oboje wyglądacie cudownie zdrowo, jesteście tacy zarumienieni po wysiłku. Panno Hellman, rada jestem panią poznać i mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

– To bardzo miło z pani strony – odparła Rosa. – Będę zaszczycona, jeśli obdarzy mnie pani przyjaźnią.

Komplement sprawił matce Gusa przyjemność. Wiedziała, że jest grand damą socjety w Buffalo, i uważała za słuszne, że młode kobiety okazują jej szacunek. Rosa wyczuła to w jednej chwili. Bystra dziewczyna, pomyślał Gus. I wielkoduszna, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nie znosi wszelkiej władzy.

– Znam Fritza Hellmana, pani brata – oznajmiła matka.

Fritz grał na skrzypcach w Orkiestrze Symfonicznej Buffalo. Matka zasiadała w radzie orkiestry. – Ma ogromny talent.

– Dziękuję pani. Jesteśmy z niego bardzo dumni.

Rozmowę prowadziła matka, a Rosa jej na to pozwalała. Gus nie mógł zapomnieć o tym, że już raz przyprowadził do domu dziewczynę, z którą zamierzał się ożenić. Była nią Olga Vyalov. Matka zachowywała się wtedy inaczej, była grzeczna i życzliwa, lecz nie sprawiała wrażenia szczerzej. Dziś wydawało się, że jest

autentyczna.

Wczoraj Gus zapytał matkę o rodzinę Vyalovów: Lev Peshkov trafił na Syberię jako wojskowy tłumacz, Olga nie udziela się towarzysko, pochłonięta wychowaniem dziecka, a Josef lobbuje u ojca Gusa, senatora, o zwiększenie pomocy wojskowej dla białych.

– Vyalov uważa, że władza bolszewików nie wpłynie korzystnie na rodzinne interesy Vyalovów w Piotrogradzie.

– Nigdy w życiu nie usłyszałem lepszej opinii o bolszewikach – mruknął Gus.

Po podwieczorku poszli się przebrać. Gusa niepokoiła myśl o Rosie kąpiącej się w sąsiadującej z jego pokojem łazience. Nigdy nie widział jej nagiej. Spędzili namiętne godziny w paryskim hotelu, lecz nie pozwolili sobie na to, by się kochać.

– To okropne, że jestem taka staroświecka, ale czuję, że powinniśmy jeszcze poczekać – rzekła przepraszająco. Tak naprawdę kiepska z niej anarchistka.

Rodzice Rosy mieli przyjść na kolację. Gus włożył krótki smoking i zszedł na dół. Naszykował szkocką dla ojca, ale sobie nie nalał. Przeczował, że będzie mu potrzebna trzeźwość umysłu.

Rosa zjawiła się w czarnej sukni i wyglądała olśniewająco. Jej rodzice przybyli punktualnie o osiemnastej. Norman Hellman był ubrany we frak z białym krawatem; strój nieodpowiedni na rodzinna kolację, ale być może ojciec Rosy nie ma smokingu. Z czarującym uśmiechem przypominał nieco elfa. Gus natychmiast doszedł do wniosku, że Rosa się w niego wrodziła. Wypił dość szybko dwa martini, co świadczyło o tym, iż jest spięty, lecz później odmawiał już alkoholu. Matka Rosy, Hilda, była szczupłą pięknością ze ślicznymi dłońmi o długich palcach. Trudno było ją sobie wyobrazić w roli gosposi. Ojciec Gusa od razu zapałał do niej sympatią.

– Gus, jakie są pańskie plany zawodowe? – spytał doktor Hellman, kiedy usiedli.

Miał prawo zadawać takie pytania jako ojciec kobiety, którą Gus kochał. Ten jednak nie mógł mu udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

– Będę pracował dla prezydenta tak długo, jak długo on zechce.

– Przed prezydentem stoi teraz niełatwe zadanie.

– Owszem. Senat nie kwapi się do zaakceptowania traktatu wersalskiego – przyznał Gus, starając się ukryć gorycz. – Wilson zrobił tak wiele, by przekonać Europejczyków do idei Ligi Narodów. Trudno mi uwierzyć, by Amerykanie teraz się od niej odwrócili.

– Senator Lodge to groźny wichrzyciel.

Gus uważał Lodge'a za egocentrycznego łotra.

– Prezydent postanowił nie zabierać go z sobą do Paryża i teraz Lodge się mści.

Ojciec Gusa był senatorem i starym przyjacielem prezydenta.

– Woodrow uczynił z Ligi Narodów element traktatu pokojowego, uważając, że skoro nie możemy odrzucić traktatu, to przystaniemy także na Ligę. – Ojciec Gusa wzruszył ramionami. – Lodge posłał go do diabła.

– Oddajmy jednak Lodge'owi sprawiedliwość – rzekł doktor Hellman. – Naród amerykański ma prawo niepokoić się artykułem dziesiątym. Przyłączając się do Ligi po to, by w przyszłości chronić jej członków przed agresją, bierzemy na siebie zobowiązanie. Amerykańskie siły zbrojne będą musiały uczestniczyć w konfliktach, których nie sposób przewidzieć.

Gus błyskawicznie odpowiedział na tę wątpliwość:

– Jeśli Liga Narodów będzie silna, nikt nie odważy się rzucić jej wyzwania.

– Nie podzielam pańskiej pewności co do tego.

Gus nie chciał kłócić się z ojcem Rosy, lecz namiętnie popierał

Ligę Narodów.

– Wcale nie twierdzę, że nie dojdzie do następnej wojny – powiedział pojednawczo. – Uważam jednak, że wojen będzie mniej i będą trwały krócej, agresorzy zaś mniej na nich zyskają.

– Ma pan rację, jednak wielu wyborców mówi: „Mniejsza o świat, mnie obchodzi Ameryka. Czyżby groziła nam rola światowego policjanta?”. To zasadne pytanie.

Gus z trudem powściągał gniew. Liga Narodów stanowi największą w historii ludzkości nadzieję na pokój, a zagraża jej to, że narodzi się martwa.

– Rada Ligi Narodów musi podejmować decyzje jednomyślnie, zatem Stany Zjednoczone nigdy nie musiałyby toczyć wojny wbrew swojej woli.

– Mimo to nie ma sensu tworzyć Ligi, która nie będzie gotowa do walki.

Właśnie tak myślą wrogowie Ligi Narodów: najpierw sprzeciwiają się jej uczestnictwu w wojnach, a następnie ubolewają, że nie będzie tego robić.

– To są drugorzędne kwestie w obliczu śmierci milionów ludzi! – odparł Gus.

Doktor Hellman wzruszył ramionami. Był zbyt dobrze wychowany, by spierać się z tak zagorzałym oponentem.

– Tak czy inaczej, podpisanie traktatu międzynarodowego wymaga poparcia dwóch trzecich Senatu – zauważył.

– A w tej chwili nie mamy nawet połowy – dodał posępnie Gus.

Rosa pisała artykuły o tematyce międzynarodowej.

– Doliczyłam się czterdziestu głosów za traktatem. Łącznie z pańskim, senatorze. Czterdziestu trzech senatorów ma zastrzeżenia, ośmiu twardo opowiada się przeciw, a pięciu pozostaje niezdecydowanych.

– Jak wobec tego postąpi prezydent? – spytał jej ojciec.

– Zwróci się do narodu nad głowami polityków. Wybierze się w objazd po kraju, pokona dziesięć tysięcy mil. W ciągu czterech tygodni wygłosi ponad pięćdziesiąt przemówień.

– Morderczy plan. Wilson ma sześćdziesiąt dwa lata i wysokie ciśnienie.

Gus uzmysłowił sobie, że doktor Hellman ma w sobie odrobinę szelmostwa. We wszystkim, co mówi, kryje się wyzwanie. Najwyraźniej chce wybadać determinację kandydata na męża córki.

– Prezydent zdoła przekonać naród, że świat potrzebuje Ligi Narodów, byśmy nigdy więcej nie musieli brać udziału w takiej wojnie, jaka niedawno dobiegła końca – odparł Gus.

– Oby miał pan rację.

– Jeśli chodzi o objaśnianie zawiłości polityki zwykłym ludziom, Wilson nie ma sobie równych.

Podano deser oraz szampana.

– Zanim skosztujemy, chciałbym coś powiedzieć. – Rodzice Gusa zdziwili się, gdyż syn nigdy nie wygłaszał przemówień. – Doktorze Hellman, pani Hellman, wiedzą państwo, że kocham waszą córkę, która jest najcudowniejszą dziewczyną na świecie. To staromodne, ale chcę prosić państwa o pozwolenie... – Wyjął z kieszeni małe pudełeczko z czerwonej skóry. – O pozwolenie podarowania jej tego pierścionka zaręczynowego. – Otworzył pudełeczko. W środku znajdował się złoty pierścienek z jednokaratowym brylantem. Klejnot nie rzucał się w oczy ostentacyjną efektywnością, lecz diament był biały i czystej wody, należał więc do najwyższej cenionych. Miał okrągły szlif i wyglądał bajecznie. Rosa na jego widok otworzyła usta.

Doktor Hellman spojrział na żonę i oboje się uśmiechnęli.

– Z całego serca dajemy panu nasze pozwolenie.

Gus okrążył stół i uklęknął przed Rosą.

– Wyjdiesz za mnie, najdroższa?

– O tak, kochany. Choćby jutro, jeśli zechcesz!

Gus wyjął pierścioneł z pudełka i wsunął jej na palec.

– Dziękuję – powiedział.

Jego matka się rozplakała.

II

Gus siedział w prezydenckim pociągu, który w środę trzeciego września o dziewiętnastej wyruszył z Union Station w Waszyngtonie. Wilson miał na sobie granatowy sweter, białe spodnie i słomkowy kapelusł. Byli z nim jego żona Edith oraz Cary Travers Grayson, osobisty lekarz. Pociągiem podróżowało także dwudziestu jeden reporterów, między innymi Rosa Hellman. Prezydent zawsze lubił bezpośredni kontakt z wyborcami, toteż Gus nie wątpił, że wyjdzie z tej batalii zwycięsko. Poza tym wygrał wojnę i wszyscy o tym pamiętali.

Nazajutrz pociąg dojechał do Columbus w stanie Ohio, gdzie prezydent wygłosił pierwsze przemówienie. Stamtąd popędził dalej, zatrzymując się po drodze tylko na krótkie chwile. Tego samego dnia wieczorem w Indianapolis Wilson wystąpił przed zgromadzeniem liczącym dwadzieścia tysięcy ludzi.

Jednak pod koniec pierwszego dnia podróży Gus czuł się rozczarowany. Przemówienia prezydenta były słabe, a jego głos chrapliwy. Korzystał z notatek – choć zawsze wypadał lepiej, mówiac z pamięci – a wdając się w szczegóły traktatu, które tak zaabsorbowały uczestników konferencji paryskiej, gubił się i tracił zainteresowanie słuchaczy. Gus wiedział o trapiących go bólach głowy, chwilami tak dotkliwych, że prezydentowi obraz rozmywał się przed oczami.

To było bardzo niepokojące. Gus martwił się nie tylko tym, że jego przyjaciel i mentor podupadł na zdrowiu. Na szali znajdowało się o wiele więcej. Od tego, co wydarzy się w ciągu paru najbliższych tygodni, zależy przyszłość Ameryki i całego świata. Tylko osobiste zaangażowanie Wilsona może uchronić Ligę Narodów przed małostkowością oponentów.

Po kolacji Gus wszedł do przedziału sypialnego Rosy. Była jedyną dziennikarką w pociągu, dlatego miała przedział dla siebie. Zależało jej na Lidze Narodów niemal tak samo jak Gusowi.

– Trudno powiedzieć coś pozytywnego o dzisiejszym dniu – rzekła i westchnęła.

Leżeli, całując się i pieszcząc, a później powiedzieli sobie „dobranoc” i się rozstali. Ślub był wyznaczony na październik po zakończeniu prezydenckiego objazdu. Gus wolałby wcześniejszą datę, lecz rodzice chcieli mieć czas na przygotowania. Jego matka napomknęła o nieprzyzwoitym pośpiechu, więc dał za wygraną.

Wilson pracował nad jakością swoich przemówień. Bezkresne równiny Środkowego Zachodu przemykały za oknami, a on stukał w klawisze starego underwooda. Następne dni przyniosły poprawę.

Gus zasugerował, by prezydent przedstawiał traktat w sposób pozwalający mieszkańcom każdego stanu dostrzec w nim korzyść dla siebie. Biznesmenom w Saint Louis zapowiedział, że traktat przyczyni się do wzrostu handlu. W Omaha oznajmił, że świat bez traktatu będzie jak społeczeństwo bez uregulowanych praw własności, w którym każdy farmer pilnuje ogrodzenia ze strzelbą w rękę. Zamiast długich i zawiłych opisów wygłaszał krótkie zdania trafiające w sedno sprawy.

Gus zasugerował również, by prezydent odwoływał się do ludzkich emocji. Tu nie chodzi jedynie o politykę, mówił, lecz także o miłość ojczyzny. W Columbus Wilson nawiązał do odwagi amerykańskich żołnierzy. W Sioux Falls oświadczył, że pragnie zadośćuczynić poświęceniu matek, które straciły synów na polach bitew. Rzadko uciekał się do inwektyw, lecz w Kansas City, rodzinnym mieście ziejącego nienawiścią senatora Reeda, porównał swoich przeciwników do zwolenników bolszewizmu. Raz i drugi

grzmiącym głosem ostrzegł, że jeśli Liga Narodów nie powstanie, wybuchnie następna wojna.

Ilekcio pociąg się zatrzymywał, Gus zabiegał o przychylnosc dziennikarzy towarzyszczych prezydentowi w podróży oraz tych, którzy mieszkali w danej okolicy. Kiedy Wilson wygłaszczał nie-przygotowane przemówienie, stenotypistka notowała je na bieżąco, a Gus rozdawał jego drukowaną wersję. Od czasu do czasu przekonywał też prezydenta, by ten zaglądał do wagonu klubowego i rozmawiał nieoficjalnie z reporterami.

Nowa taktyka przynosiła efekty, ludzie coraz lepiej odbierali Wilsona. Relacje prasowe były rozmaite, lecz przesłanie Wilsona stale się przewijało nawet na łamach opozycyjnych gazet. Z Waszyngtonu natomiast dochodziły wieści sugerujące, że opozycja słabnie.

Gus widział jednak, jak dużo kampania kosztuje prezydenta. Bóle głowy stały się niemal ustawiczne. Wilson źle sypiał. Nie mógł strawić większości potraw, więc doktor Grayson podawał mu pokarmy w płynie. Pojawiła się infekcja gardła, która przekształciła się w rodzaj astmy. Prezydent nie mógł oddychać. Próbował spać na siedząco.

Wszystkie te fakty były ukrywane przed prasą, nawet Rosa ich nie znała. Wilson wciąż przemawiał, choć jego głos był osłabiony. W Salt Lake City tysiące ludzi wiwatowało na jego cześć, lecz twarz prezydenta pozostawała ściągnięta. Raz po raz zaciskał pięści w dziwnym geście kojarzącym się Gusowi z konaniem. Nocą dwudziestego piątego września Edith zawołała doktora Graysona. Gus włożył szlafrok i udał się do prezydenckiego wagonu.

To, co zobaczył, przeraziło go. Wilson wyglądał okropnie. Ledwo oddychał, jego twarzą wstrząsał nerwowy tik. Mimo to chciał kontynuować kampanię. Jednak Grayson był nieugięty, twierdził, że podróż należy przerwać. Prezydent podporządkował się jego woli. Nazajutrz rano Gus z ciężkim sercem oznajmił prasie, że prezydent doznał ciężkiego wstrząsu nerwowego. Jeden tor został całkowicie zwolniony, by prezydencki pociąg mógł jak najszybciej pokonać tysiącsiedemsetmilową trasę do Waszyngtonu. Odwołano wszystkie spotkania zaplanowane na dwa tygodnie naprzód, między innymi rozmowę z senatorami popierającymi traktat założycielski Ligi Narodów.

Wieczorem Gus i Rosa siedzieli w jej przedziale i smutno wyglądali przez okno. Na każdej stacji gromadzili się obywatele chcący zobaczyć przejeżdżającego prezydenta. Słońce zaszło, lecz tłumy wciąż stały i wpatrywały się w półmrok. Gusowi przypomniała się podróż z Brestu do Paryża i milczące rzesze ludzi wzdłuż torów w samym środku nocy. Minał niespełna rok, a ich nadzieje legły w gruzach.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale nie sprostaliśmy zadaniu – powiedział.

– Jesteś pewny?

– Gdy prezydent prowadził kampanię, wszystko się ważyło.

Teraz wobec choroby Wilsona szansa na ratyfikację traktatu przez Senat zmalowała do zera.

Rosa wzięła go za rękę.

– Tak mi przykro ze względu na nas oboje. Boję się o losy świata. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Co teraz zrobisz?

– Chciałbym zdobyć posadę w waszyngtońskiej kancelarii specjalizującej się w prawie międzynarodowym. Przecież mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

– Moim zdaniem takie kancelarie powinny ustawić się do ciebie w kolejce. Być może któryś prezydent zechce w przyszłości skorzystać z twojej wiedzy.

Gus się uśmiechnął. Rosie czasami zdarzało się go przeceniać.

– A ty czym się zajmiesz?

– Kocham moją pracę i mam nadzieję, że będę mogła nadal pisać o Białym Domu.
– Chciałabyś mieć dzieci?
– O tak!
– Ja również. – Gus wyrzwał z zadumą przez okno. – Mam tylko nadzieję, że Wilson się co do nich pomylił.
– Co do naszych dzieci? – Rosa wychwyciła poważną nutę w głosie narzeczonego, więc głosem, w którym pobrzmiwał strach, zapytała: – O czym mówisz?
– Prezydent sądzi, że wybuchnie następna wojna światowa.
– Boże broń – szepnęła Rosa.
Za oknem zapadała noc.

ROZDZIAŁ 39
Styczeń 1920 roku

i.

Daisy siedziała przy stole w jadalni w rodzinnym domu Vyalovów na prerii niedaleko Buffalo. Była ubrana w różową sukieneczkę, a duży lniany śliniak niemal zakrywał ją całą. Miała prawie cztery lata. Lev ją ubóstwiał.
– Teraz zrobię najogromniejszą kanapkę na świecie – oznajmił, a Daisy parsknęła śmiechem. Ukroił dwa kawałeczki tostu wielkości pół cala i posmarował je starannie masłem. Następnie dodał odrobinę jajeczniczy, której dziewczynka nie chciała jeść, i złożył obie kromki.
– Kanapka musi mieć jedno ziarenko soli. – Lev sypnął na talerz szczyptę soli z solniczki, delikatnie wziął na czubek palca jedno ziarenko i położył na kanapce. – A teraz ją zjem!
– Ja chcę – zaszczebiotała Daisy.
– Naprawdę? Ale to jest wielgachna kanapka, w sam raz dla tatusia.
– Nie! – odparła ze śmiechem jego córka. – To jest kanapka w sam raz dla małej dziewczynki!
– Dobrze już, dobrze. – Lev wsunął jej kanapeczkę do ust. – Nie chcesz następnej, prawda?
– Chcę.
– Ale ta była taka ogromna.
– Wcale nie!
– Zgoda. W takim razie naszykuję jeszcze jedną.
Wszystko szło mu jak z nut. Sytuacja była jeszcze lepsza niż ta, jaką przed dziesięcioma miesiącami opisał Grigorijowi, gdy siedzieli w pociągu Trockiego. Mieszka sobie wygodnie w domu teścia, zarządza trzema nocnymi klubami Vyalova, inkasuje dobrą pensję oraz dodatki w rodzaju łapówek od dostawców. Umieścił Margę w ładnym mieszkanku i prawie codziennie się z nią widuje. Zaszła w ciążę w niespełna tydzień po jego powrocie z Rosji i niedawno urodziła synka, któremu dali na imię Gregory. Lev zdołał utrzymać całą sprawę w tajemnicy.
Do jadalni weszła Olga, pocałowała córkę i usiadła. Lev kochał Daisy, lecz do żony nie żywił żadnych uczuć. Marga była zabawniejsza i bardziej seksowna. Poza tym jest mnóstwo innych dziewczyn, co Lev odkrył, gdy Marga była w zaawansowanej ciąży.
– Dzień dobry, mamuska! – rzucił wesoło.
Daisy od razu powtórzyła powiedzonko.
– Tatusi cię karmi? – zapytała Olga.
Rozmawiali teraz właśnie w taki sposób, niejako za pośrednictwem dziecka. Po powrocie Lwa z wojny kilka razy uprawiali seks, lecz szybko pojawiła się między nimi znana już obojętność. Mieli osobne sypialnie. Rodzicom Olgi powiedzieli, że to z powodu córki, która budzi się w nocy, choć Daisy budziła się rzadko. Olga

wyglądała jak kobieta rozczarowana, a jemu było to obojętne.

W drzwiach jadalni stanął Josef Vyalov.

– Dziadzius przyszedł! – powiedział Lev.

– Dzień dobry – rzucił Josef.

– Dziadzia chce kanapkę! – wykrzyknęła Daisy.

– Nie, nasze kanapki są dla niego za duże.

Daisy uwielbiała, gdy Lev mówił rzeczy rażąco sprzeczne z prawdą.

– Wcale nie. Są za malutkie!

Josef usiadł przy stole. Po powrocie z wojny Lev zauważył, że teść bardzo się zmienił. Miał nadwagę, więc prążkowany garnitur ciasno opinał jego sylwetkę. Nawet zejście ze schodów przyprawiało go o zadyszkę. Mięśnie zmieniły się w tłuszcz, czarne włosy posiwiały, a jego zdrowo zaróżowiona niegdyś cera przybrała chorobliwy czerwony odcień.

Polina przyniosła z kuchni dzbanek kawy i naląła Josefowi, a on otworzył „Buffalo Advertisera”.

– Jak tam interesy? – zagadnął Lev.

Nie zadał tego pytania bez powodu. O północy szesnastego stycznia weszła w życie Ustawa Volsteada, zakazująca wytwarzania, transportu i sprzedaży napojów odurzających. Imperium Vyalova zbudowane było na barach, hotelach oraz hurtowym handlu alkoholem. Prohibicja wkradła się niczym wąż do raju Lva.

– Toniemy – odparł Josef z niezwykłą szczerością. – W ciągu jednego tygodnia zamknąłem pięć barów, a będzie jeszcze gorzej.

Lev pokiwał głową.

– Sprzedaję w klubach lekkie piwo, ale nikt nie chce go pić. – Ustawa zezwalała na handel piwem zawierającym mniej niż jeden procent alkoholu. – Trzeba wyźłopać galon, żeby zakręciło się w głowie.

– Można sprzedawać gorzałę spod lady, ale jest jej za mało.

Poza tym wszyscy boją się kupować.

Olga była wstrząśnięta. Niewiele wiedziała o interesach.

– Papo, co my teraz zrobimy?

– Nie mam pojęcia.

Pod tym względem Vyalov również się zmienił. Dawniej zabezpieczyłby się zawnazas przed takim kryzysem. Tymczasem od uchwalenia ustawy minęły trzy miesiące, a Josef nie zrobił nic, by przystosować się do nowej sytuacji. Lev czekał, aż teść wyciągnie królika z kapelusza, jednak z coraz większym lękiem zaczynał rozumieć, że nic takiego nie nastąpi.

Było to niepokojące. Lev miał żonę, kochankę oraz córkę i syna. Wszystkich utrzymywał dzięki dochodom z interesów Vyalova. Jeśli imperium runie, będzie musiał coś przedsięwziąć. Polina zawołała Olgę do telefonu i wyszła. Lev słyszał rozmowę.

– Cześć, Ruby, wcześniej dziś wstałaś. – Olga zamilkła. –

Co takiego? Nie wierzę. – Nastąpiła długa pauza, a potem Olga wybuchnęła płaczem.

Josef oderwał wzrok od gazety.

– Co, u licha...

Olga trzasnęła słuchawką i wróciła do jadalni z oczami pełnymi łez. Wycelowała palec w Lva.

– Ty draniu!

– Co ja takiego zrobiłem? – spytał, choć domyślał się, o czym mówi żona.

– Ty... ty pieprzony draniu.

Daisy ryknęła płaczem.

– Olgo, skarbie, co się stało? – dopytywał się Josef.

– Ona urodziła dziecko!

– Niech to szlag – mruknął pod nosem Lev.

– Kto urodził dziecko? – chciał wiedzieć Josef.

– Dziwka Lva, Marga. Ta, którą spotkaliśmy w parku.

Josef poczerwieniał.

– Ta szansonistka z Monte Carlo? Ona urodziła dziecko Lva?

Olga pokiwała głową szlochając.

Josef spojrział na zięcia.

– Ty sukinsynu.

– Zachowajmy wszyscy spokój – rzekł Lev.

Josef wstał.

– Boże drogi, a ja myślałem, że dostałeś nauczkę.

Lev odsunął krzesło i wstał. Cofał się przed Josefem, wyciągając rękę w obronnym geście.

– Uspokój się, do kurwy nędzy.

– Nie waż się mnie uspokajać.

Josef zaskakująco żwawo zrobił krok do przodu i zamachnął się mięsistą pięścią. Zięć nie zdążył się uchylić i cios spadł na jego lewy policzek. Ból był piekielny. Lev zatoczył się do tyłu.

Olga wzięła na ręce zawodzącą Daisy i rzuciła się w stronę drzwi.

– Przestań! – krzyknęła.

Josef zamachnął się lewą ręką.

Lev dawno się nie bił, lecz wychował się w slumsach Sankt Petersburga i zachował właściwe odruchy. Zablockował sierp Josefa, zbliżył się i uderzył teścia w brzuch najpierw jedną, a potem drugą ręką. Teść nie mógł oddychać. Lev zaczął okładać jego twarz krótkimi ciosami, trafiając w nos, usta i oczy.

Josef był krzepkim mężczyzną i zabijaką, lecz ludzie bali się zwady z nim, toteż od dawna nie musiał się bronić przed atakiem.

Cofnął się, niezdarną gardą zasłaniając się przed ciosami Lva.

Ten zaś miał instynkt ulicznego opryszka, który kazał mu bić, dopóki przeciwnik trzyma się na nogach. Młócił więc teścia po torsie i głowie, aż wreszcie stary potknął się o krzesło i runął na dywan.

Do jadalni wpadła matka Olgi, Lena. Krzyknęła i uklękła obok męża. Polina i kucharka podbiegły wylęknione do drzwi kuchni. Poobijana twarz Josefa krwawiła, lecz ten oparł się na łokciu i odepchnął żonę. Jednak próbując wstać, nagle wydał zdławiony krzyk i osunął się na plecy.

Jego skóra poszarzała, oddech ustał.

– Jezu Chryste – wyszeptał Lev.

– Josef, mój Joe! – zawodziła Lena. – Otwórz oczy!

Lev dotknął klatki piersiowej teścia i nie wyczuł bicia serca.

Złapał go za nadgarstek. Pulsu nie było.

Teraz naprawdę wpadłem po uszy.

Wyprostował się.

– Polino, wezwij karetkę.

Lev popatrzył na ciało teścia. Musi błyskawicznie podjąć ważną decyzję. Zostać, udawać niewinność i żal, próbować się wywinać? Musi zniknąć.

Wbiegł na górę i zdjął koszulę. Przywiózł z wojny sporo złota zarobionego na sprzedaży Kozakom whisky. Wymienił je na nieco ponad pięć tysięcy amerykańskich dolarów, upchał banknoty w pasku i przykleił taśmą do tylnej ścianki szuflady. Teraz zapiał pas na biodrach i włożył koszulę oraz marynarkę.

Później włożył jeszcze płaszcz. Na szafie leżała sakwa ze starym wojskowym coltem 45 model 1911. Lev wsunął go do kieszeni płaszcza. Wrzucił do torby pudełko z nabojami i parę sztuk bielizny, po czym zszedł na dół.

Lena wsunęła poduszkę pod głowę Josefa. To jednak nie mogło przywrócić mu życia. Olga rozmawiała w holu przez telefon.

– Tylko szybko, bo tata może umrzeć!

Za późno, skarbie, pomyślał Lev.

– Karetka będzie długo jechała. Sprowadzę doktora Schwarza.

Nikt nie zapytał, dlaczego Lev ma sakwę na ramieniu.

Wszedł do garażu i uruchomił packarda Josefa. Wyjechał z posiadłości i skręcił na północ.

Nie zamierzał sprowadzać doktora Schwarza.

Kierował się do Kanady.

II.

Jechał szybko. Opuszczając przedmieścia Buffalo, obliczał, ile czasu mu zostało. Załoga karetki z pewnością wezwie policję, a gliniarze od razu się zorientują, że Josef umarł w wyniku bójki. Olga bez wahania powie im, kto jest zabójcą. Jeśli do tej pory nie nienawidziła Lva, to teraz na pewno go znienawidzi. Wtedy zaczyna go szukać w związku z morderstwem.

W garażu Vyalova zwykle stały trzy samochody: packard, ford T, należący do Lva, oraz niebieski hudson, którym jeździły zbiry Josefa. Gliny nie będą musiały długo myśleć, by zorientować się, że Lev zwiął packardem. Za godzinę zaczyna szukać samochodu.

Jeśli dopisze mu szczęście, będzie już za granicą. Kilka razy wypuszczał się z Margą do Kanady. Do Toronto było zaledwie sto mil, czyli trzy godziny jazdy szybkim autem. Meldowali się w hotelu jako pan i pani Petersowie, a potem, wystrojeni jak na bal, szli do miasta. Nie musieli się martwić, że ktoś ich zobaczy i podkabluje Josefowi Vyalovowi. Lev nie miał amerykańskiego paszportu, lecz znał kilka przejść, na których nie było posterunków granicznych.

Dotarł do Toronto w południe i zamelinował się w cichym hoteliku.

W kawiarni zamówił kanapkę i siedział przez chwilę, zastanawiając się nad swoim położeniem. Jest poszukiwany za morderstwo. Nie ma domu i nie może udać się do żadnej ze swoich dwóch rodzin, nie narażając się na aresztowanie. Być może już nigdy nie zobaczy swoich dzieci. Ma pięć tysięcy dolarów ukryte w pasie na biodrach oraz skradziony wóz.

Przypomniał sobie przechwałki, którymi zaledwie dziesięć miesięcy temu częstował brata. Co teraz pomyślałby Grigorij? Zjadł kanapkę, a potem załamany włóczył się bez celu po śródmieściu. Wszedł do sklepu z alkoholem, kupił butelkę whisky i zabrał ją do hotelu. Wieczorem po prostu się urżnie. Zauważył, że żytnia whisky jest po cztery dolary za butelkę. W Buffalo kosztowała dziesięć, jeśli w ogóle udało się ją zdobyć, a w Nowym Jorku piętnaście lub dwadzieścia. Wiedział to, bo próbował kupować nielegalny trunk do nocnych klubów.

Wrócił do hotelu i wziął trochę lodu z lodówki. Pokój był brudny, a meble zniszczone. Za oknem ciągnął się szereg tanich sklepików. Na północy wieczór zapadał wcześniej, a Lev był tak przygnębiony, jak jeszcze nigdy w życiu. Pomyślał, że mógłby wyjść i poderwać jakąś dziewczynę, ale brakło mu do tego zapału. Czy już zawsze będzie uciekał z każdego miejsca, w którym żyje? Z Sankt Petersburga wyгнаła go śmierć gliniarza, z Aberowen ledwo zwiął przed facetami, których okantował przy grze w karty, teraz uciekł z Buffalo przed policją.

Musi coś zrobić z packardem. Gliny mogą przekablować opis samochodu do kolesiów w Toronto. Trzeba zmienić albo tablice, albo samochód. Nie miał siły, żeby się do tego zabrać. Olga pewnie sobie gratuluje, że zdołała pozbyć się męża. Spadek w całości przypadnie jej. Jednak wartość imperium Vyalova maleje z dnia na dzień.

Ciekawe, czy uda się ściągnąć do Kanady Margę i Gregory'ego? Czy Marga zechce przyjechać? Ameryka była jej marzeniem, podobnie jak była marzeniem Lva. Kanada nie stanowiła wyśnionego celu pielgrzymek piosenkarek śpiewających w nocnych klubach. Pojechałaby za Lvem do Nowego Jorku czy Kalifornii, ale nie do Toronto.

Będzie tęsknił za dziećmi. Oczy zaszły mu łzami na myśl o tym, że Daisy przyjdzie dorastać bez niego. Jeszcze nie ma

czterech lat, może zapomnieć o nim na amen. W najlepszym razie pozostanie jej mgliste wspomnienie. Nie zapamięta najogromniejszej kanapki na świecie.

Po trzecim kieliszku doszedł do wniosku, że jest ofiarą niesprawiedliwości. Wcale nie chciał zabijać teścia. To Josef pierwszy rzucił się na niego z pięściami. Lev w gruncie rzeczy go nie zabił, stary zmarł na udar albo atak serca. To był nieszczęśliwy wypadek, ale i tak nikt mu nie uwierzy. Jedynym świadkiem jest Olga, a ona będzie chciała zemsty.

Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek i położył się na łóżku. Do diabła z nimi wszystkimi, pomyślał.

Zapadając w niespokojny pijacki sen, myślał o butelkach w witrynie sklepu. „Canadian Club, 4 ”, głosiła wywieszka. Wiedział, że to ważne, ale na razie nie mógł wykoncypować, z jakiego powodu. Nazajutrz rano obudził się z wyschniętym gardłem i bólem głowy, ale i ze świadomością, że canadian club po cztery dolary może być dla niego ratunkiem.

Oplukał szklanę po whisky i napił się wody ze stopionego lodu w wiaderku. Przy trzeciej szklance miał gotowy plan. Sok pomarańczowy, kawa i parę tabletek aspiryny przywróciły go do życia. Pomyślał o czyhających na niego pułapkach. On jednak nigdy nie cofał się przed niebezpieczeństwami. Gdyby tak postępował, byłbym moim bratem.

Jego plan miał jeden poważny feler: był uzależniony od pogodzenia się z Olgą.

Pojechał do taniej dzielnicy i wszedł do restauracyjki, w której robotnicy jadali śniadania. Przysiadł się do grupki mężczyzn wyglądających na malarzy pokojowych.

– Chcę wymienić samochód na ciężarówkę. Znacie kogoś, kto byłby zainteresowany?

– Auto jest czyste? – spytał jeden z nieznajomych.

Lev posłał mu czarujący uśmiech.

– Daj spokój, kolego. Gdyby było czyste, nie opychałbym go w takiej dziurze.

Nie znalazł nabywcy ani tam, ani w paru innych knajpach, lecz trafił do warsztatu samochodowego prowadzonego przez ojca i syna. Zamienił packarda na dwutonową półciężarówkę mack junior z dwoma zapasowymi kołami. Transakcja odbyła się bez gotówki i bez papierów. Lev dobrze wiedział, że z niego zdzierają, lecz mechanicy zorientowali się, iż jest w rozpaczliwej sytuacji. Po południu dotarł do hurtownika alkoholu, którego adres znalazł w miejskiej książce telefonicznej.

– Kupię sto skrzynek canadian club. Jaka cena?

– Przy takiej ilości trzydzieści sześć dolców za skrzynkę.

– Umowa stoi. – Lev wyjął pieniądze. – Otwieram knajpę za miastem...

– Niczego nie musisz tłumaczyć, kolego – wpadł mu w słowo hurtownik, wskazując za okno. Na sąsiednim pustym placu brygada robotników robiła wykop pod fundamenty. – Tam stanie mój nowy magazyn, pięć razy większy od tego. Bogu dzięki za prohibicję.

Lev uświadomił sobie, że nie jest pierwszym, który wpadł na genialny pomysł importu alkoholu.

Zapłacił kontrahentowi i załadował whisky do ciężarówki.

Nazajutrz wyruszył w drogę powrotną do Buffalo.

III.

Zaparkował pełen whisky wóz na ulicy przed domem Vyalovów. Zimowe popołudnie kończyło się i zapadał zmierzch. Na podjeździe nie było ani jednego samochodu. Poczekał chwilę w napięciu, gotów do ucieczki, lecz nie dostrzegł żadnego ruchu. Nerwy miał napięte jak struny. Wysiadł z ciężarówki, podszedł

do frontowych drzwi i otworzył je kluczem.

W domu panował spokój. Z piętra dochodził głos Daisy i ciche odpowiedzi Poliny. Nie słychać było żadnych innych dźwięków. Stąpając cicho po grubym dywanie, przeszedł przez hol i zajrzał do salonu. Wszystkie krzesła zostały odsunięte pod ściany. Na środku znajdowało się podwyższenie przykryte kirem, a na nim stała trumna z polerowanego mahoni z lśniącymi mosiężnymi uchwytnymi. W trumnie leżały zwłoki Josefa Vyalova. Śmierć zładziła marsowy wyraz jego twarzy. Vyalov wyglądał prawie dobrotliwie.

Olga siedziała samotnie przy ciele ojca. Miała na sobie czarna suknię. Była odwrócona tyłem do drzwi.

Lev wszedł do pokoju.

– Cześć, Olgo – rzekł cicho.

Otworzyła usta, by krzyknąć, lecz Lev zakrył je ręką.

– Nie ma powodu do obaw. Chcę tylko pogadać. – Powoli zabrał rękę.

Olga nie krzyknęła.

Lev nieco się rozluźnił. Pierwsza przeszkoda pokonana.

– Zabiłeś mojego ojca! – rzuciła gniewnie. – O czym tu rozmawiać?

Odetchnął głęboko. Musiał rozegrać sprawę bardzo precyzyjnie.

Nie wystarczy samo czarowanie. Trzeba ruszyć głową.

– O przyszłości – odparł przyciszonym, kojącym głosem. –

Twojej, mojej i małej Daisy. Wiem, że jestem w tarapatkach, ale ty również.

Olga nie chciała go słuchać.

– Ja nie mam kłopotów. – Odwróciła się i spojrzała na ciało ojca.

Lev przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– Interes, który odziedziczyłaś, właściwie leży. Leci na łeb na szyję, jest prawie bezwartościowy.

– Mój ojciec był bardzo bogaty! – powiedziała oburzona.

– Miał bary, hotele i hurtownie alkoholu. Wszystkie przynoszą straty, a prohibicja obowiązuje dopiero od dwóch tygodni. Już musiał zamknąć pięć barów. Wkrótce nic nie zostanie. – Zawahał się, po czym sięgnął po najmocniejszy argument: – Nie wolno ci myśleć wyłącznie o sobie. Musisz brać pod uwagę wychowanie Daisy.

Olga była wstrząśnięta.

– Czy interes naprawdę padnie?

– Słyszałaś, co ojciec mówił mi przedwczoraj przy śniadaniu?

– Nie pamiętam dokładnie.

– No cóż, nie musisz polegać na moim słowie. Sprawdź.

Zapytaj księgowego Normana Nialla, zapytaj kogokolwiek.

Olga zmierzyła męża twardym spojrzeniem i postanowiła traktować go poważnie.

– Dlaczego przychodzisz, żeby mi o tym powiedzieć?

– Bo wykombinowałem, jak uratować interes.

– Jak?

– Importując gorzałę z Kanady.

– To wbrew prawu.

– Tak, ale to nasza jedyna nadzieja. Bez gorzały nie ma biznesu.

Olga pokręciła głową.

– Umiem o sobie zadbać.

– Jasne. Możesz dobrze sprzedać dom, zainwestować forszę i przeprowadzić się z matką do małego mieszkanka. Dostałabyś za posiadłość tyle, że wystarczyłoby ci na utrzymanie siebie i Daisy może przez pięć lat. Musiałabyś pomyśleć o znalezieniu pracy...

– Nie umiem pracować! Nigdy niczego się nie nauczyłam. Co miałabym robić?

– Mogłabyś zostać ekspedientką w domu handlowym, mogłabyś pracować w fabryce...

Wiedziała, że Lev nie mówi poważnie.

– Nie pleć bzdur.

– W takim razie jest tylko jedna możliwość. – Wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

Olga się wzdrygnęła.

– Dlaczego obchodzi cię, co ze mną będzie?

– Jesteś moją żoną.

Spojrzała na niego dziwnie.

Lev zrobił najszczerzą minę, na jaką było go stać.

– Wiem, że źle cię potraktowałem, ale kiedyś się kochaliśmy.

Olga prychnęła z pogardą.

– I mamy córkę, której trzeba zapewnić opiekę.

– Ale ty pójdziesz do więzienia.

– Jeśli nie powiesz prawdy.

– Co to znaczy?

– Olgo, widziałaś, co się wydarzyło. Twój ojciec mnie zaatakował. Spójrz na moją twarz, mam podbite oko. To jest dowód.

Musiałem się bronić, a on pewnie miał słabe serce. Mógł chorować od jakiegoś czasu, to dlatego nie przygotował interesu na prohibicję.

Zabił go wysiłek, który włożył w okładanie mnie, a nie tych parę ciosów, które zadałem mu w obronie własnej. Wystarczy, że powiesz policji prawdę.

– Już im powiedziałam, że go zabiłeś.

Lev poczuł się pokrzepiony, robi postępy.

– Nic nie szkodzi. Złożyłaś zeznanie w przypływie żalu, który cię w tamtej chwili ogarnął. Teraz doszłaś do siebie i zrozumiałaś, że śmierć ojca to straszny wypadek. Zmarł z powodu słabego zdrowia i napadu złości.

– Uwierzą mi?

– Ława przysięgłych ci uwierzy. Ale jeśli wynajmę dobrego adwokata, nawet nie dojdzie do procesu. Przecież jest tylko jeden świadek, a ten świadek przysięgnie, że nie doszło do morderstwa.

– Sama nie wiem. – Olga zmieniła taktykę. – Jak zdobędziesz alkohol?

– Bez trudu. Nie przejmuj się tym.

Odwróciła się do męża i spojrzała mu prosto w twarz.

– Nie wierzę ci. Mówisz to wszystko tylko po to, żebym zmieniła zeznanie.

– Włóż płaszcz, coś ci pokażę.

To był moment pełen napięcia. Jeśli Olga z nim pójdzie, ma ją w kieszeni.

Namyśliła się i wstała.

Lev powstrzymał uśmiech triumfu.

Wyszli na ulicę, a on otworzył tylne drzwi ciężarówki.

Olga przez dłuższą chwilę stała w milczeniu.

– Canadian club? – spytała. Ton jej głosu się zmienił. Teraz mówiła rzeczowo, emocje zeszły na drugi plan.

– Sto skrzynek. Kupiłem wódkę po trzy dolce za butelkę.

Tutaj mogę dostać dziesięć, a jeśli będę sprzedawał na kieliszki, jeszcze więcej.

– Muszę wszystko przemyśleć.

To był dobry znak. Olga była gotowa się zgodzić, ale nie chciała podejmować decyzji w pośpiechu.

– Rozumiem, ale nie ma czasu. Jestem poszukiwany, mam ciężarówkę pełną kontrabandy i muszę się szybko zdecydować.

Przykro mi, że cię popędzam, ale sama rozumiesz, że nie mam wyboru.

Olga z zamyśleniem skinęła głową lecz nic nie odpowiedziała.

– Jeśli odrzucisz moją propozycję, sprzedam gorzałę, zgarnę forszę i zniknę. Wtedy zostaniesz na swoim. Będę ci życzył powodzenia i pożegnam się na zawsze bez urazy. Zrozumiem.

– A jeśli się zgodzę?

– Od razu pójdziemy na policję.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Olga skinęła głową.

– Dobrze, zgoda.

Lev odwrócił głowę, by nie zobaczyła jego twarzy. Udało ci się, myślał. Siedziałeś z nią przy zwłokach jej ojca i odzyskałeś ją. Ty psie.

IV.

– Muszę włożyć kapelusz – powiedziała Olga. – A ty zmień koszulę. Trzeba zrobić dobre wrażenie.

Świetnie. Olga naprawdę stanęła po stronie męża.

Weszli do domu i przyszykowali się. Czekać na żonę, Lev zadzwonił do „Buffalo Advertiser” i poprosił do telefonu redaktora Petera Hoyle'a. Sekretarka zapytała go, w jakiej sprawie telefonuje.

– Proszę mu przekazać, że dzwoni mężczyzna poszukiwany w związku z zabójstwem Josefa Vyalova.

– Mówi Hoyle – warknął po chwili głos w słuchawce. –

Coś pan za jeden?

– Lev Peshkov, zięć Vyalova.

– Gdzie pan jest?

Lev zignorował pytanie.

– Jeśli za pół godziny przyśle pan reportera przed komendę policji, wygłoszę oświadczenie.

– Będziemy czekali.

– Panie Hoyle?

– Tak?

– Proszę również przysłać fotografa. – Lev odłożył słuchawkę.

Olga usiadła obok niego na przednim siedzeniu ciężarówki.

Lev skierował się najpierw do należącego do Josefa magazynu na nabrzeżu. Pod ścianami stały pudła z kradzionymi papierosami.

W biurze na zapleczu zastali księgowego Vyalova, Normana Nialla, oraz kilku jego przybocznych łotrów. Norman był gangsterem, ale bardzo skrupulatnym. Siedział w fotelu Josefa przy jego biurku. Wszyscy zdumieni się na widok Lwa w towarzystwie Olgi.

– Olga odziedziczyła interes – oznajmił Lev. – Od tej pory biorę sprawę w swoje ręce.

Norman nie wstał.

– To się jeszcze zobaczy.

Lev posłał mu twarde spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– Trzeba tego dowieść – dodał Norman z nieco mniejszą pewnością siebie.

Lev pokręcił głową.

– Jeśli będziemy czekali na formalności, z interesu nie będzie co zbierać. – Skinął na jednego ze zbirów. – Ilya, idź na podwórko, zajrzyj do ciężarówki i powiedz Normanowi, co tam zobaczyłeś.

Mężczyzna wyszedł, a Lev okrążył biurko i stanął obok Normana. Czekali w milczeniu na powrót Ilyi.

– Sto skrzynek canadian club – oznajmił ten po powrocie, stawiając butelkę na stole. – Możemy spróbować, czy jest prawdziwa.

– Chcę ciągnąć interes dzięki wódzie importowanej z Kanady. Prohibicja to najlepsza okazja, jaka kiedykolwiek nam się nadarzyła. Ludziska wybula za gorzałę każdą forszę. Zbijemy fortunę. Złaz z tego fotela, Norman.

– Ani mi się śni.

Lev wyciągnął pistolet i rąbnął nim Normana w twarz raz z jednej, raz z drugiej strony. Księgowy wrzasnął z bólu. Lev trzymał broń niedbale skierowaną w stronę obstawy.

Olga zachowała spokój i nie krzyknęła.

– Ty palancie – warknął Lev. – Ukatrupiłem Josefa Vyalova, myślisz, że złękne się jego zasranego rachmistrza?

Norman wstał i wybiegł, zasłaniając ręką zakrwawione usta. Lev odwrócił się do pozostałych, wciąż z pistoletem wymierzonym z grubsza w ich kierunku.

– Jeśli ktoś nie chce u mnie pracować, może teraz odejść. Nie będę miał żalu.

Nikt się nie poruszył.

– Dobrze, bo ciut minąłem się z prawdą co do żalu. – Skinał na Ilyę. – Umiesz prowadzić. Pojedziesz ze mną i z panią Peshkov. Wy bierzcie się do rozładunku ciężarówki.

Ilya zawiózł ich niebieskim hudsonem do centrum.

Lvu przyszło na myśl, że popełnił błąd. Nie powinien był mówić przy Oldze, że zabił Josefa Vyalova. Wciąż może się rozmyślić. Gdyby przyczepiła się do jego słów, wytłumaczyłby, że naprawdę tak nie myślał, że chciał tylko nastraszyć Normana.

Jednak Olga nie podniosła tej kwestii.

Przed komendą policji czekało dwóch mężczyzn w płaszczech i kapeluszach. Obok stał duży aparat na trójnogu.

Lev i Olga wysiedli z samochodu.

– Śmierć Josefa Vyalova to tragedia dla nas i dla całego miasta – rzekł Lev do dziennikarza, a ten notował. – Przychodzę tu, by zdać policji sprawę z tego, co zaszło. Moja żona Olga, która była jedyną osobą obecną przy upadku Josefa, potwierdzi moją niewinność. Badanie wykaże, że teść zmarł na atak serca. Moja żona i ja zamierzamy rozbudowywać wspaniałe przedsiębiorstwo, które Josef Vyalov stworzył w Buffalo. Dziękuję państwu za uwagę.

– Niech pan spojrzy w stronę aparatu – poprosił fotograf.

Lev otoczył Olgę ramieniem, przyciągnął ją bliżej i spojrzał w obiektyw.

– Skąd u pana ten siniak? – zapytał reporter.

– Ach, to zupełnie inna historia – odparł Lev, wskazując palcem oko. Uśmiechnął się czarująco. Magnezowa flara wybuchła w oślepiającym błysku.

ROZDZIAŁ 40

Luty - grudzień 1920

i.

Koszary karne w Aldershot to ponure miejsce, jednak lepsze od Syberii, myślał Billy. Aldershot było miasteczkiem wojskowym położonym trzydzieści pięć mil na południowy zachód od Londynu. Więzienie mieściło się w nowoczesnym budynku z szeregami cel na trzech piętrach. Pośrodku znajdowało się atrium. Było jasno oświetlone dzięki szklanemu dachowi, od którego wzięła się nieoficjalna nazwa gmachu: Szklany Dom. Cele miały centralne ogrzewanie oraz gazowe oświetlenie i były bardziej komfortowe niż większość kwater, w których Billy spędzał noce w ciągu ostatnich czterech lat.

Mimo to dręczyło go przygnębienie. Wojna skończyła się ponad rok temu, ale on wciąż był w wojsku. Koledzy dobrze zarabiali i chodzili z dziewczynami do kina, a on nadal nosił mundur, salutował, spał na wojskowej pryczy i jadł wojskowe posiłki. Przez cały dzień pracował przy wyplataniu mat. Właśnie tym trudnili się więźniowie. Najgorsze było to, że ani przez chwilę nie widział kobiety. Gdzieś tam czeka na niego Mildred. Prawdopodobnie. Każdy znał jakąś historię o żołnierzu, który po powrocie do domu dowiadywał się, że żona lub dziewczyna odeszła z innym. Nie kontaktował się z Mildred ani z nikim z zewnątrz. Inni więźniowie – albo żołnierze z wyrokami, jak ich oficjalnie nazywano – mogli wysyłać i otrzymywać listy, lecz Billy stanowił wyjątek. Został skazany za zdradzenie w listach wojskowych tajemnic, więc dowództwo konfiskowało jego pocztę. Był to

element zemsty. Naturalnie Billy nie miał już żadnych tajemnic, które mógłby zdradzić. Co mógłby napisać siostrze? Karmią nas niedogotowanymi ziemniakami. Czy mama, tata i Gramper wiedzą o sądzie polowym? Uważał, że najbliżsi krewni powinni zostać poinformowani, ale nie miał co do tego pewności. Nikt nie chciał odpowiadać na jego pytania. Tommy Griffiths prawie na pewno im powiedział. Miał nadzieję, że Ethel wyjaśniła, za co naprawdę brat został skazany. Nikt go nie odwiedzał. Podejrzewał, że rodzina nawet nie wie, iż wrócił z Rosji. Chętnie podważyłby zakaz otrzymywania poczty, ale nie miał jak skontaktować się z adwokatem ani też nie miał pieniędzy na honorarium dla niego. Jedyne pocieszenie stanowiło mgliste przeczucie, że ta sytuacja nie może trwać w nieskończoność.

Wiadomości ze świata zewnętrznego pochodziły z gazet. Fitz wrócił do Londynu i wygłaszał przemówienia, w których nawoływał do zwiększenia pomocy wojskowej dla białych. Billy mógł się tylko domyślać, czy w związku z tym Chłopcy z Aberowen wrócili do domów.

Hrabia niewiele wskórał swoimi tyradami. Zapoczątkowana przez Ethel kampania „Ręce precz od Rosji” zdobyła popularność, a także poparcie Partii Pracy. Pomimo barwnych antybolszewickich wystąpień ministra wojny, Winstona Churchilla, Wielka Brytania wycofała oddziały z północnej Rosji. W połowie listopada czerwoni wyparli admirała Kołczaka z Omska. Wszystko, co Billy mówił o białych i co Ethel powtarzała na łamach gazety, okazało się prawdą, a to, co głosili Fitz i Churchill, było fałszem. Jednakże to Billy siedział w więzieniu, a hrabia paradował w Izbie Lordów. Niewiele go łączyło z innymi więźniami. Nie zamknięto ich za sprawy polityczne. Większość popełniła prawdziwe przestępstwa: kradzieże, napady i morderstwa. Byli twardzi, lecz taki sam był Billy. Nie bał się ich. Traktowali go z mieszaniną szacunku i obawy, najwyraźniej czując, że jego wykroczenie jest odrobinę wyższego lotu niż ich występki. Rozmawiał z nimi życzliwie, lecz żaden nie interesował się polityką. Nie widzieli niczego złego w społeczeństwie, które skazało ich na odsiadkę. Byli zdeterminowani, by następnym razem okpić system.

W czasie półgodzinnej przerwy Billy czytał gazetę. Większość więźniów nie umiała czytać. Pewnego dnia, otworzywszy „Daily Herald”, zobaczył znajomą twarz. Po chwili zdumienie minęło i Billy uzmysłowił sobie, że zdjęcie przedstawia jego. Pamiętał, kiedy została zrobiona. Mildred zaciągnęła go do zakładu fotograficznego w Aldgate i kazała sfotografować w mundurze. „Co wieczór będę go dotykała ustami”, powiedziała. Billy często rozmyślał o tej podszytej dwuznacznością obietnicy. Tytuł brzmiał: Dlaczego sierżant Williams siedzi w więzieniu? Billy czytał z rosnącym ożywieniem.

William Williams z 8. Batalionu Fizylierów Walijskich Chłopcy z Aberowen odsiaduje dziesięć lat w więzieniu wojskowym skazany za zdradę. Czy człowiek ten rzeczywiście jest zdrajcą? Czy zdradził ojczyznę, zdezerterował i przeszedł na stronę wroga albo uciekł przed bitwą? Wprost przeciwnie. Walczył dzielnie nad Sommą i przez następne dwa lata służył we Francji, awansując do stopnia sierżanta. To wszystko o mnie, ucieszył się. Piszą, że dzielnie walczyłem! Później trafił do Rosji. Wielka Brytania nie prowadzi wojny z Rosją, Brytyjczycy nie muszą pochwalać reżimu bolszewickiego, lecz nasz kraj nie wojuje z każdym reżimem, który nam się nie podoba. Bolszewicy nie stanowią zagrożenia dla nas ani dla żadnego z naszych sojuszników. Parlament nigdy nie wyraził zgody na prowadzenie akcji zbrojnej przeciwko rządowi w Moskwie. Nasuwa to cały szereg pytań. Pierwsze brzmi: czy nasza misja wojskowa na terenie tego kraju nie łamie prawa międzynarodowego?

Przez kilka miesięcy naród brytyjski nie był informowany o tym, że nasza armia prowadzi walki w Rosji. Władze wydawały jedynie mylące komunikaty o tym, że nasze oddziały chronią brytyjską własność, organizują sprawną akcję wycofania się z terytorium Rosji albo utrzymują gotowość bojową. Z informacji tych wynikało jasno, że wojska brytyjskie nie walczą z siłami czerwonych.

Kłamstwo to wyszło na jaw w dużej mierze dzięki Williamowi Williamsowi.

– Patrzcie – rzekł Billy, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Kłamstwo wyszło na jaw w dużej mierze dzięki Williamowi Williamsowi.

Więźniowie otoczyli go i zaglądali mu przez ramię. Więzień z celi Billy'ego, brutal Cyril Parks, wykrzyknął zdziwiony:

– To twoja fotka! Skąd się wzięłaś w gazecie?!

Resztę artykułu Billy odczytał na głos.

Jego zbrodnia polegała na tym, że w pisanych do siostry listach ujawnił prawdę. Stosował prosty szyfr, by zmylić cenzorów. Naród brytyjski ma wobec niego dług wdzięczności. Podjęte przez sierżanta Williamsa działania oburzyło tych ludzi w wojsku i w rządzie, którzy odpowiadali za potajemne wykorzystanie brytyjskich żołnierzy do własnych celów politycznych. Williams stanął przed sądem wojskowym i został skazany na dziesięć lat więzienia.

Nie jest on jedynym, którego to spotkało. Wielu żołnierzy, którzy wyrazili sprzeciw wobec tego, że używa się ich jako sił kontrrewolucyjnych, stanęło przed wątpliwą jakością trybunałami i dostało skandalicznie długie wyroki.

William Williams i inni padli ofiarą mściwych ludzi dzierżących władzę. Trzeba tę niesprawiedliwość naprawić. Wielka Brytania jest krajem sprawiedliwości. O to przecież walczyliśmy.

– I co wy na to? – spytał Billy. – Piszą, że padłem ofiarą mściwych ludzi dzierżących władzę.

– Ja tak samo – oznajmił Cyril Parks, który zgwałcił czternastoletnią belgijkę w stodole.

Nagle ktoś wyrwał gazetę z rąk Billy'ego. Ten uniósł głowę i zobaczył głupawą gębę Andrew Jenkinsa, jednego z podlejszych strażników.

– Widzę, że masz ważnych koleś, Williams – warknął klawisz. – Ale tu jesteś tylko jednym z wielu bandziorów. Jazda do roboty.

– Już idę, panie Jenkins.

II.

Latem 1920 roku do Londynu przybyła delegacja rosyjska i została przyjęta w siedzibie rządu przy Downing Street dziesięć przez premiera Davida Lloyd George'a. Fitz był wściekły. Bolszewicy walczyli z niedawno odtworzonym państwem polskim.

Uważał, że Wielka Brytania powinna stanąć po stronie Polaków, lecz nie znalazł szerszego poparcia. Londyńscy dokerzy woleli zastrajkować, niż ładować na statki karabiny dla polskiej armii, a kongres związków zawodowych zagroził strajkiem generalnym, jeśli armia brytyjska przeprowadzi interwencję.

Fitz pogodził się z tym, że nigdy nie dostanie majątku zmarłego księcia Andrieja. Jego synowie, Boy i Andrew, stracili swoją spuściznę w Rosji i musi to przyjąć do wiadomości.

Nie mógł jednak siedzieć cicho, dowiedziawszy się, co wyprawiają Kamieniew i Krasin podczas podróży po Wielkiej Brytanii. Sala 40 wciąż istniała, jakkolwiek funkcjonowała w innej postaci: wywiad przechwytywał i odszyfrowywał telegramy wysyłane przez Rosjan do kraju. Lew Kamieniew, przewod-

niczący rady moskiewskiej, bezwstydnie siał propagandę rewolucyjną.

Hrabia tak się rozsierdził, że na początku sierpnia, podczas jednej z ostatnich kolacji sezonu towarzyskiego, spostonował premiera Lloyda George'a.

Działo się to w domu lorda Silvermana przy Belgrave Square. Kolacja nie dorównywała wystawnością tym, które Silverman wydawał przed wojną. Dań było mniej i mniej ich odsyłano nietkniętych do kuchni. Dekoracja stołu także prezentowała się skromniej. Potrawy podawały pokojówki, a nie lokaje. Nikt już nie chciał być lokajem. Fitz doszedł do wniosku, że ekstrawaganckie przyjęcia epoki edwardiańskiej na dobre odeszły w przeszłość. Jednak Silverman wciąż potrafił zgromadzić w swoim domu najważniejszych ludzi w kraju.

Lloyd George zapytał Fitz'a o jego siostrę Maud.

Ta kwestia również doprowadzała go do pasji.

— Muszę z przykrością powiedzieć, że wyszła za Niemca i zamieszkała w Berlinie — odparł. Nie dodał, że urodziła dziecko. Był to chłopiec i otrzymał imię Erie.

— Zdaję sobie z tego sprawę — rzekł Lloyd George. — Chciałem tylko wiedzieć, jak się powodzi tej uroczej młodej damie. Premier słyszał z zainteresowania, jakie okazywał młodym uroczym damom. Nie była to dobra sława.

— Obawiam się, że życie w Niemczech jest trudne. — Maud napisała do niego z prośbą o przyznanie pensji, lecz odmówił. Nie poprosiła o pozwolenie na ślub, jak więc może oczekiwać od niego wsparcia?

— Trudne? — powtórzył Lloyd George. — Po tym, co Niemcy zrobili, nie powinni oczekiwać niczego innego. Mimo to żal mi jej.

— Chciałbym nawiązać do innej kwestii, panie premierze. Kamieniew to Żyd i bolszewik, powinien go pan deportować.

Premier trzymał lampkę szampana i był łagodnie usposobiony.

— Mój drogi Fitz — odparł pogodnie — nasz rząd nie przywiązuje zbyt dużej wagi do rosyjskiej propagandy, która jest prymitywna i nachalna. Myślę, że nie docenia pan brytyjskiej klasy robotniczej. Ci ludzie nie dadzą się nabrać na puste gadki. Proszę mi wierzyć, że przemówienia Kamieniewa kompromitują bolszewizm bardziej niż wszystko, co mogłoby powiedzieć pan albo ja. Fitz uważał to za nonsens.

— On przekazał pieniądze redakcji „Daily Herald”!

— To zły obyczaj, gdy obcy rząd dotuje brytyjską gazetę, co do tego zgoda. Ale czy w gruncie rzeczy obawiamy się „Daily Herald”? Przecież liberałowie i konserwatyści mają własne gazety.

— Ależ ten człowiek nawiązuje kontakty z najzagorzalszymi komórkami rewolucyjnymi w kraju, z pomyleńcami marzącymi o wyróceniu naszego stylu życia do góry nogami!

— Im więcej Brytyjczycy dowiedzą się o bolszewizmie, tym mniej im się on spodoba, to pewne. Bolszewizm wydaje się groźny z daleka, przez nieprzeniknioną mgłę. Można go niemal uznać za szczepionkę dla brytyjskiego społeczeństwa, gdyż przeraża wszystkie klasy społeczne wizją tego, co mogłoby się stać, gdyby istniejąca organizacja społeczna legła w gruzach.

— Mnie się to po prostu nie podoba.

— Poza tym — ciągnął Lloyd George — jeśli ich wyrzucimy, będziemy musieli wytłumaczyć, skąd wiemy, co ci ludzie knują. Informacja o tym, że ich szpiegujemy, może rozniecić wśród klasy robotniczej wrogię nam nastroje skuteczniej niż wszystkie górno-lotne przemówienia wicherzycieli razem wzięte.

Hrabia nie lubił być pouczany w kwestii realiów politycznych nawet przez premiera. Spierał się dalej, bo palił go gniew.

— Przecież nie musimy prowadzić wymiany handlowej z bolszewikami!

— Gdybyśmy zrywali stosunki handlowe ze wszystkimi krajami wykorzystującymi ambasady do prowadzenia propagandy,

niewielu zostałyby nam partnerów. Niech pan nie zapomina, drogi Fitzu, że handlujemy nawet z kanibalami z Wysp Salomona! Fitz miał co do tego wątpliwości – przecież kanibale na Wyspach Salomona nie mają dużo do zaoferowania – lecz pominął ten wątek.

– Czyżby powodziło nam się tak kiepsko, że musimy eksportować towary do tych morderców?

– Tak się, niestety, sprawy mają. Rozmawiałem z wieloma dobrymi kupcami i przeraziły mnie ich prognozy dotyczące najbliższego półtora roku. Brak zamówień, klienci nie chcą kupować. Być może stoimy u progu najgorszego bezrobocia w historii. A Rosjanie chcą kupować i płacą złotem.

– Ja nie przyjąłbym od nich złota!

– Ależ, Fitz, pan ma pod dostatkiem swojego – odparł premier.

III.

Billy przyjechał z narzeczoną do Aberowen. Przy Wellington Row wydano z tej okazji przyjęcie.

Było lato, sobota. Wyjątkowo nie padał deszcz. O piętnastej Billy i Mildred wysiedli z pociągu z jej dziećmi, przybranymi córkami Billy'ego, ośmioletnią Enid i siedmioletnią Lillian. Górniczy byli już po szychcie. Wykapani, ubrali się w niedzielne garnitury. Jego rodzice czekali na dworcu. Postarzeli się i skurczyli. Już nie dominowali nad innymi tak jak dawniej. Ojciec uścisnął synowi dłoń.

– Jestem z ciebie dumny, synu. Postawiłeś im się, tak jak cię uczyłem.

Billy ucieszył się, choć nie patrzył na siebie jak na jedno z życiowych osiągnięć ojca.

Mildred poznali na weselu córki. Ojciec podał jej rękę, a matka ją ucałowała.

– Bardzo się cieszę, że znów panią widzę, pani Williams.

Mogę teraz nazywać panią mamą?

Nic lepszego nie mogła powiedzieć. Matka Billy'ego była wniebowzięta, on zaś nie wątpił, że ojciec również ją polubi, jeśli tylko Mildred zdoła powstrzymać się od przeklinania.

Uporczywe pytania deputowanych do Izby Gmin, którzy otrzymywali informacje od Ethel, zmusiły rząd do skrócenia wyroków wielu żołnierzom oraz marynarzom osądzonym w Rosji za bunt oraz inne wykroczenia. Odsiadka Billy'ego potrwała rok. Wypuszczono go i zwolniono z wojska. Ożenił się z Mildred, gdy tylko było to możliwe.

Aberowen wywarło na nim dziwne wrażenie. Za bardzo się nie zmieniło, on jednak postrzegał je inaczej. Było małe i szare, zewsząd otoczone górami, które ograniczały mieszkańców niczym ściany. Już nie było tu jak w domu. Przedwojenny garnitur wciąż na niego pasował, lecz źle się w nim czuł. Billy uzmysłowił sobie, że to, co dzieje się w Aberowen, nie może zmienić świata.

Domy przy Wellington Row obwieszono flagami: były wśród nich Union Jack, walijski smok oraz czerwony sztandar. Nad ulicą wisiał transparent z napisem: WITAJ W DOMU, BILLY. Wszyscy sąsiedzi wylegli z domów. Wystawiono stoły, na których pojawiły się dzbany piwa oraz czajniki z herbatą, a także talerze pełne ciastek i kanapek. Na widok Billy'ego odśpiewano piosenkę Witamy ciepło wśród wzgórz.

Billy się rozpłakał.

Podano mu kufel piwa. Wokół Mildred zebrał się tłumek pałających podziwem młodych mężczyzn. Patrzyli na nią jak na egzotyczne stworzenie. Była ubrana po londyńsku, mówiła cockneyem i miała na głowie kapelusz z olbrzymim rondem przystrójony jedwabnymi kwiatami. Nawet gdy się starała, nie umiała całkowicie powściągnąć języka i używała osobliwych sformułowań.

– Musiałam to zrzucić z piersi, że się tak wyrażę. Gramper się postarzał i trudno mu było ustać prosto, lecz intelektualnie wciąż był sprawny. Bawił się z Enid i Lillian. Wyciągał cukierki z kieszeni i pokazywał sztuczkę ze znikającym pieniążkiem. Billy musiał opowiedzieć rodzinom o kolegach, którzy polegli: Joeyu Pontim, Proroku Jonesie, Pyszczatym Llewellynie i innych. Spotkał się z Tommym Griffithsem, którego ostatni raz widział w Ufie w Rosji. Ojciec Tommy'ego, znany ateista Len, schudł bardzo z powodu raka.

W poniedziałek Billy miał wrócić do pracy w kopalni. Górnicy opowiadali mu o zmianach, które zaszły na dole pod jego nieobecność: o nowych chodnikach sięgających głębiej w wyrobiska, o większej liczbie lamp elektrycznych i o lepszych zabezpieczeniach. Tommy wspiął się na krzesło i wygłosił mowę powitalną. Billy musiał mu odpowiedzieć.

– Wojna wszystkich nas zmieniła. Pamiętam, jak ludzie mówili, że Bóg umieścił na tej ziemi magnatów, by zarządzili nami, mniej ważnymi. – Rozległy się drwiące śmiechy. – Wielu wyleczyło się z tej iluzji, gdy trafili pod komendę oficerów arystokratów niezasługujących nawet na to, by oprowadzać wycieczkę ze szkółki niedzielnej. – Weterani potwierdzili słowa Billy'ego, kiwając głowami. – Wojnę wygraliśmy my, prości ludzie, niewykształceni, ale nie głupi. – „Tak było”, „Prawda, prawda”, mówili doświadczeni żołnierze. – Mamy teraz prawo do głosowania, podobnie jak nasze kobiety. Choć jeszcze nie wszystkie, o czym niebawem usłyszycie od mojej siostry Ethel. – Panie przyjęły jego słowa z cichym aplauzem. – To nasz kraj i musimy zdobyć w nim władzę, tak jak bolszewicy zdobyli władzę w Rosji, a socjaldemokraci w Niemczech. – Teraz z kolei mężczyźni dali wyraz aprobachie. – Mamy partię klasy robotniczej, Partię Pracy. Jest nas wystarczająco wielu, by wprowadzić ją do rządu. Lloyd George wystrychnął nas na dudka w czasie poprzednich wyborów, ale tym razem mu się to nie uda.

– Święte słowa! – krzyknął ktoś.

– Powiem wam teraz, po co przyjechałem do domu. Dni Percevala Jonesa jako deputowanego z Aberowen dobiegają końca. – Słuchacze przyklasnęli. – Chcę zobaczyć członka Partii Pracy w roli naszego przedstawiciela w Izbie Gmin! – Billy zauważył rozpromienioną twarz ojca. – Dziękuję za piękne przyjęcie. – Usiadł. Nagrodzono go rzęsiстыми brawami.

– Ładnie mówiłeś – pochwalił Tommy Griffiths. – Ale kto będzie tym deputowanym z ramienia Partii Pracy?

– Powiem ci, Tommy. Możesz zgadywać, do trzech razy sztuka.

IV.

Filozof Bertrand Russell wybrał się tego roku do Rosji i napisał książkę Praktyka i teoria bolszewizmu. W rodzinie Leckwithów o mały włos nie doprowadziła ona do rozwodu.

Russell poddał bolszewików ostrej krytyce, a co gorsza, uczynił to z perspektywy lewicowej. W odróżnieniu od konserwatystów nie twierdził, że naród rosyjski nie miał prawa zdetronizować cara, rozdzielić majątków ziemiaństwa między chłopów oraz kierować fabrykami. Wprost przeciwnie: opowiadał się za wszystkimi tymi zmianami. Zaatakował bolszewików nie za to, że wyznawali niewłaściwe ideały, lecz za to, że mieli słuszne ideały i nie potrafili im sprostać. Tak więc wyprowadzonych przez autora wniosków nie sposób było uznać za wrogą propagandę.

Bernie przeczytał ją pierwszy. Był bibliotekarzem i wzdragał się przed bazgraniem w książkach, lecz w tym przypadku zrobił wyjątek. Opatrywał stronicę gniewnymi komentarzami, podkreślał zdania, dopisując na marginesach uwagi w rodzaju: Bzdura! albo Bezpodstawny argument.

Ethel przeczytała książkę, piastując dziecko, które skończyło rok. Dziewczynka nosiła imię Mildred, lecz rodzice używali zdrobniałej formy Millie. Starsza Mildred zamieszkała z Billym w Aberowen i już była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem. Ethel tęskniła za przyjaciółką, choć cieszyła się z pokoi na piętrze. Mała Millie miała kręcone włoski i zalotny błysk w oku kojarzący się wszystkim z jej matką.

Książka spodobała się Ethel. Russell był dowcipnym pisarzem. Z iście arystokratyczną niefrasobliwością poprosił Lenina o wywiad i spędził godzinę z tym wielkim człowiekiem. Rozmawiali po angielsku. Lenin nazwał lorda Northcliffe'a swoim najlepszym propagandzistą. Jego zdaniem zamieszczane w „Daily Mail” makabryczne relacje o tym, jak Rosjanie grabią arystokratów, mogą przerazić burżuazję, lecz w przypadku brytyjskiej klasy robotniczej wywołają odwrotny skutek.

Jednak Russell w swojej książce dał jasno do zrozumienia, że bolszewicy rządzą w sposób krańcowo niedemokratyczny. Napisał, że dyktatura proletariatu rzeczywiście jest dyktaturą, lecz władzę sprawują intelektualiści z klasy średniej, tacy jak Lenin i Trocki. Wspomagają ich w tym jedynie ci proletariusze, którzy podzielają ich poglądy.

– Myślę, że to niepokojące spostrzeżenia – powiedziała Ethel po lekturze książki.

– Bertrand Russell to arystokrata! – zachnął się Bernie. – Jest hrabią!

– To nie dyskwalifikuje jego przemysłów. – Millie przestała ssać i zasnęła. Ethel pogładziła palcem jej miękki policzek. – Russell jest socjalistą. Jego krytyka odnosi się do tego, że bolszewicy nie wprowadzają socjalizmu.

– Jak można mówić takie rzeczy? Szlachta została zdławiona.

– Podobnie jak prasa opozycyjna.

– To była tymczasowa konieczność...

– Jak bardzo tymczasowa? Rewolucja w Rosji ma już trzy lata!

– Gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą.

– Russell pisze o bezpodstawnych aresztowaniach i egzekucjach. Tajna policja jest jeszcze potężniejsza niż za cara.

– Władze walczą z kontrrewolucjonistami, a nie z socjalistami.

– Socjalizm oznacza wolność, nawet dla kontrrewolucjonistów.

– Wcale nie!

– Moim zdaniem tak.

Podniesione głosy rodziców obudziły Millie. Rozpłakała się, wyczuwając napięcie.

– Zobacz, co narobiłeś – rzekła z przyganą Ethel.

V.

Wróciwszy z wojny domowej, Grigorij zamieszkał z Kateriną, Władimirem i Anną w wygodnym mieszkaniu w rządowym osiedlu w starej twierdzy Kreml. Jak na jego gust, mieszkanie było aż nazbyt komfortowe. Cały kraj cierpiał na niedostatek żywności i paliw, lecz w sklepach na Kremlu wszystkiego było w bród. Znajdowały się tam trzy restauracje z wykształconymi przez Francuzów kucharzami. Peszków stwierdził z przerażeniem, że kelnerzy stukają obcasami przed bolszewikami tak samo, jak robili to kiedyś przed szlachtą. Katerina oddawała dzieci do przedszkola, a sama szła do fryzjera. Wieczorami członkowie Komitetu Centralnego jeździli do opery samochodami prowadzonymi przez szoferów.

– Mam nadzieję, że nie stajemy się nową arystokracją – rzekł pewnej nocy do żony.

Katerina zaśmiała się gorzko.

– Jeśli nią jesteśmy, to gdzie są moje diamenty?

– Przecież urządzamy bankiety, jeździmy pociągami pierwsza klasa...

– Arystokraci nigdy nie robili niczego pożytecznego. Wy pracujecie po dwanaście, piętnaście, a czasem osiemnaście godzin na dobę. Nie możecie zbierać chrustu na opał jak biedota.

– Elity zawsze znajdą pretekst do tego, by udzielać sobie specjalnych przywilejów.

– Chodź tu, mam dla ciebie pewien specjalny przywilej.

Kochali się. Później Grigorij długo leżał, nie mogąc zasnąć. Pomimo zastrzeżeń czuł satysfakcję, że jego rodzinie tak dobrze się powodzi. Katerina przytyła. Kiedy ją poznał, była ponętą dwudziestoletnią dziewczyną. Teraz miała dwadzieścia sześć lat i zrobiła się pulchna. Pięcioletni Władimir uczył się czytać i pisać w szkole wraz z innymi dziećmi nowych władców Rosji. Ich córka Anna, kędzierzawa trzylatka, uwielbiała psocić. Ich dom należał niegdyś do jednej z dam dworu carycy. Był ciepły, suchy i przestronny. Miał osobną sypialnię dla dzieci, kuchnię oraz salonik. Peszków pamiętał, że kiedyś w Sankt Petersburgu na takiej przestrzeni gnieździło się dwadzieścia osób. Przed kominkiem leżał dywanik, w oknach wisiały zasłony. Herbatę pili w porcelanowych filiżankach, a ścianę zdobił obraz przedstawiający jezioro Bajkał.

Zmorzył go sen, lecz o szóstej rano obudziło walenie do drzwi. Otworzywszy, zobaczył nędznie odzianą, chudą jak szkielet kobietę o znajomej twarzy.

– Wasza ekscelencja wybaczy, że tak wcześnie was nachodzę – rzekła, używając dawnej formy grzecznościowej.

Grigorij rozpoznał żonę Konstantina.

– Magda! Ależ ty się zmieniłaś. Wejdz! Co się stało? Mieszkasz teraz w Moskwie?

– Tak, przeprowadziliśmy się tutaj, wasza ekscelencjo.

– Nie nazywaj mnie tak, na litość boską. Gdzie jest Konstantin?

– W więzieniu.

– Jak to? Dlaczego?

– Za kontrrewolucję.

– Niemożliwe! To musi być jakaś straszliwa pomyłka.

– Tak, proszę pana.

– Kto go aresztował?

– Czeka.

– Tajna policja. Hm, oni pracują dla nas. Sprawdzę, o co chodzi. Zajmę się tym zaraz po śniadaniu.

– Proszę waszą ekscelencję, błagam. Zróbcie coś. Za godzinę mają go rozstrzelać.

– Niech to diabli – zaklął Grigorij. – Poczekaj, tylko się ubiorę.

Włożył mundur pozbawiony insygniów, lecz uszyty znacznie lepiej niż mundur zwykłego żołnierza. Nie ulegało wątpliwości, że może go nosić tylko dowódca.

Kilka minut później wyszedł z Magdą z kremłowskiego osiedla. Padał śnieg. Pokonali niewielką odległość do Łubianki. Kwatera główna Czeka mieściła się w ogromnym gmachu z żółtej cegły stanowiącym niegdyś siedzibę firmy ubezpieczeniowej. Wartownik zasalutował Peszkowowi.

Ten wkroczył do środka i zaczął pokrzykiwać:

– Kto tu dowodzi? Sprowadzić mi natychmiast dyżurnego oficera! Jestem towarzysz Grigorij Peszków, członek bolszewickiego Komitetu Centralnego. Chcę się natychmiast widzieć z więźniem Konstantinem Worocyncewem. Na co czekacie? Ruszcie się! – Grigorij nauczył się, że w ten sposób najprędzej załatwia się sprawy, i korzystał z tej metody, mimo że przypominała mu ona zachowanie rozwydrzonego arystokraty.

Wartownicy biegali panicznie przez kilka minut. Nagle Grigorij doznał szoku, gdy do holu zszedł oficer dyżurny. Był nim Michaił Piński.

Peszków się przeraził. Piński był łotrem i brutalem na służbie w carskiej policji, czyżby teraz w taki sam sposób służył rewolucji? Piński uśmiechnął się przymilnie.

– Towarzysz Peszków. Cóż za zaszczyt.

– Nie mówiliście tak, kiedy powaliłem was za nękanie biednej wiejskiej dziewczyny – odparł Grigorij.

– Sytuacja zmieniła się dla nas wszystkich, towarzyszu.

– Dlaczego aresztowaliście Konstantina Worocyncewa?

– Za działalność kontrrewolucyjną.

– Bzdura. Worocyncew przewodniczył bolszewickiej grupie dyskusyjnej w Zakładach Putiłowskich w tysiąc dziewięćset czterenas-tym roku i został jednym z pierwszych delegatów do Piotrogradzkiej Rady Delegatów. Jest bardziej zagorzałym bolszewikiem niż ja!

– Czyżby? – spytał Piński z niejasną groźbą w głosie.

Peszków puścił ją mimo uszu.

– Proszę go tu sprowadzić.

– Już się robi, towarzyszu.

Po kilku minutach zjawił się Konstantin. Był brudny i nieogolony i cuchnął jak chlew. Magda wybuchła płaczem i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Muszę pomówić z więźniem – oznajmił Grigorij Pińskiemu. – Zaprowadźcie nas do waszego gabinetu.

Piński pokręcił głową.

– Mój skromny pokoik...

– Ani słowa – przerwał mu Peszków. – Prowadźcie do gabinetu. – W ten sposób podkreślił, że ma władzę. Musi trzymać Pińskiego pod butem.

Piński poprowadził ich na górę do pokoju z widokiem na wewnętrzny dziedziniec. Szybkim ruchem wrzucił do szuflady kastet leżący na biurku.

Grigorij wyjrzał przez okno. Świtało.

– Zaczekajcie na zewnątrz – polecił Pińskiemu.

Usiedli i zwrócił się do przyjaciela:

– Co się, u diabła, dzieje?

– Przyjechaliśmy do Moskwy, gdy rząd się tutaj przeniósł – odparł Konstantin. – Myślałem, że zostanę komisarzem, ale się pomyliłem. Nie mam tu żadnego poparcia politycznego.

– Czym się zajmowałeś?

– Wróciłem do zwykłej roboty. Pracuję w fabryce Tod.

Produkujemy części do silników, zębatki, tłoki i łożyska.

– Z jakiej racji policja posądziła cię o działalność kontrrewolucyjną?

– Fabryka wyznacza delegata do Rady Moskwy. Jeden z inżynierów ogłosił, że będzie kandydatem mienszewików. Zorganizował spotkanie, a ja poszedłem go posłuchać. Było tam kilkanaście osób. Nie odzywałem się, wyszedłem w połowie spotkania i nie oddałem na niego głosu. Wygrał kandydat bolszewików, naturalnie. Ale po wyborach każdy, kto był na spotkaniu mienszewików, dostał wypowiedzenie. W zeszłym tygodniu wszystkich aresztowano.

– Nie wolno tak postępować, nawet w imię rewolucji – rzekł zdesperowany Grigorij. – Nie możemy aresztować robotników za to, że słuchają kogoś, kto ma inny punkt widzenia.

Konstantin popatrzył na niego dziwnie.

– Wyjeżdżałeś z Moskwy?

– Oczywiście. Walczyłem z wojskami kontrrewolucji.

– To dlatego nie wiesz, co się tutaj dzieje.

– Chcesz powiedzieć, że dochodziło już do takich sytuacji?

– Griszka, one są na porządku dziennym.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Wczoraj wieczorem dostałam wiadomość od koleżanki,

żony policjanta – odezwała się Magda. – Powiedziała mi, że Konstantin i pozostali mają być rozstrzelani dzisiaj o ósmej rano. Grigorij spojrzął na swój wojskowy zegarek. Dochodzi ósma.

– Piński! – zawołał.

Policjant wszedł do gabinetu.

– Odwołajcie egzekucję.

– Obawiam się, że jest za późno, towarzyszu.

– Chcecie powiedzieć, że tych ludzi już stracono?

– Niezupełnie. – Piński zbliżył się do okna.

Peszków także podszedł. Konstantin i Magda stanęli obok niego.

Na zaśnieżonym dziedzińcu w blasku poranka ustawił się pluton egzekucyjny. Naprzeciwko żołnierzy stało kilkunastu mężczyzn z opaskami na oczach. Mieli na sobie lekkie ubrania i drżeli z zimna. Nad ich głowami powiewała czerwona flaga.

Żołnierze unieśli karabiny.

– Przerwać egzekucję! Nie strzelać! – krzyknął Grigorij, lecz szyba stłumiła jego głos. Nikt go nie usłyszał.

Huknęły strzały.

Skazańcy upadli na ziemię. Grigorij patrzył na nich osłupiały.

Wokół ciał leżących na śniegu powiększały się plamy krwi.

Miały tę samą barwę, co wisząca nad nimi flaga.

ROZDZIAŁ 41

11 - 12 listopada 1923 roku

i.

Maud spała w ciągu dnia i obudziła się po południu, gdy Walter przyprowadził dzieci ze szkoły niedzielnej. Erie miał trzy lata, a Heike dwa. W swoich najlepszych ubrankach wyglądali tak ślicznie, że serce Maud omal nie pękło z miłości.

Do tej pory nie znała takich uczuć. Nawet szaleńcza namiętność do Waltera nie zawładnęła nią tak bez reszty. Dzieci przyprawiały ją również o wielki niepokój. Czy zdoła je wyżywić, zapewnić ciepło i ochronić przed zamieszkami i rewolucją?

Podawała im ciepłe mleko z chlebem, żeby się rozgrzały, a następnie zaczęła się przygotowywać na wieczór. Wydawali niewielkie przyjęcie z okazji trzydziestych ósmych urodzin kuzyna Waltera, Roberta von Ulricha.

Robert nie zginął na wojnie, wbrew obawom rodziców Waltera, a może wbrew ich nadziejom. Tak czy inaczej, Walter nie został hrabią von Ulrich. Robert spędził jakiś czas w obozie jenieckim na Syberii. Gdy bolszewicy zawarli pokój z Austrią, wraz ze swoim wojennym towarzyszem Jórgiem wyruszyli w drogę. Szli pieszo, łapali okazje i jechali do kraju pociągami towarowymi. Zajęło im to rok, lecz dotarli do domu, a gdy wrócili, Walter znalazł dla nich w Berlinie mieszkanie.

Maud zawiązała fartuch i zabrała się do dzieła w małej kuchni ich domu. Ugotowała zupę z kapusty, czerstwego chleba i brukwi. Upiekła także ciasto, choć musiała uzupełniać składniki kawałeczkami brukwi.

Nauczyła się gotować i nie tylko. Starsza pani mieszkająca po sąsiedzku ulitowała się nad skołowaną arystokratką i nauczyła ją słać łóżka, prasować koszule oraz czyścić wannę. Wszystko to było dla Maud swego rodzaju szokiem.

Mieszkali w typowym inteligenckim domku. Nie mogli w niego zainwestować ani zatrudnić służby, do której Maud przywykła. Mieli wiele używanych mebli, które ona uważała za przykłady prowincjonalnego bezguścia.

Liczyli na nadejście lepszych czasów, lecz stało się inaczej. Kiedy okazało się, że Walter ma żonę Angielkę, jego kariera w Ministerstwie Spraw Zagranicznych znalazła się w ślepym

zaułku. Chętnie poszukałby innej posady, lecz wobec panującej stagnacji gospodarczej za szczęściarza mógł się uważać każdy, kto w ogóle miał pracę. Przeżywszy cztery lata w biedzie, Maud zrozumiała, że kaprysiła, skarżąc się na początkowe drobne niedogodności. Tapicerka mebli była połatana w miejscach, w których dzieci ją podarły, zbite szyby zakrywała tektura, w całym domu luszczyla się farba.

Jednak Maud niczego nie żałowała. W każdej chwili mogła pocałować Waltera, wsunąć mu język do ust, rozpiąć spodnie i położyć się z nim na łóżku, na tapczanie albo nawet na podłodze. To wynagradzało jej wszelkie niedostatki.

Rodzice Waltera przynieśli na kolację połowę szynki oraz dwie butelki wina. Otto stracił majątek rodzinny Zumwald leżący obecnie na terytorium Polski. Inflacja zredukowała jego oszczędności do zera. Jednak w wielkim ogrodzie jego domu w Berlinie wciąż rosły ziemniaki i został mu ogromny zapas przedwojennego wina.

– Jak zdobyliście szynkę? – spytał zdziwiony Walter. Takie rzeczy zwykle można było dostać tylko za dolary.

– Dałem za nią butelkę szampana z dobrego rocznika – odparł Otto.

Dziadkowie położyli dzieci spać. Otto opowiedział im bajkę na dobranoc. Maud usłyszała, jak mówi o królowej, która kazała ściąć brata. Wzdrygnęła się, lecz nie interweniowała. Później Susanne chrapliwym głosem śpiewała kołysanki i dzieci zasnęły. Najwyraźniej nie ucierpiały z powodu makabrycznej opowieści dziadka.

Robert i Jórg przyszli w identycznych czerwonych krawatach. Otto przywitał się z nimi serdecznie. Wydawało się, że nie rozumie, na czym polega ich związek. Przypuszczalnie uważał Jórگا za przyjaciela Roberta, z którym ten wspólnie wynajmuje mieszkanie. Ci zaś w obecności starszych zachowywali się jak koledzy. Maud podejrzewała, że Susanne odgadła prawdę. Kobiety trudniej oszukać. Na szczęście są bardziej wyrozumiałe.

W bardziej liberalnym towarzystwie Robert i Jórg zachowywali się zupełnie inaczej. Podczas spotkań towarzyskich nie kryli swojej romantycznej miłości. Wielu ich znajomych żyło w taki sam sposób. Początkowo Maud była zaskoczona, bo nigdy nie widziała mężczyzn, którzy całują się, podziwiają swoje ubrania i flirtują jak dziewczęta. Jednak takie zachowania nie były już tabu, przynajmniej w Berlinie. Maud przeczytała *Sodomę i Gomorę* Prousta, z której wynikało, że takie rzeczy działy się zawsze.

Tego wieczoru Robert i Jórg się pilnowali. Przy kolacji wszyscy rozmawiali o wypadkach w Bawarii. W czwartek stowarzyszenie organizacji paramilitarnych, znane pod nazwą Kampfbund, w pijalni piwa w Monachium ogłosiło rewolucję narodową.

Ostatnimi czasy Maud z trudem zmuszała się do czytania wiadomości. Robotnicy zastrajkowali, a prawicowe bojówki ich pobiły. Kobiety zorganizowały marsz protestacyjny przeciwko brakom żywności i ich demonstracja przerodziła się w zamieszki. Traktat wersalski budził gniew wszystkich obywateli Niemiec, tymczasem socjaldemokratyczny rząd go zaakceptował. Ludzie uważali, że reparacje obezwładniają gospodarkę, mimo iż Niemcy zapłacili jedynie ułamek wyznaczonej kwoty i najwyraźniej nie zamierzali regulować całości zobowiązań.

Pucz monachijski wywołał powszechne poruszenie. Jego zagrzmym zwolennikiem był bohater wojenny Erich Ludendorff. Tak zwani szturmowcy w brunatnych koszulach oraz kadeci z Oficerskiej Szkoły Piechoty opanowali najważniejsze budynki. Jako zakładników wzięli radnych miejskich i aresztowali co znaczących Żydów.

W piątek prawowity rząd przystąpił do kontrofensywy. Zginęło czterech policjantów oraz szesnastu bojówkarzy. Na podstawie informacji, które do tej pory dotarły do Berlina, Maud nie potrafiła ocenić, czy bunt się zakończył, czy też nie. Czyżby ekstremiści mieli opanować Bawarię, a następnie cały kraj?

- Mamy demokratycznie wybrany rząd - zauważył gniewnie Walter. - Dlaczego ci ludzie nie pozwalają mu wypełniać swoich obowiązków?
 - Rząd nas zdradził - odparł ojciec.
 - To twoje zdanie. I co z tego? Kiedy w Ameryce republikanie wygrali wybory, demokraci nie wzniesili powstania!
 - Stany Zjednoczone nie są terenem wyrotowej działalności bolszewików i Żydów.
 - Jeśli obawiasz się bolszewików, przekonaj ludzi, żeby na nich nie głosowali. Skąd u ciebie ta obsesja na punkcie Żydów?
 - Oni wywierają szkodliwy wpływ na społeczeństwo.
 - W Wielkiej Brytanii także mieszkają Żydzi. Nie pamiętasz, ojczu, jak lord Rothschild w Londynie usilnie starał się zapobiec wojnie? Żydzi są we Francji, w Rosji i w Ameryce. Nie spiskują, by obalać rządy. Dlaczego uważasz, że nasi Żydzi są wyjątkowo szkodliwi? Większość z nich chce tylko zarobić na utrzymanie rodzin i wykształcenie dzieci. Nie różnią się od wszystkich innych ludzi.
 - Zgadza się z wujkiem Ottonem - odezwał się Robert, zaskakując Maud. - Demokracja robi z nas niedołęgi. Niemcom potrzeba silnego przywództwa. Ja i Jórg wstąpiliśmy do partii Narodowych Socjalistów.
 - Och, Robercie, na miłość boską! - wykrzyknął zde gustowany Walter. - Jak mogliście to zrobić?
- Maud wstała.
- Ma ktoś ochotę na tort urodzinowy? - spytała pogodnie.

II.

O dwudziestej pierwszej Maud opuściła towarzystwo.

- Gdzie twój fartuch? - spytała teściowa, gdy ta się zegnała, by iść do pracy. Susanne była przekonana, że Maud pracuje jako nocna pielęgniarka opiekująca się zamożnym starszym panem.
- Trzymam go na miejscu i tam się przebieram - wyjaśniła Maud. Prawda była taka, że grała na pianinie w nocnym klubie o nazwie Nachtleben. Jednak strój służbowy faktycznie trzymała w miejscu pracy.

Musiała zarabiać, tymczasem nie nauczono jej niczego poza strojeniem się i czarowaniem na przyjęciach. Dostała niewielki spadek po ojcu, lecz przybywszy do Niemiec, zamieniła go na marki, które teraz nie miały żadnej wartości. Fitz odmówił siostrze pomocy, gdyż wciąż jej nie darował, że wyszła za mąż bez jego pozwolenia. Pensja Waltera w Ministerstwie Spraw Zagranicznych rosła z miesiąca na miesiąc, lecz nigdy nie dotrzymywała kroku inflacji. Częściowo rekompensował to fakt, że czynsz za dom był znikomy, a właściciel nie zaprzętał sobie głowy pobieraniem go. Musieli jednak kupować jedzenie.

Maud przyszła do klubu o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Niedawno wyremontowany lokal wyglądał ładnie nawet przy zapalonych światłach. Kelnerzy polerowali kieliszki, barman kruszył lód, a niewidomy stroił pianino. Maud włożyła wieczorową sukienkę z dużym dekoltem oraz sztuczną biżuterię, a następnie upudrowała grubo twarz, podkreśliła kredką oczy i pomalowała usta. Gdy o dwudziestej drugiej otwierano klub, siedziała już przy pianinie.

Lokal błyskawicznie zapełnił się mężczyznami i kobietami w wieczorowych strojach, którzy tańczyli i palili papierosy. Zamawiali koktajle z szampanem i dyskretnie wciągali kokainę. Mimo panującego ubóstwa nocne życie w Berlinie kwitło. Dla tych ludzi pieniądze nie stanowiły problemu. Ich dochody pochodziły z zagranicy albo mieli coś lepszego od pieniędzy: złoża węgla, rzeźnie, hurtownie papierosów lub to co najlepsze, czyli złoto.

Maud należała do żeńskiego zespołu grającego nowy rodzaj

muzyki zwany jazzem. Fitz przeraziłby sam widok klubu, lecz ona lubiła swoją pracę. Zawsze buntowała się przeciwko rygorom wychowania. Odgrywanie wciąż tych samych melodii bywało nużące, lecz mimo to Maud czuła, że wyzwala się w niej coś, co do tej pory pozostawało stłumione. Wierciła się na stołku i trzepotała rękami, zerkając na gości.

O północy miała recital. Śpiewała i grała piosenki spopularyzowane przez murzyńskich śpiewaków, takich jak Alberta Hunter. Nauczyła się ich z amerykańskich płyt odtwarzanych na gramofonie należącym do właściciela Nachtleben. Przyjęła pseudonim sceniczny Missisipi Maud.

Między jednym a drugim numerem jeden z gości podszedł do niej chwiejnym krokiem.

– Zagraj Downhearted Blues, co?

Maud знаła tę piosenkę. Był to wielki przebój Bessie Smith. Zagrała akord w tonacji Es-dur.

– Dlaczego nie? Ile to będzie warte?

Mężczyzna wyciągnął banknot o nominale miliarda marek.

– To nie wystarczy na pierwszy takt – odparła ze śmiechem

Maud. – Nie masz jakiejś obcej waluty?

Nieznajomy wręczył jej dolara.

Maud schowała banknot do rękawa i zagrała zamówionego bluesa.

Ucieszyła się. Jeden dolar odpowiadał wartości mniej więcej biliona marek. Mimo to odczuwała lekkie przygnębienie. W jej sercu panował tytułowy blues. Opanowanie sztuki zdobywania napiwków było dla arystokratki nie lada wyczynem, lecz sam proces nauki był poniżający.

Gdy po recitalu zmierzała do garderoby, podszedł do niej ten sam gość. Położył jej rękę na biodrze.

– Chciałabyś zjeść ze mną śniadanie, skarbie?

Niemal każdego wieczoru ją obłapiano, mimo że była jedną z najstarszych kobiet w klubie. Przewijało się tam mnóstwo dziewiętnasto- i dwudziestoletnich pań. Kiedy do tego dochodziło, dziewczynom nie wolno było się awanturować. Miały się słodko uśmiechać, delikatnie odsuwać rękę mężczyzny i odpowiadać: „Nie dzisiaj, proszę pana”. To jednak nie zawsze skutkowało, więc inne dziewczęta nauczyły Maud skuteczniejszej metody.

– Mam maleńkie wszy we włosach na cipce – odrzekła. –

Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Natręt znikł w okamgnieniu.

Po czterech latach spędzonych w Berlinie Maud mówiła swobodnie po niemiecku, a dzięki pracy w klubie opanowała także wulgaryzmy.

Lokal zamykano o czwartej nad ranem. Maud zmyła makijaż i przebrała się. Poszła do kuchni i poprosiła o odrobinę kawy. Kucharz, który darzył ją sympatią, dał jej garść ziaren zawiniętych w kawałek papieru.

Muzykom płacono co noc gotówką. Dziewczyny przynosiły ogromne torby, w których dźwigały pliki banknotów.

Wychodząc, Maud wzięła ze stolika gazetę pozostawioną przez klienta. Walter sobie poczyta. Nie stać ich na prasę.

Ruszyła prosto do piekarni. Przetrzywanie gotówki groziło tym, że wieczorem wynagrodzenie nie starczy na bochenek chleba.

Przed sklepem, pomimo zimna, czekało już kilka kobiet. O wpół do szóstej piekarz otworzył drzwi i kredą wypisał ceny na tablicy. Dzisiaj bochenek czarnego chleba kosztował sto dwadzieścia siedem miliardów marek.

Maud kupiła cztery bochenki. Nie zjedzą dzisiaj wszystkich, lecz to nie ma znaczenia. Czerstwym chlebem można zagęścić zupę, a banknotami nie.

Dotarła do domu o szóstej. Później ubierze dzieci i zaprowadzi je do domu dziadków, żeby móc się zdrzemnąć. Teraz ma godzinę lub dwie z Walterem. To najlepsza pora dnia.

Naszykowała śniadanie i zniosła je na tacy do sypialni.

– Spójrz. Chleb, kawa i jeden dolar!

– Mądra dziewczynka! – Walter ucałował żonę. – Co za niego kupimy? – Trząsał się z zimna w piżamie. – Potrzebny nam węgiel.

– Nie ma pośpiechu. Możemy go schować, jeśli chcesz.

W przyszłym tygodniu dolar będzie wart tyle samo. Jeśli zmarzłeś, rozgrzeję cię.

Walter się uśmiechnął.

– No, chodź.

Maud zdjęła ubranie i weszła do łóżka.

Zjedli chleb, wypili kawę i kochali się. Seks wciąż był podniecający, chociaż nie trwał już tak długo jak wtedy, gdy byli z sobą po raz pierwszy.

Walter przeczytał gazetę, którą Maud przyniosła do domu.

– Pucz monachijski się skończył.

– Na dobre?

Wzruszył ramionami.

– Ujęto prowodyra. Jest nim Adolf Hitler.

– Szef partii, do której wstąpił Robert?

– Ten sam. Oskarżono go o zdradę stanu. Siedzi w więzieniu.

– To dobrze – odparła Maud. – Bogu dzięki, że zamieszki się skończyły.

ROZDZIAŁ 42

Grudzień 1923 – styczeń 1924 roku

i.

Hrabia Fitzherbert wszedł na podest przed ratuszem w Aberowen o piętnastej. Nazajutrz miały się odbyć wybory powszechne. Włożył dzienny garnitur i kapelusz. Stojący z przodu konserwatyści wznieśli entuzjastyczny okrzyk, lecz większość zgromadzonych buczała. Ktoś cisnął w hrabiego zmiętą gazetą.

– Dajmy spokój, chłopcy – rzekł Billy. – Pozwólcie mu się wypowiedzieć.

W to zimowe popołudnie chmury wisiały nisko, latarnie uliczne już się paliły. Siąpił deszcz, ale pod ratuszem zebrało się dwustu lub trzystu ludzi. Większość miała na głowach górnicze czapki, lecz w pierwszych szeregach pojawiło się kilka cylindrów oraz damskich parasolek. Na obrzeżach zgromadzenia dzieci bawiły się na mokrych kocich łbach.

Fitz agitował na rzecz urzędującego deputowanego Percevala Jonesa. Zaczął od ceł. Billy nie miał nic przeciwko temu. Hrabia mógł o nich opowiadać przez cały dzień, nie docierając do serc mieszkańców Aberowen. Teoretycznie było to ważne zagadnienie wyborcze. Konserwatyści proponowali, by ograniczyć bezrobocie, podnosząc cło na importowane towary, chroniące brytyjskich producentów. Liberałowie zjednoczyli się, protestując przeciwko projektowi, gdyż najstarszy punkt ich programu stanowiła wolność handlu. Laburzyści zgadzali się, że podniesienie ceł nie rozwiąże sprawy, i proponowali narodowy program pracy mający dać zatrudnienie bezrobotnym. Jednocześnie przedłużona edukacja miała powstrzymać napływ młodych ludzi na przeludniony rynek pracy. Najważniejszą kwestią było to, kto ma władzę.

– Aby zwiększyć zatrudnienie w rolnictwie, rząd konserwatystów przyzna jeden funt dotacji na akr dla każdego farmera, który płaci swoim robotnikom trzydzieści szylingów lub więcej – mówił Fitz.

Billy pokręcił głową, rozbawiony i zde gustowany jednocześnie. Po co dawać pieniądze rolnikom, którzy wcale nie głodują? Głód cierpią robotnicy w fabrykach.

– Taką gadką nie zdobędzie głosów w Aberowen – zauważył ojciec Billy'ego.

Billy myślał tak samo. Kiedyś w okręgu dominowali farmerzy ze wzgórz, lecz te czasy odeszły w przeszłość. Teraz większość wyborców stanowili robotnicy. Perceval Jones zdobył mandat przewagą kilku głosów w czasie wyborów 1922 roku, w których doszło do przypadkowych rozstrzygnięć. Tym razem musi oddać stanowisko.

Tymczasem hrabia się rozkręcał.

– Głosując na Partię Pracy, zagłosujecie na człowieka, który zapisał brudną kartę w wojsku. – Słuchacze zareagowali gniewnie. Znali historię Billy'ego i uważali go za bohatera. Rozległ się pomruk niezadowolenia.

– Wstydz się! – krzyknął ojciec Billy'ego.

– Na tego, który zdradził swoich towarzyszy broni i oficerów, który stanął przed sądem wojskowym za nielojalność i poszedł do więzienia – parł Fitz. – Powiadam wam: nie ściągajcie hańby na Aberowen, wybierając do parlamentu takiego kandydata. Zszedł z podwyższenia. Okrzyki entuzjazmu mieszały się z buczeniem. Billy patrzył na niego, lecz hrabia unikał jego wzroku. Billy wszedł na podest.

– Pewnie się spodziewacie, że będę obrażał hrabiego Fitzherberta, tak jak on mnie obrażał.

– Daj mu popalić, Billy! – wrzasnął Tommy Griffiths.

– Ale to nie jest uliczna bójka – ciągnął Billy. – Wybory są zbyt ważne, by rozstrzygały w nich tanie szyderstwa. Słuchacze ucichli. Billy miał świadomość, że tak wyważoną argumentacją nie zaskarbi sobie ich względów. Ci ludzie lubią tanie szyderstwa. Jednak ojciec z aprobatą skinął głową. Rozumiał, do czego Billy zmierza. Było to naturalne, gdyż sam go tego nauczył.

– Hrabia wykazał odwagę, stając tutaj przed zgromadzeniem górników i przedstawiając swoje poglądy. Może się mylić, bo istotnie się myli, ale tchórzem nie jest. Tak samo postępował na wojnie. Wielu było takich oficerów. Odważnych, ale źle myślących. Opracowali złą strategię i niewłaściwą taktykę, nie stworzyli odpowiedniego systemu łączności i myśleli starymi kategoriami. Nie potrafili jednak zmienić swoich przekonań, dopóki nie zginęły miliony ludzi.

Publiczność zamilkła. Billy wzbudził jej zainteresowanie.

Widział dumną Mildred trzymającą w ramionach ich dwóch synów: rocznego Davida i dwuletniego Keira. Mildred nie pasjonowała się polityką, lecz chciała, aby Billy został parlamentarzystą. Wtedy mogłoby wrócić do Londynu, a ona znów otworzyłaby zakład modniarski.

– W czasie tej wojny ani jeden robotnik nie został awansowany do stopnia powyżej sierżanta. Tymczasem wszyscy chłopcy ze szkół publicznych wstąpili do wojska jako podporucznicy. Każdy obecny tu dziś weteran powie wam, że jego życie niepotrzebnie wisiało na włosku z winy tępych oficerów, a życie wielu z nas ocalił inteligentny sierżant.

Głośny pomruk potwierdził słowa Billy'ego.

– Jestem tu po to, by oznajmić, że te czasy się skończyły. Zarówno w wojsku, jak i wszędzie indziej awansować powinno się za rozum, a nie za pochodzenie. – Billy podniósł głos i zabrzmiał w nim pełen pasji ton, który znał z kazań ojca. – W tych wyborach waży się przyszłość naszego kraju i naszych dzieci, które będą w nim dorastały. Uczynmy wszystko, by różnił się od tego, w którym my się wychowaliśmy. Partia Pracy nie wzywa do rewolucji. Widzieliśmy ją w innych krajach, nie sprawdziła się. Nawołujemy jednak do zmiany, zmiany poważnej, głębokiej i radykalnej.

Billy milczał przez chwilę, po czym podjął mocnym głosem:

– Nie będę obrzucał hrabiego Fitzherberta i pana Percevala Jonesa obelgami. – Wskazał dwóch mężczyzn w kapeluszach

stojących w pierwszym rządzie. – Powiem im po prostu: panowie, jesteście historią. – Odpowiedziały mu okrzyki aprobaty. Billy spojrzął ponad pierwszymi rządami, kierując wzrok na tłum górników. Ci silni i dzielni ludzie przyszli na świat z niczym, a mimo to zapewniają jak najlepsze życie sobie i swoim rodzinom. – Koledzy robotnicy, przyszłość to my! Tak mówiąc, Billy zszedł z podestu. Gdy przeliczono głosy wyborców, okazało się, że wygrał z ogromną przewagą.

II.

Ethel także odniosła zwycięstwo. Konserwatyści stworzyli największe ugrupowanie w parlamencie, lecz nie zdobyli większości. Laburzyści zajęli drugie miejsce, wprowadzając do izby stu dziewięćdziesięciu jeden deputowanych. Byli wśród nich Ethel Leckwith z Aldgate oraz Billy Williams z Aberowen. Na trzecim miejscu uplasowali się liberałowie. Szkoccy prohibicjoniści zdobyli jedno miejsce, a Partia Komunistyczna żadnego. Kiedy nowy parlament zebrał się na posiedzeniu, laburzyści i liberałowie połączyli głosy i odsunęli od władzy rząd konserwatystów. Król został zobligowany do powierzenia teki premiera liderowi Partii Pracy, Ramsayowi MacDonaldowi. Wielka Brytania po raz pierwszy miała rząd laburzystowski. Ethel nie była w Pałacu Westminsterskim od tamtego dnia w 1916 roku, gdy wyrzucono ją za okrzyki pod adresem Lloyda George'a. Teraz usiadła na zielonej skórzanej ławie ubrana w nowy płaszcz i kapelusz. Słuchała wystąpień i co jakiś czas zerknęła na galerię dla publiczności, z której przed ponad siedmioma laty ją wyrzucono. Udała się do holu i głosowała wraz z członkami gabinetu, sławnymi socjalistami, których niegdyś podziwiała: Arthurem Hendersonem, Philipem Snowdenem, Sidneyem Webbem i samym premierem. Miała małe biurko w biurze, które dzieliła z inną deputowaną z ramienia Partii Pracy. Przeglądała książki w bibliotece, jadła kanapki z masłem w herbaciarni i odbierała worki z pocztą do niej adresowaną. Krążyła po olbrzymim gmachu, poznawała jego topografię i starała się poczuć, że ma prawo w nim przebywać. Pewnego dnia pod koniec stycznia zabrała z sobą Lloyda, by oprowadzić go po siedzibie parlamentu. Chłopiec miał prawie dziewięć lat i nigdy nie był w tak wielkiej i wspaniałej budowli. Starała się wyjaśnić mu zasady demokracji, ale był na to trochę za mały. W wąskiej klatce schodowej wyłożonej czerwonym dywanem, dzielącej Izbę Gmin od Izby Lordów, spotkali Fitzę. On także przyprowadził małego gościa, swojego syna George'a zwanego Boyem. Ethel wchodziła z Lloydem na górę, a Fitz i Boy schodzili na dół. Spotkali się na półpiętrze. Popatrzył na nią tak, jakby oczekiwał, że mu ustąpi. Dwaj synowie Fitzę, Boy i Lloyd, dziedzic tytułu oraz nieuznany syn z nieprawego łoża, byli w tym samym wieku. Spojrzeli na siebie ze szczerym zaciekawieniem. Ethel dobrze pamiętała Ty Gwyn, gdzie spotkałszy Fitzę na korytarzu, musiała stawać przy ścianie ze spuszczonym wzrokiem i czekać, aż hrabia przejdzie. Teraz stała na środku półpiętra, trzymając mocno Lloyda za rękę. Patrzyła Fitzowi prosto w oczy. – Dzień dobry, hrabio Fitzherbert – rzekła, unosząc lekko podbródek. On też na nią patrzył. Na jego twarzy malowała się gniewna niechęć. – Dzień dobry, pani Leckwith – odpowiedział po dłuższej chwili.

Spojrzała na jego syna.

– Ty jesteś zapewne wicehrabią Aberowen. Jak się masz?

– Witam panią – odparł grzecznie chłopiec.

– To jest mój syn Lloyd – powiedziała Ethel do Fitz.

Ten jednak nie spojrzał na dziecko.

Nie zamierzała ułatwiać mu życia.

– Podaj panu hrabiemu rękę, Lloydzie.

Chłopiec wyciągnął dłoń.

– Miło mi pana poznać, hrabio.

Zlekceważenie dziewięciolatka nie licowało z godnością szlach-
cica. Fitz musiał uścisnąć mu rękę.

Po raz pierwszy dotknął swojego syna Lloyd.

– Życzymy panu miłego dnia – rzuciła Ethel.

Twarz Fitz przypominała chmurę burzową. Niechętnie usunął
się z synem pod ścianę. Ethel i Lloyd minęli go i ruszyli schodami
na górę.